

# OKRUTNY MIECZ



MILES CAMERON

# OKRUTNY MIECZ



MILES CAMERON

PRZEŁOŻYŁA MARIA GĘBICKA-FRĄC

WYDAWNICTWO MAG  
WARSZAWA 2016

Tytuł oryginału: *The Fell Sword*

Copyright © 2013 by Miles Cameron

Copyright for the Polish translation © 2016 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Joanna Figlewska

Korekta: Urszula Okrzeja i Magdalena Górnicka

Ilustracja na okładce: Kerem Beyit

Opracowanie graficzne okładki: Piotr Chyliński

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Tomek Laisar Fruń

ISBN 978-83-7480-656-5

Wydanie I

Wydawca: Wydawnictwo MAG

ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa

tel./fax 22 813 47 43

e-mail: kurz@mag.com.pl

www.mag.com.pl

Wyłączny dystrybutor: Firma Księgarska Olesiejuk

Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

tel. 22 721 30 00

www.olesiejuk.pl

Druk i oprawa: CPI Moravia Books s.r.o.

*Dla rekonstruktorów*

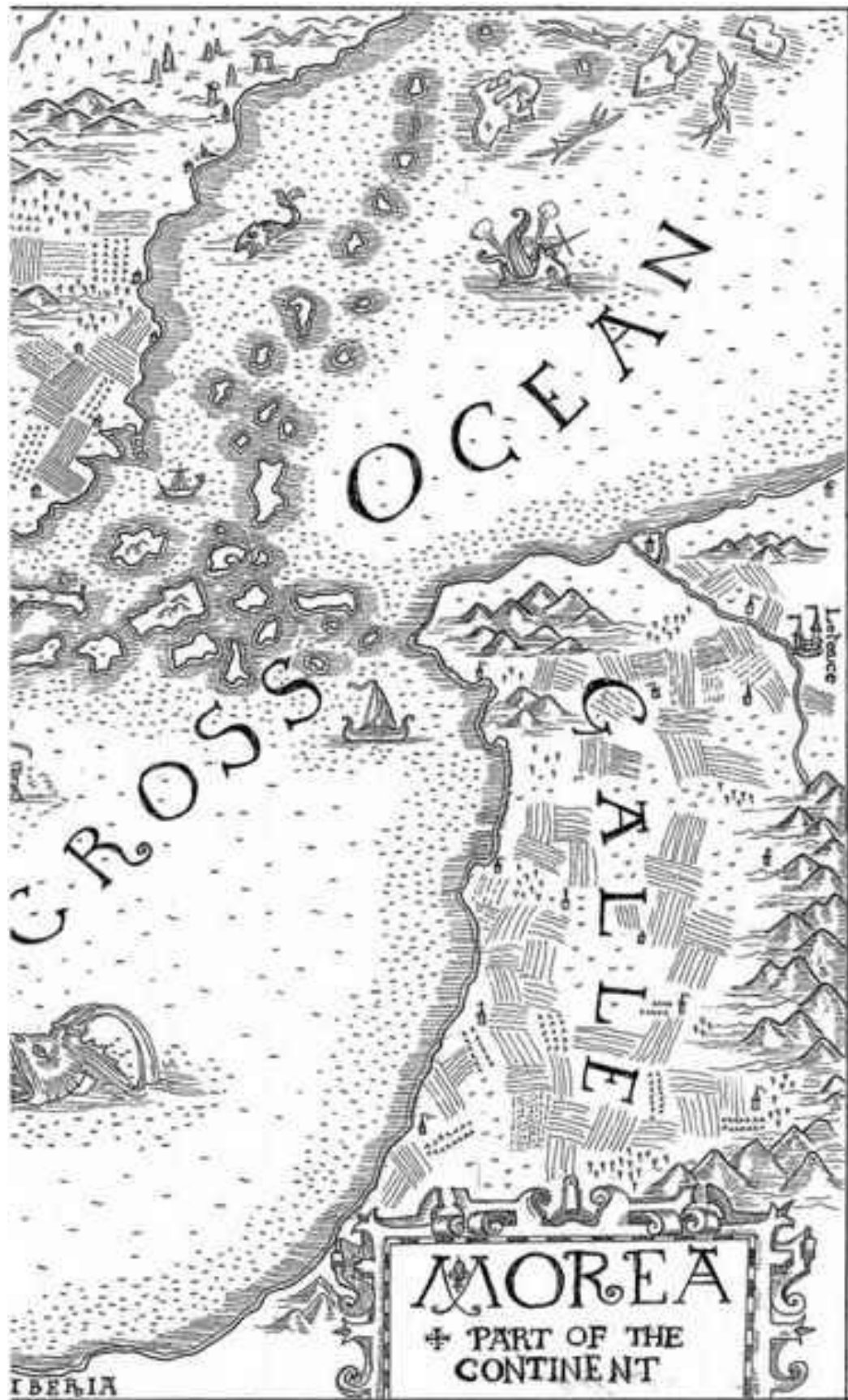


ALBIA  
ENCIRCLED BY THE WILD















PROLOG

# Cesarz



The Red Knight

## ROZDZIAŁ PIERWSZY



### **Liwiapolis – Morgan Mortimir**

Gdy Czerwony Rycerz opuścił siedzibę Smoka z Zielonych Wzgórz i zmierział na południe do Gospody Dormling, pochodzący z Hardonu Morgan Mortimir siedział w sali wykładowej w stolicy cesarstwa, Liwiapolis.

Sala lekcyjna miała ponad tysiąc lat; stały w niej ciemne dębowe ławki z solidnymi pulpitami, każda przeznaczona dla czterech uczniów. Sto pokoleń przyszłych magistrów wryło w nich napisy w archaicznym i dziesięciu innych językach tak głęboko, że człowiek mógł tylko się dziwić, dlaczego profesorem i nauczyciele przymykali oko na te akty wandalizmu. Przedzielone słupkami okna z szybkami oprawionymi w ołów umożliwiały mglisty widok na



świat znudzonemu czy zniechęconemu uczniowi.

Morgan dzielił ławkę z trojgiem studentów: Anną i Kateriną, siostrami z jednego z tuzina dużych klasztorów w mieście, niemal niewidzialnymi w długich brązowych szatach i barbetach, oraz swoim jedynym prawie przyjacielem, Etruskim, synem podesty cudzoziemskich kupców, Antoniem Baldesce.

Nauczyciel logiki rozejrzył się po klasie.

– Niech ktoś, kto nie jest Mortimirem, powie mi, dlaczego.

Szesnaścioro studentów zaawansowanej taumaturgii hermetycznej niespokojnie wierciło się w ławkach.

– Śmiało, moje dzieci – zachęcił ich magister Abraham.

Był Jahadutą, pierwszym, jakiego Morgan poznał. Należał do najłagodniejszych mistrzów, dopóki nie doszedł do wniosku, że jest ignorowany.

Zatrzymał spojrzenie na młodym Etrusku.

– Baldesce? – zapytał. Jego głos brzmiał o pół oktawy wyżej, podniesiony w wyrazie akademickiego zniecierpliwienia.

Cisza była bolesna.

– Pozwolę sobie ponownie przedstawić problem – kontynuował magister Abraham coraz bardziej niebezpiecznym tonem. – Dlaczego nie można włączyć mocy hermetyczną wewnątrz własnego pałacu pamięci?

Z ust siostry Kateriny popłynął cichutki dźwięk bardzo podobny do jęku.

Siostra Anna przygryzła dolną wargę.

Baldesce nie należał do tych młodzieńców, którzy się wiercą.

– Nie mam pojęcia – odparł. Wzruszył ramionami. – Ale jeśli mi wolno zgadywać...

– Nie – syknął Abraham. – Na tym etapie nie interesują mnie zgadywanki. Rozumiemy się, młody Mortimirze?

Mortimir nie umiał przeobrazić *potentia* w *ops*, ale przeczytał każdą dostępną księgę wiedzy tajemnej i wszystkie zwoje filozofii etycznej czy praktycznej, jakie mu wpadły w ręce. Spojrzył w oczy magistra... i się zawahał.

Jeśli nie udzieli odpowiedzi, czy koleżanki i koledzy choć trochę go polubią? Prawdopodobnie nie. Tak czy owak, pieprzyć ich.

– Magistrze, sądzę, że można manipulować eterealem wewnątrz pałacu pamięci. Przypuszczam, że nie powinno się tego robić. – Mortimir wzruszył ramionami jak Baldesce, ale wymowa gestu była zupełnie inna. U niego sugerowała, że ma więcej do powiedzenia, u Antonia zaś wyrażała obojętność.

Magister Abraham podrapał się po podbródku pod długą brodą, nie spuszu-

czając oczu z Mortimira.

– Skąd ci przysłała do głowy taka dziwaczna herezja? – zapytał. Bez pozwolenia próbował ukryć, że jest zadowolony.

– Z dzieła *Gladius Capitalis* Wetroniusza. I z *θανατηφόρα σπαθί* Heraklita.

Siostra Anna skrzywiła się, słysząc, z jakim akcentem mówi w górnym archaickim – z albańskim, nie miejscowym moreańskim.

Magister Abraham miał dziwny nawyk stukania palcami po zębach i teraz właśnie to robił. Kiedy miał palce powalane atramentem, czasami plamił zęby.

Pokiwał głową.

– Tak. Zwój zatytułowany *Okrutny Miecz*. Broń, która w ten sam sposób będzie się sprawiać w świecie realnym i eterealnym, co sugeruje, że można ją wykuć w pałacu pamięci i następnie użyć... gdziekolwiek. – Pozwolił sobie na lekki uśmiech. – Jakie byłyby skutki użycia broni wewnątrz pałacu pamięci?

Umilkł na jedno uderzenie serca. Piętnaścioro studentów zbladło na myśl o dosłownym zniszczeniu pieczołowicie przechowywanych wspomnień i zaklęć.

– Ale ty nie mógłbyś ich poznać, prawda, Mortimirze? – zapytał magister Abraham. Było to pytanie retoryczne. Teraz on wzruszył ramionami. – Zmykajcie, dzieci. Czeka was alchemia. Mortimirze, zostań.

Uczniowie śpieszne wyszli, wielu z opuszczonymi głowami, żeby uniknąć oka mistrza. Czasami na zakończenie demonstrował swoją moc, wyczarowując potężne błyskawice, wymierzone w starannie wybrane cele albo na chybił trafił.

Mortimir siedział i bawił się różańcem, a po wyjściu ostatniego ucznia wstał z takim wdziękiem, na jaki mu pozwalało szybko rosnące ciało. Podszedł do mistrza.

Starszy mężczyzna ściągnął brwi.

– Masz błyskotliwy umysł – powiedział. – I pracujesz ciężiej niż większość tych gamoni. – Wzruszył ramionami i podał mu zwój. – Przykro mi, młody człowieku. Przykro mi żartować z twoich porażek i równie przykro, że muszę ci to przekazać.

Mortimir nawet nie musiał rozwijać zwoju.

– Wezwanie od patriarchy?

Magister pokiwał głową i ruszył do wyjścia. Gdy otworzył drzwi, Mortimir usłyszał głosy kolegi Baldesce i Zervasa, drugiego ucznia z Morei, i

zbiorowy śmiech.

Nie miał pojęcia, czy mówią o nim, ale w tej chwili wszystkich ich nienawidził.

Wezwanie w jego ręce oznaczało, że po raz kolejny zostanie przeegzaminowany, i jeśli zawiedzie, będzie musiał wrócić do domu. Przez całe życie ciężko pracował, żeby tu się dostać.

A teraz poniesie porażkę.

Czasami bardzo trudno jest być cudownym dzieckiem.

Morgan Mortimir miał szesnaście lat i rósł tak szybko, że wyrósł ze wszystkich swoich ubrań. Twarz miał tak młodą, że pomimo wzrostu czasami mógł uchodzić za dwunastolatka. Był wysoki i chudy, ale nie w sposób, jaki mógłby mu przydawać autorytetu czy godności. Był niezdarny i, co gorsza, miał młodzieńczy trądzik i jego twarz pokrywały pryszcze z białymi łebkami, wskutek czego moreańskie siostry na zajęciach z filozofii praktycznej przezwwały go „Dzumą”.

I Morgan wiedział, że jest Dzumą. Był za młody, żeby tu studiować, a poza tym pomimo fenomenalnej inteligencji brakowało mu zdolności do manipulowania światem bezpośrednio przez fantazję albo choćby alchemię. Miał ogromne możliwości, ale nie umiał ich wykorzystać.

Po prostu nie był w stanie pojąć istoty samej surowej mocy. Nie umiał przemienić *potentia* w *ops*.

Był dość mądry, żeby poznać, kiedy nie jest mile widziany. Nikt w wielkiej szkole wyższej filozofii i metafizyki nie chciał mieć z nim do czynienia, chyba że szukano kozła ofiarnego. Nie chcieli, żeby cytował im źródła, które znał na pamięć, albo wyjaśniał zawłości eterealu w terminach matematycznych. Chcieli, żeby władał mocą albo odszedł.

Siedział w małej tawernie w największym mieście cywilizowanego świata i gapił się w kubek wina.

Po chwili gapił się w następny. A później w trzeci.

Przez cały dzień, codziennie, magistrowie stawiali go w sytuacjach mających na celu odblokowanie jego mocy. Jego zdolność do wykrywania czarów – na przykład najsłabszych emanacji z Cravenfish – zasługiwała na ich pochwały. Każdy z nich się zgadzał, że chłopiec ma talent. Miał fenomenalny wynik, jeśli chodzi o *potentia*.

Ale przestali mówić to głośno i często. A dzisiaj dostał wezwanie od patriarchy, który przeprowadzał rozmowę z każdym kandydatem, zanim go

uznał za niezawodnego pod względem teologicznym i nadał mu stopień.

W następną niedzielę.

Mortimir przygryzł wargę, chcąc się powstrzymać od płaczu, ale nic to nie dało i zapłakał. Gorzkie, głupie rozczulanie się nad sobą było czystą dzieciadą i tego nienawidził, lecz mimo to płakał coraz mocniej. Patriarcha odeśle go do domu.

Dom nawet nie był taki zły. Po prostu reprezentował utratę wszystkiego, czego pragnął. Chciał mieszkać w Liwiapolis wśród olśniewających kobiet odzianych w mieniące się tkaniny, rozmawiających o filozofii z mężczyznami, którzy pisali książki, zamiast wymachiwać mieczami. Tu było jego miejsce, nie w barbarzyńskim Harndonie.

A może nie.

W gospodzie już nawet nie przysłali dziewczyny, żeby nalała mu wina. Do jego stołu podszedł stary pomarszczony łotr o chytrym spojrzeniu. Mortimir skinął na niego, żeby napełnił kubek.

– Najpierw zapłać – powiedział mężczyzna, akcentując słowa, żeby klientowi nie umknęła ich złowieszczą wymowa.

Mortimir nosił albański kaftan, buty z cholewami i miecz. Z tego względu uchodził za barbarzyńcę i był traktowany jak głupiec.

Zajrzał w głąb kubka z ciemnoczerwonym winem, lepszym winem, niż kiedykolwiek pił w domu – w porównaniu z tym te albańskie były cieniami prawdziwej postaci.

Zaklął. Znał na pamięć wszystkie teorie. Po prostu nie potrafił ich wykorzystać w praktyce.

Dżuma.

Zaraził się nią w dzieciństwie, przynajmniej tak mówili, i medyk, który najbardziej się nim interesował, ze straszliwą ostatecznością powiedział, że czasami choroba powoduje w mózgu zmiany, które zabijają zdolność kanalizowania mocy.

Zamówił czwarty kubek wybornego wina i po raz kolejny postanowił, że odbierze sobie życie. Wiedział, że samobójstwo jest grzechem śmiertelnym, więc jego dusza na wieki będzie płonąć w piekle. Pomyślał, że to stosowne, ponieważ, zabijając się, wyrządzi krzywdę Bogu. Miłosiernemu Bogu, który pragnął, żeby grzesznicy odczuwali żal za grzechy i do niego przychodzili. Gównu dostaniesz, popaprańcu!

Dzięki naukom magistrów o dwoistości natury ludzkiej przy piątym kubku wina dostrzegł straszne, głupie błędy w swojej teologii.



Po śmierci, rzecz jasna, nie będzie więcej wina.

W tym momencie wypadki wieczoru przyjęły obrót, który go zaskoczył.

Przy jego stole przystanęła młoda kobieta, starsza od niego i bardziej światowa, dobrze ubrana i najwyraźniej zamożna. Rozejrzała się nerwowo, potem z irytacją.

Wino go ośmieliło. Wstał i zgiął się w ukłonie, przekonany, że robi to z większym wdziękiem niż zwykle.

– Pani? Czy mogę w czymś pomóc? – zapytał w swoim najlepszym górnym archaickim, jeszcze bardziej płynnym niż zwykle.

Jego największym osiągnięciem w Harndonie było opanowanie sztuki czytania i pisania w tym języku, a tutaj władali nim nawet przestępcy. W Morei była to ich ojczysta mowa.

Odwróciła się i jej uśmiech błysnął jak światło ze ślepej latarki.

– Ach, panie, wybacz. – Zarumieniła się. – Nie przywykłam rozmawiać z mężczyzną w miejscu publicznym – dodała, unosząc wachlarz i zasłaniając twarz, choć nie dość szybko, żeby ukryć kawaleryjską szarżę koloru, który spłynął po szyi i...

Rozejrzał się. Minęły godziny, odkąd tu przyszedł – zignorował wezwania na wieczorną modlitwę, podobnie jak niektórzy z klientów, ale żołądek nagle mu zasugerował, że musi ukrócić jedzeniem swoje nowo odkryte upodobanie do pijaństwa. Nawet jeśli później postanowi skoczyć z mostu. Rzucenie się na miecz nie wchodziło w rachubę – był zbyt długi.

Stwierdził, że znowu siada, trochę jakby we śnie. W jakimś zakamarku umysłu usłyszał głos: „Chyba się spałem”. Był już kiedyś pijany, dwa razy. Ale nie tak jak teraz.

– Możesz się do mnie przysiąc? – zaproponował, jakby to była najzwyczajniejsza rzecz pod słońcem.

Zerknęła znad wachlarza.

– Naprawdę nie mogę – odparła. – Czekam na ojca, który się spóźnia. Na Dziewicę Parthenos, nie jest to miejsce dla damy.

Ocecił, że ma może dziewiętnaście lat, ale nie miał większego doświadczenia, jeśli chodzi o kontakty z damami, szczególnie moreańskimi. W zajęciach filozoficznych uczestniczyły zakonnice, ale wszystkie nosiły welony i nic o nich nie wiedział; znał tylko ich głosy i prędkość, z jaką je irytował.

Nie mógłby powiedzieć, czy jest piękna, pospolita, czy brzydka jak grzech śmiertelny, ale jej rumieniec i maniery sprawiły mu przyjemność.

– Proszę, siądź ze mną, nie sprawię ci kłopotów – powiedział. Wstał, za-

stanawiając się, kiedy tak niegrzecznie usiadł. – Siadź, a ja będę krążyć po izbie, dopóki nie przyjdzie twój ojciec...

Chciał przejść od słów do czynów, ale pchnęła go wachlarzem z powrotem na ławę.

– Nie zrobisz takiego głupstwa, chociaż propozycja jest uprzejma jak na barbarzyńcę – powiedziała. Lekko go pchnęła i znów siedział. Ona też usiadła.

Było to jak wertowanie ilustrowanej Biblii. Musiał odgadywać, które części pominął – kiedy usiadła? Czy ma wdzięczne ruchy?

– Jak trafiłeś do naszego pięknego miasta? – zapytała.

Mortimir westchnął.

– Matka posłała mnie na uniwersytet – odparł z odrobinę zbyt dużym samozumiałstwem, czego był w pełni świadom.

– Musisz być bardzo mądry!

Uśmiechnął się z goryczą.

– Bardzo – mruknął.

Nagle zjawił się oberżysta, niemal okrągły zupełnie łysy stary łajdak, nalewający coś z dzbana. Dziewczyna zachichotała, podziękował mu i izba lekko zwirowała.

– Jestem... jestem taki mądry, że... – Mortimir szukał słów, żeby coś dodać.

Jesteś taki mądry, że odpowiadasz na każde pytanie na każdych zajęciach, nawet kiedy wiesz, że to wkurza twoich kolegów; taki mądry, że nie znasz się na żartach; taki mądry, że nie umiesz rozmawiać z dziewczyną; taki mądry, że nie potrafisz sporządzić najprostszego fantazmu...

Zatrzepotała wachlarzem.

– Gdzie jest ojciec? – zapytała retorycznie.

Trzeźwa, analityczna część jego umysłu zauważyła, że nawet się nie rozejrzała, wypowiadając te słowa. Wysnuł teorię, że przywykła do tego, że zawsze ktoś jej służy, i prawdopodobnie sama nie umie o siebie zadbać.

Uśmiechnęła się.

– Pochodzisz z dobrej rodziny? Czym jest dobra rodzina pośród barbarzyńców?

Była zabawna. Roześmiał się.

– Mój ojciec jest lordem – odparł. – No... był. Dopóki nie umarł. To skomplikowane.

Westchnęła.

– Co jest skomplikowane? Nie śpieszę się, szczególnie jeśli nie przestaniesz mnie częstować kandiańskim winem i małmazją. – Wachlarz zatrzepotał, tym razem jakby w innym rytmie, więc przez chwilę widział jej całą twarz. Był wniebowzięty.

Rozmawiam z moreańską arystokratką!

Próbował otrząsnąć się z podekscytowania, bo przecież pamiętał, że jego celem ostatecznym jest autodestrukcja. Ale interesowało go niewiele rzeczy poza mówieniem o sobie, a wino w żaden sposób go nie hamowało.

– Tak – mruknął – urodziłem się bękartem, lecz mój ojciec nie miał więcej dzieci, więc chociaż nigdy nie poślubił mojej matki, prawdopodobnie jestem jego dziedzicem. – Wyprostował się. – Nie był wielkim panem, ale miał zamek i rezydencję w Harndonie. Moja matka mieszka w stolicy. – Wzruszył ramionami.

Dziewczyna się roześmiała.

– To mniej więcej tak jak na naszym dworze. Nie należysz do Kościoła, jak mniemam?

Rozłożył ręce.

– Nie, studiuje tutaj własnym sumptem. – Powiedział to ze zbyt wielką dumą. Zobaczył, że jest rozbawiona, i gardził jej wyższością i swoją niezdolnością do prowadzenia rozmowy bez arogancji.

– Jesteś bogaty? – zapytała. Dołała wina do jego kubka.

– Ależ nie – odparł.

– W takim wypadku nie będzie miała z tobą więcej do czynienia – powiedział ktoś niskim, zgrzytliwym głosem.

Moreańska arystokratka się odwróciła. Morgan uniósł głowę, zaskoczony wysiłkiem, i napotkał spojrzenie najbledszych niebieskich oczu, jakie kiedykolwiek widział, osadzonych w okrągłej jak księżyc, wielkiej niczym żołnierski napierśnik twarzy.

– Co, Anno?

Obróciła się, trzepocząc wachlarzem.

– Zjeżdżaj! – syknęła. – Synu kundla i zarażonej ulicznicy, idź się taplać w rynsztoku!

Mortimir niepewnie się podniósł.

– Czy ten człowiek...

Wielkolud błysnął promiennym uśmiechem.

– Och, Anno, tylko szparka tak często zwiedzana jak twoja jest dość duża dla mojego członka...

Wachlarz uderzył go w skroń z trzaskiem błyskawicy. Olbrzym nawet się nie wzdrygnął.

– ...cię niepokoi? – wymamrotał Mortimir, irracjonalnie dumny, że zdołał sklecić sensowne zdanie w swojej otumanionej mózgownicy. Sięgnął do miecza.

Nosił miecz. Wielce z tego szydzono na uniwersytecie, ponieważ studenci filozofii nie potrzebują mieczy, a noszenie go sprawiało, że wyglądał na jeszcze większego barbarzyńcę. Ale niemożność utkania nawet najmniejszego czaru, najdrobniejszego fantazmu, połączona z silnym poczuciem młodzieńczego uporu i miarką dumy z ćwiczeń z bronią, kazała mu pozostawić ten albański symbol przynależności do stanu szlacheckiego przypięty do pasa pomimo wielu ostrzeżeń, paru pogróżek i wielkiego ośmieszania.

Dobył go.

Wielkolud odsunął się od moreańskiej damy i spojrzał na niego takim wzrokiem, jakim magistrowie patrzą na rozkrawanego trupa, kiedy władze religijne pozwalają na przeprowadzenie sekcji.

– Wygląda na to, że umiesz go dobywać – skomentował wielkolud.

Mortimir wzruszył ramionami.

– Zostaw panią w spokoju – powiedział.

W gospodzie zapadła cisza. Wszyscy na niego patrzyli i czuł się jak głupiec, tym bardziej, że olbrzym przewyższał go o głowę, więc zapewne posieka go na drobne kawałki. Co gorsza, zdawał sobie sprawę, że jest zbyt uparty, żeby się teraz wycofać.

– Dziwka – powiedział olbrzym. Wzruszył ramionami. – Jeśli chcesz się ze mną bić, w porządku, ja to lubię. Tylko na zewnątrz. Tutaj zostalibyśmy aresztowani.

Mortimir nigdy wcześniej nie został nazwany dziwką, ale wiedział, że czeka ich walka. Niezbyt dobrze się trzymał na nogach, ale gdy wyszedł zza stołu, wstąpił w niego nowy duch, co pozwoliło mu zachować równowagę. Lewą ręką sięgnął do sakiewki i rozrzucił monety po stole, bo tak zrobiłby każdy wielki pan.

Ten nowy duch – a może był to strach? Przypominało to błyskawice, które magistrowie filozofii naturalnej wyczarowują z metalowych kul, i sprawiało, że poczuł mrowienie w palcach.

Wielkolud ze spokojem odsunął się od niego.

– Schowaj miecz, a stoczmy prawidłową bójkę – powiedział. – Jeśli się uprzesz, żeby używać oręża, skończy się na tym, że prawdopodobnie cię za-



biję. To ona jest dziwką, młodzieńcze. Oprzytomnij.

Mortimir zachował dość zdrowego rozsądku, żeby schować miecz do pochwy, i zdołał tego dokonać bez długiego gmerania. Odniósł wrażenie, że wielkolud z aprobatą pokiwał głową. Obejrzał się i zobaczył, że moreańska dama zgarnia jego pieniądze ze stołu.

Nieśpiesznie wyszedł na podwórze, odpinając pas z mieczem. Olbrzym naprawdę był ogromny. Mówił jak Nordykanin, jeden z cudzoziemców tworzących straż przyboczną cesarza.

Dziesiątki mężczyzn i kilka kobiet wyległo z karczmy w gorącą letnią noc. Wielkolud ściągnął koszulę przez głowę, odsłaniając tors, który zdawał się złożony z ostro ciosanych płyt cielistej skały. Nic, tylko mięśnie na mięśniach.

Mortimir miał na sobie swój najlepszy kaftan. Zdjął go ostrożnie, złożył i pożałował, że nie ma przy nim przyjaciela, który pottrzymałby jego sakiewkę. Szczerze mówiąc, żałował, że w ogóle nie ma przyjaciela.

– Powiem ci tylko, że jesteś odważnym gówniarzem, skoro się na mnie porywasz. Zamierzam sprawić, że dobrze wypadniesz, zanim cię rozłożę – powiedział go olbrzym. – I musisz wiedzieć, że ta dziewczyna jest ladacnicą i teraz łypie na twoją sakiewkę niczym pijak na nowy dzban wina. – Mówił po archaicku z dziwnym akcentem. – Lubię ją, jest moją faworytą. – Wielki mężczyzna wzruszył ramionami. – Może nawet podzieliłbym się nią z tobą, gdybyśmy byli braćmi miecza.

Mortimir wybuchnął śmiechem. To był obłęd, ale nagle doznał uczucia ulgi. Był szczęśliwy. Śmiech płynął z jego gardła, ludzie obstawiający w drzwiach wynik walki go słyszeli i zakłady się zmieniły, niewiele, tylko trochę. Chciał umrzeć – nie będzie musiał popełniać samobójstwa.

– Jestem gotowy – oznajmił.

Olbrzym się uklonił.

– Harald Derkensun – przedstawił się. – Z gwardii królewskiej.

Mortimir odwzajemnił uśmiech.

– Morgan Mortimir. Z uniwersytetu.

Na te słowa mężczyźni w tłumie ryknęli. Akademia była uwielbiana i znienawidzona w mieście, uważana za bastion geniuszu i gniazdo heretyków, dwa w jednym.

Mortimir był wyszkolony. Zaczął poruszać się na palcach, jak nauczył go fechtmistrz ojca, i nie mając nic do stracenia, natychmiast przypuścił atak. Zbliżył się, markując wahanie, i mocno kopnął w kolano przeciwnika.

Stopa trafiła nie w kolano, lecz niżej, i olbrzym się zachwiał, wytrącony z równowagi. Morgan przyskoczył, nagle na tyle trzeźwy, żeby tego dokonać. Przeciwnik cofnął się o pół kroku trzaśnięty przez niego w brzuch.

Mortimir miał wrażenie, że kopnął w stodołę. Mimo to przesunął stopy i zamierzył się do kolejnego kopnięcia....

I musiał się podnieść z kopca gnoju. Nie zauważył ciosu, który go rzucił przez rozświetloną pochodniami noc, ale choć cuchnął, poza tym wyszedł bez szwanku, i z powrotem przyskoczył do przeciwnika, który był jak wykuty z żelaza.

– Tak się upada – powiedział olbrzym. – Dobre kopnięcie. Naprawdę bardzo dobre. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – Szczerze mówiąc, chyba czeka nas prawdziwa zabawa. Myślałem, że będę musiał robić za ciebie i siebie, ale najwyraźniej...

Tyczkowatemu, żylastemu Mortimirowi jedyną fizyczną przewagę zapewniały nieproporcjonalnie długie ręce i nogi. Gdy wielkolud gadał, zadał mu kolejny cios w brzuch i dołożył kopniaka – chwycił rękę uniesioną w bloku...

Była to niemal idealnie wykonana dźwignia... dopóki Mortimir znowu nie poszybował w powietrzu. Tym razem trafił tyłkiem w ścianę stajni, zanim się zsunął na kupę gnoju.

Ból był dotkliwy, a śmiech tłumu zapalił go jak latarnię. Stoczył się z obornika i runął na wielkoluda.

Derkensun czekał nań ze stoicką rezygnacją, wyraźnie niezadowolony z jego młodzieńczej złości. Mortimir, gdy tylko znalazł się w zasięgu przeciwnika, zakołysał biodrami, zawierając winu i szczęściu, postawił stopę i przemknął pod pięścią Nordykanina, która miała zakończyć walkę. Wsunął nogę za jego kolano, a głowę pod ramię, i rzucił go na ziemię. Wymagało to niewiarygodnego wysiłku – jak obalenie domu.

Derkensun upadł.

Leżał jedynie tak długo, żeby coś wykrzyknąć, po czym machnął piętami nad głową i wstał szybciej, niż miał ku temu prawo, zważywszy wielką masę ciała. Stał, pocierając lewe ramię. Uśmiechał się od ucha do ucha.

– Dobry cios, młodzieńcze! – ryknął.

Poderwał lewą nogę i Mortimir nad nią przeskoczył, wprowadzie bardziej dzięki szczęściu niż szkoleniu.

Sapał jak byk. Olbrzym się uśmiechał.

– Pewnie drugi raz się nie uda – mruknął Mortimir.

Wielkolud pokręcił głową.

Mortimir szczyrzył zęby w szerokim uśmiechu. Wrażenie ulgi było cudowne – fizyczna radość była dla niego czymś nowym. I euforia, jaką odczuwał, nie mogła być skutkiem wypitego wina.

Skoczył, zamierzając markować cios w głowę, ale nie wyszło. Gdy tylko przesunął ciężar ciała, stwierdził, że leży na ziemi, zasapany, i że bolą go plecy.

Ból wpłynął na coś w jego głowie. Mortimir się dźwignął i doprowadził do zwarcia, co być może było najgłupszą rzeczą, jaką mógł zrobić. Męczyzna był tak wielki, że po prostu wygiął mu ręce do tyłu, i łatwość zwycięstwa Nordykanina jeszcze bardziej rozwścieczyła Mortimira, zmienił więc pozycję i złośliwie walnął go kolanem w jądra.

Gdy Nordykanin zatoczył się do tyłu, wymierzył mu mocnego kopniaka w brzuch – wielkolud zgiął się we dwoje, a on wyprowadził cios prawą...

Olbrzym chwycił w wielką łapę jego pięść, przekręcił ją i wyrzucił go w powietrze. Mortimir poleciał niczym kamień wystrzelony z trebusza.

Uderzył w mur gospody. Zdążył pomyśleć, że jest zaskoczony kolorem całości, że musi o tym powiedzieć magistrom, a później...

– Chryste mać, zrobiłeś mi krzywdę! – wychrypiał ktoś przy jego uchu. – Ale ja nie chciałem tak bardzo cię skrzywdzić.

Coś zimnego dotknęło jego głowy. Mortimir poczuł ból. Ale przecież wszystko go bolało.

– Jesteś wielkim głupcem – mruknęła jakaś kobieta.

– A z ciebie wielka pomocnica – wyzgrzytał jakiś mężczyzna.

– Możemy przynajmniej podzielić się jego pieniędzmi. Minęło wiele miesięcy, odkąd dostałeś żołąd.

– To byłoby niehonorowe i nigdy czegoś takiego nie zrobię. Poza tym, kiedy dojdzie do siebie, zostaniemy wielkimi przyjaciółmi. Wiedźma mi to przepowiedziała. – Zachichotał. – Jeśli go nie zabiję. Powiedziała, że mogę go zabić. Starłem się być ostrożny, ale nagle sprawił mi ból i dałem się ponieść, jak zwykle.

Mortimir wypróbował swoje ciało, jakby przeprowadzał doświadczenie w szkole. Lewa noga się poruszyła, choć ból pulsował w kolanie, prawa noga się poruszyła, podobnie jak lewa ręka, natomiast prawa i ramię bolały jak...

– Święty Eustachy i wszyscy otoczeni czią święci i męczennicy! – wycharczał.

Uniósł głowę i stwierdził, że leży na łożku, całkiem wysokim łożku.

– Święta Matko Boska, budzi się! – krzyknęła kobieta i poderwała się z podłogi, gdzie leżała naga.

Miała długie nogi, muskularny brzuch, piękny biust na lekko kościstej klatce piersiowej i cudowne biodra. Widok jej ciała niemal uśmierzył ból promieniujący od złamanej ręki i kości barkowej.

Wielkolud pochylił się nad łożkiem.

– Żyjesz! Na bogów!

Mortimira bolała głowa, jakby w skroni tkwił przeszywający ją szpikulec. Przyłożył rękę do czoła i cała prawa strona wydała mu się gąbczasta.

– Boże, rozłupałeś mi czaszkę...

– Miewałem gorsze bójkę z moimi braćmi – powiedział wielkolud. – Ale straciłeś mnóstwo krwi – dodał.

Mortimir opuścił głowę na poduszkę i ból odrobinę zelżał.

– Jak długo byłem nieprzytomny? – zapytał, próbując sobie przypomnieć, co magister medycyny mówił o obrażeniach głowy.

– Prawie cały dzień... Anno?! Jak długo był nieprzytomny?! – krzyknął olbrzym.

Kobieta wycedziła coś, co brzmiało nieuprzejmie. Pojawiła się, naciągając suknię przez głowę. Zanim ukazały się włosy, syknęła:

– Pewnie cię nie obchodzi, że od dwóch dni nic nie jadłam, ty przeklęty przez boga barbarzyńco! A teraz pokazuję się naga drugiemu barbarzyńcy. I jestem pewna, że nawet nie możesz mi zapłacić... Matko Święta, otwieram się i zamykam dla ciebie za nic... Dlaczego to robię? Nie mam pojęcia, budzisz we mnie wstręt! Najszeptniejszy chłop, jakiego w życiu widziałam, i ja, perła tego miasta, najpiękniejsza hetera... to tak, jakby piękna klacz gziła się z dzikiem. Och... jakże ja się nienawidzę! Dlaczego to robię? Może to kara za moje liczne grzechy... Bóg mnie przeklina za kopulowanie z najniższą formą życia w rynsztokach. Może moim następnym będzie trędowaty!

Derkensun patrzył na nią z lekkim uśmiechem na szerokiej twarzy.

– Skończyłaś? – zapytał. – Nie lubię przerywać.

Spoliczkowała go z całej siły, z zamachu, jej ręka sunęła niczym ramię kaptuty. Płaśnięcie odbiło się echem w pokoju i zaraz potem ścisnęła obolałą dłoń, jakby wielkolud ją uderzył, chociaż stał w idealnym bezruchu z lekkim uśmiechem igrającym w kącikach ust. Powoli się pochylił, wziął ją w ramiona i pocałował.

– Ale ja cię kocham – powiedział powoli.

– Nigdy więcej tutaj nie przyjdę – oświadczyła stanowczo.

Derkensun parsknął głośnym śmiechem.

– Skoro nalegasz.

– Nienawidzę cię! – wrzasnęła.

– Oczywiście.

Kiedy wyszła, wielkolud przez długą chwilę patrzył na drzwi, a później wrócił do swojego pacjenta.

– Chcesz wina? – zapytał.

– Nigdy więcej – odparł Mortimir.

Coś dziwnego działo się z jego prawą ręką. Miał wrażenie, że liżą ją płomień. Kiedy spojrział, zobaczył tylko blask słońca – wciąż było gorąco jak w piekle – padający przez otwarte okno na ramię i dłoń. Wrażenie było przyjemne, o niebo lepsze niż ból.

Mężczyzna wrócił z kubkiem zimnej, pełnej bąbelków wody z jakiegoś podziemnego źródła.

– Lepiej się poczujesz. Tak mówi wiedźma. Słuchaj, muszę iść na służbę. Dziś stoję na warcie przy Bramie Aresa. Będę tam przez cały tydzień. Wrócę.

Morgan pokiwał głową.

– Myślałem, że Nordykanie strzegą cesarza.

Derkensun wzruszył ramionami.

– Coś musi się dziać, skoro mam być na bramie. A teraz śpij.

Mortimir czuł w rękach i głowie coś ogromnie dziwnego, jak wrażenie, że potrafi latać, jak odkrycie, że umie czytać w nieznanym języku. To wszystko było...

Odpędził od siebie te myśli, pokiwał ręką Nordykaninowi, i zasnął.

## ROZDZIAŁ DRUGI



Aeskepiles

### **Miasto Liwiapolis – Eskepiles i cesarz**

Eskepiles, magister cesarza, szedł przed nim przez sale audiencyjne pałacu z dwoma uzbrojonymi w topory nordykańskimi gwardzistami. Bogato haftowane szczerem złotem szkarłatne tabardy oznajmiały rangę żołnierzy, a wielkie topory i ciężkie długie łańcuchy świadczyły o ich funkcji. Mężczyzna idący po lewej stronie miał bliznę, która ciągnęła się od prawego oka do lewego kącika ust, wskutek czego wyglądał jak demon z piekła rodem. Mężczyzna po prawej miał tatuaże, które biegły od czoła na szyję i znikwały w dekolcie delikatnej płóciennej koszuli, ledwie widocznej nad wycięciem kolczugi. Za gwardzistami szli paziowie niosący hełmy, kołnierze kolcze i ciężkie włócz-

nie używane podczas jazdy wierzchem.

Sam cesarz nie miał broni. Był ubrany w prosty pikowany kaftan z purpurowego aksamitu, szkarłatne rajtuzy i szkarłatne buty – kolory, jakie tylko on mógł nosić. Każda sprzączka na butach i pasie, każde oczko do przewlekania sznurówek i każdy guzik były z litego złota. Na kaftanie pyszniły się wyhaftowane dwugłowe orły, a buty wyszyto złotą nicią. Paź, jeden z pałacowych ordynariuszy, trzymał obszerną szatę z purpurowego jedwabiu haftowanego w orły, podbitą płowozłotym futrem.

Za cesarzem szło dwóch kolejnych Nordykanów ze swoimi paziami, a za nimi tuzin ordynariuszy. Dwóch dźwigało siodło, a jeden niósł miecz. Tuż za plecami cesarza podążało dwóch sekretarzy, którzy zapisywali jego komentarze dotyczące spraw państwa i gospodarki, gdy towarzyszący mu majordom pałacu i wielki szambelan czytali z oprawionego w skórę notesu. Obaj na przemian poruszali swoje sprawy. Za nimi szła córka cesarza, Irena, z logotetą Bębna, szczupłym mężczyzną o ascetycznej twarzy mnicha.

– Punkt trzynasty, Wasza Cesarska Mość. Zaległe wynagrodzenie personelu pałacu i przede wszystkim gwardii. – Majordom chrząknął.

W żyłach cesarza Antygona płynęła krew Paleologów. Powszechnie uważano go za najprzystojniejszego mężczyznę w cesarstwie, a może na całym świecie. Miał ciemną opaloną skórę, gładkie granatowoczarne włosy, przenikliwie ciemne oczy pod wygiętymi w łuk wyrazistymi brwiami i długą gęstą brodę, będącą obiektem zazdrości nawet wśród służących mu Nordykanów. Spuścizna tysiąca lat mariaży najpiękniejszych księżąt i księżniczek z całego znanego świata nadała jego skórze idealny odcień, a rysom idealne piękno, zwykle zastrzeżone dla wyidealizowanych nieśmiertelnych. Wydawało się, że jest wyrzeźbiony ze starego złota lub brązu.

Dorównująca mu urodą córka położyła rękę na ramieniu logotety, co sprawiło, że chudy mężczyzna zarumienił się i uklonił, po czym podeszła do ojca. Irena przypominała pogańską boginię.

– Zatem im zapłać – powiedziała uprzejmym tonem.

Majordom zgiął się w głębokim ukłonie.

– Pani... nie mamy pieniędzy.

Cesarz pokiwał głową.

Jego córka uniosła brew.

– Ojczy, musimy znaleźć fundusze. Nieopłaceni żołnierze są zmorą cesarzy i cesarstw; są dla nas niczym końskie muchy dla koni.

Magister rzucił okiem na dwóch najemników, którzy szli na czele orszaku.



Lojalność gwardii była owiana legendą, ale żołnierze, którzy nie dostają żołdu, są diabłami wcielonymi.

Magister miał własne powody, żeby nienawidzić gwardzistów, przy czym nie najmniejszym z nich było to, że napawali go lękiem. Starannie wygładził rysy twarzy, skrywając swoje myśli.

Jestem największym magistrem na świecie, a tkwię tutaj na tym gasnącym dekadencckim dworze, podczas gdy mógłbym być wszędzie – i mógłbym być, kim zechcę.

Ha! I będę.

Przymrużył oczy i nie patrzył na cesarza. Ani na swoich współspiskowców.

– Ile dzisiejszych spraw dotyczy pieniędzy? – zapytał cesarz.

Wielki Szambelan zachichotał. Był zwalistym mężczyzną i wyglądał jak zabijaka, ale za jego śmiechem skrywał się intelekt.

– Wszystko obraca się wokół pieniędzy – odparł. – Z wyjątkiem pytań dotyczących Boga.

Zbolała mina cesarza uciszyła śmiechy.

Irena z zimną obojętnością odwróciła się w stronę szambelana.

– Zbyt wiele sobie pozwalasz – powiedziała.

Szli w milczeniu, ich kroki były ciche w rozległych marmurowych grotach będących zewnętrznymi salami Wielkiego Pałacu. Niegdyś tłoczyły się tam poselstwa i tłumy gości. Wysoko nad nimi rozległe mozaiki ilustrowały czyny przodków cesarza. Był tam Święty Aecjusz pokonujący Dzicz w bitwie, której wyobrażenie miało prawie pięćdziesiąt kroków długości. Wypolerowane kamyki połyskiwały, a lite złoto rękojeści miecza Aecjusza lśniło jak wschodzące słońce w półmroku wczesnego poranka.

Cesarz przystanął i spojrział na dalekiego przodka, który żył tysiąc lat temu. Gladius świętego tkwił po rękojeść w piersi Amochana, wielkiego demona, który piętrzył się nad nim z zawieszoną w powietrzu krzemienią siekierą. Pochodnie ordynariuszy na tyłach orszaku rzucały migotliwe światło, a płomienie falowały w bezustannym przeciągu, co sprawiało, że scena zyskiwała pozory życia.

– Wymordował wszystkich członków rodziny starego cesarza – powiedział cesarz. – Święty Aecjusz. Zabił Walensa i jego żonę, wszystkie ich dzieci i wnuków. Myślał, że w ten sposób zapobiegnie wybuchowi wojny domowej. Zamiast tego uciął głowę cesarstwu. – Rozejrzał się. – Zatrzymał Dzicz w Galuns, ale zniszczył cesarstwo. To lekcja.

Wielki Szambelan mądrze pokiwał głową. Majordom czekał cierpliwie. Irena patrzyła na ojca z lekkim przerażeniem. Eskepiles dostrzegł jej wyraz twarzy.

Gdy tylko cesarz znów ruszył, majordom powiedział:

– Wydaje się nam, Wasza Cesarska Mość, że rozwiązaniem jest wprowadzenie pewnych oszczędności.

Magister miał ochotę wycisnąć z niego życie. Spojrzał gniewnie na majordoma, który miał zaskoczoną i zranioną minę.

Dlaczego teraz? Dzisiaj? Dlaczego nie dziesięć lat temu – kiedy jeszcze panowaliśmy nad rozległym terytorium i mieliśmy dość wpływów z podatków, żeby odbudować potęgę? Magister błędnym wzrokiem po mozaice. W istocie kości zostały rzucone.

Cesarz spojrzawszy majordomowi w oczy. Z żalem pokiwał głową.

– Zgadza się – powiedział.

Dwóch skrybów szybko pisało na woskowych tabliczkach.

Cesarz uniósł rękę, jakby miał dość rozmów o sprawach oficjalnych, i prawdopodobnie tak było. Wyszedł przez główne drzwi zewnętrznej sali i zobaczył dwóch służących ze Wschodu czekających z tuzinem koni.

Niespokojne, podrażnione konie stały przywiązane do kolumn wielkiego portyku. Wyglądały co najmniej niedorzecznie, podkreślając pustkę ogromnego dziedzińca i dwóch kolumnadowych *stoa*, które biegły w dal.

– Może zaprosić Etrusków, żeby przybyli wydobywać nasz marmur w kamieniołomach? – powiedział cesarz. Uniósł zbyt idealne brwi. – Posiadają już wszystko inne.

Jeden ze skrybów zaczął pisać. Drugi trącił go w bok.

Sługa przytrzymał strzemień i cesarz dosiadł konia z wyszkoloną elegancją doświadczonego jeźdźcy. Gdy tylko biały wałach poczuł człowieka na grzbiecie, natychmiast się uspokoił. Cesarz cofnął go o kilka kroków i przyjął od ordynariusza szatę do jazdy konnej. Chłód wisiał w porannym powietrzu.

Wielki Szambelan podał cesarzowi miecz.

– Jest jeszcze czas, żebym przygotował ci odpowiednią eskortę, panie.

Cesarz wzruszył ramionami.

– Diuk prosił, żebym przybył samotnie. Czy mam zacząć nie ufać moim oficerom?

Eskepiles wtedy go znienawidził. Nienawidził jego beztroskiego, bezsensownego optymizmu, a także jego bezgranicznego zaufania i dobrej woli.

Cesarz zwrócił się do swojego magistra:

– Wydajesz się dziś nie w sosie, mistrzu.

– Twoja troska wielce mi schlebia, panie – odparł magister. – Jestem pewien, że to tylko kłopoty z trawieniem.

Cesarz pokiwał głową.

– Masz nasze zezwolenie, żeby się wycofać, mój przyjacielu, jeśli uznasz to za najlepsze.

Słowa „mój przyjacielu” uderzyły Eskepilesa jak maczuga. Mimo to zachował obojętną minę.

– Dam radę – wychrypiał.

Cesarz popatrzył na córkę.

– Moje dziecko, wydaje się, że ciebie też coś gryzie.

Księżniczka Irena skłoniła głowę na znak posłuszeństwa ojcu.

– Czuję się trochę rozbita – wyznała. – Ojczy, zaniepokoił mnie raport...

Urwała i cesarz uśmiechnął się dobrotliwie.

– Moje drogie dziecko, jesteś księżniczką starożytnego rodu i stanu.

Spuściła wzrok.

W tej chwili majordom i szambelan głęboko się ukłonili. Większość sług padła na twarze. Zarządca nieco zepsuł efekt, rozwijając płócienną płachtę i kładąc ją na ziemię, zanim zrobił to samo, co słudzy.

Córka cesarza nisko dygnęła, więc spódnica rozpostarła się wokół niej jak rozkwitający jedwabny kwiat.

– Moja droga! – powiedział cesarz. – Myślałem, że pojedziesz ze mną.

Magister też tak myślał.

– Wybacz mi, panie. – Trwała w niskim dygu.

Magister pomyślał, że musi mieć cudownie silne nogi, żeby tak długo trwać w tej pozycji. Dlaczego z nim nie jedzie? Czy coś podejrzewa?

Cesarz dobrodusznie uśmiechnął się do wszystkich.

– Do zobaczenia przy kolacji – powiedział i przyłożył pięty do boków wierzchowca.

Pięć mil za murami miasta czekał Andronikus, diuk Tracji i kuzyn cesarza, również będący przystojnym mężczyzną. Miał około czterdziestu pięciu lat i z godnością nosił swój wiek. I choć miał siwe włosy na brodzie i piersi, nie czarne, to wyraźnie pochodził z tego samego rodu co cesarz. Był ubrany na niebiesko, w swój ulubiony kolor. Nosił rycerski pas Alby, co nie było pozostawstwem, ale oznaką urzędu dowódcy wojsk królewskich, zwanego Megas Ducas.

Czekał na swojego cesarza na Polu Aresowym, ogromnej łące, gdzie mogłoby ćwiczyć sześćdziesiąt tysięcy ludzi. I kiedyś naprawdę ćwiczyło, wiele razy. Andronikus uwielbiał tu przebywać, uwielbiał czuć trawę, po której być może chodził Aecjusz, po której na pewno stąpała Liwia. Gdzie Bazyl II, Młot na Irków, formował swoje wielkie armie i je lustrował.

Dzisiaj, pomimo kapryśnej wiosennej pogody, słońce świeciło na zbroje i kolorowe sztandary. Diuk miał armię na polu, prawie trzy tysiące ludzi. Nie robili wrażenia na rozległej przestrzeni. Nie wyglądali na dzielnych, wręcz przeciwnie.

Andronikus z nawyku dokonał przeglądu. Zawsze sprawdzał, czy w szeregach panuje porządek, zanim sam cesarz przeprowadził inspekcję. Przejechał przed latinikonem, formacją złożoną głównie z albańskich najemników, z rozproszonymi wśród nich Galami i Etruskami.

Zawrócił konia i pojechał w drugą stronę.

– Jak ma na imię ten człowiek? – zapytał po archaicku.

Dowódca latinikonu, ser Bescanon, stary i twardy Oksytańczyk z południa Alby, odparł z uśmiechem:

– Panie, zaraz się tym zajmę.

Rzeczony mężczyzna miał kolczugę i nic więcej – ani hełmu, ani pancerza, ani tarczy. Co więcej, nie miał siodła. Siedział na oklep na rumaku bojowym.

Diuk się pochylił i mocno trącił zwierzę. Cofnęło się o krok.

– To koń pociągowy – zawyrokował.

– Zdaje się, że ser Raoul pokłócił się ze swoim gospodarzem. Jego zbroja i koń, jak sądzę, chwilowo są niedostępne. Dopilnuję, żeby był gotów na następną musztrę.

– Wyrzuć go – rozkazał diuk.

Najemnik pokręcił głową.

– Nie, panie, to byłoby pochoptne. Dziś z nikim nie walczymy, prawda? Nie warto robić z niego przykładu?

Diuk uniósł brwi.

Bescanon wzdrygnął się pod wpływem jego spojrzenia.

– Jak sobie życzysz. Ser Raoulu, zostałeś odprawiony.

Ser Raoul wybuchnął śmiechem. Nie był to zwyczajny śmiech.

– Zapłać mi, a odejdę, bezużyteczna kupo gówna.

Diuk cofnął konia, oddalając się od tego człowieka.

Bescanon pokiwał głową.

– Mój przyjaciel Raoul ma rację, messire. Żaden z nas nie dostał żołdu. –

Uśmiechnął się łagodnie. – Od bardzo długiego czasu, messire.

Syn diuka, Demetriusz, despota Północy, wjechał pomiędzy rycerza i swojego ojca.

– Dostaniecie żołąd po zakończeniu tej parady. Ser Raoulu, jesteś odprawiony bez zapłaty. Jeśli to ci się nie podoba, każę obedrzeć twój grzbiet ze skóry i sprzedam twoje bezużyteczne truchło w niewolę. – Głos mężczyzny miał niczym bicz. Cechowała go przesadna agresja młodego człowieka, który lubi rzucać się na przeszkody.

Ser Raoulowi podskoczyło tętno. Brakowało mu zęba, miał rozczochrane włosy i wiele razy złamany nos. Był to bulwiasty nochal pijaka, sugerujący, na co jego właściciel przepuściłby żołąd, gdyby go dostał.

Sięgnął do miecza.

– Raoul! – warknął Bescanon. – Nie rób tego!

Za plecami despoty dwóch żołnierzy ze Wschodu o pozbawionych wyrazu twarzach napięto rogowe łuki. Despota nigdy i nigdzie nie chodził bez zaprzysięgłych mu na krew cudzoziemskich strażników.

Konie machały ogonami, brzęczały wiosenne muchy.

Raoul westchnął. Sięgnął za siebie i bardzo starannie podrapał się po półdupku. Zawrócił konia. Odjechał.

Pół mili na wschód od ser Raoula Harald Derkensun stał w budce wartownika przy bramie miasta.

Nordykanie prawie nigdy nie pełnili służby przy bramach. Było to poniżej ich godności. Ale tydzień temu logoteta Bębna rozkazał zmienić strażę.

Co więcej, rozkazał, że Nordykanie mają pełnić straż w prostych tunikach i pelerynach milicji miejskiej.

Derkensun uważał to wszystko za głupotę. Był o głowę i ramiona wyższy od każdego Moreańczyka i przypuszczał, że każdy człowiek przechodzący obok bramy zna jego nację, ale w Morei tak to już było. Koła się obracały – czasami wewnątrz innych kół i czasami bez innego powodu, jak tylko dla samego obracania. Były spiski i spiski maskujące spiski, i niektórzy, jak już się przekonał, spiskowali tylko po to, żeby mieć temat do rozmowy.

Ten ranek jednak pokazał, że środki ostrożności podjęte przez logotetę mają trochę sensu. Derkensun znał pałac na tyle, żeby wiedzieć, że oddziałem jadącym w jego kierunku dowodzi sam cesarz. Dobył miecza i trzymał go przed tarczą.

Cesarz ściągnął wodze. Tuż za nim Garald Gurnnison, najniebezpieczniej-

szy człowiek w gwardii, spojrzał Derkensunowi w oczy i leciutko skinął głową.

Oczywiście cesarz natychmiast go rozpoznał. Znał wszystkich swoich gwardzistów. Poruszył palcami.

– Dobrze, że jesteś tu na straży. Bądź czujny – powiedział i odwzajemnił jego pozdrowienie. – Gwardzisto Derkensun! Zostałeś ukarany za jakiś występki?

Derkensun za plecami cesarza dostrzegł logotetę. Szczupły mężczyzna uniósł brew. Derkensun udał zakłopotanie. Jeśli cesarz nie został powiadomiony o podwyższonej ochronie, nie do niego należy udzielanie informacji. Jest tylko gwardzistą.

Cesarz się roześmiał.

– Biedni Nordykanie. Zbyt wiele dyscypliny. – Zasalutował pejczem na pożegnanie i przejechał przez bramę.

Ser Raoul wciąż się drapał po gołym tyłku, pokazując go diukowi, kiedy minął cesarza jadącego daleko od miasta bez eskorty żołnierzy. Z nawyku przestał się drapać i uklonił się na końskim grzbiecie. Cesarz pomachał ręką.

Despota zwrócił się do ojca.

– Gdzie są wardarioci?

Wardarioci, chluba pałacowej jazdy, pochodzili zza oceanu na wschodzie. Stanowili pozostałość po zamierzchłych czasach, kiedy cesarstwo ciągnęło się od stepów Dacji, przez morze, aż po góry Alby i dalej. Żaden cesarz nie jeździł po stepach od dwudziestu pokoleń, ale tamtejsi młodzi mężczyźni i kobiety wciąż opuszczali swoje klany i przybywali do cesarza, jak ich przodkowie przed tysiącem lat. Podobnie jak Nordykanie, byli lojalni.

Diuk patrzył, jak cesarz nadjeżdża.

– Wardarioci nie byli zainteresowani moją musztrą – rzekł uprzejmie. Więc rozkazałem im zostać w koszarach.

Despota popatrzył na ojca.

– Co zamierzasz?

Diuk wzruszył ramionami.

– Coś, co powinno zostać zrobione dawno temu.

– Ojcze!

Diuk obrócił się w stronę syna jak tygrys ku rannej ofierze.

– Nadszedł czas, mały głupcze. Zachowuj się jak mój syn, bo inaczej

umrzesz tutaj wraz z każdym, kto mnie nie poprze.

Despota spojrział na swoich strażników i zobaczył, że są pięćdziesiąt końskich długości dalej, otoczeni przez przybocznych jego ojca.

Ojciec i syn gniewnie mierzyli się wzrokiem.

– Robię to dla ciebie – podjął diuk łagodnym tonem.

Młody despota nie spuścił wzroku. Przymrużył oczy. Wypuścił powietrze w długim westchnieniu... i szeroko się uśmiechnął.

– W takim razie chcę lady Irenę za żonę. – Popatrzył na cesarza.

– Zgoda – odparł jego ojciec. Żądanie skomplikuje sytuację, ale był zadowolony, szczerze zadowolony, że ma syna obok siebie.

Despota pokręcił głową.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Diuk uniósł rękę.

– Nikomu nie powiedziałem. Tak się dochowuje tajemnicy.

Magister pilnie ich obserwował, gdy podjeżdżał z cesarzem do diuka.

Jego ludzie stali w karnym ordynku, w wypolerowanych pancerzach, z proporcami powiewającymi na wietrze późnej wiosny.

Diuk Andronikus spojrział magistrowi w oczy.

Magister stanął w strzemionach, wyciągnął różdżkę i zdmuchnął głowy z ramion dwóch strażników cesarza. Siedzieli na koniach, bezgłowi, gdy się odwrócił, kierując różdżkę na dwóch młodszych Nordykanów, i poraził ich – jednego potężnym ciosem *kinetikos*, który strzaskał żebra przez napierśnik, a drugiego schludnym cięciem otwierającym gardło. Popisywał się przed swoim nowym panem i chciał, żeby nowy pan dobrze zapamiętał, na co go stać.

W świecie realnym nie mógł pokazać, że każdy atak musi pokonać skomplikowaną, wielowarstwową i w niektórych wypadkach genialną ochronę, jaką zapewniały Nordykanom znaki i amulety. Na przykład główny *spatharios* miał tatuaże, które powinny go ochronić – i ochroniłyby, gdyby *Eskepiles* był mniej wprawnym magiem.

O ile wiedział, dotychczas żadnemu mistrzowi magii nie udało się za pomocą czarów zabić członka gwardii, a co dopiero czterech w ciągu dziesięciu uderzeń serca.

*Eskepiles* pozwolił sobie na chwilę triumfu i w konsekwencji dostał sztyłem między żebra.

Zaatakował go logoteta.

Magister nigdy go sobie nie wyobrażał jako człowieka krwawego czynu.



Logoteta wyczarował z powietrza całkiem długi miecz i podjechał do cesarza.

Eskepiles podniósł szereg lśniących tarcz, ale było za późno, sztylet utkwił głęboko i bok robił się zimny. Czuł truciznę na ostrzu.

Przypominało to egzamin w Akademii, gdy nagle stwierdzał, że zapomniał o jakimś drobiazgu i w konsekwencji wszystkie jego odpowiedzi były nieważne.

Znał kontrczary na truciznę. Musi tylko przestać panikować, żeby pomyśleć o jednym z nich...

Despota widział, jak logoteta wbija smukłe ostrze w bok magistra i wyczarowuje miecz z powietrza. W tej samej chwili rycerze diuka sięgnęli po wodze wierzchowca cesarza, a mężczyzna bez zbroi, siedzący na pięknym wschodnim koniu za jego ojcem, uniósł lekką kuszę. Strzelił – i bełt przemknął tuż obok cesarza.

Zdawało się, że logoteta przepłynął pod bełtem. To nie powinno być możliwe.

Logoteta ciął smukłym mieczem karwasz rycerza i wyciągnięta dłoń spadła na trawę. Drugi cios pozbawił oczu innego rycerza, który wrzasnął dziko.

Cesarz wstrzymał konia, najwyraźniej niepewny, co robić.

Gwardzista, którego pierś strzaskały popisowe czary, nie był martwy. Sięgnął po topór i rozłupał hełm kolejnego rycerza diuka; mózg obryzgał znajdujących się w pobliżu ludzi.

Logoteta trzymał uzdę wierzchowca cesarza. Sparował mieczem, obrócił cesarskiego konia...

...i miecz despoty odciął mu głowę. Despota jechał galopem, wychylony w siodle, i złożył się do ciosu pełen obaw, że napotka fantazmatyczną obrońcę. Ale miecz uderzył, jak powinien, i głowa logotety, zawierająca wszystkie tajemnice cesarza, potoczyła się po trawie.

Skąpany we własnej krwi gwardzista pochylił się w siodle.

Diuk chwycił wodze cesarskiego konia.

Cesarz patrzył na pozbawione głowy ciało logotety. Łzy wezbrały mu w oczach.

– Wasza Wysokość, jesteś moim więźniem – oznajmił diuk.

Cesarz napotkał jego spojrzenie. Z jego oczu biła najgłębsza pogarda.

– Właśnie zabiłeś cesarstwo – rzekł.

Ser Raoul obserwował pojmanie cesarza ze skraju Pola Aresowego, gdzie dziko rosły jarzębiny i pigwy. Widział przemoc w zachowaniu magistra i diuka.

Pokręcił głową.

– Synu Boski... – mruknął i skierował swojego pociągowego konia ku miastu.

Chciał to wszystko przemyśleć. Nie był nic winien cesarzowi, przecież ta ciota nigdy mu nie zapłaciła.

Ale powziął decyzję. Nie mógłby powiedzieć, dlaczego, choć może pewną rolę odegrało pragnienie, żeby być kimś więcej niż ćwierćrycerzem na spokojnym koniu pociągowym. Uderzając ostrogami, zmusił wierzchowca do czegoś, co mogło zostać nazwane galopem, i pojechał ku bramie miasta.

Słyszał, jak za jego plecami despota wzywa swoich ludzi ze Wschodu.

Obejrzał się. Sześciu niewielkich mężczyzn na srokatach koniach oderwało się od reszty i pędziło za nim. Konie były niemal kucami, ale wojownicy jechali jak centaury.

Ser Raoul pochylił się nad końskim karkiem; był w połowie drogi do bramy, gdy pościg zaczął strzelać.

Trzecia strzała trafiła go prosto w plecy. Piekielnie zabolalo, ale kolczuga przejęła trochę energii i dzięki temu przeżył. Grot wbił się w ciało – czuł go przy każdym kroku swojego żalosego wierzchowca.

Życie pełne karczemnych bijatyk przyzwyczaило go do znoszenia bólu, a nadto był Iberem, a Iberowie słynęli z umiejętności radzenia sobie z bólem.

– Matko Boska! – syknął.

Po następnych pięćdziesięciu krokach znowu dostał.

Ser Raoul nie wiódł przyzwoitego życia. W rzeczywistości było dla niego typowe, jako żołnierza i rycerza, pojawienie się na mustrze bez konia czy broni. Nie modlił się, nie żałował za grzechy, rzadko ćwiczył przy słupie i na dziedzińcu turniejowym. Miał nadwagę, za dużo pił i cechował go niepohamowany pociąg do atrakcyjnych młodzieńców, wskutek czego nigdy nie był w stanie utrzymać przy sobie ani jednego miedziaka.

Pomimo tego wszystkiego – albo, możliwe, że właśnie z tego powodu – Raoul nie spadł z konia, choć trafiła go trzecia strzała. Trudno byłoby wyjaśnić, jak właściwie jechał do bramy, przeklinając przez całą drogę.

Despota ze śmiechem patrzył, jak jego faworyci ścigają rycerza i celnie szyją do niego z łuków. Miał nadzieję, że będzie to nauką dla każdego niedbałego.

go żołnierza.

Wysoki mężczyzna bez zbroi, z kuszą, uniósł brew.

– Myślałem, że planowaliśmy przypuścić niespodziewany atak na bramy?  
– rzekł cicho. – I pojmać logotetę?

Niedbały rycerz i sześciu ścigających go ludzi pędzili spokojną drogą, wzbijając tumany pyłu. Prześladowcy wciąż do niego strzelali.

Diuk ściągnął wodze swojego wierzchowca, z wściekłości odjęło mu mowę. Uderzył pięścią syna, który zachwiał się w siodle i o mało nie spadł z konia. Diuk splunął.

– Idioto – warknął. – Do ataku.

Mężczyzna bez pancerza pokręcił głową.

– Za szybko. Nasi ludzie będą na miejscu nie wcześniej niż za pół godziny.

Diuk obrócił się w jego stronę.

– Nie znasz swojego miejsca, szpiegu?

Mężczyzna spojrział w oczy swojego pana.

– Zrobię, co będę mógł, ale jeśli przypuścimy przedwczesny atak, ujawnimy naszych agentów i przegramy.

– Nie przegramy – oznajmił diuk.

Krew spływała po rozoranych ostrogami bokach pociągowego konia, który wciąż galopował ku bramie.

Sześciu prześladowców było dwadzieścia końskich długości za Raoulem i zmniejszyła odległość. Wszyscy strzelali.

I ryczeli ze śmiechu.

Zewnętrzne mury Liwiapolis były równie starożytne jak pałace i *stoa* – i równie solidnie zbudowane. Wznosiły się na trzy piętra, zbudowane z gładkich żółtych wypalonych w piecu cegieł, zdobione wzorami z czerwonych, które odznaczały każdą kondygnację; na murze nad każdą bramą widniały wspaniałe mozaiki, a stojące co pięćdziesiąt kroków wieże były kryte czerwonymi dachówkami. Mury miejskie wydawały się niezdobyte, a co więcej, były ich dwa pierścienie.

Oczywiście bramy były otwarte na całą szerokość.

Ser Raoul niewiele widział, bo oczy mu się zamykały. Miał wrażenie, że brama się cofa coraz dalej w głąb długiego tunelu...

Kiedy uderzył w ziemię, już nie żył. Jego koń się zatrzymał ledwie kilka kroków od wielkiej bramy.

Mężczyźni z pościgu krzyknęli z radości.

Derkensun patrzył na przechodzącą ładną kobietę, czekając, aż jahaducki uczony w małej czapeczce pokaże paszport. Sam o to nie dbał – mężczyzna nie wyglądał na niebezpiecznego – ale skoro pełnił służbę, zasady obowiązywały.

– Córka mnie uprzedzała, że właśnie tak będzie – powiedział uczony. Otworzył skórzaną sakwę i przeglądał jej zawartość. – Proszę, panie. Mam dzień drogi do mojej wioski.

Derkensun pokręcił głową.

– Przestrzegam prawa.

Jahaduta ze zmęczeniem pokiwał głową.

– Jak ja.

Derkensun zobaczył mężczyznę jadącego z Pola Aresowego ku bramie. Miał kiepskiego konia, którego zmuszał do ciężkiego galopu.

Za nim pędzili inni.

Będąc gwardzistą, brał udział w wielu żołnierskich wygłupach i umiał je rozpoznać na pierwszy rzut oka. Skierował uwagę z powrotem na uczonego.

– Może – zaczął w miarę uprzejmie – jest w zrolowanym materacu?

Jahaduci byli fanatykami schludności i uczony miał na plecach materac wypchany owczą wełną i dwa grube zrolowane koce.

Jego twarz uległa jednej z tych absorbujących transformacji, które powiedziały Derkensunowi, że trafił w dziesiątkę.

– Niech cię Bóg błogosławi! – Mężczyzna położył zwinięty koc na stole i rozwiązał rzemienie.

Nagle Derkensun kątem oka dostrzegł, że dzieje się coś bardzo złego. Odwrócił głowę i jednym spojrzeniem ogarnął całą scenę.

Mężczyzną, który spadł z konia, był ser Raoul Cadhut, iberyjski najemnik. Kilka razy wzajemnie dołożyli sobie w bijatykach, ale teraz rycerz leżał ze strzałami w plecach, a pół tuzina pokrzykujących mężczyzn okrążało zwłoki, wciąż ze strzałami na cięciwach łuków.

Ponieważ Derkensun znał Raoula, wahał się przez jedno uderzenie serca. Zastanawiał się, czy Iberyjczyk właśnie nie dostał tego, na co sobie zasłużył.

Mimo to wrócił do swojej budki i zadzwonił na alarm. Przenikliwy dźwięk poniósł się w porannym powietrzu.

Nie dobył miecza. Nie sięgnął po topór oparty o ścianę wartowni. Złapał uczonego za kark i pchnął go z powrotem do miasta.

Jeźdźcy się zawahali. Jeden wystrzelił strzałę w zwłoki ser Raoula. Drugi wycelował w Derkensuna. Szczrzył zęby w uśmiechu.

Derkensun cofnął się do budki i pociągnął dźwignię, która zwalniała żelazną zapadkę wielkich trybów służących do podnoszenia brony. W tej samej chwili strzała z głuchym odgłosem utkwiała w dębowych deskach budki wartowniczej. Łańcuchy podtrzymujące bronę zazgrzytały i krata z trzaskiem opadła na granitowy próg. Opadające żelazne zęby uruchomiły drugi bęben w wartowni, napinający potężną sprężynę, i wielkie okute żelazem dębowe wrota zaczęły się wysuwać ze swoich szczelin. Niespełna dziesięć uderzeń serca od pociągnięcia dźwigni dębowe skrzydła się zderzyły i opadła blokująca je belka.

Materac Jahaduty i stół, na którym leżał, zostały pochwycone przez zamykające się podwoje i zmiażdżone o żelazną bronę.

Ładna gęsiarka zamarła w szoku, a uczony zaczął się podnosić.

Derkensun zdjął topór ze stojaka. Wyszedł z budki, zauważając, że kilku zabijaków siedzi pod oliwką na Platejach i wlepia wzrok w bramę.

Uśmiechnął się. Uniósł i opuścił topór, sprawdził skraj, który wciąż był ostry, mimo że przeciął nim łańcuch umożliwiający podniesienie brony.

Gęsiarka starała się nie patrzeć na żołnierzy.

Kiedy człowiek należy do doborowej gwardii cesarskiej, uczy się odczytywać mowę ciała tak, jak uczony czyta książki. Derkensun śmiało wyszedł z bramy, z toporem niedbale zarzuconym na ramię, i ruszył ku grupie pod drzewem oliwnym.

Jeden z twardzieli uniósł puste ręce.

– Nie szukamy kłopotów, gwardzisto – zapewnił.

Derkensun się uśmiechnął i grzecznie skinął głową na powitanie.

– Pomyślałem, że chcielibyście wiedzieć.

– Co wiedzieć? – zapytał Dziobaty. Był szpetny. Czosnek w jego oddechu cuchnął na dziesięć stóp, które ich dzieliły.

– Że brama jest zamknięta – odparł Derkensun. – Przeciąłem łańcuch. Otworzenie jej zajmie cały dzień.

Dziobaty popatrzył z zadumą na swoich kamratów.

– Sądzę, że nikt nas tu nie chce.

Derkensun pokiwał głową.

– Poznam cię – zapowiedział. Jego nordykański uśmiech całkiem wyraźnie mówił: „I następnym razem po prostu zabiję”.

Dźwięk dzwonów alarmowych rozchodził się po mieście jak ogień pędzony wiatrem. Diuk je usłyszał i patrzył, jak napędzane przez wielką maszynę

drzwi miasta zatraskują mu się przed nosem. Był oddalony o sto końskich długości. Zaklął.

Cesarz siedział na swoim pięknym hatyckim wierzchowcu kilka kroków dalej. Z niekłamanym smutkiem pokręcił głową.

– Wszystko przez ciebie! To twoja wina, ty żałosna karykaturę władcy! – Diuk wyrzucał z siebie dwadzieścia lat hamowanej złości na pomazańca bożego. – Teraz wybuchnie wojna domowa! Powiniennem po prostu cię zabić! – Obrócił się, wyciągając zakrzywiony miecz.

Ser Christos, jago najlepszy rycerz, zatrzymał miecz swojego pana.

– Uzgodniliśmy go nie zabijać – przypomniał ściszym głosem.

Magister Eskepiles pozbył się trucizny z krwiobiegu. Był osłabiony, ale powrócił do gry. Chrząknął.

– Powinien umrzeć. W tej chwili. Tak będzie lepiej dla nas wszystkich – powiedział.

Cesarz popatrzył na swojego żądnego mordy magistra z czymś w rodzaju szoku. Z jego bladych, wodnistych oczu wyzierała łagodność, z jaką rozczarowany, ale dobrotliwy ojciec patrzy na błądzące dziecko.

– Rób, co musisz – rzekł ze smutkiem. – Bóg okazał swoją wolę. Nie udało ci się zająć miasta. – Uśmiechnął się. – Zabij mnie i przyjmij na siebie klątwę bożą.

– Mam całą resztę kraju, dziękuję. – Diuk dochodził do siebie po chwilowej utracie kontroli. Popatrzył na bramy. Widział stąd trzy, i wszystkie trzy były zamknięte, z opuszczonymi bronami. Białe światło odbijało się od kolczug postaci na murach. – I w godzinę będę miał pałac.

– Postąpiłeś niemądrze – powiedział cesarz – ale nawet teraz wszystkim, czego wymagam, jest twoje posłuszeństwo...

Ani despota, ani cesarz nie spostrzegli nadciągającego ciosu. Diuk miał stalową rękawicę i jego pięść uderzyła cesarza niczym młot, pozbawiając go przytomności.

Wszyscy obecni się wzdrygnęli. Magister usłyszał, jak za jego plecami któryś rycerz mruczy:

– Uderzył cesarza...

I pomyślał: „Po prostu to zrób”.

Zebrał swoją wolę...

Ser Christos znowu interweniował. Jego ogier wyrwał się spod kontroli, uderzył głową w cesarskiego wierzchowca. Oba konie się sploszyły i ich kopyta tańczyły wokół cesarza. Diuk Andronikus pojaśniał i się otrząsnął.

Harald Derkensun z murów, z wysokości pięćdziesięciu stóp nad trawą patrzył, jak diuk uderza cesarza. Zobaczył, że cesarz upada. Odwrócił się w stronę swojego kaprała, olbrzyma o czarnych jak smoła włosach, pochodzącego z Ujgurów mieszkających daleko na północ nawet od Nordyki.

– Durmie Ciemnowłosa, zaatakowali cesarza – powiedział. – Jesteśmy mu zaprzysiężeni.

Ciemnowłosa pokiwał głową.

– Jeśli poślę po konie...

Derkensun wzruszył ramionami.

– Ktoś musi powiadomić pałac. Nie jestem pewien, czy kiedykolwiek doszło do podobnego zdarzenia. – Popatrzył na odzianego w fiolet cesarza, który wciąż leżał na ziemi. – Być może nie żyje. Kto zatem jest cesarzem?

Ciemnowłosa pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia. Nie powinniśmy jechać i umrzeć u jego boku?

Wiele rąk podniosło cesarza i przerzuciło go przez koński grzbiet. Z Pola Aresowego nadciągały setki stradiotów w kolczugach, wschodni jeźdźcy, i wielki prostokąt umundurowanej piechoty z włóczyniami i łukami.

– Co najmniej trzy tysiące ludzi – powiedział Derkensun.

Ciemnowłosa wbił kciuk w brodę i szarpnął.

– Spróbujemy? – zapytał.

Derkensun się uśmiechnął.

– Nie – odparł. – Nie jestem tchórzem, ale we dwójkę niewiele zdołaliśmy.

Ciemnowłosa parsknął śmiechem.

– Nie jestem aż taki szalony. Bardzo dobrze. Spisałeś się z bramą. Zabieraj dupę do pałacu i zobacz, czy uda ci się dotrzeć do majordoma. Mówisz, że z cesarzem był logoteta Bębna? I obaj spatharioi?

– Logoteta do mnie mrugnął – powiedział Derkensun. – A spatharios Gurninson skinął do mnie głową. Przysięgłbym, że wiedzieli, że na coś się zanoszą.

– Więc teraz już na pewno nie dostaniemy zapłaty – mruknął Ciemnowłosa. – No tak, Gurninson dziś rano postawił nas w stan gotowości. – Spojrzał nad murem. – Wiesz, że jestem starszym kapralem?

Derkensun nie miał o tym pojęcia.

– Więc właśnie zostałeś nowym spathariosem.

– Pierdol się... i ruszaj do pałacu. I znajdź kogoś starszego stopniem ode mnie. Za bardzo lubię wino i śpiew topora, żeby wydawać rozkazy.



Derkensun zszedł z muru i ruszył na poszukiwanie konia. Liwiapolis było tak duże, że człowiek potrzebował wierzchowca, żeby przebyć je w jeden dzień – siedem mil dzieliło wielkie bramy od pałacu, który oczywiście był kolejną fortecą. Przy otwartej wewnętrznej bramie siedział niepocieszony stary jaha-ducki uczonec. Derkensun przy nim przystanął i wyciągnął rękę.

– Wybacz, starcze. Musiałem zamknąć bramę. Zostałbyś zabity.

– I tak o mało nie zginąłem! – Uniósł ręce. – Barbarzyńca!

Derkensun westchnął.

– Wiesz... – zaczął, ale zdecydował, że mężczyzna jest zbyt wstrząśnięty i zły, żeby z nim dyskutować. Zrzucił topór na ramię i pobiegł przez Plateje, szukając konia.

Przemierzył dwie dzielnice, zanim znalazł chudą kobyłę pomiędzy dyszlami wózka ostrzyciela noży. Podbiegł prosto do właściciela, który miał komplet kuchennych noży na ławeczce i naciskał pedał, obracając okrągły kamień, aż strzelały iskry.

– Zabieram twojego konia – powiedział z uśmiechem. – W imieniu cesarza.

Mężczyzna wstał od kamienia.

– Czeka! Płacę podatki... nie możesz...

Derkensun wyprowadził konia pomiędzy dyszli, rozciąwszy cztery sprzączki i dwa węzły.

– Umrę z głodu, łajdaku! – krzyknął rzemieślnik.

Derkensun wzruszył ramionami i wskoczył na grzbiet kobyły. Była dość zwawa, ale nieujeżdżona. Jej kopyta zagrzechotały na chodniku i ostrzyciel noży został za nimi, wykrzykując przekleństwa.

Jechał wzdłuż starożytnych akweduktów po wzgórzach, które wznosiły się w centrum miasta – wjeżdżając na drugie, minął swoją kwaterę. Kościsty grzbiet kobyłki boleśnie wbijał mu się w przyrodzenie i chciałby się zatrzymać, żeby zabrać siodło, ale to wymagałoby czasu. Swoją drogą nie miał pojęcia, czy musi się śpieszyć, czy nie, bo przecież miasto wyglądało najzupełniej normalnie.

Ale wciąż pamiętał, że ser Raoul zginął, próbując dostarczyć wiadomość o tym, co się wydarzyło. I że pojмали cesarza. I że logoteta ze spathariosem postawili gwardię w stan pogotowia.

Zjechał z ostatniego wzgórza i kobyłka zaczęła posapywać, ale jej kopyta nadal krzeszały skry z bruku. Wyprzedzał ich tętent, więc kobiety zgarniały dzieci do siebie i przyciskały się do murów, a mężczyźni klęli – kiedy Der-

kensun był za daleko, żeby ich słyszeć.

Bramy pałacu były zamknięte.

Straż pełnili członkowie scholi, pałacowej kawalerii złożonej z Moreańczyków, odwiecznych rywali gwardzistów w bójkach. Nie znał ludzi przy bramie – obaj byli młodzi, z przyszyżonymi brodami, arystokratyczni i wyraźnie zaniepokojeni.

Nie był też do końca pewien, co powiedzieć.

Zdecydował się na archaicką godność.

– Muszę się zobaczyć z majordomem pałacu. Jeśli nie, z waszym dowódcą – powiedział.

Obaj przestąpili z nogi na nogę. Jak większość arystokratycznych potomków w scholi, prawdopodobnie nigdy dotąd nie stali na straży. Pochylił się w ich stronę.

– Chrystus Pantokrator – dodał cicho.

Ten niższy spiorunował go wzrokiem.

– Co?

– To dzisiejsze hasło – wyjaśnił Derkensun. Dokładał starań, żeby nie przewrócić oczami albo nie okazać pogardy.

Popatrzyli jeden na drugiego.

– Znacie hasło? – zapytał. Zsiadł z konia, przekładając topór w taki sposób, że głowica znalazła się pod prawym ramieniem, a okute żelazem stylisko w lewej ręce.

– Cofnij się – rozkazał mniejszy.

– Zabiję was obu, jeśli natychmiast nie podacie odzewu – zagroził Derkensun. Nie miał pojęcia, czy są głupcami, czy spiskowcami.

– Straże! – wrzasnął mały i zduszonym głosem dodał: – Pomocy! Wyższy nie ustąpił pola i uniósł krótką, ciężką włócznię. Wyglądał na inteligentnego. Był pięknie odziany we wschodni kaftan i skórzane buty z cholewami nad kolana zdobione złotymi frędzlami. Nawet jak na dworzanina prezentował się nadzwyczaj wspaniale.

– A niech mnie... – mruknął nad włócznią. – To hasło, gwardzisto. Dopiero co nas tutaj przysłano... do licha. Odzew to cesarz coś tam. Cesarz... imperator. – Umilkł.

Derkensun się odprężył.

– Zgadza się.

Wyższy opuścił włócznię.

– Miałem dzisiaj wziąć ślub – powiedział. – Wezwano nas do pałacu pół

godziny temu.

Mniejszy wypuścił powietrze.

– Na rany Zbawiciela... nigdy więcej nie zapomnę hasła. – Zerknął przez ramię. – Gdzie straż, do nędzy?

Derkensun podszedł do nich.

– Nie mam czasu. Daję słowo, to sprawa najwyższej wagi.

Mężczyźni przez chwilę patrzyli na siebie. Oblubieniec pokiwał głową.

– Podał hasło – powiedział.

Rozstąpili się.

Oblubieniec się uklonił.

– Poprowadzę cię, gwardzisto.

Derkensun nie próbował się z nim spierać. Potruchtali przez bramę na brukowany Dziedziniec Cesarski okolony przez marmurowe *stoa* ciągnące się na długość strzału z łuku. Stały tam liczne posągi mężczyzn i kobiet, którzy oddali życie za cesarstwo. Derkensun wyobraził sobie, że dołącza do nich marmurowa podobizna ser Raoula z okrutnymi ustami pod nosem pijaka.

Miał dobrą śmierć. Wręcz nadzwyczajną.

Przebiegli wzdłuż północnej *stoa* i weszli do pałacu przez rzadko używaną bramę dla służby, która nie była zamknięta i strzeżona.

Oblubieniec pokręcił głową.

– Postawiliśmy tu człowieka, kiedy nas wezwał szambelan – powiedział.

Od bramy przejście wiodło nad głównymi stajniami, omijając Zewnętrzny Dziedziniec, gdzie przeprowadzano transakcje związane z zaopatrzeniem pałacu – dostawy żywności i tym podobne. Derkensun znał pałac tak dobrze, że mógł po nim chodzić z zawiązanymi oczami. Dosłownie. Część szkolenia gwardii nordykańskiej polegała na poruszaniu się po pałacu z opaskami na oczach.

Gdy biegł przez wielki magazyn na strychu stajni, wypełniony setkami worków zboża, cebuli, czosnku i oregano, a także kadziami oliwy, próbował zdecydować, dokąd się udać. Majordom miał biuro przy stajniach. Ludzie nazywali go Panem Zewnętrznego Dziedzińca, niezupełnie żartem. Ale majordom nie zawsze był przyjacielem gwardii.

Derkensun westchnął i skręcił na szczycie schodów.

– Pobrudzę sobie ubranie – poskarżył się Oblubieniec.

– Nie jesteś mi potrzebny – powiedział Derkensun.

– Proszę, nie ma za co – wysapał mężczyzna.

Derkensun zeskoczył z ostatnich czterech stopni i wylądował na gładkich

płytach stajennej podłogi, obrócił się w prawo i przebiegł obok wierzchowców cesarza, łącznie z dwoma najlepszymi rumakami bojowymi na świecie, zajmujących szesnaście bokсів obwieszonych purpurą. Znowu skręcił w prawo, kiedy minął Bucefała, ulubieńca cesarza. Stary koń uniósł głowę, gdy gwardzista wybiegał na słońce. Drzwi biura majordoma były otwarte. Pierwsze pomieszczenie, gdzie powinno pracować trzech skrybów, świeciło pustką.

Usłyszeli dalekie, niesione przez silny prąd powietrza, który bezustannie przepływał przez główne budowle pałacu, charakterystyczne odgłosy walczących ludzi.

Derkensun napotkał spojrzenie scholisty i przez chwilę rozważał, czy go nie powalić. Po prostu na wszelki wypadek. Nie wątpił, że go pokona.

Oblubieniec patrzył na niego spokojnie, bez śladu obłudy.

– Ja też nie mam pojęcia, o co chodzi – powiedział. – Ale służę cesarzowi i wiem, że dzieje się coś złego. Cokolwiek zrobisz, możesz na mnie liczyć. – Wyprężył ramiona. – Chyba że jesteś buntownikiem. Jeśli tak, załatwmy to tu i teraz.

Derkensun wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Za mną.

Po dwóch długich minutach biegu znaleźli się na miejscu potyczki.

W tym czasie prawie wszyscy jej uczestnicy nie żyli.

Porfirogeneta, Irena, kuliła się w kącie, w długiej szacie ciężkiej od krwi. Została ranna i dwie kobiety stały nad nią z ostrymi nożyczkami w rękach, mając przed sobą tuzin napastników.

Majordom nie żył. Podobnie jak szambelan. I straż scholi.

Ostatnimi obrońcami księżniczki, poza dwiema kobietami, była nieprawdopodobna para: mnich i biskup, jeden z laską, drugi z pastorałem. Derkensun błyskawicznie ogarnął wzrokiem całą scenę, obrońców i napastników, którzy wyglądali na uzbrojonych ordynariuszy.

Mieli jednak na twarzach więcej blizn niż prawdziwi służący, wybierani między innymi z uwagi na prezencję.

– Za cesarza! – krzyknął po archaicku Derkensun i zaczął zabijać.

Zamachnął się toporem i ciął zaskoczony zabójcę, kosztem minimalnego wysiłku ścinając mu czubek głowy i obracając ostrze w powietrzu, żeby odrywać ramię drugiego. Mężczyzna wrzasnął, gdy jego prawa ręka upadła na podłogę.

Moreański biskup pochylił pastorał i ryknął:

– W imię Boga Ojca! – Błysnęło białe światło.

Mnich spuścił laskę na wyciągnięte ręce mężczyzny z mieczem, obydwie łamiąc.

W dalekich drzwiach wysoki mężczyzna w kolczudze uniósł długi miecz.

– Brać ich, bracia! – krzyknął. – Zabijcie księżniczkę, a zwyciężymy!

Jeszcze nie skończył mówić, kiedy kusznik strzelił z kryjówki w krocze biskupa, który upadł z krzykiem. Mnich cofnął się o krok i oburącz machnął laską. Zabójca próbował przemknąć obok niego i siwowłosa kobieta w jedwabiach wbiła długie nożyczki w jego niczym niechronione plecy.

Derkensun ciął dwa razy, do przodu i do tyłu, i ludzie się przed nim rozpierchli.

– Teraz gwardzista – polecił mężczyzna w kolczudze w przeciwnym końcu pokoju. Uniósł miecz. – I kobiety. Zabić wszystkie.

Oblubieniec rzucił włócznią. Zrobił to dziwnie, z podskokiem, zupełnie inaczej, niż są uczeni ludzie w Mieście Straży czy w wojsku. Włócznia była krótka, z szerokim grotem, niemal jak oszczep na dziki, i przeszyła kolczugę niczym gorący nóż osełkę masła, powalając mężczyznę na ziemię. Hermetyczna energia błysnęła wokół jego głowy i zabójca podniósł się na kolano, gdy włócznia odpadła od jego ciała.

Derkensun zabił następnego przeciwnika i lekko się obrócił, dotarłszy do boku mnicha. Wywijał toporem, kreśląc w powietrzu motylki, skomplikowany wzór, który ćwiczy gwardzista, żeby mieć silne nadgarstki.

Zabójcy przystanęli.

– Do mnie, schola! – ryknął Oblubieniec.

Wszyscy obecni w pokoju usłyszeli tupot nadciągającej straży.

Zabójcy rzucili się do ucieczki. Derkensun ciął jednego i w tej samej chwili bełt oderwał mu dolną połowę ucha. Mnich sparował dwa pchnięcia mieczem i zrobił potężny zamach, ale przeciwnik odbił laskę płazem miecza, sztyletem drasnął rękę mnicha i odskoczył. Był chudy jak zmora i ubrany na czarno. Derkensun nie zobaczył jego twarzy – mężczyzna uciekł przez bramę do głównej sali audiencyjnej i już biegł pomiędzy kolumnami.

Oblubieniec rzucił się na następnego, dostał sztyletem w bok i złamał mężczyźnie rękę w zapaśniczej dźwigni. Zdesperowany napastnik dźgnął go jeszcze trzy razy.

Scholista padł na swojego jeńca i trzasnął jego głową o posadzkę, pozbawiając go przytomności.

Starsza kobieta, ta z zakrwawionymi nożyczkami, przywołała do siebie

młodszą.

Derkensun napotkał jej spojrzenie.

– Księżniczka? – zapytał.

Młodsza szwaczka wyjrzała zza pleców starszej. Miała idealnie owalną twarz, czerwone, pełne usta i wręcz nieprawdopodobnie niebieskie oczy.

Kobieta w stroju księżniczki poruszyła nogą i wydała stłumiony krzyk.

– Zajmij się nią – poleciła młodsza szwaczka. Skinęła głową swoim wybacicielom i mnichowi. – Panowie, dziękuję. – Cofnęła się o krok. – Czy ktoś mi może powiedzieć, co się dzieje?

Derkensun rozpoznał starszą kobietę, jedną z licznych dalekich krewnych rodziny cesarskiej, których nie brakowało w pałacu. Lady Maria. Jej syn był jednym z jego ulubionych kompanów od kieliszka i partnerem w zapasach.

Uklonił się.

– Czcigodna pani, diuk Tracji pojmał albo uśmiercił twojego ojca na Polu Aresowym. Zabił logotetę i obu spatharioi.

Młodsza szwaczka przycisnęła rękę do piersi.

– Zabił? – powtórzyła. Potem jakby wzięła się w garść. – Dobrze – podjęła z pełnym determinacji spokojem. – Utrzymamy pałac?

Derkensun spojrzał na Oblubieńca, który otrzepywał się z kurzu. Wzruszył ramionami.

– Lady Ireno, kiedy godzinę temu poszedłem na służbę, scholiści strzegli wszystkich drzwi.

Derkensun zwrócił się do księżniczki:

– Kto wydał rozkaz scholi, pani?

Wskazała na trupa w szkarłatnej szacie.

– Majordom. Logoteta mu kazał.

– Chryste na krzyżu... Powinniśmy uciekać, pani.

– Nie bluźnij w mojej obecności – warknęła Irena. – Jeśli raz opuścimy pałac, już nigdy tu nie wrócimy. – Spojrzała na lady Marię, która pokiwała głową. – Sala tronowa – zdecydowała. – W najgorszym wypadku cesarska purpura stanie się nadzwyczajnym całunem.

Derkensun przez chwilę patrzył na Oblubieńca. Nie został ranny; pod ślubnym strojem nosił karacnę z łuskami tak drobnymi, że wyglądały jak rybie.

Derkensun spojrzał na niego pytająco.

– Mieszkam w podłej dzielnicy – wyjaśnił młodzieniec, klękając przy biskupie, który przestał krzyczeć. Nie żył.

Razem powlekli nieprzytomnego jeńca, którego pojmał Oblubieniec, przez

salę audiencyjną do głównej sali tronowej. Sześciu Nordykanów powinno stać na straży. Zamiast tego przed drzwiami leżały trupy dwóch scholistów.

Księżniczka podeszła prosto do tronu. Odwróciła się, zebrała spódnice i usiadła.

Lady Maria lekko skinęła głową.

Derkensun podszedł do platformy dla straży po prawej stronie i stanął na baczność. Wypadło to całkiem naturalnie. Oblubieniec zajął miejsce po lewej stronie.

Mnich się uklonił i stał. Irena nie wskazała mu stołka.

Powiodła po nich wzrokiem.

– Jakież pomysły? – zapytała.

Derkensun pomyślał, że sprawia wrażenie opanowanej i o wiele bystrzej-  
szej niż cesarz. Mówiła jak prawdziwa władczyni.

Maria popatrzyła na żołnierzy.

– Miasto należy do nas? – zapytała.

Derkensun skłonił głowę.

– Pani, sam wszcząłem alarm przy bramie, ale każda inna mogła zostać  
zdradzona.

– Wojsko? – zapytała księżniczka. A może była już cesarzową? Widział jej  
wahanie, pomimo stanowczego tonu.

– Wardarioci są w koszarach. Wielu Nordykanów.... – Derkensun milczał  
przez chwilę. – Nie żyje.

Oblubieniec się uklonił.

– Widziałem zwłoki dwudziestu scholistów – dodał.

– Diuk Tracji ma za murami co najmniej trzy tysiące ludzi. Może dwa razy  
tyle. – Derkensun starannie dobierał słowa. Zwracał się do cesarza tylko dwa,  
może trzy razy. Była to jego najdłuższa rozmowa z osobą należącą do rodzi-  
ny cesarskiej.

– A my mamy kilkuset – powiedziała księżniczka. – Kiedy, jak się zdaje,  
potrzebuję armii.

Lady Maria dygnęła.

– Pani, tak się składa, wiem, gdzie można ją znaleźć. – Uśmiechnęła się  
lekko. – W istocie, pani, twój ojciec już ją wynajął. Wysłał po nich mojego  
syna, jeśli pamiętasz.

Porfirogeneta Irena odchyliła się na tronie i westchnęła.

– Więcej najemników? Przez pięćset lat byli przekleństwem naszego naro-  
du – powiedziała. – I czym mój szanowny ojciec zamierzał zapłacić tym na-



jemnym mieczom? – zapytała Marię.

– Tobą – odparła lady Maria z kolejnym dygnięciem. – Wasza Wysokość –  
dodała.

– Ach, tak. Pamiętam.

CZĘŚĆ PIERWSZA

# Księżniczka



Princess Irene

## ROZDZIAŁ TRZECI



The Red Knight

### **Zielone Wzgórza w pobliżu Morei – Czerwony Rycerz**

Kapitan kompanii wstał przed brzaskiem i teraz czekał na wschód słońca. Stał jedną nogą na mocnym stołku, podczas gdy giermek zapinał mu bigwanty.

Toby był dość mądry, żeby się nie odzywać. Po prostu zajmował się pracą; wpasował nagolennicę w nakolaniek i ją rozchylił, żeby wsunąć na prawą nogę rycerza.

Kapitan pogryzał kiełbasę.

Toby miał kłopoty z nagolennicą, która lubiła się zatrząskiwać na materiale pikowanych nogawic, sztywnych, ponieważ były świeżo wyprane. W po-

wietrze wisiał chłód, niemal ziąb, więc skórzane paski też zeszywniały.

Toby był ponad takie zmartwienia. Zamknął nagolennicę, zapiął dolną sprzączkę, potem górną, i zajął się różnymi paskami, które miały utrzymać pancerz na nodze jego pana przez cały dzień.

Kapitan dojadł kielbasę, wypluł kawałek skórki i sam przytroczył nabiodrek do przeszywanicy.

Słońce ukazało się nad horyzontem – zdawało się, że wyskoczyło na wschodzie pomiędzy dwiema górami – i oświetliło jego ciemne włosy, szpiczastą bródkę i szarozielone oczy. W porannym słońcu włosy wydawały się niemal niebieskie, kolczuga połyskiwała, a czerwona przeszywanica stała się szkarłatna.

Toby klepnął kapitana po opancerzonym udzie.

– Dobrze – pochwalił go Czerwony Rycerz.

Toby zdjął ze stojaka powgniatany w wielu miejscach kirys i trzymał otwarty, żeby kapitan mógł się w niego wsunąć. Gdy zaczął zapinać sprzączki na ramionach, dwunastu łuczników i pachołków chwyciło w ręce dwadzieścia cztery linki namiotu kapitana, poluzowało je i całość opadła na ziemię tak szybko, jak szybko on radził sobie z zapinaniem. Zanim kapitan na próbę zgiął i wyprostował ręce, jego namiot zniknął.

Za nimi zwijano cały obóz. Rzędy namiotów składały się niczym domki z kart. U wylotu każdej ciągnącej się pomiędzy nimi ulicy ładowano wozy. Paziowie szczotkowali konie albo prowadzili je do zbrojnych.

Mężczyźni sikali na ogniska.

Kapitan obserwował to wszystko, gryząc jabłko, i pokiwał głową. Sikają na ogniska.

Nell, jego nowy paż, zjawiła się z jego brzydkim koniem bojowym. Nie miał imienia dla tego zwierzęcia. Przez cztery lata jeździł na jednym rumaku, a teraz tracił konia w każdej bitwie.

Każdy kosztował sto florenów.

Jednak podsunął brzydalowi ogryzek, a koń go wziął z większą delikatnością, niż ktoś mógłby go o to posądzić, patrząc na jego nieforemną, grubo ciosaną głowę.

Nell nerwowo przestąpiła z nogi na nogę. Toby machał ręką, próbując ją przepędzić – miała trzynaście lat i nikt nie miał pojęcia, dlaczego kapitan ją wybrał na giermka. Nikt poza Tobym, który widział, że konie ją kochają.

Czerwony Rycerz zatrzymał na niej spojrzenie. Uniósł brew.

– Tak? – zapytał.

Drgnęła.

– Co... nie wiem, co robić.

Czerwony Rycerz popatrzył na Toby'ego i odszedł w stronę małego ogniska, które sługa zostawił dla niego.

– Nie odzywaj się do niego – syknął Toby. – Chryste wszechmogący, dziewczyno! Przemieni cię w jakieś dziwadło. Mów do mnie. Nigdy do niego.

Mag podała kapitanowi kubek wina z miodem i korzeniami.

– Jak zwykle w radosnym nastroju? – zapytała.

Obejrzał się i zobaczył, że Tony gestykułuje, instruując Nell.

– Nie mam pojęcia, dlaczego postanowiłem zostać niańką – powiedział. Wzruszył ramionami. – Nie zwracaj na mnie uwagi, Mag. Jesteśmy gotowi do wymarszu?

Szwaczka też wzruszyła ramionami.

– Czy ja wyglądam na oficera? Mój wóz jest załadowany, o tym cię mogę zapewnić. – Po chwili dodała: – Tyle że oczywiście brakuje na nim mojego namiotu i mojej córki.

Czerwony Rycerz z uśmiechem napił się jej wina, najlepszego w obozie.

Zły Tom – sześć stóp i parę cali potężnych mięśni i długich czarnych włosów – wyszedł z trzeciego wciąż stojącego namiotu w obozie. W wejściu było widać twarz córki Mag, Sukey, i jej ponętne nagie ramię. Zły Tom w pełnej zbroi, zakuty w stal od stóp do głów, lśnił w promieniach wschodzącego słońca.

– Będzie mi za wami tęskno – powiedział. – Jeśli odejdę, żeby zostać poganiaczem.

Mag spojrzała gniewnie na córkę.

– Jeśli się nie uwiniesz, dziewczyno, kapitan cię zostawi!

Czerwony Rycerz zerknął spod uniesionej brwi na swojego pierwszego kopijnika.

– Jesteśmy gotowi do marszu? – zapytał.

Zły Tom nawet się nie rozejrzył.

– Dopij wino, kapitanie. Mówisz, że jutrznia, a jeszcze nie dzwonią.

Widok ich obu razem działał na innych jak magnes. Najpierw zjawił się ser Michael, też w pełnej zbroi. Następnie z przeciwnej strony przyszedł ser Gawin, prowadząc za uzdę swojego wielkiego bojowego kasztana, i zaraz potem podjechała ser Alison – Pyskata.

– Nawet nie muszę kazać trąbić na odprawę. Gdzie jest Gelfred? – zapytał kapitan.

Posłano po łowcę. Nell biegła od wozu do wozu, jakby od tego zależało jej życie. Była bardzo szybka.

Moreańczyk, ser Alkajos, przyszedł z jastrzębiem na nadgarstku i dwoma upolowanymi ptaszkami u pasa. Zaczął z Gawinem cichą rozmowę o drapieżnym ptaku.

Złożono pozostałe trzy namioty. Mieszkańców ostatniego, którzy przesypiali każdą poranną pobudkę i grad rozkazów, polano zimną wodą i nagrodzono kopniakami. Jednym z nich był nowy trębacz uważający się za wielkiego pana.

Łuczniczka Osiełek walnęła go po głowie.

Rozległy się wiwaty.

Gelfred podjechał na eleganckiej klaczy.

Pyskata poklepała klacz po ganaszach, a potem dmuchnęła jej w nozdrza.

– Słodka – powiedziała. – Śliczna!

Gelfred obdarzył ją promiennym uśmiechem.

Czerwony Rycerz opróżnił kubek i rzucił go Sukey.

– Wszyscy gotowi? – zapytał.

– Jaki jest plan? – zapytała Pyskata.

Nowy trębacz, przemoczony do suchej nitki, z guzem rosnącym na czole, szedł chwiejnym krokiem wzdłuż linii ognisk.

Kapitan podrapał się pod brodą.

– Gelfred pojedzie do Liwiapolis i znajdzie nam ładne, łatwe do obrony miejsce na obóz oddalony jakiś dzień jazdy od miasta. Najwyżej dwa dni.

Wszyscy pokiwali głowami. Dwa dni temu otrzymali wiadomość, że zagiął cesarz, ich potencjalny pracodawca. Liwiapolis było jego ośrodkiem władzy, jednym z trzech największych miast na świecie, a także siedzibą patriarchatu jednego z centrów wiary i Akademii, epicentrum studiów hermetycznych. Ser Alkajos także pokiwał głową.

– A później spróbujemy się dowiedzieć, co się stało.

Tom chrząknął.

– Nuda. I dlaczego akurat pierdolona Morea?

Czerwony Rycerz popatrzył na wzgórze na wschodzie.

– Bogactwo. Sława. Doczesna władza.

– Jak poradzimy sobie z Middleburgiem? – zapytał Tom.

Forteczne miasto Middleburg, trzecie pod względem wielkości w Morei po

Liwiapolis, szeroko znanym jako „Miasto”, i Loniką, stolicą północy, uchodziło za niezdojbyte i leżało na drodze ich marszu na wschód z Gospody Dormling.

Kapitan parsknął.

– Miejscowi zwą ją Kilkis. Tylko albańscy kupcy mówią Middleburg. – Zjadł ostatni kawałek kiełbasy. – Przyjaciele załatwili nam przejazd. – Napotkał spojrzenie Toma. – Jeśli nie przysporzymy kłopotów, garnizon nas przepuści.

Gelfred się skrzywił.

– A furaz? – zapytał.

– Spotkamy się z oddziałem. To już załatwione, mówiłem. – Kapitan nie krył zniecierpliwienia.

Ser Gawin westchnął.

– Łatwiej wejść niż wyjść, jeśli coś pójdzie nie tak.

Kapitan gniewnie spojrzał na brata.

– Twoje wahanie zostało odnotowane.

Gawin przewrócił oczami.

– Chciałem tylko...

Ser Alison, Pyskata, położyła rękę na ramieniu Gawina, a on się wzdrygnął. Było to ramię, które obecnie pokrywały drobne zielone łuski. Pyskata nie przejmowała się takimi drobiazgami.

– Kiedy jest w takim humorze, nie próbuj z nim dyskutować – poradziła.

– Co z wiwernami? – zapytał Rozmyślny Mord.

Gelfred się roześmiał.

– Ani jednego. Jeśli będziemy walczyć, to tylko z ludźmi.

Łucznicy popatrywali po sobie. Wszyscy milczeli.

– Jakieś inne uwagi? – zapytał kapitan głosem, który powinien odwieść chętnych od wygłaszania komentarzy.

– Słyszałam, że jest jakaś księżniczka – powiedziała Pyskata.

Kapitan uśmiechnął się krzywo.

– Ja też to słyszałem – powiedział przeciągle. – Jedziemy.

## **Harndon – dwór królewski**

Król siedział wygodnie na wysokim czarnym dębowym krześle z dwoma wilczarzami u zwisających stóp. Najwięcej uwagi poświęcał dwóm uczniom płatnerza, którzy układali elementy zbroi na ciężkim stole w kącie dużej sali

audiencyjnej, pod głową wiwerna z tabliczką z jego imieniem.

Król był wysoki, barczysty i jasnowłosy, ze szpiczastą brodą i gęstymi wąsami. Nosił ciężar mięśni wymaganych do walki w ciężkiej zbroi, i obcisły kaftan napinał się za każdym razem, gdy król się odchyłał, żeby pogłaskać sukę Emmę, swoją ulubienicę.

– Jeśli dopadniesz wilka, mały łajdaku, ty też dostaniesz więcej mięsa – powiedział do Wiernego, swojego najmłodszego psa. Dał mu żartobliwego klapsa, a on popatrzył na niego z uwielbieniem, jakie psy rezerwują dla swoich panów.

Mistrz gildii handlarzy wełną uprzejmie chrząknął.

Król uniósł głowę, jego spojrzenie ześliznęło się z niego na zbroję.

Królowa położyła rękę na ramieniu małżonka i westchnęła. Nazwanie jej piękną byłoby dla niej krzywdzące. Była przepiękna. Gładkość skóry tej kobiety sprawiała, że mężczyźni chcieli jej dotknąć, żeby się przekonać, czy jest prawdziwa; półkule piersi widoczne nad mocno zasznurowanym stanikiem lśniły jak natarte oliwą i przyciągały uwagę każdego mężczyzny w pokoju za każdym razem, gdy się poruszała, zawsze pamiętając o starannie ułożonych fałdach sukni i godnej postawie. Jej rudobrzazowe włosy płonęły w słonecznym blasku i być może rozmyślnie wybrała porę, żeby usiąść na krześle w pełni popołudniowego słońca – łososiowa suknia tak idealnie współgrała z włosami, że nawet mężczyźni mogliby to zauważyć, gdyby nie mieli do podziwiania wielu innych rzeczy.

Król natychmiast przeniósł uwagę ze zbroi na swoją żonę. Uśmiechnął się do niej, nawet błysnął promiennym uśmiechem, a ona się spłoniła.

– Ci zacni ludzie, mój drogi, chcą z tobą porozmawiać o monetach – powiedziała.

Zarumieniona twarz króla sugerowała, że nagle zainteresowało go coś znacznie bliższego niż monety. Mimo to wyprostował się z westchnieniem i zakończył zabawę z psami.

– Powtórz, mistrzu, co mówiłeś.

Mistrzem gildii był Ailwin Darkwood, uważany za najbogatszego człowieka w Albie. Od trzech lat kupował wełnę od króla i zbierał podatki za handel wełną. Był również właścicielem większości spichrzów w mieście i większości statków na nabrzeżu. Na przekór powszechnemu mniemaniu, że kupcy są grubasami o chytrych oczach, on był wysoki i przystojny, z zaczynającymi siwieć kruczoczarnymi włosami i twarzą ogorzałą po dniach spędzanych na morzu. Nosił czarne wełniane rajtuzy i czarny wełniany wams, a wszystkie



dotatki – rzędy guziczków, rękojeść sztyletu, sprzączki pasa – były z litego złota wykończonego czerwoną emalią. Miał w uchu perłowy kolczyk z rubinowym wisiorkiem, który wyglądał jak kropla krwi. Inny mężczyzna z czymś takim wyglądałby na zniewieściałego. Ailwin Darkwood przywodził na myśl pirata. Skojarzenie było dość trafne, gdyż chodziły słuchy, że dorobił się fortuny w desperackiej bitwie morskiej na galijskim wybrzeżu.

Towarzyszył mu burmistrz Harndonu, ser Richard Smith, i mistrz Random, który dzięki wyczynowi, jakim było sprowadzenie wozów i łodzi ze zbożem pod koniec wiosny, zajął miejsce w pierwszym szeregu kupców w mieście. Stracił stopę, lecz mimo to przez cały czas był uśmiechnięty.

Mistrz Ailwin też się uśmiechnął i skinął głową do królowej.

– Wasza Wysokość, żona często mi mówi, że za wiele gadam i za mało do rzeczy, więc pozwól, że krótko przedstawię sprawę. – Położył tuzin monet na stole.

Za nim dwóch uczniów skończyło układanie zbroi i odeszło. Wszedł ich mistrz, nisko uklonił się przed tronem i stanął skromnie pod ścianą.

Król spojrział na monety.

– Srebrne i złote lamparty. Może nie najlepsze okazy... spójrz, ile razy ten był skrawany? – Roześmiał się. – Sześć tysięcy czterysta dwudziesty dziewięć? Mój dziad wybił go przed Chevinem.

– Otóż to – mruknął mistrz Random.

– A ta wydaje się gruba jak owca z jagnięciem w brzuchu – mówił król, podnosząc ciężką srebrną monetę. Gwałtownie uniósł brwi. – Czterysta sześćdziesiąty trzeci? – zapytał. – Przecież nie biłem nowych monet.

Ailwin popatrzył na swoich towarzyszy.

– Nie pochodzi z mennicy Waszej Królewskiej Mości – powiedział.

– Pochodzi z Galii albo Hoeku – dodał burmistrz.

Król zmarszczył brwi.

– Królu królów! Kto śmie podrabiać moje monety? – Usiadł. – Ale ta jest dość solidna. Piękna moneta. Z podobizną mojego ojca. – Rzucił ją w powietrze.

– Król Galii i hrabia Hoeku fałszują nasze pieniądze – powiedział mistrz Random. – Wybacz mi, że nie stoję, panie. Zostałem ranny w Lissen Carak.

– Wiem, mistrzu Randomie, i zawsze możesz siedzieć w mojej obecności. Broniłś drzwi wieży przed wszystkimi tymi człękami, wielu pasowanych rycerzy nie dałoby rady... tak, i wielu dałoby sobie lewą rękę uciąć, żeby tego dokonać! Mam rację? – Królowi zaskrzyły się oczy. Zaczął się podnosić. –

To mi przypomina... zamierzałem...

Żona pociągnęła go z powrotem na krzesło.

– Król Galii i hrabia Hoeku fałszują monety Waszej Królewskiej Mości – powtórzył Random.

Król wzruszył ramionami.

– I co z tego? Przecież to piękne monety. – Popatrzył na kupców. – Są książętami, nie rozbójnikami. Jeśli postanowili bić monety takie jak nasze...

Królowa nacisnęła jego rękę.

– Mistrzu Pyle! – zawołał król.

Mistrz płatnerz opierał się o ścianę. Był niski i masywny, jak można się spodziewać po kowalu, miał długą siwą brodę i jasne szare oczy. Wyprostował się i uklonił.

– Wasza Królewska Mość?

Królowa się pochyliła.

– Wasza Królewska Mość musi wysłuchać tych zacnych ludzi.

– Słucham, skarbie – zapewnił ją król. Uśmiechnął się do niej, po czym powiedział do swojego umiłowanego mistrza Pyle: – Pyle, rozwiąż mi tę zagadkę... dlaczego to takie złe? – Wyprostował ramiona. – Jestem najwyraźniej zbyt ograniczony. Dla mnie pieniądź to pieniądź. Albo mamy ich dość, albo nie mamy. Wnoszę, że nie mamy? Czy to jest źródłem kłopotu?

– Captal de Ruth – oznajmił herold.

Mistrz Ailwin się skrzywił, widząc wchodzącego mężczyznę.

– Jeśli potrzebujesz więcej pieniędzy, zwiększ im podatki – poradził Jean de Vrailly. – To hańba, żeby człowiek niższego stanu stroił się jak wielki pan. Zabierz wszystkie złote okucia z ich pasów, to ich nauczy, żeby nie nosili się w ten sposób publicznie. W Galii mamy większy porządek.

– Tak, captalu, w Albie jest inaczej, ale uważamy, że dzięki temu nasze królestwo jest silniejsze. – Król skinął ręką, przywołując captala. – A teraz bądź tak dobry i daj mi odetchnąć. Ci jegomoście wystarczająco męczą mój umysł.

– Jak mówiłem... – zaczął mistrz Pyle.

Podszedł do stołu z monetami i mistrz Ailwin popatrzył na niego z wdzięcznością w oczach.

– Król Galii... – zaczął de Vrailly.

Król zwrócił pełną siłę gniewnego spojrzenia na Zwycięzcę spod Lissen.

– Mistrz Pyle mówi, panie.

De Vrailly odwrócił głowę ku oknu jak nadąsany bazyliszek.

– Tak – mruknął mistrz Pyle. Rzucił na stół wiele razy skrawanego srebrnego lamparta i moneta zabręczczała jak śmiech leśnego duszka. Potem rzucił grubego srebrnego lamparta i usłyszeli głuchy grzechot. Wzruszył ramionami. – Więcej cyny niż srebra – wyjaśnił. – Słyszałem, że hrabia Hoeku i król Galii kradną nasze monety.

– Łżesz! – krzyknął de Vrailly. Był w pełnej zbroi, jako jedyny w pokoju. Mistrz Pyle uważnie mu się przyjrzał.

– Ten prawy naramiennik zahacza o kolczugę – zauważył po chwili.

De Vrailly znieruchomiał.

Królowa pomyślała, że nigdy nie widziała, żeby galijski rycerz był tak zбитy z tropu.

De Vrailly chrząknął.

– Zgadza się – potwierdził. – Mistrzu Pyle, nie możesz w mojej obecności podważać honoru króla Galii...

Mistrz Pyle nawet nie mrugnął. Przeniósł spojrzenie na króla.

– Tak słyszałem, Wasza Królewska Mość. To zupełnie zrozumiała reakcja, bo przecież nasza wełna wypiera z rynku ich wełnę. W przeciwieństwie do nas brakuje im praw wspierających wyrób tkanin, ponieważ tam ludzie niskiego stanu nie mają prawa głosu. – Przeniósł wzrok na mężczyznę w zbroi. – Kiedy więc ich rzemiosło podupada, królowie muszą wybijać monety z gorszego kruszcu, co obniża wartość pieniądza. To jest jak kradzież. – Uniósł rękę, żeby powstrzymać króla i de Vrailly'ego. – Ale nasz pieniądz jest mocny, twój ojciec tego dopilnował. Dlatego wszyscy w Dix Ports handlują w naszej walucie, i to jest naszą siłą. Oni dewaluują swoje pieniądze, my nie, dlatego nasz handel tak dobrze stoi. Więc co robią? – Odetchnął głęboko, świadom, że król wreszcie słucha. – Podrabiają nasze monety, ale zmniejszają wartość złota i srebra. Rozumiesz, panie? Teraz biją nas na dwa sposoby: płacą swoimi zdevaluowanymi monetami, wskutek czego handlarze są przekonani, że nasze monety są mniej warte, i najprawdopodobniej zabierają nasze prawdziwe monety i je przetapiają. – Podrzucił małego, mocno obciętego lamparta. – I nasza moneta jest stara, Wasza Królewska Mość. Stara i zmęczona, mocno okrojona i o wiele lżejsza, ale wciąż jest z czystego srebra. W każdym razie straciła część swojej wartości. – Zerknął na mistrza Ailwina. – Jak mi poszło?

– Genialnie – skomentował król. Jego głos już nie brzmiał żartobliwie; stał się twardy. – Ile to nas kosztuje?

Ailwin pokręcił głową.

– Chyba wszyscy z początku myśleliśmy, że to tylko skutek wydarzeń, które się rozegrały na wiosnę. Ale potem mistrz Random zaczął obliczać spadek zawartości srebra i ile na tym straciliśmy.

– Ile? – powtórzył król.

– Sto tysięcy lampartów – odparł mistrz Random.

Zapadła cisza.

– Wszystkie dochody Waszej Królewskiej Mości spadły, a kiedy ludzie płacą podatki tymi sfałszowanymi monetami, otrzymujemy jeszcze mniej pieniędzy, niż się spodziewaliśmy – powiedział mistrz Ailwin.

– Dobry Boże, wołałbym stawić czoło szarzy trolli – jęknął król. Na chwilę schował twarz w dłoniach. – Co możemy zrobić?

Burmistrz popatrzył na nową zbroję starannie ułożoną na bocznym stole. Każdy element był prawie ukończony, choć jeszcze brakowało sprzączek i zawiasów, a w miejscu zdobień widniały linie starannie wymalowane białą farbą.

– Na początek odwołać turniej – odrzekł. – Będzie kosztować tyle, co wojna, a na to nas nie stać.

Dłoń królowej powędrowała do szyi.

Król popatrzył na mistrza Pyle’a.

– Na pewno jest jakieś inne wyjście.

Mistrz Random uniósł rękę.

– Nie pochwalam odwoływania turnieju. Może zamiast tego otworzyć mennicę i wybić nowe monety? Wybić trochę miedziaków, dzięki czemu przez jakiś czas zachowamy równowagę. – Spojrzał na mistrza Pyle’a. – Pyle ma odpowiednie umiejętności, żeby sporządzić matryce, wiem o tym. Moglibyśmy bić miedziaki, które pod względem wielkości i ciężaru będą dokładnie odpowiadać cesarskim monetom w Liwiapolis, i w ten sposób zasłużyć sobie na wdzięczność wszystkich kupców i rolników na zachód od gór.

Pyle przewrócił oczami.

– Wyrabiam zbroje. Musimy znaleźć złotnika.

Mistrz Random pokręcił głową.

– Nie, za przeproszeniem, Wasza Królewska Mość, potrzebujemy lojalnego człowieka, któremu można absolutnie ufać, i ty nim jesteś, mistrzu Pyle. Przyjaciel króla. Twoje imię związane z monetą będzie... – Zrobił zmieszaną minę, gdyż uświadomił sobie, że sugeruje, że ludzie mogą nie ufać królowi.

Król skoczył na równe nogi.

– Dobrze powiedziane. Na Boga, Random, gdyby wszyscy moi kupcy byli

tacy jak ty, miałbym korpus kupców rycerzy. Przynajmniej twoje słowa potrafię zrozumieć. Do roboty... mistrzu Pyle, otwórz mennicę i wybij nam trochę monet.

– Mieszczanie tego nie pochwalą – zaznaczył burmistrz i zaraz potem wzruszył ramionami. – Oczywiście to oni prosili nas o poruszenie tej sprawy, więc nam przyklasną.

– Dlaczego mój kuzyn, król Galii, kradnie moje monety? – zapytał król. – Nie mówiąc o hrabim Hoeku?

Wszyscy obecni odwrócili głowy i popatrzyli na de Vrailly'ego. Rycerz skrzyżował ręce.

– To absurd – oznajmił. Rozejrzał się. – Jeśli brakuje wam funduszy, może zbierzecie je od tych, którzy je mają? Słyszałem, że hrabia Towbray ma wielkie zaległości podatkowe.

Burmistrz się uśmiechnął.

– Wielcy panowie nie są wielkimi płatnikami podatków. Kto może je pobrać?

– Ja – odparł de Vrailly.

Ailwin Darkwood spojrział na galijskiego rycerza z wyrazem twarzy zbliżonym do szacunku.

– Jeśli mógłbyś, panie, to królestwo byłoby twoim dłużnikiem – powiedział.

– Podatki samego Towbraya wystarczyłyby na pokrycie kosztów turnieju – pozwolił sobie dodać burmistrz. – A podatki panów z północy pokryłyby koszt wojny. Sam hrabia Zachodniego Muru zalega z podatkami większymi niż te, które wszyscy harndonscy kupcy płacą przez dziesięć lat. Ale on nigdy nie płaci.

Hrabia Pogranicza, dotąd milczący, pokiwał głową.

– Tyle że próba nakłonienia Muriena do zapłacenia podatku wywołała kolejną wojnę – powiedział.

Król się pochylił.

– Panowie, weszliśmy na niebezpieczny grunt. Mój ojciec przyznał hrabiemu pewne ulgi podatkowe za utrzymywanie mocnego garnizonu na północy.

Rebecca Almspend siedziała w milczeniu przez całą naradę. Drobna, ciemnowłosa i ładna w nieco eteryczny sposób, według królowej wyglądała jak piękna szara myszka, i tak się ubierała.

Nie była kanclerzem, ale przez królową miała dostęp do wszystkich papierów tych zacnych ludzi. Biskup Loriki zginął w wielkiej bitwie i jeszcze nikt

go nie zastąpił. Lady Almspend zagrzechotała dwoma zwojami i przemówiła cicho:

– Poddani hrabiego Zachodniego Muru wciąż zalegają z wieloma podatkami. Żaden nie został zapłacony... – uniosła głowę – od koronacji Waszej Królewskiej Mości.

Hrabia Pogranicza usiadł.

– Murien chowa się za plecami twojej siostry, Wasza Królewska Mość.

Captal pokiwał głową, ociężale, bardziej jak koń niż człowiek, bo nie zdjął hełmu.

– Towbray jest bliżej, ale nie miałbym nic przeciwko kampanii w Północnych Górach. – Captal, który nie słychał z szafowania uśmiechami, rozpromienił się na tę myśl. – Co za przygoda!

– Otóż to! – zawołał król, wyraźnie zachwycony. – Mistrz Pyle zajmie się mennicą, a captal z królewskim pełnomocnictwem i silną asystą zbierze podatki w Jarsayu. Ja wyślę jasno sformułowany list do męża mojej siostry, sugerując, że on może być następny. Załatwione! A teraz, zanim zapomnę... Randomie? Możesz uklęknąć?

Mistrz Random się uśmiechnął, zgrzytnął zębami i opadł na kolana.

– Błagam o łaskę Waszą Królewską Mość – powiedział.

Król skinął na swojego nowego giermka, młodego Galahada d’Acre.

– Miecz!

Galahad podał królowi miecz rękojeścią do przodu. Oręż był skromny – złoto, które kiedyś zdobiło jelec, prawie się wytarło. W głowicy znajdował się staw palca Świętego Jana Chrzciciela i powiadano, że człowieka, który go nosi, nie ima się trucizna.

Król dobył go z pochwy i głownia zaświszczała w powietrzu, żeby spaść niczym szerszeń na ramię Geralda Randoma, kupca-awanturnika.

– Wstań, ser Geraldzie – powiedział król. – Nikt bardziej niż ty nie zasługuje na pasowanie. Nalegam, żebyś nosił w herbie łeb człeka. Nadto mianuję cię zarządcą turnieju, który planujemy. Znajdź pieniądze i rozlicz się z kanclerzem.

Ser Gerald wstał jak człowiek z obiema sprawnymi nogami i zgiął się w ukłonie.

– Z przyjemnością, Wasza Królewska Mość. Ale będziesz potrzebował kanclerza, żeby się ze mną rozliczył.

– Obecnie hrabia jest konstabłem, więc nie może pełnić również obowiązków kanclerza. I lady Almspend nie może bez przerwy sprawować tej funk-

cji. – Król uśmiechnął się do dworki. – Kobieta kanclerz? – Patrzył na nią i po chwili jego inteligencja przeważała nad nietolerancją. – Jesteś, pani, najlepszym kanclerzem, jakiego znałem. Potrzebuję jednak nie talentu, lecz kogoś, kto ma dostatecznie duże wpływy w parlamencie, żeby dopilnować, by moje prawa, moje reformy monetarne i moje wojny przebiegały gładko.

Captal się rozejrzył.

– Wasza Królewska Mość. Jeśli...

– W takim razie mistrz Ailwin – wszedł mu w słowo Mistrz Pyle.

– Człowiek z gminu na najwyższym urzędzie w kraju? – zachnął się captal.

– Kto mu zaufa? Najpewniej ukradłby pieniądze.

– Obrońca króla, będąc cudzoziemcem, jest bez wątpienia nieświadom, że ostatni biskup Loriki urodził się w plebejskiej rodzinie – rzekła królowa lekким tonem, ale z ogniem w oczach. – Captalu, z pewnością już musisz wiedzieć, że takie słowa obrażają Albanów.

Captal wzruszył ramionami, ciężkie naramienniki się podniosły, świadcząc o sile jego barków i pleców.

– W takim razie niech rzucą mi wyzwanie. Bo inaczej... – zaszczycił ich swoim najbardziej błogim uśmiechem – przyjmę, że się ze mną zgadzają.

Oświadczenie Jeana de Vrailly'ego jak zawsze sprawiło, że zapadła cisza – w tym wypadku pełna oszołomienia cisza, gdy każdy z mężczyzn próbował zrozumieć: „Czy naprawdę powiedział to, co, jak się zdaje, słyszałem?”.

– Jako że nasze spotkanie stało się improwizowanym zebraniem króla i jego Tajnej Rady, czy mogę coś powiedzieć? – zapytał hrabia Pogranicza. – Od czasu bitwy na wiosnę północ pod wieloma względami nie wróciła do normalności. Ser John Crayford donosi, że w lasach roi się od boglinów i jeszcze gorszych stworów.

Król pokiwał głową. Uśmiechnął się do królowej.

Odwzajemniła uśmiech, ale z wdziękiem skinęła głową do hrabiego.

– Należy zastąpić wszystkich urzędników, którzy zostali zabici, to ważne – powiedziała. – Lorika potrzebuje nowego biskupa. Brakuje nam jego obecności na radzie.

Król skinął głową.

– Był dobrym człowiekiem. Dobrym rycerzem. – Rozejrzył się. – Był z nami, jak tylko sięgam pamięcią... jak stary Harmodiusz. Mój ojciec go mianował.

De Vrailly poderwał głowę.

– Król, bez względu na to jak bardzo umiłowany przez Boga, nie może

mianować biskupa!

Król wzruszył ramionami.

– Jean, może się pomyliłem.

Hrabia Pogranicza pokręcił głową.

– Captalu, nasi królowie mają prawo mianować biskupów za zgodą patriarchy w Liwiapolis.

De Vrilly westchnął.

– Patriarcha bez wątpienia jest godnym człowiekiem, ale nie prawowitym następcą Piotra.

Każdy Albanin albo nastroszył się na te słowa, albo w znudzeniu przestąpił z nogi na nogę. W Arles, Etrurii, Calle i Iberii mieli zwyczaj przemieniać spory religijne w otwarte konflikty, a inwestytura biskupów i prymat patriarchy Rhumu były dwoma wyjątkowo drażliwymi punktami zapalnymi. Dzięki odległości i izolacji Nova Terra była wolna od takich zatargów.

– Może... – Król wyszczerzył zęby. – Może znajdziemy kandydata odpowiadającego obu godnym ojcom, co wszystkich uszczęśliwi. – Zaskrzyły mu się oczy. – Czy nie byłoby to mądrością Salomona?

Mistrz Ailwin napotkał spojrzenie nowo pasowanego ser Geralda.

Ser Gerald uklonił się na siedząco.

– Wasza Królewska Mość, może to ma sens, ale w ten sposób uchylisz królewski przywilej i poprosisz dwóch ludzi, z których jeden rzadko uznaje istnienie tego drugiego, o pojednanie. – Rozejrzał się, zignorował chrząknięcie captala i wzruszył ramionami. – Lorika i północ potrzebują nowego biskupa natychmiast.

Król uśmiechnął się do żony.

– Zajmę się tym. Powołam komisję. Captalu, chyba dobrze się znasz na sprawach religijnych. Zajmiesz się tym?

– Z przyjemnością, Wasza Królewska Mość – odparł rycerz, kłaniając się ze szczękiem zbroi.

Król szepnął coś do żony i wstał.

– Dość interesów na jedno popołudnie, panowie.

Paziowie się zakrzętnęli i pokój opustoszał. Został Ailwin, Gerald Random i mistrz Pyle z dwoma służącymi.

– To zostało dobrze powiedziane. Biskup Loriki był przyjacielem maluczkich. – Pyle pokręcił głową.

– Obawiam się, że captal znajdzie galijskiego kandydata – powiedział Ailwin.



Random wzruszył ramionami.

– Mamy mennicę. Nie mamy biskupa. Takie jest życie dworu. – Podniósł się i pokuśtykał do wyjścia wsparty na ramionach służących.

Captal stał na korytarzu w towarzystwie swoich wszechobecnych giermków i nowego porucznika, świeżo przybyłego z Galii sieur de Rohan. Wszyscy trzej byli roslymi mężczyznami w pełnych zbrojach.

– Tak król wyobraża sobie rycerza – skomentował Rohan, gdy Random ich mijał.

Random przystanął. Obrócił głowę i uśmiechnął się życzliwie do obrońcy i przyjaciela króla.

– Czy mam to rozumieć jako obelgę, ser? – zapytał.

– Możesz to sobie rozumieć, jak zechcesz – rzucił Rohan.

Random przykuśtykał bliżej i stanął nos w nos z młodszym mężczyzną.

– Czy to znaczy, że boisz się mi powiedzieć, co naprawdę myślisz?

Sieur de Rohan poczerwieniał.

– To znaczy, że nie mam w zwyczaju rozmawiać z człowiekiem niskiego urodzenia.

Random wcale niedelikatnie pociągnął go za brodę.

– Myślę, że po prostu się boisz – powiedział ze śmiechem. – Przyślij mi pismne wezwanie na pojedynek, kiedy będę cały i zdrowy. Albo się zamknij i wracaj do domu. – Uśmiechnął się do captala. – Mam nadzieję, że wyraziłem się jasno.

Sieur sięgnął po sztylet.

Captal chwycił go za nadgarstek.

– Ser Gerald stracił stopę w czynie zbrojnym, którego każdy z nas mógłby mu pozazdrościć – wyjaśnił. – Będziesz musiał się pohamować.

– Zabiję go! – warknął Rohan.

Gaston d’Eu wyszedł z bocznego pokoju i ustawił się pomiędzy Rohanem i Randomem, który nie ustąpił pola. Ukłonił się Randomowi. Random odwzajemnił ukłon i pokuśtykał w swoją stronę.

– Nadchodzą ciężkie chwile – powiedział do mistrza Pyle’a.

## **Dziesięć lig na północ od Albinkirku – ser John Crayford**

Ser John nie miał na sobie zbroi.

Co więcej, leżał na brzegu strumienia w rajtuzach tak starych, że na kolanach łata była naszyta na łacie, i w kaftanie kupionym od wieśniaka dziesięć

lat temu. Kaftan miał nieokreślony kolor, nieco jaśniejszy niż futerko polnej myszy, i był bardzo ciepły w słońcu późnego lata.

W nocy spadł deszcz i kropelki wody połyskiwały na liściach paproci. Skrzyły się w promieniach wschodzącego słońca jak maleńkie drogocenne klejnoty płonące hermetycznym ogniem na tle przejrzystej czerni wolno płynącego strumienia.

Ser John w prawej ręce trzymał wędkę długą na cztery stopy z linką z końskiego włosa połowy tej długości, zakończoną haczykiem z kępką piór. Poruszył się ostrożnie, jak człowiek podchodzący do jelenia albo czegoś bardziej niebezpiecznego. Nie odrywał oczu od cudu, jakim były krople-klejnoty na liściach paproci, i patrzył z radością w sercu tak długo, jak długo trwało to zjawisko – przez kilka tuzinów uderzeń serca.

A potem, gdy słońce się wzniosło i zmienił się kąt padania promieni, zostały tylko zwyczajne kropelki wody. Ser John przeszedł po niskim garbie na brzegu strumienia, dojrzał skałę, która zaznaczała jego miejsce, i poruszył nadgarstkiem, subtelnie i wprawnie, jak do cięcia mieczem. Mucha poszybowała nad jego głową, a gdy poczuł zmianę napięcia, machnął wędką do przodu. Linka rozwinęła się z kołowrotka i muszka opadła na wciąż czarną wodę z delikatnością duszka, który zbiera dusze.

Gdy, nieświadom, że wstrzymywał oddech, istny potwór wychynął z głębin w ciemnozielonej i tęczowej eksplozji siły, chwycił swoją zdobycz i zawrócił tam, skąd przybył...

Ser John się wyprostował i uniósł koniec wędki, zatapiając haczyk w pysku ryby.

Pstrąg nie zareagował na szarpnięcie, rzucił się do ucieczki, ale wyskoczył z wody. Ser John obrócił go w powietrzu, uważając, żeby nie zwisał całym ciężarem na splecionym końskim włosiu. Poczuł, że ciężar wzrasta, i zrobił krok w prawo, jak podczas walki ze znacznie groźniejszym przeciwnikiem, pociągając rybę i lekko ją obracając, żeby nie mogła znaleźć płetwami oparcia na wodzie. Gdy padła na płask, pociągnął.

W jednej chwili miał rybę na brzegu – w następnej przycisnął ją lewą stopą i uśmiercił, uderzając w tył łba głowicą sztyletu.

Pogwizdując, wyjął cenny haczyk będący dziełem mistrza kowala i sprawdził, czy linka z końskiego włosa się nie splątała albo nie wystrzępiła, po czym wyjął nóż z pętelki przy sakiewce. Rozplątał pstrąga od odbytu po skrzela, wybrał kciukiem wnętrzości i wrzucił je do strumienia.

Zanim zatoneły, coś z dużym zielonym dziobem pociągnęło je w głębie.

Ser John sięgnął do rękojeści miecza. Minęło mniej niż sześćdziesiąt dni, odkąd oczyścił z ostatnich irków pola na południe od Albinkirku, i dopiero niedawno zaczęli przybywać nowi osadnicy. Wciąż był nerwowo.

To tylko jaszczurzy żółw, powiedział sobie w duchu.

Ale gdy słońce wzniosło się nad lasem, przyszło mu na myśl, że żółw, wydra, bóbr – i pstrąg – są takimi samymi stworzeniami Dzikich jak irkowie, bogliny czy trolle.

Zaśmiał się sam z siebie, wrzucił pierwszą rybę do siatki i umieścił ją w strumieniu – ostrożnie, na wypadek gdyby jaszczurzy żółw zamierzał skraść mu rybę. Miał włócznię. Jeśli będzie trzeba, to go ukatrupi.

– Kocham Dzikich – powiedział głośno.

I znowu zarzucił.

Dwór w Middlehill nigdy nie był wielki i od dziewięćdziesięciu lat służył jednemu rycerzowi. Helewiza Cuthbert stała przy ruinach stróżówki i przygryzała język, żeby się nie rozpłakać. Jej młoda córka niemal się do niej tuliła, a było to coś, czego nawet nie próbowała robić od wielu lat.

Rycerze Świętego Tomasza powiedzieli uciekinierom, że mogą bezpiecznie wracać do swoich domów na północy, i dobrze im zapłacili za powrót, dając narzędzia i nasiona. Helewiza patrzyła na swój dwór, który wyglądał jak czaszka niedawno zabitego człowieka – kamienie poczerniałe od ognia, niegdyś szmaragdowozielone podwórze zasłane porzuconymi tapiseriami i pościelą. Okna, kupione wraz z szybami w Harndonie i będące wielką dumą rodziny, były wytłuczone, a wielkie dębowe drzwi leżały płasko na ziemi; w małym ażurowym okienku wyrósł kolczasty krzak.

Za Helewizą stało dwadzieścia kobiet. Każda z nich była wdową. Ich mężczyźni polegali podczas bezskutecznej obrony Albinkirku albo mniejszych miast leżących na południe i zachód od Albinkirku – Hawkshead, Kentmere, Południowego Brodu i Sawreys.

Ich zbiorowe westchnienie przypominało jęk.

Helewiza zrobiła stanowczą minę i podniosła swój tobołek. Uśmiechnęła się do córki, która odpowiedziała radosnym uśmiechem dziewiętnastolatki.

– Co masz robić jutro, zrób dzisiaj – powiedziała Helewiza. – Praca, której nie zaczniesz, nigdy nie zostanie skończona.

Filippa, jej córka, poruszyła głową w sposób, który był zgorą dla wielu matek.

– Jak każesz, mamie – wykrztusiła.

Matka się odwróciła.

– Czy wolicie się poddać? – zapytała. – Rok pracy, może dwa, a z powrotem staniemy na nogi. Albo możemy zostać ubogimi krewnymi Cuthbertów w Lorice, i każda zostanie czyjąś ciotką-starą panną.

Filippa spuściła wzrok na swoje stopy. Wyglądały całkiem ładnie jak na stopy, i sznurowadła trzewików były przetknięte przez brązowe oczka, które połyskiwały, gdy chodziła. Uśmiechnęła się do swoich stóp.

– Chyba niezbyt mi się to podoba – powiedziała, myśląc o kilku chłopakach w Lorice. – I teraz jesteśmy tutaj. Zabierajmy się do pracy.

Następne godziny były niemal równie złe jak te, gdy ser Hubert zebrał mężczyzn z farm do walki z nawałą boglinów, a one rzuciły się do ucieczki. Filippa zapamiętała go jako skwaszonego starszego mężczyznę, który nawet nie umiał flirtować, ale z toporem runął na potwory i utrzymał drogę. Pamiętała, jak się oglądała, patrząc na wznoszący się i opadający topór.

Jej poglądy na temat pożytecznych cech u mężczyzny uległy czemuś, co jej matka nazwałaby „radykałną zmianą”.

Jerry Rose, jedna z nielicznych dziewcząt w jej wieku, znalazła pierwsze martwe ciała i nawet nie wrzasnęła. Kobiety już nie mogły krzyczeć. Zgromadziły się wokół niej i klepały ją po rękach, stara wiedźma Gwynn dała jej kubek wina z czarnego bzu, a potem zaczęły rozwlekać stos kości i chrząstek. Boglińskie zwłoki rzuciły na stos do spalenia. Inne...

Byli mężami, braćmi i synami. Dwie ofiary były córkami. Wszyscy zostali zjedzeni – kości obrane do czysta. W pewien sposób to ułatwiało zadanie. Filippa nie cierpiała wyjmować z łapki martwej myszy, miękkiej, jeszcze ciepłej. Praca przy stosie nie była taka zła, chociaż musiała przenosić kości ludzi, których znała. Przynajmniej jeden szkielet należał do chłopaka, z którym się całowała, i nie tylko.

Odarte z ciała wszystkie wyglądały tak samo.

Później znalazły drugi stos trupów, w sadzie jabłoniowym. W tym czasie Filippa była już zahartowana, a przynajmniej tak sądziła, dopóki Mary Rose nie splunęła i nie powiedziała:

– To kupa gnoju. – Znów splunęła, nie z pogardą, ale żeby nie zwymiotować.

Filippa, Mary i Jenny były najmłodsze, więc dostawały najcięższe zadania. Wszystkie umiały pracować łopatami, a Filippa uczyła się posługiwać siekierą, choć dostała od tego odcisków na dłoniach, z czego, jak wiedziała, chłopcy z Loriki nie będą zadowoleni. Oczywiście jeśli kiedykolwiek tam wróci.

Kiedy minęło południe, matka wezwała je dzwonkiem – potwory nie ukra-

dły naprawdę cennych rzeczy, jak zrobiliby rozbójnicy i łupieżcy. Zeszły z sadu na wzgórze. Pod okapem dworu stała beczka z deszczówką i Filippa umyła w niej ręce.

Jenny Rose się uśmiechnęła.

– Masz ładne dłonie, Filippo.

Filippa się uśmiechnęła.

– Dzięki, Jen. Chociaż, jak się obawiam, zrobią się gorsze, zanim się polepszą.

Mary Rose przystanęła, żeby też się umyć.

– Jacy są chłopcy w Lorice? – zapytała z tupetem.

– Mary Rose! – skarciła ją siostra.

– Mniej więcej tacy jak wszędzie, jak się spodziewam – powiedział ktoś.

Przy narożniku domu stała wysoka szczupła kobieta w czarnym habicie zakonnicy, z krzyżem Świętego Tomasza na piersi. Uśmiechała się do dziewcząt.

– Przystojni, zabawni, pełni złości, głupi, nieśmiali, próżni i cudowni – kontynuowała zakonnica. – Ty jesteś Filippa? Twoja matka się martwi.

Dziewczęta dygnęły. Jenny i Mary sztywno, jak uczył wioskowy ksiądz. Filippa giętko przypadła do ziemi i wyprostowała się płynnie, jakby jej nogi nie miały kości.

– Siostro? – zapytała.

Zakonnica miała piękny uśmiech.

– Chodźcie.

– Naucz mnie to robić – szepnęła Jenny.

Na kolację była szynka, ser i dobry chleb, i wszystko to zapewne przybyło z fortecy razem z zakonnica. Z młyna przy krzyżówce Gracwaite została wypalona ruina i w żadnym mieście wokół Albinkirku od tygodni nie było chleba, świeżego chleba.

Na podwórzu stały piękny lekki wierzchowiec i muł.

Zakonnica wydawała się dziwna, ani szczególnie dobrze wychowana, ani nieuprzejma. Była trochę zbyt krzepka jak na arystokratkę; miała piękne, ale niesforne kasztanowe włosy, odrobinę zbyt ponętne usta i bardziej rozkazujące niż rozmarzone oczy. Filipa ogromnie ją podziwiała.

Obecność zakonnicy podniosła kobiety na duchu. Zdawało się, że siostra nie dostrzega wiszącego nad nimi cienia, a nadto przywiozła im nasiona do późnego siewu. Muł miał zostać do orki, dopóki forteca nie przyśle wołów.

– Przypuszczam, że znaleźliście sporo martwych. – Powiedziała to zwyczajnie, bez afektacji czy próby upiększenia prawdy.

– Prawie wszystkich naszych mężczyzn – odparła Helewiza. – Ale nie ser Huberta. Spodziewałam się go znaleźć. Miał brygantynę.

– Widziałam, jak walczył – odezwała się Filippa, choć nie miała takiego zamiaru. – Widziałam jego topór. Nigdy go nie lubiłam. Nie byłam dla niego miła. – Głos się jej załamał. – Zginął za nas.

Zakonnica pokiwała głową.

– Ciężkie czasy zmieniają nas wszystkich w sposoby daleko wykraczające poza naszą znikomą wiedzę. Uczą nas wielu rzeczy o nas samych. – Ściągnęła brwi. Po chwili uniosła głowę. – Pomódlmy się.

Po modlitwie w milczeniu spożyły posiłek. Zakonnica skończyła jeść i wstała.

– Kiedy się umyjemy, spalimy martwych i odprawimy nabożeństwo oznajmiła.

Filippa nigdy nie przepadała za religią, więc była zaskoczona, gdy wzruszyły ją ciche modlitwy zakonnicy, jej szczerze błagania o przyjęcie dusz zmarłych do nieba i kazanie – i to, jak głęboko poruszone były wszystkie kobiety i jak pokładały ufność w Bogu.

Kiedy zakonnica skończyła, uśmiechnęła się i pocałowała każdą z nich w oba policzki. Podeszła do stosu martwych boglinów. Nie cuchnęły, ale przecież nie gniły jak ludzkie zwłoki – ich skóra i grube skorupy potrzebowały więcej czasu, żeby wrócić do ziemi.

– Bóg stworzył Dzicz tak samo, jak stworzył Człowieka – powiedziała zakonnica. – Choć byli naszymi wrogami, prosimy, żebyś ich przyjął do siebie.

Uniosła twarz ku niebu, zamknęła oczy i nakreśliła znak krzyża. Cały stos obrócił się w piasek.

Dwudziestu kobietom na chwilę zapało dech w piersi.

Zakonnica zwróciła się do Helewizy:

– Dzień jest jeszcze młody. Co sądzisz o siewie?

Ser John wędkował zbyt długo.

Złowił i zabił łącznie więcej niż dziesięć funtów pstrągów – może znacznie więcej niż dziesięć funtów – i wędkowało mu się nadzwyczajnie, choćby dlatego, że nie miał konkurentów, bo większość innych wędkarzy nie żyła. Nie chciał przerywać łowienia, ale gdy słońce zaczęło opadać ku zachodowi, zmusił się do wyciągnięcia linki z wody. Oszedł milę w dół strumienia od

miejsca, z którego wyruszył – milę od swojego konia i, jak nagle zrozumiał, milę od swojej włóczni.

Nie tyle wystraszony, ile łając się za głupotę, wyciągnął połów z wody i ruszył wzdłuż brzegu. Słońce późnego lata wciąż było silne i czerwone, i Dzicz rzadko wyglądała mniej groźnie, ale ser John zbyt dobrze znał jej zwyczaje, żeby dać się zwieść. Szedł szybko, starając się robić to jak najciszej.

Przebył czwartą część odległości, kiedy coś go zaalarmowało – może ruch albo dźwięk. Zamarł, potem bardzo powoli położył się na ziemi.

Leżał nieruchomo przez długi czas, strzelając wzrokiem we wszystkie strony. Kąt padania promieni stopniowo się wyostrzał. W końcu wstał i ruszył szybkim krokiem po ścieżce. Wzdłuż każdego takiego strumienia ciągnęła się ścieżka wydeptana przez ludzi, przez Dzicz. Dzielili się szlakami.

Strzał z łuku od konia wspiął się na drzewo i omiół spojrzeniem okolicę. Nie dostrzegł ścierwojadów, ale z południa napływał bezustanny szelest i dwa razy usłyszał daleki trzask gałęzi, jakby jakieś duże zwierzę przedzierało się przez las. Wiedział, że za godzinę zapadnie ciemność.

Zsunął się z drzewa, przeklinając mięśnie ramienia, starość i to, że jutro będzie potwornie obolały, ale przystanął, żeby podnieść worek z rybami spod drzewa.

Z ogromną ulgą zobaczył – nawet nie wiedział, jaki był zmartwiony że koń jest tylko trochę nerwowy, nie szalony jak boglin. Osiodłał rosnącego wierzchowca, który był niedoszłym rumakiem bojowym, i sięgnął po ciężką włócznię do rozwidlenia konarów, gdzie ją zostawił o wschodzie słońca.

– Ale ze mnie idiota – powiedział głośno.

W lesie znowu panował spokój.

Armia Dziczy została pokonana, ale w lasach nie brakowało niebezpieczeństw. Postąpił bardzo lekkomyślnie, zostawiając konia. Stał przy nim i jął go uspokajać.

Wsunął nogę w strzemię, wciągnął się na siodło i zawrócił do domu.

Dwieście stóp przed nim młoda łania wyskoczyła spomiędzy drzew na łąkę. Była za młoda, żeby zachować należytą ostrożność, i popędziła prosto na niego, nigdy wcześniej nie ujrawszy człowieka ani konia.

Za nią z lasu wyskoczyło sześć boglinów. Ich przywódca zatrzymał się na polanie, smukła ciemna postać na tle jasności. Ser John dopiero po chwili zrozumiał, co ma przed oczami. Boglin trzymał miotacz oszczepów.

Oszczep wystrzelił z miotacza z prędkością strzały i trafił łanię w zad. Potknęła się, upadła, trysnęła krew. Napędzana strachem i determinacją wstała i

popędziła prosto na rycerza.

Ser John czuł pomiędzy kolanami nerwowe dygotanie wierzchowca. Stary Jack nie nadawał się na konia bojowego, ponieważ łatwo się płoszył na dziedzińcu i nigdy z tego nie wyrósł.

– Zawsze jest kolejna szansa, żeby się wybić – mruknął ser John i opuścił grot włóczni.

Łania zobaczyła konia i próbowała skrócić, ale kończyny odmówiły jej posłuszeństwa i runęła na ziemię. Bogliny natychmiast do niej przypadły.

Ser John spiął konia ostrogami i wałach wyskoczył spod starego drzewa.

Łania żałośnie zabeczała. Jeden z boglinów rozplatał jej brzuch i wywlekał wnętrzności, podczas gdy drugi zatopił zęby otwieranego w dwie strony pyska w jej zadzie. Ten z miotaczem miał długi nóż. Z przeszywającym zawodem wyrwał oszczep z ciała konającego zwierzęcia.

Ser John nie miał czasu, żeby natrzeć na niego konno i, będąc bez zbroi, nie chciał się narażać na trafienie oszczepem, dlatego stanął w strzemionach i rzucił włócznią, dwoma łokciami stali na końcu długiego na sześć stóp jesionowego drzewca. Rzut nie był czysty, ale wirująca w powietrzu włócznia trafiła boglina w głowę i stworzenie zaskrzeczało.

Ser John dobył miecza.

Jego koń opuścił głowę, galopując prosto na martwą łanię.

Mszczę martwego jelenia, na litość boską, pomyślał rycerz i ściągnął wodze. Cztery bogliny padły trupem. Ten obalony pośpiesznie rzuconą włócznią popiskiwał, jak wszystkie inne małe ranione stworzenia, i wnętrzności wylewały mu się przez szczeliny pomiędzy płytami pancerza jakby pod wpływem ciśnienia.

Jednego brakowało.

Koń się spłoszył. Zrobił krok w bok i wierzgnął, to wszystko, ale dzięki temu ser John obrócił głowę. Zobaczył, że powalane łajnem stworzenie w rozbryzgu krwi i tkanki mięśniowej wyskakuje z brzucha łani, i rzuca się na niego z pazurami.

Koń kopnął tylną lewą nogą, tylną prawą. Ser John zdołał utrzymać się w siodle, gdy przerażony wierzchowiec tratował boglina odkopniętego od łani i leżącego w pyłe starej drogi.

Ser John pozwolił koniowi wierzgać. Dzięki temu obaj się lepiej poczuli.

Później sprawdził, czy wciąż ma ryby.

Popołudnie przechodziło w wieczór. Zakonnica była w kuchni z Helewizą.



Filippa przyszła pomóc, bo robiło się ciemno, a trzeba było udroźnić komin, żeby zacząć pracę w kuchni. Helewiza i zakonnica postanowiły opóźnić kolację.

W kanałach kominowych ptaki uwiły gniazda, a w nadstawkach zagnieżdżyły się szopy. Filippa pomyślała, że to zadanie jest lepsze niż szukanie trupów, więc z chęcią się za nie zabrała. W ostatnim świetle dnia wspięła się z Jenny Rose na kryty łupkiem dach i miotłą płoszyła szopy. Nie chciały się wynieść – oglądały się na nią, jakby mówiąc: „Chcemy tylko po kawałeczku kurczaka. Czy nie możemy żyć wszyscy w przyjaźni?”

Nagle dostrzegła ruch daleko na północy i wyciągnęła brudną rękę do Jenny Rose.

– Sza! – przykazała.

– Sama się sza! – burknęła Jenny, ale zaraz potem zobaczyła jej twarz i zamarła.

– Tętent kopyt – powiedziały jednocześnie.

– Mogę rozpalić ogień, moja droga?! – zawołała z dołu Helewiza.

– Tak, i ktoś nadjeżdża! – odkrzyknęła Filippa trochę bardziej piskliwym głosem, niż chciała.

Po chwili zakonnica wyszła z drzwi kuchni i stanęła z rękami na biodrach w resztkach dziennego światła. Bardzo powoli obróciła się dokoła, patrząc we wszystkie strony. Potem spojrzała na dach.

– Co widzisz, Filippo? – zapytała.

Filippa zmusiła się, żeby zrobić to, co właśnie zrobiła zakonnica. Obróciła się powoli, balansując na kalenicy.

– Och! – pisnęła Jenny i wskazała palcem.

Nad strumieniem na zachód od nich zamigotało światło, piękne pomarańczowe światło, a po chwili następne.

– Duszki! – krzyknęła Jenny.

– Najświętsza Mario Panno... – Filippa się przeżegnała. – Duszki! – zawołała do zakonnicy. – Nad strumieniem!

Zakonnica uniosła rękę i uczyniła znak.

Tętent kopyt brzmiał coraz głośniej.

Duszki z wdziękiem sunęły wzdłuż strumienia. Filippa widziała je wcześniej i kochała je, chociaż były oznaką dominacji Dzikich i podziwianie ich uchodziło za grzech. Teraz, w połączeniu ze stukiem galopujących kopyt, wydawały się groźniejsze.

Słońce schowało się za pasmem wzgórz na zachodzie.

Prawie od razu zrobiło się chłodniej. Zapadała noc. Filippa zadrżała ubrana tylko w koszulę i spódnicę.

Stal błysnęła na drodze, tętent napływał już z niedaleka. Koń był zmęczony, ale jeździec dobrze się spisywał. Choć był bardzo stary, z powiewającymi siwymi włosami, plecy miał proste i pewnie siedział w siodle. Nosił odzienie wieśniaka, lecz u jego boku wisiał długi miecz, a w ręce trzymał włócznię. Filippa spędziła lato wśród ludzi, którzy codziennie chodzili uzbrojeni, i znała się na broni.

Przybysz ściągnął wodze przy zrujnowanej stróżówce, stanął w strzemionach, a potem powiedział coś do swojego wierzchowca. Koń posłuchał, zbierając resztki sił, i mężczyzna zniknął z pola widzenia. Po chwili pojawił się pod dwoma starymi dębami na podjeździe.

Zakonnica uniosła rękę.

– Bądź pozdrowiony, messire – powitała go dźwięcznym głosem.

Starzec wstrzymał wierzchowca na skraju tego, co kiedyś było dziedzińcem.

– Witaj, piękna siostrze. Nie przypuszczałem, że zasiedlanie dotarło już tak daleko. Przejeżdżałem tędy dziś rano i dałbym sobie głowę uciąć, że nikogo tu nie było.

Zakonnica się uśmiechnęła.

– W istocie, panie rycerzu.

– *Ma belle*, dwornie mówisz. Czy znajdzie się tu nocleg dla starca ze starym koniem? – Ukłonił się w siodle.

Śmieszne było ukradkiem obserwować go z dachu. Filippa dała obojgu wiele punktów za grzeczność – rozmawiali jak bohaterowie pieśni rycerskich, które uwielbiała. Zupełnie inaczej niż głupi, bez przerwy przeklinający chłopcy w Lorice.

– Nie możemy udzielić ci takiej gościny jak w przeszłości, ser Johnie – powiedziała jej matka, stając w drzwiach od podwórza.

– Helewiza Cuthbert, własnym oczom nie wierzę! – wykrzyknął stary. – Co tutaj robisz?

– To mój dom, jak się zdaje – odparła jej matka z charakterystyczną dla niej szorstkością.

– Chryste na krzyżu... Bądź ostrożna. Pięć mil stąd zabiłem trzy pary boglinów. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – Ale cieszę się, że cię widzę, dziewczyno. Jak się sprawuje Pippa?

Filippa od lat nie pozwalała matce, żeby ją tak nazywała, i choć miała

pewne pojęcie, kim musi być ten człowiek, nie przypominała sobie, żeby go kiedyś widziała.

– Dość dobrze jak na jej wiek. Z pewnością chętnie napijesz się wina. Jesteś tu mile widziany.

Przybysz zsiadł z konia jak znacznie młodszy mężczyzna, wysuwając stopy ze strzemion i zeskakując na ziemię, chociaż trochę zepsuł efekt, przykładając rękę do krzyża.

– Czy tu będzie dom religijny? – zapytał zakonnice.

Młoda siostra się uśmiechnęła.

– Nie, panie rycerzu. Przybyłam z wizytą; zaglądam do wszystkich nowych osad na północ od Południowego Brodu.

Filippa patrzyła, jak ser John kiwa głową, a potem ujmując dłoń jej matki.

– Myślałem, że pojechałaś do Loriki – powiedział.

Uniosła twarz i go pocałowała.

– Nie mogłabym tam zostać i być ubogą krewną, gdy mam dom – odparła.

Ser John odsunął się z uśmiechem, oderwał od niej wzrok i spojrzał ponownie, i znowu się uśmiechnął. Ukłonił się zakonnicy.

– Ser John Crayford, kapitan Albinkirku – przedstawił się. – Wczorajszego wieczora powiedziałbym: „Jedź i bądź dobrej myśli”, ale nie jestem zbyt zadowolony z mojego małego spotkania z boglinami. Co mi przypomina, że będę ci wielce zobowiązany za szmatę i trochę oliwy – dodał, zwracając się do Helewizy.

Filippa była zafascynowana całą sceną. Jej matka zachowywała się... dziwnie. Potrząsnęła włosami jak dziewczyna, a włosy miała rozpuszczone, ponieważ pracowała. I ten stary był stary, ale miał w sobie coś... coś trudnego do zdefiniowania. Coś, czego nie mieli chłopcy w Lorice.

– Przyniosę ci ścierkę, Johnie, ale zostań, proszę. Jesteśmy tu same, bez jednego mężczyzny. – Nawet jej głos brzmiał dziwnie.

– Helewizo, nie mów mi, że natknąłem się na zamek pełen dziewic. Nie jestem już młody, żeby się tym cieszyć. – Rycerz się roześmiał.

Stara Gwynn zachichotała.

– Raczej nie znajdziesz tu dziewicy, stary – powiedziała.

Filippa była zbulwersowana, że zakonnica się śmieje. Z jej doświadczenia wynikało, że zakonnice są surowymi, ponurymi kobietami, które nie pochwalają śmiechu, a już zwłaszcza ze sprośnych żartów o seksie, nawet tych najbardziej niewinnych.

Zakonnica przestała się śmiać i spojrzała rycerzowi w oczy.

– Poradzę sobie na drodze – oznajmiła.  
– Na Świętego Jerzego, ty jesteś *Bonne Seur Sauvage!* – wykrzyknął. –  
Siostra Amicja?  
Dygnęła.  
– Do usług.  
Roześmiała się.  
– Na słodkie rany zmartwychwstałego Chrystusa, Helewizo, nie jestem ci tu potrzebny. Ta dobra siostra prawdopodobnie zabiła więcej bestii niż wszyscy rycerze na zachód od Albiny razem wzięci. – Uśmiechnął się do zakonnicy. – W donżonie mam dla ciebie paczkę. Podeślę ją do klasztoru.  
– Paczkę? – zapytała.  
Wzruszył ramionami.  
– Przybyła miesiąc temu, dostarczona przez posłańca ze wschodu. Z Gospody Dormling.  
Zarumieniła się.  
Rycerz mówił dalej:  
– W każdym razie, jeśli planujesz jeździć moimi drogami, będę ci wdzięczny za wiadomości o tym, co zobaczysz. Dzicz wciąż tu jest, bliżej, powiedziałbym, niż przed rokiem. Te panie mają szczęście, że tu jesteś, *ma setter*. Ja nie jestem potrzebny!  
Filippa chciała zjeść kolację, więc obie z Jenny zeszły po drabinie na ziemię i minęły panią Helewizę, szepcząc:  
– Niektóre z nas cię potrzebują, panie rycerzu.

## **Zamek Ticondaga na Murze – hrabia Zachodniego Muru i Ghause Murien**

O wiele za długo spoglądała w srebrne lustro.

Westchnęła.

Jasne włosy, wciąż biało-złote dzięki sztuczkom i fantazmowi, spadały jej na plecy, okrywając krągłości pośladków. Piersi miała pełne i jędrne, budzące zazdrość kobiet o połowę młodszych.

Czym ja się przejmuję? – pomyślała. Jestem czymś więcej niż sumą mojego biustu i długości nóg. Jestem sobą!

Ale głęboko się przejmowała. Chciała być wszystkim, czym była, i wciąż móc omamić każdego mężczyznę, jakiego chciała.

Podniosła podbitą futrem szatę. Narastał poranny chłód, jeszcze nie rozpa-

lono w kominkach i wiedziała, że gęsia skórka nie podkreśli jej piękna. Ani paskudny kaszel.

Otułiła się szatą, pod wpływem impulsu nakryła piersi rękami, i usłyszała szmer...

– Nie teraz, głupcze! – syknęła do męża, hrabiego, ale już trzymał ją za kołnierz, podniósł bez wysiłku i rzucił na łóżko.

Przycisnął ją silną ręką i ściągnął swoje grube odzienie.

– Jestem... Przestań! – krzyknęła, gdy opadł na nią całym ciężarem ciała.

Nakrył wargami jej usta.

Wiła się pod nim.

– Prostaku! Wstaje! Nie możesz zapukać?

– Jeśli będziesz prężyć swoje cudowne ciało przed otwartymi drzwiami, zawsze dostaniesz to, na co zasłużyłaś – wydyszał do jej ucha.

Miał zimne stopy – nigdy nie nosił kapci. Ale jego upór miał swój urok, jego silne ręce znały wiele sztuczek i kiedy kolanem rozsunął jej nogi, założyła dźwignię na jego ramię i przetoczyła go jak zapaśniczka. Usiadła mu na piersi, sięgnęła ręką do tyłu i złapała kutasa. Jęknął.

Pstryknęła go paznokciem i nadziała się, a hrabia szeroko otworzył oczy, zdumiony, że role tak szybko się odwróciły. Ujął w dłonie jej piersi.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, niewierna dziwko – warknął w jej szyję.

– Co mi dałeś, wielki głupcze? – zapytała, gdy próbował przewrócić ją na plecy i wsunąć się na nią.

Złapała jego ramię i przycisnęła do łóżka. Spuściła włosy na twarz, więc nie mógł jej zobaczyć. Śmiała się, on też się śmiał, ale nagle zarzucił twardą jak żelazo rękę na jej plecy, przesuwał ją coraz niżej, i jęknęła...

...i nagle znalazł się na niej, szczerząc zęby jak zwierzę, którym był. Nie wysunął ręki spod jej grzbietu i ją podtrzymywał, gdy kopulowali tak, że napinała wszystkie mięśnie pleców. Splotła nogi nad jego udami i z całej siły ukąsiła go w ramię, aż krew spłynęła jej po zębach. Wbił paznokcie w jej skórę. Wiła się, kolanami ściskając jego boki, i poruszała głową – pochylił się, żeby wpić się ustami w jej lewą pierś...

Powoli zsunęli się z łóżka, zasłony utrzymywały ich ciężar przez trzy długie sekundy, a potem się rozdarły – Ghouse prawą stopą uderzyła w podłogę, a potem była na nim, i to jego plecy spoczęły na zimnych kamiennych płytach, i to jego głowa unosiła się ku niej. Posmakował krwi na jej wargach, a ona poczuła smak swojej soli...

Był taki moment, kiedy stopili się z Dziczą. Ona zalała go *potentia*. On wygiął plecy w łuk tak mocno, że prawie z niego spadła.

A potem skończyli.

– Na Chrystusa i jego świętych, dziwko, mogłaś rozbić mi głowę – powiedział.

Oblizwała usta.

– Dosiadłam cię. Ujeżdżałam cię jak konia. Jak wielkiego rumaka.

Dał jej w nagi pośladek tak siarczystego klapsa, że aż krzyknęła.

– Przyszedłem cię powiadomić, że dostałem list – oznajmił. – Ale brałaś w ręce swoje cycuszki i wyglądałaś tak apetycznie, że miałem ochotę cię zjeść.

– Przeciągnął ręką po lewym ramieniu, zobaczył krew na dłoni i parsknął śmiechem. – Słodki Jezu, to ja byłem jedzony. Jak ty to robisz, wiedzmo? Jesteś starą babą, a ja nie chcę innej.

– Dzisiaj kończę pięćdziesiąt lat – powiedziała. Przeciągnęła ręką po jego ramieniu, umieściła na nim maleńki czar i rana się zasklepiła.

Wstał i pogładził jej nogę, zaczynając od pośladka, i Ghouse zamruczała.

– List może zaczekać – warknął, pchając ją do tyłu.

– Nie jesteś za stary na takie rzeczy? – zapytała.

Godzinę później siedzieli na ciężkich krzesłach w głównej sali zamku. Ona miała grubą szatę z miękkiej jak aksamit niebieskiej wełny, usianą złotymi gwiazdami wyhaftowanymi przez jej damy dworu, a on nosił strój z moreańskiego atlasu w niebiesko-żółtych barwach Murienów. Byli w podobnym wieku, ale hrabia miał więcej siwizny niż brązu we włosach, na głowie i w brodzie. Wyglądał jak drapieżny orzeł, a Ghouse jak orlica. Ich spojrzenia często się spotykały, ich ręce wciąż były złączone: dwoje ludzi, którzy niedawno się kochali i nie mogą o tym zapomnieć.

Ticondaga należąca do wielkich zamków Alby była kluczem do Muru, najsilniejszą skałą broniącą przed Dziczą. Wznosząc się czterysta stóp nad lasem, panując nad zatoką jeziora z dostępem do Wielkiej Rzeki, uchodziła za niezdobytą przez Człowieka i Dzicz. Wysokie na sześćdziesiąt stóp zimne granitowe ściany, masywna brama, trzy koncentryczne pierścienie murów, potężny donżon i dolne piętro zamku wycięte w litej skale góry, choć wspinałe z militarnego punktu widzenia, przez większą część roku stanowiły miejsce mało przyjemne do życia, a w środku zimy były wręcz nie do zniesienia.

Pod koniec lata ranem było tylko zimno. Wszyscy nosili wełnę w Ticonda-

dze.

W wielkiej sali do posiłków zasiadał cały garnizon – sześćdziesięciu rycerzy i czterystu żołnierzy z żonami, bogdankami, kochankami albo kurwami. Hrabia uważał, że widywanie się z ludźmi trzy razy dziennie umacnia ich lojalność, i trzydzieści pięć lat władania największą i najniebezpieczniejszą domeną w Albie nie zmieniło jego poglądów. Tak więc śniadanie wydawano dla prawie pięciuset osób – owsianka, herbata, babeczki i gęsta śmietana, przetwory i cydr. Kiedy hrabia Zachodniego Muru podejmował gości wysokiego rodu, kazał serwować wykwintniejsze potrawy i jego sława hojnego gospodarza sięgała aż do Galii, ale sam lubił prostą strawę, jakkolwiek w ogromnych ilościach. Jego ludzie dobrze jadali.

Niegdyś sześć wielkich zamków strzegło Muru i na północy było sześciu panów. Wcześniej byli oni legatami dalekiego cesarza. W jeszcze głębszej przeszłości, kiedy kamienie fundamentów twierdzy były nowe, sam cesarz zasiadał w tej sali.

Czasy się zmieniły i przodkowie hrabiego objęli panowanie nad północą po obu stronach Muru. Co więcej, gdy Mur się rozkruszył, stracił swoją wartość jako fortyfikacja czy granica. W ciągu stu lat Murienowie poszerzyli swoje włości kosztem terenów Południowych Huranów po drugiej stronie rzeki, a także zagarnęli ziemie na wschodzie i zachodzie, nominalnie należące do ich sprzymierzeńców i krewnych.

Sam hrabia uwieńczył dzieło, rozgramiając Orleyów w wielu toczonych po lasach zażartych bitwach i podczas kulminacyjnego oblężenia Świętego Jena, kiedyś najpotężniejszej fortecy Muru. Młody, pełen energii, wspomagany przez żonę hrabia zdobył fortecę i wyciął załogę, rzucając w płomienie ciała wszystkich Orleyów, ich dzieci, kobiety i sługi. Odniósł tak totalne zwycięstwo, że stary król ani myślał nakładać na niego grzywnę, a młody, będący bratem jego żony, nie kwapił się przysparzać mu kłopotów. Stary król stoczył wielką bitwę pod Chevinem bez pomocy Murienów, i zmarł niedługo później, a młody król nigdy nie próbował wyegzekwować swojej władzy na północy.

Przez jakiś czas krążyły zwykłe plotki, że jakiś dziedzic Orleya przeżył. Murien zbywał je pogardliwym śmiechem i zaorał ich posągi, a także ich wieśniaków, pod skalistą glebą. W czasie gdy jego synowie osiągnęli wiek męski, nikt nie rzucał wyzwania prymatowi Władcy Północy.

Lady Ghouse przeciągnęła się jak kotka, pokazując łydkę obleczoną w pończochę, co sprawiło, że jej kocur znowu zamruczał. Zjadła stosik babe-

czek, zlizwała dżem malinowy z łyżki, po czym przebiegła wzrokiem po mężu.

– Przestań, wiédźmo! Mam robotę. – Roześmiał się.

– Czy wspomniał o jakimś liście? – zapytała. – Jaką robotę? Jesteś Kogutem Północy. Ty nie pracujesz.

– Wśród Huranów doszło do waśni, która dzieli ich klany, i są bliscy wojny. Sossagowie stali się silniejsi, a Huranowie osłabli, i to jest moja sprawa. Słyszałem o Moreańczykach wśród...

Ghause schrupała następną babeczkę.

– Moreańczycy zawsze mieli swoich ludzi wśród Huranów. To zrozumiałe, bo przecież dzielą tę część Muru.

– Kobieto, jeśli codziennie rano będziesz zjadać tyle babeczek, twoje uda zrobią się grube jak kolumny w tej sali. – Zaśmiał się z jej apetytu.

– Chamie, gdybyś był taki szczupły jak ja, pomywaczki chętniej wskakiwałyby do twojego łóża – zripostowała.

– Tak jak ich absztyfikanci wskakują do twojego? – syknął hrabia.

– Stwierdzam, że im starsze drzewo, tym twardsze drewno – powiedziała, a on niemal zakrztusił się cydrem.

Pokręcił głową.

– Dlaczego cię kocham, ty samolubna, próżna czarownico?

Wzruszyła ramionami.

– Sądzę, że lubisz wyzwania – odparła i skinęła na swojego trzeciego syna, Eneasza, który u stóp podium czekał na jej rozkazy. Był jej ulubieńcem: absolutnie posłuszny czarujący młodzieniec, doskonały rycerz, całkiem niezły bard.

– Tak, matko?

– Pora odesłać tego chudego bękarta na wychowanie – powiedział hrabia.

– Matko Boska, jest za stary, żeby usługiwać przy stole. Poślijmy go do Towbraya.

– Mówiłeś, że wszyscy synowie Towbraya są rozpustnikami i sodomitami – słodko przypomniała mu żona.

Hrabia wylał kroplę miodu z Dżicy na kromkę grubo posmarowanego masłem świeżego chleba i jadł niechlujnie, brudząc miodem brodę i ręce. Ghause wyczuła w miodzie utajoną *ops*.

– W istocie. Weź tego Michaela... co za nicpoń! Uciekł! Gdyby mój syn to zrobił... – Wzruszył ramionami.

Przymrużyła piękne fiołkowe oczy.

– Twój syn to zrobił, głupcze – powiedziała uszczypliwie.



Ściągnął brwi.

– Nie przeciągaj struny, pani. – Podniósł się lekko. – Czy był mój? Czy któryś z nich jest mój? – mruknął.

Wyprostowała się, przesywając go wzrokiem.

– Czwarty jest trochę do ciebie podobny... i równie wredny. – Wzruszyła ramionami.

Znowu się roześmiał i poklepał ją po udzie.

– Na Boga, pani.

– Masz na myśli: na Wroga.

– Nie będę brać udziału w twoich bluźnierstwach – powiedział. – Jest tu posłaniec z listem. Od Gawina.

Posłaniec od drugiego syna wzbudził jej zainteresowanie. Ghause szczerzej otuliła się szatą, pokazując tylko tyle ciała, żeby hrabia – i każdy inny mężczyzna w pierwszych trzech rzędach stołów – miał na co patrzeć, po czym skinęła palcem na posłańca, przystojnego mężczyznę w średnim wieku, w skromnym czerwonym kaftanie i czarnych butach z wysokimi cholewami.

– Jakie wieści z południowych krajów, messire? – zapytał hrabia. Był ciekaw, jak to się stało, że jego syn korzysta z usług królewskiego kuriera. Chłopak musiał się cieszyć dużymi względami.

Mężczyzna się uklonił.

– Piętnaście dni jechałem przez góry, hrabio. Otrzymałeś wiadomość o bitwie na południu?

Murien skinął głową.

– Dziesięć dni temu przybył posłaniec, ale długi czas przedtem przeorysza przysłała mi wiadomość z Lissen Carak. Wiem, że silna grupa Sossaagów przeszła za Mur daleko na zachodzie, poza zasięgiem moich patroli, jak się obawiam.

– Ser Gawin wysłał mnie z Gospody Dormling, żebym przekazał ci wieści i powiedział, że czarnoksiężnik Głóg został przepędzony z pola bitwy pod Lissen Carak. Ser Gawin sądzi, że się wycofał na północ. Kilku jego przyjaciół, którzy mają nadnaturalne moce, jest podobnego zdania.

– Głóg? – zapytał hrabia.

– Sza, nie wywołuj wilka z lasu – przykazała Ghause, nagle bardzo poważna. – Później go poszukam. Kiedyś był Richardem Plangere'em. Wtedy byliśmy na etapie gruchania i robienia słodkich oczu.

Jej mąż uniósł brew – wyszli daleko poza gruchanie i robienie słodkich oczu po piętnastu minutach sam na sam jakieś dwadzieścia lat temu.

– To tylko figura retoryczna – zaznaczyła.

Posłaniec miał taką minę, jakby próbował zapaść się pod kamienną podłogę.

– Jak się sprawuje mój syn? – zapytała Ghouse.

– Nadzwyczajnie! – odparł kurier. – Zdobył wielką sławę. Odniósł ranę w wielkiej bitwie na wzgórzach, a później walczył z boglinami pod zamkiem.

– Tak? Został ranny? – zapytała uprzejmie.

– Ciężko, ale magister Harmodiusz...

– Oszust. Szalbierz. Mów dalej. – Zdawało się, że oczy jej płoną.

– Pan Harmodiusz go uzdrowił, choć były.... komplikacje. – Posłaniec wyciągnął tubę ze zwojem.

– Stary szarlatan. A jakże się miewa moja droga przyjaciółka, przeorysza Lissen? – Ghouse schyliła się i jej szata lekko się rozchyliła.

Posłaniec oblizał usta i uniósł wzrok, żeby spojrzeć jej w oczy.

– Zginęła w bitwie.

– Sophia nie żyje? – Ghouse opadła na oparcie krzesła i spojrzała w sufit trzydzieści stóp nad nią. No, no. To ci dopiero wiadomość.

Hrabia wziął zwój. Rozwinął go, przeczytał kilka słów i trzasnął kościaną tubą w poręcz tronu tak mocno, że pękła.

– Psiamać – zaklął. – Gabriel żyje.

Ghouse zamarła. Kolory odpłynęły z jej twarzy, a ręka poderwała się do gardła.

– Co? – wykrztusiła.

Podniósł zwój. Twarz miał czerwoną jak burak.

*Ojczy i Matko,*

*zaczę od powiedzenia, że Gabriel żyje i jesteśmy razem. Jeśli słyszeliście o kapitanie najemników, którego zwą „Czerwonym Rycerzem”, to właśnie on. Wygrał bitwę zwaną „na Wzgórzach” i utrzymał Lissen Carak przeciwko samemu diabłu. Trafiłem tam po opuszczeniu dworu. Tamtejsze życie jest nie dla mnie – a może za bardzo je polubiłem. I poprosiłem o rękę lady Mary – tak, Ojczy, to córka hrabiego Garetha. Dołączyłem do Gabriela. Nasza kompania – mamy sporą kompanię, ponad sto kopii...*

Hrabia uniósł wzrok.

– Gabriel? Mój słaby na umyśle syn dowodzi kompanią kopii? Co to za czary? Ten niewieściuch nie umiałby poprowadzić gromady dziewuch na zrywanie kwiatów.

Napotkał lodowate spojrzenie małżonki.

– Zawsze byłeś głupcem – skomentowała.

*...zmierza do Morei, śpiesząc z pomocą cesarzowi. Powierzyłem temu posłańcowi pewne wiadomości dotyczące wielkiego Wroga, którego pokonaliśmy w Lissen, ponieważ żywimy poważne obawy, że magister Zdrajca może szukać szczęścia na północ od Muru. Gabriel podzielił się ze mną pewnymi informacjami, w których prawdziwość teraz wierzę, ale zachowam milczenie, dopóki nie usłyszę od Matki i od Ciebie, jak doszło do tak głębokiego rozłamu w naszej rodzinie. Tymczasem jadę u boku mojego brata i wybornie się razem bawimy – znacznie lepiej, jak mnie mam, niż w czasach dzieciństwa.*

– Co Gabriel mu powiedział? – rzuciła pytanie Ghouse. Z łatwością mogła sobie wyobrazić, jak Gabriel stawia czoło potędze Diczycy i ją zwycięża.

Dzika radość ryknęła w jej piersi niczym ogień, który bierze w posiadanie gałązki, brzozową korę i starannie porąbaną rozpałkę. Gabriel – jej Gabriel, jej ucieleśnienie zemsty na świecie ludzi – żyje. Nieważne, że z pewnością jej nienawidzi. Uśmiechnęła się.

Mężczyźni tego nie zauważyli.

Później, w zaciszu swojej wieży, sporządziła mały fantazm. Dobrze знаła Richarda Plangere’a. Znalazła go bez trudu, rzucając czar, żeby go tropił, jeśli się poruszy, i stwierdziła, że przebywa niespełna trzysta lig dalej – i że jest o wiele potężniejszy niż wtedy, kiedy ostatni raz go oszukała.

Poruszyła palcami.

– Jestem, skarbie – powiedziała, nie kryjąc zachwyty. Wszystko ją zachwycało, bo właśnie się dowiedziała, że Gabriel żyje.

Postanowiła rzucić okiem na tę lady Mary. Nie widziała dziewczyny odkąd miała ona jedenaście czy dwanaście lat – kiedy była niezgrabna, bez wciętej talii, pod żadnym względem nie będąc kandydatką na żonę dla Gawina, humorzastego, trudnego, skorego do gniewu. Nie był jej ulubionym synem, choć najłatwiejszym do manipulowania.

Czary były skomplikowane, ponieważ wieść niosła, że ta dziwka, nowa żona króla, jest czarodziejką, a Ghouse nie miała zamiaru dać się przyłapać na węszeniu; cały dzień poświęciła na zastawianie sideł, czytając z językiem ściśniętym pomiędzy zębami księgę wiedzy tajemnej i pisząc srebrem na podłodze.

Usłyszała powrót kawalkady hrabiego, ale prawie skończyła i nie zamierzała dla niego przerywać pracy. Zapaliła magiczne światło, potem drugie, i usłyszała głosiki duszków w eterze. Nienawidziła duszków i ich bezdusznego żerowania na świecie ludzi i z przyjemnością używała ich ciałek, żeby dawały jej światło.

W świetle ich katuszy dokończyła strukturę. Sięgnęła w głąb swojego labiryntu – eterealnego pałacu pełnego jeżyn, jabłoni i róż, które lekko przywię-

dły – i wezwała bogatą zieloną moc pachnącą gliną, deszczem i nasieniem, po czym pchnęła ją przez swoją strukturę i wtedy zobaczyła.

*Dziewczyna była naprawdę ładna – miała piękne włosy, białe zęby i niezłą figurę. Co najlepsze, miała rozłożyste biodra, dobre do noszenia dzieci, i do tego czytała. Kobieta umiejąca czytać była prawdziwym skarbem.*

*Ghause obserwowała ją w eterealu tak długo, jak ksiądz odprawia mszę, uważnie przyglądając się jej ruchom i zachowaniu. Patrzyła, jak lady Mary unosi krzyż wiszący u pasa i zmawia modlitwę. Jej usta wypowiedziały imię „Gawin”. Ghause to usłyszała i się uśmiechnęła.*

*Hrabia krzyknął z dołu i ktoś załomotał w jej drzwi. Ghause poczuła kolejną obecność i nagle zobaczyła tę dziwkę, żonę króla.*

*Lady Mary wstała i położyła brewiarz na bocznym stoliku.*

*– Pani?*

*Królowa weszła do pokoju i pojawiła się w zasięgu wzmocnionego wzroku Ghause. Jej piękno ugodziło ją niczym ostry nóż wrażony w samą duszę. I...*

*...była...*

*...brzemienna.*

*Ghause zerwała czar i wrzasnęła.*

## **Sześćdziesiąt lig na zachód od Lissen Carak – Bill Redmede**

Wędrówka przez pustkowia na zachód od Lissen Carak była koszmarem.

Jack Jacków, Bill Redmede, dzień w dzień prowadził swoich wyczerpanych, tracących wiarę w siebie ludzi coraz dalej na zachód. Patrzyli na niego z tą mieszaniną zaufania i zdumienia, która, jak wiedział, nieuchronnie doprowadzi do ostatecznego upadku wiary, a następnie rozluźnienia dyscypliny. I był pewien – równie pewien jak tego, że arystokraci są brzemieniem na ramionach ludu – i że na wschodzie nie ma żadnego schronienia.

Co noc odtwarzał w myślach zasadzkę, która powinna im zapewnić zwycięstwo. Miał to być dzień, kiedy król i jego klika zostaną obaleni, kiedy chłopci pańszczyźniani Alby odzyskają wolność, a panowie upadną, dławiąc się własną krwią. Analizował w myślach każdy błąd, który popełnił, każdy układ, w którym pośredniczył. I jak wszyscy inni grubo się pomylił.

Najczęściej, gdy leżał i marzył pod peleryną, rozmyślał o Głogu. Swój koc oddał Natowi Tylerowi, który miał gorączkę i sraczkę, i wciąż mu się pogarszało. Nieśli go przez kilka dni, dopóki nie oznajmił, że może chodzić, ale szedł w milczeniu, a kiedy rozbili obóz, natychmiast się położył i zasnął.

Redmede'owi brakowało jego rady.

Najgorsze ze wszystkiego było to, że od klęski minął ponad miesiąc, a on tak naprawdę nie miał celu. Słyszał, że daleko na zachodzie Dżiczą rządzi możny pan, stary i potężny irk, który ma fortecę i kilka wiosek zamieszkałych przez wolnych Zamurzan. Usłyszał tę pogłoskę, kiedy werbował chłopów pańszczyźnianych w Brogacie; zastanawiał się, czy to nie wymysły, obietnica równie fałszywa jak niebo głoszone przez księży. Podróżowali już od miesiąca, rozpaczliwie poszukując pożywienia i zabijając każde zwierzę dość duże, żeby się nadawało na posiłek...

Niedostatek pożywienia stanowił najistotniejszy problem. Zakrawało na ironię, że jego sukces, jakim było wyratowanie Jacków z pogromu po klęsce, obecnie oznaczał, że jest ich zbyt wielu, żeby wszyscy się mogli najeść do syta, gdy upolowali jelenia. Zjedli resztki zapasów, kiedy wysiedli z łodzi na końcu spławnego odcinka Cohoctonu i ruszyli na zachód. Podążali wąską wstążką ścieżki wydeptanej przez pokolenia Zamurzan i stworzeń Dżiczy, podobną do jeleniego szlaku, ale szeroką na dwanaście cali i tak ubitą, że nie zostawał na niej odcisk stopy ani nawet pazura czy kopyta.

Na setki jardów po obu stronach ścieżki nie było zwierzyny. Jedyne znaki życia w lasach były te, które pozostawiły bogliny. Kiedy po pogromie Głóg porzucił swoje wojska, uwolnił związane swoją wolą tysiące małych, ale śmiertelnie groźnych stworzeń. One też były na szlaku, zmierzając na zachód. Do domu.

Ta myśl budziła przerażenie.

Ale ten szlak dokądś prowadził. Tyle Redmede wiedział.

Same lasy wydawały się groźniejsze, niż pamiętał. Cisza przytłaczała zdawało się, że w pogromie Dżiczy ucierpiały nawet owady. Lato było nadzwyczaj ciche. Bill Redmede nigdy się nie zapuścił tak daleko na zachód.

Dzień drogi na zachód od Łęgów Cohoctonu natknęli się na wioskę irków spaloną do gołej ziemi. Wyglądało na to, że mieszkańcy prawdopodobnie sami podłożyli ogień – nie było zwłok ani żadnych sprzętów. Zostały tylko zgliszczą dwudziestu czterech chat w wielkim kręgu, otoczone przez palisadę przeplecioną pędami jeżyn i innych ciernistych krzewów, poczerniałych, ale wciąż kolących.

Jeden z ludzi krzyknął na ten widok.

– Są przed nami! Słodki Jezu, Jack, rycerze są...

Redmede miał ochotę mu przyłożyć, ale spokojnie wsparł łuk o ziemię i pokręcił głową.

– Rusz głową, młody Peterze. Niby jak mieliby się tu dostać, co? Irkowie sami to zrobili.

Rozkazał ludziom szukać piwniczek i znaleźli dziesięć, wszystkie puste. Zdesperowani, wydłubowali z ziemi suche ziarnka kukurydzy, po jednym, gdy nagle młody Fitzwilliam znalazł zakopany garnek, wielką kamionkę zawierającą dwadzieścia funtów ziarna. Po kolejnej godzinie kopania trafili na drugi.

Czterdzieści funtów ziarna na dwustu ludzi to tylko garść na głowę, ale Bill wysłał trzech najlepszych doświadczonych leśników na północ, za strumień, skąd wrócili z dwoma jeleniami, gdy kukurydza prażyła się w ogniu.

Nazajutrz rano stał się cud: ujrzeli stado indyków zuchwale drepczących przez pola na południu – dwadzieścia tłustych ptaków. Gdy się za nimi uganiali, Jack zobaczył, że pod samym lasem zostały dojrzałe kolby kukurydzy. Irkowie zebrali, ile mogli, zanim spalili swoją wioskę, ale najwyraźniej przeoczyli ten kawałek pola. Albanowie uprawiali owies, jęczmień i pszenicę, a irkowie i Zamurzanie rodzimą kukurydzę. Ziarna miały dziwnie słodki smak, ale Bill umiał na pierwszy rzut oka rozpoznać zbawienie. Dwadzieścia indyków i czterysta kaczanów kukurydzy złożyło się na drugą ucztę. Mając pełny brzuch i czas na myślenie, zdecydował, że następny dzień poświęcą na odpoczynek i wyślą więcej myśliwych na północ i południe, żeby szukali jeleni.

Ludzie, których wyprawił na północ, nie wrócili. Czekał na nich trzy dni i opłakał stratę swojego najlepszego zwiadowcy, zwanego przez wszystkich Siwym Calm. Cal był za dobry, żeby się zgubić, i za stary, żeby podejmować głupie ryzyko. Ale Dzicz to Dzicz.

Mieszaniec, półkwi Zamurzanin i Moreańczyk, zaproponował, że spróbuje wytropić starego i jego grupę. Redmede znalazł się w kłopotcie, bo mierząc się z kolejnym wyzwaniem, jednocześnie musiał poznawać swoich ludzi – do walki pod Lissen Carak ściągnęli Jackowie z innych konspiracyjnych komórek, a lata cierpliwego czekania wprawdzie pomagały w werbunku, lecz teraz ani trochę nie były pomocne. Redmede nie znał ciemnoskórego mężczyzny ani jego umiejętności.

– Mówisz, towarzyszu, że jak się nazywasz? – zapytał.

Młody mieszaniec przykucnął. Miał pióro we włosach jak Zamurzanin i wschodni rogowy łuk, nie bojowy.

– Mów mi Kot – odparł. Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – Mamy jakieś jedzenie, szefie?

– Nikt tutaj nie jest niczym szefem – powiedział Redmede.

– Gówno prawda. Ty jesteś szefem. Inni... wielu bez ciebie nie przeżyłoby tu jednego dnia. – Uśmiechnął się. – Pozwól mi znaleźć Cala. Dzięki niemu wiele razy się najadłem. Dobry człowiek. Dobry przyjaciel. Dobry towarzysz.

Redmede nagle odniósł wrażenie, że wysła swojego nowego najlepszego zwiadowcę na poszukiwanie starego.

– Jutro pójdziemy szlakiem na zachód – powiedział. – Wiesz coś o tym szlaku, towarzyszu?

Ciemnoskóry mężczyzna patrzył na szlak tak długo, że Redmede zaczął mieć nadzieję na uzyskanie odpowiedzi. Kot się uśmiechnął.

– Prowadzi na zachód, jak się zdaje. Mogę poszukać Cala?

– Idź z moim błogosławieństwem. – Redmede dał chłopakowi trochę świeżo uprażonej kukurydzy.

Kot podniósł dar do czoła.

– Tara mnie ochroni – powiedział. Tara była zamurzańską boginią.

Redmede nie mógł się powstrzymać.

– Przesady nie pomogą nas wyzwolić.

Kot się uśmiechnął.

– Nie – zgodził się. Wepchnął garść kukurydzy do ust, podniósł łuk i skoczył w gęstniejącą ciemność.

Następna noc obozowania była gorsza; zjedli paski kiepsko ususzonej dziczyzny i trzęśli się przy ogniskach. Redmede był pewien, że są obserwowani. Wyszedł z obozu o zmierzchu i po raz drugi o świcie, poruszając się tak cicho, jak nauczyło go dwadzieścia lat życia człowieka wyjętego spod prawa, ale nie zobaczył niczego poza zgiętym źdźbłem trawy ani nie usłyszał trzasku pękającej gałązki, którego nie mógłby przypisać pręgowcom i szopom.

Jego ludzie chudli. Patrzył na nich, gdy szli wąską wstążką szlaku większość miała podarte nogawice, żaden kaftan już nie był biały. Dobrą wełnę pokrywały plamy od leżenia, spania, czołgania się i po prostu życia, i kaftany miały wiele odcieni lasu. Wciąż były za jasne, ale na surowość bieli nałożyły się tysiące odcisków przyrody i Dzicz w podobny sposób wpływała na mężczyzn i kilka kobiet, które im towarzyszyły.

Kobiety stanowiły dla niego źródło zatroskania. Słyszał parę kopulującą w ciemności, a jeśli on słyszał, to znaczyło, że ze dwieście par innych uszu nasłuchuje z tym samym głodem. Mężczyźni mogą żyć wstrzemięźliwie, ale jeśli jeden czy dwóch ma okazję zażyć trochę rozkoszy...

Szedł wzdłuż szeregu, aż zrównał się z najstarszą kobietą wśród Jacków.

Bess dorównywała mu wzrostem i nie była z niej żadna piękność, choć tutaj, w Diczcy, jej grubokościste ciało o ciężkich piersiach wyglądało równie naturalnie jak bobrowa tama i dziesięć razy atrakcyjniej.

Bill Redmede skrzywił się w duchu.

– Bess? – zagadnął. – Przejdziemy razem parę kroków?

Bess położyła zrolowany koc na biodrze, przełożyła sznurek przez ramię i podniosła łuk.

– Czego chcesz? – zapytała bez ogródek.

– Kobiety. Pieprzenia. – Popatrzył na nią. Miał nadzieję, że inni go nie słyszą.

Zmarszczyła brwi.

– Masz dziwny sposób zapraszania dziewczyny do łóżka, Jack.

Zatrzymał się i oparł o drzewo tak grube, że razem nie zdołaliby go objąć.

Zaczęło padać. Redmede zaklął. Pobiegł wzdłuż szlaku i rozkazał długim szeregom Jacków, że mają podjąć marsz, a później wrócił do niej.

– Nie chodzi o mnie – powiedział. – Chcę, żebyś powiedziała dziewczynom...

– Pieprz się, Billu Redmede – burknęła Bess. – To nie armia królewska. Te siostry mają takie same prawa jak każdy Jack, prawo do noszenia broni, prawo do własnego ciała. Tak, towarzyszu?

Bill przebrnął tuzin kroków.

– Siostry, są ideały i dopiero potem codzienne... – Urwał, szukając słowa. – Codzienne rzeczy – dokończył kulawo. – Każda kobieta ma prawo do swojego ciała. Ale bodaj to zaraza, jesteśmy w trudnej sytuacji...

Bess szła trzy kroki przed nim. Zatrzymała się, odwróciła i położyła rękę na jego ramieniu.

– W trudnej sytuacji dowiadujemy się, jacy jesteśmy. Tym większy powód, żeby siostry robiły to, na co mają ochotę.

Bill rozmyślał nad tym przez chwilę.

– Mogą wyniknąć kłopoty.

– Czy jesteś naszym panem? Naszym władcą? Naszym ojcem? – zapytała wyzywającym tonem. – Mogą wyniknąć kłopoty i może powiem słówko siostram, jeśli będzie się na nie zanosilo. Ale to nie twoja sprawa, prawda, Billu Redmede?

Patrzył na nią, spodziewając się, że rozzłości go podważanie jego autorytetu, lecz zamiast tego odczuwał zadowolenie. Był rad, że ktoś inny jest prawdziwym wyznawcą idei.



– Najważniejsze jest dobro większości, siostrze – powiedział.

Bess pokiwała głową.

– Tak, potrafię zrozumieć.

Tego dnia myśliwi niczego nie upolowali i w obozie bez przerwy było sły-  
chać narzekanie. Wielu ludzi skłaniało się ku obwinieniu przywódcy. Redme-  
de mógł to wyczuć.

Nastał ranek po deszczowej nocy, którą przesпали tylko najbardziej zahar-  
towani weterani. Dobre było to, że nikt nie uprawiał seksu, ale rano wstali  
chudsi, z bardziej zapadniętymi policzkami, i ci, którzy już zrolowali mokre  
peleryny i koce, kłócili się o byle drobiazg.

Dwóch chłopów pańszczyźnianych z Albinu – nowych, młodych, względ-  
nie silnych i dobrze odkarmionych – w milczeniu zapakowało swoje rzeczy i  
potruchtowało szlakiem, kierując się na wschód.

Zjawił się Nat Tyler. Od wielu dni miał sraczkę i trzymanie się na nogach  
było wszystkim, co mógł robić, ale powoli wracał do zdrowia. Redmede nig-  
dy nie widział twardszego mężczyzny i serce mu urosło, kiedy zobaczył, że  
jego najbardziej zaufany przyjaciel naciąga cięciwę na swój długi łuk.

– Mogę stąd ich dosięgnąć – powiedział Tyler.

– Widzę, towarzyszu, że lepiej się czujesz. Ale daj spokój. Nigdy nie zabi-  
jemy naszych. – Patrzył, jak dwóch mężczyzn się oddala.

– Musimy, kiedy narasta potrzeba. – Tyler splunął, lecz opuścił przygoto-  
waną strzałę z powrotem do kołczana i starannie zaciągał rzemień chroniący  
zawartość przed wilgocią. Patrzył na Bess, gdy przechodziła z wysoko unie-  
sioną głową, z wyprężonymi ramionami. – W nocy gorączka się przesiliła –  
mruknął. – I słyszałem mnóstwo narzekań.

Redmede patrzył w deszcz.

– Będzie gorzej – powiedział.

Po południu, w ulewnym deszczu, zebrał trzy grupy myśliwych, w tym jedną  
złożoną z sześciu niechętnych ludzi, niedawno zbiegłych chłopów pańszczyź-  
nianych, i kazał Tylerowi ich podszkolić. Mieli za złe jego rządy, zimno, wil-  
goć i głód – nie były to idealne okoliczności, w jakich powinno się uczyć po-  
ruszania po lesie.

– W takiej ulewie nie uświadczysz, kurwa, ani jednego jelenia – powie-  
dział Tyler.

– W takim razie wytrop je w matecznikach – warknął Redmede.

– Zrobiłbym to, gdyby te lasy były moje i gdybym wiedział, gdzie są ma-

teczniki. Ale nawet wtedy, psia twoja mać, nie poszedłbym w taką ulewę.

– Deszcz zabija zapach – zaznaczył Redmede. – Potrzebujemy mięsa. Jak mus, to mus.

– Może sam się tym zajmiesz, Bill? – zaproponował Tyler. Mimo wszystko zdobył się na nikły uśmiech. – Niech ci będzie.

O zmierzchu rozbili obóz, jeśli położenie się pod ociekającą koroną klonu można nazwać obozowaniem. Wszystko było mokre: ziemia, ludzie, ich ubrania, koce i peleryny.

Mrok utrudniał zbieranie drewna na opał, ale Redmede sam kierował tym zadaniem i Bess go wspierała, więc zanim niebo zrobiło się czarne, mieli wysoki na chłopa stos mokrych gałęzi. Wycieńczeni ludzie wstawali z miejsc, w których padli, i szli w las po drewno. Redmede widział, że poruszają się jak ciężko chorzy; zbierali chrust z zaciśniętymi ustami, nerwowo, i to wystraszyło go bardziej niż jawny bunt.

Bess znalazła skarb – dziuplę w jabłoni pełną starannie zabezpieczonej suchej kory brzozonej. Redmede wyjął krzesiwo i zabrał się do pracy, ale wiatr i deszcz nie pomagały, podobnie jak widownia. Niebo było już czarne niczym serce wielkiego pana, kiedy w końcu zwęglone płótno się zajarzyło.

Nawet wtedy po trzech próbach nie zdołał zapalić pakułów, które najwyraźniej zwilgotniały, choć przechowywał je w porządnej blaszance noszonej przy gołej skórze. Zaklął.

Bess wzruszyła ramionami.

– Przestań lamentować – powiedziała. – Znam pewną sztuczkę.

Rozdrobniła w rękach trochę kory, gdy trzy inne kobiety swoimi kaftanami osłaniały ją przed deszczem. Brzozowy pył zajął się od zwęglonego płótna, błysnął płomień i zapalił kawałek kory, który zapłonął w ciemności niczym magiczny ogień. Wszyscy w ciemnym i mokrym obozowisku spontanicznie, na całe gardło, krzyknęli z radości. Po minucie zajął się kopczyk brzozonej kory, a dziesięć minut później cały wielki stos ryczał, płomienie skakały w powietrze na dwadzieścia stóp, tak wysoko, że deszcz się rozstępował nad ich głowami.

Dzięki powołanemu do życia ogniowi Jackowie znaleźli w sobie siły, żeby zebrać więcej opału, choć musieli go szukać po omacku – przynosili naręcza mokrego, na wpół spróchniałego drewna, ale w tym czasie nie miało to najmniejszego znaczenia. Od ogniska bił taki żar, że koszule schły na grzbietach w ciągu kilku uderzeń serca, choć jednocześnie groziło to zagotowaniem krwi. Chorzy i najbardziej wycieńczeni ułożyli się nogami w stronę ognia, w

kręgu dość bliskim, że dawało się oddychać, i rozkoszowali się taką wygodą, o jakiej w Dziczy można tylko marzyć.

Nat Tyler zjawił się blisko północy. Ognisko wciąż płonęło jak latarnia i ludzie podsycali je na zmianę, odchodząc po chrust na sto czy więcej stóp w otaczającą ciemność.

– Jakbyś wywiesił szyld – powiedział. Kucnął przy Redmede’em wyraźnie wyczerpany.

– Znalazłeś coś? – zapytał Redmede.

– Łanię i dwa jelonki – odparł Tyler z szerokim uśmiechem. – Nie było to ładne, ale je dopadliśmy. Dziwne, wtedy widzieliśmy twój ogień wyraźnie jak palce mojej ręki, lecz po zejściu ze wzgórza zabłądziliśmy... nawet na pewien czas zgubiliśmy strumień. – Pokręcił głową. – Bodaj to zaraza, zabłąkanie się w ciemności jest jak piekło na ziemi, towarzyszu.

– Zostawiłeś ich? – zapytał powoli Redmede.

Nie chciał odpowiedzi. Rozgrzał się, od dwóch dni nie był taki suchy i nie miał najmniejszej ochoty odchodzić od ogniska.

– Kazałem chłopakom siedzieć kołkiem i powiedziałem, że po nich przyjdę – odparł Tyler. – Zaraz ich sprowadzę.

– Lepiej pójdę z tobą – powiedział Redmede. Miał nadzieję, że jego głos nie zdradził zbyt wielkiej niechęci.

Tyler westchnął.

– Chciałbym ci powiedzieć, że możesz zostać i odpoczywać. – Milczał przez dłuższą chwilę. – Ale chyba nie mogę tam iść sam. Przysnąłem pod drzewem... sam nie wiem, jak długo spałem. Minutę? Trzy? Dwadzieścia? – Wstał. – Tam coś jest.

– Coś z Dziczy? – zapytał Redmede. – Jesteśmy sprzymierzeńcami.

Tyler zmarszczył brwi.

– Nie wierz w to, Billu Redmede. To pierdolona Dzicz, którą znam jak własną kieszeń. Nie są sprzymierzeńcami nawet pomiędzy sobą, bodaj zaraza ich wszystkich. To świat krwi i pazurów, a teraz jesteśmy dla nich łatwym łupem.

Redmede zadrżał. Jął wyciągać bułat z pochwy i nagle znieruchomiał zobaczył rdzę na ostrzu i rdza była też w pochwie. Ponieważ bułat był jego najcenniejszą rzeczą, owładnął nim gniew i smutek. Sprawdził, w jakim stanie jest sztylet, po czym pokręcił głową nad łukiem i kołczanem. Powiesił kołczan na świerku, oparł długi łuk o pień pomiędzy gęstymi martwymi gałęziami i zrobił na nich namiot z peleryny.

– Idziemy.

Pewności siebie wystarczyło mu może na dziesięć kroków, a potem ziąb, bezustanny deszcz i daremność wędrowania w czarnej jak smoła ciemności podziały na niego jak kubeł wody wylany na głowę.

Tyler mamrotał do siebie i Redmede się martwił, że jego towarzysz nadal gorączkuje. Przedzierali się przez zarośla, tratując młode olchy i świerki, robiąc tyle hałasu, co stu konnych rycerzy. Redmede źle stąpnął i spadł z brzegu, moczając całą nogę w lodowatym Cohoctonie. Kiedy się obejrzał, zobaczył ogień płonący niczym góra światła strzał z łuku za ich plecami. Zamarło mu serce.

– Nigdy nie wróciłbym w ten mrok bez ciebie, Billu – powiedział Tyler. – Chryste na krzyżu, mam nadzieję, że znajdę chłopaków. Srali ze strachu i bardziej zawadzali, niż służyli pomocą. Powinienem zostawić ich z tobą.

– Kiedyś muszą się czegoś nauczyć – odparł Redmede.

Stawiał jedną stopę przed drugą, to zawsze mu pomagało przebrnąć przez takie chwile. Poza tym Tyler robił, co trzeba, przecierając szlak i odnajdując drogę do miejsca, gdzie zostawił zbiegłych chłopów. On musiał tylko iść za nim i nie upadać na duchu.

Szli bez końca, aż otumaniał i miał wrażenie, że zasnął, jednocześnie marszerując w padającym deszczu. Ulewa głużyła wszelkie inne dźwięki, otaczała ich nieprzenikniona ciemność. Kierował się nikłym połyskiem mokrego kaftana swojego towarzysza, matowym lśnieniem jego skórzanego pasa ze skórzaną manierką i kształtem jego głowy na tle lejącej się z nieba wody. Przechodzili od drzewa do drzewa, niewiele widząc, i potykali się o niskie gałęzie – wędrownka była wyczerpująca i wydawało się, że nie ma końca.

Nagle coś go uderzyło.

Tknięty przecuciem uderzenie serca wcześniej zrobił unik i się odwrócił. Włócznia, która miała trafić go w kark, ześliznęła się po boku głowy i spadła na ramię – zabolęło, ale nie był to cios, który zatrzymałby wojownika. Bez namysłu chwycił drzewce, obrócił je w rękach, wyrywając napastnikowi, po czym trzasnął nim z całej siły. Stworzenie odskoczyło ze zduszonym jękiem – bogliny roiły się w paprociach u jego stóp...

– Bogliny! – wrzasnął.

Tyler miał nieco więcej czasu i wykorzystał go na dobytecie miecza z pochwy. Redmede zobaczył ostrze, które przemknęło tak blisko jego policzka, że gdyby było więcej światła, ujrzałby w nim swoje odbicie. Usłyszał głucho łupnięcia i zbryzgała go ciepła jucha.

Zaciekle dźgał włócznią. Ciemność działała na jego niekorzyść, ale nigdy w życiu nie ustąpił pola. Przeszył kamiennym grotem dwie czy trzy bestie, zanim poczuł w kostce palący ból, który mu powiedział...

...zaraz potem zjawił się Tyler, tnąc i dźgając sztychem, wycinając osaczające go bogliny. Obaj przycisnęli się plecami do pnia wielkiego drzewa.

Bogliny uciekły.

– Ranili mnie, Nat. – Bill Redmede bał się jak nigdy w życiu. Czuł krew spływającą po kostce i widział poruszające się paprocie.

Tyler splunął.

– Też mi sprzymierzeńcy – mruknął.

## ROZDZIAŁ CZWARTY



### **Lutecja – król Galii**

– Jean de Vrailly? – zapytał król wysokim, ostrym głosem. – Jest w Nova Terra? Cudownie. Dla nas wszystkich.

Dworzanie parsknęli śmiechem. Kilku ściągnęło brwi.

Seneszał d'Abblemont należał do tych roześmianych.

– Przysłał list, Wasza Królewska Mość.

Król przewrócił oczami.

– Nie miałem pojęcia, że umie czytać i pisać – skomentował; kobiety zachichotały. – Dobrze, przeczytaj.

*„Od szlachetnego rycerza, Jeana de Vrilly, do jego królewskiego suwerena i pana, wielce możnego i potężnego Władcy Gór Pensey, Obrońcy...”*

– Oszczędź mi tego, Abblemont. – Podniesiony głos króla ciął niczym ostry nóż.

– Wasza Królewska Mość. Hm... „Bądź pozdrowiony. W duchu rycerskości i na dowód, że jestem godzien nadanego mi przez wielu tytułu największego rycerza na świecie”... Wasza Królewska Mość, tak jest tu napisane.

Abblemont przypominał dużą małą odzianą w atłasy; miał zbytnio owłosioną twarz, kędzierzawą brodę, wystające zęby i pomarszczone czoło nad niemal idealnie płaskim nosem z dwiema ogromnymi dziurkami. Dowcipnie na dworze debatowali, czy jest bardziej podobny do świni, czy do psa, ale przyłgnęło do niego przezwisko „Koń”.

Pomimo, a może właśnie z powodu naprawdę szokującej brzydoty był ulubieńcem króla. Jego szpetność nie mogła zagrozić królowi, a niektórzy szepotali, że król zbyt łatwo daje się zastraszyć swoim faworytom, matce, a przede wszystkim swojej żonie i królowej.

Koń zerknął na króla, złośliwie się uśmiechnął, chrząknął i czytał dalej.

*„Zdobywszy przychylność króla Alby i rycerzy jego dworu, towarzyszyłem królowi Alby w kampanii na północy królestwa, gdzie napotkałem wielu godnych nieprzyjaciół, mianowicie demony, wiernów podobnych małym smokom, irków i nowy gatunek adwersarzy, zwany przez Albanów boglinami, stworzenia w pojedynkę niegroźne, ale niebezpieczne w wielkich stadach – i zabawiałem się tam z nieustraszoną i biegłością wystarczającą do odniesienia wielkiego zwycięstwo nad siłami zła”...*

Król ziewnął.

– Czy naprawdę się spodziewa, że damy wiarę jego urojeniom?

Arcybiskup Lutecji zmarszczył czoło.

– Irkowie i demony są dobrze znanymi sługami Wroga, Wasza Królewska Mość.

Król parsknął drwiąco.

– Czy ktoś widział bodaj jedno z tych stworzeń w tym stuleciu? – Spojrzał na Abblemonta. – Dalej jest tak samo?

Abblemont wzruszył ramionami.

– Tak i nie, Wasza Królewska Mość. – Oderwał wzrok od pergaminu. – Ja mu wierzę.

Król się pochylił, wspierając ręce na podłokietnikach tronu.

– Tak? – zapytał z sugestią rozbawienia w głosie.

Abblemont wzruszył ramionami.

– Po pierwsze, Święty Kościół każe mi wierzyć, jest to aktem wiary. I wcale nie tak trudne, jak uwierzenie w Trójkę Świętą.

Subtelne bluźnierstwo sprawiło, że damy się spłoniły.

– Po drugie, de Vrailly jest popędliwym, niebezpiecznym głupcem, lecz nie chwali się. Może zresztą jest, ale brakuje mu wyobraźni, żeby wymyślić coś takiego. Co więcej, Wasza Królewska Mość, jeśli weźmiesz pod uwagę sam raport seneszała Outremeru z dzisiejszego ranka...

Król się wyprostował jak spoliczkowany.

– Milcz, Koniu – polecił.

Cały dwór zamilkł. Trudno było osądzić, czy król jest młody, czy stary. Nosił się na czarno – czarne aksamity ożywione odrobiną złota: złote kolczyki, złota rękojeść miecza, złoty pierścień z onyksem na palcu. Złote sprzączki na butach warte tyle, co mała wioska. Na jego ramionach spoczywał złoty łańcuch z połączonych słoneczek. Skórę miał niemal idealnie białą, a włosy tego samego nieprawdopodobnie złotego koloru co de Vrailly, co było zrozumiałe, gdyż łączyły ich więzy krwi. Na tym jednak kończyło się podobieństwo. Król wprawdzie nie był najniższym mężczyzną w komnacie, ale zajmował może drugie miejsce od końca; proporcjonalnie zbudowany, ale niższy od wielu kobiet, które gromadziły się blisko ośrodka władzy. Nie ćwiczył z bronią, lecz ascetyczne oddanie religii bardziej niż ćwiczenia na dziedzińcu pomagało mu zachować szczupłą sylwetkę. Był przystojny, i wielu trubadurów bez większych kłopotów wysławiało go jako najprzystojniejszego rycerza w królestwie.

Diuszesa de Savigny podobno powiedziała, że jest piękny, jeśli lubi się dzieci, ale podobno już nie przebywała na dworze.

Król po chwili wahania wzruszył ramionami.

– Więc może te nieprawdopodobne potwory naprawdę istnieją – powiedział. Spojrzał na Abblemonta. – I może są też wiedźmy, które rzucają czary? – dodał ze śmiechem.

Koń leciutko skinął głową.

– Może są, skoro tak mówisz.

Dworzanie podjęli rozmowy.

– Czytaj dalej – polecił król.

Abblemont się roześmiał.

– Nie, nie przeczytam słowo w słowo. Powiem tylko, że stoczyli wielką bitwę i zabili tysiące tych potworów. I teraz de Vrailly jest nazywany obrońcą albańskiego króla.



Król pokiwał głową, pociągając się za brodę.

– Pisz, że królowa Alby jest jedną z najpiękniejszych kobiet świata – kontynuował Abblemont, wodząc wzrokiem po kartce.

– Mogłeś o tym wspomnieć na samym początku – powiedział król z większym zainteresowaniem. – Przysłał portret?

– Ona i król są idealnym przykładem szczęśliwych małżonków. – Abblemont zerknął na swojego pana, który zacisnął pięść. – Na wiosnę przyszłego roku, po Wielkim Poście, odbędzie się turniej dla uczczenia jego zwycięstwa...

– Fanfaron. Podejrzewam, że jest piękna jak dziobata dziwka i równie wierna. – Król spojrział na Konia, a Koń z determinacją wbił wzrok w pergamin.

– Kończy, zapewniając o swojej niezachwianej lojalności wobec ciebie, panie, i z tupetem oznajmia, że ma zamiar zająć to królestwo dla siebie. I dla twojej korony, Wasza Królewska Mość. – Abblemont uniósł wzrok i napotkał wzrok króla. Zobaczył, że oczy niemal błysnęły czerwienią, jakby rozświetlone przez wewnętrzny ogień... Przemyslał ostatnie słowa i zrozumiał, że wykazał się wielkim brakiem rozwagi. – Ach, wybac, Wasza Królewska Mość.

Nie powinien przy całym dworze mówić, że de Vrilly zamierza podbić Albę dla króla.

Ale król był wytrawnym aktorem. Przeciągnął się i uśmiechnął.

– Może lady Clarissa raczy dla nas zagrać, Abblemoncie?

Clarissa miała piętnaście lat, była niższa od króla prawie o głowę i piękna niczym Maryja Panna z godzinek, a nadto niemal bezbłędnie grała na psalterium. Jej ciche i skromne zachowanie drażniło wiele innych dam.

– Królowa odmówiła jej wstępu do swojej komnaty – szepnęła hrabina D'Angluleme. Rzuciła znaczące spojrzenie swojej kuzynce, wicehrabinie.

– Biedactwo, wygląda na niedożywioną. – Wicehrabina śledziła wzrokiem przechodzącą dziewczynę, która tuliła w ramionach instrument muzyczny. – Myślę, że królowa jest okrutna – powiedziała głosem, który sugerował coś wręcz przeciwnego.

– Ja nie. Ta mała jest bezczelna jak ladacznica, moja droga. – Hrabina się pochyliła i jąła szeptać coś kuzynce do ucha.

Wygięte w łuk brwi wicehrabiny miały jeszcze trochę miejsca, żeby się unieść, i strzeliły w górę – chusteczka wypadła z jej rękawa jak wyrwana przez kuszę. Wicehrabina zasłoniła nią usta.

– Nie mów! – krzyknęła zduszonym głosem, z ogromną satysfakcją.

Jeśli Clarissa de Sartres cokolwiek usłyszała, złośliwe szeptu nie umniejszyły jej godności. Z lekko pochyloną głową, skrywając wyraz twarzy, pewnym krokiem przemierzała czarno-białą marmurową posadzkę, bezgłośnie sunąc w skromnej sukni z brązowej wełny. Na kasztanowych włosach miała misterną siatkę z jedwabiu i paciorków z dwoma płóciennymi różkami, z bazyliowym woalem tak delikatnym, że można było zobaczyć kształt twarzy, chociaż nie jej wyraz, przynajmniej nie w blasku świateł. Trzymała instrument tak, jak dumna matka może trzymać dziecko. Jeśli wiedziała o zagorzałej nienawiści, którą budziła jako pierwsza faworyta króla, to tego nie okazywała.

I z całą uczciwością należało powiedzieć, że żadna kobieta w ogromnej sali tronowej nie wyglądała mniej niż ona na królewską faworytę. W porównaniu z nimi wszystkimi i większością mężczyzn Clarissa de Sartres była skromna jak brązowa myszka i mniej więcej tak samo rzucała się w oczy. Gdyby nie strojne nakrycie głowy i instrument, z łatwością można by ją wziąć za ważną pałacową sługę – wystarczyłoby jej dodać płócienny fartuszek i szarfę z kompletem kluczy i nożyczkami.

Plotki i komentarze sunęły przed nią jak gnany wiatrem ogień w suchym lesie.

Stała u stóp tronu i dygnęła tak głęboko, że mogło się wydawać, iż zaraz upadnie, a jednak zrobiła to z tak niewyobrażalnym wdziękiem, że nikt nie dopuścił myśli o takim wypadku.

– Wasza Królewska Mość – szepnęła.

Król uśmiechnął się do niej, jego twarz o barwie złota i kości słoniowej nagle się ożywiła.

– Clarisso! Nie widziałem cię.

– W istocie, Wasza Królewska Mość, postanowiłam się trzymać daleko.

Czy się uśmiechnęła? Woal był taki delikatny, że każdy myślał, że może odczytać jej minę. Jedni uznali, że uśmiechnęła się kokieteryjnie, inni, że drwiąco, a kilka osób pomyślało, że wygląda na zatroskaną.

– Mam zagrać? – zapytała.

Uśmiech króla stał się jeszcze cieplejszy.

– Po to żyję – odparł.

Abblemont pozwolił sobie na cień uśmiechu.

Król czekał na pierwsze tony, patrząc, jak jego dworzanie zaczynają nieuprzejmie rozmawiać – nikt prócz niego nie słuchał jej muzyki. Zwrócił się do swojego faworyta.

– Źle postąpiłeś, Koniu.

– Wybacz, Wasza Królewska Mość.

– Nikt z nas nie jest doskonały, Koniu. Pilnuj się. Ten brutal może jeszcze narazić całe... Słodki Jezu, jak ona gra. – Uśmiechnął się do dziewczyny, a ona trącała struny, wyraźnie zatracona w muzyce.

Król przez chwilę ją obserwował, po czym skinął głową do Abblemonta.

– Kiedy skończy, wyproś wszystkich z komnaty – powiedział. – Nie chcę z nikim rozmawiać, a dałem im odpowiedni cel do robienia obrzydliwych plotek. Czy de Vrailly czegoś potrzebuje?

Abblemont patrzył na dziewczynę. Uwielbiał muzykę i czuł pasję Clarissy, czuł struny wibrujące pod jej palcami. Przy niej wszystkie kobiety przypominały głupie gęsi.

Sprawiła, że sam czuł się jak głupiec.

– Kilku rzeczy, Wasza Królewska Mość.

– W takim razie musimy zwołać radę wojskową. Ale najpierw pozwólmy jej grać.

Abblemont bywał na wszystkich radach – wojskowych, cywilnych, skarbowych, nawet kościelnych. Jako faworyt króla był jego najbardziej zaufanym powiernikiem i rządził jego czasem. Większość obecnych mężczyzn, nawet doświadczeni rycerze o twardych twarzach, jak marszałek de Ribeaumont, z reguły pytała go o zdanie przed zwróceniem się do króla. Z wyjątkiem monarchy wszyscy mieli pełne zbroje, ponieważ taki był galijski zwyczaj i codziennie obowiązywało prawo wojenne. De Ribeaumont stawiał się w wymyślnej zbroi z suwanymi płytami na piersi, wykończonymi brązem i platerowanymi złotem, z wersami z Biblii wykutymi w srebrze. Tancred Guisarme, królewski konstabl i starszy od innych co najmniej o dwadzieścia lat, miał bogato zdobiony pancerz bractwa kopijników, wykuty w taki sposób, żeby w nim przypominał młodego smoka: zielony metal wykończony złotem. Naręczaki i bigwanty składały się z łusek drobnych jak paznokiec damy, w naprzemiennych rzędach srebra, złota, miedzi i brązu. Steilker, mistrz kusznik, nosił czarną zbroję ze złotymi literami sławiącymi Boga; Wasilij, inżynier i czasami architekt królewskich zamków, miał tylko kirys i kolczugę. Było mało prawdopodobne, że ktoś rzuci mu wyzwanie do walki na śmierć i życie, jako że był cudzoziemcem nikkzemnego rodu, ale fakt, że nawet on się stawiał w pancerzu, wymownie świadczył o obowiązującym prawie wojennym. Sam Abblemont miał skromną białą zbroję – nadzwyczajnej jakości,

bez żadnych ozdób, w stylu etruskim.

Jako że już przedstawili mu swój pomysł, a on uznał go za dobry, przemawiali do króla z dużą pewnością siebie. Abblemont dotrzymał słowa i zaznajomił władcę z całym przedsięwzięciem, mianowicie rozpoczęciem eksploracji północnych pustkowi Nova Terra.

– Moreańczycy utrzymują kontakty z Zamurzanami na północy – powiedział kupiec będący kimś znacznie więcej niż zwyczajnym kupcem.

Był wielkim armatorem i jego statki tworzyły giętki kręgosłup galijskiej marynarki wojennej. Posiadał dwadzieścia dużych pękatych kog o wysokich burtach i zaokrąglonych dziobach, statków odpornych na sztormy i wszystko poza pociskami z najsilniejszych machin morskich, niemal nie do pokonania przez stworzenia morskie równie bezlitosne jak ich lądowi kuzyni. Nazywał się Oliver de Marche i nosił się tak skromnie jak dziewczyna, Clarissa. Miał wams, rajtuzy i czapkę z porządnej czarnej wełny, i jeśli ta wełna po folusowaniu kosztowała dwadzieścia złotych lampartów za łokieć, wiedzieli o tym tylko on i jego krawiec.

– Pomimo wydanego przez Kościół zakazu kontaktowania się z Dziczą – mówił – cesarz wyznaczył oficerów do układania się z naczelnikami Zamurzan i za ich pośrednictwem otrzymuje najlepsze towary handlowe, mianowicie pajęczy jedwab, bobrowe futra i miód.

Krół otrzymał próbki do sprawdzenia. Posmakował miodu i się uśmiechnął.

– Wyborny – osądził.

– Najwyraźniej w Nova Terra są sadzawki miodu, który ścieka z barci pszczoł wielkości kolibrów – kontynuował de Marche. – Podobno miód ma hermetyczne właściwości. – Wzruszył ramionami, jakby nie zgadzał się z tą koncepcją. – Ludzie w Nova Terra wierzą w takie zabobony, Wasza Królewska Mość. – Odpowiedziało mu głuche królewskie milczenie. Ukłonił się. – Widziałem kilka pszczoł. I... – powiódł wzrokiem po pokoju – irka.

To Abblemont zasugerował kupcowi, żeby o tym wspomniał. Król, który ponownie zanurzał składaną srebrną łyżkę w miodzie, uniósł głowę i jego brwi wygięły się w łuki.

– Widziałeś irka?

– Tak, panie. I gryfa albo jakieś podobne stworzenie ze znakiem zła na skrzydle, daleko na południe ode mnie, na jednym z ich wewnętrznych mórz, ale przysięgam na moją nadzieję życia wiecznego w niebie, to nie był ptak. A bobry...

Król potarł futro kciukiem. Było miękkie jak plusz. I grube. I dziwnie ciepłe.

– Nadzwyczajne – oznajmił.

De Marche pokiwał głową.

– Moglibyśmy przejąć handel – powiedział. – Dla cesarza wszystkie te rzeczy są tylko ciekawostką. Dla nas...

Oczy króla przesunęły się na duży rulon starannie wyprawionej skóry łani albo jelenia, z wyrysowaną mapą.

– Nigdy dotąd nie widziałem kształtu Nova Terra – rzekł cicho. – Więc cesarz ma Albę na zachodzie i tych Zamurzan na północ od siebie.

– Formalnie rzez biorąc, królestwo Alby stanowi część cesarstwa – wtrącił Abblemont.

– Formalnie rzecz biorąc, królestwo Galii jest częścią cesarstwa Rhumu – sparował król. – I obecny cesarz w Liwiapolis twierdzi, że jest moim suzerenem na podstawie jakiegoś absurdalnego wydarzenia w przeszłości.

W rzeczywistości wydarzenie nie było ani absurdalne, ani zbyt dawne – każdy tutaj znał siłę roszczeń cesarza na papierze. I słabość jego armii, żeby je wyegzekwować.

Ale tylko Abblemont miał prawo bezpośrednio dyskutować z królem i w najlepszym wypadku była to ryzykowna sprawa. Co więcej, Abblemont zgadzał się ze swoim panem, że nadszedł czas, żeby Galia zaczęła rządzić innymi i przestała dawać rządzić sobą. Dlatego, zamiast zasugerować, że cesarz może mieć rację – że rodzony ojciec króla ucałował czerwone buty cesarza i przysiągł mu wierność – odchylił się na krześle i powiedział:

– Handel z plemionami na północ od Muru dałby nam nowe produkty do opodatkowania, spowodowałby rozwój wymiany handlowej z południem i postawiłby nas w pozycji... hm... powiedzmy, umożliwiającej wpływanie na dzikie impulsy, jakimi się kierują pogańscy Zamurzanie.

– Nawrócenie ich na prawdziwą wiarę? – zapytał marszałek.

Jeśli definiujesz prawdziwą wiarę jako chęć wykonywania poleceń króla Galii, pomyślał Abblemont.

– Tak – odparł. – Przez naszych księży i naszych żołnierzy, nie tych patriarchy i cesarza.

De Ribeaumont uśmiechnął się jak wilk.

– Ach, tak. – Pokręcił głową. – Panowie, jestem stary i powolny. Jeśli de Vrailly odnosi bodaj połowę sukcesów, którymi się przechwala, i jeśli zyskamy jakieś wpływy w północnej Dżicy... – Zassał powietrze przez zęby. –

Dobry Chryste, panowie, będziemy mogli zmiażdżyć cesarstwo jak orzech. Albo królestwo Alby. – Pokiwał głową. – Wziąć Nova Terra dla nas.

– Może nie będziemy musieli – powiedział Abblemont, rzucając na stół tubę ze zwojem. – Możecie przeczytać to w czasie wolnym, panowie. Od jednego z moich zaprzyjaźnionych korespondentów. – Wyprostował się.

Król wyciągnął długie, obleczone w czerń ramię, i jego delikatne palce postukały w zwój jak ostro zakończone odnóża pająka.

– Kim on jest? – zapytał, odrywając wzrok od eleganckiego pisma autora.

– Sam nie wiem, a gdybym znał jego imię, nie wyjawiałbym go nawet temu znamienitemu zgromadzeniu – odparł Abblemont. – Pamiętajcie o naszej małej ubiegłorocznej katastrofie w Arles.

Tancred Guisarme, konstabl, skrzywił się, jakby połknął coś gorzkiego.

– Ktoś rozpuścił język – powiedział.

– Pierdolony herold – warknął de Ribeaumont. – Już jest żarciem dla psów. Ale nie w tym rzecz.

Abblemont pokiwał głową.

– Właśnie. Jak wiecie, w cesarstwie archaików mistrz szpiegów, gdy mówił o swoich agentach, nigdy nie używał ich prawdziwych imion. Zawsze podawał nazwy kwiatu, zwierzęcia i tak dalej. Nikt nie znał nawet ich płci.

– Płci? – powtórzył pytająco Guisarme. – Chyba nie używamy kobiet jako szpiegów, prawda?

Zapadła cisza, jak zawsze, kiedy tuzin mężczyzn dochodzi do wniosku, że jeden z nich jest głupcem.

– To nie po rycersku – mruknął Guisarme tonem człowieka, który właśnie odkrył, że jego sąsiedzi oddają cześć szatanowi.

De Marche chrząknął.

– Jeśli Wasza Królewska Mość dopuści możliwość... – zaczął ostrożnie.

Król zdawał sobie sprawę, że jeden z jego obowiązków polega na tym, żeby nie zezwalać, by jego najlepsi słudzy bili pianę. Uśmiechnął się i usiadł..

– Czego potrzebujemy, żeby wystawić konia w tej gonitwie? – zapytał.

De Marche się uśmiechnął.

– Wasza Królewska Mość, mam zamiar wysłać ekspedycję handlową, bogato wyposażoną w nasze towary, miecze i zbroje, które Zamurzenie cenią nade wszystko, wełnę i tkaniny w krzykliwych kolorach, tanią biżuterię, jaką noszą chłopki, a także brązowe i miedziane garnki. Od naszego etruskiego informatora słyszałem, że takie rzeczy dobrze się sprzedają na północy. – Poki-

wał głową. – Trzeba to zrobić jak należy. Zamurzanie lubią błyskotki, lecz nie są dziećmi ani głupcami. Tak mówił mi Etrusk.

Król pociągnął się za brodę i popatrzył na swojego Konia.

Abblemont powoli pokiwał głową.

– Tak właśnie bym zrobił – rzekł ostrożnie. – Ale najpierw zachęciłbym ich do współpracy... stalową pięścią.

Nareszcie rozpoczęła się rozmowa, która pasowała do narady wojennej. De Ribeaumont – wyraźnie znudzony i skrepowany rozmawianiem z kupcem, nawet takim, który walczył na morzu i zasłużył na przyjęcie do stanu rycerskiego – wyprostował się i uśmiechnął.

– Ekspedycja wojskowa? – zapytał.

Abblemont rozciągnął usta w swoim małym uśmiechu.

– Coś odrobinę subtelniejszego niż szarża rycerzy, marszałku.

– Oczywiście – powiedział marszałek.

– Może najemne miecze? – podsunął Abblemont.

Teraz król wyprężył ramiona.

– Tylko nie ten arogancki młokos i jego kompania opryszków – wypalił.

Król przed rokiem odbył niefortunne spotkanie z kompanią kopii, kiedy próbował podstępem wziąć Arles, i poniósł sromotną porażkę.

Abblemont się uśmiechnął. Gdybym mógł wynająć tę kompanię, zrobiłbym to bez namysłu, pomyślał. Ale najemnicy najwyraźniej wyruszyli do Nova Terra i zniknęli w jej paszczy.

De Marche się pochylił.

– Wasza Królewska Mość, mam na myśli pewnego człowieka, awanturnika odnoszącego wielkie sukcesy, jednego z poddanych Waszej Królewskiej Mości. Ser Hartmuta Li Orguelleusa.

– Handlarza niewolników? – zapytał król i się skrzywił. – Czarnego Rycerza? Rycerza o Złej Sławie?

De Marche wzruszył ramionami.

– To żartobliwe przezwiska, panie. Jest bardzo lojalny, całą duszą oddany Waszej Królewskiej Mości. Pożegłował daleko na południe, wylądował w Ifriqu'ya i odszedł stamtąd jako zdobywca.

– Na Środkowym Morzu dobrze służył naszej sprawie – dodał Abblemont.

– Choć wyznam, że nie zaprosiłbym go do domu na kolację. Ani nie pozwoliłbym mu rozmawiać z moją córką, bez względu na to, jak szlachetne miałyby zamiary.

– Trudno wywabić plamę na honorze – powiedział król. – Otacza go zła

sława. W Ifriqu'ya walczył dla nekromanty!

De Marche westchnął.

– Wasza Królewska Mość, trzeba niezwykłego człowieka, żeby popłynąć do dalekiego kraju na czele maleńkiej kompanii i toczyć dla nas wojnę. Podejmować decyzje...

– Decyzje, które nas zwiążą – wtrącił król w zadumie.

– Decyzje, które uszanują Zamurzenie – zaznaczył ostrożnie Abblemont.

– Odnosił wielkie sukcesy, biorąc niewolników w Ifriqu'ya – wtrącił de Marche.

– Mało brakowało, a doprowadziłyby do wojny z Dar-as-Salaam, co spowodowałoby załamanie handlu na Morzu Środkowym – syknął król.

Abblemont wzruszył ramionami.

– Szczerze mówiąc, pokonał flotę emira pod Na'dią.

Mężczyźni wokół stołu wymienili spojrzenia. Długie spojrzenia. Król wodził po nich wzrokiem.

– Wielkie plany wymagają wielkiego ryzyka i przypuszczam, że zatrudnienie tego strasznego człowieka nie będzie najmniejszym ryzykiem, jakie podejmiemy, żeby zająć Nova Terra – powiedział król. Zakręcił winem w złym kubku i wstał. – Niech tak będzie – zdecydował.

De Marche się uśmiechnął.

– Wasza Królewska Mość – powiedział z ukłonem – kazałem mu czekać na dole.

Król zbladł. Przyłożył rękę do piersi.

– Nie zamierzam się z nim spotykać – warknął. – Wyślij go, żeby zmasakrował pogan i sprowadził mi to, czego pragnę, ale nie spodziewaj się, że ścierpię w moich komnatach obecność jego cuchnącego ducha.

Kupiec się wzdrygnął. Złożył ceremonialny ukłon. Król złagodniał i podał mu rękę do ucałowania. De Marche skłonił się jeszcze niżej.

– Pochwalam to, co robisz – powiedział król cichym głosem.

Abblemont leciutko się uśmiechnął – bardzo podobnie jak wtedy, kiedy król okazał swoje zadowolenie lady Clarissie.

Gdyby tylko ludzie chcieli mi wierzyć, pomyślał, wszystko byłoby znacznie łatwiejsze. Miał opracowaną strategię kampanii dla ser Hartmuta. Miał strategię, która doprowadzi do ujarznienia Alby i cesarstwa – a także Arles i Etrurii. Wątpił, czy to wszystko dokona się za jego życia, ale zwerbowanie Czarnego Rycerza było bardzo ważnym krokiem prowadzącym do celu.

– Będzie potrzebować machin oblężniczych – dodał Abblemont.



- Po co? – zapytał król.  
De Marche już odszedł.
- Zbudowanie portu w Nova Terra zajęłoby nam lata – odparł Abblemont.
- Znacznie łatwiej jest zająć ten, który już istnieje.  
Król westchnął.
- Czuję, że już wybrałeś cel.  
Abblemont się uśmiechnął.
- Jeden z największych zamków na świecie – odparł. – Ticondaga.
- Nigdy o nim nie słyszałem, Abblemoncie. – Król wzruszył ramionami, dystansując się od tego pomysłu. Wyprostował się. – Mogę teraz posłać po damę, Koniu?
- Abblemont ściągnął usta.
- Dlaczego brać na cel taki potężny zamek? – zapytał król.
- W ten sposób nie wydamy pieniędzy na budowę nowego. I zdobycie zamku będzie wymowną wiadomością dla wrogów Waszej Królewskiej Mości. I przysporzy Waszej Królewskiej Mości tym większej chwały. – Abblemont się uklonił.
- A jeśli Czarny Rycerz zawiedzie albo popełni jakąś niewybaczalną zbrodnię?
- Abblemont wzruszył ramionami.
- Wtedy się go wyprzemy i będziemy pomstować na pazerność kupców i najemników.
- Potarł kciukiem mały instrument hermetyczny, który wyglądał jak guz za jego pasem z mieczem. Sprawił, że Clarissa de Sartres usłyszała przywołującą ją cichą melodię. Ta metoda zapewniała, że jego siostrzenica w odpowiedniej chwili „przypadkiem” natknie się na króla.
- Król obdarzył dworzanina cierpkim uśmiechem.
- Niech tak będzie – powiedział.

## **Długie Jeziora – Kraj Kabaczka – Nita Qwan**

Peter – Nita Qwan – nie wróciliby do Ifriqu’ya nawet gdyby zaoferowano mu skrzydlaty statek i kompanię hurys.

Ta głęboka myśl nasza go w czasie, gdy leżał na plecach pod wspianiałym klonem, patrząc na krągłe pośladki żony, która pielęła kabaczki, wycinając zielsko brązową motyką zrobioną z wyrzuconego kawałka zbroi.

Prawdopodobnie była w ciąży. To ani nie umniejszało jej piękna, ani go

nie motywowało, żeby ją wyręczyć. Było to kobiece zajęcie.

Trzy duże skóry rozpięte za nim na ramach świadczyły, że sam się przykładał do pracy.

Kształt jej pośladków, nagich pod jedną warstwą jeleniej skóry... ich rytmiczny ruch...

Odwróciła się i spojrzała na niego spod rzęs. Roześmiała się.

– Jestem szamanką, umiem czytać w myślach.

Wróciła do gracowania grządki. Ścinała chwasty jak żołnierz zabijający bogliny – skutecznie i bez litości. Nie wyobrażał sobie, że jest taką dobrą rolniczką, ale przecież kiedy zabił jej męża i wziął ją dla siebie, nic o niej nie wiedział, prócz tego, że ma rozkoszną miękkość między udami.

Pracowała, wracając wzdłuż zagonu kukurydzy, wysokiej na chłopca dojrzałej kukurydzy. Matrony już zebrały pierwsze kolby i wszystkie dziewczęta w odpowiednim wieku biegały po polu ze ścigającymi je młodzieńcami. Było wiele śmiechu i były galony dobrego cydru. I Ota Qwan wziął sobie młodą żonę.

Jego żona przystanąła i zerwała z łodygi dojrzały kaczan. Powoli zdzierła łuski i jedwabiste włoski. Ich oczy się spotkały. Wsunęła w usta czubek kolby...

Skoczył na równe nogi i popędził do niej.

Weszła w głąb pola i rozwiązała spódnicę.

– Uważaj na dziecko – przykazała. I zaśmiała się w jego usta.

Nowa żona Oty Qwana była córką najważniejszej matrony, Niebieskiego Noża, która miała za męża cichego człowieka – utalentowanego myśliwego i myśliciela, ale bez wyraźnego zainteresowania polityką.

Dziewczyna miała na imię Amij'ha. Była bardzo młoda, w wieku uprawniającym do biegania w kukurydzy, jak powiadali Sossagowie. Ale umiała się śmiać, była skora do wykpiwania męża jak przystało na żonę i pochodziła z silnego rodu. Była lubiana i jej małżeństwo z Otą Qwanem oznaczało dalszy wzrost jego pozycji. Ota Qwan zaskoczył wszystkich, polując na jelenie, zastawiając sidła i nawet pracując na polu ramię w ramię ze swoją nową żoną. Ich chatę pokrywały suszące się skóry. Miesiąc po powrocie z wojny zaproponował, że poprowadzi ludzi na poszukiwanie miodu w Dżicy – wielkich sadzawek miodu, które z roku na rok przesunęły się coraz dalej na zachód, ale zawsze mogła je znaleźć śmiała grupa poszukiwaczy. Kiedy wygłosił propozycję przed matronami, które władały ludem w czasach pokoju, jego

teściowa dopilnowała, żeby mówił ze stosowną pokorą. Żona go poparła i matrony wyraziły zgodę.

Peter miał czas, żeby założyć przepaskę biodrową i nastawić wodę na herbatę w pięknym miedzianym kociołku, będącym niemal jego jedynym łupem z letniej wyprawy. Wciąż rozmyślał, jakie przyjemne jest jego życie, i o ile lepsze, niż się z początku spodziewał, kiedy cień Oty Qwana zaciemnił wejście do chaty.

– Jest tam kto? – zapytał Ota Qwan. – Witaj, bracie. Mogę wejść?

Peter odciągnął jelenią skórę, która zasłaniała wejście.

– Moja żona mówi, że dzięki temu nie wlatują muchy. Ja mówię, że bez tego wylatują.

Ota Qwan zamknął go w krótkim uścisku.

– Przypuszczam, że królowa Alby wysuwa te same argumenty, a król i tak zostawia otwarte okna – powiedział, rzucając się na stos futer. – Byłeś zajęty.

– Jestem szczęśliwy i nie chcę, żeby to się zmieniło – powiedział. – Będziemy mieli chłopca.

Ota Qwan zerwał się na równe nogi i znowu go objął.

– Ha! Gratuluję. Dlatego wszyscy polują.

Peter wzruszył ramionami.

– Słyszałem, że zima nie jest do śmiechu.

Ota Qwan na chwilę spoważniał.

– Prawda, bracie. – Skrzywił się. – Wybieram się na zachód po trochę miodu.

Peter się roześmiał.

– Ponieważ mam żonę, wiem o tym wszystko. A ty wiesz, że pójde z tobą. Nie jestem pewien, czy zaproponowano mi wybór.

– Miód dobrze się sprzedaje, kiedy cudzoziemskie gęsi przyplývają Wielką Rzeką, a nawet jeśli handlujemy tylko z tymi zza Muru. – Ota Qwan wzruszył ramionami. – Ale gęsi dadzą lepszą cenę.

Dzkie gęsi, jak zwali je Sossagowie, były dużymi pękatymi statkami z Etrurii, od lat przyplývającymi późną jesienią na handel. Czasami było ich kilka, kiedy indziej zjawiała się wielka flota. Najczęściej trzymały się wschodniej strony, ale od dziesięciu lat, jak zanotowały matrony, co roku zapuszczały się coraz dalej w górę Wielkiej Rzeki.

– I bobrowe futra – powiedział Peter. – Mam pond trzydzieści.

Ota Qwan gestem dał do zrozumienia, że jego zdaniem z wyprawianiem bobrowych futer jest za dużo roboty.

– Jeśli się pośpieszymy, możemy zabrać tyle miodu, ile tylko zdołamy udźwignąć – powiedział. – Tak zrobiłem ubiegłego roku.

– I straciłeś wojownika – przypomniał mu Peter.

Twarz Oty Qwana pociemniała, ale on i jego brat dawno temu ustalili granice, do jakich mogą się posuwać. Wzruszył ramionami.

– Tak. – Wbił wzrok w ziemię. – Szczerze mówiąc, była to moja wina.

Peter wiedział o tym więcej, niż chciał, więc zachował milczenie. Żony gadały. Mężowie słuchali. Wreszcie powiedział:

– Tak czy siak, możesz na mnie liczyć. Wiesz o tym.

Ota Qwan wstał.

– Będę ci wdzięczny, gdy powtórzysz to przy ognisku.

Peter skinął głową.

– Kiedy ruszamy? – zapytał.

Ota Qwan spojrzał na dym snujący się z paleniska.

– Woda się gotuje – powiedział. – Za dwa dni, jeśli uda mi się zebrać dość ludzi.

Peter poklepał go po ramieniu, pochylił się nad garnkiem i zrobił herbatę.

## **Harfleur i Morze Moreańskie – ser Hartmut Li Orguelleus, Czarny Rycerz**

Trzy kogi piętrzyły się nad nabrzeżem jak wieże nad murami zamku.

Czarny Rycerz górował nad swoimi towarzyszami w podobny sposób. Przewyższał o głowę otaczających go Galów; obwód jego pachy był równy obwodowi kobiecej talii. Był w pełni uzbrojony i opancerzony, mimo że przebywał w najlepiej chronionym porcie Galii.

Patrzył, jak żuraw obsługiwany przez pięćdziesięciu skazańców przenosi jego rumaka nad burtą statku. Dokerzy znali się na swojej robocie i pomimo jego przekleństw bezpiecznie załadowali na pokład konie wszystkich rycerzy – dwadzieścia rosłych rumaków i dziesięć remontów.

Stojący obok niego Oliver de Marche oderwał oczy od tabliczki.

– ...głównie kusze. Dobrze się sprzedają wśród Huranów, przynajmniej tak mi mówią Etruskowie. – Wzruszył ramionami. – Nigdy nie zrzucili konia, panie.

Ser Hartmut obrócił głowę w stronę Etienne'a de Vrieux, swojego giermka. Uniósł brew.

De Vrieux uklonił się kupcowi-kapitanowi.

– Muszę ci przypomnieć, że ser Hartmut nie rozmawia z członkami trzeciego stanu.

De Marche chrząknął.

– Ale... To... przecież to on mnie pytał, co zabieramy!

De Vrieux lekko pokręcił głową.

– Nie, kapitanie, pozwolę sobie mieć odmienne zdanie. Zadał pytanie retoryczne. Jeśli raczysz mnie poinformować, co masz w ładowni, przekażę te informacje mojemu rycerzowi, gdy będzie nimi zainteresowany. W przeciwnym razie lepiej nie zwracać się bezpośrednio do niego.

– A jeśli dojdzie do bitwy? – zapytał de Marche. – Czy twój pan wie, że sam lord admirał pasował mnie na rycerza?

Ser Hartmut ani na chwilę nie oderwał wzroku od swojego rumaka.

– Bitwa uszlachetnia. Powiedz temu człowiekowi, że jeśli będziemy walczyć jako towarzysze broni, będę do niego mówić bez wahania, a nawet słuchać tego, co ma do powiedzenia. – Wzruszył ramionami. – Nie znam lorda admirała. – Przelotnie spojrzął na giermka i zatrzymał wzrok na kapitanie. – Powiedz mu, że jak nie przestanie się na mnie gapić, to w końcu się rozgniewam.

Czarny Rycerz był jednym z najprzystojniejszych mężczyzn, jakich Oliver de Marche widział. O głowę wyższy od każdego na pokładzie miał granatowoczarne włosy i gładką, nieskazitelną oliwkową cerę południowca. Jego wąsy lśniły jak natarte oliwą. Może faktycznie je natarł, pomyślał de Marche. I miał niebieskie oczy. De Marche nigdy nie widział niebieskookiego człowieka o tak ciemnej skórze.

Miały niespotykany odcień błękitu – ciemne jak lapis-lazuli. Niech mnie licho, znowu się na niego gapię, pomyślał.

Maistre de Marche uklonił się giermkowi.

– Proszę, powiedz swojemu panu, że jego życzenia zostaną spełnione. I proszę, zapewnij go, że ci ludzie nigdy nie upuścili konia.

Ser Hartmut zaszczyił go krótkim spojrzeniem.

– W takim razie lepiej, żeby nie zaczęli od mojego – powiedział. Zamiast szaleństwa czy arogancji jego ciemne oczy wyrażały rozbawienie. – I zapytaj naszego kapitana, Etienne, póki poświęca nam uwagę, jak są uzbrojeni jego marynarze.

– Nie ma na statku człowieka, który nie umiałby walczyć – odparł de Marche, nie dopuszczając giermka do słowa. – Etruskowie z roku na rok robią się coraz bezczelniejsi. Nie chcą, żebyśmy pływali po hurańskiej Wielkiej Rzece.

– Ukłonił się giermkowi. – To znaczy, powiedz swojemu panu, że moi ludzie mają kolczugi, większość z nich ma napierśniki z nowej stali, każdy ma stalowy hełm, miecz i dwie włócznie.

Ser Hartmut zdobył się na nieznaczny uśmiech.

– Mając załogi trzech statków i wszystkich moich zbrojnych, postaram się dać tym Etruskom do wiwatu. – Pokiwał głową. – Czekają nas dobre przygody, Etienne.

– Tak, panie – odparł Etienne trochę drewnianym głosem.

## **Długie Jeziora – Kraj Kabaczka – Nita Qwan**

Odeszli w ciemności, gdy tylko nikła pomarańczowa smuga na wschodzie dopiero zapowiadała brzask. Każdy zabrał dwa lekkie kubelki z brzoźowej kory z kabłakami z korzenia świerku. Ludzie przywiązali je do włóczni, zarzucili łuki na ramiona i kołczany na plecy. W sakwach mieli po pięć garści pemmikanu, tytoń do palenia w czasie psioczenia na żony i po jednym kocu. Zwykle wojownikom towarzyszyły kobiety, ale nie tym razem.

Ota Qwan im przewodził. Kobiety się zebrały, krzycząc i zawodząc jak irkowie w ciepły letni poranek – padło wiele słów na pożegnanie, większość drwiących. Żona Petera krzyknęła, że ją zostawia, żeby samotnie wychowywała dziecko, a żona Se-hum-se narzekała, że już czuje się pusta, taka pusta...

Odeszli odprowadzani śmiechem.

Biegli szybko.

Nie zwalniali. Mężczyźni towarzyszący Ocie Qwanowi wiedzieli, kim on jest i kim chce być. Ota Qwan nie ukrywał, że pragnie znów zostać wodzem wojennym. Każdy z nich walczył u jego boku, pomalowany jak demon, przeciwko poganiaczom i Twardym Skórom i każdy wiedział, że matrony już mówią o wojnie z Huranami na wschodzie, zamurzańskim plemieniem z niebezpiecznymi pomysłami i skłonnością do podbojów.

Żyjąc od kilku miesięcy wśród Sossagów, Peter widział, że są równie skomplikowani jak każdy inny lud. Na przykład w jego kraju ojczystym ludzie szkolili się do wojny – mała kasta wojowników w każdym plemieniu odbywała ciężkie ćwiczenia. Wśród Sossagów prawie wszyscy mężczyźni i nie małe kobiety były wojownikami, lecz nigdy nie ćwiczyli, a raczej wszystko, co robili, było ćwiczeniem. Zawsze biegli, chodzili tylko w wiosce. Każde polowanie było przygotowaniem do wojny, a każda wojna była przygotowa-

niem do polowania. Polowanie w Dziczy było swego rodzaju wojną.

Podobnie jak zbieranie miodu.

Pierwszej nocy, ponieważ nie był zmęczony, Peter zbudował mały piec z porządnej gliny i upiekł placki kukurydżane. Inni upolowali króliki i wieiórki, więc wszyscy dobrze podjedli i nikt nie musiał jeść pemmikanu. Młody mężczyzna – daleki kuzyn jego żony, zwany Ayen-ta-naga, pochylił się i wyszczerzył do niego zęby.

– Ludzie mówią, że twój chleb jest wart jedzenia – powiedział. – Na tyłek Tary, dobrze jest zwać cię kuzynem. – Parsknął śmiechem.

Inni pokiwali głowami. We wczesnych dniach nikt mu nie dziękował za kucharzenie, ale teraz, będąc pełnoprawnym Sossagiem, cieszył się może trochę dziwną, ale prawdziwą sławą. Nita Qwan, dający życie, był kucharzem. Piekielnie dobrym kucharzem.

Drugiego dnia padało, więc przemókł i przemarzł. Nie lubił spać w ścisku z innymi mężczyznami, ale deszcz go do tego nakłonił. Samopoczucie mu się poprawiło – wyspał się lepiej, niż przypuszczał. Wstał w mżawce, która przygasała niewielkie ognisko. Razem z kuzynem żony dołożył do ognia, żeby odgrzać wczorajsze mięso i zapewnić ludziom trochę ciepła. Zrobili herbatę, wysikali się na ognisko i Ota Qwan kazał ponuremu młodzieńcowi zwanemu Gas-a-ho nieść kociołek, na co ten przystał z wielką niechęcią.

Peter do niego podszedł.

– Umyj go i włóż do kubelka na miód – poradził. – Tak będzie znacznie łatwiej.

Młodzieniec zacisnął usta, popatrzył na niego i wzruszył ramionami.

– Dobrze – mruknął.

Później, kiedy biegł obok byłego niewolnika, powiedział:

– Miałeś rację. To łatwe. Jutro sam go wezmę.

Peter wiedział, że powinien parsknąć śmiechem, ale pokiwał głową.

– Dobrze. Wiesz, im więcej pracujesz, tym mniej się siebie czepiają.

Gas-a-ho biegł w milczeniu.

Biegli przez cały dzień. Pod wieczór Peter był porządnie zmęczony, ale też dumny z siebie – kiedy dołączył do tych ludzi, te całodzienne biegi niemal go zabijały. Teraz rozumiał, że są konieczne.

Mimo wszystko nienawidził biegania.

Tej nocy lało tak mocno, że rozpalanie ognia nie miało sensu. Ota Qwan wysłał dwóch starszych mężczyzn na wzgórze na północy, którzy znaleźli tam jaskinię. W rzeczywistości był to bardziej nawis skalny niż grotta i musie-

li przepędzić mieszkańców, stado kojotów. Zebrali drewno, gdy ich mięśnie stygły, i syn szamana zapalił je ruchem ręki. Zjedli pemmikan. Peter – kucharz – uwielbiał suszone mięso. Inni jęczeli i narzekali.

Rankiem znów pobiegli na zachód. Pogoda się poprawiła, mgła snuła się nad korytami strumieni, niskie chmury płynęły po niebie, ale nie padało. Peter czystym trafem upolował łanię. Gdy sikał w dół wzgórza, stojąc tyłem do pnia drzewa, zobaczył łanię wyskakującą z kryjówki. Miał cały czas świata, żeby dokończyć sikanie, założyć cięciwę, napiąć łuk i z odrobiną poczucia winy patrzeć, jak łania przystaje niemal u jego stóp, nieświadoma zagrożenia. Patrzył, jak węszy, bez wątpienia przestraszona zapachem moczu, i wypuścił strzałę, która utkwiała pomiędzy łopatkami. Zwierzę upadło bez jednego dźwięku, a wojownicy poklepywali go po plecach i chwalili.

Spędzili tam cały dzień. Zbudowali szałas, upiekli łanię i jelenia, którego upolował Gas-a-ho. Ususzyli pozostałe mięso i nazajutrz, szóstego dnia wyprawy, znowu pobiegli. Szlak był suchy i nie padało, więc przebiegli większą odległość niż w inne dni, ale zatrzymali się wcześniej, rozpalili ognisko i ugotowali gulasz z na wpół ususzonego mięsa, pemmikanu i malin zerwanych wokół obozowiska.

W ciemności Ota Qwan poklepał go po ramieniu.

– Warta – powiedział.

Chodził od człowieka do człowieka, wyznaczając nocnych strażników. Dla każdego warta oznaczała godzinę straconego snu.

Ale byli w głębi Dzikicy i Nita Qwan wiedział, że Ota Qwan ma rację. Przez godzinę patrzył w ciemność – była to łatwa warta. Pod koniec Ota Qwan przyszedł do niego z zapaloną fajką i palili razem, przekazując sobie fajkę z kamienia i rogu.

Siedzieli w milczeniu tak długo, że Peter widział, jak gwiazdy wędrują po niebie. Westchnął.

Ota Qwan zrobił to samo.

– Poczujesz? – zapytał nagle.

Nita Qwan nie miał pojęcia, o czym on mówi.

– Co? – zapytał.

– Miód – odparł Ota Qwan. – Słodycz w powietrzu.

Peter zdał sobie sprawę, że czuł zapach, ale przypisał go słodkiemu tytoniowi.

– Aha – mruknął.

– Szybka akcja i wracamy do domu – powiedział Ota Qwan. – Nie jeste-



śmy tu sami. Prawdopodobnie bogliny też się wypuściły po miód. – Wzruszył ramionami. – Wystarczy dla wszystkich. – Kołysał się, chichocząc i trącając Petera ramieniem.

– Miejmy nadzieję – powiedział.

## **Północny zachód od Lissen Carak – Głóg**

Głóg siedział pod ogromnym klonem, który miał może czterysta czy pięćset lat, jego konary tworzyły naturalny namiot, a pień był domem niezliczonych stworzeń, dużych i małych. Na pniu sterczał sęk wielkości człowieka, tworząc daszek chroniący przed deszczem nawet kogoś tak wielkiego jak on.

Głóg nie miał nic przeciwko deszczowi ani śniegowi, ani słońcu. Ale drzewo było piękne, przepełnione własną mocą, i sęk wydawał się stworzony specjalnie dla niego.

Był na północ od jezior – ponad dwieście lig od Lissen Carak. Ciemne Słońce tu go nie wytropi. Co nie znaczy, że się przejmował taką możliwością.

To wszystko miał już za sobą.

Siedział w deszczu, wdychając zapach powietrza. Czuł wiadomość wysłaną przez Ghouse Murien i pozwolił, żeby go omyła. Była daleko, i wiadomość tylko mu przypomniwała, jak bardzo jej nie lubił, jej cielesności, jej głupich namiętności. Dawno temu ustawiła się na dworze jako wróg Sofii i choć od tamtej pory świat się zmienił, on wciąż nią pogardzał.

Sofia nie żyje.

Głóg zadrżał.

Mimo wszystko nie lubił Ghouse Murien. Niemal tak, jak nie lubił ciem. I motyli. Machnął podobną do konara ręką, żeby spędzić dużą część ze swojej kamiennej skóry.

Nie lubił ciem od dzieciństwa, ale przecież obecnie nie lubił w zasadzie niczego. Od ucieczki z pola bitwy pod Lissen Carak wszystko kwestionował – swoje przymierze z Dzięcą, teorię, która podpierала jego związek z innymi stworzeniami, a nawet swoje zdrowe zmysły.

Był głupcem, podejmując próbę dowodzenia armią. To prowadziło donikąd, była to pusta władza. Chciał czegoś więcej – czegoś namacalnego wyłącznie w eterze.

Chciał apoteozy. Wiedział, że żadna ilość pozerstwa nie przybliży go do celu. Potrzebował czasu na naukę, czasu na dojście do siebie, czasu na dokonanie oceny. Świat po raz kolejny okazał się bardziej skomplikowany, niż so-

bie wyobrażał.

Gdyby Głóg mógł się uśmiechnąć, z pewnością by to uczynił. Wstał, jego wielkie nogi zaskrzypiały niczym drzewa na wietrze, i położył opancerzoną rękę na pniu sędziwego klonu.

– Pójdę na daleki zachód i nauczę się paru rzeczy – powiedział głośno. Jego głos brzmiał chrapliwie.

Zrobiłem z siebie pośmiewisko, karykaturę samego siebie, pomyślał. Ale zaraz potem dodał w myśli: „Powinienem zachować tę postać, żeby nie zapomnieć o tym, co się wydarzyło”.

Jeśli mówił do drzewa, nie doczekał się odpowiedzi. Ruszył na zachód, i w tej chwili uderzył piorun.

Błyskawice tłukły wokół niego w pokazie straszliwej mocy. Wielki klon został zniszczony, gruby pień się rozszczepił jak uderzony siekierą olbrzyma, rozsiewając parujące drzazgi.

Głóg, większy niż olbrzymi Ruk czy potężny troll, runął na ziemię i został przyciśnięty przez konary starożytnego drzewa. Powietrze wokół niego wciąż było gęstą owsianką czystej mocy.

Gdyby Głóg mógł wrzasnąć, z pewnością by to uczynił.

Czuł, że padł ofiarą ataku, ale nie został unicestwiony. W jego głowie zaszło coś, czego nie umiał pojąć – w sieci korzeni i pajęczyn, gdzie tkął czary i pamiętał setki możliwości swojej *potentia*, pojawiła się czarna przestrzeń, jak próchno w drewnie skądinąd zdrowego drzewa.

Tu nic go nie mogło wytropić.

A jednak pojawiło się coś tak potężnego, że nie mógł tego opisać, rzuciło go na ziemię, zawładnęło nim i zniknęło.

Tuż na lewo od siebie, przez górę zniszczonej korony, dostrzegł obiekt leżący na liściach i gałęziach, jakby powalone drzewo stało się wielkim gniazdem.

Było to czarne jajo wielkości ludzkiej głowy. Ale nie prawdziwe jajo, gdyż pokrywały je łuski i po obu stronach miało dziwne guzy, jak zbroja.

Pancerne jajo.

Promieniowała z niego moc eteru.

Promieniowało z niego ciepło.

Głóg podnosił tarczę za tarczą – jarzące się półkule leśnej zieleni warstwiane niczym halki. Następnie nastroił, a raczej stworzył, fantazmiczne instrumenty służące do powiększania, badania, sondowania. I gdy to zrobił,

użył swojej mocy i wielkiej siły, żeby podnieść z siebie trupa wielkiego drzewa.

Jajo – obiekt zbyt mocno przypominał jajo, żeby go nazwać inaczej – oparło się jego badaniu.

Głóg nie miał żadnego planu na podorędziu. Podejrzewał, że jest w szoku. Siedział w schronieniu, jakie zapewniał mu sęk, i obserwował jajo, szturchając je mocą, i badając skraje surowej czerni w swojej głowie.

Czuł się zgwałcony.

Co to była za istota? I czego chciała?

Minęła godzina i napastnik nie wrócił. Pancerne jajo leżało, wytwarzając ciepło, a Głóg stopniowo nabierał mocy – i narastało w nim poczucie celu. Po raz pierwszy od klęski na polach Lissen Carak wiedział, czego chce.

## **Na północ od Muru – Giannis Turkos**

Giannis Turkos siedział i patrzył, jak jego hurańska żona szyje mokasyny. Właściwie niezupełnie na nią patrzył; myślał o radzie, na której miał przemawiać.

Uniosła wzrok.

– Nie przejmuj się – powiedziała. – Będą cię słuchać.

Pokręcił głową.

– To bardziej skomplikowane niż...

Urwał. Dwa lata wśród Zamurzan zabiły jego głębokie przekonanie, że są dziećmi, którym trzeba udzielać lekcji, ale pewne równie mocno zakorzenione uprzedzenia nie dały się wyrugować. Jednym z nich było to, że nie cierpiał zdradzać swoich planów. Co więcej, Zamurzanie nie byli poddanymi cesarstwa, nie byli nawet Albanami. Cechowała ich nieprzewidywalność i kierowali się kaprysami, na co nie pozwoliliby sobie żaden cywilizowany człowiek.

Ale kochał swoją żonę. I kochał jej współplemieńców, nawet kiedy postanowili rozpocząć wojnę, którą uważał za bezsensowną i wyniszczającą.

– Herbata gotowa – powiedziała. Jej głos brzmiał dziwnie dziecinnie, gdyż trzymała w ustach ścięgna do szycia.

Turkos wzruszył ramionami. Miał zbyt wiele zmartwień na głowie, żeby siedzieć i pić herbatę. Wyszedł na dwór i zobaczył, że wielu jego wioskowych przeciwników politycznych siedzi na przyzbie chaty po drugiej stronie placu ubitej ziemi, zwanego przez niego Platejami. Wielka Sosna pomachała

do niego ręką.

Wielka Sosna był jego zagorzałym wrogiem w radzie, lecz mimo to razem polowali ubiegłej jesieni, zabijając jelenie i gromadząc wiele bobrowych futer. Życie wśród Zamurzan stanowiło ciekawą mieszaninę antagonizmów i współpracy.

Dlatego Turkos odpowiedział podobnym gestem i uśmiechem. Ale pobyt pod gołym niebem nie zapewniał mu ochrony przed bystrymi oczami żony i jej jeszcze ostrzejszym językiem – a raczej oferował schronienie, lecz za cenę zasypywania pytaniami przez dwustu pięćdziesięciu innych hurzańskich dorosłych. Wsunął się z powrotem za zasłonę z łosiowej skóry i zdjął z ognia miedziany imbryk. Nalał herbaty do pięknych moreańskich kubków i jeden podał żonie, która patrzyła na niego z mieszaniną rozbawienia i wdzięczności, powszechną u żon w każdej kulturze, kiedy mężczyźni robią dokładnie to, czego się po nich spodziewają. Wypluła ścięgno na rękę, odłożyła je na bok i napiła się herbaty. Turkos do swojej dodał miodu z Dżiczy. Pokręciła głową.

– Jesteś jak dziecko – powiedziała z czułością.

Usiadł na krześle, które zrobił własnymi rękami, gdyż żaden Zamurzanin nie używał takich sprzętów, i w świetle kaganka przeczytał zwój, który dostał miesiąc temu. Przeczytał go kolejny raz.

*Logoteta Bębna do swoich sług w lasach i na pustkowiach, witajcie.*

*Doszło do naszych uszu i zabrzmiało miękko na naszym bębnie, że wrogowie cesarza próbują wykorzystać Zamurzan jako broń przeciwko cesarstwu. Bęben szepcze o zamurzańskim wtargnięciu do Alby na wiosnę; słychać wiarygodne szepty, że winowajcami są Sossagowie i Abenakowie. Każdy konflikt pomiędzy Huranami i Sossagami może rozciągnąć się na Trację. Wtargnięcie na terytorium Tracji byłoby wielce szkodliwe dla gospodarki cesarstwa i mamy nadzieję, że z wolą boską i dzięki wspaniałomyślności cesarza unikniemy takiego nieszczęścia. Niechaj wszyscy słudzy logotety wezmą to sobie do serca i podejmą odpowiednie działania. Co więcej, pewni ludzie w pałacu odnoszą się z mniejszym niż dotychczas entuzjazmem do polityki cesarza w kwestii polityki kraju i Zamurzan. Słudzy logotety są zobowiązani potwierdzić ich prawdziwe zamiary oraz autentyczność tekstu.*

Wiadomość została napisana magicznym atramentem na welinie, szyfrem literowo-liczbowym, który się zmieniał co sześć miesięcy, i szyfr się tłumaczył na górny archaiczny, język nieczęsto używany gdzie indziej na świecie. Wiadomość dostarczył cesarski kurier, potężny ptak z hodowli służącej specjalnie do tego celu. Jednak pod wszystkimi tymi warstwami ochrony logoteta, człowiek kierujący siatką szpiegowską cesarza, napisał wiadomość, która zawierała bardzo mało informacji i silną sugestię wewnętrznej zdrady.

Turkos znowu przeczytał list. Rozszyfrował go sześć razy, za każdym razem szukając nowego klucza albo przypadkowego zdania, które mogłoby do-

prowadzić do tego, że dostrzegłby inne znaczenie. Wypróbował zeszłoroczny klucz. Wypróbował klucz szkoleniowy, którego się nauczył na uniwersytecie.

Treść listu się nie zmieniła.

A była bardzo oszczędna.

– Mów z serca – powiedziała jego żona. – Nie ze skóry martwego zwierzęcia.

Kailin była mała, jej szczupłe ciało było twarde od mięśni, i miała wyrazistą twarz, niezupełnie ładną według moreańskich standardów, może odrobinę za szeroką, ale pełną charakteru – szczęśliwą, gdy się śmiała, zaciekle, gdy się gniewała. Kochał jej twarz. Miała lekko skośne oczy i wysoko zarysowane kości policzkowe, co mu przypominało, że niektórzy Zamurzanie nie są zbiegłymi wieśniakami – wielu należało do rasy zupełnie innej niż on.

Pochyliła się i go pocałowała.

– Pachniesz ścięgnem – powiedział, po czym oboje się roześmiali. Zrolował pergamin i wsunął go do lekkiej kościanej tuby, w której go otrzymał. Pocałował żonę, przeciągając ręką po jej boku, ale go odtrąciła.

– Ubierz się – powiedziała. – Skończę szycie, zanim się wystroisz.

Wstał i podszedł do łóżka, gdzie oboje rozłożyli jego rzeczy, w których miał przemawiać – starannie dobrane elementy moreańskiego stroju nadwornego i ubioru hurańskiego. Miał kaftan z jeleniej skóry skrojony na moreańską modłę, ale obsyty igłami jeżozwierzy, a zamiast rajtuzów hurańskie nogawice z paciorkami na każdym szwie. Włożył moreańską koszulę i gacie. Gdy wciągnął nogawice i przytroczył je do żołnierskiego pasa – z niektórych rzeczy nie mógł zrezygnować – żona się pochyliła, stawiając przed nim nowe mokasyny.

Prezentowały się wspaniale, ich wywinięte języki były sztywne od ufarbowanych na purpurowo i czerwono igieł jeżozwierza, a do tego jeszcze ozdobione starannie naszytymi purpurowymi koralikami.

Purpura należała do ulubionych kolorów Zamurzan, ale Turkosa przebiegły ciarki. W cesarstwie noszenie purpury bez zgody cesarza uchodziło za przestępstwo.

Co go nie powstrzymało od podziwiania pracy żony.

– Dzięki tobie wyglądam jak król!

– Huranowie plują na królów – powiedziała. – Wyglądasz jak bohater. I jesteś bohaterem. Idź, powiedz, co masz do powiedzenia. – Pomogła mu przypiąć ciężki sztylet do żołnierskiego pasa.

Wyjęła ze stosu skór do spania pelerynę, którą własnoręcznie uszyła z se-

tek futerek czarnych wiewiórek połączonych niewidocznymi szwami, podbitą jasnoczerwoną wełną. Udrapowała ją na jego ramionach i spięła dwiema spinkami, znakami jego moreańskiej rangi wojskowej: srebrną głową nieśmiertelnej gorgony Steno na prawym ramieniu i złotą głową Euriale na lewym.

Następnie podała mu topór z lekką stalową głowicą z przemyślnie wpasowaną fajką. Nauczył się go trzymać na zgiętej ręce z udawaną nonszalancją podczas spotkań rady, nawet kiedy trwały wiele godzin.

Stała na palcach i znów go pocałowała.

– Kiedy będziesz przemawiać w imieniu cesarza, pamiętaj, że jesteś również moim mężem i hurańskim wojownikiem. Pamiętaj, że żaden człowiek na radzie nie jest twoim wrogiem, że wszyscy pracujemy razem dla dobra całego ludu.

Uśmiechnął się do niej.

– Czasami myślę, że jesteś moją matką, a ja małym chłopcem.

Pokazała zęby w uśmiechu. Ujęła jego rękę i poczuła jej drzenie.

– Och, mój drogi! Moja siła! – Przycisnęła jego rękę do lewej piersi.

To oderwało jego myśli od trosk. Uśmiechnął się. Palce się mu poruszyły niemal z własnej woli.

– Nie powinnam tego mówić, ale matrony już postanowiły zrobić to, o co prosisz – powiedziała. – Nikt z wyjątkiem Północnych nie chce wojny z Sosagami. – Westchnęła – Idź już! – powiedziała. – Twoja ręka składa obietnice, których nie może spełnić reszta twego ciała.

Zgarbił się i spróbował wyjść przez zasłonięty jelenią skórą otwór z godnością dwuletniego doświadczenia i dwudziestu lat spędzonych na dworach Morei.

Na drodze, ubrany równie wspaniale, stał Wielka Sosna, o głowę wyższy od niego. Skinęli jeden do drugiego i, jako że los kazał im wyjść z chat w tej samej chwili, byli zmuszeni pójść razem przez wioskę.

– Wszyscy myślą, że doszliśmy do porozumienia – zagadnął Turkos.

Obaj słyszeli szepty płynące z każdej przyzby.

– Może powinniśmy – powiedział wysoki wojownik. – Mamy jeszcze sto kroków. Powiedz mi, dlaczego powinniśmy najechać na Północnych, a nie na Sossagów? Północni już zaatakowali Sossagów i wzięli jeńców. I spalili wioski. Uderzą na nas.

Turkos miał wrażenie, że anioł Chrystusowy zstąpił z nieba i w końcu otworzył uszy jego przeciwnika. Stało się to po raz pierwszy od trzech lat

jego pobytu w wiosce. Zwykle jego słowa trafiały w próżnię; na jednej radzie Wielka Sosna umiejętnie dowiódł, że Turkos nie włada językiem ludzi na tyle dobrze, żeby przedstawić swoją sprawę, i wezwano jego żonę. Dopiero ponieważ Turkos się zorientował, że jego mowa została ubrana w kobiece słowa – cenne na radzie matron, lecz niewiele warte na radzie mężczyzn. Stał się pośmiewiskiem.

Okazało się to mniej straszne, niż się spodziewał – w rzeczywistości zyskał przyjaciół w wiosce, nie stracił.

Wszystkie te myśli i setka podobnych przemknęły mu przez głowę, gdy szedł w milczeniu obok Wielkiej Sosny.

Stracił dziesięć kroków na myślenie.

Wzruszył ramionami.

– Dla Huranów pokój jest lepszy niż wojna – powiedział. – Sossagowie tej wiosny stracili wojowników, ale zyskali wiele broni i zbroi. Wiatr niesie szepty, że zawarli przymierze z potężnym czarnoksiężnikiem.

Wielka Sosna pokiwał głową.

– Może być tak, jak mówisz – zgodził się.

– Północni nie chcą niczego poza łatwym zwycięstwem. Wskutek suszy zdobyli mniej skór bobrowych niż zwykle i zebrali mało kukurydzy.

Zrozumienie uderzyło Turkosa niczym grom z jasnego nieba. Zatrzymał się na chwilę. Przecież mogą w inny sposób powstrzymać od wojny Huranów, a przynajmniej swoją wioskę i sześć innych, którymi rządzą.

– A jeśli wcale nie wyślemy oddziału wojowników? – zapytał. Zrobił krok. Po minie Wielkiej Sosny poznał, że jego argument trafił mu do przekonania. – Jeśli wyślemy delegację do Sossagów z zapewnieniem, że nie weźmiemy udziału w wojnie Północnych? I wyślemy naszych wojowników.... – próbował znaleźć słowo opisujące moreańską taktykę defensywnego patrolowania – żeby obserwowali i urządzali zasadzki, gdy będziemy żniwować?

Ognisko rady było już niedaleko.

Wielka Sosna wciąż na niego patrzył.

– Żadnej napaści? – zapytał. – Zamiast tego liczne małe oddziały, jak grupy myśliwskie, obserwujące każdą ścieżkę. – Podrapał się po ciemieniu, gdzie miał wspaniałą pióropusz z czaplich piór. – Wiele małych oddziałów oznacza wielu dowódców i dużo ćwiczeń dla młodszej krwi. – Popatrzył na Turkosa. – Gdybyś przyszedł z tym do mnie wcześniej, decyzja mogłaby zapadć dawno temu.

Turkos zapomniał o ostrożności.

– Pomyślałem o tym dopiero przed chwilą.

Cała wioska widziała, jak Wielka Sosna wymienił uścisk dłoni z Turko-  
sem, zanim weszli do domu rady. Obaj się śmiali.

## **Morea – Czerwony Rycerz**

– Naprawdę proponuje nam zapłacić, dając mi swoją córkę za żonę? – zapy-  
tał kapitan.

Przystanęli na odpoczynek z końskimi wodzami zarzuconymi na ramiona, bezpieczni za Middleburgiem w głębi moreańskich terenów wiejskich – bla-  
dozielone wzgórza i piaskowcowe wieżycy skalne ciągnęły się w zalaną słoń-  
cem dal.

Kapitan zachichotał i niemal się zakrztusił rozcieńczonym winem, którym  
poczęstował go ser Alkajos. Ser Gawin wyszczerzył zęby.

– Ludzie mówią, że jest największą pięknoscią naszych czasów – powie-  
dział. – Ale nie jestem pewien, jaką miałyby wartość przy odsprzedaży.

Ser Alkajos stał się ośrodkiem całej cesarskiej służby kurierskiej i dzięki  
codziennym przylotom dużych czarno-białych ptaków był na bieżąco z każ-  
dym aspektem kryzysu w pałacu.

– Nieładnie to zabrzmiało, ser Gawinie – warknął.

Kapitan wychylił resztę wina.

– Niech sprawdzę, czy dobrze rozumiem – powiedział. – Diuk Tracji ma  
pięć tysięcy ludzi, potężnego magistra i nieznaną liczbę zdrajców w mieście,  
a z Etrurii nadciągają najemnicy, którzy chcą obalenia cesarza, żeby móc z  
większą swobodą plądrować resztę cesarstwa. Czy dobrze mówię?

Ser Alkajos pokiwał głową.

– Tak, panie – odparł z nieukrywaną goryczą.

– Mamy sto kopii i tabor. Nie możemy liczyć na tutejszych wieśniaków ani  
tutejszych panów, a teraz mi mówisz, że księżniczka obwołała się cesarzową  
i twierdzi, że jest naszą mocodawczynią zamiast cesarza, który nas wynajął, i  
że nie ma pieniędzy, żeby nam zapłacić.

Ser Alkajos wzruszył ramionami.

– Pieniądzy zawsze brakowało.

*Nieprawda*, mruknął cicho Harmodiusz.

– Więc jej ojciec planował dać mi ją za żonę, zamiast nam zapłacić? – za-  
pytał ponownie kapitan, walcząc z ukłuciem bólu. Każda rozmowa z Harmo-  
diuszem niosła groźbę potwornych bólów głowy i stracenia dnia. – Taki był



jego plan?

Ser Alkajos się skrzywił.

– Zgadzam się, to wygląda dziwnie...

Gawin zaniósł się długim, głośnym śmiechem. Poruszył prawym ramieniem, gdzie na zdrowym ciele mnożyły się piękne złoto-zielone łuski. Drapał je zbyt często, jakby chciał się upewnić, że są prawdziwe.

– Chyba że się nią podzielimy... – zaczął.

Zły Tom trzasnął rękawicą w opancerzone udo. Twarz Alkajosa nabiegła krwią i jego ręka sięgnęła do miecza. Ser Gawin uniósł rękę.

– Panie rycerzu, jestem grubiański w mojej wesołości. Nie wątpię, że lady Irena jest piękniejsza niż wszystkie inne damy, z wyjątkiem mojej pani. – Panią jego serca była lady Mary, dworka królowej; jej welon trzepotał na jego ramieniu.

Ser Michael, były giermek kapitana i, o czym obecnie wiedziała cała kompania, krnąbrny syn hrabiego Towbraya, przyjął od kapitana tykwę rozwodnionego wina.

– Jeśli każdy z nas zrobi wyjątek dla swojej damy, czy to aby nie umniejszą piękna księżniczki Ireny? Jeśli jednak tego nie zrobimy, czy nie wyjdziemy na ponurą, nierycerską bandę?

Bogdanką ser Michaela była wieśniaczka z Kentmere i wszyscy tutaj widzieli ją codziennie. Pomimo praktycznego usposobienia, pęczniącego brzucha i rąk czerwonych od pomagania pracze Lis nikt nie mógł Kaitlin Lanthorn odmówić urody i jej rycerz był dumny, że jej skromna płócienna chusteczka zdobi jego ramię.

Michael wypił jeszcze jeden łyk wina i przekazał tykwę Złemu Tomowi.

– Nie wspominając, że Kaitlin rozdarłaby mnie na strzępy, gdybym domagał się swojego udziału w takim łupie.

Tom zadarł głowę i ryknął śmiechem. Kapitan musiał ukryć twarz za długim, szerokim rękawem. Ser Gawin odwrócił głowę, unosząc kąciki ust. Ser Alkajos w końcu się poddał i wzruszył ramionami.

– Później was wszystkich zabiję – zapowiedział.

Zły Tom poklepał go po plecach.

– Wariat! – W jego ustach była to najwyższa forma pochwały.

Kapitan uniósł rękę i wszyscy natychmiast ucichli.

– W tej chwili jesteśmy bogaci. Nie ma ryzyka, że ktoś nie dostanie dziennego żołdu. Ratowanie księżniczki i cesarstwa jest piękną przygodą. – Czerwony Rycerz spojrzał w oczy bratu. – Cesarz założył, że jestem najemnikiem

bez grosza przy duszy. Oczywiście.

*Może ją uratujesz i rozkochasz w sobie, a potem romantycznie odjedziesz po spaleniu jej listu,* zasugerował Harmodiusz.

*Mogę ją uratować, zaaranżować śmierć jej ojca i zostać cesarzem. A teraz się zamknij,* mruknął w myśli Czerwony Rycerz. Noszenie we wnętrzu czaszki potężnego maga, pięć razy starszego niż on, stało się znacznie większym brzmieniem, niż przypuszczał, kiedy go ocalił przed śmiercią. A może mag nie żył? Cokolwiek tam zostało, często bolała go głowa.

Ser Jehan do tej pory milczał, metodycznie pogryzając dwie połączone kiełbasy. Wypluł flak ostatniej i pokręcił głową.

– Ale tym się nie zapłaci rachunków.

– Zawsze miałem nadzieję, że choć raz zapłacę przed terminem, ser Jehanie, i pokażę moją trzeźwą praktyczność. – Kapitan przechylił tykwę. Zakłósał nią w rękę, zajrzał w głąb szyjki i podał ją Toby’emu, swojemu giermkowi, który miał następną pod ręką. – Ale tak, musimy otrzymać zapłatę. Ocalenie księżniczki prawdopodobnie jest dobrą reklamą, ale po Lissen Carak przez kilka lat nie powinno nam brakować... – rozejrzał się – czegokolwiek. – Wzruszył ramionami.

Ser Alkajos przymrużył oczy.

– Jesteśmy dwa dni jazdy od miasta. Z całym szacunkiem, panie, mam wrażenie, że nie bierzesz pod uwagę renegotjacji.

Kapitan otrzepał szkarłatny tabard, pociągnął kolczugę, żeby lepiej leżała pod wiele razy naprawianym kirysem, po czym machnął nogą, żeby but do jazdy konnej lepiej się dopasował do stalowego trzewika. Wskoczył na swojego nowego deresza. Koń stęknął, gdy Czerwony Rycerz przerzucił nogę nad wysokim łękiem i opadł na siodło, wsuwając stopy w żelazne strzemiona.

– To prawda – powiedział. – Alkajosie, nie jesteśmy błędnymi rycerzami. Jesteśmy najemnikami. – Popatrzył na swój sztab. – Poza tym księżęta cenią tylko to, za uzyskanie czego muszą słono zapłacić. Są jak dzieci.

Ser Alkajos pokręcił głową.

– Więc czego chcesz? – zapytał.

– Bogactwa, sławy, męstwa i chwały. Zacznę jednak od bogactwa. – Kapitan się uśmiechnął. – Rozbijemy obóz na wzgórzu, które widzę w dali. Gelfred powiedział, że jest tam woda i pasza na tydzień. Więc możemy czekać tam tak długo, prowadząc negocjacje z księżniczką.

Ser Alkajos z każdym jego zdaniem robił się coraz bardziej zagniewany.

– Jesteśmy dość blisko, by natychmiast rozpocząć oblężenie... Na rany

Chrystusa, panie, do tej pory słowem nie wspomniałeś, że będziesz się targować.

– Wszystko ma swoją porę. Nawet targowanie. – Kapitan stanął w strzemiionach i patrzył, jak jego kompania zjeżdża z przełęczy w wysokich górach.

Bliższe zbocza gór w Morei były bardziej brązowe niż zielone, a zieleń liści była blada. Poniżej lasów ciągnęły się gaje oliwne, niektóre na tarasach, pielęgnowane, inne dzikie. Jeszcze niżej w dolinach leżały pola pszenicy, prosa i jęczmienia, przecięte przez wąskie, kręte potoki.

Tylko niskie góry nad skalistymi wzgórzami oddzielały ich od centrum Morei i bogatych ziem uprawnych. I miasta widocznego w postaci smugi dymu i błysku białych murów, odległego o piętnaście lig.

Za miastem rozciągało się morze.

Ser Michael pokręcił głową.

– Dzikie nie było tutaj od pięciuset lat.

Zły Tom wzruszył ramionami.

– Dobre wino.

Ser Alkajos stanął przy strzemieniu kapitana.

– Podaj swoją cenę – powiedział lodowatym tonem.

– Alkajosie, nie bierz tego do siebie. To czysty interes. Nieszczególnie chcę się żenić z córką cesarza. Ani, pomimo całej tej beztroski, nie mogę się nią podzielić jak zapłatą. Więc dla równowagi potrzebuję konkretnej oferty. – Czerwony Rycerz muskał palcami pas z mieczem.

Ser Alkajos parsknął.

– Mów, czego chcesz. Natychmiast wyślę wiadomość.

Kapitan wpatrywał się w daleki horyzont.

– Chcę mieć nowy kirys, dopasowany i bez dziur. Słyszałem, że w mieście są genialni płatnerze.

– Drwiesz ze mnie.

– Nie, jestem całkowicie poważny. Interesuje mnie ładny nowy napierśnik i naplecznik wykonany przez mistrza płatnerza. Osobiście. A także wszystko to, co posiada diuk Tracji.

Ser Alkajos cofnął się o krok.

– Co? Przykro mi...

– Zakładam, że księżniczka okryje go hańbą i pozbawi całej jego własności i tytułów. Ja je przejmę. Poza tym obejmę jego urząd jako Megas Ducas... czy nie tak tytułujecie generała? Tak? I prawo do ściągania podatków w cesarstwie na potrzeby wojska. – Pokiwał głową, jakby dopiero przed

chwilą wpadł na taki pomysł.

Ser Michael klepnął się po udzie. Rozejrzał się, szukając wzrokiem ser Alison, Pyskatej, żeby podzielić się z nią żartem, ale pojechała ze szpicą.

Ser Alkajos przygryzł dolną wargę.

– Diuk Tracji jest księciem cesarskiej krwi – zaczął.

Kapitan pokiwał głową.

– Wiesz, przyjacielu, całkiem sporo wiem o cesarstwie. Rozumiem, że te drobne rodzinne kłótnie są powszechne i że członkowie rodziny przywykli, że nie grozi im odwet, jeśli się zbuntują. Zmieńmy stawki na samym początku, dobrze?

Ser Alkajos uśmiechnął się półgębkiem.

– To z pewnością zirytuje diuka.

Lady Maria pełniła rolę sekretarz cesarzowej. Z dwoma zwojami w koszyku zbliżyła się do tronu, w tym wypadku krzesła z kości słoniowej w komnacie księżniczki. Z zadowoleniem zobaczyła, że straż pełnią Nordykanie, sześciu w pierwszej komnacie i dwóch w drugiej. Trzy dni po podjętej przez diuka Tracji próbie zamachu stanu plamy krwi zniknęły i życie w pałacu powoli wracało do normy. Najlepszym tego świadectwem była skwapliwość, z jaką ordynariusze wypełniali polecenia, co było najlepiej widoczne w płochliwości pałacowych ordynariuszy, których teraz gorliwie przeszukiwano przy każdym głównych drzwiach, żeby sprawdzić, czy nie mają broni.

– Wiadomość od mojego syna – powiedziała lady Maria z dygnięciem.

Irena wyciągnęła rękę. W drugiej trzymała małą książkę oprawioną w welin.

– Tak? Czy ten obmierzły człowiek żąda mojej ręki? Czy szlachetny ser Alkajos załatwił tę sprawę?

– Tak – odparła lady Maria.

Irena skierowała uwagę na swoją główną doradczynię.

– Ach... w takim razie mamy podstawy do negocjacji. Co zaproponował?

– Chodzi nie tyle o to, co mój syn zaproponował, Wasza Wysokość, co czego zażądał barbarzyński kapitan.

Podawała tuby ze zwojami cesarzowej – w pałacu panowały sprzeczne opinie na temat tego, czy Irena jest cesarzową, czy tylko regentką, i sama lady Maria była zbyt mądra, żeby zajmować jednoznaczne stanowisko.

Cesarskimi kurierami były duże szybkie ptaki, selekcjonowane z uwagi na wielkość, która miała im zapewnić siłę do walki z drapieżnikami, ale nie do

przenoszenia ciężkich zwojów. Dwie tubki z ptasich kości zawierały kawałki papieru ryżowego z zaledwie paroma słowami.

– Przepraszam za zuchwalstwo tego barbarzyńcy... – rzekła cicho pani Maria.

Rysy twarzy Ireny stwardniały, ale jej oczy się zaskrzyły. Spojrzała na swoją sekretarz i po raz pierwszy od trzech długich dni zdobyła się na lekki uśmiech.

– Diuk Andronikus wpadnie we wściekłość – powiedziała.

Lady Maria stała ze spuszczonym wzrokiem.

– Szokujący pomysł, Wasza Wysokość. Pozwól, że powiem...

Irena sięgnęła piękną dłonią do równie pięknej szyi.

– Żałuję tylko, że nie mogę być przy tym, kiedy to usłyszysz. Ten syn diabłatej heretyckiej dziwki śmie podnosić swoją brudną rękę przeciwko... – Umilkła na chwilę. – Przeciwko mojemu ojcu? Zgotuję mu piekło, a później z pomocą tego zacnego barbarzyńskiego dżentelmena pošlę go do diabła.

Gdy to mówiła, jej blada twarz nabrała koloru i oczy zalśniły. Policzki barwy kości słoniowej zyskały kolor czerwonej róży. Rozejrzała się.

– Czy znaleziono Wielkiego Szambelana?

Lady Maria spojrzała w oczy Nordykanina, Ciemnowłosego. Mężczyzna był przystojny, choć po barbarzyńsku wytatuowany, i mimo woli jąła się zastanawiać, jak wygląda ten śmiały nowy barbarzyński najemnik.

Ciemnowłosy odpowiedział spokojnym spojrzeniem i leciutko pokręcił głową.

– Wasza Wysokość, musimy dodać Wielkiego Szambelana do listy zdrajców. W jego pokojach znaleziono korespondencję mającą znamiona zdrady, a on opuścił swój dom, porzucając żonę i dzieci. – Lady Maria mówiła cicho, z pochyloną głową. Kryzys spowodował rozprężenie w pałacu i pewne zaniebdywanie ceremoniału, ale ona zamierzała trzymać się zasad obowiązujących za panowania jej ojca.

Irena się wyprostowała.

– Przejąć jego dobra i stracić rodzinę – oznajmiła. – Co do najmłodszego dziecka.

Lady Maria pokiwała głową.

– Oczywiście, Wasza Wysokość. Mam jednak pewne zastrzeżenia...

Irena odwróciła głowę.

– Nie lubię tego zwrotu. Czy nie zgadzasz się z moim słusznym gniewem? Ich śmierć pokaże, jak postępujemy ze zdrajcami. Zabrał ze sobą cesarską

pieczęć?

– Na pewno ją ma. Jeśli została w pałacu, nikt z nas nie może jej znaleźć. – Lady Maria wzruszyła ramionami. – Twoja matka miała duplikat.

Irena zeszywniała.

– Nie może być duplikatu świętej pieczęci!

Maria spuściła głowę.

– Jak Wasza Wysokość mówi. Mam jednak...

– Znowu to samo! – syknęła Irena.

Maria pokiwała głową.

– Moje wahanie wynika z tego, Wasza Wysokość, że Wielki Szambelan od dziesięciu lat miał młodą kochankę. Ojcował jej dzieciom i kupił jej dom; ta kobieta zniknęła wraz ze swoim potomstwem. Szambelan postanowił ją zabrać, a żonę porzucił. Jej śmierć sprawi mu przyjemność. W drugim wypadku, choć się zgadzam, że nie powinno być duplikatu pieczęci, pokażę Waszej Wysokości dowód. – Wyjęła ciężki złoty łańcuch z granatem wielkości dziecięcej pięści, płaskim z jednej strony, z wyciętym herbem cesarstwa. Zdawało się, że w sercu kryształu płonie czerwony ogień.

– To Serce Aecjusza! – krzyknęła młoda cesarzowa.

– Nie sądzę. Myślę, że twoja matka o świętym imieniu i nieskazitelnej reputacji kazała sporządzić duplikat pieczęci, kiedy się nie godziła z edyktami twojego ojca dotyczącymi prawdziwej religii, żeby po cichu je zmienić – wyjaśniła lady Maria.

Irena przemyślała jej słowa i przez chwilę wyglądała na szesnastoletnią dziewczynę, a nie wiecznie młodą pogańską boginię.

– Proszę o wybaczenie, Mario. Sprowadź na dwór dzieci i żonę szambelana, a jego pozbaw tytułów. Publicznie. Purpurowy pergamin, złoty atrament. I przekaz barbarzyńcy, że zawarliśmy umowę i że się z niej wywiążę, kiedy siły diuka zostaną rozbite i przepędzone od moich murów.

Lady Maria nie miała łatwego życia. Była kolejno ubogim dzieckiem arystokratycznego rodu, rozwiniętym nad wiek dzieckiem-dworzaninem, królewską kochanką, porzuconą królewską kochanką, matką niechcianego bękartu i, najgorsze ze wszystkiego, rywalką starzejącej się cesarzowej.

A teraz ciąg wypadków, na które nie miała żadnego wpływu, dał jej i jej synowi władzę, o jakiej nigdy nie marzyła. Tak wielką władzę, tak wielkie wpływy, że zamiast myśleć o wzbogaceniu swoich krewnych, musiała z powagą zastanawiać się nad dobrem cesarstwa. Jeśli przeżyje i jeśli jej strona wygra.

Jej syn obiecywał, że ten barbarzyński najemnik jest zdolny do dokonywania militarnych cudów.

Słowa księżniczki wyrwały ją z zadumy.

– Lady Mario, od tymczasowego spathariosa Ciemnowłosego słyszałam, że wzięto jeńca podczas... nieprzyjemności w pałacu.

Lady Maria położyła rękę na krzyżu i dygnęła.

– Wiem, że to prawda – potwierdziła.

Księżniczka Irena kilka razy pokiwała głową.

– Lady Mario, ten człowiek musi umrzeć.

Lady Maria była podobnego zdania.

– Możesz przyjąć, że to już się stało.

Sprzed oblicza cesarzowej udała się do odległych stajni, żeby się zastanowić nad skutkami wywłaszczenia diuka Tracji i pozbawienia wszystkich tytułów i urzędów. Był najpotężniejszym panem w cesarstwie. Był odnoszącym największe sukcesy żołnierzem cesarza.

Był starym rywalem, do którego nie czuła niczego oprócz pogardy.

Znalazła zabójcę w celi znajdującej się pod pałacowymi stajniami i wezwała strażnika, Nordykanina. Oni i scholiści pełnili zbrojną służbę w pałacu.

– Dopilnuj, żeby ten człowiek dostał wino do kolacji – przykazała. Podała amforę z winem jednemu z ordynariuszy.

Nordykanin się uklonił.

– Tak, despoino.

Następnie weszła po zbyt licznych jak dla niej schodach do biur usług kurieskich, będących jedną z chlub upadającego cesarstwa. Dzięki trwającemu od tysiąca lat umiejętnemu selektywnemu doborowi osobników przez mistrzów sokolnictwa, połączonemu z solidnym hermetyzmem, łączność w cesarstwie była bezpieczna i sprawna.

Lady Maria napisała odpowiedź młodej cesarzowej, zwinęła karteczkę w ciasny rulonik i przekazała ją sokolnikowi. Stała i patrzyła, jak mężczyzna wyjmując z ptaszarni jednego z dużych czarno-białych ptaków, daje mu kościaną tubę, udziela instrukcji i wypuszcza. Adept niskiej rangi rzucił skomplikowany fantazm.

Ptak wzbił się w powietrze, rozpościerając długie na siedem stóp skrzydła na świeżej bryzie nad Zewnętrznym Dziedzińcem.

Ser Alkajos uklonił się w otwartym wejściu namiotu kapitana. Toby, który szmatą z jesionowym popiołem polerował trzewik, złożył ukłon moreańskie-

mu rycerzowi i pokiwał głową.

– Pije – powiedział.

Kapitan siedział z ser Alison i ser Thomasem. Na stole przed nimi leżał pergamin pośledniej jakości, starannie poznaczony białym ołowiem, pogryzmołony atramentem i węglem drzewnym.

Kapitan skinieniem głowy powitał gościa.

– Dobry wieczór. Alkajosie, nie złość się.

Moreańczyk pokiwał głową.

– Nie złościę się, panie. Ale chciałbym powiedzieć, że nie lubię mieć dwóch panów, względem których powinienem być lojalny, a którzy traktują mnie jak marionetkę i pociągają za sznurki.

Zły Tom wyciągnął nogi w butach z długimi cholewami, zajmując cały tył namiotu.

– W takim razie nie miej dwóch panów – powiedział.

Alkajos opadł na stołek.

– Każdy człowiek ma dwóch panów, albo trzech, albo czterech. Albo dziesięciu. Panów, panie, kościół, rodziców, przyjaciół...

Kapitan pokiwał głową.

– Czy mamy jakąś rycerską literaturę bez rozdarcia wewnętrznego i problemów z lojalnością? – Wzruszył ramionami, spoglądając na Toma. – Ty unikasz problemu, zabijając wszystko, co się z tobą nie zgadza.

Tom okręcił na palcu krótką czarną brodę.

– Dopiero jak przyjmę robotę poganiacza.

– Właśnie – powiedział kapitan. – Alkajosie?

Moreańczyk podał mu dwie tubki na zwoje.

– Tak, pod jednym warunkiem: że odniesiesz sukces.

Kapitan uniósł skrzące się oczy.

– No, no. Jakże musi być zdesperowana. Jakże wściekła. Powinienem zażądać więcej. – Rozłożył ręce. – Czyli mam się zgodzić, że dostanę zapłatę tylko wtedy, jeśli mi się powiedzie. Toby, każ Nicholasowi odtrąbić odprawę oficerów.

Nicholas Ganfroy był młodym człowiekiem z fantazyjnym pergaminem wystawionym przez ratusz w Harndonie, stwierdzającym, że ma prawo służyć jako herold w każdych okolicznościach. Był bardzo chudy i wydawał się młodszy niż wszyscy inni. Można by zliczyć na palcach kobiety, do których się nie umizgiwał w ciągu trzech krótkich tygodni swojej przynależności do kompanii. Jeśli chodzi o grę na sygnałównce, nie dorastał do pięt poprzednie-



mu trębaczowi, kowalowi Carlusowi, wielkoludowi, który zginął w ostatniej bitwie pod Lissen Carak.

Teraz jednak był trzeźwy i uważny, i po trzech trochę marnych próbach zdołał zagrać odprawę na tyle dobrze, żeby przywołać ser Jehana, ser Milusa, mistrza Gelfreda, i nowych kaprali, Francisa Atcourta, Johna le Bailli i ser George'a Brewesa. Ser Alkajos miał rangę kaprała, podobnie jak ser Alison. Pyskata podniosła jeden bok namiotu, żeby zrobić więcej miejsca, i krzyknęła:

– Tommy! – Jej wrzask ulicznicy poniósł się po wieczornym obozie.

Jej paż rzucił but, który akurat pucował, i popędził do namiotu dowództwa. Na miejscu pomógł Toby'emu wraz z tuzinem innych paziów i giermków rozstawić stoły na kozłach i obozowe stołki wypożyczone z innych namiotów, żeby oficerowie mogli usiąść kręgiem wokół kapitana. Przybyli dwaj starsi łucznicy: Osiełek i Dryg. Usiedli z rycerzami ze swobodą i poczuciem koleżeństwa nieznanym kilka miesięcy wcześniej, a giermkowie bez słowa podali im wino. Ostatni zjawił się notariusz. Skinął głową kapitanowi i zajął miejsce obok Złego Toma.

Kapitan uniósł rękę, nakazując ciszę.

– Ser Alkajos wynegocjował dobry kontakt z naszym nowym pracodawcą – oznajmił. – Dopilnuję, żebyśmy odnieśli znaczące zyski. Pora zabrać się do pracy. Wszyscy macie za sobą kilka tygodni nudy i ćwiczeń. Nowe kopie miały czas się wdrożyć. Starzy wojownicy mieli czas otrząsnąć się ze strachu. – Powiódł wzrokiem po twarzach. – A może nie i tylko wszyscy udajemy, co?

Pyskata się skrzywiła.

– Wedle życzenia, kochanie – powiedziała.

– To może być naszą dewizą – zgodził się kapitan. – Gelfredzie? Podsumujesz sytuację?

Gelfred wstał i rozwinął wyjęty z tuby pergamin z całej owczej skóry, pięknie wyskrobanej i przezroczystej w świetle lampy.

– Diuk Tracji ma około pięciu tysięcy ludzi w dwóch głównych oddziałach. Jeden obozuje na tak zwanym Polu Aresowym przy południowo-zachodniej bramie miasta i jest złożony głównie z rycerzy oraz zbrojnych, choć z kilkoma wyjątkami ich rynsztunek nie dorównuje naszemu i nie mają równie dobrych koni. Jeżdżą na lżejszych wierzchowcach i noszą kolczugi.

Tom wyszczerzył zęby.

– Więc są ile? Sto lat do tyłu?

Ser Alkajos pochylił się w jego stronę.

– Jest prawda w twoich słowach, Tomie, ale Moreańczycy są znacznie lepiej zdyscyplinowani niż większość waszych albańskich rycerzy i znacznie lepiej wykonują manewry niż, powiedzmy, Galowie.

– Mimo wszystko stanowią łatwe cele dla strzał – skomentował Dryg.

Gelfred pozwolił sobie na nieznaczny uśmiech.

– Skoro tak mówisz. – Rozejrzał się, jakby oczekując, że ktoś mu przerwie, po czym podjął: – Drugi oddział jest bardziej zróżnicowany, złożony z północnych hobilarów zwanych stradiotami, którzy stanowią wsparcie dla zbrojnych i dla konnych łuczników. Stacjonują na południowy wschód od miasta, obserwując bramę, za którą kwateruje regiment wardariotów. Jest jasne, że diuk przejmuje się wardariotami bardziej niż nami, o ile w ogóle wie o naszej obecności. W ciągu ostatnich trzech dni wybiliśmy więcej jego zwiadowców, niż dałbyś wiarę. – Skrzywił się. – Ma jednak oddział ludzi ze Wschodu. – Wzruszył ramionami. – Szanse są mniej więcej równe. Nie załatwiliśmy ani jednego z jego wschodnich jeźdźców, a oni nie załatwili żadnego z naszych, chociaż w przypadku Kołka Amy niewiele brakowało.

Wszyscy w obozie wiedzieli, że Kołek Amy wrócił w ostatnim świetle dnia ze strzałą w tłustym zadzie, co wzbudziło powszechną wesołość.

– W Salmis, po drugiej stronie zatoki niż miasto, stacjonuje potężny szwadron etruski. – Gelfred spojrzał na kapitana, który pokiwał głową. – Nasz informator sugeruje, że Etruskowie są gotowi poprzeć diuka Andronikusa w zamian za koncesje handlowe.

Alkajos pokiwał głową.

– To pasuje do wiadomości przysłanych przez moją matkę – wtrącił. Jeśli był ciekaw, kto w mieście zaopatruje kapitana w informacje, to tego nie powiedział. – Etruskowie mają szesnaście galer i trzy kogi. Prawie tysiąc marynarzy i trzystu zbrojnych. – Rozejrzał się.

Osiełek zagwizdał.

– Łucznicy z rogowymi łukami, co do jednego. Diabły z piekła rodem, jak my.

Dryg przyznał mu rację.

– Wolę walczyć z boglinami i irkami. Ich łucznicy są niewiele warci.

Kapitan pochylił się tak mocno, że stołek pod nim zaskrzypiał.

– Wardarioci są lojalni, Alkajosie?

– Nikt nie ma pewności. Odmówili udziału w paradzie dla zdrajcy, ale nie opuścili koszar. Ci ze wschodu są dość zagadkowi.

– Kiedy ostatnio dostali żołd? – zapytał kapitan.

Alkajos poruszył się niespokojnie.

– Ani razu od roku.

Kapitan złączył czubki palców.

– Możesz nakłonić ich przywódców, żeby się z nami spotkali?

Alkajos wzruszył ramionami.

– Mogę spróbować – odparł.

Kapitan powiódł wzrokiem po twarzach swoich oficerów.

– Zaproponuj wypłacenie zaległego żołdu. Pokryję koszty. W zamian chcę, żeby rankiem publicznie zorganizowali paradę i przejechali ulicami miasta do... – Urwał i spojrzął na mapę. – Do Bramy Aresa.

Wszyscy wyciągnęli szyje.

– Będziemy walczyć na Polu Aresowym? – zapytał Michael z wyraźną ekscytacją w głosie.

– Mam nadzieję, że niebawem były diuk Tracji właśnie tak pomyśli – powiedział kapitan. – Ser Alkajosie, w ciągu godziny chcę usłyszeć odpowiedź wardariotów, tak albo nie. Toby napisał rozkazy dla każdego oficera. Za godzinę wymarsz.

Siedzieli w pełnym oszołomienia milczeniu.

Zły Tom się roześmiał.

– Myślałaś, że będzie omawiać strategię? – zapytał. – Daj spokój, Pyskata.

Ser Alison już przeglądała swoje rozkazy.

– Chcesz, żeby ktoś ci przeczytał, Tomie? – zapytała.

Nikt inny nie pozwalał sobie na takie żarty pod jego adresem. Zły Tom sięgnął ręką do miecza i gwałtownie obrócił głowę, ale ona się uśmiechnęła do niego.

– Będziemy maszerować przez całą noc przez obce ziemie, żeby walczyć z ludźmi, których nigdy nie spotkaliśmy – powiedziała.

Tom pokiwał głową.

– Tak – zgodził się. – To jak spełnienie wielkiego marzenia.

## **Dwór Galii – król, jego Koń i lady Clarissa**

Król, patrząc, jak lady Clarissa gra, oblizał usta.

Uśmiechnęła się do niego, nie przerywając gry i śpiewu.

Kiedy kończyła motet, nagroził ją oklaskami, a ona skromnie skłoniła głowę. Król podniósł się ze stołka – stołka z idealnie białej kości umrotha z

Ifriquy'ya, stojącego przy stoliku z owocowego drewna, wyłożonego kością tego samego zwierzęcia – i podszedł do niej. Położył rękę na ramieniu Clarissy, poczuł lekkie drżenie, i nie mógł się powstrzymać od drapieżnego uśmiechu.

– Ubierasz się bardzo skromnie jak na kobietę mojego dworu – powiedział.

– Panie – szepnęła bardzo cicho.

– Na twoim miejscu nosiłbym bardziej eleganckie stroje. Przypuszczam, że jesteś piękna. Pragnę być otoczony przez piękne rzeczy. – Zaczął gładzić jej plecy i ramię.

Zesztywniała pod jego ręką.

– Wasza Królewska Mość? – odezwał się Abblemont i królowi udało się nie podskoczyć.

– Tak, Koniu? – Odwrócił się, z rękoma tak daleko od kobiety, że mógł udawać, iż wcale jej nie dotykał.

– Następną sprawą. Nie dla uszu rady wojskowej – powiedział Abblemont.

Mademoiselle de Sartres zabrała lutnię i ruszyła do wyjścia z prywatnej komnaty króla. Wuj dał jej dyskretnie znak, więc wiedziała, że może odejść, i odetchnęła z ulgą. Król dostrzegł jej reakcję i jego złość wybuchła jak zimna woda wylana na gorącą skałę.

– To ja wzywam i odprawiam, Koniu – wycedził.

– Oczywiście, Wasza Królewska Mość – powiedział Abblemont. – Ale sprawa jest pilna, ważna dla naszej polityki i królestwa.

– Jeszcze z nią nie skończyłem! – krzyknął król.

Obojętność Abblemonta rozgniewała go tak bardzo, jak pozbawione wyrazu twarze matki i żony. Złapał pierwsze, co mu wpadło w rękę – stołek – i rzucił nim przez pokój. Stołek uderzył w ścianę i rozpadł się na kawałki, siejąc we wszystkie strony drzazgami kości umrotha.

– Wasza Królewska Mość – rzekł Abblemont ostrożnie.

Jak zwykle, król po zniszczeniu czegoś poczuł się znacznie lepiej.

– Przepraszam, Koniu. Oczywiście możesz odprawić swoją siostrzenicę. O co chodzi?

– Chcę wysłać więcej rycerzy do de Vrailly'ego i więcej zbrojnych. Ma dowodzić wyprawą w imieniu króla Alby, więc musimy wykorzystać okoliczności i umieścić całą armię w obrębie granic królestwa, póki jesteśmy uważani za najlepszych przyjaciół.

Król skrzyżował ręce na piersi.

– Captal? Musimy? Ten głupi bękart... – Odwrócił wzrok.

– Postrzegaj go, panie, jako poręczne narzędzie – poradził Abblemont. Skoro mogę mówić z tobą na osobności, mam raport, że Tajna Rada króla Alby otwarcie oskarżyła nas o fałszowanie ich monet.

Nie był przygotowany na wrzask gniewu.

– Jak śmie?! Czy jestem pospolitym przestępcą?

Abblemont rozłożył ręce i zadecydował, że to zły czas na przypomnienie królowi, że rzeczywiście puszczają w obieg podrobione albańskie monety. Zdusił westchnienie, bo sterowanie królem stawało się coraz trudniejsze.

– Wy tłumacz mi, Koniu, dokładnie mi wytłumacz, dlaczego mamy popierać pretensje de Vrailly’ego? – Król nie wywrzeszczał tych słów. Zdawało się, że odzyskał panowanie nad sobą.

– Wasza Królewska Mość, jeśli de Vrailly zostanie pancerną pięścią króla Alby, królestwo wpadnie w nasze ręce bez względu na to, czy postanowimy się o nie ubiegać. Sytuacja wygląda tak, że król Alby lada moment może rozgniewać swoich dwóch najpotężniejszych wielmożów. Może doprowadzić do tego, że będą chcieli do nas dołączyć, albo postanowi ich wyeliminować i tym samym zredukuje swoją siłę bojową. W konsekwencji będzie używać naszego wojska, żeby zmiażdżyć własne. – Abblemont pilnował się, by nie dodać, iż wykorzystuje de Vrailly’ego do pogłębiania rozdzźwięków na albańskim dworze i zdyskredytowania albańskiej królowej. Taki sposób wydawał się najprostszy.

– Doskonale. Poślij de Vrailly’emu więcej ludzi. – Król mówił jak nadąsany chłopiec i powiększył to wrażenie, przygryzając kciuk.

– Pomyślałem, żeby posłać więcej rycerzy na pomoc messire de Rohanowi – powiedział Abblemont.

– Temu obmierzłemu plotkarzowi? – Król pokiwał głową. – Doskonale. – Popatrzył na zniszczony stołek. – Dopilnuj, proszę, żeby to uprzątnięto i przysłano mi nowy... może hebanowy. Lubię się otaczać pięknymi rzeczami.

Abblemont stał ze spuszczonego wzrokiem.

I lubisz je niszczyć, pomyślał.

## **Liwiapolis – księżniczka**

Harald Derkensun nie cierpiał służby w więzieniu. Była poniżająca. W Nordyce nigdy nikogo nie zamykano w więzieniu. Każdy Nordykanin wolałby umrzeć.

Zabójca okazał się przykładnym więźniem. Nie był zasługującym na po-

gardę słabeuszem, co Derkensun uznał za miłą niespodziankę. Uprzejmie skinął głową, kiedy Derkensun przyszedł na służbę, a poza tym milczał.

W pewnym momencie przyszło dwóch ludzi z biura logotety i poddało go torturom. Nic nie powiedział – ani słowa.

Starszy z ludzi logotety wzruszył ramionami.

– Jeszcze za wcześnie. Ha... Nordykaninie, po czymś takim na pewno nie zaśniesz, co?

Derkensun pokręcił głową.

– Nażryj się gówna i zjeżdżaj – mruknął. – Nie biorę udziału w takich rzeczach.

Ludzie logotety nie przejęli się jego złością. Ten młodszy został, żeby dopilnować zamknięcia zabójcy w żelaznej klatce, i od czasu do czasu grzechotał drzewcem włączni o kraty. Drugi więzień, starzec zamknięty za publiczne bluźnierstwo, skarżył się na hałas.

Derkensun położył rękę na ramieniu śledczego.

– To wbrew prawu – powiedział.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Nie ma prawa dla zwierząt takich jak on. Jest zawodowym zabójcą. Wynajętym mordercą. I jego dowódca uciekł. Kiedy zdradzi jego imię, to go wypuścimy. – Wyszczrzył zęby. – Kiedy zagrozimy mu obcięciem stopy, puści farbę. Dzisiaj miała miejsce tylko formalna prezentacja, nie bądź takim...

– Wróc z nakazem – przerwał mu Derkensun. Zaprowadził śledczego do okutych żelazem drzwi. – Ten człowiek jest przestępcą, bez dwóch zdań. Przynieś nakaz od księżniczki, cokolwiek. Dopóki tego nie zrobisz, trzymaj się z daleka. – Był zły, że został zmuszony do udziału w czymś tak niehonorowym. Jego decyzja przynajmniej pozwoli wszystkim się wyspać.

Godzinę później podano kolację. Dwaj więźniowie podzielili się winem.

Zabójca uniósł wzrok po pierwszym łyku i pokręcił głową.

– Psiamać – mruknął. – Trucizna.

Stary się przeżegnał.

– Naprawdę?

Derkensun wstał, ale zabójca już toczył pianę z ust w żelaznej klatce. Coś wymamrotał i Derkensun zbladł, słysząc jego słowa.

I skonał.

Podobnie jak bluźnierca.

Godzinę później, gdy wzeszedł prawie okrągły księżyc, zalewając szarawą

poświatą namioty, które rzucały czarne cienie na ziemię, i sprawiając, że zbroje wyglądały jak zrobione z płynnego metalu, kompania stanęła w ordynku. Po miesiącu spędzonym w drodze nawet najbardziej zielony młody syn znał swoje miejsce w szyku. Mieli sto kopii, czyli setkę w pełni opancerzonych zbrojnych, kolejną setkę niemal równie dobrze uzbrojonych giermków, dwustu zawodowych łuczników, w większości z dużymi jesionowymi albo wiązowymi łukami, które rozślawiły Albę, i kilku ze wschodnimi łukami z rogu albo nawet kuszami, w zależności od upodobania łuczników i ich rycerzy. Do tego dochodziły kolejne dwie setki paziów, w większej części bez zbroi, ale uzbrojonych w lekkie włócznie, miecze i w niektórych przypadkach łuki. Dzięki ostatnim sukcesom starsi paziowie wzbogacili się o półpancerze i prawie każdy człowiek w kompanii miał porządny hełm z kolczym kapturem.

Od godziny ptaki latały w tę i powrotem pomiędzy nimi i miastem – samo miasto leżało niespełna piętnaście mil dalej. Alkajos podszedł do kapitana i pokręcił głową.

– Ani słowa od wardariotów – oznajmił. – Cesarzowa wysłała do nich delegację, ale mogą minąć godziny, zanim się odezwą.

Kapitan pokiwał głową.

– Nie mam czasu. Jedziemy.

– A jeśli odmówią? – zapytał Alkajos.

Kapitan wzruszył ramionami i jego pancierz zazgrzytał.

– W takim razie okazja przepadnie, łatwe zwycięstwo wymknie nam się z rąk i wszystko się zrobi trudniejsze. – Wzruszył ramionami. – I stracimy noc snu. Jedziemy.

## ROZDZIAŁ PIĄTY



### **Jarsay – Jean de Vrilly**

Hrabia Eu patrzył na okryte lśniąca stalą plecy kuzyna, gdy długa kolumna rycerzy i zbrojnych sunęła Traktem Królewskim z Harndonu przez Jarsay. Za nią toczyło się dwadzieścia nowych wozów królowej, strzeżonych przez pięćdziesięciu królewskich łowczych i tylu samo podśpiewujących gwardzistów w długich kolczugach, z toporami na ramionach. Jego kuzyn dowodził tą małą armią, chociaż w jej skład wchodziłi najświetniejsi żołnierze króla Alby, obecnie pełniący rolę poborców podatkowych.

Gaston podrapał się po karku, marząc o powrocie do ojczystej Galii. Bez wiedzy swojego rycerskiego kuzyna napisał list do ojca Constance, hrabiego



D'Aubrichcourt, prosząc o rękę jego córki. Jeśli zostanie przyjęty wróci do domu, żeby wziąć ślub. W domu, z dala od kuzyna z bzikiem na punkcie poszukiwania chwały, wziąłby ją do łóżka i spędził resztę życia...

W wyobraźni zobaczył ją naga, nurkującą w sadzawce lodowatej wody. Wszyscy trubadurzy mówili, że prawdziwa miłość – miłość z pazurem – czyżni mężczyznę lepszym rycerzem, i Gaston musiał przyznać, że wyobrażenie jej nagiego ciała, gdy się ustawiała do skoku...

– Stać! – krzyknął jego kuzyn.

Gaston wyrwał się z zadumy i zobaczył, że tuzin konnych łowczych sprowadził dwóch młodych jeźdźców wyraźnie wrzących z wściekłości. Starszy trzymał jastrzębia na ręce.

– Jakim prawem jedziecie uzbrojeni przez Jarsay? – zapytał.

Captal de Ruth uśmiechnął się jak święty na obrazie.

– Z rozkazu króla – odparł.

Młody mężczyzna wzruszył ramionami.

– W takim razie lepiej pchnij gońca do mojego wuja, żeby poprosić o pozwolenie. – Zadarł głowę z młodzieńczą arogancją. – Jesteś cudzoziemcem, tak? De Vrailly? Prawdopodobnie nie znasz naszych zwyczajów...

Jean de Vrailly poczerwieniał.

– Milcz, chłopcze – wycedził.

Młodzieniec parsknął śmiechem.

– To Alba, panie, nie Galia – rzucił wyzywająco, patrząc na otaczających go łowczych królewskich. – Rozkaż tym ludziom, żeby mnie puścili, a wróć do mojej rozrywki.

– Powiesić go – rozkazał de Vrailly dwóm łowczym.

Starszy mężczyzna, który nosił barwy królewskie, nie ruszył się z miejsca.

– Panie?

– Słyszałeś – ponaglił go de Vrailly.

Gaston trącił ostrogami boki wierzchowca.

– Jeśli włos spadnie mi z głowy, mój wuj upiecze cię żywcem z uciętym kutasem w gębie – warknął sokolnik. – Kim jest ten wariat?

– Zuchwalec – powiedział de Vrailly. – Jest zuchwały! Powiesić go.

Łowczy odetchnął głęboko i uniósł rękę, powstrzymując swoich towarzyszy.

– Nie, panie. Nie bez nakazu i należytego procesu.

– Jestem królewskim dowódcą w Jarsayu! – syknął de Vrailly.

Gaston chwycił uzdę jego konia.

– Obraził mnie! Doskonale... – mówił captal – widzę, do czego to wszystko prowadzi. Młody człowieku, nosisz miecz. Wyświadczę ci zaszczyt, zakładając, że umiesz się nim posługiwać, tak. Wyzywam cię. Obraziłeś mnie i splamiłeś mój honor i nie przeżyję ani jednej chwili bez starcia tej plamy.

Sokolnik nagle zrozumiał powagę sytuacji i ogarnęło go przerażenie. Czerwone i białe plamy wystąpiły mu na twarzy.

– Nie chcę z tobą walczyć. Chcę jechać do domu.

De Vrailly zsiadł z konia.

– Skoro jesteś taki głupi, żeby jeździć bez zbroi, zdejmę swoją. Giermek! – zawołał i pojawił się Stephan.

Rozkazał dwóm paziom podprowadzić wóz i razem zaczęli zdejmować zbroję captala, najpierw rękawice, potem naręczaki z rąk, naramienniki, napierśnik i naplecznik, następnie trzewiki i bigwanty.

Sokolnik też zeskoczył na ziemię. Jego towarzysz, najwyraźniej sługa, coś do niego szepnął, a on pokręcił głową.

– Pieprzyć go – mruknął. – Nie jestem tchórzem, a mój miecz nie jest łodygą lilii.

Gaston postanowił przemówić do rozumu upartemu aroganckiemu kuzynowi.

– Kuzynie – zaczął cicho – pamiętasz, ile sprawiłeś kłopotu, zabijając giermków ser Gawina?

– Co? Nie ja ich zabiłem, Gastonie. On sam zabił jednego, a ty, jak mi się zdaje, zabiłeś drugiego.

Gaston zmusił się do zapanowania nad gniewem.

– Na twoje rozkazy.

De Vrailly wzruszył ramionami.

– Tak czy owak, nie było żadnych konsekwencji.

Gaston drgnął jak użądłony.

– Nie było konsekwencji? Czy nie widziałeś, w jakiej sytuacji postawiłeś króla w Lorice?

De Vrailly powtórzył wcześniejszy gest.

– Nie moja sprawa, że jest słaby. Dzisiaj występuję tylko w obronie mojego honoru, więcej nikt nie może zrobić. – Miał na sobie tylko przeszywanicę i nogawice, ale mimo to wyglądał jak anioł, który zstąpił na ziemię, a może został strącony. – Teraz zostaw to mnie. Obrona honoru jest moim świętym obowiązkiem. Zrobiłbyś to samo.

Gaston pokręcił głową.

– Nie stawiałbym się w pozycji...

– Czyżbyś sugerował, że to ja zawiniłem? Powiem ci, kuzynie, moim zdaniem twoja lojalność pozostawia wiele do życzenia. Nie tego spodziewałbym się jako twój pan lenny. – De Vrailly spojrzał mu w oczy.

Gaston wzruszył ramionami.

– Może i ze mną chcesz walczyć?

– Wątpisz, że jestem lepszy? – zapytał de Vrailly.

Gaston stał nieruchomo, gdy rozważał tuzin odpowiedzi. W końcu pokiwał głową.

– Tak – odparł bardzo powoli.

De Vrailly w odpowiedzi uśmiechnął się i położył rękę na jego ramieniu. Gaston się wzdrygnął. Jego kuzyn się uśmiechnął.

– Bóg uczynił mnie najlepszym rycerzem na świecie. Nie jestem już tyle wart co wszyscy inni, i to naturalne, że nawet ty, który kochasz mnie najbardziej, jesteś... czy mam to powiedzieć? Jesteś zazdrosny o łaski, jakie otrzymuję. Wybaczam ci.

Gaston skłonił głowę i ostrożnie się cofnął. Ręce go świerzbiły.

Sługa błagał sokolnika, ale chłopak nie słuchał. Zdjął wiejski kaftan – jak większość panów, na polowanie wkładał prosty strój w stonowanych kolorach – i stał w barchanowym dublecie, nogawicach i butach z cholewami do połowy uda. Rozpiął pas i rzucił go w ręce sługi. Dobył miecza.

Łowczy w barwach królewskich kręcił głową. Popatrzył na kompanię cudzoziemskich rycerzy, później na królewskich gwardzistów i w końcu jego wzrok zatrzymał się na hrabim Eu.

– Panie – zaczął formalnie. Trzęsły mu się ręce. – Pojedynkowanie się jest sprzeczne z prawem, jeśli król nie wyraził zgody.

Gaston ściągnął wargi.

– Jak król może zapobiec pojedykom? – zapytał szczerze zaintrygowany.

Łowczy obserwował przygotowania.

– Wciąż do nich dochodzi, panie, ale są oficjalnie zakazane, a ja jestem urzędnikiem królewskim. Stracę posadę, panie. Ten młokos jest siostrzeńcem hrabiego Towbraya. Moi chłopcy głupio postąpili, zatrzymując go, ale ten pojedynek jest jeszcze większą głupotą.

Gaston wzruszył ramionami.

– Mój kuzyn broni swojego honoru. – Starannie dobierał słowa, mimo woli prężąc mięśnie żuchwy. – Próbowałem temu zapobiec.

Chłopak przyjął dobrą postawę, lekko odchylony w biodrach, z mieczem

do jazdy konnej ukośnie osłaniającym tułów. Gaston znał tę gardę – wyglądała niezdarnie, ale pozwalała słabszemu człowiekowi zablokować prawie każde cięcie silniejszego przeciwnika.

De Vrailly wyjął miecz do jazdy wierzchem, podał giermkowi pochwę i poszedł na połąć stratowanej zielono-brązowej letniej trawy na rozstajach. Idąc zdecydowanym krokiem, poderwał miecz nad głowę i ciął, gdy znalazł się w zasięgu – chłopak się osłonił podniesionym mieczem – tyle że cios de Vrailly'ego był markowany. Miecz ominął zasłonę i wbił się głęboko w niczym niechronioną szyję, zabijając chłopaka na miejscu.

Nie gubiąc kroku, de Vrailly podszedł do giermka i podał mu miecz. Stephan wyjął nasączoną olejem szmatę i wytarł głownię do czysta. Na jego twarzy nie było śladu emocji – równie dobrze mógłby wycierać mebel z kurzu.

Sługa padł na kolana przy nieboszczyku i przycisnął twarz do ziemi.

Starszy łowczy pokręcił głową.

De Vrailly kazał ubrać się w zbroję.

Łowczy pojechał z Gastonem na tyły kolumny.

– Wiesz, co to znaczy, panie? Hrabia, zamiast potulnie oddać nam srebro, ponieważ przybyliśmy w sile, zbierze swoich ludzi i stanie do walki. Musi tak postąpić. Żąda tego honor.

Gaston westchnął.

– Sądzę, że to idealnie odpowiada mojemu kuzynowi. Ładna wojenka, żeby zabić nudę późnego lata.

Łowczy pokręcił głową.

– Wysyłam jeźdźca do króla – powiedział.

## **Harndon – królowa**

Królowa Alby stała przed lustrem i patrzyła, czy rośnie jej brzuch.

– Jestem pewna – powiedziała do swojej piastunki Dioty, która pokręciła głową.

– Miałaś miesiączkę...

– Czterdzieści jeden dni temu, lafiryndo. Mogę ci powiedzieć, gdzie i kiedy zaszałam. – Przeciągnęła się. Kochała swoje ciało, a jednak była zadowolona, że jest w odmiennym stanie. Bardziej niż zadowolona. – Kiedy będę wiedziała, czy to chłopiec?

– Kobiety nie są w pogardzie, pani – warknęła Diota.

Dezyderata się uśmiechnęła.

– Kobiety pod wieloma względami przewyższają mężczyzn, ale pokój królestwa wymaga miecza i kutasa, za którym stoi mózg. Poza tym król chce mieć syna. – Skrzywiła się.

Diota zacmokała.

– Jak to się stało, że król zrobił ci dziecko, skarbie?

Dezyderata się roześmiała.

– Jeśli muszę ci mówić, to powiem. Widzisz, kiedy kobieta kocha mężczyznę...

Piastunka dała jej żartobliwego klapsa.

– Wiem, jak się robi zwierzę o dwóch grzbietach, kokietko. Wiem, jak postawić i wycisnąć soki... Nie ma lepszej! – Wsparła się pod boki, rosła niewiasta z tak obfitym biustem i tak rozłożystymi biodrami, że jej talia wydawała się szczupła. Kiedy się śmiała, jej śmiech huczał w pokoju. Miała w sobie coś nieopisanego, co sprawiało, że mężczyźni jej pożąдали, mimo że wielu z nich wyglądało przy niej jak dzieci.

Królowa się uśmiechnęła.

– Nigdy w to nie wątpiłam.

– Przecież król... – Diota urwała i zmarszczyła brwi. – Wybacz, pani. Nie miałam prawa.

– Teraz ty się ze mną drażnisz, gruboskórna wiedźmo. Co wiesz?

– Nic nadto, co wiadomo połowie dworu. Że król rozgniewał pewną kobietę, a ta rzuciła na niego klątwę, by nie mógł mieć dzieci. – Głos Dioty cichł z każdym słowem. Mówienie o klątwie króla uchodziło za zdradę.

Dezyderata się roześmiała.

– Nianiu, gadasz bzdury. Nie ma żadnej klątwy, możesz mi wierzyć. Uśmiechnęła się promiennie. – Kiedy wrócił z wojny... – Z rozmarzeniem spojrzała w przeszłość.

Piastunka dała jej klapsa.

– Ubierz się, latawico. Jeśli nosisz dziecko w łonie, ciesz się letnimi sukniami, dopóki wciąż masz płaski brzusek i piersi dziewicy. – Ścisnęła rękę swojej pani. – Nie miałam złych zamiarów.

– Myślisz, że nie słyszałam plotek? – zapytała Dezyderata. – Słyszałam. I słyszę też inne szept. Dwa lata w łóżu króla i bez dziecka? – Okręciła się na pięcie, stając przodem do piastunki. – Wstrętne plotki. Raniące, ohydne poszepty. – Odwróciła wzrok i jej twarz odzyskała zwyczajny wyraz niekłamanego zadowolenia ze świata. – Ale moje moce są równie wielkie jak wszelkie

wyzwania. Albo klątwa. – Nieco ściszyła głos i Diota zadrżała. – Kim ona była, Dioto? Ta kobieta, która przeklęła mojego króla?

Piastunka pokręciła głową.

– Powiedziałyby ci, pani, gdybym wiedziała. To było dawno temu. Kiedy był młody.

– Dwadzieścia lat temu?

Diota wzruszyła ramionami.

– Może, skarbie. Opiekowałam się tobą, nie słuchałam pałacowych plotek.

– A kto ci zrobił dziecko, że mogłaś zostać mają mamką? – zapytała Dezyderata.

Piastunka się roześmiała.

– Niezupełnie król, jeśli mnie rozumiesz.

Królowa głośno się roześmiała.

– Wybacz, nie chciałam. To było nietaktowne pytanie.

Diota objęła swoją panią.

– Boisz się, skarbie?

Dezyderatę przebiegł dreszcz.

– Odkąd trafiła mnie strzała, świat wydaje się mroczniejszy. – Wzięła się w garść. – Ale moje dziecko to naprawi.

Diota skinęła głową.

– A twój turniej?

– Ach! Mój turniej... słodka Panienko, zapomniałam! W Zielone Świątki będę gruba jak maciora. – Wzruszyła ramionami. – Cóż, jakaś inna dziewczyna będzie Królową Miłości. Ja będę matką.

Diota pokręciła głową.

– Dorastasz, kruszynko? Rycerze przybędą dla ciebie, nie dla lady Mary ani dla którejś z innych dziewcząt, chociaż są śliczne.

– Słyszałam, że córka cesarza jest najpiękniejszą kobietą na świecie – powiedziała królowa. – A przynajmniej będzie, za parę miesięcy.

– Wstydź się! – krzyknęła Dezyderata i żartobliwie ją pacnęła.

Obie wybuchnęły śmiechem.

## **Harndon – czeladnik Edmund**

Edmund Czeladnik – tak teraz zwali go rówieśnicy – siedział na warsztacie ze stopami zwisającymi nad ziemią. Miał przed sobą trzech młodszych mężczyzn, wszystkich będących starszymi uczniami. Był pełen obaw, wynikają-

cych głównie z tego, że przez dwa lata razem jedli i spali, psocili, kradli paszety, siłowali się i walczyli na kije, przegrywając albo triumfując...

A teraz pracowali dla niego i nie miał pewności, jak przerzucić most nad przepaścią, która nagle powstała pomiędzy nimi.

– Widzę trzy sposoby rozwiązania problemu – powiedział. – Możemy je odlać jak ręczne dzwonki. Możemy odlać walce i przewiercić, co będzie koszmarnie wolne.

Najmłodszy, białowłosy chłopak o imieniu Wat, którego wszyscy uczniowie zwali Księciem z powodu arystokratycznych rysów, parsknął śmiechem.

– Chcesz powiedzieć, że my będziemy wiercić, a ty będziesz siedział na podwórzu i snuł górnolotne myśli.

Edmund nauczył się paru sztuczek od mistrza Pyle'a, więc tylko łagodnie popatrzył na ucznia.

– Przepraszam! – krzyknął Książę tym samym ni to drwiącym, ni to skruszonym tonem, jakim się zwracał do mistrza.

– Trzeci sposób polega na skonstruowaniu rury złożonej z żelaznych listew, opasanie ich obręczami i skucie na gorąco. – Edmund podniósł swój pierwszy udany model. – Spójrzcie na to.

Sam Vinter, najstarszy, trzymał ośmiokątną rurę przez kilka oddechów.

– Nie sprawdziła się – powiedział bezbarwnym głosem.

Edmund westchnął w duchu.

– Zawiodła po dwudziestu strzałach. Nie dość dobrze ją skułem.

Sam ściągnął usta i pokiwał głową.

– Zrobiłeś ją na trzpieniu? – zapytał.

Edmund musiał się powstrzymać od komentarza. Nie lubił, gdy kwestionowano jego pracę. Ale jeśli teraz ochrzani Sama... Postanowił być ludzki.

– Oczywiście – odparł z naciskiem.

Sam wzruszył ramionami na znak, że nie chciał niczego złego.

– Na rozgrzanym do czerwoności trzpieniu? Żeby zachować ciepło?

– Co masz na myśli? – zapytał zaintrygowany Edmund.

Sam wyszczerzył zęby.

– Wymyśliłem to na poczekaniu, ale ma sens, prawda? Chcesz, żeby spawy były mocne i gładkie tak wewnątrz, jak na zewnątrz. Racja?

Edmund pokiwał głową, już myśląc o zakończeniu rozmowy.

– Prawdę mówiąc, spawy muszą być silne i gładkie przede wszystkim od wewnątrz.

Średni uczeń wyjął jabłko i zaczął je pogryzać.

– Tom? – zapytał Edmund.

Tom wzruszył ramionami.

– Po prostu powiedz, co mam robić.

– Mów o projekcie – powiedział Edmund. – To właśnie robimy. Kiedy jesteś uczniem, w zasadzie nikt cię nie pyta o zdanie; im jesteś starszy, tym częściej mistrz zwraca się do ciebie o radę.

Tom pokiwał głową. Ugryzł kawałek jabłka.

– Jasne, szefie. Będę gryzł. Dlaczego ich nie odlać?

Edmund podniósł pierwszą odlaną rurę. Przekazał ją uczniom.

– Brąz – powiedział.

Wszyscy trzech chłopcy jęknęli. Brąz kosztował dwadzieścia razy więcej niż żelazo.

– Lepiej odlać z żelaza – poradził Tom.

Edmund przez chwilę rozważał ten pomysł.

– Nigdy nie odlewałem niczego z żelaza – powiedział. – A wy?

Wszyscy trzech uczniowie pokręcili głowami.

Edmund wzruszył ramionami.

– Słyszałem, że odlewane żelazo jest kruche. Zapytam mistrza Pyle’a.

– Uważam, że jeśli je odlejesz, przewiert będzie chropawy, a ty chcesz, żeby był gładki – powiedział Książę.

Tom dojadł jabłko i wrzucił ogryzek do paleniska w kuźni.

Edmund pokręcił głową.

– Wobec tego zacznijmy od rozgrzanego trzpienia – zdecydował. Chłopcy pokiwali głowami.

– Tom, sporządzisz z Księciem trzpień. Masz tu mój stary. Cał średnicy, równy od końca do końca. Najlepiej zróbcie trzy.

– Muszą być stalowe – zaznaczył Tom.

Edmund pokręcił głową lekko urażony.

– Jasne.

– Gorąco zdeformuje trzpień – zauważył Tom. – A jeśli będzie rozgrzany na tyle, żeby utrzymać temperaturę spawów, zostanie przyspawany do listew.

Edmund zaczynał rozumieć, dlaczego mistrz Pyle tak chętnie rozstał się z Tomem.

– Prawdopodobnie można temu zapobiec, kontrolując temperaturę powiedział. – Rozsądnie używając wody albo oleju.

– Jasne – zgodził się Tom, najwyraźniej myśląc: „Poczekamy, zobaczymy. Mam rację”.



Edmund zakończył dzień z uczuciem, że zarobienie stu złotych lampartów pana Smitha może być trudniejsze, niż się spodziewał.

Wieczorem ubrał się w porządną wełnę i płótno, przypiął stalowy, wypolerowany jak lusterko wielkiej damy puklerz do pasa z mieczem, też własnej roboty. Przejrzał się w zwierciadło pani Pyle i wyszedł. Lato dobiegało końca i wcześniej się ściemniało, co zasmucało wszystkich pracujących ludzi, dla których długie letnie wieczory oznaczały odpoczynek, ciepło i plotkowanie.

Przeszedł przez plac, idąc do swojej siostry, która stała z czterema dziewczynami. Umilkły, gdy się zbliżył. Anna, jego wybranka, choć jeszcze nic nie zostało ustalone, uśmiechnęła się do niego, a on odpowiedział tym samym. Miała pełne usta, duże oczy i bardziej dopasowaną suknię niż inne dziewczęta, w pięknym kolorze ciemnoczerwonego wina. Pracowała u mistrza Kellera, krawca, szyjąc koszule i galoty dla połowy dworu. Przyoblekła się w białe płócienne gieżło z fantazyjnym haftem pod szyją i na mankietach, ale Edmunda interesował nie tyle wynik jej cierpliwej pracy, ile kremowy dekolt i krągłości bioder.

– Widzisz coś, co ci się podoba? – zapytała siostra i wymierzyła mu sójkę w bok, całkiem mocno.

Żaden mężczyzna nie jest bohaterem w oczach swojej siostry. Edmund się zatoczył i zrobił zrezygnowaną minę.

– Witam was, piękne panie.

– Teraz jest idealnym szlachetnym rycerzem – skomentowała Mary ze śmiechem. – Nie musisz być w jakimś innym miejscu? Rozmawiamy. Dziewczyńskie pogaduszki.

– Chłopak z dworu próbował wsadzić rękę pod spódnicę Blanche! – pisnęła Nancy, za młoda, żeby wiedzieć, że takich rzeczy nie mówi się przy bracie.

Edmund się oburzył.

– Co za chłopak?

Blanche, wysoka szykowna blondynka, była najlepszą przyjaciółką jego siostry. Pracowała w pałacu i zwykle zadzierała nosa, ale dzisiaj miała mniej wyniosłą minę.

– Nie dałam mu powodu – powiedziała. – Po prostu... zaczął mnie obmacywać.

Edmundowi to się nie podobało, szczególnie że jego siostra też chciała pracować w pałacu.

– Co zrobiłaś? – zapytał.

– Bałwan! – parsknęła jego siostra. – To nie jej wina, tępaku. Spływaj, idź

komuś przyłożyć swoim mieczem. – Machnęła ręką. – Sio!

Dołączyła leciutki uśmiech do ostatniego gestu – niemal mrugnęła okiem. Byli rodzeństwem i Edmund zrozumiał wiadomość.

– Do usług, pani – powiedział z głębokim ukłonem.

Po drugiej stronie placu dwa tuziny chłopaków na przemian mierzyły się mieczem i puklerzem. Gra była skomplikowana, z wieloma niepisanymi zasadami. Chłopcy i mężczyźni używali ostrych mieczy, więc jedynym dopuszczalnym celem był puklerz. Jedne gry pozwalały obrońcy na poruszanie puklerzem, inne zaś wymagały trafienia w puklerz ściśle określonym ciosem. Niektórzy chłopcy skandowali, w rytm wiersza czy piosenki zadając ciosy mieczem i osłaniając się puklerzem.

Edmund uważał się za niezłego szermierza. Czasami miał okazję obserwować prawdziwych rycerzy i zbrojnych, gdy wypróbowywali nową broń przy słupie na podwórzu, i sam często tam ćwiczył. Zdarzało się, że mistrz Pyle zabierał uszczęśliwionych uczniów i czeladników do pałacu, gdzie mogli oglądać ćwiczenia gwardii królewskiej albo rycerzy przygotowujących się do turnieju.

Edmund stanął w parze z Tomem, który, choć trzy lata młodszy, już osiągnął pełnię wzrostu i wagi. Zaczęli powoli i Edmund poprosił o przerwę, żeby zdjąć kurtkę i przewiązać rajtuzy. Tom pokręcił głową.

– Czemu włożyłeś na plac kaftan i obcisłe rajtuzy? – zapytał. – Wystroiłeś się jak do kościoła!

Inni starsi chłopcy przewrócili oczami. Większość tych, którzy mieli więcej niż piętnaście lat, ubierała się starannie przed wyjściem na plac.

Edmund uśmiechnął się tylko i złożył kurtkę.

Odbyli piękny pojedynek – dość długi, żeby się porządnie spocic, dość wprawny, żeby przyciągnąć uwagę innych młodzieńców, którzy otoczyli ich kręgiem. Edmund lepiej fechtował, ale Tom był tak szybki, że wymiana ciosów nigdy nie była jednostronna.

W końcu jednak młodszemu chłopakowi zaczął się męczyć nadgarstek, a Edmund coraz szybciej i mocniej uderzał puklerzem. Nagle Tom się cofnął i uniósł rękę. Edmund z początku pomyślał, że się poddaje, ale zaraz potem spostrzegł to, co zobaczył Tom: ich dotychczasowi widzowie obserwowali coś innego.

Czterech nowych chłopaków rzuciło się wszystkim w oczy w chwili, gdy tylko weszli na plac. Mieli jaskrawe stroje, podczas gdy większość uczniów nosiła bure albo czarne. Przywódca – nie ulegało wątpliwości, że jest prowo-

dyrem – miał nogawice w trzykolorowe pasy, na galijską modłę; wyraźnie małpował nowych cudzoziemskich rycerzy i według Edmunda wyglądał wyjątkowo głupio. Ale zauważył, że wszystkie dziewczyny odwróciły głowy i wpatrują się w eleganta.

Nowi chłopcy głośno rozmawiali, przechwalając się jeden przez drugiego. Najchudszy z nich – tak chudy, że niemal niewidzialny – nagle zajął tyle miejsca, że potrącił jednego z chłopaków obserwujących zabawę z mieczem i puklerzem.

Miejscowy chłopak odsunął się i odruchowo bąknął:

– Przepraszam.

Barwnie odziany go popchnął.

– Uważaj, głupku, gdzie idziesz! – krzyknął i jego koledzy się roześmieli.

Pchnięty chłopak zrobił urażoną minę, ale nie podjął wyzwania.

Chudzielec zagwizdał.

– Patrzcie na te śliczne suki.

Tom westchnął.

– Szukają kłopotów.

Edmund właśnie usłyszał, że jego siostra została nazwana suką. Był podwójnie wściekły, gdy zobaczył, że kilka dziewczyn chichocze i wlepia wzrok w jaskrawo odzianych łobuzów. Jego siostra spokojnie spojrzała mu w oczy.

Był czeladnikiem. Nie powinien wdawać się w bójkę.

Ale patrzyło na niego trzech uczniów. Sam się uśmiechał, Tom marszczył brwi, a Księżę podnosił puklerz.

Prowodyr miał ostre rysy i krótkie włosy, tak jak Galowie, niemal tak białe jak Księżę. Nosił długi sztylet na wysokości krocza i miecz na lewym biodrze. Pocierał rękę sztyletu.

– Która suka ma na niego ochotę? – zapytał i parsknął śmiechem. – Ty, skarbie? – zapytał, podchodząc do Mary.

Zachowywali się niedorzecznie. Edmund słyszał o takich jak oni, o bandach postępujących jak Galowie i przestrzegających tego, co nazywali „prawem wojny”. Niektórzy rzeczywiście byli giermkami i paziami ludzi de Vrailly’ego, a inni tylko ubierali się tak jak oni.

Chudzielec zachichotał.

– Wszystkie tego chcą – krzyknął. – Nie ma tu nikogo z jajami!

Edmund wystąpił z gromady uczniów.

– Spadaj – powiedział.

Nie wypadło to ani tak łagodnie, ani tak oschle, ani tak głośno jak zamie-  
rzał, a na domiar złego miał piskliwy głos. Ręce mu drżały.

Kolorowo odziani chłopcy budzili postrach.

– Czego, mały pojebie? – zapytał prowodyr, którego Edmund przezwał  
Blondasem. – Idź się schowaj do łóżka, tu są twarde chłopaki. – Położył rękę  
na sztylcie. – Chcesz posmakować?

Później przez wiele dni Edmund wymyślał dowcipne odpowiedzi. Tym ra-  
zem tylko wzruszył ramionami.

– Co to ma znaczyć? – powiedział chłopak, dobywając sztyletu i miecza.

Edmund urodził się i wychował w Harndonie. Wiedział, że chłopcy z nizin  
społecznych są twardzi jak skała i walczą inaczej niż uczniowie. Z drugiej  
strony używał broni od dzieciństwa i był harndończykiem – nie ustępował ni-  
komu.

Chwycił puklerz.

– Pierwszy sięgnął po broń – powiedział przezornie do gromady uczniów.

Blondas ciął chytrze – wyprowadził długi, posuwisty cios spoza zasięgu.

Był to cios kończący walkę. I taki, który prawdopodobnie doprowadziłby  
do sprawy przed sądem o morderstwo.

Edmund przyjął ostrze na puklerz i mało brakowało, a natychmiast by  
przegrał, gdyż przeciwnik spróbował sięgnąć nad krawędzią małej tarczy i  
uderzyć go rękojęścią w ramię. Miał wrażenie, że to się nie dzieje naprawdę.  
Ten głupiec naprawdę chciał go zabić.

Później rzeczywistość runęła jak lawina.

Dobył miecza w porę, żeby zatrzymać dwa silne cięcia i ślepym trafem, a  
może dzięki długiemu szkoleniu, jego puklerz znalazł się na drodze sztyletu,  
który mimo to przemknął obok i ukłuł go w ramię.

Cofnął się.

– Wykończę cię, pojebie – warknął Blondas, gdy jeden z jego kamratów  
uderzył Edmunda pięścią od tyłu.

Wszystko stało się jednocześnie.

Edmund był zszokowany – ale pięść uderzyła w kość, obróciła go i sprawi-  
ła, że zatoczył się w lewo. Blondas atakował, rytmicznie przesuając stopę i  
tnąc mocno w jego odsłonięty bok. Pomimo bólu Edmund zdołał go rozszy-  
frować: chłopak znał tylko trzy ciosy.

Niestety, potknął się i upadł.

Przetoczył się, ciął nisko i trafił.

Po raz pierwszy w życiu używał miecza z zamiarem zranienia; nawet obo-

łały i zdesperowany przez jedno uderzenie serca wahał się, czy włożyć w cios całą siłę. Uderzył na tyle mocno, że Blondas sapnął.

Edmund wstał i zobaczył, że tuzin uczniów zasypuje chudzielca gradem ciosów.

Rajtuzy Blondasa były w opłakanym stanie i krew mu ściekała z goleni.

Cofnął się.

– Wróć z dwudziestoma zabijakami – zapowiedział. – Jestem Jack Drake i ten plac należy do mnie. I wszystko, co się na nim znajduje.

W innych okolicznościach Edmund pozwoliłby mu odejść, gdyby nie ostatnie zdanie. Poszedł za wycofującym się chłopakiem.

– Tchórz – rzucił. W tym starciu była to pierwsza rzecz, która poszła zgodnie z jego planem.

Blondas przystanął i wybuchnął śmiechem.

– Wróć, a wtedy będziesz trupem – powiedział.

Jego koledzy podeszli i pomogli mu iść. Gdy tylko znaleźli się za kręgiem gapiów, ten zwany Jackiem szybko się odwrócił i przyskoczył do Edmunda.

Zamierzył się do ciosu w głowę, z góry.

Tym razem nikt nie przeszkodził Edmundowi, uderzając go od tyłu, i jego miecz wyskoczył, przechwycił głownię chłopaka i skierował ją w dół, zwiększając pęd, skośnie względem ciała i prosto na puklerz. Uwięził ręce przeciwnika pod puklerzem i trzasnął go głowicą w usta, aż posypały się zęby. Tym samym ruchem rzucił go na ziemię. Wymierzył mu kopniaka. Młodzieniec zwymiotował.

– Zabij go! – krzyknęło kilku uczniów.

Chudzielec krwawił. Pozostali dwaj szli przez plac.

Wszyscy patrzyli na Edmunda. Anna wyglądała...

– Poddaj się – powiedział, przykładając miecz do szyi powalonego łobuza.

– Lepiej mnie, kurwa, zabij, pojebie – wymamrotał Drake i wypluł następny ząb.

Edmund wzruszył ramionami.

– Jesteś niespełna rozumu – powiedział. – Wariat!

Chłopak przewiercał go wzrokiem.

– Ten plac jest mój!

Edmund nie wiedział, co zrobić. Nie mógł z zimną krwią zabić rannego człowieka. Poza tym jego upór był równie przerażający jak wcześniejsze wyzwanie.

– Właśnie dlatego cię pokonam, pojebie – dodał Drake. – Nie masz jaj...

Deska walnęła go w głowę i jego ciało zwiotczało. Tom oparł się na desce, nadprożu z pobliskiej budowy.

– Mój tata mówi, że trzeba ich wybijać jak mendy.

– A co z prawem? – zapytał Edmund. Nie wiedział, czy chłopak żyje, czy nie.

– Nie widzę szeryfa – odparł Tom. – Dobra walka, nawiasem mówiąc. Nieźle posunięcie. – Roześmiał się trochę dziko, ale ręce miał spokojne. – Zabierzmy go gdzieś... do klasztoru. Mnisi zawsze wiedzą, co robić. – Wzruszył ramionami. – Jeszcze dycha. Darujesz mu życie?

Edmund zobaczył, że trzęsą mu się ręce.

– Tak – mruknął.

Wiedział, że pożałuje swojej słabości, ale też był świadom, że nie mógłby zabić Drake'a z zimną krwią. Nie mógłby tego zrobić i pozostać tym samym człowiekiem, którym był dotychczas.

## **Albinkirk – ser John Crayford**

Ser John przejrzał się w wypolerowanym brązowym lustrze, które niedawno zawisło na ścianie zbrojowni, i parsknął głośnym śmiechem.

Jego nowy giermek, młody Jamie, przystanął.

– Ser Johnie?

– Jamie, nie ma niczego głupszego niż starzec małpujący młodego – powiedział.

Jamie Vorwarts był synem kupca z Hoeku. Cała jego rodzina zginęła podczas oblężenia i chłopak nie miał się gdzie podziać. Lepiej znał się na broni niż na interesach i polerował stal z większą wprawą niż każdy dotychczasowy giermek ser Johna. Miał może czternaście lat. Był wysoki, chudy z powodu skąpych racji, i miał zbyt zapadnięte policzki, żeby uchodzić za przystojnego.

Wrócił do polerowania złożonego z sześciu części nowego napierśnika swojego pana. Było to kosztowne cudeńko ze stali i mosiądzu, z wersami Biblii wypisanymi na skrajach.

– Mógłbyś przynajmniej mi powiedzieć, że nie jestem stary – powiedział ser John.

Stał przed swoim pierwszym od dwudziestu lat lustrem, ubrany w piękny zielony wams z trzech warstw grubego płótna pokrytych jedwabiem, z przytroczonymi zielono-czerwonymi nogawicami, haftowanymi w kwiaty i żółte

liście. Nogawice były lekko wutowane i pikowane, żeby je nosić pod zbroją podobnie jak dublet, ale w Albinkirku mogły uchodzić za element dworskiego stroju i sprawiały, że wyglądał szczupło i groźnie.

I staro.

– Odgrzewany kotlet – mruknął i dołożył przekleństwo.

Jamie mu się przyjrzał i pozwolił sobie na uśmiech.

– Cholernie dobrze powiedziane, panie.

– Nie ja wymyśliłem to powiedzonko, młody nicponiu. Kiedy byłem jakieś czterdzieści lat młodszy, tak nazywaliśmy dziwki, które były za stare, żeby je chędożyć. – Starzec ściągnął brwi.

– Starsze kobiety są bardzo atrakcyjne – skomentował ostrożnie Jamie.

– Wiem, że gdzieś będziesz bardzo lubiany.

Godzinę później przybyli do dworu Middlehill, prowadząc dwa osły objuczono koszami. Ser John zatrzymał konia na dziedzińcu i siedząc na nim, zauważył, że nowe owce przyszczygły trawę, na której nie dostrzegł niczego więcej niż przeoczonego strzępka materiału; trawa wydawała się bardziej żółta niż podczas poprzedniej wizyty, ale sam dom był czysty i schludny, z nowymi drzwiami – sam przy nich pomagał. Na polu sześć kobiet na zmianę chodziło za pługiem, żeby zasiać ozimą pszenicę. Skiby nie biegły zbyt równo, ale przecież orka jest ciężką pracą nawet dla silnego mężczyzny.

– Jamie? Widzisz, jak te panie mozolą się przy pługu?

Jamie zeskoczył na ziemię.

– Czy orka jest rycerskim zajęciem?

Ser John zmarszczył czoło. Czuł się jak hipokryta pierwszej wody, ilekroć mówił o stanie rycerskim, jako że przez większą część życia zabijał ludzi za pieniądze, nosząc zbroję. Wzruszył ramionami.

– Jamie, wedle mojego najlepszego rozeznania udzielenie pomocy kobiecie, która jej potrzebuje, jest rycerskim postępkiem. W tym wypadku to orka.

Słońce przygrzewało, więc Jamie ściągnął kaftan i dublet. Ser John uśmiechnął się z myślą, że zjedna sobie głębokie względy sześciu kobiet, które przerwały pracę, dając odpocząć plecom i wiedząc, że ktoś im oszczędzi dalszego orania.

Helewiza weszła na dziedziniec.

– Wczoraj orałam – powiedziała z uśmiechem. – Ojciec mnie nauczył, że kobieta może robić wszystko to, co mężczyzna. Ale na rany Chrystusa, był wielkim panem i nigdy w życiu nie musiał imać się orki. – Przyłapała się na

potrząsaniu włosami, które przypadkiem były rozpuszczone. I czyste.

– Mogę wymasować ci plecy – zaproponował ser John. – Pomaga, kiedy za długo ćwiczę z mieczem.

Uśmiechnęła się do niego radością.

– Mogę cię trzymać za słowo, panie rycerzu. Ale nie wcześniej, jak sądzę, niż wszyscy pójdą do łóżek. – Już szła ku drzwiom i choć przybrała naturalny ton, ściszyła głos. – I może nie dzisiaj.

Ser John zaprowadził konia do stajni i poznał, że był tam wierzchowiec zakonnicy – eleganckie podkowy zostawiły ślady w słomie, w sąsiednim boksie leżało świeże łąjno.

Wszedł do domu. Helewiza wskazała mu ławkę w kuchni, po czym wróciła do okręcania sznurkiem pęczków ziół.

– Większość ogródka ziołowego przetrwała – powiedziała. – Przypuszczam, że w rzeczywistości zioła są dzikimi roślinami, więc Dicz je oszczędziła.

Przyłączył się do niej, przycinając konopny sznurek i wprawnie okręcając pęczki rozmarynu. Mały chłopiec, który miał siedem, może osiem lat, brał je po jednym, wchodził na drabinę i wieszał je na krokwiach.

– Co cię sprowadza tym razem? – zapytała Helewiza ze skrzyżnymi się oczami.

– Posłałem do króla z prośbą o nowy garnizon – odparł ser John. – Dopóki nie przybędą, Jamie i ja jesteśmy błędnymi rycerzami. Możesz widywać nas częściej niż będziesz chciała.

– Wątpię – powiedziała i ich ręce na chwilę się zetknęły. – Była tu siostra Amicja – podjęła. – Wróci wieczorem... niestety.

– Nie lubisz jej? – zapytał ser John.

– Niczego takiego nie powiedziałam. Na święty krzyż, Johnie, uwielbiam jej pewność siebie. Dzięki niej kobiety są dumne, że są kobietami, a moja córka ma na jej punkcie bzika. Nie mówię, że moja córka jest zła, ale była w Lorice, gdzie zgodnie z modą wszyscy młodzi panowie odgrywają rozpustnych...

John się uśmiechnął.

– Nie śmieję się ze mnie, panie! Jestem za stara, żeby zająć w ciążę, i zbyt praktyczna, żeby komuś przysporzyć kłopotów. – Zarumieniła się.

– Uważam, pani, że jesteś bardzo piękna. – Z wielką śmiałością wyciągnął rękę i odgarnął lok z jej czoła. Uśmiechnął się, patrząc jej w oczy. – To wszystko przez królową. Jest siłą natury i każe wszystkim tańczyć, jak im za-



gra.

– Nie chcę słyszeć ani jednego słowa przeciwko niej. – Helewiza wyprostowała plecy.

– Nie powiedziałem niczego złego. Ale to, do czego ma prawo królowa, nie musi odpowiadać matkom – powiedział ser John.

– Gdzie się podziewała cała ta mądrość dwadzieścia lat temu, messire? Roześmiał się.

– Nie miałem jej ani krzty, skarbie.

Pokręciła głową.

– Brakuje mi Ruperta. Może uznasz za dziwne, gdy ci powiem, że mogłam na nim polegać. I miał lepsze podejście do Pippy niż ja.

John pokręcił głową, oparł się o róg kominka i przysunął stopę do ognia.

– Nigdy nie byłem o niego zazdrosny. Nigdy nie byłem mężem. – Popatrzył na nią. – Nigdy nie zostałem pasowany na rycerza.

– Prawda – przytaknęła. – Pragnę poczuć na sobie twoje ręce – dodała niespodziewanie.

– Kto teraz jest rozpustny? – zapytał.

Pokręciła głową.

– W każdym razie lepiej nie przychodź do mnie dzisiaj, gdy będzie tu zakonnica.

Uśmiechnął się i wstał.

– Wobec tego daruję sobie dwuznaczność powiedzenia o orce i harówce w pocie czoła. Chociaż pięknie się prezentujesz – rzuciła.

Szybko, jakby zadawał cios mieczem, pochylił się i przycisnął wargi do jej ust.

Trzy długie oddechy później odsunęła się od niego.

– Wstydz się! – krzyknęła. Zachwyt w jej głosie zepsuł próbę udawania surowości. – W biały dzień!

Zakonnica wjechała na podwórze i ser John, rozebrany do nogawic i gaci, zabrał jej wierzchowca, a później widłami sprzątnął stajnię i narzucił nowej słomy. Siostra Amicja przywiozła ze sobą żywność.

– Mam dla ciebie paczkę – powiedział. – W sakwie przy siodle.

Uśmiechnęła się.

– Niepotrzebnie się trudziłeś. Nie przywiązujemy wagi do rzeczy tego świata. – Uśmiechnęła się szerzej i zaraz potem ściągnęła brwi. – Nie napotkałam po drodze żadnego stworzenia Diczycy, ale przy starej przeprawie pro-

mowej widziałam zniszczenia, jakby stado słoni urządziło tam sobie miejsce do tańca. Powalone drzewa. I dom bez dachu.

– Przy promie? – zapytał ser John. Przetrzasał sakwę i zaczęło mu świtać, że zostawił przesyłkę na stole w Albinkirku. – Jak często jeździsz do promu?

– Co tydzień – odparła. – Mam specjalną dyspensę na odprawianie mszy w tamtejszej zrujnowanej kaplicy. To jedyny kościół w promieniu siedmiu mil.

Ser Johnowi nagle coś wpadło do głowy.

– Chwileczkę. – Sięgnął do sakiewki u pasa i znalazł paczuszkę wielkości dużego orzecha. – Nie w sakwie, zapomniałem – powiedział zmartwiony.

Wzięła paczuszkę i ją obejrzała. Pomyślał, że ma zawiedzioną minę.

– Och... – mruknęła. – Pożyczysz mi nóż?

Wyjął go z pochwy i jej podał, a ona przecięła nawoskowane płótno. Okazało się, że paczuszka rzeczywiście zawierała orzech. Otworzyła go i ze świstem wciągnęła powietrze.

– Dobrze się czujesz? – zapytał.

Drżały jej usta, gdy bezgłośnie płakała. Po chwili odzyskała panowanie nad sobą.

– Łajdak! – warknęła i rzuciła skorupę orzecha przez stajnię, aż zagrzechoła o daleki, niewidoczny w ciemności kamienny mur.

Ser John, poddany kolejnej próbie rycerskiej, postanowił dyskretnie wymknąć się ze stajni. Niektóre rzeczy są zbyt niebezpieczne dla zwyczajnych ludzi: powietrze wokół zakonniczy zaczęło się jarzyć złocistą zielenią, rozświetlając mroczne wnętrza, i nie sądził, żeby był gotów zmierzyć się z tym, co mogła uczynić.

Po paru uderzeniach serca światło zgasło i usłyszał łamiący się śmiech. Siostra Amicja wyszła z ciemności stajni w gasnące światło dnia. Coś połykiwało na jej ręce.

– Przysłał mi pierścień ślubów – powiedziała.

Wyciągnęła rękę jak kobieta pokazująca pierścionek zaręczynowy. Na pierścieniu widniały litery „IHS” wygrawerowane w pięknym gotyckim piśmie.

– Kto? – zapytał ser John, czując się jak człowiek uwikłany w historię kogoś innego.

Ściągnęła brwi.

– Chyba wiesz – odparła.

Ser John się uklonił.

– W takim razie ja też uważam, że jest łajdakiem.

Przy kolacji kobiety podziwiałały piękny złoty pierścień. Siostra Amicja zupełnie ochłonęła – spokojnie pokazała pierścień i wyjaśniła, że ser John go jej przywiózł.

Filippa spróbowała się z nią podroczyć. Pochyliła się ku niej i powiedziała:

– Może pochodzi od cichego wielbiciela!

Spojrzenie zakonnicy sprawiło, że siedziała w milczeniu przez całe pięć minut.

Helewiza wierciła się na stołku, oglądając pierścień pod różnymi kątami, a w końcu niemal nieświadomie wyciągnęła rękę i chwyciła dłoń siostry Amicji.

– Wygląda na hermetyczny – powiedziała.

– Bo jest! – odparła Amicja z wyraźnym zadowoleniem. – Mogę umieścić w nim *potentia*. To błogosławiony przedmiot. – Uśmiechnęła się do Helewizy. – Skąd wiedziałaś?

Helewiza wzruszyła ramionami.

– Wydaje mi się, że zmienia kształt.

– Zmienia kształt? – powtórzyła zakonnica. – Nie widziałam. Jaki kształt przybiera?

Helewiza pokręciła głową.

– Ty, święta kobieta mocy, przyjąłś ten podarek i bez namysłu wsunęłaś go na palec?

Amicja zbladła. Jej twarz pojaśniała, kiedy bez trudu zsunęła pierścień z palca i położyła go, ciężki i potężny, na dłoni.

– Masz rację, Helewizo, i siostra Miram słusznie wyznaczy mi karę za bez troskę. Między innymi – dodała ze zmarszczonymi brwiami.

– Znowu to samo – powiedziała Helewiza. – Zmienił kształt na twojej dłoni. Na okamgnienie.

– Jak wyglądał?

– Mniej więcej tak samo, jak mi się zdaje. – Helewiza popatrzyła na ser Johna, szukając wsparcia.

Uśmiechnął się do niej. Sam nic nie widział.

Ale młody Jamie pochylił się z żarliwością młodego wieku.

– *Ma soeur*, czasami napis się zmienia.

Amicja poczerwieniała.

– Tak? W jaki sposób?

Wzruszył ramionami.

– Dla mnie wygląda jak GiA.

Amicja westchnęła.

– Psiamać – zaklęła i wrzuciła pierścień do sakiewki. Potem błysnęła dziewczęcym, impulsywnym uśmiechem, zwracając się do Filippy. – Chyba jednak miałaś rację – powiedziała. – Cichy wielbiciel.

## **Dzicz na północ od Morza Wewnętrznego – Głóg**

Głóg wedle swojego osądu przemierzył kilkaset mil. Przebył Adnarnie, potem Mur, potem rzekę. Szedł na zachód, szedł na północ.

Wędrówka doprowadziła go do wielkich bagien, gdzie bogliny mnożyły się w zamarzających wodach górnych dopływów ogromnego systemu rzeczno-ego, który wytyczał granice dalekiego zachodu. Popracował nad nimi swoją wolą, nie raz, ale pięć razy, na moczarach tak rozległych i odludnych, że mogło się wydawać, iż poza szlamem i gnijącą roślinnością nie ma niczego żywego o dzień marszu w każdym kierunku. Na jego rozkaz masywne kopce, w których wylęgały się bogliny, wypiętrzyły się jak organiczne wulkany.

Później ruszył na wschód, na północny brzeg ogromnego Morza Wewnętrznego. Nigdy wcześniej tam nie był, ale szedł z pewnością siebie, a wiedza, gdzie stawiać stopy, wylewała się niczym pomocna trucizna z czarnego miejsca we wnętrzu jego głowy.

Gdzieś na wschodzie leżały ziemie Sossagów. Za nimi rozciągał się kraj Północnych Huranów.

Głóg czuł, że szukanie zemsty na barbarzyńskich Sossagach za to, że nie pomogli mu w godzinie potrzeby, byłoby małostkowe dla istoty o jego mocy. Takie zachowanie byłoby poniżej jego godności, lecz mimo wszystko obmyślał karę. Huranowie stracili wielu wojowników w jego służbie. Sossagowie nie. Postanowili pójść w swoją stronę.

Na północ od Morza Wewnętrznego był kraj innego rodzaju – Dzicz, w rzeczy samej, lecz gęsto zaludniona przez Zamurzan. Głóg nie miał pojęcia, że w Wielkich Północnych Lasach mieszka tyle mężczyzn, kobiet i dzieci, i zachowywał najwyższą ostrożność podczas swojej wędrówki. Oczywiście nie brakowało mu mocy zniszczenia, ale nauczył się o ludziach dość, żeby wiedzieć, że ukradkowa wędrówka spowoduje mniej komplikacji. Ostrożnie szedł na zachód, omijając osiedla wielkich bobrów i gotyckie bagna Kri, gdzie hastrenocze rozmnażały się wśród martwych drzew i pełnych pstrągów strumieni. Ominął od północy wioski Sossagów i ich północnych kuzynów z Messaki, po czym skręcił na południe ku nędznym siołom Północnych Hura-

nów, których znaki rozpoznał. Były tam również prymitywniejsze osady dzikich irków bez pana, a na jeziorach, na wyspach z wielkich kłód i spiętrzonych kamieni, mieszkali Rukowie. Olbrzymy.

W czarnej przestrzeni w głowie Głoga wykluły się plany dotyczące Ruków.

Stanął na brzegu jeziora na wypalanej ziemi i czekał, aż do niego przyjdą. Dał im podarki, jak dzieciom na przyjęciu, i nagiął do swoich celów ich wolę. Rukowie byli zbyt prości, żeby dyskutować i argumentować – usidlił ich i wysłał w swojej sprawie, podporządkowując swojej woli tak łatwo, jak człowiek tresuje psa.

Powtarzał to samo przy każdym jeziorze w wypalanej krainie, gdzie leżały wyspy zwane przez Zamurzan crannogami.

Wysłał inne stworzenia, żeby nasłuchiwały i zdawały mu raporty, i gromadził informacje. Dowiedział się, że Północni Huranowie, którzy ponieśli straty w jego wojnie, są zagrożeni przez swoich południowych kuzynów zza Wielkiej Rzeki i z dalszego wschodu. Dowiedział się, że duże etruskie statki jeszcze nie przybyły tego roku. Wysłał szpiegów na daleki dwór króla Alby, żeby obserwowali ten płonący ogień, jego żonę, królową.

Później powziął decyzję. Nie pomógł Północnym Huranom po prostu dlatego, że byli jego sprzymierzeńcami. Okazali się lojalni, ale w lasach nie brakowało potencjalnych sojuszników i niewolników, i nie był nic winien Północnym Huranom. Teraz jednak miał wyznaczone cele, a cele prowadziły do planów, i Północni Huranowie zostaną jego sługami – chętnie albo niechętnie.

Zatrzymał się na dzień w głębokich lasach i wypróbował nową powłokę – ciało, któremu dzięki nowym umiejętnościom nadał odpowiednią formę. Przyjął postać starego, mądrego Zamurzanina o jasnych szczerych oczach i ze starymi bliznami, starca z mądrością wypisaną na pobrużdżonej twarzy. W postaci sędziwego szamana o imieniu Mówiący Językami odwiedzał mniejsze miasteczka. Siadał przy ogniu i słuchał matron, uzdrawiał dzieci, sporządzał leki. Wielu odniosło korzyści z jego mocy. Wieść o nim lotem błyskawicy rozeszła się wśród Kri i Północnych Huronów.

W każdej wiosce szepnął parę myśli i posiał je w umysłach mężczyzn i kobiet, którzy najbardziej tego łaknęli. Zostawił je jak nasiona, żeby rosły z czasem.

Potem niczym stary wąż zrzucający skórę pozbył się powłoki Mówiącego Językami i szedł wielkimi krokami, jak lekki wiatr przemykając przez bez-

kresny las. Oszczędnie używał nowych mocy – żeby się skontaktować z pewnym człowiekiem w Lorice, z pewną kobietą w Harndonie, z mężczyzną w Dżicy na południu. Dla nich się nie przebierał. Był głosem w uchu i krótką, szybką myślą. Zmęczył się nawiązywaniem łączności i cały dzień poświęcił na odpoczynek, wystawiony na żywioły, zanim ruszył dalej. Miał nowe moce do zbadania, nowe miejsca do pracy, a łatwość zmiany kształtu budziła w nim zaniepokojenie.

Nie przypominał sobie, jak osiągnął tę umiejętność. Ani też nie był do końca pewien, kim jest.

Minęło prawie siedem dni, odkąd się zmierzył z Ciemnym Słońcem.

Wiedział, że przed wykonaniem następnego ruchu potrzebuje bezpiecznego schronienia i miejsca mocy. Że bez takiego miejsca snucie dalszych planów nie ma najmniejszego sensu. Podejrzał, że zmieniła go śmierć wielkiego drzewa w Adnarniach, i że nadejście wielkiej mocy, która zostawiła mu pancerne jajo, wystarczyło, żeby zmobilizować go do działania. Przynajmniej tak obecnie postrzegał swoją metamorfozę.

Szedł wzdłuż północnego brzegu Morza Wewnętrznego w swej własnej postaci i dumał nad wojną.

## **Zamek Ticondaga – hrabia Zachodniego Muru.**

Ghause nie należała do kobiet, które się wahają, ale konsekwencje ciąży królowej były dość wielkie, żeby skłonić ją do namysłu. Przez długie tygodnie obmyślała czary, zanim uznała, że wie, co należy zrobić.

Hrabia organizował kolejną wyprawę za Wielką Rzekę do kraju Zamurzan, skąd wracał z niewolnikami i informacjami, czasami z miodem Dżicy i futrami. Hrabstwo Północy nie posiadało takich bogactw jak Jarsay czy Brogat; mieli owce, bydło i drewno, a wszystkim innym, jak lubili żartować Murienowie, były kamienie. Starannie obmyślane najazdy zapewniły im siłę roboczą i trochę pieniędzy.

Tego roku dołączył do nich tuzin rycerzy z Zakonu Świętego Tomasza. Zakon miał rycerzy w komandoriach wzdłuż Muru i więcej w Harndonie, a najnowsze wiadomości sugerowały, że zamierza utworzyć garnizon w Lissen Carak. Ich znajomość magii i Dżicy pozwoliła hrabiemu zaplanować duży najazd, wskutek czego Ghause straciła kolejny tydzień, przygotowując prowiant i ekwipunek i witając pięćdziesięciu rycerzy z południa, z których kilku było zaprawionymi w bojach zawodowcami, a pozostali poszukiwaczami

przygód chcącymi zrobić wrażenie na dziewczętach.

Kiedy wyprawa była w pełni przygotowana i mąż szkolił konwój na rozległych polach na południe od zamku, wreszcie miała czas, żeby się zastanowić nad swoimi możliwościami i zaplanować własną bitwę.

Przez kilka dni dużo czytała, zgłębiając teksty, których nie tknęła od dzieścioleci. Później wysłała na południe ostrożną sondę, stare dzieło magiczne zwane „tropem”. Od tamtej pory nic nie szło tak, jak zaplanowała.

Była ostrożną czarodziejką, więc trop płynął na południe otulany maskującymi warstwami i spowity przez hermetyczne czary, które miały zasygnalizować jakąkolwiek próbę wykrycia jej przez młodą królową. Jeden z nich dał o sobie znać jeszcze zanim trop dotarł do królowej, kiedy wciąż trzepotał w eterze. Ghouse podejrzewała, że eter podlega zupełnie innym prawom niż świat materialny, więc czuła – bardziej niż wiedziała – że rzeczywista odległość pomiędzy Ticondagą i Harndonem ma niewiele wspólnego z odległością w eterze.

Przystąpiła do działania chwilę po uwolnieniu swojego cennego czaru, owocu tygodni pracy, dni badań i wielokrotnego namiętnego spółkowania, które miało na celu podsycić jej potrzeby.

Przebiegła palcami po niciach czaru jak bard, który pieści struny pięknego instrumentu.

Znalazła go natychmiast. Zmarszczyła brwi.

– Richardzie – powiedziała głośno. – Jesteś mężczyzną pełną gębą... sama moc, ani śladu subtelności.

Oczywiście Plangere nie odpowiedział.

Może odpowiedziałby, gdyby nazwała go Głogiem, ale wtedy doszłoby do walki.

Sięgnęła wzrokiem i podążyła tropem najdalej, jak mogła, lecz eter był pełen niebezpiecznego zamętu i wiele się działo za jej czarodziejsko wzmocnionymi murami. Wycofała się.

Narzuciła szatę – zawsze używała mocy nago, co zimą bywało zniechęcające – i padła na ulubiony fotel. Spojrzała przez okno, które znajdowało się sześć pięter nad murami, więc roztaczał się z niego widok na tereny leżące za Wielką Rzeką. Czuła cud lasu nieprzerwanie ciągnącego się na daleką północ, gdzie ustępował lodowi. Była tam i знаła moc krainy lodu.

Napiła się wina.

– Dlaczego Dżicz jest taka aktywna? – spytała głośno.

Spojrzała na swoje koty. Lizwały łapki, jak to koty.

– I dlaczego Richard Plangere obserwuje królową? – zapytała i w bezpiecznym miejscu, we wnętrzu swojej głowy, wypowiedziała jego nowe imię. Głóg.

## **Sto lig na zachód od Lissen Carak – Bill Redmede**

Tyler znalazł swoich ludzi. Znalazł ich przy blasku błyskawic na brzegu strumienia. Zobaczył połyskujące kości i organiczne szczątki – zostali rozdarci na kawałki i pożarci.

Bill Redmede się zrzygał. Błyskawice waliły coraz częściej, deszcz padał coraz mocniej, grzmoty i ryk strumienia zagłuszały wszystkie inne dźwięki. Widok trupów odartych z ciała był jak krzyk w jego głowie.

Oparł się plecami o drzewo i ścisnął włócznię.

Tyler obrócił się dziki w świetle błyskawicy.

– Otaczają nas! – wrzasnął.

Zaczął ciąć niewidzialnego wroga.

Redmede skoczył na pomoc, ale nawet w długich seriach błysków nie dostrzegł wroga. Nat dźgał i rąbał – Redmede musiał zrobić unik i podskoczyć i w końcu krzyknął:

– Nat! Nat! Tam nic nie ma!

Nat się odwrócił, żeby przeszyć go wzrokiem, gdy grzmot zakończył się dzika seria suchych trzasków tak bliskich, że Redmede poczuł je niczym ciosy.

Chwilę później ciemność stała się bardziej nieprzenikniona niż wcześniej. Redmede czuł, że Tyler go mija i wyciągnął rękę.

– Słodki Jezu, już po nas!

Redmede rzucił włócznię i objął towarzysza.

– Oprzytomnij! Odeszli. Wynośmy się stąd.

Tyler przez chwilę stał jak sparaliżowany.

Potem zaczął szlochać.

Świt był wodnistą szarością, gdy dotarli do obozu. Redmede bał się wszystkiego – bał się, że obóz został zaatakowany, że wszyscy Jackowie nie żyją – omywały go fale strachu równe falom deszczu, który nie przestawał padać. Rozwidniało się, gdy ujrzał ogień płonący kilkaset kroków dalej. Niezdarnie brnął przez mokry las, potykając się jak niedoświadczony, dopiero co zbiegły chłop pańszczyźniany, który jeszcze nie umie chodzić po lesie.



Stan Tylera rzucał się w oczy. Mężczyzna jęczał i Redmede przeklinał się za to, że zbyt mocno się wspiera na chorym.

Przekleństwami, pochlebstwami i perswazją, na jaką mógł się zdobyć, nakłonił Jacków do zebrania ekwipunku, zostawienia ciepła ognia i odmaszerowania.

W południe wszyscy byli przemoczeni do suchej nitki – przez kapryśny deszcz i mokre gałęzie, mokrą trawę, mokre paprocie. Żadna wełna, nieważne jak dobrze utkana, nie zatrzymałaby takiej ilości wody. Przy każdym kroku chlupotało mu w butach, a kiedy musieli przebyć głęboki strumień wezbrany po kilku dniach deszczu, wszyscy po prostu weszli do wody, trzymając łuki nad głową. Nikt nie próbował skakać po kamieniach.

Wczesnym popołudniem chłopak z Harndonu usiadł przy szlaku i odmówił dalszego marszu.

– Chcę do domu! – zawołał.

Redmede był odrętwiały. Pokręcił głową.

– Dzicz cię pożre – zagroził.

– Nie obchodzi mnie! – zawołał chłopak. – Nie mogę iść dalej! Otarłem stopy do żywego mięsa i nie jadłem od wielu dni. Mam katar. Niech mnie zjedzą!

Redmede go uderzył. Chłopak spojrzał na niego z pełnym oszołomienia niedowierzaniem.

– Wstawaj i w drogę, inaczej sam cię zabiję – zagroził Redmede.

Chłopak z wysiłkiem dźwignął się na nogi i zaczął kuśtykać. Płakał.

Redmede czuł się jak nikczemnik.

Bess stanęła przy nim i pokręciła głową.

– Nie tak się to robi, Billu Redmede – powiedziała. – Mówiłeś jak pan, nie jak towarzysz.

– Pierdol się, Bess – syknął. Uniósł rękę. – Przemówiło przeze mnie osłabienie. Byliśmy z Natem przez całą noc na nogach. Zaatakowały nas bogliny.

Bess szeroko otworzyła oczy.

– Przecież jesteśmy sprzymierzeni!

Redmede wzruszył ramionami.

Pociągnęli dalej na zachód.

Po godzinie marszu natknęli się na trzeci tego dnia strumień. Awangarda przeszła na drugą stronę, w ślad za nią podążyła główna grupa. Na przeciwnym brzegu znaleźli kolejną opuszczoną wioskę irków – tu dachy pozostały nietknięte. Natychmiast zajęli puste chaty i w ciągu godziny zapłonęły ogni-

ska.

Nie było jedzenia i Redmede znalazł tylko kilku ochotników skłonnych opuścić chaty i stanąć na warcie, więc do nich dołączył. Stał w milczeniu za zasłoną liści, kiedy zobaczył, że coś się porusza za strumieniem. Irkowie sprytnie wybrali miejsce: otoczona niskimi wałami i palisadami wioska leżała na ubitej skarpie, do której trudno było podejść niepostrzeżenie. Redmede rozstawił strażę na krańcach pól kukurydzianych, niestety ogołoconych z kaczanów.

Obserwował ruch. Nie były to bogliny – ktoś poruszał się z nadmierną ostrożnością i wskutek tego niezdarne. Dostrzegł mignięcie zieleni i człowiek wyszedł na otwartą przestrzeń. Na niebie zostało dość światła, żeby Redmede go rozpoznał.

Mężczyzną stojącym nad brodem był Kot.

Za nim pojawił się Siwy Cal.

Redmede powstrzymał się od radosnego okrzyku i świsnął w umówiony sposób. Siwy Cal się wyprostował i w odpowiedzi zagwizdał „Tom, syn Toma dudziarza”. Redmede zaćwierkał jak ptak wojak i po czasie, w jakim jagnię dwa razy macha ogonem, obejmował swoje zbłąkane owieczki.

Cal ścisnął go mocno.

– Ha – mruknął. – Było paskudnie. Ten głupek ocalił mi życie.

Kot zachichotał i uśmiechnął się pod wąsem.

– Upolowaliśmy jelenia, ale musieliśmy go porzucić, gdy ruszyły za nami bogliny – wyjaśnił Kot. – Te małe sukinsyny są wszędzie.

Cal pokiwał głową.

– Straciłem moich chłopców – wyznał. – Musieliśmy uciekać. Kiedy przestali za nami nadążać, zostali pożarci?

Redmede ciężko pokiwał głową.

– Nie mamy jedzenia.

– My też nie – powiedział Cal. – I nie można polować. Człowiek staje się żarciem dla boglinów. – Wzruszył ramionami. – Nie wspominając o tym pierdolonym deszczu.

Kot wyjął trochę malin.

– Podzielę się – zaproponował swoim dziwnym, melodyjnym głosem.

Redmede po chwili wahania zdecydował, że jeśli nie przyjmie poczęstunku, to umrze. Chudy chłopak miał pełen kociołek malin – były wyborne i wszyscy trzej najedli się do syta.

– Niosłeś to przez całą drogę? – zapytał Cal. – Bez obrazy dla Billa, ale

możliśmy przystanąć, żeby je zjeść w dowolnej chwili.

Kot uśmiechnął się enigmatycznie.

– Nie – mruknął. – Dopiero teraz.

Rankiem trudno było zbudzić ludzi i jeszcze trudniej nakłonić do wstania. Ci bardziej doświadczeni poszli nad strumień, żeby zedrzeć trochę kory sasafra-su na herbatę. Kot, grasując na wzniesieniach na północ od wioski, znalazł barcie i wrócił lepki od miodu i triumfalny, i wszyscy dostali po kubku gorącej sasaffasowej herbaty z miodem.

I po sześć, siedem malin.

– Wystarczy, żeby człowiek poczuł się kurewsko głodny – powiedziała Bess, wyrażając myśli ich wszystkich.

Później ruszyli na zachód. Znowu.

Coraz częściej napotykali strumienie i przez każdy kolejny przepawali się coraz bardziej nieudolnie. Straż przednia już nie wyprzedzała głównej grupy o sto kroków, nawet po południu, kiedy Redmede zatrzymał ich w wodnistym świetle słońca i przypomniał o ustalonej odległości.

Wskazał niskie wzgórza na północy.

– Bogliny są na tych wzniesieniach – powiedział. – Albo coś gorszego. Przestańcie się wałkonić, inaczej wszyscy zginiemy.

– I tak jesteśmy martwi – krzyknął któryś z Jacków.

Redmede to przełknął i przez parę mil dowodził strażą przednią. Długo przed porą rozbicia obozu pojawił się Kot i machnął kciukiem w stronę tyłów kolumny.

– Zostają – zameldował. Wzruszył ramionami. – Coraz więcej zielonych zostaje. Niektórzy po prostu siadają przy szlaku.

– Weź Cala i znajdźcie miejsce na obozowisko – polecił mu Redmede.

Zobaczył, że Bess ni to wlecze, ni niesie Tylera. Poklepał ją po ramieniu, ścisnął rękę Tylera i zawrócił wzdłuż kolumny. Za każdym razem, gdy myślał, że spotkał ostatnich ludzi, mówili mu, że za nimi są inni.

Znalazł tego samego chłopaka co wczoraj, siedzącego pod drzewem, kiedy usłyszał krzyk z przodu kolumny.

Chłopak nie czekał na dyskusję czy cios. Podniósł się i zaczął kuśtykać, przeklinając. Znowu płakał.

– Są inni za tobą? – zapytał Redmede, ale chłopak nawet nie odwrócił głowy.

Redmede przez długą chwilę stał na szlaku w głębokiej rozterce. W końcu

zdjął z pleców łuk i powoli wyciągnął go z grubych płóciennych pokrowców. Kompletnie zawałił sprawę i teraz musiał przywrócić porządek marszowy i zebrać wszystkich razem. Musi rozmieścić zaufanych ludzi na przedzie i na tyłach. Nie straci nikogo więcej. Ruszył dalej przekonany, że nie doliczył się sześciu ludzi, i równie pewien, że coś go obserwuje. Z wyćwiczonym spokojem zaczął zakładać cięciwę, mocno opierając dolny koniec łuku na przemoczoną prawą rękę. Wygiął drzewce i miał okazję stwierdzić, jaki jest słaby, gdyż założenie cięciwy stało się dużym wyzwaniem. Na szczęście cięciwa nie za bardzo zwilgotniała, a samo łączenie było suche. Założył cięciwę i poczuł się nieco lepiej, gdy potruchtał z powrotem na wschód, w mrok.

Za ostrym zakrętem starego szlaku zobaczył bogliny. Było ich trzydzieści, może czterdzieści, zbitych w gromadę. Dwóch jego ludzi stało plecami do siebie, tłukąc mniejsze stworzenia laskami, podczas gdy trzeci walczył mieczem – trochę chaotycznie, ale skutecznie.

Redmede ukatrupił trzy bogliny, zanim w pełni zrozumiał, co widzi, a potem stado pierzchno. Chudy mężczyzna z długim mieczem się potknął, najwyraźniej ranny.

Zapadał zmierzch, najlepsza pora dnia dla boglińskich oczu i najgorsza dla ludzkich. Redmede pobiegł dalej.

Zobaczył, co się stało z innymi ludźmi. Bogliny nie bez powodu skupiały się w jednym miejscu. Z martwych Jacków zostały czerwone ochłapy.

Dwóch mężczyzn z laskami osunęło się na ziemię.

– Nie, głupcy! – krzyknął. – Uciekać!

Zwrócił się ku temu z mieczem.

Dopiero po długiej chwili, gdyż się ściemniało, zdał sobie sprawę, że postacią z mieczem jest irk. Był wzrostu mężczyzny, ubrany w skóry i wełnę w kolorach lasu, a jego miecz, długości niemal jego wzrostu, wyglądał jak wykuty z pioruna. Miał drobną twarz o ogromnych oczach i równie dużych zębach.

Irk nagle usiadł na szlaku. Krew – jucha – spływała mu z nóg.

Krzaki się poruszyły. Bogliny były tuż-tuż.

Czasami w chwili krańcowego niebezpieczeństwa wszystko się staje kryształowo jasne.

Redmede wiedział, co należy zrobić.

– Stać! – ryknął do swoich dwóch ludzi.

Zarzucił pelerynę na zębatą głowę irka, który miotał się z bólu, gdyż miał poranione nogi. Rozpostarł pelerynę na ziemi, słysząc, że bogliny podchodzą

coraz bliżej, położył na niej dwie laski i zawinał brzegi. Podniósł irka, który zamachnął się pazurem, mierząc w jego twarz. Spodziewał się takiej reakcji i szybko rzucił paskudne stworzenie na prowizoryczne nosze. Ciężar napiął pelerynę na kijach, gdy dwóch spanikowanych Jacków go podniosło.

Bogliny nadciągały.

– Biegiem – rozkazał Redmede.

Jackowie nie potrzebowali ponaglania.

Redmede nie miał dobrego zdania o swoich dowódczych talentach, ale wiedział, że jest doskonałym łucznikiem. Może najlepszym, z wyjątkiem brata. Założył strzałę na cięciwę i drugą chwycił w palce. Poświęcił chwilę, żeby ich pięć więcej wsunąć za pas, grotami w dół.

Już miał się rzucić do ucieczki, kiedy nastąpił atak i siedem przygotowanych strzał pomknęło jedna za drugą – nawet nie czuł, że napina duży łuk, strzelał bez jednej myśli i prawie nie zauważył, że jedna ze strzał przyszpiliła dwa obmierzłe stworzenia do drzewa, a druga przeraźliwie wrzeszczącego boglina do ziemi.

Wyjął z kołczana kolejną strzałę, lecz atak został przełamany. Stworzenia Dzikie nie są zagorzalsze niż ludzie i gdy założył ósmą strzałę, gładko umięśnione drapieżniki zniknęły w cedrowych zaroślach i niskich świerkach na północ od szlaku.

Patrzył na krzaki przez trzy długie oddechy, potem schylił się po lśniący miecz irka. Zapiął go w rękę, ale się tego spodziewał i go nie upuścił.

I pobiegł.

Zdarza się, że bohaterstwo nie jest widoczne; zdarza się, że wysiłek wymagany do zrobienia tego, co człowiek uważa za właściwe, jest większy, niż można znieść. Redmede walczył, strzelał z wielkiego łuku, szedł milą za milą, prawie nie śpiąc i jeszcze mniej jedząc. Wiedział, że jego ludzie go potrzebują. Wiedział, że przeprawa przez bród będzie ciężka – bał się, że bogliny wpadną pomiędzy jego niedoświadczonych Jacków i urządzą sobie ucztę.

Wiedział, że bogliny ciągną jego tropem.

A jednak po pierwszym wybuchu energii zwolnił – stawiał duże kroki, lecz nie biegł ani nawet nie truchtał.

Rozkazał sobie głośno: „Biegnij”. A jednak nie zmienił tempa.

– Bodaj cię licho, Billu Redmede – powiedział.

Pochylił się, zachęcając własne ciało do wysiłku, odruchowo wysunął nogę, chroniąc się przed upadkiem, i ruszył ciężkim truchtem, płasko stawiając stopy. Jego buty ciężko kłapały po szlaku i biegł bardziej niezdarnie, niż-

by sobie życzył, ale posuwał się do przodu.

Gdy przebył odległość dwóch długich strzałów z łuku, dopędził sześciu Jacków dźwigających irka.

– Szybciej! – krzyknął, gdy tylko ich zobaczył.

Oni też ruszyli niezdarnym kłusem.

Biegł za nimi. Kiedy prawie od razu zwolnili, ryknął:

– Nie zwalniać! Depczą nam po piętach!

Biegli. Jeden z młodszych się obejrzał i przewrócił oczami z totalną paniką.

Redmede nie miał siły się tym przejmować.

Truchtali szlakiem, a powietrze wyrywało się z jego płuc w głośnych sapnięciach, i klął swoją słabość. I każdą decyzję, jaką kiedykolwiek podjął. Ale ludzie przed nim nie przerywali biegu i utrzymywali tempo, mimo że nieśli rannego irka, więc byłby przeklęty, gdyby zwolnił.

Wspięli się na niewysokie wzniesienie gęsto porośnięte drzewami i Bill usłyszał odgłosy walki.

– Stać! – warknął. – Kryć się i leżeć nieruchomo.

Wyminął ich, rzucił miecz irka swoim ludziom i wyciągnął własny.

Wspiął się na szczyt i spojrzał na bród. Ujrzał scenę z księżej wizji piekła.

Bogliny zaskoczyły jego ludzi w trakcie przeprawy. Połowa grupy już była na drugim brzegu i ci się trzymali, choć z wielkim trudem. Pozostali, zaskoczeni w rzece, byli systematycznie zabijani – bogliny stały wzdłuż brzegów, wyłapiały topielców i pożerały ich na miejscu. Najgorsze było to, że niektórzy jeszcze żyli, wrzeszczeli z bólu i przerażenia, gdy niewielkie stworzenia ich zjadały. Ludzie umierali, ponieważ nie mieli żadnej osłony i potykali się na śliskich okrągłych kamieniach, podczas gdy utrata oparcia oznaczała pewną śmierć. Bogliny zasypywały gradem strzał bezradnych Jacków i nawet słabe łuki małych istot wystarczały, żeby ranić i zabijać z odległości pięćdziesięciu jardów.

Redmede oddychał głęboko.

Bogliny zwykle nie umiały współpracować w grupach większych niż dwudziestu czy trzydziestu osobników. Jednak tutaj było ich co najmniej tysiąc, skupionych na wybiciu jego Jacków.

Spodziewał się, że wśród boglinów zobaczy człowieka, chociaż czasami również wykorzystywali ich irkowie. Zastanawiał się, czy mógłby trafić irka z takiej odległości. Przez chwilę rozmyślał, czy irk, którego ocalił, nie był w rzeczywistości panem tych potworów...

Nagle błysk bieli na drugim brzegu strumienia powiedział mu, że mają przeciwko sobie nie człowieka ani irka, lecz jednego z Kapłanów, członka nielicznej królewskiej kasty boglinów z czerwono-czarno-białym chitynowym pancerzem, wydłużonym tułowiem i głową, która według niego nadała mu wygląd jadowitego szerszenia. Obserwował stworzenie, gdy ścięło Jacka dwoma wykutymi przez ludzi mieczami. Człek.

Odległość dwieście dwadzieścia jardów. Lekki wiatr, wilgotne powietrze. Jego łuk był zimny, cięciwa w miarę sucha. Schował miecz do pochwy, po czym niemal z roztargnieniem pogładził cięciwę, wyjął z kołczana lekką strzałę i wsunął trzy dodatkowe za pas.

Sięgnął do sakiewki po grudkę cukru klonowego i zaczął ją ssać. Zginęli dwaj kolejni ludzie – ich wrzask trwał bez końca, gdy jadł, ale nie zwracał na nich uwagi. Potrzebował przyływu energii. Nie mógł sobie pozwolić na to, żeby zawieść. Pokusa działania była tak silna, że prawie nie mógł myśleć – przepełniał go duch walki, chciał walczyć.

Pociągnął długi łyk wody i zakorkował manierkę. Założył lekką strzałę na cięciwę i bez jednej myśli napiął łuk, stojąc na lekko ugiętych nogach i prężąc ramiona. Uniósł grot nad cel i kiedy wyczucie kazało mu zwolnić cięciwę, palce odskoczyły równie gładko jak strzała, tyle że w przeciwnym kierunku.

Nie śledził jej lotu, tylko wystrzelił pozostałe, które przygotował, jedną po drugiej.

Trzecia trafiła Kapłana, ale odległość była zbyt duża, a strzała tak lekka, że nie wbiła się dostatecznie głęboko. Czwarta przebiła rękę, w której trzymał miecz.

Człek wyrwał się z zamętu i zaczął go szukać.

Nie muszą rozmawiać, pomyślał Redmede. Porozumiewają się przez magię. Albo zapach. Albo coś innego.

Wyjął następne cztery strzały z kołczana. Czuł się silny, zasięg był odpowiedni i miał ciężkie bojowe strzały, przez ludzi króla zwane „ćwierćfunkami”. Wbił trzy w ziemię i napiął łuk, przyciągając cięciwę do ucha i prężąc mięśnie pleców.

Strzelił – założył strzałę, napiął łuk i zwolnił cięciwę ze stęknieniem człowieka, który podnosi ciężary; powtarzał kolejne kroki i na koniec, wypuściwszy ostatnią strzałę, głośno krzyknął ze złości, gdyż zrobił to nie tak jak trzeba.

Miał czas powiedzieć: „Za bardzo, kurwa, zmęczony”, gdy patrzył w ślad

za strzałami.

Druga opadła i przez jedną radosną chwilę myślał, że trafił w cel, ale Kapłan skoczył nie w górę, jak miał nadzieję, lecz do przodu, w stronę strumienia. Trzecia strzała przeleciała tuż nad nim, gdy pędził na brzeg strumienia. Czwarta skręciła w prawo i kolebała się w powietrzu, tracąc energię. Naczelnik boglinów zmienił kierunek, żeby wskoczyć na dużą skałę, uniósł pokrywy skrzydłowe...

Co to znaczy? Chryste... rzuca czary!

...i na pokrywach zamigotał niebieskobiały ogień.

Źle wystrzelona strzała spadła z nieba jak pikujący drapieżny ptak. Człek stanął wprost pod nią i drzewce weszło w odchyloną pokrywę, przebiło chitynowy pancerz i czysto odcięło skrzydło.

Redmede nawet z odległości dwustu jardów zobaczył gejzer juchy, która trysnęła z rany. Człek potknął się i wpadł do wody.

Spanikowany Jack, Bill Alan, przeszył go mieczem, przygważdżając do dna strumienia, a później rąbał i woda zrobiła się zielono-brązowa. Stwór odpowiedział ciosem – Bill zatoczył się do tyłu, potknął i upadł. W tym czasie Redmede już biegł ku potokowi, zakładając na cięciwę kolejną ciężką strzałę. Zostały mu trzy.

Alan podparł się ręką i wstał, ściskając miecz w garści. Człek ruszył na niego, ciężko podnosząc się z wody, wciąż tryskając juchą. Przebił się przez zasłonę mężczyzny, odbił jego miecz i drasnął go w policzek. Alan zdążył otrząsnąć się z paniki, szczęście mu dopisało i mocno ciął wyciągnięte ramię. Stwór się zachwiał i zniknął pod wodą.

Każdy boglin na brzegu rzucił się do wody, żeby przepłynąć na drugą stronę.

Wie, kim jestem, pomyślał Redmede. Idą po mnie.

Biegł wzdłuż brzegu, skacząc z kamienia na kamień jak mały chłopiec. Przystanął i złapał równowagę na dwóch wielkich głazach.

Człek wyskoczył z wody u stóp Alana. Alan zamachnął się mieczem...

Redmede wystrzelił. Odległość wynosiła mniej niż sześćdziesiąt jardów i strzała z młasniciem weszła w miękką jak u ssaka skórę pod pachą. Stwór został unicestwiony, dosłownie rozpadł się na kawałki. Desperacki cios Alana trafił w pustkę; strumień już unosił strzępki człeka.

Wraz z mocą Kapłana rozpadła się więź trzymająca bogliny – Redmede patrzył, jak się rozpraszają. Masa stworzeń podległych jednej woli w ciągu trzech uderzeń serca stała się setkami osobników bojących się jego Jacków,



bez jednej myśli o podboju. W czasie, jakiego potrzeba na zmówienie modlitwy, wszystkie zniknęły.

Redmede żałował, że nie może zrobić tego samego. Nie mógł powiedzieć, jak ciężkie poniósł straty, ale na pewno poważne. Jego ludzie byli sami w ogromnej Dzicy, wyczerpani, przerażeni i pokonani. I zapadała noc.

Zadał w wielki róg, zbierając tych, którzy przeżyli. Wielu pierzchło, gdy nastąpił atak; Nat Tyler zatrzymał wszystkich mężczyzn i kobiety na bliższym brzegu i nie pozwolił im się przeprawić, co Redmede uznał za mądrą decyzję. Bess, Kot i Cal, należący do awangardy złożonej z weteranów, ludzi wprawnie władających mieczem i strzelających z łuków, zdążyli się przeprawić na drugi brzeg. Utrzymali się, a co więcej, zabili całkiem sporo boglinów.

Razem wzięwszy, stracili czterdziestu mężczyzn i dwie kobiety. Zostało ich zbyt mało, żeby pochować poległych.

Wszyscy ranni wyzionęli ducha, poza sześcioma. Bess i Redmede spędzili przy nich noc, używając pasów z podartych ubrań poległych jako bandaży, podczas gdy Tyler organizował strażę, żeby odeprzeć kolejny atak. Wrócił i kucnął przy ogniu.

– Było paskudnie – powiedział. – Nie przetrwamy kolejnej takiej walki.

Redmede siedział i patrzył w ogień. Dopóki było coś do zrobienia, nie musiał myśleć. Ale teraz...

– To wszystko, kurwa, moja wina – powiedział. Zgarbił się, wsparł czoło na podciągniętych kolanach. – Powinniśmy iść na południe, do Jarsayu.

Tyler milczał i Redmede wiedział, że przyznaje mu rację – powinni pójść na południe.

– Nie wierz w to, Billu Redmede! – Bess wyłoniła się z ciemności, po omacku znalazła kubek z wodą i zaczęła myć zakrwawione ręce. – Jarsay oznaczałaby śmierć dla nas wszystkich. Wielmożni panowie polowaliby na nas dla rozrywki. Dzicz jest lepsza. Jest zimno, to wszystko. – Uśmiechnęła się, zabrała gorącą wodę i wróciła do opatrywania rannych.

Tyler patrzył za nią z głodem w oczach.

– Nawet kiedy pada z nóg i nie kąpała się od wielu dni, jest piękna – skomentował.

Redmede wzruszył ramionami. Bess była dobrą towarzyszką i prawdopodobnie lepszym przywódcą niż on. Niczego innego w niej nie dostrzegał. Nie pozwalał sobie na to, żeby widzieć coś więcej.

– Myślisz, że poleciałaby na takiego starego kutasa jak ja? – zapytał Tyler.

Redmede nie mógł nawet myśleć o takich rzeczach.

– Muszę pogadać z irkiem, którego przynieśliśmy. Potrzebujemy przyjaciela.

Tyler wyszczerzył zęby.

– W takim razie pomogę Bess, dobra?

Redmede czekał, gotując wodę w miedzianym kociołku. Dzisiejszy pogrom miał wiele drobnych konsekwencji. Jedną z nich polegała na tym, że większość ludzi porzuciła obozowy ekwipunek, a w Dzikim garnki były równie cenne jak strzały. Redmede swój zachował – z tego, co wiedział, był to ostatni metalowy garnek na zachód od Lissen Carak. Jęknął i czekał, aż woda się zagotuje. To było frustrujące – nie mieli ogarków, kaganków ani lamp oliwnych, więc nad ogniem panowała nieprzenikniona ciemność i nie widział, czy woda już wrze. W końcu sprawdził to na wycucie, gałązką. Dodał nieco sasafrasu z ostatniego sezonu i resztę miodu. Składał iście książęcą ofiarę, ponieważ było to wszystko, co mógł ofiarować, a chciał, żeby irk go polubił.

Zaniósł herbatę irkowi, który z wdzięcznością uniósł rogowy kubek.

– Możesz mówić? – zapytał Redmede.

Stwór westchnął.

– Tak – odparł.

– Ja się nazywasz?

– Tapio Haltija – wyśpiewał. – Jestem panem tych lasów, mały człowieku.

Redmede splunął.

– Nie mam czasu dla panów – odparł, choć serce trochę mu urosło.

Irk zeszytniał i zaraz potem odwrócił wzrok.

– Od pół tysiąca lat panuję w tych lasach. Ale nie jestem na tyle arogancki, żeby nie okazać wdzięczności, nawet słudze samego Głoga. – Pokiwał głową.

– A ty jak się zwiesz?

Redmede pokręcił głową.

– Nie jestem sługą, a już na pewno nie tego łajdaka. Zostawił nas na lodzie. – Odwrócił wzrok. Był zbyt zmęczony, by to wyjaśniać. – Bill Redmede.

– Ach, człowieku, twoja mowa sprawia mi przyjemność. Szlachetny przyjacielu, ugoszczę ciebie i twoich ludzi. Nie zrobię wam krzywdy i pozwolę sobie dodać, że niewielu ludzi słyszało ode mnie taką propozycję. – Uśmiechnął się i jego kły zalśniły w ciemności.

Bille Redmede za mało wiedział o irkach. Jego brat ich lubił – tyle mu

było wiadomo. Jego brat ucztował w ich dworach i handlował ze śmielszymi w lasach. Ale ten irk był stary i bardzo, ale to bardzo niebezpieczny, przynajmniej tak podpowiadał mu instynkt. I właśnie podał mu swoje imię i nazwisko. Głupio postąpił.

– Nadchodzą moi ludzie. Czuję ich w krwi ziemi. Uznam za wyjątkowe dobrodziejstwo, jeśli mnie poczęstujesz jeszcze jednym kubkiem tej herbaty. I widzę, że zachowałeś mój miecz.

Redmede chciałby zaufać stworzeniu, ale po prostu nie mógł.

– Obandażowałem ci łydki – powiedział. – Nie możesz chodzić. Niebawem oddam ci miecz.

Irk się uśmiechnął, co wyglądało strasznie.

– Kiedy będziesz jadł kolację w mojej sali, człowieku, zobaczysz, że nie potrzebuję uciekać się do zdrady, żeby zniszczyć tobie podobnych. Gdybym chciał cię zniszczyć, spotkalibyśmy się mieczem w miecz. Jestem Tapio Hal-tija. Nie kłamie.

Redmede uznał, że rozmowa ze stworem jest męcząca. Miał kłopot z panowaniem nad umysłem, jego myśli kotłowały się jak sykliwe słowa stworzenia. Odszedł po raz kolejny sprawdzić rannych, a po powrocie usiadł na kochach.

Bess zajęła miejsce obok niego.

– Złap mnie za rękę – poprosiła. – I opowiedz mi coś ładnego, ponieważ dzisiaj srałam ze strachu. – Wyszczrzyła zęby. – Nat Tyler budzi większy lęk niż pociechę. Prawda?

– Irk, którego uratowaliśmy, jest postacią z legendy i ocali nas wszystkich – powiedział Redmede.

Ujął jej rękę i ścisnął zadowolony, że może jej przekazać dobre wieści. Nie inaczej trzymał rękę Nata, kiedy ten był chory. Ale jej ręka była zimna i w odpowiedzi ścisnęła jego dłoń. Przytuliła się do niego. W jej zachowaniu nie było niczego erotycznego. Była zimna.

– Sławny irk? – Zdobyła się na słaby śmiech. – Kim on jest, ten Tapio Hal-tija? – prychnęła pogardliwie.

– Tym, co mówi.

Wyprostowała się.

– Ten szpetny potwór twierdzi, że jest królem z czarowanej krainy? – zapytała. – Śniłam o nim w dzieciństwie. Jeździ na jednorożcu i ma kopię z litego złota.

– A teraz został raniony przez bogliny i nie może dostać kubka herbaty.

– Niemożliwe – powiedziała Bess, ale głos miała spokojniejszy, szczęśliwszy. – Ale to dobra historia, Bill. Dobrze się sprawiałś w ostatnie dni. Do licha, dziś stanęliśmy na nogi, prawda?

Redmede lekko się przesunął, by jego ramię zetknęło się z jej ramieniem.

– Posłuchaj, Bess. Przysięgam, nie zostaliśmy pokonani i jakoś sobie poradzimy. Zabiję pierdolonego króla i ludzie będą wolni.

Nagle opadł go nieprawdopodobny miłosny pociąg: Nigdy nie myślał o Bess jak o kobiecie, a teraz nagle pachniała jak kobieta i w dotyku była bardzo kobieca. Jestem wyczerpany, pomyślał.

– I kobiety – dodała.

Odwróciła głowę i w blasku ognia dostrzegł wyraz jej oczu. Nie był siostrzany, dzięki czemu miał chwilę ostrzeżenia, zanim się przekreśliła i przycisnęła usta do jego warg.

Usta miała słonawe i silne jak ona sama.

– Nie, Bess... – szepnął, ponieważ chciał jej powiedzieć, że jest dowódcą i musi dawać przykład. I że jest taki obolały i znużony, że za kilka uderzeń serca zapadnie w sen...

...tylko że jego ręce miały inny pomysł – jedna wsunęła się za jej plecy i przycisnęła do kręgosłupa, a druga znalazła jej brzuch, twardy jak jego własny. Bess chwyciła jego dłoń, oderwała ją od brzucha... i stwierdził, że nakryła nią pierś.

Wszystkie myśli o śnie wywietrzały mu z głowy.

Nat Tyler stał kilka jardów dalej, ściskając sztylet w ręce.

– No tak – mruknął.

Tapio Haltija westchnął i rzucił łagodny, właśnie utkany czar.

Mężczyźni byli tacy nieskomplikowani, zresztą ich kobiety również. Mieli tyle zasad, tyle obyczajów, a tak łatwo o nich zapominali. Bądź co bądź byli stworzeniami Dziczy. Niczym się nie różnili od jeleni czy bobrów.

Wezwał swój miecz i miecz posłusznie przybył.

Zajął się uzdrawianiem stóp i kostek. Głupia arogancja sprawiła, że bogliny go dopadły. Jak na ironię, uratowali go ludzie. Bogliny powinny bić przed nim pokłony, a nie biły – i było to sprawką Głoga.

Zacisnął dłoń na rękojeści miecza, który do niego zaśpiewał.

Mógłbym zabić ich wszystkich, pomyślał.

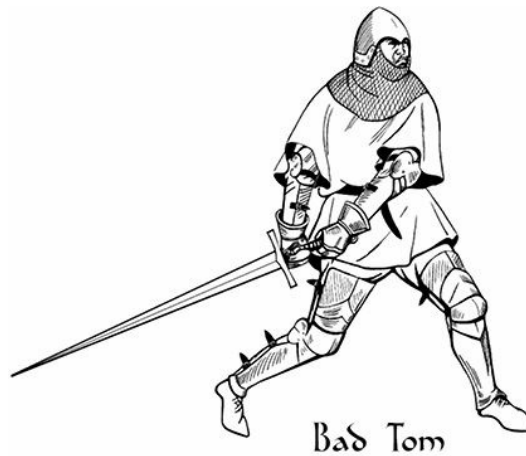
Położył się, słuchając krwi ziemi. Słuchając, jak para zwierząt się kocha. Minęły lata, odkąd przebywał wśród ludzi. Zamurzenie mieli inny smak.

Utożsamiali się z Dziczą. Z naturą. Ci nadal byli sługami swoich nawyków.

Mogę ich zabić, kiedy tylko zechcę, pomyślał. A może zatrzymam ich jako domowe zwierzątka. Albo psy myśliwskie.

Sięgnął wzdłuż linii krwi ziemi i przywołał swoich rycerzy.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY



### **Liwiapolis – Morgan Mortimir**

Morgan Mortimir przez wiele dni dochodził do siebie po bójce. Spał i spał, raz nawet przez cały dzień i całą noc. Innym razem zbudził się i zobaczył, że arystokratka – wiedział, że była kurtyzana, może zwyczajną ulicznicą, ale ze swoim egzotycznym makijażem i nadąsanymi ustami nie przypominała dziewczek znanych mu z Harndonu – pochyła się nad nim, zmieniając bandaż na gołeni, gdzie z rozcięcia spływała krew. Patrzył, jak pewnie poruszają się jej ręce, i zachodził w głowę, gdzie opanowała sztukę tak dobrego bandażowania.

– Długo planujesz u nas spać? – zapytała go z uśmiechem. Miała rozkosz-

nie skośne oczy. – Chciałabym odzyskać łóżko.

– Wielce dworne zapytanie, piękna przyjaciółko – odparł.

Po chwili zrozumiał, że mówi po albańsku, więc spróbował jeszcze raz w górnym archaickim.

Uśmiechnęła się.

Wstał ostrożnie, bo miał na sobie tylko koszulę, która z pewnością należała do Nordykanina, gdyż sięgała mu po kolana. Kobieta stała tak blisko, że czuł jej delikatny zapach, kwiatową woń z nutką goryczy. Miała wierzchnią suknię w głębokim odcieniu czerwonego wina na spodniej, obcisłej, z bładozielonego jedwabiu. Przynajmniej w jego oczach tkanina wyglądała na jedwabną.

Westchnął.

– Gdzie jest messire Derkensun? – zapytał.

– W końcu pojaśniało ci w głowie, panie barbarzyńco – powiedziała. – Nie widziałam go od trzech dni. W mieście dużo się działo. – Usiadła na łóżku. – Chciałabym coś zjeść, ale nie mam pieniędzy. Chciałabym przestać się bać. Opiekowałam się tobą... mam nadzieję, że okażesz odrobinę wdzięczności. – Wzruszyła ramionami. – Ale mężczyźni rzadko to robią.

– Jak masz na imię, despoino? – zapytał.

Trudno jest złożyć dworny ukłon, gdy się naciąga nogawice. Noszono je, przynajmniej w Harndonie, oddzielnie, nie były połączone jak w Galii. To oznaczało wciągnięcie jednej, wygładzenie jej na udzie, przytroczenie do paska gaci, zapięcie podwiązki...

Nie mógł znaleźć podwiązek.

– Och.. – mruknęła zupełnie nieszczercze. – Były twoje? Spodobały mi się. – Podniosła rąbek sukni, pokazując mu kolana i jego podwiązki.

– Eee... wyglądasz w nich znacznie lepiej niż... – zająknął się, zarumienił i umilkł.

Roześmiała się.

– Ile masz lat, panie? Jak brzmi twoje imię i tytuł?

Wzruszył ramionami.

– Szesnaście, despoino, i zwę się Morgan Mortimir. – Rozejrzał się. – Czy messire Derkensun ma jakieś rzemienie? Albo coś, czego mogę użyć zamiast podwiązek?

Roześmiała się.

– Dlaczego po prostu nie poprosisz o zwrot swoich? – zapytała.

Wzruszył ramionami.

– Jestem niedoświadczonym chłopakiem, ale mam wrażenie, że byłoby to niegrzeczne.

Zamiast chichotać, przeszła go twardym wzrokiem.

– Chcesz mnie wciągnąć do łóżka, panie? Mogłabym skorzystać z oferty, traktując ją jak interes, ale możesz mi wierzyć, że Nordykanin będzie miał przez to o nas gorsze zdanie.

Mortimir spojrział jej w oczy. Była to najdłuższa rozmowa, jaką dotychczas prowadził z kobietą, wyjąwszy matkę, i czuł, że radzi sobie dość dobrze.

– Mam nadzieję, że to brzmiało jak flirtowanie. Powiedziano mi, że potrzebuję praktyki.

– Co do flirtowania, nie będę dobrą nauczycielką, ponieważ pod koniec dnia zawsze mówię: tak. – Spojrzała na niego wyczekująco i lekko zakołysała nogami, jak znacznie młodsza dziewczyna. – Mam na imię Anna. Dla garści ludzi, którzy znają moje imię. – Wstała z łóżka i wygładziła spódnice. – Kupisz mi trochę jedzenia, panie rycerzu?

– Jeszcze nie jestem rycerzem. Jestem za młody – powiedział Mortimir. Zrozumiał, że zbyt dosłownie potraktował jej słowa, i się uśmiechnął. – Z przyjemnością kupię jedzenie.

– W takim razie ja cię nauczę tego, co wiem o flirtowaniu. Na początek, jeśli chcesz pocałować dziewczynę, musisz wcześniej wyszczotkować zęby. – Uśmiechnęła się, żeby nieco złagodzić radę, a on odwrócił wzrok.

– Masz pieniądze? – zapytała. – Racz zauważyć, że nie zabrałam ci sakiewki i nie uciekłam.

– Dlaczego tego nie zrobiłaś?

Wzruszyła ramionami.

– Lubię Derkensuna. Ale odszedł, a ja jestem głodna. Przez cały czas myślałam o twojej sakiewce. Czy nie jestem zbyt szczerą?

Mortimir szybko się uczył, na czym polega brutalna rzeczywistość.

Zeszli po schodach do głównej izby karczmy, w której Derkensun wynajął pokoje. Żona karczmarza spotkała ich w wejściu. Była przystojną kobietą po czterdziestce, w ciemnym, niemal czarnym stroju, ale koralowe paciorki jej długiego różańca i zwisający na nim złoty krucyfik, a także czarny haft na koszuli świadczyły, że jest majątna. Uniosła rękę, zagrządzając wejście do izby. Grzecznie skinęła głową Mortimirowi.

– Kimże ty jesteś, kyrios? – zapytała.

Mortimir przez chwilę czuł się dezorientowany. Zrozumiał, że to nie jego gospoda, że wyszedł z pokoju karczmarki z dziwką, jakkolwiek ładnie mó-



wiącą.

Uklonił się.

– Despoino, mój przyjaciel Nordykanin Derkensun mnie uratował, a ta piękna młoda kobieta się mną opiekowała. Trzy dni leżałem na twoim podgłówku. Daleki jestem od tego, żeby odejść bez uiszczenia należności. Idę na posiłek z moją pielęgniarką.

Gospodyni skłoniła głowę. Spojrzała na Annę, pociągnęła nosem i powiedziała:

– Potrafię sobie wyobrazić, jaką miałeś opiekę.

– Naprawdę potrafisz? – zapytała Anna.

Mortimir sięgnął do sakiewki i wyjął srebrną koronę, albańską monetę, ale uznawaną wszędzie w Nova Terra.

– Mogę poznać twoje imię, despoino?

Gospodyni trochę niżej skłoniła głowę.

– Możesz zwać mnie Stella, szlachetny panie – powiedziała całkiem znośnie po albańsku. – Chodźcie ze mną. Nie przystoi, żeby kobiety i mężczyźni wspólnie się posilali, chyba że są małżeństwem.... to przyzwoita gospoda i przestrzegamy tu prawa. Ale nikogo nie ma we wspólnej izbie, więc pozwolę wam siedzieć razem.

Anna usiadła na krześle z wysokim oparciem i zrobiła minkę.

– Teraz znowu będę musiała się wspinać po rynnie, żeby się dostać do jego pokoju – powiedziała. – Nienawidzę takich kobiet. Żona karczmarza? Najpewniej w swoim czasie rozkładała nogi dla klientów, ale teraz daje na mszę i jest bardziej cnotliwa niż święty.

Mortimir wzruszył ramionami.

– Nie znam żadnych karczmarek.

– Ani dziwek! – dodała Anna i umilkła, gdy podeszła gospodyni.

Stella przyniosła dzban wina i drugi z wodą cytrynową.

– Mogę podać kielbasę i smaczny chleb.

Mortimir zdał sobie sprawę, że kona z głodu.

– Wspaniale.

Anna oddzierała kawałki chleba i piła wino, pochłaniając łącznie sześć kielbas, a potem udawała wybredność, skubiąc figi z talerza. W miarę upływu czasu Mortimir czuł się coraz mniej skrępowany; między innymi jej nieumiejętność zachowania się przy stole dodawała mu pewności siebie. W końcu się pochylił i pociął nożem jej kielbasy, a ona patrzyła, jak je, używając szpikulca.

Sama jadła palcami.

– Miałam nóż, Harald mi go dał. Musiałam go sprzedać – wyjaśniła.

– Ile dni straciłem? Co się stało? – Mortimir był młody i niedoświadczony, jednak karczma świecąca pustkami w środku dnia wszędzie byłaby osobliwością, a usłużność gospodyni wyraźnie świadczyła o jej żądzy pieniądza.

Anna spojrzała na niego z ustami pełnymi fig. Żuła i żuła, aż w końcu oboje zachichotali.

– Nie jesteś starsza ode mnie – powiedział.

– Bzdura. Mam prawie siedemnaście lat. – Westchnęła. – Moja uroda szybko przeminie. – Odchyliła się na oparcie. – Więc... oto co wiem. Trzy dni temu, rankiem, kiedy położyłeś się spać do łóżka Harald, on poszedł na służbę przy jednej z bram. I cesarz wpadł w niewolę diuka Tracji. Wiesz, kim on jest?

Mortimir wzruszył ramionami.

– Jego syn pewnego dnia odwiedził Akademię. Arogancki szczeniak. – Uśmiechnął się. – Jeszcze gorszy niż ja.

– W pałacu doszło do walki. To wszyscy wiedzą. Krąży plotka, że Harald przeżył, a księżniczka Irena przyoblekła purpurę i obwołała się cesarzową.

Bez ostrzeżenia wybuchnęła płaczem.

– Minęły trzy dni! – krzyknęła. – Gdzie on jest?

Mortimir się pogubił.

– Kochasz go? – zapytał.

Anna przeklinała przez czas potrzebny na zmówienie dziesięciu zdrowasiek. Mortimir nie wiedział, co począć, i był zakłopotany podobnie jak karczmarka, która na chwilę przewyciężyła swoją odrazę do dziwek i przyniosła jej chusteczkę.

– Nie chcę być dziwką! – krzyknęła Anna. – Chcę go poślubić i mieć dzieci! A jeśli nie żyje? Och, słodki i łagodny Chryste....

– Mogę cię zabrać do pałacu – zaproponował bez namysłu Mortimir. Przełknął ślinę i powtórzył w myśli swoje słowa. Tak, naprawdę to powiedział.

Anna na niego spojrzała.

– Naprawdę? Możemy zginąć. – Wstała. – Nauczę cię wszystkiego o flirtowaniu, jeśli zaprowadzisz mnie do pałacu. Zabierzemy wino i chleb.

Gospodyni, która przysłuchiwała się ich rozmowie, położyła rękę na krzyżu spoczywającym na obfitym biuście.

– Zabierać wino do pałacu? Przecież z pewnością mają najwyborniejsze wina...

Anna otarła twarz chusteczką.

– Być może od trzech dni nie dostają zaopatrzenia. Majordom pałacu nie żyje... wszyscy tak mówią od wczoraj. Więc?

Karczmarka z wahaniem pokiwała głową.

– To prawda. I powiadają, że Wielki Szambelan opuścił miasto ze swoją flamą, porzucając żonę. – Spojrzała ze złością na Annę. – Targowiska są zamknięte. Doszło do plądrowania. I żadna kobieta nie jest bezpieczna. – Ciszej dodała: – Nawet kurwa.

Mortimir pokręcił głową.

– Nie, posłuchajcie. Pójdę sam. Stello, pozwolisz mojej pielęgniarce tu zostać? Nie zabiorę wina. Znajdę Derkensuna i wrócę. – W rzeczywistości pomysł wydawał się zniechęcający, choć był nim również podekscytowany pomimo tętnienia w skroniach, bólu brzucha i łupania w krzyżu, długiej listy siniaków, otarć i niemal naderwanych ścięgien po bijatyce z wielkoludem.

Anna pokręciła głową.

– Wiesz, jak daleko jest stąd do pałacu?

Mortimir wzruszył ramionami.

– Tak – odparł. – Studiuje na uniwersytecie. Wiem, jak dojść do pałacu.

Gospodyni powtórzyła jego gest.

– Jest barbarzyńcą. Nie wpuszczą go za skarby świata.

Mortimir ponownie wzruszył ramionami.

– Żadna z was tego nie zmieni, tylko podjęłybyście większe ryzyko.

Co we mnie wstąpiło?

Kobiety przyznały mu rację – zbyt chętnie, pomyślał. Zapłacił za posiłek, zabrał miecz i wyszedł na bezludne, wilgotne ulice miasta. Karczmarka stała tak blisko jego gospody, że pomyślał, czy nie wstąpić po swojego konia, ale pałac wznosił się niespełna milę dalej, słońce świeciło wysoko na niebie, gdzieś za deszczowymi chmurami, i ulice świeciły pustką.

Musiał przejść przez plac złotników, jedno z jego ulubionych miejsc w mieście, gdzie zwykle siedzieli rzemieślnicy zachwalający swoje towary, od tanich podróbek, przez olśniewające imitacje dworskiej biżuterii, po prawdziwe klejnoty, łącznie z pierścieniem z szafirem wartym więcej niż tysiąc dukatów.

Nie dzisiaj. Dziś plac był pusty i tylko kilku włóczęgów chowało się w straganach przed deszczem. Wiele kramów zostało rozbitych. Zwłoki leżały na bruku.

Mortimir przemykał skrajem placu, ale go zobaczyli.

Zamarł niezdecydowany. Znalazł się w głupiej sytuacji – mógł zabić mieczem tuzin włóczęgów, ale bruk był wilgotny i tak naprawdę Mortimir jeszcze nigdy nie walczył na śmierć i życie. Ucieczka wydawała się łatwiejsza, tylko że wszystko go bolało.

Rozproszyli się, podchodząc, i pohukiwali jeden do drugiego. Miał dość przytomności umysłu, żeby się obejrzeć, i wtedy zobaczył dwóch następnych; ich skóra miała niezdrowy rumiany kolor, który kojarzył się z życiem na ulicach. Trochę niepewnie przebiegi kilka kroków po śliskich od deszczu kocich łbach i te kilka kroków sprawiło, że zadudniło mu w głowie. Odwrócił się, żeby stanąć plecami do muru małego kamiennego kościółka z ceglana dekoracją i zewnętrzną mozaiką.

Obrócił się na pięcie i dobył miecza. Trzymał go pewnie. Ugiął kolana, przyjmując postawę, jakiej się nauczył na wypadek takich sytuacji. Mężczyzna na czele zwolnił, ale miał ciężką laskę i się nie zatrzymał. Podbiegł i się zamachnął.

Jeśli się ćwiczycy dość często, czasami człowiek przystaje, żeby pomyśleć. Ciężki cios spłynął po jego mieczu – Mortimir ruszył, stawiając lewą stopę przed prawą, i wolną lewą ręką trzasnął w łokieć wroga, na w pół go obracając, po czym ciał mieczem w ciemność – bardziej płazem, bo zadał cios zbyt szybko i był spanikowany – ale osiągnął zamierzony skutek: mężczyzna padł nieprzytomny. A może martwy.

Inni przystanęli.

– Możemy go załatwić – powiedział najmniejszy z nich, brodaty opryszek z dwoma sztyletami.

– Ty pierwszy, barani łbie – rzucił drugi, już się cofając.

Mortimira przepęniał duch męstwa – nie miał innych słów na opisanie tego stanu. Czuł się tak, jakby miał dziesięć stóp wzrostu, serce dudniło mu w piersi i...

...i jasny czerwonożłoty ogień zapłonął na jego lewej dłoni.

Mało brakowało, a straciłby sakiewkę i życie – oszołomiony, że moc spowija jego lewą rękę, nie zauważył człowieka zachodzącego go z lewej strony. W ostatniej chwili dostrzegł ruch kątem oka i obrócił się w biodrach, poderwał miecz i przyjął nań pałkę. Zrobił wykrok i trzasnął głowicą w twarz mężczyzny. Ten oprych był szybszy albo lepiej wyszklony niż pierwszy, więc głowica tylko zadrapała mu nos. Mortimir go minął, gdy obaj się potknęli.

Poderwał lewą rękę, żeby się osłonić przed sztyletem mężczyzny – czy-

stym trafem i dzięki szkoleniu zdołał zablokować mu nadgarstek, choć czubek ostrza dźgnął go w udo.

Oprych wrzasnął i upuścił sztylet. Zatonął się do tyłu, pałka kołysała się mu w ręku.

Mortimir znał fantazm ognia. Znał go doskonale, a jednak w tej chwili, podczas walki na śmierć i życie, nie potrafił przypomnieć sobie słów, mimo że jasny czerwony ogień pełgał po jego dłoni.

Mężczyzna z dwoma sztyletami zachodził go od prawej.

Mortimir zapanował nad umysłem i przywołał mentalny konstrukt, który tak bez sensu wykuł na pamięć. Lewą ręką wskazał Dwa Sztylety i w górnym archaickim krzyknął:

– Poieo!

*Jego pałac pamięci dopiero się wykluwał, dobrze zaplanowany na podstawie świątyni Ateny za murami miasta. Wszyscy profesorowie się zgadzali, że pałac powinien przypominać miejsce, które się kocha.*

*Problem polegał na tym, że skoro żaden z jego fantazmów nigdy nie zadziałał, opuściła go chęć ukończenia i udoskonalenia pałacu. Z tego powodu starożytna kolumna z nieskazitelnie białego marmuru była niewyraźna i nie mógłby powiedzieć z całkowitą pewnością, jaki ma przekrój, ani nie mógł odcyfrować starannie wykonanych graffiti.*

*Mimo to skupił wolę, zrobił długi mentalny oddech i oto... jest! Ryby, orzeł symbolizujący...*

*Świętego Marka! I ewangelia, i...*

Na początku było SŁOWO.

*I sowa...*

*Słodki Chryste, sowa oznacza mądrość, a...*

MINERWA...?

Pierwszy sztylet mężczyzny o mało go nie trafił w wyciągniętą rękę. Odskoczył, ciął mieczem...

– Atena! – syknął.

Dwa Sztylety spłonął w całopalnej ofierze.

Mortimir, oszołomiony siłą fantazmu, cofnął się chwiejnie, zarówno z szoku, jak i z powodu siły żaru. Mężczyzna strasznie wrzeszczał. Żył i trzy uderzenia serca później wciąż nie był martwy.

Mortimir wziął głęboki oddech, zmusił się, żeby zrobić krok do przodu, i odciął głowę mężczyzny.

Ogień płonął. Mężczyzna był straszliwie poparzony, jego skóra niemal się

stopiła, jedna gałka oczna wyskoczyła z orbity, a druga...

Wspomnienie płonącego człowieka miało go prześladować przez wiele nocy.

Tymczasem się obrócił, gotów do spotkania z kolejnym napastnikiem, ale pierzchli – znikali za narożnikami jak karaluchy, które w nocy uciekają przed świecą. Odetchnął głęboko.

Nie panował nad drżeniem rąk.

– Udało się – mruknął.

Zrobił kilka chwiejnych kroków i postanowił, podejmując decyzję jakby przez mgłę, że spróbuje dotrzeć do pałacu.

Dwie ulice dalej zrozumiał, że wciąż ma miecz w ręce i że głównia ocieka krwią. Przystanął i wytarł ją w jedną z płóciennych chusteczek od matki. Trochę krwi wyschło jak lakier. Splunął na płaz, nagle zbyt skupiony na czyszczeniu, i kolejne sto uderzeń serca później zdał sobie sprawę, że nie myśli szczególnie jasno.

Dokończył czyszczenie i schował miecz do pochwy.

Prawą rękawicę miał mokrą od krwi i krew ściekała mu po prawej nodze z rany klutej na udzie.

Szedł w stronę pałacu.

Przeszedł przez ulicę prawników, pustą. Na ulicy płatnerzy stali ludzie z mieczami i szpontonami – robotnicy. Przystanął przy fontannie.

Podszedł do niego mężczyzna w etruskim półpancerzu.

– Jakie wieści, sąsiedzie? – zapytał dość uprzejmie.

Mortimir się uklonił.

– Jestem studentem uniwersytetu – wyjaśnił. – Bandyci na mnie napadli w dzielnicy złotników. – Jego ślina nagle zrobiła się słona, gdy wspomniał płonącego człowieka.

Mężczyzna pokiwał głową.

– Nie wyglądasz mi na grabieżcę – powiedział, choć nie opuścił miecza. – Jesteś barbarzyńcą?

Mortimir pokiwał głową.

– Z Alby – odparł, ignorując jego odruchowo pogardliwą minę.

– Z Harndonu?

– Mam ten zaszczyt – powiedział Mortimir. Głos brzmiał trochę dziko w jego własnych uszach.

– W Harndonie są doskonali płatnerze. Znasz któregoś?

Mortimir spostrzegł, że otoczył go tuzin uzbrojonych po zęby uczniów.

– Mistrz Pyle mieszka przy tej samej ulicy co moja matka – odparł. – Łowiłem ryby z jego córkami.

Napięcie natychmiast spadło.

– Ach! Mistrz Pyle! – krzyknął mężczyzna w zbroi. Ukłonił się. – Nastają ciężkie czasy, panie. Musiałem się upewnić. Mogę spytać, dlaczego jesteś na ulicach? Straż ogłosiła, że po zmroku nie wolno wychodzić na ulice i wszyscy powinniśmy być w łózkach.

Mortimir po chwili zmagania ze swoim trochę nieskorym do współpracy umysłem udzielił odpowiedzi.

– Idę do pałacu. – Wzruszył ramionami. – Dla pewnej dziewczyny.

Na szczęście dla niego płatnerz znał sporo młodych mężczyzn i sporo dziewcząt. Uśmiechnął się.

– W pałacu panuje chaos – powiedział. – Ale zabiorę cię tam przez wzgląd na mistrza Pyle’a.

Godzinę później, mając za plecami czterech uzbrojonych terminatorów, Mortimir załomotał do bocznej bramy Zewnętrznego Dziedzińca. Była to czwarta brama, do której kołatał – jego towarzysze bawili się przygodą, ale cała piątka była zmęczona kolejnymi porażkami.

Ta brama jednak była obsadzona, co stanowiło pierwszą oznakę życia w pałacu.

– Przedstawcie swoją sprawę – powiedział ktoś.

Mortimir miał godzinę na przygotowanie mowy i już ochłonął po walce na placu.

– Kyrios, szukam mojego przyjaciela Haralda Derkensuna z gwardii nor-dykańskiej. Chcę też zapytać, czy pałac nie potrzebuje żywności i wina, które w razie konieczności mogą dostarczyć miejskie gospody. Są ze mną członkowie miejskiego cechu kowali, ciekawi...

Drzwi się otworzyły i Mortimir zobaczył sześciu rozczochranych strażników scholi.

– Przydałby się świeży chleb – powiedział najwyższy z nich, mężczyzna we wspaniałych, jakkolwiek złachmanionych atłasach samnickiego kroju, w napierśniku z łusek i z trzydniowym zarostem. – Co do pana Derkensuna, obecnie jest z cesarzową. Uznam to za osobistą przysługę, jeśli przekażesz mój list mojej narzeczonej. Jeśli nadal mnie chce... – Popatrzył na uczniów płatnerza. – Mieszka w waszej dzielnicy.

– Chciałbym się zobaczyć z panem Derkensunem – powiedział Mortimir.

Nigdy nie czuł takiej wiary we własne siły. Rozpierała go moc, dosłownie. Miał wrażenie, że jego ręce i klatka piersiowa lada chwila mogą stanąć w płomieniach.

Elegancko ubrany mężczyzna wzruszył ramionami.

– Jeśli zostawisz broń i obiecasz zanieść wiadomość, zaprowadzę cię do niego – oznajmił. – Ale jeśli jest z... e... cesarzową, nie zostaniesz wpuszczony.

Pałac był równie pusty jak ulice. Większość ordynariuszy została zamknięta w koszarach i tylko ci najbardziej niezbędni chodzili po korytarzach, płaszcząc się pod ścianami, gdy widzieli nadchodzących żołnierzy.

Przeszli przez Zewnętrzny Dziedziniec i weszli na Wewnętrzny. Koszary scholi były pełne ludzi i przystojny młodzieniec zaprowadził Mortimira do dyżurnego, który wpisał jego nazwisko do rejestru. Przeszli przez podwórze. Dwóch Nordykanów w pełnych kolczugach stało jak posągi, trzymając na ramionach topory o styliskach wzrostu Mortimira.

– Czy pan Derkensun jest wolny? – zapytał scholista.

– Derkensun! – ryknął bliższy z dwóch jasnowłosych olbrzymów. Skinął głową. – Właśnie zszedł ze służby po morderstwie. W więzieniu.

Zaspany wielkolud stanął w drzwiach. Gdy tylko zobaczył Mortimira, chwycił go za rękę.

– Jesteś! Wiedźma powiedziała, że będziemy związani.

W innych okolicznościach Mortimir dałby wyraz głębokiej pogardzie na wzmiankę o osobie nazywanej wiedźmą, ale przecież ledwie godzinę temu ogniem zabił człowieka i wszechświat nagle stał się bardzo dziwny.

– Anna mnie przysłała – powiedział, co według niego wypadło bardzo głupio.

Ale na twarzy Derkensuna uśmiech zajaśniał niczym słońce po długiej ciemnej nocy.

– Na bogów! – krzyknął. – Jesteś prawdziwym przyjacielem. Czy tam też panuje zamęt? – Odwrócił się i coś ryknął; Mortimirowi dźwięk przypominał odgłosy wydawane przez dwa gryzące się psy.

– Dobry Boże, czy to jest mowa Nordykanów? – zapytał.

Strażnik ze scholi wyszczerzył zęby.

– Jesteśmy podobnego zdania.

Derkensun zabrał ich obu na stronę.

– Posłałem po mojego kaprała. Słuchajcie. Cesarz został pojmany...

– Tyle wie całe miasto – wtrącił Mortimir.



– Ale wraz z nim zniknęło zbyt wielu urzędników. Albo przeszło na stronę diuka. – Nordykanin wzruszył ramionami. – Pałac jest mrocznym miejscem, bez dwóch zdań.

– Ten człowiek zaproponował dostarczenie żywności – powiedział rycerz ze scholi. Wyciągnął rękę. – Giorgios Komnen do usług, panie barbarzyńco. Zakładam, że jesteś studentem?

– Czy Maria Ekaterina Komnena jest twoją siostrą? – zapytał Mortimir.

– Kuzynką – odparł z uśmiechem. – Znasz ją z uniwersytetu, jak sądzę?

Mortimir odwrócił wzrok i nie powiedział: „Ona wymyśliła moje przezwi-  
sko”.

– Tak, znamy się. Wybacz mi grubiaństwo, kyrios. Jestem Morgan Morti-  
mir z Harndonu.

– Mówisz naszym językiem tak dobrze, że nigdy nie wziąłbym cię za bar-  
barzyńcę – powiedział Komnen.

Derkensun położył ręce na ramionach ich obu.

– Słuchajcie, przyjaciele, dość tych uprzejmości. Wszyscy tutaj jesteśmy  
dobrymi ludźmi, więc bierzmy się do roboty. Morganie, możesz dostarczyć  
żywność? Czy któryś z was wie, czego potrzeba, żeby ruszyły dostawy?

– Zarządca mojego ojca na pewno będzie wiedział – powiedział Komnen.

– Ale jeśli opuścę pałac, to samo zrobi połowa scholistów i więcej tu nie  
wrócą.

Z koszar wyszedł jedyny czarnowłosy wielkolud, jakiego Mortimir kiedy-  
kolwiek widział, i wymienili ukłony. Został mu przedstawiony jak Durm  
Ciemnowłosy, tymczasowo pełniący funkcję spathariosa. Był to dziwny tytuł  
– pedantyczny młody mózg Mortimira miał w zwyczaju tłumaczyć każdy  
strzęp archaickiego i to słowo chyba oznaczało „noszącego miecz”. Niezupel-  
nie uznał to za tytuł.

Ciemnowłosy wyłopał kwaterkę nierozcieńczonego wina.

– Diuk chce walczyć – oznajmił. – Właśnie przysłał wiadomość, że prze-  
nosi obóz bliżej murów i grozi zbombardowaniem miasta pociskami z ma-  
chin oblężniczych. Musimy mieć dostęp do farm, bo bez nich nie będzie  
żywności.

Mortimir czuł się dziwnie wśród otaczających go mężczyzn, z których  
wszyscy mieli około dwudziestu pięciu lat. W jego oczach byli w dojrzałym  
wieku.

– Wydaje mi się... – zaczął i wszyscy na niego spojrzeli – wydaje mi się,  
że gospody i karczmy mają zapasy w spiżarniach.

Ciemnowłosy pokiwał głową.

– Ma sens, ale nie wykarmią miasta.

– Nakarmią pałac przez kolejny dzień – wtrącił Derkensun.

– Wystarczająco długo... – Rycerz ze scholi wzruszył ramionami. – Sam wiesz. – Wymienił z nim spojrzenie.

– Trzy dni bez targów – powiedział Komnen. – Wieczorem głodni ludzie zaczną żądać otworzenia bramy.

Ciemnowłosy głęboko odetchnął.

– Zgadza się. Paniczu, jeśli znajdziesz dwa wozy żywności, my jej nie zmarnujemy. Chciałbym powiedzieć, że cesarzowa będzie wdzięczna, ale wiem, że szanse nie są zbyt wielkie, dopóki będzie nosić purpurę.

Mortimir pokiwał głową.

– Zapłaci? – zapytał.

– Jeśli wygra – odparł Komnen. – Rzuciła kości.

Mortimir się roześmiał.

– Ja mogę zapłacić – zaproponował. – Bądź co bądź to lepsze niż chodzenie do szkoły.

Ciemnowłosy poklepał go po ramieniu, niemal rzucając go na kolana.

– Nie zapomnę o tym – obiecał. – Załatw to, a będziesz miał wdzięczność gwardzistów.

– Tych, którzy zostali – sprecyzował Derkensun.

– Napiszę list do mojej narzeczonej – powiedział oficer scholi. Z sakiewki u pasa wyjął woskową tabliczkę oprawioną w piękną czerwoną skórę i jął pisać w pośpiechu. Odwrócił ją i pisał dalej, po czym odcisnął swój pierścień w wosku. – Zielona strona dla despoiny Heleny Ducas. Czerwona dla kyriosa Demetriosia Komnena, mojego ojca.

Jak się okazało, dostarczenie tabliczek było łatwe jak powrót na plac kowali; pałac Komnenów górował nad placem z czterema wysokimi marmurowymi wieżami lśniącymi od wilgoci w deszczu późnego popołudnia. Pałac Ducasów stał po drugiej stronie placu. Oczywiście przemoczony i wyczerpany Mortimir nie został dopuszczony przed oblicze despoiny. W końcu usłyszał płynący z góry okrzyk radości i piękna złotowłosa mniej więcej siedemnastoletnia dziewczyna zbiegła po schodach w tempie zawodowego gońca, po czym zasypała go podziękowaniami, propozycjami wynagrodzenia i setką pytań: „Czy nic mu nie jest? Czy jest bohaterem? Co robi cesarzowa?”.

Jakoś to przetrwał, wypił kubek wina i powiedział ojcu dziewczyny, że je-

śli przekaże pałacowi jakiegokolwiek zapasy, zostaną przyjęte z wdzięcznością.

– Oczywiście – powiedział wielmożny Andronikus Ducas z mocno zdawkowym ukłonem. – Ale dopóki mamy prawowitego cesarza, wstrzymamy się z podejmowaniem jakichkolwiek działań.

Mortimir wzruszył ramionami.

– Ach, kyrios, jestem tylko biednym ciemnym barbarzyńcą, ale mam wrażenie, że cesarzowa przywraca porządek. Sądzę, że odniosła zwycięstwo.

Jego słowa nie wywarły żadnego skutku, choć Mortimir miał nadzieję, że stary łajdak przynajmniej się zawstydzi. Przeszedł przez plac, pożegnał się ze swoją eskortą i przekazał drugi list głowie rodu Komnenów. Stary patriarcha przyjął go osobiście i grzecznie się ukłonił – głębiej niż pan Ducas.

– Jak się spisuje mój młody urwipoleć? – zapytał. – Wciąż wpada w tarapaty? Należycie upokarza swoją rodzinę? – Przeczytał list i szeroko się uśmiechnął. – Mniemam, że jesteś studentem, nie tylko posłańcem. Przygotuję wóz i eskortę tuzina zbrojnych. Mogę zaproponować dalszą pomoc?

Mortimir się ukłonił.

– Będę wdzięczny, jeśli dasz mi kolczugę i konia – powiedział.

Despoina Stella w dwie godziny załadowała żywność i wino na dwukółkę. Mortimir wydał równowartość chesnego za cztery semestry na szynki, kiełbasy, świeży chleb i soczewicę. Stella i jej mąż, który zjawił się z włócznią w ręce, ruszyli do okolicznych zajazdów, skąd wrócili z furmanką, parą zwierząt pociągowych i zwerbowanymi włócznienikami. Nikt nie śmiał ich zaczepić, bo mieli teraz konną eskortę uzbrojonych stradiotów i dołączyło do nich dziesięciu kuszników z cechu kowali. Mortimir poprowadził ich do rezydencji Komnenów, skąd zabrali wóz przygotowany przez rodzinę, po czym ruszyli na Wielki Plac. Dosłownie padał z nóg, kiedy stanęli przed bramą Zewnętrznego Dziedzińca. Ogarnęła go panika, gdy zapukał, a wielkie podwoje ani drgnęły.

Usłyszał tętent koni. Jeźdźcy byli daleko, dziesięć czy dwanaście przecznic dalej, ale nadciągali w wielkiej sile. Miasto było zaciemnione, strażnicy nie krążyły po ulicach, mieszkańcy wygasili wszystkie światła. Dźwięk kopyt budził przerażenie.

Zbrojni Komnena stanęli w zwartej grupie i wyjęli kopie ze skórzanych tulei przy strzemionach.

Mortimir po raz kolejny załomotał do bramy. Jego ręce w skórzanych rękawicach robiły niewiele hałasu, gdy bębnił w okute brązem dębowe wysokie

na piętnaście stóp skrzydło. W końcu wyjął sztylet i trzasnął nim w bramę.

– Kto idzie? – zapytał strażnik.

– Jedzenie! – krzyknął Mortimir.

Tętent kopyt brzmiał coraz głośniejszy, jak nieprzerwany grzmot.

Harald Derkensun wychylił się znad bramy.

– Morgan! – zawołał.

– Tutaj! – odkrzyknął Mortimir.

– Nie mogę otworzyć. Na ulicach są uzbrojeni ludzie, setki ludzi. Jeśli zobaczą otwartą bramę... – Derkensun był wyraźnie nieszczęśliwy, nie wiedząc, co począć.

– Chryste na krzyżu! – ryknął Mortimir. – Mam dwa wozy i dwudziestu ludzi. Otwórz bramę, na miłość boską! Wjedziemy, zanim zdążysz powiedzieć „Zdrowaś Mario”.

Derkensun głośno westchnął.

– Nie mogę ryzykować. Przykro mi, Morganie. Złożyłem solenną przysięgę cesarzowi.

Z pierwszego wozu ktoś zawołał:

– Jezusie i wszyscy święci! Otwieraj, Haraldzie!

Tętent końskich kopyt huczał w nocy.

– Anno! – krzyknął Derkensun w udęce.

Rozległ się cichy stuk i Nordykanin wylądował na nogach obok Mortimira.

– Nie mogę otworzyć bramy – powiedział – więc umrę tutaj, przy tobie.

Wielki Plac Liwapolis był większy niż wiele albańskich miast. Rozciągał się od pałacu do starożytnej areny, gdzie wciąż urządzano wyścigi rydwonów, był obsadzony drzewami i wyłożony marmurowymi płytami. Pomiędzy płytami biegły rowki odprowadzające wodę do rynsztoków. Widziane z góry przedstawiały całe rozdziały z ewangelii. Pośrodku stały posągi, w większości pochodzące z zamierzchłych czasów: wielka cesarzowa Liwia oddana w złoconym brązie, powożąca rydwanem bojowym w walce z zachodnimi irkami; Święty Aecjusz stojący jak młody Dawid, z mieczem u biodra, wyraźnie zadumany nad swoimi podbojami; cesarz Justynian z żoną Teodorą i jeszcze starsze postacie mężczyzn i kobiet. Mortimir znał ich wszystkich. Uczył się o nich, przygotowując się do jednego z egzaminów wstępnych.

Jeźdźcy wpadli na ciemny plac od południowego wschodu. Było ich co najmniej trzystu i gdy nadciągali, stradioci przygotowali się do walki. Jak przystało na dzielnych ludzi. Derkensun pocałował Annę.

Wymierzyła mu lekki policzek.

– Mogłeś po prostu otworzyć bramę – powiedziała. – Ty wielki draniu. Pomysleć, że dla ciebie przebyłam ten kawał drogi.

Derkensun wyszczerzył zęby. Uśmiech był widoczny, ponieważ Mortimir właśnie rzucił swój drugi w życiu udany fantazm – podstawowy, jakiego uczą się studenci. Zapalił światło i umieścił je na szpicu pożyczonego hełmu, więc oświetlało ich grupę czerwonym blaskiem.

Mimo woli też pokazywał zęby w uśmiechu.

– Może nie powinieneś nas tak oświetlać? – mruknął Derkensun. Zdawało się, że zawodowi żołnierze przyznają mu rację.

Konni strażnicy uciekli z klekotem kopyt i chrzęstem zbroi, zostawiając przeklinających ich cechowych kuszników.

Jeźdźcy nadciągali z drugiej strony placu. Światło Mortimira lśniło czerwienią na koniach i zbrojach nabitych złotem lub mosiądzem, a jeźdźcy mieli szkarłatne tuniki, co z pewnością nie było skutkiem światła...

– Wardarioci! – krzyknął Derkensun.

Nie jechali w szyku bojowym. Zbliżali się szybkim kłusem, czwórkami, pod jedwabnym proporcem nad pękiem końskiego włosa. Dowódca miał buławę, która wyglądała na wykutą ze szczerego złota, i oddał nią salut wielkiej bramie. Jego podwładni byli barbarzyńcami ze wschodu, mieli czarne włosy, skośne oczy, skąpy zarost albo gładko wygolone twarze. Każdy z nich miał rogowy łuk w sahadaku i długą szablę u pasa.

Długa kolumna zmierzająca główną drogą do Bramy Aresa zniknęła jak pożarta przez smoka. W dwieście uderzeń serca pozostało tylko tłukące się po placu echo i odgłosy płynące z daleka w zimnym nocnym powietrzu.

Kiedy zniknęli, ktoś kazał otworzyć bramę Zewnętrznego Dziedzińca, żeby wpuścić wozy. Mortimir był zbyt zmęczony, żeby się bać, ale widział ulgę na każdej twarzy.

Z pałacu wyszła starsza kobieta w dworskim stroju – widział ją, bo dziedziniec był dobrze oświetlony kagankami oraz pochodniami – i cicho zawołała Ciemnowłosego. Nordykanin przekazał wozy pieczy ordynariuszy, których osobiście skontrolował. Mortimir został do pomocy.

– Pani – powiedział z ukłonem.

Starsza kobieta skinęła głową.

– Kim oni byli? – zapytała. Jej głos niczego nie zdradzał.

– Pani, to wardarioci. Pojechali do Bramy Aresa. – Splunął. – Zdraycy.

– Nie osądzaj ich, dopóki nie pokażą, ile są warci – rzuciła pani Maria.

## Dwór Galii – król, jego Koń i panna Clarissa

– Panie – szepnęła panna Clarissa de Sartres. Kuliła się, przyciskając lutnię do piersi. Król wstał ze stołka w prywatnym pokoju audiencyjnym i położył rękę na jej ramieniu.

Pochylił się i musnął ustami jej nagi kark. Dziewczyna zeszywniała i odskoczyła, sięgając ręką do amuletu, który dostała od wuja Abblemonta, i przycisnęła kciuk do krążka u podstawy krucyfiks.

Król był mały, ale silny i bardzo szybki. Chwycił ją za ręce, pchnął na stolik z owocowego drewna, zerwał jej welon i pocałował. Potknęła się i wykorzystała potknięcie, żeby go kopnąć w kolano – a on brutalnie rzucił ją na podłogę. Wrzasnęła.

Parę uderzeń jej złęknionego serca później Abblemont wszedł do prywatnej komnaty, nie okazując zbytniego pośpiechu. Clarissa leżała pod królem, zapłakana, w spódnicach zadartych nad kolana. Abblemont zostawił otwarte drzwi.

– Nadchodzą ludzie, Wasza Wysokość – powiedział. – Daj jej spokój, proszę.

Dziewczyna miała dość hartu, żeby spoliczkować króla, gdy tylko puścił jej ręce, a on ją uderzył kciukiem ręki w podbródek.

Abblemont poderwał go z podłogi. Był od niego wyższy o głowę, znacznie cięższy i ciągle trenował. Udało mu się podnieść króla w powietrze i posadzić na stołku bez zrobienia mu większej krzywdy.

– Wstawaj i zmykaj, zanim się zjawi królowa – rzucił przez ramię do siostrzenicy.

Król zassał powietrze w głębokim wdechu, jakby właśnie się zbudził.

– Sprowokowała mnie! – oznajmił.

Abblemont odwrócił się w jej stronę.

– Mówiłem ci, żebyś nigdy nie była z nim sama.

Przyciskając do piersi rozdartą suknię i szlochając, dziewczyna sięgnęła po swój instrument. Został rozbity w trakcie szamotaniny i nieharmonijny ton przerwał jej szloch.

Wybiegła z pokoju.

– Uwiodła mnie – powiedział król, patrząc spokojnie na Konia. – To la-dacznic.

Abblemont przez chwilę rozważał królobójstwo. Odsunął od siebie te myśli.

– Wasza Wysokość, przyszedł list od cypary i zaraz będzie tu królowa. Czy jesteś gotów ją przyjąć? Wie, że była tutaj Clarissa. – Mówił urywanie, ostrożnie. Lubił swoją siostrzenicę, ale równie mocno mu zależało na pokoju i dobrobycie Galii.

Król wyprostował ramiona.

Weszła jego żona, jak na zawołanie.

– Ach... – mruknęła.

Dziesięć lat starsza od niego była córką człowieka uważanego za najbogatszego w chrześcijańskim świecie. Nikt nie nosił wspanialszych strojów i klejnotów, a jej wdzięk i maniery sławili poeci w trzech krajach. Kiedy miała piętnaście lat, Pani Kwiatów, jak ją wówczas nazywano, tańczyła sama, śpiewając, przed tłumem złożonym z przyjaciół ojca, tysiąca rycerzy i ich dam, podczas otwarcia wielkiego turnieju, i sława tego wyczynu stała się jej płaszczem i zbroją.

Miała taką minę, że samo „ach” wystarczyło, żeby króla opanowała szewska pasja.

– Nie masz prawa tu przebywać, wiedźmo! – krzyknął jak rozbisurmaniony chłopiec na matkę.

Królowa Galii stanęła w pokoju. Jej suknia ze złotogłowi i szmaragdowy naszyjnik sprawiały, że król rzeczywiście wyglądał jak mały chłopiec.

– Abblemont – rzekła z lekkim skinieniem.

Abblemont zgiął się w głębokim ukłonie, jego prawe kolano spoczęło na podłodze, i zastygł ze spuszczonego wzrokiem.

Królowa parsknęła.

– Myślałam, że będziesz się bardziej troszczył o swoją siostrzenicę.

Abblemont trwał ze wzrokiem wbitym w podłogę.

– Uganiam się za mną niczym suka w rui! – wybuchnął król.

– Oczywiście – rzekła cicho królowa. W jednym słowie udało się jej zarzucić niedowierzanie i całkowity brak zainteresowania. – Abblemont, dopilnuj, żebym nigdy więcej nie usłyszała jej imienia.

Koń nie uniósł wzroku.

– Oczywiście, madame.

Clarissa de Sartres stała na moście pod klasztorem i patrzyła na wartko płynącą wodę, głęboką i bardzo zimną.

Godzinę temu rozważała samobójstwo. Jej nieśmiertelna dusza była równie zhańbiona jak cała reszta – niewiele interesował ją Bóg albo życie po-

święcone kontemplacji. Ani cokolwiek innego. I jakby sam Bóg udzielił zezwolenia, po raz pierwszy się przekonała, że jej cela nie jest zamknięta na klucz, podobnie zresztą jak boczna furтка klasztoru. Nikt nie widział, jak przemykała się przez wirydarz. Może nikogo to nie obchodziło.

Ale woda wyglądała na zimną, a wyobraźnia, zawsze będąca jej przekleństwem, wyczarowała piekło wiecznego zimna, gdyby opadła na dno rzeki i została tam na zawsze. Ze zjawą z opowieści jej piastunki.

Doznała upokorzenia wypędzenia z dworu, na zawsze, za grzech, że padła ofiarą ataku króla. Gorycz ścisnęła ją za gardło, zadrżały jej ręce, zakrzuszyła się i znowu wokół niej zamknęła się ciemność.

Niezupełnie zgwałcona. Jej wyobraźnia podsunęła to, do czego nie zdążyło dojść, a prędkość, z jaką wuj ją odprawił, i czysta radość z jej upadku innych kobiet na dworze, były wielce wymowne.

Boga to głównie obchodzi, pomyślała. W tej samej chwili przypomniała sobie bardzo młodego mężczyznę mówiącego te same słowa na dziedzińcu jej ojca. Ponad dziesięć lat temu, w Arles. I jak wtedy nim za to gardziła.

Spojrzała na klasztor na górze i na rzekę Rhun płynącą u jej stóp. W tej chwili zrozumiała, że wcale nie uciekła – pozwolono jej tu przyjść, żeby jej niewygodna wersja wypadków na zawsze zniknęła wraz z nią. W ciągu paru uderzeń serca wybuchnęła w niej nienawiść, uczucie, jakiego dotychczas prawie nie znała.

Jeśli się zabiję, wygrają, pomyślała.

## **Ocean na zachód od Galii – ser Hartmut**

Przeprawa nie obyła się bez wypadku. Ser Hartmut nigdy nie żeglował na północy i aż krzyknął z radości na widok wielkich gór lodu płynących jak wielkie białe okręty. Wiatr im sprzyjał i po dziesięciu dniach przyjemnej żeglugi minęli Keos, wysuniętą najdalej na północ jedną z wysp Morei, i zmierzali na północny zachód w promieniach opadającego słońca. Była to późna pora na żeglugę po tych wodach. De Marche nakreślił bezpieczny kurs przez pusty błękit i płynęli od wyspy do wyspy. Na szczęście sztormy ich nie nękały.

Na zachód od Keos zobaczyli żagiel statku, duży trójkątny żagiel, według marynarzy, który zakłócał daleką linię horyzontu na zachodzie, ale nazajutrz o świcie znów byli sami w wielkiej misie oceanu.

W ciągu siedemnastu dni podróży nie spotkało ich nic gorszego niż desz-



czowy szkwał. Trzy statki wciąż płynęły razem, widząc się wzajemnie. „La Grace de Dieu” płynął z przodu, a za nim w nierównej linii podążały pozostałe, w odległości co najmniej mili jeden od drugiego.

Ser Hartmut stał na pokładzie w pełnym rynsztunku, który nosił codziennie od wschodu do zachodu słońca. Kazał obłożyć grotmaszt zbitą warstwą wełny i okręcić ją grubymi płótnami i codziennie ćwiczył przy tym zaimprovizowanym słupie, tnąc, dźgając, rąbiąc toporem. Podczas długich przerw po prostu siedział na dziobie i patrzył na morze. Czasami wzywał Etienne’a albo Louisa de Harcourt, swojego drugiego giermka, żeby mu czytali. Kiedy indziej ćwiczyli razem tępymi mieczami albo włóczniami, tańcząc w tę i z powrotem po pokładzie.

Ser Hartmut nigdy się nie zniżył do rozmowy z marynarzami, ale oni darzyli go zrozumiałym szacunkiem jako wojownika. Pomimo wielkich rozmiarów był szybki jak kot, a pomimo tuszy nie brakowało mu tchu i zwykle mógł walczyć długo po tym, jak giermkowie bledli i unosili ręce na znak poddania się.

Z jego zbrojnymi było nie inaczej: ćwiczyli z takim zapałem, że nie było dnia bez złamanych kości, nadwerżonych mięśni i siniaków.

Kilku marynarzy zaczęło ćwiczyć walkę włóczniami, chociaż nigdy pod okiem Czarnego Rycerza.

Tego dnia było zupełnie inaczej. Zrobiło się gorąco, marynarze byli znużeni – wielu znalazło sobie miejsca na drablinkach, czekając na lekką bryzę, żeby się ochłodzić. Po nonie zerwał się wiatr, dmuchając ze wschodu, statki ruszyły i woda szeptała wzdłuż ich zaokrąglonych burt.

Słońce zaczęło zachodzić.

I wszystko stało się jednocześnie.

Przed dziobem pojawiły się wieloryby, wielkie potwory morskie wypływały z głębin i krążyły wokół nich.

De Marche w jednej chwili znalazł się na pokładzie.

– Podnieść sieci! Do broni!

Etienne był blady ze zmęczenia i miał podbite oko, ale zwinnie wbiegł w pełnej zbroi na kasztel rufowy i złożył porządny ukłon.

– Ser Hartmut pyta... z jakiego powodu ten alarm?

De Marche wychylił się za burtę. Sługa otworzył połączony zawiasami napierśnik i naplecznik i stał z uniesioną kolczugą. De Marche wsunął głowę i ręce w otwory. Zza stalowej siatki powiedział:

– Eeeague. Płyną za wielorybami.

– Eeeague? – zapytał de Vrieux.

– Selkie, panie. – De Marche wysunął głowę przez rozcięcie kolczugi i pochylił się nad relingiem, obserwując podnoszenie sieci abordażowych.

Z ładowni sprawnie podawano kusze i ludzie na pokładzie się zbroili.

– Ziemia! – krzyknął marynarz z bocianiego gniazda. – Ziemia i trzy statki. Widać kadłuby. – Ostatnie zdanie zabrzmiało ponuro; mówił jak człowiek, który wie, że zaniedbał swoje obowiązki.

– Panie Louisie, wachtowy na oku ma zostać ukarany – warknął de Marche. Przyskoczył do relingu i wspiął się po drabinie linowej, ręka za ręką, pomimo ciężaru kolczugi, i stanął na małej platformie w połowie wysokiego bezanmasztu. – Gdzie?

Obserwator na grocie wyciągnął rękę.

– Zachód północny zachód! – odkrzyknął, wyraźnie pragnąc wybaczenia niedbałości. – Gołe maszty – dodał. Później jakby do siebie powiedział: – Zobaczyłbym je wcześniej, gdyby miały chociaż jedną szmatę.

De Marche dość szybko znalazł je wzrokiem. Patrzył, dopóki oczy mogły znieść blask słońca, a potem spojrział na wodę w dole. Dostrzegł wielkie sylwetki wielorybów i pomykające wśród nich mniejsze kształty. Pasterze? Dręczyciele?

Czerwona flaga załopotiała na jego galerze. „Grace de Dieu” pochylił się i zaczął skręcać na południe, płynąc baksztagiem, ale pękate kogi są nieszczerzownie zwrotne i proces przebiegał w ślimaczym tempie. Dwie mile za rufą błysnęła kolejna czerwona flaga, a parę uderzeń serca później odpowiedział środkowy statek, „Saint Denis”.

Ludzie z kuszami ustawili się wzdłuż nadburci obu kaszteli. Statek miał kształt przepołowionego jaja z wielkimi nadbudówkami na dziobie i rufie, żeby kusznicy i łucznicy mieli przewagę wysokości potrzebnej w walce z ludźmi albo stworami.

Na śródokręciu zbrojni, ich giermkowie i paziowie czekali z toporami i włóczniami.

De Marche chwycił fał, wypróbował go i opuścił się na pokład, zwinnie łądując dwa galijskie łokcie za plecami ser Hartmuta. Wielki rycerz się odwrócił, gdy poczuł drgnięcie desek pod nogami, i zobaczył kapitana w kolczudze, kłaniającego się nisko do samego pokładu.

– Panie Etienne! – krzyknął. – Zapytaj swojego pana, czy walczył z eeeague.

Stalowy gigant uniósł zasłonę przyłbicy.

Zjawił się Etienne.

– Nigdy – odparł.

De Marche wzruszył ramionami.

– Ja też nie. Myślałem, że to wymyśli Etrusków, żeby nas odstraszyć od ich szlaków handlowych. Nie ma ich na Morzu Środkowym? Ani w Ifri-qu'ya?

De Vrioux pytająco spojrział na swojego pana i rozłożył ręce.

Ser Hartmut zakręcił toporem, który w porównaniu z nim wydawał się mały jak zabawka. De Marche z bliska zobaczył, że topór jest prawie półtora raza większy od tych, które mieli marynarze.

– Chodźcie, drodzy przyjaciele, zmówmy razem modlitwę! – zawołał ser Hartmut. Wszyscy jego zbrojni i ich ludzie uklękli na pokładzie. – Niech nasz słodki, łagodny Jezus ześle nam dobrą walkę i godnego wroga! Amen!

De Marche pobiegł do drabinki kasztelu rufowego, gdzie dwóch ludzi założyło mu kirys i go zamknęło. Zapinanie sprzączek wymagało czasu, zbyt wiele czasu.

– Chryste... – jęknął za nimi marynarz.

Trzasnęły kusze – dźwięk cięciw brzmiał niemal identycznie jak odgłos, z jakim miecz uderza w słup do ćwiczeń. Jego ludzie mieli ciężkie arbalesty, wyrzucające bełty zdolne przeszyć burtę statku – albo człowieka w zbroi.

– Słodki Jezu słodki Jezu mój bożeomójboże – jęczał marynarz.

W tym czasie zapięto ostatnią sprzączkę i Lucjusz klepnął kapitana po plecach. Mistrz Henri trzymał jego stalowy hełm, otwarty basinet z daszkiem i pięknym stalowym kapturem kolczym. Włożył mu go na głowę, gdy marynarze za nim zaczęli krzyczeć.

Lucjusz podał mu glewię i de Marche się odwrócił.

Połowa żeglarzy przy relingu już nie żyła.

W ostatniej chwili zauważył sięgające ku niemu ramię i dźgnął je glewią. Miał kłopot z określeniem kształtu stworzenia – było niemal przezroczyście, z bladnoróżowymi i zielonymi cętkami na lśniącej przejrzystości.

Pchnął glewię w środek tułowia, o ile to był tułów, a nie kończyna w walce trudno było się poznać na jego budowie. Glewia wbiła się i wysunęła w satysfakcjonującym gejzerze juchy, ale każde zetknięcie cielesnej formy z metaltem powodowało jego zniszczenie. Lucjusz zdał hełm z głowy i zaklął.

Ostrze glewii zaczęło się wykrzywiać, łuszczyć i rdzewieć, gdy de Marche po raz drugi uderzył stworzenie.

Kusznicy na bakburcie strzelali z odległości kilku stóp i lepka, żrąca jucha

bryzgała na ich bezradnych towarzyszy, których czasami przez przypadek trafiali ciężkimi bełtami. Zdawało się, że ich strzały wyrządzają niewielką krzywdę stworzeniu.

De Marche spostrzegł, że coś mknie w jego stronę – ramię? broń? – i trzasnął to pozbawionym żeleźca drzewcem glewii.

Tknięty przecuciem chłopiec okrętowy wylał hełm pełen wody morskiej na Lucjusza, który się w końcu uciszył.

Ser Hartmut wspiął się po drabinie i stanął jak wieża ze stali przed potworem, który się zwrócił ku niemu.

Dobyl wielkiego miecza i głównia stanęła w płomieniach.

Kilkunastu żeglarzy krzyknęło:

– Czarny Rycerz!

Stwór machnął ramieniem, on je odtrącił i ciął tym samym ruchem. Potwór, dotąd trafiony pięćdziesięcioma bełtami i tuzinami innych ciosów, teraz wrzasnął i zniknął za burcią.

Smród martwych ryb i gnijącego mięsa przepełnił powietrze. Na pokładzie leżało sześciu martwych ludzi, a Lucjuszowi wciąż wylewano wodę na głowę. Był czerwony jak burak i jęczał.

Wieloryb wyłonił się na powierzchnię przy rufie i chlasnął ogonem, zalewając wodą wszystkich na kasztelu. Nagle się odwrócił i rozdziawił wielką paszczę.

I zamknął.

Przepluwając, trącił wielki statek – jeden z największych, jakie kiedykolwiek zbudowano w galijskiej stoczni – i cały kadłub jęknął, drewniane kołki starannie wbite dębowymi pobijakami wyskoczyły z poszycia i woda trysnęła na bele jaskrawoczerwonej tkaniny.

Było za późno na manewr. Poza tym wieloryb zniknął, śpiesząc w głębiny.

De Marche nigdy z taką siłą nie doświadczył trójwymiarowości morza i doznał chwilowych zawrotów głowy, patrząc w ślad za znikającym w głębi wielorybem.

Kolejny potwór rzucił się na forkasztel.

Podczas czwartego ataku dwóch marynarzy wypadło za burcę. Giermkowie przynieśli ogień z kambuza i sporządzali płonące włócznie, okręcając pakułami żeleźca bosaków, zanurzając je w oliwie i podpalając.

Pomysł był dobry, ponieważ ten atak był pierwszym, który wyglądał na skoordynowany. Sześć potworów jednocześnie wspięło się na strome burty.

Trzy zaatakowały śródokręcie, będące najłatwiejszym celem, i zostały powitane przez ser Hartmuta. Ale statek się przechylił – stwory miały swoją wagę. Były czymś więcej niż tylko duchami przeklętych martwych żeglarzy, jak wołano w panice.

Jeden próbował wdrzeć się na forkasztel, najwyższe miejsce na statku, wznoszące się stromo nad dziobem. Pomimo piekielnej siły i prędkości miał kłopot z przelezeniem nad podniesionymi sieciami abordażowymi i w końcu uciekł przeszyty płonącymi włócznieami.

Ale dwa inne pojawiły się na drugim kasztelu. Wrzeszczały jak upiory, co wyjaśniało ich etruską nazwę, eeegue. I ich heroldem była fala czystego przeżenienia.

De Marche nie ustępował pola. Wbił włócznie w kadłub stworzenia i odciął coś, co mogło być przejrzystą macką.

W tym czasie Lucjusz rzucił w bestię żelaznym wiadrem pełnym gorącego piasku, a marynarz Mark, Albanin, zbryzgał ją oliwą i zapłacił życiem za swoje starania.

Stwór przelazł przez reling na pokład. De Marche otrzymał cios i wstrząsnął nim ból – cokolwiek go uderzyło, przeniknęło przez jego kolczugę.

Jak woda.

Wrzasnął, odskoczył i upuścił włócznie.

Ramię chwyciło krzyczącego chłopca okrętowego i wyrzuciło go za burtę.

Tułów się otworzył, odsłaniając czerwono-pomarańczowy dziób, jakby w galaretowatym cielsku skrywał się drapieżny ptak, i chłopiec...

De Marche dobył miecza. Machnął nim nad śliskim od oleju pokładem, poderwał w swojej najsilniejszej gardzie i z całej siły uderzył w kadłub potwora.

W przeciwieństwie do broni kłutej miecz ciął. De Marche miał wrażenie, że tnie świńskie sadło, i piłował, jak najszybciej mógł. Gdy paląca ciecz bryzgnęła mu w twarz, wrzasnął, wyrwał głownię i znowu uderzył.

Lucjusz chlusnął wodą na jego głowę.

Zapach był makabryczny.

Potwór wycofał się do morza, pozostawiając na pokładzie wielką bryłę galaretowatego ciała, które wypalało drewno.

Drugi zabił marynarza i przerwał atak, żeby go pożreć, odsłaniając lśniący czerwienią, obsceniczny i ruchliwy dziób. Nie miał twarzy ani kończyn. Wyglądał jak mokry jedwab.

Kapitan widział, jak w głowni pojawiają się dziury, ale ciął i rąbał drugie-

go potwora. Lucjusz krzyknął: „Miecze!” i ludzie jęli siec cielsko w desperackim przerażeniu. Jakiś mężczyzna z wyciem padł na pokład owinięty długim ramieniem i jego ciało wrzało, gdy wywrzaskiwał światu swoją bezradność i zgrozę.

Dwóch marynarzy, albo bardziej czujnych, albo mniej spanikowanych, wbiło włócznie w bryłę odciętego ciała i wyrzuciło ją za burtę.

Ser Hartmut wspiął się po drabinie, jego płonący miecz stał się latarnią nadziei. Rzucił się na stworzenie, zasypując je gradem ciosów, i potwór przy każdym z nich podrygiwał z bólu, jego przenikliwy pisk brzmiał jak ptasi śpiew. Kiedy stworzenie zaczęło uciekać, ślizgając się z prędkością, z jaką robiło wszystko inne, wznosił miecz nad głowę i uderzył sztychem, przygwałdzając je do pokładu.

Przewlekało się wokół ognistego miecza, woląc się rozplatać, niż zostać na statku.

Dopiero teraz, w świetle płonącego miecza, de Marche mógł się lepiej przyjrzeć stworowi, który sunął po pokładzie jak wielki opalizujący ślimak, żeby w końcu prześliznąć się nad relingiem.

Wieloryb przewalił się w odległości strzału z łuku. Uniósł ogon, potężnie nim machnął i znalazł się tuż przy burcie – statek zadygotał i ludzie padli na kolana. Wieloryb zdarł jedwabiarza z kadłuba, powodując kolejny wstrząs. Jeden z marynarzy spadł z pluskiem do wody.

Zniknął pod falami, ściągany na dno przez ciężar kolczugi.

Zapadła cisza.

Ser Hartmut odsunął się od relingu. Hełm miał zniszczony, gdyż żrące ciało stworzenia wypaliło w nim dziury, a jego zbroję pokrywały dzioby i smugi rdzy. W najgorszym stanie był kirys i nagolenniki, pełne wypalonych dziurek i poznaczone smugami rdzawego brązu.

Ściągnął z głowy zniszczony hełm i wrzucił go wraz z kapturem kolczym do morza.

Odwrócił się w stronę kapitana. Miał oparzenia na całej twarzy, a z włosów zostały pomarszczone kępki. Uśmiechnął się.

– Taką walkę, monsieur, można pokochać.

Kupiec zaczął z nawyku szukać wzrokiem Etienne’a. Giermek leżał martwy na śródokręciu, w zbroi rozdartej przez dziób któregoś stworzenia, z wnętrznościami wijącymi się po pokładzie jak obsceniczna wstążka.

De Marche pokiwał głową.

– Dziękuję, panie, że nas ocaliłeś – powiedział z pokorą.

Ser Hartmut splunął za burtę.

– Sami się ocaliliście, co do jednego. Jesteście godnymi towarzyszami i czuję się zaszczycony, że wami dowodzę.

Marynarze, którzy z przerażenia odchodzili od zmysłów i byli na skraju załamania, wzięli się w garść, słysząc jego słowa.

Uśmiechnął się do nich.

– Dobra walka. Nic, co znajdziemy w Nova Terra, nie będzie gorsze niż to! De Marche pozwolił sobie na uśmiech.

– Na słodkiego Zbawiciela, o to się modłę.

– W takim razie jesteśmy ulepiani z innej gliny, kupcze. Ponieważ ja się modłę, żebyśmy znaleźli gorsze, większe, szybsze, groźniejsze. Im straszniejsze, tym większy honor. – Schował do pochwy miecz, który niczym pochodnia płonął w jego ręce.

De Marche pokiwał głową jak człowiek, który rozmawia z szaleńcem. Zdobył się na uśmiech.

Dwie godziny później pochodnie oświetliły wszystkie trzy statki. Niebezpieczeństwo, ogromne niebezpieczeństwo związane z otwartym ogniem na pokładzie było niczym w porównaniu ze strachem przed mierzaniem się z potworami w ciemności. Przy każdej pochodni stały kubły z wodą.

Podpłynęli do trzech statków ledwie milę od skalistego brzegu.

De Marche wszedł na pokład jednego z nich, ser Hartmut wziął na siebie drugi. Trzeci zostawili do rana.

Kupiec prowadził. Musiał. Pomimo słów ser Hartmuta ludzie byli przerażeni – strach marynarzy przed morzem zyskał teraz fizyczną postać – i zapadająca ciemność sprawiała, że miał kłopot z nakłonieniem załogi szalupy, żeby powiosłowała do galeasa z opuszczonymi żaglami. Sam się bał, bo nawet czarna oleista woda wyglądała obco i marynarze niemrawo pociągali wiosłami. Nie mogli się powstrzymać od spoglądania za burtę. Na dziobie stał człowiek z płonącym kagańcem zwykle używanym tylko podczas dokonywania nagłych nocnych napraw.

Wspiał się na statek, ociężale, ponieważ był zmęczony, i musiał zebrać się w sobie, zanim przerzucił nogę nad nadburciem. Spojrzał na pokład. W poświacie wschodzącego księżycy ujrzał groteskową plątaninę lin i żagli.

Postawił stopę na pokładzie i wyciągnął lekki miecz paradny; z jego porządneho miecza bojowego został kruchy ułomek. Trzymał miecz w prawej ręce, a w lewej obciążony skórą puklerz, kiedy postawił drugą nogę na po-

kładzie. Puklerz został zanurzony w wielorybim oleju, podobnie jak głównia miecza.

Oliver de Marche był racjonalnym człowiekiem. Jedwabiarzy można zranić – sam to widział. Prawdopodobnie można je zabić. Ich straszną juchę można rozcieńczyć morską wodą i do pewnego stopnia zneutralizować olejem. Nienawidziły ognia.

To racjonalne myślenie ani trochę mu nie pomogło. Stał na pokładzie w księżycowej poświacie i bał się tak bardzo, że trzęsła mu się ręka, w której trzymał miecz. Zmusił się do ruchu, zrobił krok, potem drugi. Przy każdym kroku dzgał leżące żagle, mające ten sam nieokreślony organiczny kształt co eeeague.

Z walącym sercem szedł przez pokład, kiedy nastąpił na linę, a ta poruszyła się pod jego podeszwą; podskoczył, słysząc ruch za plecami, obrócił się na pięcie z mieczem w wysokiej gardzie, gotów do zadania potężnego ciosu...

– To tylko ja, kapitanie – powiedział Louis. Miał dużą ostrą siekierę z kolcem na końcu styliska i robił to co on, kłując mijane płótna.

Śródkręcie było puste. Czujnie, z bronią w pogotowiu, weszli na kasztel rufowy.

Nie znaleźli tam żywego ducha. Pokład był wilgotny. De Marche przykląkł i dotknął desek palcami; poczuł zapach ryb i jakby miedzi, i dziwnie słodką oleistą woń drzewa. Bez skutku próbował zidentyfikować zapach. Był znajomy, nawet przyjemny.

– Uch! – stęknął Lucjusz za jego plecami.

Odwrócił się.

Mężczyzna uniósł rękę.

– Wybacz. Spójrz.

W księżycowej poświacie wszystko wydawało się zniekształcone i de Marche dopiero po długiej chwili zrozumiał, co Lucjusz trzyma na dłoni. Był to palec pancерnej rękawicy, porządnej, bardzo drogiej. Został czysto odcięty. Wewnątrz tkwił ludzki palec.

Zeszli na śródkręcie. Z boku forkasztelu były drzwi, główne wejście do kwater mieszkalnych.

Za drzwiami coś się poruszało.

Nadśluchiwali. De Marche ostrożnie ustawił się na prawo od drzwi, a Lucjusz przeszedł na lewą stronę. Niski, ale potężnie umięśniony, wzniósł topór nad głowę.

– Co tam się dzieje?! – zawołał sternik z szalupy.



Zawołanie przepłynęło nad burtą i odbiło się od klifów wokół zatoki.

Tam dzieje tam dzieje dzieje...

– Możemy po prostu dać sobie spokój – zaproponował Lucjusz.

– To tylko coś, co się kołysze w rytm morza – powiedział kapitan. Pchnął ręką okute brązem drzwi.

Były zamknięte.

Położył rękę na klamce.

Statek się pochylił na fali przypływu w chwili, gdy nacisnął klamkę. Drzwi się otworzyły i coś, co było za nimi, poszybowało do wyjścia. Miało skrzydła po obu stronach jakby trupiej głowy i...

Siekiera Lucjusza uderzyła z chrzęstem, jak rzeźniczy topór dzielący tuszę. Miecz de Marche'a ciał w twarz.

Straszne skrzydła machnęły do przodu i obaj poczuli wilgoć, kiedy ich musnęły, a straszdyło upadało na pokład.

Wrzasnęli.

Dopiero po chwili zrozumieli, co się stało – Etruskowie zostali zaskoczeni i zmasakrowani, ale nie przez jedwabiarzy. Cokolwiek spowodowało masakrę, miało szpony i pazury.

I upiorne poczucie dramatyzmu.

Straszdyłem, które ich zaatakowało, był trup marynarza powieszony na haku do mięsa w drzwiach kajuty. Płuca wyciągnięte przez plecy tworzyły jego skrzydła. Zmarł straszną śmiercią, z twarzą zastygłą w grymasie cierpienia. Miał wytrzeszczone oczy. Rozdziawione usta.

De Marche powoli otrząsnął się ze strachu. Sztyletem zdrapał z ramienia oślizgłą tkankę płuc, podszedł do relingu i wymiotował. Po długim czasie zobaczył, że szalupa odpłynęła na zawietrzną „Grace de Dieu”, i zaczął przywoływać załogę.

Nie chcieli wrócić.

Znaleźli dwanaście więcej ciał, ale obchodzili je z daleka, jak potrzaski. De Marche zaoferował wioślarzom podwójną stawkę i w końcu przypłynęli, jakkolwiek niechętnie, i pomogli odcinać trupy.

Nawet po dniu pełnym koszmarów de Marche był zdolny do myślenia o zarobku. Zabrał papiery okrętowe dla właścicieli statków – nie było potrzeby zrażać ludzi w Rhumie, Genui i Wenecji, z którymi handlował i którzy będą chcieli wiedzieć, co się stało z ich wiosenną flotą. Z tymi statkami przepadły fortuny i życie wielu marynarzy.

Po wysłuchaniu tej samej opowieści od ser Hartmuta zabrał towary z dwóch mniejszych statków i umieścił je na większym, po czym wyrzucili martwych za burtę. Jego żeglarze, którzy przeżyli spotkanie z eeeague, byli spowici kokonami własnego strachu, i wyrzucanie zwłok w głębinę na nikim nie robiło wrażenia. Co więcej, każdy z nich wiedział, że się wzbogaci o parę udziałów, gdy przeliczyli towary – bele porządnego aksamitu i równie dobre wyroby z wełny.

I łuki. Pęki starannie rozszczepionego i wstępnie obrobionego drewna z pięknych górskich cisów, które rosną w Iberii.

Towary Etrusków nijak się miały do tych, które de Marche zabrał na handel posłuszny radom swoich informatorów.

O zmroku zakotwiczyli na płyciźnie, w małej zatoce okolonej skalistą plażą. Gdy księżyc w pełni wznosił się wysoko na niebo nad oleistym morzem pełnym wodorostów i woda falowała jak żywe stworzenie, de Marche usiadł na kasztelu, a Lucjusz smarował mu oliwą oparzenia.

– To nie te pierdolone jedwabiarze załatwiły Etrusków, kapitanie? – zapytał.

– Nie, na Boga i wszystkich świętych, Lucjuzu. – Skrzywił się, gdy szorstkie palce mężczyzny za mocno nacisnęły na bolące miejsce.

– Jak to się stało, że te potwory żyją tutaj, lecz nie w naszych wodach? – Lucjusz mówił, żeby słyszeć swój głos.

– Nie mam pojęcia, Lucjuzu. Prawdopodobnie mają z tym coś wspólnego magistrowie króla... i moc cesarzy. I Boga.

– Czy to znaczy, że tutaj nie obowiązuje nakaz boski? Ani w Nova Terra?

– Tego też nie wiem. – De Marche czuł, że zasypia pomimo strachu i bólu.

– Ale wieloryby są po naszej stronie, prawda? – dociekał Lucjusz.

– Dlaczego tak mówisz? Ten lewiatan o mało nas nie zatopił. Cieśla do tej pory nie znalazł przecieku. Gdybyśmy nie mieli twardej ziemi pod kilem...

– Widziałem na własne oczy – powiedział Lucjusz z absolutną pewnością siebie. – Gdy wyrzuciłeś ten pomiot szatana przez reling, ta wielka ryba złapała go w paszczę i zjadła. A potem odpłynęła w głębinę... Widziałem.

De Marche odetchnął głęboko.

– Mój etruski przyjaciel mówił, że trytony są pasterzami wielorybów.

– Mówił ci też, żebyś zabrał tanie czerwone płótno i kusze – burknął Lucjusz.

– Trafna uwaga – zgodził się de Marche.

– Co w takim razie zabiło Etrusków, kapitanie?

Pomyślał o człowieku z płucami wyciągniętymi przez plecy.

– Nie mam pojęcia – wyznał. – I zastanawiam się, gdzie są.

– Idzie ser Hartmut – powiedział Lucjusz.

Czarny Rycerz przystanął, żeby spojrzeć na zmasakrowanego Etruska. Jego przystojna twarz nie zmieniła wyrazu.

De Marche spróbował stanąć wyprostowany.

– Jedwabiarz? – zapytał ser Hartmut.

De Marche pokręcił głową.

Ser Hartmut się rozejrzał.

– Byliby cennymi sprzymierzeńcami – powiedział.

Uśmiechnął się, widząc minę kupca.

## **Bobrowe Jeziora – Nita Qwan**

Ten sam księżyc w pełni, który wznosił się nad samotną zatoczką na zasłanym skałami północnym wybrzeżu Nova Terra, wstał nieco później nad trawiastą polaną daleko na zachodzie, gdzie Nita Qwan stał drugiej nocy na straży. Pełnił środkową wartę, ponieważ Ota Qwan nikogo nie faworyzował i wszyscy czuwali na zmianę – o złej i lepszej porze.

Znów zapalił pod koniec warty, bo znajdował coraz większe upodobanie w dymie, a kiedy zasnął, Ota Qwan patrzył w ciemność z twarzą lekko oświetloną przez węgielek w fajce.

Rankiem zostawili broń, co zmartwiło wielu ludzi.

– Nie zdołamy nieść przez bagna miodu i broni – dowodził Ota Qwan.

Zjedli po garści pemmikanu i Ota Qwan poprowadził ich na skraj olbrzymiego bobrowego rozlewiska, szerokiego jak małe jezioro, z żeremiami wielkości ludzkich domów.

– Tick Chuzk – rzekł, wskazując najbliższy bobrowy zamek. – Zwiemy to bobrowym królestwem. Czasami przychodzą, czasami nie. Wielkie bobry są drażliwe, dumne i bardzo zaciekle. Nie popisywać się. Nie odzywać się.

Ludzie się nastroszyli. Żaden Sossag nie lubi, gdy ktoś mu mówi, co ma robić, nawet kiedy rada jest dobra.

Przez łąkę płynął potok, szeroki niemal jak rzeka, i po ostrożnej wędrowce po zdradliwej murawie, która może wyglądała jak trawnik, ale niebaczny człowiek mógł wpaść w wodę po biodra, stanęli na piaszczystym brzegu nad potokiem szerokim jak dwie łodzie przywiązane dziobem do rufy. Nie mieli łodzi.

Shaka Gon, jeden z najmłodszych, wskoczył do brodu – potknął się, bzyknął zduszonym głosem i upadł.

Ota Qwan zdążył go złapać.

– Idiota – mruknął. Podciągnął młodzieńca, który przeciągle jęknął. Ostry kij przebił mu stopę w mokasynie. Ota Qwan bezlitośnie go wyciągnął, a potem pasem ze swojej koszuli obandażował ranę.

– Każde drzewo czy roślina, którą jedzą bobry, staje się pułapką i bronią – powiedział. – Przecież wiesz.

Nita Qwan też o tym słyszał, ale zapomniał. Popatrzył na czerwony od krwi kij długości dłoni. Odwrócił wzrok.

Później się rozebrali, żeby nie zmoczyć nogawic, zostawili Shakę Gona przy brodzie i przebyli szeroki pas moczarów, niosąc kubelki na głowach. Komary nie dawały im spokoju, ale wojownicy nie okazują irytacji takimi drobiazgami.

Nita Qwan robił, co w jego mocy, żeby zachować pozory, ale to nie zmieniło faktu, że nienawidził owadów.

Po lidze męczącego marszu i przebrnięciu przez rozległą łąkę wspięli się na niski, porośnięty świerkami grzbiet i legli na wielkiej wapiennej płycie, żeby wyschnąć. Zapach miodu przytłaczał, niemal zgniły, a jednak idealnie słodki.

Ota Qwan machnął ręką w stronę krzaka.

– Poszło łatwiej niż zeszłego roku. Tam jest sadzawka. – Wskazał na moczary. – Gwyllychy. Patrzcie, tam i tam. I tam.

Nita Qwan był zmęczony.

– Gwyllychy?

Gas-a-ho leżał płasko na brzuchu.

– Nie mamy broni – zaznaczył. Wszystkie włócznie, miecze i łuki zostały w obozie, żeby mogli nieść kubelki pełne miodu.

Ota Qwan kucnął wcale nieprzejęty.

– Skoro nie mamy broni, musimy zachować nadzwyczajną ostrożność, to wszystko. To zresztą mądrzejsze niż bezsensowna walka.

Nita Qwan uśmiechnął się półgębkiem.

– Kto zmarł i zostawił ci w spadku całą tę mądrość? – zapytał.

Ota Qwan wzruszył ramionami.

– Tadajo. Uważaj na bogliny, Nito Qwanie, mój bracie. Widzisz je?

Tak, widział. Sunęły niczym armia... między ludźmi i pozostawioną przez nich bronią.

Napełnienie kubeków zajęło długie minuty. Miód w Dżicy rzadko był czysty, zanieczyszczany przez same wielkie pszczoły, które go produkowały, i zwykle cuchnął zgnilizną, wydzielając słodkawy zapach rozkładu szczątków organicznych. Zwierzęta grzęzły w nim i umierały, owady ginęły tysiącami, pleśń, grzyby i całe martwe drzewa wpadały do sadzawek miodu.

Gas-a-ho, specjalista od czerpania miodu, kucnął na lepkiej skale, przytrzymywany przez Otę Qwana, i napełniał kolejne kubki. Im miód był czystszy, tym wyższą osiągał cenę. Im więcej miodu przyniosą, tym większy będzie zysk.

Nita Qwan usłyszał odgłos przypominający trąbienie i wszyscy Sossagowie jak jeden mąż zeszywnieli.

– Pszczoły! – powiedział Gas-a-ho.

Ota Qwan spojrział w niebo. Skoczył na równe nogi, pobiegł na szczyt wapiennej skały i spojrział na wschód, osłaniając oczy dłonią.

– Psiamac – zaklął po albańsku. Wrócił do nerwowych wojowników. – Szybko – poleciał. – Trzeba zabrać młodego Gona, zanim stanie się czymś obiadem.

Nita Qwan poczuł na sobie spojrzenie swojego brata. Westchnął.

– Ja po niego pójde – powiedział.

Ota Qwan nagroził go uśmiechem.

– Dobrze. Nie będziesz musiał dźwigać kubeków.

Pobiegł – i popłynął – przez łąkę do brodu, po długim spojrzeniu na szereg wędrujących boglinów. Były ich setki i nie podejmowały żadnej próby, żeby się ukryć, sunęły jak gdyby nigdy nic wzdłuż wschodniego skraju łąki.

Zmierały w stronę brodu.

Wiedział, że musi je wyprzedzić.

Mimo że biegał przez całe lato, ciężko dyszał, gdy w końcu przeprowił się przez potok. Chłopak przywierał do ziemi sztywny ze strachu, dokładając starań, żeby go nie było widać.

Nita Qwan popatrzył na brzeg wody, potem na daleką linię lasu na wschodzie i na północy. Podjął decyzję.

– Kierują się do przeprawy – powiedział. – Pójdziemy na północ. Obejdziemy je. Chodź, nie zdołam cię ponieść.

Chłopak ponuro pokiwał głową i ruszyli w gęstą olszynę przy brodzie. Posuwali się z wielkim trudem, sięgając wzrokiem nie dalej niż na pięć jardów. Żywa wyobraźnia podpowiadała Nicie Qwanowi, że jest to idealne miejsce dla małych boglinów. Już widział, jak jeden nadchodzi, szeroko rozdziawia-

jąc straszliwe szczęki, pokazując zębate wnętrze różowej gardzieli...

Czołgali się i po jakimś czasie usłyszeli szelest boglinów. Były dość ciężkie, żeby łamać gałązki małych bobrowych tam na łące, i na tyle ciche, że trawa tylko szeleściła pod ich muskularnymi nogami.

– Szybciej – szepnął Nita Qwan.

Najbliższy boglin przechodził w odległości krótkiego strzału z łuku.

Zsunęli się z niskiego brzegu do potoku, a może był to jeden z jego dopływów. Na dnie zalegał zbity żwir, więc nie musieli pełznąć na czworakach. Co więcej, lodowata woda znieczulała ranę Gona, który się nie skarżył, mimo że przy każdym kroku zostawiał czerwone ślady.

Strumień wił się niczym płynący wąż. Nita Qwan stracił orientację. Próby ujrzenia czegokolwiek ponad brzegiem były bezowocne – gęstwa młodych świerków, olch i pięćdziesięciu gatunków bagiennej trawy ograniczała widoczność, a bełkot wartko płynącej wody głuszył wszelkie inne dźwięki.

Nita Qwan przeklinał innych mężczyzn, którzy bez wątpienia byli lepiej obeznani w chodzeniu po lesie i powinni pierwsi zgłosić się na ochotnika. Ale szedł dalej korytem strumienia, nie mając innego planu.

Nagle się zatrzymał.

Czuł zapach boglinów. Twardy metaliczny zapach, który pamiętał z czasów oblężenia Skały.

– Kryj się – syknął.

Skulili się pod skarpią.

Pomimo chlupotu strumienia usłyszeli szelest.

Serce chłopaka łomotało tak mocno, że Nita Qwan czuł je przez jego plecy. Przyciskał się do niego zaparty stopami o zwalony brzozy pień, wplatając ręce w korzenie świerku, który ich osłaniał. Wcisnęli się w korzenie i pokryło ich bagienne błoto, ale z przebitej stopy chłopaka ściekała krew, która mogła ich zdradzić.

Nita Qwan miał wrażenie, że uda stoją mu w ogniu, gdy napinał mięśnie, podtrzymując Gona. Doliczył do stu.

Szelest brzmiał coraz głośniejsze.

Znów czuł ostrą woń. Paliła go w gardle, metaliczna, a jednak organiczna, jak silny zapach piżma.

Zaczęło padać. Deszcz był lekki. Zdjęty strachem, podejmując rozpaczliwą próbę znalezienia jakiejś kryjówki na otwartej łące, nie zwrócił uwagi na zmianę temperatury i koloru nieba. Deszcz padał wielkimi kroplami, zapowiedziany przez podmuch wiatru, który spłaszczył trawę na zachodzie. Po

chwili Nita Qwan wyraźnie zobaczył długi szereg boglinów idących z pochylonymi głowami przez łąkę, zmierzających na północny zachód przez bród.

Niedługo później lunęło jak z cebra i sięgał wzrokiem nie dalej niż na piętnaście stóp. Strumień błyskawicznie wezbrał w ulewnym deszczu i woda zmyła gryzący zapach boglinów.

Nita Qwan nie wiedział, czy jeszcze tam są, czy odeszły. Wisiał na korzeniach, czekając, obserwując wzbierający potok, czując przerażenie chłopaka. Zaczął myśleć o pośladkach żony, gdy gracowała kukurydzę, i to mu trochę pomogło. Ale w końcu jego mięśnie zaczęły wrzeszczeć jak człowiek pożerany żywcem i sapnął. I obaj spadli do wody.

Okazało się, że miała tylko kilka cali głębokości. I jeśli w pobliżu były jakieś bogliny, to albo nie spostrzegły dwóch przemoczonych ludzi, albo ich to nie obchodziło. Obaj szybkim krokiem ruszyli w górę strumienia, przedostali się przez długą tamę zbudowaną przez zwyczajne bobry i wyszli na północny skraj łąki.

Ujrzeni coś, co przechodziło wszelkie wyobrażenia. Pomimo bólu mięśni brzucha, lodowatego zimna i zacinającego deszczu Nita Qwan w zdumieniu wlepił wzrok w bobrową tamę, którą mylnie wziął za skraj lasu. Wysoka na czterdzieści albo i więcej stóp, dorównywała murom albańskiego miasta. Tworzyły ją drzewa – całe wielkie drzewa. Pomiedzy nimi sączyła się woda. Była niesamowita.

– Idziemy – powiedział.

Wciąż łało, widoczność spadła do krótkiego strzału z łuku. Uznał, że najlepiej wspiąć się na tamę, bo boglinom będzie trudno za nimi podążyć i z góry będą mieli lepszy widok. Poza tym przypuszczał, że marsz po szczycie tamy będzie względnie łatwy.

Nie zawiódł się. Wspinaczka zajęła wiele długich minut z powodu rannej stopy chłopaka, ale szczyt był szeroki jak wóz, miejscami porośnięty trawą. Po drugiej stronie tamy rozciągało się jezioro niknące w dali, pełne żeremi i martwych stojących drzew z wielkimi gniazdami na czubkach.

Przemierzyli tamę w tempie, na jakie było stać chłopaka, i zeszli na dół za ledwie milę na północ od obozowiska. Minęli dwie sadzawki dzikiego miodu i Nita Qwan próbował zapamiętać ich położenie. Chłopak miał dwa puste kubki, więc je napełnili.

Dwa razy słyszeli mechaniczne brzęczenie wielkich pszczół, ale nie zobaczyli ani jednej. Szli i szli, aż w końcu Nita Qwan stracił resztki wiary w swój zmysł orientacji. Stanął i po namyśle poszedł w stronę światła, które wi-

dział po prawej stronie, obawiając się, że to nie będzie wielka łąka, ale jednak była, wrócił więc po chłopaka. Gon bezgranicznie mu ufał, co było dla niego równie straszne jak bogliny. Zaczęło się ściemniać, deszcz padał coraz mocniej i Nita Qwan naprawdę zaczął się bać.

Wreszcie około godziny przed zmrokiem poczuł zapach dymu – i uświadomił sobie, że przecież czuł go od jakiegoś czasu. Dostrzegł mignięcie blasku pomiędzy drzewami, później ostry błysk czerwonopomarańczowego światła i wiedział, że są blisko celu. Szli coraz szybciej, odnosząc więcej drobnych obrażeń i zadrapań podczas tej krótkiej wędrówki niż wcześniej przez całą długą drogę. W końcu dotarli do obozu. Mężczyźni klepali młodego Gona po plecach, a on z godnością znosił ich docinki. Nita Qwan był zdumiony, że młodzieniec nie wspomniał słowem o ich przygodach.

Ota Qwan spojrział na dwa pełne kubelki miodu i pokiwał głową.

– Wiedziałem, że jesteś odpowiednim człowiekiem do tego zadania – powiedział z odrobiną wyższości.

– Wiesz, że jakąś ligę na północ stąd wznosi się tama wielkości murów miasta? – zapytał Nita Qwan, kiedy zostali sami i palili fajkę.

Wszyscy inni spali i Nita Qwan uznał, że to odpowiednia pora do rozmowy z bratem. Ota Qwan nie obruszał się na jego słowa tak bardzo, kiedy nie było słuchaczy. Podwoił strażę, ponieważ tej nocy mieli więcej do ochrony. Cały obóz pachniał miodem Dzikcy – przynieśli dwadzieścia cztery pełne miodu kubelki, nad którymi krążyły chmary owadów. Kubelki Ta Gas-ho już trochę przeciekały i gładka biała kora brzoza była oblepiona igliwem.

Ota Qwan przekazał mu fajkę.

– Nie. Nie wiedziałem. Kiedy miód jest dojrzały, z całej Dzikcy ściągają stworzenia, żeby trochę uszczknąć. Trzeba się śpieszyć, nie ma czasu na zwiedzanie okolicy.

– Jest tam jezioro tak wielkie, że nie widać drugiego brzegu. Z gniazdami czapli i jakichś większych ptaków. I ogromnymi żeremiami. – Nita Qwan wziął fajkę, wsunął ustnik w zęby i wydmuchnął kółko dymu w ciemność. – Chcesz je sprawdzić jutro?

Ota Qwan pokręcił głową.

– Nie – odparł. – Już widzieliśmy bogliny i złote niedźwiedzie. Wiedziałem dwa idące w stronę miodu, a zwykle jest ich więcej.

Wstali, gdy było jeszcze ciemno, zjedli trochę miodu z resztkami kukurydzianego chleba, zabrali broń, podnieśli kubelki i ruszyli do domu. Przez cały dzień szli przez niziny i skaliste pustkowia u stóp Bobrowego Królestwa, jak



Ota Qwan zwał tamte ziemie. Późnym wieczorem, gdy zwiadowcy szukali miejsca na obóz, a pozostali dobrej przeprawy przez kolejną rzeczkę, natknęli się na martwe bogliny – sześć sztuk, zabitych i niemal pożartych. Wszystkie leżały na skałach w strumieniu.

Ta-se-ho, najstarszy, kucnął przy najmniej obgryzionym trupie i włócznią przewrócił go na drugą stronę. Chmara niebieskich much wzbiła się w powietrze i stary myśliwy zmarszczył nos. Był wysoki, miał długie kasztanowe włosy związane w koński ogon i bliznę na prawej nodze od kolana po krocze. Nosił amulet, kawałek podniszczonej skóry obszytej igłami jeżozwierzka. W pewnym momencie Peter uświadomił sobie, że jest to ludzkie ucho.

– Złote niedźwiedzie? – zapytał Ota Qwan.

Każdy wiedział, że bogliny zginęły kilka dni temu, lecz mimo to wszyscy przykucnęli, nieufnie patrząc na las.

Ta-se-ho pokręcił głową. Podszedł do skały i porównał ją z czymś, co tylko on widział.

Nita Qwan przebył bród. Bogliny zostały zabite w trakcie przeprawy. Było to dwa dni temu, ale...

Wyszedł z doliny wyżłobionej przez strumień i postawił obutą stopę na skale. Wciąż bolały go uda. Był skonany. Zmusił drugą nogę do dalszego wysiłku i ze świstem wciągnął powietrze.

Wymierzył włócznię w bogliny, ale te też były martwe, rozrzucone na małej polanie.

Jeden był przecięty na pół.

Jęknął i Ta-se-ho dołączył do niego.

– Ach... – mruknął. Pobladł. – Ach.

Ota Qwan przyskoczył do niego.

– Co się stało?

Ta-se-ho jęknął.

– Lud Crannocków. Olbrzymy.

Ota Qwan popatrzył na południe.

– Crannokowie są sojusznikami Południowych Huranów.

Ta-se-ho splunął.

– I Głoga.

## **Północny Zachód od Bezkresnych Jezior – Głóg**

Głóg szedł szybko podekscytowany tym, co czuł, dźwigając wielkie czarne

jajo, bezpieczne w sieci mocy.

Podążał brzegiem zatoki, złote światło słońca padało na jasne plaże otaczające głęboką przejrzystą wodę. Zatoka się zwężała.

Po drugiej stronie, za cieśniną szeroką jak rzeka i znacznie głębszą, leżała wielka wyspa. Coś na niej cuchnęło mocą.

Głóg sięgnął pomiędzy liny i węzły swojego pałacu pamięci i wezwał wiatr. Rozpostarł mocne, cienkie jak pajęczyna skrzydła i poszybował nad wodą, nie dbając o to, czy przypadkiem zobaczą go ludzie. Wzniósł się ku zachodzącemu słońcu i skręcił na południe.

Wyspa pachniała mocą. I nie było na niej nikogo, kto władał mocami.

Głóg nie miał w zwyczaju pytać, dlaczego.

Obszar wyspy dorównywał rozległym włościom w kraju ludzi – z powietrza widział, że ciągnie się dziesięć lig na południe, ku Morzu Wewnętrznemu, i równie daleko na zachód. Na północnym brzegu wznosiła się wielka góra sięgająca na ponad tysiąc stóp nad faliste wzgórza i ocienione doliny.

Na szczycie góry było jezioro. Spadał z niego do głębokiego stawu malowniczy wodospad, a stamtąd rzeka w serii kaskad spływała do samego Morza Wewnętrznego.

Na środku jeziora leżała wysepka, a na wysepce rosło drzewo. Głóg złożył wielkie skrzydła i przez jakiś czas pikował, po czym znów je rozpostarł, porwany przez radość latania, i w końcu zawisł kilka stóp nad skalistą powierzchnią wysepki. Zdawało się, że korona drzewa jest rozpięta wysoko, ale było to złudne wrażenie – drzewo było tylko dwa razy wyższe od niego. Czarnoksiężnik sprawił, że skrzydła zniknęły, po czym podszedł, by dotknąć pnia. Przebiegł go dreszcz. To był głóg. Zadarł wielką kamienną głowę ku niebu i z jego gardła popłynęło chrypienie, u niego będące śmiechem.

Palcami stóp wyczuł moc ziemi. Linie mocy były tutaj silne – trzy się krzyżowały, a kolejna biegła głęboko pod jeziorem i biła jak źródło. Jak studnia w Lissen Carak.

Surowa moc wrzała, wylewając się z ziemi, i wirowała w wyciętym przez siebie basenie. Głóg rzucił laskę i ukląkł, jego ciężkie nogi zaskrzypiały z wysiłku, i wsunął długie, chude jak u szkieletu ręce w zielonozłoty wir. Uniósł je i surowa *ops* spłynęła mu do ramion.

Gdyby posiadał tę zdolność, mógłby zapłakać.

Zmusił się, żeby wstać, wyciągnął w górę ociekające mocą ręce i narzucił swoją wolę niebiosom.

Wysoko w bezkresnym eterze jego moc przywarła do czegoś, co było ni to

gwiazdą, ni kamieniem, i ściągnęła to coś z przestworzy. Spadało, płonąc jaśniej niż Wenus w zapadającym zmierzchu, mknąc w powietrzu z niewiarygodną prędkością. Runęło w Morze Wewnętrzne, daleko od brzegu.

Czarnoksiężnik ponownie wyciągnął ręce ku niebu i ryknął do swoich wrogów.

*Drobna zemsta! Spróbujcie tego!*

Głęboko w Adnarniach stary niedźwiedź uniósł pysk ku nocnemu niebu. Obserwował spadającą gwiazdę i nie podobało mu się to, co widział. Gdy jego towarzyszka warknęła, położył wielką łapę na jej grzbiecie i poczuł drżenie.

Daleko na zachodzie Mogan zobaczyła, jak zapala się nowa gwiazda, zadarła grzebieniastą głowę i splunęła.

W głębi lasu stary irk przerwał swoje knowania i uniósł długi nos. Przez korony drzew zobaczył, jak zapala się nowa gwiazda, a potem spada ku ziemi. Tapio Haltija oblizwał zęby i rozciągnął usta w uśmiechu, który nie wyrażał zadowolenia, lecz drapieżność.

Na południowym wschodzie Eskepiles zbudził się z płytkiego snu pełnego koszmarów. Leżał na podłodze klasztornego kościoła na skraju Pola Aresowego otoczony przez ludzi diuka Tracji, którzy chrapali, pierdzieli i mamrotali, ale nie zbudził go żaden z tych odgłosów.

Gwiazdy mrugały wysoko na niebie i ich światło sączyło się przez okna clerestorium w podstawie kopuły. Patrzył, jak jedna z nich rośnie, aż zapłonęła niczym małe słońce, świecąc tak jasno, że zapaliła witraże w kaplicy i migotliwe cienie padły na podłogę i jego śpiących towarzyszy. A potem zaczęła spadać na ziemię.

– *Vade retro!* – syknął magister. Bolała go rana w boku.

Jakiś czarnoksiężnik właśnie ściągnął gwiazdę ze sklepienia niebieskiego. Było to wyzwanie tak wyraźne, jakby rzucił rękawicę każdemu innemu człowiekowi mocy na Ziemi. Prosto w twarz.

Eskepiles leżał w kocach i próbował sobie wyobrazić potężnego magistra, który ściągnął gwiazdę z nieba.

Do kaplicy wbiegł posłaniec, nawołując diuka.

– *Wardarioci!* – szepnął nagląco. – *Nadciągają!*

Diuk stęknął jak zbudzony nie w porę pięćdziesięcioletni człowiek. Pocią-

gał się za brodę i myślał przez chwilę potrzebną do zmówienia modlitwy.

– Niech ser Demetrios ściągnie tutaj swoich żołnierzy – rozkazał.

Strateg Demetrios, Moreańczyk z pogranicza, dowodził trzonem ich zbrojnych. Wysłano go z nieco mniej niż połową ludzi na drugą stronę miasta, żeby obserwował Bramę Wardariotów.

Diuk wstał.

– Nałóżcie mi zbroję – polecił giermkom.

Ich najnowszy nabytek, Wielki Szambelan, usiadł.

– Z pewnością po prostu przechodzą na stronę Waszej Ekszelencji – powiedział. – Od roku nie dostali żołdu.

Diuk potrząsnął głową, jakby chciał, żeby w niej pojaśniało.

– Nie mogę ryzykować. Są doskonałymi żołnierzami. Wprawdzie nie stanowią dla nas zagrożenia, chyba że damy się zaskoczyć, więc lepiej być w pogotowiu. Być może przypuszczą pozorowany atak, a potem przejadą przez miasto, podczas gdy my będziemy objeżdżać mury. Boję się na samą myśl, że zaczną hulać za bramą, pięciuset zdyscyplinowanych wojowników ze Wschodu z łukami! – Chrząknął. – Chryste Pantokratorze...

– Możemy się z nimi rozprawić – powiedział jego syn.

– Możemy – zgodził się ponuro ojciec – ale wołałbym nie być do tego zmuszony. Jeśli pokażemy im zwarte szeregi i gotową armię...

Eskepiles skłonił głowę w ciemności.

– Ale... – Uniósł wzrok. – Panie, co z albańskim najemnikiem? Czy nie jest aby na wzgórzach?

– Zbyt daleko, żeby miał coś do powiedzenia dzisiaj albo jutro – odparł diuk. – I nie ma prawdziwej siły. Od informatora w pałacu wiem, że stanął obozem i targuje się o więcej pieniędzy.

Despota parsknął śmiechem.

– Tchórz.

Diuk ogrzał rękę o kubek z gorącym winem podany mu przez sługę:

– Rozprawimy się z zagrożeniami po jednym po kolei i zmusimy dziewczynę do podania warunków – zdecydował.

– Dobrze pomyślane, mój cesarzu. – Wielki Szambelan mówił służalczym tonem nawet wtedy, gdy był wyczerpany.

– Nie nazywaj mnie tak – syknął diuk.

Na południe od Harndonu Wielki Przeor Zakonu Świętego Tomasza sączył wino na balkonie, pięćset stop nad równinami Jarsayu. Patrzył na siedzącego

naprzeciwko niego kapłana w średnim wieku. Twarz mężczyzny była skomplikowaną maską buntu i skruchy – był zły na siebie i wściekły na cały świat.

– Co ja mam z tobą zrobić, panie? – zapytał go. Przez całe dni i noce nie zdejmował zbroi, odprawiając pokutę, i bolały go wszystkie stawy. Co gorsza, w nocy nie mógł zasnąć, głównie dlatego, że był stary i miał zbyt wiele zmartwień. Jednym z nich była sprawa grzesznego księdza.

– Wysłać mnie dokądś, jak sądzę – odparł z goryczą ksiądz. – Gdzie będę mógł szczeznąć.

Przeor Wishart był rycerzem i sługą bożym od prawie czterdziestu lat. Znał granice ludzkiej wytrzymałości, a także ludzką skłonność do samouniżenia. To, co wiedział o tym człowieku, chroniła tajemnica spowiedzi. Napił się wina.

– Nie możesz zostać w Harndonie – powiedział – gdyż to tylko zwiększyłoby prawdopodobieństwo dalszej pokusy i grzechu.

– Tak – bąknął żałośnie młodszy mężczyzna. Miał czterdzieści lat, brązowe włosy, przycięte krótko, żeby nie przeszkadzały pod hełmem, i przystojne, acz grubo ciosane rysy. – Nie chciałem niczyjej krzywdy.

Przeor uśmiechnął się ponuro.

– Ale wyrządziłeś krzywdę. I jesteś dość stary, żeby rozumieć konsekwencje. Jesteś jednym z moich najlepszych rycerzy... i doskonałym filozofem. Ale nie mogę cię tu zatrzymać. Inni będą na ciebie patrzeć i pomyśl, co zrobisz, kiedy ta sprawa wyjdzie na światło dzienne?

Mężczyzna się wyprostował.

– Nigdy do tego nie dojdzie.

– Czy to czyni ją mniej grzeszną?

– Nie jestem głupcem, przeorze. – Kapłan patrzył na niego gniewnie.

– Naprawdę? Masz czelność mówić mi w oczy, że nie jesteś głupcem?

Mężczyzna wzdygnął się jak uderzony.

– Mógłbym poprosić o zwolnienie z przysięg i wtedy się mnie pozbędziesz – powiedział. Po raz pierwszy jego głos wyrażał więcej skruchy niż buntu.

– Czy na pewno pragniesz zwolnienia ze ślubów, ojciec Arnaudzie? – Przeor Wishart pochylił się w jego stronę.

Większość rycerzy zakonu była braćmi – jedni, jak donaci, byli braćmi świeckimi zaprzysiężonymi tylko do posłuszeństwa; inni byli braćmi zakonnymi związanymi przez śluby czystości, ubóstwa i posłuszeństwa, wiodąc życie poświęcone broni, modlitwie i służbie w szpitalu. Nieliczni zostawali kapłanami. Zakon niewiele wymagał od swoich walczących braci poza posłu-

szeństwem rozkazom, ale wiele wymagał od księży.

Ojciec Arnaud uniósł głowę. Łzy spływały mu po policzkach.

– Nie – odparł. – Nie wyobrażam sobie czegoś takiego.

Przeor przeczesał brodę palcami i spojrzął na stos zwojów i złożonej korespondencji pod lewą ręką – była to papierkowa robota, zmora jego życia i wieczna kara. Prawda była taka, że... Prawda była taka, że Armand należał do najlepszych i w polu, i w radzie, i że popełnił niewybaczalny błąd. Wishart nie chciał go karać, poza tym, że chętnie przyłałby mu parę razy za to, że zgłupiał z miłości. Nagle jego uwagę przyciągnęła czarna pieczęć z trzema złotymi *lacs d'amour*, bardzo droga, rzucająca się w oczy.

Złamał ją kciukiem i przeczytał list z wyraźną przyjemnością – raz głośno się roześmiał. Kiedy skończył, uderzył zrolowanym pergaminem w biurko z dźwiękiem, z jakim kusza wypuszcza bełt.

– Poślę cię jako kapelana do Czerwonego Rycerza – oznajmił.

– Do tego aroganckiego młokosa? Do bezbożnego najemnika? – Ojciec Armand wyprostował ramiona, głęboko zaczerpnął tchu. – Ale... przecież to żadna kara. Każdy rycerz chciałby mu służyć, gdyby tylko dał się nawrócić!

Przeor Wishart dolał sobie wina.

– Myśl o własnych słabościach, Arnaudzie, kiedy będziesz prawić kazania Czerwonemu Rycerzowi. Arogancja i duma. Samolubna pewność siebie. I pamiętaj o kompanii, którą dowodzi. Są mężczyznami i kobietami jak wszyscy inni i potrzebują duchowego wsparcia.

Arnaud ukląkł i ucałował jego rękę.

– Pojadę z wielką chęcią. Przywołam go do porządku i nakłonię do spełniania dobrych uczynków.

Wishart obdarzył go krzywym uśmiechem.

– Już je spełnia, Arnaudzie. Tyle że robi to, przeklinając Boga. – Pochylił się. – Podczas gdy ty grzeszyłeś, sławiąc Jego imię.

Arnaud uniósł rękę, jakby parował cios.

Po jego wyjściu przeor siedział na balkonie, sto stóp nad urodzajnymi równinami Jarsayu. Niedaleko od murów, na świeżo skleconych ostwiach suszył się drugi pokos trawy: zimowa pasza dla stada koni bojowych, dla nowego pokolenia rumaków zdolnych stawić czoło największym wrogom z Dziczy. Dalej w srebrnej poświacie księżycy ciemniały prostokąty pszenicy, żywopłoty i ogrodzenia pól ciągnące się po horyzont. Jarsay było bogate; najlepsze ziemie uprawne w Nova Terra.

Srebrnobiała gwiazda rozbłysła na północy i pomknęła ku ziemi.

Przeor widział jej narodziny i upadek. Czuł przypływ mocy.

Napił się wina.

Najnowsza apoteoza Głoga nie była jego najbardziej palącym problemem. Obrońca króla sprowadził swoje wojsko do Jarsayu, żeby zbierać podatki, i w zamian zbierał trupy. Przeor Wishart próbował zdecydować, co zrobić, jeśli farmy jego zakonu zostaną zagrożone.

Nawet ta sprawa bladła w porównaniu z możliwością, że król pozwoli, żeby captal wyznaczył swojego kuzyna na biskupa Loriki.

– Dostyc ma dzień swojej biedy – szepnął przeor w noc.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY



### **Na północ od Liwiapolis – Czerwony Rycerz**

Przeprawa przez rzekę jest jednym z najbardziej skomplikowanych i trudnych zadań dla wojska i jego dowódcy.

O nocnej przeprawie nie ma nawet wzmianki w napisanych przez Archaików książkach poświęconych sztuce prowadzenia wojny, w podręcznikach, które Czerwony Rycerz wiele razy czytał w dzieciństwie. Myślał o nich i o analizowaniu strategii, gdy leżał wyciągnięty na całą długość przed kominem w komnacie swojej matki, która myślała, że studiuje księgę wiedzy tajemnej.

Uśmiechnął się.



Kompania w szybkim tempie zjeżdżała z gór na brzeg Meandra. Na każdym rozwidleniu drogi, na każdym zakręcie, w każdym przejściu w kamiennych ścianach czekali przewodnicy, ludzie Gelfreda: Kołek Amy, Rob Brodacz, Diccon Browford i młody Dan Favor, który był dość duży, żeby nosić zbroję, i dość bystry, żeby zostać zwiadowcą. Każdy z nich miał własnych paziów i łuczników – wprawdzie wyśmiewano się z Kołka, że został dowódcą, ale był cierpliwy i ostrożny, a jego paziowie w miarę szybko uczyli się przeprowadzać zwiady.

Przewodnicy skierowali kolumnę do następnego celu, a potem pogalopowali w ciemność, szukając Gelfreda, który jechał ligę przed kapitanem z małą sferą czerwonego magicznego światła na szpicu basinetu. Mogli je zobaczyć tylko ludzie, na których rzucił fantazm widzenia. Dzięki temu znalezienie go było względnie łatwe, przynajmniej dla zwiadowców, a jemu pozwalało szybko nimi kierować. Kiedy do niego dołączyli, wysłał każdego do następnego punktu. Czytał mapę rozłożoną na wysokim przednim łęku i używał swojej wcale niemałej *ars magicka*, żeby radzić sobie ze wszystkimi informacjami dostarczanymi mu przez czterdziestu ludzi i umieszczać raporty w bezwymiarowych przegródkach swojego pałacu pamięci.

Dzięki hermetyzmowi, dobremu rozpoznaniu terenu i długiemu latu spędzonemu w zbrojach kompania posuwała się w tempie idącego stępem konia – w ciemności, po nieznanym terenie i przez obcy kraj. Ponieważ te czynności sprawiały, że podróż wydawała się łatwa, młodzi synowie wielkich panów, nowi zbrojni w kompanii, uważali, że to rzeczywiście nic trudnego.

Tak oto kompania zjechała z gór przez gaje oliwne na brzegi Meandra z prędkością idącego konia. Innymi słowy, piorunem.

Czwórkami podjeżdżali do brodu, zbrojni na rumakach bojowych tworzyli zewnętrzne rzędy, osłaniając wozy z kobietami i jadącymi parami łuczników i paziów. Ćwiczyli tę formację przez dwa tygodnie bez konieczności wyjaśniania.

Czerwony Rycerz wyprzedził Ranalda Lachlana i jego dwóch poganiaczy, którzy byli zajęci rozwijaniem grubej liny. Lachlan pomachał ręką. Czerwony Rycerz zaszalował z uśmiechem ledwie widocznym w jasnym blasku księżyca. Wiatr przegnał deszczowe chmury.

– Gelfredzie? To bród? – zapytał.

Gelfred wzruszył ramionami.

– Gdybyśmy byli dwa razy wyżsi od Toma, to byłby bród – odparł. – W suchych latach podróźni korzystają z tego miejsca i tylko wtedy przeprawa

jest strzeżona. – Napotkał wzrok kapitana w rozjaśnionej przez księżyc ciemności. – To najlepsze, co mogłem zrobić – dodał.

*Damy radę, powiedział Harmodiusz w głowie Czerwonego Rycerza. Niecałe pięć stóp w najgłębszym miejscu, zaraz za środkiem nurtu.*

Czerwony Rycerz pokiwał głową do niewidzialnego towarzysza.

– Dobrze. Pośrodku będzie głęboko. Moje źródło mówi, że pięć stóp.

– Słodki Jezu! – zabluznił Michael. – Przepraszam – mruknął głównie do Gelfreda, jedyne niebluzniącego człowieka w kompanii.

– Przemoknie wszystko, co mamy na wozach – zaznaczył Gelfred.

Czerwony Rycerz gryzł jabłko, patrząc na rzekę.

– I to będzie wymagało czasu. Jeśli zostaniemy pobici, nie zdołamy przeprowić się za dnia z taborem.

Zły Tom splunął.

– Nie zostaniemy.

Kilkunastu ludzi zrobiło palcami znak rogów, żeby odwrócić zło. Rozmyślny Mord splunął i dotknął drewna puklerza. Nawet ser Jehan miał nie-szczęśliwą minę.

– Warto byłoby wiedzieć, czy wardarioci przyjęli naszą propozycję i opuścili koszary – powiedział głośno kapitan.

Ser Alkajos tylko się skrzywił, bo nie miał niczego do zameldowania.

Księżyc świecił na lśniące zbroje i spokojne, dobrze wytrenowane konie; czerwone skórzane siodła wydawały się brązowoszare na tle pylistej szarości gruntu i ciemnej zieleni oliwek po obu stronach. Dom z zamkniętymi okiennicami stał na prawo od drogi prowadzącej do nieużywanego brodu, a będącej w zasadzie nie więcej niż pasem żwiru pomiędzy wysokimi murami. Księżyc świecił na rzekę, poświata rozbijała się na dziesiątki tysięcy kawałków, które tworzyły jasny szeroki szlak na drugi brzeg. Efekt był tak bardzo sugestywny, że prosty człowiek mógłby pomyśleć, że woda jest płytka.

*Nikt na ziemi nie ma takiej mocy, chłopcze. Nikt nie przejdzie po wodzie.*

Kapitan się uśmiechnął. Ściągnął rękawice i sięgnął do sakiewki przyszytej do sakwy, którą nosił u pasa nawet w zbroi. Wyjął dwie kości do gry.

– Kości? – zapytał Michael.

– To wariat – mruknął Tom.

Pyskata pokręciła głową.

Kapitan stanął w strzemionach, przez chwilę grzechotał kośćmi w ręce, po czym cisnął je jak najdalej w nurt rzeki. Jeśli plusnęły, nikt tego nie słyszał.

– Jedź – powiedział kapitan.

Gelfred skinął głową i zebrał zwiadowców. Wszyscy patrzyli, jak wjeżdżają do wody, jak woda sięga koniom po pęciny, kolana, brzuchy, później konie zaczęły płynąć, unosząc przemoczonych jeźdźców, a potem znów stapały po dnie. Paź Roba, Tom Hall, zsunął się z siodła pośrodku rzeki, ale nie puścił końskiej grzywy i choć był wśród nich najmniejszy, przebył bród i wsiadł na konia.

Gelfred trzy razy błysnął czerwienią na hełmie i Czerwony Rycerz skinął głową do swojego sztabu.

– Przeprawili się – powiedział.

Wśród zbrojnych tylko on, Tom, Jehan i Milus widzieli czerwone światełko na hełmie Gelfreda. Kapitanowi nagle przyszło na myśl, że wszyscy powinni mieć magiczne światła w różnych kolorach podczas nocnych operacji.

*Założę się, że starożytni używali magicznych świateł.*

Harmodiusz chrząknął w eteryczny sposób.

*Nigdy nie zawracałem sobie głowy akurat tymi książkami, ale jest wiele poświęconych wojnie. Z czasów cesarstwa archaicznego i nawet jeszcze starszych.*

*Zaciekawiłeś mnie, starcze.* Czerwony Rycerz powiódł wzrokiem dokoła. *Ale przez parę godzin będę potrzebować spokoju.*

*Tu jest koszmarnie nudno. Ale niech ci będzie. Jestem pewien, że mnie zawołasz, kiedy będę ci potrzebny, żeby coś zniszczyć,* powiedział z odrobiną goryczy sędziwy mag.

W silnej księżycowej poświacie Czerwony Rycerz widział, jak na drugim brzegu jego zwiadowcy się rozpraszają.

– Spałeś? – zapytał Zły Tom. – Wyglądasz jak na wpół obłąkany. I poruszasz ustami.

Czerwony Rycerz wyprostował się w siodle, czując ciężar dowodzenia jak ołowiany pas na biodrach.

– Muszę być obłąkany. Przecież jeżdżę z Szalonym Tomem.

Popatrzył na swój sztab znacznie powiększony od wiosny. Teraz miał więcej rycerzy pod bezpośrednią komendą. Stanowili jego rezerwę, co było archaiczną koncepcją. Wszyscy byli gotowi.

– Naprzód – rozkazał.

Zły Tom spał ze śmiechem ogiera, który pochylił głowę ze stalowym rogiem i wszedł do rzeki. Gdy brnął w leniwie płynącej, skrzącej się wodzie, skręcał w lewo, pod prąd, odbijając od głównej kolumny.

Pięćdziesięciu ludzi na koniach bojowych ruszyło za nim w długim rze-

dzie, jeden za drugim.

Pyskata poprowadziła pięćdziesięciu następnych w prawo, w dół rzeki.

– O co tu chodzi? – zapytał Osiełek, zwracając się do Dryga.

Dryg wzruszył ramionami.

– Kapitan robi dziwne rzeczy. Przecież wiesz.

Ser Michael wsunął się pomiędzy dwóch łuczników.

– Panowie, brakuje wam dobrodziejstw klasycznego wykształcenia. Kiedy rzucił kości, miał na myśli „kości zostały rzucone”. To znaczy, że odwrotu nie będzie. – Popatrzył na dwóch starszych łuczników, którzy wlepiali w niego wzrok bez śladu zrozumienia. W końcu parsknął, zawrócił konia i dołączył do rzędu Złego Toma przepływającego się przez rzekę.

– Mógł powiedzieć – mruknął Osiełek.

– Arogancki szczeniak – zgodził się Dryg.

Przeprawa zajęła niespełna pół godziny, a później w tempie wozów pociągnęli traktem po drugiej stronie rzeki.

Nie stało się nic poważnego, ale drobne wypadki spowalniały marsz. W wozie Lis odpadło koło i trzeba je było naprawiać. To oznaczało ściągnięcie dwóch wynajętych przez kompanię kołodziejów, którzy musieli zawrócić ze swoim wozem, i zwerbowanie dwudziestu łuczników do podniesienia wozu. Sama naprawa wymagała dwóch minut pracy i przenośnego kowadła, ale, razem wzięwszy, minęło więcej czasu, niż potrzebowali na przeprawę.

Dwa razy cała kolumna musiała się zatrzymać, ponieważ Gelfred nie był pewien kierunku w labiryncie dróg, które się krzyżowały na polach środkowej Morei. Mury wokół pól miały co najmniej sześć stóp wysokości, a w wielu miejscach dwanaście – a raczej nie tyle same mury były takie wysokie, ile setki lat używania spowodowały obniżenie kamienistego gruntu o sześć stóp, ale tak czy owak, nawet jeździec na rośłym wierzchowcu nie mógł spojrzeć nad szczytami murów. Same drogi były dość szerokie, żeby zmieścić duży wóz albo trzy konie idące obok siebie – czasami węższe, jeśli stare drzewo wyrzuciło mur. Tu i ówdzie drogę tarasowały kamienie z rozkruszającego się muru, kapitan więc przeniósł na czoło kolumny kompanijnych pionierów – wieśniaków, żeby je usuwali.

Czerwony Rycerz pozwolił, żeby Gelfred prowadził. Łowca orientował się w terenie lepiej niż ktokolwiek inny; jeśli zgubił drogę, najlepiej było pozwolić, żeby sam ją odnalazł. Kapitan siedział w siodle, trzymając frustrację na wodzy jak swojego konia bojowego, rośłego wałacha, z którym właśnie za-

czynął się zaprzyjaźniać.

Gelfred pojechał sam, znikając w szarym jak łupek mroku. Wrócił dwie bardzo długie minuty później.

– Już wiem – oznajmił. – Proszę o wybaczenie, panie. Wszystko wygląda inaczej niż za dnia. – Wzruszył ramionami. Na jego twarzy wyraźnie malowało się napięcie.

Czerwony Rycerz poklepał go po opancerzonym ramieniu.

– Prowadź.

Gelfred miał ze sobą Kołka Amy i swojego pazia.

– Ściągnijcie wszystkich, odbiliśmy za daleko na zachód – polecił im. Do kapitana powiedział: – Musimy poczekać, aż znów się uformuje szpica.

Kapitan popatrzył na niebo – rozjaśniał je dopiero brzask, ale czas uciekał.

– Nie mamy czasu czekać, aż twoi ludzie się zbiorą – powiedział. – Sami będziemy musieli być zwiadowcami.

Gelfred pokiwał głową.

– Pojadę na czele, panie. Znasz ryzyko.

Czerwony Rycerz głośno się roześmiał.

– Możemy wpaść w zasadzkę! Naprzód. Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje.

Gelfred się skrzywił.

Ranald Lachlan zrównał się z łowcą.

– Dlaczego, kurwa, rano jest taki radosny? Ale mogło być gorzej, mógł bluźnić.

Gelfred westchnął.

– Rozumiem – mruknął i ruszył.

Pech chciał, że kłopoty się nie skończyły.

Bez szpicy zwiadowców nie było komu usuwać wieśniaków z drogi. Wskutek tego, gdy dotarli do głównego skrzyżowania, może milę od celu, natknęli się na stado owiec blokujące przejazd. Setki owiec.

Dwóch pastuchów jechało na kucach, kierując tuzinem psów gwizdami i potrząsaniem laskami. Gelfred za słabo znał archaicki, żeby się z nimi porozumieć. Rozstaje były zablokowane równie skutecznie, jakby stała tam kompania włóczników. Co gorsza, konie bojowe nie cierpiały, gdy owce kręciły im się pod nogami.

– Wytluczmy je i miejmy to z głowy! – krzyknął Zły Tom.

Kapitan sięgnął do sakiewki u pasa i ruszył do przodu.

– Toby! – krzyknął przez ramię. – Pieniądze!

W ciągu jednej oświetlonej przez księżyc chwili niechętni, skorzy do stawiania oporu pasterze stali się chętni do współpracy. Trzasnęły bicze, zaszczekały psy. Wielkie stado owiec zawróciło i skręciło w boczną drogę. Pasterze się kłaniali, nie szczędząc błogosławieństw, i kompania w końcu miała wolną drogę. Niebo było już szare.

Zwiadowcy Gelfreda nadjechali w czasie przymusowego postoju, po czym wysforowali się przed kolumnę, chroniąc wszystkie trzy drogi.

– Prawie jesteśmy na miejscu – oznajmił Gelfred. Twarz miał poszarzałą jak poranne niebo.

– Wyobrażacie sobie, co by było, gdybyśmy musieli walczyć? – zapytał Michael.

Nikt mu nie odpowiedział.

Mając zabezpieczone flanki, jechali kłusem. Gdy słońce wzeszło nad miastem przed nimi, złocąc miedziane kopuły setek kościelnych wież, które zapłonęły jak ogień – gdy trzy tysiące mnichów w pięćdziesięciu klasztorach zaczęło śpiewać hymny na powitanie nowego dnia, gdy siedemdziesiąt tysięcy kogutów głosiło zadowolenie z ustąpienia ciemności, gdy ćwierć miliona ludzi wstało z łóżek, żeby stawić czoło kolejnemu dniu niepewności – dotarli do głównego traktu. Była to droga zbudowana przed tysiącem lat z ociosanego, dopasowanego kamienia, tak szeroka, że sześć wozów mogło jechać obok siebie, i biegła od Bramy Wardariotów na wschodnim brzegu Morza Moreańskiego, wzdłuż dziewięciu mil murów, do Bramy Królewskiej na północno-zachodnim krańcu miasta.

Kompania dotarła do wybranego punktu, gdzie droga schodziła w płytką dolinę. Tutaj nic z żadnej strony nie zapewniało osłony ewentualnym łucznikom, z wyjątkiem samotnego wielkiego dębu i małej willi oddalonej kawałek od drogi.

Czerwony Rycerz nie musiał rozlokowywać swoich żołnierzy. Każdy oddział pojechał na wyznaczone miejsce, co dwa razy przećwiczyli w ubiegłym tygodniu, i wszyscy zsiadli z koni.

Czerwony Rycerz złapał za ręce szwaczkę Mag i Gelfreda i we trójkę rzucili czary nad kompanią, a później podnieśli rzadką przyziemną mgłę, która płożyła się w dolinie. Kapitan wspomagany przez Harmodiusza umieścił swoje dzieło w ciemnozielonym perydocie, pięknym kamieniu zakupionym u wędrownego handlarza. Dobry klejnot pomógł skupić skomplikowane czary; kryształ zapewniał im stabilność i tym samym trwałość.

Pół godziny później Gelfred podjechał do kapitana i uniósł zasłonę przy-

łbicy.

– Za nami pusto, panie. Nie przejeżdżali tą drogą.

Dwadzieścia minut później czarno-biały orzeł wielkości rumaka zaczął krążyć nad ich głowami.

Ser Alkajos podjechał do Czerwonego Rycerza.

– Panie, ten ptak przyleciał do nas. Nie widzi nas przez twój fantazm, ale każdemu Moreańczykowi pokazuje, gdzie jesteśmy.

Kapitan westchnął.

Pracując z Harmodiuszem, wyłuskał czary z klejnotu. Ostrożnie nimi po-manipulował, żeby otworzyć pionową linię widzenia na szczycie iluzji.

Ptak natychmiast ich wyszpiegował i rzucił się w dół.

Kapitan zamknął czary z powrotem w klejnocie.

– To mnie kosztowało więcej niż połowę mocy, jaką mogę roztrwonić w ciągu jednego dnia – powiedział ponuro. – Z następnym kryzysem musimy sobie radzić w staromodny sposób.

Wszystkie konie w zasięgu wzroku spłoszyły się na widok wielkiego ptaka. Alkajos przeczytał list.

– Wardarioci wyruszyli – oznajmił. – Dzisiaj o północy. Są uzbrojeni i czekają w szyku przy Bramie Aresa.

Kapitan skinął głową.

– Zrobiliśmy, co do nas należało – powiedział. – Może byliśmy zbyt subtelni?

Ludzie zaczęli się wiercić. Wstało słońce, pojawiły się muchy. Konie robiły się niespokojne. Kobiety na wozach rozmawiały, niski pomruk płynął z szeregów do grupy dowodzenia.

Dan Favor podjechał, gdy mnisi w mieście zaczęli odprawiać jutrznię.

– Dwa tysiące ludzi – zameldował z zadowoleniem. – Niespełna milę dalej.

Kapitanowi nie udało się ukryć westchnienia ulgi. Uśmiechnął się ponuro.

– Oczywiście musimy jeszcze wygrać walkę – przypomniał im wszystkim.

Moreańscy stradioci przybyli w ordynku, ze strażą przednią w sile prawie sześciuset ludzi i setką konnych łuczników ze Wschodu. Wiedzieli, że się spóźnili, toteż śpieszyli co koń wyskoczy. Kilkaset jardów za nimi ciągnął trzon, prawie dwa tysiące koni, bez piechoty, bez taboru. Nie mieli sztandarów, ale pośrodku kolumny krzepcy jeźdźcy nieśli na kopiach dwie duże ikony.

Kapitan zsiadł z konia i położył klejnot na skale. Toby podał mu młot bojowy i stanął obok, trzymając hełm i kopię.

– Jeśli zostaniemy tu dłużej, przyda mi się słomkowy kapelusz – powiedział kapitan. Słońce paliło.

Moreańczycy podjeżdżali kłusem. Od czasu do czasu grupy wschodnich łuczników odrywały się od głównej kolumny, która pędziła naprzód, trzymając się bezpiecznej drogi.

Kiedy wroga awangarda znalazła się o krótki strzał z łuku, kapitan uniósł młot i spuścił go na perydot, który się rozsypał na tysiąc zielonych kawałeczków. Skomplikowany fantazm zapadł się wraz ze śmiercią kamienia, pozwalając na wyraźne widzenie każdemu człowiekowi pokrytemu przez fantazm.

Rozległy się gwizdy i łucznicy założyli strzały na cięciwy.

Zanim gierek założył Czerwonemu Rycerzowi kaptur kolczy na głowę, pierwsze strzały wyskoczyły z wielkich białych łuków. Dwustu kuszników szybko wystrzeliło po pięć strzał – większość wypuściła ostatnią, zanim pierwsza doleciała do celu.

Grad pocisków runął z nieba i moreańska straż przednia została zdziesiątkowana.

Grupę konnych, którzy odbili od głównej kolumny, żeby sprawdzić pobliską farmę, powitały bełty i strzały zwiadowców Gelfreda. Ci, którzy przeżyli, wyjęli łuki z sahadaków na biodrach, stanęli w strzemionach, strzelili, po czym zawrócili i popędzili do głównej kolumny, wystrzeliwując kolejne strzały nad końskimi zadami.

Bitwa trwała dwie minuty, kiedy Czerwony Rycerz stanął w strzemionach i ryknął:

– Na koń!

Spodziewając się rozkazu, większość łuczników już siedziała w siodłach, podobnie jak wszyscy zbrojni. Paziowie, gdy tylko przekazali konie zbrojnym i łucznikom, popędzili szukać swoich wierzchowców. I tutaj się ujawnił brak doświadczenia: starsi paziowie wyprzedzili rozkaz, a nowi się guzdrali, więc na lewym skrzydle, w kopiach ser Alkajosa, panował chaos. Czerwony Rycerz nie mógł zobaczyć, co go spowodowało. Nie mógł też czekać.

– *En avant!* – krzyknął i cała kompania ruszyła w potrójnym szeregu, zbrojni na przędzie, paziowie z tyłu.

Moreańska straż przednia popadła w rozsypkę. Co trzeci z nich był ranny albo martwy i wykonali swoje zadanie – trzon armii nie wpadł w zasadzkę.

Najemnicy kłusowali w zwartym szyku, zbrojni i giermkowie, jedni w sta-



lowych pancierzach, drudzy w kolczugach. Szereg miał prawie trzysta jardów długości. Łowcy Gelfreda i zwiadowcy zataczali szeroki łuk w prawo z zamiarem oskrzydlenia głównej kolumny.

– Nacieraj albo nie – mruknął Czerwony Rycerz wewnątrz hełmu. Udało mu się zaskoczyć wroga, ale miał trzy razy mniej ludzi niż on i zależało mu na tym, żeby przeciwnik stracił zimną krew.

Jakby w odpowiedzi na jego wyzwanie ikony pośrodku nieprzyjacielskiej kolumny uniosły się i opadły i kompanie ruszyły galopem na prawo i lewo, kolumna bardzo profesjonalnie rozwijała się w linię.

Czerwony Rycerz podniósł kopię.

– Stać! – ryknął.

Trębacz dwa razy dał sygnał, który przypominał odgłos wydawany przez kopulującego łosia, ale na szczęście kompania wiedziała, czego się spodziewać. Zatrzymali się, zaczęli równać szeregi, spóźniająca się lewa grupa nadrobiła opóźnienie, skrzydła się prostowały, środek już zsiadał z koni.

Dla niewyszkolonego oka wyglądało to na jeden wielki bałagan.

Tom otworzył przyłbicę.

– Moglibyśmy po prostu zaszarżować – powiedział.

Kapitan wzruszył ramionami. U jego strzemięcia Rozmyślny Mord rzucił wodze następcy Toby'ego, Nell, która w chudej małej garści już trzymała wodze pięciu koni, gotowa odprowadzić je na tyły. Rozmyślny wziął łuk, założył strzałę, popatrzył w lewo i prawo, po czym zawołał:

– Gotuj się!

Konie wyprowadzano z szeregów.

Powtarzane okrzyki „gotuj się” ulatywały niesione porannym wiatrem.

Nieprzyjaciel już kończył formowanie szyku i ikony przesuwały się ku środkowi.

– Są piekielnie dobrzy – powiedział Czerwony Rycerz.

Rozmyślny Mord pokręcił głową.

– Nieźli, ale nie mają zbroi płytowych ani piechoty. Są marzeniem łuczniaka. – Poszukał spojrzeniem Dryga, który zajmował pozycję daleko na prawo, a starszy z łuczników uniósł łuk.

Rozmyślny zrobił to samo i wypatrzył Osiełka na drugim skrzydle.

– Jak najszybciej, chłopaki – powiedział.

Zwolnili cięciwy.

Koniec walki wyglądał żałośnie.

Ciężkie strzały zdziesiątkowały Moreańczyków, których szarża została przełamana jeszcze zanim się w pełni zaczęła. Ale Moreańczycy byli weteranami setek walk i jeśli nigdy dotąd nie spotkali się z takim zgranym, zdyscyplinowanym ostrzałem, to mieli dobrych dowódców i długie doświadczenie tak w zwyciężaniu, jak i w przegrywaniu. Poszarpany szereg wycofał się poza zasięg strzał i przegrupował. Niektórzy stradioci mieli wschodnie łuki i odpowiedzieli na strzały.

– Na koń! – rozkazał kapitan. Sam przez cały czas siedział w siodle. Do Złego Toma, który stał przy nim, powiedział: – Ruszymy prosto na nich. Musimy to skończyć; nie chcemy, żeby nękali nas po nocy.

Tom wyszczerzył zęby i skinął na Ranalda, który potrzęsnał pięścią w powietrzu, żeby pokazać swoim ludziom, że mają kończyć.

Rozmyślny Mord miał zastrzeżenia.

– Panie, dałbym im jeszcze posmakować gęsiego pierza, zanim na nich ruszymy. Nie pękli, spójrz tylko.

Kapitan patrzył, jak nieprzyjaciel się przegrupowuje.

– Ludzie są znacznie bardziej skomplikowani niż stworzenia Dżicy. Chcę zostawić przy życiu tylu, ilu tylko się da. Zabijamy podatników i żołnierzy naszych pracodawców.

Paziowie podprowadzali konie. Zjawiła się mała Nell.

– Bierz swoją pierdoloną chabetę – syknęła do Rozmyślnego, który stał przy głowie rumaka kapitana.

Tym razem w kopiach ser Alkajosa panował większy porządek i ruszyli wszyscy razem.

Gdy znaleźli się w odległości stu kroków od nieprzyjaciela, Moreańczycy rozpoczęli odwrót, spodziewając się następnego ostrzału.

– Do ataku! – krzyknął kapitan.

Trzeba trzech kroków, żeby wyszkolony koń przeszedł od szybkiego kłusu w galop, i zbrojni ruszyli. Trębacz tym razem poprawnie zagrał sygnał – najwyraźniej był to ten jedyny, który naprawdę ćwiczył.

Moreańczycy po pięćdziesięciu krokach zrozumieli, co się dzieje.

Wróg lepiej strzelał, miał lepsze broje, a teraz z nagłą przypuszczał na nich szarżę.

Dyscyplina zawiodła. Zwołanie żołnierzy, którzy już się odwrócili plecami do nieprzyjaciela, jest prawie niemożliwe, trudniejsze do zrobienia po raz drugi i jeszcze trudniejsze, kiedy wróg już szarżuje z morderczymi zamiarami. W rezultacie, kiedy strateg ściągnął wodze, zawrócił swoją kompanię i

przypuścił kontratak na kopie Czerwonego Rycerza i Szalonego Toma, jego stradioci w czerwono-purpurowych barwach byli osamotnieni. Reszta wojska się rozproszyła, żołnierze nisko pochyleni nad końskimi karkami uciekali, żeby szukać bezpieczeństwa w dalekich wzgórzach, na swoich farmach albo w mieście.

Niewielu złapano. Cięższe galijskie konie zwalniały po stu krokach, a po dwustu przechodziły z cwału w krótki galop.

Jednak pośrodku pola rycerze starli się ze strażą przyboczną wrogiego generała i temu zderzeniu towarzyszył trzask, który dał się słyszeć w pałacu.

Strateg, niewielki mężczyzna w ciężkiej karacenie, z rękami i nogami chronionymi przez jasnoczerwoną utwardzoną skórę, jechał na koniu z korpierzem wzmocnionym twardymi rogowymi łuskami. Złożył się kopią jak Gal, mierząc w Czerwonego Rycerza, który w odpowiedzi opuścił swoją kopię.

Strateg nie planował rycerskiej potyczki – dwa kroki od starcia zniżył kopię i wbił ją w pierś wałacha, zabijając go na miejscu, ale Czerwony Rycerz trafił kopią w brzeg tarczy Moreańczyka i zdarł go z siodła. Rycerz, strateg i konie z trzaskiem runęli na ziemię, wzbijając obłok pyłu.

Zły Tom wysadził z siodła trzech Moreańczyków, jednego po drugim, miażdżąc skórzane pancerze i z trzaskiem rzucając ich na ziemię, aż grot kopii trafił w trzecią ofiarę, przebijając kolczugę, skórę, pikowane płótno, ciało, żebra i płuca. Mężczyzna spadł z konia, przeszyty jak kapłon na rożnie, i pociągnął ze sobą kopię, więc Tom wypuścił ją z ręki. Obrócił konia, dobywając wielkiego miecza, kiedy zrozumiał, że nigdzie nie widać jego kapitana.

Zawrócił konia w podnoszące się tumany kurzu.

Czerwony Rycerz powoli dźwignął się na kolana i z trudem zassał powietrze. Nie spodziewał się upadku i wrzasnął, gdy uderzył plecami w kamień – tylko naplecznik uchronił go przed złamaniem biodra albo kręgosłupa. Nie miał miecza, bo pas pękł wskutek upadku.

Spostrzegł, że pod jego prawą stopą leży sakwa z przytroczonym do niej sztyletem tarczowym o żelaznym ostrzu w kształcie krótkiego kolca. Chwytał go w garść. Patrząc przez szczeliny w zasłonie przyłbicy, szukał miecza, gdy konie wokół niego tłukły kopytami i wzbijały oślepiający, dławiący pył. Miał tylko chwilę – otaczały go rosłe rumaki i grzechot walczących mieczami opancerzonych ludzi.

Podciągnął prawą nogę. Ostrze zimnego bólu przeszło prawe biodro.

Moreański strateg wyłonił się z pyłu jak nieuchronny czarny charakter romansu. Miał ciężki krótki miecz w prawicy i posiekaną tarczę z pięknie namalowaną Maryją Dziewicą na lewym ramieniu.

– Poddaj się! – krzyknął Czerwony Rycerz w górnym archaickim.

Strateg parsknął.

– Co?

– Twoje wojsko zostało pobite. Poddaj się. – Czerwony Rycerz ostrożnie poruszył biodrami, jak człowiek, który muska językiem bolący ząb. Nie było dobrze.

*Nie, nie mogę nic zrobić.*

*Dzięki, starcze.*

Kilka kroków dalej ser Jehan powalił na ziemię jednego z tych, którzy nieśli ikony, przebijając się przez jego gardę i siekąc mieczem w nieosłoniętą twarz.

– Heretycki barbarzyńco! – krzyknął strateg. – Jestem Michael Tzoukes! Moi przodkowie walczyli z niewiernymi i irkami, kiedy twoi mieszkali w słomianych chałupach i oddawali cześć bożkom. Nie poddam się tobie.

Czerwony Rycerz westchnął i przyjął gardę zwaną „wszystkie bramy są żelazne”. Skrzyżował nadgarstki, z odwróconym sztyletem w prawej ręce, lewą trzymając szpic. Trójkątne w przekroju ostrze było długie na półtorej stopy, a rękojeść miała z obu stron stalowe tarczki, które idealnie przylegały do pancernej rękawicy, dzięki czemu sztylet tworzył z ręką jednolitą stalową powierzchnię do parowania ostrza wroga.

Pył potyczki osiadał, widoczność się poprawiała. Moreańczycy zostali rozgromieni, a w centrum wybici do nogi. Ponad tuzin zbrojnych Czerwonego Rycerza zbliżał się do stratega.

Dzieliło ich jeszcze sześć stóp. Czerwony Rycerz się cofnął, spróbował unieść zasłonę hełmu i w nagrodę za te starania ból sparaliżował mu prawą nogę. Z pewnością krzyknął wewnątrz hełmu.

– Odstąpić! – wykrztusił.

Strateg się rozejrzał, warknął i skoczył. Jego ciężki miecz spadł jak błyskawica...

...na skrzyżowane ręce Czerwonego Rycerza i stalowe ostrze sztyletu. Przeklinając bolące biodro, Czerwony Rycerz przesunął się do przodu, lewą ręką puścił sztylet, zablokował nim głównię przeciwnika i obrócił – nagły, niezamierzony wdech i potknięcie świadczyły, jak wielki ból może sprawiać biodro – po czym rozłożył ręce, wyrwijąc miecz Moreańczykowi i jednym

płynnym ruchem łamiąc mu rękę w łokciu.

Nie mając litości dla obolałego biodra ani dla przeciwnika, szarpnął mężczyznę za złamaną rękę, wsuwając stopę pomiędzy jego nogi, i rzucił go na ziemię.

- Poddaj się – powiedział, posapując z bólu i starając się to ukryć.
- Poddaję się – syknął Moreańczyk.

Ser Alkajos przejął dowodzenie nad moreańskimi jeńcami, podczas gdy łucznicy brutalnie i skutecznie łupili moreański obóz. Kapitan powiedział, że mają na to jedną godzinę, i żaden z nich nie miał zamiaru zostawić tam ani jednego srebrnego solidu. Wyrzucono zawartość kufrów, pocięto ubrania, przewrócono namioty.

Ser Alkajos przezornie uprzedził kapitana, że kobiety w obozie prawdopodobnie są żonami stradiotów, a nie ladacznicami. Zbrojni pod wodzą Pyskatej otoczyli je i zamknęli w zagrodzie, w której Moreańczycy jeszcze parę minut wcześniej trzymali zapasowe konie. Jeśli kobiety uznały to za miłosierne uwolnienie od groźby gwałtu i gwałtownej śmierci, nie okazały wdzięczności. Wrzeszczały, opierały się i klęły. Na szczęście niewielu zbrojnych znało archaicki.

Kompania zabrała wszystkie wozy i zwierzęta.

Kapitan był niemal jedynym człowiekiem, który został ranny. Próbował zdusić ból, chłonał silnie światło słońca i wypróbował niedawno odkryte moce uzdrawiające, oddziałując nimi na obrażenia, lecz albo coś robił źle, albo jego stan się pogarszał.

– Mam nadzieję, że mogłeś się nacieszyć porządną walką w środku zmarowanego dnia – powiedział Zły Tom. – To było żałosne. Chcę wrócić do walki z Dzięzą.

– Tomie, mieli trzykrotną przewagę. Czego się czepiasz? Zaskoczyliśmy ich. Wątpię, czy ponownie dopisze nam takie szczęście. – Kapitan się skrzywił.

– Zabił kopią twojego rumaka? Sprytne. – Tom wyszczerzył zęby. – Paskudny upadek. Nie byłeś przygotowany.

– Postąpił wbrew prawom rycerskim – wtrącił Michael. – Proszę, złupiłem trochę dobrego białego wina.

– Nie sądzę, żeby ciebie obowiązywały te same prawa – skomentował Tom.

– Musiałeś łamać mu rękę? – zapytał Michael.

– Chciał mnie zabić – odparł kapitan.  
Tom się roześmiał.

Po godzinie kompania pomaszerowała na zachód wokół murów, prowadząc setkę jeńców i dwadzieścia nowych wozów, ścigana wyłącznie przez złorzenia tysiąca niespodziewanie owdowiających kobiet.

Droga była nadzwyczajna, ale dopiero późnym popołudniem kompania ujrzała główną armię diuka Tracji rozciągniętą w szyku bojowym naprzeciwko Bramy Aresa. Moreańczycy nie zostali zaskoczeni i gdy uformowane w marszu w odległości mili szeregi bojowe Czerwonego Rycerza weszły na niskie wzniesienie na krańcach starożytnego pola, moreańska armia ustąpiła pola, żeby uniknąć oskrzydlenia.

Moreańska linia była trzy razy dłuższa niż linia kompanii. I głębsza. Diuk Tracji miał cztery dobre kompanie opancerzonych piechurów z długimi włóczniami, z łucznikami w piątym i szóstym szeregu, stanowiące środek linii. Na lewej flance rozlokował ciężkozbrojnych żołnierzy w albańskim stylu, a na prawej stradiotów i wojowników ze Wschodu.

Oddział wschodnich wojowników przesuwał się coraz dalej w prawo na pozornie bezkresnym Polu Aresowym, galopując wokół flanki kompanii najemników. Kompania w odpowiedzi utworzyła płytki prostokąt z taborem w środku.

– Wyczuwam ich magistra – powiedział kapitan do nikogo w szczególności.

Ser Jehan podjechał kłusem.

– Musimy się wycofać i zabezpieczyć jedno skrzydło – oświadczył.

– Powinniśmy ich poczęstować jesionowymi drzewcami, a potem przypuścić szarżę – powiedział ser Thomas.

Kapitan stanął w strzemionach i jego biodro wrzasnęło na znak protestu. Jego szpetny, pożyczony koń założył, że ma prawo pozbyć się niechcianego jeźdźca i pogalopować, gdzie oczy poniosą, więc kapitan dziko ściągnął wodze.

Ser Jehan zakasłał.

– Kapitanie, ludzie są zmęczeni, stoczyliśmy już dzisiaj potyczkę, a wróg ma znaczną przewagę liczebną. Jest dobrze uzbrojony i wyszkolony. Z całym szacunkiem, sugeruję...

Tom splunął.

– Pierzyć to. Możemy ich pokonać.

Jehan przymrużył oczy.

– Tom, wcale nie jesteś taki mądry, jak ci się zdaje. To głupota. Może zdolamy wygrać, ale stracimy wielu chłopców. I w imię czego?

– Wardarioci uderzą od flanki i bitwa będzie wygrana – powiedział kapitan.

– Albo nie i wtedy będzie po nas. Kogo to obchodzi? Tak czy siak, dostaniemy zapłatę. Chryste na krzyżu... jesteśmy najemnikami. Co w was obu wstąpiło? Wycofajmy się, jutro ich rozgromimy z tymi jak ich tam zwiesz na naszych flankach.

Kapitan prześwidrował go wzrokiem.

– Wykorzystamy wozy, żeby osłonić flanki. Naprzód.

– Po prostu chcesz się chwalić, że wygrałeś dwie bitwy jednego dnia, arogancki szczeniaku. I ludzie zginą przez twoją... twoją... – Jehan się jękał zdjęty gniewem doświadczonego oficera.

Tom się roześmiał.

– To wariat, bez dwóch zdań. Oszczędzaj tchu, żeby podmuchać na owsiankę, chłopcze. Będziemy walczyć.

– Patrzcie! – krzyknął despota. Pochylił się nad końskim karkiem i wskazał ręką wroga. – Mają nasze obie ikony! Tzoukes nas zdradził!

Diuk nie wygrał wszystkich bitew w swoim życiu i umiał poczuć pismo nosem. Staął w strzemionach.

– Gówno prawda. I mówienie głośno takich rzeczy nie zapewni ci uznania.

– Osłonił oczy dłonią i spojrzał na lśniące, zakute w stal szeregi swoich nowych przeciwników. Wardarioci wciąż się trzymali za bezpiecznymi murami miasta.

Magister zaczął gromadzić moc. *Ops* była falista i naprężona. Wiedział, że nie jest jedynym magiem na tym polu, a rana, którą mu zadał mistrz szpiegów i przyboczny cesarza, rozpraszała go i osłabiała jego czary.

– Mają ze sobą potężnego maga – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Na ukrzyżowanego Chrystusa, panie... mają dwóch. – Odetchnął i dodał tak, jakby biegł w wyścigu: – Nie, czterech. Może pięciu... Na Parthenos, panie!

– Pokonał Tzoukesa i ma jeszcze odwód. Nie pokazuje mi wszystkich swoich włóczni – powiedział diuk. – Mimo wszystko jest barbarzyńcą, w przeciwieństwie do nas. Dajmy mu do wiwatu. – Skinął na chorążych.

Trębacze zadęli w rogi turów i dźwięk poniósł się jak krzyki stworzeń Dzi-  
czy.

Armia moreańska ruszyła. Szyk robił wrażenie – najemni rycerze na lewym skrzydle, pięć wielkich prostokątów piechoty pośrodku, diuk ze stradiotami na prawej flance, a kilkaset jardów z tyłu cienka druga linia, złożona głównie z ludzi na kiepskich koniach i obozowych pachółków, lecz mimo wszystko była to druga linia.

Armia była na tyle mała, żeby wygłosić krótką mowę, więc diuk podjechał do środka linii, zadarł stalowy hełm i stanął w strzemionach.

– Towarzysze! – ryknął. – Ci cudzoziemcy niewiele się różnią od swoich poprzedników! To barbarzyńcy, którzy przybywają po nasze bogactwa i nasze córki, i nie zostawiają nam niczego poza prawem do życia w niewoli, podczas gdy nasi ojcowie byli wielkimi panami. Ten najemnik ma na swoje poparcie tylko arogancję. My mamy Boga po naszej stronie. Naprzód z Bogiem!

Jego ludzie ryknęli. Włócznicy pośrodku – weterani od jego pierwszych dni dowodzenia – podnieśli złocone hełmy na włóczniach i skandowali jego imię, nazywając go cesarzem.

Diuk Andronikus pogalopował do swojej małej grupy dowodzenia i skinął ręką na syna.

– Zaatakujemy obie flanki. Dopilnuj, by twoi wojownicy zaszli od lewej, żeby moi hetajrowie mogli go dobić.

Złotowłose Demetriusz zasalutował elegancko.

– Jak każesz, ojcze! – krzyknął wesoło i pogalopował w prawo.

Kronmir siedział wygodnie na końskim grzbiecie, patrząc na daleką bramę miasta.

– Wygląda mi na to, że ten najemnik spodziewa się pomocy – rzekł.

– Jest tylko arogancki. Galowie i Albanowie... zwyciężalem jednych i drugich. – Diuk uśmiechnął się ponuro. – To też zakrawa na pychę. Ale z bożą pomocą... – Spojrzał na zachód, w kierunku swoich wrogów.

Nieprzyjacielski tabor nadciągał.

Diuk patrzył, jadąc na koniu w tempie włóczników maszerujących przez wysoką trawę. Zobaczył, że tabor się dzieli. Gdzieś w środku powstało zamieszanie i uśmiechnął się na ten widok.

Nieprzyjaciel zsiadał z koni, ale ich trąbka brzmiała fałszywie i ludzie na obu końcach linii wyraźnie nie byli pewni, co robić. Wciąż dzieliło ich trzysta kroków. Diuk Andronikus spokojnie obserwował przebieg swojego podręcznikowego ataku na barbarzyńców. Spojrzał w lewo – najemni rycerze się przesuwali, zmieniając pozycję, żeby oflankować wroga i odciąć mu drogę



do bramy. Ser Bescanon znał się na swoim rzemiośle.

Po prawej stronie jego syn starannie utrzymywał linię. Nie chciał zbyt szeroko rozwijać szeregu do chwili rozpoczęcia walki. Barbarzyńcy nigdy nie widzieli niczego poza bezpośrednim zagrożeniem.

Dwieście siedemdziesiąt pięć kroków. Strata najwierniejszego zastępcy i dwóch ikon była irytująca, ale Andronikus zamierzał odzyskać całą trójkę przed zachodem słońca. Słońce opadało, więc jeśli starcie potrwa dłużej niż godzinę, zaczną świecić w oczy jego ludzi. Drobiazg, ale tego rodzaju, na który zawsze zwracali uwagę cesarscy dowódcy.

Ostatni barbarzyńcy zsiadli z koni. Chcąc nie chcąc, diuk musiał podziwiać dyscyplinę pachołków odprowadzających wierzchowce i klął, że barbarzyńcy są dość bogaci, żeby każdy ich człowiek miał konia, podczas gdy cesarstwo było stać ledwie na kilkuset zawodowych kawalerzystów.

Piechotę wroga stanowili łucznicy. Wiedział o tym, lecz mimo to był nieco zaskoczony gęstwą ich pierwszego ostrzału, a zwłaszcza jego zasięgiem.

Ludzie padali.

Gdy jego ludzie miarowo maszerowali do przodu, Andronikus usiłował zrozumieć, co się dzieje. Opancerzeni piechurzy padali rażeni strzałami.

Drugi, trzeci i czwarty grad strzał spadał tak szybko, że stracił rachubę. Środek formacji się zachwiał – zwolnił, linia się wygięła.

Ser Christos, jeden z jego najlepszych oficerów i hrabia piechoty, wyskoczył przed szereg i przyjął dwie strzały na ciężką tarczę, lecz mimo to zdołał unieść miecz.

– Naprzód, towarzysze! – krzyknął i jego wysoki głos poniósł się jak pieśń.

Piechota ruszyła, chwilowe wahanie popadło w zapomnienie.

– Teraz to jest armia z prawdziwego zdarzenia – powiedział z satysfakcją Zły Tom. – Dobrze, że irkowie tak nie reagują.

Trzy końskie długości od Toma kompanijni łucznicy stękali i jak najszybciej wypuszczali strzały, które cesarska piechota przyjmowała na tarcze. Ludzie padali, ale duże okrągłe osłony miały grubość trzech desek, były obite skórą i brązem, a trzymający je ludzie byli roslymi, krzepkimi osiłkami w kolczugach albo karacenach i wciąż szli – już byli tak blisko, że łucznicy widzieli ich twarze.

Kapitan spojrzał w prawo, gdzie zamiast muru wozów, który miał osłaniać flankę, panował chaos wzniesiony przez spanikowanych wozaków.

Szwaczka Mag wskoczyła na wóz, zaczęła wrzeszczeć na otaczających ją mężczyzn i zrobiła coś hermetycznego. Kapitan odczuł dziwną pustkę, której magowie zawsze doświadczają przed rzuceniem przez kogoś czarów, i zobaczył, że jeden z wozów stanął, a konie wibrowały niczym struny lutni.

Dobrze jej życzył, ale cokolwiek robiła, było za późno, ponieważ pięciuset nieprzyjacielskich żołnierzy zamierzało zaatakować to skrzydło.

*Używa mnóstwo mocy i przyciąga uwagę nieprzyjacielskiego magistra.*

*Zamknij się, Harmodiuszu!* Kapitan przyłożył rękę do skroni. *Jeśli się teraz rozchoruję, przegramy.*

Odwrócił się.

– Tom, tam. – Wskazał kopią.

Zły Tom wyszczerzył zęby w obłąkańczym uśmiechu.

– Za mną, chłopcy! – krzyknął. Musiał dostrzec Pyskatą, bo dodał: – I dziewczęta! Ha! Klin, do mnie!

Kapitan miał wokół siebie jedną trzecią zbrojnych – ser Gawina, ser Michaela, ser Alkajosa, Ranalda, wszystkich górali i innych.

– Ruszać! – rozkazał.

Po chwili został sam za linią łuczników. Klin Toma się formował, a Mag wciąż wrzeszczała na mężczyzn i kobiety w taborze.

Bolało go biodro.

Do nikogo w szczególności powiedział:

– Spierdoliłem sprawę.

Cofnął konia i obrócił jego głowę, żeby spojrzeć w lewo. Tam tworzenie muru szło znacznie lepiej i Dryg już miał osłonięty wozami koniec linii, podczas gdy woźnice wyprzęgli konie i spinali osie łańcuchami. Przećwiczyli to, ale było jasne, że ćwiczyli za mało.

Spojrzał na nadciągający mur moreańskiej piechoty. Były w nim luki i szeregi trochę przypominały falującą chorągiew. Gdyby miał jeszcze jedną setkę zbrojnych, mógłby...

– Gelfredzie! – krzyknął. – Jedź za klinem Toma i zrób, co możesz.

Zwiadowcy Gelfreda stanowili jego jedyną rezerwę. Reszta zbrojnych i giermków była spieszona, podobnie jak łucznicy.

Z przodu po lewej wezbrały fale *ops*. Czuł, jak magia emanuje od kogoś naprawdę bardzo potężnego...

*Harmodiuszu.*

*Wiedziałem, że będziesz mnie potrzebować.*

Cokolwiek rzucił wróg, ścinało trawę w drodze do linii łuczników. Ludzie

się wzdrygnęli, gdy nagle wielka kosa podniosła się i zniknęła, jakby jej nigdy nie było. Kilku po lewej stronie poczuło na kolanach lodowate zimno i zaraz potem wszyscy założyli strzały na cięciwy i strzelili.

Harmodiusz zgromadził moc. Obaj z Czerwonym Rycerzem mieli wspólny problem – połączyli nawyki i eterealne szkolenie pozwalające im na dostęp do *ops* w taki sposób, że zamiast być dwoma magami z własną mocą, stali się dwoma magami zdanymi na łaskę wydatków mocy tego drugiego.

Kapitan patrzył, jak większa część jego *ops*, skwiercząc, przemyka nad ściętą przez kosę trawą i uderza w środek prostokąta piechoty. Ludzie stanęli w płomieniach. Jeden biegł chwiejnym krokiem, wrzeszcząc, tworząc kosztowną parodię człowieka.

Kolejne strzały z sykiem pomknęły ku nieprzyjacielskim szeregom. Szeregi się nie złamały.

Diuk Andronikus widział, jak oskrzydlają wroga, ale widział też utworzony przez najemników mur wozów. Zwrócił się do ser Stefanosa, swojego osobistego obrońcy.

– Śpiesz do mojego syna. Powiedz mu, żeby dalej oskrzydlał flankę wroga. Ser Stefanos zasalutował i pogalopował. Daleko od strony miasta ludzie ser Bescanona ruszyli kłusem. Andronikus zaczął wypatrywać miejsca do zadania zabójczego ciosu. – Zewrzeć szeregi, hetajrowie! – krzyknął.

Kapitan zsiadł z konia pośrodku linii obok ser Milusa, który trzymał chorągiew, i ser Jehana. Ser Jehan jeszcze nie opuścił zasłony hełmu, choć nieprzyjaciel był tylko pięćdziesiąt kroków dalej.

– Jesteśmy zbyt rozciągnięci i tak, miałeś rację – powiedział kapitan do swojego starszego oficera.

Ser Jehan na niego popatrzył – obrzucił go spojrzeniem przepelnionym czystą odrazą, przez chwilę przypominając mu o pogardzie jego ojca.

Poczuł się dotknięty do żywego.

– Jeszcze trzy! – ryknął Osiełek.

Ostatnie trzy salwy wyrządziły więcej szkód niż wszystkie poprzednie. Kapitan nigdy nie widział, żeby kompanijni łucznicy strzelali do ludzi z tak bliska.

Z tego zasięgu strzały przechodziły przez tarcze i ciała. Przez lekkie hełmy. Przez rogowe karaceny. Przez skórę wiwernów.

Setka moreańskich weteranów ginęła przy każdym strzale – ludzie, którzy służyli przez dziesięć, piętnaście lat. Najlepsi ludzie diuka Tracji polegli.

Dwa środkowe prostokąty piechoty zgubiły krok, zawahały się i zostały zdziesiątkowane.

Na flankach włócznicy pochyłili głowy i przebiegli kilka ostatnich kroków w burzy strzał.

Diuk Andronikus nie wierzył własnym oczom, gdy jego doborowi żołnierze stracili wolę walki i podali tyły. Zajmował pozycję na prawym skrzydle, więc miał ograniczone pole widzenia na swoje wojsko i nie widział natężenia burzy strzał, tylko rezultat – środek się łamał.

Pomyśleć, że byli to ludzie, którymi dowodził od czasów, kiedy był młodszym centurionem. Zostawił swoją straż przyboczną i pogalopował do nich.

– Do mnie! Do mnie, towarzysze! – ryczał, a oni przybywali.

Odwracali się i unosili głowy – jego ludzie płakali ze wstydu.

Diuk Andronikus spojrział wzdłuż drogi ich szarży i zobaczył, jak wielu zostało w polu.

– Chryste Pantokratorze... – mruknął.

Ser Christos, noszący galijską zbroję płytową i kolczugę, miał dwie strzały w napierśniku. Jego rumak został trafiony sześć razy i padł na oczach Andronikusa, młócąc powietrze kopytami. Hrabia piechoty zbyt długo podnosił się z ziemi.

Barbarzyńcy natychmiast zaatakowali ze środka, gdzie ich łucznicy okazali się tacy skuteczni.

– Do ataku! – krzyknął kapitan.

Ruszył z mieczem w garści. Jehan coś zawołał, ale kapitan dostrzegł wybawienie. Wszędzie wokół nich łucznicy rzucili łuki i dobyli mieczy, i spieszeni zbrojni runęli do przodu – kapitan prowadził ich w lewo. Ludzie przed nimi nie stanowili bezpośredniego zagrożenia.

Zaskoczyli nieprzyjacielską piechotę od flanki i wybuchnął chaos.

Czerwony Rycerz biegł, atakując prostokąt piechoty, zapominając o biodrze. Z rozpędu przewrócił pierwszego człowieka, kopnął go mocno stalowym trzewikiem, nastąpił na jego tarczę i złamał mu rękę. Dźgnął sztychem w bok następnego, przez łuski, omijając tarczę, gdy żołnierz próbował się obrócić hamowany przez długość swojej włóczni. Kapitan otrzymał włócznią cios w głowę, cios, który nim zakołysał, i upadł.

Zaczął się podnosić – grot włóczni zadzwonił o hełm, sięgnął lewą ręką i szarpnął drzewce, ciął na oślep, ostrze zadzwoniło na hełmie mężczyzny, zrobił krok i trzasnął go w twarz głowicą. Na prawo od niego ser Jehan siał spustoszenie swoim młotem bojowym, Długa Łapa obcinał ręce trzymające włócznie, a Ser Milus kompanijnym sztandarem osłaniał się przed ciosami, jednocześnie tłukąc ludzi buzdyanem. Osiełek powalił włócznika, a Rozmyślny Mord przebił leżącego krótkim mieczem. Ranny padł z grotem włóczni w mięśniu prawej nogi. Duży Paul zmarł z włócznią w gardle, a John le Bailli wszedł na jego zwłoki i pogrążył szpic topora w ciele zabójcy... Parli do przodu, nieprzyjacielska piechota ustępowała pola.

Łucznicy Dryga i zbrojni ser George'a Brewesa przypuścili atak na frontową linię włóczników i ją przełamali.

– Stać! Stać! – ryknął ser Jehan, gdy zadyszany Czerwony Rycerz osunął się na kolano.

Biodro odmówiło mu posłuszeństwa. Byli daleko za linią wozów i sto kroków od miejsca, gdzie widzieli sztandar nieprzyjacielskiego dowódcy, który zbierał niedobitków zdziesiątkowanego środka formacji.

Czerwony Rycerz się rozejrzał. Ser Jehan zawracał zwycięzców ku ich własnym liniom, zostawiając martwych i rannych wśród ciał nieprzyjaciół.

Wstał, znalazł porzuconą włócznię i wpierając się na niej, pokuśtykał za nimi. Obejrzał się i zobaczył, że nieprzyjacielscy rycerze rozpoczynają natarcie na jego odsłoniętą prawą flankę.

Głowa go rozboleła tak mocno, że niemal oślepl, gdy Harmodiusz rzucał znowu.

Andronikus patrzył, jak jego atak się załamuje, i jak rolnik, który już wcześniej widział gradobicie, spuścił głowę i zbierał swoich ludzi. Widział, jak po prawej stronie jego syn szerokim łukiem okrąża wozy wroga. Po lewej jego najemnicy zaczęli szarżę.

Ale syn był za daleko. Może, bojąc się ostrzału z łuków, wschodni jeźdźcy odjechali prawie na pół ligi w wysokiej trawie i dopiero teraz zawracali ku skrzydłu nieprzyjaciela.

– Spokojnie, przyjaciele! – ryknął Andronikus. – Spokojnie! Jeszcze nie skończyliśmy!

Rozejrzał się, szukając magistra, ale ten został ze stradiotami setki kroków dalej. Andronikus chciał, żeby mag coś zrobił.

W eterealu krople mocy przemykały w tę i z powrotem nad polem bitwy jak świetliki w letni wieczór – i gasły. Eskepiles ochronił przed ciosem cenną piechotę diuka, ale nie mógł być wszędzie naraz i odchylenie dalekich ataków było znacznie trudniejsze niż radzenie sobie z tymi bliższymi.

Jego adwersarz był zwinny i subtelny i po wypróbowaniu wielu ciężkich ciosów Eskepiles musiał uznać, że ma do czynienia z równym sobie. Przygotował warstwowany atak, mrużąc krzepiące zakłęcie i używając jednego z pierścieni na lewej ręce do zasilenia tego, co, jak miał nadzieję, będzie decydującym ciosem.

W chwili pomiędzy zapoczątkowaniem i działaniem znowu objawił się drugi mag wroga i rzucił jakiś skomplikowany czar – Eskepiles nie mógł go rozszyfrować, ale siła czarnoksiężnika sprawiła, że jeszcze raz zmienił taktykę.

Najważniejsza dla niego zawsze była samoobrona. Uniósł warstwowaną tarczę i pozwolił, żeby jego złożony atak się rozproszył bez zasilania go mocą.

Zły Tom pędził na szpicy klina, z pośpiesznie zebranych prawie sześćdziesięcioma rycerzami i zbrojnymi – dwóch zaraz za nim, potem trzech, czterech i tak dalej. Patrzył, jak nieprzyjacielscy żołnierze opuszczają kopie i ruszają truchtem, i wyszczerzył zęby.

– To mi się bardziej podoba – mruknął. Spiał konia ostrogami.

Klin wyłonił się z chaosu wozów, gdzie Mag próbowała zaprowadzić porządek wśród koni i wołów, i skręcił na wschód ku szarżującym rycerzom. Ziemia dygotała pod końskimi kopytami.

Nieprzyjaciel musiał skręcić, żeby stawić czoło niespodziewanemu zagrożeniu, i luźna formacja zaczęła się rozpadać.

Łucznicy z prawej flanki zwolnili cięciwy i ciężkie strzały przetrzebiły szeregi, uderzając w niczym niechronione zady rumaków. Tom opuścił kopie, schylił głowę i skulił ramiona. Cały świat stał się grotem kopii i mężczyzną w czerwieni i złocie, którego wybrał na cel. Ryknął, gdy kopia uderzyła, powalając przeciwnika i konia. Tom rzucił kopie z grotem wplątany w trzewia mężczyzny i zdjął topór z łuku, robiąc unik przed wymierzoną w niego kopią. Ciął i uniósł topór, żeby się osłonić przed następną, a potem był głęboko w szeregach wroga, za drzewcami kopii, jego okrzyk bojowy wydawał się żywym stworzeniem zamkniętym pod zasłoną hełmu. Stał w strzemionach, zaskoczył jakiegoś rycerza miażdżącym ciosem znad głowy, spawy w dzwo-

nie hełmu pękły, mózg wyciekł jak sok z rozbitego melona. Tom ryknął z radości i jego obłąkańczy śmiech płynął z okrzykiem bitewnym. Za nim doborowi rycerze kompanii wyrwali dziurę szerokości klina, rozbijając środek szarży, a potem klin się otworzył niczym stalowy pączek i nieprzyjacielscy najemnicy, ściśnięci pomiędzy murem wozów a szaleńcem z toporem, postanowili postawić rozważę nad odwagą i się wycofali.

Stojąc na skrzyni wozu, Mag obserwowała przebieg szarży. Spróbowała nucić jeden czar, żeby podporządkować wszystkie konie swojej woli, i straciła wątek, a potem zobaczyła, jak konna rezerwa kompanii rzuca się na znacznie liczniejszego wroga niczym ucieleśnienie zbawienia. Ziemia się trzęsła. Woźnice schowali się pod wozami, konie wierzgały, kopały, gryzły jeden drugiego – wóz się przewrócił, płosząc zwierzęta zaprzęgowe po obu stronach, i gdzieś wrzeszczał chłopak.

Gdzieś w eterealu znajomy głos poprosił ją o skierowanie mocy i zareagowała, zanim miała czas pomyśleć: Przecież Harmodiusz nie żyje.

– Narzuć warunki, jakie możesz – warknął Jehan. – Teraz, gdy ich kåsamy.

Czerwony Rycerz miał zbroję pokrytą kurzem, brudny tabard i czuł ból kilku ran. Biodro chyba nie pękło, ale coś było z nim nie w porządku i nie mógł się zmusić, żeby wsiąść na konia. Widział, jak diuk Andronikus cierpliwie zbiera swoich ludzi.

Jednak Zły Tom dopiął swego – nie tylko zatrzymał rycerzy wroga, ale zyskiwał nad nimi przewagę.

Spojrzał w lewo i daleko w polu zobaczył oskrzydłających ich nieprzyjaciół.

– Kiedy przybędą, wyprują nam flaki. – Ser Jehan miał otwartą przyłbicę i dyszał przy każdym słowie. – Na Świętego Jerzego, kapitanie, może nie przybędą. Ale nie zatrzymamy drugiej takiej szarży.

Czerwony Rycerz popatrzył na swojego mentora w sztuce prowadzenia wojny i zmusił się, żeby podejść do konia.

– Musisz. Musimy. Bez względu na moje dzisiejsze błędy kompania się trzyma. Musimy zwyciężyć. Trzymaj się.

Jehan splunął.

Osiełek patrzył na swój łuk.

– Zostało szesnaście strzał, kapitanie – zameldował.

Kapitan spojrzał na swojego szpetnego wałacha, po czym z desperackim,

nieceleganckim wymachem zdołał przerzucić prawą nogę niemal na drugą stronę siodła. Koń nie zaprotestował – po dręczącej chwili kapitan opadł na siodło i wsunął prawą stopę w strzemię.

– Jehanie, dowodzisz. Jadę do wardariotów. Nie przegraj. – Zdobył się na uśmiech. – To wszystko, o co proszę.

Diuk utworzył szereg piechoty. Ludzie pozbierali porzucone tarcze i się uzbroili. Łucznicy stali w niebezpiecznym milczeniu, ze strzałami na cięciwach, ale nie strzelali.

Diuk patrzył, jak rozproszone resztki najemnych rycerzy się organizują, wiedział jednak, że nie przypuszczają ponownego ataku. Nie dostali żołądu i byli nieobliczalni. Ser Bescanon jechał ku niemu po stratowanej trawie.

Spojrzał w drugą stronę i zobaczył, że poszarzały na twarzy Eskepiles robi coś, co wyglądało jak walka z cieniem. Z odrazą odwrócił głowę.

Tuż przy nim ser Christos siedział na koniu i groził pięścią miastu.

– Patrzcie! Niewdzięczni głupcy!

Brama Aresa się otworzyła.

Odziani w szkarłat wardarioci na dobranych gniadoszach wyjeżdżali z miasta w zwartej kolumnie, czwórkami.

Jeden szkarłatny jeździec oderwał się od szeregów wroga i galopował z towarzyszem w słońcu późnego popołudnia, wzbijając obłoki kurzu. Spotkał się z kolumną wyjeżdżającą przez żelazną bramę – i został przez nią wchłonięty.

Czerwony Rycerz pojechał do wardariotów, mając tylko trębacza do towarzystwa.

Dowódcą wardariotów też był człowiek ze Wschodu – jego ogorzała skóra i głęboko osadzone oczy świadczyły, że widział niezliczone zimy i lata na stepach. Miał czerwony kaftan haftowany jedwabiem w złote kwiaty, podbity ciemnobrązowym futrem, i wspaniały lakierowany chiński łuk w futerale, który wyglądał na wykuty z czystego złota, a także złotą, emaliowaną buławę z dwugłowym orłem z błękitnej stali.

Uśmiechnął się, zawrócił konia i obaj z Czerwonym Rycerzem krążyli niczym dwa ptaki w skomplikowanym tańcu godowym.

– Twój koń jest gównem wart – powiedział. – Masz pieniądze?

– Twój koń jest piękny. I mam pieniądze.

Czerwony Rycerz ściągnął wodze i ruszył w stronę mężczyzny, który zro-



bił to samo, więc znaleźli się w matematycznym środku okręgu.

– Radi i Włach przyglądali się z murów twojej walce – powiedział niewysoki mężczyzna. – Pokonałeś Moreańczyków godzinę temu. Gdzie byłeś?

– Łupiłem – odparł Czerwony Rycerz. – Jak sądzisz, jak inaczej mógłbym ci zapłacić?

Wojownik parsknął. Jeśli miał to być śmiech, bardziej przypominał szczeknięcie psa.

– Coś ci powiem, Stalowy Człowieku. Jesteśmy lojalni do szpiku kości. Niektórzy z moich awiladharów mogliby się poczuć urażeni, gdyby usłyszeli, że według ciebie można nas kupić.

Czerwony Rycerz uniósł zasłonę przyłbicy.

– Nie proponuję ci kupna. Proponuję uregulowanie zaległego żołdu. Możemy przejść do interesów? Chcę nakopać diukowi do tyłka. Gdzie byłeś?

Mężczyzna z buzdyanem wyszczerzył zęby.

– Tuż po drugiej stronie bramy, patrząc, co wyczyniasz. Musisz się wiele nauczyć o wojnie. – Szczeknął okrutnym śmiechem. – Ale twoi ludzie są dzielni jak skurwysyn, co?

Wyciągnął rękę i kapitan zrobił to samo. Chwycili się dłońmi za łokcie. Wardarioci wrzasnęli wielce nie po moreańsku.

– Mów mi Zak – powiedział mężczyzna.

Czerwony Rycerz pokręcił głową.

– Mów mi kapitanie.

Mężczyzna nie przestał się uśmiechać.

– Kap-tan? – zapytał. – Dziwne imię. Ale tak, jasne. Posłuchaj, Kap-tanie. Chcesz, żebyśmy zrobili coś w sprawie naszych kuzynów zajętych atakowaniem twojej flanki?

Czerwony Rycerz stanął w strzemionach, patrząc na tumany kurzu, i zdecydowanie pokiwał głową.

– Tak – odparł.

– Zabić ich czy zwerbować?

Kapitan się uśmiechnął.

– Być może mamy przed sobą pracowite lato, Zak. Wolałbym ich zwerbować.

– Jasne. Posłuchaj, Kap-tan. Zajmiemy się nimi. Co ty chcesz zrobić? Mają potężnego szamana.

*Co do tego nie będę się spierać*, powiedział Harmodiusz w pałacu pamięci Czerwonego Rycerza.

*Jest potężniejszy niż potężny Harmodiusz?*

*Nie widziałeś błyskawicy uderzającej w twoich rycerzy, prawda? Będę potrzebować wszelkich rezerw mocy, jakimi dysponujesz, jeśli można.*

– Planuję jechać prosto w zasięg strzału z łuku, ostrzelać konie i zmusić go do ucieczki, skoro teraz mogę liczyć na nasze flanki. Będę ci wdzięczny za wsparcie. – Czerwony Rycerz się uklonił.

– Dobrze! – powiedział wojownik. – Pojadę i zabiję pierdolonego Krulla, którego nienawidzę, a potem runę na północne skrzydło diuka, niech ten pierdolony zdrajca zgnije w starożytnym zamrożonym piekle mojego ludu. Pamiętaj o naszej zapłacie. – Zasalutował buzdycanem, dziwnie wdzięcznym ruchem przykładając grzbiet prawej ręki do czoła.

– Krulla? – zapytał Czerwony Rycerz.

– Jest szwagrem mojego kuzyna udającym wielkiego chana. To sprawa ludzi stepów, nie kamiennych domów. – Mężczyzna błysnął uśmiechem, oczy mu się zaskrzyły. – Później wrócimy do miasta i może sprzedam ci konia. Nie gównianego konia. Tak?

– Jasne – odparł kapitan.

Wardarioci ruszyli niczym stado ptaków, które wszystkie naraz zrywają się z drzewa na widok nadciągającego drapieżnika. Ale byli stadem lwów, nie łowną zwierzyną.

Diuk Andronikus patrzył, jak wardarioci w tuzin kroków przechodzą w galop i niczym woda przepływają wzdłuż tyłów nieprzyjacielskiej formacji, po czym jak strzała wystrzelona z wyjątkowo potężnego łuku mkną prosto na wschodnich łuczników jego syna. Wschodni wojownicy na lżejszych wierzchowcach zawrócili niczym ławica ryb i uciekali zawzięcie ścigani przez odzianych w szarłat wardariotów.

– Skurwysyn – syknął. – Marcos! Christos! Do mnie. Kronmir! Zbierz swoich bezużytecznych cyrkowców i znajdź mi drogę na północny wschód. – Cofnął konia.

Ryknęły turze rogi.

Kronmir obrócił konia i ich wierzchowce stanęły pyskami do ogonów.

– Możesz go jeszcze pokonać – powiedział. – Jeśli odmaszerujemy spod miasta, stracimy większość poparcia wewnątrz murów. I zostawimy... – Strzelił wzrokiem na boki. – Ona odniesie korzyść naszym kosztem.

Diuk Andronikus wzruszył ramionami.

– Jeśli dziś się wycofam i popełnię błąd, niczego nie stracę. Jeśli będę wal-

czyć i popełnię błąd, stracę wszystko. Eskepiles mówi, że ten cudzoziemiec ma potężne czary. Już pokonał Tzoukesa. Zobaczmy, co przyniesie jutro. – Popatrzyl na swojego towarzysza. – Co do tej suki, niech zgnije. Chciała uderzyć nas nożem w plecy? Niech jej będzie.

Kronmir pogładził brodę.

– Obawiam się, że być może właśnie tak to zaplanowała. – Wzruszył ramionami. – Próbowaliśmy ją zabić – dodał cicho.

Kiedy książę nie odpowiedział, Kronmir zsalutował pejczem i poprowadził swoich zwiadowców na północ, oddalając się od linii bitwy.

Zanim słońce obniżyło się o szerokość palca, w tumanach zaczerwienionego przez nie pyłu podjechał Demetriusz, złotowłosa w złoczonej zbroi.

– Wycofujemy się?! – krzyknął.

Diuk Andronikus wzruszył ramionami nagle bardzo zmęczony.

– Chyba sam widzisz – odparł.

Twarz jego syna się ożywiła. Czerwone i białe plamki wystąpiły mu na policzkach i wysunął podbródek jak bardzo mały chłopiec, któremu rozzłoszczony ojciec zabrał drewniany mieczyk.

Z wysiłkiem się opanował.

– Wina spadnie na twoją głowę – powiedział.

– Zgadza się, chłopcze. Kiedy zostaniesz diukiem albo cesarzem, będziesz mógł podejmować decyzje. Dzisiaj ja decyduję. I mówię zabierajmy się stąd.

– Obrócił się w siodle. – Eskepilesie! Ocknij się, stary.

Ascetyczna twarz magistra wciąż była poszarzała i ciężkie powieki opadały mu na oczy, jakby zaraz miał zasnąć.

– Zablokowali wszystkie moje czary – mruknął.

Diuk pokręcił głową.

– Oszczędź mi tych bzdur, Eskepilesie. Potrzebuję drobnej pomocy. Co sądzisz o sprokurowaniu mgły?

Eskepiles westchnął.

– To wcale nie bzdury, panie. Podjąłem trzy próby i każda z nich zawiodła.

Despota potrząsnął jasnymi włosami.

– Dlaczego nigdy nie możemy zobaczyć tych wielkich wysiłków? – zapytał.

Eskepiles ściągnął usta.

– Mgła – powiedział.

– Święty Bazylu i wszystkie falangi świętych... – powiedział Lykos Ducas, chorąży księcia i weteran pięćdziesięciu bitew. Wskazywał mieczem.

Wardarioci dosiadali pełnokrwistych wierzchowców, a wojownicy despoty mieli stepowe kuce. Pościg dojeżdżał do uciekinierów, dopadał, łapał.

Po chwili dwa oddziały spotkały się w wirze kurzu i mogło się zdawać, że wszystkie konie stanęły.

Kłęby pyłu zasłoniły potyczkę.

Diuk Andronikus splunął.

– Mamy piętnaście minut, zanim objadą nasze skrzydło i odetną nam drogę ucieczki – powiedział. – Lykosie, niech tabor rusza. Zabrać wszystko, co tylko można uratować. Do licha, Eskepilesie, podnieś trochę mgły! Zaczaruj słońce na niebie! Niech zgaśnie!

Despota Demetriusz przycisnął łokieć do pasa i obrócił się w siodle. Był niezrównanym jeźdźcem i zdało się, że płynie razem ze swoim wierzchowcem, jakby byli jednym stworzeniem.

– Ucieczka jest niegodna. Stańmy do walki.

Ser Lykos go zignorował i pojechał do taboru.

Eskepiles wszedł w chłodną ciemność swojej bazyliki mocy i przygotowywał skomplikowany fantazm, przechodząc od filaru do kolumny, ustawiając dalekie gwiazdy na swoim starannie uporządkowanym niebie. Chłodzenie: siła przyciągania, wzmocnienie wilgoci; wiązanie, tracenie i zasilanie.

Fantazm był bardzo skomplikowany i Eskepiles czerpał przyjemność z budowania gmachu, który miał go wspierać, podczas gdy inna część jego pracującego umysłu gromadziła moc z laski i pierścienia z lapisu. Wciąż gromadził rezerwę mocy.

Zaraz znowu rzuci, powiedział Harmodiusz w eterze. Przydałaby mi się odrobina pomocy.

Zamiast zareagować natychmiast, kapitan musnął ostrogami końskie boki i pogalopował na szczyt niskiego okrągłego wzniesienia – tak okrągłego, że wyglądało na sztuczne – na skraju Pola Aresowego. Ser Jehan i ser Milus pociągnęli za nim. Boki płytkiego prostokąta się otworzyły i rozwinęły w linię długą na trzysta kroków. Wozy zostały z tyłu.

Ze szczytu wzniesienia kapitan widział po prawej stronie mur miasta i rozciągające się od niego Pole Aresowe, długie na jakieś cztery ligi. Patrzył na nie przez chwilę z nabożnym podziwem. Kiedyś cesarstwo było dość potężne, żeby całe pole zapełnić żołnierzami.

Bliżej armia diuka, półtora raza większa od jego kompanii, rozciągała się w lewo i lewa flanką sięgała znacznie dalej niż jego prawa. Za skrajem nie-

przyjacielskiej linii wardarioci i wschodni wojownicy despoty stopili się w jednym tumanie pyłu.

*Podnosi mgłę, powiedział Harmodiusz.*

*Powstrzymaj go.*

*Przydałyby mi się wszelkie małe rezerwy, jakie masz zaoszczędzone.*

Zły Tom zebrał klin i wrócił do linii kompanii – galopował jak ucieleśnienie samej wojny, jego wielki kary rumak paraskał i płaty piany spadały mu z pyska. Zasalutował zakrwawionym toporem, po czym wskazał nim Moreańczyków.

– To ci dopiero dryl! Patrzcie na nich! – Wirujący topór rozsiewał kropelki brązowej czerwieni, ale podziw w głosie Toma wyrażał odczucia ich wszystkich.

Jazda diuka skręcała, rozpoczynając odwrót. Był to piękny manewr. W nieruchomym powietrzu popołudnia niosły się głosy trąbek.

*Czerwony Rycerz wśliznął się do swojego pałacu i otworzył drzwi. Ciepły zielony wiatr dmuchnął na czarno-białą marmurową posadzkę i zmieszał się ze złotymi promieniami, które wpadały przez wysokie okna clerestorium, tworząc mgiełkę mocy.*

*Znacznie lepiej, powiedział Harmodiusz. Nie korzystał z pałacu Czerwonego Rycerza – niewątpliwie przebywał w głębi swojego.*

*Jest potężniejszy niż ty?*

*Nie, mruknął Harmodiusz. Ale jest ostrożny, uważny i zdolny. A my tego ranka szastaliśmy potentia jak marynarz złotem, na ukrywanie się, przeprawę przez rzekę i tuzin innych ekstrawagancji...*

*Daruj sobie.*

– Uciekną – powiedział Tom.

– Niech uciekają! – Ser Jehan zdobył się na jeden ze swoich nieczęstych uśmiechów. – Jezusie Zbawicielu, o mało nie straciliśmy całej linii. Pozwolenie im na odwrót będzie dobre dla wszystkich, prawda, kapitanie?

– Zobaczmy, czy zdołamy go zatrzymać – odparł kapitan. – Szybko. Kłus! – krzyknął.

Wprawdzie nowemu trębaczowi udało się zagrać sygnał odwrotu, ale kaprale usłyszeli rozkaz i kompania, już na koniach, ruszyła z kopyta.

Za Czerwonym Rycerzem jego nowy paż, Nell, wskoczyła na rosłego kuca i zakłęła.

– Z koni i na koń! Z koni i na koń! – wymamrotała, dając wyraz dezaprobacie czternastolatki.

Daleko na polu, pięćset kroków dalej, armia diuka ustawiała się w kolumnach marszowych. Żołnierze sprawnie wykonywali skomplikowany manewr, lecz mimo to proces przebiegał powoli. Wszyscy oglądali się przez ramię, patrząc na nadciągającą falę szkarłatu i stali.

– Nie możemy po prostu pozwolić im odejść? – zapytał Jehan.

Kapitan pokręcił głową.

– Jeśli pozwolimy, będziemy musieli z nimi walczyć przez całą zimę. Jeśli rozbijemy ich teraz, będzie po sprawie. – Przysłonił oczy ręką i ryknął: – Galop! Wyrównać szereg!

Rzucili się w pogoń.

Diuk Andronikus westchnął tak głęboko, że jego policzki wyduły się jak pęcherz, a potem zapadły.

– Dlaczego jest taki agresywny? – zapytał. – Eskepilesie!

– Patrz, panie – powiedział magister. Uniósł ramiona, ostrożnie balansując mocą w głowie.

Mgła zaczęła się podnosić z wilgotnej trawy – najpierw kosmyki, później pasma.

– Nadal uważam, że wystarczy jedna szarża, atak na flanki, i przepędzimy ich z powrotem do barbarzyńskich domów – powiedział Demetriusz. – Ojczy, posłuchaj Kronmira. Stracimy poparcie miasta...

– Chrystusie Pantokratorze! – syknął diuk. – Demetriuszu! Osłaniaj odwrót, skoro tak bardzo przepełnia cię ogień.

Gdy mgła gęstniała, chorągiew wschodnich wojowników na północy ruszyła i końskie kopyta wprawiły ziemię w drżenie. Pędzili, żeby odciąć diukowi drogę ucieczki. Dopiero teraz ruszyły pierwsze wozy jego taboru.

– Marcos! Zabierz ostatnie tagmata i usuń wardariotów z drogi! – krzyknął diuk. Zwrócił się do syna: – Nie, powtarzam, nie umrzemy tutaj. To, co robię, robię dla ciebie i twoich synów. Osłaniaj nas, a potem uciekaj.

Mgła wznosiła się jak dym.

A potem uderzył wiatr. Dmuchał prosto od wrogów w ich twarze, podrywając pył i żdźbła trawy. Pierwszy podmuch był jak tchnienie zmęczonego człowieka, ale siła drugiego dorównywała wichurze w środku zimy.

Mgła pękła jak szkło.

Po drugiej stronie pola wróg zsiadał z koni. Demetriusz pogładził brodę.

– Są poza zasięgiem – powiedział głośno. – Jak mogą...

– Spójrz na tych, którzy trzymają konie – powiedział jego ojciec. – Nie-

gdyś każdy w cesarstwie miał konia albo muła, każdy piechur, każdy łucznik.

Na lewo od nich piechota wycofywała się w kolumnach, w zwartym szyku, z tarczami na zakładkę i podniesionymi włóczniami, małe proporce pogranicznych trackich włóści załopotwały na wietrze.

– Napnij! – ryknął Osiełek.

Lepsi łucznicy zmierzyli wzrokiem odległość i parsknęli.

Kandy, najgrubszy w kompanii, pokręcił głową.

– W najlepszy dzień nie zdołałbym trafić – mruknął. Ale stęknął i przyciągnął cięciwę do ucha.

– Puść! – ryknął Osiełek.

Kilku ludzi już strzeliło, bo nikt nie zdoła utrzymać napiętego łuku bojowego dłużej niż przez chwilę.

Siedząc na koniu dwadzieścia kroków za linią łuczników, kapitan poczuł przyrost mocy. Było to dziwne, lekko niepokojące wrażenie zarówno dla uczestnika, jak i dla obserwatora magicznego pojedynku.

Gdy strzały szybowały w powietrzu, podmuch wiatru Harmodiusza przeważył nad hermetyczną obroną wroga.

Trzysta strzał niesionych potężnym podmuchem spadło jak dobrze wymierzony grad na najbliższy prostokąt wycofującej się piechoty. Ciężkie ćwierćfuntowe drzewca przebijały łuski czy skórzane pancerze górali. W jednym podmuchu poległo czterdziestu ludzi...

Strzały wyrządziły więcej szkód, niż diuk uważał za możliwe. Zginęło więcej ludzi, jego ludzi, jego doskonale wyszkolonych żołnierzy, weteranów tuzina kampanii. Wrzaski rannych mówiły wszystkim innym na polu, że są w zasięgu, zaskoczeni z tarczami odwróconymi w drugą stronę.

Ludzie spanikowali.

Daleko na prawo, gdzie ser Bescanon zebrał część latinikonu, najemni Albanowie, Galowie i Oksytańczycy złamali szeregi i uciekali galopem, nisko pochyleni nad karkami swoich żałośnie ciężkich koni.

Demetriusz darował sobie złorzeczenia pod adresem ojca. Zwrócił się do magistra.

– Zrób coś! – warknął.

Eskepiles głęboko odetchnął i machnął ręką.

Z jego dłoni popłynął przez pole na wroga dywan płomieni tak cienki, że był przejrzysty, pokonując odległość około czterystu kroków, w czasie, jakie-

go ludzkie serce potrzebuje na trzy uderzenia.

Dywan białego płomienia mknął na łuczników jak fala przyływu z prędkością galopującego konia.

– Nie ustępować! Strzały na cięciwy! – rozkazał Osiełek.

Większość łuczników posłuchała, ale kilku gałganów się wzdrygnęło. Osiełek patrzył na ogień i miał nadzieję, że jest iluzją.

Tuż przed jego stanowiskiem płachta ognia rozstała się jak przecięta nożem i popłynęła na prawo i lewo wzdłuż pierwszej linii łuczników.

Ogień nikomu nie zaszkodził, ale po części spełnił swoje zadanie, gdyż spłoszył konie. W idealnych warunkach jeden mały paż może utrzymać sześć silnych wierzchowców, lecz na widok mknącej ściany ognia tuziny co silniejszych albo bardziej narowistych koni poderwały głowy, wyrwały wodze z rąk paziów i rozbiegły się po trawie.

Złośliwy deresz kapitana uszczypnął zębami Nell, wyrwał się i dostał pięścią w głowę. Ze zdumieniem spojrzął na dziewczynkę, a ona wykorzystała chwilę, żeby chwycić wodze. Kuc Osiełka próbował się oswobodzić, stanął dęba i poderwał ją w powietrze. Deresz kapitana opuścił głowę i Nell wylądowała twarzą w krwawym błocie. Nie puściła wodzy i rumak przewlókł ją po leżącym na ziemi Traku. Wrzasnęła, kiedy mężczyzna wrzasnął.

Długa Łapa, najmilszy z łuczników, poderwał ją na nogi. Wciąż trzymała konie. Uśmiechnął się do niej i wrócił do szeregu.

– Napnij! – ryknął Osiełek.

– Puść! – krzyknął, gdy wiatr zerwał się za nimi.

Tym razem poszło gorzej i stracili więcej strzał, gdy uderzył wiatr. Łucznicy wciąż byli roztrzęsieni po niedawnym ognistym ataku. Ale ponad sto strzał zostało poniesionych przez czary Harmodiusza i spadło w środek tagmy stradiotów, moreańskich arystokratów w kolczugach, z kopiami, łukami i małymi stalowymi tarczami. Niewielu zginęło, ale ich konie srodze ucierpiały i oddziały rozpierchnęły się we wszystkie strony.

Czerwony Rycerz uniósł rękę i wypuścił zwartą wiązkę szmaragdowego światła w źródło magii nieprzyjaciela.

Eskepiles podniósł tarczę jak lustro wielkości trzech konnych.

*Sprytnie*, przyznał Harmodiusz i unicestwił swój fantazm, gdy płynął odbity prosto na niego.



Tagma Athanatos popadła w rozsypkę i stradioci powiększyli panikę wzniesioną przez najemników. Andronikus obserwował wymianę hermetycznych ataków, obracając głowę to w tę, to w drugą stronę, jakby się przyglądał dziecięcej zabawie.

– Moi ludzie giną! – ryknął.

Eskepiles sięgnął głęboko i rzucił magiczne dzieło stworzone na poczekaniu. Urządzał ekstrawaganckie pokazy dla dworu – mając czas, umiał pracować z materią nieożywioną. Tkanina i wełna kiedyś były ożywione. Były to pośpieszne czary, coś w głębi niego stworzyło je i rzuciło.

Pękły wszystkie cięciwy w pierwszym szeregu. Łuki odprężyły się z dziwnym dźwiękiem niemal podobnym do krzyku. Cięciwy smagneły ludzi po twarzach. Osiełek o mało nie stracił oka. Łucznicy się kulili, kilku upadło.

– Chryste, ratuj! – krzyknął Osiełek, wyraźnie wystraszony, z krwią ściekającą po policzku.

Harmodiusz przejął władzę nad ciałem kapitana i rzucił, nabrał tchu i rzucił powtórnie, wyczerpując rezerwy mocy swojego gospodarza. Rezerwy, jak zauważył, z dnia na dzień coraz większe.

Mogło się zdawać, że ogień wystrzelił z ręki kapitana. Był to nie promień światła, lecz raczej wielka okrągła kropla czystego ognia, który zrodził się z niskim rykiem.

*Bodaj cię!* – zaklął kapitan. *Puść! Cholera!*

*My albo on!* – warknął Harmodiusz. Zachował kontrolę nad jego ciałem i wypuścił swoje czary w powietrze.

Czas podróży straszliwej kuli był długi wedle hermetycznej miary. Fantazm był przerażający, moc kuli ognia oszałamiająca. Eskepiles nie miał większego wyboru, jak się osłonić, bo prawie nie miał już mocy, i tylko zmienił kierunek ognistej kuli, posyłając ją na północ.

Gdy ją przemieścił, poczuł jej niematerialną naturę i włos mu się zjeżył na głowie.

Iluzja.

*Mam cię,* mruknął Harmodiusz ustami Czerwonego Rycerza i wystrzelił punkt światła, sferę wielkości perły albo najmniejszej szklanej kulki do gry.

Eskepiles zdołał się osłonić, czerpiąc moc z ostatniego amuletu i tajemnego niewidzialnego pierścienia, ale został zdmuchnięty z wierzchowca, który zgi-

nał w widowiskowy sposób. Magister stracił przytomność.

Ale łucznicy wroga byli spieszeni, ich konie panikowały i mieli przecięte cięciwy. Obie armie przepełniał strach zbudzony przez wymianę magicznych ciosów. Moreańczycy ruszyli do swojego taboru, ale żołnierze kompanii stali jak wrośnięci w ziemię, niechętni ruszyć się z miejsca.

Harmodiusz miał pełną kontrolę nad ciałem Czerwonego Rycerza. Poruszył jego palcami i odetchnął z ulgą, ponieważ czuł, że jego przeciwnik został ogłuszony, a on sam prawie wyczerpał *potentia*.

Czuł się żywy. Rozkoszował się tym uczuciem. Oddychał i patrzył, jak wróg rzuca się do ucieczki.

Zły Tom spiorunował go wzrokiem.

– Ba! – mruknął. – Śmiało, człowieku! Jeszcze możemy ich rozgromić.

Szalony góral chciał przypuścić szarżę na trzy tysiące Moreańczyków z dwiema setkami albańskich rycerzy.

*Nie wiem, co się stanie, jeśli rozbiję ten posąg*, powiedział Czerwony Rycerz głęboko w swoim pałacu. *Ale jestem skłonny się założyć, że to będzie oznaczać twój koniec. Chcę odzyskać moje ciało.*

*Właśnie ocaliłem twoją armię, niewdzięczny szczeniaku*, burknął Harmodiusz, ale ostatni raz odetchnął zapachem trawy i koni i uwolnił kapitana.

Czerwony Rycerz oprzytomniał i zobaczył, że ludzie wokół niego – Ragnald, Zły Tom, Michael, Alison – prężą się w siodłach gotowi do szarży.

– Naprzód! – rozkazał.

Trębacz u jego boku podniósł instrument i zadał. Pierwszy sygnał zabrzmiał jak gęganie gęsi. Drugi był czysty jak dzień i został powtórzony.

– To znaczy „stać”, idioto! – ryknął kapitan. – Naprzód! Naprzód! – zawołał i wysoko podnosząc kopię, wyjechał przed szereg, żeby ludzie mogli go widzieć, ale szkody nie dało się odwrócić.

Zamęt panował w szeregach przez dręcząco długie uderzenie serca.

Zanim kopie ruszyły, tysiąc kroków dalej ostatnia kompania stradiotów wroga przystąpiła do odwrotu. Wardarioci rozgromili, a może podporządkowali sobie wschodnich wojowników, a albańscy najemnicy – latinikon – zostali rozpędzeni na cztery wiatry. Wielu po prostu się poddało.

Kapitana potwornie bolała głowa, ale udało mu się wskazać Złemu Tomowi poddających się rycerzy.

– Wyglądają jak ludzie, którzy chcą mieć nowego pracodawcę – powiedział.

– A ty wyglądasz jak psie gówno – skomentował Ranald i położył rękę na jego ramieniu.

Czerwony Rycerz zaklął w bardzo niegodny sposób. Zmusił się, żeby siedzieć prosto w siodle i jechać na czele.

Jego rycerze jechali jak najszybciej bez łamania szeregów, ścigając uciekających Traków po Polu Aresowym. Milę dalej połączyli siły z odzianymi w szkarłat wardariotami i jechali ramię w ramię niespiesznym galopem. Za nimi łucznicy łapali konie, przeklinając paziów, chociaż niezbyt mocno.

Osiełek wziął swojego wierzchowca od Nell i się do niej uśmiechnął.

– Nie jedziesz za kapitanem? – zapytała starszego łuczника.

Obaj z Długą Łapą stali przy końskich głowach, ale nie wsiadali.

Osiełek popatrzył na nią z góry.

– Nie jesteś za młoda, żeby mi mówić, co mam robić?

Długa Łapa pokiwał głową.

– Zrobiliśmy, co do nas należało – powiedział.

Słońce zachodziło w czerwonym splendorze nad miastem na południowym zachodzie. Kiedy każdy złocony dach bazyliki zapłonął w skośnych promieniach, tracka piechota stanęła przez wyborem: albo obróci się w stronę przeciwnika i podejmie walkę, albo zostanie wycięta podczas ucieczki. Dotarli do północnego skraju wielkiego pola i zatrzymali się pomiędzy niskimi, okrągłymi wzgórzami, na granicy starożytnego placu musztry.

Odwrócili się, zdjęli z ramion duże okrągłe tarcze zwane aspides, opuścili hełmy, stanęli w rozkroku i przygotowali się oddać życie. W piątym i szóstym szeregu łucznicy założyli cięciwy, weszli w zarośla na wzgórzach i wystrzelili kilka długich strzał w wardariotów.

Czerwony Rycerz obserwował to wszystko przepełniony zmęczeniem i rezygnacją. Podzielił kompanię na dwa oddziały pod wodzą ser Jehana i ser Milusa, oba w formacji szerokich, głębokich klinów.

Łucznicy strącili z siodła dwóch wardariotów. Szkarłatni wojownicy ze Wschodu ruszyli galopem, podjechali niemal w zasięg włóczni wroga i strzelili z bliska w ich falangę, a potem się wycofali, pierwsi zawracający przejeżdżali pomiędzy nacierającymi ze sprawnością, która mówiła o długiej praktyce i doskonałych umiejętnościach jeździeckich. Kiedy osiadł kurz, było już prawie ciemno i dwa tuziny Traków leżały twarzą w trawie, ale pozostali z ponurą determinacją zwarli szeregi. I jęli się wycofywać.

Czerwony Rycerz skinął na hrabiego Zaka, który do niego podjechał.

– Mogę zrobić to jeszcze raz – oznajmił dowódca wardariotów, wzruszając ramionami. – Ale ci Trakowie nie są miękczy. Nie sądzę, żeby pękli.

Czerwony Rycerz pokręcił głową.

– Gdyby był środek dnia, rozprawilibyśmy się z nimi w godzinę – powiedział. – Ale zapada wieczór i tego nie dokonamy. Niech odejdą. Nie mam zamiaru tracić więcej ludzi, żeby ich pokonać. Poza tym diukowi została tylko piechota. Już nie ma rycerzy.

Pyskata się roześmiała.

– Mówisz jak ser Jehan – zauważyła.

Ser Alkajos pokręcił głową.

– Musisz się nauczyć myśleć jak Moreańczyk. Piechota stanowi serce jego armii. Konnica nie składa się z rycerzy. Służą w niej żołnierze.

Czerwony Rycerz podrapał się po policzku porośniętym dwudniowym zarostem.

– Zobaczmy, czy Osiełek znalazł nowe cięciwy. – Popatrzył na Zaka. – Uważasz, że powinniśmy je wypróbować?

Zak patrzył, jak piechota się wycofuje w gęstniejący mrok.

– Nie. To byłaby głupota – zawyrokował. – Wracajmy do miasta. Ty mi zapłacisz, ja ci sprzedam konia. Napijemy się.

Czerwony Rycerz popatrzył na swoich oficerów. Zmęczenie i niewypowiedziana wojna z Harmodiuszem sprawiały, że trudno mu było nawet myśleć, ale starał się mówić lekkim tonem.

– Sądzę, że dotarliśmy do właściwego miejsca – wymamrotał.

Zły Tom, który obserwował wycofujących się Traków, powoli pogroził im toporem i cisnął broń w ich szeregi.

– Lachlan za Aa! – ryknął jak lew na zwierzynę. Odwrócił się w stronę kapitana. – Chcę walczyć! Chrystus przeklnie ich dusze i pójdą do piekła...

Kapitan przez mgłę zmęczenia pokiwał ręką do Ranalda Lachlana.

– Dopilnuj swojego kuzyna – powiedział.

Słońce zniknęło z nieba, kiedy Czerwony Rycerz przejechał przez Bramę Aresa na czele kompanii. Obok niego jechał ser Gawin, za nimi połowa zbrojnych, dalej wszyscy łucznicy i paziowie, pozostali zbrojni z wozami ze wszystkimi kobietami i na tyłach Długa Łapa z tuzinem weteranów, Gelfredem i zwiadowcami. Moreańczycy w bramie i po drugiej stronie placu zgotowali im powitanie.

Swego rodzaju.

Okrzykom brakowało entuzjazmu. Wielu ludzi patrzyło na nich bez słowa, a inni złorzeczyli, gdy najemnicy wjeżdżali do miasta.

Silna straż złożona z halabardników sztywno stała w bramie, w milczeniu odprowadzając wzrokiem przejeżdżającą kompanię.

– Bracie, nie brakuje ci krzepy – powiedział Gawin.

– Miewałem lepsze dni. To biodro mnie wykańcza. Powinniśmy dziś dorwać tego po trzykroć przekłętego diuka. – Wypatrzył dwóch Moreańczyków, którzy spoglądali na niego z nieskrywaną pogardą. – I ci ludzie nie kochają nas za to, że ich ocaliliśmy przed obłążeniem i głodem. – Mroczki latały mu przed oczami.

Zły Tom w rzędzie za nim charknął i splunął. Ser Milus spiął konia, wyjechał z kolumny i podjechał prosto do dwóch miejscowych.

– Widzicie coś, co się wam podoba, panowie? – zapytał.

Mężczyźni patrzyli na niego jak przez szybę.

Ser Milus wyciągnął pejcz i dotknął nim ramienia jednego z nich.

– Powiedz mi, z czego się śmiejesz, a może pośmiejemy się wszyscy razem.

Czerwony Rycerz ściągnął wodze.

– Zostaw ich w spokoju! – zawołał.

Milus zawrócił rumaka z niechęcią wyrażaną przez każdy cal swoich sześciu stóp i dwóch mężczyzn za jego plecami uśmiechnęło się paskudnie.

– Oni z nas szydzą – poskarżył się.

Czerwony Rycerz westchnął.

– Tak, szydzą. Dopóki dostajemy zapłatę, gównu mnie obchodzi, czy nas kochają, czy nienawidzą.

W drugim szeregu drugiej kompanii Pyskata wytrzeszczała oczy, gdy mijali trzecią czy czwartą bazylikę.

– Na wszystkich świętych, naprawdę wszystkich świętych, mają chyba kościół dla każdego świętego w książce.

Ser Michael pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia. – Patrzył na odlany z brązu posąg wojownika. Nie wiedział, czyje to wyobrażenie, ale jakoś posągu była niewiarygodna – wojownik wyglądał jak żywy. Muskulatura, wyraz twarzy...

– Nie gapcie się jak kmioty – burknął ser Jehan. Zaraz potem uśmiechnął się do Michaela. – Myślałem, że przynajmniej ty byłeś tu wcześniej.

– Nigdy – szepnął ser Michael. – Nawet ładnie tu pachnie.

Ser Jehan pokiwał głową.

– Dzięki kanalizacji. Pochodzi z dawnych czasów. Widzisz te wielkie mosty? Zapomniałem, jak się nazywają, ale doprowadzają wodę z gór prosto do miasta. W niektórych domach przekręcasz kurek i od razu płynie świeża woda, którą możesz pić. Gówno trafia prosto do rur i sruuu! – odpływa. Przy najmniej w lepszych domach.

Ranald nie mógł się potrzywać od kręcenia głową we wszystkie strony.

– Jest ogromne!

Michael się pochylił.

– Byłeś tu kiedyś – powiedział do chorążego.

Jehan skinął głową nad zadem wielkiego rumaka.

– No tak. Ponad dziesięć lat temu. Służyłem w mieście dwa lata. Dobre lata. Niewiele walki. Mnóstwo stania w nękanych przez przeciągi salach i słuchania śpiewu kapłanów.

Ser George Brewes złapał różę rzuconą z wysokiego balkonu przez młodą kobietę i zatknął ją za ucho.

– Piękny – powiedział, mając na myśli wysoki dom z czerwonymi drzwiami.

Ulica ciągnęła się bez końca i gdy wjeżdżali na leżące pośrodku wzgórze, wszyscy zrozumieli, że miasto ma siedem mil średnicy, że jest pięćdziesiąt razy większe od Harndonu.

Rozmowy cichły.

Nie masz powodu się złościć. Przecież oddałem ci władzę.

*Doprawdy? Sądzę, panie, że może pora się ciebie pozbyć. Jesteś kłopotliwym gościem.*

*Daj mi jeszcze trochę czasu. To miasto jest kolebką hermetyzmu. Mogę się czegoś nauczyć...*

*Przejąłeś kontrolę nad moim ciałem, Harmodiuszu. Jak teraz mogę ci ufać?*

*Nie bądź głupcem, chłopcze. Zrobiłem to, żeby ocalić nas obu.*

*Tak mówisz. I będziesz to uzasadniać do chwili, gdy stwierdzisz, że jesteś moim panem.*

Czerwony Rycerz zakończył rozmowę ze starym magiem i skupił się na otaczającej go rzeczywistości. Hrabia Zak zastąpił ser Gawina u jego boku.

– Rozmawiasz z duchami? – zapytał z zainteresowaniem.

– Nie – odparł Czerwony Rycerz. – Tak. Może.

Zak przekrzywił głowę jak zaciekawiony pies.

– Która odpowiedź się liczy?

– Może – odparł Czerwony Rycerz.

Mężczyzna uczynił znak rękami.

– Lepiej bądź ostrożny – poradził. – Duchy są strasznymi łajdakami. Możesz mi wierzyć. – Wyszczerył zęby. – Znasz miasto?

– Byłem tu.

Hrabia Zak pokiwał głową.

– Porfirogeneta chce cię widzieć. – Przybysz ze Wschodu, który miał kłopot z gotyckimi nazwami, płynnie wymówił moreański tytuł. – Znasz dzielnicę Blacharnae?

Czerwony Rycerz pokręcił głową.

– Nie znam tej części miasta.

– Zamierza ulokować twoich ludzi w pałacu. To miejsce jest złe jak duchy. Uważaj. – Wzruszył ramionami. – Kiedy skończysz sprawy w pałacu, przyjdź po tego konia. Twoja chabeta... – Lekceważąco machnął ręką, wskazując pożyczonego rumaka. Klepnął go po zadzie i parsknął śmiechem. – Słuchaj, lubisz dziewczyny?

Spowity mgłą bólu kapitan miał kłopot z nadażaniem za rozmówcą.

– Tak. Prawdę mówiąc, byłem znany z tego upodobania.

– W takim razie strzeż się księżniczki – poradził mu hrabia Zak.

Pałacowa brama była zamknięta i kompania się zatrzymała na Wielkim Placu pod czujnym okiem Świętego Aecjusza. Wszyscy w kompanii wodzili wzrokiem dokoła, gapiąc się jak najbiedniejsi wieśniacy na bogatego człowieka. Łucznicy rozmawiali tak głośno, że strzepy zdań docierały do kapitana, który spokojnie spoglądał na bramę.

– Nie do wiary... ileż to pieprzonych pieniędzy...! z przyrodzeniem wiszącym w powietrzu... spójrz na jej cycki! Przepiękne... może przez bogów albo ludzi... ten łuk jest za ciężki, żeby go napiąć... nie, ćwoku, to rydwan... kiedyś nosili takie rzeczy... nie lite złoto...

Harmodiusz poruszył się w głębi jego głowy. *Mogę coś powiedzieć?*

Czerwony Rycerz westchnął. *Śmiało. Jak mógłbym cię powstrzymać?*

*To znacznie bardziej niebezpieczne niż sobie wyobrażałem. Tutaj energia hermetyczna przypomina studnię w Lissen Carak. Wyczuwam uniwersytet. Po drugiej stronie placu w Akademii jest trzydziestu mężczyzn i dwie kobiety równie potężnych jak ja... może niezupełnie, ale blisko. W pałacu jest silny*

*mag i ponad tuzin słabszych, ale wprawnych. Nigdy nie widziałem takiej koncentracji talentów hermetycznych w jednym miejscu... no, może za młodu.*

Czerwony Rycerz czuł przyjemność w myślach sędziwego maga, jak gdyby były jego myślami. *Gdzie to było, starcze?*

Harmodiusz roześmiał się w jego głowie. *W Ifriqu'ya, chłopcze. W Dar-es-Salaam, siedzibie pokoju. W najlepszym hermetycznym ośrodku studiów w znanym świecie.*

Czerwony Rycerz siedział na swoim okropnym wałachu i patrzył na bramę. Koń przestąpił z nogi na nogę, parsknął, zarzucił głową i spróbował wypluć wędzidło.

Ranald Lachlan splunął przy ramieniu kapitana – jego splunięcie było bardziej kontemplacyjne niż to końskie.

– Na wszystko, co święte... to jak zobaczenie smoka. Jak deszcz na zboczach góry i słońce nad jeziorami. To posąg Pani Tar? Na Najświętszą Pannę, tu wolno takie rzeczy?

Jego kuzyn zachichotał.

– Chłopcze, rozglądam się po tym placu i wszystkim, co widzę jest klient, który może zapłacić. – Zły Tom wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Są nadzwyczaj sprytni, każąc nam czekać i podziwiać te cuda. Może chcą nam pokazać, gdzie nasze miejsce? – Na przekór swoim słowom popatrzył na to, co wskazywał Ranald, złocony posąg Tar z zielonymi szmaragdowymi oczami, i uczynił znak.

– Chryste na krzyżu! – zabłąźnił Ranald. – Wszyscy zostaniemy spaleni jako poganie.

– Zbyt wiele czasu spędziłeś w Harndonie, kuzynie. – Tom spojrział mu w oczy.

Żaden się nie wzdrygnął, ale obaj jakby od niechcienia położyli dłonie na rękojeściach mieczy.

Kapitan nie odwrócił głowy.

– Panowie? Pierwszy przyznam, że pojedynek na cesarskim forum niewątpliwie podekscytuje miejscowych, ale przypuszczam, że zaskarbimy sobie większą miłość tutejszej pani, jeśli będziemy zachowywać się godnie.

Zły Tom ściągnął wodze swojego wierzchowca i parsknął śmiechem.

– Tylko żartujemy, kapitanie.

– Miał dzisiaj za mało walki – powiedział Ranald i kilku łuczników się roześmiało.

Czerwony Rycerz stanął w strzemionach i głosem, jakiego używał na polu



bitwy, krzyknął:

– Do przodu patrz!

Ludzie przestali się przekomarzać, komentować, krytykować dzieła sztuki i zamilkli w wieczornym powietrzu. Konie machały ogonami, przepędzając muchy późnego lata. Muł pierdnął. Jakaś kobieta westchnęła.

Cisza.

Mężczyźni się poruszali, prostowali kolana. Pyskata poluzowała miecz w pochwie i jej nowy koń bojowy, zdezorientowany przesunięciem ciężaru, wystąpił z kolumny. Pyskata poczerwieniała. Rozmyślny Mord dowodzący grupką łuczników zaczął szeptać coś o zapłacie i jego szept płynął jak warkot małego tartaku nad kolumną, dopóki Dębowa Ławka nie pochyliła się w siodle i nie pacnęła go w ucho z siłą i celnością nauczyciela. Zaskowyczał i ucichł.

Cisza.

Koń niecierpliwie uderzył kopytem w kamienną płytę i dźwięk zabrzmiał jak huk młota. Echo odbiło się od posągów – po drugiej stronie placu przed Akademią stał brązowy posąg pogańskiego Cerbera, wielogłowego psa. Zdało się, że szczeknął.

Zza muru pałacu dobiegł odgłos maszerujących stóp. Maszerowano w krok, co było szkołą zupełnie nieznaną w Albie. Nad wielkie mury wzbił się cichy dźwięk fletu.

Bęben bił powoli. Dudnienie było niskie i potężne. Obce. W połączeniu z brzmieniem fletu brzmiało pięknie i dziko.

Dołączyły dwa mniejsze bębny, grzechoczące jak obłąkane dziecięcy, rywalizujące z większymi bębnami.

Wielka brama zaczęła się otwierać.

Na zewnętrznym dziedzińcu za bramą płonęły pochodnie w ponad stu uchwytych, oświetlając mozaiki, które zdobiły każdą płaską powierzchnię frontową ścianę stajni cesarskich, biuro majordoma pałacu, koszary, kwatery ordynariuszy. Ujrzeni wizerunek Chrystusa Pantokratora z ręką uniesioną w błogosławieństwie, odzianego w królewską purpurę i czerwień; scenę zstąpienia do piekła z Chrystusem uzbrojonym w długi miecz, przepędzającym szatana; Marię Pannę ubraną jak cesarzowa albo królowa nieba, w lazurycie i złocie, lśniącą i jak żywą. Nawet płyty pod nogami były zdumiewające – czarny i biały marmur we wspaniałym geometrycznym wzorze, który od patrzącego w bramie biegł jak labirynt labiryntów ku różnym wejściom.

Na dziedzińcu stały setki ludzi. Gwardia. Stu Nordykanów w sięgających

do kolan kolczugach, z toporami długości pięciu stóp, z okrągłymi aspides na lewym ramieniu. Wszyscy mieli wspaniałe hełmy w starożytnym stylu, wykute z brązu i stali, z ruchomymi osłonami policzków i wysokimi grzebieniami z końskiego włosa, czerwonymi, białymi i czarnymi. Okrywały ich długie peleryny o barwie cesarskiej purpury ze złotym dwugłowym orłem wyhaftowanym na prawym ramieniu.

Po drugiej stronie dziedzińca naprzeciwko Nordykanów stali scholiści, prawie dwa razy liczniejsi, z włóczniami i tarczami w kształcie łyż. Mieli niebieskawe złożone basiny, brygantyny pokryte szkarłatną skórą na brązowych kolczugach, czerwone buty z cholewami do uda i takie same purpurowe peleryny jak Nordykanie.

W głębi dziedzińca stały trzy setki ordynariuszy w szkarłatnych szatach ze złotymi kłamrami i białych skórzanych butach.

Razem wzięwszy, wyglądało to jak wizja militarnego nieba.

Oficer żwawym krokiem pomaszerował do bramy i w górnym archaickim zawołał:

– Stać! Kto idzie? Kto śmie podchodzić do bram boskiego cesarza?

Harmodiusz zachichotał w głowie Czerwonego Rycerza. *To musi być naprawdę stare wyrażenie. Nie przypuszczam, żebyśmy dzisiaj postrzegali cesarza jako boskiego... fascynujące.*

*Mógłbyś się zamknąć?*

*Ha!*

– Książę Tracji, Megas Ducas, dowódca armii cesarskich, i jego bucellarii!  
– ryknął Czerwony Rycerz.

Dźwięk płynący z dziedzińca był wręcz namacalny. Ludzie mruczeli.

Oficer przystanął, najwyraźniej nie wiedząc, co począć.

Czerwony Rycerz siedział na koniu i czekał, ciesząc się konsternacją, jaką właśnie wywołał.

*Jakbyś włożył kij w mrowisko. Buccellarii – odebrałeś staranne wykształcenie.*

*Dziękuję, Harmodiuszu. Wyznam, że byłem z tego całkiem dumny.*

*Stawiasz ją pod ścianą.*

*Owszem. Z pewnością chciałaby mnie wykorzystać przy jednoczesnym trzymaniu na dystans, żeby zostawić otwartą furtkę dla byłego diuka, umożliwiającą mu powrót na łono rodziny.*

*Masz plan?*

*Tak.*

*Mogę ci pomóc?*

*Chciałbym wiedzieć, dlaczego cesarstwo, choć ma na usługi wszystkie te hermetyczne talenty i tych doborowych żołnierzy, pozostaje takie bezbronne.*

*Widzisz chłopca wychodzącego spośród ordynariuszy?*

*Ach, wiadomość.*

Chłopiec był ubrany w surowy czarno-biały strój. Przypominał cesarskie ptaki – był cesarskim posłańcem. Podbiegł do oficera w bramie, ukląkł i podał mu czerwoną tubę z kości słoniowej.

Oficer zgiął się w głębokim ukłonie i ucałował tubę, następnie ją otworzył. Znow się ukląkł, oddał tubę posłańcowi i obrócił się na pięcie.

– Salut dla generała, zwycięski Megas Ducas wchodzi do pałacu! – krzyknął w górnym archaickim.

Sześćset stóp tupnęło w ziemię. Bębny grzechotały i dudniły. Sześćset rąk poderwało się w cesarskim pozdrowieniu.

Czerwony Rycerz nawet nie obrócił głowy.

– Marsz! – rozkazał.

Kompania – rycerze i giermkowie, paziowie i łucznicy, siodlarze, płatnarze, kapłani, dziwki, żony, dzieci i wozacy – schludnie wmaszerowała przez bramę pałacu. Jeśli im brakowało formalnej godności Nordykanów czy wspinających pióropuszy scholistów, mieli mnóstwo wypolerowanych jak lustra galijskich i etruskich zbroi płytowych, i szkarłatne wełniane tabardy, i białe strusie pióra na czapkach czy hełmach, co czyniło ich przedmiotem zazdrości każdego żołnierza.

To Mag i Lis zaopatrzyły wszystkie należące do kompanii, ale niebiorące udziału w walkach osoby w schludne czerwone tabardy i czarne wełniane czapki z białymi strusimi piórami. Wełna nie była najlepszej jakości i bukszpanowy barwnik spłynąłby w deszczu, ale tej nocy w blasku pochodni wyglądali jak okazałe poselstwo albo królewski orszak.

Kompania wjechała na środek wielkiego dziedzińca.

– Stać! – rozkazał kapitan. – Cesarskie pozdrowienie!

Dwie końskie długości za nim ser Michael zakręcił sztandarem z *lacs d'amour*, kreśląc wielką ósemkę, po czym pochylił go ku marmurowym płytom pod końskimi kopytami, aż sześcioramienna gwiazda na szczycie drzewca wsparła się o ziemię. Wszyscy w kompanii unieśli wyprostowaną rękę na wysokość ramienia, równoległe do ziemi, w bok.

– Ave, Imperator! – ryknęli.

Przećwiczyli to na wzgórzach; ser Alkajos przewracał oczami, gdy słuchał

ich kiepskiego archaickiego i widział ich nieprzyzwoite gesty. Dzisiaj, w świetle pochodni, w liczącym dwa tysiące lat pałacu, wszystko wypadło jak trzeba.

– Z koni! – krzyknął kapitan.

Kaprale powtórzyli rozkaz i pięćset nóg uniosło się nad pięciuset siodłami. Ordynariusze podbiegli, żeby zabrać konie, i na dziedzińcu wybuchło wielobarwne zamieszanie. Nie trwało długo, bo przecież pokolenia ordynariuszy od setek lat wykonywały to zadanie, i konie bojowe oraz lekkie wierzchowce zostały zabrane do cesarskich stajni szybciej, niż Czerwony Rycerz uważał to za możliwe. Co więcej, pomyślał, że był świadkiem największego pokazu sirowej mocy, jaki dotąd widział i może kiedykolwiek zobaczy, gdy pięćset koni zniknęło w stajniach tak szybko, jak człowiek mówi „Bądź pozdrowiony, cesarze”.

Pojawił się kapitan ordynariuszy wraz z oficerem Nordykanów, który dotąd stał w bramie, i dwóch gońców cesarskich, tym razem kobiety.

– Durm Ciemnowłosa, panie – przedstawił się Nordykanin. Akcent miał tak gruby, że można byłoby go ciąć nożem, nawet w archaickim.

Zwierzchnik ordynariuszy głęboko się uklonił.

– Diuku, panie, mam cię zabrać do tronu. Zwykle byłoby to powinnością majordoma pałacu, ale z żalem powiem, że nie ma tu takiej osoby. Nie czuję się urażony. Choć jestem niegodny tego zadania, dołożę wszelkich starań, żeby cię zawieść.

– Ty jesteś kapitanem ordynariuszy? – zapytał Czerwony Rycerz.

– Mam ten zaszczyt – odparł sługa. – Czy wolno mi dodać, że pięknie władasz górnym archaickim? Bucellarii? Cesarscy posłańcy musieli zajrzeć do słownika. – Leciutko skinął głową do dwóch kobiet, zgiął się w niskim ukłonie i ruszył w blask pochodni.

– Gdzie zostaną rozłokowani moi ludzie? – zapytał Czerwony Rycerz.

– Koszary Athanatos zostały zbudowane dla tysiąca żołnierzy i obecnie stoją puste. Jako że ich byli mieszkańcy dokonali niemądrego wyboru, wołą cesarską zostają wam przydzielone. Może być za mało pościeli...

Czerwony Rycerz podchwycił spojrzenie Pyskatej i dał jej znać, że jest mu potrzebna. Odwrócił się ku Toby'emu, który już stał obok niego. Gdy giermek wziął jego hełm i rękawice, a także zmienił miecz, kazał mu posłać Nell po ser Gawina, ser Michaela i ser Thomasa.

– Nie możesz kazać tronowi czekać! – zganił go kapitan ordynariuszy.

– Nie każę czekać tronowi. Zajmuję się moimi żołnierzami tak szybko, jak

mogę, przygotowując się do powitania tronu, czego przecież nie mogę uczynić w pełnym rynsztunku. – Uśmiechnął się z takim wdziękiem, na jaki mógł się zdobyć. – Pyskata, dopilnuj, żeby wozy zostały rozładowane w koszarach Athanatos. Koszarować grupami wspólnie spożywającymi posiłki. Zbrojni są odpowiedzialni za zachowanie swoich podkomendnych. – Zobaczył Johna le Bailli. – John! Zbierz wozaków i zakwateruj ich razem, zwierzęta pociągowe do stajni. Mag... Mag!

Szwaczka jak zwykle trzymała się w cieniu, choć wyglądała pięknie w czerwonym kaftanie na czarnej sukni podróżnej. Miała też zawadiacki kape-lusik.

– Diuku, panie – powiedziała z dygnięciem tylko odrobinę kpiącym.

Przełożony ordynariuszy pobladł.

Czerwony Rycerz pomimo tętniącego bólu w skroniach musiał się roze-śmiać.

– Mag, możesz się zająć wszystkimi cywilami? Mianuję cię kapralem... przyjmujesz stanowisko?

– Za kapraleską zapłatę? – zapytała cicho.

– Oczywiście.

Uśmiechnęła się.

– Kaitlin będzie moim porucznikiem – powiedziała.

– Umieść ich wszystkich razem. Obowiązuje najlepsze zachowanie.

Jego żołnierze zasalutowali wolnymi rękami i Mag złożyła kolejny dyg.

– Mamy żywności na trzy dni – powiedział cicho John le Bailli do kapitana ordynariuszy.

Mężczyzna z ulgą wydał policzki. Zwrócił się do ordynariusza z pętlą białego warkocza albo sznura na prawym ramieniu.

– Rozumiesz, Stefanosie?

Ordynariusz zasalutował.

Czerwony Rycerz miał cienkie skórzane rękawiczki, futrzaną czapkę ze złotą emaliowaną broszą i białymi strusimi piórami i trzymał w ręce buławę, znak dowódcy. Ukłonił się swoim oficerom.

– Ser Gawinie, ser Thomasie, ser Jehanie, ser Milusie, ser Alkajosie, do mnie.

Toby zarzucił mu na ramiona podbitą gronostajami pelerynę i poszedł za zwierchnikiem ordynariuszy. Bigwanty, naręczaki oraz trzewiki zostały zdjęte i leżały już na ziemi, więc kapitan wyglądał tak, jakby nosił kirys z wyboru.

Razem przeszli z Zewnętrznego Dziedzińca na Wewnętrzny. Czerwony Rycerz zwrócił się do Ciemnowłosego:

– Wybacz, kapitanie. Musiałem się zająć moimi ludźmi.

Ciemnowłosa nie był stary. Uśmiechnął się szeroko, pokazując liczne braki w uzębieniu. Dorównywał wzrostem Złemu Tomowi – dwóch wielkoludów już mierzyło się wzrokiem. Machnął toporem, poruszając ważącą trzy funty głowicą na długim na pięć stóp trzonku z taką łatwością, z jaką dziecko wywija słomką, i skinął na sześciu ludzi z dwóch pierwszych rzędów Nordykanów.

– Rozejść się! – ryknął.

Cały oddział Nordykanów rozpuścił się jak sól w ciepłej wodzie i zniknął w szerokiej na sześciu chłopa bramie swoich koszar. W rozpraszonym przez pochodnie mroku Czerwony Rycerz zdążył zobaczyć ciemne rzeźbione drewno, ozdoby wyplatane z lin, wielkie rozdziawione paszcze smoków, biegnące psy i pobielone ściany. Szedł otoczony przez sześciu ludzi w długich kolczugach, z których każdy był wielki jak Tom czy Randal albo galijscy arystokraci.

– Nie jestem kapitanem – rzekł Ciemnowłosa ze śmiechem. – Jestem zastępcą spathariosa. To znaczy...

– Noszący miecz – powiedzieli jednocześnie ser Michael i Czerwony Rycerz.

Uśmiechnęli się do siebie. Ser Jehan przewrócił oczami.

– W pałacu nie ma innego kapitana prócz kapitana ordynariuszy – mówił Ciemnowłosa. – Dowódca Nordykanów zwany jest jarlem. – Wzruszył ramionami. – Jarl zginął z ręki zdrajcy.

– Ale oczywiście twoi ludzie nazywają cię kapitanem – wtrącił pałacowy funkcjonariusz. – Z pewnością możemy odnieść wzajemną korzyść...

Czerwony Rycerz się uśmiechnął.

– Zadowolę się tytułem diuka – powiedział.

Zły Tom wyszczerzył zęby.

– Niech będzie diuk.

Na tronie siedziała bardzo drobna osóbką w nadzwyczaj wspaniałym stroju. Była odziana w purpurę i złoto, a gęstwa pereł w jej włosach uniemożliwiała określenie ich koloru. Twarz miała przysłoniętą woalem ze złotej koronki, a jej suknie mogły rywalizować ze zbroją Czerwonego Rycerza pod względem ciężaru.

Kapitan szedł po purpurowym dywanie, dotkliwie świadom, że ma w butach źdźbła trawy z Pola Aresowego. Sala tronowa miała porażać barbarzyńców swoją wspaniałością i Czerwony Rycerz stwierdził, że ma kłopot z utrzymaniem spojrzenia na księżniczce. Kopuła wznosiła się na wysokość stu stóp, z osadzonym dokładnie pośrodku okrągłym kryształowym oknem, przez które zaglądały dalekie gwiazdy; resztę sklepienia pokrywało mozaikowe wyobrażenie stworzenia świata, hermetyczne dzieło, ruchome, ilustrujące historię.

Pod cudowną kopułą stał cesarski tron wysoki na dwóch ludzi, wykonany ze lśniącej kości słoniowej i litego złota, z żółtoczerwonym rubinowym kaboszonym wielkości męskiej pięści osadzonym w baldachimie. Kamień był hermetyczny i jarzył się od środka, rzucając bogate złote światło na księżniczkę.

Przy tronie na podnóżku z kości słoniowej siedziała starsza kobieta w granatowej szacie haftowanej w gwiazdy, księżycy i krzyże. Miała w ręce nożyczki i wydawało się, że tnie nić, co wydawało się dziwne wśród tego niesłychanego przepychu.

Mężczyzna pełniący rolę szambelana podniósł laskę.

– Diuk Tracji! – zawołał. – Megas Ducas wszystkich cesarskich armii, admirał floty, władca gór, Czerwony Rycerz.

Podczas długiej wędrówki przez pałac diuk został zaznajomiony z tajnikami ceremoniału i dzisiaj nie był zainteresowany naruszeniem etykiety. Śmiało stawiał jedną nogę przed drugą, aż doszedł do tronu, tam przykląkł, ściągając z głowy futrzaną czapkę, po czym padł na twarz u stóp księżniczki.

Być może się uśmiechnęła. Wysunęła jedną obutą na czerwono stopę.

Ucałował nosek pantofla i przyłożył czoło do szkarłatnego dywanu. Nawet w tej pozycji, twarzą do podłogi, widział, że marmur pod jej kościanym tronem jest idealnie czysty. Dalej, pod gobelinami, które częściowo zasłaniały pogańską mozaikę przy małych drzwiach, dostrzegł cztery łapki kota.

Uśmiechnął się do siebie.

Leżał na grubym dywanie, czując ból w biodrze, zdrętwiałe plecy, zmęczenie w ramionach. Właściwie leżenie u stóp tronu było bardzo przyjemne.

*Nie mów ani słowa*, przykazał swojemu irytującemu gościowi.

Grzechot, szelest i podzwanianie powiedziały mu, że jego rycerze też rzucają się na podłogę. Kot drgnął, wystraszony zgiełkiem, i spuścił łebek niemal do posadzki, zaglądając pod tron, sprawdzając, czy coś mu tam nie grozi.

– Wnosimy, że wypędziliście zdrajcę od murów mojego miasta i odnieśliście wielkie zwycięstwo – powiedziała kobieta siedząca na tronie. – Przyjmij

wyrazy uznania. Jesteśmy wdzięczni. Chcemy się spotkać z tobą i twoimi oficerami na prywatnej audiencji, żeby zasięgnąć rady.

Diuk i jego rycerze leżeli na dywanie nieruchomo niczym posągi. Nikt się nie odzywa do tronu podczas oficjalnej audiencji.

Gdy wstała, poczuł zapach jej perfum, cudowną mieszaninę aromatów cedru, piżma i lawendy. Była szczupła, miała stopy o wysokim podbiciu. Zastanawiał się, czy ta wielka obsesja na punkcie butów cesarza nie wynika z tego, że jego poddani spędzali tyle czasu na brzuchach, patrząc na niego z poziomu podłogi.

Kot polował na szczura. Czerwony Rycerz widział jedno zwierzę i drugie.

Księżniczka zeszła z podwyższenia i opuściła Wielką Salę ze świtą za plecami, zostawiając w powietrzu nutę cedru, piżma i lawendy.

Tymczasowy szambelan szybko zastukał laską w podłogę i wszyscy dworzanie zaczęli się podnosić. Diuk zgrzytnął zębami i wstał, choć tępy ból pulsował mu w biodrze i plecach jak dudnienie mosiężnego bębna.

Pojawił się przy nim kapitan ordynariuszy.

– Za mną. Bardzo elegancko, brawo – powiedział z dobrze wyćwiczoną przymilnością, którą nowy diuk uznał za mocno podejrzaną.

Nie musiał długo żywić tych podejrzeń. Biodro poddało się z trzaskiem protestu i upadł – noga nie chciała go podtrzymać. Mocno uderzył głową w podłogę.

Ser Milus coś krzyknął o krwi.

Zanieśli nowego diuka do jego nowych apartamentów i położyli na łożu dość okazałym, żeby mogło pełnić rolę sceny do wystawiania misteriów, i broczył krwią na prześcieradła z najbielszego lnu. Ordynariusze uwijali się wokół niego jak osy. Ser Thomas złapał spathariosa za ramię.

– Potrzebuję lekarza! – krzyknął, wytrzeszczając lekko obłąkane oczy.

– Już wezwano medyka – odparł kapitan z ukłonem.

Tom go nie lubił. Miał w sobie coś fałszywego, przegniłego do szpiku kości. Ciemnowłosy natomiast mógłby być jego bliźniaczym bratem, miał czarne włosy, czoło jak dziób statku i niebieskie oczy o tak ostrym spojrzeniu, że mogłoby skaleczyć. Był pokryty tatuażami od knykci po powieki i Tom uznał, że to mu się podoba. I nie należał do ludzi, którzy się wahają.

– Nie wziąłbym od niego wody nawet gdybym konał z pragnienia – powiedział do Ciemnowłosego. – Macie swojego lekarza?

Tymczasowy spatharios pokręcił głową. Odwrócił się i warknął coś po



nordykańsku do drugiego wielkoluda, który natychmiast wystąpił.

– Harald Derkensun. Mówię po albańsku i po archaicku.

Tom przez chwilę patrzył na ordynariuszy, po czym pokręcił głową.

– Niech ci pierdoleni niewolnicy wyniosą się z pokoju. Chcę mieć lekarza, któremu ufacie – oznajmił.

Derkensun skinął głową. Klasnął w ręce i wyszczeekał rozkazy. Zaskoczeni ordynariusze uciekli z pokoju.

Ich kapitan się uklonił.

– Posiałem po naszego doktora – zaczął, ale Tom mu przerwał.

– Sprowadzimy naszego. Możesz odejść.

Kapitan ordynariuszy westchnął.

– Każę przysłać wodę i bandażę.

Ser Jehan złapał Złego Toma za ramię.

– Posłałem po Mag. I po Toby’ego, i Nell, i świeżych ludzi, żeby stanęli na straży.

Zły Tom skinął głową.

– Tak... dzięki.

Jehan ściągnął usta.

– Mnie też się nie podoba ten nadęty łajdak – powiedział.

Mag miała *potentia* uzdrawiania, ale nie była to jej najsilniejsza heretyczna umiejętność, dlatego ograniczyła się do uśmierzenia bólu i manipulowania biodrem, żeby zestawić pękniętą kość, a potem położyła na niej wiążące światło.

– Dopilnuj, żeby się nie ruszał – przykazała Toby’emu.

Toby obrzucił ją spojrzeniem, jakie chłopcy mają w zapasie dla swoich matek.

– Niby jak mam to zrobić, pani? – zapytał z jękiem. Spojrzał na Nell.

Dziewczynka wbijała wzrok w ziemię.

Mag przeciągnęła się i popatrzyła na le Bailli, który pocierał brodę.

– Chryste, muszę się przespać – mruknął.

Mag zwróciła się do Złego Toma.

– Wciąż potrzebujemy doktora. Dobrego.

– Jeden z Nordykanów mówi, że zna takiego, starego Jahadutę z mocami.

– Zły Tom wskazał podbródkiem drzwi, gdzie stało dwóch wielkoludów z toporami. – Na wzgórzach darzymy wielkim szacunkiem Jahadutów.

Mag wzruszyła ramionami.

– Nie znam ani jednego. Jeśli jest lekarzem i możemy mu zaufać, to po niego poślij. Kapitanowi się polepszyło i będzie chciał wstać, a ja nie jestem pewna, czy dobrze nastawiłam biodro. – Ziewnęła.

Derkensun uklonił się Mag i wyszczerzył zęby do Złego Toma.

– Mogę pchnąć gońca do mojego przyjaciela. On znajdzie starego. Ale wstanie słońce, zanim go zobaczymy. A księżniczka będzie chciała jak naj-  
szybciej spotkać się z diukiem. – Przenosił spojrzenie z Toma na Mag. – Do-  
brze robicie... bądźcie czujni.

Tom skinął głową, podniósł skórzany bukłak.

– Pić wodę tylko z manierek, dopóki nie zyskamy pewności, że jesteśmy  
bezpieczni. Rozumiecie, chłopaki?

Pozostali mężczyźni w pokoju skinęli głowami.

Później w nocy Nell przyprowadziła ze stajni dwa kompanijne kundle. Szukała koni prawie godzinę i jeszcze więcej czasu zajęło jej znalezienie za-  
grody, w której zamknięto psy. Zabłądziła, wracając przez labirynt korytarzy,  
i psy próbowały ugryźć jakiegoś ordynariusza.

Wszystko jest przygodą, kiedy jesteś paziem.

Przekazała psy Toby'emu, który dał im wody w miskach. Szczeniak chłep-  
tał z entuzjazmem. Starsza suka powąchała wodę i zaskamlała.

Po godzinie szczenię nie żyło.

Kompania została postawiona w stan gotowości i wystawiono strażę. Wy-  
czerpani ludzie snuli plany, jak w razie potrzeby bronić koszar Athanatos. Ser  
Milus odliczył każdego mężczyznę, kobietę i dziecko, chodząc z kwatery do  
kwatery z rycerzami w pełnym rynsztunku i z pochodniami. Złani potem  
łucznicy otwierali wszystkie kufry i szafki, wywracali łóżka do góry nogami.

Przyłapano dwóch ludzi. Obaj walczyli i obaj zostali zabici.

Zły Tom wyglądał jak wcielony diabeł w świetle pochodni, z mieczem  
czerwonym od krwi drugiej ofiary, ordynariusza w cesarskich barwach.

Kapitan ordynariuszy odmówił stawienia się na wezwanie.

Ser Milus spojrzał na opracowany przez ser Michaela plan obrony koszar i  
go zaaprobował.

– Gdzie jest wartownia? – zapytał.

Ser Michael wskazał pomieszczenie, w którym się znajdowali – długi,  
otwarty hol z dostępem do wnętrza i głównej sali budynku. Były tam podłoga  
z czarnego i białego marmuru i sceny batalistyczne na ścianach.

– Dobra robota, Młody. Bierzesz pierwszą wartę. – Starszy rycerz szeroko

się uśmiechnął. – Dzięki, że zgłosiłeś się na ochotnika. – Wskazał rysik ser Michaela. – Możesz ją spędzić na sporządzaniu listy wart.

Mag siedziała przy łóżku Czerwonego Rycerza. Był blady i jego skóra wydawała się przejrzysta, jak u bardzo chorej osoby, i zastanawiała się trochę bezradnie, czy źle nastawiła biodro, czy może swoimi poczynaniami pozbawiła go *ops*. Na tym polegało największe ryzyko związane z uzdrawianiem.

Wiedziała, że nadzieje na znalezienie doktora łączą się z jej pragnieniem przekazania kapitana pod opiekę kompetentnej osoby. Leczenie nie było jej dziedziną.

Siedziała i szyła.

Martwiła się i zasnęła.

Ale poczuła atak magii hermetycznej. Miała czas, żeby zaczerpnąć tchu, unieść tarczę nad łóżkiem i wstać.

Jeden z Nordykanów zginął – krew zagotowała mu się w żyłach. Drugi położył rękę na rękojeści miecza i cokolwiek go wzięło na cel, omyło go jak rzadki atrament i zniknęło.

Mag rozpostarła ręce, czego się nauczyła od przeoryszy, i złe czary się rozproszyły. Moc, która przepłynęła nad śpiącą Nell, tylko ją obudziła.

– Pożera gwiazdy! – krzyknęła dziewczynka i z powrotem zamknęła oczy.

Nordykanin ukląkł, położył rękę na czole towarzysza i wstał, kręcąc głową.

– Pierdolone tchórzliwe wiedźmy – warknął.

Mag sięgnęła w dół. Czary mają przyczyny. Każde nakłucie igłą zostawia dziurkę w tkaninie, choćby najmniejszą. Nawet kiedy wypruje się nici, szwaczka umie poznać, gdzie biegł stary szewek.

Uniosła ręce i głośno przemówiła. I ukazała się nić wiążąca jej przeciwnika z jego dziełem. Snuła się, prowadząc na korytarz.

Wezwała psa – martwego szczeniaka – i kazała mu tropić. Przepęłniła zwierzę swoimi *ops*, żeby ożywić je na kilka minut, i wysłała, bezrozumne, żeby dla niej polowało.

Harald Derkensun z odrazą patrzył, jak pies wstaje i węszy po podłodze; cofnął się i osłonił mieczem przed miłą starszą kobietą.

Mag przyjaźnie pokiwała głową.

– Nie masz się czego obawiać. Nie wszystkie wiedźmy są tchórzami.

Moc dźwięczała w jej głosie.

Pies długimi susami pędził w głąb korytarza.

Derkensun był wstrząśnięty.

– Przecież nie żyje.

– Szkoda, tym większa szkoda, bo należał do mojej córki – powiedziała Mag. – Ale mus to mus – dodała.

Pies miał jedyny cel i było nim podążanie tropem. Biegł i z każdym susem zapach stawał się coraz silniejszy.

Źródło! Spiętrzyło się nad nim i go kopnęło.

Stał się światłem.

Mag poczuła powtórny śmierć szczenięcia. Przymrużyła oczy. Nordykanin miał wrażenie, że widzi jedną ze złośliwych starych wiedźm z mitów swojego ludu – dzikich staruch strzegących lodowego dzwonu.

– Mam go – powiedziała. Opadła zgarbiona na krzesło.

Świt sprowadził lekarza.

Był stary, tak stary, że jego wąsy i broda wyglądały jak kosmyki marnej wełny. Na głowie miał małą czapkę i wspierał się na wysokim kosturze. Przybył z Derkensunem, ser Michaelem i młodym człowiekiem, który nie został przedstawiony. Nordykanie położyli martwego strażnika na tarczy i go wynieśli.

Jahaduta pochylił się nad łóżkiem, przyłożył rękę do czoła kapitana i gwałtownie ją odjął.

– Boże moich ojców... Co to za bluźnierstwo?

Zaczął się odwracać, potknął się i zamarł.

Ser Michael zignorował błazeństwa starego.

– W kuchniach zginął człowiek, Mag. Zabity hermetycznie, miał oparzenia pod skórą.

– Zabił strażnika, próbował zabić nas wszystkich – rzekła Mag ze zmęczeniem w głosie.

– Zły Tom też dopadł dwóch – powiedział Michael. – W tym miejscu szerzy się zdrada.

Harmodiusz podjął nowy desperacki wysiłek.

*Jahaducki uczony!*

*Mężczyzna znieruchomiał.*

*Potrzebujemy twojej pomocy!*

*Bluźnierstwem jest, żeby dwie dusze zajmowały jedno ciało, powiedział*

starzec, chociaż rzadkość fenomenu wzbudziła w nim zainteresowanie. *Rozumiem. Ach... rozumiem. Twoje ciało jest martwe?*

*Tak, odparł Harmodiusz. Muszę opuścić mojego gospodarza. Zabijam go.*

*Widzę, powiedział uczony, głęboko zaintrygowany. Ach! Ty jesteś Harmodiuszem?*

*Tak.*

*Josef ben Mar Chijja, do usług. Znasz Al-Raszyda...*

*Znam. Byłem jego uczniem. A ty?*

*Korespondujemy. Twój gospodarz nie jest poważnie ranny. Z żalem potwierdzam, że ty jesteś źródłem problemu. Musisz go opuścić.*

*Czułem to. Przejąłem kontrolę...*

*To zło! Nie wolno tego czynić!*

*...żeby go ocalić. I oczywiście siebie. Josefie, jestem bezsilny Czy mogę zostać przeniesiony do jakiegoś przedmiotu?*

*Nie. Dusza jest zbyt skomplikowana. Możesz przejść tylko do ciała innego gospodarza. Przecież z pewnością to wiesz?*

*Gdyby Harmodiusz miał ciało, wzruszyłby ramionami i westchnął. Mam tyle powodów, żeby żyć!*

*Josef ben Mar Chijja szeroko otworzył oczy i odwrócił się w stronę Czerwonego Rycerza. Opadł na fotel w wygodnym, nieco podniszczonym saloniku swojego wielkiego pałacu-biblioteki. Jestem dobrze opancerzony demonie. Wejdz i usiądź.*

*Nie jestem demonem.*

*Wszystko, co pragnie przejąć władzę nad ciałem innego człowieka, jest demonem. Ale mnie nie skusisz. Jestem na to za stary. Kim jest kobieta, która płonie jak słońce?*

*Mag, szwaczka. Ma naturalny talent.*

*Na rogi i bębny Judei, jest jak anioł ognia. W przeciwieństwie do ciebie, demonie. Musisz umrzeć.*

*Jeśli muszę, niech tak będzie. Czekaj, chwileczkę. A jeśli podasz mu leki? Czy leki pomogą?*

*Mogą pomóc, a ty wciąż tam będziesz.*

*Psiamać! Raszyd znalazłby rozwiązanie.*

*Raszyd jest dziesięć razy potężniejszy niż ja, a jednak powiedziałyby, że rozwiązanie jest łatwe – po prostu ty go nie akceptujesz. Odejdź. Giń!*

*Nie.*

*Jahaduta z drzeniem wciągnął powietrze i wymruczał zaklęcie, trzymając*

rękę na amulecie na piersi. Rozbłysło czyste białe światło.

Kapitan otworzył oczy.

Napotkał spojrzenie starego uczonego. Wziął głęboki oddech, gdy jego przyjaciele stłoczyli się wokół łóżka.

– Odszedł – szepnął.

Uczony potrząsnął ręką.

– Niezupełnie, przeklęty staruch. – Położył dłoń na czole Czerwonego Rycerza. – Po prostu na jakiś czas zmusiłem go do zaprzestania. Posłuchaj, dam ci pić. Gorące mleko z korzeniami i winem. Pomoże ci na jakiś czas. – Ściągnął brwi. – Ale, prawdę mówiąc, musisz się pozbyć tego kłopotliwego gościa.

Mag pochyliła się w ich stronę.

– O czym on mówi?

Kapitan uciekł oczami.

– Plecie trzy po trzy, Mag – powiedział.

Doktor napotkał spojrzenie szwaczki i w wieczności bez czasu oboje wiedzieli, o co chodzi.

– Rozumiem – szepnęła Mag.

Godzinę po wypiciu napoju kapitan był już na nogach, przepełniony dziką energią.

Skontrolował przygotowania, wysłuchał raportów o różnych nocnych atakach i krążył po pokoju, dopóki Nell go nie zaopatrzyła w świeże ubrania i miskę do mycia.

Nell sama naczepała wody i przyniosła ją do pokoju, a Mag hermetycznie ją podgrzała.

Czerwony Rycerz wysłał ser Michaela, który ledwie się trzymał na nogach ze zmęczenia, żeby powiadomił kapitana ordynariuszy, że może się spotkać z księżniczką o dogodnej dla niej porze. Ucisnął przedramię Haralda Derkensuna.

– Mag mówi, że jestem twoim dłużnikiem za doskonałego doktora i ostrzeżenie. Przykro mi z powodu twojego człowieka. – Spojrzał Nordykaninowi w oczy.

Mężczyzna pokiwał głową.

– Więc powinieneś wiedzieć. Ty jesteś Megas Ducas. Ja jestem gościem cesarza i nie jestem winien wierności nikomu innemu. Bez względu na więzy krwi.

Kapitan go wysłuchał i powiedział:

– Dałeś mi dużo do myślenia.

– Ciemnowłosy wie – powiedział Derkensun. – I Giorgios Komnen ze scholi.

Nowy Megas Ducas oparł się o ścianę.

– No, no – mruknął. – Dzięki. Ostrzeżony jest uzbrojony, jak mawiają w Zachodnim Murze. – Przez chwilę błądził myślą, potem wziął się w garść. – Co możesz nam powiedzieć o tym Eskepilesie? O magistrze cesarza?

Derkensun wzruszył ramionami.

– Niewiele. Niektórzy zwać go Wulkanem. Był kowalem albo złotnikiem, zanim zyskał moc. Przynajmniej tak słyszałem. – Wzruszył ramionami. – Prawdę mówiąc, my, Nordykanie, nienawidzimy czarów. – Lekko się uśmiechnął. – Nienawidzimy tego, czego się boimy.

– Wydajesz się dobrze poinformowany – zauważył Megas Ducas.

– Mój przyjaciel jest czarownikiem – powiedział Derkensun. – Pozbyłby się kowala. To znaczy Eskepilesa. Staramy się nie wypowiadać jego imienia.

Godzinę później cała nocna warta była w łózkach. Kapitan opuścił apartamenty w pałacu, oczywiście apartamenty byłego diuka Tracji.

Poszedł z Tobym i Nell przez labirynt korytarzy do koszar Athanatos, gdzie stwierdził, że Mag, przezorna jak zawsze, zarezerwowała dla niego oficerskie mieszkanie złożone z trzech pokoiów – saloniku, sypialni i kancelarii. Już je wyposażyła w obozowe meble. I jeszcze nie spała.

Ujął jej rękę i ucałował ją w policzki.

– Jesteś...

Roześmiała się.

– Staram się wybiegać myślą do przodu. Ktoś musi. – Pochyliła się i

*Weszła do jego pałacu.*

*Harmodiusz żyje!* – zawołała.

*Tak.*

Uśmiechnął się.

*To dobrze, lubiłam go.*

*Jest męczącym towarzyszem, marnym współlokatorem, przynajmniej wewnątrz mojej czaszki. Leki Jahaduty go uśpiły.*

*Oj! Powiedz mi, czy mogę pomóc.*

Jej kochanek, John le Bailli, podał kapitanowi dwie woskowe tabliczki.

– To lista przygotowań, najlepiej jak je rozumiem. Pod koniec zrobił się chaos i to miejsce jest niewiarygodne, w kantynie wisi legionowy orzeł...

Budynek ma więcej niż tysiąc lat. – Wyciągnął zwój. – Złapaliśmy dwóch szpiegów i Tom ich zabił.

– Jasne – mruknął kapitan.

Pyskata stanęła w drzwiach kancelarii.

– Ludzie mówią, że mamy cię nazywać diukiem.

Uśmiechnął się do niej.

– Podoba mi się. To tytuł wyższy niż hrabia.

– Diuk Gabriel? – zapytała z wielką śmiałością.

Jego uśmiech przygasł.

Weszła do kancelarii, gdzie Toby otworzył na stole biurko połowę i rozgrzał wosk do pieczętowania. Z jednej strony leżał stos zwojów, a z drugiej plik pergaminu.

– Jest inaczej niż za dawnych czasów – powiedziała Pyskata. – Gawin jest po twojej stronie. Sporo ludzi wie albo podejrzewa... na przykład Alkajos. I jeśli on wie, to księżniczka też. – Wzruszyła ramionami. – Kiedy chodziło tylko o ciebie, o mnie, o Jacquesa, wtedy było inaczej.

Wyprostował się.

– Kiedyś byłem tylko ja i Jacques.

Mag chwyciła swojego mężczyznę za łokieć i wyciągnęła go z pokoju. Pomachała nad głową Pyskatej.

Pyskata posłała całusa świeżo obwołanemu diukowi.

– Nie strasz mnie. Jestem rycerzem. – Wzruszyła ramionami. – Słyszałam, że miałeś złą noc. Jak my wszyscy.

– Prawdę mówiąc, od dwóch tygodni lepiej nie spałem. Idź się położyć, kobieto.

Pokręciła głową.

– Nie mogę. Michael wyznaczył mnie na tę wartę i jestem oficerem dyżurnym. – Uśmiechnęła się szeroko. – Oficer dyżurny. Myślisz, że kiedyś to mi się znudzi?

– Nie. Jak ci idzie czytanie i pisanie?

Skrzywiła się.

– Niezbyt dobrze.

Diuk wskazał stos zwojów na biurku.

– Widzisz to? Powinien się tym zająć oficer dyżurny z kapralami, ale na razie prawie wszystko robię sam z Michałem. Dla oficerów kompanii umiejętność czytania i pisanie nie jest kwestią wyboru. Jasne?

Zasalutowała.



– Tak, wielmożny diuku. – Zachichotała i wyszła.

Wrócił ser Michael. Padł na stołek.

– Jeśli możesz to zrobić.

Diuk pokiwał głową.

– Sprowadź oficerów. Pyskata niech zostanie, bo w każdej chwili może nastąpić atak i chcę mieć na służbie dobrego oficera. Tak, wiem, już się tym zajęłeś, po prostu sprawia mi przyjemność, że mój umysł działa.

Ser Jehan kłął, a ser Milus wyglądał na swoje lata, ale przyszli – obaj w zbrojach. Ze swoimi paziami i giermkami przebyli Zewnętrzny i Wewnętrzny Dziedziniec, wspięli się po dwóch ciągach schodów i ruszyli korytarzem, który wydawał się długi jak cała droga z Lissen Carak. W końcu stanęli przed dębowymi podwojami z bogato rzeźbionego starego ciemnego drewna.

Na straży przy drzwiach stało dwóch Nordykanów. Unieśli topory i je zde-rzyli, uśmiechając się w gęstwinie bród.

– Ave, Imperator! – wykrzyknęli jednocześnie.

Zaskoczony Diuk spojrział przez ramię, zanim zrozumiał, że to jego mają na myśli.

– Ja też jestem kimś w rodzaju uczonego, mój panie diuku – powiedział lekkim głosem ktoś w pokoju.

Córka cesarza siedziała na wyłożonym kością słoniową dębowym krześle z niskim oparciem. Miała długą szkarłatną suknię, a na niej suknię wierzchnią, której kolor zmieniał się od ciemnej czerwieni do bladej zieleni zależnie od światła. Miała trzy pawie pióra we włosach i woal z niemal przezroczystego jedwabiu. Jej oczy w kształcie migdałów były ciemne jak zbity aksamit, a włosy lśniły niczym czarny brokat w świetle tak wielu świec, że pokój sprawiał wrażenie stojącego w ogniu. Diuk spostrzegł, że każda para świec wisi przed brązowym lustrem, które odbijało blask w rdzawozłotej obfitości. Nie wyglądało to jak światło dzienne – przypominało blask ostatnich chwil pięknego letniego dnia.

Diuk padł jak długi na podłogę. Pod brokatem za stopami księżniczki, wciąż obutymi w te same czerwone pantofelki, leżało coś okrągłego i złotego.

Zapach był taki sam.

Ten pokój był gorzej wysprzątnany niż sala tronowa – kłaczki kurzu zebrały się pod szafkami etruskiej roboty, z *trompe l'oeil* wyobrażającym książki, astrolabia, zwinięte mapy, instrumenty hermetyczne i naukowe namalowane

tak realistyczne, że w czerwonym świetle mało spostrzegawczy obserwator wzięłyby je za prawdziwe. Świeżo obwołany diuk pomyślał, że wszystkim sprzętom nie zaszkodziłoby odkurzenie i natarcie olejem orzechowym.

– Nie musisz padać na twarz przed nikim z wyjątkiem tronu, diuku – powiedziała. – Jestem tylko córką cesarza i można twierdzić, że nie zasługuję na tron nawet wtedy, kiedy na nim siedzę.

– Przeciwnie, Wasza Wysokość, twoje piękno żąda ode mnie całkowitego oddania, gdziekolwiek je znajduję – powiedział diuk.

Kobieta z nożyczkami klasnęła w ręce.

– Jestem pewna, że pochlebstwo wywoła wielce korzystne wrażenie – skomentowała księżniczka z nutką rozbawienia w głosie.

– Tak wynika z mojego doświadczenia. Mogę wstać?

– Może powinnam mierzyć siłę mojego piękna trwałością twojej chęci leżenia w kurzu u moich stóp.

– Czy przypadkiem nie brakuje ci złotego guzika w kształcie dzwonka sokolniczego? – zapytał.

– Gdzie znalazłeś słowo bucellarii? Urowadzenie mojego ojca wywołało poruszenie tylko odrobinę większe niż twoje oświadczenie, że jesteś dowódcą bucellarii. – Uśmiechnęła się i lekki rumieniec ożywił jej bladą jak kość słoniowa twarz.

– Ale wiesz, co to oznacza.

– Jestem kimś w rodzaju uczonego. A ty? Wiesz, dlaczego Nordykanie ci zaszutowali? – Skinęła głową. – Trudno będzie z tobą rozmawiać, jeśli się nie podniesiesz z podłogi.

– Gdyby Wasza Wysokość spędziła dzień w zbroi na piekielnym koniu, rozbijając w pył wrogów Waszej Wysokości, mogłaby uznać, że podłoga Biblioteki Cesarskiej jest bardzo wygodna.

Głos miała opanowany, sztuczny, modulowany i wysoki jak aktorka albo wielka śpiewaczka. Brzmiał niemal hermetycznie.

– Cóż, skoro się upierasz przy leżeniu na podłodze, tak, rzeczywiście zginał mi jeden z moich ulubionych guzików.

Diuk wstał powoli, oszczędzając prawe biodro, i ukląkł przed nią na jednym kolanie.

– Jeśli któryś z ordynariuszy mógłby po niego sięgnąć, leży pod środkową etażerką. I jeśli masz służkę odpowiedzialną za sprzątanie tego pokoju, to może powinno się sprawdzić jej wzrok.

Uśmiechnęła się do niego.

Przez chwilę miał kłopot z oddychaniem.

– Możesz pokonać zdrajcę i odbić mojego ojca? – zapytała.

– Tak – odparł.

Poczuł jej hermetyczną sondę.

Pokiwał głową. Bardzo, bardzo cicho powiedział:

– W Albie coś takiego zostałoby uznane za wielce nieuprzejme. Może nawet za atak.

Jej mina się nie zmieniła.

– Jestem zdesperowana – wyznała z brutalną szczerością. – Tu, gdzie siedzę, nie ma żadnych reguł.

Kolejno przedstawili swoich ludzi – jego najemników, jej urzędników dworskich i oficerów.

– Z mojej woli będziesz traktowany jako nowy Megas Ducas – powiedziała. – W rzeczy samej jesteś dowódcą moich armii i floty, obecnie składających się z jednej uzbrojonej galery w cesarskim porcie i sił, które nocą widziałeś w pałacu, z dodatkiem twoich ludzi. I może wardariotów?

– Pozwoliłem sobie wypłacić im zaległy roczny żołd – odpadł diuk.

Siedzenie okazało się wcale nie lepsze dla biodra niż stanie, a zbroja sprawiała wrażenie maszyny skonstruowanej specjalnie do połamania mu ciała.

Kapitan ordynariuszy i tymczasowy szambelan zakasłali.

Pani Maria spojrzała na ser Alkajosa, który w odpowiedzi leciutko skinął głową.

– Wiem, że jesteś synem hrabiego Muriena – powiedziała księżniczka.

– Wiem, że jesteś matką ser Alkajosa – powiedział diuk do kobiety z nożyczkami. – A rycerz przy końcu stołu, siedzący przy tymczasowym spathariosie Ciemnowłosym, jest moim bratem. Na wypadek gdyby to wszystko stało się sprawą rodzinną.

– Zapłaciłeś wardariotom, diuku. Sama nie mam środków, żeby to zrobić, i nie stać mnie na zwrócenie ci poniesionych kosztów. Nawet gdybym miała pieniądze, użyłabym ich do kupienia wierności trackich panów. Chciałabym wiedzieć, co planujesz, żeby pokonać zdrajcę i odbić mojego ojca.

Czerwony Rycerz – obecnie diuk Tracji – skłonił głowę.

– Wasza Wysokość, ponieważ w twoim pałacu roi się od szpiegów i zdrajców, zamierzam bardzo uważać, komu wyjawiam moje plany.

Księżniczka zmarszczyła brwi.

– Zgadzam się, że w moim pałacu są szpiegowie. Pałace mają to do siebie.

Ale osoby w tym pokoju są godne zaufania. Jest nas tylko dwanaścioro.

– Jezus też miał tylko dwunastu – zaznaczył diuk. – I spójrz, czym się to skończyło.

Moreańczycy, mniej obeznani z bluźnierstwem niż Albanowie, wciągnęli powietrze przez zęby. Księżniczka wyglądała tak, jakby została fizycznie zraniona.

Diuk wzruszył ramionami.

– W każdym razie – podjął – zamierzam pozyskać Akademię i zbudować flotę. Skoro jedno i drugie będzie wymagać wielu zabiegów publicznych, ukrywanie moich zamiarów nie ma sensu.

Irena ściągnęła usta.

– Akademia jest lojalna – powiedziała i tu po raz pierwszy okazała wahanie.

Diuk milczał przez chwilę.

– Członkowie Akademii mają dość hermetycznej siły ognia, żeby obalić cesarstwo i Kościół razem wzięte, jeśli będzie im na tym zależało. Pozwolili, żeby magister militum zwrócił się przeciwko twojemu ojcu. Przypuszczam, że z jakiegoś powodu są niezadowoleni.

Księżniczka odwróciła wzrok.

– Nie mam pieniędzy dla floty.

Nowy Megas Ducas pokiwał głową.

– Pożyczę pieniądze na zbudowanie floty.

Pani Maria odezwała się po raz pierwszy.

– Etruskowie spalą statki w trakcie budowy.

Zły Tom chrząknął.

– Niech tylko spróbują – warknął. Niewyspany nigdy nie był w dobrym humorze. Tego ranka wyglądał jak czarny dzik przemieniony w człowieka, z włosami nad czołem zakręconymi niczym rogi satyra.

Pani Maria się pochyliła wyraźnie zainteresowana.

– Założyłam, że kupimy pomoc Etrusków przywilejami handlowymi. Wcześniej działało: zaproponuj koncesje Genui albo Wenice i nastaw jednych przeciwko drugim jak barbarzyńskie plemiona.

– Na ustępstwa można sobie pozwolić wtedy, kiedy jest się silnym – zaznaczył diuk. – Mając flotę na poparcie cesarskiej woli, możecie dyktować warunki Etruskom. Obecnie blokują wasze porty, odcinając was od podstawowych źródeł cesarskich dochodów. – Wzruszył ramionami. – Poza tym potrzebujemy floty, żeby napaść na ziemie zdrajcy, jak go nazywacie, i han-

dlować z Albą.

– Nie handlujemy z Albą – powiedziała księżniczka i urwała. Ręce jej lekko zadrżały. – Przypuszczam, że trochę handlujemy.

– Z Albinkirkiem za górami, Wasza Wysokość – odezwał się z wahaniem tymczasowy szambelan. – Tyle o ile, jak rozumiem.

– Dzicz odcięła szlaki handlowe – kontynuował diuk. – Alba jest bogatsza i bardziej prężna, niż wyobrażał sobie twój ojciec czy dziadek, Wasza Wysokość. Ja też czasami jestem uczonym. I mam przyjaciela, który jest wielkim kupcem. Zasięgnąłem języka, zanim tu przybyłem. Twoje jedwabie i jedne z najświetniejszych brokatów na świecie, tkane w murach tego miasta, najpierw trafiają do Weniki, a dopiero potem do Harndonu, który leży tylko kilkaset lig dalej wzdłuż wybrzeża. – Uśmiechnął się. – Są też inne rzeczy. Handel futrami.

– Kilka bel brokatu nie ocali zysków cesarstwa – skomentowała księżniczka. – I futra pochodzą z północy, a Tracja leży pomiędzy nami i naszymi pogranicznymi źródłami dochodu. W tym sezonie nie zobaczymy nowych futer.

– Nie? – zapytał diuk.

Maria położyła rękę na ramieniu swojej pani.

– Przedstawiłeś swój plan w całości? – zapytała księżniczka.

– Nie, Wasza Wysokość. To tylko sam czubek mojej włóczni, i posłuży do przysłonięcia innych moich poczynań. – Diuk się uśmiechnął. – Jeśli wolisz, mogę zabrać moich bucellarii i odjechać.

Westchnęła.

– Jesteś w każdym calu barbarzyńskim najemnikiem, jakiego sobie wyobrażałam. Może masz lepsze maniere i znasz górny archaicki, ale twoja arogancja dosłownie zbija z nóg.

– Wasza Wysokość, twój arogancki barbarzyński najemnik nie planowałby przywrócenia silnego cesarstwa przy jednoczesnym zachowaniu siły i jakości armii cesarskiej. Przez pięćdziesiąt pokoleń twoi przodkowie trwonili swoją spuściznę i kupowali cudzoziemskich żołnierzy, żeby chronili resztki cesarstwa, a ty mówisz, że ja jestem arogancki. – Diuk śmiało spojrzał jej w oczy. – Powinnaś wyjść z tego pałacu, Wasza Wysokość, i zobaczyć, jak wygląda reszta świata.

– A ty sobie wyobrażasz, że możesz mnie ocalić? – zapytała.

– Wierzę, że mogę cię obronić przed zdrajcą i uratować twojego ojca – odparł.

– Dzisiaj zawiodłeś.

Pani Maria znów położyła rękę na jej ramieniu, ale księżniczka ją strąciła. Diuk pokiwał głową.

– Nie pomogło mi to, że zdrajca wiedział, że nadchodzę, i rozlokował swoją prawą flankę najbliżej bramy. Ani też nie zostałem ostrzeżony, że ma potężnego maga, który przeciął cięciwy łuków moich ludzi i podpalił trawę. Co ty na to, Wasza Wysokość?

Pokręciła głową.

– Nie jestem odpowiedzialna za te wypadki.

Diuk wzruszył ramionami.

– Według mnie i moich ludzi ponosisz całkowitą odpowiedzialność. Ty jesteś kapitanem swojego cesarstwa. – Wciąż patrzył jej w oczy.

Księżniczka miała minę młodzieńca zaskoczonego przez zbirów w ciemnej uliczce. Dość dzielna, żeby walczyć, ale świadoma nieuchronnego wyniku. Wstała.

– Oskarżasz mnie o swoją porażkę, panie diuku? A może myślisz, że ja cię zdradziłam?

Pokręcił głową.

– Zajmijmy się realiami politycznymi, a nie wzajemnymi oskarżeniami. Jeśli możesz sprawować władzę, jeśli możesz utrzymać pałac i miasto, pokonam dawnego diuka i Etrusków. Jeśli chcesz się mnie pozbyć, Wasza Wysokość, wystarczy, że każesz mi odejść. – Twardo spoglądał w jej oczy. – Nie ma potrzeby podstępnie mnie zabijać.

Patrzyli na siebie dość długo, żeby zostać kochankami. Mierzyli się wzrokiem, żadne z nich nie mrugnęło.

Pani Maria wstała.

– Księżniczka teraz odejdzie. Dziękujemy ci, diuku, za wysiłki podjęte dla naszego dobra. W przyszłości zachowuj się mniej poufale wobec osób z rodziny cesarskiej. Księżniczka Irena nie przywykła do takich konfrontacji i uważa je za wyraz lekceważenia.

Świeżo obwołany diuk stał prosto, biodro na niego wrzeszczało i do jego protestów dołączył głośny chór siniaków, otarc i czystego zmęczenia. Zignorował polifonię bólu i ukląkł, ujął rąbek sukni księżniczki, gdy przy nim stała, i go ucałował.

Irena się zarumieniła.

– Myślisz, że jestem niewdzięczna – powiedziała. – Według ciebie jestem bezbronna, ze zdrajcą u bram. To cesarstwo przez ponad tysiąc lat było ostoją cywilizacji i... – musnęła ręką wysadzany brylantami krzyżyk pod szyją –

obawiam się, że to będzie przyczyną jego upadku.

Uśmiechnął się do jej sukni.

– Rycerz może być znośnym strażnikiem bramy. Nie jesteś bezbronna. I zdrajca nie wejdzie do tego miasta, nie ma mowy. Zaczniemy od tego.

Uśmiechnęła się i ostrożnie dotknęła jego ręki. Potem odeszła.

Pani Maria przystanęła w drzwiach. Ser Alkajos zgiął się w głębokim ukłonie i pocałował jej dłoń. Uśmiechnęła się.

– Spisałeś się genialnie – pochwaliła go. Potem zwróciła się do Czerwonego Rycerza. – Patenty twojego mianowania już są przygotowane. Podoba mi się twój śmiały pomysł odbudowy floty. – Wzruszyła ramionami. – Tylko nie wyobrażam sobie, że zostanie zrealizowany.

Wszyscy się ukłonili i świta cesarska odeszła. Został tylko kapitan ordynariuszy. Popatrzył na diuka.

– Dotknęła cię? – zapytał szeptem.

Diuk go zignorował.

– Daj mu spokój, Tom – przykazał, nawet nie odwracając głowy.

Tom opuścił broń i splunął pod nogi kapitana ordynariuszy.

– Nadejdzie twoja kolej, psie – mruknął.

Mężczyzna pobladł i chwycił krzyż na piersi.

– Jestem niewinny! – Gdy tylko Albanowie wyszli, szepnął do swojego porucznika: – Barbarzyńcy.

Zły Tom pojawił się w drzwiach kwatery kapitana.

– Pieprzycie się czy każdy może wejść?

Pyskata pochylała się nad biurkiem i przygryzała język, bezgłośnie wymawiając słowo „omega”. Diuk trzymał jej rękę, gdy wodziła ostrym stylusem po wosku.

Toby uciekł.

Diuk uniósł głowę, nie puszczaając ręki Pyskatej.

– Tom, zdajesz sobie sprawę, że niektórzy uznaliby twoje poczucie humoru za wielce obraźliwe?

– Poważnie? – zapytał Zły Tom. Z jękiem opadł na stołek. – Jehan jak zwykle myśli, że wystawiasz nas do wiatru. Może poklepiesz go po główce?

– Wielki mężczyzna chichotał, widząc zmieszanie Pyskatej.

Spojrzała na niego jak wściekła kocica.

– Odpierdol się – syknęła.

– Prawda boli, skarbie? – zapytał Tom i jego oczy stały się twarde jak

krzemień.

Pyskata nabrała powietrza i uśmiechnęła się.

– Zazdrosny? Chcesz mieć go tylko dla siebie?

Prawa ręka Toma sięgnęła do rękojeści miecza.

Kapitan wrócił do pracy, nie zwracając uwagi na ich utarczkę.

*Mistrzu Randomie,*

*jeśli łaska, potrzebuję pożyczki w wysokości stu tysięcy dukatów i dwóch mistrzów szkutników, a także cen brokatów, jedwabi i północnych futer w hardońskim porcie. W pośpiechu...*

Z reguły lekko wysuwał język, kiedy pisał zbyt szybko. Wsunął go i zacisnął zęby, gdy skończył.

Toby wrócił jak na zawołanie, posypał piaskiem list i położył go na bocznym stoliku.

– Skończyliście? – zapytał Czerwony Rycerz.

Zły Tom oderwał wzrok od Pyskatej.

– Zapłacisz łucznikom po niedzielnej mszy? Potrzebujemy też jakiegoś duchownego. Księdza.

– Mamy dwóch księży, jak mi się zdaje. Ojca Piotra z Albinkirku i zakonnika zebrzącego...

– To wariat, szalenciec czystej wody, rozum mu odjęło. – Tom skrzyżował ręce na piersi.

– W takim razie powinieneś go lubić – wtrąciła Pyskata.

– Potrzebujemy regularnego kapelana. Chłopcy sporo o tym mówią. – Tom spojrzął na Pyskatą. – I dziewczęta.

– Zajmę się tym. – Kapitan wrócił do pisania.

– Wnoszę, że mamy cię zwać diukiem. – Sam głos Toma był ostrzeżeniem.

– Tak. Podoba mi się. Pan diuk. – Kapitan się wyprostował.

– Nie jesteś naszym panem. Jesteś naszym kapitanem. – Tom pokręcił głową. – To mi się nie podoba.

Kapitan przez chwilę patrzył mu w oczy, trzymając pióro zawieszony nad pergaminem.

– Twoja uwaga została przyjęta do wiadomości – rzekł oziębło.

– Tak to widzisz, chłopcze? Nie cierpię, gdy ktoś wyżej sra, niż dupę ma. – Tom wstał i pochylił się nad stołem.

– Wcale tak nie jest. Padam z nóg, jestem ranny i słuchanie dwojga nadejtych idiotów wprawia mnie w paskudy nastrój. – Kapitan milczał przez chwilę. – Miałem dość tego samego w pałacu.



Tom wzruszył ramionami.

– No tak. Więc zapłacisz chłopakom w niedzielę?

Kapitan spojrzał mu w oczy.

– Może.

Pyskata pokręciła głową.

– Oczywiście, że zapłaci... Tom, o co ci chodzi?

Mężczyźni wciąż na siebie patrzyli.

– Dał wszystkie nasze pieniądze tym pojebom ze Wschodu. Razem wzięwszy, nie mamy nawet dziesięciu srebrnych lampartów. Mam rację, panie diuku? – Tom położył ręce na stole. Groźba wisiała w powietrzu.

Diuk się uśmiechnął.

– Tom, jest dziesiąta rano, a ja jestem zmęczony i wkurzony. Tak, jeśli chcesz usłyszeć, wydałem wszystkie nasze pieniądze, żeby kupić wardariotów. To nie ma znaczenia. Mogę dostać więcej.

Zły Tom pokręcił głową.

– Chociaż raz, panie diuku, stoję po stronie Jehana. To głupi kontrakt bez złota, bez żadnego zysku, ze zbyt licznymi wrogami. Wróćmy do zabijania potworów.

Kapitan wyprostował plecy i założył ręce za głowę. Zamknął oczy i lekko się przeciągnął, oszczędzając prawe biodro. Nagle uniósł powieki.

– Chcesz dobrej walki, Tom?

Tom się uśmiechnął. Popatrzył na Pyskatą.

– W każdej chwili, skarbie.

– Zadowolili cię polowanie na szpiegów w pałacu? – zapytał kapitan.

Uśmiech Toma znieruchomiał.

– Rozejrzyj się, Tomie. To najbogatsze miasto na świecie. Diamentowy krzyżyk na szyi księżniczki wystarczyłyby na miesięczny żołd dla całej kompanii. – Diuk znowu się przeciągnął. – Mam prawo do podatków w tym cesarstwie. Myśl trochę szerzej, Tom. Nigdy nie było takiego kontraktu.

– W takim razie lepiej zapłać łucznikom w niedzielę. – Tom wyszczerzył zęby. – Na chude kolana Chrystusa, kupiłeś mnie polowaniem na szpiegów. Będą walczyć?

– Możesz zabić każdego, kogo złapiesz, ale co sądzisz o tym, żeby najpierw spróbować wyciągnąć z nich trochę informacji? Gelfred będzie miał najwięcej zabawy, lecz przed Bożym Narodzeniem wszyscy stoczmy porządną bitwę. – Wstał. – Przyjaciele, muszę iść do łóżka. – Podał trzy zwoje Toby'emu. – Dopilnuj, żeby wysłano kurierskie ptaki. Osobiście. – Odwrócił

się. – I skoro rozdzielałam zadania, Pyskata, masz się dowiedzieć jak najwięcej o Eskepilesie. Zaczynij od Nordykanina, Derkensuna. Nie pytaj nikogo powiązanego z księżniczką.

Toby ponuro pokiwał głową.

Pyskata uniosła ciemnorudą brew.

– Nie ufamy księżniczce?

Czerwony Rycerz westchnął.

– Zdecydowanie nie ufamy księżniczce.

Tom wsparł ręce na biodrach.

– Słodki Jezu, kapitanie mojego pana, wielmożnego diuka i dowódcy! Nie ufamy naszemu pracodawcy?

– Muszę się wyspać, drodzy przyjaciele – oznajmił diuk. – Naszym pracodawcą, na dobre czy na złe, jest cesarz. Nie księżniczka. To nasze stanowisko prawne i całkiem możliwe, że również moralne.

Zły Tom chwycił kapitana za ramię.

– Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć, co z tego wyniknie. Ale wiesz, że muszę odejść na wiosnę.

– I poganiać bydło? Oczywiście, Tomie. Jestem za. – Kapitan się uśmiechnął. I zniknął za zasłoną w swojej sypialni.

Tom się odwrócił i popatrzył na Pyskatą.

– Liczy na to, że odejdę? O co mu, kurwa, chodzi? Nienawidzę, kiedy to robi.

Pokręciła głową.

– Naprawdę mi nie przeszkadza, że jest bystrzejszy niż większość innych – powiedziała. – Po prostu nie cierpię, kiedy mi to udowadnia.

– Amen, siostró – mruknął Tom.

## ROZDZIAŁ ÓSMY



Harmodius Magus

### **Jarsay – Jean de Vraily**

Captal zebrał swoją małą armię na wzgórzu i patrzył, jak ludzie hrabiego Towbraya stają w szyku na zboczu sąsiedniego wzniesienia. Wysłał wyzwanie hrabiemu, a później spalił szeroki na milę pas ziemi w jego głównej dolinie, złupił cztery miasta, zniszczył dojrzałe uprawy i zabił ponad stu chłopów. I tej nocy znów przybył jego anioł.

Jean de Vraily padł na twarz. Anioł był jeszcze jaśniejszy, jak szafirowy i szmaragdowy ogień.

*Pokonasz Towbraya, powiedział.*

– Oczywiście – powiedział de Vraily w swój dywanik modlitewny.

*Masz dołożyć starań, żeby wziąć Towbraya żywcem, przykazał anioł. Później okaże się użyteczny.*

De Vrailly był na tyle człowiekiem, żeby czuć, że nie potrzebuje anielskich objawień dla zrozumienia tej prawdy.

*Pragniesz być najlepszym rycerzem na świecie. Twój triumf jest bliski. Na wiosennym turnieju wszystko odbędzie się tak, jak mówiliśmy.*

Mimo przytłaczającego strachu przed tym potężnym sprzymierzeńcem de Vrailly się uśmiechnął.

– Ach, turniej...

*Ale są inne sposoby, w jakie należy sprowadzić to królestwo na łono prawdziwej wiary. Królowa musi upaść. Jest pogańską cudzołożnicą. Nie wolno ci litować się nad nią ani nad jej ludem.*

De Vrailly się nastroszył.

– Nawet za cenę gniewu nieba nie będę walczyć z kobietą.

Anioł westchnął.

*Jesteś najbardziej aroganckim śmiertelnikiem, jakiego kiedykolwiek znam.*

De Vrailly uśmiechnął się w dywanik.

*Dobrze. Jesteś moim wybranym sługą i pozwolę ci postępować zgodnie z twoją wolą. Ale nie wolno ci przeszkadzać w upadku królowej. Głos anioła brzmiał uparcie i jednocześnie przypoehlebnie.*

De Vrailly wzruszył ramionami.

– Skoro o tym mowa, nie dbam o tę wiedźmę.

*Dobrze. Dodajmy trochę religijnej dyscypliny. W Lukrecji jest pewien mnich, pobożny człowiek. Z woli Boga ma zostać biskupem Loriki i nawrócić tych pogan na właściwą drogę. Jest prawdziwym apostołem i wyruguje herezję ich czarów.*

De Vrailly czasami stwierdzał, że rozmowa z aniołem jest równie męcząca jak targowanie się z kupcem o konia...

W pełnym świetle dnia, opancerzony i konny, zwrócił się do swojego kuzyna Gastona.

– Nieprędko się przeciwstawi królowi jako swojemu panu – powiedział i wybuchnął śmiechem.

Gaston cierpliwie czekał, gdy giermek zapinał sprzączkę na jego przyłbicy.

– Wydaje mi się, że w tej chwili rzuca wyzwanie tobie i królowi. To jego sztandar... i jego rycerze. – Potarł podbródek. – Ma ich więcej niż my.

De Vrilly się roześmiał.

– Pokonamy go z łatwością, po pierwsze dlatego, że jego wojsko jest słabe i jego ludzie boją się być wzięci za buntowników, a po drugie, ponieważ jestem lepszym rycerzem.

Gaston westchnął i pochylił głowę, gdy Forwin zapinał zasłonę hełmu.

– Jak mówisz, kuzynie. Czy twój anioł do ciebie przemówił?

– Tak. Powiedział mi, że niedługo będę królem – odparł de Vrilly. – I że mam wezwać mojego kuzyna Guillaume’a, żeby został biskupem Loriki.

– Anioł wybrał twojego kuzyna? – Gaston wiedział, że Guillaume jest trudnym człowiekiem, u którego pobożność zastąpiła zdrowy rozsądek i zdrowe współczucie.

De Vrilly uniósł rękę w rękawicy.

– Mówiłem ci wcześniej, kuzynie, że wątplenie w słowa mojego anioła jest bluźnierstwem. To królestwo potrzebuje mojego kuzyna, żeby uleczyć się z herezji i skłonności do akceptowania tego, co nie powinno być akceptowane.

Gaston nie odpowiedział. Zamknął przyłbicę i pochylił się w siodle, żeby giermek ją zapiął.

De Vrilly ruszył do swojej chorągwi.

Nie lekcewał piechoty tak, jak to okazywał, i ustawił gwardię królewską pośrodku, między królewskimi łowczymi – około sześćdziesięciu łuczników na każdym skrzydle. Towbray miał około trzystu rycerzy i zbrojnych oraz dwustu piechurów, z których większość była sługami. Oczywiście wszyscy jego łucznicy już odsłużyli swoje wiosną na północy, więc teraz zniwowali albo chronili uprawy przed najeźdźcami de Vrilly’ego.

De Vrilly uniósł rękę i ruszył, a jego rycerze chętnie pociągnęli za nim. Chorąży, Pierre Abelard de Rohan, wykrzyknął galijski okrzyk wojenny. Wszyscy Galowie go podchwycili, krzycząc: „Saint Denis!” do Jarsayczyków, i rycerze Towbraya rozpoczęli szarżę.

Jeśli hrabia Towbray spodziewał się rycerskiego spotkania, to się przeliczył. Odkrył swój błąd, kiedy jego koń wpadł do dołu wykopanego przez łuczników i pał mu wypruł wnętrzności. W ciągu paru uderzeń serca „bitwa” dobiegła końca i rycerze hrabiego, którzy przeżyli, pędzili do domów. Piechurzy ukryli się w obozie albo uciekali.

De Vrilly osobiście zajął się hrabią, zsiadł z konia i ogłuszył zdrajcę płazem ciężkiego miecza bojowego, po czym poprowadził swoich rycerzy na polowanie na piechurów w obozie i leżących dalej dolinach. Zabili albo pojмали każdego napotkanego człowieka, spalili zboże i zabrali jeńców do swo-

jego obozu.

De Vrailly kazał zakuć hrabiego w łańcuchy i posadzić na wozie.

Gaston d'Eu znalazł kuzyna na niskim urwisku, patrzącego na płonące pola i wioski Jarsayu.

– Musisz go zabrać do króla – powiedział.

De Vrailly ściągnął usta.

– Dlaczego, skoro mogę karać jego chłopów pańszczyźnianych przez całą jesień?

Gaston westchnął.

– Ci ludzie nie są niczemu winni poza tym, że mieli złego pana. I są poddanymi króla. Jeśli twój anioł mówi prawdę... słuchaj mnie, kuzynie, i nie przerywaj... wkrótce będą twoimi poddanymi.

De Vrailly wskazał pola ognia i dymu rozciągające się w promieniach zachodzącego słońca.

– Ale... czyż nie jest to piękne? – Uśmiechnął się. – Nasi rycerze są upojeni zwycięstwem i bogatsi w łupy z ziem tego zdrajcy. Zapłaci ogromny okup i wszystko będzie moje. Król może zbierać podatki od tego człowieka, gdy będzie moim jeńcem.

Gaston pokręcił głową.

– Wszystkie podatki zostaną ściągnięte z tych bogatych dolin, gdzie twoi ludzie zabili mężczyzn, zgwałcili kobiety i spalili zbiory. Więc kto zapłaci ten okup? Krowy?

De Vrailly lekceważąco machnął ręką.

– Zmiękłeś tu, w Albie. Na tym polega wojna. Jesteśmy jej sługami. Jeśli to ci się nie podoba, zdejmij ostrogi i idź do klasztoru.

Gaston pokręcił głową.

– Zabierz Towbraya do króla. Natychmiast, zanim zrobi się gorzej.

– Ach! – De Vrailly potarł brodę. – Ale... Nie, przecież mogę po prostu go zabić. Mogę zająć jego ziemie i uznać je za swoje.

– W Albie tak się nie robi – powiedział Gaston. – Poza tym Towbray ma syna.

– Ha! – De Vrailly się roześmiał. – Nie stanowi zagrożenia. Chłopiec bawiący się w rycerza? – Pokręcił głową. – Naprawdę myślisz, że król nie stanie po mojej stronie? – zapytał.

– Myślę, że może dowodzić, że nakłoniłeś zdrajcę do buntu, kiedy zabiłeś jego siostrzeńca w zakazanym przez prawo pojedynku. – Gaston wzruszył ramionami. – Co ty na to?

De Vrailly splunął.

– Wszystko psujesz. A byłem taki szczęśliwy. Nie rozumiem tego kraju. Wszędzie ich prawo stanowi, że silniejszy musi ustąpić słabszemu. Nienawidzę tego.

Gaston wzruszył ramionami. I mądrze powstrzymał się od komentarza.

## **Harndon – król i królowa**

– Co zrobił?! – ryknął król. Złowrogo patrzył na posłańca, który stał przed nim zdrętwiały.

Kapitan gwardii królewskiej, bękart starego króla, ser Richard Fitzroy, spojrzawszy spod uniesionej brwi na Garetha Montroya, szeroko znanego jako Hrabia Pogranicza. Montroy chrząknął.

– Captal potrafi być nieprzewidywalny – rzekł cicho.

– Stoczył bitwę z Towbrayem i wziął go do niewoli – powiedział król, czytając list. – Na mękę Chrystusa, spalił ziemie Towbraya, moje ziemie! – Spojrzawszy na swojego nowego konstabla, hrabiego. – Mówi, że nałoży na Towbraya okup w wysokości trzystu tysięcy srebrnych lampartów.

Hrabia nie szczędził starań, żeby zachować powagę.

– Nie ma tylu monet na świecie – powiedział.

Ser Richard się skrzywił.

– To mniej więcej wartość wszystkich włości Towbraya. Nie kocham tego galijskiego łajdaka, ale Towbray przez całe panowanie był kolcem pod siodłem Waszej Królewskiej Mości. Dlatego wysłałeś de Vrailly’ego, żeby się z nim rozprawił.

Król w milczeniu szarpał brodę.

Hrabia pokręcił głową na znak, że się nie zgadza.

– Wasza Królewska Mość, jestem przekonany, że hrabia jest niebezpiecznym człowiekiem i zmiennym jak kurek na dachu. Ale tej wiosny dobrze ci służył i inni parowie nie będą zachwyceni, widząc, że ten cudzoziemiec wypiera jeden z naszych najstarszych rodów. – Popatrzył na kapitana straży przybocznej. – Z drugiej strony byłoby nam lepiej bez Towbraya.

Ser Richard wzruszył ramionami.

– Chciałbym zobaczyć jego minę, kiedy został jeńcem tamtego wariata. Ale Wasza Królewska Mość musi rozważyć odesłanie go za to do Galii. Mieszczanie otwarcie mówią, że jest szpiegiem króla Galii. – Rozejrzał się po pokoju. – I jeśli odwrócimy się plecami do Towbraya, strach padnie na in-

nych panów. Przerażeni ludzie podejmują głupie decyzje. I już się boją de Vrailly'ego i jego Galów. – Ser Richards spojrzął na króla i wzruszył ramionami, jakby mówiąc, że to nie jego wina. – Co więcej, Wasza Królewska Mość wyznaczył go na człowieka, który mianuje nowego biskupa Loriki. Wybrał swojego kuzyna, członka uniwersytetu w Lutecji. Księdza słynącego z surowej interpretacji Słowa Bożego.

– Czy pytałem cię o zdanie? – zapytał król z ogniem w oczach. – Czy prosiłem cię...

Do pokoju weszła królowa, więc wstał i się uklonił.

Towarzyszyły jej dwie dworki. Lady Rebecca Almspend, sekretarz królowej, miała na sobie ciemnoniebieską suknię wierzchnią i spódnicę ze śmiałym rozcięciem, które ujawniało, że nosi granatowe pończochy. Lady Mary Montroy, najbogatsza dziedziczka w królestwie i naczelna dama dworu, włożyła szatę w czerwono-czarną kratę, spiętą broszą w kształcie złotego smoka; było widać, że jedną nogę ma czerwoną, obutą w czarny pantofel, a drugą czarną, w czerwonym pantoflu. Ponieważ miała czarne brwi i ciemnorude włosy, kontrast barw obejmował całe jej ciało – ciało godne podziwu.

Trzy kobiety dygnęły, mężczyźni się uklonili.

Hrabia uśmiechnął się do swojej córki.

– Być może jesteś pierwszą kobietą, która zaszczyciła ten dwór północnym tartanem.

Nawet król się uśmiechnął.

– Na Boga, Montroy, myślałem, że barwy Murienów to zieleń i złoto.

Wszyscy się roześmieli. Królowa się pochyliła, kładąc ręce na piersi, i powiedziała:

– Mój pan musi wiedzieć, że mieszkańcy północy hołdują starożytnemu stylowi, nosząc barwy, które są jednocześnie odznaką i przechwałką.

Król się uśmiechnął.

– Każdy, kto polował na niedźwiedzie w Adnarniach, wie o tartanie, moja droga. I, Becco, dzisiejsze spotkanie jest nieformalne... wyglądasz oszałamiająco. Jeśli wolno mi dodać, nie tak przywykłem cię widywać.

– Wstydz się, Wasza Królewska Mość! A jednak moje pończochy pozostały niebieskie. – Uniosła rąbek spódnicy, żeby pokazać kostki i łydki tancerki. Słowa i zalotne zachowanie tak dziwnie kontrastowały z jej zwykłą powściągliwością, spuszczonego wzrokiem, liczbą listów i woskowych tabliczek, że król parsknął śmiechem. Ser Richard, który od czasu do czasu był w niej rozkochany, poczuł, że jego uczucie powraca.



Królowa się uśmiechnęła.

– Godny kochanek sprawia, że kobieta rozkwita jak róża w środku lata, czy nie tak mówi poeta?

Hrabia, prosty człowiek z prostymi upodobaniami i oddaną żoną, mimo wszystko stwierdził, że ściska go w gardle, i twarz mu poczerwieniała. Ser Richard zdał sobie sprawę, że wytrzeszcza oczy i rozdziawia usta. Król z uwielbieniem uśmiechnął się do żony.

– To może być największy komplement, jaki kiedykolwiek od ciebie słyszałem – powiedział lekko chrapliwym głosem.

Musnęła ustami jego wargi.

– Chwali ci się, że to dostrzegłeś – powiedziała. – Szłyśmy do biblioteki, ale wydaje się, że potrzebujemy twojej zgody na otwarcie listów twojego ojca.

– Na pelerynę Świętego Marcina! – wykrzyknął król. – Po co? Nie musicie się krępować. Proszę... Becco, napisz zezwolenie, a ja je opieczętuje.

– Tak, Wasza Królewska Mość – powiedziała lady Almspend i zamiast sięgnąć po swój rogowy kałamarz, przywołała młodego pafia, który miał ciężką skórzaną torbę na ramieniu.

Chłopiec ukląkł i podał jej pulpity do pisania. Król ruchem ręki dał jej znać, że może usiąść – spotkanie miało nieformalny charakter – więc przycupnęła na krześle przeznaczonym dla mężczyzny w zbroi i jęła pisać okrągłym, eleganckim gotyckim pismem. Skończywszy, wyjęła królewski czerwony wosk do pieczętowania i stopiła go w małym przyrządzie.

– To hermetyczne? – zapytał król.

Lady Almspend pokiwała głową.

– Zaaprobowane przez dawnego biskupa Loriki, Wasza Królewska Mość. Z energii słońca zawartej w matrycy modlitwy i przechowywanej w krzyżu.

Wszyscy obejrzelik instrument, przekazując go z rąk do rąk.

– Żyjemy w cudownych czasach – powiedział ser Richard, szukając jakiegoś pretekstu, żeby przyciągnąć jej uwagę.

Powszechnie wiadano, że Rebecca kocha barbarzyńskiego poganiacza, członka królewskiej straży przybocznej, niejakiego Ranałda Lachłana. Paradoksalnie ser Richard darzył Lachłana najwyższym szacunkiem i robił, co w jego mocy, żeby pomagać góralowi zrobić karierę na dworze.

Almspend na niego spojrziała i wzruszyła ramionami.

– Przypuszczam, ser Richardzie, że wszystkie czasy są cudowne dla tych, którzy w nich żyją.

Król słynął z niewrażliwości na uczucia swoich mężczyzn do dam dworu. Pochylił się, patrząc, jak lady Almspend pieczętuje zezwolenie, i zapytał:

– Co z twoim przystojnym poganiaczem, Becco? Chciałbym, żeby Ranald wrócił do mojego boku.

Królowa w rzadkim pokazie złego humoru powiedziała:

– W takim razie wystarczy, żeby Wasza Królewska Mość pasował go na rycerza i zaoferował mu wiano.

Almspend zamarła.

Król się roześmiał.

– Poganiaczowi o sztywnym karku? Nigdy nie przyjmie wiana ode mnie. Musi sam je dla siebie zdobyć... Tak. I dzięki temu stanie się lepszy, a ty tym bardziej rozkwitniesz.

Almspend dokończyła zadanie.

– Jak Wasza Królewska Mość mówi, oczywiście – szepnęła.

Król spojrział na nią spod ściągniętych brwi.

– Czy znasz się równie dobrze na religii jak na historii, moja droga?

Almspend ukloniła się na siedząco.

– Panie, religia jest niczym innym jak historią.

Ser Richard głośno się roześmiał, ale królowa zmarszczyła brwi.

– Dlaczego ci panowie nie pochwalają mianowania biskupem Guillaume’a, kuzyna captala? – zapytał król.

Almspend uniosła brew.

– Jestem pewna, że nie mnie dyskutować o tym z królem i Tajną Radą – powiedziała.

Królowa położyła rękę na jej karku.

– Król pyta ciebie.

Almspend wzruszyła ramionami.

– Guillaume Le Penser jest jednym z przywódców ruchu intelektualnego.

Król skinął głową.

– Śmiało, to brzmi obiecująco.

Almspend uniosła brwi.

– Jest nauczycielem na uniwersytecie w Lutecji. On i inni scholastycy... tak się nazywają... wierzą, że używanie hermetyzmu jest powiązane z oddaniem czci szatanowi, że cuda boskie są zupełnie innego porządku, że ci, którzy używają mocy, powinni zostać spaleni na stosie.

Zapadła pełna oszołomienia cisza.

Król się pochylił.

– Dlaczego wierzą w takie głupstwa? – zapytał.

Almspend wzruszyła ramionami.

– Mogę podać dyplomatyczną odpowiedź, intelektualną odpowiedź albo pragmatyczną odpowiedź, panie.

Król skinął głową.

– Niech będzie pragmatyczna.

Almspend próbowała pochwycić spojrzenie królowej, zanim podjęła:

– Wasza Królewska Mość, uniwersytet w Lutecji podlega patriarsze Rhumu. Ponieważ Akademia, centrum nauki, zwłaszcza nauk hermetycznych, podlega patriarsze Liwiapolis, przedstawienie rywala jako czarownika służy interesom patriarchy Rhumu. Co więcej, wszyscy scholastycy są mężczyznami i żaden z nich nie ma dostępu do władzy. Pragną stworzyć świat, w którym będą dominować, po spaleniu wszystkich tych, którzy są zdolni do używania mocy.

Hrabia Pogranicza pokręcił głową.

– Słodki Zbawicielu, jak wtedy powstrzymamy Dzicz?

– Lutecja leży daleko od frontu walki z Dziczą – odparła Almspend.

Król pokiwał głową.

– Tak, lepiej o tym wiedzieć. Z pewnością biskup będzie trudny... wystarczy spojrzeć na captala i jego politykę twardej ręki. Ale osiąga cel. Może jego kuzyn jest z tej samej gliny.

Królowa wyglądała na zbitą z tropu.

– Mój drogi, czyżbyś nie słyszał, jak Becca mówiła, że będzie dążyć do oczyszczenia królestwa ze wszystkich hermetyków?

Król poklepał jej rękę.

– Nie ma obawy, kochanie, wiem, co jest najlepsze dla królestwa. Random chce mieć nowego biskupa. Ten człowiek sprawia wrażenie bardzo inteligentnego. Będzie pomocą w radzie, a my po prostu musimy mu pokazać naszych hermetyków w korzystnym świetle. – Skinął ręką, odprawiając kobiety. – Lady Almspend, twoja wiedza oświeca mój dwór jak sto świec.

Dygnęła.

– Panie, dobre dla królestwa byłoby znalezienie następcy magistra Harmodiusza. Nowy magister mógłby nam pomóc w przekonaniu biskupa.

Król ruchem dłoni ponaglił je do wyjścia.

Kiedy odeszły, Gareth Montroy pokręcił głową.

– Czy tą pewną siebie młodą kobietą o pięknych kostkach była moja cór-

ka? – zapytał. – Czy one muszą tak bardzo wyskubywać włosy znad czoła i pokazywać nogi?

Król się roześmiał.

– Kiedy dorastałem, kobiety wyglądały tak, jakby nosiły na sobie warstwy worków. Wolę dzisiejszą modę.

Montroy pokręcił głową.

– Wasza Królewska Mość nie jest ojcem – rzucił, niewiele myśląc, i nagle zeszywniał. Nie powinien był tego mówić.

Król popatrzył na niego uprzejmie.

– Przypuszczam, że pewnego dnia Bóg pobłogosławi mnie dzieckiem – powiedział i jego rysy stężały. Westchnął ciężko.

– Panie, proszę o wybaczenie. – Gareth się uklonił. Przypominanie królowi o bezdzietności nie było dobrym początkiem dnia.

Król machnął ręką.

– Nieważne, Garecie. Bóg da mi dziedzica. – Zwrócił się do ser Richarda: – Dlaczego zwieszasz nos na kwintę, Dick?

Ser Richard wzruszył ramionami.

– Chyba muszę prosić Waszą Królewską Mość o zgodę na opuszczenie dworu, żeby ruszyć na poszukiwanie przygód, dopóki moja wartość nie wzrośnie.

Król zmarszczył brwi.

– Byłeś u mojego boku w Lissen Carak. Co więcej, stałeś przy mnie do końca. Nikt tutaj nie wątpi w twoją wartość i tamtego dnia twoja ręka uznana została za potężną.

Ser Richard się uklonił.

– Miło słuchać słów Waszej Królewskiej Mości... ale wielu ludzi dzielnie walczyło w Lissen.

Hrabia skinął głową.

– Tak. I chełpią się tym, i psioczą przez cały dzień. I wszyscy są Galami. – Popatrzył na ser Richarda. – Naprawdę chcesz odejść na jakiś czas z dworu? – zapytał.

Ser Richard spojrzał w oczy króla.

– Tak, jeśli uzyskam zgodę.

Montroy popatrzył na króla.

– De Vrailly jest w drodze do Harndonu z hrabią, prawda?

Król wzruszył ramionami.

– Tak.

– Musimy odprawić z dworu wszystkich z południa, wszystkich rycerzy z Jarsayu i ich ludzi, żeby nie doszło do rozlewu krwi. – Montroy się pochylił.

Król ciężko westchnął.

– Tak, masz rację.

– A jeśli zaczniesz się wywyższać? – zapytał ser Richard. – Czy nie potrzebujesz ludzi z południa dla zrównoważenia wpływu Galów?

– Na Chrystusa, nienawidzę takich rozłamów – powiedział król. – I jestem królem, nie głową konkurencyjnej frakcji. Wystarczy moje słowo, żeby wziąć captala w karby, nic więcej.

Montroy i Fitzroy spojrzeli na siebie. Po przekazaniu długiej niewypowiedzianej wiadomości, błagania, Montroy skinął głową.

– Pojadę. Jakie miejsce masz na myśli, panie konstablu?

– Albinkirk – odparł konstabl – potrzebuje nowych ludzi do garnizonu, a ser John dzielnie walczył. Jest sam jak palec i zasłużył na coś więcej z naszej strony. – Odwrócił się do króla i wyprężył ramiona, jakby szedł do bitwy. – Czy Wasza Królewska Mość podjął decyzję co do tego nowego biskupa? Uważam, że błędem jest wyświadczenie de Vrailly’emu kolejnej przysługi.

Twarz króla zastygła jak maska.

– Nie będę miał nic wspólnego z frakcjami – oznajmił.

– Wasza Królewska Mość, o nic cię nie prosiłem. Opowiadam się za królestwem. I mówię, że de Vrailly ma zbyt wielu zbrojnych i już zbyt wielką władzę i że powinien zostać odesłany do Galii, gdy tylko jego statek dotknie brzegu.

– Zastanowię się nad tym – powiedział król.

Królowa pierwsza szła korytarzem.

– Poszło łatwiej, niż się spodziewałam. Dlaczego myślisz, że pisma i listy starego króla są zamknięte, Becco?

Almspend już żałowała, że ma na sobie modną suknię z wysokim kołnierzem, ponieważ chodzenie w niej wymagało umiejętności, którymi gardziła, gdy inne dziewczęta je opanowywały, ona wówczas studiowała górny archaicki. Co więcej, piękne ciemnoniebieskie pantofle nie zapewniały ochrony przed zimnem kamienia.

Dlaczego takie rzeczy nigdy nie wpływają na królową? – zastanawiała się. Królowa zupełnie jakby płynęła z prądem, nie doświadczając gorąca ani zimna, nigdy nie dokuczały jej skurcze, bóle głowy ani katar.

– Pani, przypuszczam, że swego czasu stary król powiedział pewne bul-

wersujące rzeczy. Z pewnością miał kochanków, obu płci, wedle mojego ojca. Niektórych faworyzował i choć był nadzwyczajnym władcą, pani, nie uważano go za szczególnie dobrego człowieka. – Wzruszyła ramionami.

Królowa się roześmiała.

– Ekscytujące! Po raz pierwszy rozumiem twoje zainteresowanie historią. Gdzie jesteśmy?

– To donżon, pani, wchodzimy przez coś, co w czasach króla Uthamerika było tajemnym przejściem. Ale kiedy zbudowano Nowy Pałac...

– Becco, czy jest coś, czego nie wiesz? – wtrąciła lady Mary. – Na Marię Pannę! Myślałam, że Nowy Pałac ma ponad dwieście lat.

– Tak, Mary – powiedziała Almspend tonem rezerwowanym dla wielkiej liczby skądinąd inteligentnych istot, które nie interesowały się historią. – Nowy Pałac ma prawie dokładnie dwieście lat. Mogę ci pokazać kamień węgielny z datą. Siedem tysięcy dwieście sześćdziesiąty trzeci.

– Zatem jak stary jest Harndon? – zapytała lady Mary.

– Cesarzowa Liwia i jej legion założyli tu fortecę tysiąc pięćdziesiąt lat temu. Mniej więcej. – Almspend wzruszyła ramionami. – Prawdę mówiąc, wśród uczonych nie ma jednomyślności co do daty ekspedycji, i czy Harndon został założony podczas pierwszej czy drugiej wyprawy do Nova Terra.

– Naprawdę? – zapytała królowa. Przewróciła oczami, patrząc na lady Mary, lecz Almspend albo tego nie zauważyła, albo o to nie dbała.

– W każdym razie, pani, nazwa Harndon jest bardzo stara i prawdopodobnie pochodzi sprzed czasów Archaików. Kiedy dobry król Ranulf wrócił z Ziemi Świętej i zbudował Nowy Pałac, jego szambelan Hildebald napisał, że w najgłębszych wykopach znaleziono tunele, fundamenty świątyni i drogę z kłód ułożonych jedna przy drugiej, ociosanych kamiennymi toporkami. Świątynia wciąż zawierała ogromną latarnię *potentia* i musiała zostać oczyszczona przez arcybiskupa. Zmarł w trakcie zadania i sam patriarcha musiał przybyć z Liwiapolis.

Trzy kobiety szły długim korytarzem.

– Straszne! – krzyknęła lady Mary. – Gdzie była ta świątynia?

– Tuż za nami, jakieś dwadzieścia kroków. Do budowy korytarza wykorzystano część starych kamieni... patrzcie, widzicie Zielonego Człowieka? To jeden z ich dawnych znaków.

Królowa przyłożyła rękę do kamienia. Zamknęła oczy.

– Wciąż mają moc. Zwali to miejsce... – Po chwili dokończyła: – Harn Dum.

– Tak! – Almspend nie posiadała się z zachwytu. – Wyczytałaś to u Tacyta?

– Nie – zaprzeczyła królowa wyraźnie wstrząśnięta. – Właśnie usłyszałam głos w kamieniu.

– Chcesz powiedzieć, że nasz świat leży na wczorajszym świecie, a tamten na poprzednim i tak dalej? Pod naszym Nowym Pałacem jest starszy pałac, pod nim świątynia, a co jest pod świątynią?

– Może coś stworzonego przez Dzicz albo przez Stary Lud. – Almspend się roześmiała.

– Dzicz nie umie niczego zbudować – wtrąciła lady Mary.

– Bzdura! Dzicz tworzy cudowne rzeczy. Nowa nauka je bada. Irkowie budują, komponują muzykę, mają swoje miasta i zamki. – Almspend kiwała głową zadowolona, że może rozmawiać na interesujący ją temat z przyjaciółkami, które zbyt często mówiły o tańczeniu.

– To tylko imitacja dzieł człowieka – powiedziała lady Mary.

– Ależ skąd. To bardzo stara teologia, moja droga. W rzeczywistości jest znacznie bardziej prawdopodobne, że nasze dzieła są imitacjami ich dzieł.

– Brednie! – parsknęła Mary zmęczona protekcyjnym traktowaniem przez ojca i niechętna pozwolić, żeby Becca Almspend weszła w ten sam nawyk. – Bzdury!

Co dziwne, królowa ją poparła.

– Harmodiusz przed odejściem przeprowadzał eksperymenty dotyczące rzeczonych kwestii – powiedziała; Almspend pokiwała głową. – Archaikowie rozumieli te rzeczy znacznie lepiej, Mary. Mogłabym...

– Mario Panno, Rebecca, zaraz mi powiesz, że oddajesz cześć Tarze. – Lady Mary się przeżegnała.

Rebecca się uśmiechnęła.

– Mary, będzie dla ciebie szokiem, gdy usłyszysz, że według niektórych uczonych osoba Marii Panny została wprowadzona przez wczesny Kościół, żeby wyrugować kult Tary Łowczyni?

– Mówisz to tylko dlatego, że jesteśmy głęboko pod ziemią, gdzie nie może porazić cię piorun – powiedziała Mary. Jej głos brzmiał lekko, ale była wyraźnie zmartwiona.

– Tar – poprawiła królowa.

Pozostałe kobiety milczały. Doszły do wielkich dębowych drzwi z żelaznymi zawiasami i wszystkie przystanąły.

– Zwą ją Tar – podjęła królowa sennym głosem. – Później stała się Tarą,

ale jej pierwsze imię to Tar.

– Pani? – zapytała Mary.

Królowa spojrzała na nią dziwnie.

– Co takiego? – burknęła.

Almspend kopnęła w pantofelek Mary, która pisnęła i odsunęła się od królowej.

– Au, za co? – Napotkała spojrzenie Almspend.

– Co się stało? – zapytała królowa.

– Dotknęłaś jednego z kamieni Zielonego Człowieka i zrobiło się dziwnie – odparła Almspend rzeczowym głosem.

Królowa wzruszyła ramionami.

– Tak, przypominam sobie. Cóż, jesteśmy. – Wyjęła klucz i kolejno poruszały nim w zamku ze słodkim olejem, dopóki się nie przekręcił.

Królowa zapaliła silne hermetyczne światło nad drzwiami i wszystkie trzy zrobiły wielkie oczy. Na podłodze piętrzyły się sterty zwojów, na każdym kamiennym stole leżały stosy ciężkich tomów. Na stole pośrodku komnaty stał duży szczur, żując pergamin ostrymi groźnymi zębami.

Szczur spojrzał w oczy królowej.

Królowa uniosła rękę i szczur obrócił się w popiół.

– Och... doskonale! – zawołała lady Almspend. – Dobry cios!

Królowa pozwoliła sobie na uśmiech.

– Ćwiczyłam. To zwierzę ktoś miał pod kontrolą, widzę sieć jego hermetycznego właściciela.

– Kto chciałby czytać te stare... – Lady Mary cofnęła się z krzykiem. Oparła się o futrynę z ręką przyciśniętą do piersi. – Najświętsza Panienko... Święci, miejcie mnie w opiece.

– Na wszystko, co święte... i bezbożne! – krzyknęła lady Almspend. – Rozumiem, dlaczego ten pokój jest chroniony! Z powodu papierów Plangere'a! I dokumentów króla! Słodki Jezu, pani, to surowa moc do czerpania garściami. Czy Harmodiusz wiedział?

– Nie sądzę. Ale jego papiery też potrzebują ochrony. Nie uwierzyłybyście, co znalazłam w jego pokojach. Ten człowiek miał w sobie znacznie większą głębię, niż zdawaliśmy sobie sprawę.

– Oni wszyscy tacy są – mruknęła Almspend, wertując ogromną księgę wiedzy tajemnej. – Och! To cuchnie archaiczną nekromancją. – Złapała się za nos. – Pani, czego szukamy?

Królowa przenosiła spojrzenie z jednej najbardziej zaufanej przyjaciółki na



drugą.

– Wiecie, co plotkarki szepczą o moim mężu? Że jest impotentem i że jest przeklęty?

Zapadła cisza. Światło hermetyczne jest bardzo białe i niepochlebne, dwie damy patrzyły na swoją królową w jego blasku, i każda usiłowała coś ukryć.

Almspend spuściła głowę.

– Słyszałam to, tak. I jeszcze gorsze rzeczy.

Lady Mary pokiwała głową.

– W całej Galii wszyscy mówią, że to twoja wina, pani. Że ty jesteś jałowa.  
– Nawet w chłodnej bieli światła się zarumieniła.

Almspend pokiwała głową.

– Galowie są wśród mężczyzn najbardziej złośliwymi plotkarzami, o jakich słyszałam. Myślałam, że tylko kobiety tryskają takim jadem. Parę razy żałowałam, że nie noszę miecza, żeby ściąć grzebień jakiemuś fanfaronowi, który na to zasłużył.

Królowa przyłożyła rękę do brzucha.

– Jestem brzemienna – oznajmiła. – Z królem, jeśli trzeba to mówić. – Westchnęła.

Lady Mary jeszcze nigdy nie widziała, żeby królowa pod tyłoma względami przypominała zwyczajną kobietę.

– Mój mąż ma tajemnicę – podjęła królowa. – Dotyczy Czerwonego Rycerza. Poza tym wiem, że starsze kobiety mówią, że król miał romans i że kochanka rzuciła na niego klątwę niemocy płciowej.

Mary się uśmiechnęła.

– Jeśli nawet tak było, ty go uleczyłaś.

Królowa odwzajemniła uśmiech.

– Mam moce – powiedziała cichym głosem. – I po bitwie ta kobieta... Amicja? Ona nas uzdrowiła. Myślę, że jej moc i moja w połączeniu wystarczyły, żeby przełamać klątwę.

Mary, która nie miała dostępu do żadnej mocy, poczuła się przytłoczona nawałem informacji; miała wrażenie, że słucha rozmowy o czyichś nawykach toaletowych. Almspend nie kryła zaciekawienia.

– Naprawdę? Fascynujące!

– Chcę wiedzieć, kto rzucił klątwę i dlaczego – powiedziała królowa. – Żeby mogła z nią walczyć. – Wzruszyła ramionami. – Przyszło mi na myśl, że osoba, która go przeklęła, może chcieć skrzywdzić moje dziecko.

Damy dworu powoli pokiwały głowami, ale Mary się uśmiechnęła.

– Może po prostu nie mogłaś zająć z naturalnych powodów?

Królowa się roześmiała.

– Kładłam się pod królem trzy razy dziennie od ślubu – odrzekła z cichym śmiechem. – Częściej, kiedy mieliśmy taką fantazję. – Spojrzała dworce w oczy. – Dzięki moim mocom wiem, że jestem płodna. Czy muszę mówić więcej?

Mary zarumieniła się tak mocno, że musiała powachlować się ręką.

Almspend wzięła głęboki oddech.

– Wasza Królewska Mość? – zapytała cicho.

Ponieważ kobiety rzadko zwracały się do niej w ten sposób, królowa ukłoniła się na znak, że jej sekretarz może mówić dalej.

– Wasza Królewska Mość, musisz zrozumieć, że historia jest zaśmiecona nieprzyjemnymi prawdami – powiedziała.

Królowa skinęła głową.

– Mów.

– To wszystko. Równie dobrze możesz dowiedzieć się czegoś, czego nie chcesz wiedzieć. Albo nie potrzebujesz.

– Zamierzam ocalić moje dziecko – oświadczyła stanowczo królowa.

## **Harndon – ser Gerald Random**

Random wygodnie i z przyjemnością leżał w łóżku z żoną, kiedy skrzydła zaczęły bić w okno. Jego pierwszą reakcją było rozdrażnienie, a potem napłynął strach – skrzydła były ogromne i dla weterana wojny z Dziczą oznajmiały obecność czegoś znacznie gorszego niż gołąb pocztowy. Wstał, nagi, i sięgnął po miecz znad łóżka. Ukląkł, ponieważ skakanie na jednej nodze nie jest najlepszym sposobem na stawianie czoła potworowi, i trącił żonę w nagi bok, żeby wypędzić ją z pokoju.

*Łup łup łup*

*Łup łup łup*

Kiedy był mały, wielka ćma trzepotała za rogowymi szybkami okien w domu jego ojca w południowym Harndonie. Matka, szwaczka, kupiła woskowe świece, żeby przy nich pracować do późna, i światło przyciągało ćmy. Były duże jak jego głowa albo większe – jak stworzenia z głębi Dziczy. Dudnienie ich obcych, owadzich ciał o róg i szkło w wielodzielnych oknach domu rodziców było straszne, a jednak fascynujące. Bardzo młody Thomas Random obserwował pomykające cienie i w pewną letnią noc zdobył się na

odwagę, żeby wyjść z domu i zobaczyć ćmy z bliska. Największa unosiła się parę cali od czubka jego nosa, lecz z początku nie dostrzegł jej w ciemności – dopiero gdy poczuł podmuch skrzydeł, każdego wielkości jego dłoni, zrozumiał, że ma ją przed sobą. Nie chciał jej zabić, nie odczuwał takiego pragnienia. Zastanawiał się, co widzi ćma, kiedy na niego patrzy.

Zawsze był ciekaw Dżicy. Jako młody człowiek zlekceważył nakazy ojca, przerwał terminowanie i pomaszerował z armią królewską – po prostu po to, żeby zobaczyć Dżic.

A teraz sztychem miecza podniósł haczyk okna w sypialni i pchnął je, ponieważ otwierało się na zewnątrz.

Sama wielkość stworzenia zaparła mu dech w piersi, potem zobaczył kolory i parsknął śmiechem.

Ogromny drapieżnik był w połowie czarny i w połowie biały, a przecież każde dziecko wiedziało, że tak wygląda cesarski posłaniec. Random nigdy dotąd nie widział takiego stworzenia, ale je rozpoznał. Otworzył okno na całą szerokość i biedny, strasznie zmęczony ptak fiknął kozła i padł w masie mokrych piór na łóżko.

Gdy jego żona, już należycie ubrana, odważyła się zajrzeć do sypialni, Random trzymał w ręku wiadomość. Siedział na łóżku i kręcił głową.

– Prześcieradła są do wyrzucenia – powiedziała lady Alice. – Sześć tygodni szycia poszło na marne. Nie mogłeś wpuścić przeklętego ptaszyska do stajni albo gdziekolwiek indziej?

Random pokazał jej zęby w szerokim uśmiechu.

Cofnęła się o krok.

– Nie chodzi znowu o jakąś przeklętą przygodę... o nie! Masz przygotować turniej dla królowej. – Pochyliła się ku niemu. – Dlatego nie możesz wyjechać.

Chwycił ją i pocałował.

– To przygoda innego rodzaju – powiedział. – Wystarczy, że zbiorę sto tysięcy etruskich dukatów, to wszystko.

## **Harndon – czeladnik Edmund**

Trup na placu wstrząsnął każdym mężczyzną i każdą kobietą w sąsiedztwie.

Był to mężczyzna – przystojny młodzieniec. Morderca chciał, żeby go znaleziono, bo przybił go dwoma sztyletami do słupa, wokół którego odbywały się tańce w święto wiosny. Został zabity mieczem. Był kosztownie odziany w

czerwono-żółtą wełnę i jedwab.

Edmund zobaczył tłum i podszedł, żeby zobaczyć przyczynę zbiegowiska. Widział dość trupów, żeby wiedzieć, jak wyglądają – mleczna bladość i zwiotczenie, zagrażające wierze każdego w życie pozagrobowe. Trup to trup.

Zakonnicy zabrali martwego i późnym popołudniem, kiedy Edward wraz ze swoimi uczniami na zmianę wiercili ostatnią lufę, chłopak ze sklepu im powiedział, że był to jeden z giermków królowej.

– To oni, Galowie – zawyrokował Sam.

Tom i Księżę nie przerwali pracy.

– To się rozumie samo przez się. Jack Drake próbował zająć nasz plac, a jest królem miłośników Galii. Jeden z giermków królowej nie żyje? Galowie go zabili. – Wzruszył ramionami. – Albo Jack Drake to zrobił. Żeby nas ostrzec. – Sam spojrzął na swojego tymczasowego mistrza, który pokręcił głową.

– Głupoty gadasz – powiedział Edmund. – Galowie są rycerzami. Nie włączą się, zabijając innych wysoko urodzonych...

– Ale to robią! – krzyknął Księżę. – Chryste na krzyżu, Ed! Gdzieś ty się podziewał? Ich najważniejszy rycerz, Vrailly, z zimną krwią ukatrupił siostrzeńca Towbraya! Zwyczajnie go zarąbał.

Tom pokręcił głową.

– Zabił go w pojedynku, uczciwie. Tak słyszałem. – Wrócił do obracania wiertła i nagle przerwał pracę. – Zauważ, Vrailly jest wielki jak dom, a ten drugi był tylko chłopcem, lecz walka jest uczciwa, jeśli obie strony godzą się walczyć, prawda?

– Miłośnik Galów – syknął Księżę.

– Ani trochę – zaproponował Tom. – Po prostu lubię znać prawdę.

– Ale to mógł być Drake – powiedział Sam.

Edmund pokiwał głową.

– Wystarczy. Do roboty.

Księżę chrząknął wyraźnie zły. Ostatnio często bywał zły. Nowe frakcje – Galowie, Jarsayowie, ludzie z północy – zatruwali powietrze w mieście. Galowie nosili krótkie jaskrawe stroje, paradowali w nich jak pawie i szukali kłopotów.

Naturalnie wszystko to przemawiało do wyobraźni młodych mężczyzn.

Jarsayami byli głównie mężczyźni i chłopcy z południowych ziem uprawnych. Zawsze przybywali tłumnie do miasta po żniwach, a tego roku było ich więcej niż kiedykolwiek, przy czym wielu zjawilo się z opowieściami o bru-

talnych atakach żołnierzy królewskich. Znakiem Jarsayów był kaftan rolnika.

Pod koniec wiosny do miasta napłynął potok uchodźców z północy. Większość z nich już wróciła do swoich domów, ale ci, którzy pozostali, byli zagniewani, biedni i bardzo drażliwi.

Cechy zareagowały zwiększeniem liczby ćwiczeń dla wszystkich wyszkolonych grup w mieście. Płatnerze się szczycili, że są jednym z najlepszych cechów militarnych, i ćwiczyli tak często, że Edmund przez cały czas był zmęczony i głodny. Ale stał się świadom, że mistrzowie cechu używają wyszkolonych grup, żeby onieśmielać frakcje.

– Jesteśmy płatnerzami – oświadczył zdecydowanie. – Nie obchodzą nas frakcje.

– Gówno prawda – skomentował Księżę. – Galowie są obcy i przybyli załatwić królową. Nazywają ją kurwą. Mówią, że jest jałowa. Mówią, że jest...

Mistrz Pyle pojawił się w drzwiach i Księżę poczerwieniał.

Mistrz Pyle popatrzył na nich ponuro, ale nie rzekł słowa.

– Nie wierzę w to gadanie! – oznajmił Księżę.

Mistrz Pyle skinął głową i ruchem ręki przywołał Edmunda.

Edmund miał nogi jak z ołowiu, ale poszedł za nim przez podwórze do jego kantorka tak pełnego welinu i pergaminu, jak biuro sekretarza królewskiego w pałacu.

Czuł, że najlepszą obroną może być dobry atak, więc gdy tylko mistrz usiadł, uklonił się i powiedział:

– Mistrzu Pyle, przepraszam. Ciało znalezione dziś rano wszystkich zaniepokoiło.

Pyle pokiwał głową.

– Cieszę się, że się poczuwasz do odpowiedzialności, młody Edmundzie. To, co mówią twoi ludzie, świadczy o tobie. Co mówią moi ludzie, świadczy o mnie. – Jego oczy, powiększone przez duże etruskie okulary, spotkały się z oczami czeladnika. Edmundem wstrząsnął czysty strach. Tylko raz widział mistrza naprawdę rozeźlonego. – Zbyt wiele czasu spędzam w pałacu. Jesteś mi potrzebny, Edmundzie. Jak idzie praca nad projektem?

Edmund pokręcił głową.

– Nie ma końca, mistrzu. Ale robię trzy lufy z calowymi otworami. Myślę... myślę, że spełnią wymagania kontraktu pana Smytha, podobnie jak dziwny dzwon z dziurkami do bełtów.

Mistrz Pyle złączył czubki palców.

– Dobrze. Skończ zamówienie. Wiesz co nieco o odlewaniu i puncach.

Edmund się uklonił.

– Tak, mistrzu.

– Będę cię potrzebować, żebyś przejął liczne projekty, Edmundzie. Te żelazne lufy dobrze cię przygotowały do kierowania warsztatem, zmieściłeś się w kosztach i praca się zbliża do końca. Chcę, żebyś przejął kierownictwo, i dlatego mi zależy, żebyś lepiej panował nad uczniami. – Mistrz uniósł rękę. – Rozumiem, że nastąpiły ciężkie czasy, że niedawno byłeś jednym z nich i że właśnie dlatego nie umiesz wzbudzić szacunku i strachu, który może dać ci aurę dowodzenia. Dawniej wysłałbym cię do innego warsztatu. – Mistrz Pyle pokręcił głową. – Mam więcej zamówień, niż mógłbym zrealizować bez przyjęcia następnego tuzina uczniów i dwóch czeladników, ale brak mi czasu, żeby ich wyszkolić i nadzorować w sposób, który sprawi, że z kolei oni zostaną dobrymi mistrzami. – Spojrzał na niego. – Rozumiesz, co mówię?

Edmund zakasłał.

– Nie. Tak. Zrobię, co w mojej mocy.

– Najważniejszym zamówieniem jest zbroja króla na turniej. Prawie nad nią nie pracowałem od ukończenia procesu utwardzania, ponieważ ręcznie wycinam matryce. – Popatrzył na Edmunda. – Potrzebuję setek krążków do wybicia monet.

– Ja mogę się tym zająć – zaproponował Edmund.

– Nie, chłopcze, do tego nie jesteś mi potrzebny. Niech uczniowie się tym zajmą, żebym ja mógł wycinać matryce, a ty ozdobić królewską zbroję. – Mistrz Pyle znowu patrzył mu w oczy.

– Tom może nimi pokierować. Jest bardzo dobry.

Pyle odetchnął głęboko.

– Poważnie? Młody Tom jest ulicznikiem. Wiesz o tym, prawda?

Cechy przyjmowały uliczników, ale tacy chłopcy rzadko do czegoś dochodzili, ponieważ nawet w cechu odniesienie sukcesu zależało od nepotyzmu i srebra.

Edmund o tym wiedział. Tom starał się nie żywić urazy, ale czasami jego nadzwyczajne umiejętności tak wyraźnie przyćmiewały talent czeladnika, że potrafił być zgryźliwy.

Edmund pochylił się w stronę mistrza.

– Będzie lojalny, na zawsze, jeśli damy mu szansę.

Pyle potarł nieogolone policzki.

– Trafna uwaga. Wiedziałem, że moje zaufanie do ciebie nie zostało źle ulokowane. Zbyt długo nie było mnie w warsztacie. Poślij po niego w tej

chwili.

W czasie, w jakim entuzjastycznie pobożna młoda kobieta mogłaby zmówić zdrowaśkę, młody Tom stanął z czapką w rękach w kantorku swojego mistrza.

– Edmund mówi, że jesteś gotów zostać czeladnikiem – powiedział mistrz.

Tom obracał czapkę w rękach, jakby liczył palcami nierówności w wystrzępionych brzegach.

– Jej! – krzyknął i popatrzył na Edmunda. Nagle ramiona mu opadły. – Nie stać mnie na opłaty.

Mistrz Pyle pokiwał głową.

– Głowa do góry, Tomie. Zapłacę za ciebie pod dwoma warunkami.

Tom stanął na baczność.

– Zrobię wszystko, co każesz! – wybuchnął.

– Zawsze wysłuchaj warunków kontraktu, zanim go podpiszesz, młody człowieku. Po pierwsze, czy będziesz pracować dla Edmunda? – Mistrz pochylił się ku niemu.

– Tak! – zapewnił Tom.

– Po drugie, dostaniesz połowę zarobków czeladnika, ale będziesz związany ze mną przez dwa lata. Nie odejdiesz do innego warsztatu ani do innego miasta.

Tom się roześmiał.

– Mistrzu, możesz mnie związać do końca życia.

Pyle pokręcił głową.

– Nigdy tego nie mów, chłopcze. Dobrze, zrób sobie żelazny pierścień i spotkaj się ze mną w domu cechowym. Weź kubek wina dla uczczenia okazji, bo, na Boga, to będzie ostatnie popołudnie, jakie spędzisz poza warsztatem przez wiele dni.

Mistrz Pyle wyszedł na podwórze, a Edmund został, żeby pomóc Tomowi wykuć pierścień z błękitnej stali. Gdy starszy chłopak próbował uformować sygnet i klął, powiedział:

– Dzięki. Jestem twoim dłużnikiem.

– Mistrz ma zamiar powiększyć warsztat – powiedział Edmund. – Będziemy bić monety.

Tom zagwizdał.

– To jak wsadzanie kija w mrowisko.

Edmund polerował pierścień, jakby to on był nowym czeladnikiem, ale zgodnie z tradycją, kiedy uczeń awansował, jego przyjaciele zakasywali ręka-

wy i służyli mu pomocą.

– Dlaczego?

Tom wzruszył ramionami.

– Galowie chcą zabić nasze pieniądze. Jeśli wybijemy nowe, dobiorą się do nas.

Edmund powoli pokiwał głową.

– Wobec tego lepiej podjąć jakieś środki ostrożności.

Tom się uśmiechnął.

– Gdy tylko zostanę czeladnikiem. Jeszcze raz dziękuję. Nigdy nie przypuszczałem, że do tego dojdzie.

### **Na zachód od Loniki w Tracji – cesarz i diuk Andronikus**

Zsiedli z koni na dziedzińcu małego zamku, nie większego od dworu, z dwiema kamiennymi wieżami i ulokowaną pomiędzy nimi drewnianą salą. Otoczony palisadą zamek stał na szczycie wysokiego wzniesienia. Z wyższej wieży straż mogła zobaczyć na zachodzie okryte śniegiem Mons Draconis, odległe o sześćdziesiąt lig góry wśród Zielonych Wzgórz.

Sześćdziesięciu stradiotów eskortowało cesarza i przyjęło go z wyszukanim ceremoniałem, który jednak nie pozwalał mu zapomnieć, że jest więźniem w żalosnym pogranicznym zameczku leżącym tak daleko od jego domu, że nie mógł liczyć na ratunek.

Nie uchybili jego godności. Cesarz przyjął pozdrowienia i ukłony swoich wrogów, po czym chętnie udał się do przydzielonego mu pokoju. Strażnik pod drzwiami poprosił go o błogosławieństwo.

Tej nocy cesarz związał prześcieradła i wyszedł przez okno, ale padał lekki śnieg i jeźdźcy dopędzili go o brzasku.

Jeden z nich wziął stalowy topór i styliskiem złamał mu obie nogi. Zanieśli go przez zamrożone bagno do zamku i zamknęli w pokoju. Wszyscy strażnicy poprosili o błogosławieństwo.

### **Południowy Bród pod Albinkirkiem – ser John Crayford**

Minął kolejny tydzień, zanim ser John Crayford znalazł czas, żeby pojechać do przeprawy promowej. Liczba osadników rosła – wraz z przybyciem ostatej karawany z Morei powstało dziesięć nowych domów kupieckich, żeby skupować futra i miód, który Zamurzanie mieli sprzedawać na jarmarku w



przyszłym miesiącu. Ser John powstrzymał się od swoich zwykłych komentarzy na temat zachłanności stanu kupieckiego. Starannie regulował napływ kupców do miasta, przydzielał ich do pustych domów i nakazywał odbudowę tych zniszczonych pod groźbą konfiskaty towarów. W rzeczywistości wykraçało to poza jego kompetencje, ale podczas oblężenia Albinkirku bogliny zabiły burmistrza i rajców i nikt ich jak dotąd nie zastąpił, a nadto nie przypuszczał, żeby król miał do jego decyzji jakieś zastrzeżenia.

Kupcy narzekali, ale wynajmowali miejscowych jako robotników. Z Loriki ściągnęli murarze zwabieni obietnicą pracy i zarobku.

Codziennie wynikały jakieś kłopoty, choć na szczęście drobne. W środę przybył nowo mianowany biskup Albinkirku. Miał świętę złożoną z księdza i mnicha i wszyscy jechali na osłach.

Ser Johna akurat nie było w mieście; wyprawił się na północ, gdzie wysłuchiwał skarg na irków i Zamurzan. Kiedy wrócił, jego bezużyteczny sierżant zameldował, że biskup przybył, zajął zrujnowany pałac biskupi i przy pierwszej okazji chce się zobaczyć z kapitanem. Ser John przewrócił oczami.

– I urodził się chłopem – dodał sierżant.

Ser John się roześmiał.

– Jak ja. I jak ty, szelmo. – Zsiadł z konia i rzucił wodze Jamiemu. – Wybiorę się do hierarchy nikczemnego rodu, gdy znajdę czas, żeby odsapnąć.

A co najlepsze, w czwartek przybył ser Richard Fitzroy z czterdziestoma kopiami w całości złożonymi z dworzan, z wyjątkiem rycerza w czarnych szatach, księdza z Zakonu Świętego Tomasza.

Ser John powitał ser Richarda na dziedzińcu cytadeli i zamknął go w serdecznym uścisku.

– Przybyłeś mnie zluzować? – zapytał.

Ser Richard pokręcił głową.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Król wysoko cię ceni. Przywiodłem czterdziestu łuczników do twojego stałego garnizonu i kopie, żeby wspierały cię przez jesień. W tym sezonie będę sędzią okręgowym na północy. Mam nadzieję, że zostawiłeś parę potworów do zabicia.

Ser John wypatrzył kilku zbrojnych, którzy według niego wyglądali tak młodo, że powinni się trzymać matczynych fartuchów, ale poklepał ser Richarda po opancerzonym ramieniu.

– Ogromnie się cieszę, że tu jesteś. Potworów nie brakuje, ledwie kilka dni temu utłukłem tuzin boglinów.

Najmłodszemu zbrojnemu oczy wyłaziły z orbit.

Przy kubkach wina ser Richard opowiedział, że w Jarsayu źle się dzieje i że konstabl odesłał kapitana gwardii ze wszystkimi jarsayskimi rycerzami, którzy przebywali na dworze, żeby uniknąć awantur z wracającym do miasta captalem de Ruth. Ser John dowodził garnizonem, który od sześciu lat nie był wzmacniany, od trzech nie dostawał zapłaty i stracił czterech na pięciu dobrych zbrojnych na rzecz Czerwonego Rycerza, kiedy ten nieznośny parweniusz przejeżdżał przez miasto na początku lata, i ani trochę go nie obchodziła polityka. Spędził cudowny dzień, dzieląc swoje hrabstwo na obszary patrolowe i przydzielając je starszym, bardziej doświadczonym rycerzom.

W sobotę po mszy wydał ucztę, korzystając z drobnego podatku nałożonego na dwóch kupców z Hoeku, którzy przybyli rzeką. Zameldowali, że w Południowym Brodzie o mały włos nie wpadli w szpony boglinów i czegoś większego i że przyszła im w sukurs zakonnica o cudownych mocach. Opodatkował ich, każąc zapłacić winem i złotem, przydzielił im dom do wyremontowania, a potem przystąpił do planowania uczyty. Kazał sługom zbudować podium w wielkiej sali zamku i umieścić nad nim złotą tarczę z jasnoczerwonym krzyżem. Tam na tronie biskupim zasiadł biskup Albinkirku, Ernald Anzelm, w towarzystwie ser Richarda, ser Johna, który nie mógł się pozbyć myśli o swojej hipokryzji, i zakonnego księdza, brata Arnauda. Przy stole było sześć wolnych miejsc. Kiedy ostatnie danie zostało zredukowane do baranich kości i giermkowie nalewali wino z miodem i korzeniami, ser John wstał i w sali zapadła cisza.

– Bracia – zagaił. – Jest tutaj sześć wolnych miejsc przygotowanych dla tych, którzy najlepiej się sprawią jako błędni rycerze. – Uśmiechnął się do wszystkich i przeszedł na skraj podwyższenia. – Słuchajcie, przyjaciele. Obserwowałem was przez większą część tygodnia. Widziałem was na placu ćwiczeń i przy słupie; patrzyłem, jak się siłujecie i jak jeździe konno. Jesteście gotowi do starcia z wrogiem pod każdym względem... z wyjątkiem jednego.

Zaczęli wiwatować, kiedy powiedział, „jesteście gotowi do starcia z wrogiem”, ale zaraz potem ucichli.

– Większość z was wie – kontynuował ser John – że jestem prostym żołnierzem. Służyłem w wielu miejscach na świecie, w Tatarii i Ziemi Świętej, w Galii, Arles i paru innych. Znam się trochę na wojnie. A czeka was wojna. Przestańcie więc myśleć o pieprzonym Jeanie de Vrilly, zapomnijcie o dworze, zignorujcie sytuację polityczną, przez jaką tu trafiliście, i starajcie się nie stracić życia. Gwarantuję, że jutro o tej samej porze jeden z was będzie mar-

twy albo ciężko ranny, nie dlatego, że Dzicz jest takim groźnym wrogiem, lecz dlatego, że nie jesteście przygotowani do walki z Dziczą, bo chodzicie z głową w chmurach lub też jesteście zmartwieni i pełni nienawiści z powodu tego, co się dzieje w waszych stronach rodzinnych. Zapomnijcie o tym wszystkim. Pamiętajcie o kobietach, które kochacie, miłość bowiem przyspieszy wasze ręce i będziecie zadawać silniejsze ciosy. Słuchajcie swoich oficerów, ponieważ rozumieją więcej niż wy. Pamiętajcie o swoim królu, ponieważ z jego łaski prowadzimy sprawiedliwą wojnę. Pamiętajcie o swoim szkoleniu. Reszta to bzdury. Wyrzucicie je z pamięci. Za parę tygodni, kiedy w chwale wrócicie do domu, znów będziecie mogli psioczyć na captala i jego politykę.

Biskup wstał, żeby przemówić. Miał piękny głos, był elokwentny i wykształcony, chociaż urodził się wieśniakiem. Mówił krótko o obowiązku rycerza wobec Kościoła, o okazji odpokutowania grzechów przez noszenie zbroi i o służeniu sprawie ludzi. Z wdziękiem uklonił się ojcu Arnaudowi, który odwzajemnił ukłon ze zbolałym uśmiechem.

Ser John widział się z nim tylko raz i nie miał pojęcia, czego się po nim spodziewać. Był zaskoczony jak wszyscy inni, kiedy biskup zszedł z podium i zaczął chodzić pomiędzy zbrojnymi. Roześmiał się i jego śmiech popłynął czysto i radośnie.

– Czyż to nie dziwne, zostać wysłanym, żeby zabijać w imię naszego Pana? On nigdy nie powiedział: „Zbierzecie dla mnie armię i walczcie z Dziczą”. Powiedział: „Nadstaw drugi policzek”. – Biskup chodził w pełnej oszłomienia ciszy. – Ale rzekł także: „Wspierajcie dzieci”. – Umilkł i zatrzymał się pośród nich. – Moi rodzice nie są wielkimi panami. Ojciec orze pola w cieniu murów Loriki. Matka jest córką zagrodnika. Mój brat i ja jako pierwsi w rodzinie jesteśmy wolnymi chłopami wyzwolonymi z poddaństwa. – Powiódł po nich wzrokiem. – Wolność dla chłopów oznacza, że w zamian za nasze podatki wy nas chronicie swoimi ciałami. Stan rycerski, bracia, to nie tylko ciżmy, wyskubane czoła dam i tańce. Mężczyźni i kobiety, którzy urabiają sobie ręce na waszych farmach, nie służą wam dlatego, że Bóg tak nakazał. To kontrakt i na mocy tego kontraktu wy dostajecie piękny miecz, wysokiego konia i podziw ślicznych panien, a w zamian jesteście gotowi oddać życie. Na tym polega wasz obowiązek.

Popatrzył na nich. Jego słowa miały ogromną siłę. Słuchacze się nie wiercili, ser John zastygł z kubkiem wina w połowie drogi do ust.

– Każda rodzina w tym mieście i na otaczających je ziemiach straciła bli-

skich. Udzielałem komunii w parafiach, w których zostało niewielu mężczyzn. Dzieci są przerażone, kobiety bezsilne. Odbudowa postępuje wolno. Powątpiewamy w naszą wiarę. Jak Bóg może na to pozwalać?

Rozejrzał się i uderzył pastorałem w podłogę. Ludzie podskoczyli.

– Możecie ich uratować! – ryknął. – Każdej wdowie na wasz widok zaświta promyczek nadziei. Każde dziecko, które ujrzy rycerza, będzie wiedziało, że rodzaj ludzki jest niepokonany. Pokażcie im, kim jesteście. Okażcie się godni swojego stanu. Jeśli będzie trzeba, oddajcie za nich życie. To wszystko, o co Bóg prosi was, swoich rycerzy. W jego imię jedźcie i podbijajcie. – Młody biskup przeszedł pomiędzy rycerzami, błogosławiąc tych, którzy siedzieli najbliżej, po czym wrócił na podium i nakreślił znak krzyża. – I wiedcie, że jeśli polegniecie, wyzioniecie ducha dla naszego Pana, amen.

– I zabierzecie ze sobą wielu małych sukinsynów – mruknął ser John.

– To było zadziwiające – powiedział, gdy biskup się usadowił.

Anzelm się uśmiechnął.

– Wypadło całkiem niezłe – zgodził się. – Trochę ściągnąłem od patriarchy Urbana, a resztę mówiłem w natchnieniu. Dużo czasu spędziłem na modlitwie. Ale właśnie tego potrzebują ci ludzie, widoku zbroi na drogach, każdego dnia. Promyka nadziei.

Ser John położył rękę na jego ramieniu.

– Nie powitałem cię tak, jak przystało.

– Byłeś zajęty, a ja jestem tylko biskupem nikczemnego rodu – powiedział młodszy mężczyzna z błyskiem w oku.

Ser John pokręcił głową.

– Czy ja coś takiego mówiłem?

Siedzący obok niego ojciec Arnaud o mało nie wypluł wina.

Biskup wzruszył ramionami.

– To tylko pogłoski, ser Johnie. I prawda jest taka, że jestem biskupem niskiego urodzenia. Ale zamierzam odbudować tę owczarnię i służyć ci pomocą w odbudowie miasta. Nawiasem mówiąc, siostra Amicja od sióstr Świętego Jana prosi, żeby ci o niej przypomnieć. Ma nadzwyczajną dyspensę. W Albie z pewnością jest mniej niż dziesięć kobiet, którym wolno odprawiać mszę.

– Jest nadzwyczajną kobietą – zaznaczył ser John.

Ojciec Arnaud pokiwał głową.

– Bardzo chciałbym ją poznać – powiedział.

– Słyszałem, że odegrała znaczącą rolę w powstrzymaniu wroga w Lissen

– wtrącił biskup.

– Jej moce budzą respekt – odparł ser John i szeroko się uśmiechnął. – To też tylko pogłoska, mnie tam nie było. – Popatrzył na rudowłosego mężczyznę o przystojnych surowych rysach, znacznie bardziej wyglądającego na rycerza niż na mnicha. – Ale wiele mi pomogła w ostatnich tygodniach.

Biskup wzruszył ramionami.

– Poprosiła, żebym ci przypomniał o rzuceniu okiem na zniszczenia przy promie. Sam to widziałem, tam czai się jakieś zło. Moje moce są w rękach Boga, przychodzą i odchodzą, ale mogłem je wyczuć.

Ser John pokiwał głową.

– Zajrzę tam.

Ojciec Arnaud popatrzył na niego.

– Ser Johnie, jestem tu tylko przejazdem, ale będę bardzo wdzięczny, jeśli pozwolisz mi sobie towarzyszyć.

– Rycerz zakonny? – Ser John się roześmiał. – Schowam się za tobą, jeśli się zrobi gorąco.

Rankiem na dziedzińcu czekały cztery konne patrole. Na ich widok poczuł się tak, jakby był wielkim panem; miał na skinienie czterdziestu rycerzy, do tego czterdziestu zbrojnych i giermków, a także paziów i łuczników. Wszyscy łuczniczy należeli do jego garnizonu i po uczcie wypłacił im zaległy żołd. Nawet nowi ludzie dostali zapłatę, co było niesłychanym dobrodziejstwem.

Ale do brodu pojechał tylko z ojcem Arnaudem, dwoma nowymi łucznikami, swoim giermkim Jamiem, ser Richardem i jego giermkim, lordem Wimarkiem, bogatą latoroślą w zbroi lepszej niż te, które mieli ser Richard i ser John. Jednak Wimark okazał się nadzwyczaj dobrze wychowany, najwyraźniej uwielbiał ojca Arnauda i ani trochę nie traktował protekcyjnie Jamiego. Dobrze się zgrali w drodze wzdłuż rzeki do brodu.

Dzień był jasny, z idealnie błękitnym niebem. Drzewa już zaczynały zmieniać kolory, głównie żółknące klony i brzozy. Rzeka się skrzyła.

Stado kruków rozdziobywało zwłoki.

Ser John nawet nie wiedział, że ludzie próbowali odbudować prom. Ich usiłowania zbudziły litość w jego sercu. Coś się przebiło przez nowe ściany z kłód i świeżo pokryty strzechą dach i porwało niemowlę z kołyski. Rozdarło dwóch mężczyzn na kawałki – ręka tu, straszny strzęp nogi tam. Głowy, schludnie nadziane na piki na podwórzu, były podziobane przez kruki.

Lord Wimark kilka razy przełknął ślinę, ale nie pozbył się śniadania. Oj-

ciec Arnaud zsiadł z konia, pomodlił się nad szczątkami, po czym wziął na siebie makabryczne zadanie przygotowania ich do pochówku.

Ser Richard, królewski bastard, nie został kapitanem gwardii królewskiej wyłącznie dzięki prezencji i protekcji.

– Coś dużego – oznajmił. – Nie adwersarz. Jeszcze większego.

Ser John popatrzył na krokwie.

– Nie sądzę, że to wiwern. A mamuty nie jedzą ludzi.

– Troll? – zapytał ser Richard. – Walczyłem z nimi pod Lissen – dodał, strzelając wzrokiem dokoła. – Na rany Chrystusa, srałem w gacie ze strachu.

Ser John stanął w strzemionach i podniósł kopię, żeby zmierzyć, na jakiej wysokości musiało być ramię, które zdarło strzechę, żeby sięgnąć do środka domu.

– Musiałyby to być bardzo wielki troll – rzekł cicho. – Słodki Jezu... A miałem nadzieję zjeść dzisiaj kolację z pewną damą. – Mówił cicho, bo ksiądz był w pobliżu.

Ser Richard się roześmiał.

– To będzie przygoda – powiedział.

Ser John uniósł brew.

– Już sram ze strachu – dodał ser Richard i dźwięk ich śmiechu poniósł się nad promem w lasy.

Przeprawili się przez Wielką Rzekę i ser John zobaczył, o czym mówiła zakonnica – na zachód w głąb lasów biegł pas zniszczeń jak droga wyrąbana przez obłąkanego drwala.

– Błogosławiony Kryspinie... – Ser Richard ściągnął wodze. – Nie możemy tam jechać.

Ojciec Arnaud pogładził palcami krótką brodę, po czym ściągnął rękawice do jazdy konnej i nałożył pancerne. Lord Wimark przyskoczył chętny pełnić rolę jego giermka.

Zakonnik miał łebkę z kolczym kołnierzem, hełm znacznie starszy niż galijskie basiny obecnie będące w łaskach na dworze. Wimark nałożył mu go na głowę.

Ojciec Arnaud uśmiechnął się do młodzieńca.

– Nie przywykłem do usług giermka – powiedział i młodszy mężczyzna się zarumienił.

Ser John przyglądał się okolicy tak długo, że giermek zdążył dwadzieścia razy odetchnąć.

Stare drzewa, dziesiątki starych drzew, zostały wyrwane z korzeniami i porzucane jak zapalki. Wyglądało to tak, jakby jakieś gigantyczne dzieci grały w bierki. Szlak zniszczeń ciągnął się na zachód daleko, jak okiem sięgnąć.

– Przypuszczam, że gdzieś się krzyżuje z Traktem Królewskim – powiedział. – I tyle, jeśli chodzi o moją kolację z pięknymi kobietami. – Obejrzał się. – Wybacz, ojcze.

Ojciec Arnaud się uśmiechnął.

– Nie gorszy mnie to, że nie stronisz od pięknych kobiet, ser Johnie. Mam wątpliwości, czy Bóg jest tym zgorszony. Wszak sam je stworzył. – Wyszczerył zęby w uśmiechu. – Co do kolacji... zawsze się opowiadam za kolacją.

Dwaj łucznicy, Odo i Umfrej, tak młodzi, że jeszcze nie zasłużyli na przezwiska, lekko pobledli. Ser John uśmiechnął się do nich.

– Lubicie biwakowanie? – zapytał i poszedł sprawdzić juczne konie. Po kontroli, która spełniła jego oczekiwania, przesiadł się z lekkiego wierzchowca na rumaka.

Ser Richard zrobił to samo, po czym obaj włożyli hełmy i rękawice.

Ser John spojrzał na księdza.

– Czy ten hełm nie jest za lekki?

Ksiądz wyjął z sakwy przy siodle hełm garnczkowy. Ser John z profesjonalnym zainteresowaniem zauważył, że ledwie widoczne uszka na łebce są dopasowane do rowków wewnątrz dzwonu dużego hełmu, służąc unieruchomieniu go na głowie.

Ojciec Arnaud opuścił z trzaskiem garnek, zyskując ochronę w postaci dwóch warstw utwardzonej stali.

Przejechali milę w ostrożnym tempie. Z Traktu Królewskiego, który biegł na zachód do Lissen Carak i dalej przez Zamek Mostowy do Hawshead, pomiędzy drogą i rzeką zobaczyli wyrwę w linii lasu na północy. Czasami ją gubili, ale potem znowu wypatrywali, i po kolejnej mili, kiedy skręcili na północ, musieli zwolnić do stępa, bo trakt zaścielały powalone drzewa.

Uważnie wybierali drogę, powoli jadąc jakieś trzysta kroków. Ser John ściągnął wodze, uniósł rękę i pokręcił głową. Uniósł zasłonę hełmu.

– Psiamać – mruknął. – Musimy tu wrócić z łucznikami, oczyścić drogę, wytropić potwora, który to zrobił, i go ukatrupić. W tej chwili jesteśmy na bezdrożu i nasze konie są bezużyteczne.

Ser Richard też otworzył hełm.

– Zgadzam się. Już jestem zmęczony i mój biedny Strzała pewnie mnie pokąsa przez zbroję, jeśli go zmuszę do przeskoczenia przez następną kłodę. – Zawrócił konia.

Obaj mężczyźni popatrzyli na księdza, który w idealnym spokoju siedział na karym rumaku.

Ojciec Arnaud spojrział nad ramieniem ser Johna i bez słowa wyciągnął miecz.

Gałąź pękła z głośnym trzaskiem. Wszyscy zamarli.

– Najświętsza Panno... – szepnął ser Richard.

Ser John spostrzegł, że coś się poruszyło wśród powalonych drzew.

– Z koni! – krzyknął.

Ser Richard nie zsiadł, naprowadził rumaka na złamane drzewo. Koń skoczył, unosząc jeźdźca w zbroi. Ser Richard odebrał królewskie wykształcenie i jeździł jak centaur.

Łucznicy i giermkowie zeskoczyli na ziemię. Jamie chwycił uzdy i odprowadził dwa konie, ale niedaleko, bo powalone drzewa tarasowały drogę. Jeśli konie się spłoszą, mogą zagrozić ludziom.

Ser John spojrział na swojego giermka.

– Zabierz je stąd – warknął.

Jamie zaczął się przedzierać przez połamane drzewa.

Łucznicy zakładali cięciwy na długie bojowe łuki.

– Co to takiego? – zapytał ser Richard.

– Nie mam pojęcia – syknął ser John.

– Olbrzym – powiedział ksiądz. Jak ser Richard, siedział na koniu.

Ohydny smród dotarł do jucznych, które się spłoszyły. Uciekły – jeden źle stąpnął i noga pękła z przyprawiającym o mdłości trzaskiem.

Koński kwik zadziałał jak sygnał. Dwa olbrzymy wstały zza powalonych drzew i zaatakowały.

Były ogromne.

I na przekór legendzie bardzo szybkie.

W ciągu czterdziestu lat walk ser John nigdy nie widział olbrzyma, toteż wrósł w ziemię na fatalną chwilę. Jego usta bezgłośnie wypowiedziały słowo.

– Chryste...

Ksiądz spiął konia. Rumak przeskoczył nad leżącym świerkiem pomimo ciężaru opancerzonego jeźdźca na grzbiecie. Zakonnik ciął mieczem palec wyciągniętej lewej ręki giganta, przemykając tuż obok niego.

Potwór pod względem kształtu z grubsza przypominał człowieka, tyle że



miał jedno oko i nogi długości tułowia, a za to brakowało mu szyi.

W garści trzymał pałkę wielkości niedużego chłopca.

Z jakiegoś powodu zamierzył się nią na jucznego konia, jakby przenikliwy kwik ranił jego ogromne uszy, a może zdezorientował go ból zranionej ręki.

– To olbrzym – powiedział bez potrzeby łuczniczek Odo.

Jego pierwsza strzała, długa na trzydzieści pięć cali i ważąca cztery królewskie uncje, wbiła się w udo olbrzymia tak głęboko, że widać było tylko lotki.

Olbrzym ryknął i lasy się zatrzęsły.

Ser John usłyszał okrzyk wojenny ser Richarda i dudnienie kopyt jego konia.

Umfrej strzelił i chybił.

Ser John zmusił się, żeby ruszyć na olbrzymia, który był jakieś trzy razy wyższy od niego. Maczuga spadła na głowę jucznego i krew zbryzgała ich wszystkich.

Lord Wimark przyskoczył do jego boku, trzymając w ręce piękny młot bojowy ze złotym grawerunkiem.

– Co... co robimy? – wyjąkał.

– Zatluczemy go – odparł ser John.

Olbrzym był szybki jak człowiek. Obrócił się ku dwóm opancerzonym ludziom. Odo chybił, ale druga strzała Umfreja wniknęła w pękate mięśnie prawego ramienia, psując cios wymierzony w lorda Wimarka. Maczuga uderzyła w ziemię, podskoczyła i trafiła giernka, łamiąc mu obie nogi. Wimark wrzasnął i był to okropny, zdławiony dźwięk. Nie bacząc na obrażenia, leżąc, ciął toporem w palec grubości swojego nadgarstka i dopiero potem padł na wznak, wyjąc z bólu.

Ser John nie zmarnował wolnych chwil. Miał młot z drzewcem długości pięciu stóp i kolcem naprzeciwko obucha i z całej siły trzasnął nim w prawą stopę olbrzymia, łamiąc kości. Wszedł pomiędzy nogi cuchnącego stworzenia, wraził kolec w zwisające jądra i szarpnął, po czym obracając się w biodrach, wywinął młotem ósemkę i zadał trzeci cios w lewe kolano.

Wrzask kolosa spłoszył ptaki w promieniu czterech mil. Jego towarzyszka przystanęła i się obróciła. Ser Richard trafił ją kopią w brzuch.

Uderzyła pałką, strzaskała tarczę rycerza, gruchocząc mu bark i rękę, ale ser Richard głęboko wbił ostrogi w boki swojego ukochanego. Strzały i wielki rumak posłuchał napędzany wściekłością z powodu zranienia przyjaciela. Skoczył w obłok smrodu i kopia jeszcze głębiej ugrzęzła w brzuchu olbrzym-

ki.

Umfrej i Odo zobaczyli, że olbrzym upada, odwrócili się razem jak weterani i wzięli na cel olbrzymkę. Żaden nie chybił. Napinali i puszczali cięciwy, zakładali strzały, napinali i puszczali, ich łuki śpiewały co kilka sekund. Olbrzymka stała tylko dziesięć kroków od nich i nie miała żadnej osłony.

Ser John wbił szpic młota w jej zad, gdy upadała, przebiegł pomiędzy nogami i uderzył znowu.

Z żalonym jękiem padła na ręce i kolana nad lordem Wimarkiem. Ser John znów był za nią i przy trzecim ciosie młotem złamał jej kość udową. Potem zaczął tłuc tam, gdzie powinny być nerki.

Olbrzymka zdarła z siodła ser Richarda, łamiąc mu obojczyk i rzucając go na już pęknięte ramię. Zdawało się, że nie wie, skąd nadlatują ciężkie strzały, bo machała ręką, kiedy już ją trafiły, jak dziecko próbujące zabić owada, który je ukąsił i zdążył odlecieć.

Ser Richard przetoczył się wyłącznie dzięki szkoleniu i złożył do ciosu w kostkę. Ciął raz i drugi, na przemian wrzeszcząc z przerażenia i wykrzykując swój okrzyk wojenny. Olbrzymka go zignorowała, odwróciła się, i w końcu zobaczyła łuczników.

Łuk Umfreja pękł z trzaskiem – napinał go mocno przy każdym strzale z uczuciem przypominającym ślepa panikę.

– Uch... – szepnął.

Odo strzelił olbrzymce w twarz. Nie trafił w oko i strzała odbiła się od kości. Sięgnął po następną, ale żadnej nie znalazł. Reszta była na jucnym.

Umfrej dobył miecza i odwrócił się do biegu.

Odo chwycił strzałę za grot i wyciągnął ją z za pasa przebiegającego towarzysza. Założył ją na cięciwę.

Ser Richard rąbał ścięgno podkolanowe olbrzymki, dopóki nie zemdłał.

Ojciec Arnaud pojawił się za olbrzymką. Jego koń wzbił się jak uskrzydłony, miecz wszedł po rękojeść w długim jednoręcznym pchnięciu i wysunął się jak zabójcza igła po ukłuciu żywego ciała. Olbrzymka zamierzyła się i chybiła, gdy rumak przemykał jak jeleni.

Olbrzym ser Johna opróżnił jelita i upadł. Ser John nie widział ser Richarda – jego koń kopał olbrzymkę, która stała na jednej nodze sparaliżowana z szoku. W jej oku tkwiła strzała. Odo patrzył na nią z dziwnie triumfalną miną.

Jej maczuga rozbiła go na miazgę.

Ale kiedy ruszyła, żeby dobić jego śmiertelnie ранego towarzysza, prawa

noga się pod nią ugięła, ściętno zostało przecięte i runęła na ziemię.

Umfrej widział śmierć Oda i oszalał. Krzyczał. Wrzeszczał. Płakał. Jego miecz rąbał powaloną olbrzymkę tak szybko, jak dziób dzięcioła uderza w pień drzewa. Siekał jej obwisłe piersi i ramię, a ona wyła i próbowała się podnieść.

Ojciec Arnaud z całej siły uderzył ją w potylicę buławą, którą zerwał z łąku, i obuch wgniótł czaszkę w fontannie krwi i rozbitego mózgu.

Zapadała ciemność, kiedy Helewiza, która co wieczór nad słuchiwała, usłyszała głosy płynące ze stróżówki przy bramie stanowiącej swego rodzaju koszary dla nowo przybyłych ludzi. Miała już sześćdziesięciu – znacznie więcej kobiet niż mężczyzn, a przy tym większość mężczyzn była w podeszłym wieku, ale wszyscy pracowali i pola zostały oczyszczone.

Nie była jeszcze rozebrana, więc tylko z nadzieją przeczesła włosy i zbiegła po schodach ze swojego pokoju do głównej sieni starego dworu.

– Błogosławiona Święta Katarzyno, co to za zapach? – zapytała, nim wyszła na dwór.

Na dziedzińcu tłoczyli się konni. Była już tam Filippa i obie dziewczyny Rose, i stara Gwynn, i Beatrice Upton. Płonęły pochodnie.

Ser John w pełnej zbroi oderwał się od grupy. Wyglądał staro, ale zdobył się dla niej na uśmiech.

– Nie dotykaj mnie – powiedział. – Jestem powalany gównem.

Wzdrygnęła się i zobaczyła, że są inni rycerze, i człowiek na noszach pomiędzy dwoma końmi, i tobołek, który od razu skojarzyła ze zwłokami. Uniosła ręce do ust, ale tylko na chwilę.

– Gorącej wody! – zawołała. – I sprowadźcie siostrę Amicję!

– Jestem – odezwała się zakonnica ubrana tylko w koszulę. Pobiegła przez dziedziniec do rannego na noszach.

Ser John przerzucił nogę nad końskim zadem i zsiadł powoli. Giermek podszedł i zabrał rumaka.

– Walczył z olbrzymem. Sam – powiedział.

– Gówno zrobiłem – mruknął ser John. – Siostró, ser Richard umiera. Ten chłopak nie żyje.

Zaprowadził ją do drugiego rannego, również leżącego na prowizorycznych noszach pomiędzy dwoma jucznymi.

Helewiza podeszła do rycerza zwanego ser Richardem. Ruchem dłoni przywołała dziewczętą.

– Wnieśmy go do środka. Ostrożnie z noszami.

– Wiem, co robię – powiedziała jej córka ze zwyczajną opryskliwością.

Obie z Jen odwiązały nosze od siodła i wniosły rannego do środka, pojękując pod jego ciężarem. Był wielkim mężczyzną w pełnej zbroi. Dwie młode kobiety stękały, ale położyły go na stole w sieni – Mary Rose śpiesznie ściągnęła serwetę i przyniosła dwa duże brązowe lichtarze, niezepsute przez łupieżców, przy okazji upuszczając sobie na nogę ciężką solniczkę i klnąc co niemiara.

– Chryste, ależ oni śmierdzą – powiedziała Mary.

Z zewnątrz napłynął blask złotozielonego światła, a potem usłyszała modlitwę siostry Amicji.

– Jejku... – szepnęła Filippa – chcę zobaczyć jej cuda!

– Masz tu zostać i pomóc mi z tymi sprzączkami – poleciła jej matka.

Na zewnątrz złote światło płonęło jak wschodzące słońce.

– To niesprawiedliwe! – poskarżyła się Filippa.

– Bądź pomocą, a nie latawicą – syknęła Helewiza. – Zdejmij mu pancerz z ramienia.

Gdy manipulowały nieznanymi im zapięciami pod pachą prawej ręki mężczyzny, wszedł ser John z siostrą Amicją. Filippa nagle z wielkim przejęciem zajęła się sprzączkami.

Siostra Amicja miała rozczochrane włosy i zmarszczki pod oczami. Helewiza nigdy nie widziała, żeby wyglądała tak staro.

Amicja położyła dłoń na rękę Filippy.

– Musisz być bardziej delikatna – powiedziała. – Spójrz, obojczyk jest złamany, ramię też, i wszystkie kości w rękę. Widzisz, jak mocno jest wgięty napierśnik? – Amicja zaczerpnęła powietrza. – Wszystkie żebra pod nim są połamane i nie wrócą na swoje miejsce, dopóki nie zdejmie się tej blachy. – Jej głos emanował ciepłym spokojem, jak ucieleśnienie matczynej miłości.

Odetchnęła głęboko i przekręciła pierścień na palcu.

– Słodki Panie...

Sześćset lig na wschód Czerwony Rycerz przystanął, wstrzymał oddech i przez chwilę siedział ramię w ramię z nowicjuską Amicją pod magiczną jablonią na murze klasztoru w Lissen Carak. Wrażenie było tak przemożne, jakby naprawdę tam się znajdował.

Nie prosiła, ale dał jej każdy strzępek zgromadzonej *ops* – głęboką rezerwę zachowywaną na chwilę, kiedy być może będzie musiał zmierzyć się z Har-

modiuszem.

Wzięła wszystko.

Ser John sięgnął obok Filippy i rozpiął boczne paski na napierśniku rycerza, jeden i drugi. Manipulowanie trzecim sprawiło, że coś się przesunęło wewnątrz ciała ser Richarda i z jego ust popłynął stłumiony krzyk.

Ser John popatrzył na zakonnice, a ona pokręciła głową.

Wyjął sztylet, przeciął pasek i podniósł napierśnik połączony zawiasami z naplecznikiem. Wszyscy usłyszeli mlaśnięcie, gdy metal odrywał się od skóry.

– Helewizo! – krzyknął ser John.

Razem przekręcili go lekko na bok, żeby ksiądz mógł wyciągnąć naplecznik. Ser Richard kasłał krwią.

– Nie! – powiedziała Amicja. – Połóżcie go na wznak, ostrożnie.

Filippa wreszcie odpięła sprzączki na ramieniu i Ser John otworzył lewe zarekawie, czemu też towarzyszył przyprawiający o mdłości wilgotny odgłos.

Ser Richard otworzył oczy, wrzasnął, zakrztusił się i wymamrotał:

– Strasznie mi przykro.

Siostra Amicja położyła rękę na jego ramieniu. Jej twarz stała się blada, po czym przybrała barwę ołowiu. Pierścień błysnął jak diament w słońcu, później jak małe słońce.

Westchnęła. I powoli się uśmiechnęła.

Otworzyła oczy.

Ser Richard zatrzepotał powiekami. Wypuścił powietrze, które przez długi czas przetrzymywał w płucach.

– Nigdy więcej nie zwątpię w Boga – szepnął sennie.

Siostra Amicja się roześmiała. Nie był to głośny śmiech, ale szczery. Ciężko usiadła na ławie.

Teraz, gdy najgorsze minęło, Helewiza i jej córka popatrzyły na siebie. Obie się uśmiechnęły.

Smród był naprawdę koszmarny.

– Wszyscy mają się umyć – zarządziła Helewiza. – Na litość boską, co to takiego?

Ser John pokręcił głową.

– Gównu olbrzyma – odparł. – Przepraszam za wyrażenie, ale to właśnie to.

Sień była zatłoczona podobnie jak dziedziniec i nikt nie spał. I wszystko

działo się naraz – dziewczęta przynosiły kubelki wody ze studni, rozpalano ogień w kuchni, w kominku w sieni, nawet w komnacie Helewizy, i każdy garnek w gospodarstwie został wykorzystany do grzania wody. Ben Scold, najlepszy z nowych ludzi, zaczął czyścić konie, a łucznik Humfrej mu pomagał. Młody Jamie zbierał cuchnące elementy zbroi – ta lorda Wimarka była w najgorszym stanie – a w tym czasie Filippa gotowała dla niego wodę. Popatrzył na nią z uśmiechem.

– Zabiłeś potwora? – zapytała.

Przez chwilę myślał, żeby skłamać, bo była taka śliczna. Wzruszył ramionami i spuścił wzrok.

– Odesłano mnie z końmi – odparł. – Nie zadałem ani jednego ciosu.

Uśmiechnęła się do niego.

– Nadejdzie twoja pora – zapewniła, a on natychmiast się w niej zakochał.

Wszyscy się wykąпали. Nie do wiary, ale rycerze mieli swoje mydła, a kobiety zagotowały więcej wody; one wykąpały się w sieni, a mężczyźni w kuchni. Helewiza zapoczątkowała nową modę, wkładając samą suknię bez gieźła, ponieważ wiedziała, że wciąż ją czeka wiele brudnej roboty.

Ser Richard spróbował się podnieść i Amicja przycisnęła go do łóżka.

– Zaczny rycerzu, moje uzdrowicielskie moce nawet z pomocą boską wymagają współpracy pacjenta, który powinien dużo odpoczywać i spać.

Popatrzył na nią z uwielbieniem.

– Piękna siostrze, dlaczego? Od długiego czasu nie czułem się lepiej.

Uśmiechnęła się i pogłaskała go po głowie.

– Czy muszę ci tłumaczyć? Kiedy uzdrawiam, kiedy uzdrawia każdy dobry uzdrowiciel, wiążemy tkanki tak dobrze, jak możemy, i nic więcej. Wykorzystana moc jest większa niż w każdym innym rodzaju czarów. – Uśmiechnęła się jakby z wahaniem i pokręciła głową. – Pomyśl o sile, jakiej użyłbyś do odcięcia ręki mieczem. Siła potrzebna do scalenia ręki z ciałem jest znacznie większa. Więc naprawiamy, co możemy, ale później musimy pozwolić, żeby Bóg i natura zrobili resztę. – Pokręciła głową. – Uzdrowicielka moc natury powiększa nadzieje na sukces – dodała. – I jeśli chodzi o uzdrawianie, naprawdę brakuje mi wyszkolenia.

Uwielbienie nie zniknęło z oczu ser Richarda.

– Jestem pewien, że go nie potrzebujesz – powiedział.

Amicja miała pewne doświadczenie jako uzdrowicielka, a także kobieta, wiedziała więc, kiedy nadchodzi czas na spulchnienie poduszki i powrót do rzeczywistości.

Lorda Wimarka ulokowano w komnacie Helewizy. Zapach olbrzyma zelał, choć jeszcze przez wiele dni miał drapać ludzi w gardłach. Helewiza odszpuntowała beczułkę cydru i wszyscy dostali po trochu, Stara Gwynn przyniosła skórzany bukłak wina, które wszyscy chciwie pili, a Mag Hastings częstowała ich świeżym chlebem.

W końcu podniecenie opadło. Helewiza dopilnowała, żeby jej córka poszła do łóżka ze swoją przyjaciółką Jen, a nie z którymś giermkim – w zasadzie nie sądziła, że Filippa zrobiłaby coś takiego, ale musiała być pewna – po czym po raz kolejny wyszorowała stół i pomogła Starej Gwynn posprzątać kuchnię, gdzie mężczyźni nachlapali wodą. Amicja zasnęła na ławie w sieni i Helewiza okryła ją grubym wełnianym kocem. Stała na środku sieni i słuchała ciszy. Gwynn rozciągnęła bezzębne usta w uśmiechu i z trudem weszła po schodach na poddasze, gdzie miała małą izbę.

Helewiza stała niezdecydowana przez dość długi czas. W końcu zrozumiała, że nie jest sama, i poczuła jego ręce na talii.

– Myślę, że przez cały czas powinnaś się tak ubierać – wyszeptał do jej ucha.

– Johnie Crayfordzie, jeśli poczuję na tobie smród olbrzyma... – wymruczała. Kiedy spróbował ją pocałować, wyśliznęła mu się z ramion, ale chwyciła go za rękę i pociągnęła na dziedziniec. – Gdzie twój giermek? – zapytała.

– W stróżówce – wydyszał do jej ucha. – Stodołę zachowałem dla siebie.

Zarzuciła mu rękę na szyję.

– Było źle? – zapytała.

– Teraz jest lepiej – odparł. Wziął ją na ręce i zaniósł do stodoły.

Ojciec Arnaud siedział w sieni i sącył wino z kubka. Drżały mu ręce.

Siostra Amicja podeszła i usiadła przy nim.

– Mogę pomóc?

Uśmiechnął się do niej.

– Ty jesteś słynną *Souer Sauvage*? – Wstał i się uklonił. – Nikt mi nie powiedział, że jesteś taka ładna.

– A ty na pewno jesteś księdzem? – Uśmiechnęła się i musiał odpowiedzieć uśmiechem.

Napił się wina.

– Jestem dobry w zabijaniu potworów. Wybacz mi, *ma soeur*. Przechodzę kryzys wiary. – Odwrócił głowę. – Do licha, dlaczego ci to powiedziałem?

Wzruszyła ramionami.

– Ludzie mówią mi takie rzeczy przez cały czas. Przypuszczam, że łatwo się ze mną rozmawia, bo jestem ładna i tak dalej. – Usiadła naprzeciwko niego, wzięła czyjś kubek i nalała do niego wina. – Sama bez przerwy przechodzę kryzys wiary, więc ci w tym nie pomogę.

Usiadł.

– Mógłbym dowodzić, że skoro często doświadczasz kryzysów wiary, równie często musisz je przewycięzać, więc tym samym jesteś moją najlepszą przewodniczką. – Odwrócił wzrok.

– O co chodzi? – zapytała.

– Nie mogłem uzdrawiać. Nie byłem w stanie, ponieważ... – Urwał i znowu uciekł spojrzeniem.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Rycerz płakał, a Amicja wiedziała, że nie należy mu przeszkadzać. Zmówiła modlitwę i podała mu skromną białą chusteczkę.

Osuszył oczy.

– Przepraszam – mruknął. – Nie chcę być mazgajem. Jestem po prostu zmęczony porażką.

Patrzyła na niego, czekając, słuchając.

Zaskoczył ją, spoglądając na nią z lekko kpiącym uśmiechem.

– A ty, *ma soeur*? Skąd twój kryzys wiary?

Wzruszyła ramionami. Nie była zainteresowana dyskusją ani spowiedzią; znała swój grzech i mówienie o tym tylko by sprawiło, że poczułaby się bardziej bezbronna.

Z drugiej strony on się jej zwierzył.

– Jestem zakochana – wyznała. Samo wypowiedzenie tych słów sprawiło, że przebiegł ją dreszcz, jakby dotknęła relikwii.

Jego uśmiech się wyostrzył.

– Ach... miłość. – Dopił wino i ręce mu zadrżały.

Nie mogłaby powiedzieć, czy w jego głosie brzmiała gorycz.

– Ktoś pytał, czy zabiliście olbrzymów?

– Tak. Oba nie żyją. Dwa stworzenia boskie, niewinne jak niemowlęta, a my je zabiliśmy. – Uniósł wzrok.

Przez chwilę jego spojrzenie było puste i twarde, później złagodniało. Zakonnik skrzywił usta w osobliwym tiku.

– Ha, za dużo mówię. Zwolnij mnie ze ślubów milczenia, a będę gadać jak najęty.

Wstała i się przeciągnęła.



– Dla mnie nie wyglądasz na szczególnie gadatliwego, panie księże. Chyba jestem zbyt zmęczona, żeby pić więcej wina.

– Kim on jest? – zapytał. – Ten, kogo kochasz?

Pokręciła głową.

– Nieważne. Nie ma go tutaj, więc nie mogę zbłądzić. – Była całkiem dumna z tego, jak lekko zabrzmiał jej głos.

– Zakochałem się w pewnej damie. – Ojciec Arnaud spojrzał jej w oczy. – Zniszczyłem jej życie. Byłem dumny i próżny, ale nasza miłość była darem od Boga. Nawet teraz nie jestem pewien, czy tego żałuję. – Zakręcił winem w kubku. – Czy to nie jest ciekawe, że Bóg może mi odebrać moc uzdrawiania, lecz moja silna prawica wciąż może zabijać? Pomimo mojego grzechu?

Usiadła z łoskotem.

– Na razie sprawiasz wrażenie kogoś, komu bardziej zależy na tym, żeby zostać romantycznym bohaterem pieśni trubadura niż dobrym człowiekiem. Pomimo to ręczę, panie księże, że jedynym, co stoi pomiędzy tobą i uzdrawianiem, jesteś ty sam.

Siedzieli przez chwilę, gniewnie mierząc się wzrokiem.

Ojciec Arnaud pokręcił głową, znowu krzywiąc usta.

– Czasami nasze życie przypomina najlepsze pieśni trubadurów. Właśnie dlatego je kochamy, czyż nie? A jednak... jednak słyszę prawdę w twoich słowach i budzisz we mnie złość, i to jest dobre. Brałem pod uwagę, że we mnie tkwi przyczyna ograniczenia w używaniu mocy, jak swego rodzaju utrata pamięci. Ale nie mogę znaleźć źródła.

Wyciągnęła rękę.

– Daj mi spojrzeć – poprosiła.

Pokręcił głową.

– Nie, wybacz mi, *ma soeur*, jesteś dla mnie zbyt potężna. Pójdę i wypełnię mój obowiązek. I może Bóg i ja znowu zostaniemy przyjaciółmi. – Wstał. – Najgorsza w miłości jest zmiana nawyków, wiesz o tym? Przez lata żyjesz w celibacie, a potem wszystko staje do góry nogami. Widzę cię jako kobietę, nie siostrę zakonną. Wszędzie wokół widzę kobiety.

– To niezupełnie przekleństwo – powiedziała. – Może byłoby lepiej, gdyby nasz zakon mieszkał i modlił się z waszym?

Roześmiał się.

– Z pewnością odmieniłoby to nasze klasztory.

Skrzyżowała ręce na piersi.

– Zmarłam. Dobrej nocy, ojczy.

Odprowadził ją wzrokiem, gdy wchodziła po schodach, po czym nalał sobie kubek wina, zmówił różaniec i zapłakał.

Nazajutrz, kiedy ranni wracali do zdrowia, a martwi zostali pochowani, ksiądz przygotował się do wyjazdu.

Crayford go uściskał.

– Jesteś niezrównanym rycerzem, ojczy – powiedział. – Szkoda, że nie zostajesz. Dokąd zmierzasz?

Ojciec Arnaud miał buty z cholewami, ostrogi, a na ramieniu ciepłą pelerynę. Ukłonił się dziedziczce Middlehill.

– Dziękuję za gościnę, pani.

Dygnęła.

– Mogę cię prosić, ojczy, o błogosławieństwo? – zapytała.

– Nie potrzebujesz innego błogosławieństwa poza obecnością siostry Amicji – rzekł w odpowiedzi, ale wyciągnął rękę i pobłogosławił Helewizę, jej córkę i cały dwór.

– Dokąd się wybierasz? – Ser John powtórzył pytanie.

– Za góry, do Morei – odparł ksiądz. – Mam zostać kapelanem Czerwonego Rycerza. – Powiedział to dość lekkim tonem, lecz czoło ser Johna pociemniało, a zakonnica uniosła rękę do szyi. Pierścień na jej palcu błysnął w jesiennym słońcu. – Wnoszę, że potrzebuje kapelana. Może nawet zdołam go zmienić na lepsze.

Ser John pokręcił głową.

– Wątpię. Jak na żółtodzioba z wyższych sfer jest doskonałym żołnierzem. Ani trochę nie gorszym niż każdy inny najemnik. Szkoda tylko, że pod koniec wiosny zabrał mi najlepszych zbrojnych, a teraz zabiera i ciebie. Mimo wszystko przekaz mu ode mnie wyrazy szacunku.

Siostra Amicja zakasłała.

– I moje pozdrowienia, ojczy.

– Znasz go, jak mniemam – powiedział ksiądz. Wskoczył na konia.

Skinęła głową.

– Tak.

Po odjeździe ojca Arnauda pomyślała: Oto człowiek, który uważa mnie za świątobliwą hipokrytkę. I który jest inteligentny, co może przysporzyć mu kłopotów. Świetnie się dogadają.

Westchnęła, zdusiła swoje żale i zabrała się do pracy.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY



Thorn

### **Zamek Ticondaga – Ghause Muriel**

Ghause od młodych lat nie poświęciła na zbieranie materiałów tyle czasu co teraz, w kółko czytając książki matki i babcią księgę wiedzy tajemnej. Dni robiły się coraz krótsze i wilgotniejsze, miecz coraz ciężej karał Zamurzan, gdy jej mąż próbował narzucić Huranom pokój na swoich warunkach, a ona czytała i czytała. W końcu przystąpiła do pracy nad jednym z najbardziej skomplikowanych czarów, jakie kiedykolwiek zaprojektowała.

Zaczęła od misternych *diagramata*, które wyrysowała srebrnym ołówkiem na łupkowej podłodze swojej pracowni w wieży, wysoko nad kamiennymi płytami zamkowego dziedzińca. Praca była tak trudna, że wymagała używa-

nia tego, czego zwykle się wystrzegała. Nie cierpiała badań i diagramów, woląc nadrabiać jedno i drugie prostą mocą – mocą, którą miała od urodzenia.

Ale to nie była kwestia mocy. To była kwestia subtelności.

Miała zamiar odkryć, jak małżonka króla zdołała przełamać klątwę. Zabiegi, jakich to wymagało, między innymi czary śledcze, które miały wędrować w czasie, odbiegały od jej stylu tak bardzo, że bała się nawet spróbować, i dwa razy wezwała demony, żeby wypytać je o to, jak w taki sposób manipulują eterem.

Była to żmudna, drobiazgowa praca. Uważała, że znacznie bardziej ekscytujące jest wzywanie demonów, nawet w zimnie – praca na golasa w jesiennym zamku wiązała się z ryzykiem.

Innego rodzaju ryzyko wiązało się z tym, że skupienie na zadaniu mogło ją zaślepić na inne prawdy. Umieściła pieczęć na Richardzie Plangere, głównie po to, żeby jej przypominała o pilniejszej obserwacji, gdyby zbyt szybko przenosił się z miejsca na miejsce.

Opieczętowała swojego przebywającego daleko syna Gawina; zrobiła to trzy razy w ciągu trzech dni i zobaczyła, że każdego dnia jej czary się rozpraszają.

– Gabrieli – powiedziała głośno, ale nie drażyła sprawy.

Czwartego dnia mąż przysłał po nią Eneasza. Dobrze wychowany młodzieniec pukał i pokasływał, dobrze wiedząc, co matka może robić po drugiej stronie zamkniętych dębowych drzwi. Ghouse włożyła podbitą gronostajami szatę i rzuciła drobny czar na podłogę, żeby chronić i ukryć swoje znaki, dopiero potem otworzyła drzwi.

– Tak? – zapytała, opierając się o futrynę.

Eneasza się uklonił.

– Ojciec cię potrzebuje. Przybył cesarski oficer.

Skinęła głową i wsunęła stopy w jasnoczerwone skórzane pantofle. Za jej plecami szara ćma przefrunęła przez snop światła słonecznego i wylądowała w srebrnej lampie moreańskiej roboty wiszącej na ciężkim łańcuchu pośrodku pokoju.

Ćma przyciągnęła jej oko. Ghouse uniosła rękę i zabiła ją nitką zielonego światła. Śmierć owada stworzyła tęczowe spektrum drobin wirujących jak pyłki kurzu.

– Och, Richardzie! – krzyknęła z radością. – Nie przypuszczałam, że jesteś mną zainteresowany. – Skrzywiła usta w uśmiechu.

## Zamek N'gara – Bill Redmede

Redmede zbudził się w ramionach Bess, z jej głową na swoim ramieniu, i przypomniał sobie, jak w nocy spółkowali.

Ocknęła się, gdy poczuła, że się poruszył. Otworzyła oczy i usiadła.

– Niech mnie licho – mruknęła. Zadrzała naga pod kocami. Znalazła koszulę w skotłowanym posłaniu i szybko wciągnęła ją przez głowę. – Muszę się wysikać – mruknęła i odeszła, po drodze podciągając galoty.

Redmede zaczął rolować koce, walcząc z natłokiem sprzecznych emocji. Wilgotne powietrze zapowiadało deszcz. Ludzie muszą znaleźć jakieś schronienie, zanim nastanie zima, niezależnie od tego, jakie inne niespodzianki szykowała im Dzicz.

Do licha, dlaczego położył się z Bess?

Ciasno zwinął koce, znalazł rzemienie, które wieczorem rozwiązał w pośpiechu, i mocno je zadzierzgnął. Okręcił tobołek skórzanym pasem.

Dlaczego nie legł z nią wcześniej?

Pociągnął długi łyk wody z manierki i poszedł się odlać. Zachodził w głowę, gdzie się podział irk.

Odwrócił się i pobiegł na środek obozu – tyle że tak naprawdę to wcale nie był obóz, ledwie garść niedobitków skupionych wokół dużego ogniska. Nieliczni byli uzbrojeni, większość po prostu stała w gromadzie.

Redmede zaczął wydawać rozkazy. Ludzie posłusznie zebrali chrust, rozpalili ogniska, zrolowali koce. Zajęli się czyszczeniem broni, jakkolwiek posiadali. Po wczorajszej walce zostało żałośnie mało strzał.

Nat Tyler splunął.

– Jesteśmy niemal wykończeni, Bill – powiedział konwersacyjnym tonem.

Bill podrapał się po brodzie, którą zdążył wyhodować w ciągu kilku tygodni.

– Wiem. Potrzebujemy żywności i jakiegoś umocnionego miejsca, żeby przezimować.

– Mogę zapewnić jedno i drugie, tak. Dla sprzymierzeńców. – Irk wyrósł przy nich nagle jak gdyby spod ziemi. Górował nad nimi, siedząc na grzbiecie rosnącego jelenia o złotym porożu i złotych kopytach.

Redmede cofnął się o krok.

– Ty...

– Przyszli po mnie moi ludzie, człowieku. Ale wiedz, że nie zapominam o przysługach. Nigdy. Chodź, zapraszam cię na ucztę w moich salach, zapra-

szam z całego serca.

Redmede próbował sobie przypomnieć, co słyszał o tym baśniowym ludzie i jego obyczajach. Wszystko uleciało mu z głowy, gdy spojrzał w starożytne oczy irka. Odwrócił się w stronę Tylera.

Tyler pogwizdywał bezgłośnie.

– A będziemy mogli odejść, Baśniowy Rycerzu?

– Tak. Masz na to moje słowo, człowieku.

Redmede popatrzył na Tylera.

– Życie wojenne nauczyło mnie nie ufać potężniejszym ode mnie.

Bess podeszła i zaskakująco elegancko dygnęła przed irkiem.

– Tapio! – zawołała z wyraźnym zadowoleniem.

W szarym świetle jesiennego poranka irk wyglądał jak bohater legendy. Był ubrany w elegancki czerwony tabard, z pasem wykutym ze złota z ogniwami w kształcie dzikich róż, każdy płatek pokrywała emalia, a pomiędzy nimi były osadzone klejnoty. Miał we włosach kwiaty, prawdziwe kwiaty, a ogromne niebieskie oczy rozjaśniały jego anielską twarz. Tylko wystające kły, szpiczaste uszy i zbyt długie palce zdradzały jego niehumaniczne pochodzenie.

– Baśniowy Rycerz zaoferował nam schronienie – powiedział Tyler do Bess, gdy się wyprostowała.

– W takim razie powinniśmy skorzystać z zaproszenia – stwierdziła. – Panie, czy pomożesz naszym rannym?

– Z największą przyjemnością, pani. – Irk się uklonił. Jeździł na wielkim jeleniu bez siodła i uzdy, z lancą i łukiem w wymyślnie zdobionych futerałach na jelenim zadzie.

Bess się uśmiechnęła.

– Bill myśli, że to może być pułapka – zaznaczył Tyler.

Redmede wzruszył ramionami.

– Nie ufam żadnym panom.

– Powinieneś posłuchać damy swojego serca – zaśpiewał irk. – Częstość to kobieta jest mądrzejsza. Moja nierzadko mnie powstrzymuje od zrobienia głupstwa.

Bill i Bess wymienili spojrzenia i w tej samej chwili głośno powiedzieli:

– Dama serca?

Bess się splonęła. Redmede zakasłał. Tyler poczerwieniał i splunął.

Redmede ściągnął usta, po czym jakby z wielkim bólem uklonił się irkowi.

– Pa... panie, jeśli pozwolisz nam odejść, kiedy tego zapagniemy, i pomo-

żesz naszym rannym, będę... – Odetchnął głęboko. – Będę ci wielce zobowiązany.

Wierzchowiec irka zrobił dwa bezgłośnie kroki w ich stronę.

– W Dzikim strach jest źródłem mądrości – powiedział irk. – Powinieneś być mądrzejszy i podchodzić z nieufnością nie do mnie, lecz do Głoga.

Redmede pokiwał głową.

– Masz rację.

Nazajutrz czuł się tak, jakby pół życia przeżył w zamku irka, i poznał źródło niektórych opowieści swojego brata i innych, snutych dzieciom przez matki.

Warownia irka w niczym nie przypominała zamku ludzi.

Wielki palec łądu wciskał się w wody ogromnego jeziora, a na tym palcu z kamienia i ziemi wśród skalnych kolumn, które na pierwszy rzut oka wydawały się tworem natury, rosły potężne drzewa, strzeliste jak wieżycy katedry. W lesie stały setki wigwamów, przypominających duże pęki chrustu zebrane i rzucone gdzie popadnie przez olbrzyma. Z daleka chaty wyglądały na prymitywne – ledwie sterty gałęzi – ale gałęzie były umiejętnie splecione z wiszącymi wewnątrz matami z trawy, a krzewy zostały rozmyślnie posadzone, więc każde domostwo było jedną rośliną, krzakiem albo drzewem. Najbardziej wewnętrzną warstwę tworzyły grube kobierce ze starannie sfilcowanej owczej wełny – owce i kozy swobodnie wędrowały po zasłanej igliwem ziemi, szukając polan, żeby szczypać trawę. Większość chat stała na nagiej skale i w każdej znajdowało się kamienne palenisko. Niektóre z nich miały kominy, jak ludzkie domostwa, a inne tylko otwór do wypuszczania dymu. W każdym domu były starannie wykonane drzwi z naturalnego materiału, dopasowane do całości struktury i niekoniecznie proste. Właściwie w całej osadzie nie można by uświadczyc choć jednej linii, która biegłaby idealnie prosto.

Irkowie mieszkali w swoich chatach w wygodzie i rozleniwieniu, czego Bill im zazdrościł. Dogłądanie owiec i kóz było dla nich bardziej rozrywką niż pracą. Widział, jak grupami wychodzą z sadyby po ryż albo dziki miód, widział efekty ich starań – kubełek miodu, upolowaną łanię, kosz jarmużu. Patrzył, jak urządzają tańce.

Wyglądał przez okno w skalnej iglicy, która przypominała stołp – uznał, że iglice powstały wskutek naturalnej działalności wiatru, ale były wydrążone jak kopce termitów i równie zatłoczone. Tunele biegły we wszystkich kierunkach, w górę i na dół pod dziwnymi kątami, tworząc labirynt, który rzucił

wyzwanie jego zmysłowi orientacji w chwili, gdy musiał pójść do wychodka. Na szczęście stwierdził, że pod tym względem irkowie są podobni do ludzi i mają wygodki.

Dobrze znał drogę do wielkiej sali, która za każdym razem wystawiała na bezlitosną próbę jego poczucie czasu, ponieważ trwała tam wieczna uczta – irkowie przychodzili i wychodzili, jedli, bawili się, grali na swoich czarodziejskich harfach z dzikością, która nie pasowała do jego wyobrażeń o ich muzyce. Szybko wchodzili, szybko wychodzili, szybko mówili. Jego gospodarz siedział na krześle, które wyglądało na wykute z litego złota, i śmiał się, klaskał, rozmawiał to z jednym, to z drugim poddanym, i nigdy nie wyglądał na zmęczonego. I ani na chwilę nie wychodził z sali.

Podobnie zresztą jak jego małżonka, która miała twarz w kształcie heraldycznego serca, oczy duże i jasne jak srebrne korony, i włosy tak czerwone, że Redmede uznał, iż muszą być ufarbowane. Siedziała w zielonej sukni z długimi szerokimi rękawami, z brzegami w zaokrąglone ząbki jak dębowe liście, na przemian sprawiając wrażenie to dziecka, to przeorowsy.

Składał trzecią wizytę w Sali, bo nie mógł się powstrzymać, żeby tam nie wracać, kiedy odwróciła głowę i go zobaczyła. Jej oczy zrobiły się jeszcze większe, co mogło się wydawać prawie niemożliwe. Z jej ust popłynął niewyobrażalnie czysty ton, wysokie „c”, i małżonek na nią popatrzył.

Śpiewali razem jak trubadur i jego trefniś przez czas, jaki człowiekowi zajmuje zmówienie Ojciec Nasz, po czym władczyni uśmiechnęła się do Redmede'a, pokazując mnóstwo drobnych, szpiczastych zębów.

– Witaj, piękny nieznajomy – powiedziała śpiewnie.

## **Liwiapolis – Morgan Mortimir**

Po Dniu Pańskim Mortimir wrócił na zajęcia do Akademii w mieście, które szybko wracało do normalnego życia – tak szybko, że oblężenie, bitwa i pojmanie cesarza zaczęły się wydawać snem.

Niektóre rzeczy nie były snem.

W poniedziałek jedna z czterech sióstr zakonnych w grupie, z którą brał udział w zajęciach medycznych, dygnęła i uchyliła rąbka welonu.

– Kuzynka mi mówi, że pomogłeś ocalić księżniczkę – szepnęła. – Nie miałam o tym pojęcia... Jesteś taki młody.

Mortimir widział tylko jej usta, ładne, idealnie zwyczajne usta. Natychmiast wyśmiał sam siebie za fantazjowanie, że cztery zakonnice są wielkimi



pięknościami, które muszą ukrywać oblicza.

– Ty jesteś Komnena? – zapytał.

Zachichotała nerwowo.

– Tak.

Nie był to powód do układania romansu, lecz ani razu nie nazwała go Dżumą podczas trwającej pół dnia sekcji ramienia jakiegoś nędzarza.

Wieczorem wrócił do swojej gospody. Wynajmował tam izbę dwa razy większą niż ta, którą miał Derkensun, z pięknym kominkiem z osobnym zewnętrzny kominem, na moreańską modłę. Przez godzinę czytał Galeniusza i doszedł do wniosku, że niczego się nie nauczył. Postanowił napisać poemat o Komnencie i stwierdził, że nie ma nic do powiedzenia. Zabrał się do czytania wierszy po galijsku – w tym języku powstawała najlepsza poezja dworska – i tylko błędził myślami.

Lato zbliżało się do końca, ale do początku jesieni zostało trochę czasu. Dni były jeszcze długie, więc nie musiał rozpalać ognia. Znużony i samotny rozmyślał o tym, że ostatnie trzy dni otworzyły przed nim nowe perspektywy.

Przypasał miecz i wyszedł. Zobaczył furmanki ciągnące na wtorkowy targ i chwilę czekał, żeby przepuścić stado owiec pędzonych na targ mięsny, później usiadł na skraju Wielkiego Placu niedaleko pałacowej bramy i zagrał w szachy z nieznajomym, Maurem z Ifriqu'ya, który spuścił mu manto na koniec długiej partii. W niekrępującym milczeniu wypili kubek herbaty, później Maur poszedł spać, a Mortimir wrócił do gospody. Nie wydarzyło się nic ekscytującego. Zasypiając, zastanawiał się, czy osiągnął szczyt swojej egzystencji, mając zaledwie piętnaście i pół roku.

Nazajutrz wstał w bojowym nastroju i postanowił wybrać się do pałacu. Wpuszczono go, bo znał hasło, i uczestniczył w jutrzni z żołnierzami na zewnętrznym dziedzińcu. Giorgios Komnen uśmiechnął się i poklepał go po plecach.

– Dobrze, że do nas dołączyłeś, barbarzyńco, ale wiedz, że jeśli będziesz się tu kręcić, zapakuję cię w mundur.

Mortimir z uśmiechem rozłożył ręce.

– Przecież to byłoby cudowne.

– Czy nie studiujesz na uniwersytecie?

– Zgadza się, studiuje.

– W takim razie nie obowiązuje cię służba – powiedział Komnen. – Jesteś zbyt ważny. Nie powinieneś być na zajęciach?

– Nie wcześniej niż za godzinę – odparł Mortimir. – Nudziłem się.

Kommen pokiwał głową. Mortimir dotychczas nie miał tak światowego przystojnego – i starszego – przyjaciela i rozmowa z nim wlewała mu balsam do duszy.

– W takim razie zanieś liścik do mojej narzeczonej – poprosił Komnen i skinął na służącego, żeby przyniósł mu papier. – Z dnia na dzień zostałem oficerem – wyjaśnił. – Proszę, zanieś to mojej miłej i nie próbuj mi jej odbić, barbarzyńco.

Mortimir zastał Annę przy bramie.

– Słyszałam, że tu jesteś – powiedziała. – Pałac wydaje się olbrzymi, ale w rzeczywistości jest tylko rozplotkowanym miasteczkiem. Przyniesiesz moje ubrania i rzeczy z gospody? Zamieszkać w koszarach. – Uśmiechnęła się do niego. – Jestem pewna, że Harald chciałby ci podziękować za sprowadzenie lekarza.

W ciągu dwóch dni Mortimir przeżył tyle przygód, że w porównaniu z nimi znalezienie jahaduckiego uczonego w środku nocy właściwie nie było żadnym wyczynem. W jahaduckiej dzielnicy znano doktora tak dobrze, że wystarczyła godzina, a znalazł się w pałacu.

– Zostaniesz tutaj? – zapytał.

Uśmiechnęła się.

– Nordykanie są bardzo bezpośredni. – Roześmiała się. – Ale zaczęłam ich lubić. I jestem tu mile widziana.

Zgodził się przynieść jej rzeczy i potruchtał na wykład z historii. Był spóźniony, ale czuł się znacznie szczęśliwszy. Na miejscu usłyszał, że zajęcia zostały przeniesione do Biblioteki Akademickiej, zbioru czterech tysięcy zwojów i książek pochodzących z czasów założenia cesarstwa w dalekim Rhumie. Znał bibliotekę jak własną kieszeń, więc prawie nie słuchał wykładu, dopóki nie zeszli do archiwów głęboko pod starą mównicą, gdzie czasami zbierał się senat.

Bibliotekarz postanowił ich zabrać do pokoju map i kiedy wyjął mapę okolic Chaluns w Arles, Mortimir wyostrzył zmysły.

– Sam Święty Aecjusz posługiwał się tą mapą! – oznajmił z szacunkiem bibliotekarz.

Umieścił kulkę niebiesko-białego światła nad środkiem arkusza. Kiedy zakonnice się pochyliły, żeby spojrzeć z bliska, uprzejmie przysunął im źródło światła, zostawiając Mortimira w cienistej frustracji.

Mortimir stworzył własne światło. W rogu mapy od swojej strony ujrzał piękną naturalistyczną iluminację przedstawiającą irka. Uśmiechał się, po-

wierząc miniaturę pamięci, i minęło trochę czasu, zanim zwrócił uwagę na panującą ciszę.

Wszyscy patrzyli na niego. Bibliotekarz ściągnął usta, raczył go nagrodzić lekkim skinieniem głowy i kąciaki jego warg uniosły się o szerokość włosa.

– Och – mruknął Mortimir. – Hm... No tak. – Wyszczrzył zęby w triumfalnym uśmiechu. Nawet nie pomyślał o zapaleniu światła. Nawet nie wszedł do swojego pałacu pamięci, żeby tego dokonać.

Antonio Baldesce, wenikanin z jego grupy, zaprosił go na wino. Nie było to epokowe wydarzenie i Mortimir wiedział, że jest za młody, żeby być dobrym kompanem, ale Baldesce zachowywał się przyjaźnie, ani trochę nie protekcjonalnie.

– Znasz Abrahama Ben Rabbiego? – zapytał.

Morgan wzruszył ramionami.

– Poznałem go przez przyjaciela.

– I poznałeś nowego najemnika?

– Niezupełnie poznałem – odparł Morgan. – Spał, kiedy tam byłem. Nie zostałem mu przedstawiony. Nikomu. – Przypomniawszy sobie starszą kobietę, która niczym pochodnia płonęła surową *potentia*. Ten widok miał mu towarzyszyć do grobowej deski.

– Nie ufaj staremu, tyle ci powiem. Jahaduci są niewiarygodnie sprzedajni. Większość z nich potajemnie służy Dzikczy. – Baldesce pokiwał głową. – Powiesz mi, gdy znów będziesz szedł do pałacu? Chcę przesłać wiadomość przyjacielowi.

Podczas tego pierwszego towarzyskiego spotkania z „przyjacielem” z Akademii Morgan rozmyślał o Baldescem, który nigdy dotąd nie był dla niego szczególnie miły, a teraz najwyraźniej czegoś od niego chciał. Sługa przyniósł mu pelerynę, a Baldesce przystanął, żeby odpowiedzieć na hermetyczne wezwanie.

Mortimirowi przyszło na myśl, że może powinien pamiętać o wszystkich afrontach, które go spotkały ze strony kolegów. Na jego roku było ich dwudziestu siedmiu, wszyscy poważni studenci nauk hermetycznych, i żaden z nich wcześniej nie poświęcił mu odrobiny uwagi, z wyjątkiem wykpiwania jego porażek czy starań. Widział siebie ich oczami jako młodego, aroganckiego, nieudolnego barbarzyńcę, do tego stopnia, że ledwie dwa tygodnie temu zastanawiał się nad odebraniem sobie życia.

Dopił kubek wina i powiedział Baldescemu, że musi się zabrać do nauki. Starszy chłopak skinął głową i odprowadził go do drzwi.

– Mówią, że im później dochodzisz do mocy, tym będziesz potężniejszy – powiedział potomek wenikańskich bankierów.

Mortimir przyjrzał się jego twarzy, szukając oznak szyderstwa. Niczego takiego nie znalazł, więc się roześmiał.

– Skoro tak, spodziewam się być naprawdę bardzo potężny – zażartował. – Wciąż jestem w szoku – dodał szczerze.

Baldesce też się uśmiechnął.

– Musimy znowu wyskoczyć razem na wino – zaproponował.

Mortimir przypasał miecz i wyszedł w zapadającą ciemność. Przeszedł przez trzy place, zmierzając do gospody Derkensuna, żeby zabrać stamtąd rzeczy Anny i dopytać, czy Stella i jej mąż dostali zapłatę za żywność. Zgotowano mu tam gorące powitanie, przyjmując jak bohatera, i nie miał innego wyboru niż wypić trzy kubki wina. Po powrocie do swojej gospody lekko wstawiony padł na łóżko bez zdejmowania ubrania.

Nazajutrz rano miał zajęcia z retoryki i pamięci, dwa z najtrudniejszych przedmiotów. Jeśli potrzebował lekcji, a raczej korepetycji, retoryka była właśnie taką lekcją – jego niezdolność do manipulowania *ops* zmusiła go do ciężkiej pracy na zajęciach niezwiązanych bezpośrednio z hermetyzmem i jednym z nich była retoryka. Jednakże, zyskawszy bodaj minimalną władzę nad eterem, jak nigdy wcześniej rozumiał, dlaczego studiowanie logiki i gramatyki jest takie ważne.

– Jeśli będziesz słuchać jeszcze pilniej, wywieszysz język jak pies – odezwała się do niego jedna z zakonnicek.

Nie rozróżniał ich, ale jej poufały ton wskazywał, że jest kuzynką Komnena. Przy pasie miała przepyszny różaniec z lazurytu i kości słoniowej. Zadecydował, że wykorzysta fantazyjne paciorki, żeby nadać siostrze zakonne przezwiska – wyższą nazwał Lazurytem, a niższą Koralem.

Słuchał, jak mistrz gramatyk mówi dokładnie to samo, co mówił na każdych innych zajęciach, a jednak...

Przemyślał logikę argumentu gramatyka i zastosował ją do stworzenia światła, ale zamiast zwykłej kuli nad jego prawym ramieniem pojawił się idealny sześcian błękitno-białego blasku.

Mistrz gramatyk nie przerwał wykładu opartego głównie na listach licznych senatorów wczesnego cesarstwa. Jak miał w zwyczaju, pod koniec zajęć napisał na tablicy frywolny archaicki wiersz, ale zamiast zakręcić swoją długą szatą i sztywnym krokiem pomaszerować na obiad, wyciągnął ascetyczną rękę i chwycił Mortimira za ramię.

– Teraz zrób piramidę – powiedział.

Nie wiedząc, czy w podstawie powinien być czworokąt, czy trójkąt, Mortimir się zamotał i stworzył niekształtny bąbel. Unicestwił go i spróbował jeszcze raz, wyraźniej konstruując swój argument. Szło mu nielekkko, ponieważ nici argumentu należało zakorzenić w pałacu pamięci, który nie był taki, jaki powinien. Co więcej...

Ale zrobił piramidę światła.

– Teraz spraw, żeby zrobiła się czerwona – polecił gramatyk.

Mortimirowi wyszedł szokująco łososiowy róż.

– Tworzenie światła jest prawdziwym dziełem magicznym czy iluzją? – zapytał gramatyk.

Mortimir zobaczył, że kilkoro studentów przystanęło w pobliżu. Pytanie nie było skierowane wyłącznie do niego.

Dwie zakonnice uniosły ręce.

– Tak? – zachęcił je gramatyk.

– Oczywiście jest prawdziwym dziełem, bo przecież iluzoryczne światło nie dawałoby światła? – powiedziała ta, którą Mortimir uważał za Komnenę.

– To takie oczywiste? – zapytał gramatyk. Otworzył rękę i na jego dłoni zaśniła idealna perła. – Jest prawdziwym tworem czy iluzją?

– Iluzją – odparł Baldesce.

– Zgadza się, młody Antonio. Gdybym kosztem niewielkiego wysiłku mógł stworzyć idealną perłę, byłbym najbogatszym człowiekiem w mieście.

– Gramatyk uniół perłę.

– Ale chcąc sprawić, żeby iluzja spełniła swoje zadanie, trzeba sprawić, żeby naginała i emitowała światło, jakby naprawdę istniała. – Mortimir uniół rękę nad dłonią nauczyciela i rzeczywiście perła wyemitowała leciutki blask.

– Chwała Bogu, jeden z was zwraca uwagę – powiedział gramatyk. – Ty jesteś Mortimir, prawda? Roger?

– Morgan, maestro.

– Oczywiście. Barbarzyństwo na barbarzyństwie. Nie ma Świętego Morgana. – Gramatyk skrzywił kącik ust w uśmiechu. – Wreszcie doszedłeś do mocy, jak wnoszę?

– Chyba tak – odparł Mortimir.

– Nie ma czegoś takiego jak iluzja. Albo, przeciwnie, wszystko jest iluzją. – Maestro podniósł różdżkę i nagle wielki, rogaty demon stanął pośrodku pokoju.

Mortimir jeszcze nie widział tak wielkiego hermetycznego pokazu.

– Ale... nie widzę żadnej *ops*.

– Dobrze powiedziane. Czy ktoś inny przyzna to samo? – zapytał mistrz.

Odpowiedziało mu szuranie nogami.

– Oczywiście nie możecie. Ponieważ umieściłem całą sugestię wprost przed waszymi oczami. – Demon zniknął. – To niesłychanie trudna manipulacja, ale też niewykrywalna. Czego to dowodzi?

Zapadła długa, ciężka cisza.

– No tak. Sami to rozsądźcie. Mortimirze, musisz ciężiej pracować nad pamięcią.

– Tak, maestro. – Mortimir pokręcił głową, nadal widząc wizerunek demona „za oczami”, jak mawiał jego ojciec.

– Chyba go nienawidzę – powiedziała najmniejsza zakonnica.

– Po prostu nie lubisz ciężko myśleć – powiedziała najwyższa. – Dlaczego zrobiłeś swoje światło w kształcie sześcianu, panie Morganie?

Mortimir się uklonił.

– Dla zabawy, *demoselle*. – Próbował sobie wyobrazić, jak wygląda jej twarz. – Nagle zrozumiałem, do czego służy cała ta gramatyka.

Baldesce się roześmiał.

– Oświeć mnie!

– Używamy szyfru. Jestem pewien, że w Dziczy posługują się innym, ale my wykorzystujemy gramatykę do tworzenia struktury mocy. Zgadza się?

Inni studenci pokiwali głowami.

– Oczywiście. – Baldesce parsknął z odrobiną zwykłej kpiny.

– Ale w górnym archaicznym możemy układać zdania na wiele sposobów bez zmiany ich sensu... – Mortimirowi brakowało słów, żeby wyrazić swoją koncepcję.

– Tak – powiedział Baldesce.

– Jednocześnie możemy wypowiadać się z taką precyzją, że...

Baldesce klepnął się w czoło.

– Oczywiście. Musiałem tylko pomyśleć, żeby manipulować *ops* w formach tworzenia. Mówisz o poddawaniu maleńkim zmianom samej formy i napełnianiu jej mocą.

Wyższa zakonnica wyciągnęła rękę i stworzyła szkarłatną piramidę, z której biło silne czerwone światło.

Baldesce nie chciał być gorszy i zrobił większą.

Mniejsza zakonnica zrobiła bardzo małą i wszyscy troje wybuchli śmie-

chem. Byli jak dotąd najlepszymi studentami.

Mortimir obrócił logikę swojego argumentu i zaprezentował dwie piramidki.

Wszyscy nagrodzili go oklaskami.

W korytarzu wyższa zakonnica – Lazuryt – lekko pochyliła głowę.

– Jestem Eugenia.

– A ja Katerina – wymruczała Perła.

– Tancreda – przedstawiła się trzecia, którą Mortimir w zaciszu swoich myśli nazywał Koralem. Teraz, gdy naprawdę im się przyjrzał, dostrzegł inne odróżniające je znaki.

– Jestem Dżuma – powiedział z szerokim uśmiechem.

Wszystkie zachichotały.

Może jeszcze będę w tym dobry, pomyślał.

Mieli dwie godziny wolnego do rozpoczęcia zajęć pamięci. Poszli na drugą stronę placu do gospody pod gołym niebem, gdzie lubili stołować się studenci. Siedzieli przy stole, kiedy brama cesarska się otworzyła i wyjechało dwóch mężczyzn, obaj ubrani na czerwono.

Siostra Anna patrzyła na przejeżdżającego człowieka.

– Przystojny, jak powiedział Giorgos. To nowy najemnik. Obwołał się diukiem Tracji, ale oczywiście nie jest nim naprawdę.

Baldesce uniósł brew.

– Ja myślę, że jest. W zeszłym tygodniu pokonał byłego diuka. I mój ojciec żywi do niego czystą, niczym nieskażoną nienawiść.

Siostra Katerina pochyliła się nad stołem w mało elegancki sposób.

– Jedzie na uniwersytet! – krzyknęła.

– Dlaczego twój ojciec go nienawidzi? – zapytał Mortimir.

– Mój ojciec jest tutejszym podestą etruskich kupców. Wezwano go do pałacu i mu grożono, przynajmniej tak twierdzi. – Baldesce mówił z pełną robawieniem wyrozumiałością, z jaką synowie traktują swoich ojców.

– Jestem pewien, że patriarcha mu pokaże, gdzie jego miejsce – dodał. – Ale trzeba przyznać, że sprawia świetne wrażenie. Jest Albaninem, jak ty, Mortimirze.

Mortimir postanowił go polubić.

Pamięć była torturą. W ciągu pierwszych pięciu minut dowiedział się, że mistrz go ignorował, ponieważ nie miał dostępu do mocy. Teraz to się zmie-

niło i spodziewano się po nim, że nadrobi zaległości. Najlepiej pod koniec tych zajęć.

Tak się nie stało.

W ciągu dwóch godzin był wywoływany więcej razy niż od czasu rozpoczęcia studiów, dostawał dziwne figury geometryczne i inne obiekty pamięciowe do zmagazynowania w swoim pałacu, a następnie kazano mu je odtwarzać. Nie udawało mu się, był coraz bardziej czerwony i sfrustrowany, a jego porażki stawały się coraz bardziej spektakularne.

Mistrz pamięci był nieubłagany. Po zakończeniu zajęć zabrał go na stronę.

– Jestem zszokowany twoim niepowodzeniem w zapamiętaniu nawet najprostszej formy – powiedział.

Mortimir w bezpieczeństwie swojej głowy się zastanawiał, czy mógłby obrócić go w popiół. Zdecydowanie miał w sobie dość gniewu i frustracji, żeby zasilić naprawdę potężne czary.

– Popracuję... nad... moim... pałacem pamięci – wycedził przez zaciśnięte zęby.

Mistrz wzruszył ramionami.

– Rób, jak uważasz – odparł. Wyszedł z sali.

– Lubi to robić – skomentował Baldesce.

– Nigdy wcześniej mnie nie wybierał – poskarżył się Mortimir, bliski łez, nie chcąc płakać publicznie.

Słodki Jezu, mogę ogniem zabić człowieka, pomyślał, a nie daję sobie rady z kpiącym ze mnie maestrem.

– Wcześniej nie byłeś wart jego czasu. – Baldesce pokręcił głową. – Zaprosiłbym cię na wino, ale naprawdę uważam, że będzie lepiej, jeśli popracujesz nad swoją pamięcią. Sam bywałem celem jego uwagi i naprawdę jestem ci wdzięczny. Od początku roku nie miałem takich łatwych zajęć. Gdy raz się do ciebie przyczepił, łatwo ci nie odpuści. – Etrusk się uśmiechnął. – To wyłącznie twoja wina. Kiedy nie miałeś mocy, nikogo nie obchodziłeś.

Mortimir po chwili uznał, że starszy chłopak nie chciał go obrazić. Społeczna akceptacja koleżanek i kolegów ma swoją cenę – teraz będzie musiał zwracać uwagę na to, co mówią. Odcinał się od nich tak długo...

– Po krótkim namyśle postanowiłem, że zachowam mój dostęp do mocy i popracuję nad pamięcią – powiedział, jakby naprawdę brał pod uwagę pozbycie się mocy.

Baldesce poklepał go ze śmiechem po plecach.

Naprawdę umiem z nimi rozmawiać, pomyślał Mortimir.



– Idziesz dzisiaj do pałacu? – zapytał Baldesce. Było to niezręczne pytanie i jego twarz mówiła, że obaj to wiedzą.

Ale Mortimir zaczynał lubić starszego chłopaka, więc wzruszył ramionami.

– Chyba nie.

Mortimir wstąpił po rzeczy Anny i zniósł je do pałacu, gdzie czekał przez godzinę, ponieważ zmieniło się hasło. Przy bramie stał olbrzymi Gal z rękami na biodrach. Urażony i zły Mortimir mierzył się z nim wzrokiem.

– Kim jest ten paniczyk? – warknął wielki Gal do strażników. Mówił po albańsku, a strażnicy znali tylko archaicki.

Mortimir uznał, że występowanie w roli tłumacza mogłoby być głupie, więc się uklonił.

– Jestem Albaninem.

– Ha! – parsknął strażnik. Miał czarne włosy i koński nos. – Ja nie, mały człowieku. – Spojrzał na niego z góry. – Co cię sprowadza? Jesteś rajfurem? – Zmierzył wzrokiem naręcze kobiecych ubrań.

Mortimir rozważał, czy nie wybuchnąć gniewem.

– Nie – zaprzeczył ponuro. – Przyniosłem to dla przyjaciółki.

– No to dlaczego tu sterczysz?

– Znałem hasło, ale zostało zmienione, i teraz czekam, żeby moja przyjaciółka podeszła do bramy. – Mortimir się rozejrzał.

– A kto ci podał hasło? – zapytał wielkolud ze złośliwym uśmiechem.

– Ja – oznajmił Harald Derkensun. Najwyraźniej był wolny od służby, bo nosił zwyczajne ubranie, długą tunikę z fantazyjnym żołnierskim pasem, i krótki miecz. – Dostarczył nam żywność, zanim się zjawiliście i pokonaliście diuka. – Harald wyszczerzył zęby. – Zanim nowy diuk pokonał zdrajców – poprawił.

Ciemnowłosy olbrzym pokręcił głową.

– Ty jesteś wariatem, który zabił wszystkich zabójców i oczyścił tron – powiedział. – I znalazł doktora, który pomógł kapitanowi. To znaczy diukowi.

Harald rozłożył ręce.

– Miałem pomoc. – Uśmiechnął się. – I to ten młodzieniec sprowadził doktora.

Strażnik się uklonił.

– Ser Thomas, do usług. Jesteś na mojej liście osób „poza podejrzeniem”, podobnie jak twój przyjaciel. – Wyjął kartę do gry z sakiewki. – Nazwisko?

– Morgan Mortimir z Harndonu.

– Panie Harndonie, hasło to Parthenos, a odzew Atena. Twoje nazwisko trafi na listę w wartowni. – Skinął głową do obu mężczyzn i odszedł szybko, żeby zajrzeć na furmankę prowadzoną przez dwóch pałacowych ordynariuszy prosto z targu mięsnego.

– Dupek – mruknął Mortimir.

Harald pokręcił głową.

– Jestem odmiennego zdania. Zachował się uprzejmie, niczym ci nie groził. I dzięki tym najemnikom brama jest znacznie lepiej zabezpieczona. Już dwa razy złapali szpiegów. Myślę, że mało brakowało, a ciebie też by pojмали.

Za plecami Mortimira rudowłosy Albanin o bezzwględnym wyrazie twarzy powiedział:

– Zobaczmy, co przewozicie, chłopcze.

Młody cesarski goniec przetłumaczył jego słowa. Czterech ludzi zaczęło rozbierać wóz na części.

– Przyniosłem ubrania Anny – wyjaśnił Mortimir. Zdał sobie sprawę, że każdy, kto patrzył na jego tobołek spłowiałego jedwabiu, odgadł jego misję.

Harald zaprowadził go w ciepły mrok nordykańskich koszar, gdzie co rusz go potracali znacznie więksi mężczyźni, którzy, jak miał wrażenie, nie umieli ze sobą rozmawiać inaczej niż tylko wrzeszcząc na całe gardło. Po drodze zajrzał do kantyny, gdzie dwóch wielkoludów tarzało się po podłodze, zwartych na pozór w walce na śmierć i życie. W zdumieniu wodził wzrokiem po wspaniałych płaskorzeźbach rycerzy, smoków, wilków, irków, zdobiących każdą belkę i każdą inną drewnianą powierzchnię.

Anna siedziała na łóżku, czytając w świetle wpadającym przez umieszczone wysoko dwa oszklone okna. Gdy tylko zobaczyła gościa, skoczyła na równe nogi.

– Ubrania!

Przybiegła do Mortimira i obdarzyła go takim pocałunkiem, że poczerwieniał po koniuszki palców. Pocałunek Anny nie był niewinny. Nawet cmoknięcie w policzek wyrażało obietnicę.

Przekazał jej wszystkie nowinki – nowy diuk Tracji przeniósł stały garnizon do starej stoczni w porcie wojennym, zamierza budować tam statki, oboście odwiedził uniwersytet...

– Jest tylko barbarzyńcą – skwitowała Anna. – Niczego nie zmieni.

W piątek nie miał zajęć, więc poszedł do świątyni Ateny, żeby popracować nad swoim pałacem pamięci. Chodził wśród ruin, później zaczął szkicować, rysując każdą kolumnę pod różnymi kątami. Pracował przez cały dzień, wypełniając sześćdziesiąt arkuszy ciężkiego papirusu wykonanymi węglem szkicami, które nie były zbyt dobre, ale miały pomóc pamięci. Miał wrażenie, że sam akt rysowania poprawił jego mentalny obraz pałacu.

Rysownie chyba nie przeszkadzało mężczyźnie w średnim wieku, który siedział oparty plecami o wysuniętą najdalej na wschód kolumnę, patrząc na stary port. Ze świątyni Ateny roztaczał się idealny widok na zatokę świątynię wzniesiono na akropolu, który, jak powiedział nauczyciel historii, pochodził z czasów sprzed przybycia Archaików.

– Napijesz się cydru? – zapytał Mortimir.

– Uwielbiam cydr – powiedział nieznajomy. Wstał, otrzepał zieloną szatę. – Stefan – przedstawił się. Wychylił kubek jabłecznika i poczęstował Mortimira porządną pajdą chleba, po czym wrócił do swoich obserwacji.

Mortimir szkicował kapitel dziewiętnastej kolumny, kiedy zauważył, że mężczyzna sztywnieje jak pies myśliwski wystawiający zwierzynę.

Spojrzał w tę samą stronę i ujrzał zbliżające się dwie linie galer z płynącymi pomiędzy nimi trzema wysokimi kogami.

Nie wierzył własnym oczom, a może raczej był zaskoczony, że ma taki dobry widok. Inni studenci, zwłaszcza Baldesce, zapowiadali atak Etrusków, lecz rzeczywistość przerosła jego najśmielsze wyobrażenia.

Etruska eskadra kierowała się na stary arsenał floty w tempie rejsowym. Atak był niespieszny pomimo późnej pory dnia.

Z odległości kilkuset jardów trudno było zobaczyć, co właściwie się stało. Nagle pierwsza galera zeszła z kursu i następna ją staranowała – niezbyt mocno, ale na tyle, że Stefan się skrzywił.

Trzeci statek płynął dalej, prosto w lukę pomiędzy falochronami, które osłaniały wejście do starożytnego portu.

Nawet z daleka było widać w blasku zachodzącego słońca deszcz strzał wznoszących się jak punkciki czerwonego światła. Trzecia galera jakby wpała na niewidoczną przeszkodę.

Inne statki zawróciły, wszystkie, łącznie z dwiema pierwszymi galerami i kogami, które zmagaly się z prądem w cieśninie i skręcały w żółwym tempie w prawo. Trzecia galera utknęła, jak się zdawało, i spadł na nią kolejny gęsty grad strzał. Mężczyzna, którego Mortimir poczęstował cydrem, zareagował głośnym jękiem na ten widok.

Gdy statek obracał się burtą do łuczników na murze, przypominał rannego wieloryba, wiosła tłukły wodę jak płetwy morskiej bestii. Nie mógł nabrać prędkości, żeby uciec przed bezlitosnymi strzałami.

Prąd zniósł go bliżej lądu.

Nagle coś go pochwyciło niczym ręka Boga i zaczęło nieubłaganie wciągać do portowego basenu. Mortimir stwierdził, że stoi z zaciśniętymi pięściami jak człowiek, który ogląda końcówkę wyścigu. Nawet nie wiedział, którą stronę popiera, chociaż gdy miał czas odetchnąć, zdecydował, że jest po stronie miasta i nowego diuka.

Żołnierze rzucili haki na etruską galerę i w ten sposób wciągali ją do portu. *Potentia* błyskała w eterze jak ogień i pioruny, i nawet będąc daleko, Mortimir wiedział, w którym momencie hermetyk na galerze został pokonany i umarł.

Ciemne strumyczki spłynęły przez otwarte szpigaty. Wioślarze umierali na ławach i krew ściekała po burtach statku. Jednak żaden dźwięk nie docierał stamtąd na starożytny akropol i Mortimir słyszał dziewczynę śpiewającą archaiczną piosenkę.

Jego towarzysz splunął ze złością.

– Idioci! – krzyknął, zabrał swoją sakwę pielgrzyma i odszedł, żwir chrzęścił pod jego butami. Kręcił głową, schodząc ze starożytnego wzgórza.

Mniej więcej w chwili, gdy mężczyzna w zielonym stroju zniknął w bramie miasta, Mortimirowi przyszło na myśl, że jego obecność tutaj była mocno podejrzana.

## **Tyrin, hrabstwo Arelat, południowo-wschodnia Galia – Clarissa de Sartre**

Niewiele rzeczy jest równie trudnych dla młodej dorosłej osoby, jak powrót do rodzinnego gniazda.

Clarissa de Sartre pochodziła z rodu dawnych królów Arelatu. Jej ojciec był jednym z największych panów gór, mając czterystu rycerzy na zawołanie i dziewięć wielkich zamków.

Nie sprawiło jej szczególnej przyjemności przejście przez bramę zimowej warowni w Tyrinie, który leżał we względnie ciepłej szerokiej górskiej dolinie Durii. Brama była wysoka na sześciu chłopa i okuta żelazem; droga wiodła do zamku przez masywny podwójny barbakan, który sąsiedzi hrabiego uważali za niezdojrzany.

Clarissa przewędrowała prawie sto lig, gdy późna jesień zaczęła ustępować wczesnej zimie. Dwa razy kulila się pod skalnymi nawisami bez ognia i jedną noc spędziła w obozie z mężczyznami, którym za grosz nie ufała, ale którzy nic jej nie zrobili, nawet starali się na nią nie patrzeć. Była brudna; nie zdjęła burej wełnianej sukni ani bielizny od czasu ucieczki z klasztoru. Jej oddech cuchnął pod skradzioną wełnianą chustą.

Była niemało dumna, że dotarła do domu cała i zdrowa, bez utraty czci. Kradła jedzenie i notowała miejsca, w których to robiła.

Żaden strażnik jej nie rozpoznał. Piero, jeden z ludzi ojca, od niechcenia poklepał ją po tyłku, sięgając do jej sakwy po pieniądze.

Popatrzył na nią bez złej woli w wodnistych niebieskich oczach.

– Dziewczyna ma parę innych możliwości – powiedział z uśmiechem, zionąc na nią czosnkiem.

Clarissa zdecydowała, że nadszedł kres udawania. Uniosła rękę. Za nią stali kupcy, więc miała publiczność.

– Nie sądzę, by hrabia to pochwalił – oznajmiła takim głosem, jakiego używała jej matka.

Piero zeszytniał.

– Jeśli zamierzasz utrudniać... – Pochylił się, nagle skupiając roztargnione spojrzenie. – Święty Maurycy! Na kuciapkę Przenajświętszej Pani, Giacopo! – krzyknął i uderzył w dzwon alarmowy.

Clarissa siedziała wśród dam swojej matki. Jej ojciec miał strój myśliwski – watowany, pikowany kaftan z jeleniej skóry, zapinane sprzążkami po bokach buty z cholewami po uda, natomiast matka była ubrana w damski odpowiednik: obcisły męski kaftan, któremu użyczyła swojej kobiecości, zawadiacki zielony kapelusz i długie spódnice. Nosila miecz, a hrabia miał długi nóż u pasa i bicz w rękach.

– Powiedzieli mi, że nie żyjesz. – Hrabia nie był słaby na umyśle, ale mówił te same słowa chyba po raz szósty.

Jego żona, Anna, uważnie mu się przyjrzała.

– Nie wypowiemy wojny królowi Galii, bez względu na to, że może być głupcem. – Była Etruską, kuzynką królowej Galii. Miała długi nos i władcze brwi, charakterystyczne cechy swojego rodu.

– Powiedzieli mi, że nie żyjesz – powtórzył hrabia.

– Proszę, tato, przestań to mówić – powiedziała Clarissa.

Nagle ukląkł przy jej krześle i wziął ją w ramiona.

– Jezus, Maria, mój mały jaskierku! Myśleliśmy, że nie żyjesz! Jesteś zdrowa i cała! To najlepsza wiadomość w moim życiu!

Czoło Anny pojaśniało. Objęła córkę i przez jakiś czas siedzieli razem, gdy damy wierciły się wokół nich. Na dziedzińcu czekały psy. Trzech miejscowych wielmożów, wszyscy ubrani na polowanie, nerwowo przestępowało z nogi na nogę w drzwiach głównej sali.

Anna uśmiechnęła się do męża, który zwykle był powściągliwy, ale teraz płakał jak dziecko.

– Kochanie, idź zając się psami – powiedziała.

Wstał i puścił rękę Clarissy.

– Oczywiście, kochanie. – Wziął chusteczkę od jednej z dam, otarł twarz i uśmiechnął się promiennie. – Chodźcie, panowie. Wybaczcie, nie co dzień wraca utracone dziecko.

Uklonił się, jego towarzysze zrobili to samo i razem wyszli na dziedziniec.

– Wyjść – poleciała Anna swoim damom.

Pierzchły zaraz po nalaniu grzanego wina z korzeniami i podaniu tac z przysmakami.

Anna usiadła na wyściełanym krześle i położyła nogi na stołku.

– No tak – mruknęła.

Clarissa spojrzała jej w oczy. Zawsze uwielbiała matkę, ale walczyły jak dzikie koty i między innymi z tego powodu ojciec, choć była jego oczkiem w głowie, wyprawił ją na dwór.

Anna pokręciła głową.

– Mam swoje przypuszczenia, moja droga. Wychowałam się na dworze. Ty jednak nie wydajesz się... zepsuta.

– Król próbował mnie zgwałcić – wyznała Clarissa. Głos jej się załamał na ostatnim słowie, lecz podjęła: – Wuj mnie uratował, ale potem odprawiono mnie z dworu.

Anna stanowczo pokiwała głową.

– Tyle wiem z tuzina listów od rzekomo pomocnych przyjaciół. – Prychnęła. – Twój ojciec nie pozwoli mi wysłać im trucizny.

Clarissa nie wiedziała, na ile wierzyć matce, która mówiła tak, jakby była żądnym krwi stworzeniem Dzikicy.

Anna się pochyliła.

– Powiedziano nam, że próbowałaś uwieść króla. – Ścisnęła dłoń córki. – Skarbie, jestem kobietą. Wiem, że takie rzeczy się zdarzają...

– Mamo! – Clarissa prawie wrzasnęła. – Grałam na lutni, a on rzucił mnie

na podłogę i wcisnął kolana pomiędzy moje nogi!

Anna się uśmiechnęła.

– Tak.

– Rozbił moją najlepszą...

– Jest królem, na dobre czy na złe. Dlaczego Galia, która powinna być najwspanialszym krajem na świecie, musi mieć głupców za królów... Ha, te sprawy były roztrząsane przez umysły tęzsze niż mój czy twój. – Znowu się pochyliła i pocałowała córkę. – Nie widzę cię jako wielkiej uwodzicielki, kochanie.

Clarissa mogłaby się zachnąć, ale tamto zdarzenie wciąż było dla niej tak wyraźne, tak dramatyczne, że zignorowała komentarz. Jej matka chyba uważała, że tylko ona, Anna z Soave, posiada umiejętność czarowania mężczyzn. Clarissa się uspokoiła. Matka próbuje być po mojej stronie.

Przyjmę to za dobrą monetę.

Uściska matkę i przez chwilę wisiła na jej szyi.

– Musimy szybko wydać cię za mąż – powiedziała Anna.

Wieczorem ojciec wezwał Clarissę. Siedział w głównej sali z tuzinem swoich rycerzy, grając w karty. Towarzyszyło im kilka kobiet, głównie żon, ale nie tylko. Ojciec nazywał takie spotkania „obozowymi wieczorami” i gdy je zwoływał, sala przemieniała się w obóz wojskowy, gdzie obowiązuje mniej sztywna etykieta i dominuje atmosfera męskości.

W chwili, gdy przestąpiła próg sali, poczuła napięcie – dziwny zapach, zwierzęcy piżmowy zapach.

Dygnęła. Ojciec siedział z ser Raimondem, swoją pierwszą kopią, i ser Jeanem de Chablais, swoim najlepszym przyjacielem i doradcą, jednym z najlepszych rycerzy w Galii. Catherine, żona Raimonda, uśmiechnęła się do niej.

– Chodź do mnie, maleństwo – powiedziała.

Wszyscy byli bardzo serdeczni. Catherine położyła rękę na jej ramieniu. Jean de Chablais ucałował jej doń.

Czuła ciepło ich serdeczności i było jej ono potrzebne.

– Zastanawiamy się nad wysłaniem wyzwania królowi – oznajmił ojciec.

De Chablais pokiwał głową.

– Panie, musisz to uczynić. Panno Clarisso, proszę o wybaczenie, ale jako przyjaciel twojego ojca muszę zapytać...

Clarissa zesztywniała.

– Pytaj.

– Król...

– Próbował mnie zniewolić – oznajmiła. – Aktowi zapobiegło tylko wejście mojego wuja.

De Chablais poczerwieniał, choć nie zaliczał się do miękkich i wstydlivych. Skłonił głowę.

– Wybacz mi, mademoiselle, samo zapytanie. – Do jej ojca powiedział: – Na Boga, jeśli nie wywiesz go w swoim imieniu, ja to uczynię.

Hrabia się wyprostował i złączył palce.

– Jean, wiesz, że to nie takie proste.

– Jest proste. Czasami jest proste. Obrona słabszych jest obowiązkiem rycerza. Wojna z silnymi, kiedy nadużywają władzy.

Ser Raimondo pokiwał głową, jego rude włosy lśniły w świetle ognia. Było w nich więcej siwizny, niż Clarissa pamiętała z czasu poprzedniego spotkania z rycerzem.

– Panie, musimy, bo inaczej inni pomyślą, że oszczerstwa są prawdą.

Hrabia zmarszczył brwi.

– A druga sprawa? – zapytał.

Catherine zeszywniała.

Clarissa pochyliła się nad stołem.

– Jaka druga sprawa? – zapytała.

Ser Raimondo się skrzywił.

– Matka ci nie powiedziała o drugim nieszczęściu, które spadło na naszą rodzinę?

Żona uniosła rękę.

– Nie! – poleciła, ale rycerz sięgnął po zmiętą płachtę na podłodze i odrzucił ją na bok.

Pod nią leżało coś koszmarnego – zęby, zielono-żółta nakrapiana skóra, krew i wnętrzności. Zapach, piżmowy zwierzęcy zapach wypełnił salę.

Clarissa pisnęła. Szybko się opanowała i zaklęła w duchu, bo gardziła piszczącymi kobietami.

– Co to? – zapytała.

Ojciec wskazał ilustrowany manuskrypt, który leżał na stole.

– Sądzymy, że irk – odparł.

## **Liwiapolis – Julas Kronmir**

Kronmir żył w ciągłym strachu. Mało brakowało, a zabiłby chłopaka w ru-



inach, ponieważ nie mógł się pozbyć wrażenia, że został przysłany na przespiegi, nawet kiedy stało się jasne, że interesuje go tylko szkicowanie starożytnej świątyni.

Kronmir był uczonym i cuda świątyni nie były mu obojętne, ale w tym czasie skupiał się na czymś innym. Powodzenie całego planu jego mocodawcy zależało od wywarcia przez Etrusków nacisku na pałac. Klął w duchu ich arogancką głupotę, gdy flota wpływała do kanału bez próby dywersji czy zaskoczenia i parła prosto na łańcuch, który najemnik rozpiął w wejściu do portu wojennego.

Dowiedział się o łańcuchu od pewnej ladaczniczki i przekupionego robotnika i zameldował o tym przed trzema dniami. I o planach cudzoziemskiego najemnika wobec Akademii i etruskich kupców, które przekazało mu dwóch informatorów w pałacu. I o kilku łucznicach, chętnych zdezerterować z kompanii, i o frakcji nordykańskich żołnierzy, którzy byli skłonni przejść na drugą stronę. I o swoich stratach – stracił czterech ludzi w ciągu dwóch dni, i swojego jedyne go hermetycznego zabójcę.

Kronmir był zawodowcem i umiał przewidzieć wynik etruskiego ataku na długo przed jego zakończeniem. Pokręcił głową.

– Czy to czuje Bóg, gdy patrzy, jak ludzie dopuszczają się grzechu? – zapytał gęstniejącą ciemność.

Miał jedną pociechę – nie zabił niewinnego chłopca szkicuującego ruiny. Wrócił do miasta, żeby napisać kolejny raport. Przekupiony robotnik ze stoczni prawdopodobnie nigdy więcej nie da znaku życia – będzie to ostania konsekwencja porażki Etrusków.

Może dziwka się odezwie.

## **Na północ od Wielkiej Rzeki – Czarny Rycerz**

Ser Hartmut Li Orguelleus stał na śródokręciu statku Olivera de Marche i patrzył, jak ziemia przesuwa się po obu stronach – lasy tak gęste i spokojne, że wydawały się święte. Czarny Rycerz miał na sobie pełną zbroję, jak zawsze. Teraz wszyscy żeglarze i żołnierze, a nawet chłopcy okrętowi, nosili skórzane pancerze i kolczugi.

– Wspaniały kraj – powiedział ser Hartmut. – Nie przypuszczałem. Wielki jak Ifriqu’ya? – zapytał kapitana.

De Marche pokręcił głową.

– Nie wiem. Etruskowie wysłali tuzin ekspedycji wokół północnych przy-

łódków i jeszcze więcej na południe. Tyle słyszałem od naszych rybaków, panie. Albo żadna z nich nie wróciła, albo trzymają brudne etruskie gęby na kłódkę, nie wyjawiając, czego się dowiedzieli.

Wczesna jesień ozłociła lasy, liście na brzozech i klonach żółkły i czerwieniały. Ciepły koloryt krajobrazu kłócił się z zimnym powietrzem. Ogromna rzeka płynęła po rozległej równinie zamkniętej w dali po obu brzegach przez wysokie wzgórza, więc żeglowali jakby w długim wąskim półmisku. Zachodni wiatr wydymał żagle i posuwali się tak szybko, że woda się pieniała pod dziobami.

– Jesteśmy blisko naszego portu? – zapytał Czarny Rycerz.

De Marche pokręcił głową.

– Nie wiem, panie. Tę wyprawę zaplanowano na podstawie informacji dostarczonych przez zdrajcę, Etruska szukającego schronienia po rodzinnej kłótni. Spodziewałem się, że popłynie z nami. Niestety zniknął, przypuszczalnie zamordowany.

Ser Hartmut pokiwał głową.

– Etruskie gildie mają bardzo długie ręce – skomentował.

– Nie będzie portu w ścisłym znaczeniu tego słowa – dodał de Marche. – Leśna polana i plaża, to najlepsze, czego się możemy spodziewać. Ale znaleźliśmy genueńskie statki. Ich zniszczenie oznacza, że będziemy pierwsi na rynku.

– Pal diabli handel. Przybyliśmy tutaj w znacznie szlachetniejszej sprawie – oznajmił ser Hartmut.

De Marche ostrożnie wciągnął powietrze.

– Tak, panie? – Rozmowa z ser Hartmutem zawsze była delikatną sprawą. Śmierć ulubionego giermka podczas walki z eeeague skazała kapitana na towarzystwo ser Hartmuta, który był posepnym, trudnym człowiekiem, i na pewno nie towarzyszem.

– Zajmiemy jeden z warownych zamków Alby – powiedział. – I poprowadzimy inwazję na Zamurzan.

De Marche zamrugał.

– Który zamek, panie?

– Ticondagę – odparł ser Hartmut. – Znasz go?

De Marche podrapał się po brodzie.

– To znacznie dalej na zachód, niż zaplanowałem podróżować. Jesteśmy prawie tak daleko, jak dotarłem podczas mojej ostatniej wyprawy. Według naszej mapy cesarstwa Ticondaga leży kolejne trzysta lig w górę Wielkiej

Rzeki. Rzeka codziennie się zwęża i wzrasta ryzyko ugrzęźnięcia na mieliźnie. Strata nawet jednego statku...

Ser Hartmut pokiwał głową.

– W takim razie uważaj. Możemy mieć nadzieję, że nam się uda, jedynie zachowując wszystkie statki i wszystkich żołnierzy.

De Marche dwukrotnie głęboko odetchnął.

– Panie, moi ludzie są żeglarzami, nie żołnierzami, spodziewamy się odpocząć i... – Ścisząc głos i tak, jakby mówił brzydkie słowo dziecku, dokończył: – handlować.

Ser Hartmut się uśmiechnął.

– Wiem. Ale twoi ludzie okazali się godni lepszego życia. Rozpoczniemy oblężenie Ticondagi.

De Marche ponownie głęboko zaczerpnął tchu.

– Panie, forteca ma sławę jednej z najpotężniejszych na świecie... zbudowali ją starożytni.

Ser Hartmut pokiwał głową.

– Tym większa chwała, kiedy ją zdobędziemy. Nie ma obawy, panie kupcze! Bóg da.

De Marche popatrzył na ser Hartmuta i jego myśli musiały mu się odbić na twarzy, bo Czarny Rycerz się uśmiechnął.

– Jesteś zaskoczony, że mówię o Bogu? Posłuchaj, panie kapitanie, jestem rycerzem. Zabijam wrogów mojego króla i mojej religii. Ludzie mnie nienawidzą, ponieważ w końcu zawsze dopinam swego. Potępiają moje metody, ponieważ są zazdrośni, słabi albo głupi. Wojna jest rzeźnią. Co z tego, że używam alchemii czy magii hermetycznej? Gdyby nawet sam szatan zaproponował mi pomoc... – Uśmiechnął się.

Naprawdę nie chcę w to wnikać, pomyślał De Marche. Ale ciekawość wzięła nad nim górę, jak zawsze.

– Pomoc szatana, żeby pomagać Bogu?

– Każda sprawa ma swojego zdrajcę – powiedział Czarny Rycerz. – Nawet szatańska. – Pokiwał głową.

Dziesięć dni żeglowali w górę rzeki i minęli dwa zamurzańskie „zamki” zbudowane na wysokich wzniesieniach, otoczone palisadami i gęsto splecionymi kolczastymi gałęziami. Marynarze pokrzykiwali do ładnych Zamurzanek na brzegach, a w nagrodę sypały się na nich strzały.

De Marche obserwował mijane osiedla z uczuciem podobnym do niez-

spokojonej żądzы marynarzy. Ale ser Hartmut miał list od króla, i choć de Marche był świadom, że został wykorzystany, postępował zgodnie z rozkazami.

Jedenastego dnia zaświtała nadzieja, że mimo wszystko pohandluje. Obniżył racje wszystkim ludziom, łącznie z oficerami i rycerzami, i skąpe posiłki sprawiły, że ser Hartmut wyszedł na pokład w przymilnym nastroju, jeśli coś takiego było możliwe u Czarnego Rycerza.

– Jeśli pozwolę ci pohandlować w jednym z tych skupisk barbarzyńskich chałup, czy dostaniemy lepsze jedzenie? – zapytał.

– Spodziewam się, że możemy zdobyć sarninę i kukurydzę, panie. Może nawet chleb. Ale musiałbym zasięgnąć języka. Handlowanie nigdy nie przebiega szybko. – De Marche całym sercem pragnął zejść ze statku, zbadać teren, spotkać się z ludźmi, znaleźć nowe trasy. Ale obrażanie ser Hartmuta równało się wyrokowi śmierci.

Czarny Rycerz przez jakiś czas patrzył nad dziobem.

– Dobrze. Zdobycie zaufania wieśniaków tylko ułatwi nam zadanie.

De Marche nie sądził, że ser Hartmut zdobędzie ich zaufanie, ale był chętny zobaczyć, jak próbuje. Kiedy przed południem dwunastego dnia na Wielkiej Rzece zobaczyli trzecie zamurzańskie miasto na dużej wyspie, zakotwiczył po zawietrznej i wezwał Lucjusza.

– Nie powinienes być w zbroi? – zapytał ser Hartmut. – Ze świtą? Z radością będę ci towarzyszyć.

De Marche pokręcił głową.

– Panie, proszę, żebyś w tej sprawie zdał się na mój rozum. Jeśli wystraszymy albo obrazimy tych ludzi, nie będą z nami handlować ani nie będą nam przyjaźni. Musimy iść do nich z podarkami, miłymi słowami i otwartymi rękoma.

Ser Hartmut popatrzył nad burtą na miasto.

– Możemy wziąć je szturmem – powiedział. – Jeśli nie powiedzie się w Ticondadze, to miejsce byłoby dobrą bazą dla króla.

De Marche chrząknął.

– Jestem pewien, że moglibyśmy je zdobyć, panie. Jednak nie mam pewności, czy zdołalibyśmy je utrzymać. Może nie w pełni wyjaśniłem, że tak jak każda posiadłość w Galii jest częścią większej domeny większego pana, tak większość Zamurzan jest wasalami panów Dżiczy.

– Masz na myśli demony z piekła? – zapytał Czarny Rycerz. Światło zabłysło mu w oczach i ręka sama powędrowała do miecza.

De Marche podchwycił spojrzenie Lucjusza.  
– Niezupełnie – odparł.

Powiosłowali sami w małej szalupie. Gdy znaleźli się w sporej odległości od statku, Lucjusz zagadnął:

– Kiedy mu powiedziałeś, że twój etruski informator nie żyje...

De Marche stęknął i pociągnął wiosłem. Rzeka była spieniona i wiosłowali pod wiatr. Na plażę wyległo kilkunastu Zamurzan. Dwóch miało długie szaty z wiewiórek, oznaczające arystokratów, i wymyślne nakrycia głowy, takie jak korony. Ale wyciąganie wniosków nie było bezpieczne. Każdy wolny Huranin mógł nosić *gustaweh*. Były to niezupełnie korony.

– Lucjuszu, czy będziesz zaskoczony, jeśli ci powiem, że ser Hartmutowi i mnie przyświecają różne cele podczas tej wyprawy? – zapytał.

Lucjusz odwrócił wzrok.

– On budzi przerażenie.

– Gdyby wiedział tyle, ile wiesz ty, obawiam się, że byłby... – Urwał.

Na plaży było już ponad pięćdziesięciu ludzi. Niektórzy mieli włócznie ze stalowymi grotami.

Lucjusz pokiwał głową.

– Północni Huranowie należą do najpotężniejszych plemion. Jeśli nasza flota zawiodła tego lata, w każdym długim domu będą bele futer na sprzedaż. Na łagodnego Chrystusa, spójrz na nich!

Byli trzysta jardów od brzegu, gdzie czekało na nich już tysiąc Zamurzan.

Gdy dobili, chętne ręce chwyciły za burty i wyciągnęły łódź wysoko na plażę, więc wydawało się, że płyną po ziemi jak wcześniej po falach. Kiedy de Marche wysiadł, rzuciła się na niego niemal setka mężczyzn i tyle samo kobiet, głównie starszych, w futrach naszytych koralikami i barwionymi igłami jeżozwierzy. Wszyscy go obściskiwali, poszczypywali i poszturchiwali.

Lucjusz, który całkiem niezłe mówił po hurańsku, został natychmiast otoczony przez przywódców, dwunastu mężczyzn i cztery kobiety. De Marche przedał się do boku Etruska.

– Ci barbarzyńscy złodzieje ukradli mój sztylet – poskarżył się.

Lucjusz się uśmiechnął.

– Mówiłem, żebyś nie zabierał noża. Uspokój się. Twój sztylet to niska cena za ich miłość. Jak myślałem, w tym roku nie było tu etruskiej floty. Jedwabiarze, które zabiły genueńczyków, pozbawiły tych ludzi możliwości wymiany towarów. Toczą wojnę ze swoimi południowymi kuzynami i nie

mają bełtów do kusz ani zbroi... Dezontariusz właśnie mi powiedział, że zamierzali zawrzeć pokój, ale nasze przybycie pozwoli im kontynuować wojnę.

De Marche wydał policzki i westchnął.

– Wydaje się, że cały świat prowadzi wojnę – mruknął.

Lucjusz wydał się jakby wyższy i bardziej władczy.

– Na Boga, zmiążdżę moich kuzynów – powiedział. – Cały handel należy do nas, to wola boska. Będziemy bogaci!

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY



Sauce

### **Kraj Kabaczka – Ota Qwan**

Marsz przez Dzicz był szybki i sprawiał, że podróż wyglądała na łatwą.

Codziennie widywali Crannogów. Olbrzymy nie poruszały się ostrożnie – pozostawiały za sobą spustoszenia bez względu na to, którądy szły, czy przez las, czy przez moczary, czy skrajem szlaku, jakby chciały unicestwić rośliny i skały tak samo, jak zabijały zwierzęta i stworzenia Dziczy. Ota Qwan szeroko rozsyłał najlepszych tropicieli i przerzucał swoich ludzi z jednej kryjówki do drugiej z rozważną precyzją żołnierza.

Wieczorem trzeciego dnia Ta-se-ho pokręcił głową.

– Nigdy nie widziałem tylu Ruków – oznajmił. – Coś wykopało ich z

gniazda.

Posuwali się powoli z powodu ciężkich, lepkich i nieporęcznych kubeków, które wojownicy nieśli na długich nosidłach. Silny mężczyzna mógł nieść cztery kubki przez cały dzień, ale gdy tylko zostawili główne szlaki, wędrówka węższymi ścieżkami z ciężarem na ramionach zaczęła Nicie Qwanowi przypominać jego dni niewolnika w górach na wschód od Albinkirku.

W drodze do wioski dostrzegli dwudziestu olbrzymów. Reputacja Oty Qwana jako przywódcy osiągnęła nowe wyżyny. Wszyscy wrócili cali i zdrowi. Zebrali prawie pięćdziesiąt kubeków dzikiego miodu i nie stracili ani jednego podczas niebezpiecznej podróży powrotnej.

Uczucie triumfu natychmiast przeminęło, gdy tylko weszli do wioski, w której panowała atmosfera zagrożenia. Rukowie zniszczyli dwie wsie we wschodnim zakątku terytoriów Sossagów. Zginęło tylko kilku ludzi – Ruków za bardzo bawiło sianie spustoszenia, żeby skupić uwagę na drobnej zwierzynie – ale ci, którzy przeżyli we wsi, zostali bez dachów nad głową, a strumyk uciekinierów groził skonsumowaniem wszelkich nadwyżek żywności, które Sossagowie zgromadzili po wiosnie spędzonej na wojnie.

Matrony spotkały się na naradzie i wezwały Rogatego, starego szamana, który znał wiedzę tej ziemi, a jego uczeń Gas-a-ho rozpuścił pogłoskę, że dopytywały o Świętą Wyspę.

– O co chodzi? – zapytał Nita Qwan żonę.

Rozejrzała się, jakby sprawdzając, czy ktoś może podsłuchać ich rozmowę.

– Nie powinnam wiedzieć, bo jeszcze nie jestem matroną – odparła i poklepała się po brzuchu. – Chociaż się spodziewam, że niedługo mój status się zmieni.

– „Nie powinnam wiedzieć” to nie to samo, co „nie wiem”.

Poruszyła palcami stóp.

– Na wschodzie, na rubieżach naszych i hurańskich terenów łowieckich, jest wyspa na morzu. Na wyspie jest góra, a na jej szczycie jezioro. Pośrodku jeziora jest wyspa. Jest święta dla wszystkich ludzi i stworzeń Dzikiej.

– Święta?

– Żadnej Potędze nie wolno jej zająć dla siebie – powiedziała i nie chciała dodać nic więcej.

Nazajutrz Nita Qwan zagadnął Gas-a-ho, gdy razem z Otą Qwanem naprawiali sieci. Młodzieniec, nadęty w poczuciu własnej ważności, powiedział:



– To sprawa dla szamana.

Reperowali sieci, ponieważ matrony postanowiły wysłać ludzi na jezioro, żeby złowili tyle ryb, ile tylko się da. Ryby zostaną zasypane solą i powiększą zapasy przygotowane na zimę. Kolejna grupa mężczyzn miała wyruszyć w lasy na północy i zachodzie, żeby polować na jelenie – i jednocześnie móc z wyprzedzeniem ostrzec wioskę przed ewentualnym atakiem Crannogów.

Po odejściu chłopaka Ota Qwan starannie zakończył pracę, z wprawą przewlekając nić z łyka. Uniósł wzrok.

– To Głóg – oznajmił.

– Tego nie możesz wiedzieć – rzucił z irytacją Nita Qwan. Wieczne poczucie wyższości Oty Qwana działało mu na nerwy, pomimo odnoszonych przez niego sukcesów.

– Teściowa powiedziała mojej żonie, a ona powtórzyła mnie – wyjaśnił Ota Qwan. – Głóg zagarnął miejsce mocy, o którego istnieniu nawet nie wiedziałem. – Wzruszył ramionami. – Nie spodziewałem się, że Dicz jest taka mała.

– Co zrobimy? – zapytał Nita Qwan. Głóg był dla niego bardziej imieniem niż zagrożeniem, chociaż rozumiał, że czarnoksiężnik był Potęgą stojącą za ich wiosenną kampanią. – Nie może nas zmusić do prowadzenia wojny zimą... czy może?

– W ciągu lat życia wśród Ludzi nauczyłem się jednego. Pozwalaj matronom decydować. Możesz wpływać na ich decyzje poprzez informacje, jakie im przekazujesz, ale później musisz się pogodzić z ich słowem.

– A ty? – zapytał Peter.

– Co ja? – zapytał Ota Qwan, odcinając zębami kawałek łyka.

– Czy wpływałeś na informacje przekazywane matronom? – Peter w zasadzie nie był pewien, dlaczego brat go rozzłościł, ale z chwili na chwilę robił się coraz bardziej zły.

Ota Qwan rozpostarł ręce.

– Nie rób ze mnie złego człowieka. Niedługo rozpęta się piekło. Olbrzymy dewastują wioski. Jeśli na nas uderzą, będziemy zimować w lasach, a wtedy umrze większość dzieci i starców. To nie jest moje zdanie. Tak wygląda prawda.

– Więc co zrobimy? Może porozmawiamy z Głogiem? To jego sprawa?  
Ota Qwan zmarszczył czoło.

– Matrony są innego zdania. Nie wiem, co myśleć.

Nita Qwan się uśmiechnął.

– Po raz pierwszy.

Ota Qwan pokręcił głową.

– Nie chcę się kłócić, bracie. Matrony uważają, że powinniśmy szukać sprzymierzeńców. Sprzymierzeńcy mogą nas wpędzić w kłopoty.

– A Huranowie? – zapytał Nita Qwan.

– Południowi Huranowie prowadzą wojnę z Północnymi. Nic nowego. Kto wie, kto zaczął? Południowi handlują z cesarstwem, a Północni z Etruskami. Toczą wojnę o futra bobrowe i miód. Matrony mówią, że Etruskowie nie przybyli w tym roku. – Wzruszył ramionami i usiadł. – Moja rodzina musiała obserwować takie wydarzenia i je rozumieć, kiedy byłem innym człowiekiem, z innym życiem. Dlaczego myślałem, że życie Sossagów będzie proste? Życie to życie!

Matrony debatowały przez trzy dni. Była to najdłuższa narada, jaką którakolwiek z nich pamiętała, i prace w wiosce ustały. Rozeszły się pogłoski, że zabiorą cały swój dobytek i przeniosą się w inne miejsce, dopóki olbrzymy nie odejdą, że urządzą wielką napaść na Huranów, żeby zdobyć zapasy żywności i niewolników, że wyślą emisariuszy do Głoga...

W końcu starsza matrona, Niebieski Nóż, najwyższa kobieta w wiosce, wezwała ich na radę.

– Głóg przeniósł się na Świętą Wyspę.

Rozejrzała się z chłodną godnością, która cechowała matrony we wszystkich poczynaniach. Krążyła plotka, że walczą jak wściekłe psy, kiedy są same, ale jeśli były jakieś szczeliny w ich jedności, nigdy nie okazywały tego reszcie Ludzi.

– Rogaty, nasz szaman, odprawił czary. Potwierdził, że Głóg przebywa na Świętej Wyspie i że to jego działania sprowadziły lud Crannogów na nasze ziemie.

Rozejrzała się, ale Peter miał wrażenie, że patrzy wyłącznie na niego.

– Brak nam siły, żeby walczyć z Głogiem bez sprzymierzeńców. Omówiliśmy wysłanie emisariuszy do Tapia Haltii do N'gary, omówiliśmy wysłanie emisariuszy do Mogan i jej ludu. Thurkhan, brat Mogan, rościł sobie prawo do tych ziem, ale poległ w walce z Głogiem i Głóg być może uznał, że jest tu nowym panem.

Znów powiodła wzrokiem po tłumie. Peter znowu się poczuł wyróżniony.

– Zależy nam na zakończeniu tego konfliktu. Zasięgnęliśmy rady u wojowników. Mówią, że śmierć każdego Ruka, którego zabijemy, nie zaszkodzi

Głogowi, ale my zapłacimy ludźmi. Mówią, że Głóg może sprowadzić ogień i śmierć w środku zimy, kiedy nawet mężczyźni w raketach śnieżnych niewiele mogą zrobić, żeby odpowiedzieć atakiem na atak. Tak więc Tadao podjął decyzję za wszystkich Ludzi: zignorować żądania Głoga i robić, co do nas należy. Myślał, że jesteśmy dość silni. Może bylibyśmy, gdyby Głóg nie postanowił zostać naszym sąsiadem. Teraz musimy znaleźć inną ścieżkę. Tadao nie żyje. Straciliśmy dwie wioski. Dlatego matrony postanowiły wysłać poselstwo do Głoga. – Ukłoniła się Ocie Qwanowi. – Wybrałyśmy naszego brata Otę Qwana, żeby poprowadził misję.

Ota Qwan wstał i odwzajemnił ukłon.

– Przyjmuję zadanie i fajkę pokoju. Spróbuję wprawić Głoga w lepsze usposobienie.

Niebieski Nóż lekko ściągnęła brwi.

– Obiecuj mu wszystko, czego zażąda. Oddaj wszystko poza naszymi ciałami. Zaoferuj wojowników do jego wojen.

Ota Qwan był wyraźnie niezadowolony.

– To tchórzowskie poddanie się!

– Matrony widziały wzlot i upadek wielu Głogów. Brakuje nam siły, żeby się z nim mierzyć. Użyczymy mu najmniejszej pomocy, jakiej możemy udzielić bez ściągnięcia na nas jego gniewu. Zagramy na jego dumie. Pomożemy mu.

– A później, kiedy będzie słaby, uderzymy! – powiedział Ota Qwan.

Niebieski Nóż pokręciła głową.

– Nie. Kiedy będzie słaby, zaatakuje go ktoś inny, a my będziemy cieszyć się po cichu i uprawiać kukurydzę.

Ludzie odśpiewali trzy pieśni – wszystkie pieśni pory żniw i zaczęli wychodzić. Peter był blisko drzwi, ale nagle drobna ręka zatrzymała go równie skutecznie jak łapa olbrzyma. Przesunął się na bok, żeby przepuścić innych. Niebieski Nóż stała tam z Małymi Rękami i innymi matronami.

– Nie będziesz towarzyszyć Ocie Qwanowi – oznajmiła Niebieski Nóż. Peter miał niewielkie doświadczenie w kontaktach z matronami. Nie wydawały rozkazów – nikt wśród Wolnych Ludzi nie wydawał rozkazów. Dlatego był zaskoczony jej tonem. Rozejrzał się i zobaczył żonę, która stała za nim i energicznie kiwała głową na znak potwierdzenia.

– To mu się nie spodoba – powiedział Peter.

Małe Ręce poważnie pokiwała głową.

– Będzie miał innych zwolenników i przyjaciół. Tobie nie wolno pójść.

Proszę, prosimy cię o to.

Peter się uklonił.

– Nie pójdę.

Następny tydzień należał do najtrudniejszych, jakie Peter przeżył od czasu dołączenia do Sossagów. Ota Qwan prosił go o uczestniczenie w misji, a kiedy spotykał się z odmową, był coraz bardziej zły.

– Nie pozwól, żeby twoja kobieta zrobiła z ciebie tchórza – powiedział przy trzeciej próbie.

Peter wzruszył ramionami.

– Nie robi.

– Jesteś mi potrzebny. Ludzie idą za mną dla moich umiejętności, ale również dlatego, że ty to robisz. Ta-se-ho odmówił. Wiesz, co powiedział? „Nita Qwan nie idzie”. – Ota Qwan poczerwieniał i mówił podniesionym tonem i wszyscy odwracali głowy na wiejskiej ulicy.

Był zimny, wietrzny dzień, zapowiedź jesieni. Deszcz wisiał w powietrzu, a co gorsza, na bobrowej łące na południowy wschód od wioski widziano dwóch Ruków, co wszystkich zdenerwowało.

– Tym razem nie idę – oświadczył Peter ze spokojem, na jaki mógł się zdobyć.

– Dlaczego? Podaj mi jeden powód. Dobrze pokierowałem zbieraniem miodu. Nie zrobiłem niczego, żeby cię obrazić. Jestem uprzejmy dla tej suki, twojej żony...

Mężczyźni zmierzili się wzrokiem. Peter zachował spokój.

– Odejdź, proszę – powiedział.

Ota Qwan wsparł ręce na biodrach.

– Robię to wszystko nie tak, jak trzeba. Przepraszam, nie uważam twojej żony za sukę. A raczej uważam, ale zakładam, że widzisz w niej coś, czego ja nie widzę. Posłuchaj, bracie, apeluję do twojej lojalności. Przyznaję, poznaliśmy się dopiero tego lata, ale cię potrzebuję.

Peter w głębi duszy wiedział, że przyznanie, iż jest mu potrzebny, wiele go kosztowało.

Spróbował się uśmiechnąć.

– Pochlebiasz mi... – zaczął.

– Pieprzę twoje protekcyjne pieprzenie! – wybuchnął wściekle Ota Qwan. – Siedź tu i gnij. – Odwrócił się na pięcie i odszedł.

Peter przypuszczał, że właśnie stracił przyjaciela. I brata.

Dlaczego matrony postawiły mnie w takiej sytuacji?

Ota Qwan wyruszył następnego dnia z sześcioma ludźmi, zaprawionymi wojownikami z letniej kampanii. Cała szóstka – w tym trzech wybranych z sąsiedniej wioski w Kan-da-ga – uchodziła za najlepszych wojowników wśród Ludzi. Każdy z nich miał gorącą krew w żyłach i wysokie umiejętności.

Ota Qwan opuścił wioskę, niosąc swoją najlepszą włócznię, z mieczem u pasa, we wspaniałej wilczej pelerynie na ramionach, w bluzie z jeleniej skóry starannie ozdobionej na każdym szwie igłami jeżozwierza i haftem z sierści łośa. Wyglądał jak albańskie wyobrażenie zamurzańskiego króla i kroczył z wielką dumą. Nie spojrzął ani w prawo, ani w lewo, nie pożegnał Petera uściskiem, i odszedł.

Po jego odejściu matrony zgromadziły się na ulicy. Anij’ha dała upust złemu humorowi i matka ostro ją ofuknęła.

– Wysłałaś mojego męża na śmierć! – krzyknęła kobieta i pobiegła do chaty.

Niebieski Nóż z rysami jak wykutymi z kamienia skinęła ręką.

– Nita Qwan! – zawołała.

Podszedł do niej, a za nim Ta-se-ho.

Zatrzymał się. Wszystkie matrony zebrały się przed domem Amij’hi – u Sossagów kobieta jest właścicielką domu.

– Nito Qwanie, ubiegły tydzień musiał być dla ciebie ciężki. Ale twojego brata wybrałyśmy do mniej ważnego zadania. Nie podoła mu, zawiedzie. Pójdzie do Głoga, a Głóg go skusi swoją propozycją wojny. Tacy są mężczyźni.

Szloch Amij’hi tłukł się echem po chacie.

– Ciebie pošlemy do Mogan. Lubiła cię, rozmawiała z tobą. Wyruszysz natychmiast i będziesz podróżować bardzo szybko. Jej lud jest silny, ma duże moce i wielu sojuszników. Powiesz jej prawdę, że Głóg na nas uderzy i że jesteśmy zbyt słabi, żeby zrobić cokolwiek poza kołysaniem się na wietrze.

Nita Qwan westchnęła.

– To niesprawiedliwe. Mój brat... – Urwał. Oczy kobiety były pełne głębokiego zrozumienia i niewypowiedzianej wiedzy. Stwierdził, że jest zły w sposób, w jaki nigdy nie rozzłościł go Ota Qwan. Ściszone głosem podjął: – Gdybyś posłała mojego brata do Mogan, wystąpiłby z dumnym czołem w sprawie Ludzi. Gdybyś mnie wysłała do Głoga, czołgałbym się dla Ludzi. Wysyłając Otę Qwan do Głoga, wydałaś na niego wyrok.

Niebieski Nóż spojrzęła na niego z góry.

– Tak musi być. Wybierze wojnę, co zaślepi Głoga na nasze zamiary. Wszyscy, których wysłaliśmy, są wojowniczy jak Ota Qwan.

– Mój brat zasłużył na lepszy los – syknął Nita Qwan. – W samej rzeczy próbował...

– Posłaliśmy twojego brata jako ofiarę dla Głoga – powiedziała Niebieski Nóż. – Jest mężem mojej córki i ojcem mojej wnuczki. Chyba nie sądzisz, że tego nie omówiliśmy i nie przedyskutowaliśmy.

Nita Qwan wciągnął swój gniew wraz powietrzem i wypuścił go, jak nauczył się od ojca pięć tysięcy mil temu.

– Dobrze – mruknął. – Pójdę. Ale nie różnicie się od królów, naczelników i tyranów świata, skoro w taki sposób posyłacie ludzi na śmierć, bez dawania im szansy.

Małe Ręce pokręciła głową.

– Jesteś zły i głowa ci pęka od łez, Nito Qwanie. Kiedy będziesz na szlaku, paląc fajkę w ciemności, mając przed sobą płonące ognisko, pomyśl o tym: czy życie jednego człowieka warte jest życia wszystkich? Albo o tym: nas tam nie będzie, żeby decydować za Otę Qwana. Jeśli odegra rolę, jaką kazaliśmy mu odegrać, powróci cały i zdrowy, a my przeprosimy i powiemy mu, jak go wykorzystaliśmy.

Niebieski Nóż odwróciła wzrok.

– Ale nie wróci. Wybierze Głoga. Albo swoją wolną wolę. – Odwróciła się i zwarła wzrokiem z Nitą Qwanem. – Idź do Mogan i błagaj ją w naszej sprawie. Wczoraj Głóg wysłał wiele stworzeń, pewne gatunki ptaków, nietoperzy i ciem, żeby zabijały ludzi na południe od Can-da-gi. Nie poprzestanie na tym.

Nita Qwan wyruszył następnego dnia rankiem, po namiętym kochaniu się z żoną i pełnym łez pożegnaniu.

– Czy zostanę poświęcony jak Ota Qwan? – zapytał ją. – Wiesz? Powiesz mi?

Pochyliła się, jej piersi musnęły jego pierś, i polizała go po nosie.

– Mogę nie wiedzieć, ale zawsze ci mówię. Wszystkie matrony to suki. Nie lubią mnie. – Znów liznęła go po nosie. – To, co zrobiły Ocie Qwanowi, skarbie... Przykro mi, ale sam to na siebie ściągnął. Ma zbyt wysokie mniemanie o sobie. Chciał zostać wodzem wojennym i głośno o tym mówił. Był inny niż ty. Zostałeś jednym z nas, podczas gdy on tylko udawał Sossaga, wciąż będąc człowiekiem z Południa.

Nita Qwan przyjął zaoferowaną pociechę i postanowił nie kłócić się z żoną przed rozstaniem.

Zabrał ze sobą tylko Ta-se-ho, który znał drogę, i chłopca szamana, Gas-a-ho. Wzięli łuki, pemmikan i niewiele więcej. Nita Qwan odmówił zabierania wymyślnej futrzanej szaty ambasadora. Zapakował do swojego albańskiego plecaka koc i naszywany igłami jeżozwierz pas, który szaman przygotował dla matron. Ukłonili się matrom, ucałowali swoje kobiety i truchtem opuścili wioskę, jak myśliwi albo wojownicy, nie jak ambasadorowie.

Przez pierwsze trzy dni na szlaku padało. Wiatr przybierał na sile, robiło się coraz zimniej. Trzej mężczyźni rozpalali wielkie ogniska i kulili się pod osłoną krzaków, przez większość czasu przemarznięci i przemoczeni. Biegli prawie przez cały dzień – szybciej trzeciego, gdy mięśnie Gas-a-ho się zahartowały. Był młody i nie tak silny jak inni chłopcy, głównie dlatego, że postanowił obrać drogę szamana i nie spędzał tyle czasu na polowaniu i walce.

Przebiegli na południe od kraju bobrów, prosto na brzeg Morza Wewnętrznego, i przez cały ranek bez powodzenia szukali kanu.

– Zawsze topimy je w tym stawie – powiedział Ta-se-ho.

Przez godzinę sondował dno głębokiego stawu na strumieniu, podczas gdy jego towarzysze siedzieli w wodnistym blasku słońca, uradowani, że są tylko trochę wilgotni. Nie znalazł łodzi.

Nie znalazł też tej zatopionej w głębokiej zatoce Morza Wewnętrznego. Pokręcił głową.

– Musimy zbudować łódź – powiedział.

Nita Qwan uznał, że to nie najlepszy pomysł.

– Nie mam pojęcia, jak to się robi.

Pozostali popatrzyli na niego i parsknęli śmiechem.

Chłopak zajął się zbieraniem świerkowych korzeni. Nita Qwan obserwował go przez jakiś czas, gdy chodził od świerka do świerka, wykopywał cienkie płytkie korzenie i szarpał. Kiedy miał dość długi korzeń, przecinał go nożem, który nosił zawieszony na szyi, i przechodził do następnego. Nie pomiął jednego drzewa, nawet tego karłowatego na skraju łąki. Brał po jednym korzeniu z każdego.

Ta-se-ho też przez jakiś czas go obserwował.

– Jest dobry. Rogaty jest doskonałym nauczycielem. Chodźmy poszukać drzewa.

Znalezienie odpowiedniego wymagało kilku godzin marszu po głębokich lasach. Dla Nity Qwana miało to niewiele sensu, bo przecież musieli się śpie-

szyć, żeby przekazać wiadomość potężnym strażnikom, a jednak cierpliwie wędrowali od drzewa do drzewa. Peter przez kilka godzin był sfrustrowany – dopóki Nita Qwan nie zdecydował, że to sprawa wymagająca wielkiej rozważności.

Ta-se-ho potwierdził ten pogląd.

– Jeśli kora otworzy się jak kwiat, gdy będziemy na morzu, umrzemy – powiedział. – Warto poświęcić czas na wybranie dobrego drzewa.

Jeszcze go nie znaleźli, ale znaleźli inne – parę skręconych świerków, które lata wiatru prawie przygięły do ziemi. Ta-se-ho ściał je lekką siekierą, pięknym narzędziem z Alby, ciemną stałą o białym ostrzu.

Obuchem tej samej siekiery ostukał pnie wielu drzew – żółtą brzozę, białą brzozę, papierową brzozę – i zdarł korę wiązu, sosny i brzozy. Śpiewał, chodząc wśród nich.

– Biała brzoza jest najlepsza – zawyrokował.

Nita Qwan czuł się całkowicie bezużyteczny, ale w miarę upływu czasu się uczył – prawie bez słów, ponieważ Ta-se-ho był milczącym nauczycielem – do czego zmierzali. Szukali martwego drzewa, które niedawno umarło i stało z korą gotową do zdarcia. Znaleźli kilka po południu, wszystkie razem. Były trochę za małe, ale sposób, w jaki jego milczący towarzysz zajmował się nimi, a potem zdierał korę z pni jesionów, powiedział Nicie Qwanowi większość tego, co potrzebował wiedzieć.

Słońce świeciło jasno i dzień bardziej przypominał późne lato niż jesień, więc po południu dwaj mężczyźni rozebrali się do pasa. Chodzenie wśród dostojnych drzew było piękniejsze niż wszystko, co Nita Qwan robił od wielu dni, z wyjątkiem kochania się z żoną. Rozkoszował się zapachem liści i wspaniałym królewskim blaskiem czerwieni i złota.

Gdy słońce zaczęło opadać, zobaczył leśny staw, a na brzegu tuzin wielkich brzóz stojących jak białe panny. Ruszył w tamtą stronę, pewny, że znajdzie Ta-se-ho, a raczej że starszy mężczyzna znajdzie jego, i dotarł do pierwszego drzewa – już podekscytowany, bo zobaczył, że korona jest martwa. Wydawała się luźna, więc się odwrócił, żeby zawołać towarzyszy. Zobaczył obserwującą go łanię stojącą w zasięgu strzału z łuku.

Pomyślał, że jest dość mała, żeby ją ponieść. Wyjął łuk z futerału i napiął, gdy czujnie piła wodę i na niego patrzyła.

Nagle odwróciła głowę, zupełnie go ignorując. Zastrzygła uszami jak koń.

Wypuścił strzałę i w pośpiechu chybił. Upadające drzewce ją przestraszyło i skoczyła do ucieczki, błyskając białym ogonkiem. Spostrzegł, że jest drugie



zwierzę, koziołek, znacznie bliżej niego. Założył drugą strzałę na cięciwę – kozioł się odwrócił, obejrzał na niego i pomknął brzegiem stawu.

Strzelił z bliska i drzewce wniknęło po same lotki. Jeleń upadł w plątaninie kończyn, życie uszło z niego prawie natychmiast, a łania uciekła.

Stał, zarumieniony z podniecenia łowami, i zrozumiał, że cichnący stukot kopyt łani nie jest jedynym odgłosem dużego zwierzęcia, jaki słyszy.

Hastenocz stąpał brzegiem stawu tą samą ścieżką, którą obrała łania. Potrząsnął obscenicznie długim łbem z ogromnym porożem i wskutek tego zadygotał na całym ciele, gdy zrozumiał, co naprawdę spłoszyło jelenia.

Nita Qwan stwierdził, że jego palce same nałożyły strzałę na cięciwę.

Ryknął róg – chrapliwie i przeciągle. Potwór o czterech kopytach uniósł pysk, spojrział na wschód, w kierunku drugiego końca stawu, i zaszarżował. Nie było ostrzeżenia; ruszył z kopyta pełnym galopem z niesamowitym wyciem.

Nita Qwan strzelił i chybił – stwór był zbyt szybki, gdy pędził na drugim brzegu. Zdążył wypuścić kolejne trzy strzały i trzecia trafiła za pancerne płyty łba, w górną część karku.

Ta-se-ho strzelił dwa razy, ale oba pociski ześliznęły się po kościanych płytach.

Potem jakby zniknął. To było jak magia. Stał tam – a chwilę później jakby się zapadł pod ziemię.

Rogaty stwór uderzył głową w drzewo, przy którym stał Ta-se-ho. Echo trzasku odbiło się od drzew nad stawem i od powierzchni skały, która w granitowym splendorze wznosiła się w popołudniowym słońcu.

Wielka bestia ryknęła i jeszcze raz uderzyła w pień. Strzała tkwiła pomiędzy łopatkami jak herb na hełmie, i zaraz potem dołączyła do niej następna.

Nita Qwan strzelił, teraz przez długość stawu.

Był za daleko, żeby zobaczyć przyczynę i skutek, ale potwór nagle usiadł na zadzie. Wyryczał swoją wściekłość i z powrotem się podniósł.

Dostał trzema kolejnymi strzałami – tyk, tyk, tyk.

Nicie Qwanowi tak mocno trzęsły się ręce, że musiał przystanąć i odechnąć. Ale wydawało się, że potwór padł. Wyjął kolejną strzałę, tę, którą uważał za najlepszą, z ciężkim stalowym grotem, ciężkim drzewcem i głęboką osadką, którą sam wyciął. Nałożył ją na cięciwę i ruszył biegiem na potwora, który się miotał, usiłując wstać z ziemi.

Tyk! Tkwiło w nim już siedem strzał.

Ta-se-ho zeskoczył z drzewa, które atakował potwór. Wylądował lekko,

wyprostował się, wyciągnął długi nóż – i w tym momencie hastenocz się dźwignął z nisko opuszczonym porożem.

Ruszył na niego – eksplozja ścięgien i kości – zahaczył go odrostkiem i rzucił w powietrze. Nita Qwan podbiegł, przyciągnął cięciwę do ucha i wpakował swoją najcięższą strzałę w kłęb z tak bliska, że smród potwora runął na niego niczym ucieleśnienie śmierci.

Hastenocz obrócił się przodem i Nita Qwan wepchnął łuk prosto w pełną macek paszczę. Rogowe zakończenie łączyska wbiło się głęboko w gardziel, łuk zgiał się i pękł, stworzenie runęło na niego... i nagle leżał na ziemi wśród zimnych liści, czując wielki ciężar na piersi, wrażenie osuwania się coraz niżej i niżej...

Było ciemno, było mu zimno.

Otworzył oczy, gwiazdy były zimne i bardzo dalekie, on sam był bardzo mały i bardzo zmarznięty.

Otworzył usta i stęknął – i nagle wyczuł czyjś ruch.

Gas-a-ho przycisnął mu manierkę do ust.

– Pij! – polecił. – Jesteś ranny?

Pytanie wydawało się głupie. Dopóki się nie odezwałeś, sądziłem, że nie żyję, pomyślał Nita Qwan. Odetchnął głęboko, poczuł zapach wilgotnego futra i padliny. Jego ręka musnęła coś zimnego i śliskiego – mackę. Wzdrygnął się i poruszył stopami.

– Nie mogę go z ciebie ściągnąć – powiedział Gas-a-ho. Walczył z paniką.

– Gdzie jest Ta-se-ho? – zapytał Nita Qwan.

– Myślałem, że był z tobą – odparł chłopak. – Kiedy zaczęło się ściemniać, założyłem, że wracacie. Zebrałem ekwipunek i podążyłem za wami. Ten stwór wciąż podrygiwał, kiedy tu przyszedłem.

Nita Qwan czuł, że macki zostawiły ślady na jego twarzy i ramionach.

– Próbowano mnie zjeść – powiedział głośno. – Nawet gdy zdychało. – Jego wspomnienia ostatnich chwil walki były pogmatwane i próbował je sobie uporządkować. – Ta-se-ho tam był, bestia nim rzuciła.

Chłopak rozпалиł ogień. Obietnica ciepła przydała Qwanowi siły. Wbił łokcie w ziemię – pod plecami była płytką kałuża – i dźwignął się, poruszając stopami.

Martwy potwór był miękki i twardy, pancerne płyty głowy przygniotły go tuż poniżej krocza. Nie czuł nóg, ale miał wrażenie, że zdoła je zmusić do ruchu.

Zdusił narastającą panikę.

– Przyniesz moją włócznię, Gas-a-ho. Jest tam?

– Mam ją! – oznajmił z dumą chłopak. Zniknął z pola widzenia.

Wilki wyły. Były po drugiej stronie stawu, pożerając ustrzelonego kozła.

Chłopak wrócił.

– Rzuciłem czary na moje ramiona, żeby je wzmocnić – powiedział i dodał: – Mam nadzieję.

– Wsuń włócznię pod łeb. Podłóż kłodę pod włócznię i użyj jej jak dźwigni... nie, pod łeb, dobrze. Ostrożnie, nie złam włóczni... Ruszył się!

W jednej chwili wyciągnął prawą nogę. Musiał użyć rąk, ale nogi miał gołe, dzięki czemu opór był mniejszy, i choć stracił mokasyn, zdołał ją uwolnić.

Wilki wyły. Wydawało się, że są bliżej.

– Pośpiesz się – powiedział.

Prawa noga go nie bolała, ale też nie miał w niej czucia. Wił się, unosząc plecy z kałuży wody, i wyciągnął ręce. Chłopak wbił włócznię w ziemię i pociągnął.

Wilki wyły niebezpiecznie blisko, co było dla nich dodatkowym bodźcem. Zmusił lewą stopę do ruchu – jeden cal, drugi, trzeci. Były to lepkie, oślizgłe cale, lecz kiedy noga ruszyła, nie chciał przestać – ani czekać na falę bólu, obezwładniającego bólu złamanej kości czy naderwanego mięśnia. Nie czuł nic poza posuwistym ruchem, jakby noga należała nie do niego, tylko do martwej bestii.

Po chwili był wolny.

Przeczołgał się pięćdziesiąt stóp do ognia i legł w ciepłe, nie bacząc na ślizgające się wilki.

Zanim ciepło zdążyło ukołysać go do snu, powrót życia do nóg uderzył jak lód i ogień, jak spazmy miłosne i pożeranie żywcem. Stękał, przekręcał się z boku na bok, miotał i jęczał.

Chłopak miał przerażoną minę i Nita Qwan spróbował zmusić się do uśmiechu.

– Nic mi nie jest – wymamrotał, co zabrzmiało głupio. – Nie... naprawdę... wielkie szczęście... ach!

Niedługo później, kiedy odzyskał pewną kontrolę nad stopami, posłuchał wycia wilków i odwrócił głowę w stronę chłopaka. Gas-a-ho zgromadził ich ekwipunek i zbudował mały szałas, a nawet poćwiartował ustrzelonego jelenia i upiekł udziec. Nita Qwan wyjął z plecaka krótki miecz i pokuśtykał do

ognia.

Gas-a-ho znalazł się przy nim jak szybka strzała.

– Zrobiłem pochodnie – oznajmił z dumą. – Zamierzałem je rozstawić, gdy będę cię wyciągać, albo przynajmniej użyć ich do przepędzenia wilków.

– Myślę, że cała wataha pożywiła się jeleniną i teraz wszystkie pójda spać – powiedział Nita Qwan. – Musimy znaleźć Ta-se-ho. Być może nie żyje, ale jeśli przeżył, nocny chłód może go zabić. – Wziął pochodnię i wrócił do padła potwora, który w migotliwym blasku wyglądał niemal równie przerażająco jak za życia.

W lśniąącym kłębowisku macek było coś, co przyprawiło go o skurcz żołądka.

Zmusił się do oddychania, wdech-wydech, i ominął masywne poroże, które cudem nie spadło mu na twarz i go nie zabiło.

Jak zwykle w nocy, wszystko wydawało się większe. Nie mogli znaleźć drzewa, na które wspiał się Ta-se-ho. Nita Qwan nie miał mokasynów i bolały go stopy, gdy chodził po ostrym żwirze i gałązkach.

W ciemności nastąpił na starszego myśliwego, poczuł miękkiego opór, ustępliwy...

Coś złapało go za nogę i rzuciło na ziemię – przetoczył się przez ramię i odwrócił, upuszczając pochodnię. Z pewnością krzyknął, gdy upadał.

Ta-se-ho usiadł.

– Mało mnie nie zabiłeś – powiedział i zdobył się na nikły śmiech.

Na zmianę ogrzewali myśliwego. Miał paskudnie złamany obojczyk i bezwładną lewą rękę. Był w szoku i choć próbował się wzbraniać przed ich pomocą, potrzebował każdego gorącego kubka herbaty i każdego koca, jaki mieli. Gdy Nita Qwan odzyskał pełnię czucia w stopach, stał się bardziej ruchliwy i razem z chłopakiem nazbierali drewna na opał w wilgotnym mroku.

Powitał ich słoneczny ranek. Nita Qwan bał się deszczu, lecz dzień okazał się piękny. Dopiero gdy ścinali stojące martwe drzewo, zdał sobie sprawę, że ma popękane zębra.

Wrócił do obozu, gdzie Ta-se-ho uczył chłopaka wycinania wszystkich najlepszych części ze śmiertelnie groźnego hastenocza. W dziennym świetle stworzenie było mniejsze i mniej przerażające, niż Nita Qwan sobie wyobrażał. I gdy chłopak skrupulatnie zdjął płyty z łąba i wyciął ścięgna na cięciwy, stało się najpierw żałosne, a potem było już tylko mięsem.

Ta-se-ho wyjął tytoń z sakiewki, rzucił szczyptę na martwe zwierzę i za-

śpiewał piosenkę dla jego ducha. Kiedy skończył, siorbnął herbaty.

– Gotowi zbudować łódź? – zapytał i kaszlnął.

Nita Qwan pomyślał o protestujących żebrach i o swoim braku doświadczenia, ale pozostali chyba nie dopuszczali możliwości, że może się nie udać. Spróbował otrząsnąć się z ponurych myśli.

– Jasne – powiedział.

– Zyskamy wiele mocnych rzeczy od tego tatuśka – powiedział Ta-se-ho. – One nas jedzą. My je wykorzystujemy. – Zaśmiał się. – Na południu jest inaczej?

Nita Qwan spiętrzył nacięte polana, potem usiadł przy rannym, który z trudem zapalał fajkę. Ukląkł, podpalił kawałek zwęglonego płótna, a od niego pasek kory brzozy papierowej, żeby podać ogień mężczyźnie, który sprawiał wrażenie najzupełniej zadowolonego.

– Tak naprawdę nigdy nie byłem na południu – powiedział mu. – Pocho-dzę zza morza.

– Z Etrurii? – zapytał stary myśliwy. Pyknął z fajki i podał ją Nicie Qwa-nowi.

– Nie, Iffriqu'ya. – Nita Qwan wypuścił obłoczek dymu.

– Wszyscy tam mają taką ciemną skórę jak ty? Zawsze chciałem zapytać, jak to się stało, że jesteś taki ciemny, ale wydawało się to niegrzeczne.

Nita Qwan wspomniał młodość Petera i się uśmiechnął.

– Każdy.

– Wyglądasz bardzo przystojnie i taki kolor jest dobry w lasach. – Ta-se-ho pokiwał głową, jakby to definiowało, co jest dobre. – Ocaliłeś mi życie.

– Może przyciągnąłeś stworzenie do siebie. – Nita Qwan oddał fajkę.

– Ha! Byłem głupcem. Myślałem, że je dostałem, zastawiając pułapkę, robiąc sztuczkę i szyjąc z łuku. – Pokręcił głową. – Powinno być powiedzenie: Nigdy nie próbuj w pojedynkę walczyć z potworem. – Stęknął, pyknął i przekazał fajkę. – Oczywiście jest inne: Nie ma takiego głupca jak stary głupiec.

Wielce ośmielony Gas-a-ho sięgał po fajkę. Nita Qwan mu ją podał.

– Szczerze mówiąc, obaj zawdzięczmy życie temu chłopakowi – powiedział.

Starszy mężczyzna uśmiechnął się do chłopca i zmierzwił mu włosy.

– Ach... to tylko sprawi, że stanie się nie do zniesienia. – Cybuchem wskazał białą brzozę stojącą na skraju wody. – To cię tu sprowadziło?

– Tak, ta najbliższa. Pomyślałem, że może się nada na dobrą łódź. – Nita Qwan wzruszył ramionami.

Ta-se-ho pokiwał głową.

– Może jeszcze zrobię z ciebie myśliwego. Posłuchaj, oto co powinniśmy zrobić. Dzisiaj narąbiecie drewna na opał. Mnóstwo. Tak? Jutro zetniemy drzewo i zedrzymy korę. Pojutrze mi się polepszy, więc przeniesiemy obóz nad morze. Potem zbudujemy łódź.

– Za ile dni ruszymy w drogę? – zapytał Peter.

Myśliwy obrzucił go zniecierpliwionym spojrzeniem.

– Za tyle, ile będzie trzeba – odparł.

## **Liwiapolis – ser Thomas Lachlan**

Klęska Etrusków wzbudziła zainteresowanie i szybko popadła w zapomnienie. Ludzie w kompanii wiedzieli, że zwycięstwo nie było tak dobre, jak się wydawało, i Zły Tom szybko zaczął żałować, że przyjął na siebie zadanie polowania na szpiegów.

Kompania wraz z setką moreańskich szkutników i robotników w ciągu tygodnia zbudowała trzy ciężkie galery, a raczej szkielety statków, czekające na nabrzeżu na długi proces przybijania poszycia. Deski należało ociosać, żeby im nadać odpowiedni kształt, i wcześniej ściąć drzewa, a wydawało się, że Andronikus, były diuk Tracji, ma pod kontrolą większość wysokich prostych świerków i dębów w Morei. Ser Jehan zabrał na wzgórza dwudziestu zbrojnych i tylu samo łuczników z rozkazami sprowadzenia takiej ilości drewna, żeby starczyło na ukończenie dziesięciu galer. Wyruszył dobrej myśli. Drugiego dnia po wyjeździe przysłał meldunek o próbie zasadzki.

W mieście Tom polował na duchy.

Każdy łucznik otrzymał ulotkę starannie wypisaną przez skrybę, który nigdy nie czytał po albańsku i która oznajmiała, że każdy, kto zdezerteruje z kompanii, dostanie pięćdziesiąt złotych nobli z prawem swobodnego powrotu do Alby albo wyższą zapłatę, jeśli wstąpi do armii „prawdziwego diuka Tracji walczącego dla prawdziwego cesarza”.

Ktokolwiek układał treść ulotki, mylnie wziął łuczników za ludzi, których obchodzi, po czyjej stronie jest racja. Wylano wiele atramentu na przedstawienie księżniczki Ireny jako intryganckiej uzurpatorki, a diuka Andronikusa jako lojalnego poplecznika cesarza.

Zły Tom siedział w swoim biurze, czyli przy stole w wartowni, gdzie wartę pełnili starsi oficerowie, i czytał z uwagą. Po drugiej stronie stołu siedział Osiełek z rękami splecionymi na piersi.

– Kapitan... to znaczy diuk nie myśli, że chcę uciec, co nie? – zapytał. Kapitan, skwaszony od czasu wyjazdu z Lissen Carak, teraz stawał się wprost jadowity.

Zły Tom wzruszył ramionami.

– Jeśli tak, to ma popierdolone we łbie. Dokąd miałbyś pójść? Kto miałby cię przyjąć?

Osiełek usiłował zdecydować, czy powinien stanąć w obronie swojej godności starszego łuczników, czy swojej lojalności.

Tom odrzucił mu ulotkę.

– Kogoś skusiło? – zapytał.

Długa Łapa przyniósł mu taki sam świstek i teraz siedział z nogami na stole. Skrzywił się.

– Jak zwykle, zawsze się znajdzie paru sukinsynów. Widocznie mamy za mało młodych chórzystów, tyle ci powiem. I wciąż nie ma wypłaty, co sprawia, że niektórzy zaczynają pomrukiwać. – Długa Łapa miał niski zgrzytliwy głos, który zupełnie nie pasował do jego łagodnego usposobienia, ale ostrzegwał słuchacza, że ten człowiek może być niebezpieczny. Chrząknął; połowa z nich była przeziębiona. – Dzisiaj nikt nie ucieknie. Nie zapłać jutro albo za trzy dni, a wtedy zaczną dezerterować.

Zły Tom pokiwał głową, przyznając mu rację.

Dryg wszedł do wartowni, krótko pomówił z oficerem dyżurnym, ser George'em Brewesem, który siedział z nogami na stole i pił wino. Brewes pod wieloma względami był najgorszym żołnierzem, jakiego można sobie wyobrazić – nie cierpiał dyscypliny i dawał straszny przykład innym.

Ludzie go kochali, więc uchodziło mu to na sucho.

Dryg niedbale zsalutował ser Brewesowi i podszedł do stołu Złego Toma. Sięgnął w zanadrze dubletu i wyjął zmiętą ulotkę.

Zły Tom rzucił na nią okiem i skinął.

– Siadaj – mruknął. – Co myślicie o dezercji?

Dryg przymrużył oczy.

– Nigdy tego nie kupią. Jesteśmy mistrzami łucznikami. Ha, niektórzy z nas. – Dryg zerknął na Osiełka, który przewrócił oczami.

Zły Tom westchnął.

– Potrzebuję bardziej prywatnego miejsca, żeby się spotkać. Chwilowo zakładam, że na wszystkich w kompanii można polegać. Ale słuchajcie. Ktokolwiek to wymyślił, nie ma dziesięciu stóp wzrostu. Myślą, że nas obchodzi, po czyjej jesteśmy stronie. Nie znają nas. Doszedłem do wniosku, że może-

my podesłać im kilku łuczników.

Dryg rozwierał i zaciskał dłonie.

Długa Łapa przyglądał się swoim paznokciom z taką uwagą, jakby był kobietą.

– Co z tego będziemy mieli? – zapytał.

– Dobrą walkę? – podsunął Zły Tom. – Pieniądze?

Wszyscy trzej łucznicy wyjaśnili.

– Dołę zbrojnych? – Długa Łapa pochylił się wyczekująco.

Tom przewrócił oczami.

– Dopóki nie będę musiał oddać jednego okrojonego srebrnego lamparta z mojego udziału.

Wszyscy czterej przybili ręce.

Długa Łapa poszedł do gospody, której nazwa figurowała na jego ulotce. Był jedynym łucznikiem, który władał moreańską wersją archaicznego. Ubrany w grubą płócienną kapotę, w szerokoskrzydłym słomkowym kapeluszu na głowie, przeszedł za murami i wrócił do miasta przez Bramę Wardariotów, pędząc prosiaka.

Albo miał wyborne przebranie, albo nikt go nie obserwował. Bez przeszkód znalazł i obejrzał gospodę za Akademią w podupadłej dzielnicy małych czynszówek i dwupiętrowych tynkowanych domów z płaskimi dachami.

Kiedy wrócił, opancerzona kompania stała na baczność na Zewnętrznym Dziedzińcu. Zły Tom już zabrał dwadzieścia kopii do portu wojennego.

Ktoś podpalił ich nowe statki, a ktoś inny otruił wiele kompanijnych koni.

Kapitan, którego piękny nowy koń nie żył, chodził przed swoją kompanią wściekły jak wszyscy diabli.

Długa Łapa wśliznął się do wartowni. Dyżurnym łuczkiem był Rozmyślny Mord, który stał oparty w drzwiach, patrząc na widowisko.

– Chryste na krzyżu... ale ci się dostanie – powiedział. Cieszył się, wiedząc, że ktoś o takiej randze jak Długa Łapa wdepnął głęboko w gówno.

Długa Łapa chrząknął.

– Co wstąpiło w kapitana?

– Stawiliśmy się na alarm, a tu czterdzieści koni nie nadaje się do jazdy. Okazuje się, że rozkazał strzec stajni, ale nikt tego nie dopilnował. Ser Jehana nie ma, więc nie może powiedzieć, jak było, rozumiesz? – Rozmyślny pokręcił głową. – Ser Milus na paradzie przed wszystkimi powiedział, że kapitan zapomniał dać rozkaz pilnowania stajni.



Długa Łapa chrząknął, wymknął się do koszar i uciął sobie drzemkę.

Nazajutrz służąca księżniczki Ireny, ślicznotka już podrywana przez sześciu scholistów, dwóch Nordykanów i Francisa Atcourta, zmarła od trucizny w pałacowej kuchni. Zły Tom pobiegł tam w te pędy, gdy tylko usłyszał wiadomość, ale zanim dotarł na miejsce, ciało zabrano do pochówku i wszyscy, którzy mogli mieć coś do powiedzenia, odeszli do swoich obowiązków.

Znalazł Haralda Derkensuna i jego śliczną dziwkę Annę. Uścisnęli sobie przedramiona. Zamienili parę słów i Anna kilka razy pokiwała głową. Tej nocy Zły Tom zameldował się u kapitana, który miał pobrużdżoną twarz i ciemne kręgi pod oczami. Popijał wino z ser Milusem wyglądającym równie źle albo jeszcze gorzej.

– Przepraszam, kapitanie... e, wielmożny diuku. – Zły Tom stanął w drzwiach zewnętrznego biura kapitana.

Ser Milus podniósł się sztywno.

– Pojdę już – mruknął.

– Możesz słuchać wszystkiego, co Tom ma do powiedzenia, Milusie, wybac. Ostatnio nie jestem w najlepszym nastroju.

Diuk położył rękę na ramieniu chorążego, ale starszy rycerz ukłonił się i odszedł z takim wdziękiem, że trudno było określić, czy był zły, czy nie.

– Zawsze musisz wszystko idealnie spieprzyć. Nigdy nie słyszałem, żebyś tak do kogoś mówił. – Tom wyszczerzył zęby.

– Byłem dupkiem pierwszej wody i najgorsze ze wszystkiego jest to, Tomie, że czuję się tak, jakbym tracił rozum. Nie... zapomnij, że to powiedziałem. Coś ocalało w stoczni? – Diuk mieszał wino czubkiem bojowego noża.

– Mistrz Eneasza myśli, że da się uratować jeden kadłub z trzech – odparł Tom. – Podwoiłem strażę i kazałem mu zabrać się do roboty. Jeśli ma to jeszcze jakieś znaczenie, przyjmuję winę na siebie, a ty możesz zrobić, co chcesz.

Zapadła cisza.

– Cóż, zakładam, że była to również moja wina, więc możemy razem się dąsać. Nie pozbędziesz się tak łatwo tej roboty. – Diuk wychylił kubek wina.

– Ostatnio coraz więcej pijesz. – Tom sobie nalał.

Toby się ulotnił; wyglądał tak, jakby też zamierzał sobie golnąć.

– Tak, czasami, psiamać, słyszę głos w środku głowy i nigdy nie jestem sam! – Kapitan splunął.

Tom się roześmiał.

– Nie, to tylko Pyskata.

Kapitan parsknął winem.

– Rozśmieszylesz mnie, Tom – powiedział. – Ciekawe, czy to znaczy, że już mi odjęło rozum.

– Całkiem możliwe – zgodził się Tom. – Słuchaj, kapitanie, chciałbym wysłać Dryga i Osiełka, żeby udawali dezertarów. Długa Łapa będzie ich osłaniać.

Kapitan westchnął.

– Nie możemy sobie pozwolić na stracenie naszych trzech najlepszych ludzi. Ale skoro masz taki pomysł, zgoda. Ty dowodzisz. Napłynęły jakieś wiadomości od Jehana?

– Przewodnicy powiedli go na manowce i jest przekonany, że zrobili to rozmyślnie. Jednego kazał zabić. – Tom wzruszył ramionami.

– Możemy stać się tutaj bardzo niepopularni, Tomie. – Diuk też wzruszył ramionami. – Ale Jehan wie, co robi. Potrzebujemy tego drewna. – Rozejrzył się. – Jakiesz wiadomości od Pyskatej?

– Rozmawia z ludźmi, których tu zna. – Tom powtórzył gest. – To dziwne. Była tu dziwka?

– Tak, w tym mieście – potwierdził Czerwony Rycerz.

– No tak. Wieczorem idzie pogadać z pewnym płatnerzem. Mówił, że ten czarownik był uczniem u jego ojca jakiesz pięćdziesiąt lat temu. – Tom nie okazywał większego zainteresowania. – Znalazła mi kilka przytecznych osób.

– Płatnych informatorów? – zapytał Czerwony Rycerz. – Szpiegów? Ładacznice? Karczemnych zabijaków?

Zły Tom pokiwał głową.

– Mniej więcej.

Czerwony Rycerz się skrzywił.

– Trafimy do annałów rycerskości, co nie?

## ROZDZIAŁ JEDENASTY



Thorn

### **Święta Wyspa – Głóg**

Głóg używał coraz więcej ciem – były twarde, zwinne i szybko się rozmnażały. Wokół źródła mocy Deseronto, jak zwali je miejscowi, krążyło ich teraz tyle, że miękkie uderzenia delikatnych skrzydeł rzeczywiście powodowały hałas, kiedy owady były zaniepokojone. Głóg poświęcał im więcej czasu niż bardziej pilnym projektom. Powtarzał sobie, że w swoim czasie wszystkie będą przydatne, ale z własnej woli przyznawał, że prawda jest taka, iż się w nich rozkochał. Pracował nad nimi, próbując je przeobrazić w taki sposób, żeby służyły wielu jego celom i spełniły jego wymogi estetyczne.

Raz naszła go paradoksalna myśl, że kiedyś nienawidził ciem, ale natych-

miast odsunął ją od siebie.

Pośrodku otwartej od góry komnaty z naturalnej skały, z której biła moc i woda, ustawił niski marmurowy stół, a na nim położył dwa czarne jaja, które zmieniły się pod względem kształtu i rozmiaru. Były teraz wielkości napierśnika, z powierzchnią żebrowaną niczym skórka dyni, usianą brodawkami, jakie miewają sędziwe zwierzęta. Coś się w nich poruszało, niemal widoczne przez elastyczną skorupę, i wciąż rosło, a marmurowy stół jęczał pod ich ciężarem.

Oddziaływanie jaj budziło w nim zaniepokojenie. Wszystkie ćmy, które w ich pobliżu wykluły się z poczwerek, były pomarszczone i czarne, jakby jaja wysały z nich esencję jeszcze w stadium larwalnym.

Głóg był baczny obserwatorem, więc nie uszło jego uwagi, że w każdym pokoleniu wśród larw znajdujących się blisko jaj kilka miało niezwykle rozmiary i ciężar. Larwy osiągały wielkość dorodnych dżdżownic, były czarne jak smoła, bez jednej plamki.

Przez trzy cierpliwe pokolenia zabijał te niewyrośnięte i hodował duże, niektóre umieszczając w pobliżu jaj, inne w bezpiecznej odległości.

Gdy lato przeszło w jesień i liście na Świętej Wyspie najpierw żółkły i poczerwieniały, a potem zaczęły usychać, zrywane z drzew przez zacinający deszcz i porywisty wiatr czarne jaja osiągnęły wielkość kotłów czarownicy. Głóg obserwował, jak z kokonów wyłania się pierwsze pokolenie Czarnych Ciem, dużych niczym sokoły wędrowne, z tysiącem matowych czarnych oczu i jedną ssawką, jak zdeformowany jednorożec.

Łatwo je sobie podporządkował i wysłał na północ. Jedna padła ofiarą burzy śnieżnej. Drugą stracił w lasach – prawdopodobnie zaatakowała ją sowa. Pozostałe trzy opadły na wioskę Sossagów.

Były szybkie, miały ostre jak igła śmiercionośne ssawki, a ich jad działał błyskawicznie, powodując paraliż i przemieniając ciało w galaretę. Ale Sossagowie przewyższali je zwinnością i siłą – dziewięcioletnia dziewczynka zabiła pierwszą ćmę oszczepem swojego ojca, wprawnie strącając ją w locie, gdy w tym czasie rozpadały się kości jej matki. Zanim zdołał wycofać swoje drapieżniki, wszystkie były martwe.

Głóg przemyślał ich dokonania i zdecydował, że Czarne Ćmy są lepszym narzędziem mordu niż terroru. Popracował nad drugim pokoleniem.

Używanie owadów jako szpiegów zajmowało znaczną część jego uwagi, ale zapewniało mu niewyobrażalną liczbę informacji. Mógł obserwować osobę albo zdarzenie z piętnastu czy dwudziestu kierunków, co mu pozwalało na

boską perspektywę. Wkładany wysiłek był mniejszy niż wtedy, gdy używał ssaków, chociaż kontrolowanie rozproszonych stworzeń wymagało dokładnego dostrojenia, za co codziennie płacił stratą mocy i czasu.

W zamian widział wiele różnych rzeczy i teraz rozumiał, że powinien zadbać o to samo przed przypuszczeniem ataku na Lissen Carak. Największą przeszkodą utrudniającą wykorzystanie tych nowych możliwości szpiegowania były stare czary i magia wbudowana w gmachy i pałace możnych, a nawet w pasterskie chaty. Gdyby przypuścił bezpośredni atak, stawienie mu choćby chwilowego oporu wymagałoby potężnych czarów, lecz – do powstrzymania owadów wystarczała tylko wola wioskowej wiedźmy. Co gorsza, nowy wynalazek hermetyczny z Liwiapolis – amulet zapobiegający wlatywaniu owadów do domu, sprzedawany gospodyniom i podróżnym przez uniwersytet – najpewniej ochroni każdy dom w cesarstwie przed inwazją jego stworzeń.

Ale właśnie dzięki takim elementom Głóg czuł, że wybrane przez niego życie i jego droga ku potędze są takie satysfakcjonujące. Tej jesieni rzucono mu wyzwanie, co go zachwyciło, i ciężko pracował, żeby przygotować serię swoich ciosów.

Czekał i obserwował.

Starał się nie wierzyć, że jest czyimś narzędziem.

Patrzył, jak jego jaja rosną i dojrzewają, rozświetlone od środka dziwnym czarnym ogniem, który się opierał jego własnym czarom.

Obserwował cztery statki płynące w górę Wielkiej Rzeki, ich proste maszty i zaokrąglone burty zupełnie obce w świecie drzew. Patrzył na nie z dużej wysokości, krążąc jako sowa, a później jako kruk o rozpiętości skrzydeł sześćdziesięciu stóp. Jego moce zrobiły wielki skok do przodu, a serce biło z odnowioną witalnością. Kiedyś był człowiekiem i przybrał nową postać. Teraz mógł przybierać wiele form i gdy to robił, zmieniało się jego poczucie własnej tożsamości.

To się dzieje naprawdę, pozwalał sobie myśleć.

Miał dostęp do niewiarygodnych ilości *potentia*. Pływał w niej – kąpał się w niej. Z beztronską rozrzutnością konstruował małe i wielkie rzeczy, narzędzia, których miał potrzebować w przyszłości.

Chodził pod różnymi postaciami do stworzeń po obu stronach Morza Wewnętrznego i słuchał. Kilka związała swoją wolą, ale teraz wolał szeptać po parę słów i pozwalać, żeby słodycz jego sugestii sama czyniła cuda.

Obserwował Ghouse. Za każdą chmarą ciem, które unieściła, wysyłał kolejne, aż w końcu mógł ją obserwować przez cały dzień, pod wieloma kątami. Nagą. Ubraną. Pracującą w eterze albo czytającą książkę, gżącą się ze swoim gamoniowatym mężem albo knującą zemstę.

Fascynowała go. Budziła w nim odrazę. Ale była jak idealne narzędzie, stworzone specjalnie po to, żeby pasować do jego ręki. I pragnął jej jako kobiety. Minęło wiele lat, odkąd odczuwał takie pożądanie, i teraz się nim upajał. Powtarzał sobie, że nie jest ono słabością, ale daje mu siłę. Obserwował ją podczas pracy, nagą, gdy w ekstatycznym skupieniu gromadziła *potentia* w eterze i rzucała wielkie krople *ops*, i pragnął jej. Bładoszare ćmy pozwalały mu ją widzieć z dziewięciu stron, gdy niczym tancerka stawała na palcach i jej brzuch poruszał się coraz szybciej w rytm śpiewu...

*Wezmę ją, posiądę i wykorzystam, i będzie mi służyć. Robiąc to, uderzę w króla, sprawię ból Czerwonemu Rycerzowi i zniszczę hrabiego, i wtedy stanę się jeszcze potężniejszy. A kiedy mi się znudzi, wchłonę ją. I będę jeszcze bardziej potężny.*

Był w ciele Mówiącego Językami, więc mógł się uśmiechnąć.

Wciąż chichotał, kiedy znaleźli go posłowie Sossagów.

Byli silnymi mężczyznami, wojownikami, i pałali do niego czystą nienawiścią. I bali się go. Czuł ich strach i wahanie – wyczuł smród ich strachu z takiej odległości, że miał czas stworzyć dom, w którym ich przyjął, i stół, przy którym usiedli, i ogień w kominie – i udoskonalić swoją cielesną powłokę.

Przedstawili się jeden po drugim, a on podziwiał ich odwagę jak człowiek, który kupuje niewolników i podziwia ich siłę.

– Gdzie jest czarnoksiężnik Głóg? – zapytał najdzielniejszy. – Przyszliśmy się z nim rozmówić.

Głóg się uklonił w taki sposób, w jaki nigdy nie ukloniłby się Sossag.

– Ja nim jestem – oznajmił.

– Jesteś jednym z naszych szamanów! – powiedział mężczyzna, który miał na uchu blizny oznajmiające, że uśmiercił dziewięciu wrogów.

Ten najodważniejszy pokręcił głową i ugiął kolano.

– On jest Głogiem. Służyłem mu tej wiosny w wojnie przeciwko Skale.

Stary szaman się uśmiechnął.

– I zawiedliśmy obaj. A ty zabrałeś swoich wojowników i mnie zostawiłeś.

Wojownik pokiwał głową.

– Taka decyzja wydawała się najlepsza, panie. Zostałeś pokonany, a nadto nie byłeś moim panem, lecz tylko sojusznikiem.

– Śmiałe słowa – zauważył Głóg.

– Matrony mnie przysłały, żebym zawarł pokój.

Głóg odsunął na bok warstwy ochronne mężczyzny i wyłuskał jego imię z mętliku myśli.

– Ty jesteś Ota Qwan, który zajął miejsce Tadaja jako najważniejszy wojownik. – Zmienił tembr głosu, żeby mówić tak samo jak Ota Qwan. – Byłeś najdzielniejszym wojownikiem podczas walki u brodu.

Pozostali wojownicy podejrzliwie spojrzeli na Otę Qwana.

Zerknął na nich, a Głóg znalazł ich imiona w jego powierzchniowych myślach.

– Czy Sossagowie oferują te same kłamstwa i zdrady co wówczas na wiosnę? Nie są mi potrzebni. Mam Huranów. – Nie uśmiechnął się, tylko pochylił w ich stronę jak starszy, dowodzący swoich racji. – Ach... byłeś też panem wśród ludzi na południu.

Inni wojownicy odsunęli się od Oty Qwana.

Ten wzruszył ramionami.

– Potężny Głogu, wiemy, że wysłałeś olbrzymy, żeby niszczyły nasze wioski.

Głóg się uśmiechnął.

– Nie.

Ota Qwan odetchnął głęboko. Pozostali popatrywali jeden na drugiego.

– Nie – powtórzył Głóg. – Nie jestem ani trochę człowiekiem, z którym można negocjować. Oto moje warunki. Ty, Oto Qwanie, zostaniesz moim kapitanem. Potrzebuję człowieka, człowieka wojny, który będzie dowodzić moimi siłami. Z braku kogoś takiego poniosłem porażkę pod Skałą. Wśród Huranów nie ma wojownika równie groźnego jak ty. Poza tym znasz południe. W zamian obdarzę cię mocami wykraczającymi nad twoje wyobrażenia. I jeśli chcesz, przestanę karać Sossagów, których tylko jeden krąg chat różni od zwierząt w nieskończonym lesie. Nie pragnę innej kary dla Sossagów jak tylko zostawienie ich samym sobie.

Najmniej odważny z całej szóstki – a był bardzo odważny – skoczył na równe nogi.

– Łżesz! – krzyknął.

Głóg zaśmiał się, wyrwał mu duszę i ją pochłonał. Ciało z łupnięciem upadło na ziemię.

– Kłamanie jest dobre dla słabych – oznajmił. – Ja nie muszę kłamać. Co wy na to? Będziecie mi służyć jako moi kapitanowie?

Ota Qwan zmusił się do uśmiechu. Kiwał głową.

Ten już postanowił mi służyć, ale teraz trochę pozuje, pomyślał Głóg. Ludzie go nudzili.

– Dlaczego miałbym ci służyć? Nie pragnę władzy. – Ota Qwan spojrzał w ludzkie oczy Głoga. – Nie masz nic, czego mógłbym pragnąć.

Kłamiesz, pomyślał Głóg. Znów musnął jego myśli, jak człowiek splatający włosy dziecka, wyczuwający miejsca, gdzie nie zostały rozczesane. Wsunął pasma mocy do jego głowy i odczytał nazwisko.

Orley.

Głóśno się roześmiał. Było tak, jakby spełnienie pragnienia było mu pisanie. Wszystko samo wpadło mu w rękę. A może dokonało tego czarne miejsce?

Już nie dbał o odpowiedź.

Ota Qwan wzdrygnął się, słysząc jego śmiech.

Następny wojownik wyciągnął krótki albański miecz.

Głóg rzucił czary.

Amulet na piersi mężczyzny rozbłysnął i ostrze uderzyło, dobrze uderzyło, odcinając lewą rękę Mówiącego Językami. Trysnęła krew.

Głóg chwiejnie się podniósł, a gdy mężczyzna się złożył do drugiego ciosu, poderwał lewą rękę, bluznął mu krwią w twarz i zablokował, przyjmując miecz na kość lewego ramienia.

Spalił na popiół jego amulet, używając mieszanki drobnych czarów, które zaprojektował do niszczenia takich rzeczy. Głupio, że zapomniał, że ci potężni wojownicy będą mieli pewną ochronę.

Dotknął ramienia mężczyzny i rzucił łagodną klątwę, która podrażniła wszystkie nerwy w jego skórze. Co do jednego.

Mężczyzna upadł z wrzaskiem i zaczął się miotać, nie bacząc na to, co się dzieje z jego ciałem – rozbił głowę i wywichnął ramię, gdy stracił panowanie nad wszystkimi funkcjami. Jego wrzask trwał nieprzerwanie, jeden krzyk nakładał się na następny jak gonty na dachu. Pozostali czterej Sossagowie pobledli.

Głóg podniósł odciętą rękę i przyłożył ją do kikuta. Uzdrawianie było najslabszą z jego umiejętności, ale nie pokazał tego po sobie. Rozrzutnie poświęcił całodzienny zapas mocy, żeby połączyć rękę z ramieniem, chociaż była to tylko postać, którą nosił jak pelerynę.

Sossagowie zadrżeli.

– Czy nie jestem podobny bogu? – zapytał Głóg konwersacyjnym tonem. –



Jeśli któryś z was chciałby mnie zabić, jestem gotowy. Do waszych usług, jak mawiają ludzie. – Wrzask ofiary przerywał jego wypowiedź. – Torturujecie jeńców, przecież wiem. Robicie to, żeby dowiedli swojej odwagi. Cóż, ten nie zdał egzaminu, nieprawdaż? – Uśmiechnął się.

Mężczyzna na podłodze opróżnił pęcherz i jelita, i wciąż się miotał, wrzeszcząc teraz nieprzerwanie, jak gdyby wcale nie oddychał. Przysunął głowę do marmurowego stołu, na którym leżały jaja, i ręką dotknął tego prawego. Na ich oczach został unicestwiony, rozsypał się w proch.

Jajo rozbłysło – wystrzeliło z niego purpurowo-czarne światło – i zgasło.

Nawet Głóg był zaskoczony. Podeszedł do jaj, przystanął, żeby przybrać swoją najbardziej opancerzoną postać, i uważnie spojrział we wszystkich spektrach, z jakich mógł korzystać.

Jaja piły *potentia*. Niczego nie wydzielają.

Głóg poznał dreszcz strachu i odsunął się od nich tyłem. Nie śmiał okazać lęku przed swoimi potencjalnymi sługami, nawet on, więc zmusił się do okrutnego śmiechu.

– Fascynujące – powiedział głośno. Odwrócił się, trzymając ręce, szkieletowe gałęzie drzewa, z dala od jaj.

Czterech Sossagów zbiło się w kącie chaty. Wokół nich trzepotało tysiąc ciem.

– Ktoś jeszcze? Wszyscy możecie odejść. Ale jeśli zostanieie, uczynię was wielkimi. – Pokiwał głową.

Ota Qwan westchnął, jak gdyby rozstawał się z czymś, co uważał za cenne.

– Jeśli będę ci służyć, panie, czy będziesz trzymać swoją rękę z daleka od Sossagów?

Głóg pokiwał głową.

– Jeśli będziesz mi służyć wiernie.

– Czy dasz mi Muriena? Hrabiego Północy? – zapytał Ota Qwan. Żądza, która w nim wybuchła, przypominała ćmę wykluwającą się z poczwarki. Naga żądza zemsty – oto był prawdziwy człowiek.

– Więcej, rozkażę ci go pojmać. To będzie twoje pierwsze zadanie. Kiedy je wypełnisz, będziesz mógł z nim zrobić, co tylko zechcesz. – Głóg znowu pokiwał głową.

Najwyższy z trzech wojowników był również najmłodszy. Trząsł się ze strachu, a jednak stał wyprostowany. Wyszedł z chmary ciem otaczających Otę Qwana.

– Nie będę ci służyć – oznajmił. – Nie mam odpowiedniej siły ramienia i rozumu, żeby cię skrzywdzić, a-a-ale n-n-nie będę ci służyć.

Głóg patrzył na niego niewzruszenie. W obecnej postaci nawet bełt z maszyny oblężniczej nie zaszkodziłby mu zbytnio. Wiedział o tym z doświadczenia.

– Oto Qwanie? – zapytał.

– Zwij mnie Orley – powiedział mężczyzna i przebił puginałem młodego wojownika. Odwrócił się w stronę ostatniego, Sossaga z Zachodnich Drzwi zwanego Guire’lon, gdy pięty młodszego mężczyzny jeszcze bębniły po skale, jakby próbował uciec przed śmiercią. – Idź i powiedz, że Ota Qwan umarł, oddając życie za Ludzi. Powiedz to mojej żonie. Powiedz matrom. – Rozciągnął usta w strasznym, krzywym uśmiechu. – Od tej chwili jestem Kevinem Orleyem.

## **Ticondaga – Giannis Turkos**

Turkos opuścił wielką fortecę ani trochę bardziej szczęśliwy, niż do niej przybył, i jak najszybciej ruszył na północ. Poprosił hrabiego, żeby go wsparł przeciwko Północnym Huranom, a hrabia z sobie wiadomych powodów odmówił. Kazał mu się wynosić z jego ziemi.

Zbliżała się zima, trzydniowe deszcze przemoczyły lasy. Turkos zmarzł, zanim przepłynął przez rzekę, wyruszywszy z potężnie ufortyfikowanego fortu, który strzegł bramy rzecznej wielkiego zamku. Wiosłował na drugi brzeg, znoszony prawie milę przez wezbrany jesienny nurt, dobił do brzegu i zawrócił do wioski pełniącej rolę północnej przystani. Stało tam ze czterdzieści chat i chałup zamieszkałych przede wszystkim przez wyrzutek z tuzina zamurzańskich klanów albo mężczyzn i kobiet bez przynależności klanowej. Murienowie trzy pokolenia temu podporządkowali sobie Zamurzan i obecnie żelazną ręką władali północnym brzegiem na odcinku stu mil i jeszcze większą połacią na południowym brzegu. Wielu Południowych Huranów nawet z wolnych wiosek i zamków słuchało Ticondagi, służyło w najazdach i wysyłało wodzów i matrony do ognisk rady na wielkiej łące u stóp fortecy.

Dla Turkosa sytuacja Huranów stawała się koszmarnym przykładem rozdarcia wewnętrznego.

Z informacji – zbieranie informacji było jego obowiązkiem – wynikało, że Galowie, kto by pomyślał, dotarli w wielkiej sile do Północnych Huranów. Chodziły słuchy, że wielki czarnoksiężnik przeniósł się na ziemie Sossagów.

Ghause, niebezpieczna żona Hrabiego Północy, podała jego imię. Głóg.

Relacje pomiędzy Północnymi i Południowymi Huranami robiły się coraz bardziej skomplikowane.

Turkos spędził popołudnie w wioskowym długim domu, słuchając, opowiadając i pisząc listy do innych ludzi takich jak on. Wynajął w wiosce posłańców i wysłał ich z zaszyfrowanymi wiadomościami.

Później pojechał na zachód wzdłuż rzeki, jak najszybciej, mając trzy konie na zmianę, prowiant na dwadzieścia dni i dwa duże czarno-białe ptaki. Będąc oficerem cesarza, miał obowiązek składać meldunki.

W lasach panowała dziwna cisza. Przez dwie noce kładł się spać w deszczu; po pięciu deszczowych dniach z rzędu musiał skorzystać ze swoich niewielkich umiejętności hermetycznych, żeby rozpaścić ogień.

Wioska zwana Napanha leżała w miejscu, gdzie błotnisty przez sześćdziesiąt mil północny brzeg rzeki, która omywała setkę wysp i tyle samo bagien, robił się twardy po raz ostatni przed jej ujściem do Morza Wewnętrznego. Wioska nie należała ani do Sossagów, ani do Huranów – mieszkańcy pochodzili z różnych zamurzańskich plemion i ogromnie sobie cenili swoją niezależność. Przetrwali oblężenie Murienów. Dotarcie do Napanha zajęło Turkosowi pięć dni forsownej jazdy i kiedy więc oporządził konie, padł na prymitywną ławę do spania blisko otwartego paleniska w długim domu i spał przez dwanaście godzin. Po przebudzeniu zjadł cztery miski gulaszu z dziczyzny i zapalił fajkę z naczelniczką wioski.

Głośno wypowiedziała imię Głoga.

W długim domu zapadła cisza.

– Nie wywołuj wilka z lasu – mruknął ktoś spod krokwi, gdzie nie docierało ani ciepło, ani światło. – Nie wywołuj wilka.

– Przymknij się, stary – warknęła naczelniczka Skaczący Pstrąg.

– Święta Wyspa była dla wszystkich – wymamrotał mężczyzna. – Teraz magia jest stamtąd wysysana jak przez zaczarowaną pijawkę i niebawem zaczęną podążać za nią nasze dusze, aż wszystko stanie się czarne i martwe.

– Widzisz, z czym się muszę użerać – powiedziała Skaczący Pstrąg i pokręciła głową. – Ci z talentem odczuwają to gorzej. Święta Wyspa leży tylko jakieś dwieście mil stąd, przez wodę. Łądem oczywiście jest znacznie dalej.

Później Turkos sięgnął własną sztuką. Prawie natychmiast poczuł pustkę i osamotnienie. Opadło go przelotne wrażenie, że ćmy wirują we mgle.

Turkos nie dysponował dużymi mocami, ale został dobrze wyszkolony. Zamaskował swoje dzieło i w bujnym ogrodzie pamięci zaznaczył swoje po-

łożenie w odniesieniu do trzech latarni wszechświata, a potem wykreślił wektor ku pustce.

Po kolejnym posiłku i następnych dwunastu godzinach snu ruszył na zachód w strugach jesiennego deszczu, nie oszczędzając koni ani siebie. Szlak wydeptany przez pięćdziesiąt pokoleń Sossagów, Abenaków i Kri był dość szeroki, żeby koń mógł go znaleźć nawet w ciemności – co nie znaczy, że Turkos był dość głupi, żeby podróżować po zmroku.

Trzeciego dnia po wyjeździe z Nepanha dostrzegł Ruków za szerokimi na ponad milę bobrowymi moczarami. Z początku pomyślał, że to Wielkie Bobry. Gdy podjechał bliżej, pilnie przyglądając się podłożu nie tylko dla własnego dobra, ale też wszystkich swoich koni, zdał sobie sprawę, że to nie zmyślne leśne giganty. Była to ich brudniejsza, bardziej człekokształtna odmiana. Wycofał się jak najszybciej, niemal tracąc konia w głębokim błocie.

Trzech Ruków go spostrzegło, kiedy był prawie bezpieczny, i rycząc swój okrzyk myśliwski, wyruszyło w pogoń. Prędkość, z jaką olbrzymy przebiegały bagno, mogła dorównać tylko zaciekłości, z jaką się przedzierały przez gęste krzaki, które dla ludzi stanowiłyby nieprzebytą barierę.

Turkos napiął swój wschodni łuk, przeklinając pogodę i wszystkich czar-noksiężników i żałując, że nie ma przy sobie partnera. Albo swojej żony.

Przesiadł się na drugiego konia i jechał na zachód wzdłuż strumienia, którego wysokie brzegi zapewniały dobrą trasę ucieczki. Strumień wypłynął na długą łąkę, gdzie przyśpieszył do cwału, stojąc w strzemionach i patrząc na ziemię pociętą przez kanały wyżłobione wiosennymi roztopami. Jechał jak cyrkowiec, zachęcając konie krzykiem i gwizdami.

Jechał brzegiem starego stawu bobrowego, kiedy zobaczył trzech Ruków. Zawrócił wierzchowca i wypuścił trzy strzały, ale nie czekał, żeby zobaczyć wynik. Znowu popędził na zachód.

Problem z Rukami polegał na tym, że choć nie byli szczególnie dobrymi tropicielami, nigdy nie rezygnowali z pościgu. Powiedzenie „uparty jak Ruk” nawiązywało do ich skłonności tropienia ofiary, dopóki jej nie zabiły, bez względu na przeszkody czy nadarzające się inne okazje.

Turkus znalazł następny szlak, też biegnący na linii wschód-zachód. Rzucił mały czar, żeby określić lokalizację latarni Akademii, zdecydował, że jest tak blisko, jak trzeba, po czym rzucił kolejnego szukacza, tym razem na sposób swojej żony, maskując własne techniczne umiejętności zamurzańskimi czarami. Kiedy miał wektor i nieprzyjemne wrażenie nawiązania kontaktu z czymś niesamowitym, poprowadził zapasowe konie trzy mile na wschód no-

wym szlakiem, zostawił je i zawrócił wierzchowca. Jechał ostrożnie, trzymając strzałę na cięciwie. Miał nadzieję, że po wcześniejszych strzałach Rukowie okażą się mniej śmiali na otwartym terenie. Przystanął w miejscu, gdzie dotarł do szlaku, wyjął z sakiewki trzy ufarbowane cynobrem pióra, przywiązał je do misternej siatki z czerwonej przędzy, rzucił wszystko razem na krzak i dodał urok. Pod urokiem nie było żadnych czarów, ale dla niedoświadczonego talentu całość mogła wyglądać na pułapkę.

Siedział na wierzchowcu w lekkim lodowatym deszczu i czekał za niedawno obalonym świerkiem, w kapturze na bobrowej czapce, z zieloną peleryną naciągniętą na łuk, który przyciskał do ciała, żeby ogrzewać cięciwę.

Kiedy usłyszał Ruków, rzucił iluzję, żeby zamaskować swój zapach.

Czekał, dopóki nie weszli na szlak ledwie o długość długiego domu od niego. Obserwował ich, gdy przystanęli, żeby obejrzeć pióra. Zgromadzili się wokół krzaka.

Stanął w strzemionach i kolejno wypuścił strzały, które miał w palcach lewej ręki – pięć chyżych pocisków z haczykowatymi grotami. Pierwsze trzy były zatrute.

Trafieni Rukowie nawet nie stęknęli. Odwrócili się jak jeden mąż i z rykiem podjęli pogoń.

Jeszcze cztery razy strzelił nad końskim zadem, a potem ich zgubił. Nie byli tak szybcy jak koń. Gdy dotarł do jucznych, zostali daleko za nim, chociaż nie zaprzestali pościgu.

Pojechał na wschód. Galopował, dopóki konie nie zwolniły biegu, i jechał stępa, powoli, ale przez całą noc. Wyjaśniła się cisza panująca w lasach – kiedy Rukowie hulają po świetle, inne duże zwierzęca zachowują ostrożność.

Świt sprowadził jasne słońce. Turkos napił się wody ze strumienia tak zimnego, że rozboleły go zęby, i podjął jazdę na wschód. Minął spaloną wioskę, wyraźnie zniszczoną przez Ruków. Jakiś czas później natknął się na kolejną.

Wieczorem szlak gwałtownie się urwał w głębokim bagnie na skraju Morza Wewnętrznego. Skręcił na północ, chcąc objechać moczary, i znalazł dwa kanu, lecz żadnej ścieżki ani twardego gruntu.

Tuż po zmroku usłyszał charakterystyczne trzaski od strony, skąd przybył. Załadował rzeczy do łodzi i uwolnił juczne konie. Lubił swoją klacz pod siodło i próbował ją zwabić do czarnej wody. W końcu weszła, gdy zaczął wiosłować, i popłynęła za nim. Widział, że długo nie wytrzyma, i rozpaczliwie szukał suchej ziemi w ciemności.

Dwa razy musiał balansować łódką, żeby położyć rękę na głowie klaczy i

podzielić się z nią swoim zapasem *ops*. Gdy wzeszły czyste, zimne gwiazdy, w końcu usłyszał szum gnanych wiatrem fal i klacz wyskoczyła z wody, zanim zdążył dobić do brzegu. Nie była uszczęśliwiona, znalazłszy się na skalistej wysepce zapewniającej marne schronienie i bez jednego źdźbła trawy, ale nie utonęła, a on zachował wszystkie swoje rzeczy. Rozpiął nad nią mały wełniany namiot, a kiedy wyschła i się rozgrzała, położył ją, naciągnął wszystkie koce na nią i na siebie, i przytulił się do jej grzbietu. Nakarmił ją owsem z ręki.

Oboje spali, dopóki nie zapała się o niego, żeby wstać. Gdy tylko się ocknął, usłyszał Ruków. Chlupotanie napływało z szarej mgły, która zasnuwała świat, i opadł go strach, wielki strach. Nie miał pojęcia, jak dobrze olbrzymy sobie radzą w głębokiej wodzie. Czy umieją pływać? Niewiele o nich wiedział – nigdy nie był ścigany, tylko o tym czytał.

Klaczka stała i drżała, gdy jak najszybciej rolował koce, składał namiot i pakował ekwipunek. Plusk nie ustawał, zdawało się, że Rukowie otaczają go ze wszystkich stron.

Wpadł mu do głowy pewien pomysł. Wyjął strzałę z kołczana i użył jej jako podstawy czaru znajdującego o bardzo małym zasięgu.

Gdy tylko rzucił czar, poczuł wszystkich trzech, każdego wciąż z jedną strzałą w ciele. Najszersza luka pomiędzy olbrzymami była na wschodzie, więc wsiadł do kanu i powiosłował w tamtą stronę. Klacz przez długi czas stała na wysepce, nim z końskim krzykiem paniki wskoczyła do wody i popłynęła za nim.

Mgła zgęstniała. Turkos wiosłował co siłą, modląc się do Świętej Maryi Panny i wszystkich świętych, żeby chronili jego i konia przed zimnem, wodą i olbrzymami.

## **Liwiapolis – Czerwony Rycerz**

Ser Michael prowadził dziennik od początku oblężenia Lissen Carak. Obecnie zamiast notesu miał księgę oprawioną w ciemnoczerwoną skórę, zakupioną z przywróconej mu ojcowskiej pensji na jednym z niezliczonych bazarów w Liwiapolis. Postanowił policzyć dni od pierwszego kontraktu i kontynuować. Ponieważ nie planował z nikim się dzielić zapiskami, prowadził je po swojemu.

*Dziennik wojskowy – dzień sto jedenasty*

*Kłęska floty etruskiej spowodowała skutki zapowiedziane przez kapitana, pomimo że nie udało nam się zwabić żadnej części eskadry do arsenału, bo Bezgłowy za wcześnie wystrzelił z jednej ze swoich cennych machin. Przejeźliśmy jedną zbytnio śmiałą galerę, tym samym podwajając liczbę okrętów we flocie cesarskiej. Wzięcie do niewoli Ernsta Handala, etruskiego kapitana, doprowadziło do tego, czego nie zapewniłaby jego śmierć – do niemal zupełnej kapitulacji Etrusków. Handalo jest senatorem z dalekiej Weniki. Najwyraźniej zaczął negocjować pokój w swoim imieniu. Bliżej naszego podwórka: nasze małe zwycięstwo zrodziło trochę dobrej woli, a może, jak lubi mawiać kapitan, stworzyło tylko podwaliny dobrej woli. Kapitan uwolnił wszystkich naszych jeńców z bitwy pod murami; ustalił z księżniczką Ireną, że nie będą sądzeni za zdradę. Jeśli w konsekwencji rycerze Morei pokochali naszą łagodność, to są wyjątkowo wprawni w ukrywaniu swoich uczuć. Jednakże bramy są otwarte, podobnie jak targowiska, i trwają żniwa.*

*Co być może najważniejsze, z gór zaczęły do nas docierać karawany, które przebyły Morze Wewnętrzne i krainę jezior. Kapitan ma plany dotyczące handlu futrami i Harndonu. Skoro o tym mowa, zaciągnął pożyczki pod zastaw naszych zysków, żeby wypłacić żołąd, co w znacznej mierze uciszyło narzekania. I na koniec, jak się zdaje, nasze zwycięstwo zyskało nam sympatię patriarchy i uniwersytetu. Kapitan ma się spotkać z patriarchą w sobotę po mszy. Zbiorowo trzymamy kciuki.*

Ser Michael się wyprostował i oblizał palce z atramentu.

Kaitlin weszła i ciężko się o niego oparła.

– Mógłbyś nosić tego małego bękarta chociaż przez tydzień, żebym mogła odpocząć? – zapytała.

Ser Michael odwrócił głowę.

– Proszę, nie nazywajmy naszego dziecka bękartem.

– Jest bękartem, przecież wiesz. – Uśmiechnęła się.

Był to miły uśmiech, nie złośliwy, a jednak Michael wiedział, o co jej chodzi. Obiecał jej małżeństwo, a ona, dziewczyna ze wsi, obecnie była postrzegana jako jego dziwka.

– W takim razie wyjdź za mnie – powiedział.

– Kiedy? Gdzie? I naprawdę nie mam co na siebie włożyć.

– Wybacz, kochanie – powiedział i objął ją w talii. Przytulił ją, żeby poczuć jej pęczniący brzuch. – Przepraszam, byłem zajęty. – Chryste, za brzmiało kulawo. – Krąży plotka, że rycerze Świętego Tomasza wysłali do nas kapelana – dodał. – Może udzieli nam ślubu, kiedy się zjawi?

Ciężko usiadła mu na kolanach. Jeszcze nie miała zbyt dużego brzucha, ale czuła się wielka jak koń, brzydka i zaniedbana, stanowiąc diametralne przeciwieństwo szczupłych, eleganckich, wyperfumowanych moreańskich dam, które codziennie widywała na targu.

– Kiedy poprosiłeś mnie o rękę, wyobrażałam sobie ślub w katedrze i że będę wyglądać olśniewająco. Jakoś tak mi się pomyślało.

– Mój ojciec nie powiedział nie, ale też zdecydowanie nie powiedział niczego miłego. – Ser Michel przez chwilę spoglądał w okno.

Prawdę mówiąc, pomyślał, brak wiadomości z domu jest raczej złowiesz-

czy. Dostałem jedną pensję, a później nic. I nie ma odpowiedzi na moje listy.

– Kapelan mógłby dać nam ślub? Ustalić datę? – zapytała. – Myślę... Myślę, że wolę wyjść za mąż z wielkim brzuchem niż wcale.

Pocałował ją.

– Zapytam kapitana.

– Diuka – poprawiła.

Po chwili milczenia zapytał:

– Co to znaczy?

Kaitlin była w koszarach zarówno damą jego serca, jak nisko urodzoną Albanką. Słyszała rzeczy, które nie docierały do niego. Postrzeganie za dziwkę ser Michaela miało dobrą stronę – kobiety, które nie śmiałyby podejść do żony ser Michaela, z radością dzieliły się z nią grzanym winem.

Wzruszyła ramionami.

– Lubi być zwany diukiem, prawda? Łucznicy tego nie cierpią. Narzekają, że przecież kiedyś był jednym z nich.

Michael pokręcił głową.

– Słodki Jezu, kochanie, jest synem Hrabiego Północy; urodził się w większym czepku niż ja. Nigdy nie był jednym z nich. – Ale gdy tylko powiedział te słowa, pomyślał o kapitanie strzelającym z łuku albo walczącym w zagrodach dla owiec w Lissen Carak przed rozpoczęciem oblężenia. Nie brakowało mu umiejętności nawiązywania kontaktu z prostymi ludźmi.

Pocałowała go.

– Nie obrażaj się na mnie, kochanie. I nie kładź, błagam, powalanych atramentem rąk na mojej jedynej schludnej sukni, w którą się mieści mój brzuch. Ręce precz!

Zsunęła się z jego kolan.

– Tylko mu powiedz.

Ser Michael pokiwał głową.

Diuk Tracji siedział w swoim nowym biurze w koszarach Athanatoi i czytał, przedzierając się przez górę korespondencji. Odesłał swojego moreańskiego sekretarza o imieniu Atanazjusz do pomocy mistrzowi Nestorowi, dżentelmenowi idealnemu, który jak się zdaje znał wszystkich na dworze. Diuk podejrzewał, że Atanazjusz szpieguje go na polecenie księżniczki, ale nie miał przed nią niczego do ukrycia i wołał nie drążyć tej sprawy.

– Nie mogę tego przeczytać... Nestorze?

Kompanijny skarbnik przesunął do tyłu czarną czapkę i skubnął rękawy.



– Wielmożny diuku, kolejny list od królowej Alby, która oskarża cię o zaniedbanie, ponieważ nie odpowiedziałeś na jej zaproszenie na turniej.

– Adresowane do kogo?

– Do wojownika zwanego się Czerwonym Rycerzem – odparł Nestor, czytając napis na zewnętrznej stronie zwoju.

– Zwróć z powodu niepoprawnego adresu – polecił diuk. – Racz uprzejmie ją powiadomić o moim obecnym tytule. Daj mi trochę czasu.

– Pakiet meldunków od naszych lotnych oficerów wśród Zamurzan – zameldował Atanazjusz. Trzymał plik cienkich karteczek, najwyraźniej dostarczonych przez cesarskie ptaki kurierskie.

Diuk się na nie rzucił. Wziął papiery i popatrzył na moreańskiego sekretarza.

– Zdaj nowemu diukowi krótkie sprawozdanie o swoich kontaktach z Zamurzanami – polecił.

Atanazjusz pokiwał głową.

– Panie, mamy kilka tuzinów wśród plemion i ludów na zewnątrz Muru.

– Na wysokości cesarskiego Muru czy na całej długości? – zapytał ostro Megas Ducas. – W albańskiej części?

Atanazjusz wzruszył ramionami.

– Panie, obaj jesteśmy inteligentnymi ludźmi. Muszę cię prosić o jaśniejsze instrukcje, jeśli mam podać konkretną odpowiedź. Chyba to odgadujesz z mojego wahania.

Diuk się uśmiechnął.

– Jeśli ci podziękuję za szczerość, który z nas wyjdzie na kłamcę?

Drzwi się otworzyły i można było zobaczyć ser Michaela śmiejącego się bezgłośnie w holu. Dryg, pełniący straż przed drzwiami, szczyrzył zębami..

– Michaelu! Zechcesz na powrót zostać moim uczniem? Czuję potrzebę przedyskutowania pewnych planów. – Diuk się uśmiechnął i pociągnął łyk letniego wina.

Michael przyłożył rękę do piersi w udawanym szoku.

– Chcesz przedyskutować ze mną swoje plany? Panie, jesteś chory? – Pokręcił głową. – Z rozkoszą. Sam też chciałbym omówić parę rzeczy.

– Mów – powiedział kapitan.

– Czy nasz kapelan jest w drodze?

– Zjawi się lada dzień. Przybyło dwóch posłańców od wielkiego przeora. Przypuszczam, że dostajemy czarną owcę, żeby pasowała do naszego stada. – Wzruszył ramionami. – Skoro muszę mieć księdza, to chyba trzeba go przy-

jąć.

– Przyjdiesz na mój ślub? – zapytał Michael prosto z mostu.

Dwóch sekretarzy pracowało, udając, że są meblami.

– Z nadobną Kaitlin? – Diuk wyszczerzył zęby. – Oczywiście. Gdzie?

– Do koszarowej kaplicy? – zapytał z wahaniem ser Michael.

Czerwony Rycerz szeroko się uśmiechnął.

– Czy mam prowadzić ją do ołtarza? – zapytał z lubieżnym uśmiechem.

Michael zareagował jak każdy młody mężczyzna, czyli gniewnym spojrzeniem, i ich spojrzenia skrzyżowały się jak miecze, ale obaj się roześmieli.

– Planujesz jakieś zakupy? – zapytał kapitan. – Złotogłów dla panny młodej? Michaelu, twój ojciec się wścieknie.

– Mógłbyś dać mi zaliczkę? – zapytał ser Michael. Prośba wypadła dziwnie, bo kapitan zdecydowanie był za młody, żeby być jego ojcem i płacić za niego rachunki. Czuł się niezręcznie i uciekł oczami. – I powinienem na początku wspomnieć, że według Kaitlin wielu chłopaków nie lubi używać twojego nowego tytułu – dodał.

Diuk skinął na Toby'ego, żeby mu nalał wina, i rozparł się na krześle.

– Kiedy sami zdobędą księstwa, też będą mogli popisywać się tytułami.

– Jesteś pijany?

Kapitan dolał więcej wina.

– Być może – odparł uprzejmie.

– Słodki Jezu, panie... – Michael urwał i popatrzył na kapitana, naprawdę mu się przyjrzał. Miał ciemne kręgi pod oczami, a same oczy wyglądały staro.

Jego kapitan, jego opoka pewności, wyglądał na człowieka, który się boi. Jest zatroskany. Zły.

– O co chodzi? – zapytał Michael.

Kapitan spojrzał na niego spod przymrużonych powiek.

– O nic – mruknął, ale wyraz jego twarzy się zmieniał, jakby mięśnie szczęki żyły niezależnym życiem. – Poradzę sobie.

– Więc coś jest nie w porządku.

– Mój napierśnik jest podziurawiony jak stara poduszka do igieł i nie mam czasu zajrzeć do płatnerza – powiedział diuk. – To pierwszy problem na liście. Aha, mamy w mieście trzysta czy czterysta tysięcy ludzi, ale mniej niż dwa tysiące żołnierzy do pilnowania porządku i trzymania murów. Mieszkańcy nam nie ufają i w tym pałacu jest tylu szpiegów, że być może każde moje słowo, które do ciebie mówię, trafia prosto do ucha byłego diuka, do Eskepi-

lesa, i do wszystkich ich popleczników. Cena zboża wzrasta, Etruskowie żądają ustępstw handlowych, bo inaczej nie zdejmą blokady. Od dwóch tygodni nie dostałem listów z Alby i księżniczka uważa mnie za narzędzie, nie za mężczyznę czy rycerza. – Napił się wina. Toby podszedł i wyjął mu kubek z ręki. – Po stronie plusów, żenisz się, co oznacza ucztę weselną, a na wszystko co święte, naszej kompanii potrzebna jest biesiada.

– Mógłbyś przestać nazywać się diukiem? – zapytał ser Michael.

– Nie. Jesteśmy w Liwiapolis i tutaj panują takie obyczaje. Jeśli nie będę dorastać do roli, nikt nie potraktuje mnie poważnie. – Popatrzył na byłego giermka. – Jesteś człowiekiem myślącym, Michaelu. Czy kiedykolwiek się zastanawiałeś, czym naprawdę jest zwycięstwo i klęska? To pojęcia, jak sprawiedliwość. Różne rzeczy dla różnych ludzi. Tak?

– Jestem pewien, że mojemu guwernerowi udało się wspomnieć o tym parę razy – odparł Michael. Wychylił drugi kubek wina.

Toby nacierał olejem drzewce pięknego szpontonu, długiej, ciężkiej broni z grotem zaopatrzonym w haki poniżej ostrza. Była wyjątkowa z uwagi na to, że kapitan ją dostał od smoka i że drzewce wydawało się zrobione z laski czarodzieja Harmodiusza.

Diuk się roześmiał.

– Mój też. Chodzi mi o to, że jeśli będziemy wyglądać na zwycięzców, wygramy. Jeśli będziemy wyglądać na przegrywających, z pewnością poniesiemy klęskę. Tak to już jest wśród ludzi. Muszę być diukiem, żeby wymusić posłuszeństwo Moreańczyków i zbudzić w ich sercach wiarę, że poprowadzę ich do zwycięstwa.

– Wcale nie jesteś pijany – stwierdził ser Michael.

Diuk się pochylił, wyjął włócznię z rąk Toby'ego i skoczył na równe nogi. Pchnął, wywinął bronią w powietrzu, kreśląc skomplikowanego motylka, złożył się i przeciął świecę na pół, a potem drugą.

– Uwielbiam to maleństwo.

Toby wyszczerzył zęby.

– Lubię towarzystwo – podjął kapitan. – Jest tyle zabawy i chcę z niej korzystać. Cały czas, jeśli to możliwe. – Wyszczrzył zęby, zamachnął się i przeciął brązowy świecznik. – Psiamać – mruknął.

– Cofam moje słowa. Jesteś pijany – powiedział Michael. – Cudowny Święty Jerzy, przeciąłeś brązowy lichtarz gruby na cal.

Diuk się pochylił i obejrzał lustrzaną płaszczynę przecięcia.

– W istocie – potwierdził.

Wyszczерzyli do siebie zęby. Diuk skrzyżował ręce w gardzie zwanej oknem i jeszcze raz się zamachnął na świecznik. Ostrze czysto przecięło brąz. Michael sięgnął po odcięty kawałek i się wzdrygnął.

– Gorący – powiedział. – Mogę spróbować?

Wziął broń, spodziewając się wstrząsu, ukłucia zatrutej igły albo jakiejś innej nieziemskiej kary, ale nic się nie stało. Ciął – i ostrze zadzwoniło o podstawę świecznika. Świecznik poleciał przez pokój, mocno wgięty.

– W każdym razie jest hermetyczny.

Diuk przewrócił oczami.

– Biorąc pod uwagę źródło... – powiedział. – Słuchaj, mnie też się przyda uczta. Albo walka. Albo jedno i drugie. Jutro mam się spotkać z patriarchą, a później pójdziemy na bazar i kupimy parę rzeczy. Ładnych rzeczy.

Michael się uśmiechnął.

– Dzięki, panie. I zgadzam się co do walki. – Skinął w stronę okna. Chłopcóm też dobrze zrobi. Niedługo zaczną się bić między sobą.

Diuk pokiwał głową.

– Możesz spełnić swoje życzenie. Dziś wieczorem trochę się zabawimy. – Wzruszył ramionami. – Miej broń pod ręką.

Ser Milus pokręcił głową.

– Kapitan wypuszcza całą trójkę na przepustkę? Podczas gdy reszta musi siedzieć w zamknięciu?

Nie warczał, ale Osiełek, łucznik kapitana, się cofnął. Jak Zły Tom, ser Milus był siłą, z którą należało się liczyć i unikać wchodzenia jej w drogę.

Kapitanowi też lepiej było się nie sprzeciwiać, więc trzech łuczniczy stali w milczeniu, podczas gdy ser Milus im się przyglądał. W końcu podał przepustki Bezgłowemu, który je sprawdził, sylabizując bezgłośnie. Była to demonstracja całkowicie *pro forma*, jako że z przepustek zwiślała pieczęć kapitana i fałszerstwo nie wchodziło w rachubę.

– Myślałby kto, że jeśli kapitan pozwala, żeby tylko trzech ludzi wyszło się napić poza pałacem, powinien wybrać trzech czystych i dobrze ubranych – powiedział Milus, muskając palcami wyświechtany wams Długiej Łapy.

Długa Łapa chciał powiedzieć, że czeka go pracowity wieczór i nie chce zniszczyć porządných rzeczy w walce, ale obowiązywały ich ścisłe rozkazy dochowania tajemnicy, dlatego stał w milczeniu.

Ser Milus się skrzywił.

– Pójdę, kurwa, powiadomić bramę – mruknął, po czym wyszedł z cichym

grzechotem i szczękiem człowieka w pełnej zbroi.

– Jest wkurzony, bo to nie jego służba – wyjaśnił Bezgłowy swoim kompanom. – Ser Alkajos jest na liście, ale się nie zjawił, żeby zluzować jaśnie pana.

Wszyscy stanęli na baczność, gdy do wartowni wszedł Zły Tom, zapowiedziany przez poskrzypywanie bigwantów.

– W porządku. Jesteście wolni. Wypijcie za moje zdrowie, psie syny.

Pojawił się ser Milus. Tom coś mu szepnął i gburowata twarz chorążego pojaśniała. Cofnął się i pokiwał głową.

– Idę spać – oznajmił ciut za głośno.

Trzej łucznicy zasalutowali i szybko wyszli z wartowni na oświetlony pochodniami Zewnętrzny Dziedziniec, żeby Zły Tom nie zmienił zdania.

Przeszli przez bramę, wymienili hasło i odzew z pełniącymi służbę Nordykanami. Osiełek i Dryg natychmiast ruszyli przez Wielki Plac, gdzie Długa Łapa się od nich odłączył.

– Rób taką minę, jakbyś był pod wielkim wrażeniem – syknął Osiełek. – Nie możemy wyglądać na zbyt pewnych siebie.

Przez jakiś czas chodzili od posągu do posągu, aż Osiełek zyskał pewność. Dryg stał z kciukami za pasem, podziwiając statuetkę nagiej kobiety z mieczem.

– Ktoś nas śledzi – oznajmił Osiełek z satysfakcją. – Idziemy.

Godzinę później siedzieli w gospodzie oświetlonej przez lampy, słuchając czterech muzyków grających na moreańskich instrumentach. Obcy łucznicy nie znali ich nazw, ale muzyka im się podobała, podobnie jak zabiegi dwóch młodych kobiet.

W gospodzie panował tłok – zaskakująco duży jak na tę późną porę.

Dziewczyna Dryga stawała się coraz bardziej natarczywa i łucznik z niemym błaganiem popatrzył na swojego towarzysza. Osiełek powiódł dokoła wzrokiem i wzruszył ramionami.

– Wytrzymaj jeszcze trochę – poradził.

Ktoś za plecami Osiełka szepnął:

– Idźcie z dziewczynami.

Kiedy odwrócił głowę, nikogo tam nie było.

Osiełek pochylił się w stronę Dryga i dał mu znak. Dryg wyszczerzył zęby. Zsadził dziewczynę z kolan, rzucił srebrnego lamparta muzykom i pozwolił się wciągnąć po rozchwierutanych schodach na galerię z maleńkimi pokojami za fantazyjnie zdobionymi drzwiami.

Dziewczyna złapała Osiełka za rękę i niemal go powlekła, mijając muzykantów. Starszy robotnik w zmiętym słomkowym kapeluszu mruknął zaskakująco dobrze po albańsku:

– Szczęśliwy sukinkot.

Osiełek do niego mrugnął i wbiegł po schodach.

Długa Łapa naciągnął kapelusz nisko nad oczy, zapłacił za wino i smyrnął za sznury koralików, które pełniły rolę głównych drzwi.

Na ulicy przed gospodą nie było tłoku, ale kilkunastu mężczyzn, wszyscy z mieczami, opierało się o węgły i kolumny. Długa Łapa szedł przygarbiony, wlokąc za sobą nogi.

Jeden z zabijaków wpadł na niego, mocno i specjalnie go potrącił. Długa Łapa rozmyślnie się zatoczył i upadł jak człowiek, który nigdy nie przechodził szkolenia.

– Zjeżdżaj, kmiocie – syknął zabijaka. – Trzymaj się z daleka od mojego miecza.

Długa Łapa się odczołgał, skręcił za róg i uciekł. Trzy dni poświęcił na rozpoznanie okolicy, ale po ciemku wciąż miał kłopoty z orientacją. Przemierzył wąską uliczkę, skręcił i przelazł przez chwiejące się ogrodzenie. Dzięki małemu kościołowi zorientował się, gdzie jest – niecały stadion od pałacu.

Ściągnął śmierdzącą koszulę wieśniaka i wyrzucił słomkowy kapelusz, chwycił w lewą rękę pochwę z mieczem i pobiegł.

Mężczyzna, który siedział na łóżku ladacznicy, miał na sobie kolczugę. Jego dwóch pomagierów niemal zapełniało resztę izby, obaj w grubych przeszywanicach, z ciężkimi pałkami.

– Ha – mruknął mężczyzna. – Obaj chcecie odejść ze służby cesarza?

Osiełek wzruszył ramionami.

– Może tak, może nie – odparł. – Słyszałem, że w grę wchodzi pieniądze.

Dryg niezupełnie mógł się wcisnąć do izby. Patrzył, jak młoda kobieta z niekłamany żalem umyka w głąb korytarza. Zauważył też, że uzbrojeni mężczyźni zaczęli się gromadzić w gospodzie na dole.

– Wygląda mi na to, że chcecie nas dostać niezależnie od tego, czy my tego chcemy – powiedział.

Mężczyzna siedzący na łóżku rozpostarł ręce.

– Wiesz – zaczął z paskudnym uśmiechem – tak czy siak, twoi kamraci pomysłą, że zdezerterowałeś, co nie, cudzoziemcze?

Kapitan jasno postawił sprawę – od początku do końca mieli grać chci-

wych najemników. Osiełek przymrużył oczy.

– Chcesz powiedzieć, że nie ma pieniędzy? – zapytał z ręką na sztylcie. Dwóch pachołków w przeszywanicach ruszyło ku niemu, podnosząc pałki.

– O pieniądzach pomówimy później – oznajmił mężczyzna na łóżku. – Nie do mnie należy decyzja.

– Nie podoba mi się taki układ – powiedział Dryg.

Opierał się o futrynę skurczony w ciasnocie pokoju. Teraz się wyprostował. Niezupełnie dobył miecza, ale trzasnął głowicą w zęby bliższego pachołka, który dotąd go ignorował, co było głupotą. Gdy mężczyzna zgiął się wpół, wypluwając zęby, Dryg kolanem złamał mu nos i kopnął go w krocze. W tym czasie Osiełek wyciągnął sztylet i zmylił drugiego opryszka, przerzucając broń z ręki do ręki – mężczyzna zablokował pustą prawą i dostał ostrzem w prawe oko. Upadł, trup na miejscu. Ten powalony przez Dryga zacharczał i otworzył usta do krzyku.

Osiełek popatrzył na swojego towarzysza.

– Spójrz tylko, co narobiłeś – powiedział.

Dryg nastąpił na gardło powalonego przeciwnika.

Mężczyzna na łóżku zrobił się biały jak prześcieradło.

– Nie ważcie się mnie tknąć – przykazał. – Wszędzie wokół są moi ludzie.

Osiełek pokręcił głową.

– Więc... nie ma pieniędzy?

Mężczyzna przygryzł dolną wargę.

– Jeśli krzykniesz, wypruję ci flaki – zagroził Dryg. Zamknął drzwi. Do Osiełka powiedział: – Na dole jest ze dwudziestu chłopów. Nie sądzę, żeby chcieli negocjować.

Osiełek pokręcił głową.

– Głupi pojeb. Myślałeś, że mogą nas załatwić dwa tłuste kutasy? – Parsknął z irytacją. – A teraz zostałeś tu sam. Czy to nie wygląda na złe planowanie?

– On nie jest ich hersztem – powiedział Dryg. – Wystarczy na niego spojrzeć.

Mężczyzna trząsał się ze strachu.

Osiełek sięgnął do ciężkich okiennic. Dryg go powstrzymał.

– Uwaga na kusze – powiedział.

– Psiamać – mruknął Osiełek. – W co my się wpakowaliśmy?

Ser Alkajos więcej czasu spędzał z matką niż z resztą kompanii – nie z wybo-

ru, ale dlatego, że rządy książniczki były bardziej niepewne, niż przypuszczali albańscy najemnicy. Pani Maria ciężko pracowała, żeby obsadzić wakaty na dworze, a także wprowadzić w ruch maszyny wymiaru sprawiedliwości i zbierania podatków. Podczas krótkiego pobytu w Liwiapolis ser Alkajos dwa razy brał udział w posiedzeniu tajnej rady matki, a później zasiadał na jednym z zebrań Czerwonego Rycerza – diuka Tracji – gdzie musiał dyskutować o tym samym. Raz zmienił punkt widzenia i skończyło się na tym, że bronił przeciwnego stanowiska.

Po ośmiu dniach życia w bezustannym stresie ser Alkajos był kompletnie wykończony. Opuścił pałacowe komnaty, bo zbyt łatwo było go tam znaleźć, i poszedł przez Zewnętrzny Dziedziniec do koszar Athanatoi. Jako jedyny członek kompanii wiedział, jakim symbolicznym zaszczytem jest przydzielenie najemnikom koszar, które kiedyś należały do Nieśmiertelnych, elitarnej jazdy cesarstwa.

Jako dziecko bawił się w zaniedbanych koszarach – tam jako nastolatek pocałował śliczną ordynariuszkę, a później złapał ją za rękę i razem biegali w wonny majowy dzień.

Obecnie koszary były czyste i tętniły życiem. Wszedł przez otwarte drzwi z Zewnętrznego Dziedzińca.

Zły Tom siedział przy biurku. Uniósł głowę.

– Ha! Gdzieś ty się, kurwa, podziewał?

– Miło cię widzieć, ser Thomasie – powiedział Moreańczyk.

Tom wyszedł zza biurka.

– Masz służbę, panie.

Moreańczyk jęknął.

– I jutro możesz mieć ją znowu, wystarczy nauczyć się czytać listę. – Tom się skrzywił i wyprężył na całą wysokość, sześć stóp i pięć cali. – Do usług, z wyrazami szacunku.

– Tomie... – jęknął Alkajos. – Miej litość! Przez cały dzień odwalam papierkową robotę dla tronu. Nawet nie mam broni.

Ser Thomas wyszczerzył zęby.

– Przyda ci się więcej ćwiczeń, chłopcze. Jutro powalczymy.

Alkajos spojrzał mu w oczy i odpowiedział takim samym uśmiechem.

– Konno czy pieszo?

– Moja krew! Niech będzie konno. Będę dla ciebie łagodny i pozwolę ci się wyspać po nocnej warcie. Idź po zbroję.

Alkajos znalazł Dmitrija, swojego giermka, i udało mu się włożyć zbroję w



mniej niż piętnaście minut. Młody Moreańczyk był pełen skruchy.

– Szukałem cię, panie, żeby ci powiedzieć, że masz służbę!

Alkajos dowiedział się, że cesarscy ordynariusze odprawili chłopaka z pałacu. Westchnął, postukał kłykciami w zarękawie i pośpieszył do wartowni z Dmitrijem niosącym jego miecz i hełm.

Tom pokiwał głową.

– Do usług. Długa Łapa wyszedł do miasta na przepustkę z Osiełkiem i Drygiem. Reszta jest w koszarach. Kapitan... diuk nie chce, żeby chłopcy i dziewczęta szwendali się po miejscach uciech, dopóki nas tu bardziej nie polubią, więc powinienes mieć spokojną noc. – Po chwili podjął: – Kapi... zna czy się, diuk, rozkazał, żeby kwarta osiodłała konie i była gotowa do jazdy. Może rozkażesz to samo swoim ludziom. – Skrzywił gębę w paskudnym uśmiechu. – Może jednak noc nie będzie spokojna, co?

Tom poklepał go po ramieniu i odszedł, jego trzewiki zgrzytały na kamiennej podłodze. Alkajos rozparł się w ciężkim krześle, oddychając głęboko i psiocząc na swoje parszywe szczęście. Ręką dał znać Dmitrijowi, że ma przygotować konia, i giermek wyszedł w zimną noc. Alkajos siedział na wielkim krześle, dość dużym dla człowieka w zbroi. Powieki mu ciążyły i zakłął.

Ostatnim, czego mi trzeba, jest spanie na służbie.

Nalał sobie trochę cydru podgrzanego w kominku, z wysiłkiem unosząc rękę w naręczakach, wypił i poczuł się trochę lepiej.

Bezgłowy siedział przy drugim stole zajęty mozolnym pisaniem. Alkajos się pochylił i zobaczył, że mężczyzna kopiuje poemat w dolnym archaickim zeszycie do kaligrafii.

Alkajos uwielbiał poezję, więc zaczął czytać.

– Nie przeszkadzam? – zapytał Bezgłowy. – Nie lubię, gdy ktoś się na mnie gapi.

Alkajos wstał i przeprosił. Usłyszał zamieszanie na dziedzińcu.

– Dobry tekst. Skąd pochodzi? – zapytał.

Bezgłowy uniósł głowę.

– Nie mam pojęcia. Ser Michael dał mi to do skopiowania. – Pogimnastykował prawą rękę. – Uczy mnie czytania i pisania.

Alkajos, który uważał te umiejętności za rzecz oczywistą, musiał przewartościować swój sposób myślenia.

– Ach... proszę o wybaczenie. Nie patrzyłem, jak piszesz, czytałem poemat.

Bezgłowy parsknął śmiechem.

– Tak, to chyba poemat. Nie umiem go przeczytać. Po prostu kopiuję litery. – Wyprostował się. – I ręka cierpię mi bardziej niż podczas walki mieczem. Ale chcę się uczyć, chcę napisać książkę.

Alkajos pomyślał, że powinien częściej pełnić wartę. Rzadko spotykał kogoś, kto sprawiał wrażenie mniej garnącego się do książek niż Bezgłowy.

– Naprawdę? – zapytał, już się martwiąc, że jego głos zdradził zbyt wielkie zaskoczenie.

Bezgłowy się pochylił.

– Słyszałem, że jesteś pisarzem?

Alkajos pokiwał głową.

– Chyba piszę przez cały czas. Nawet podczas snu. – Wzruszył ramionami. – Jeśli nie piszę, to myślę o pisaniu.

Bezgłowy pokiwał głową.

– No właśnie. To jak robak, który cię gryzie, a potem nie możesz zapamiętać. O czym piszesz?

Alkajos wzruszył ramionami.

– O życiu – odparł. – O miłości. O kobietach. Czasami o wojnie. – Hałas na dziedzińcu był coraz głośniejszy. – A ty?

– Chcę napisać książkę o tym, jak prowadzić oblężenie. Jak budować maszyny oblężnicze, jak je ustawiać, jak wybierać drewno, jak pleść liny. Jak kopać szańce, jak ich bronić. Jak rozpalać ogień.

Alkajos się roześmiał.

– Dobry tytuł. „Jak rozpalać ogień”. – Westchnął. – A może „Rozpalanie ognia”. Różni się od moich książek, ale połowa świata będzie chciała mieć egzemplarz, jak sądzę. Mam tylko jedną uwagę. Nie przyszło ci na myśl, że komuś podpowiesz, jak oblegać ciebie? Że możesz stać się ofiarą własnych...

W tej chwili drzwi wartowni się otworzyły i stanęło w nich dwóch Nordykanów z wysokim brodatym mężczyzną w czarnym stroju podróżnym.

– Twój człowiek nie zna hasła – powiedział niższy Nordykanin. Wyszczerezył zęby do Alkajosa.

Alkajos nigdy wcześniej nie widział przybysza, więc pokręcił głową. Pomyślał o ostatnim zebraniu dowództwa i o instrukcjach diuka dotyczących szpiegów. Uwagi matki miały ten sam wydźwięk.

– Przyrowadź go tutaj – rozkazał.

– Nie należę do kompanii – rzekł cicho mężczyzna.

Alkajos z rozdrażnieniem pokręcił głową. Na dziedzińcu wciąż panowało

zamieszanie, drzwi były otwarte i zimne powietrze wpadało do wartowni.

Długa Łapa wszedł z trzema Nordykanami.

– Kwarta! – krzyknął.

Alkajos się zachłysnął. Kompania miała zwyczaj trzymać w pogotowiu prawie czwartą część ludzi, którzy w okresie zagrożenia czekali w pełnych zbrojach i z nałożonymi cięciami, ale tutaj, w pałacowych koszarach, zredukowali liczbę do dwudziestu. A on nie przeprowadził inspekcji...

Oczywiście zrobił to Tom. I gdy poniósł się krzyk, przybiegli, tupiąc w korytarzu – Dębowa Ławka pierwsza wpadła przez dwuskrzydłowe drzwi wartowni od strony koszar. Miała łuk w garści i stalowy hełm na głowie. Ser Michael był następny, później sam kapitan wyszedł z biura w pełnej zbroi z Tomem za plecami, a potem zjawili się pozostali – Gelfred, wymięty, jakby spał w pancerzu, John le Bailli, najzupełniej rzeński, i jeden z nowych zbrojnych, Kelvin Ewald, niewysoki mężczyzna z długą blizną ubrany w fantazyjną zbroję.

– Na koń – powiedział kapitan.

– Czekają na nich ze dwudziestu albo trzydziestu ludzi – powiedział Długa Łapa. – To była zasadzka.

Kapitan już przerzucał nogę przez grzbiet nowego wałacha kupionego w cesarskich stajniach. Zaklął.

Długa Łapa wskoczył na niewielkiego wschodniego wierzchowca i gdy ruszyli, Nordykanie otworzyli dla nich bramę. Przecięli plac i jechali ulicami, najpierw szeroką aleją, potem wąską uliczką, która zwężała się przez całą drogę do skrzyżowania, tam znów skręcili...

Długa Łapa uniósł rękę.

Dwóch martwych albo konających ludzi leżało w drzwiach małego pokoju. Dryg miał ranę zadaną sztyletem w lewym ramieniu.

Mężczyzna na łóżku stracił przytomność, gdy Osiełek trzasnął go w głowę.

– Moja kolej – powiedział. – Zrób miejsce.

Zamienili się z Drygiem miejscami – taneczna płynność ich ruchów była wynikiem praktyki. Osiełek zdjął z biodra puklerz, przyjął na niego cios przeznaczony dla rannego kamrata i ciął mieczem, gdy Dryg za jego plecami zrobił unik. Jego nowy przeciwnik naprawdę nie chciał tam być, sam przeciwko lepszym od siebie szermierzom, więc się cofnął, zakładając, że Osiełek za nim nie podąży, że się nie oddali od drzwi zapewniających drogę ucieczki.

Pomylił się i zapłacił za to życiem. Osiełek wypadł na korytarz i ściął

dwóch ludzi. Obrócił się i walnął puklerzem w głowę łucznika – okazało się, że łucznik czyhał w korytarzu, wypatrując okazji do strzału. Osiełek przeciął szpicem miecza świeczkę w ściennym świeczniku i kopniakiem rozwalił stół pełen małych lampek oliwnych.

We względnym bezpieczeństwie znacznie ciemniejszego korytarza zawrócił do pokoju i przykląkł.

– Jestem za stary na takie gówna – powiedział.

Dryg zachichotał.

Nagle słaby śwąd dymu podrażnił gardło Osiełka.

Długa Łapa wysłał sześciu łuczników w głąb czarnej paszczy zaułka. Wrócił do diuka i pokręcił głową.

– Nie przypuszczałem, że mają tylu ludzi. Widziałem łuczników na dwóch budynkach, a może ich być więcej.

Diuk podrapał się pod brodą.

– Chciałbym załatwić wszystkich.

– Stracimy Dryga i Osiełka.

Diuk wyszczerzył zęby.

– Na to nie licz. Ha, Michael powiedział, że chce powalczyć. Jeśli ludzie w zbrojach pójdą pieszo, żeby oczyścić gospodę, łuczniczy mogą spróbować oczyścić dachy. Tak?

Ser Alkajos pokiwał głową.

– Mamy garść scholistów. Pójdą z nami.

Diuk obrócił konia.

– Miej na nich oko.

– Mam ich pilnować? – zdumiał się ser Alkajos. – Jestem krewnym połowy z nich.

Diuk nie dał się przekonać. Pochylił się ku niemu.

– Alkajosie, to wszystko jest skomplikowaną pułapką na szpiega. W mieście jest mnóstwo zdrajców, a pałac...

Długa Łapa wyciągnął rękę.

– Gospoda płonie! – krzyknął.

Diuk wzruszył ramionami.

– Za późno na gadanie. Paziowie, zabierać konie. Założyć hełmy, ludzie w zbrojach do mnie, ci bez zbroi z Długą Łapą. Chcę pojmać jak najwięcej jeńców i nie chcę stracić ani jednego z was.

Dębowa Ławka głośno się roześmiała. Diuk spojrział na nią gniewnie, a

Pyskata trzepnęła ją rękawicą po stalowym hełmie.

– Pamiętać o jeńcach – powiedziała ze skinieniem.

Ruszyli w ciemność. Z czasów nauki w Akademii Alkajos dobrze znał tę część miasta, ale nie po ciemku – a raczej znane mu ulice biegły bliżej nadbrzeża. Szedł za ser Michaelem, który szedł za ser Alison, która szła za diukiem.

Nie musieli daleko iść. Przecięli jedno skrzyżowanie, hałaśliwie potruchtali zaśmieconą wąską uliczką i znaleźli się na placyku oświetlonym przez płonący budynek.

Ser Alkajos zobaczył mężczyznę dokładnie tam, gdzie się go spodziewał, zmierzającego do wylotu sąsiedniej ulicy. Pobiegł po wyłożonym kamiennymi płytami starożytnym placu, zwierzyzna mu uciekła, ale dopadł następnego i go powalił, uderzając w twarz opancerzonym ramieniem. Miecz siekł go w plecy, odbił się od naplecznika, a potem było po walce. Alkajos odwrócił się i zobaczył, że ser Michael odciął jego napastnikowi rękę w łokciu. Zabójcy, uzbrojeni w szerokie miecze, sztylety i pałki, nie wytrwaliby nawet chwili przeciwko ludziom w pancerzach, więc uciekli albo się szybko poddali.

Ser Alison i diuk poszli prosto do gospody. Pożar nie ogarnął całego budynku, jasne płomienie pełzały tylko po dachu.

Pojawiła się kompania do walki z ogniem – czterdziestu ludzi z wiadrami. Spuszczali je do cystern i zlewali wodą sąsiednie budynki, żeby zapobiec rozprzestrzenieniu się ognia.

Ktoś uderzył Alkajosa od tyłu. Rycerz upadł na bruk, bełt zagrzecotał na kamieniu blisko jego wyciągniętej ręki. Przeturlał się – życie na moreańskim dworze wymagało szybkiej reakcji na próbę zabójstwa – i zobaczył człowieka, który go przewrócił. Podniósł się na kolano ze sztyletem w prawicy...

Mężczyzna uniósł zasłonę hełmu.

– Jestem po twojej stronie – syknął.

Wyciągnął rękę, ale Alkajos nie kwapił się darzyć zaufaniem obcych w trakcie walki. Cofnął się i uderzyła go strzała.

Nieznajomy skinął na niego.

– Kryj się! – krzyknął.

Odwrócił się plecami, co Alkajos uznał za gest zaufania i pobiegł za nim. Jak przez mgłę przypomniał sobie czarną pelerynę nieznajomego, którego Nordykanie przyprowadzili do wartowni, co wydarzyło się chyba przed wiekami.

Nieznajomy w czarnej pelerynie znalazł zewnętrzne schody i wbiegał po

nich, schody drżały pod ciężkimi butami, ale Alkajos poszedł w jego ślady i poczuł, że podest na piętrze się rusza. Zobaczył, że plac opustoszał, gdy strzelano bełtami we wszystko, co się poruszało w świetle.

Nagle nowy blask zalał dachy – nad środkiem placu rozbłysło oślepiająco jasne światło. Alkajos nawet przez wąską szczelinę hełmu widział, że na niektórych dachach są łucznicy. Zrozumieli, że są widoczni. Jedni się skulili, inni zostali zastrzeleni przez łuczników kompanii.

Nieznajomy podskoczył, chwycił miedzianą rynnę i wciągnął się na parapet tysiącletniego okna.

– Na dach! – zawołał do Alkajosa.

Ser Alkajos miał chwilę, żeby się zastanowić, czy nie jest to przebiegły spisek, żeby go porwać. Podążył za nieznajomym na dach, potem, dysząc w hełmie, przez ścianę szczytową na następny, kryty dachówką niewymienianą od tak dawna, że ledwie było ją widać pod warstwą mchu i porostów. Słyszał, jak stare dachówki pękają pod jego nogami, ale mech stanowił dobre oparcie, przeszedł więc za nieznajomym przez kalenicę...

I wyszedł prosto na trzech zdesperowanych mężczyzn. Wszyscy mieli ciemne ubrania i maski. Ten stojący najdalej rzucił okiem na dwóch rycerzy i po prostu skoczył z dachu, żeby umrzeć na bruku – a może nie.

Dwóch pozostałych zaatakowało nieznajomego, który przyjął cios pierwszego na grubą czarną pelerynę, dobył miecza i ciął, broniąc się przed atakiem drugiego. Alkajos w pełnej zbroi był mniej finezyjny – rzucił się na bliższego przeciwnika, ignorując dwa ciosy, których nie widział w ciemności. Mężczyzna postanowił walczyć wręcz i Alkajos złamał mu rękę, a potem go ogłuszył opancerzonym kolaniem.

Nieznajomy rozbroił swojego przeciwnika i pasem związał mu rękę.

Alkajos uniósł zasłonę hełmu i odetchnął.

– Kim jesteś? – zapytał.

Uśmiech mężczyzny zalśnił w białym hermetycznym świetle, które wciąż wisiało nad placem przed gospodą.

– Waszym nowym kapelanem – odparł.

Diuk wszedł do gospody, znalazł Osiełka i Dryga leżących płasko na brzuchach z wciśniętym pomiędzy nich jeńcem. Przywołał ich do drzwi, ale bełt musnął jego hełm, więc wskoczył z powrotem do środka.

*Twoi ludzie potrzebują lepszego światła*, powiedział Harmodiusz.

Rzucił czary i sam był zaskoczony jasnością swojego światła. Rozpalił ich

więcej nad domami stojącymi wokół małego placu – otynkowanymi kamienicami różnej wysokości, z dachami stanowiącymi idealną kryjówkę dla zabójców i łuczników.

Ostrzegł go ryk ognia. Ludzie, którzy się zbiegli do gaszenia pożaru, niewiele działali. Kilku zostało powalonych przez strzały, a pozostali skoczyli do kryjówek i już nie było komu przekazywać wiadomości.

Ale gdzieś pod jego nogami był zbiornik z tysiącami galonów wody. Opracował przemieszczenie...

*Był w swoim pałacu mocy, jednym małym zakłębieniem lokalizując wodę i jednocześnie zmieniając jej lokalizację. Harmodiusz pokiwał głową, stojąc na piedestale.*

*Brawo, chłopcze. To znacznie prostsze niż tworzenie wody. Nie – nie na dach – pod dach. Nie masz ograniczeń w przemieszczaniu. Prosto w ogień...*

*Diuk rzucił i w tej samej chwili Harmodiusz powiedział: Czy nie stoimy wprost pod...*

Ściana wody błyskawicznie zgasła płomień.

Nowy diuk Tracji nie wyglądał tak elegancko, jak by sobie życzył, kiedy parę minut później spotkał się ze swoim nowym kapłanem. Był przemoczony do suchej nitki, już trząsał się w chłodnym jesiennym powietrzu pomimo grubej peleryny, którą ser Michael zarzucił mu na zbroję. Druga peleryna opadła na Dryga, który został powalony przez wodę i wciąż miał kłopoty z oddychaniem.

Diuk kichnął.

– Więc człowiek, którego pojmał Osiełek...? – zapytał.

Zły Tom pokręcił głową.

– Zna parę nazwisk i dwa miejsca. Zapłacił robotnikowi w porcie wojennym i codziennie odbierał paczkę z pałacu.

– Zatem nie była to kompletna strata czasu – zauważył diuk i znowu kichnął.

– Mogłeś mnie uprzedzić, o co chodzi – powiedział z wyrzutem ser Milus.

Diuk pokiwał głową.

– Prawdopodobnie powinienem.

Ser Gawin wszedł i padł na stołek.

– Najemnicy i bandziory. Ci dwaj, których pojmał ser Alkajos z księdzem, są tylko droższymi opryszkami. Zostali wynajęci, żeby urządzić zasadzkę na każdego, kto przyjdzie do gospody.

Osiełek, który dotąd siedział i słuchał, pokręcił głową i włączył się do rozmowy.

– W każdej chwili pójdę do walki, gdy zasady są jasne. Ci tutaj zaproponowali nam pieniądze za dezercję, ale nie mieli zamiaru zapłacić. Po prostu chcieli nas zabić. Naszym zamiarem nie była dezercja, mieliśmy ich pojmać. Spodziewali się podstępów i urządzili zasadzkę, ale nie przypuszczali, że sprowadzisz całą kwaterę, więc daliśmy im popalić.

Diuk pokiwał głową.

– Mniej więcej tak to wyglądało. Teraz podążymy naszymi tropami: obserwować pralnię, żeby zobaczyć, kto postępuje zgodnie ze wskazówkami naszego bandyty; wytropić szpiega w stoczni...

– Który nic nie wie – wtrącił Zły Tom.

Diuk wzruszył ramionami i kichnął dwa razy.

– Warto było spróbować.

– Powinieneś wysuszyć włosy – poradził ser Gawin. Rzucił ręcznik bratu.  
– Co teraz robimy?

Ser Milus wciąż był rozdrażniony.

– Wygląda mi to tak, że stoczyłeś bitwę, a ja nie brałem w niej udziału. Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Trzy osoby mogą dotrzymać tajemnicy... – mruknął diuk. – Wybacz, Milusie, widocznie miałem zaćmienie umysłowe. – Rozłożył ręce. – Chyba próbuję robić zbyt wiele rzeczy naraz. – Do Gawina powiedział: – Teraz próbujemy zatrutą pigułkę.

– Co to takiego? – zapytał Gawin.

– Powiem kilku osobom, że podejrzewam, że doszło do wyjawienia tajemnicy, bardzo ważnej tajemnicy. Każdej przekażę nieco inną wersję i zobaczymy, co się stanie. To jak wlewanie barwnika do ścieku, żeby zobaczyć, gdzie wypłynie.

– A co później? – zapytał ser Gawin.

– Nie mam pojęcia – odparł diuk. – Ale nadeszła pora. Musimy zanieść wojnę do Andronikusa, zanim tu przybędzie. – Kichnął. – Najpierw musimy sprowadzić karawany z futrami.

– Jakie karawany?

Nazajutrz diuk Tracji przejechał przez plac do wysokich nakrytych cebulastymi kopułami wież Akademii, gdzie został przyjęty wielkimi fanfarami. Zsiadł z konia u stóp stu stopni, które prowadziły z ulicy do starożytnej świątyni Po-



sejdona, obecnie kościoła Świętego Marka Ewangelisty, i wszedł po nich w towarzystwie ser Alkajosa i swojego nowego kapelana, ojca Arnauda. Kichał co parę kroków i nie poruszał się zbyt żwawo.

Przystanął obok starożytnego posągu Cerbera, strażnika świata zmarłych. Posąg był ogromny, każda z trzech psich głów miała otwarty pysk i wyszczerzone zęby.

– Dlaczego wydaje się taki pusty? – zapytał ojciec Arnaud.

Megas Ducas z uczuciem poklepał psią głowę.

– Posąg jest hermetyczną próżnią. Studenci mogą wrzucać do środka, cokolwiek chcą, i tak robią. Tutaj pozbywają się wszystkiego, co poszło nie po ich myśli. – Pokazał zęby w uśmiechu. – I nie muszą się nikomu tłumaczyć.

– Dokąd trafiają te nieudane projekty? – zapytał Albanin.

Megas Ducas uśmiechnął się złośliwie.

– Do gabinetu rektora? Na biurko patriarchy? Do piekła? – Pokręcił głową.

Ser Alkajos uważnie na niego popatrzył.

– Przyznaj się! Studiowałeś tutaj.

– Nigdy – odparł Megas Ducas. – Chodźcie! Dopóki nie dotarliśmy do przedpokoju, jeszcze nie zaczęliśmy czekania.

Na szczycie schodów powitało ich dwóch kapłanów, którzy poprowadzili ich wspaniale udekorowaną marmurową kolumnadą do budowli po prawej stronie, kolejnej starożytnej świątyni. Była mniejsza, ale podobna perle w swojej doskonałości, ze złotą inkrustacją w marmurze i rzędem posągów, które sprawiły, że diuk przystanął w zachwycie.

Kapłan uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Pogańscy bohaterowie – wyjaśnił. – Posągi zostały sprowadzone ze starożytności.

Ser Alkajos widywał je codziennie, gdy studiował w Akademii, i z uśmiechem patrzył, jak kapitan podziwia jeden, a potem przechodzi do następnego.

– Nadzwyczajne – powiedział diuk.

Ojciec Arnaud wzruszył ramionami.

– Dlaczego umiejętność odtwarzania dzieła boskiego w bezdusznym marmurze jest taka atrakcyjna dla ludzi? – zapytał.

Megas Ducas spojrzał na niego spod uniesionej brwi, jakby pytając: „Czy nie stać cię na więcej?”

Ojciec Arnaud wzruszył ramionami.

Dalej poszli kruzgankiem, który wchodził w skład jednego z najbardziej starożytnych elementów fortyfikacji, a potem do względnie nowoczesnej sali

z kamienia i drewna. Stało tam kilku młodych ludzi, a cztery zakonnice w habitach siedziały skromnie na ławkach. Księża się uklonili i skinęli na służących, którzy przynieśli małe kieliszki wina, jakimi podróżni zwykle są częstowani w klasztorach.

Młodzi ludzie nie spuszczała oka z diuka, jakby mógł być niebezpieczny. Ser Alkajos pochylił się ku niemu.

– Ten chłopak to Baldesce – szepnął. – Jego ojciec jest podestą wszystkich Etrusków w mieście.

Ojciec Arnaud usiadł na jednej z długich ław.

– Jeśli się położę i prześpię, czy patriarcha poczuje się urażony? – zapytał. Otulił się peleryną.

– Jako najpotężniejszy prałat w Nova Terra, tak – warknął diuk. – Wolałbym, ojcze, żebyś był uprzejmy.

Młody Baldesce zostawił swoich przyjaciół i podszedł.

– Ty jesteś nowym diukiem Tracji – powiedział z ładnym ukłonem.

Megas Ducas wstał.

– To prawda.

Młodzieniec się uśmiechnął.

– Mój ojciec cię nienawidzi. Ja też powinienem cię nienawidzić, ale sprawiasz świetne wrażenie. Patriarcha każe ci czekać?

Ser Alkajos próbował rzucić diukowi ostrzegawcze spojrzenie, ale diuk pokiwał głową.

– Przypuszczam, że na razie nie można tego nazwać czekaniem. Czekanie jako takie zaczyna się po pierwszej godzinie, przynajmniej tak słyszałem.

Etruski chłopak wybuchnął śmiechem.

– Przyszło mi na myśl, że ktoś powinien ci powiedzieć, że w tej chwili nasz przyjaciel jest poddawany przesłuchaniu, które się przedłuża, ale Ojciec Święty nie każe ci czekać bez końca.

Widząc, że diuk nie pożarł ich przyjaciela, cztery zakonnice i dwóch młodych mężczyzn powoli się do nich zbliżało.

Diuk okazał zainteresowanie.

– Co to za przesłuchanie? Czy chodzi o herezję?

Jedna z zakonnice zachichotała.

– O ile wiem, nie jest heretykiem – powiedziała wyraźnie zmieszana. – Chociaż z drugiej strony... Gdy się nad tym zastanowić, jest barbarzyńcą jak ty...

Diuk kichnął w rękaw.

– Nie obawiaj się, siostrzyczko. Tam, skąd pochodzę, nazwanie kogoś barbarzyńcą jest najwyższym komplementem.

Młodzi ludzie szurali nogami.

– Poza tym – mówił diuk – prawie nikt wśród barbarzyńców nie jest taki jak ja.

Baldesce się roześmiał.

– Czy to prawda, że zawierasz rozejm z Ligą Kupiecką? – zapytał.

Diuk zdobył się na uśmiech.

– Zawsze jesteś taki śmiały?

– Mój ojciec jest podestą – odparł Baldesce.

Megas Ducas się uśmiechnął.

– W takim razie spokojnie mogę ci powiedzieć, że uwolniliśmy wszystkich naszych etruskich jeńców. Ciąg dalszy zależy od twojego ojca i Ligi Kupieckiej.

Ojciec Arnaud przewrócił oczami.

Podwoje się otworzyły.

Uśmiech Morgana Mortimira jaśniał jak gorący ogień w zimny dzień. Za nim patriarcha stał w szatach, które niegdyś były czarne, ale w ciągu wielu lat wyblakły do ciemnej niebieskawej szarości. Patriarcha trzymał ręce w rękawach i też się uśmiechał.

Wszedł do westybulu. Przyjaciele młodzieńca podeszli do niego i uścisnęli mu dłoń, a dwie zakonnice obdarzyły go niewinnymi uściskami. Młodzieniec wciąż promieniał ze szczęścia.

– Zdałem – powtórzył sześć czy siedem razy.

Baldesce energicznie potrząsnął jego ręką.

– Naprawdę jesteś idiotą – zauważył. – Oczywiście, że zdałeś.

Diuk wcisnął się pomiędzy studentów – nie był starszy więcej niż o pięć lat od najstarszego – i uścisnął rękę młodego człowieka.

– Wnoszę, że jesteśmy krajanami – zagadnął. – Pochodzisz z Alby?

– Tak, panie – odparł Mortimir. – Wiem, kim jesteś... widziałem cię w pałacu! – Uśmiechnął się do niego.

*Czuję moc. Na Hermesa Trismagistosa, ten chłopak jest obdarzony mocą.*

*Usuń się w cień, proszę. Ile muszę wypić, żeby się ciebie pozbyć?*

– Studiujesz tutaj, jak rozumiem? – zapytał diuk.

– Tak, Jaśnie Diuku.

– Ucz się pilnie. Myślałeś kiedyś o karierze zawodowego żołnierza?

– Tak, panie!

– Widzę, że nosisz miecz – kontynuował Megas Ducas.

– Mówiłem mu, że głupio postępuje, będąc adeptem – wtrącił Baldesce.

Diuk się uśmiechnął.

– Nigdy nie uważałem noszenia miecza za głupotę – powiedział i zepsuł protekcyjną minę potężnym kichnięciem.

Zostawił Mortimira i podszedł do patriarchy, który pozwolił mu ucałować pierścień.

– To wielce interesujący młody człowiek – rzekł patriarcha. – Późno doszedł do mocy i sądzę, że jest bardzo potężny. Może nie najpotężniejszy w swojej grupie, ale bardzo bystry. Przyjemnie się go egzaminowało.

Uklonił się i poprowadził ich kruzgankiem wychodzącym na piękny wirydarz, gdzie rosły cztery pigwowce. Jeden kwitł, drugi dopiero pączkował, trzeci owocował, a czwarty był tylko zielony.

Patriarcha zaprowadził ich do niewielkiego gabinetu z masywnym biurkiem zavalonym księgami i zwojami.

– Znajdźcie sobie miejsca – powiedział z lekkim roztargnieniem. – W czym mogę ci pomóc, Jaśnie Wielmożny Diuku?

– Ojcie Świąty, przybywam... – Diuk patrzył na zwój. – Czy to oryginalny egzemplarz Heraklita? – zapytał. – Przecież „Suda” mówi, że poświęcił swoją książkę na ofiarę dla Artemidy!

Patriarcha się uśmiechnął.

– W „Sudzie” znajdziesz wiele bzdur. Czytasz w górnym archaickim?

– Bardzo powoli, Ojcie Świąty. – Megas Ducas wodził wzrokiem po słowach i przesunął palec.

Ser Alkajos próbował przyciągnąć uwagę kapitana.

Ojciec Arnaud stał sztywny jak deska.

Patriarcha skierował na niego spojrzenie.

– Jesteś rycerzem Świętego Tomasza, jak sądzę?

– Tak, Ojcie Świąty – odparł kapelan. – Księdzem.

– Księdzem. To musi być bardzo trudne, ojcie. Nauki Jezusa nie idą w parze z przemocą. – Patriarcha pochylił się w jego stronę. – Jak ty to widzisz?

Ojciec Arnaud się uklonił.

– Było mi ciężko – wyznał.

Patriarcha pokiwał głową.

– Nie różniłbyś się od zwierzęcia, gdyby było inaczej. – Ale wyglądał na zadowolonego i wysunął rękę z pierścieniem do ucałowania. – Ser Alkajosie, jak się ma twoja pani matka? Wciąż zajęta spiskowaniem?

Zamiast się obrazić, ser Alkajos pokiwał głową.

– Szczerze mówiąc, Ojczy Święty, jest wielce zajęta knuciem ostatniego spisku. Obecnie jej jedynym celem jest ratowanie cesarstwa.

Patriarcha uniósł brew, słysząc te słowa, lecz zaśmiał się życzliwie i zwrócił do diuka:

– Wybacz mi, panie, ale Alkajos był jednym z moich uczniów. Nie należy do wielkich magów, ma jednak piękny umysł i jest bardzo zdolnym poetą, kiedy decyduje się używać swoich mocy w dobrym celu. Napisał wiele sprośnych wierszy o swoich nauczycielach.

Alkajos się skrzywił.

Patriarcha skierował na diuka spojrzenie spod ciężkich powiek.

– Na pewno umiesz czytać szybciej.

Diuk uniósł głowę.

– Akademia postanowiła zachować neutralność – powiedział.

Alkajos pobladł.

– A neutralność uniwersytetu zakrawa na zdradę, Ojczy Święty – ciągnął diuk. – Cesarz został uprowadzony, a zdrajca, który tego dokonał, już proponował sprzedaż części cesarstwa, żeby dostać to, czego chce. Osobisty magister cesarza, mianowany przez Akademię, okazał się zdrajcą. Jest człowiekiem o wyjątkowej mocy. Dlaczego Akademia jest tak ostrożna w zajmowaniu stanowiska?

Twarz patriarchy niczego nie zdradzała.

– Przykro mi, że według ciebie byliśmy neutralni – zaczął, starannie dobierając słowa. – Akademia jest na usługach pałacu, obecnie i zawsze.

– Nie mogliście zapobiec uprowadzeniu cesarza? – zapytał Megas Ducas. Usiadł. – Przynajmniej jeden z waszych astrologów musiał to przewidzieć.

Patriarcha złączył palce.

– Powiadomiliśmy pałac. – Machnął rękami. – Niestety, za pośrednictwem mistrza Eskepilesa, który naprawdę jest zdrajcą, zdrajcą pałacu, zdrajcą swojego szkolenia. Ale nie jest to winą Kościoła ani uniwersytetu. – Pochylił się. – Sam jesteś magiem – dodał. – Chociaż wykrywam w tobie coś dziwnego... jakbyś miał dwie dusze.

Diuk się odsunął.

*Schowaj się.*

*Cisza...*

– Mój nauczyciel *ars magicka* tutaj pobierał nauki. Ćwiczę, kiedy mogę. – Diuk pokiwał głową. – Gdybym miał czas, poprosiłbym o zgodę na uczestni-

czenie w zajęciach.

– Przejęcie duszy drugiej osoby jest nekromancją, herezją i niedozwolonym aktem hermetycznym – oświadczył patriarcha. Pochylił się w stronę diuka. – Czy masz drugą duszę?

– Nie – skłamał gładko diuk.

Patriarcha przymrużył oczy.

– Ojczy Świąty, gdybym był demonem, raczej nie wszedłbym jak gdyby nigdy nic do twojego biura...

Patriarcha wyprostował się i roześmiał.

– Czasami się zastanawiam, ale może tylko z racji wieku. Czasami wyczuwam podwójnych w eterealu. – Jego spojrzenie się wyostrzyło. – I czasami wyczuwam herezję tam, gdzie jej nie ma. Masz reputację pomiotu szatana, pomimo że ocaliłeś Lissen Carak przed Dżiczą.

– Naprawdę? – zapytał diuk. – Ocaliłem również to miasto przed zdradą, jak mi się zdaje. A moi ludzie zostali zaatakowani przez hermetyzm, tutaj, pod twoim nosem, Ojczy Świąty.

– Nie jestem twoim wrogiem – zapewnił go patriarcha.

Diuk pokiwał głową.

– Nigdy tak nie myślałem. Możemy porozmawiać na osobności?

Ojciec Arnaud wyprowadził pozostałych z prywatnego gabinetu patriarchy.

Patriarcha i diuk wyglądali na zaprzyjaźnionych, kiedy wyszli. Patriarcha położył rękę na ramieniu diuka, uściskali się, a potem diuk pocałował jego pierścionek.

– Ocal cesarza – rzekł patriarcha.

– Robię wszystko, co w mojej mocy – odparł diuk.

Podszedł ojciec Arnaud.

– Ojczy Świąty, mam wiadomość od przeora Wisharta.

Patriarcha skinął głową.

– Nigdy go nie poznałem, ale cieszy się wielką sławą. Jednak w przeszłości twój zakon trzymał się od nas z daleka, a nawet skłaniał ku Rhumowi.

Ojciec Arnaud w milczeniu trzymał zwój.

Patriarcha się roześmiał.

– Starzy ludzie nie zmieniają przyzwyczajień – powiedział i wziął zwój. Przeczytał szybko i spojrzął znad zwoju na księcia. – Król Alby mianuje scholastyka biskupem Loriki?

Megas Ducas po raz pierwszy okazał zaskoczenie. Popatrzył gniewnie na ojca Arnauda i uklonił się patriarsze.

– Wybacz, nie miałem pojęcia.

Patriarcha postukał zwojem o zęby.

– Zobaczymy się w ciągu tygodnia. Daj mi nad tym pomyśleć. – Uniósł rękę i udzielił mu błogosławieństwa. – Idź z Bogiem.

*Mało brakowało.*

*Harmodiuszu, stajesz się ciężarem.*

*Pracuję nad tym! Starzec pokręcił głową swojego posagu. W końcu jestem w mieście, gdzie mogę kupić potrzebne mi rzeczy. Rzeczy, których ty potrzebujesz. Po prostu muszę mieć więcej czasu.*

*Starcze, dobrze mnie nauczyłeś. Co najmniej raz ocaliłeś tę kompanię; bez ciebie przegrałbym oblężenie w Lissen Carak. Ale z dnia na dzień doskwierają mi coraz gorsze bóle głowy i zaczynam popełniać błędy – błędy, które zabijają ludzi, których kocham.*

*Po prostu potrzebuję więcej czasu. Kilka tygodni. Czy muszę prosić?*

*Nie, odparł Czerwony Rycerz.*

Harmodiusz podjął dodatkowy wysiłek, żeby zejść na niższe poziomy jego świadomości.

Po wyjściu od patriarchy diuk zabrał swoich przyjaciół na zakupy. Ser Michael i mocno zarumieniona Kaitlin spotkali się z nim u stóp schodów Akademii, gdzie czekał również ser Gawin, ser Thomas i ser Alison. Wszyscy mieli tylko napierśniki, miecze i biżuterię. Towarzyszyło im czterdziestu paziów w szkarłatnych barwach; robili odpowiednie wrażenie, choć dosiadali prawie wszystkich koni, jakie zostały w kompanii.

– Macie wyglądać na bogatych i niebezpiecznych – polecił im Czerwony Rycerz.

Robienie zakupów w mieście wymagało dokonywania niezliczonych wyborów – towary piętrzyły się na stołach, w kramach i sklepach z wypolerowanymi drewnianymi ścianami i szybami, prawdziwymi szybami w oknach, w małych straganach z kobierców z Dalekiego Wschodu albo w prymitywnych budach zbitych z desek ze stodoły. Był tam plac złotników, plac rękawiczników, plac mieczników i plac płatnerzy, tkaczy jedwabnych, krawców, wytwórców woali i perfumiarzy.

Rzekomym celem wyprawy było zakupienie wszystkiego, co jest potrzeb-

ne na ślub, ale Megas Ducas wyraźnie miał własne plany i na placu złotników zaprowadził ich do najbardziej eleganckiego sklepu w środku długiego ciągu ostatnich, gdzie został przyjęty jak udzielny książę. Spojrzał na ser Michaela i złapał go za rękę.

– Jesteś bogaty – powiedział. – Kup tej pięknej młodej damie parę błyskotek.

– Za co? – syknął Michael.

– Po prostu coś wybierz – polecił diuk i wyszedł ze swoim gospodarzem za drzwi, które się za nimi zamknęły.

Pyskata, nie do wiary, wybrała grzebień z czerwono-zielonej emalii, z wyobrażeniem dwóch rycerzy zwartych w śmiertelnej walce na sztylety, w miernie oddanych pancerzach. Zdjęła czapkę, wpięła grzebień we włosy, po czym uśmiechnęła się do lustra – i szybko zamknęła usta, żeby ukryć brak zęba.

– Ile? – zapytała.

Sklepowy posłał chłopca po słodką herbatę.

Ser Michael znalazł dla damy swojego serca dziką różę ze złota i granatów. Kaitlin była zachwycona, a on był zachwycony nią. Położył różę na podszycie na srebrnej tacy.

Ser Gawin chodził od półki do półki i w końcu wybrał dwa szydła do przewlekania troczków i komplet guzików – ślicznych guziczków do damskiej sukni, filigranowych, z ukrytymi wewnątrz dzwoneczkami.

Inni rycerze starali się niczego nie zniszczyć.

Diuk wrócił z lekkim uśmiechem i uściskał się ze złotnikiem. Zobaczył, co wybrał ser Michael, i uśmiechnął się szerzej.

– Na mój rachunek – rzekł cicho.

Pyskata zapłaciła twardym srebrem i bardziej miękkim złotem z sakiewki.

Ser Michael zauważył, że Pyskata i kapitan wymienili długie spojrzenie, gdy sakiewka się zamknęła i zniknęła z widoku.

Na placu rękawiczników dyscyplina popadła w zapomnienie i rycerze zaczęli szastać pieniędzmi jak najemnicy, którymi wszak byli. Rękawice były jedną z najcenniejszych rzeczy żołnierza – wraz z butami stanowiły element ubioru, od którego zależała wygoda. Dobre rękawiczki były ważne pod pancernymi rękawicami oraz równie niezbędne dla łuczników.

Pan Baldesce, pan Mortimir i zakonnice też kupowali rękawiczki. Wskutek powolnego procesu osmozy zostali wchłonięci przez kompanię i dołączyli do rycerzy, giermków i paziów, którzy zebrali się w gospodzie, żeby się napić



wina.

Diuk przechodził od kubka do kubka, zanurzając ostrze sztyletu w każdym dzbanie przed podaniem wina, a paziowie sami je nalewali. Michael wiedział, że jego kapitan nie podejmuje ryzyka.

Młody Baldesce zwrócił się do Mortimira:

– Jest magistrem! Patrz, jak rzuca. Czysto!

Mortimir z żywym zaciekawieniem obserwował proste zabiegi diuka.

Po winie poszli do płatnerzy. Kapitan przez godzinę chodził od sklepu do sklepu. Ponieważ Kaitlin mogła się poczuć znudzona, jej przyszły mąż ją bawił, śpiewając romanse w przydrożnej winiarni. Jego śpiew przyciągnął dwóch moreańskich ulicznych śpiewaków – z początku słuchali, później zaczęli akompaniować tak dobrze, że wszyscy rycerze, którzy nie byli zainteresowani zbrojami, bili brawo, a paziowie byli oczarowani. Potem zaśpiewali uliczni śpiewacy. Rycerze nie szczędzili im grosza, a gdy płatnerz wziął miarę na nowy napierśnik i kapitan z powrotem włożył utwardzoną stal, rozstawiono małą scenę i trupa mimów w antycznych strojach wystawiła jedną ze starożytnych sztuk.

Kaitlin, pomimo ciąży i zmęczenia, nie posiadała się z zachwytu.

Diuk przerwał śpiewakom i wynajął ich na wesele, podobnie jak aktorów. Zapłacił im sporą sumę i bardzo dobrze się stało, ponieważ później Zły Tom każdemu z nich złożył wizytę, co mogło zbudzić w nich wątpliwości odnośnie do ich szczęścia.

Wszyscy rycerze, zbrojni i paziowie naostrzyli miecze u ulicznych ostrzycieli. Młody Etrusk z zachwytem patrzył, jak dwudziestu najemników wypróbujecie ostrza: gdziekolwiek spojrzeć, wyważone głównie miękko sunęły w powietrzu, gdy ćwiczili cięcia nadgarstkiem, ciosy znad głowy, *imbrocattae*. Miecznicy zarobili więcej w ciągu godziny niż zwykle przez dwa tygodnie.

Diuk grasował po ulicy niczym drapieźnik, tu wymachując mieczem, tam podziwiając pięknie wykutą tatarską szablę w zielonej skórzanej pochwie, ówdzie pieszcząc palcami sztylet tarczowy – dopóki się nie zdecydował na sklep, który nie był ani wspanialszy, ani nędzniejszy niż pozostałe.

Wszedł. Na ścianie wisiał tuzin mieczy, a w głębi znajdowały się warsztaty wykute w skalnym zboczu. W powietrzu unosił się zapach ognia i metaliczna woń tarcz szlifierskich. Mistrz miecznik przyjął go osobiście, wycierając ręce w fartuch. Był niski, żylasty i wyglądał bardziej na nauczyciela niż kowala.

Ser Michael stanął przy ramieniu diuka. Wraz z Tomem, Pyskatą i Gawnem należał do zorganizowanej na poczekaniu konspiracji, która miała na

celu bezustanne obserwowanie kapitana. Zachowywał się dziwniej niż zwykle; za dużo pił i zbyt często wpadał w złość.

Ale nie w sklepie miecznika. Tam był bardziej radosny.

– Wykuwasz najlepsze ostrza – powiedział.

Miecznik ściągnął usta.

– Tak – zgodził się, jakby niezadowolony. – Ściślej mówiąc, wyrabia je mistrz Plaekus, a ja przemieniam w broń. – Ściągnął brwi. – Czego sobie życzysz?

Rozpoczęła się długa rozmowa. Uczniowie biegali po drewniane formy, po miecze – w pewnym momencie pożyczono sztylet od moreańskiego szlachcica mieszkającego dwie ulice dalej.

W końcu diuk ustalił długość, rękojeść, kształt głowni i jelca, ciężar broni. Zamówił też dopasowany do miecza pugiń.

– Klejnoty? – zapytał miecznik.

Michael nieczęsto słyszał tyle pogardy w jednym słowie.

– Nie – odparł diuk. – Koszmarny pomysł. Ale czerwona emalia. Czerwona pochwa. – Uśmiechnął się. – Wszystko czerwone. I złoto.

Miecznik ze znużeniem pokiwał głową.

– Oczywiście, złoto.

Diuk pochylił się w jego stronę. Michael zauważył zmianę – subtelną zmianę mowy ciała, zmianę tonu. Nie wiedział, co to oznacza, ale widział i słyszał to już parę razy wcześniej.

– Mogę ci zadać osobiste pytanie? – zapytał diuk.

Miecznik uniósł brew, jakby zachowanie wielkich panów zabójców, którzy kupowali jego wyroby, było tak bardzo mu obce, że nie mógł przewidzieć, co będzie dalej.

– Zobaczmy, panie – odparł gładko.

– Czy magister cesarza był kiedyś jednym z twoich uczniów?

Miecznik westchnął.

– Tak. – Czasami trudno było zrozumieć jego moreański, gdyż mówił z akcentem wyspiarzy. – Spędził tutaj dwadzieścia lat. – Zmarszczył czoło. – Był więcej niż uczniem.

Diuk pokiwał głową.

– Czy masz może coś, co należało do niego?

Dla ser Michaela była to chwila, kiedy przeciwnik jest trochę zbyt chętny do pokazania następnej karty. Diuk coś kombinował.

– Kiedy odszedł... – Miecznik wzruszył ramionami. – Zostawił wszystkie

swoje rzeczy, których potrzebował do pracy. Kiedy doszedł do mocy. – Odwrócił wzrok. – Miał już trzydzieści lat. Bardzo późno.

Podano wino i orzechy w cukrze.

Pojawiła się wysoka kobieta z zawiniątkiem.

– Dwa fartuchy i czapka. – Uśmiechnęła się ze smutkiem. – Uszyłam mu czapkę, zanim stał się taki ważny i potężny. Chroniła włosy przed iskrami.

Diuk ostrożnie, niemal z czcią, wziął czapkę.

– Taki sławny człowiek – powiedział.

*Harmodiusz uwolnił swego gospodarza spod swojej władzy i trzasnął eterealną pięścią w eterealną dłoń.*

*Kapitan był wstrząśnięty – przestraszony, zdradzony.*

*– Jak śmiesz!*

*Harmodiusz uniósł eterealną brew.*

*– Ty chcesz się mnie pozbyć. Ja chcę uwolnić się od ciebie. Mam plan. Czasami potrzebuję twojego ciała, żeby go realizować.*

*Kapitanowi zebrało się na wymioty, ale ciało znowu należało do niego. Odzyskał je, nie mając jeszcze nad nim kontroli, i stwierdził, że siedzi na krześle. W chwili dezorientacji jego ciało najwyraźniej upuściło kubek z winem. Ser Michael patrzył na niego takim wzrokiem, jakby wyrosła mu druga głowa, a Gawin stał z ręką na jego ramieniu.*

*– Bracie? – odezwał się. – Nie byłeś sobą.*

*Megas Ducas chrząknął.*

*– Nie wiesz nawet połowy – wymamrotał.*

*Spojrzał w dół. Na palcu wskazującym prawej ręki miał owinięty włos gruby, szorstki czarny włos.*

*Nie zdejmuj! – przykazał Harmodiusz.*

Nie był to koniec dziwnego zachowania diuka.

Po drodze wstąpił do kilku dziwnych miejsc. Na ulicy aptekarzy i alchemików spędził tyle czasu, że reszta towarzystwa poszła dalej i zaczęła wybierać tkaniny na suknię Kaitlin; jak się okazało, każdy rycerz miał na ten temat coś do powiedzenia. Kiedy Kaitlin i jej siostry znalazły sklep, który im się spodobał, weszły tam ze szwaczką Mag i praczką Lis i wyszły długo po powrocie diuka od alchemików. Megas Ducas kupił szkarłatną wełnę dla kompanii i brokaty dla innych, aksamit na sakiewkę i parę drobiazgów.

Ojciec Arnaud uważnie mu się przyjrzał.

– Jesteś niezdrów? – zapytał.

Diuk się zrewanżował.

– Mogę ci kupić nowe ubranie, ojcze? – Bez większego wysiłku spojrział mu w oczy. – Bywało lepiej. Ale mam nadzieję, że pozbędę się... dolegliwości.

Arnaud opierał się o starożytną kolumnę, która wspierała stragan oferujący na sprzedaż wyłącznie jedwabną gazę. Pokiwał głową.

– Jeśli proponujesz mi jałmużnę, zyskujesz na honorze; jeśli chcesz, że-  
bym prezentował się lepiej jako ozdoba twojej władzy... to chyba też, jak są-  
dzę. – Uśmiechnął się. – Tak czy owak, będę bardzo wdzięczny za nową pe-  
lerynę.

Diuk się nachylił i chwycił rąbek jego peleryny.

– Porządny materiał, ale coś wywabiło czarny barwnik... – Cała dolna po-  
łowa zamiast bogatej czerni zakonu miała burobrązową barwę.

– Gównu olbrzyma – powiedział krótko ksiądz.

Brwi diuka strzeliły w górę.

Kapelan przysunął się do niego.

– Mam dla ciebie listy. Zakładam, że rozmyślnie szastasz pieniędzmi?

Diuk zdobył się na oszczędny uśmiech.

– Tak.

Arnaud wzruszył ramionami.

– Wiem, że nie przywykłeś mieć kapelana, ale przyjąłem na siebie to zada-  
nie jako pokutę i chcę je wypełniać. – Pochylił się w jego stronę. – Jakiej do-  
legliwości?

Brwi diuka powędrowały jeszcze wyżej, gdy zmarszczył czoło, jakby ko-  
goś słuchał. Wzruszył ramionami.

– Może chciałbym mieć kogoś, u kogo mógłbym zasięgnąć rady – powie-  
dział. – Pod warunkiem, że nie jesteś zbyt gadatliwy.

Kaitlin i Michael przysunęli głowy, śliczni jak święci z obrazka.

– Udzielisz im ślubu?

– Święty Michale, byłoby grzechem tego nie zrobić. Oczywiście. – Kapłan  
się uśmiechnął.

– Wydajemy pieniądze, żeby pokazać, jacy z nas mili bogaci najemnicy.  
Musimy pozyskać tych ludzi, a ostatnio przegrywałem.

Diuk uśmiechnął się do Pyskatej, która machała kawałkiem pięknego  
szkarłatnego aksamitu.

– Spodziewasz się ataku? – zapytał ksiądz. Tracił kontrolę nad wątkami

rozmowy, które jednocześnie mógł snuć jego nowy pracodawca.

– Tylko sześć osób wiedziało, dokąd pójdziemy po audiencji u patriarchy – powiedział diuk. – Jeśli któraś z nich zdradziła, dowiem się o tym w godzinę.

– Jesteś jedynym znanym mi żołnierzem, który nie bluźni – zauważył ojciec Arnaud.

– Czy to grzech? Mam z Bogiem własny układ. – Uśmiech diuka był zimny jak lód. – Moja kompania potrzebuje kapelana. Ja nie potrzebuję spowiednika.

Ojciec Arnaud przysunął głowę.

– Ale lubisz wyzwania – powiedział.

– Owszem – zgodził się diuk.

– Ja też.

Bez przeszkód wracali do pałacu, wydawszy oszałamiającą sumę na klejnoty, kolejną na rękawiczki i jeszcze większą na tkaniny. Nawet paziowie mieli nowe sztylety. Diuk uparł się zabrać ich na plac płatnerzy, żeby im pokazać model jego napierśnika i naplecznika w nowym etruskim stylu.

Ksiądz jechał z ser Alison. Wybłagała u niego błogosławieństwo, gdy tylko do nich dołączył, pokazując mu nie tylko słowami, ale też uczynkami, że jest jednym z nielicznych naprawdę pobożnych rycerzy w kompanii.

– Od dawna nie widziałam, żeby był taki szczęśliwy – powiedziała do księdza. – To trochę przerażające.

Ojciec Arnaud pokiwał głową.

– Poznałem go dzień po zakończeniu oblężenia, w stajni. Nie wydawał się taki ponury. – Popatrzył na kobietę w zbroi. – Od pół godziny trzymasz rękę na mieczu. Wiesz coś, co powinienem wiedzieć?

Ser Alison roześmiała się na całe gardło.

– Widzisz skórzaną sakwę pod moją prawą nogą? – zapytała. – Jest pełna złotych monet. Mniej więcej sześćdziesiąt tysięcy florenów.

Ojciec Arnaud zagwizdał.

– Słodki dobry Jezu i wszyscy święci... Więc to robił u złotników.

Pyskata wyszczerzyła zęby, gdy zatrzymał ich strażnik i diuk się opowiadał.

– Bystry jesteś, ojcze. Będziesz do nas pasować.

Bezpiecznie wjechali do pałacu ze wszystkimi zakupami i wszystkimi przyjaciółmi. Towarzysząca im grupa studentów Akademii rosła po drodze, każdy zwoływał znajomków i wielu wróciło na Zewnętrzny Dziedziniec.

Zgodnie ze starożytnym obyczajem studentom wolno było tam wchodzić. Diuk odszpurował beczkę wina i sam je nalewał, budząc zgorszenie ordynariuszy, a później zaczęły się tańce przed stajniami. Nordykanie, scholiści i najemnicy kompanii tańczyli z obozowymi kobietami, żonami, dziewczynkami i setką studentów.

Księżniczka Irena siedziała na ławeczce w wykuszu Starej Biblioteki, patrząc przez okno na Zewnętrzny Dziedziniec. W końcu damy ją znalazły. Maria podeszła z ukłonem.

– Pani – zagadnęła ostrożnie.

– Dlaczego nie mogę włożyć skromnej sukni, zejść na dół i zatańczyć? – zapytała.

Pani Maria westchnęła.

– Ponieważ zabójca wbije ci sztylet w plecy, zanim przejdiesz na drugą stronę dziedzińca.

– On tam jest, płonie jak latarnia. Spójrz na niego! – Księżniczka Irena wskazała postać w szkarłatnym wamsie i rajtuzach.

W tej chwili rycerz skoczył nad ogniskiem, obracając się w powietrzu.

Pani Maria pokręciła głową.

– Tak, jest bardzo ekstrawagancki. – Nie po raz pierwszy przeklęła wybór przywódców przez swojego syna. Ten mężczyzna był o wiele za bardzo inteligentny i charyzmatyczny.

Najemnicy w przeszłości zostawiali cesarzami. Jedną z najłatwiejszych dróg do celu biegła pomiędzy udami księżniczki.

– Pójdę – oświadczyła stanowczo Irena.

Pani Maria rozważyła możliwości, jak zawsze. Każdy kochanek natychmiast zająłby jej miejsce; była to gra, w którą sama grała. Podstarzała matrona rzadko zachowuje pozycję faworyty, padając ofiarą okoliczności.

Wiedziała, że straci swoją pozycję, ale miało dla niej ogromne znaczenie, na czym rzecz.

W dodatku groźba zabójstwa nie była bezpodstawna. W ciągu tygodnia zginęły dwie damy księżniczki.

– Jeśli obiecuję, Wasza Wysokość, że znajdę okazję, żebyś mogła potańczyć niepublicznie, czy dzisiaj się powstrzymasz i pójdziesz do łóżka? Próbowaliśmy sobie przypomnieć, jak to jest być młodym. Księżniczka miała skórę jak kość słoniowa, jędrne piersi, lico bez jednej zmarszczki. Całą sobą pragnęła zbiec na dziedziniec, do ognia i tańca. I do mężczyzny.

Na swój sposób Irena była wojownikiem. Już dokonała trudnych wyborów i żyła z konsekwencjami. I została dobrze wyszkolona zgodnie ze zwyczajem starożytnych. Stała prosto i spojrzała na swoją faworytę.

– Dobrze, Mario – rzekła tak cicho, że był to prawie szept.

Pół godziny przed północą na rozkaz diuka strażnik bramy uderzył w dzwon alarmowy. Cały garnizon stanął na placu, pijani czy trzeźwi, uzbrojeni czy rozebrani do tańca. Większość Nordykanów była na wpół naga i ich mięśnie połyskiwały w mroku, a scholiści wyglądali jak dworzanie, którymi wielu z nich było. Kompania wystąpiła we wszystkich kolorach tęczy, choć większość w burych codziennych ubraniach, kilku prawie nagich, bo uprawiali zapasy.

Dwóch łuczników wytoczyło beczkę na dziedziniec. Studenci Akademii stali w grupie przy stajniach, niepewni, co robić. Uspokoilo ich mrugnięcie samego diuka, który przeszedł obok nich rozebrany ze szkarłatów.

Nagle Megas Ducas wskoczył na beczkę.

– Sądzę, że nadszedł czas, żebyśmy się poznali – powiedział w dobrym archaickim. Większość żołnierzy się roześmiała. – Jutro zaczniemy razem ćwiczyć, wszystkie cztery regimenty. Pomaszerujemy na wieś, przećwiczymy jazdę w terenie, poćwiczymy z bronią przy drewnianym słupie, będziemy strzelać z łuków, rzucać oszczepami i ciąć toporami. Będą potyczki i konne łuczniczo. Nadto zamierzam przemieszać ludzi, Nordykanie będą służyć w kompanii, a scholiści z wardariotami. Codziennie będziemy jeździć daleko, żeby ludzie nas widzieli. Posiłki będziemy spożywać w przydrożnych gospodach. Będziemy pokazywać, że jesteśmy nieustraszeni, a jeśli wrogowie spróbują wejść nam w drogę, będziemy ich zabijać.

Odpowiedział mu nerwowy chichot. Stłumiony.

– I o to chodzi! – powiedział Zły Tom dość głośno, żeby słowa zabrzmiały jak krzyk.

– Dostatecznie długo siedzieliśmy po cichu, nie rzucając się w oczy. Czas popracować. – Megas Ducas uśmiechnął się miło, ale w świetle pochodni wyglądał jak wcielenie szatana.

Nikt się nie roześmiał, nikt nie krzyknął na wiwat.

– A w następną środę, w dzień Świętego Marcina, wszyscy się zabawimy i odpoczniemy. Tego dnia odbędzie się parada na tym dziedzińcu... – rozległy się stłumione wiwaty – i każdy dostanie żołd zaległy od roku...

– To mi się, kurna, najbardziej podoba!

– Tak, tak!

Mężczyźni potrząsali pięściami w powietrzu. Dębowa Ławka pocałowała Osiełka. Podobne reakcje objawiały się na całym dziedzińcu, nie tylko wśród członków kompanii. Scholiści wyglądali na zadowolonych, a nawet zdumionych, że dostaną zapłatę. Nordykanie szczyrzyli zęby w uśmiechach.

– A później, wieczorem, wysłuchamy mszy odprawianej przez nikogo innego, tylko przez samego patriarchę. Po mszy ser Michael i jego pani wezmą ślub, tutaj, w koszarowej kaplicy. W koszarach Athanatoi. I wyprawimy małe przyjęcie.

Uśmiechnął się dobrotliwie i wszędzie wokół niego żołnierze wrzasnęły z radości.

– Zaczynamy od ścisłej dyscypliny. Na paradzie pełen rynsztunek, o wschodzie słońca. Każdy, kto nie wie, co oznacza pełen rynsztunek, niech zapyta primusa pilusa. Jest nim ser Thomas. Na rozkaz rozejść się, idziecie spać. Jakies pytania?

Tysiąc ludzi na paradzie. Panowała cisza. Nie padł ani jeden żart, nikt się nie zaśmiał.

Milczeli nawet studenci Akademii.

Megas Ducas się im uklonił.

– Wszyscy jesteście zaproszeni – powiedział. – Zostaniecie odeskortowani do domu, chyba że są chętni do ćwiczenia i maszerowania.

Gdy zeskoczył z beczki, z szeregu wystąpił Zły Tom, ubrany w koszulę z szafranowego płótna i wąskie spodnie z tartanu w czarno-czerwonej kratę. Zdawało się, że ma dziesięć stóp wzrostu. Wyszczyrzył do nich zęby.

– Nie mogę doczekać się rana – powiedział. Rozejrzał się w ciszy środka nocy. – Rozejść... się!

W ciągu kilku uderzeń serca dziedziniec opustoszał, ludzie pomknęli do koszar. To samo zdanie powtarzano w trzech językach, gdy starzy żołnierze wzajemnie się zachęcali do szybkiego i głębokiego snu.

O świcie nad kościelnymi wieżami słońce było zaledwie smugą różu i złota.

Brama się otworzyła i gwardia wyległa na plac. Wzdłuż trzech jego boków uformowali długie dwuszeregi, znacznie mniej ściśnięci niż podczas parady na dziedzińcu, i stali w milczeniu, na baczność, w pełnym rynsztunku.

Nordykanie stawili się w pięknie plecionych kolczugach do kolan, z długimi rękawami i kapturami, i w kolczych rękawicach. Wielu miało dodatkowe



pancerze, zbroje łuskowe albo lamelkowe; kilku nosiło moreańskie napierśniki z uformowanej skóry, malowane i złocone, a dwóch na tradycyjnych kolczugach miało zbroje w nowym etruskim stylu. Wszyscy mieli ciemnoniebieskie kaftany i peleryny w barwie cesarskiej purpury, przy czym wiele z nich było zdobionych złotem, złotymi płytkami, złotym haftem, złotymi łuskami, a nawet naszytymi perłami czy brylantami.

Scholiści nosili czerwień – czerwone skórzane przeszywanice lub ciężkie obcisłe tuniki pod karacenami z brązowej łuski wypolerowanej jak złoto, albo na przemian, ze stalowej i brązowej. Wielu miało naręczaki w nowym stylu etruskim, a kilku również bigwanty. Siedzieli na mocnych karych koniach.

Kompania też zaprezentowała się w szkarłacie, lecz jednolite były tylko tabardy. Większość ludzi miała kirysy; nosili dwadzieścia rodzajów hełmów, od szpiczastego basinetu z kołnierzem kolczym Złego Toma po żłobkowany kapalin Osiełka. Wszyscy zbrojni mieli pancerze, podobnie jak większość giermków. Paziowie nosili lżejsze zbroje, choć Morea już wywarła na nich swój wpływ – niektórzy sprawili sobie zakrzywione miecze i karaceny. Łucznicy byli bardziej konserwatywni i tylko jeden miał turban na otwartym basinecie, niejaki Tom „Paluch” Larkin. Kapitan przystanął podczas pierwszego przeglądu i popatrzył prosto na niego. Był to nowy człowiek w porządnym czystym ubraniu i nieskazitelnym napierśniku.

– Podoba mi się twój turban – powiedział.

Larkin pokraśniał.

– Panie! – krzyknął, wbijając wzrok w jakiś punkt gdzieś pośrodku placu.

– Pokaż pozostałym łucznikom, jak się je robi – polecił Megas Ducas i pojechał dalej.

– Może to cię czegoś nauczy, pierdolony fanfaronie – wycedził przez zęby Osiełek stojący dwa miejsca na prawo od Larkina.

Jeśli kompania prezentowała się dobrze pod względem elegancji, konie nie dorównały jakością tabardom, nawet tym podniszczonym. Tylko zbrojni mieli wierzchowce i była to zatrważająca zbieranina chabet.

Po przeglądzie cała gwardia zamarła, upodabniając się do tysiąca odlanych z brązu i wykutych z marmuru posągów na Wielkim Placu. Megas Ducas i jego primus pilus pojechali na środek trójkątnego placu na pożyczonych koniach. Dołączył do nich hrabia Ciemnowłosa i hrabia Giorgios Komnen, oficerowie przydzieleni tego ranka do szeregów.

Zegar w Akademii wybijał szóstą.

Po piątym uderzeniu drewnianego młotka w wielki dzwon końskie kopyta

zagrzechotały na oszronionym bruku miasta.

Gdy cisza pulsowała po szóstym uderzeniu, hrabia Zak wjechał na Wielki Plac z trzema setkami wardariotów. W kłusie przeszli z kolumny marszowej w szereg, po czym formacja lekko skręciła, żeby zapełnić przestrzeń pomiędzy prawą flanką kompanii i lewą Nordykanów, naprzeciwko scholistów. Manewr wyglądał bardzo widowiskowo.

Hrabia Zak podjechał na środek placu i zasalutował diukowi ciężkim jeździeckim pejczem.

Megas Ducas odwzajemnił pozdrowienie i skinął głową.

– Porządek marszowy: prawy szwadron wardariotów, za nimi scholiści, dalej Nordykanie, później kompania i lewy szwadron wardariotów. Kiedy dojrzymy do bramy, skręcimy w lewo i przemaszerujemy przez miasto, zawracając przy Bramie Wardariotów. Porządek marszowy obowiązuje przez cały dzień. Na moją komendę ustawimy się w szyku bojowym i rozbijemy prowizoryczny obóz na Platejach przy albańskiej drodze, żeby się posilić. Jakież pytania?

Hrabia Zak wyszczerzył zęby.

– Chcesz mieć lepszego konia?

Diuk zdobył się na uśmiech.

– Bardzo. Dla mnie i każdego innego w kompanii.

Zak wzruszył ramionami.

– Zdrajcy, którzy zabili twoje konie, wyświadczyli ci przysługę. Dostaniesz lepsze!

– Możesz pomóc? – zapytał diuk.

Zak się uśmiechnął.

– Przecież mówiłem. Czy nie? Dlaczego po prostu do mnie nie zajrzałeś?

Diuk pokręcił głową.

– Chorowałem – odparł. – Wyleczę się. Gotów? – Skinął głową i uniósł buławę.

Zak ściągnął wodze i pogalopował do swoich ludzi. Wyszczekał komendy i prawa połowa regimentu oddzieliła się od lewej, po czym ruszyła kłusem na południowy wschód do Bramy Aresa, zostawiając lukę szerokości kilku rzędów. Scholiści na rozkaz swojego nowego hrabiego odjechali czwórkami. Nordykanie szli noga w nogę, bez typowego dla kompanii szurania; wszyscy dopasowali się do rytmu nadanego przez tych w pierwszym rzędzie i w konsekwencji w zgrany sposób maszerowali przez plac.

I wreszcie ostatnie osiemdziesiąt szeregów wardariotów zamknęło tyły.

Cały proces zajął prawie dziesięć minut i w gruncie rzeczy było więcej krzyku niż potrzeba.

Nazajutrz pałacowi ordynariusze zdjęli kamienne płyty na placu i odsłoniли głębokie cylindryczne otwory. Z magazynu w cesarskich stajniach przynieśli cedrowe słupy o średnicy powyżej stopy, twarde jak skała, po czym wpasowali je w otwory tak, że mogło się wydawać, że na całym placu wyrosły martwe drzewa. Opodal bramy leżały w schludnych stosach zielone pnie cedrów, dostarczone wczorajszego wieczoru przez gwardzistów z obolałymi nogami i w porysowanych zbrojach. Klęli i wyzywali od obiboków ludzi, którzy zostali na służbie wartowniczej, jako eskorta albo do pracy w stoczni.

Nordykanie okorowali i postawili nowe cedrowe pnie. Regimenty stawiły się na Zewnętrznym Dziedzińcu w zbrojach, lecz bez broni, a oficerowie ordynariuszy otworzyli cesarską zbrojownię i wydali drewniane miecze, drewniane topory i wiklinowe tarcze. Gwardia – znów bez warty i eskorty – od Francisa Atcourta w kolczudze i pełnej zbroi płytowej po najmłodszą i najlżejszą łuczniczkę wardariotów w skórzanym pancerzu, stanęła w szyku przy drewnianych słupach. Było ich ponad dwieście i do każdego przydzielono dziesięciu ludzi z oficerem.

Ser Milus był w swoim żywiole. Towarzyszyła mu tłumaczka, drobna dziewczyna mająca ledwie pięć stóp wzrostu. Podszedł z nią do środkowego słupa.

– To jest dzisiejszy wróg! – ryknął.

Tłumaczka przełożyła, mówiąc piskliwym głosem. Ponieważ była mała i chuda, jego słowa w jej ustach zabrzmiały mniej przekonująco.

– Nie chcę widzieć niczego takiego! – krzyknął ser Milus i parę razy od niechcienia trącił słup toporem z drewna i skóry. – Każdy, kto przetnie słup, otrzyma wieczorem dodatkową rację wina. Więc chcę zobaczyć to! – Przystąpił tanecznym krokiem i zamachnął się na gruby cedrowy pień. Głowica uderzyła idealnie, a drugi cios sprawił, że pień się lekko poruszył. Rycerz przystanął i uniósł zasłonę hełmu, która mu spadła na twarz, gdy tylko pochylił głowę. – Walczcie ze słupem tak, jak walczylibyście z człowiekiem! – zawołał. Cofnął się, znowu przypadł i zadał cios tak potężny, że każdy człowiek na placu poczuł jego siłę. Odstąpił, przyjął postawę i uderzył znad głowy w sam środek słupa. – Liczcie każdy cios! – ryknął. – Uderzenie w głowę, uderzenie w ramiona, uderzenie w biodra. Pokażcie, jak to robicie! Zaczynać!

Zaczęli. Każdy po kolei mierzył się ze słupem, wchodził w zasięg i zada-

wał cios. Jedni byli niezdarni, inni pozbawieni wyobraźni, niektórzy za każdym razem atakowali słupek w ten sam sposób. Kilku intuicyjnie odgadło, o co chodzi, i zaczęli uderzać jak w prawdziwej walce. Wielu gorączkowo zasypywało słupek ciosami, chcąc zasłużyć na dodatkowy przydział wina.

Oficerowie ich pilnowali, jednego chwając, drugiemu rozkazując powtórzyć ćwiczenie.

Primus pilus chodził od słupa do słupa, zabierając ludzi z jednego szeregu i prowadząc ich do następnego, tak że w czasie, kiedy większość ciężko opancerzonych żołnierzy sapła z wysiłku, w każdej linii znajdowali się członkowie wszystkich czterech regimentów. Drewniane bułaty rywalizowały z drewnianymi toporami, by rąbać twarde drewno. Łucznicy skwapliwie osłaniali się puklerzami, scholiści zadawali ciosy zza długich zwężających się tarcz, podczas gdy Nordykanie raz rąbali jak drwale, a raz zadawali ciosy tak subtelne, jakby dzierżyli znacznie lżejszy oręż. Okładane słupy chwiały się w posadach.

W południe, kiedy słońce stało wysoko na niebie, a na placu zgromadził się pięciotysięczny tłum obserwujący ćwiczenia, ludzie zniknęli w pobliskich gospodach i karczmach, żeby się posilić.

Ser Gawin i hrabia Zak siedzieli w gotowości na koniach przy bramie Wewnętrznej Dziedzińca na czele silnego oddziału złożonego z ludzi wybranych ze wszystkich czterech regimentów. Gdy gwardziści jedli i pili, pięćdziesięciu wartowników obserwowało plac, a ser Gelfred i jego łowcy zajmowali posterunki na dachach, pełniąc to samo zadanie.

Nic się nie wydarzyło.

Gdy słońce zaczęło zachodzić, większość żołnierzy nie miała siły unieść rąk powyżej ramion.

Tak samo wyglądał drugi dzień.

Trzeciego dnia na placu stanęły tarcze strzelnicze i rozciągnięto setki jardów białej liny, żeby widzowie trzymali się z daleka. Uzbrojeni w długie i rogowe łuki piesi mężczyźni i kobiety z czterech regimentów ustawili się w stu dwudziestu rzędach przed stu dwudziestoma tarczami. Jak wczoraj, primus pilus przemieszczał szeregi.

Osiełek wystąpił.

– Chcę zobaczyć dobre czyste trafienie z każdego zasięgu – powiedział. Podszedł do wardarioty i się uklonił. – Mogę skorzystać z twojego łuku?

Mężczyzna wyjął łuk z pochwy na biodrze. Był to łuk rogowy, dość krótki.

Sięgnął po strzałę z kołczana na drugim biodrze.

Osiełek odwrócił się w stronę tarczy. Założył cięciwę, napiął łuk i strzelił. Strzała z głośnym chrzęstem ugrzęzła w słomie palec od środka tarczy.

– Nie popisywać się. Nie dawać się ponieść. – Za nim zaskakująco ładny cesarski posłaniec powtórzył jego słowa po wardarsku i moreańsku. – Pamiętajcie, że bliski zasięg ma swoje minusy. – Wyszczrzył zęby. – W każdym szeregu jest kilku łuczników i kilku żołnierzy, którzy nigdy nie strzelali z łuku. Szereg z najlepszym wynikiem dostanie po złotym florenie na głowę. Drugi i trzeci z kolei dostanie podwójną rację wina. Więc lepiej nauczcie swoich patałachów, jak się strzela!

Usunął się z drogi.

– Zaczynać!

W czwartek rzucali oszczepami.

W piątek piechota biegła, a konni żołnierze jechali na przełaj. Kilkanaście koni odniosło obrażenia i trzeba było je dobić. Ludzie powykręcali kostki i wielu przeklinało diuka. W południe zmęczeni piechurzy posilili się w chłodnym jesiennym słońcu pod osłoną drzew oliwnych, których owoce prawie dojrzały i sypały się na ich głowy, a oni nimi rzucali w siebie.

Konnica przybyła odrębną trasą, prowadzona przez przewodników, i utworzyła oddział z miejscowych stradiotów. Ochotnicy zgłaszali się do służby, co stanowiło pierwszą ostrożną oznakę poparcia dla pałacu, choć jak na razie pełną sceptycyzmu. Przybyło ponad stu ludzi; wszyscy miesiąc temu walczyli pod sztandarem diuka Andronikusa. Zjawili się wszyscy, którzy reprezentowali lokalny regiment.

– Połowa z nich to zdrajcy – mruknął ser Gawin.

Diuk wzruszył ramionami.

– Chcę mieć mój nowy napierśnik – powiedział. Osłonił oczy ręką i spojrzał na lokalnych żołnierzy jadących w długiej linii. – Nie sądzę, Gawinie, żebyśmy musieli się przejmować, czy są zdrajcami. Bez względu na to, co mają w sercach, są tutaj.

Pod oliwkami ludzie z pięciu regimentów częstowali się jabłkami i rozcieńczonym winem, migdałami w miodzie i twardymi kiełbasami.

Kiedy zabrzmiały trąbki, wszyscy skwapliwie stanęli w szeregach.

Odmaszerowali kolumną i dwa razy z kolumny marszowej przeszli w szyk bojowy. Kolumny rozwinęły się w szeregi, ku satysfakcji diuka, otwierając

się niczym kwiat na wiosnę, i nagle cała mała armia uformowała długą linię z piechotą pośrodku i konnicą na flankach.

Ser Gawin obserwował przebieg manewru. Od trzech dni jechał ze swoim bratem w gronie, które stało się znane jako „domownicy”. Ser Milus trzymał sztandar, trębacz był ich paziem, ser Gawin i ser Michael wspólnie zajmowali się organizacją pola walki i elitarniej służby kurierskiej, ser Alkajos tłumaczył, a ser Thomas wydawał rozkazy – diuk rzadko się odzywał. Gawin się o niego martwił, ponieważ często wydawał się nieobecny duchem. Czasami wpatrywał się w pustkę. I pił na umór.

Od rana do wieczora. Giermek Toby dostarczał mu kolejne flaszki.

Gawin pomyślał: Gdybym ja tyle pił, nie utrzymałbym się na koniu.

Kompania wreszcie liczyła pięciuset ludzi. Dzisiaj dowodzili czterema setkami w trzech językach i na każdym kroku zdobywali nowe umiejętności.

Diuk przejechał przed frontem i zatrzymał się na niewysokim wzniesieniu, żeby obserwować manewry. Podjechał do niego ser Thomas.

– Wykonać zwrot w prawo kompaniami i uformować kolumnę marszową na drodze. Na albańskiej drodze.

– Kiedy nauczyłeś się tych wszystkich komend? – zapytał Gawin. Jego brat zdecydowanie nie wyglądał na pijanego, kiedy się odzywał.

– Są książki – odparł Gabriel. Uśmiechnął się do niego. – Podzielę się nimi, jeśli chcesz. W Bibliotece Cesarskiej jest... piętnaście? Dwadzieścia?... Tomów poświęconych strategii i taktyce.

Ser Gawin parsknął śmiechem.

– Oto nowy stan rycerski – powiedział. – Wszyscy będziemy uczonymi.

Jego brat się skrzywił, jakby poczuł jakiś paskudny zapach.

– Zaczekaj, aż będziemy walczyć z kimś, kto nie czyta książek.

Ser Thomas okazał zdziwienie, nerwowo szarpiąc wodze. Mała armia wykonała zwrot, przechodząc z szeregu w kolumnę, każdy oddział złożony z pięćdziesięciu ludzi wykonał ćwierć obrotu, a potem wyrównał czwórkami od prawej – trójkami w przypadku jazdy. Mur tarcz przemienił się w długiego węża z wardariotami tworzącymi głowę i ogon, wijącego się po wzgórzach na północnym zachodzie od miasta. Diuk poprowadził armię w kierunku Alby, zostawiając miasto praktycznie bez obrony.

Kronmir położył kilka monet na stole.

– Chcę dostać pełny raport o tym, jak rozmieszcza swoje siły, w jakim po-

rządu, kto zajmuje pozycje w środku, wszystko, co zobaczycie. Nianno, zależy mi na liście milicjantów, którzy służą pod jego sztandarem.

Madam pokręciła głową.

– Może uda mi się ją zdobyć, ale jeśli diuk Andronikus ją wykorzysta, żeby zabić tych ludzi, wtedy ja też będę martwa. Jestem zbyt odsłonięta.

Jeden z najemników zaśmiał się z tej niezamierzonej gry słów.

Jules Kronmir spiorunował go wzrokiem. Nianna była jego najlepszą agentką, a jej inne role – kobiety, prostytutki – nie miały dla niego znaczenia. Liczyła się tylko jako źródło informacji.

– Jeśli przysięgnę, że lista nie zostanie wykorzystana do przeprowadzenia czystek? – zapytał.

– Może – odparła. – Wiem, od kogo ją mogę uzyskać. Ile jest warta?

Zassał powietrze przez zęby.

– Trzysta florenów.

Wzruszyła ramionami.

Kronmir nienawidził prowadzenia rozmów z kilkoma agentami jednocześnie – nienawidził utraty podziału siatki szpiegowskiej na grupy, nienawidził, że widują jeden drugiego, a jeszcze bardziej tego, że mogli zacząć coś w rodzaju podbijania stawki. Ale ten cudzoziemiec posuwał się tak szybko i popełniał tak niewiele błędów, że trzeba kuć żelazo, póki jeszcze gorące.

– Panowie, na koń. Bądźcie czujni, bo wardarioci podobno wyłapują każdego jeźdźca na drodze. Ale przynieście mi informacje. – Kronmir wskazał im drzwi.

– Skoro pani jest gotowa zarobić trzysta florenów – odezwał się były żołnierz z albańskim akcentem – może ja i mój kamrat też dostaniemy nieco lepsze wynagrodzenie? – Rozciągnął usta w szczerbatym uśmiechu. – Ja też mam informacje do sprzedania.

Kronmir zmrużył oczy.

– Tak?

Mężczyzna pokręcił głową.

– Tak – mruknął, nagle tracąc pewność siebie. Przestraszyło go coś w mowie ciała Kronmira. – Tak... ser Bescanon mówi, że nowy diuk zamierza odtworzyć latinikon. Z powrotem zwerbować wszystkich najemników. – Wzruszył ramionami. – Ile to warte?

Kronmir ściągnął usta.

– Dziesięć dukatów – powiedział i odliczył pieniądze.

– Pierdol się! Ona dostała trzysta florenów. – Albanin cisnął mu monety w

twarz.

Żadna go nie trafiła.

Kronmir był wybredny i nie cierpiał marnotrawstwa. Był również rzemieślnikiem i choć się zdarzało, że w pośpiechu popełniał błąd, zwykle go naprawiał. Schylił głowę, przemknął wokół stołu, doskoczył do dwóch najemników i ich zlikwidował. Zadał dwa ciosy sztyletem, najpierw w gardło Albanina, potem w skroń jego kamrata, i dwa trupy upadły na podłogę.

– Mój błąd – powiedział do Nianny. – Takich jak oni można kupić za florena, a zdobędę ich więcej. Chciałem zaoszczędzić na czasie, urządzając wspólne spotkanie, i wskutek tego naraziłem cały plan. – Pokręcił głową i wytarł broń o koszulę Albanina, gdy ten jeszcze bębnił piętami o podłogę.

Nianna zbladła i uniosła rękę do gardła.

– Najświętsza Panienko, miej mnie w opiece... – Splunęła na zwłoki Albanina.

Kronmir w godzinę wynajął czterech ludzi za mniejsze pieniądze, oczywiście przez pośrednika, i wyprawił ich w drogę. Żałował, że tak szybko się pozbył Albanina, ponieważ dobrze się zapowiadał i z czasem mógłby zostać kompetentnym zwiadowcą. Ułożył w myśli trzeci list z prośbą o kilku ludzi do swojego mocodawcy, który jak się zdaje wcale ich nie czytał.

Ale Nianna zgodziła się dostarczyć listę.

Napisał raport, wymieniając swoje sukcesy: otrucia, publiczne akty przemocy, przekupstwo dwóch Nordykanów, którzy teraz donosili mu o sprawach militarnych w pałacu.

*Na twój rozkaz mogę sprzątnąć parweniuszowskiego diuka, który tymczasem musztruje swoje wojsko...*

Uniósł pióro. Dokończy wątek, kiedy jego agent wróci z raportami od czterech świeżo wynajętych ludzi. Spędził godzinę wczesnego popołudnia na rozmyślaniu, o ile byłoby łatwiej, gdyby wszystko robił sam. Nie miał nic przeciwko podejmowaniu ryzyka. Korzystanie z usług agentów było nieznośnie powolne, a informacje pochodziły z drugiej ręki. Zastanawiał się, jak zresztą przez całe swoje zawodowe życie, czy pomogłoby mu używanie mocy hermetycznych. Gdyby tak mógł zwerbować godnego zaufania, utalentowanego adepta...

Tyle że tacy ludzie byli zbyt skupieni na podążaniu innymi ścieżkami prowadzącymi do władzy.

Pokręcił głową. Szpiegostwo jest wystarczająco trudne.



Armia skręciła na albańską drogę i w maksymalnym tempie maszerowała na wzgórze. Wardarioci omiatali flanki, jak zgrzebło omiata boki brudnego konia, wzbijając tumany kurzu. Dwóch najemników Kronmira obserwowało widowisko z wysoko położonego gaju oliwnego. Leżeli na brzuchach na skraju starożytnego kamiennego tarasu, ukrywając konie daleko wśród drzew.

– Odmaszerowuje – oznajmił Antonio.

– Nasz pracodawca będzie chciał to wiedzieć – powiedział Alfonso.

– Masz na myśli diuka Andronikusa? – szepnął Antonio.

– Pewnie to on. Kto inny bierze udział w tej grze?

Odczołgali się od skraju tarasu i pobiegli do koni.

Obaj zostali powaleni na ziemię. Kołek Amy i Dan Favor butami przycisnęli im karki. Gelfred skinął do nich głową.

– Znacie zasady – powiedział. – Złóżcie raport ser Thomasowi.

Obaj mężczyźni byli zbirami do wynajęcia. Nie wahali się mówić, ale, o czym Gelfred się szybko przekonał, niewiele mieli do powiedzenia.

Armia diuka maszerowała na północ, pokonując prawie osiemnaście mil, gdy cienie się wydłużały.

– Dokąd, kurwa, idziemy? – Rozmyślny Mord splunął w jesiennym kurzu.

Toby wzruszył ramionami i wyjął z sakwy następnego suchara.

Dryg się pochylił nad końskim zadem.

– Już niedaleko.

Rozmyślny Mord spiorunował go wzrokiem.

– Nie ma wozów, nie ma żarcia. A ser Michael jutro po południu ma się żenić, no nie? Dlatego nie idziemy daleko.

Dryg pociągnął łyk z manierki i podsunął ją Toby'emu, który pokręcił głową.

– Pieprzony suczy syn z radością wykorzysta ślub ser Michaela, żeby zrobić głupców z nas i z tego pieprzonego Andronikusa. Będziemy mieli bitwę, wspomnicie moje słowa. – Rozmyślny Mord znów splunął. – I nie dostaniemy zapłaty. – Wziął flaszkę i się napił. – Wspomnicie moje słowa.

Zatrzymali się w dolinie pomiędzy stromymi skarpami. Rozkazy przemknęły wzdłuż kolumny – skrzydłowi ruszyli naprzód, młodszy i szybszy ludzie pobiegli na szczyty wzgórz.

Gdy w kościele wybiła piąta, awangarda wardariotów wróciła różnym kłusem, eskortując długą karawanę wozów chronionych przez ser Jehana z dwu-

dziestoma kopiami.

Armia utworzyła w marszu otwarty prostokąt, przebyła zwężenie u wylotu doliny i pociągnęła ku miastu. Wszyscy widzieli, co jest na wozach.

Było zupełnie ciemno, kiedy kolumna weszła do miasta przez Bramę Wardariotów. Wschodni regiment zatrzymał się po obu stronach bramy i ludzie salutowali, dopóki nie minęła ich ostatnia kompania. Później zabrzmiał przerażliwy gwizd i wszyscy zsiadli z koni.

W tym czasie wozy były już w głębi miasta, z ładunkiem bezpiecznym przed atakiem czy zasadzką.

Kronmir, który stał na murze nad bramą, naliczył czterdzieści siedem wozów, chociaż w zasadzie nie były to wozy. Niektóre były tylko dwiema parami kół na obu końcach ładunku, ponieważ stanowiły go dłużyce i wysuszone kłody – ogromna liczba. Dość, żeby zbudować flotę okrętów wojennych.

Zauważył też, że dwóch jego najemników jedzie ze związanymi rękami.

W Gospodzie pod Dziewięcioma Dziewicami zaczął pisać szyfrem na pergaminie.

– Parweniusz zyskał przewagę, sprowadzając drewno. Potrzebuję godnych zaufania ludzi i przyrzędów, najlepiej hermetycznych, służących do łączności i niszczenia. – Nakreślił swój znak i dodał sumę wydatków, po czym wyszedł na chłodne wieczorne powietrze. Przeszedł przez targ rolny i zatrzymał się przy trzecim rzeźniku od końca drugiego rzędu. Przez chwilę stał oparty o przednie koło wozu, czyszcząc but z końskiego łajna. Podszedł do straganu.

– Dwa kawałki jagnięciny z wiosennego miotu – powiedział.

Rzeźnik obsłużył go osobiście, z mrugnięciem, i list rozpoczął podróż.

Nazajutrz rankiem wszyscy mężczyźni i wszystkie kobiety, którzy umieli szyć, siedzieli w słońcu pod stajniami, obrębiając suknię ślubną Kaitlin. Poprzedniego wieczoru cztery szwaczki zrobiły poprawki, gdy Gropf, mistrz krawiecki, który został łucznikiem, skroił materiał. Teraz suknia wierzchnia z czerwonego i złotego atłasu leżała na wojłokowych workach, a trzydzieści osób siedziało wokół niej w kręgu. Suknia była ciemnozłota, ze złotymi guzikami. Mag siedziała z Lin i Gropfem, obrębiając dziurki burgundowym jedwabiem. Giermkowie i paziowie przynosili im wino.

Na Zewnętrzny Dzielnicu panowała odświętna atmosfera. Wszyscy żołnierze zachowywali się tak, jakby wczoraj odnieśli zwycięstwo. Nikt im nie stawiał oporu, a przecież wyprawili się daleko od miasta. Przywiezienie

drewna było symbolicznym zwycięstwem i łucznicy rozmawiali z Nordykami i scholistami o konsekwencjach posiadania floty. Dwudziestu wardariotów stało na straży przy bramie pałacu.

Dwie godziny później suknia była uszyta, wszystkie rąbki obrębione. Gropf i paru jego kamratów przypinali gronostaje do rękawów – pożyczone gronostaje, ale dziewczyna nie musiała o tym wiedzieć. Wspaniała suknia wierzchnia została starannie owinięta w muślin i zabrana do koszar.

Jej miejsce zajęły dwie beczki, na których położono cztery grube deski. Straż złożona z dwóch ludzi z każdego regimentu – dwóch wardariotów, dwóch scholistów, dwóch Nordykanów i dwóch Athanatoi – przemaszzerowała przez dziedziniec pod komendą ser Thomasa. Zatrzymali się przy stole zrobionym z beczek i stanęli za nim. Wszyscy byli w pełnym rynsztunku i wszyscy trzymali w rękach obnażoną broń.

Kompanijny notariusz przyszedł z ser Michaeliem. Przyniesiono krzesła i obaj usiedli.

Francis Atcourt gawędził z kapitanem, który był ubrany nie jak Czerwony Rycerz, ale jak Megas Ducas, w purpurę i złoto. Gdy wszedł na dziedziniec, ser Thomas dmuchnął w gwizdek i wszystkie trzy regimenty ruszyły na paradę. Nikt nie miał stroju do walki – wszyscy mężczyźni i kobiety przywdziali swoje najlepsze stroje.

Nie brakowało złotogłowiu i srebrogłowiu, jedwabnych brokatów, wełny bogatej jak aksamit i jedwabnych aksamitów. Była obfitość płócien gładkich jak śmietana, a także mnóstwo złota i srebra – ciężkie łańcuchy, pierścienie, brosze. Żołnierze lubili nosić swój majątek na sobie, podobnie jak ich kobiety.

Bliższa inspekcja ujawniłaby może trochę strasu, pozłacanej miedzi i cyny; trochę starannie barwionego szkła i skóry tłoczonej w taki sposób, że wyglądała na bogato haftowaną; niektóre brokaty miały trzeciego czy czwartego właściciela.

Ale razem wzięwszy, ośmiuset żołnierzy nie przyniosłoby wstydu niektórym dworom, jakkolwiek byli odziani nieco zbyt krzykliwie. Ich stroje były dopasowane, eksponujące muskulaturę – od watowanych, pikowanych i haftowanych spodni ser Thomasa, podkreślających każdy mięsień uda, po obcisłą koszulę ser Alison z czerwonego jedwabiu, która prawie niczego nie zostawiała wyobraźni patrzącego, jeśli chodzi o budowę jej ciała. Ubiory przyciągały uwagę.

Paradowanie w najlepszym odzieniu sprawiało, że bardziej przypominali

niesformą tłuszcę niż zdyscyplinowane wojsko. Kiedy pałacowi ordynariusze otoczeni przez w pełni uzbrojonych scholistów przynieśli dwie ciężkie okute żelazem skrzynie, wybuchły okrzyki.

Ordynariusze postawili skrzynie na grubych dębowych deskach, eskorta zaszalutowała i dostała rozkaz, by odmaszerować. Ser Michael wyjął klucz i otworzył skrzynie. Każdy żołnierz w dwóch pierwszych szeregach zobaczył błysk złota i srebra. Westchnienie zadowolenia przetoczyło się nad Zewnętrznym Dziedzińcem.

Wysoko w bibliotece księżniczka Irena stała na palcach, żeby widzieć całą paradę i dwie skrzynie. Pani Maria krążyła za jej plecami. Księżniczka była ubrana w skromną suknię wierzchnią z brązowej wełny, bardzo podobną do zakonnego habitu. Pod spodem miała o wiele mniej skromny strój, lecz widać było jedynie mankiety.

- Wydaje nie moje pieniądze – powiedziała Irena.
- Zgadzam się, że jest powodem do zmartwienia.
- Moi własni żołnierze już go kochają. Spójrz na nich!
- Żołnierze twojego ojca – poprawiła Maria.

Zapadła pełna oczekiwania cisza. Kobiety, które nie były żołnierzami, skupiły się w rogach placu. Anna i setka innych żon i prawie żon z nordykańskich koszar, a także kilka wielkich pań z miasta, których mężowie i bracia służyli w Scholi, podeszły bliżej, żeby oglądać zabawę. Cztery zakonnice stały razem z Morganem Mortimirem i młodą despoiną Ducas, którą powitano z pełnym szacunku podziwem – i paroma gwizdami albańskich najemników. Nowy hrabia Scholi uśmiechał się do niej za każdym razem, gdy obracał głowę. Ser Giorgios Komnen i jego ukochana mieli wziąć długo odkładany ślub wraz z ser Michaelem i Kaitlin.

Wzajemne uciszanie się trwało tak długo, że Rozmyślny Mord obrócił się w stronę swoich szepczących kamratów i syknął:

- Zamknąć mordy, do nędzy!

Weterani kompanii wiedzieli, że nikt nie dostanie zapłaty, dopóki nie zapadnie absolutna cisza.

Kiedy w końcu zapadła, Megas Ducas wstał i obszedł stół.

– Panie i panowie – zaczął. – Nasza pierwsza wspólna parada żołdowa. Będziecie wywoływani po nazwisku, w porządku alfabetycznym. Jeśli ktoś będzie miał jakieś zastrzeżenia co do sumy, ma zostawić pieniądze na stole i przyjść po zakończeniu wypłat, żeby pomówić bezpośrednio z notariuszem i

ze mną. Nie spowalniajcie procesu wypłacania żołdu. Księżniczka w swojej łaskawości podarowała nam beczułkę małmazji, którą otworzymy w połowie listy nazwisk. Jeśli czyjegoś nazwiska nie będzie na liście, rzeczona osoba ma czekać do zakończenia parady. Każdy mężczyzna i każda kobieta marzą o wydaniu pieniędzy, ale nikt nie opuści tego dziedzińca przed ślubem ser Michaela z Kaitlin Lanthorn i ser Giorgiosa z despoiną Heleną Ducas. Ponadto, jeśli chcecie przepuć swój żołd w mieście, pamiętajcie, że jest tam co najmniej stu ludzi wynajętych specjalnie po to, żeby was ukatrupić, nie wspominając o zwyczajnej gromadzie rzezimieszków, którzy tylko czekają, żeby obrabować żołnierzy tarzających się w złocie. Pamiętajcie też o nieuczciwych karczmarzach i dziwkach. *Caveat emptor*, niech kupujący się strzeże. Spodziewam się, że każdy obecny na paradzie stawi się w poniedziałek na jutrzni. – Uśmiechnął się do nich wyrozumiale. – Dobrze, towarzysze. Zaczynamy. – Pochylił się i spojrzął na listę. – Łucznik Benjamin Aaron! – krzyknął.

Niewysoki mężczyzna w czarnej wełnie z pięknym pasem z emaliowanych płytek i w małej czarnej jarmułce dumnie wymaszerował z szeregów. Zgodnie z tradycją pierwszy człowiek odbierający żołd miał zaszczyt uścisnąć rękę kapitana. Aaron wyszczerzył zęby w uśmiechu, Megas Ducas się zrewanżował i ser Thomas wyrecytował:

– Aaron, konny łucznik, siedemdziesiąt dwa floreny, dziewięć srebrnych lampartów, sześć cekinów, potrącone trzydzieści jeden lampartów, cztery lamparty i sześć cekinów szpital, plus cztery lamparty sześć cekinów za dodatkowe trudy, łącznie: siedemdziesiąt florenów, osiemnaście lampartów, dwa cekiny! Podpisz tutaj.

Aaron postawił znaczek w książce, zgarnął monety – dziesięcioletni zarobek wieśniaka albo roczny utarg utalentowanego rzemieślnika, wszystko w gotówce, prosto do ręki. Lekko się uklonił kapitanowi i ser Michaelowi, po czym odmaszerował na swoje miejsce w szeregach, gdzie natychmiast zaczął regulować drobne roczne długi.

Ci, którzy wstąpili do kompanii bez nazwisk – niewielu zbiegłych wieśniaków je miało – przyjmowało nazwiska na pierwsze litery w alfabecie. Ogromną popularnością cieszyło się nazwisko Brown, podobnie jak Able.

Jednakże parada obejmowała również Akritosa Giorgiosa i Arundsona Erika.

Ser Francis Atcourt był pierwszym rycerzem uprawnionym do odebrania żołdu i rozmowy ucichły, gdy odczytywano jego wynagrodzenie.

Ser Thomas czytał:

– Atcourt, zbrojny: trzysta szesnaście florenów, bez lampartów, bez cekinów, bez potrąceń, szesnaście lampartów sześć cekinów szpital, plus cztery lamparty i cztery cekiny za dodatkowe trudy, plus trzydzieści jeden florenów martwy koń bojowy, łącznie: trzysta czterdzieści siedem florenów, dwanaście lampartów, dwa cekiny.

Ludzie westchnęli, słysząc, ile może zarobić zbrojny. Taka suma jest niczym, kiedy w zimny wiosenny poranek krew ci spływa po skórze podczas walki z wiwernem, kiedy tylko cienka stal dzieli cię od zębów potwora, ale w piękne jesienne przedpołudnie na dziedzińcu wspaniałego pałacu wydawała się fortuna. Wszystkim, czego człowiek mógł pragnąć.

– I jeden udział – dodał Megas Ducas.

– Wpłać go na moje konto – powiedział ser Francis, który siedział przy stole, i mężczyźni się roześmiali.

Przejście od Atcourta do Cantakuzenosa zajęło prawie godzinę, ale po Ducasie poszło szybciej. Po D było mniej najemników, a Nordykanie i scholiści podchwycili rytm. Kiedy ktoś słyszał swoje nazwisko, wychodził z szeregu i gdy odczytywano jego wypłatę, zgarniał srebro i złoto do czapki, wracał, a w tym czasie następny szczęściarz przepychał się do przodu. W każdym regimencie było kilku gałganów skłonnych się wyklócać, ale razem wzięwszy, wypłata żołdu szła w tempie prawie trzystu ludzi na godzinę.

W kompanii parada żołdowa była okazją do przekory i żartów – żony się przepychały, żeby odebrać zapłatę mężów, a potem stawały po własną, a gdy ktoś miał pecha i był nieobecny – na przykład Daniel Favor się nie zgłosił, kiedy wywołano jego nazwisko – jego kompani ryczeli: „F chce, żeby wszystko oddać na biednych!”.

Gelfred, mistrz łowca i oficer kompanii, wysoce opłacany i tym samym zawsze będący dobrym celem kpin, również się nie stawił.

Rozmyślny Mord, który miał prawdziwe nazwisko i już odebrał zapłatę, wykrzywił gębę w uśmiechu.

– Żadnego zwiadowcy nie ma na paradzie – powiedział do najbliższego sąsiada. – Wczoraj niekoniecznie się myliłem. Ktoś coś kombinuje.

Wypłata żołdu została przerwana po Hannafordzie i wszyscy dostali po pełnym kubku małmazji, ciężkiego słodkiego wina serwowanego przez grupy ordynariuszy z tacami. Megas Ducas wskoczył na stół i uniósł kubek – wszyscy na dziedzińcu, łącznie ze studentami, podnieśli swoje kubki.

– Za cesarza! – krzyknął Megas Ducas.

Tysiąc dwieście głosów powtórzyło okrzyk.

Cesarscy słudzy zabrali kubki z czerwonej gliny z cesarskimi wieńcami liści oliwnych i parada została wznowiona od Hand Arthura, konnego łuczniaka, i w końcu doszła do Zyragonasa Dimitriosa, stradioty. Słońce zachodziło, powietrze zrobiło się chłodne, a na dziedzińcu tłoczyli się mocno usatysfakcjonowani żołnierze.

Zgodnie z tradycją człowiek zamykający listę – w tym wypadku padło na Dimitriosa Zyragonasa, sympatycznego rudzielca o rumianych policzkach – został powitany przez najstarszą kobietę towarzyszącą kompanii, a była nią Stara Tam otoczona wianuszkami dzieciarni. Wzięła go w ramiona, zanim przyszło mu na myśl, żeby stawić opór. Będąc dobrze urodzonym Moreańczykiem, nieprzywykłym do tego, co w Albie uchodziło za poczucie humoru, był zupełnie nieprzygotowany, kiedy wsunęła rękę do jego kieszeni, i równie zaskoczony, kiedy zaczęła go całować, podczas gdy czterdzieścioro dzieciaków nazywało go tatką i tatusiem, żądając pieniędzy.

– To moje – rechotała Stara Tam. Szczerzyła zęby niczym zbiegła pacjentka z zakładu dla obłąkanych i lubieżnie oblizywała wargi. – Taki młody! – gdała. – Chcę tylko twojej lepszej połowy, kochaneczku!

Scholiści, wśród których Zyragonas był stateczną i prawą postacią, zaśmiewali się głupkowato, gdy biedak próbował uciec przed megierą i dziećmi, z których wiele odgrywało swoją rolę z takim realizmem, że mogłyby zmrozić serca mniej zahartowanych widzów.

W końcu Zyragonas znalazł się poza zasięgiem ich wyciągniętych rąk, po czym biegiem wrócił do szeregów swoich towarzyszy, niczym jednoosobowa armia w odwrocie. Musiał jeszcze ścierpieć ich śmiech, gdy Stara Tam uniosła w górę jego sakiewkę schludnie odciętą od pasa.

– Mam twoją najlepszą część, kochaneczku! – ryknęła.

W tłumie nie brakowało lingwistów, którzy przetłumaczyli żart na nordykański i moreański.

Wszyscy śmiali się do rozpuku. W końcu Megas Ducas wstał z krzesła, a starowinka się odwróciła, dygnęła i podała mu sakiewkę. Megas Ducas zwrócił pieniądze czerwonemu jak burak prawowitemu właścicielowi, który nie mógł nikomu spojrzeć w oczy.

– Panowie i panie, pora na wino i strawę. Im więcej rąk, tym praca łatwiejsza. Niech zacznie się wesele.

Klasnął i wszyscy pobiegli do swoich zadań wyznaczonych podczas porannej parady.

Dryg wyszedł z kuchni, gdzie wraz z czterema ludźmi i czterema psami

Gelfreda próbował małmazję i większość potraw. Poszli do wież wokół dziedzińca, niosąc wczesną kolację i kubki wina dla wardariotów, którzy pełnili służbę, żeby inni żołnierze mogli się napić.

Pojawiły się stoły i długie niskie ławy i szereg ordynariuszy przemknął jak korowód tancerzy, stawiając na każdym stole wysokie brązowe lichtarze z woskowymi świecami. Ludzie spoglądali w niebo – ciężkie szare chmury przyśpieszały nadejście zmierzchu.

Przez Zewnętrzny Dziedziniec przeszedł spowiednik księżniczki w szatach liturgicznych. Scholiści zamruczeli na jego widok. Gdy pierwsze kubki i talerze zaczęły pojawiać się na stołach, usłyszeli, jak oficer dyżurny wykrzykuje hasło, a gdy padł odzew, brama się otworzyła.

Moreańczycy na dziedzińcu zamarli.

Wielu z nich przyklęknęło.

Megas Ducas wszedł na dziedziniec. Dryg szepnął mu coś do ucha, a wówczas diuk wysyczał rozkaz i padł na kolana na bruk, w swoich najlepszych rajtuzach. Większości ludzi nie trzeba było powtarzać rozkazu – widzieli ser Michela klęczącego w weselnym stroju i ser Thomasa w pięknych pikowanych spodniach.

Patriarcha wszedł na dziedziniec na czele dwudziestu profesorów Akademii, dziesięciu księży i biskupów.

Uśmiechnął się do żołnierzy i szedł wśród nich, udzielając błogosławieństw na wszystkie strony. Położył rękę na schylonej głowie ser Thomasa, a on najpierw poderwał podbródek niczym porażony, a potem się uśmiechnął jak człowiek, który otrzymał wielką nagrodę. Patriarcha przeszedł do następnego żołnierza, pobłogosławił ser Alison i w końcu stanął przed diukiem. Delikatnie opuścił rękę na jego głowę.

Nie uderzył piorun.

Megas Ducas ucałował pierścień.

– Mam nadzieję, że Wasza Świątobliwość przybył na wesele – powiedział bardzo cicho.

Patriarsze rozbłysły oczy.

– Chodzi ci o to, że przyszedłem za późno, żeby dostać zapłatę?

Później już nic nie mogło sprawić, żeby wesele stało się czymś mniej niż wielkim świętem. Sama Kaitlin prezentowała się tak wspaniale, że tylko jej wygląd zdusił krążące wśród Moreańczyków plotki, że jest wieśniaczką nikczemnego rodu. Wszyscy widzieli, że jest nie mniej niż duchessą. Zniknęła



razem z despojną Heleną w wartowni scholi, tymczasowo przeobrażonej w komnaty dla nowożeńców, skąd podczas przygotowań płynęły ich śmiech i chichotanie.

Ser Michael – większość wiedziała, że jest najstarszym synem hrabiego Towbraya – wyglądał jak hrabia. Uważny obserwator mógł dostrzec cechy Czerwonego Rycerza i króla w jego wyprostowanych ramionach, w tym, w jaki sposób chodził i trzymał prawą rękę na sztylcie, w arogancko uniesionym podbródku – albo w oczach, gdy z zachwytem uniósł uszyty z siedmiu jardów hoeckiej koronki welon oblubienicy. Ser Giorgios prezentował się mniej okazale, ale cechowała go godność charakterystyczna dla większości Moreańczyków i uśmiechał się do każdego, kogo tylko widział. A przede wszystkim do swojej oblubienicy, która chyba nie miała nic przeciw temu, że druga panna młoda przyćmiła swoim strojem jej piękną suknię z naszytego perełkami złotego atłasu.

Gropf rozciągnął wąskie wargi w uśmiechu i zerknął szybko na Kaitlin, kiedy całowała męża. W piątym miesiącu ciąży? Skarbie, po to jest wierzchnia suknia! Nie musiał nikomu mówić, że święci triumfy jako krojczy, mogąc zaprezentować swój kunszt przed patriarchą w pałacu cesarskim – dwa lata po tym, jak odwrócił się plecami do swojego rzemiosła i poszedł na wojnę.

Nie mógł się powstrzymać od uśmiechu.

Podobnie jak Rozmyślny Mord, który właśnie otrzymał największą wypłatę w całym swoim dorosłym życiu, bez jednego odjętego cekina. Chodził po placu, zakładając się o wszystko, o co ktokolwiek był skłonny się założyć – największym powodzeniem cieszyło się wytypowanie chwili, kiedy, odliczając w zdrowąskach, panna młoda po raz kolejny pocałuje pana młodego. Proponował zakład, że cała kompania ruszy w drogę jutro o wschodzie słońca.

Mag prowadziła poważną rozmowę z kapitanem i sporządzała notatki, kiedy zaczęła się msza. Patrzyła, jak Kaitlin Lanthorn, którą pamiętała jako rygnącą niemowlę bez większych szans na przeżycie, idzie do ołtarza, żeby poświęcić człowieka, który prawdopodobnie był najbogatszym młodzieńcem swojego pokolenia, i mając za świadków najszlachetniejszych ludzi w świecie chrześcijańskim. Zalała się łzami i płakała przez całe nabożeństwo. Własnoręcznie uszyła każdą sztukę bielizny, którą miała na sobie panna młoda, i w każdy szewek wplotła każdą odrobinę szczęścia, jaką mogła wysnuć z eteru. Popracowała również nad pogodą – po raz pierwszy w życiu – i kopuła jej czarów osłoniła Zewnętrzny Dziedziniec niczym czara ognia.

Kiedy popłynęło wino i ludzie zaczęli przechodzić od stołu do stołu, pa-

triarcha usiadł przy niej.

– Powiadają, że to twoje dzieło – zagadnął uprzejmie.

Uśmiechnęła się i spuściła wzrok.

– Ci sami ludzie mi mówią, że nigdy nie odebrałaś wykształcenia w *ars magicka* – dodał z uśmiechem.

O mało nie powiedziała, że pobierała nauki w Dar-es-Salaam – już miała słowa na końcu języka, jedno ze wspomnień Harmodiusza, które stary mag umieścił w jej głowie. Nie przyswoiła sobie w pełni tego wszystkiego, czego się dowiedziała od niego i przeoryszy podczas ostatnich dni oblężenia, ale codziennie pracowała nad tym, co zapamiętała. Stąd zresztą wzięły się jej pierwsze czary pogodowe. Teraz jak zwykle uznała, że najłatwiej jest zachować milczenie.

Zatem tylko uniosła powieki.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy.

Patriarcha uprzejmie przerwał kontakt wzrokowy i pokręcił głową.

– Z pewnością na północy Alby jest wielu ludzi obdarzonych talentem – powiedział.

Mag skinęła głową.

– Owszem – przytaknęła.

– Czy mogę cię zaprosić do Akademii? – zapytał. – Od ponad dwóch tysięcy lat służymy mężczyznom i kobietom obdarzonym wyjątkowymi darami, hermetycznymi, naukowymi, muzycznymi i wieloma innymi.

Z uśmiechem spojrzała na swoje ręce.

– Proponujesz mi kurs haftowania? – zapytała, myśląc, że patriarcha mówi trochę jak smok w górach.

Muzycy, którzy jedli kolację i przyglądali się ślubowi wraz ze wszystkimi innymi, teraz weszli na uprzątnięty parkiet. Gdy stroili instrumenty, studenci dali pokaz sztuki hermetycznej – ogień wybuchał w powietrzu, herosi przeszłości maszerowali przez dziedziniec, Święty Aecjusz walczył z wielkim rogatym irkiem dwa razy od niego wyższym, i to tak dobrze, że żołnierze ry czeli z zachwytem...

– Mówiłem wam, że nic nie robi takiego wrażenia jak prawdziwa walka – powiedział Derkensun, schodząc z piętra cesarskich stajni.

Było to nie tylko nowe dzieło magiczne, ale zestaw nałożonych na siebie nowych dzieł wymagający współpracy całej czwórki: dwóch zakonnic, Baldescego i Mortimira. Mortimir walczył z Derkensunem, a czary przenosiły

ich subtelnie zmieniony obraz na leżący w dole dziedziniec. Gdy żołnierze rykiem wyrażali aprobatę, Mortimir uściskał Nordykanina.

Derkensun wybuchnął gromkim śmiechem.

– Ha, to dzięki wam, czarownikom, wypadło tak wspaniale – powiedział, ale się nie wzdrywał przed przyjmowaniem wyrazów uznania.

Dołączył do Anny, która siedziała wśród studentów, żeby poczekać na następne danie. Nagle Anna położyła rękę na jego ramieniu, akurat gdy służba podawała apetyczne desery, najwyraźniej pochodzące z cesarskich kuchni. Zignorowała pokaz magiczny zajęta jedzeniem, gdyż nigdy w życiu nie była najedzona, a ten krem...

Ale gdy u boku diuka pojawiła się kobieta w skromnej brązowej sukni, Anna natychmiast zwróciła na nią uwagę.

Wskazała ją palcem, z ustami pełnymi przepyszного kremu.

Obok niej Derkensun szczyrzył zęby do ordynariusza.

– Czy to *quavah*? – zapytał.

Sługa się uklonił.

– Tak, panie.

– Anno, to *quavah* z drugiej strony Ifriqu'ya! – Odwrócił się. – Co?

– Kim jest ta kobieta? – zapytała Anna.

Megas Ducas bawił się znacznie lepiej, niż wcześniej przypuszczał. Niektóre leki zadziałały i najwyraźniej sam Harmodiusz nie szczędził starań, żeby się nie wychylać. Diuk podejrzewał, że jego zachowanie ma coś wspólnego z obecnością patriarchy, który siedział na tronie z hebanu i złota oddalony tylko o długość miecza. Uznał, że jak się bawić, to się bawić. Był sam, to najważniejsze.

Przynajmniej tak się czuł.

Zastanawiał się, czy nie posłać Toby'ego po lirę, kiedy poczuł sugestię zapachu, a potem ona była tuż przy nim.

– Występuję incognito – oznajmiła księżniczka Irena. – Proszę, mów mi Zoe.

Diuk zebrał się w sobie. I tyle, jeśli chodzi o bycie samemu.

Ser Gawin siedział z towarzystwem pana młodego i trochę automatycznie flirtował z Lanthornównami. Ranałd Lachlan patrzył w ciemność, bez przerw pił i był nudnym kompanem.

Ser Alison rozparła się na krześle. Miała kobiecy strój, wspaniały strój, nie

licząc rycerskiego pasa na biodrach.

– Kto siedzi z kapitanem? – zapytała.

Gawin rzucił okiem i uśmiechnął się znacząco.

– No, no – mruknął.

Wbił łokieć w bok Ranałda, który spojrzał i wzruszył ramionami.

Ser Michael siedział o wyciągnięcie ręki, całując swoją żonę. Przerwał pocałunek, żeby zaczerpnąć tchu, i podchwycił spojrzenie Gawina.

– Może wynajmijcie sobie pokój – zaproponował Gawin.

– Już mamy – rzucił wesoło Michael. – Na co się gapicie z Pyskatą?

Kaitlin, która wyglądała jak anioł z nieba, pochyliła się w jego stronę, uważając na tren, gronostaje, klejnoty i wszystkie inne rzeczy. Nic jednak nie miało takiego znaczenia jak mężczyzna, który przed chwilą ją całował. – To...

Ser Giorgios pobladł, a jego żona musiała się uciec do lat dwornego szkolenia, żeby nie wypluć wina.

– Porfirogeneta! – szepnęła z przejęciem. – Na moim weselu!

Gawin wyszczerzył zęby.

– Zgadza się. Tak właśnie myślałem.

Ser Thomas podszedł i uklonił się ni mniej, ni więcej, tylko Pyskatej.

– Mogę cię prosić do tańca?

– Konno czy pieszo? – zapytała odruchowo Pyskata. Była gotowa do walki i pomimo sukni z obcisłym stanem w tej chwili wyglądała jak wojownik.

Zły Tom parsknął śmiechem.

– Mam cię! Ale... – zgiął się w komicznie przesadnym ukłonie – ale mówię poważnie. Zaraz zaczną grać do tańca. Chodź, zatańczymy.

– Dlaczego? – zapytała go podejrzliwie. – Już nie obracasz Sukey?

Tom uniósł brew.

– Nie przez parę godzin. Chodź, Pyskata, zatańczymy. – Spojrzał na Gawina. – Na co się wszyscy gapicie? – burknął jak zwykle grubiańsko.

– Nie na ciebie – odparł Gawin. Wskazał stół patriarchy, praktycznie nie wskazując.

– Same grube ryby – zgodził się Tom.

– A kto siedzi z kapitanem? – zapytała Pyskata. Wstała i położyła rękę na ramieniu Toma. – Jeśli zrobisz ze mnie pośmiewisko, wypruję ci flaki, tak mi dopomóż Bóg i wszyscy święci.

Zły Tom wyszczerzył zęby.

– Tak postępujesz ze wszystkimi chłopakami? – zapytał. Nagle jego na

wpół szyderczy śmiech urwał się jak nożem uciął. – Słodki Jezu, przecież to księżniczka.

– Trafieś w dziesiątkę, chłoptasiu – rzuciła przeciągle Pyskata.

Podczas gdy Zły Tom wybałuszał oczy, ser Jehan i ser Milus obeszli weselny stół, kolejno ucałowali panny młode, uklękli przed Kaitlin, pokleпали Michaela i Giorgiosa po plecach, a potem – Jehan pierwszy – poprosili Pyskatą o taniec.

– Czy jestem jedyną dziewczyną, którą znacie? – zapytała.

Prawie pięćdziesięcioletni ser Jehan – same mięśnie, chrząstki i okupiony wielkimi trudami tytuł rycerski – poczerwieniał jak sztubak.

Tom wskazał diuka, który wstawał, podając ramię kobiecie, a właściwie dziewczynie w brązowej sukni.

– Nie pokazuj paluchem – syknął Gawin.

Jehan się uśmiechnął. Odwrócił się w stronę ser Milusa i coś do niego szepnął.

Milus wyszczerzył zęby.

– Nagle wszystko nabrało sensu – powiedział.

– Zatańczysz? – zapytał Czerwony Rycerz księżniczkę.

Spojrzała na niego.

– Rozumiem, że to głupie pytanie – mówił dalej – ale skoro jesteś incognito, zakładam, że mogę ci zadawać bezpośrednie pytania i otrzymywać bezpośrednie odpowiedzi. Zacznijmy od tych mniej ważnych. Co tutaj robisz?

Wstała.

– Chcę tańczyć – odparła. – Wyznam, że nigdy publicznie nie tańczyłam z najemnikiem.

Skinął głową i ściągnął usta.

– Nie jest tak źle, jak myślisz.

– Nie mogę się nadziwić twojej doskonałej znajomości archaickiego – powiedziała, gdy odeszli od stołów.

Czerwony Rycerz kątem oka dostrzegł, że patriarcha drgnął, usiadł prosto, odwrócił głowę i powiedział coś, co sprawiło, że siedzący obok niego młody kapłan też nagle się obrócił.

Uśmiechnął się do niej.

– Tutaj się nauczyłem – powiedział. – Ściślej mówiąc, guwerner w domu nauczył mnie języka, a tu go szlifowałem.

– W Akademii?

– Nie – odrzekł bez słowa wyjaśnienia.

Muzycy najwyraźniej wiedzieli, kim jest jego partnerka, bo gorączkowo dostrajali instrumenty.

– Umiesz tańczyć? – zapytała.

– Nie – odparł z promiennym uśmiechem.

Podszedł do niego jeden z ulicznych grajków. Trzymał kapelusz w roztrzęsionych rękach.

– Panie, my... co... to znaczy... co mamy zagrać? – wykrztusił.

Tego wieczoru Czerwony Rycerz nie chciał grać roli diuka. Ukłonił się damie.

– Cokolwiek pani sobie życzy – odparł.

Każdy Moreańczyk w zasięgu słuchu odetchnął z ulgą.

Zoe osłoniła twarz wachlarzem, ale najpierw pozwoliła, żeby muzyk zobaczył jej uśmiech, który był całkiem naturalny.

– Coś żwawego. – Z wdziękiem odwróciła się w stronę obu panien młodych, które stały ze swoimi mężami. – Wybierzcie. Wy jesteście pierwszymi damami tego radosnego spotkania, nie ja.

Kaitlin dygnęła i uśmiechnęła się figlarne.

– Hm... – Błysnęła zębami do despoiny Heleny. – Ćwiczyłyśmy moreański taniec, skoczny. Zatańczmy moreskę.

Parę kroków dalej pani Maria ze świstem wciągnęła powietrze, a jej syn się skrzywił.

Przysunęła głowę do jego ucha i bardzo cicho zapytała:

– Coś ty zrobił?

Nawet nie drgnął.

– To, co ty mi kazałaś.

Melodia była żwawa. Gdy tylko zabrzmiała, prawie trzecia część par pośpiesznie zeszła z drewnianego parkietu, który natychmiast został otoczony przede wszystkim przez Albanów, ciekawych nowego tańca, i Moreańczyków, którzy się go bali.

Zły Tom i Pyskata nie należeli do uciekinierów.

Spojrzała na niego wcale nie inaczej, niż zrobiłaby to inna kobieta.

– Znasz ten taniec? – zapytała.

– Nie – odparł radośnie. – A ty?

Ze śmiechem pokręciła głową.

– Właśnie tego mi trzeba – powiedziała. – Nieustraszonego partnera.

Z nielicznymi wyjątkami większość arystokracji Morei i Alby podzielała swoje upodobania. Szlachetnie urodzeni często tańczyli statecznie, w parach albo czwórkami, podczas gdy ludzie niższego stanu tańcowali w grupach, tworząc wielkie koła.

Ten taniec nie pasował do żadnej kategorii. Brały w nim udział pary, które się zamieniały z innymi, co może było innowacją niekoniecznie skandaliczną, ale na pewno śmiałą. Stało się jasne, że lady Kaitlin i ser Michael znają moreskę i że ćwiczyli kroki z moreańską parą.

Zgodnie z najlepszymi tradycjami weselnymi dwie młode pary najpierw same wykonały wszystkie układy taneczne.

Kiedy Giorgios wziął Helenę w ramiona i okręcił ją w powietrzu, Zoe skłoniła głowę i uśmiech zagrał w kącikach jej ust.

– Ach... – szepnęła.

Nowożeńcy odwrócili się od siebie i klasnęli z idealnym wyczuciem czasu, a muzyka zalała ich jak fala – zmiana, obrót, klaśnięcie, zmiana, razem...

Wszyscy bili brawo. Byli tacy dobrzy, że klaskali słudzy, klaskali pijani. Kaitlin ze łzami w oczach uśmiechnęła się do męża. Helena z radością zadarła głowę ku niebu.

Pyskata popatrzyła na Toma.

– Załapałeś?

Ostro skinął głową, jak mężczyzna przystępujący do czynu.

– Załapałem.

John de Bailli spojrzał na Mag.

– Może powinniśmy to przesiedzieć?

– Bzdura. Mężczyźni twojego pokroju od upadku Troi znajdują wymówki, żeby tylko nie tańczyć.

Harald Derkensun zaciągnął Annę za ręką na środek tymczasowego parkietu.

– Nie mogę tańczyć na tej samej podłodze co cesarzowa! – protestowała Anna.

Ale mówiąc te słowa, już się obracała na palcach.

Ciemnooka młoda kobieta o wyskubanych brwiach i surowych wytwornych rysach chrząknęła tuż za plecami Morgana Mortimira. Młodzieniec siedział z kubkiem w ręku, rozmyślając o poproszeniu Anny do tańca. Nie mógł tego

zrobić i nie powinien. Wyglądała na bardzo szczęśliwą z Haraldem.

Odwrócił się i spojrział na młodą kobietę.

Uniosła wyskubaną brew.

Odwrócił się z powrotem w stronę tancerzy, a ona lekko kopnęła go w kostkę.

– Hej, Dżumo – powiedziała.

Obrócił głowę tak szybko, że mało nie zgubił brwi.

Nie szczędził starań, żeby zachować zimną krew. Wstał.

– Czy ty... e... czy? – zapytał i się uklonił.

Westchnęła.

– Matko Przenajświętsza... – powiedziała wcale niepobożnie i udała, że idzie za nim na parkiet, podczas gdy w rzeczywistości go prowadziła. – Skoro księżniczka może tańczyć z barbarzyńcą, przypuszczam, że nastanie taka moda.

– Ja nie... nie umiem tańczyć – wykrztusił Mortimir, gdy zaczęła grać muzyka.

– Stukaj nogą do rytmu i staraj się wyglądać elegancko – poradziła, stając na palcach. – Ja się zajmę tańczeniem.

– Jesteś zakonnicą!

Zmarszczyła brwi.

– A ty ciemnym barbarzyńcą.

Patriarcha wskazał ojcu Arnaudowi młodego albańskiego maga. Szpitalnik pokiwał głową. Młoda kobieta pięknie tańczyła, a młody mężczyzna dosłownie był skąpany w świetle. Płonał na środku parkietu, gdy krążyła wokół niego, jakby był latarnią. Nie trwało to długo, w końcu musiał się ruszyć i wypadł całkiem niezłe. Oboje parsknęli śmiechem, gdy się potknął o własne nogi.

Patriarcha obserwował księżniczkę, kiedy go mijała – najpierw w kobiecym kole, które się obracało w kręgu mężczyzn, później na zewnątrz ich kręgu, po skomplikowanej zamianie. Mężczyźni odeszli i kobiety tańczyły same; po odejściu kobiet tańczyli sami mężczyźni, oświetleni przez młodego Mortimira jaśniej niż przez pochodnie. Następnie tancerze i tancerki utworzyli korowody, które się splotły – ukłon w lewo, ukłon w prawo, obrót z wysuniętą nogą. Kobiety podskoczyły i mężczyźni je złapali.

Czerwony Rycerz zatoczył pełne koło z córką cesarza trzymaną wysoko nad głową.



Patriarcha nagle wyprężył ramiona, ściągnął brwi i podniósł kubek, żeby dolano mu więcej wina.

Tańczyli cztery godziny. Tańczyli, dopóki większość mężczyzn i kobiet, którzy walką zarabiali na życie, nie była trzeźwa jak na początku wesela i tak zmęczona, jak po stoczeniu bitwy. Tańczyli w szeregach i w kręgach, parami, czwórkami i ósemkami, wykonując wszystkie figury znane w Albie, Galii i Morei. Hrabia Zak i jego oficerowie zaprezentowali tańce wschodnie, a Czerwony Rycerz i jego oficerowie koniecznie musieli spróbować swoich sił. Zły Tom padł jak długi, gdy próbował wyrzucać nogi do przodu w przysiadzie, i śmiał się ze swoich błazeństw, a Pyskata klaskała i naśladowała wschodnich wojowników, dopóki nie odkryła, że to męski taniec. Hrabia Zak objął jej ramiona i razem pili. I razem poszli zatańczyć. Później Pyskata złapała Milusa i Jehana za ręce i przeciągnęła ich przez wielki krąg gapiów, wolnych od służby ordynariuszy, studentek z Akademii i innych samotnych kobiet.

Z bezbłędnym zawodowym wyczuciem prowadziła dwóch rycerzy do stadka przyjaciółek Anny, które wkręciły się tutaj pod takim czy innym pretekstem.

– Panowie, te kobiety są dziwkami. Panie, ci panowie są nieśmiali. – Uśmiechnęła się szeroko na znak, że nie chciała nikogo obrazić, ale jedna z nich się obraziła.

– Kogo nazywasz dziwką, suko? – warknęła.

Pyskata się uśmiechnęła.

– Byłam dziwką. Znam to spojrzenie.

– Poważnie? A teraz kim jesteś?

– Teraz jestem rycerzem – odparła Pyskata.

Hrabia Zak robił do niej słodkie oczy, więc odeszła.

Ser Jehan spojrział w ciemnobrązowe oczy swojej nowej przyjaciółki.

– Naprawdę jest rycerzem? – zapytała dziewczyna.

– Naprawdę – przytaknął.

A potem zatańczyli.

Czerwony Rycerz i Zoe kontynuowali taniec. Raz się zatrzymali, kiedy ordynariusze natarli niczym mściwa armia, przynosząc lód, prawdziwy lód z gór. Czerwony Rycerz spotkał się z nimi w połowie parkietu, zapytał, kto przysłał lód, wziął trochę dla księżniczki i patrzył, jak je.

Później, kiedy słudzy przybiegli z pianistym purpurowym winem, pocią-

gnął ją do nich i dopilnował, żeby dostała pierwszy kieliszek.

Wszyscy unosili się nad jego troskliwością.

Rozmyślny Mord siedział rozparty i pił piętnasty kubek cydru. Spojrzał na Osiełka.

– Cienkusz – skomentował.

Osiełek przewrócił oczami.

– Niezupełnie. Po prostu jest inny. Słodszy? – rzucił w powietrze.

– Wspomnisz moje słowa – powiedział Rozmyślny. – Rano pogna nas w jakieś koszmarnie miejsce. To całe wesele to tylko przykrywka. Ruszemy na fałszywego diuka.

Osiełek się skrzywił i pokręcił głową.

– Rano nie znajdzie się dziesięciu ludzi zdatnych do służby.

– Wspomnisz moje słowa – powtórzył Rozmyślny i beknął z wyrafinowaniem.

Czerwony Rycerz odprowadził tajemniczą Zoe do samych drzwi jej komnat. Jeśli zauważył, że sześciu Nordykanów z licznymi bliznami podąża za nimi przez pałac, to na pozór nie zwrócił na nich uwagi. Jeśli spostrzegł ser Alkajosa, jego matkę Marię albo ciągnący za nimi długi szereg dam dworu w strojach ordynariuszek – wszystkich ze wstrzymanym oddechem – nic nie powiedział.

Przed drzwiami cesarskich apartamentów ujął dłoń księżniczki i zgiął się nad nią w ukłonie, niezupełnie dotykając wargami.

Uśmiechnęła się.

– Spodziewałam się większej śmiałości po sławnym wojowniku – powiedziała.

– Jestem naprawdę śmiały tylko wtedy, kiedy mi płacą – odparł, ściskając jej rękę. – Poza tym nie sędzę, żeby widownia była odpowiednia, skoro o tym mowa – dodał cicho.

Spojrzała w mrok długiego korytarza i nagle zadrżała.

– Ach... – szepnęła i zniknęła w drzwiach apartamentów.

Zdażył zobaczyć zwarty szereg panien czekających, żeby ją rozebrać, i poczuł tchnienie perfum, a potem drzwi zamknęły się mu przed nosem.

Młody pasterz stał i wlepił wzrok w posterunek na trackiej drodze. Było tam dwudziestu żołnierzy diuka Andronikusa, dwóch uzbrojonych arystokratów i

sześciu wschodnich wojowników z rogowymi łukami. Chłopak zjadł jabłko i przepędził owce przez blokadę. Był niemową i zamasyście gestykulował, co sprowokowało mężczyzn do gburowatego śmiechu. Zabrali mu dwie owce na kolację i obiecali lanie, jeśli spróbuje się stawiać.

Zatrzymał się na następnym wzgórzu, żeby ich obserwować.

Wóz podjechał do posterunku w resztkach dziennego światła.

Pastuch sięgnął w trawę, wyjął oszczep, potem drugi, a potem miecz.

Gdy wóz rzeźnika z miasta oddalał się od posterunku, zabrzmiał tętent kopyt. Żołnierze chwycili za broń, ale wypadki rozegrały się tak szybko, że zostali pojmani albo zabici w ciągu kilku uderzeń serca.

Wschodni wojownicy, zaprawieni w boju ludzie stepów służący pod chanem, nie walczyli. Siedli na koń i uciekli na północ.

Pastuch z tuzinem innych mężczyzn i kobiet, którzy w ciągu dwóch dni przeszli przez blokadę, runęli na uciekinierów i wóz, biorąc dwóch jeńców i zabijając resztę.

Daniel Favor wyczyścił włócznię peleryną martwego, zabrał jego sakiewkę i zjechał ze wzgórza do Gelfreda, który siedział na koniu w gasnącym świetle dnia.

Gelfred skinął głową.

– Dobra robota – powiedział.

Daniel wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Myślałem, że mnie pobiją. I zachodziłem w głowę, jak długo wytrzymam, zanim się odgryzę. – Wzruszył ramionami.

Gelfred pokiwał głową.

– Trochę się pomodliłem – wyznał.

– Widzisz wóz, który przejechał? – zapytał Favor.

Gelfred przytaknął.

– Woźnica miał przepustkę. Przepytam go osobno.

Dwie godziny później diuk siedział na dziedzińcu, muzykując z Alkajosem i ojcem Arnaudem. Garstka najwytrwalszych jeszcze tańczyła, łącznie ze znacznie złachanym ser Jehanem i bardzo młodą Moreanką.

– Zakochasz się w niej? – zapytał poeta.

– Pytasz Czerwonego Rycerza czy diuka? – zaciekawiał się posiadacz obydwu tytułów.

– Z pewnością jesteś mężczyzną, który ma męskie apetyty i męskie żądze, a nie tylko dwa puste tytuły i kompletną zbroję – powiedział Alkajos. – Na

Christosa, jestem pijany. Nie zwracaj na mnie uwagi.

Ojciec Arnaud patrzył na kapitana jak wyrzut sumienia, o którego brak posądzała go większość jego ludzi.

– Czy szlachetni panowie znają przypadkiem *Et non est qui adjuvet?* – zapytał.

Zagrali, a potem wszyscy napili się wina. Ludzie nagrodzili ich oklaskami.

– Obserwuje cię z biblioteki – powiedział ojciec Arnaud.

Ser Gawin pojawił się z bębenkiem.

– Skoro gram, czy zostanę przyjęty do klubu?

– Na bębenku? – zapytał jego brat.

– Gra wydaje się w miarę prosta – odparł Gawin ze śmiechem.

– Tak czy owak, nie potrzebujesz instrumentu, żeby do nas dołączyć. Wystarczy, że będziesz żyć w celibacie – powiadomił go Alkajos.

Ojciec Arnaud parsknął winem. Napił się, otarł brodę i pokręcił głową.

– Niech ktoś wybierze piosenkę – poprosił kapitan.

– Twoja kolej – oznajmił Alkajos.

– Może być *Tant Doucement?*

– Musimy? – zapytał ksiądz.

– Nie kochasz jej? – dociekał Alkajos.

– Kogo, księżniczki? – Gawin chciał się upewnić. – Mój brat jest bardzo wybredny. Prawdopodobnie jego serce bije dla...

Szturchnięcie łokciem w bok daleko odbiegało od wyrazu braterskiej miłości i ser Gawin zupełnie nie był na nie przygotowany.

– Co jest, kurwa! – warknął wybitnie nie po rycersku i całkiem wiarygodnie po bratersku.

– Mój brat chciał powiedzieć, że moje serce biło dla stanu duchownego – oznajmił Czerwony Rycerz. – Niestety, wmawiali mi, że kocham Boga, a w tej kwestii po prostu nie mogę kłamać.

Ojciec Arnaud odwrócił wzrok.

– Jesteś podłym sukinsynem – powiedział Gawin, parsknął śmiechem i poklepał brata po plecach.

Kapitan głęboko odetchnął.

– Zgadza się. Jestem. – Obrócił się na pięcie i odszedł.

Ksiądz patrzył za nim.

– My też nie wiemy – powiedział Alkajos.

Gawin poszedł za bratem do stajni i po długiej rampie na piętro, jego kroki brzmiały głucho na drewnianej podłodze. Zobaczył, że Gabriel stoi przy ko-

niu w niemal zupełnym mroku.

– Tylko cesarz może mieć piętrową stajnię – powiedział.

Cisza.

– Przepraszam, ale wiesz, jeśli wciąż będziesz taki silny, cierpiący bez skargi, i bez kija nie przystąpię, nikt z nas nie będzie dokładnie wiedział, dlaczego jesteś smutny, zły czy jakkolwiek inny, do diabła, jesteś. – Gawin się uśmiechnął. – I czy mogę dodać, że bez względu na to, jakie masz kłopoty, nie nosisz prawdziwego znaku Dżicy na ciele? Ja mam łuski. Codziennie. Mary je widziała i... – Gawin urwał. – Słuchasz?

Gabriel sięgnął w ciemność i objął brata. Stali razem przez czas, jakiego trzeba na policzenie do dziesięciu.

– Czy przynajmniej ją lubisz? – zapytał Gawin.

– Nie – szepnął Gabriel. – Jak wnikliwie zauważyłeś, lubię kogoś innego. Potrzebuję więcej muzyki. Dzięki, że tu za mną przyszedłeś.

O brzasku, gdy słońce jeszcze się nie wyłoniło zza horyzontu, Rozmyślny Mord jako pierwszy stawiał się na dziedzińcu. Wytąńczył się do upadłego, wypił co niemiara i teraz pierdział jak najęty, ale przygotował się do wymarszu – worek z obrokiem dla konia był pełen, zbroja wypolerowana, naoliwiona i spakowana, ciężka zimowa peleryna zwinięta za siodłem.

Godzinę później, gdy nie zadzwonił dzwon alarmowy, Rozmyślny zaklął i wrócił do łóżka. Leżący obok niego Dryg był za mądry, żeby się głośno roześmiać.

Nowy tydzień przyniósł zmiany – drobne zmiany, które zapowiadały nadziejsze większych.

Na przykład zgraja krawców opadła kompanię, ze straganów na targu dostarczono nowe tkaniny i nagle kompania miała jednolite szkarłatne spodnie i wamsy i nowe tabardy na zbrojach; każdy mężczyzna miał na ramionach czerwone, zielone i białe kity z końskiego włosia w moreańskim stylu i każdy koń podobny pióropusz na głowie. Na dziedzińcu pojawiły się sztandary utkane poza pałacem. Na jednym widniała Święta Katarzyna i jej koło, na pozostałych trzy *lacs d'amour* w złocie – na białym tle, na zielonym i na czerwonym. W trakcie uczenia się, kto do której chorągwi należy, kompania dowiedziała się, że została do niej włączona okazała grupa galijskich i iberyjskich najemników, którzy dawniej służyli diukowi Andronikusowi.

Ser Bescanon został drugim chorążym, ze sztandarem Świętej Katarzyny.

Ser Milus nosił sztandar kompanii – czarny, z trzema *lacs d'amour*. Kompania została podzielona na trzy części o nierównej liczbie; pierwszą chorągwią w sile stu kopii dowodził ser Jehan z czterema kapralami: ser George'em Brewesem, ser Francisem Atcourtem, ser Alfonsem d'Este i ser Gonzago d'Avią, przy czym dwaj ostatni pochodzili z byłego latinikonu. Drugą chorągwią pięćdziesięciu kopii dowodził ser Gawin z Ranaldem Lachlanem i ser Michaeliem jako kapralami. Trzecia, na pergaminie również licząca pięćdziesiąt kopii, a w rzeczywistości mniejsza, podlegała Gelfredowi, który miał do pomocy dwóch kaprali, ser Alison i ser Alkajosa. Chorągiew ser Jehana była biała, ser Gawina czerwona, a Gelfreda zielona. W skład każdej kopii wchodził zbrojny, prawie równie dobrze uzbrojony giermek, paż marzący o tym, żeby zostać zbrojnym, i jeden bądź dwóch łuczników.

Starzy członkowie kompanii przeklinali nowych i prawie wszyscy mówili, że kompania nigdy nie odzyska dawnej sprawności bojowej – zbyt wiele nowych twarzy ze złym nastawieniem, osobistymi urazami, różnymi językami i obyczajami. Nowi łucznicy byli kiepscy, a nowi zbrojni ledwie umieli jeździć konno. Przynajmniej tak mówili ludzie.

Wśród nowych rekrutów znalazły się cztery kobiety – wszystkie ze wschodnich stepów, łuczniczki konne albo piesze. Trzymały się razem i odrzucały próby nawiązania kontaktu podejmowane przez Dębową Ławkę czy Pyskatą. I kogokolwiek innego. Mężczyźni ze stepów też trzymali się od nich z daleka.

Panaceum, jakie Zły Tom zaordynował rekrutom, była praca.

Skacowani mężczyźni mogą przeżyć branie miary przez krawców. Mag zapędziła szwaczki do pracy i jeśli raz czy dwa wsparła głowę na kolanach i obdarzyła świat jasnym uśmiechem, wyglądała na tak szczęśliwą, jak tylko może wyglądać kobieta – może z wyjątkiem lady Kaitlin, która uczestniczyła w poślubnym śniadaniu, a potem siedziała i szyła spodnie z innymi wprawnymi szwaczkami pod wodzą praczki Lis.

Hrabia Zak przysłał trzysta koni do bram Zewnętrznego Dziedzińca jednego sam prowadził. Sprezentował go diukowi, który z zadowoleniem przyjął dar. Był to wałach wysoki na szesnaście dłoni, czarny jak smoła, mocnej budowy, ale o pięknej linii i o kształtnej głowie z niezwykłą jak na konia bojowego inteligencją w oczach.

– Może jest bękartem – powiedział Zak. Wzruszył ramionami. – Może ja też. Czy Pyskata jest wolna?

Jeśli zmiana tematu zaskoczyła diuka, to niczego po sobie nie pokazał.

– Jest dosłownie uosobieniem wolności – odparł.

Hrabia Zak chrząknął.

– Miała kochanków, tak? – Jego mina wskazywała, że jest zakłopotany pytaniem.

Megas Ducas pozwolił sobie na cień uśmiechu.

– Możliwe.

Hrabia Zak westchnął.

– Mogę się do niej zalecać? – zapytał.

– Zawsze będziesz sprowadzał mi takie konie, jeśli przytaknę? – rzucił Megas Ducas, wskoczył na nowego konia, na oklep, i pogalopował.

Godzinę później, wciąż na oklep, podjechał do Pyskatej, którą otaczali poważni krawcy, biorąc miarę na spodnie. Właśnie im zaproponowała, że się rozbierze do gaci.

– Alison? Sprzedałem cię hrabiemu Zakowi za trzysta koni – powiadomił ją. – Niezły interes, weźmie cię za żonę.

Zmarszczyła brwi, po chwili pokiwała głową.

– Trzysta koni to dobra cena – zgodziła się. – Jest niski, ale go lubię.

Wyszczerzył do niej zęby.

– Minął długi czas, odkąd kogoś lubiłaś – zauważył.

– Poza tobą.

Zarumienił się, a ona roześmiała mu się w twarz.

– Cieszę się, że uczucie jest wzajemne – powiedział. – Bądź miła dla krawców.

Pojechał na poszukiwanie ser Michaela, który rozprawiał się z resztkami weselnego śniadania, sprawdzając jednocześnie rachunki z notariuszem.

Kapitan wszedł, ukłonił się damom, ucałował ich dłonie i policzki, po czym złapał Michaela za ramię. Michael natychmiast zrobił się czujny.

Dwaj mężczyźni razem wyszli z wartowni, gdzie goście popijali wino, a za nimi pośpieszył ojciec Arnaud. Gawędzili uprzejmie i wyjątkowo sztucznie, dopóki nie weszli do kwatery kapitana.

Ser Michael się rozejrzał. Toby nalał mu grzanego wina z dzbana przy ogniu i wyszedł, zamykając drzwi.

Kapitan zaczerpnął tchu. Uniósł podbródek, co było u niego jedną z nieczęstych oznak zdenerwowania.

– Przepraszam, Michaelu – powiedział. – Nie jest dobrze i ukrywałem to przed tobą, żeby nie zepsuć ci wesela.

Michael się rozejrzał.

– Słodki Jezu, co się stało?

Ojciec Arnaud pokręcił głową.

– Gabrielu, źle to zrobiłeś. – Skinął na Michaela. – Captal de Ruth w imieniu króla pojmał twój ojca jako zdrajcę. Doszło do bitwy i twój ojciec przegrał. Poniósł poważną klęskę. Jeśli zostanie skazany...

Michael usiadł ciężko z nieruchomą twarzą.

Kapitan spiorunował wzrokiem księdza, który uśmiechnął się błogo.

– Setki razy zwałem go zdrajcą... – powiedział Michael. Uniósł głowę. – On zwrócił się do ciebie po imieniu.

Kapitan naprężył się jak zły kot.

– Wiedziałem, że przyjmowanie kapelana było błędem. – Popatrzył na księdza i podjął: – Przeor przysłał mi wiadomości. Píše, że ojciec Arnaud jest godny zaufania. Pomimo że jest beztroski i zdradza moją tożsamość. Chociaż odkąd się dowiedziałem, że mój brat napisał do naszej matki, prawdopodobnie nie ma to już znaczenia. – Popatrzył na Michaela. – Plotę trzy po trzy. Michaelu, jesteś mi potrzebny. Planuję zimową kampanię, a wiesz, co to oznacza.

– *Par Dieu*, kłopoty mojego ojca pchnęły cię do wyjawienia mi planów? – zakpił Michael, ale czuł się odrętwiały. – Muszę pomóc ojcu.

– Król i konstabl odesłali z dworu wszystkich jarsayskich rycerzy – wtrącił ojciec Arnaud. – Nie ze złej woli. Podniosły się pytania, czy poczynania captala mieszczą się w granicach prawa, czy są usankcjonowane przez króla. Król, mówiąc szczerze, próbuje ratować sytuację przez trzymanie zwolenników twój ojca z daleka od Galów i ludzi, którzy go aresztowali.

Kapitan nalał sobie trochę wina.

– Co do tego, choć raz muszę się zgodzić z królem. Michaelu, jeśli nalegasz na wyjazd, cóż, nie aresztuję cię ani nie zatrzymam tu siłą, chociaż brałem to pod rozwagę. Ale mając niedostatek ludzi, użyję każdego argumentu, żeby powstrzymać cię od wyjazdu.

Ojciec Arnaud pokiwał głową.

– Kiedy wyjeżdżałem, krążyła plotka, że twój ojca czeka sąd Boży. Podczas turnieju na wiosnę. – Zerknął na diuka. – Druga sprawa to nowy biskup Loriki. Jutro obejmie urząd i jasno przedstawi swoje plany dotyczące hermetyzmu, patriarchy, mojego zakonu. – Wzruszył ramionami. – Do lata może zostać praktycznie panem królestwa. Królowa jest dosłownie obleżona przez galijską frakcję. Nienawidzą jej, a my nawet nie wiemy dlaczego.



Kapitan pochylił się w jego stronę.

– W tym czasie tutaj skończymy. Będziemy mogli jechać na turniej. – Uśmiechnął się, a był to złośliwy uśmiech. – Odwiedzić wszystkich razem, że się tak wyrażę.

Ser Michael głęboko odetchnął.

– Planujesz zimową kampanię i chcesz na wiosnę odeskortować mnie do Alby? Nie zamierzasz poślubić księżniczki i obwołać się cesarzem?

Kapitan spojrzał w okno, marszcząc nos ze złości, że uchylił rąbek tajemnicy. W końcu popatrzył na Michaela i wyszczerzył zęby.

– Może do tego dojdzie – powiedział. – Ale nie tego chcę.

Ser Michael przez chwilę rozważał jego słowa.

– Nie? – zapytał.

Spojrzał na ojca Arnauda, który miał równie zaskoczoną minę. W zasadzie wyglądał jak człowiek, który właśnie dokonał ważnego powiązania.

Kapitan wsparł podbródek na rękach, łokcie na kolanach i nogi na stołku. Wyglądał zaskakująco bezbrinnie.

– Czasami muszę zmieniać plany. To jest jeden z tych wypadków. Z różnych powodów powiem, że tak, pojedziemy na turniej królowej, i nie, nie sądzę, żebym poślubił księżniczkę. – Uniósł brew. – Przykro mi z powodu twojego ojca. Lubiłem go.

Michael wzruszył ramionami.

– Odszedłem z domu z wielu powodów. Dlatego tu jestem i nie powinienem teraz uciekać. Rad jestem, że nie powiedziałaś mi o tym przed końcem wesela. – Odetchnął głęboko. – Pójdę powiadomić żonę. – Wstał, stwierdził, że ziemia nie uciekła mu spod nóg, i się uklonił. Przystanął w drzwiach. – Mogę ci mówić Gabriel? – zapytał.

– Nie – odparł diuk.

– Tak – powiedział ksiądz. – Przy każdej okazji.

Ser Michael pokiwał głową.

– Rozumiem – rzucił i wyszedł.

Ksiądz zwrócił się do swojego nowego podopiecznego.

– Jak rozumiem, postanowiłeś znów być istotą ludzką. Posiadanie imienia jest tego częścią.

Kapitan wciąż wspierał podbródek na dłoni. Spoglądał w okno.

– Czy to gra? – zapytał. – A może myślisz, że jeśli będę przez dostatecznie długi czas udawać, że jestem człowiekiem, to się nim stanę?

Zgadłeś, mruknął Harmodiusz, odzywając po raz pierwszy od kilku dni.

Ksiądz podszedł do kapitana.

– Kto dał ci władzę nade mną? – zapytał Gabriel, ale jego głos wcale nie brzmiał nieprzyjaźnie.

– *Bon Soeur du Foret Sauvage* przesyła pozdrowienia – powiedział.

Drugiego dnia po weselu armia, obecnie mająca w swoich szeregach prawie dwustu miejscowych moreańskich stradiotów, wyruszyła na wzgórza w kierunku Tracji. Nordykanie mieli kuce i cała kompania jechała. Posuwali się szybko, pokonując prawie dwadzieścia mil, i wrócili przez wzgórza na zachód bez napotykania jakiegokolwiek oporu. Wybrani ludzie przecwiczili szturm na mały zamek zbudowany specjalnie w tym celu, wysoki ledwie do pasa, ale z wyraźnie wytyczonymi pomieszczeniami.

Obserwatorzy zbyt późno zauważyli, że wyruszyli bez ludzi Gelfreda, a wrócili z nimi, z wozem i dwudziestoma jeńcami.

Nazajurz, w dzień Świętego Jerzego, na Wielkim Placu odbyła się musztra, w której uczestniczyli nawet stradioci. Były walki na miecze i włócznie i pojedynki konnych. Wardarioci strzelali podczas jazdy, ćwicząc wraz z garstką ludzi Gelfreda i kilkoma paziami, których zainteresowało konne łucznictwo – albo którym rozkazano się nim zainteresować. Ludzie Gelfreda zniknęli na dwie godziny i wrócili z oznajmieniem, że wszyscy mają nowe spodnie i wamsy, zielone, nie czerwone.

Robotnicy zbudowali zabawkowy zamek – dwie wieże i drewnianą salę. Budynki nie miały ścian, postawiono tylko drewniane szkielety, więc widzowie mogli oglądać toczone wewnątrz walki. Czterdziestu wybranych ludzi szturmowało zamek ku uciechu gawiedzi.

Niedawno zwerbowani rycerze potykali się z ludźmi takimi jak Zły Tom, Pyskata i kapitan, co sprawiało satysfakcję wszystkim weteranom. Ser Besca non spadł z konia tak nieszczęśliwie, że stracił przytomność – winowajcą był Zły Tom.

Tysiące obywateli miasta patrzyło i wiwatowało.

Stradioci składali się do pierścieni, cięli mieczami owoce i popisywali się woltyżerką. Nordykanie rąbali słupy ćwiczebne prawdziwymi toporami tak szybko, że tłum się śmiał, patrząc, jak paziowie i ordynariusze co sił w nogach biegają z nowymi słupami.

Scholiści zademonstrowali swoje umiejętności, od zapasów po szermierkę, a potem sześciu z nich walczyło w pożyczonych zbrojach. Giorgios Komnen, którego ser Michael podszkolił po znajomości, zdołał utrzymać się w siodle i

wygrał z ser George'em Brewesem. Ser Alison wysadziła z siodła ser Iannosa Ducasa, w pokazie doskonałego kunsztu zbijając jego kopię, aż grot zarył w ziemię, a tłum nagroził ją okrzykami i kwiatami. Moreańczycy już się przyzwyczaili do widoku kobiety rycerza.

Morgan Mortimir w pożyczonej zbroi trzy razy starł się z ser Francisem Atcourtem, za pierwszym razem trafił w hełm starszego rycerza, za drugim obaj skruszyli kopie, a za trzecim został wysadzony z siodła. Nie mając doświadczenia, okropnie się potłukł.

Dwudziestu jeńców przebywało w osobnych celach pod pałacem. W dniu Świętego Jerzego nie poddano ich torturom. Po prostu nie pozwalano im spać.

Kronmir widział wóz jadący do miasta i wiedział, co to oznacza. Siedział zadumany przez jakiś czas, ze złączonymi czubkami palców. Zastanawiał się, ile czasu zajmie cudzoziemcom złamanie jego agenta i co agent im powie. Przeanalizował swój system łączności i za pomocą książki szyfrów upewnił się, że zna kod wiadomości o „zaprzestaniu wszelkich działań” dla swoich trzech najważniejszych agentów. Kiedy w gospodzie zapadła cisza i nawet najmłodsza służebna dziewczka już spała, spakował swoje rzeczy do sakwojażu, zastanawiając się, czy nie zabić karczmarza, jego żony i młodej kobiety, z którą od czasu do czasu sypiał. Jeśli ich zlikwiduje, wróg nie będzie miał żadnych świadków jego obecności, ale nie podobała mu się taka strata i miał swoje zasady. Z cierpkim uśmiechem przyznał sam przed sobą, że polubił dziewczynę i naprawdę nie mógłby jej zabić z zimną krwią. Starannie zapchał komin w gospodzie łatwopalnymi materiałami, po czym ułożył drewno na rozpałkę w taki sam sposób, w jaki zrobiła to służąca.

Minął burdel Nianny i narysował kredą biały krzyż na drzwiach siodlarza mieszkającego po drugiej stronie ulicy. Przeszedł pustymi ulicami do dzielnicy nędzarzy przy magazynach na wschodnim brzegu i zostawił białą literę lambda na drzwiach naprzeciwko domu, w którym pewien człowiek wciąż dochodził do siebie po odniesionych ranach. Był to wynajęty w Etrurii kapitan zawodowych zabójców, który o mało nie zginął podczas szturm na pałac.

Przesiedział godzinę w garkuchni na nabrzeżu, patrząc tam, skąd przyszedł, a później ruszył na wzgórze do starego akweduktu, wyjął kamień i zostawił w otworze worek z czterdziestoma srebrnymi lampartami. Odłożył kamień na miejsce, zszedł na dół i wetknął srebrną szpilkę w korę oliwki rosną-

cej pośrodku maleńkiego placu w pobliżu domu zabójcy. Umieścił szpilkę w taki sposób, żeby trudno ją było zobaczyć, ale łatwo znaleźć, jeśli człowiek od niechcienia oparł się o pień, żeby wyłuskać kamień z buta.

Następnie ruszył wzdłuż falochronu i zostawił dwa znaki lambda w kole wśród graffiti stu pokoleń.

Usiadł na falochronie i czekał, sprawdzając, czy nie jest śledzony. Wrócił po własnych śladach, co było złym pomysłem, ale się śpieszył, poza tym zbliżał się wschód słońca. Poszedł do skrzynki kontaktowej, gdzie jego agent ze stoczni zostawiał wiadomości – pełne błędów, nagryzmołone na skórze zwinętej i wciśniętej w nieużywaną glinianą rurę wodociągową z systemu mającego pół tysiąca lat. Ukląkł w ciemności, namacał skórę. Pokiwał głową. Wyciągnął raport, schował go do sakwojażu, umieścił na miejscu woreczek ze złotem, zapieczętował rurę i nakreślił na niej duży czarny znak X.

Miał innych agentów, ale być może już gnili albo zostali pojmani. Żaden z nich nigdy go nie widział ani też nie dostarczył mu niczego godnego uwagi. I nie sądził, żeby rzeźnik wiedział o ich istnieniu.

Następnie poszedł przez miasto do zachodnich murów, gdzie cech wytwórców lamp od lat zaniedbywał podległy mu odcinek murów. Znalazł linę, zmyślnie uplecioną z siwego i brązowego końskiego włosia, dokładnie tam, gdzie być powinna. Zsunął się po murze i przedostał przez suchą fosę, przeklinając swoje lata i miecz u boku. Wspiął się na zewnętrzny mur w najbardziej zrujnowanym miejscu i zeskoczył po drugiej stronie, przeszedł półtorej mili przez pole do farmy i ukradł konia.

Przejęcie wozu wiele mu powiedziało. Teraz wiedział, że Czerwony Rycerz kontroluje drogi do gór na północy. Pojechał na zachód na wzgórze.

Dwa dni po dniu Świętego Jerzego scholiści poszli do dwóch domów w mieście. Oba były puste, a gospoda, na którą zamierzali napaść, została spalona do ziemi. Jej pracownicy odeszli, znajdując schronienie u krewnych.

Diuk minął bramę stoczni z garścią zbrojnych pod wodzą Francisa Atcourta. U jego boku jechał nieuzbrojony mężczyzna, który przyglądał się pracy w stoczni z zawodowym podziwem i oczywistym zakłopotaniem.

Diuk zsiadł z konia i wszedł do głównego budynku, równie starego jak główne mury miasta, zbudowanego z takiej samej czerwonej i żółtej cegły.

- Obejrzyj sobie wszystko – zachęcił lekkim tonem nieuzbrojonego.
- Kim on jest? – zapytał mistrz skutnik, Wiliam Mortice z Harndonu.

Przybył dwa tygodnie temu drogą lądową.

Diuk się uśmiechnął.

– Mistrzu Mortice, to nie kto inny jak Potężny i Moźny Pan Ernst Handalo z Weniki. – Pokiwał głową.

– Puści z dymem moje piękne rekiny! – krzyknął Mortice, wstając.

– Nie, nie. Wróci do domu i powie swojemu miastu, żeby się z nami sprzymierzyło.

Mortice wciąż się przyzwyczajał do Czerwonego Rycerza i Liwiapolis.

– Z nami? To znaczy z kim? Z Albą? Z Terrą? Cesarstwem?

– Z tobą, ze mną i z nową flotą – odparł diuk, wirując winem w kubku i dodając do niego coś z flaszki.

Godzinę później Handalo stał na falochronie, jego krótka peleryna łopotała na przenikliwym wietrze. Musiał krzyczeć, żeby go słyszano.

– Nie udźwigniesz kosztów! Nie bez handlu i floty handlowej.

– Zgadzam się! – ryknął diuk.

– I nadchodzi zima! – krzyknął Handalo. – Wychodzenie w morze o tej porze roku byłoby szaleństwem.

– Zgadzam się! – ryknął diuk.

– W takim razie dlaczego nas nie przekupisz i nie zamkniesz sprawy?

Diuk się uśmiechnął.

– Każdy łucznik w mojej kompanii ma dwie cięciwy w małym nawoskowanym woreczku. Podczas inspekcji sprawdzają to mistrzowie łucznicy. Dlatego że kiedyś zostałem zaskoczony, nie mając cięciw w zapasie.

Handalo uniósł brew.

Diuk patrzył na morze.

– Mógłbym tu i teraz zawrzeć z tobą umowę handlową, messire. Ale za trzy lata, może nawet wcześniej, układ stałby się dla ciebie... niewygodny. Chciałbyś go unieważnić, ty albo twój następca. – Spojrzał Etruskowi w oczy. – Mogę cię pokonać militarnie, ale nie na długo. Mam rację?

Handalo przytaknął.

– Masz głowę na karku.

– Dwie cięciwy. Zbuduję flotę i dopiero potem zaproponuję umowę handlową, a wy i genueńczycy będziecie mieli wszelkie powody, żeby jej dotrzymać. – Diuk wzruszył ramionami.

– Księżniczka ma szczęście, że tu jesteś – powiedział kapitan Weniki.

Diuk pokręcił głową.

– Cesarz ma szczęście, że tu jestem.

Dwa tygodnie później pierwsza od dwudziestu lat moreańska galera zbudowana w mieście zsunęła się po starożytnej kamiennej pochylni i rufą rozbryznięła wodę, obserwowana przez szwadron etruski po drugiej stronie cieśniny. Następnego dnia wyremontowano przejętą etruską galerę i pod koniec tygodnia nowa flota cesarska miała cztery kadłuby na wodzie.

Uderzył pierwszy zimowy sztorm, urządzając brutalny pokaz potęgi natury. Wszystkie prace w porcie zostały wstrzymane i stracono małą fortunę w drewnie, które nie zostało zabezpieczone i wiatr je zdmuchnął do morza. Nowe cesarskie statki z opuszczonymi rejami odholowano do krytych hangarów zbudowanych tysiąc lat wcześniej.

Etruskowie nie mieli tysiącletnich kamiennych szop, więc musieli rozebrać takielunek, odwrócić kadłuby do góry dnem i ukryć w tymczasowych schronieniach na zimę. W Morei padał śnieg i lód skuwał wodę pomimo cieplejszego klimatu i ciepłych prądów w cieśninach. Zima była bezlitosna dla galer.

Dwa dni po sztormie wszystkie etruskie statki były bezpiecznie schowane. Etruskowie mogli tylko z grozą patrzeć, jak w zimnym i wodnistym świetle słońca nowa eskadra cesarska wychodzi w morze i bez przeszkód płynie do ujścia cieśniny. Cesarska flota wróciła po dniu na morzu z trzema wielkimi albańskimi kogami. Jako że nie było blokady, statki bezpiecznie dotarły do portu, załadowane po burty wełną, skórą i innymi albańskimi towarami, i setka wdzięcznych kupców powitała albańskich handlarzy na nabrzeżu. Tymczasem cesarskie okręty pod komendą diuka popłynęły na drugą stronę cieśniny i wysadziły żołnierzy, którzy spalili całą etruską eskadrę.

Ogień jeszcze nie zgasł, gdy ser Ernst Handalo przyproceedził delegację Ligi Kupieckiej do pałacu, z którego tak niedawno został uwolniony. Tego popołudnia Etruskowie zerwali przymierze z diukiem Andronikusem i podpisali pokój z księżniczką Ireną i jej ojcem, cesarzem, a także dokument żądający od „zdradzieckiego uzurpatora uprzednio znanego jako diuk Tracji” natychmiastowego przywrócenia cesarza na tron. Zapłacili rękojmię i podesta podpisał szereg klauzul gwarantujących wysokość podatku. Wszyscy etruscy oficerowie zostali uwolnieni.

Armia cesarska kontynuowała ćwiczenia. Każdego dnia zgłaszało się coraz więcej lokalnych stradiotów. Każdego dnia do portu wpływały kolejne statki handlowe, wszystkie z Alby. Kogi były bardziej niż galery odporne na sztormy późnej jesieni, lecz mimo to ktoś podjął wielkie ryzyko. W następny poniedziałek cała armia cesarska zebrała się na Polu Aresowym: prawie tysiąc

ludzi kompanii, niemal pięciuset scholistów, trzystu Nordykanów i tylu samo wardariotów, a do tego miejskie tagmy w sile tysiąca piechurów i cztery setki konnych stradiotów ze wsi. Większość żołnierzy miała na sobie ubrania z białej wełny – świeżej, nowej albańskiej wełny, ciężkiej jak zbroja, w kolorze śniegu. Nowe zimowe stroje były efektem gorączkowej pracy wszystkich krawców i szwaczek w Liwiapolis.

Ser Gelfred Random siedział na koniu obok Czerwonego Rycerza w otoczeniu jego sztabu i patrzył. W zdumieniu pokręcił głową.

– Masz własną armię!

– A żebyś wiedział – powiedział Czerwony Rycerz. – Ty im płacisz. – Uśmiechnął się. – I sprowadzasz wełnę.

Random się roześmiał wraz ze wszystkimi rycerzami.

– Zdajesz sobie sprawę, że jeśli się nie powiedzie, będę bankrutem. Zaryzowałem całą moją fortunę, stawiając na ciebie.

Czerwony Rycerz z satysfakcją patrzył na swoje wojska.

– Na razie wygląda na to, że szanse są niezłe – powiedział. Powiódł wzrokiem dokoła. – Etruska rękojmia powinna pokryć twoje koszty.

– Przecież ona już ją wydała – zauważył Random.

Czerwony Rycerz wzruszył ramionami.

Random zrobił gniewną minę.

– A ty szastasz pieniędzmi jak pijany marynarz w burdelu.

Czerwony Rycerz powtórzył wcześniejszy gest.

– Nie można kupić szczęścia, ale można kupić umiejętności w połączeniu z bronią, odwagą i pięknym ekwipunkiem. – Podrapał się po brodzie. – Nie są tanie. – Przeniósł spojrzenie z powrotem na kupca. – Poza tym przecież zarobiłeś pieniądze. Dlaczego moja ewentualna porażka miałaby cię zrujnować?

– Zgodziłem się urządzić turniej dla królowej. To mi o czymś przypomina... oto twoje oficjalne zaproszenie. Mam ci powiedzieć, że jako rycerz i szlachetnie urodzony jesteś zobowiązany otworzyć pismo i odpowiedzieć. Co się stało z innymi? – Random bawił się wodzami i próbował osądzić, jak bardzo brak stopy wpłynie na jego równowagę, gdy będzie jechać galopem.

– Zignorowałem je. – Czerwony Rycerz otworzył tubę i rozwinął zwój. Mała gołębicą zatrzepotała skrzydłami, unosząc się w powietrzu niczym biały koliber.

*Królowa nabiera coraz większej wprawy, skomentował Harmodiusz.*

– Zostałeś pasowany na rycerza, a masz organizować królewski turniej? – zapytał Czerwony Rycerz.

Gerald skinął głową.

– Tak.

– I koszty są niebotyczne?

Random się skrzywił.

– Tak.

– I wykładasz pieniądze z góry? – kontynuował Czerwony Rycerz.

Random wzruszył ramionami.

– Jest królową. Król mnie pasował. – Wyszczерzył zęby w uśmiechu.  
Uwielbiam dobre turnieje – dodał.

Czerwony Rycerz spiorunował go wzrokiem.

– A jednak na przekór wszystkiemu przybyłeś tutaj i zaryzykowałeś swoją fortunę, żeby zapłacić moje rachunki.

Random spojrzał mu prosto w oczy.

– To prawda, kapitanie.

Czerwony Rycerz popatrzył na ser Michaela.

– Sądzę, że uczę się znaczenia hojności od kupca – powiedział.

– Zamierzam brać czynny udział w turnieju – oznajmił Random. – Zrewanżujesz się, udzielając mi lekcji.

Czerwony Rycerz skierował wzrok na krążącą gołębicę.

– Stawię się ze wszystkimi moim rycerzami, piękna królowo – rzekł formalnie.

Gołębica skinęła łebkiem i odleciała.

Czerwony Rycerz – Megas Ducas, diuk Tracji, Gabriel Murien – zawrócił konia, zmusił go do oderwania przednich kopyt od ziemi i uniósł buławę. Wszyscy na niego patrzyli.

– Pokażmy temu tak zwanemu diukowi Andronikusowi, jak się prowadzi wojnę – powiedział.



## ROZDZIAŁ DWUNASTY



Prince Demetrius

### **Lutecja, Galia – król Galii i jego Koń**

Seneszał d'Abblemont postukał zwojem pergaminu o duży dębowy stół, prosząc o uwagę, i powoli w radzie wojennej zapanował porządek.

Tancred Guisarme, konstabl królewski, tym razem nie stawił się w swojej wspaniałej smoczniej zbroi. Miał prostą brygantynę pokrytą jelenią skórą i etruskie stalowe naręczaki. Steilker, mistrz królewskich łuczników, wciąż nosił czarną zbroję ze złotymi napisami sławiącymi Boga. Wasilij, architekt zamków króla, miał tylko kolczugę. Ser Eustace de Ribeaumont, jeden z marszałków królestwa i niegdyś sławny najemnik, stawił się w czarnym pancerzu ze złożonymi skrajami na bardzo eleganckiej brązowej kolczudze. Sam Ab-

blemont włożył na tę okazję swoją skromną etruską białą zbroję. Jedynym człowiekiem w zwyczajnym stroju był messire Ciamberi, którego roli w radzie prawie nigdy nie poruszano.

D'Abblemont skinął ręką do swojego sekretarza i mężczyzna zaczął czytać zwój.

*Punkt – Sieur de Cavalli z czterystoma kopiami wystąpił ze służby Genui i obecnie można go zatrudnić.*

*Punkt – Senat i Rada Dziesięciu Weniki doszły do porozumienia z cesarzem i wskutek tego w Arsenalu złożono zamówienie na sześćdziesiąt galer.*

Mężczyzna uniósł wzrok.

D'Abblemont pokiwał głową.

– Mam notatkę z naszego ostatniego zebrania. To największe zamówienie, jakie kiedykolwiek złożyli, prawda?

Wasilij muskał palcami brodę.

– Obecnie odwołane. Wielu szkutników zostało bez pracy.

– Może cesarz ich zatrudni – zażartował Abblemont i wszyscy się roześmiali.

– Czy nasz człowiek jest na miejscu, żeby przyciąć piórka cesarzowi? zapytał konstabl.

D'Abblemont powiódł wzrokiem po twarzach obecnych. Skinął sekretarzowi na znak, że może usiąść.

– Tak. Jeśli mam dobre wyczucie czasu, dziś albo jutro powinien być gotów przypościć szturm na Osawę. Może nawet przez tydzień nie będę miał z nim kontaktu.

Konstabl zrobił zbolaną minę. Rozejrzył się jak dziecko, które coś przekrobało, i mruknął:

– Zanim Kościół stał się potęgą zwalczającą hermetyzm, byliśmy w stanie kontaktować się z naszymi... misjami.

Wszyscy odwrócili głowy w stronę messire Ciamberiego, który uniósł brwi w kpiącym zdumieniu.

– Panowie, gdyby ktoś chciał praktykować taką herezję, pozwolę sobie przypomnieć, że łączność na odległość tysięcy mil przez Dzicz wymagałaby większej mocy niż... – Wzruszył ramionami. – Niż kiedykolwiek posiadali starożytni poganie.

Abblemont machnął ręką.

– Mam nadzieję, że nasz agent trzyma się planu.

Mężczyźni pokiwali głowami. Konstabl poruszył się na krześle.

– W takim razie po co się zebraliśmy? – zapytał.

Abblemont rzucił pergamin na stół.

– Hrabia Arelatu przysłał królowi pisemne wyzwanie na pojedynek.

Guisarme się skrzywił.

– To było do przewidzenia. Oczywiście stary hrabia zje króla jak przekąskę, bo przecież jest jednym z najlepszych kopijników na świecie.

Abblemont pokręcił głową. Jeśli temat sprawiał mu przykrość – a sprawiał – dobrze ukrywał swoje uczucia.

– Król nie stanie do walki – oznajmił.

Wszyscy drgnęli.

– To Galia! – krzyknął de Ribeumont. – Musi walczyć.

Abblemont westchnął.

– Panowie, król postrzega to wyzwanie jako oczywisty spisek hrabiego, mający na celu odrodzenie niegdysiejszego królestwa Arelat. Porażka króla w starciu jeden na jeden właśnie w ten sposób zostałaby odebrana w Arelacie, zgadzacie się ze mną?

– Chryste, oszczędź mi kolejnej kampanii w górach – mruknął Steilker.

Z twarzy rycerzy jasno wynikało, że żaden z nich tego nie pochwała.

– Zaczekajcie, aż de Vrailly usłyszy, że król odrzucił wyzwanie – powiedział de Ribeumont.

Odpowiedziała mu cisza.

Abblemont pokręcił głową.

– Nie na tym polega sedno problemu – powiedział i wygładził pergamin. – Widzicie, wraz z wyzwaniem hrabia przysłał nam również szczegółowy opis potyczki, a raczej szeregu potyczek, w których jego ludzie, jak się zdaje, stawali czoła irkom.

– Nedorzeczne – skomentował de Ribeumont. – Teraz uważam, że nasz młody król ma głowę na karku. Hrabia de Sartre używa tego absurdalnego pretekstu, żeby zebrać wojsko. Poza tym, Abblemont, czy nie dałeś nam słowa, że twoja siostrzenica była winna tego małego nieporozumienia z królem?

Abblemont nawet nie drgnął. Zachował trochę nijaki, trochę życzliwy wyraz twarzy, jak zawsze.

– To delikatna sprawa – zgodził się. – Może najbardziej delikatny jest ten strzęp dowodu.

Na jego znak sługa otworzył worek i położył na stole odciętą głowę. Cuchnęła rozkładem.

Nie ulegało wątpliwości, że jest to głowa irka, z kłami i całą resztą.

Messire Ciamberi pochylił się w jej stronę.

– Może być spreparowana? – zapytał.

Steilker pokręcił głową.

– Ja cię kręcę...

Guisarme popatrzył na Abblemonta.

– Nie chciałbym cię nazwać kłamcą, przyjacielu, ale królowa mówi coś innego. Mówi, że ta smarkula była niewinna jak święta. W takim wypadku hrabia miałby słuszność, prawda? – Konstabl nigdy nie był sprzymierzeńcem królewskiego Konia. – Hrabia przysyła tę głowę na dowód swojej lojalności. I jest lojalny. Mam rację?

Abblemont zignorował ton konstabla.

– Zdaje mi się, że bez względu na to, czy jest lojalny, czy nie, na wiosnę musimy mieć gotową armię.

De Ribeaumont pochylił się w jego stronę.

– Panowie! Jeśli wyprawimy armię na południe, zostanie nam za mało ludzi, żeby wesprzeć de Vrailly’ego, i jeszcze mniej na wspomnienie naszego przedsięwzięcia na północy Nova Terra.

– Jak stoimy z pieniędzmi? – zapytał konstabl.

Abblemont wzruszył ramionami.

– Mamy za mało, żeby kupić drugą armię. Za mało, jak sądzę, żeby zapłacić za kopie Cavalliego.

Steilker się uśmiechnął.

– Ale, panowie, skoro Cavalli jest na statku płynącym do Nova Terra, nie będziemy musieli mu płacić.

Tego wieczoru król słuchał muzyki w towarzystwie swojej etruskiej królowej. Po koncercie poszedł do prywatnej komnaty, gdzie Koń go zabawiał przekazywaniem wieści ze świata. Na koniec śmiał się, jak lubił. Ze światem było wszystko w porządku.

– Czy przegapiłem spotkanie rady wojskowej? – zapytał nagle.

Abblemont pokiwał głową.

– Tak, panie.

– Ha, to przez głupotę królowej... musiałem obejrzeć jej nową garderobę. Czy omawiano coś ważnego?

– Nie – odparł Abblemont. – Nie, Wasza Królewska Mość.

**Zamek N’gara – Bill Redmede**

– Tracimy ich – powiedział Nat Tyler.

Siedział w Wielkiej Sali i słuchał pięknych melodii wygrywanych przez irkowskich muzyków. To samo robiły dwie setki mężczyzn i kobiet i wszyscy byli jak urzeczeni.

Redmede sto razy myślał o tym samym. I myślał o sobie, ponieważ ręka Bess wygodnie wtulała się w jego dłoń pod obrusem.

– Jeśli nadal chcemy brać udział w tej walce, musimy odejść – syknął Tyler. Gniewnie spojrzał na Redmede'a. – A może ty też jesteś zaczarowany?

Redmede wyprężył ramiona jak uczeń niesłusznie oskarżony przez nauczyciela. Bess pokręciła głową.

– Nie jesteśmy zaczarowani, Nacie Tylerze. To miejsce jest tak bliskie rajowi, jaki kiedykolwiek poznali śmiertelnicy. Mało pracy i dużo zabawy. I to jakiej zabawy! O co ci chodzi? Nigdy w życiu nie byłam taka szczęśliwa jak w ciągu tych kilku ostatnich dni. Nigdy. Nawet jako... – Urwała i chmura przyćmiła jej twarz. – Nawet jako dziewczyna.

Nat wstał.

– Ja jestem za tym, żeby odejść – oznajmił. – Wyzdrowiałem. Nie chcę tu siedzieć jak we śnie. Chcę zabić króla i wyzwolić lud.

Redmede wyprężył ramiona.

– Nat...

– Co? – warknął starszy mężczyzna. – Wciąż jestem wierny sprawie, nawet jeśli ty się od niej odwróciłeś.

Redmede pokręcił głową.

– Zaczyna się zima – powiedział.

Bess patrzyła na nich obu.

Tyler pochylił się nad Redmede'em.

– Jeśli powiesz, że idziesz ze mną, pozostali też pójdą.

Redmede słyszał nieziemską muzykę tak, jakby grała w jego głowie. Powiódł wzrokiem po rękodziełach na ścianach – po gobelinach z pajęczej siateczki, które mamiły jego ludzkie oczy, po bogatych kolorach filcowych kołtarów – i westchnął.

– Daj mi parę dni do namysłu – powiedział.

Minęło kilka dni.

Mieszkał w małym domu z Bess. I Bess była wszystkim, czego pragnął. Grali w różne gry, pasali owce i się kochali. Zaprzyjaźnili się z innymi Jackami – czasami zbierali się w czyimś domu na posiłek, kiedy indziej wszyscy razem siedzieli w Wielkiej Sali.

Zamurzanie przychodzili i odchodzili, a czasami sprowadzali kobiety. Wśród Jacków było niewiele kobiet. Teraz mieli ich więcej – a może raczej to ich liczba zmalała.

Pewnego mroźnego popołudnia Redmede wybrał się po drewno na opał. Żelazne siekiery i silne mięśnie czyniły mężczyzn najlepszymi zbieraczami drewna w całej wspólnocie i Jackowie stopniowo sami przyjęli na siebie ten obowiązek po irkowemu – najlepszy w danym zadaniu bierze je na siebie i się go uczy.

Redmede był sprytnym zbieraczem – sprawnym, a także leniwym. Lubił znaleźć sobie jedno drzewo, najlepiej porządny duży klon, martwy i jeszcze stojący albo świeżo powalony, zanim górne gałęzie zmurszały na ziemi. Lubił wędrować z siekierą na ramieniu, ciesząc się prószącym śniegiem, zimnem na niemal gołych ramionach, zapachem lasu.

I zawsze nosił miecz, ponieważ tutaj naprawdę była Dzicz z opowieści dla dzieci. Po tych moczarach krążyły hastenocze, wielkie kamienne trolle grasowały w górach na południu, a bogliny drążyły podziemne korytarze; wielkie bobry budowały wysokie na sześć stóp tamy, które istniały przez setki lat; stada bizonów wędrowały po polanach obserwowane przez strażników, leśnych demonów. Demony przychodziły w odwiedzinach do Baśniowego Króla. Redmede coraz bardziej się do nich przyzwyczajał, chociaż przypuszczał, że gdyby spotkał jednego z nich w lasach, sam na sam, byłby ofiarą, a nie przyjacielem.

Dlatego wędrował z przyjemnością, ale czujnie. Pomimo czujności dał się zaskoczyć Tapiowi Hattijemu, gdy stał w milczeniu, dumając nad powalonym wielkim dębem.

– Człowieku. – Irk był jego wzrostu i poruszał się bezszelestnie.

Redmede z zadowoleniem pokiwał głową.

– Ser Tapio.

Król Czarodziejskiej Krainy popatrzył na powalony dąb.

– Taki koniec czeka nas wszystkich – zaśpiewał. – Nieważne, ile zim najpierw zobaczymy.

Redmede pokiwał głową.

– Człowieku, będę miał wielu gości. – Ser Tapio spojrzał na niego. Jego oczy były granatowe, jak letnie niebo rozświetlone przez gwiazdy, bez biały.

Redmede stwierdził, że rozmowa z irkiem nigdy nie jest łatwa. Umysł stworzenia pracował inaczej niż ludzki.

– Jakich gości? – zapytał.

– Sojuszników – odparł Tapio. – Kąsające zimno w powietrzu jest zapowiedzią wojny.

Redmede był zaskoczony nagłą zmianą tematu, ale przecież rozmowa z panem irków nie należała do łatwych.

– Wojny? Jakiej wojny? Przeciwko królowi?

Król Czarodziejskiej Krainy w nadzwyczaj ludzki sposób wzruszył ramionami.

– Nie obchodzą mnie królowie ludzi – oznajmił. Jego głos brzmiał jak tuzin instrumentów smyczkowych grających w idealnej harmonii. – Mam na względzie wojnę z rywalem. Naradzam się z tymi, których uważam za sprzymierzeńców.

Redmede oderwał spojrzenie od irka i zwrócił je na powalony dąb.

– Jestem sprzymierzeńcem? – zapytał.

Człowiekowi trudno było przyzwyczaić się do uśmiechu irka. Uśmiech wśród irków oznaczał coś innego i wiązał się z pokazaniem wielkiej ilości zębów. Tapio jeszcze bardziej skomplikował sprawę, używając uśmiechu w irkowy sposób, jako oznaki agresji, i ludzki, jako wyrazu zadowolenia.

– Ty mi to powiedz, człowieku.

Nazajutrz przybył oddział opiekunów – albo strażników, albo demonów, w zależności od punktu widzenia. Mieli wysokie czerwone pióropusze, które, jak Bill wiedział, były naturalnym tworem, a nie przywdziewanymi ozdobami, choć wspaniałe złote, srebrne, ołowiane, brązowe i cynowe inkrustacje na dziobach były rękodziełem. Redmede się przyglądał, jak irkowi rzemieślnicy inkrustują dzioby dwóch młodych demonów, pracując rękami i magią. Rok wcześniej byłby uciekł. Teraz patrzył zafascynowany.

Drugiego dnia Nat Tyler chwycił go za ramię, gdy tylko wszedł do labiryntu korytarzy w wielkiej środkowej wieży.

– Odchodzę – powiedział. – Idziesz?

Redmede odetchnął głęboko.

– Nat, ocaliłem ci życie. Wywlokłem twoją zmęczoną dupę z pola bitwy i niosłem cię tutaj przez większą część drogi. Teraz chcę zaczekać na koniec zimy.

Tyler pokręcił głową.

– Panowie w Jarsay ciemniżą mężczyzn i kobiety, którzy zapracowują się na śmierć – powiedział. – Pieprzony Kościół będzie obchodzić Boże Naro-

dzenie na grzbietach biedaków. Zamurzenie będą tępieni jak robactwo. Ty chcesz odpoczywać. – Pochylił się. – Znalazłeś sobie pana, dokładnie jak twój zdradziecki brat.

– Nat, czy chwila szczęścia i odpoczynku naprawdę nas zabije? Chwila słuchania muzyki? Pani Tamlin osobiście cię pielęgnowała. Czy nic nie jesteś jej za to winien? – Nie miał kłopotu z patrzeniem Tylerowi w oczy, które uznał za lekko szalone.

Miał dziwne wrażenie, ponieważ nagle zamienili się rolami. To on zawsze był tym zdeterminowanym, całą duszą oddanym sprawie.

– Może potrzeba ci dziewczyny – powiedział.

– Jarsay stoi w płomieniach, a Alba na krawędzi wojny domowej, głupcze! Nadszedł nasz czas. Arystokraci walczą między sobą. – Tyler krzychał i irkownie przystawali, żeby na nich popatrzeć, albo cofali się pod ściany. Sylwetka demona z błękitnym grzebieniem rysowała się na tle śniegu na zewnątrz.

Redmede przymrużył oczy.

– Co powiedziałaś?

Tyler wzruszył ramionami.

– Nic. Chodź albo nie. Sprawa jest ważniejsza niż ty, Billu Redmede. Możesz tu zostać i gnić. – Uniknął wyciągniętej ręki Redmede'a i wyszedł.

Redmede się odwrócił, żeby ruszyć za nim, i znalazł się twarzą z elegancją i inkrustowanym dziobem, nad którym pysznił się niebieski grzebień Mogan, królowej zachodnich demonów. Znał ją. Niezbyt dobrze, ale byli... sojusznikami.

Ta myśl wśliznęła się do jego głowy.

– Mogan – powitał ją. Pachniała jak płonące mydło i wypełniała tunel od ściany do ściany. Musiała uginać nogi, żeby nie uderzyć głową w strop.

– Jack – powiedziała. – Nie jest to twoje prawdziwe imię, jak się domyślam.

Nie cofnął się ani o pół kroku.

– Jestem Bill Redmede, demonie – oznajmił, walcząc z pragnieniem ucieczki.

Wszystkie demony wysyłały falę uderzeniową strachu, jak zresztą wiele innych stworzeń Dzikiej, one jednak były najpotężniejsze pod każdym względem. Mogan budziła grozę nawet wtedy, gdy była rozluźniona, spokojna, otoczona przez inne stworzenia.

Podjęła wysiłek i błękitne pióra jej grzebienia opadły.

– Dlaczego wy, mali ludzie, wymagacie ode mnie udawania, że macie



przewagę? Jestem zdominowana? – zapytała.

Dziób nieznacznie zniekształcał jej mowę.

Redmede stwierdził, że się uwolnił od strachu. Zmusili się do mówienia.

– Jesteś sprzymierzeńcem Tapia?

Westchnęła i przeciągnęła się w ciasnym korytarzu.

– To się okaże, panie Redmede. Mogę spytać, czy przyjemnie jest spotkać tutaj byłego sprzymierzeńca?

– Jestem tylko gościem – syknął. – Nie dowodzę ludźmi – dodał – ale ci, których tu przyprowadziłem, dobrze cię pamiętają. Zostawiliście nas na pewną śmierć pod Lissen.

– Doprawdy? – zapytała. – Mój brat mnie wysłał, żebym uprzedziła Zamurzan. Wy nie zostaliście ostrzeżeni? Jesteśmy rycerskim ludem. – Smród palonego mydła stał się bardziej intensywny.

– Rycerskim...? Pani, stu moich Jacków zginęło na darmo, kiedy wzięliście nogi za pas i uciekliście.

Irkowie, ludzie, a nawet skrzydlate duszki gromadziły się i słuchały.

– Uciekliśmy? – wycedziła. – Obrażasz moje plemię.

Redmede zdał sobie sprawę, że jej wyłożony złotem dziób zawisł mniej niż szerokość palca od jego nosa. Był zły na tyle, żeby się tym nie przejmować.

– Twoje plemię żyje po to, żeby je obrażać – oznajmił.

Grzebień na jej głowie nagle się wyprostował i fala strachu runęła na Redmede'a. Cofnął się – duszek zniknął z pyknięciem i większość ludzi w korytarzu się wzdrygnęła, gdy Mogan uniosła ciężką przednią łapę i poruszyła ostrymi pazurami, które mogły przeciąć kolczugę.

– Poza azyłem, jaki zapewnia świętość tej warowni, zapłaciłbyś życiem za te słowa – warknęła. – Ale wyjaśnię, panie Redmede, żeby nie mówiono, że Mogan Ładna Pogoda z Ludu Błękitnego Grzebienia była mniej niż szczerą nawet wobec robaków i ludzi. Mój brat nienawidził Głoga. Nie ufał mu. Kiedy się dowiedział, że wysyła nas w pole... bez obrazy, stwierdzam nagi fakt... że wysyła nas w pole jedynie z najsłabszymi spośród sprzymierzeńców, założył, że czeka nas pewna śmierć.

Redmede wypuścił powietrze, które wstrzymywał przez całą przemowę. Pochylił głowę w niezdarnym ukłonie.

– Pani Mogan, prześcigasz mnie w uprzejmości – wyburczał. – Jestem tylko człowiekiem. I robakiem. Ale kocham mój lud tak, jak ty kochasz swój, i ścisnęło mnie w gardle, gdy patrzyłem, jak umierają moi ludzie, pokonani.

Być może masz rację. Nie mam czasu na Głoga i jego knowania. Ale... ale gdybyście przypuścili szarżę na flankę wojsk królewskich, być może odnieśliśmy zwycięstwo. I zabili króla.

Mogan skinęła głową.

– Możliwe, chociaż śmierć króla Alby nic dla mnie nie znaczy. Nie jest warta życia jednego Opiekuna. Z roku na rok jest nas coraz mniej.

Poczuł bijące od niej ciepło i swąd płonącego mydła przepełnił powietrze.

– Ale współczuję ci poniesionej straty. – Ona też skłoniła głowę. – Mam nadzieję, że być może znów będziemy sojusznikami. Nie powinno się nas obwiniać za odmowę służenia Głogowi.

Redmede starał się zapanować nad drżeniem kolan.

– Jestem tylko człowiekiem – powtórzył, niczego nie oferując.

Jej twarde czarne oczy połyskiwały w okrągłych oczodołach. Stwierdził, że trudno jest jednocześnie patrzeć w oboje oczu.

– Wszyscy mężczyźni i kobiety pójdą za tobą, kiedy wybuchnie wojna. – Mogan pokiwała głową. – Znowu porozmawiamy.

Redmede odetchnął.

– Tak, pani, prawdopodobnie.

## **Zamek Ticondaga – Ghause**

Im bardziej lady Ghause zbliżała się do chwili podjęcia decyzji, co zrobić z nienarodzonym dzieckiem królowej, tym bardziej rosło jej zainteresowanie Richardem Plangere'em.

Niepokój zrodził się w dniu, kiedy znalazła w swojej komnacie trzepoczącą ćmę, którą wysłał na przespiegi, ale coraz większa plaga ciem – maleńkich bladobrzystych ciem w zamku zbudziła jej złość.

Dla Ghause gniew oznaczał siłę. I choć nie miała możliwości odpowiedzieć atakiem na atak, bo moc Plangere'a czuła jak daleką lampę w zimnym pokoju, posiadała w swoim arsenale wiele broni. Użyła tej ulubionej.

Swojego ciała.

Rzadko ją zawodziło, odkąd urosły jej piersi. Gdyby Plangere był kobietą, musiałyby uciec się do innych sztuczek, ale w jego wypadku...

Tańczyła naga, rzucając garście mocy w eter. Chodziła naga po komnatach. Gładziła się po bokach, wodziła rękami po piersiach i pomiędzy udami, kręciła głową, przeciągała się, rozbierała i ubierała. Ćmy gromadziły się w gęstych chmarach i gdy namiętnie kochała się ze swoim mężem albo flirto-

wała z jakimś stajennym, grała dla Plangere'a, myśląc: Zawsze byłeś głupcem. Patrz na mnie, pożeraj mnie wzrokiem, a nigdy nie zobaczysz, co naprawdę robię.

Ćmy ją rozśmieszały – zawsze był taki dumny ze swoich zabawek.

W piwnicach, w miejscu mocno strzeżonym przez runy, pieczęcie, jej własne czary i parę starożytnych sieci zbyt skomplikowanych nawet dla niej, zabijała ćmy różnymi metodami, dopóki nie opracowała takiej, która okazała się skuteczna i ostateczna, ponieważ jedna ćma, która uszłaby z życiem z zagłady, oznaczałaby fiasko jej planu. Tam właśnie pracowała nad swoim wielkim dziełem. Podłogę w pokoju w wieży pokrywała sieć wyrysowanych srebrzem i ałunem linii, podczas gdy na podłodze w jej piwnicznym azylu widniał tylko prosty pentagram i dziesięć słów w górnym archaickim.

Opracowała kolejny czar, prosty pod względem mocy, ale sam w sobie niezmiernie skomplikowany. Była to warstwowana iluzja.

Iluzja jej osoby.

Nagiej.

Przyglądała się jej wiele razy, patrząc krytycznym okiem. Będzie miała tylko jedną szansę. Zrobiła różne wersje.

Rzuci klątwę na płód królowej, a wówczas Plangere przybędzie, żeby ją obserwować, i wtedy złapie go w sidła. A może nie. Zdawała sobie sprawę, że jest bardzo silny. Tak czy owak, będzie wiedział, żeby zachować dystans.

Pojadała miodowe ciastka i przeciągała się lubieżnie – wokół było mnóstwo ciem – kiedy Eneasze stanął pod drzwiami i ją powiadomił, że hrabia jej potrzebuje.

Syn został, żeby zasznurować jej suknię i pomóc wdziać przez głowę aksamitną szatę podbitą gronostajami. Kilka razy obróciła się wkoło, dla samej siebie, i wsunęła stopy w pantofle z filcowymi podeszwami.

– Czego chce twój ojciec, skarbie? – zapytała.

Eneasze wzruszył ramionami.

– Planuje wojnę – odparł. – Zamierza wziąć mnie ze sobą.

Ghause opuściła głębokie podziemia i szła korytarzem pomiędzy rzędami cel. Hrabia wolał zadać szybką śmierć niż skazywać ludzi na okrutne uwięzienie, dlatego w celach przebywało niewielu więźniów: jeden żołnierz skazany za gwałt, drugi za kradzież i kobieta oskarżona o zabicie innej kobiety. Ghause zajrzała do każdej celi.

Kobieta miała moc. Nie zauważyła tego wcześniej.

Poszła z Eneaszem po schodach do wartowni, lubieżnie się uśmiechnęła do dwóch ludzi na służbie, odebrała należne hołdy i po następnych schodach wyszła na dziedziniec.

Fechtmistrz Eneasza czekał na dziedzińcu z dwoma osiodłanymi końmi bojowymi, wielką ilością ekwipunku i małym orszakiem sług. Uśmiechnęła się do niego.

– Ser Henri! – zawołała i pomachała ręką.

Zsiadł z konia i ukląkł.

– Pani – powiedział uprzejmie z etruskim akcentem. – Jak twój wielce pokorny sługa może okazać swoje oddanie?

– Och, chcesz zawrócić mi w głowie, pochlebco! – zagruchała. – Proszę, zabierz mojego syna na dziedziniec turniejowy i uczyn z niego wielkiego rycerza. O więcej nie mogę prosić.

Ser Henri był na tyle uprzejmy, żeby zrobić zdziwioną minę.

– Nie ma kogoś, kogo mógłbym dla ciebie zabić, madonna?

– Od tego mam męża – odparła. – Eneaszu, słuchaj swoich nauczycieli.

Poszła dalej po bruku dziedzińca, odległość była znaczna i w powietrzu wirował drobny śnieg. Kiedy mijiała kuchnię, poczuła zapach świeżo upieczonego chleba. Przystanęła, zrobiła głęboki wdech i zaśmiała się jak dziewczyna. Weszła do kuchni i ukradła świeży bochenek, ponieważ zawsze ulegała pokusie, i z kuchni weszła do Wielkiej Sali, gryząc chleb.

Hrabia stał w otoczeniu żołnierzy, tuzina swoich oficerów. Znała ich wszystkich, choć w taki sposób, w jaki znała jego konie, bez imion. Hrabia uwielbiał prowadzić wojnę i robił to z ogniem i przebiegłością, ale uważała, że zależy mu wyłącznie na rozrywce i że całe to gadanie o celach i strategii jest tylko próbą uzasadnienia swojego postępowania, jak w przypadku chłopca, który lubi się bić.

– Ghause, moja piękna. Mówiłaś coś o tym czarnoksiężniku.

Hrabia był człowiekiem mało zainteresowanym czarami. Czasami podejrzewała, że nie wierzy w moc hermetyczną. Zajmował niedorzeczne stanowisko i zawsze był zaskoczony – zaskoczony w sposób, jakiego nie lubiła – kiedy prezentowała swoje moce.

Jeszcze mniej lubił czary u innych. I zupełnie ich nie pojmował. Przypuszczała, że według niego są to tylko sztuczki, jak pokaz jarmarcznego szarlata-  
na.

Uśmiechnęła się.

– Masz na myśli Głoga? – zapytała.

Wszystkie ćmy w sali wzbiły się w powietrze i poleciały w kierunku wysoko umieszczonych okien clerestorium.

Niektórzy żołnierze zbledli, a dwóch zrobiło palcami znak rogów.

Hrabia wzruszył ramionami.

– Richarda Plangere’a. Mówiłaś, że to on.

Skinęła głową.

– Był Richardem Plangere’em. Nie sądzę, że jest nim obecnie.

Hrabia usiadł i podrapał psa po głowie.

– Właśnie otrzymałem całoroczne raporty, kochanie. Twój czarnoksiężnik, kimkolwiek jest, robi się mniej rozważny. Zbiera wojska i walczy o władzę z Zamurzanami.

Jeden z żołnierzy – Edward lub Edmund, nie mogła sobie przypomnieć – wypił wino i z trzaskiem odstawił kubek na duży stół na kozłach.

– Panie, z całym szacunkiem, będzie twardym orzechem do zgryzienia. Zamurzenie wyraźnie się go boją.

Hrabia założył nogę na nogę.

– Ta wyspa... Czy możemy go stamtąd wykurzyć i ją zająć?

Ghause pokręciła głową.

– Nie zalecam. On zajął miejsce mocy. Będzie tam bardzo silny.

– Dlaczego? Czy to miejsce jest dobrze bronione? – zapytał jej mąż. – Nigdy nie słyszałem o kamiennym zamku leżącym dalej na północ niż ten.

Pod pewnymi względami był genialny. Jeśli chodzi o hermetyzm, przypominał człowieka, który z własnej woli postanowił być ślepy.

– Ma wielką moc, panie – rzekła z szacunkiem.

Hrabia wyrzucił ręce w powietrze.

– Przez całe życie stawiam czoło Dzikim, kochanie! Nie wątpię, że będzie miał bestie, bogliny i parę błyskawic. Ja będę miał flotę i trebusze.

Spróbowała jeszcze raz.

– Sądzę, panie, że ma moc wystarczającą do zatopienia floty.

– Kiedy nazywaś mnie panem, wiem, że próbujesz coś ukryć. Czy on jest przyjacielem? Jednym z twoich wyjątkowych przyjaciół? – Hrabia wyszczerzył zęby i wszyscy oficerowie odwrócili wzrok.

Ghause przewróciła oczami.

– W lochach jest kobieta. Sprowadź ją tutaj – poleciła z uśmiechem jednemu z sierżantów, którzy pełnili straż w wielkiej sali.

Mężczyzna zaszutował, spojrzął na swojego pana, wzrokiem pytając o pozwolenie, i odmaszerował.

– Dziesięć statków? – powiedział Edward. – Co najmniej. Za miesiąc lód skuje jeziora.

– Co z doniesieniami o Galach w Mont Reale, ser Edmundzie? – zapytał ktoś inny.

Edmund. Spróbowała to zapamiętać.

Ser Edmund wzruszył ramionami.

– Chciałbym powiedzieć, że to nieprawda, ale otrzymałem trzy raporty, a ty meldunek cesarskiego oficera, że w tym sezonie nie ma floty etruskiej. Zamiast tego są Galowie. Mają potężną eskadrę i zbyt wielu żołnierzy, co do tego wszystkie raporty są zgodne.

Hrabia odchylił się na krześle, wsunął kciuk pod brodę i szarpnął.

– Dlaczego? – zapytał. – Dlaczego tutaj?

Ser Edmund pokręcił głową.

– Ja tu tylko sprzątam – zażartował.

– Udzielą pomocy Północnym Huranom? – zapytał hrabia.

Wszyscy żołnierze mieli skonsternowane miny.

Hrabia chrząknął.

– Lepiej szybko rozprawmy się z tym Głogiem i wracajmy tutaj. Jeśli Południowi i Północni Huranowie walczą, i ten Moreańczyk miał rację, to mamy problem.

Pojawili się dwaj strażnicy, prowadząc między sobą kobietę.

Hrabia popatrzył na nią bez zainteresowania, po czym przeniósł spojrzenie na żonę.

– Jest winna – oznajmiła Ghause.

Kobieta zeszywniała.

Hrabia zmarszczył brwi.

– Jesteś pewna? – zapytał. Szczycił się swoją sprawiedliwością.

– Zabiła Wren hermetycznymi czarami. – Ghause odwróciła głowę i uśmiechnęła się do kobiety, która zamarła z przerażenia.

Upadła na kolana.

– Wasza Książęca Mość... nie wiesz, co mi zrobiła...

Ghause pokiwała głową.

– Sprowadźcie księdza.

Hrabia niecierpliwie machnął ręką.

– Jestem zajęty. Co ona ma do rzeczy?

– Chcę ci pokazać, co może zrobić Głóg.

Ćmy zawirowały w gęstej chmarze. Było ich zdecydowanie zbyt wiele.

Oficerowie zamruczeli na ten widok.

Przyszedł ojciec Pierre. Kobieta się rozpląkała i ksiądz wysłuchał jej spowiedzi. Zbladł. Ghause machnęła ręką.

Ksiądz udzielił komunii. Znacznie bardziej bał się swojej pani niż swojego Boga.

Ghause podeszła do kobiety. Położyła rękę na jej schylonej głowie, po czym spojrzała na mężczyzn siedzących przy stole na podwyższeniu, planujących swoją infantylną wojnę.

– Patrzcie – poleciła. Uniosła rękę. – Prawem najwyższego sędziego Północy – powiedziała tylko dla dopełnienia formalności.

– Czy to będzie sztuczka? – zapytał jej mąż, ale zdjął nogi ze stołu i pochylił się, żeby ją obserwować.

Sięgnęła i dotknęła mocy kobiety.

I je pochłonęła.

Skazana na śmierć w okamgnieniu obróciła się w popiół. Popiół zachowywał kształt jej sylwetki przez czas, jaki srebrna ćma potrzebuje na machnięcie skrzydełkami. I się rozsypał.

Nikt się nie poruszył.

– Głóg jest potężniejszy, niż ja kiedykolwiek będę – powiedziała w panującej ciszy.

Ghause żałowała, że nie może być naga. Z pewnością wypowiadała imię czarnoksiężnika dość często, żeby przyciągnąć jego uwagę. W duchu pękała ze śmiechu.

Hrabia pogładził brodę i z głębi jego gardła popłynęło niskie warczenie.

– Więc tej zimy nie ma floty.

Ser Edmund wolniej dochodził do siebie.

– To czyste czary – wydukał. Wziął się w garść i głęboko odetchnął. Ten... czarnoksiężnik jest potężniejszy?

– Znacznie bardziej – potwierdziła Ghause.

– A jednak Gawin pisze, że król go pokonał na wiosnę. Cokolwiek może zrobić król, ja też mogę. Lepiej. – Hrabia wstał.

Ghause dygnęła.

– Panie hrabio, obawiam się, że Głóg, którego teraz mamy za niebezpiecznego sąsiada, jest dziesięć razy potężniejszy niż wówczas, kiedy nasi synowie mierzyli się na wiosnę. – Nie dodała: „I jest tylko pionkiem czegoś większego niż on”.

Żołnierze wokół stołu popatrywali jeden na drugiego, ale żaden nie spoj-

rzał na nią z wyjątkiem jej męża.

– Cóż, skarbie, znowu wpuściłaś lisa do kurnika. Jeśli nie będzie zimowej kampanii na jeziorach, czuję po kościach, że zmierzymy się z tymi Galami i ich hurrańskimi sojusznikami na wiosnę. – Murien usiadł. – Mój stary nauczyciel mawiał, że natura nie cierpi próżni. I spójrz, ziemie na północ od Morza Wewnętrznego stanowiły próżnię, a teraz wszyscy się na nie rzucają.

Ser Edmund wypił wino.

– Jeśli to sprawi przyjemność Waszej Księżęcej Mości, są gorsze rzeczy niż przymierze z Moreańczykami. Co więcej, musimy handlować, żeby wyprzedać wszystkie nasze futra.

Hrabia nie należał do tych, którzy zapominają o wartości pieniędzy.

– Prawda, ser Edmundzie. Będziemy potrzebować każdego miedziaka, żeby opłacić garnizon, jeśli dojdzie do oblężenia. Ludzie, którzy nie dostają wynagrodzenia, służą zbyt wielu panom. – Stanął na krawędzi podwyższenia i czubkiem buta trącił kopczyk popiołu. – Do licha, kobieto, kosztujesz mnie tyle co dobra wojna.

Ghause się roześmiała.

– Wciąż możesz spróbować. Po prostu będę musiała wymyślić sposób, jak rozgrzać zimne łóżko dla zrównoważenia zimy.

– Chcesz powiedzieć, więdźmo, że umrę? – Zwarł się z nią wzrokiem.

– Dokładnie, kochanie – odparła. – A wolałabym nie szkolić kolejnego męża. Jestem na to za stara.

Tej nocy polizała miłe słone miejsce na szyi hrabiego, ukąsiła go w ucho i szepnęła:

– On może nas obserwować, nawet w tym zamku. Ćmy.

Hrabia nie był głupcem. Choć głęboko zaangażował się w swoją ulubioną rozrywkę – zaraz po wojnie – natychmiast zrozumiał jej słowa. Nie przerwał gładzenia ani gmerania. Chwilę później wsunął ręce pod łopatki żony, lekko ją podniósł i szepnął do jej ucha:

– Sukinsyn.

## **Mont Reale, czterysta osiemdziesiąt mil na wschód od Ticondagi – ser Hartmut Li Orguelleus, Czarny Rycerz**

Ser Hartmut stał przy rufowym relingu na pokładzie dowodzenia „Grace de Dieu” z kielichem z wenikańskiego szkła w ręce, sącząc słodkie kandiańskie



wino. Patrzył na fortyfikacje i mocne drewniane domy Zamurzan w miasteczku, które ochrzcił Mont Reale – Góra Króla.

– Wysadzimy naszych żołnierzy i zajmiemy to miasto, czyniąc z niego bezpieczną bazę – powiedział.

Lucjusz nie bez wysiłku zachował milczenie.

De Marche gwałtownie pokręcił głową.

– Panie, nie wolno nam tego robić. To zrazi wszystkich ludzi, których łaski potrzebujemy. Prowadzą wojnę ze swoimi kuzynami z południa. Musimy im udzielić materialnej pomocy.

Ser Hartmut podrapał się po brodzie.

– A co dostaniemy w zamian?

– Kontrolę nad handlem. Bezpieczną placówkę... – Gdy de Marche wyliczał swoje racje, ser Hartmut się roześmiał.

– Wy dwaj próbujecie mnie uczyć, jak prowadzić wojnę – rzekł ze śmiechem. – Możemy wylądować, zająć miasto i przejąć cały handel. Wysłać towary do króla. Za dobrą cenę. Ha, umiem myśleć jak kupiec!

De Marche ściągnął usta.

– A w przyszłym roku?

– W przyszłym roku będziemy panami Ticondagi i całej rzeki. Będziemy brać, co tylko zechcemy, i sprzedawać ludzi w niewolę. Ty, panie, jesteś zbyt skromny i nie znasz celów naszego miłościwego króla, ja natomiast zostałem w nie wtajemniczony. – Rozejrzał się. – Tobie zależy na niewielkim bezustannym zysku. Ja proponuję ci ogromne zyski przez kilka lat z rządu. Pomyśl o niewolnikach.

De Marche wydał policzki, gromadząc argumenty. Jako początkujący marynarz pływał na statku służącym do przewożenia niewolników, dużej koczce z Genui żeglującej do ziemi Hati, gdzie dzicy z Wielkich Stepów zmusili niegdyś wielkie narody do powrotu na barbarzyński poziom rozwoju. Ludzie w Hati sprzedawali w niewolę rodzone dzieci. De Marche to widział. I wciąż pamiętał smród bijący z ładowni.

Było wiele rzeczy, których nie chciał robić dla pieniędzy.

Zmienił podejście.

– Potrzebujesz żołnierzy, żeby zdobyć Ticondagę – powiedział. – Huranowie ci pomogą, jeśli my najpierw pomożemy im w walce przeciwko ich wrogom. – Pochylił się w stronę Hartmuta. – Słyszałeś, co mówił hurański wojownik. Garnizon w Ticondadze jest liczniejszy niż wszyscy twoi ludzie i wszyscy moi marynarze razem wzięci. – Popatrzył na Lucjusza.

Lucjusz pokiwał głową. De Marche nie był pewien, czy Etrusk wysłał informację z palca, czy powiedział prawdę, ale w tej chwili go potrzebował.

Ser Hartmut znowu się podrapał. De Marche uznał, że zbyt długo spogląda na Lucjusza. W końcu rycerz odwrócił głowę w stronę swojego drugiego giermka, obecnie jedyne. Młodzieniec w pełnej zbroi nalał mu więcej wina.

– Zgoda – oznajmił ser Hartmut. – Spróbuję po twojemu. Prawdę mówiąc, jeśli się nie uda, zawsze możemy uderzyć na miasto. Ich palisady są godne pożałowania.

Obietnica pomocy militarnej zapoczątkowała szybki napływ skór, futer i miodu Dżicy i de Marche w pięć dni zapełnił ładownię, a w tym czasie ser Hartmut szkolił swoich żołnierzy, jak wiosłować w używanych przez krajowców lekkich łodziach z kory i jak prowadzić wojnę na wodzie. Miał na statkach trzy małe galery, rozłożone na ponumerowane wręgi i pasy poszycia przygotowane w Galii, i marynarze je poskładali. Każda z nich została wyposażona w balistę na dziobie i dwie kusze.

Niedaleko za wyspą łączyły się trzy duże rzeki; dwie płynące z północy niosły zapach miejsca jeszcze dzikszego niż to – zapach sosnowego igliwia, skał i śniegu. Hartmut uczył wiosłować swoich żołnierzy na wielkim stawie poniżej wodospadu.

Po tygodniu zaprosił de Marchego na kolację do kabiny na rufie okrętu flagowego.

– Jak idzie handel, panie kupcze? – zapytał.

De Marche uniósł brew.

– Ponieważ jesteś uprzejmy zapytać, panie rycerzu, powiem, że bardzo dobrze, ale mogło być lepiej. Konflikt między Północnymi i Południowymi Huranami odstraszył wielu zamurzańskich handlarzy futer. Krąży pogłoska, że Moreańczycy oferują wysokie ceny i lepsze towary na wymianę. Kupiłem mniej skór wielkich bobrów, niż chciałem, i ani jednej białej, które są wysoko cenione na dworze.

Ser Hartmut nalał wina kapitanowi. Rufowa kabina była mała i schludna jak kobiecy salon, z piękną dębową boazerią w ażurowych dębowych ramach, więc płyty mogły się rozszerzać i kurczyć pod wpływem wilgoci i ciepła, nie tracąc nic ze swojej wspaniałości. Okuta brązowymi obręczami beczka wzmocnionego wina lśniła jak ucieleśnienie gościnności, a niski dębowy stół był zastawiony kieliszkami i szklankami z prawdziwego szkła. Luksus

małego pomieszczenia jaskrawo kontrastował z warunkami panującymi na zewnątrz. Kabina przypominała namiastkę dworu albo kaplicę wygody.

Ser Hartmut nie zwracał uwagi na luksusy, ale de Marche uznał, że straszny rycerz po prostu przyjmuje je za rzecz oczywistą i mu przynależną.

– Południowi Huranowie mają więcej futer? – zapytał nonszalancko Li Orguelleus. – I nie zdołali ich tutaj sprowadzić?

De Marche postanowił nie rozwijać tematu handlu futrami.

– Południowi Huranowie nie mają obowiązku tu handlować – odparł, wzruszając ramionami.

Hartmut odchylił się na oparcie krzesła i wybuchnął śmiechem.

– Ale możemy ich do tego zobowiązać. Kilkuset przeklętych przez Boga barbarzyńskich dzikusów? Chcesz mnie przekonać, żebym wydał wojnę tym Południowym? Dobrze, dałem się przekonać. Zajmijmy się tym. Pora jest późna, będziemy musieli się śpieszyć.

De Marche pokiwał głową.

– Mamy łodzie, twoich żołnierzy i moich marynarzy, a Północni Huranowie dadzą nam ze dwustu wojowników. Czy mogę zaproponować plan kampanii?

Ser Hartmut obdarzył go jowialnym uśmiechem.

– Nie. To moja sprawa. Ty zajmij się swoimi futrami i listami przewożymi. To wojna. – Podniósł się ostrożnie, ponieważ był wielkim człowiekiem w małej kabinie. – Spełnijmy toast. Za króla.

Wypili.

– I za następną, opłacalną, wojnę! – Roześmiał się. – Przyślij do mnie hurzańskich panów, żeby mogli wysłuchać moich rozkazów.

De Marche pokręcił głową.

– Nikt nie wydaje rozkazów Zamurzanom, ser Hartmucie.

Rycerz pokiwał głową.

– Ty nie, ja tak. Przyślij ich do mnie.

## **Giannis Turkos – w pobliżu Mont Reale**

Zima zbliżała się wielkimi krokami i każdy podmuch wiatru wydawał się znakiem od Boga, żeby go motywować. Na suchym gruncie Turkos jechał co koń wyskoczy i forsował swoją klacz bardziej niż kiedykolwiek innego wierzchowca. Była dzielna, jakby chciała mu podziękować za ocalenie jej przed Rukami.

Turkos nigdy nie nadawał imion koniom, ponieważ zbyt szybko umierały, ale ona zasłużyła na imię i zanim wrócił do Nap-na, nazwał ją Ateną.

– Nie znam mądrzejszego konia – powiedział i nakarmił klacz, oczywiście powoli, żeby nie dostała kolki albo wzdęcia.

Znowu się spotkał ze Skaczącym Pstrągiem i razem zapalili fajkę. Naczelniczka, podobnie jak jego żona, pochodziła ze Starego Ludu i z początku, ponieważ spowijała go mgła zmęczenia, miał kłopoty ze zrozumieniem jej huranńskiego. Okazała się cierpliwa i gościnna, a kiedy wlał w siebie kubek herbaty, jął całkiem dobrze rozumieć jej słowa.

– Żaden z moich ludzi nie dotarł tak daleko – powiedziała, kiedy opisał swoją trasę. – Długie Bagno leży mniej niż dziesięć mil od Świętej Wyspy. Na ziemi Sossagów.

Pokiwał głową.

– Nie znam zamku, na który się natknąłem na cyplu naprzeciwko Świętej Wyspy – powiedział. Narysował szkic na kawałku brzozonej kory.

Przyglądała mu się przez chwilę.

– Baath – powiedziała. – Duże miasto Sossagów.

– Zostało zniszczone. Trupy leżą na ulicach. – Odwrócił wzrok, ponieważ wciąż mu towarzyszyły obrazy pogromu, zamrznęte kałuże krwi, spalone domy i obgryzione przez wilki zwłoki dziecka tak małego, że niemal nie zasługiwało na miano człowieka.

– On tam był – powiedziała nagle Skaczący Pstrąg. – Przychodzi jako starszy, zwany Mówiącym Językami. – Spojrzała na niego i zmrużyła oczy. – Ma nas za dzieci i głupców. Ale wygraża. I młodemu podoba się to, co obiecuje. Daje bardzo konkretne obietnice. – Westchnęła. – Jeśli będziemy z nim walczyć, zostaniemy wytępieni. Ale jeśli nie będziemy... – Wzruszyła ramionami.

– A co z Sossagami? – zapytał Turkos z pewną niecierpliwością, bo musiał ruszać w dalszą drogę. Z drugiej strony potrzebował każdego strzępka informacji.

– Wysłali do niego wojowników – odparła. – Musieli to zrobić, żeby się ratować. Teraz chodzi szeroko pod drzewami i wiatr mi mówi, że zawitał do Północnych Huranów.

Turkos słyszał to od dwóch miesięcy.

– I?

Wzruszyła ramionami.

– Wiesz lepiej niż ja, Człowieku Cesarstwa. Północni Huranowie mają no-

wego sprzymierzeńca. Na Wielkiej Rzece są nowe statki i wiele kanu pełnych wojowników. Ludzie wracający z targu w Mont Reale mówią, że Galowie kupują wszystkie dostarczane im futra. Płacą mniej niż albańscy handlarze w Ticondadze i ich towary na wymianę nie są tak dobre jak wasze, moreańskie, ale w tym roku nie ma albańskich kupców. Ludzie z zachodu nie lubią wędrować do dalekich faktorii cesarstwa, żeby sprzedawać swoje futra, chociaż niektórzy to zrobią.

Turkos pokiwał głową.

– Dlatego tu jestem.

Skrzywiła się.

– Wiem, Człowieku Cesarstwa. Nie sądzę, że pojechałeś na zachód szukać Głoga, ponieważ jesteśmy przyjaciółmi, co?

Pokiwał głową i dołączył sobie herbaty.

– Ale tak właśnie zrobiłem. I podzieliłem się z tobą tym, czego się dowiedziałem. – Pochylił się w jej stronę. – Powiedz mi, czego ty dowiedziałaś się od tych, którzy poszli na wschód.

Wzruszyła ramionami.

– Niewiele. Mały Łuk przeszedł całą drogę do faktorii cesarstwa w Osawie.

Osawa była miastem nad Wielką Rzeką leżącym najbliżej jego miasta. Zżerała go ciekawość, gdyż wyruszył stamtąd ponad miesiąc temu.

Skaczący Pstrąg ruchem ręki przywołała myśliwego, który podszedł i usiadł z nimi. Długi dom był połączeniem gospody i noclegowni – na ławach mogło spać sześćdziesięciu dorosłych, a nawet więcej, jeśli ktoś dał się przekonać do spania we dwójkę. Ogień płonął w trzech wielkich paleniskach, a Skaczący Pstrąg wraz z kilkoma swoimi mężami podawała herbatę i mocne ciemne piwo tym, których było stać na uiszczenie zapłaty. Mieli nawet trochę wina. Dom, zbudowany ze skór i słomianych mat, był bardzo przytulny nawet u progu zimy. Wewnątrz zawsze snuł się dym, ale było ciepło.

Mały Łuk, drobny muskularny mężczyzna, wyglądał na Albanina. Był skory do uśmiechu i miał mocny uścisk dłoni.

Turkos, który znał wiele języków, po albańsku zaproponował mu kubek wina.

– Miło z twojej strony – powiedział myśliwy i usiadł na stołku.

– Ciekawi mnie handel futrami – powiedział Turkos.

– Jesteś lotnym oficerem cesarza. Wszyscy o tym wiemy, Moreańczyku.

Turkos wzruszył ramionami.

Mały Łuk pokiwał głową.

– Jestem w połowie Albaninem, w połowie Zamurzaninem, i żadna moja połowa nie chce sporu z cesarstwem. Zabrałem żonę i wszystkie moje futra do Osawy, ponieważ doszły mnie słuchy, że w tym roku tam można najlepiej zarobić. Nad Cohoctonem doszło do wielkiej bitwy, Dzicz wystąpiła przeciwko Albie... – Popatrzył na Turkosa, który skinął głową.

– Słyszałem to samo. Może wiesz o tym więcej niż ja.

Mały Łuk przytaknął.

– Spotkałem kilku Sossagów, którzy tam walczyli. Powiedzieli, że Dzicz dostała niezłe cięgi, ale to nieważne. Albańscy kupcy srodze ucierpieli. Wiesz, że zwykle ściągają do Lissen Carak na jarmark, a potem handlarze futrami prowadzą karawany przez góry do Ticondagi...

Turkos już pisał jak szalony na woskowych tabliczkach.

– Nie wiedziałeś o tym? – zapytał myśliwy.

Turkos się uśmiechnął.

– Wiedziałem i nie wiedziałem.

Mężczyzna przyjął wino od Skaczącego Pstrąga. Poranny Jeżozwierz, jej skwaszony starszy wiekiem mąż, nalał sobie kufel mocnego piwa i się do nich dosiadł.

Mały Łuk najwyraźniej należał do tych, którzy lubią mieć słuchaczy. Szeroko gestykulował, opowiadając ściszym głosem.

– Więc w tym roku nie ma handlu w Ticondadze i hrabia, który w najlepszych okolicznościach jest kłótliwym draniem, szykuje się do wojny.

Turkos pokiwał głową.

– Wiem. Niedawno tam byłem.

Mały Łuk pokiwał głową.

– Więc ruszyłem do Osawy. W drodze powrotnej wylądowaliśmy w Mont Reale. Są tam galijskie statki, trzy wielkie kogi i etruska galera wojenna.

Turkos znowu pisał.

– Mówiłaś, że w tym roku nie ma handlu z Etruskami – zauważył.

Skaczący Pstrąg skinęła głową.

– Tak mówiłam.

– Bo nie ma – oświadczył przemądrzale Mały Łuk. – Nikt nie widział Etrusków. Po handlowej plaży krąży plotka, że Galowie zabili Etrusków, ale galijski kupiec, który był dość przyzwoity wobec mojej żony, powiedział jej, że znaleźli trzy etruskie statki zaatakowane przez jedwabiarzy.

Zdawało się, że w długim domu nagle się ochłodziło.

– Jedwabiarze to wymysły – skomentował Turkos.

Skaczącemu Pstrągowi zgasała fajka. Przysunęła długą cienką świeczkę do paleniska, zapaliła od niej grubą świecę w pięknym brązowym świeczniku albańskiej roboty i przypaliła fajkę. Otuliła główkę fajki lewą ręką, a prawą zgarnęła pierwszy kłęb dymu nad swoją głowę. Dym układał się w znaki w powietrzu.

– Jedwabiarze to żaden wymysł – powiedziała rzeczowym tonem. Podała fajkę mężowi, który ją kurzył w milczeniu. – Przybywają co dwadzieścia lat. To nie jest ich rok. Następny rok jest ich rokiem.

Mały Łuk ściągnął wargi.

– Tego też nie wiedziałem.

– Ani ja – powiedział Turkos. Wyjął flaszkę z torby i nalał trochę małmazji każdej osobie przy stole. – Prawdę mówiąc, podczas jednej kolacji dowiedziałem się tyle, co przez całe lato.

– Jeszcze nie doszedłem do najlepszego – oznajmił myśliwy. – Galowie mają mnóstwo żołnierzy. Moja żona jest ładna. Żołnierze gadają. – Pokiwał głową. – Mówią, że chcą wziąć Ticondagę. – Zrobił efektowną pauzę. – Dla Galii.

– Święta Mario Matko Boska... – mruknął Turkos.

– To znaczy po tym, jak spuszcza lanie Południowym Huranom – dodał mężczyzna i wziął fajkę.

Turkos musiał się pohamować, żeby nie wstać i nie ruszyć do drzwi.

– Spokojnie, słyszałem to ledwie trzy dni temu. Jeszcze nie ruszyli – powiedział myśliwy. – Ale siła jest wielka. Ponad sto kanu. Znacznie więcej zbroi niż zwykliśmy tu widywać.

Turkos pokręcił głową.

– A ja jestem tutaj.

– Możesz dość szybko objechać Mont Reale. Wyprzedź ich na rzece, a nigdy cię nie dopędzą.

– Zawsze trzymałem się brzegu Wielkiej Rzeki. Nie znam trasy wokół miasta.

Mały Łuk rozdziawił w uśmiechu prawie bezzębne usta.

– Ha, za niewielką opłatą...

Turkos pokiwał głową.

– Możemy wyruszyć rano?

– Najpierw pieniądze – oświadczył Mały Łuk. – Bez obrazy, współnika, ale żona lubi kolor srebra.

Turkos odchylił się na stołku.

– Nie noszę srebra w Dziczy.

Odliczył dwadzieścia trzy ciężkie moreańskie złote bizantyny. Cztery dał Skaczącemu Pstrągowi, która z uznaniem pokiwała głową. Nawet jej mąż chrząknął.

Rankiem woda była cieplejsza niż powietrze i mgła zasnuwała Wielką Rzekę. Mały Łuk czekał na podwórzu przed długim domem. Miał ze sobą juczne konie obładowane futrami.

Turkos też dokupił dwa juczne konie. Uniósł brew, patrząc na juki Małego Łuka.

– Nie mówiłeś, że już sprzedałeś futra?

Myśliwy poważnie pokiwał głową.

– Wziąłem twoje pieniądze i kupiłem wszystkie skóry w wiosce, i dobrze za nie zapłaciłem – wyjaśnił. – Skoro mam cię zaprowadzić do Osawy, równie dobrze mogę na tym zarobić.

Turkos się roześmiał i pokazał małemu mężczyźnie swoje dwa konie z ładunkiem skór bizonów, futer białych niedźwiedzi i jedną dużą wilczą skórą. Roześmiali się.

– Jedziemy – zarządził Turkos.

Wjechali w północne lasy u progu zimy. Wiar ciął otwarte przestrzenie niczym wielki miecz, a noce były tak zimne, że ciepło ogniska docierało nie dalej niż na długość ramienia. Jeszcze nie spadł śnieg i grunt był twardy, więc posuwali się dość szybko. Mróz umożliwiał im przejazd przez moczary, a bezlistne drzewa i krzaki w głębokich lasach zapewniały bezpieczeństwo nieznanne w lecie. Pierwszego dnia na północy dostrzegli Ruka, ale jechali tak szybko, że nie mieli powodu do obaw. Trzeciego dnia ujrzeli w dole na bagnie ustenocza i łosia łamiących lód wielkimi porożami. Trzymali się ostrej jak nóż grani i wielkie bestie nie zwróciły na nich uwagi.

Dni były krótkie, ale nie oszczędzali koni i przesiadali się na świeże na każdym przystanku. Po trzech dniach Turkos przestał zmieniać ubranie. Uznał, że mały myśliwy jest jednym z najtwardszych znanych mu ludzi – nie nużyły go całe dnie spędzane w siodle i rozbijał obóz tak szybko jak każdy Zamurzanin.

Mały Łuk podziwiał jego niewielki namiot impregnowany olejem.

– Ładny – pochwalił.

Po spędzeniu w nim nocy pomógł go złożyć i powiedział:



– Niezły. Masz wszystkie najlepsze zabawki – dodał, oglądając siekierkę, która była również fajką.

Trzy dni później ujrzeli Mont Reale i jęli omijać miasto, trzymając się północnego brzegu.

– Zakryj peleryną wszystko, co masz metalowe – polecił Mały Łuk.

Spętali konie i czołgali się na skraj skarpy.

– Tydzień temu były tu kanu i galery – powiedział cicho Mały Łuk. – Ruszyli w drogę.

Turkos stwierdził, że wszystkie doniesienia o statkach były zgodne z prawdą. Naszkicował trzy duże kogi i nowe umocnienia zbudowane na cyplu, przy którym kotwiczyły.

– W drogę, współniku – zarządził Mały Łuk. – Zostało jeszcze sporo świateł na niebie.

Po dwóch dniach dogonili flotyllę kanu skręcającą z Wielkiej Rzeki do moreańskich faktorii nad jeziorami.

– Może zmierzają do Ticondagi – powiedział Turkos, chociaż sam w to nie wierzył.

Naliczył prawie trzy setki łodzi. Była to największa siła, jaką widział w północnym kraju, odkąd został lotnym oficerem, i była skierowana przeciwko jego rodakom i ich placówkom handlowym. Czuł narastające poczucie klęski. Niepoprawnie odczytał znaki.

Mały Łuk wzruszył ramionami.

– Wiesz o starej drodze wzdłuż wschodniego brzegu jeziora?

Turkos podrapał się po głowie.

– Stara droga Muru. Jestem żołnierzem cesarstwa, łowco. Znam tę drogę.

Mały Łuk się uklonił.

– Pierwsi dotrzemy do Osawy – obiecał.

Turkos wskazał szeroką na milę Wielką Rzekę.

– I przepłyniemy na koniach? – zapytał.

Mały Łuk zaprezentował mu szczerbaty uśmiech.

– Mam nadzieję, że masz więcej tych ślicznych złotych monet.

Turkos dowodził posterunkiem na Murze przez dwa lata, zanim został lotnym oficerem, i myślał, że zna granicę równie dobrze jak każdy Moreańczyk. Dziesiątki razy jeździł w górę i w dół Wielkiej Rzeki, uważając to za niekończącą się przygodę – wiódł życie, jakie kochał.

Ale był niemało zaskoczony, gdy tuż na wschód od jeziora ujrzął zamurzarskie miasto tak dobrze ukryte, że zobaczył je dopiero wtedy, gdy znaleźli się na jego ulicach.

Pokręcił głową.

– Jak mogłem go nie zauważyć? – mruknął.

– Abenakowie odbudowali je dwadzieścia lat temu. – Mały Łuk wskazał spalone pale na Wielkiej Rzece. – Pewnie nigdy nie zagłądałeś dalej.

– Nie zabiją mnie za to, że poznałem ich sekret? – zapytał Turkos.

Mały Łuk się roześmiał.

– Nikt nie boi się cesarstwa. Gdybyś był człowiekiem hrabiego Muriena, byłoby zupełnie inaczej. Jako człowiek cesarza nie masz się czego obawiać.

Turkos powoli przetrawił jego słowa.

Właściciel łodzi wziął dwie złote bizantyny za przewiezienie ich z końmi na drugą stronę rzeki. Zwabił wierzchowce na pokład, kazał rozładować futra i wciągnął konie do lodowatej wody.

Turkos zaklął.

– Żaden koń nie przeżyje takiej kąpieli – mruknął.

Mały Łuk położył rękę na jego ramieniu.

– Trochę wiary – powiedział. – Ona jest wiedźmą – dodał, wskazując żonę przewoźnika.

Drobna ładna kobieta siedziała na rufie i kroplami mocy karmiła konie. Śmiała się i nazywała je dziwnymi imionami, a one dzielnie płynęły za łodzią. W połowie drogi zapaliła fajkę i dołączyła do mężczyzn. Poklepała Atenę, dmuchnęła jej w nozdrza i uniosła brwi, patrząc na Turkosa.

– Jak ją zwiesz? – zapytała.

– Atena – odparł. – Była boginią mądrości.

Wiedźma się uśmiechnęła.

– Jest piękną boginią. Podobnie jak Tar. Twoja Atena była niegdyś przebraniem, jakie Tar przywdziewała dla ludzi. – Poklepała klacz. – Jest w niej Tar. Wybrałeś właściwe imię. Twoja klacz mówi, że jesteś dobrym człowiekiem, więc będzie dobrze, dobry człowieku.

Turkos patrzył, jak się przedziera przez bele futer na rufę.

– Tar to stare imię – powiedział.

Wiedźma budziła w nim lekki strach i skrepowanie, mimo że czuł wyłącznie jej dobroć. A może brak zła. Poznawszy smak Głoga, wykształcił sobie nowy system wartości.

Mały Łuk wyszczerzył resztki zębów.

– Nie tutaj, Człowieku Cesarza. Tutaj Tar jest naszą obrończynią i orędowniczką, jak na południu Kościół mówi o Chrystusie. – Nakreślił znak krzyża.  
– Co nie znaczy, że mam coś przeciwko Chrystusowi – dodał obłudnie i zachichotał.

Zachowywali najwyższą ostrożność, obchodząc galijską flotę. Ktokolwiek nimi dowodził, był zawodowcem – grupy zwiadowców patrolowały brzegi jeziora i choć flota co wieczór rozbijała obóz na zachodnim brzegu, oddziały były z przodu, z tyłu i po wschodniej stronie.

Drugiej nocy po zejściu z promu przeprowadzili konie przez zalane księżycową poświatą zamrażnięte bagno, wspięli się na wysoką skarpe, robiąc przy tym zbyt wiele hałasu, i wydostali się na drogę szeroką na dwa wozy, z kamiennymi płytami ułożonymi na wysypanej żwirem skale macierzystej. Droga musiała mieć z tysiąc pięćset lat i nie brakowało na niej wybojów dość głębokich, żeby pochłonąć konia razem z jeźdźcem, lecz mimo to człowiek mógł jechać po ciemku z rozsądną prędkością.

Obozowali w ruinach wieży strażniczej. Rankiem Turkos zobaczył ślady irków, niewielkiego szybkiego oddziału.

Wskazał je Małemu Łukowi.

– Odeszli daleko od domu – zauważył niewysoki mężczyzna. Wzruszył ramionami. – Nic nam do tego.

Turkos skreślił notkę na tabliczce, po czym ruszyli dalej, próbując prześcignąć ziąb. Odniósł wrażenie, że Atena nie jest sobą. Podejrzewał, że odbijają się na niej trudy podróży: zbyt wiele nocy bez ognia, za mało obroku. Ale nie mógł przystanąć, żeby zbadać przyczynę, i niez mordowanie jechał na południe.

Przed wieczorem zrezygnowali z ostrożności na rzecz szybkiej jazdy. Jechali kłusem, niecałe dwadzieścia lig od Osawy, kiedy na drogę przed nimi wyskoczyli wojownicy z napiętymi kuszami pomalowani jasnoczerwoną farbą.

## **Nita Qwan – brzeg Morza Wewnętrznego**

Nita Qwan i Gas-a-ho przez wiele dni budowali kanu, które wreszcie spełniało wymagania Ta-se-ho. Starszy wojownik odrzucił wybraną przez nich korę brzozową i wysłał ich po następną partię. Był niecierpliwy i wyjątkowo wymagający, a jednak okazał się dobrym towarzyszem i częstował ich herbatą i

fajką, kiedy byli zmęczeni ścinaniem dużych drzew małymi toporkami.

Nita Qwan, który coraz bardziej cierpiał z powodu popękanych żeber, w końcu po nieprzespanej nocy kazał chłopcu, by zastosował swoje moce nowicjusza, a potem zużył większość posiadanej przez nich zwierzęcej skóry do owinięcia brzucha.

Trzeciego dnia przenieśli obóz na podobną do małego fortu piaszczystą skarpe ze starym głębokim dołem do rozpalania ognia i trzema wygodnymi ławkami.

– Dzieło irków – powiedział Ta-se-ho. Siedział oparty wygodnie plecami o sękatę drzewo. – To ich ziemia. Stąd do N’gary jest tylko dzień wiosłowania na południowy zachód.

Młodszy mężczyzna odbudował stary szałas z jednym spadem, spiętrzając gałęzie, aż schronienie stało się praktycznie nieprzemakalne. Dzięki skórze hastenocza przynajmniej nie przepuszczało wiatru.

Wieczorem piątego dnia Ta-se-ho spojrzął na ich trzecią próbę i pokiwał głową.

– Jutro opleciemy nadburcia – oznajmił. – Dobrze się sprawiliście.

W południe łódź była gotowa, a obóz zwinięty. Ta-se-ho kazał im uprzątnąć resztki jeleniny i śmieci po dniach biwakowania.

– Zostawcie to miejsce w takim stanie, w jakim je zastaliście – przykazał. – Wielu ludzi nienawidzi irków, ja jednak się do nich nie zaliczam. Jest dość lasów dla nas wszystkich.

Tego popołudnia powiosłowali na zachód i rozbili obóz przy następnym szałasie zostawionym przez irków.

– Królestwo Tapia – powiedział stary myśliwy. – Mogan mieszka na ziemiach na północ stąd. Jesteśmy na pograniczu. Bądźcie czujni. Obie strony mają tutaj żołnierzy. – Uśmiechnął się paskudnie i potarł obojczyk. – Przynajmniej zwą ich żołnierzami – dodał.

Posuwali się nieznośnie powoli – złamane kości i popękane żebra sprawiały, że wiosłowanie w zachodnim wietrze było nudnym koszmarem, pomimo piękna słońca na wodzie, kluczy gęsi i kaczek ciągnących na południe, śnieżnobiałych obłoków późnej jesieni sunących po niebie, wspaniałej obfitości czerwono-złoty liści na brzegu. Ta-se-ho bez przerwy kurzył fajkę. Mieli coraz mniej jedzenia i skończył się tytoń. Postanowili dobić do brzegu blisko miejsca, gdzie Górna Rzeka wpada do Wewnętrznego Morza, żeby zapolować i wysuszyć mięso, bo bez tego nie mogli kontynuować podróży.

Wylądowali pod koniec dnia na piaszczystej plaży ze śladami innych łodzi i stóp. Po bezowocnym wieczornym polowaniu siedli we trójkę wokół małego ogniska, jedząc resztki pemmikanu. Gas-a-ho wypluł chrząstkę.

– Niewiele drewna – powiedział. – Zebrałem, ile mogłem, ale to babskie drewno.

Ta-se-ho pokiwał głową.

– Byli tu Opiekunowie – powiedział. Wskazał ślady, które wszyscy widzieli, i wzruszył ramionami. – Czuję ich zapach – dodał. – Pięćdziesięciu wojowników. Zatrzymali się na dzień, może dwa. Wybili wszystkie jelenie w okolicy i spalili całe drewno.

Nita Qwan spojrział w zachodzące słońce.

– Oddział wojenny? – zapytał.

Ta-se-ho pokręcił głową.

– Nie sądzę. Rano znajdziemy ich obozowisko i rzucimy okiem.

Położyli się spać, gdy tylko zapadła ciemność, i zbudzili się zziębnięci przed świtem, w padającym śniegu. Mieli niewiele drewna i była to świerczyna. Nita Qwan przebiegł prawie milę po długiej plaży, znalazł parę wyrzuconych na brzeg kawałków cedru i zaniósł je do obozu. Żebra go bolały, ale ćwiczenie wyszło mu na dobre, bo rozgrzał się po raz pierwszy od wielu godzin. Cedr pięknie się palił, zapach był prawie magiczny. Zjedli pemmikan i napili się naparu z sasafrasu.

Wyruszyli krótko po wschodzie słońca i szli wzdłuż plaży, aż znaleźli miejsce, gdzie opiekunowie wyciągnęli na brzeg swoje łodzie, i poszli ich tropem na skraj lasu. Tam w kępie dużych brzoź znaleźli drewniane ogrodzenie wysokie prawie na dwóch mężczyzn. Ostrożnie sunęli wzdłuż niego, aż dotarli do bramy.

– Nikogo tu nie ma – powiedział Ta-se-ho, ale z napięciem w głosie.

Weszli do środka, patrząc z podziwem na wielkie platformy do spania i plecione maty.

– Ludzka robota – osądził Ta-se-ho. – Mają niewolników, czasami handlują. – Wzruszył ramionami. Nagle skoczył niczym kot na mysz.

Pod matą do spania leżała piękna skóra wydry. Była zszyta, zdobiona wokół otworu koralikami i igłami jeżozwierza – koraliki były z litego złota, a igły czerwone i purpurowe, w królewskich barwach. Rozchylił sakwę, powąchał zawartość i wydał przeraźliwy okrzyk triumfalny.

– Tytoń!

Otworzył swoją torbę, wyjął najmniejszą fajkę i nabił ją drżącymi rękami.

Podszedł do paleniska, pogrzebał nożem w popiołach i wyłuskał żarzący się węgielek, na który podmuchał. Zapalił fajkę z satysfakcją, z jaką ludzie zwykle oddają się jedzeniu i innym namiętnościom, po czym przysiadł na skraju kamiennego paleniska.

Uważnie się rozejrzał.

– Jeśli nie Mogan we własnej osobie, to ktoś z tego samego łęgu, członek rodziny królewskiej jeziornych Opiekunów. I dam sobie głowę uciąć, że to nie jest oddział wojenny. Prawie bezsprzecznie dowodzi tego ten kapciuch. Nikt nie bierze takich rzeczy na wojnę.

Nita Qwan uniósł brew.

– Mój lud i Albanowie z reguły zabierają swoje najcenniejsze rzeczy na wojnę – powiedział.

– Są z nimi ludzie i co najmniej dwóch irków. Widzisz odciski stóp? To ślady kobiety albo jestem czapłą. Więc nie oddział wojenny. – Stary uśmiechnął się z wyższością i wzruszył ramionami, wielce zadowolony z siebie.

– Mogą być jeńcami – zaznaczył Nita Qwan.

Ta-se-ho wyszczerzył zęby.

– Gdybyśmy przybyli od strony lądu, mogliby być jeńcami – zaczął. – Tro-py trzeba czytać w *tehsandranie*.

Nita Qwan dobrze znał narzecze Sossagów, ale nigdy dotąd nie słyszał tego słowa.

– Teh-san-dra-anie? – powtórzył pytająco.

Gas-a-ho popatrzył na starszego myśliwego. Obaj porozumieli się bez słów.

– To znaczy hermetycznie? Magicznie? – dopytywał Nita Qwan.

– Nie! To idea – odparł starszy mężczyzna. – To jak... Pomyśl, słowa, które mówię przy ognisku, żartem, mogą znaczyć coś zupełnie innego, kiedy je wypowiem podczas polowania. Znaczenie się zmienia w zależności od tego, kto mówi dane słowa, jak je rozumie i gdzie je wymawia. Odczucia się zmieniają. – Zatrzepotał rękami w powietrzu. – To właśnie jest *tehsandran*. Zmiana. Miejsce. Gdybyśmy przyszli od strony lądu, to mógłby być oddział najjeźdźców. Ale przybyliśmy ze wschodu, przez śródlądowe morze. Wszyscy ludzie mieszkają na wschodzie. Więc nie wzięli kobiety w niewolę na wschodzie, ponieważ musieliby przepłynąć obok nas. – Rozłożył ręce. – Rozumiesz?

Nita Qwan głęboko się nad tym zastanowił i w końcu parsknął śmiechem.

– Rozumiem. Z początku się bałem, że próbujesz mi powiedzieć, że gdybyśmy przyszli łądem, to zmieniłoby rzeczywistość twoich obserwacji. Zamiast tego mówisz, że to zmienia twoje postrzeganie.

Ta-se-ho wzruszył ramionami.

– Tak. I nie jestem pewien. Tropienie nigdy nie jest pewne. Obejmuje szeroki wachlarz możliwości, większy niż stado danieli na równinach.

– Jesteś filozofem – rzekł Nita Qwan, używając archaicznego słowa.

Ta-se-ho powtórzył je kilka razy, z uśmiechem przygryzając ustnik fajki.

– Owszem – zgodził się.

Przez dłuższą chwilę chodził wewnątrz ogrodzenia, zostawiając za sobą smugę gryzącego dymu, potem wyszedł za bramę i zniknął na parę minut. Po powrocie wystukał popiół z fajki.

– Osiem łodzi. Pięćdziesięciu wojowników, dwóch irków w butach, do tego mężczyzna i kobieta, boso i w mokasynach. – Przymrużył oczy. – Jeśli ruszyli na wschód, to ich zobaczymy. Jeśli na zachód, za dwa dni dotrą do granic królestwa Mogan, a za osiem do jej jaskiń. Ale przyплыnęli łodzią, więc nasuwa się naturalne założenie, że przybyli z jaskiń i legowisk Mogan na zachodzie. Nie minęli się z nami, co znaczy, że poszli na południe, do Tapia w N’garze. To poselstwo, Tapio wysłał do nich irków jako przewodników. Mężczyzna i kobieta są niewolnikami, chociaż darzonymi zaufaniem.

Nita Qwan prześledził logikę jego wypowiedzi.

– Dlaczego sądzisz, że mają do nich zaufanie?

– Odeszli daleko, żeby się wypróżnić – wyjaśnił Ta-se-ho. – Ludzie pod tym względem są znacznie bardziej wstydliwi niż Opiekunowie. Pozwolono im odejść bez straży.

– Może nie są niewolnikami?

– Zajmowali się przygotowaniem stawy – powiedział Ta-se-ho. Wzruszył ramionami. – Ale tak, może otrzymują sowitą zapłatę albo po prostu są zadowoleni.

– Skąd twoja pewność? – zapytał Nita Qwan.

Starzec nabijał fajkę. Z lekko kpiącym uśmiechem spojrzał mu w oczy i wrócił do nabijania.

– Ile czasu stracimy, jeśli pójdziemy do N’gary, a ich tam nie będzie? – zapytał Nita Qwan.

– Tydzień – odparł Ta-se-ho. – Więcej, jeśli Tapio nas zabije.

Obaj z Gas-a-ho parsknęli śmiechem, który się odbił od skał i niskich urwisk w spokojnym jesiennym powietrzu.

Nita Qwan musiał się uśmiechnąć.

– Myślisz, że tak trzeba zrobić.

Ta-se-ho wzruszył ramionami.

– Tak. Jeśli Tapio i Mogan zakopali topór wojenny i stali się przyjaciółmi, będą najpotężniejszymi sojusznikami w północnym kraju. Nie możemy zrobić nic lepszego niż zaproponować im pomoc naszego plemienia. Brat i ojciec Mogan nigdy nie byli źli dla ludzi. – Dziwnie potrząsnął głową. – Nigdy też nie byli szczególnie dobrzy – dodał.

– A ten Tapio? – zapytał Nita Qwan.

Gas-a-ho pochylił się w jego stronę.

– Rogaty mówi, że jest wyjątkowo przebiegłym szamanem, niemal jak stary bogowie. Mówi, że nie wolno zasnąć w salach Tapia, bo jak zaśniesz, to po przebudzeniu stwierdzisz, że minęło sto lat. – Zdał sobie sprawę, że prawdopodobnie zbyt wiele mówi jak na tak młodego człowieka, i wbił wzrok w ziemię.

Ta-se-ho usiadł na wielkiej ławie do spania przeznaczonej dla demona o wysokości dziewięciu stóp.

– Tapio prowadził wojnę przeciwko naszym przodkom – powiedział sennie. – Właśnie o tym mówią wszystkie historie o baśniowym ludzie pod ziemią i o podziemnej wojnie. Jest bardzo stary.

Nita Qwan nigdy nie słyszał tych historii.

– Czy nienawidzi Sossagów? – zapytał.

Ta-se-ho skrzyżował stopy obute w mokasyny.

– Wątpię, czy w ogóle nas pamięta. Ale my go pamiętamy. Kiedyś należały do nas wszystkie ziemie wokół N'gary. Tam mieszkali Sossagowie, lud Zachodnich Drzwi. Tapio zajął nasze wielkie miasta i zmusił nas do ucieczki na Spalone Ziemie północy.

Nita Qwan westchnął.

– W takim razie nici z naszego poselstwa – skomentował.

Ta-se-ho pokręcił głową.

– Nie. Mamy teraz dobre życie. Tapio może nam pomóc, bo wziął, co chciał, a my przetrwaliśmy. Wcale nie inaczej niż czarnoksiężnik, który zagarnął naszą Świętą Wyspę. Posłuchaj, Nito Qwanie, takie rzeczy się zdarzają. Najlepiej pogodzić się ze zmianami i unikać śmierci. Jeśli zdołamy doprowadzić do tego, że zaczną walczyć między sobą... – Starzec zachichotał. – Cóż, tym lepiej. Jeśli Tapio i Głóg wzajemnie się zniszczą, Sossagowie będą mieli powód do śmiechu.



– I będą silniejsi – dodał Nita Qwan.

Myśliwy pokręcił głową.

– Przemawia przez ciebie twój brat. Silniejsi... siła jest dla tych, którzy jej potrzebują. Ludzie chcą żyć. W życiu nie chodzi o siłę. W życiu chodzi o życie. Matrony o tym wiedzą, i ty też musisz to wiedzieć. Nie szukamy przymierza, żeby stać się silnymi. Szukamy przymierza, żeby uniknąć tylu kłopotów, ilu tylko się da, żeby myśliwi mogli polować, a matki wychowywać dzieci.

Nita Qwan spojrział na starego myśliwego nowymi oczami.

– Mówisz tak, jakbyś miał Potęgi w pogardzie.

Starzec szybko pykał z fajki, żeby ją rozpalić.

– Znasz dziecko, które musi pokazywać innym dzieciom, jakie jest mądre? Podczas gdy inne dzieciaki biegają, bawią się, jedzą i kochają swoje matki, ten mały chłopiec albo mała dziewczynka nie może przestać się wymądrzać. Znasz takie dziecko?

Nita Qwan się roześmiał.

– Aż nazbyt dobrze.

– Potęgi. W większości są ludźmi, którzy nigdy nie nauczyli się żyć. – Tase-ho padł ze śmiechem na posłanie. – Pamiętaj, jestem starym człowiekiem bez magii. Gdybym mógł pstryknięciem palcami zabić jelenia z odległości mili, byłbym innym człowiekiem. Ale nigdy nie nauczyłbym się polować. A uwielbiam polowanie. – Usiadł. – Brak mi słów, żeby wyjaśnić to lepiej.

– Jesteś filozofem – powtórzył Nita Qwan.

Starszy mężczyzna pokiwał głową.

– Mógłbym się nauczyć lubić to słowo. Ale powiem ci brutalną prawdę. Wewnętrzne Morze zamarznie za parę tygodni. Jeśli zamierzamy wiosłować, lepiej zrobmy to szybko.

Godzinę później wiosłowali na południe, zmierzając do N'gary.

## **Lissen Carak – przeorysza Miram i siostra Amicja**

Przeorysza z uwagą czytała najnowszą wiadomość z Harndonu, podczas gdy siostra Amicja cierpliwie czekała z dłońmi wsuniętymi w rękawy.

Przeorysza raz skrzywiła usta, później jej rysy stężały. Uważny obserwator spostrzegłby, że czyta wiadomość po raz drugi. Tym razem przygryzła wargę.

Zrobiła minę, jaka nie przystoi przeoryszy.

– Wiadomo ci coś o treści? – zapytała Amicję, która w odpowiedzi pokręciła głową.

– *Ma dame*, byłam w kaplicy przy promie w Southwark, kiedy przybył królewski posłaniec. Jako że list miał trafić tutaj, i minął Dzień Pański, przyniosłam go prosto do ciebie. Kurier miał inne wiadomości do dostarczenia.

Miram postukała w podłokietnik fotela.

– Król mianował nowego biskupa Loriki. Został nim człowiek, który wierzy, że podlega mu cały Zakon Świętego Tomasza. – Uśmiechnęła się, nie wesoło, lecz wojowniczo. – Przypuszczam, że przeor Wishart i ja się zgadzamy, iż nie ma nad nami władzy, ale widzę nadciągające kłopoty.

– Nowy biskup Loriki jest dobrym kapłanem – zauważyła Amicja.

– Przybył tutaj! – krzyknęła Miram. – Ha, i przyłapał nas wszystkie w samych koszulach. Dzień prania, a nowy biskup staje u bramy! Na szczęście ser Michael odegrał rolę strażnika. W sumie dałyśmy znośne przedstawienie i przeniosłyśmy balie do kuchni. Naprawdę jest bardzo sympatyczny, a jego teologia jest orzeźwiająco nowoczesna. – Miram podniosła zwój ze stołu. – Przedłużył ci zezwolenie na odprawianie mszy wszędzie tam, gdzie nie ma księdza. I wyznaczył nam nowego kapelana, ojca Desmonda. Scholara, ni mniej! Wszystkie pokazałyśmy się z jak najlepszej strony.

Amicja dygnęła.

– Nie mogę się doczekać, żeby go poznać.

– Z pewnością jesteś zmęczona, droga siostró. – Przeorysza zamilkła na chwilę. – Dają się słyszeć liczne pomruki niezadowolenia z powodu przyznanych ci swobód. Bądź na wieczornej mszy, proszę, i na jutrzni, żeby wszyscy mogli zobaczyć twoje oddanie.

Amicja poczerwieniała z nagłego gniewu, ale zdołała go powściągnąć.

– Ponadto jesteś nam potrzebna, żeby wzmocnić nasze systemy obronne. Chór, hermetyczny chór, musi ćwiczyć, póki tu jesteś. – Miram położyła rękę na jej głowie. – Czy ktoś kiedyś myślał, że klasztory są miejscami odpoczynku?

## **Święta Wyspa – Głóg i Ota Qwan**

Kiedyśmy złożyły jaja w powieszonych zwłokach jego towarzyszy, było to dla Oty Qwana niesłychanie niepokojące. Kiedy wylęgły się larwy, przychodziły mu na myśl rzeczy, o których nie chciał myśleć, więc szukał zapomnienia w różnych zadaniach. Zebrał gromadę młodych wojowników z pół tuzina

plemion zainspirowanych przez wizję Mówiącego Językami i poprowadził ich na krótką wyprawę – najpierw, żeby wzbudzić strach w sercach Abenaków, a potem dalej na wschód.

Abenakowie nie próbowali z nim walczyć. Zatrzymał swój oddział na południe od łańcucha nadrzecznych wiosek, które stanowiły serce narodu, i spotkał się z delegacją starszyny. Zażądał wojowników i zagroził im zniszczeniem, a wtedy dwóch starszych wojowników, którzy wiosną byli dowódcami, zareagowało gniewem.

Wzruszył ramionami.

– Głóg będzie waszym panem – oznajmił. – Podporządkujcie się, a urośniecie w siłę. Spróbujcie walczyć, a zostaniecie wybici do nogi.

Zostawił ich, dając im czas na powzięcie decyzji, i ruszył na południowy wschód. Miał od Głoga gałąź, która dała mu władzę nad Rukami grasującymi na nizinach nad Morzem Wewnętrznym, i sześciu niezdarnych olbrzymów pociągnęło za nim. Reszta trzymała się od niego z daleka. Spodziewał się, że poczuje przepływającą przez niego moc, ale nic poza widokiem Ruków wykonujących jego polecenia nie świadczyło o tym, że zaszła jakaś zmiana.

Po sześciu dniach podróży wyszli z usianych głazami bagien w pobliżu miasta Nepan’ha. Ota Qwan ruszył po pierwszym śniegu tej zimy i spotkał się z naczelniczką, Skaczącym Pstrągiem, która z włócznią w ręku i w pięknej pelerynie ze skóry karibu na ramionach stała na ganku palisady.

– Głóg żąda od was posłuszeństwa! – krzyknął.

– Powinien przyjść i zażądać tego osobiście – odparła – a nie przysyłać jakiegoś półgłówka, żeby to robił za niego.

– On was zniszczy – zapowiedział Ota Qwan.

Stara kobieta się odwróciła, zadarła pelerynę i pokazała mu gołe pośladki. Pierdnęła przeciągle. Wszyscy jej ludzie się roześmiali.

– Powiedz swojemu czarnoksiężnikowi, żeby zrobił sobie dobrze z brzozą! – krzyknęła.

Ota Qwan pozwolił, żeby gniew przejął nad nim kontrolę. Poczuli się wyższy, silniejszy – i rzeczywiście tak się stało. Uniósł gałąź, którą dał mu Głóg, i wskazał nią palisadę.

Z daleka napłynął ryk i ziemia się zatrzęsała.

Tuzin Ruków brnął ciężkim krokiem ku miastu.

Mężczyźni i kobiety na murze mieli łuki i włócznie, a Rukowie srodze ucierpieli podczas ataku. Czterech zginęło na miejscu.

Ale niełatwo jest zabić Ruka. Ci, którzy przetrwali, gołymi rękami roze-

rwali palisadę i wdarli się do miasta. Oddali się orgii zniszczenia, rozbijając budynki i zabijając wszystko, co tylko mogli złapać – owce, konie, dzieci.

Ota Qwan wszedł za nimi przez wyłom z pięćdziesięcioma wojownikami. Wskazał ręką we wszystkie strony i rozkazał starszym wojownikom oczyścić mury.

– A co potem? – zapytał jeden z młodych Abenaków.

– Potem zabić wszystkich innych – odparł Ota Qwan.

Nie było to po zamurzańsku, ale wojownicy byli młodzi i już widzieli w Kevinie Orleyu wzór do naśladowania.

Dziesięć godzin później w ziemiance znaleziono ostatnią zdesperowaną matkę, wyrwano z jej ramion dziecko i je zabito, a ją samą zgwałcono i odrąbano jej głowę. Niektórzy unurzani w krwi młodzi wojownicy rzygali na myśl o tym, co zrobili, inni zaś wydawali się dziwnie upojeni. Gwałt był nowością dla Abenaków i Sossagów – w zamurzańskich wojnach kobiety zabierano do domu, przyjmowano do plemienia i pojmowano za żony. W przeciwnym razie matrony karały wojowników.

Tyle że Głóg nie miał matron.

I był tam. Przybył w postaci Mówiącego Językami.

– To, co učiniliście, učiniliście dla mnie i dla swojego ludu – oznajmił. Podszedł i z wdziękiem ukląkł przy zwłokach ostatniej zabitej kobiety. – Straszne, czyż nie? Była osobą, a wy zrobiliście z niej przedmiot. – Wstał i się uśmiechnął. – Słuchajcie, moi wojownicy. Robimy to, żeby ocalić pozostałych. Po Nepanha żadne inne miasto mi się nie sprzeciwi. Ta rzeź ocali wiele żywotów, łącznie z waszymi. Życie innych kobiet, innych dzieci.

Ruszył przez zgliszcza do ruiny, która niedawno była najważniejszym długim domem. W wejściu leżały zwłoki Skaczącego Pstrąga, wciąż z toporem w rękach.

– Była głupia, obrażając Otę Qwana, i po dwakroć głupia, stawiając opór. Dlatego wina za śmierć wszystkich tych ludzi spada na nią, nie na was. Kiedy przywódca bierze na siebie odpowiedzialność dowodzenia, przyjmuje też ciężar tego obowiązku. – Uśmiechnął się błogo. – Przez wiele lat wy, Zamurzanie, oddawaliście cześć poległym wrogom. Zaprzestańcie tego. Zbeczcie ich ciała jako głupców i zdrajców. Wkraczacie na nową Drogę. Nie bądźcie dłużej miękczy. Stańcie się twardzi. Zaufajcie mi. – Mówiący Językami pokazał, co należy zrobić. Przystanął i oddał mocz na zwłoki, i skóra grubej starej kobiety jakby się trochę stopiła.

Nagle wojownicy stłoczyli się dokoła, żeby zrobić to samo – i gdy to zro-

bili, ich wspomnienia popełnionych okrucieństw nagle się zaćmiły.

Mówiący Językami się uśmiechnął. Jakże łatwo jest wykorzystywać ludzi, pomyślał. Zrobię z nich zwierzęta i wtedy będą się nadawać do życia w Dżicy.

Zakręcił dużą peleryną z wilczych skór i zniknął.

Wszyscy wojownicy krzyknęli na wiwat, a Rukowie ryknęli.

Kevin Orlay chciał być zadowolony, ale nie mógł przestać się zastanawiać, dlaczego czarnoksiężnik nie został trochę dłużej, żeby uleczyć rannych wojowników. Co gorsza, zachował nienaruszone wspomnienia ze zdobywania miasta.

Głóg zostawił swoich ludzi z lekkim drżeniem odrazy, trochę jak chirurg zamykający słoje z pijawkami, i wrócił przez eter do swojego miejsca mocy.

Spędził dzień na rzucaniu czarów i obserwowaniu. Wiedział, że zaraz się wylęgnie pierwsza z jego wyjątkowych ciem, i musiał ją pochwycić w odpowiedniej chwili, żeby dopilnować objęcia przez nią mocy. Przynajmniej tak sobie mówił, podczas gdy inna część jego wielkiego, pełnego pajęczyn umysłu przyznawała, że po prostu chce być obecny, kiedy wykluje się jego twór.

Obserwował Ghausa i hrabiego. Patrzył, jak tańczy naga, szafując mocą jak wodą. Patrzył, jak rzuca czary, i czuł się rozdrażniony, zmartwiony i odmieniony. Wysłał więcej ciem, a potem kolejną chmurę, żeby ją obserwować pod każdym możliwym kątem podczas każdej możliwej chwili jej życia.

Czasami słyszał, jak wypowiada jego imię. Było tak, jakby już go przywoływała przez dzielące ich mile.

Obserwował, jak wchłania czarownicę, i jęknął z przyjemności.

W swój prymitywny sposób była znacznie bardziej skomplikowana niż sobie wyobrażał, i znacznie potężniejsza. Z chichotem zwiększył moc swoich ochron.

Zadbał o nie na wypadek, gdyby miał przypuścić fizyczny atak przeciwko jej mężowi.

Obserwował również inne sceny, poprzez inne ćmy i inne bestie, ale to, co mu mówiły, nie wystarczyło do zbudowania obrazu całości. Dzięki stworzeniom w Harndonie zyskał fragmenty, których nie potrafił zrozumieć – morze złych twarzy w rozświetlonej przez ogień ciemności; królowa krzycząca na młodą kobietę. Królowa płacząca. Królowa czytająca stary pergamin.

W podziemnych korytarzach pod starym pałacem jego inne stworzenia nie żyły. Stracił każdą ćmę, każdego szczura, każdą żywą istotę, którą stworzył

albo zwerbował, zwabił albo przekupił, żeby umożliwiła mu czytanie jego notatek albo zapisków Harmodiusza.

Bezpieczny na swojej wyspie zaczął przemieniać inne stworzenia, na przykład kilka borsuków, w podziemnych szpiegów, ale nie miał żadnego pod ręką w czasie, kiedy ich potrzebował, i to go wpędzało w coraz większą frustrację. Stracił nawet koty, których używał do utrzymywania czarów wiążących Harmodiusza – polowały na myszy i snuły się po korytarzach zamku, ich kocie umysły były przed nim zamknięte.

Bez szerszego tła same ćmy okazały się nieprzydatne i klął stratę czasu, jaki poświęcił na przemieszczanie ich na wielkie odległości, i ubytek mocy, którą musiał poświęcić, żeby je kontrolować. Ćmy potrzebowały dwóch miesięcy – i kilku pokoleń – żeby dotrzeć do celu.

Próba umieszczenia ciem wokół Czerwonego Rycerza zawiodła i nie żyły wszystkie owady, które wysłał na zachód, żeby obserwować swojego najbliższego sąsiada – sławnego Tapia, który wiosną nie zgodził się zostać jego sprzymierzeńcem.

Głóg stał nieporuszenie i rozmyślał, kipiąc z oburzenia. Jeśli Tapio zabił jego wysłanników, to oznaczało, że arogancki irk zamierzał w dalszym ciągu trzymać się na dystans albo jeszcze gorzej. „Dlaczego Dicz się nie zjednoczy?” – zapytał samego siebie. Ponieważ każdy dba wyłącznie o własne dobro. Głóg usiadł w ciemności, patrząc na chryzolitową gąsienicę długą jak męskie ramię, zwiniętą w ludzkich zwłokach, i pokiwał głową. Zjednoczę Dicz na siłę i ją ocale. Jeśli nie mogą dostrzec dobrodziejstwa mojego pomysłu, wtłoczę im go do głowy.

Nagle napłynęło nieproszone wspomnienie: ujrzał Czerwonego Rycerza, gdy stawał przeciwko niemu pod Lissen Carak i przejmował panowanie nad jego boglinami. „Jesteś tylko synem parweniuszowskiego kupca, próbującym małpować maniery lepszych od siebie”.

Próbował skupić gniew w sposób, w jaki skupiał moc na swoich dziełach. Jego ojciec rzeczywiście był kupcem – i co z tego? Będę Bogiem, zwrócił się w myśli do dalekiej postaci. A ty będziesz niczym.

Poradził sobie ze swoją nienawiścią, ugłaskał ją, i powtórnie przeżył każde drobne upokorzenie obłączenia – rozpamiętywał chwilę, kiedy źle rozmieścił swoje baterie trebuszy, i delektował się tym, jak genialnie przemyślał noc wielkiego ataku.

Zebrał całą swoją nienawiść i wlał ją w gąsienicę, tak jak czyni człowiek, który podsuwa strzęp wełny psu, żeby go naprowadzić na trop.

Kiedy skończył, poczuł się lżejszy o ciężar wielkiego strachu. Stworzył potężne dzieło, podobne do czarów, które rzucił na ludzi dokonujących napaści na Nepanha. Hermetyczna magia, która zmieniała wewnętrzną rzeczywistość wrażliwego umysłu, była tak delikatna, że w porównaniu z nią manipulowanie siłą życiową ćmy przypominało dziecinną zabawę. Ale zaczynał rozumieć, jak można dokazywać takich cudów.

Po jakimś czasie zaprzestał wysiłków obserwowania świata i wrócił do przygotowań, których celem było rozprawienie się z hrabią.

## **Okolice Osawy – Giannis Turkos**

Ludzie, którzy ich otoczyli, byli Zamurzanami – Północnymi Huranami i Kri z włosami związanymi na czubku głowy, ubranymi w jelenie skóry ufarbowane na jasną czerwień. Mieli kusze, ciężką, niedawno wykonaną broń o stalowych łukach.

Właśnie kusze sprawiły, że Turkos podjął taką, a nie inną decyzję, choć zapadła ona niemal zbyt szybko, żeby ją nazwać myślą.

Gdy tylko wojownicy wyłonili się z cieni, żeby zatriumfować nad swoimi ofiarami, spiął klacz, swoją cenną klacz, którą kochał, Atenę.

Posłusznie stanęła dęba, przyjmując na szeroki brzuch i długą szyję wszystkie sześć bełtów przeznaczonych dla niego. I ponieważ miała wielkie serce, opadła na cztery podkute żelazem kopyta i ruszyła, miażdżąc nimi czaszki dwóch wojowników.

A potem upadła.

Turkos wylądował na nogach i wyciągnął szablę, długą i ciężką jak miecz albańskiego rycerza, ale lekko zakrzywioną i ze wzmocnionym piórem, które dodawało powagi każdemu cięciu.

Upadło dwóch kolejnych wojowników, jeden z czysto odciętą ręką, drugi z bokiem twarzy wklęsłym po uderzeniu tyłcem klingi – strzaskana kość policzkowa, złamana szczęka.

Jego lekkomyślna szarża na gromadę wrogów spowodowała większy chaos, niż miał prawo się spodziewać – jeden Kri dał się ponieść gorączce bitewnej i wystrzelił ciężki bełt w plecy Huranina. Ale nie byli boglinami – starsi wojownicy już odzyskiwali przytomność umysłu, dobywali broni albo stawali z daleka i składali się do strzału.

Turkos rzucił swoje najlepsze ofensywne czary z amuletu na piersi. Tafla błyskawicy zamigotała błękitem w słońcu i położył ją jak dywan tuż nad za-

marznącą ziemią, jak nauczył go dziadek. Ludzie posiadający magiczne ochrony nosili je wysoko, a nikt nie może zignorować ostrego ciosu w kostkę.

Wojownicy padali jak marionetki z przeciętymi sznurkami.

Żaden nie odniósł poważnej rany, a była to jego jedyna hermetyczna ochrona. Ale powaleni ludzie patrzają na walkę z innej perspektywy i doświadczeni wojownicy zaczęli ważyć swoje szanse przeżycia. Turkos niedbałym ruchem zabił leżącego najbliżej człowieka, wbijając sztych w jego czaszkę.

Inny wojownik podniósł się na kolano i sięgnął do niego, a on zgodnie z naukami *armatura* chwycił za wyciągnięte ramię i rękojeścią szabli trzasnął go w twarz, pozbawiając przytomności, jednocześnie czekając na bełt pomiędzy łopatkami. Odwrócił się – czas łaski dobiegł końca, więc modlił się do Boga, Jezusa, Dziewicy Parthenos i wszystkich legionów świętych...

Stary myśliwy przeszył strzałą najbliższego Kri i po pozostałych został tylko trzask gałęzi, gdy uciekali w lasy.

– Lepiej skacz na mojego konia – powiedział Mały Łuk. Zdobył się na śmiech, choć był wyraźnie wstrząśnięty. – Cieszę się, że nie próbowałem cię obrabować – dodał.

Turkos starannie wytarł klingę w jelenią skórę martwego człowieka, wsparł się na szabli i ciężko odetchnął. Czuł się tak, jakby przebiegł milę.

Atena wierzgnęła nogą i westchnęła. Krwawa piana spłynęła z jej pyska i klacz wyzionęła ducha.

Turkos kucnął przy niej i płakał. Miał długie skaleczenie u nasady lewego kciuka i widział warstwę tłuszczu pod skórą – skąd ta rana? I coś tkwiło w łydce. I Atena nie żyła. Musiał trzy czy cztery razy sprawdzić, jak człowiek dotykający pieńka złamanego zęba. Nie chciał jej śmierci. Nie chciał jej poświęcać.

– Myślisz, że jest raj dla zwierząt? – zapytał.

Stary myśliwy pokiwał głową.

– Pani Tara ma miejsce dla zwierząt – odparł. Rozejrzał się. – Powinniśmy ruszać.

Turkos wziął się w garść, ale oczy miał gorące i pełne łez.

– Kochałem tę klacz.

– W takim razie szukaj jej na polach Tary, biegającej z jeleniami i lisami, bez drapieżników i bez ofiar. – Starzec niemal wyśpiewywał słowa. – A teraz sadzaj dupę na mojego konia i jedziemy.



W godzinę dotarli do pierwszego posterunku Osawy i Turkos podał hasło. Chwilę później zabrzmiał alarm i konni posłańcy ruszyli do wiosek Południowych Huranów z wieściami o zbliżającym się ataku. Mieli dzień na przygotowania, więc nikt nie zostanie zaskoczony.

Turkos wrócił do starożytnej wieży w ciągu murów Osawy, żeby jak najszybciej przeczytać wiadomości z całego miesiąca. W przygotowaniach małej fortecy do oblężenia przez wielką i znacznie lepiej uzbrojoną armię przeszkadzała mu świadomość, że cesarz jest więźniem diuka Tracji i że jego bezpośredni dowódca, logoteta, nie żyje.

Podczas gdy wciągano na mury i narożne wieże jego cenne mangonele, przeczytał dwie najświeższe wiadomości.

Z rosnącym podekscytowaniem po raz kolejny przebiegł wzrokiem najnowszą: Nowy Megas Ducas jest albańskim najemnikiem i na czele armii maszeruje w kierunku granicy. On, Giannis Turkos, otrzymał rozkaz zabrania całego konnego garnizonu i wyruszenia na spotkanie z diukiem, zabierając ze sobą wszystkich handlarzy futrami i ich towary w Osawie i okolicznych wioskach.

Oczywiście. Jego celem była ochrona zysków cesarza z handlu futrami.

Turkos jeszcze raz przeczytał obie wiadomości, po czym stanął przy stole służącym mu do pracy. Owiniętą brudnym bandażem lewą rękę trzymał wysoko w powietrzu, żeby zatamować krwawienie, podczas gdy prawą pisał drobnymi literami, jak się nauczył od mnichów w Eressos. Napisał szczegółowy raport, używając najnowszego szyfru, i sporządził cztery kopie, po jednej dla każdego ptaka w wieży. Gdy ostatni wielki czarno-biały kurier odleciał, zamknął okiennice biura przed zimmem i zszedł po krętych wewnętrznych schodach na parter, gdzie myśliwy drzemał na łóżku w wartowni.

Turkos go zbudził.

– Pozwoliłbym ci spać, ale będziesz chciał odejść, nim zacznie się walka – powiedział. – Oto twoje złoto – dodał i wyciągnął rękę, żeby wymienić uścisk dłoni – i moje podziękowania.

Stary uśmiechnął się z rozmarzeniem.

– Za nic nie stracę takiego przedstawiania – odparł. – Ale złoto przyjmę.

Później tego popołudnia pierwsze wojenne kanu dobiło do brzegu pięć mil na północ od Osawy. Wódz Kri wysiadł i dostał w pierś strzałą Dużej Sosny. Zmarł, miotając się w lodowatej wodzie. Wojownicy Dużej Sosny wrzasnęli...

...i zaczęła się wojna.

CZĘŚĆ DRUGA

# Zimowa wojna



## ROZDZIAŁ TRZYNASTY



Ranałd Lachlan

### **Na północ od Liwiapolis – Mag**

Armia ruszyła na północ z placu defiladowego. Żołnierze maszerowali w nowych tabardach z białej wełny, z najlepszą bronią i ekwipunkiem, i prezentowali się olśniewająco. Większość miała manierki z wodą, a przeczorni pęto kiełbasy i trochę sucharów w sakwach.

Maszerowali na zachód drogą do Alby i im byli dalej, tym bardziej się martwili.

Mag nigdy wcześniej nikim nie dowodziła. Miała naturalną siłę starszej kobiety – mądrość, która przychodzi z kresem młodzięcych ambicji, połączo-

ną z rozwiniętymi hermetycznymi talentami. Kiedyś kierowała służbą ołtarzowi w swoim małym miasteczku i pomagała zarządzać zapasami w obleżonym zamku.

Obecnie miała pod swoją komendą sześćdziesiąt kobiet i tuzin kopii dowodzonych przez Johna le Bailli, swojego kochanka. Nie spała przez całą noc z powodu przygotowań. Wozy załadowano po czubki stromych rozchylonych burt, podobnie jak ręczne wózki – musiała pamiętać o beczułkach z wodą, zapasowych igłach do szycia, namiotach, kociołkach, suszonym mięsie, niciach, podkowach...

Żadne z tych rzeczy nie przyprawiły jej o ból głowy. Umiała czytać i całkiem dobrze pisała.

Ale kiedy tabor złożony z pięćdziesięciu dużych wozów, dwudziestu wózków i sześćdziesięciu sześciu mułów przejechał pod łukiem pałacowej bramy i toczył się hałaśliwie w gęstniejącym zmroku, czuła się bardziej samotna niż kiedykolwiek w życiu. W sposób, który mało pasował do dowódcy, ścisnęła rękę le Baillego, kiedy wsiadł na kozioł pierwszego wozu, a on uśmiechnął się do niej i pocałował ją w usta.

– Boję się – szepnęła.

Le Bailli się roześmiał.

– Dobrze mi to robi, kobieto cudów. – Przesunął się do tyłu, żeby wyprostować nogi i dać odpocząć plecom. Zahaczył ostrogami o przednie deski i o mało nie spadł z kozła.

Roześmiała się. On jej zawtórował.

– Słuchaj – powiedział. – Dowodzenie jest łatwe, kiedy jest się młodym, i coraz trudniejsze, kiedy się starzejesz.

– Och, zamknij się z tym swoim strasznym filozofowaniem – powiedziała, tuląc go przez chwilę. – O czym zapomniałam?

– O zapasowej woskowinie?

Przez chwilę się zastanawiała...

...a potem go pacnęła.

Zaśmiał się.

– Daj spokój. Bez względu na to, czego zapomniałaś, będziesz musiała się bez tego obejść. – Obejrzał się na karawanę wozów. – Ile jest nowych?

– Wszystkie prócz sześciu – odparła.

Wozy zbudowano w stoczni wojennej, w ukryciu przed szpiegującymi oczami, a ona użyła hermetycznych środków, żeby jeszcze bardziej je zamaskować.

– Najlepsze wozy wojskowe, jakie widziałem. Wydał na nie mnóstwo pieniędzy – zauważył le Bailli.

Mag pokiwała głową.

– Tak.

Le Bailli też pokiwał głową.

– Ty jesteś oficerem kompanii, a ja marnym kapralem. Nie muszę wiedzieć, jestem pewien. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – Ale, na Boga, kobieto, wygląda na to, że maszerujemy w góry zimą. Co on wyprawia?

Mag się roześmiała.

– Jest sobą. Tajemniczy, arogancki i prawdopodobnie zwycięski. – Pocałowała kochanka. – Zaraz minimy bramę, kapralu. Idź bronić moich wozów przed wrogiem, zanim wykorzystam twoje muskularne ciało, żeby zapomnieć o trudach dowodzenia.

– Kiedy tylko zechcesz – powiedział, po czym dał jej małą zaliczkę w postaci pocałunku i przesiadł się z kozła na siodło swojego wierzchowca, który stęknął, jakby zde gustowany całym tym popisem.

Tabor Mag dotarł do obozu przygotowanego przez ludzi Gelfreda. Paliki i linki czekały na namioty, a gdy dojeżdżali, silna pikieta jeźdźców stała się ich eskortą.

Kiedy armia przybyła pół godziny później, namioty już stały i większość kuchni czekała z przygotowaną strawą.

Moreańscy ochotnicy zjedli gorący posiłek, zasnęli w przygotowanych dla nich namiotach i nie zdezerterowali.

Wstali przed świtem w mglistym zimnie i pomaszerowali przez góry w stronę Zielonych Wzgórz.

Pogoda dopisywała. Drogi były zamarznęte i twarde, ale słońce świeciło jasno i każdy człowiek miał wierzchowca.

Trzeciego dnia, gdy jechali stępa przez faliste wzgórza pełne owiec i bydła, natknęli się na ludzkie zwłoki.

Ser Michael dołączył do Ranalda Lachlana i razem jechali wysokim grzbietem górującym nad główną drogą, która prowadziła w Góry Trackie ciągnące się na północnym wschodzie.

Na północnym zachodzie widzieli strzeliste mury Kilkisu, miasta zwanego przez Albanów Middleburgiem. Była to potężna forteca wzniesiona na skrzyżowaniu szlaków, gdzie spotykał się Trakt Północny i Trakt Zachodni. U stóp fortecy leżało ostatnie miasto na wschód od Gospody Dormling.

Lachlan patrzył na wzgórze jak człowiek na kochankę, która ściąga suknię przez głowę. Z miłością i pożądaniem.

– Moje wzgórze są niedaleko – powiedział tęsknie. Spojrzał na martwego człowieka, rozebranego do naga i już śmiertelnie białego. Na ziemi leżały łaty śniegu.

– Gelfred zaskoczył śpiące posterunki – powiedział ser Michael. – Słyszałem o tym rano na naradzie dowództwa.

– Najświętsza Panienko... – mruknął Lachlan i się przeżegnał. Jako człowiek, który kiedyś był martwy, z wielką powagą podchodził do śmierci innych.

– Kapitan... to znaczy diuk mówi, że możemy jechać spokojnie, dopóki nie napotkamy jego zwiadowców – dodał ser Michael.

– Słodki Chryste... Biedny Andronikus. – Parsknął głośnym śmiechem, który rozprzestrzenił się lotem błyskawicy, gdy armia jechała przez wzgórze, kierując się na północ. – Obaj z Tomem myśleliśmy, że kasztelan Middleburga nas zatrzyma.

Ser Michael wzruszył ramionami.

– Nie zrobił tego. Nie wiem, jak było, ale bramy stały otworem i diuk się tego spodziewał. – Obejrzał się. – Nie wiem, do czego zmierza, ale planował to od miesięcy.

Ranald pokiwał głową.

– Tak. Jest przebiegłym sukinsynem. – Podchwycił spojrzenie młodszego mężczyzny i położył rękę na jego ramieniu. – Michaelu, chłopcze, opracuje równie staranne plany dotyczące twojego taty.

Michael z namysłem splunął na łatę śniegu.

– Ran, sam nie wiem, czego chcę dla mojego ojca. Nie jestem pewien, czy nie powinienem odwrócić się plecami i zostawić go w kupie gnoju, w który sam się wpakował. – Musnął palcami wstążkę przypiętą na ramieniu. – Mam inne troski na głowie.

Ranald pogładził się po brodzie.

– Tak. Ja też.

Michael spróbował go pocieszyć.

– Nie przejmuj się, pasuje cię na rycerza. Po prostu daj mu dobry powód. Ranaldzie, ja go znam. Wchodzenie mu w drogę jest ryzykowne, w gniewie wstępuje w niego diabeł, jest próżny jak paw i uwielbia nam pokazywać, jaki jest mądry, ale stoi murem przy swoich przyjaciółach.

Ranald pokiwał głową wyraźnie nieszczęśliwy.

- Tak, to samo mówi Tom.
- Za dziesięć dni będziemy walczyć.
- Albo zamarzniemy, czekając na walkę – mruknął Ranald. – Ale tak, masz rację.

Nie było przerwy na południowy posiłek. Cała kolumna skręciła w północną odnogę cesarskiego traktu bez zatrzymywania się pod murami Kilkisu i teraz jechali po starej legionowej drodze. Zamiast pomaszerować przez ostatnią przełęcz w Zielone Wzgórza, zmierzali dalej na północ, mijając od wschodu Smocze Góry i przekraczając rzekę Meander po starym kamiennym moście. Ser Alkajos zsiadł z konia, przeczytał inskrypcję i głośno się roześmiał. Pogalopował wzdłuż pobrzękującej kolumny. Ludzie jedli w siodłach. Nordykowie, prawdopodobnie będący wśród nich najgorszymi jeźdźcami, zostawiali za sobą szlak upuszczonych kiełbas i sera i ryczeli ze śmiechu, wzajemnie wykpiwając swoje umiejętności jeździeckie. Co jakiś czas któryś spadał z konia. Wszyscy przez cały czas pili.

Alkajos ściągnął wodze przy chorągwi.

– Wiem, dlaczego zostawiliśmy Ciemnowłosego i połowę Nordykanów – powiedział. – Na naszego mściwego pana, ile wozów wina ze sobą zabrali?

Czerwony Rycerz wyszczerzył zęby.

– Mam lepsze pytanie. Co będzie, gdy skończy im się wino?

Ranald przechylił się nad tylnym łękiem siodła.

– Co tam jest napisane? Ze sto razy przejeżdżałem po Kamiennym Moście na Wzgórzach. Umie czytać, ale tego napisu nie potrafię odcyfrować.

Alkajos skinął głową do Czerwonego Rycerza.

– Kilku z nas umie czytać w górnym archaickim – powiedział. – Na tym pustkowiu zielonej trawy i skał, widząc taką potężną konstrukcję, człowiek mógłby się spodziewać oracji na cześć cesarzowej Liwii...

Wszyscy wykształceni przytaknęli.

Alkajos wyprostował plecy, zmęczone czterodniowym dźwiganiem zbroi.

– Tam jest napisane: „Iskander, dziesiętnik Taxis X Nike, i jego ludzie zbudowali ten most w czternaście dni”.

Tom Lachlan i jego kuzyn zawrócili konie, żeby spojrzeć do tyłu. Wszyscy w grupie dowodzenia – ser Milus i Nicholas Ganfroy, który urósł o cztery palce i stał się znacznie lepszym trębaczem, Zły Tom i Ranald, Tony z zapaśowym rumakiem swojego pana i Nell, która nagle zaczęła wyglądać bardziej jak kobieta, a nie jak chudy irk, ojciec Arnaud, ser Alkajos, ser Gawin, sam



Megas Ducas i ser Random, ostrożnie, żeby nie urazić kostki – obrócili się w siodłach, żując kielbasę i kontemplantując trójprzęsłowy kamienny most zbudowany przez dziesięciu żołnierzy w ciągu czternastu dni.

– Podbili świat, a przynajmniej jego większą część – powiedział diuk.

Zły Tom wypluł kawałek skórki.

– Z przyjemnością bym z nimi powalczył. – Skinął głową do swojego kuzyna. – Byłaby to całkiem niezła walka, dam sobie głowę uciąć.

Diuk uśmiechnął się krzywo do swojego największego zbrojnego.

– Nie wiem, czy byli wielkimi wojownikami, Tom – powiedział. – Budowali wielkie drogi i miasta i pilnowali, żeby wróg nie miał przewagi liczebnej, kiedy dochodziło do walki.

– Aha – mruknął Tom, tracąc zainteresowanie. – Skąd to wiesz?

– Zostawili po sobie książki – odparł diuk. – A ja je czytam.

## **Liwiapolis – księżniczka Irena**

– Co? – Księżniczka na chwilę straciła panowanie nad głosem i wrzasnęła jak przekupki, które sprzedają ryby na nabrzeżu.

Pani Maria nawet nie drgnęła, mając długie doświadczenie żony, matki i dworki.

– Armia odmaszerowała, Wasza Wysokość.

Irena wsunęła bose stopy w pantofle z owczej skóry – nawet w ataku przerażającej wściekłości nie mogła nie zauważyć, jakie to niestosowne, że księżniczka urodzona w Porfirowej Komnacie Wielkiego Pałacu nosi chłopskie kapcie, żeby nie zmarzły jej stopy. Pod starożytnymi podłogami pałacu ciągnęły się przewody hipokaustum, które powinny być ogrzewane przez piece w najniższych piwnicach. Ale żaden z pieców od wielu lat nie pracował i tylko szczury mieszkaly w tunelach, którymi kiedyś płynęło rozgrzane powietrze.

– Chcesz powiedzieć, że mój barbarzyński heretyk zabrał moją armię i odmaszerował, nie mówiąc mi ani słowa? – wysyczała.

Pani Maria skinęła głową i nisko dygnęła.

– Na to wygląda, Wasza Wysokość.

– Zostawiając mnie nagą na łaskę i niełaskę zdrajcy? – zapytała Irena.

Miała na sobie tylko cienką płócienną koszulę, będąc w bardzo zimnym pokoju, i myśl o nagiej księżniczce w obliczu wrogów nie była daleka od prawdy.

– Tymczasowy spatharios Ciemnowłosy został z ponad połową gwardii nordykańskiej. W pałacu są dwa manipuły scholistów i nasze mury są obsadzone. – Pani Maria ponownie dygnęła. – Nowi marynarze w porcie wojennym dostali zapłatę i są uzbrojeni. Niezupełnie jesteśmy zdane na czyjąś łaskę.

Irena podeszła do dużych drzwi prowadzących na balkon. Padający śnieg zasnuwał widok, ale spojrzała na północ, w stronę wysokich gór Tracji.

– Co on robi? – zapytała.

## **Lonika, północna Tracja**

Czarno-biały ptak wielkości dużego psa przysiadł na ramieniu mężczyzny w zielonym stroju. Mężczyzna jechał na nerwowym koniu przez pole porośnięte zaśnieżonymi sosnami. Ciężar ptaka zakłócał jego równowagę, ale jakoś sobie radził. Wysunął tubkę z wiadomością z pęt z wełnianej przędzy, dał ptakowi kurczaka, wskutek czego pokryły go krwawe ochłapy, a potem rzucił go jak najwyżej w powietrze, wysyłając w powrotną podróż do miasta leżącego ponad sto mil na południe.

Jules Kronmir przeczytał wiadomość z miną, która u niego uchodziła za spanikowaną, czyli z leciutkim wygięciem kącików ust do dołu.

Zawrócił konia i pogalopował po pierwszym śniegu tej zimy do pałacu w Lonice.

Eskepiles siedział naprzeciwko niego przy dużym dębowym stole, z gniewną miną sącząc dobry cydr.

– Trzeba go zabić – powiedział, wzruszając ramionami. – Musisz przekonać diuka Andronikusa. – Ponownie przeczytał wiadomość.

– Andronikus jest przekonany, że jedynym sposobem na rozprawienie się z uzurpatorem jest spotkanie się z nim na polu. – Kronmir uniósł kubek i się napił. – Proszę, magistrze, niezwłocznie przekaż to diukowi. Czas jest najważniejszy.

– Jesteś taki powściągliwy, mistrzu Kronmirze, że nie potrafisz zdecydować, co właściwie mówisz. – Eskepiles wyciągnął nogi w kierunku otwartego paleniska. – Nie spodziewałem się spędzić zimy w Tracji. – Zarzucił małą przynętę na spokojną wodę oblicza mistrza szpiegów.

Nic nie wypłynęło na powierzchnię.

– Wyświadczysz mi uprzejmość i zanieśiesz te wiadomości do pałacu? za-

pytał Kronmir z rozmyślną cierpliwością, jak ojciec mówiący do dziecka.

– Godzina zwłoki nie zaszkodzi sprawie. Nigdy nie miałem okazji z tobą pomówić, choć jesteś w centrum naszej organizacji w mieście. – Mag pochylił się nad stołem. – Czy czegoś potrzebujesz?

Kronmir namyślał się przez chwilę. Jeśli był sfrustrowany postawą maga, to dobrze ukrywał swoje uczucia.

– Zastanawiam się, czy mógłbyś sporządzić dla mnie pewne małe instrumenty.

Eskepiles wzruszył ramionami.

– Większość ludzi wyolbrzymia możliwości przyrządów hermetycznych – powiedział. – I nie robię podpałek. Na czym ci zależy?

– Chciałbym mieć możliwość ostrzegania agentów. Coś w rodzaju pierścienia, może naszyjnika, który będzie brzęczał, rozgrzewał się albo stygł. Najlepiej coś, co nie będzie się rzucać w oczy.

Eskepiles napił się cydru.

– Ostrzegać w jakim celu?

– Żeby mogli uciec. Musisz wiedzieć, że jeden z moich najlepszych posłańców wpadł w ręce wroga. Straciłem tylko jednego agenta, ale skutek ostrzegania innych stałem się bardzo narażony na zdemaskowanie.

Kronmir powiedział to z taką obojętnością i brakiem zaangażowania, że mag musiał w głowie powtórzyć jego słowa, żeby zrozumieć ich wagę.

– Nie chcemy, żebyś wpadł w ręce wroga.

– Byłoby to wielce... niefortunne. Dla mnie i dla twojej sprawy. – Kronmir napił się wina. – Pojmanie któregoś z moich najważniejszych agentów byłoby równie katastrofalne.

– Ile wiedzą? – zapytał mag.

Kronmir zrobił dziwną minę.

– Słucham?

– Chodzi mi o to, że jeśli są zbyt dobrze poinformowani, może powinniśmy po prostu się ich pozbyć?

– Czy tak postrzegasz świat? – zapytał Kronmir. – Przecież ci ludzie dobrze służyli diukowi.

Eskepiles wzruszył ramionami.

– Oczywiście.

Kronmir wstał.

– Moim zdaniem to dziwne, że ja, szpieg, wynajęty zabójca, bardziej dbam o ludzi, których wykorzystujemy, niż ty czy Demetriusz, szlachetni zwolen-

nicy szlachetnej sprawy. – Wygłosił swoje oświadczenie bezbarwnym głosem, ale było możliwe, że mówił ironicznie.

Mag postanowił odebrać to w ten sposób.

Roześmiał się.

– Jakkolwiek by było, dostaniesz te instrumenty. Sporządzenie ich leży w granicach moich możliwości. I raz jeszcze cię spytam: czy jesteś panem życia i śmierci Czerwonego Rycerza?

Kronmir się nie uśmiechnął. Jego oczy, zimne jak u sokoła czy jaszczurki, świdrowały hermetyka. Eskepilesa przebiegł dreszcz odrazy.

– Tak – odparł szpieg.

– Popęlnienie błędu nie wchodzi w rachubę. Twój agent jest pewien, że może się zbliżyć do uzurpatora? – zapytał Eskepiles.

Kronmir wciąż na niego patrzył.

– Nigdy nie można wykluczyć możliwości popełnienia błędu – powiedział.

– Nie na darmo zwiemy to grą królów.

– Czy na twoim agencie można polegać?

Kronmir odchylił się na krześle.

– Nie cieszysz się tak wielkim zaufaniem diuka, mistrzu magu, jak się spodziewałem. Nic więcej ci nie powiem. – Odwrócił wzrok. – Diuk potrzebuje tych informacji.

Eskepiles postanowił zaryzykować swoją pozycję w oczach buntowników i pokręcił głową.

– Do licha, Kronmirze, nie jestem wrogiem. Po prostu chcę wiedzieć, czy istnieje szansa na zwycięstwo. Miałem dobre powody, żeby zdradzić cesarza. Stłumienie powstania nie pomoże moim planom.

Nieruchoma twarz Kronmira w końcu się ożywiła. Odmalowało się na niej zaskoczenie. Znowu się pochylił.

– Uczciwie powiedziane, mistrzu magu. Ze swej strony nie mogę ci zaofiarować żadnych zapewnień. Jestem zwyczajnym najemnikiem zatrudnionym na mocy kontraktu. W przeszłości miałem powiązania z diukiem i zgodziłem się wziąć udział w tym przedsięwzięciu pod pewnymi warunkami. – Wzruszył ramionami. – Niewiele mnie obchodzi, kto jest cesarzem.

Eskepiles z frustracją rozłożył ręce.

– Sądziłem, że jesteś głęboko zaangażowany w sprawę diuka!

Kronmir wstał i zarzucił pelerynę na ramiona.

– Gdyby tak było, nie przyznałbym się tobie. A gdyby tak nie było, też bym tego nie przyznał. Dlatego muszę się wstrzymać i zachować milczenie.

Życzę ci dobrego dnia, mistrzu magistrze. – Odszedł o krok od stołu, a potem nagle, aż załopota peleryna, przyskoczył do czarnoksiężnika.

– Jakie są twoje relacje z Akademią? – zapytał.

Eskepiles uniósł brew.

– Podobne do twoich z diukiem – odparł. – Z tym samym kodycylem.

Kronmir się roześmiał. Eskepiles pomyślał, że chyba po raz pierwszy sły-  
szy jego śmiech.

– Zasłużyłem na taką odpowiedź – przyznał szpieg. – Jak brzmi wiado-  
mość?

– Natychmiast, szpiegu.

Kronmir się uklonił i odszedł.

Eskepiles zbyt wiele czasu poświęcił na otrzepanie kaptura ze śniegu, pod-  
czas gdy nieudolni słudzy zajmowali się jego butami.

– Bodaj cię lichu! – warknął na dziewczynę. – Muszę się widzieć z diu-  
kiem Andronikusem.

Majordom pałacu w Lonice głęboko się uklonił.

– Magistrze, wielki diuk jest z despotą w Sali Poselskiej.

Pałac w Lonice pod wieloma względami stanowił odbicie Wielkiego Pała-  
cu w Liwiapolis – były tam wspaniałe mozaikowe sklepienia, złożone kolum-  
ny, pokoje pełne mebli inkrustowanych kością słoniową i kamieniami szla-  
chetnymi. Ale wszystko to miało bardziej ludzką skalę – sam pałac był wiel-  
kości harndońskiego domu cechowego i służyło w nim tylko sto osób. Co  
więcej, ponieważ diuk Tracji był względnie bogaty, a pałac niezbyt duży, hi-  
pokaustum działało, podgrzewając podłogi, przewody wewnętrznych komi-  
nów w albańskim stylu były przeczyszczone, ciepło sączyło się nawet do od-  
ległych sieni, a w głównych komnatach na trzech głównych piętrach było na-  
prawdę przyjemnie.

Majordom poprowadził magistra po dwóch wspaniałych ciągach schodów  
do wielkiej sali, gdzie panował półmrok, ale było tam znacznie cieplej niż w  
świecie na zewnątrz. Szli bezgłośnie po rozgrzanych marmurowych posadz-  
kach. Eskepiles słyszał ryk dalekiego ognia buzującego w piwnicznych pie-  
cach.

Przebyli salę z marmurową posadzką, później nisko sklepiony korytarz.  
Majordom zapukał do małych intarsjowanych drzwi. Piękny młodzieniec je  
otworzył i zgiął się w niskim ukłonie.

Eskepiles wszedł do wyłożonego boazerią pokoju – na każdej płycie wid-

niało *trompe l'oeil*, obraz samej płyty, ale otwartej, z wizerunkiem ułożonych wewnątrz hełmów, sekstansów, pędzli, sztyletów i zwojów – typowo męskie wyobrażenie idealnej kolekcji, oddane w pięknych gatunkach drewna, kości słoniowej i złoceniach. Była to kopia gabinetu cesarskiego w pałacu w Blacharnae.

Eskepiles uważał boazerię za przykład bezguścia i ponieważ jej nie cierpiał, przyciągała jego oko za każdym razem, kiedy wchodził do tego pokoju.

Diuk Andronikus i jego złotowłosy syn siedzieli na taboretach z kości słoniowej przy wspianym stole z drewna północnej wiśni wyłożonym kością mamucią i złotem. Grali w szachy bierkami wyrzeźbionymi przez artystę rzemieślnika z kości umrotha i rzadkiej cennej kości nieumarłych.

– Eskepilesie! – zawołał Andronikus z entuzjazmem, który wydał się jawnie nieszczerzy. Pałacowe życie polityczne odarło diuka z normalnych ludzkich reakcji i bardzo trudno było osądzić, co naprawdę o czymkolwiek myśli.

Demetriusz, który wychował się z dala od dworu, z pogardą spojrział na maga. Nie ukrywał swoich uczuć.

– Gramy w szachy – powiedział. – Dlaczego nie uszanujesz naszej prywatności i nie wrócisz w czasie dogodnym dla obu stron? – Słowa były uprzejme, w przeciwieństwie do intencji.

Nienawidzenie Demetriusza stanowiło ulubioną rozrywkę całego miasta. Eskepiles nie włączył się do tej zabawy.

– Panie, nie przeszkadzałbym, gdyby nie ważne informacje. Pierwsza jest taka, że powątpiewam w lojalność szpiega, Kronmira.

Andronikus wzruszył ramionami.

– Jest sam sobie panem, zgadzam się. Ale taka była część naszej umowy. Dostarczył nam kilka użytecznych narzędzi.

Eskepiles usadowił się przy stole.

– Twierdzi, że może w dowolnej chwili zabić Czerwonego Rycerza, ale nie będzie dyskutować o metodach ani o źródle tej wiadomości.

Diuk Andronikus dostrzegł tubę w barwach pałacu i wyciągnął po nią rękę.

– Czasami czuję, że mi nie ufasz, wielmożny diuku, pomimo że jestem jedną z machin napędowych naszej wspólnej rebelii. I pomimo że oddałem cesarza w twoje ręce. – Eskepiles wyrwał tubę z dłoni diuka, po czym szeptem i myślą umieścił ją wysoko nad nimi. – Jestem też sprzymierzeńcem z wygody, panie, a nie sądzę, żeby dbano o nią zbyt często. Mam pewne cele. Chciałbym poznać stan gry.

Diuk Andronikus skrzyżował ręce na piersi jak mąż podczas kłótni z żoną.

– Skończyłeś? – Odwrócił głowę, żeby popatrzeć na syna, który właśnie dobył krótkiego miecza. – Nie próbuj grozić naszemu gościowi.

– To bezużyteczny stary kutas. Mogę go wypatroszyć i tak będzie lepiej. – Demetriusz wstał.

Jego wspaniały miecz, błękitny i złocony, z wygrawerowaną sceną ukrzyżowania, w ciągu jednego oddechu rozsypał się w płatki rdzy, które spadły jak brudny pomarańczowy śnieg na podłogę. Rękojeść przetrwała chwilę dłużej.

Demetriusz ją rzucił, jakby rdza mogła go zarazić.

– Pieprz się, łajdaku – warknął.

– Twój syn jest naszym największym kłopotem – powiedział Eskepiles, skutecznie uciszając chłopaka kolejnym małym czarem. – Nawet twoi ludzie go nienawidzą.

Andronikus wzruszył ramionami.

– Całkiem możliwe. Jest krwią z mojej krwi i doskonałym oficerem jazdy. Ponadto mogę mu ufać pod każdym względem. W przeciwieństwie do pewnego maga.

– Nie bądź głupcem, Andronikusie. Możesz mi ufać, przecież nie mam do kąd pójść. Kronmir przyznał, że dwóch z jego agentów wie, jak zaplanowaliśmy zamach. I kto brał z nami w nim udział.

Andronikus pogładził krótką szpakowatą brodę.

– W takim razie muszą umrzeć – zdecydował.

– Zajmę się tym. Tymczasem uważaj na tego szpiega. Za dużo wie.

Magister ściągnął tubkę spod sufitu i podał ją diukowi, który zachłannie przeczytał wiadomość i zaklął.

I zaraz potem z uśmiechem spojrzał w oczy maga.

– Wiem, że chcesz go zabić – powiedział. – Ale opuścił miasto wraz ze swoim wojskiem. Rozprawię się z nim za tydzień. Na moich ziemiach. Uważaj sprawę za załatwioną. Możesz się zająć jego mocami hermetycznymi?

– Byłem magiem cesarskim – odparł Eskepiles. – Potrafię sobie poradzić z najemną kompanią z Alby. – Pochylił się w jego stronę. – Czy mamy przynieść cesarza?

– A niby dlaczego? – zapytał diuk. – Jest mile na zachód stąd, pod strażą ludzi, którym ufam. Uzurpator nigdy nie dotrze tak daleko. W raporcie jest napisane, że się kieruje na wschód!

**Harndon – królowa**

Dezyderata zsiadła z konia i co sił w nogach pobiegła po zamarzniętej ziemi, ale było za późno.

Sieur de Rohan stał z zakrwawionym mieczem, a jeden z jej faworytów, ser Augustus, leżał i broczył krwią. Krew tryskała mu z boku i spływała z ust, bez przerwy, a on po prostu leżał. Znalazł wzrokiem jej oczy i, niewiarygodnie, zdobył się na uśmiech.

Otworzył usta i popłynęło z nich jeszcze więcej krwi, całe strugi. Królowa uklękła, nie bacząc na krew i nieczystości, i położyła jego głowę na kolanach.

– Co się stało? – zapytała.

Rohan się roześmiał.

– Jeden z twoich kochanków? Zatem jednego mniej. – Skłonił głowę. – Najjaśniejsza pani – dodał z uśmiechem.

Ser Augustus patrzył na nią, jakby była jego nadzieją na niebo. Sięgnęła do środka, żeby spróbować...

*Wymykał się jak gość z przyjęcia, bez słowa pożegnania z gospodarzem, a ona potknęła się i wpadła za nim przez otwarte drzwi, gdzie razem jechali konno po szerokich polach, gdzie czekał wóz z jastrzębiami, a potem w lasy, on wysforował się przed nią i nagle znalazła się w mrocznej, ponurej krainie. Zatrzymała się i patrzyła, jak ser Augustus jedzie dalej, w górę ciemnego zbocza, coraz dalej od jej największych starań, gdy próbowała rzucić na niego złote światło.*

Podniosła się, zakrwawiona, ze szkarłatnymi i ciemnobrązowymi plamami na białej wełnianej sukni. Królewskim krokiem podeszła do sieur de Rohana.

– Wytłumacz się, panie, zanim każę cię aresztować.

– Aresztować? Na słowo kobiety? – Roześmiał się jej w twarz. – W przeciwieństwie do innych tylko broniłem honoru twojego męża, jak wcześniej mój pan, wielki captal, na większym polu.

Zdołała zachować spokój.

– Oskarżasz mnie o coś, messire?

– Zarzuty może wysuwać ktoś, kto jest większym baronem niż ja – odparł i jego oczy rozświeciły się jakby od środka. – Ja zadowolę się wycinaniem chwastów z jego ogrodu.

Lady Mary podeszła do królowej. Stanęła pomiędzy nią i de Rohanem.

– Uważam, że jesteś tchórzem i mordercą – oznajmiła.

Uśmiech Gala ustąpił czystej wściekłości. Ręka mu zadrżała.

– Mary! – rzuciła ostrzegawczo królowa.

– Myślę, że jesteś tchórzem, który pragnie dręczyć królową, kiedy wszyscy



nasi najlepsi rycerze są daleko, walcząc z Dziczą. – Mary zrobiła krok w jego stronę.

– My jesteśmy waszymi najlepszymi rycerzami. W tym dziadowskim kraju nie ma rycerzy, którzy mogliby stanąć przeciwko nam. Nazywasz mnie tchórzem? Mnie? Rzuciłem mu wyzwanie i go pokonałem. Wy, Albanowie, udajecie, że czarne jest białe. Nie jest. To on był tchórzem. Ręka mu się trzęsła, kiedy wyciągał miecz.

– A ciebie to bawiło, prawda? Mówię, że jesteś fałszywym rycerzem, nędznym tchórzem... – Lady Mary pochyliła się w jego stronę.

Jego ręka jakby z własnej woli uderzyła ją w twarz i dworka upadła.

– Aresztować Gala – rozkazała królowa.

– Dziwka – syknął Rohan.

Dezyderata przez chwilę patrzyła mu w oczy.

– Chcesz otwartej wojny pomiędzy nami? – zapytała. – Niech tak będzie.

Król siedział na tronie w obecności wszystkich swoich oficerów i drapał po uszach wilczarza.

– Czy jesteście bandą kompletnych idiotów? – warknął. – Żądam natychmiastowego uwolnienia mojego oficera. Nie popełnił żadnego przestępstwa...

– Uderzył moją córkę na oczach pięćdziesięciu świadków! – ryknął konstabl. – Na Boga i wszystkich świętych...

De Vrailly obrócił się ku niemu.

– Jeśli żądasz satysfakcji, rzuć mi wyzwanie, a załatwimy sprawę.

Hrabia złożył captalowi lodowaty ukłon.

– Bez względu na to, jakie macie obyczaje w Galii, panie, tu, w Albie, mamy prawa, które obowiązują wszystkich ludzi. Twój człowiek złamał ich wiele: obraza majestatu, napaść na niewinną kobietę...

– Która publicznie nazwała go tchórzem, przy świadkach... Jaka kobieta to robi?! Że też miała śmiałość bodaj unieść wzrok na takiego mężczyznę! – powiedział captal. – W Galii kobiety znają swoje miejsce.

Zapadła wyjątkowo lodowata cisza. Gaston d’Eu, zwykle pokojowo nastawiony, spojrział na swojego kuzyna ze źle ukrywanym niesmakiem.

– Naprawdę, kuzynie? Myślę, że fantazjujesz.

Captal spiorunował go wzrokiem.

– Cofnij te słowa – warknął.

Hrabia d’Eu zdołał się pohamować.

– Nie. Ja, hrabia d’Eu, oświadczam, że kłamiesz. Kobiety w Galii mają taką samą jak mężczyźni swobodę wypowiedzenia się na dworze. Tworzysz świat, który ci odpowiada, zamiast postrzegać rzeczywistość. Podeprę mój punkt widzenia moją rzeczywistością.

Król skoczył na równe nogi.

– Bodaj was wszystkich diabli! – ryknął.

Nawet captal się cofnął o krok.

Król minął królową, która siedziała w milczeniu z rękami skrzyżowanymi na piersi.

– Twoja córka zachowała się jak przekupka, wrzeszcząc i obrzucając rycerza obelgami – powiedział do hrabiego. Podszedł do captala. – Twój człowiek użył pojedynku jako pretekstu do morderstwa i wysuwał niczym nieoparte zarzuty dotyczące wierności mojej żony. Czy wiedziałeś o tym, captalu?

Captal nie miał kłopotu, żeby spojrzeć mu w oczy.

– Powszechnie o tym wiadomo – powiedział i wzruszył ramionami. – Ale mój człowiek zabił twojego z powodu sprawy prywatnej, niemającej nic wspólnego z królową czy prawem. Obaj są rycerzami i chroni ich prawo wojny. Ser Augustus okazał się gorszy. – Captal powtórzył wcześniejszy gest. – Czytałem wasze prawa. Jeśli mój człowiek wysunął oskarżenia przeciwko królowej, niech królowa przedstawi świadków. W przeciwnym wypadku został aresztowany za spowodowany atak na kobietę.

– Czy Galowie tak często biją kobiety? – zapytał Hrabia Pogranicza. – Gdy przyuczałem się do stanu rycerskiego, nikt mi nie mówił o takim zachowaniu. Czy to wyjątkowa część prawa wojennego?

Captal odwrócił głowę i zobaczył, że król stoi przy hrabim d’Eu.

– Byłem w Galii i zgadzam się z hrabią – powiedział król. – Więc, captalu, czy spotkasz się z nami dwoma w szrankach?

Captal głęboko odetchnął.

– Oczywiście.

– Twój kuzyn i twój król... czy będziesz walczył z nami obydwojma? Jeśli wygrasz, zostaniesz wypędzony z dworu. Jeśli przegrasz, dowiedziesz, że nie miałeś racji. – Król często był prostoduszny i pobłażliwy. Niektórzy z obecnych w pokoju nigdy nie słyszeli u niego takiego tonu. – Captalu, jesteś niezrównanym rycerzem, ale czasami głupcem. Jak się zdaje wierzysz, że wszyscy jesteśmy równi, że wszyscy jesteśmy zwyczajnymi panami z mieczami, biorącymi udział w swego rodzaju niekończącym się turnieju. Mam rację?

Król stanął nosem w nos z captalem.

Zwarli się wzrokiem.

– Ustąp, captalu – rzekł król. – Nie jestem pierwszym lepszym rycerzem. Jestem twoim królem.

Słysząc było oddechy ludzi w pokoju. Obaj mężczyźni byli tego samego wzrostu – król starszy, jego złote włosy bardziej brązowe i rysy mniej piękne, ale można było zobaczyć, że są kuzynami, jakkolwiek dalekimi, i że obaj są ludźmi nieprzywykłymi do napotykania sprzeciwu.

Minęła polityczna wieczność. Hrabia Pogranicza pomimo wściekłości musiał się zastanowić nad skutkami wojny z Galią i jaką część Harndonu zajmują Galowie; Gaston d’Eu próbował sobie wyobrazić, że jest martwy albo wypada z łask kuzyna i wraca do domu w niełasce.

– Dobrze – powiedział captal. – Wykonam tu boże dzieło. Moje złości nie mają znaczenia. Poddaję się, Wasza Królewska Mość, i przyznaję, że kobiety w Galii są równie zuchwałe, pewne siebie i nieuprzejme jak kobiety w Albie.

Pozorne poddanie się captala nie tyle zakończyło ciszę, ile przydało jej napięcia.

– Sieur de Rohan zostanie wypędzony z dworu na Boże Narodzenie – kontynuował król. – Podobnie jak lady Mary.

Ostry wdech królowej przypominał trzask bełta zwalnianego z cięciwy.

Godzinę później zwróciła się do męża.

– Dwóch moich rycerzy nie żyje, panie, a ty wypędzasz z dworu moją najbliższą przyjaciółkę? Na Boże Narodzenie?

Król siedział cicho z rękami złożonymi na kolanach.

– Wybacz, ukochana. Czasami pozory są ważniejsze od rzeczywistości, na tym polega sprawowanie władzy królewskiej. Galowie muszą czuć, że jestem sprawiedliwy...

– Muszą? – syknęła. – Dlaczego po prostu nie odprawisz ich z dworu, nie pojednasz się z Towbrayem i nie powiesz captalowi, żeby pożegłował do domu i więcej nie sprawiał nam kłopotów?

Powoli pokiwał głową.

– Mogę ci powiedzieć trudną prawdę, kochanie? – zapytał. – Wygraliśmy wojnę na wiosnę tylko dzięki rycerzom captala. Trzysta zakutych w stal kopii zapewniło przewagę. Bez nich prawdopodobnie zginąłbym na polach pod Lissen i to królestwo zostałoby podzielone na dwoje albo i gorzej. Boję się odesłać go do domu. I mówi, że przysłał go Bóg...

Wstała.

– Dał się zwieść, jakiś fałszywy demon szepcze mu do ucha. Jest doskonałym rycerzem, ale ma obce obyczaje i jego rycerze, szczególnie ci nowi, atakują mnie zatrutymi słowami. Nigdy nie miałam kochanka poza tobą, mój mąż. Wiesz o tym. Wiesz, że codziennie mnie zniesławiają.

Oddychała głęboko. Nigdy nie czuła się taka samotna i kusilo ją, żeby zagrać na swojej ciąży, ale pamiętała słowa Dioty, że do większości poronień dochodzi w pierwszych trzech miesiącach. Chciała zaprezentować królowi wydęty brzuch, a nie domysły i potencjalne nieszczęście. Jednak plotki o jej niewierności działały jak trucizna przeciwko jej dziecku.

Odwrócił wzrok.

– Dość szybko przywołał Towbraya do porządku.

Królowa pochyliła się ku niemu.

– Skończy się na tym, że ciebie przywoła do porządku, a siebie obwoła królem – powiedziała.

Pokręcił głową.

– Moja władza mocno się trzyma. W tym momencie nie mogę wyglądać na słabego.

Dezyderata milczała. Była zła jak nigdy i na jej usta cisnęły się słowa: „Skoro nie możesz wyglądać na słabego, to znaczy, że jesteś słaby”.

Godzinę później, wciąż przepełniona gniewem, szła z Almspend długim korytarzem pod Starą Salą. Lady Mary była z ojcem, nieosiągalna.

– Jesteś pewna, Wasza Królewska Mość, że to mądre? – spytała Almspend.

– Skończyłam z rozsądkiem – odparła królowa.

Minęły Zielonego Człowieka i kamień poświęcony Pani Tar. Doszły do miejsca, gdzie kamienie były zimne, i tym razem to Becca się ociągała, gładząc dłonią kamień ze zniszczonym, wygładzonym rytym i drugi, z zatartymi literami.

– Tu rodzi się zimno – powiedziała.

Królowa skrzyżowała ręce na brzuchu.

– Pośpieszmy się.

– Chwileczkę, Wasza Królewska Mość. Zastanawiałam się na tym, odkąd ostatnio tu byliśmy. – Almspend uklękła, wyjęła zza paska srebrny ołówek. – Czy kiedykolwiek brałaś pod uwagę, że te inne wierzenia musiały być na czymś oparte? Musiała zadziałać naturalna magia.

– Myślę, moja droga, że ocieramy się o herezję. Co robisz? Nie podoba mi się to miejsce.

– Sprawdzam prawdziwość małego podejrzenia, pani. – Almspend ze zmarszczonymi brwiami wypisała krótką inwokację, kreśląc ogniste litery, które natychmiast zbladły i zamigotały. Miała kłopoty z wymówieniem tych słów.

A jednak je wymówiła.

Kamień rozbłysnął i przez chwilę słowa wycięte ponad dwa tysiące lat wcześniej były widoczne nawet tam, gdzie zniszczyło je dłuto.

– Nie są przeznaczone dla Zielonego Człowieka – powiedziała Almspend nagle chrapliwym głosem. – Są dla znacznie mroczniejszej istoty.

Dwie kobiety przeczytały imię i królowa przyłożyła rękę do szyi, po czym ją uniosła i wylała na kamień surowe światło słoneczne. Kamień jakby pociemniał. Królowa zrobiła się wyższa – jej skóra przybrała niezwykle brązowy odcień, a włosy nagle zdały się wykute z metalu.

Becca Almspend cofnęła się o krok.

– Dezyderato! Przestań!

Głowa królowej sięgała niemal pod sam strop korytarza. Kamień był czarny jak noc, podłoże zadudniło.

Kamień pyknął, jakby został nadmiernie rozgrzany.

Almspend odwróciła głowę i królowa znowu była sobą.

– Co to było?

– Coś, co dawno temu zobaczył arcybiskup. Tunel, który należało zamknąć. – Królowa przyłożyła rękę do głowy. – Postąpiłam lekkomyślnie. – Drżała na całym ciele.

Almspend ujęła ją pod rękę i podtrzymała.

– Chodź – powiedziała – w bibliotece jest ławka.

Królowa poszła, kręcąc głową.

– Już nie chcę wiedzieć. Chyba znam odpowiedź. I nie mogę... nie mogę spojrzeć prawdzie w oczy.

Almspend, dla której historia była jak prawo, pokręciła głową.

– Co było, to było. Cokolwiek uczynił król, stało się to, zanim poznał ciebie.

Królowa przytaknęła. Wyraźnie nie była przekonana, ale opadła na ławkę, gdy Almspend zdjęła założone przez siebie czary strzegące i otworzyła okute żelazem duże drzwi.

Almspend zapaliła magiczne światło, potem drugie. Podczas pierwszej wy-

prawy tylko skatalogowały w pośpiechu papiery. Bibliotekarka, którą odkryła w sobie Rebecca Almspend, poświęciła teraz czas na przewertowanie i wyrównanie każdego stosu, sortując papiery i zwoje pergaminu według daty i autora – Harmodiusz, Harmodiusz, Plangere. Królowa odzyskała rumieńce i uniosła głowę.

– Ach! Znalazłam pisma Plangere’a datowane na sześć tysięcy czterysta czterdziesty drugi. – Almspend się uśmiechnęła. – To wcale nie było trudne. Chyba był lepiej zorganizowany niż stary Harmodiusz.

– Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo mi będzie go brakować – powiedziała królowa. – Teraz mi go brakuje. – Wstała. – Becco, postąpiłam lekko-myślnie i jestem wyczerpana. Chodźmy na górę, do światła, zanim przybędzie coś złego.

– Dzicz? – zapytała Almspend i podniosła obrony.

– Coś starszego i bardziej niegodziwego. – Królowa podniosła własne obrony. – Chodź!

Almspend zgarnęła prywatne notatki Plangere’a z jednego roku do starego wiklinowego koszyka i skinęła głową.

– Za tobą, pani.

W korytarzu zalegały głębokie cienie. Zbyt głębokie. Było tak, jakby tunel pochłaniał samo światło z kagańców, które zapaliły, gdy szły do biblioteki.

– Jest tu coś paskudnego – szepnęła królowa. – Matko Boska, bądź przy mnie.

Uniosła rękę, która zajaśniała miękkim złotym blaskiem. Cienie się cofnęły.

– Co się dzieje? – zapytała Almspend.

Królowa pokręciła głową.

– Nie mam pojęcia – wyznała.

Szybko szły korytarzem ścigane tylko przez strach. Jednak w ciemności za nimi coś szeptało, kagańce gasły same z siebie. Za ich plecami panowała absolutna ciemność, z kroku na krok coraz bliższa.

Królowa się odwróciła.

– *Fiat lux!* – krzyknęła.

Wezwane światło zgromadziło się wokół niej niczym wojsko.

Almspend lewą ręką chwyciła prawą dłoń królowej i przekazała jej każdy strzep swojej *potentia*. Prawą ręką podniosła najsilniejszą tarczę i trzymała ją naprzeciw nadciągającej ciemności.

To było jak zapadająca noc – i cokolwiek to było, uderzyło w magiczne

działa dwóch kobiet, złamało je, skurczyło, kilka unicestwiło, inne ominęło...

Ale ich nie pokonało. Zostało spowolnione i samo zwolnienie na pozór niepohamowanego pędu zasiliło opór tarcz. Kobiety nie mówiły ani słowa, nie myślały, ich wole się splotły tak, jak to możliwe tylko u dwóch serdecznych przyjaciółek. Ciepłe światło mocy królowej, ziemskie i świeże jak blask słońca w bezchmurny dzień, potoczyło się w ciemność, gdzie zostało pochłonięte, ale nie bez skutku.

Ciemność przedarła się przez najmocniejszą tarczę Almspend. Jej prawą rękę spowiło lodowate zimno, ale jej wola nie pękła, a ona nie cofnęła się ani o krok. Wciąż pracowała głęboko w labiryntach swojego pałacu z białego marmuru.

Królowa westchnęła i otworzyła ramiona, żeby przyjąć w nie ciemność.

I ciemność pierzchła.

Dwie kobiety stały, dławiąc strach, podnosząc się na duchu przez wiele uderzeń serca, szybkich i wolnych.

– Mario Panno! Becco... twoja biedna ręka... – powiedziała królowa.

Ręka była śmiertelnie blada, a miejsce, gdzie ciemność zawróciła – granica ich zwycięstwa – wyglądało jak oparzone.

Becca Almspend popatrzyła na swoją rękę i poznała imię zła ukrytego w kamieniu.

Asz.

Edmund dostarczył trzy partie odlanych z brązu rur i dziwnych dzwonów. Najwyraźniej wyroby spełniły oczekiwania, ponieważ dostał sowitą zapłatę. Zaczął bić monety ze swoim mistrzem, ale w czwartkowy wieczór, kiedy był na mszy, bandyci napadli na warsztat, zabili dwóch terminatorów i spalili jego szopę. Gromada uczniów przepędziła napastników, zabijając dwóch.

Jeden z nich był Galem.

Dziwne, że ze wszystkich szop na podwórzu, które mogli spalić, zniszczyli najnowsze efekty jego pracy – wykonał małe brązowe ręczne puszki – i teraz jego uczniowie pracowali dla mistrza w szopie numer jeden, ustawiając sztance do bicia nowych monet.

Znalazł mistrza Pyle'a na podwórzu kucającego przy martwym uczniu, ledwie dziesięcioletnim.

– Bodaj licha Randa za opuszczenie miasta w czasie, kiedy go tu potrzebujemy – powiedział.

Edmund zrozumiał jego słowa, ale nie miały dla niego większego sensu.

Nazajutrz do ich kuźni zawitał kupiec z Hoeku, jeden z najbogatszych na zachodzie, przynajmniej tak powiadano. Wszyscy uczniowie zakrzętnęli się jak sługi, przynosząc wino i smażone w cukrze owoce. Mężczyzna, od stóp do głów ubrany na czarno, miał złote guziki, złote sprzączki i złoty order stanu rycerskiego. Usiadł w kantorku mistrza, nie zdejmując czapki, i położył ręce na złożonej rękojeści miecza. Edmund wszedł z winem, a mistrz Pyle skinął głową i wyciągnął do niego rękę.

– Zostań – powiedział.

Hoecki kupiec uklonił się na siedząco.

– Jestem ser Anton Van Der Coent. Przybyłem zobaczyć, czy możemy dojść do porozumienia. – Uśmiechnął się z pewnością siebie.

Mistrz Pyle wyglądał niechlujnie w porównaniu z nieskazitelną elegancją hoeckiego księcia kupców.

– Nie mieszam się w politykę, messire, mam warsztat na głowie i wiele zamówień do wykonania. Być może wiesz, że wczoraj doszło do kłopotów i zginęli dwaj moi uczniowie. – Mistrz Pyle rozsiadł się wygodniej, jego wodniste oczy sprawiały wrażenie roztargnionych.

– Bardzo mi przykro słyszeć coś takiego. Prawo w Harndonie nie jest takie jak kiedyś – rzekł ser Anton. – Takie wypadki są obrazą majestatu królestwa i budzą wielką litość.

Wodniste oczy mistrza Pyle’a jakby uległy przemianie. Edmund widział coś takiego w mrocznej kuźni, ale nigdy przy tacy ze słodyczami.

– Wiesz coś o nich? – zapytał ostro mistrz.

– Ja? Szczerze, messire, mógłbym się poczuć urażony przez taką sugestię. Co miałoby mnie łączyć z takimi rzeczami?

Edmund pomyślał, że gość powiedział te słowa z dużym samozadowoleniem.

– W każdym razie, ser Antonie, nie mam nic wspólnego z żadnym porozumieniem. – Mistrz Pyle pokiwał głową. – Więc muszę ci życzyć dobrego dnia.

Ser Anton się uśmiechnął.

– Czy nie jesteś nowym mistrzem królewskiej mennicy? – zapytał.

Mistrz Pyle przekrzywił głowę.

– Aha... – mruknął przeciągle. – Więc o to chodzi.

– Jestem gotów złożyć zamówienie na siedemdziesiąt kompletów twoich pancerzy i czterysta hełmów – oznajmił ser Anton. Z sakiewki u pasa wyjął woskową tabliczkę, piękną, oprawioną w czarną emalię, i ją otworzył. – Sza-



cuję, że zrealizowanie zamówienia zajmie ci nieco powyżej roku, nawet z powiększonym warsztatem. Mam klientów czekających na gotowe wyroby, więc zapłacę premię za natychmiastowe przystąpienie do pracy. – Pokiwał głową.

Mistrz Pyle podrapał się za uchem.

– Mówisz o stu tysiącach florenów – powiedział. – Prawdziwa fortuna.

Ser Anton się uśmiechnął.

– Owszem. – Pochylił się w jego stronę. – Nawet podejmę kroki, żeby zagwarantować, że nikt więcej nie przeszkodzi ci w pracy.

Mistrz Pyle skinął głową.

– Oczywiście musiałbym zrezygnować z bicia monet – powiedział.

Ser Anton pokiwał głową.

– A więc się rozumiemy.

– Doskonale cię rozumiem. Wynoś się z mojego warsztatu, zanim cię zabiją gołymi rękami.

Choć uzbrojony w piękny miecz, mając przeciwko sobie niewysokiego, przygarbionego mężczyznę o wodnistych oczach, Hoek się wzdrygnął.

– Nie ośmielisz się. Mogę cię kupić...

Pyle szczerknął swoim dziwnym śmiechem.

– Właśnie się przekonałeś, że mnie nie można kupić. Precz!

Mężczyzna wzruszył ramionami. Podniósł się elegancko i ruszył do drzwi niczym wielki czarno-złoty kot.

– W końcu, wiesz, w ten sposób byłoby dla ciebie lepiej – powiedział, ale zdaniem Edmunda w jego ogładzie pojawiły się rysy i teraz wydawał się wulgarny.

Kiedy odszedł, Pyle zwrócił się do czeladnika:

– Przerwać pracę. Wszyscy chłopcy i dziewczęta na podwórze. Posłuchaj, Edmundzie...

Edmund przystanął przed drzwiami.

– Gdybym nagle umarł, nie zaprzestawaj bicia monet. Rozumiesz? – Mistrz Pyle wyglądał na bardziej niż trochę szalonego.

Ale Edmund pokiwał głową.

Zebrało się ich prawie czterdziestu na dziedzińcu, służba domowa i sklepową, uczniowie i czeladnicy.

Mistrz Pyle stanął przed nimi na skrzynce.

– Słuchajcie.

Umilkł i powiódł po nich wzrokiem.

– Prowadzimy wojnę – podjął. – Trudno ją wyjaśnić, ponieważ przypomina walkę w ciemności i bez błyskawicy nawet nie wiemy, z kim walczymy. Walczymy dla naszego króla, tyle jest pewne, ale nie bronimy ani naszej ziemi, ani naszych kościołów przed niewiernymi. Naprawdę trudno wyjaśnić, co właściwie robimy.

Patrzył na nich nie tyle z ogniem, ile z ciekawością w łagodnych oczach.

– Tej wiosny Dzicz zadała królestwu potężny cios – kontynuował. – Teraz możemy stracić zyski z handlu futrami, co będzie kolejnym poważnym ciosem. Cudzoziemcy podrabiają nasze pieniądze, co jest równoznaczne z okradaniem króla, i to też jest cios. – Wzruszył ramionami. – Będziemy bić nowe monety dla króla. Może nikomu z was nie przyszło na myśl, chłopcy i dziewczęta, że jesteśmy załogą ostatniego bastionu pod jedwabnym sztandarem na zagrożonym polu, ale na krew Chrystusa, tak właśnie wygląda prawda. Jeśli przegramy, Boże uchroni, jeśli przegramy, król otrzyma następny cios. I w końcu wszystko się rozpadnie, i zostaniemy z niczym. – Wyprężył ramiona. – Kiedy świat się rozsypuje, wielcy dość dobrze sobie radzą w swoich fikcyjnych zbrojach i mocnych zamkach. To my cierpimy. Ludzie pośrodku. Mieszkańcy miast i miasteczek, wyrabiający różne rzeczy i handlujący różnymi rzeczami. Co mamy jeść? Jak mamy się bronić? – Ściągnął usta. – Kiedy byłem w waszym wieku, słyszałem z tego, że czasami mawiałem: „pierdolić króla”.

Uczniowie zachichotali nerwowo, z poczuciem winy.

– Tak. I nawet przez pewien czas byłem Jackiem.

Cisza.

– Ale Jackowie niczego nam nie dali, a król daje nam prawo. Dlatego teraz walczymy. Dla prawa. Prawa, dzięki któremu my, mieszczenie, utrzymujemy się w grze. Nie niewolnicy. Nie chłopci pańszczyźniani. Dziś, jutro, w przyszłym miesiącu zostaniemy zaatakowani. Tylko zgaduję, ale wiem, że będzie ciężko. Ktoś napadł na dziewczęta, które szły po mleko. Ktoś pobił chłopców w drodze do opactwa po listy. Ktoś wzniecił pożar na podwórzu. – Powiódł po nich wzrokiem. – Będziemy musieli pracować całymi dniami, a także stać na straży. – Po chwili milczenia dodał: – Płacę najwięcej w Harndonie i dodam trochę pieniędzy za dodatkowe trudy. Kto jest ze mną?

Zgłosili się wszyscy.

– Dzisiaj są dzielni – powiedział później Pyle do swojego czeladnika. – Zaczekaj tydzień albo dwa, kiedy kilku z nich zginie, i wtedy zobaczymy.

Dwa dni później bandyci zaatakowali grupę dziewcząt idących do studni za opactwem na końcu ich placu. Lizz Parson miała pociętą twarz i tylko interwencja rycerza Świętego Tomasza, który akurat wtedy wiózł do kościoła zimowe ubrania dla biednych, uchroniła je wszystkie przed gwałtem czy niewolą.

Młody rycerz pił wino z Edmundem i mistrzem Pyle'em w kantorku.

– Ser Ricar Irksbane – przedstawił się. Oczy mu się zaskrzyły.

Na podwórzu kilkunastu uczniów się przepychało, żeby naostrzyć jego miecz.

– Wszyscy winniśmy ci podziękowania – powiedział jak najładziej Edmund. Stwierdził, że najgorsze na ostrzu noża pomiędzy dzieciństwem i dorosłością jest zajmowanie się sprawami dorosłych. Dlatego jękał się bardziej, niż chciał, i jego ukłon wypadł niezdarnie.

Ser Ricar był młody, miał ostre rysy i największy nos, jaki Edmund widział u człowieka. Wyglądał jak karykatura Świętego Mikołaja – uzbrojonego Świętego Mikołaja o szerokich ramionach i udach, których obwód dorównywał większości męskich talii.

Potężny młody człowiek wypił dwa kubki wina, podczas gdy ostrzono jego miecz, i poza nazwiskiem i promiennymi uśmiechami niczego nie zaoferował.

Mistrz Pyle się roześmiał.

– Panie rycerzu, czy przypadkiem nie wiążą cię śluby milczenia?

Wyrażające skargę oczy zamrugały. Ser Ricar wstał i się uklonił.

Mistrz Pyle pokiwał głową.

– Ser Ricarze, czy przypadkiem nie zostałeś wysłany, żeby nad nami czuwać?

Ser Ricar uśmiechnął się do wina i przez chwilę wyglądał na znacznie bardziej bystrego niż dotychczas. Spojrzał w oczy mistrza i wzruszył ramionami. I wyszczerzył zęby jak wioskowy głupek.

Edmund odprowadził go do bramy, rycerz życzliwie skinął doń głową i wyjął skrawek pergaminu z sakiewki u pasa. Wcisnął mu go w rękę i się uśmiechnął. Edmund zauważył, że młody rycerz patrzy w bok. Jego oczy nie zatrzymywały się ani na chwilę, odkąd wyszli za bramę.

Wyprowadził rycerza z nowo naostrzonym mieczem na ulicę i rozłożył pergamin. *Stójcie na straży*, przeczytał.

Edmund przekazał pergamin mistrzowi Pyle'owi, który pokiwał głową.

– Nastaly złe czasy – powiedział. – Dwórka królowej ma zostać wypędzo-

na z dworu.

Dzięki miejscowym dziewczętom pracującym w pałacu cała okolica wiedziała, co się tam dzieje. Edmund westchnął.

– Co możemy zrobić? – zapytał.

Mistrz Pyle tylko warknął.

– Nic. – Usiadł ciężko. – Nie cierpię tego wszystkiego. Lubię metal. Ludzie są głupi. – Nalał grzanego wina do kubka i chlusnął trochę do drugiego dla Edmunda. – To, co ludzie zwą polityką, dla mnie jest głupotą. Dlaczego król nie wypędzi Galów? Dlaczego nie stanie w obronie swojej żony? – Wzruszył ramionami. – Jest moim przyjacielem, ale w tym wypadku zachowuje się jak skończony głupiec. – Znów westchnął. – Piszę list do mistrza Ailwina i drugi do ser Geralda Randa. Pomów z jego żoną, bo przecież to ona jest szyją, która kręci głową w ich domu. Ruszył na jakąś dziką eskapadę, pewnie będzie wiedziała, kiedy zamierza powrócić. Jeśli mamy za sobą rycerzy Świętego Tomasza, nie jest tak źle, jak mogłoby być. Ale musimy trzymać się razem, bo inaczej Galowie nas załatwią, jednego po drugim.

Blanche Gold dygnęła przed królową i podniosła kosz pełen czystej, idealnie wyprasowanej bielizny. Królowa z otwartym modlitewnikiem na kolanach siedziała w pełnym, jakkolwiek nikłym świetle zimowego słońca, które przez przedzielone słupkami okno wpadało do jej prywatnej komnaty. Rozpuszczone włosy płonęły wokół niej niczym brązowe słońce.

– Pomów z Diotą – powiedziała królowa życzliwym głosem.

Znała Blanche, a raczej wiedziała o istnieniu dziewczyny, wiedziała, że jest ładna i godna zaufania, i wiedziała też, że spotkały ją jakieś nieprzyjemności ze strony galijskich giermków. Ale królowa nie rozmawia bezpośrednio ze służącymi, dlatego kazała jej pójść do Dioty.

Siedziała, czytając przez całą minutę, gdy nagle śliczna blondynka padła przed nią na kolana.

– Skarbie? – mruknęła królowa.

Blanche sięgnęła do kosza i podała jej pięknie pachnącą chusteczkę. W chusteczce był list.

– Aha. Dziękuję, dziecko – szepnęła królowa.

Blanche wstała, spełniwszy swój obowiązek, i wysmyknęła się z komnaty. Godzinę później, kiedy galijski giermek próbował ją przycisnąć do ściany i wepchnąć rękę w dekolt, pomyślała: Pochowamy cię. Próbowała go kopnąć kolanem w krocze, ale był wyćwiczony w zapasach i zdołał temu zapobiec.

Dlatego pozwoliła, żeby wsunął łapę, gdzie chciał, po czym błyskawicznie wbiła palec wskazujący lewej ręki w dziurkę jego nosa i szurnęła paznokciem, jak nauczyła ją matka.

Wyśliznęła się z jego ramion, zanim fontanna krwi mogłaby zniszczyć jej ładną suknię.

Co parę kroków lekko podskakiwała, gdy szła długimi pałacowymi korytarzami do kuchni. To był dobry dzień.

Lady Emmota się wystraszyła, kiedy dwóch galijskich giermków zapędziło ją do kąta. Wcale nie odetchnęła z ulgą, gdy się rozstąpili i sieur de Rohan wszedł pomiędzy nich.

– Ach... – mruknął z ukłonem. – Najpiękniejsza z dam królowej.

Pokraśniała.

– Jesteś nazbyt uprzejmy, panie.

– Nie można być zbyt uprzejmym dla kwiatka takiego jak ty. – Pochylił się nad nią, uniósł jej rękę i ucałował. – Czy przypadkiem jest na dworze człówek, którego nie cierpisz, żebym mógł go zabić i zyskać twoją miłość?

Przepędziła uśmiech. Był taki uparty – czuła, że jej serce bije jak szalone. Wiedziała, że królowa go nienawidzi, ale przecież królowa traktowała ją jak niezbyt rozgarniętą, a matka mówiła, że królowa jest po prostu zazdrosna o jej urodę.

– Panie, jestem za młoda, żeby mieć wrogów. I nikogo się nie boję – oznajmiła. – Ale szacunek rycerza takiego jak ty... zasługuje... – Próbowała wymyślić ładną przemowę.

Znów ujął jej rękę i tym razem ucałował wewnątrz dłoni.

Jej całe ciało zareagowało. Wyrwała rękę, lecz nagle zalała ją fala ciepła. Mrowiły ją nadgarstki.

– Och! – krzyknęła i się cofnęła.

– Daj mi najdrobniejszy upominek, a będę strzegł świątyni naszej miłości, nosząc go jako moją odznakę.

Emmota widziała, jak starsze dziewczęta grają w te grę. Patrząc mu w oczy, odpięła lewy zarękawek i rozwiązała tasiemki, oczko po oczku. Był niebieski, zrobiony przez nią własnoręcznie, z ładnym srebrzystym rożkiem. Położyła go na jego dłoni.

– Ciepły od mojego ciała – powiedziała wstrząśnięta swoją śmiałością, ale słyszała, jak jedna z dam królowej użyła takiego zwrotu.

Galijski rycerz się zarumienił.

– Ach... *ma petite!* Nie miałem pojęcia, że jesteś taka doświadczona w grze miłosnej.

Jej serce pędziło niczym statek pod pełnymi żaglami – czuła się przytłoczona, a jednocześnie miała wrażenie, że pęka od jego uwagi, i chciała się od niego uwolnić. Jego dotyk był przylepny, lepki czy tylko...

Usta mężczyzny opadały ku jej ustom. Poderwała rękę, lekko musnęła jego twarz i wysliznęła się spomiędzy ramion rycerza.

Pobiegła.

Słyszała jego śmiech. I gdy tylko od niego uciekła, ledwie na sąsiedni korytarz, już chciała, żeby wrócił. Kiedy później usługiwała królowej, i kiedy przygotowywały stoły na bożonarodzeniową ucztę, czuła żar w sercu. Kiedy królowa przeklinała perfidię Galów, Emmota zaczęła się zastanawiać.

## **Lonika – diuk Andronikus**

Diuk Andronikus patrzył na stół wyłożony mozaiką przedstawiającą mapę Tracji.

– Mówisz, że jest na wschód od Mons Draconis, na skraju Zielonych Wzgórz – warknął. – Nie na wschodnim wybrzeżu?

Stał przed nim mistrz Kronmir i kapitan Dariusz, dowódca jego zwiadowców. Dariusz co rusz zerkał na odzianego na zielono Traka z tradycyjną nieufnością zwiadowcy do szpiega. Nie mogąc niczego wyczytać z jego twarzy, skierował spojrzenie na diuka.

– Ma ze sobą pół regimentu wardariotów, panie, a ja straciłem ludzi. – Stał sztywno jak żołnierz, który jest zmuszony przyznać się do porażki. – Przemknął przez góry niczym wiosenna powódź, a ja nie mogę posłać za nim ludzi na przełęcz, bo ich wszystkich wyłapie.

Demetriusz pokiwał głową.

– Więc? Miasto jest dla nas otwarte od strony nadbrzeżnej drogi – powiedział.

Diuk podrapał brodę.

– Dokąd zmierza, jak myślicie? – Obrócił się w stronę Kronmira. – I jak nasze wyjątkowe źródło informacji mogło się aż tak pomylić?

Kronmir pokręcił głową.

– Zabrał większość strażników, a także milicjantów i stradiotów, którzy jesienią odeszli z naszych szeregów. – Wzruszył ramionami. – Zaskoczył nas. Szukanie winnego przyniesie niewiele pożytku.

Diuk popatrzył na swojego syna.

– Jak prędko możemy zebrać zachodnią armię? – zapytał. – Jak mówi mistrz Kronmir, nie zawracajmy sobie głowy tym, jak doszliśmy do przekonania, że nie opuści miasta albo że skręci na wschód na wybrzeże.

Demetriusz pokręcił głową.

– Minie dziesięć dni, zanim będziemy dość silni, żeby się nim zająć.

Diuk pokręcił głową.

– Skróć do pięciu. I skąd on wziął te wszystkie pieniądze? Chryste Pantokratorze, gdyby cesarz miał na podorędziu tyle srebra, nigdy nie... – Urwał.

Demetriusz patrzył na mapy.

– Z pewnością wyruszył na spotkanie karawan z futrami. Na pewno. Zyskał dostęp do raportów lotnych oficerów. Ktoś się wygadał. Być może nawet wie o Galach.

Mężczyźni wokół stołu popatrywali jeden na drugiego przez czas potrzebny zmęczonemu człowiekowi na zaczerpnięcie tchu.

– Demetriuszu, jedź. Zabierz wszystkich swoich strażników, Kronmira, Eskepilesa. Zrób, co będziesz musiał, żeby uniemożliwić im dotarcie do Osawy. – Diuk się skrzywił. – Matko Boska, przyjąłem za pewnik, że nie pomaszeruje przez Trację. Kronmirze, twój raport z pałacu...

– A jeśli idzie odbić cesarza? – zapytał Kronmir.

– Czy mamy go zabić? – zapytał Demetriusz.

Diuk spojrział na szpiega i wymienił z nim długie spojrzenie.

– Nie – odparł Kronmir. – W tym momencie to uczyniłoby ją tylko silniejszą. Przenieście go na wybrzeże, daleko od areny działań militarnych.

## **Albinkirk i Północne Lasy – ser John Crayford**

Ser Richard ociężale zsiadł z konia i o mało nie upadł. Kiedy zszedł z klocka na głównym dziedzińcu cytadeli w Albinkirku, ruszył krokiem starego człowieka, z lewą ręką przyciśniętą do napierśnika.

Ser John w pełnej zbroi siedział w swojej sali z biskupem Albinkirku, dwoma kupcami z Hoeku, Etruskim Beneventem Amatem i przedstawicielami większości kompanii handlujących futrami w Albie. Wszyscy umilkli, gdy wszedł ser Richard.

Ser John wstał.

– Znowu olbrzymy? – zapytał, sięgając po buzdygan, który leżał na dębowym stole.

Ser Richard pokręcił głową.

– Tym razem bogliny – wychrypiał. Padł na krzesło przyniesione przez giermka ser Johna. – Na litość boską, panowie, przepraszam za smród.

Ser John spojrział mu w oczy.

– Jakie straty?

Ser Richard pokręcił głową.

– Dopadliśmy ich dość daleko za zasiedlonym terenem. – Westchnął. – Nie jestem jedynym zmęczonym rycerzem. Nie zwracajcie na mnie uwagi, panowie. To była drobna potyczka i odnieśliśmy zwycięstwo.

Biskup podszedł i położył rękę na jego ramieniu, i go pobłogosławił, i ser Richard... coś poczuł. Od czasu uzdrowienia przez siostrę Amicję czuł się bliżej Boga niż kiedykolwiek, ale...

– Biskup mówił, że musimy wyprawić w góry karawanę po tegoroczne futra – powiedział ser John.

Messire Amato wstał i się uklonił.

– Z całym szacunkiem dla Kościoła, panowie, nie jestem bogatym człowiekiem, ale znam się na handlu. Moi kuzyni żniwują w najbogatszej części terenów handlowych w Mont Reale. Ticondaga jest starym ośrodkiem handlu futrami i innymi towarami, w szczególności miodem z Dzikicy.

Ser John spojrział w okno.

– Albinkirk i Lissen Carak są największymi odbiorcami.

– Ale tego roku będzie inaczej. Wojna spycha futra z powrotem na północ i wszyscy zbankrutujemy. – Etrusk się uśmiechnął. – Ale jeśli wspomóżesz nas żołnierzami... tak bywało w przeszłości, jak mówił mi ojciec, jeśli będziesz uprzejmy dać nam eskortę...

Ser John powoli pokręcił głową.

– Nie – oznajmił. – Następna sprawa?

Biskup usiadł obok niego.

– Chciałbym, Johnie, żebyś to przemyślał.

Ser John się do niego uśmiechnął, a był to uśmiech w rodzaju: „nie wkurwiał mnie”.

– Panie biskupie, jestem całkiem pewien, że wiele wiesz o teologii i może masz też sporo nowej wiedzy, ale obecnie, na wypadek gdybyś nie zwrócił uwagi, prowadzimy coś zbliżonego do wojny. Gdyby król nie przysłał tu połowy swoich dworzan, żeby zwilżyli kopie we krwi, bylibyśmy w przykrym położeniu. Wystarczy spojrzeć na ser Richarda. I na mnie. Codziennie jeździmy konno.



Biskup pokiwał głową.

– I za każdym razem zwyciężacie. Posunę się nawet dalej i powiem, że dla waszych rycerzy to bardziej przypomina ćwiczenia niż wojnę.

Ser Richard nie bez wysiłku wyprostował plecy.

– Na Boga, biskupie, walka z boglinami jest jak dziecinna zabawa, ale tylko dopóty, dopóki ich szczęki nie znajdą się za twoim kolanem.

Biskup rozpostarł ręce.

– Nie chciałem nikogo urazić. Ale wysłuchajcie mnie. To miasto potrzebuje handlu, żeby przetrwać. Bez niego drobni rolnicy nie będą mieli powodu do uprawiania ziemi. Nie będą mieli miasta, w którym mogliby sprzedać swoje produkty. Nałożyłeś podatek na cudzoziemskich kupców, żeby zapłacić za nowe mury, i zapłacili. Teraz potrzebują strażników, żeby wyruszyć w Adnarnie.

– O miesiąc za późno – rzekł ser John kategorycznym tonem.

Amato rozpostarł ręce.

– Czy muszę błagać, panie rycerzu? Ziemia zamarzła, jest niewiele śniegu. Z dobrym ekwipunkiem i dzielnymi ludźmi za dwa tygodnie możemy być w Ticondazze.

– Nie – powiedział ser John, ale w jego głosie brzmiało mniej przekonania.

Ludzie modlili się w kaplicy przy promie, niedawno pokrytej dachem. Sam prom był osłonięty z obu stron przez niewielkie forteczki o murach wyższych, niż mógłby pokonać Ruk, z wieżami sygnałowymi. Całość wzniesiono z drewna ze zniszczeń spowodowanych przez Ruków w okolicznych lasach. Łucznicy kapitana Albinkirku zbudowali budki wartownicze.

Gdy tylko ukończono dwie forteczki, ustawiła się kolejka mężczyzn chętnych do obsadzenia promu. Ser John uczynił to miejsce placówką wojskową i podniósł myto. Pieniądze napływały do miasta.

Obsadził forteczki i zostawił oddziały łuczników, każdy z rycerzem albo starszym giermkim, w sześciu dworach w dolinie Cohoctonu, również w Middlehall.

Helewiza stała na dziedzińcu, patrząc na lorda Wimarka.

– Jest strasznie młody. Nie wolałbyś zostać i pomóc mi w obronie domu, stary?

Ser John ujął jej rękę, a ona się zarumieniła.

– Nie rób mi wstydu, moja córka patrzy. I czego się nauczy ode mnie, sama będzie to robić.

– Z przyjemnością zostałamby i pomógł ci strzec domu – powiedział. – Ale ruszam na północ do Ticondagi. Biskup mnie przekonał, że to mój obowiązek.

– Bodaj go franca... – Była bliska płaczu.

Uśmiechnął się.

– Zastanawiam się, czy za mnie wyjdiesz. Kiedy wrócę.

Pokręciła głową.

– Tylko tak mówisz.

– Ha, wypróbuj to na swojej córce. Posłuchaj, skarbie, muszę już jechać. Wimark to dobry chłopak. Jeśli powie, że macie uciekać do miasta, natychmiast masz to zrobić. – Ukłonił się.

– Zrobiłam to zeszłym razem, czyż nie? – zapytała trochę szelmowsko.

Wysoko uniosła podbródek i udawała dzielną, dopóki nie wyjechał za bramę.

Filippa podeszła i stanęła przy matce.

– On cię lubi, mamó – powiedziała z nutką zatroskanego zdumienia.

Helewiza głośno się roześmiała.

– W istocie, *ma petite*. Właśnie mi się oświadczył.

Filippa patrzyła na szerokie oddalające się plecy mężczyzny.

– Przecież jest taki stary!

Ser John spotkał na drodze siostrę Amicję i oboje zsiadli z koni. Miała ze sobą dwie zakonnice i dwóch wielkich mężczyzn z toporami. Szeroko się uśmiechnęła.

– Przeżyłam coś, co mógłbyś nazwać „wymianą ciosów”, i zadecydowałam, że najęcie dwóch osiłków z toporami nie obciąży mojego sumienia – powiedziała. – Bogliny. Tak wiele, że naprawdę z trudem dałam sobie radę.

Pokiwał głową, wymienił uścisk dłoni ze zdenerwowanymi młodymi mężczyznami, którzy się jękali i przestępowali z nogi na nogę, po czym złożył ukłon zakonnicom.

– Dziękuję za garnizon koło brodu – dodała. – Zbyt wiele zrzuciłam na ramiona Helewizy i objadam Middlehill do szczętu.

– Poprosiłem ją o rękę – oznajmił ser John.

Amicja pokazała zęby w uśmiechu.

– Dobrze. To ją uszczęśliwi i pomoże Filippie. Uwielbiam, kiedy ludzie są szczęśliwi. – Uniosła brew. – Doszły mnie ponure wieści z dworu. Martwię się o króla i królową.

Ser John wzruszył ramionami.

– Skupiam uwagę na najbardziej palących problemach. To wszystko, co mogę zrobić, żeby chronić to miejsce. A teraz ruszam w Adnarnie.

– Nie uciekniemy przed kłopotami dworu – powiedziała siostra Amicja. – Do Lissen Carak przybędzie najserdeczniejsza przyjaciółka królowej, lady Mary. Została odprawiona z dworu, a nie chce wracać do dóbr ojca na zachodzie. Przybywa z zamiarem zatrzymania się pod naszym dachem. – Wzruszyła ramionami. – Cena mojej sławy, jak sądzę.

– Lady Mary? Twarde Serce we własnej osobie? – Ser John zagwizdał. – Tutaj? Słodki Jezu, moi rycerze zaczną zabijać siebie samych i innych w powodzi chwały. Faktycznie będzie lepiej, gdy ich zabiorę na szlak. – Uśmiechnął się, ale zmarszczki w kącikach jego oczu i wokół ust sugerowały, że powiększyła jego brzemię.

– Martwisz się – powiedziała trochę bez potrzeby.

Wzruszył ramionami.

– Wiosną walczyliśmy z Dżiczą i odnieśliśmy zwycięstwo. – Obdarzył ją cierpkim uśmiechem i ruszył do konia. – Myślałem, że wygraliśmy. Założyłem, że będziemy mieli czas odzyskać siły. Teraz uważam, że to była tylko pierwsza potyczka. – Popatrzył na nią i bardzo cicho zapytał: – Czujesz go? – Po chwili dodał: – Głoga?

Zbladła i zaśmiała się niepewnie.

– Przez chwilę myślałam, że masz na myśli kogoś innego. Tak, czuję, przez cały czas. Często o nas myśli. – Patrzyła na starszego rycerza, próbując zdecydować, ile mu powiedzieć. – Przysłał większość stworzeń, których zabijaniem tak bardzo są zajęci rycerze. Czy to chciałeś wiedzieć?

Ser John pokręcił głową.

– Nie, siostrze, tyle sam się domyśliłem. Ale chciałbym wiedzieć dlaczego. Gdyby był, powiedzmy, panem pobliskiego miasta albo królem Galii, mógłbym wysłać do niego herolda, zaprotestować przeciwko jego wojnie i zapytać, co może nam pomóc zawrzeć pokój. Czego chce?

Amicja muskała palcami wykrochmalone płótno barbetu.

– Jak w większości przypadków, ser Johnie, to skomplikowane. Widzę tylko przez zadymione szkiełko i wszystko, co mówię, to tylko moje wnioski i dedukcja. Ale...

Przygryzła dolną wargę.

– Spróbuj, może zrozumieć – zaproponował ser John.

Oparła się o kłęb osła, który przesunął się ze stęknieniem.

– Sądzę, że sam tego nie wie – odrzekła. – I co gorsza, sądzą, że podlega władzy czegoś innego.

Ser John ucałował jej pierścionek i pokiwał głową.

– Dzięki Bogu, że nawet nie wiem, co to oznacza. Dlatego po prostu wróć do zabijania boglinów. Do sikania na ogniska. Do tego rodzaju spraw.

– Zabierasz karawanę do Ticondagi? – zapytała.

– Tak.

Rozejrzała się.

– Mogę jechać z tobą? Mam drobną sprawę, którą trzeba się zająć. I skoro jedziesz na północ, będziesz mnie potrzebować.

Nie musiał się zastanawiać przed udzieleniem odpowiedzi.

– Będziesz mile widziana, siostrze.

Roześmiała się, on jej zawtórował i każde z nich ruszyło w swoją stronę.

Karawana wyruszyła na północ po szabacie. Ser John zabrał dziesięć kopii i zostawił ser Richarda, żeby dowodził garnizonem Albinkirku. W karawanie jechało dwadzieścia ciężkich wozów, wszystkie pełne towarów na wymianę – jednych dla Zamurzan, na które przymykał oko, a innych dla hrabiego i jego ludzi.

Przez piętnaście lig jechali drogami, które były dobre przez pierwszy dzień jazdy. Drugiego dnia drogi zaczęły się zwięzać i kiedy stanęli obozem trzydzieści lig na północ od Albinkirku na podnóżu Adnarni, po południowej stronie brodu Zachodniej Kinathy, znajdowali się dość głęboko w Dzikim, żeby słyszeć wycie wilków, widzieć oczy wokół ognisk po zapadnięciu ciemności, obawiać się każdego hałasu wszczętego przez warty i nosić pełne zbroje.

Zachodnia Kinatha z rykiem spływała z Wysokich Wierchów zasypanych nowym śniegiem. Rankiem młodszy mężczyźni, niechętni już zostawiać ciepłe koce i wielkie ogniska, patrzyli z nienawiścią na rwącą lodowatą wodę i dalekie, okryte śnieżnymi czapami góry.

Siostra Amicja się z nich śmiała i jej pełne wdzięku kpiny mobilizowały ich szybciej niż przekleństwa ser Johna.

Ser John zebrał wszystkich razem i ich oddechy wznosiły się niczym kłęby pary z kotłów owsianki.

– Słuchajcie! Zimowa przeprawa przez rzekę jest dziesięć razy bardziej niebezpieczna niż stawianie czoła szarżującemu boglinowi. Jeśli wpadniecie do wody, umrzecie. Jeśli przemoczycie stopy i nie zmienicie pończoch i raj-

tuzów, za godzinę zrobi się wam nieprzyjemnie, potem trochę zimno, potem bardzo zimno, a potem może być naprawdę źle. Podejmijcie środki ostrożności. Pilnujcie, żeby zapasowe ubrania były suche. Będziemy rozpalać ogniska na tym brzegu, dopóki ostatni człowiek się nie przeprowi. Bądźcie czujni i dbajcie o swoje konie równie dobrze jak o siebie.

Powiódł wzrokiem dokoła. Wydawało się, że są pod należytym wrażeniem.

Pierwsze przeprowiły się dwie kopie awangardy i przygotowały miejsce, jeżdżąc po martwej trawie starego jeleniego legowiska, i gdy skończyli, pomachali rękami. Ser John puścił szereg doświadczonych jeźdźców od strony źródeł, żeby łamali nurt dla tych bardziej zielonych i zakonnic, po czym wraz z czterema weteranami z Harndonu wjechał w bystrza tuż na południe od brodu, żeby łapać tych pechowych niezgułów, którzy się dadzą porwać prądowi.

Wozy ruszyły w pełnym świetle dnia i godzinę później przeprowiono ostatniego zapasowego konia. Ludzie, którzy dotąd stali w rzece, pozwolili swoim cierpliwym wierzchowcom wybrać drogę do drugiego brzegu. Tam zsiadli i starannie wytarli konie, a dopiero potem zmienili spodnie.

Zanim w klasztorze zadzwoniono na nonę, wszyscy byli na drugim brzegu i giermek Jamie podjechał do swojego pana. Szczyrzył zęby w uśmiechu.

– Dobrze poszło, prawda, panie? Przebyliśmy bród!

– Tak – mruknął ser John. – Teraz jesteśmy w Dzikim. Z zimową rzeką dzielącą nas od bezpieczeństwa.

## **Północna Morea – Czerwony Rycerz**

Czerwony Rycerz pomachał na pożegnanie większej części swojej armii i ruszył na wschód na niskie lesiste wzgórza, oprószone śniegiem i zimne. Zabrał Gelfreda, zwiadowców i kilku ludzi ze swojego „gospodarstwa”, a także hrabiego Zaka z dwoma tuzinami wardariotów.

Niedbałym ruchem ręki przekazał dowodzenie Złemu Tomowi i ser Jehanowi.

– Wiemy, że Demetriusz i jego konnica są gdzieś na wschód stąd. – Wyszczyrzył zęby.

Gelfred też się uśmiechnął i spojrzał na jastrzębia, którego trzymał na nadgarstku.

– Zamierzam nawiązać kontakt z Trakami i zepchnąć ich do tyłu – kontynuował diuk.

– To znaczy, że ty będziesz walczyć, a my nie – powiedział Tom. – Zabierz mnie ze sobą.

Diuk wzruszył ramionami. Miał tylko kirys, piękne stalowe rękawice i stalowy hełm z kolczym kołnierzem na białym wełnianym kapturze.

– Trzymajcie się ciepło, Tom. Jutro wrócę.

– Nie byłoby lepiej jechać za dnia? – zapytał ser Jehan.

Diuk pokiwał głową.

– Tak. Ale też nie. *A demain, mes braves!* – krzyknął i sześćdziesięciu jeźdźców prowadzących sześćdziesiąt zapasowych koni ruszyło kłusem na zasypane śniegiem wzgórza.

Nazajutrz rano na zachodzie ujrzeli Mount Draconis, niemal idealny, prawie bezdrzewny stożek okryty śniegiem. U ich stóp oblodzone skały Meandra stanowiły barierę nie do pokonania. Przybycie o brzasku cesarskiego ptaka kurierskiego spowodowało zwołanie odprawy oficerów.

– Ile razy musimy przekraczać tę pierdoloną rzekę? – mruknął Zły Tom. Był przemarznięty, zmęczony i głęboko sfrustrowany brakiem walki.

Noc była długa, wilki wyły, i wśród ludzi już narastało przekonanie, że powinni zawrócić. Sześciu nabawiło się odmrożeń.

Ser Thomas, ser Jehan i ser Alison siedzieli na koniach łeb w łeb, ich oddechy wznosiły się jak dym. Ser Gerald Random i ser Bescanon ustawili się z boku z cesarskim posłańcem.

Jehan popatrzył na kuriera, atrakcyjną młodą kobietę w czarno-białych futrach trzymającą ptaka na nadgarstku.

– Skąd oni je biorą? – zapytał tęsknie.

Ser Milus parsknął śmiechem.

– Moreańczycy są wielce urodziwym ludem. Ale, na Boga, kto wysłała taką młodą dziewczynę z wojskiem?

Zły Tom czytał wiadomość, bezgłośnie sylabizując słowa. Czytanie nie było jego najmocniejszą stroną.

Ser Alison się pochyliła i głośno przeczytała:

*„Galijska armia jest o dzień marszu. Nie możemy chronić karawany z futrami. Prosimy o natychmiastowe wsparcie. Galijska armia liczy pięciuset ludzi z zamurzańskimi sojusznikami. Możliwa machina oblężnicza. Dwieście kanu, cztery duże galery wojenne. Turkos – Osawa”.*

W ciągu ośmiu dni pokonali nieprawdopodobną odległość – i znaleźli przygotowany obóz, a także zapasy żywności pod kamiennymi kopcami. Kompania straciła dwa wozy i przejechała prawie trzysta lig.

A teraz musieli po raz trzeci przekroczyć Meander i nie było mostu.

– Ktoś widział diuka? – zapytała Pyskata.

Ser Jehan pokręcił głową.

– Wczoraj o zmierzchu odjechał z Gelfredem.

Tom patrzył na lodowaty bród, ruiny starego mostu i porządną drogę po drugiej stronie kilkaset jardów dalej.

– Rozkazał, żebyśmy na niego czekali – przypomniał ser Jehan.

Tom spojrział na Geralda Randoma.

– Ser Geraldzie, żadna ze mnie tęga głowa, ale myślę, że może decyzja należy do ciebie, nie do mnie.

– Wszystko zależy od tych futer – powiedział Random. – Diuk powiedziałby to samo.

Tom uniósł brwi.

– Wszystko? – powtórzył.

– Twój kapitan wydał wszystkie wiosenne zyski, płacąc żołąd Moreańczykom, i postawił na to, że będę miał monopol na handel jesiennymi futrami – powiedział. – Poparłem jego grę. Potrzebujemy tych futer, Tom. Chodzi nie tylko o walkę.

Zły Tom uśmiechnął się w taki sposób, że ludzi przebiegały ciarki, gdy pokazywał wszystkie zęby.

– Tym lepiej – mruknął. – Sprowadźcie Mag.

Mag patrzyła na szeroką rzekę.

– Most? – powtórzyła.

Zły Tom wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Nie mogę – powiedziała.

Odwrócił wzrok.

– Chodzi ci o mnie i o Sukey? – zapytał cicho.

– Nie, panie, nie, chociaż jeśli chcesz usłyszeć ciche słowo prawdy o tym, jak traktujesz moją córkę, jestem, jak mówi John, do twoich usług. – Gniewnie spojrzała w jego obłąkańcze oczy.

Pyskata poruszyła się niespokojnie.

– Tracimy czas, panowie. Tom, jeśli rzucimy połowę koni do rzeki...

Pokręcił głową.

– Stracimy zbyt wielu chłopaków, Pyskata.

Ser Milus parsknął gorzkim śmiechem.

– Pyskata, pomyśl, co to oznacza, kiedy Tom wzbrania się coś zrobić.

Random zmarszczył czoło. Było zimno, padał śnieg i to miejsce nie nadawało się na obóz.

– Kto z obecnych budował kiedyś most? – zapytał.

Nikt się nie zgłosił.

W końcu Random pokiwał głową.

– Ja. Mag, wszystkim, czego potrzebujemy, są trzy filary. Mogę ci je oznaczyć flagami. Jeśli zdołasz umieścić w każdym z tych miejsc, sam nie wiem... stos kamieni, kolumnę?... szerokości piętnastu stóp, płaską na czubku, chłopcy zetną drzewa na zboczach i przed nocą będziemy mieli most.

Mag zmierzyła wzrokiem odległość.

– Spróbuję i zobaczymy.

Rozbili nędzne obozowisko pół ligi od rzeki, rozpalili ogromne ogniska i jedli suszone mięso, popijając je gorącą wodą. Ludzie rozgrzali w ogniu kamienie i wsunęli je pod koce, żeby grzały im stopy w czasie snu. Spali po trzech w długich rzędach jak solone makrele zapakowane do skrzynek. Kobiety stwierdziły, że jest na nie wielkie zapotrzebowanie – dla ciepła.

Mag ustawiła dwa filary, ale praca wymagała wysiłku znacznie większego niż jej wszelkie dotychczasowe magiczne dokonania, więc musiała się prześpać, żeby zacząć pracę nad trzecim.

Słońce wstało gdzieś za ciężkimi od śniegu chmurami. Pierwszy przyczółek w połowie się zawalił i wpadł do wody. Nie zbudowała w umyśle dość wyraźnej sieci, więc w jej filarach były puste i słabe miejsca.

Random siedział ze Złym Tomem na brzegu, kiedy przyszła, trąc oczy, przeklinając splątane tasiemki stanika drugiej i trzeciej sukni, oraz ból w biodrach, który przeszkadzał się jej wyspać. A także zawalenie się filaru. Patrzyła na niego, kiedy postawiła stopę na oblodzonym kamieniu i upadła.

Nie poniosła szwanku, ale żałośnie pocierała biodro, gdy dwaj rycerze ją podnieśli.

– Wszystko zrobiłam źle – powiedziała. – Rozwiązaniem jest lód.

– Lód? – powtórzył Random.

– Woda chce już zamarznąć – powiedziała Mag. – Wystarczy, że połączę to razem. Próbowałam użyć jednego z dzieł Harmodiusza, a jestem daleka od tego, żeby władać nim po mistrzowsku. Ale przecież to tylko mój stary skopek z mlekiem w środku zimy. Tyle że na odwrót.

Uniosła ręce. W prawej trzymała srebrne szydło z przybornika do szycia i gdy nim machnęła, rzeka wezbrała, znieruchomiała i zamarzała w postaci



trzech nierównych filarów podtrzymujących most z solidnego lodu. Most był bardziej organiczny niż regularny, ale był. Dwa bliższe filary były wsparte przez jej wcześniejszą pracę z kamieniem.

– Wytrzyma, dopóki nie przejedziemy. Przykro mi, Geraldzie. Powinnam pomyśleć o tym wczoraj.

Random się uśmiechnął.

Zły Tom zrobił to jeszcze szerzej.

– Teraz będziemy walczyć! – krzyknął z zadowoleniem.

Godzinę później armia maszerowała po moście. Mag nieco pobladła, gdy przejeżdżały trzy ostatnie wozy, ale lód nawet nie zaskrzypiał.

– Są – powiedział Gelfred zupełnie niepotrzebnie, gdyż ludzie Demetriusza nie mieli białych wełnianych peleryn ani derek okrywających wierzchowce. Mieli wiele koni i posuwali się szybko dnem dolny, wzbijając mgiełkę drobnego śniegu.

Mieli ze sobą tabor, szesnaście wozów i juczne.

Diuk patrzył tak długo, że słońce się wzniosło o kolejny palec, a potem poczłogał się z powrotem i pobiegł do konia. Czekają tam dwunastu wardariotów, hrabia Zak i ser Michael.

– Jest w gorącej wodzie kąpany, tak? – zapytał diuk.

Ubrani na biało jeźdźcy przemknęli po niskim grzbiecie, na który wspinała się droga, i ze starannie ogrzanych łuków wypuścili strzały w czoło szybkiej kolumny despoty. Trzech ludzi spadło na ziemię i ich krew wyglądała jak czerwony dym na białym śniegu.

Godzinę później stało się to samo. Tym razem sześć strzał trafiło w cele. Wróg był odziany w biel od stóp do głów, końskie derki i wełniane peleryny skrywały broń i zbroje. Milczeli i trudno ich było wypatrzeć w świetle słońca.

Demetriusz pociągnął łyk wzmocnionego wina i pokręcił głową. W jasnym słońcu trudno było zobaczyć cokolwiek wśród drzew na grzbietach. Jeśli zwolni, nie będzie miał szans na wygraną wyścigu do przeprawy przez Meander. Jeśli zignoruje te dokuczliwe ataki, będzie tracić ludzi.

– Szable – powiedział głośno. – Słuchajcie, hetajrowie. Kiedy znów zaatakują, pozwólcie im podejść blisko i wtedy przypuśćcie szarżę. Wszyscy. Przyprawiajcie mi jeńca.

Trakowie ponuro pokiwali głowami. Wschodni najemnicy wyszczerzyli

zęby.

Minęła godzina, a wróg nie przypuszczał ataku, jakby podsłuchał jego plan. Demetriusz wpadał w coraz większą wściekłość. Kiedy zatrzymał ludzi na posiłek, wystrzelony z wysoka belt zabił jucznego konia. Wszyscy natychmiast skoczyli pod osłonę, ale nie padły kolejne strzały.

Gdy siedli na koń po pośpiesznym posiłku, milczące strzały posypały się jak deszcz ze śniegiem z pochmurnego nieba, lecz nie było wroga, na którym despota mógłby wyładować swój gniew.

Demetriusz zgrzytnął zębami i poprowadził swoich ludzi dalej, wysyłając straż przednią prawie o pięćset kroków przed główną kolumnę i ariergardę w takiej samej odległości za wozami taboru.

Hrabia Zak pokręcił głową.

– To trwa zbyt długo – powiedział. – Ruńmy na niego.

Diuk wyszczerzył zęby.

– Dobrze się bawię, Zaku. To sztuka. Nie ma pośpiechu, karawany nadciągną dzisiaj i armia jest nad Meandrem. Wystarczy trzymać Demetriusza z daleka od brodu.

– Strata – powiedział Zak. – Strata strzał. Jesteśmy na lepszym terenie i mamy lepsze konie.

Diuk zmarszczył brwi.

– Ale dlaczego mielibyśmy tracić ludzi? Równe dobrze jak ja wiesz, że prawie każda rana w takim zimnie oznacza pewną śmierć.

Zak wzruszył ramionami.

– Bo to nudne?

Słońce rozpoczynało długi upadek w przenikliwie kłuszącą zimną ciemność, kiedy dolina się zwężyła. Demetriusz czuł, że zbliżają się do zasadzki, i poluzował długie zakrzywione ostrze w pochwie pod lewym udem. Jego ludzie przez ligę jechali z łukami grzejącymi się pod czaprakami.

Awangarda zniknęła w obniżeniu terenu, potem znowu się ukazała, z dwoma pustymi siodłami, zawracając galopem w fontannach śniegu.

Najwyraźniej zwycięski wróg chwycił przynętę i ciągnął z krzykiem za nimi, strzelając w szybko wycofującą się straż przednią.

Główny oddział czekał, gdy awangarda galopowała po zamrożonej ziemi. Odziani na biało wrogowie coraz bardziej zbliżali się do kolumny...

Demetriusz zadał w róg i cała kolumna ruszyła – wojownicy odbili daleko

w prawą i lewą stronę, traccy stradioci galopowali drogą. Kapitan Dariusz jechał ze swoim panem, z oczywistą podejrzliwością obserwując grzbiet na południu.

Pędzili po zaśnieżonej drodze, ale po przejechaniu pięćdziesięciu końskich długości stało się jasne, że wróg ma lepsze wierzchowce i nawet w zimnie mknie po śniegu szybciej niż cwałujące trackie konie. Strzały, wystrzeliwane znad tylnych łęków, były zabójcze.

Ścigali wroga – Demetriusz był zmuszony przyznać, że to wardarioci – przez następne wzniesienie. Tam ich konie zaczęły zwalniać, podobnie zresztą jak konie ściganych. Demetriusz już wcześniej grał w tę grę. Zignorował obelgi wykrzykiwane w trzech językach przez ludzi, na których polował. Jego trzystu żołnierzom nie udało się ich dopędzić.

Jeden człowiek oderwał się od dalekiej grupy wrogowi pokłusował przez otwartą przestrzeń w kierunku despoty i jego oddziału. Wiatr dmuchnął im w oczy, podnosząc tumany śniegu, który piekł ich w twarze. Gdy śnieg opadł, zobaczyli, że ubrany w biel mężczyzna jest znacznie bliżej. Miał czerwony proporzec na kopii i czerwony rząd koński.

– Demetriuszu! – krzyknął. – Chodź i skrusz ze mną kopię!

Ser Tyranos położył rękę na rękawie swojego dowódcy.

– Nie!

Demetriusz spojrział na zwiadowcę Prokrustatore. Mężczyzna skinął głową.

– To ich kapitan! – krzyknął.

– Co za głupiec – skomentował Demetriusz. – Tyranosie, zabij go. Vardek, Vugar, z obu stron. Strzelać bez rozkazu.

Ser Tyranos zaszalutował. Wziął kopię od stradioty i powoli pojechał w stronę dalekiej białej postaci. Dwóch wojowników ruszyło kłusem w prawo i lewo, zakładając strzały na łuki.

Nieprzyjacielski rycerz nie czekał na przybycie Tyranosa, opuścił kopię i ruszył.

Końskie kopyta wzbijały gejzery śniegu i tętent napływał z lekkim opóźnieniem przez niemal idealnie płaskie pole. Wiatr zwiął z niego prawie cały śnieg i zamrożona ziemia była twarda jak skała, końskie kopyta dźwięczały niczym dalekie dzwony.

Ser Tyranos natychmiast zrozumiał zagrożenie, opuścił kopię i spiął ostrogami zmęczonego konia.

Spotkali się tak szybko, że Demetriusz w zasadzie nie widział, co się stało.

Wiedział tylko tyle, że cudzoziemiec obalił ser Tyranosa wraz z jego ruma-kiem. I nagle ich sylwetki zniknęły – spowiły ich tumany śniegu, uderzył wiatr i dwóch wojowników dosłownie zostało zdmuchniętych razem z ich strzałami.

Wiatr poderwał ścianę śniegu, który wydawał się pełen upiornych postaci.

– Strzec się czarów! – krzyknął Demetriusz.

Miał dwóch przyzwoitych magów i obaj unieśli tarcze, które jarzyły się rdzawo w zachodzącym słońcu. Jaśniały na tle śniegu i strzelały iskrami.

Wielu żołnierzy Demetriusza się przeżegnało, chociaż inni zrobili inne znaki w postaci dwóch rogów.

Ściana śniegu się otworzyła, odsłaniając dwunastu wardariotów pod wodzą hrabiego Zaka – dziesięć końskich długości dalej, w pełnym galopie. Szkarłatne drzewca wdarły się w czoło kolumny Demetriusza, a potem jeźdźcy zawrócili w objęcia przychylnej dla nich zamieci i zniknęli z pola widzenia.

Dźwięk ich śmiechu liznął Demetriusza jak ogień suchą kłodę. Szydzili z niego. Ale trzon jego wojska pozostał nietknięty, a dwunastu ludzi wraz z końmi, których właśnie stracił, stanowiło niewielką cenę za pięćdziesiąt przebytych lig. Gdy zawrócił konia, hermetycznie gnany śnieg opadł na ziemię i w dali ukazał się ser Tyranos prowadzony jako jeniec.

Demetriusz zerwał z głowy złożony basinet i z wielką odrazą rzucił go w śnieg.

– Niech to szlag! – zaklął. – Jezu, kurwa mać! Zmienić konie! Zmienić konie! Ty, magu, co to było, do nędzy? Czy rozkazałem ci zrobić coś takiego?

Dwóch hermetyków w milczeniu stało przy koniach. Twarze ich obu poszarzały.

– Mówcie! – krzyknął, unosząc miecz.

– Nawet nie śmieliśmy spróbować – szepnął ten bliższy.

Demetriusz warknął. Panował nad sobą na tyle, by wiedzieć, że zabicie połowy jego czarodziejskiej siły nie przyniesie mu zwycięstwa w żadnej bitwie. Warknął, gwałtownie obrócił konia i pokłusował do remont, gdzie Dariusz i trzech jego zwiadowców obserwowali tyły.

– Co teraz? – zapytał.

Dariusz w milczeniu wyciągnął rękę.

W dolinie za nimi pięćdziesięciu jeźdźców odjeżdżało z ich jucznymi. Na drodze płonęły wozy, wszystkie zwierzęta pociągowe zostały zabite.

Hrabia Zak pokręcił głową.

– Zgadzam się, to modelowa walka na stepach. Ale... to nudne. Teraz będziemy czekać, aż jego konie padną z głodu?

Diuk pokręcił głową. Cechowało go samozadowolenie, które nie zjednywało mu przyjaciół – z drugiej strony to małe zwycięstwo było zabawne, a dzięki despotcie większość ludzi zyskała ciepłe miejsca do spania i wino.

– Nie, dwie godziny snu i wracamy do armii. Demetriusz jest skończony. Bez taboru musi zawrócić. My sprowadzimy futra, on zaś wróci do domu z podkulonym ogonem. I nasz jeniec... pomyśl, czego się właśnie dowiedzieliśmy!

Zak parsknął śmiechem.

– Powinieneś go dać paru moim dziewczynom, wtedy dopiero mógłbyś się przekonać, jak może śpiewać mężczyzna!

Diuk pokręcił głową.

– Nie, to byłoby niehonorowe. Miał odwagę się ze mną zmierzyć i nie chce go widzieć na torturach. – Diuk się uśmiechnął i wyprostował. – Niezupełnie na torturach – dodał. – Wyraźnie wierzy, że właśnie to go czeka, co oczywiście zostało wykorzystane przeciwko niemu.

– Za bardzo to lubisz – skomentował Zak. – Myślisz, że jesteś taki mądry.

– Napijmy się gorącego wina – zaproponował diuk.

Zawrócili nad Meander, trzy razy zmieniając konie – wszystkie były zmęczone i zmarznięte, a zaraz po wschodzie księżyca temperatura runęła na łeb na szyję. Ogromne stado kojotów sunęło za nimi po otwartym terenie, więc wszyscy w oddziale wiedzieli, co czeka marudera – o tej porze roku kojoty były synonimem zdesperowanego głodu.

Ludzie wkładali na siebie kolejne sztuki odzieży, co kto miał – hrabia Zak paradował w przepięknym kaftanie w czerwieni wardariotów, podbitym lisim futrem, z kapturem.

Diuk nie zażywał leków od dwóch dni. Taki był wymóg wojskowego życia – nie mógł być na wpół pijany i dowodzić ludźmi, poza tym musiał oszczędzać swoją moc na konfrontację z Harmodiuszem. Ale stary magister był uprzejmy i zachowywał milczenie.

Odezwał się około północy.

*Zarządź przerwę, a ogrzejemy powietrze. Powietrze jest łatwe. Ops prawie się z siebie przelewa. Oszczędnie używałeś mocy przeciwko Demetriuszowi – brawo. Naprawdę stajesz się silny.*

*Czy to propozycja pokoju, Harmodiuszu?*

*Znalazłem inne rozwiązanie, Gabrielu.*

*Naprawdę? Jakie... chyba mnie nie okłamujesz?*

*Raczej nie. Z tego powodu nie wyjawię ci mojego rozwiązania, ale gwarantuję, że nie wyrządzi ci krzywdy i że pomoże twojej sprawie.*

*Jak mógłbym się temu sprzeciwić?*

*Nastąpiła przerwa tak długa, że diuk zaczął się obawiać, że stary odszedł. Obawiać się? Ha!*

*Posłuchaj mnie, Gabrielu. Jestem samolubnym draniem i nie chcę umierać – ale na szali spoczywa coś więcej. Kiedy cię opuszczę, postaraj się pamiętać, że jesteśmy sprzymierzeńcami. Na dowód moich dobrych zamiarów możesz rzucić okiem na swój pałac pamięci, który... hm... pozwoliłem sobie odświeżyć.*

*Kiedyś wymagająca skupienia jazda przez śniegi połączona z prowadzeniem rozmowy w świecie eterealnym i koncentrowaniem woli graniczyłaby dla niego z niepodobieństwem, ale obecnie jego moce były o kilka rzędów większe. Rzucił się do swojego pałacu.*

*Wnętrze, mroczne i cieniste od kilku miesięcy, kiedy zażywał coraz więcej leków, żeby trzymać starego na dystans, teraz było czyste i jasne. Na marmurowym cokole pośrodku rotundy wielkości Hagia Sophia w Liwiapolis stał posąg kobiety – niemal na pewno Prudencji. Kobieta się uśmiechała.*

*Tylko atrapa, powiedział Harmodiusz. Ale pomyślałem, że kiedy odejdę, może będzie ci czegoś brakować. Miałem dużo wolnego czasu i dostęp do wielu twoich wspomnień. Uczyniłem ją tak realistyczną, na ile się ośmieliłem.*

*Gabriel popatrzył na znaki na ścianach. Widzę ponad pięćset potencjalnych czarów, zauważył.*

*Przygotowałem dla ciebie wszystko, co wiemy.*

*Przerazasz mnie, starcze. Nawet teraz myślę, że powinienem wypić miksturę, żeby cię uciszyć.*

*Posłuchaj, chłopcze. Żyjąc we wnętrzu twojej głowy, dowiedziałem się tyle, że nie powinienem... Ha. Dość powiedzieć, że mógłbym w dowolnej chwili przejąć twoje postrzeganie świata. Ale dlaczego miałbym to robić? Myślałem o tym, ale nie zrobiłem. Są rzeczy, do których nawet ja się nie zniżę.*

*Nie chcesz stać się Głogiem.*

*Nawet Głóg nie chciał zostać Głogiem. Ten biedny sukinsyn jest niczym więcej, jak tylko skorupką, narzędziem.*

*Czyim?*

*Nastąpiła kolejna pauza.*

*Zarządź postój, polecił Harmodiusz.*

Diuk zebrał wokół siebie wszystkich swoich ludzi, którzy najpierw udeptali śnieg końskimi kopytami, a później zbili wierzchowce w gęste stado na skraju świerkowego lasu osłaniającego je od wiatru. Było tak zimno, że oddechy więzły ludziom w gardłach, a kojoty skupiły się pod osłoną sędziwych drzew i wyły żałośnie. Konie niespokojnie przestępowały z nogi na nogę.

– Jedźmy dalej – powiedział hrabia Zak. – Za zimno na odpoczynek.

– Zaczekaj – odparł diuk.

Temperatura rosła skokami.

Powietrze ociepliło się na tyle, że oddychanie stało się łatwiejsze. Żołnierze ściągnęli rękawice i założyli koniom worki z obrokiem na głowy.

*Nawet nie wiedziałem, że mogę używać mocy w ten sposób, wyznał diuk.*

Harmodiusz się roześmiał.

*Więc mi wierzysz?* – zapytał.

*Diuk się uklonił w czystej wspaniałości swojej prywatnej rotundy.*

*Niezupełnie, Harmodiuszu. Ale dość, żeby cieszyć się chwilą i przyjąć twoje nauki z pewną pokorą. Chcę rzucić znowu.*

*Znowu?*

*Dla kojotów. jakże dziwnym jesteś człowiekiem.*

Uspiał je, żeby nie uciekły. Wokół nich też ocieplił powietrze.

*Czuję z nimi pewne pokrewieństwo, powiedział.*

Rankiem oddział diuka przybył na brzeg Meandra i zobaczył resztki obozowiska – powalone drzewa, zasieki z brzozy i świerku, palisadę. W jednej trzeciej szerokości rzeki przyczółek i bryły zarwanego lodowego mostu sugerowały, w jaki sposób się przeprawili.

Diuk potarł dwudniowy zarost. Spojrzał na Zaka i wzruszył ramionami.

– Mag zbudowała im most. Czuję to. Zamroziła rzekę i cała armia przeszła na drugą stronę.

– Skończyła się nam żywność – powiedział Zak.

Diuk pokiwał głową.

– W takim razie będzie lepiej, jeśli ich dzisiaj dopędzimy – powiedział i machnął prawicą.

Meander zamarzał. Fale mocy Czerwonego Rycerza płynęły z prędkością wydry i lód odcinał się od czarnej wody.

– Ruszajmy! – krzyknął i trącił ostrogami boki karego rumaka.

Sześćdziesięciu ludzi, sto dwadzieścia pięć koni. Przeprawili się w parę minut i diuk uwolnił zamrożoną wodę.

– Jesteś, kurwa, straszny – skomentował Zak. Wyszczrzył zęby. – Cieszę się, że stoisz po naszej stronie.

Diuk wyglądał blado.

– W tej chwili wcale się nie czuję bardzo straszny, Zaku. Jedziemy.

Dopędzili armię o zachodzie słońca, mocno przemarznięci, kiedy ludzie, którzy zachowali trochę suszonej kiełbasy, mogliby ją sprzedać na wagę złota. Konie potrzebowały wody, dwa już padły i zostawiono je dla kojotów i wilków – więksi kuzyni kojotów ciągnęli za nimi drogą.

Armia stanęła obozem w starożytnym forcie legionistów złożonym z czterech porządnymi wałów, które żołnierze w godzinę oczyścili ze śniegu. Wewnątrz tego prostokąta stanęły namioty oświetlone pomarańczowo przez ogień płonący w kominach ze spiętrzonych darni, którą wyrąbano z ziemi toporami. W starych fortach, takich jak ten, często leżały stopy luźnych kamieni gotowych do ułożenia w schrony albo paleniska.

Dźwięk toporów niósł się po wzgórzach, gdy połowa armii gromadziła drewno.

Diuk zsiadł z konia pośrodku obozu i Zły Tom go zamknął w uścisku.

Czerwony Rycerz po niespełna minucie zorientował się w sytuacji.

Mrugnął do Randoma nad wielkim ogniskiem, które oświetlało stanowisko dowodzenia. Natychmiast poczuł się lepiej, choćby tylko dlatego, że przebywał wśród przyjaciół. Spędzanie czasu z Harmodiuszem było bardzo męczące.

Ponieważ stary magister budził w nim lęk. Może mną zawładnąć w dowolnej chwili, pomyślał.

Nie chciałbym nawet o tym wiedzieć.

Ale w otoczeniu przyjaciół i ciepła zagrożenie nie wydawało się takie straszne. Diuk przeanalizował decyzje Toma i przyznał, że były dobre.

– Jeśli nie będziemy się oszczędzać, jutro o zachodzie słońca staniemy w Osawie – powiedział Random.

Diuk się rozejrzał.

– W takim razie kładźmy się spać.

– Walczyłeś? – zapytał Tom.

Głowy się odwróciły, ludzie patrzyli na swojego kapitana, a może diuka.

Ojciec Arnaud ściągnął brwi.



– Niezupełnie – odparł Megas Ducas.

Hrabia Zak się zaśmiał.

– Pojechał sam, prosto na nich, i wyzwiał Demetriusza na pojedynek. Żałuj, że tego nie widziałeś!

Zły Tom łypnął spode łba na swojego kapitana.

– Ale nie walczyłeś?

Ser Michael się roześmiał.

– Nie walczył? Wysadził z siodła wuja Demetriusza i wziął go do niewoli na oczach całej armii!

Zły Tom wyszczerzył zęby.

– Wariat z ciebie. Ale odbierasz ludziom wszystkie dobre walki. Wódz nie powinien tak się zachowywać.

Diuk wzruszył ramionami.

– Tom, chciałem wziąć wysoko postawionego jeńca. To wszystko.

Hrabia Zak wybuchnął głośnym śmiechem.

– Gówno prawda, Kap-tan! Chciałeś walczyć, pojechałeś i walczyłeś!

Tom skrzyżował ręce na piersi.

– Może Galowie dadzą nam powalczyć.

Diuk uniósł dłoń.

– Nie, jeśli będziemy mogli tego uniknąć. Planuję zostawić złoty most dla ich łodzi.

– Co? – zachnął się Tom.

– To dobra *taktika* – pochwalił Zak.

Tom skrzywił twarz z frustracji.

– Odbiera nam całą zabawę z wojaczki – poskarżył się.

Diuk pokiwał głową.

– W szrankach z przyjemnością wyświadczam grzeczność drugiemu szlachetnie urodzonemu, ale tutaj prowadzimy wojnę. I choć może Galowie chcą walczyć, my chcemy, żeby wrócili do domu, żebyśmy mogli ocalić nasze futra dla cesarza.

Ser Giorgios podrapał się po brodzie. Wszyscy byli brudni, nikt nie zmienił ubrania w takim zimnie.

– Bez obrazy – zaczął – ale ludzie mówią, że najemnicy unikają walki.

Diuk wzruszył ramionami.

– Pyskata, możemy urządzić mały pokaz dla tych moreańskich arystokratów?

Uśmiechnęła się.

– W każdej chwili. Czego chcesz?

Diuk dobył miecza, Pyskata wyciągnęła swój.

– Patrzysz, Giorgiosie? – Uniósł trzymany oburącz miecz do posuwistego pchnięcia.

Pyskata chciała odbić głownię w bok, ale miecz prześliznął się pod gardą i sztych dotknął jej piersi.

– Czy mój miecz unikał jej miecza? – zapytał.

Ser Giorgios pokiwał głową.

– Lepiej wygrać starcie – powiedział.

Diuk pokiwał głową.

– Większość wojowników to amatorzy – powiedział. – Nie powinno nikt dziwić, że czują się zagrożeni przez tych, którzy uczynili wojnę rzemiosłem. Nie musimy być męscy ani dzielni. Wystarczy, że wygrywamy. Nie ma czegoś takiego jak zajęcie drugiego miejsca i każemy sobie dobrze płacić bez względu na to, czy stracimy połowę ludzi, czy nie stracimy ani jednego człowieka. Dzięki, Pyskata. – Skinął głową do mężczyzn i kobiet stojących w półkolu. – Idźcie spać. Na przekór moim największym staraniom po południu życzenie Toma może się spełnić.

W południe zwiadowcy Gelfreda zlokalizowali galijskie wojsko. Zak zabrał oba szwadrony wardariotów, pomniejszone tylko o kilku ludzi, którzy pilnowali remontów, i zniknęli w zadymce na północy, podczas gdy pozostali, wszyscy konno, jechali kłusem wzdłuż brzegu jeszcze niezamarzniętego jeziora. Droga była szeroka, brukowana ciężkimi kamieniami, i nawet zasłana śniegiem umożliwiała szybką podróż.

Widzieli dym snujący się w kilkunastu miejscach.

Po południu dwóch wojowników Zaka zameldowało, że Galowie wyruszyli do łodzi. Nie było z nimi Zamurzań, a Południowi Huranowie, którzy mieszkali w miastach w pobliżu wysuniętej najdalej na północ moreańskiej faktorii, nekali ich na każdym kroku.

Diuk przez kilka godzin znosił burczenie coraz bardziej zagniewanego Złego Toma i w końcu głośno się roześmiał.

– Dobrze, Tomie, wybierz zbrojnych i jedź rozkwasić wielki galijski nochal. – Pochylił się ku niemu. – Jeśli to niezbyt wygórowana prośba, sprowadź kilku jeńców.

Tom pojaśniał jak latarnia, do której dolano świeżego oleju. Zabrał czwartą część kompanii ser Jehana i ćwierć kompanii Pyskatej, a do tego tuzin wybra-

nych rycerzy, łącznie z ser Gawinem, ser Alison, ser Michaellem i ser Alkajossem. I wszystkich poganiaczy.

Pogalopowali na północ, za forpoczta lekkich koni hrabiego Zaka.

Armia posuwała się naprzód na przemian stępa i kłusem. Było zimno, a prędkość oznaczała mniejszą ostrożność – większość żołnierzy miała mokro w butach, jedni z wysiłku, inni po przeprawie przez liczne strumienie i potoki bez zwykłej ostrożności.

Jehan podjechał do kapitana.

– Czego szukamy? – zapytał.

Diuk uniósł brwi.

– Chwały? Lepszej zapłaty?

– Masz tę zadowoloną z siebie triumfalną minę – mruknął Jehan.

– Czy kiedykolwiek przyszło ci na myśl, że za pięćset lat będą śpiewać o nas pieśni?

– Cisza! Oto „Chanson o Czerwonym Rycerzu i o bitwie, do której nie doszło”! – Ser Jehan parsknął śmiechem. – Myślę, że przejście taboru Demetriusza to twoje najlepsze dokonanie. Genialne. A teraz... dlaczego spuściłeś Toma ze smyczy?

Diuk pokiwał głową. Na horyzoncie rysowała się wieża Osawy.

– Ponieważ jeśli nie będę przezorny, wróg przez całą zimę może być niewyobrażalnie brutalny. Tom zabrał ze sobą większość mężczyzn i kobiet swojego pokroju i rzucą się na ariergardę Gallów... Jehan, co, do nędzy, Galowie robią w Nova Terra?

Jehan kłusował w milczeniu przez kilka kroków.

– Myślałem, że ty wiesz. Głupiec ze mnie. Wydawałeś się tak dobrze poinformowany.

– Napływały raporty. Szkoda, że w Galii nie ma cesarskich szpiegów. – Diuk pokiwał głową. – Szkoda, że nie mam własnych szpiegów, i, cholera, Jehanie, naprawdę chciałbym ich mieć! Tak czy owak, pytałeś, czego chcę. Chcę się dowiedzieć, co się dzieje, żeby dać Geraldowi jego futra i ocalić nasze zarobki. I spierdolić z Morei, zanim pożre nas żywcem.

Zły Tom zabrał jedną trzecią zbrojnych i łuczników, zdecydowany nacisnąć Zamurzan i ich domniemanych sojuszników tak mocno, żeby wymusić stawienie przez nich oporu.

Wardarioci nawiązali pierwszy kontakt z wrogiem na północny zachód od niego, tocząc potyczkę z uzbrojonymi w kusze Huranami i tracąc jednego

człowieka. Stefan Druse, wysoki chudzielec, który wyglądał jak mnich i miał mniśią brodę, zasalutował długim stalowym buzdyganem i skrzywił twarz.

– Nie dla nas, panie – powiedział do Złego Toma. – Piechota w szyku, duże kusze.

Tom wyszczerzył zęby.

– To prawda, chłopcze. Po prostu trzymaj się na naszym skrzydle!

Poprowadził zbrojnych, nacierając przez zasłane śniegiem zamurzańskie pola. Poganiacz i członkowie jego klanu regularnie bywali w tej części świata – za nimi znajdowały się Zielone Wzgórza, a po lewej stronie wznosił się Mur. Tutaj sprzedawali bydło i tutaj je kradli. Zamurzanie mieszkali za Murem, ale byli to Południowi Huranowie, niebędący niczymi wasalami.

Ranald pokręcił głową, jadąc u boku Toma.

– Diuk mówi, że są z nimi Galowie, to znaczy, że będą ciężkie konie i wyszkolona piechota w dobrych zbrojach...

– Przestań hałasować, kuzynie. Pozwól nam walczyć. – Zły Tom w skupieniu przyglądał się dalekiemu skrajowi lasu, świadom, że spragniony walki popełnił błąd, pozwalając konnym zwiadowcom wyprzedzić swoją ciężką kolumnę.

Zobaczył kuszników, zanim wypuścili bełty.

– Na nich, zanim napną! – krzyknął i jego koń skoczył do przodu.

Huranowie na skraju lasu rozpierzchli się w chwili, gdy uderzyła konnica. Las był zbyt rzadki, żeby zatrzymać konie, i panowała zima. Uciekali w głąb lasu, a rycerze i zbrojni pędzili za nimi.

Ranald miał łuczników dowodzonych przez Twintera i Długą Łapę, a do tego tuzin weteranów w takim rynsztunku, że mogli być zwani zbrojnymi. Pokręcił głową.

– Nie zamykać przyłbic i obserwować flanki – powiedział. – To mi się nie podoba.

Tom i jego zbrojni przebyli wielkie śnieżne pole i zniknęli w lesie. Na północy i południu ser Thomas widział odzianych na czerwono wardariotów kłusujących po śniegu, osłaniających flanki.

Razem wzięwszy, mieli sześćdziesięciu ludzi. Ranald machnął ręką, żeby przyśpieszyli, bojąc się, że straci kontakt z kuzynem, i jednocześnie bojąc się zasadzki.

– Gotuj się! – rozkazał de Marche.

Nieprzyjacielscy jeźdźcy – wyglądali na rycerzy – byli rozciągnięci cienko

jak masło na chlebie, każdy z nich sam wybierał drogę przez las. Marynarze de Marchego leżeli w dwóch rzędach za niską barykadą powalonych drzew. Patrzyli, jak Huranowie ich mijają.

Zgodnie z planem.

– Przygotować się do strzału! – krzyknął de Marche.

Dowódca wroga, ogromny mężczyzna, zmusił wielkiego karego wałacha, żeby stanął dęba.

– Strzelać! – ryknął de Marche i czterdzieści kusz trzasnęło jednocześnie.

Efekt nie był taki druzgoczący, jak się spodziewał, ale wielki mężczyzna runął na ziemię wraz z koniem, który wierzgał i barwił śnieg na czerwono.

– Napnij!

– *Deus Veult!* – ryknął Czarny Rycerz i przypuścił szarżę na czele swoich dwunastu zbrojnych.

Zły Tom był doskonale świadom swojej głupoty jeszcze zanim zobaczył powalone drzewa. Jego kredo nie obejmowało wykrętów, a właśnie zrobił wielkie głupstwo.

Poderwał konia, gdy zobaczył Galów. Wyglądali na zawodowców...

Psiamać, kochałem tego konia, pomyślał, gdy sześć bełtów uderzyło w wałacha. Koń runął na ziemię śmiertelnie ranny.

Tom zdążył zsunąć się z siodła i zbroja wyrządziła mu więcej szkody niż sam upadek. Wstał i sięgnął po miecz, który wciąż wisiał u pasa.

Mieli jazdę.

Tom kręcił głową, wstrząśnięty własną głupotą, nawet gdy nieprzyjacielscy rycerze wykrzykiwali okrzyki wojenne.

W końcu wyszczerzył zęby. Ostatecznie to była walka.

Francis Atcourt – łatwo go było poznać po czerwonym pióropuszu na hełmie – jechał mu na ratunek. Z lewej nadciągali nieprzyjacielscy zbrojni, wszyscy na nadzwyczaj dobrych wierzchowcach odpowiednich do walki w Dzikich. Do Atcourta dołączyło trzech cwałujących ludzi kompanii.

Tom obserwował ich z niesłabnącą satysfakcją, gdy pomimo przewagi liczebnej wroga pochyłili kopie i wybierali cele, przechodząc z luźnej formacji pościgowej w zwarty szereg bojowy w czasie, jaki konie potrzebowały na zrobienie pięćdziesięciu kroków.

Galowie – założył, że są Galami – uderzyli. Mieli około tuzina rycerzy i w chwili starcia ser Francis Atcourt i jeden z nielicznych galijskich zbrojnych w kompanii, Phillipe le Beause, wysadzili z siodła dwóch ludzi. Chris Foliak

zabił konia swojego przeciwnika, a potem niesportowo obrócił kopię w bok, jak barierkę na rogatkach, powalając kolejnego galijskiego rycerza. Ale ser John Gage runął na ziemię strącony przez człowieka wielkiego jak sam Tom.

Foliak, wprawny wojownik, nie wstrzymał konia. Przedarł się na tyły wroga, rzucił kopię i pojechał z powrotem na południe, okrążając potyczkę.

Atcourt się zawahał. W jednej chwili został otoczony i ściągnięty z konia przez trzech ludzi.

Phillipe de Beause przebił sztyletem następnego przeciwnika i jego koń – większy, a może lepiej wyszkolony – siłą rozpędu wyniósł go z zamętu. Zbrojny zobaczył Toma i ruszył ku niemu...

Dwadzieścia kusz strzeliło jednocześnie i Beause zginął na miejscu.

Inni zbrojni zbierali się na północy. Tom słyszał głos ser Michaela.

Jeden z wrogich rycerzy uniósł zasłonę hełmu i wymierzył w niego kopię.

– Poddaj się – zażądał.

Tom parsknął śmiechem.

– Zwykle najpierw walczymy – powiedział. Żałował, że nie ma topora.

Gal ruszył z kopyta, jego wielki koń wyrzucał bryły śniegu w powietrze. Grot kopii opadł jak pikujący sokół, Tom się wyprostował i przeciął drzewce trzy stopy od ręki jeźdźca. Miecz ciął koński bok i zwierzę skrzyknęło, oszalałe z bólu.

Tom znowu ciął, nie zwracając uwagi na jeźdźca, w tylną końską nogę.

Koń upadł.

Kolejny Gal ruszył na Toma.

Tom przyjął postawę, czekając na kopię, ale ten człowiek widział jego sztuczkę i wcale się nie złożył. Podjechał i opuścił kopię w ostatniej sekundzie.

Tom odbił drzewce w bok, ciął konia po karku i runął jak długi, gdy jeździec skrzyknął. Ale cios był celny – koń się potknął i upadł.

Tom wstał.

Rzucona kopia uderzyła go jak piorun, grot przebił kolczugę na boku. Zachwiał się.

– *Deus vault!* – ryknął wielki rycerz, przemykając w grzmocie kopyt. Zawrócił konia i natarł, tym razem trzymając długi stalowy buzdygan.

Uderzył – spodziewany cios, ciężki *fendente* prawą ręką. Zły Tom przyjął go na miecz i zatoczył się pod wpływem czystej siły przeciwnika, ale nie na tyle, żeby nie pozwolić, by buzdygan nie spłynął po głowni niczym deszcz ze spadzistego dachu. Ciął, gdy koń przemykał, trafił i koń zakwiczał.

Rycerz ściągnął wodze. Kuszniczy podciągali coraz bliżej.

– To tylko końska rzeźnia – powiedział.

– Zsiądź, a przemienimy ją w ludzką rzeźnię – zaproponował Zły Tom.

– Jesteś niezrównanym zbrojnym. Mogę cię spytać o godność?

– Jestem ser Tom Lachlan ze Wzgórz – odparł Zły Tom.

– Jestem ser Hartmut di Orguelleus – przestawił się mężczyzna. Czekał. –

Czarny Rycerz.

Tom pokręcił głową.

– Myślę, że czekasz na swoich kuszników, żeby podeszli i mnie ukatrupili.

Ser Hartmut się roześmiał.

– Oczywiście! Dlaczego miałbym tego nie robić? Nie ma czegoś takiego jak uczciwa walka.

Tom ruszył do ataku.

– Lachlan za Aaa! – ryknął i pobiegł tak szybko, jak pozwalały na to potłuczone biodra.

Ser Hartmut dał mu zrobić tylko dwa kroki i spiął konia. Uderzył buzdyganem – miecz Toma się podniósł.

Oba ciosy były zwodnicze, więc oba trafiły.

Buzdygan spadł na lewy naramiennik i rzucił Toma na ziemię.

Ser Hartmut przyjął pchnięcie Toma na napierśnik i spadł z konia. Różnica polegała na tym, że w jego przypadku ucierpiała tylko duma.

Zły Tom otrzymał najgorszą ranę w swoim życiu.

Ranald wjechał stępą do lasu, prowadząc łuczników w zwartym szyku. Słyszał już odgłosy walki w trzech miejscach, ale nawet zimą las zasłaniał widok, więc nie wiedział, co się właściwie dzieje.

Usłyszał bitewny okrzyk Toma i ruszył w tamtą stronę, lecz nawet wtedy nie zrezygnował z ostrożności. Truchtał z otwartą przyłbicą, spoglądając w prawo i lewo.

Najpierw zobaczył kuszników, potem Toma, samego, na kolanie.

Obrócił się w stronę Długiej Łapy.

– Osłaniaj mnie! – ryknął.

Większość łuczników już zeszkakiwała z koni, przekazując je paziom i napinając łuki nad ich głowami.

Ranald wyjął kopię z tulei przy prawym strzemieniu i spiął rumaka ostrogami.

Po prawej stronie dostrzegł błysk zimowego słońca na metalu.

Było tam trzech rycerzy – po jednym rzucie okiem poznał, że nie należą do kompanii. I że są pomiędzy nim i jego kuzynem.

Ruszył na nich.

Uniósł rękę, zatrzasnął przyłbicę, i wszyscy czterej pędzili galopem, co było niemałym wyczynem w zaśnieżonym lesie.

Sześć kroków od celu Ranald nacisnął kolanem i jego koń pięknie zmienił nogę, oddalając się o jard od pierwotnej linii – Ranald pochylił się jak na harndońskim dziedzińcu turniejowym i jego cel wyleciał w powietrze. Grot uderzył w napierśnik, ale go nie przebił, ześliznął się po wzmocnieniu w kształcie litery Y i przemknął nad prawym ramieniem, zdzierając okrągły naramiennik, ale nie wyrządził innych szkód.

Ranald nie zawrócił.

Dziesięć jardów za nim Chris Foliak zrzucił na ziemię drugiego człowieka, ale zaraz potem jego koń pośliznął się i runął w spektakularnej fontannie śniegu i martwych liści.

Ranald pędził do kuzyna.

Tom klęczał, wyraźnie nie mogąc wstać, broniąc się trzymanym oburącz mieczem. Ogromny rycerz – co najmniej tak wielki jak on – uderzał buzdrganem, a w pewnej chwili cisnął nim jak piorunem.

Tom nie sparował ciosu, rzucona broń uderzyła w zasłonę hełmu i mocno ją wgięła.

Wielki rycerz dobył miecza i ten stanął w płomieniach. Kuszniczy wrzasnęli, zdradzając swoje pozycje.

Ranald miał czas pomyśleć: Chryste, ilu ich jest...

Pierwsza strzała z łuku Długiej Łapy trafiła kusznika.

Ranald słyszał, jak za jego plecami Foliak walczy wręcz.

Potyczki toczyły się w całym lesie – wardarioci nadciągali z flank i nagle szala zwycięstwa zaczęła się przechylać. Ale najpierw Ranald musiał ocalić kuzyna z rąk tego olbrzyma.

Złożył się do ciosu w szerokie plecy rycerza, lecz w jednej chwili przed zderzeniem mężczyzna wykręcił się jak wąż. Dostał, ale to było niesamowite, jak uniknął pełnej siły ciosu.

Jego duży płonący miecz nie dotknął Toma, który zdołał się podnieść, gdy Ranald galopem przejeżdżał obok niego, ściągając wodze.

Tom ciął z niskiej gardy. Czarny Rycerz jakby od niechcenia machnął mieczem – i przeciął jego głownię na pół.

Tom zrobił krok w bok i rzucił ułamkiem miecza w Czarnego Rycerza,



który się cofnął i sparował. Rękojeść zadzwoniła o jego hełm.

Tom wyciągnął sztylet.

Strzały kompanijnych łuczników spadły jak śnieżna zawierucha. Nieprzyjacielscy żołnierze nie ustąpili pola i odpowiedzieli gradem bełtów.

Czarny Rycerz uniósł płonący miecz...

– Z drogi, głupku! – ryknął Ranald i trącił biodrem swojego kuzyna.

Miał duży topór o długim na pięć stóp trzonku, groźny oręż z wyciągniętą ku dołowi brodą tak długą, że żeleźce wyglądało jak półksiężyc. Był to topór wykuty przez mistrza Pyle'a.

Tom opadł na kolano.

Ranald minął kuzyna, gdy Czarny Rycerz zadał ciężki cios – prosty *fendente* znad prawego ramienia, ale z siłą konia bojowego.

Ranald sparował toporem, trzymając go blisko ciała.

Broń spotkała się z głośnym trzaskiem, który się poniósł po lesie.

– Ha! – mruknął Czarny Rycerz pod zasłoną hełmu.

Ranald przyskoczył, trzymany nad głową topór wyglądał jak długi ogon. Czarny Rycerz nawet nie drgnął, gdy Ranald uderzał.

Miecz Czarnego Rycerza, szybki niczym łosoś, skoczył na spotkanie z toporem...

Ranald obrócił wielkie żeleźce – cios był markowany – i dźgnął kolcem na końcu drzewca, uderzając w rękę Czarnego Rycerza i blokując jego nadgarstek.

Przyskoczył i użył drzewca jak dźwigni, żeby rzucić większego mężczyznę na ziemię.

Szybki jak kot Czarny Rycerz ciął – leżąc płasko na plecach – i płonący miecz wgryzł się głęboko w lewą nagolennicę Ranalda.

Czarny Rycerz, nie do wiary, machnął nogami nad głową i wstał jak akrobata.

Ranald z bólu ledwie mógł myśleć.

Czarny Rycerz zasalutował.

– Sądzę, że moi łucznicy zostali pokonani przez twoich – powiedział. Cofał się. – A moi tchórzliwi sojusznicy niczym psy uciekli do domu. Spotkamy się kiedy indziej, panie rycerzu. – Cofał się krok po kroku.

Ranald chciał ruszyć za nim, ale śnieg wokół niego był czerwony od krwi i nie była to krew Toma.

Kusznicy złamali szeregi.

Dowódca, człowiek w porządnej zbroi, próbował ich zatrzymać, dopóki

nie zobaczył ser Michaela nadciągającego z tuzinem zbrojnych i tuzinem wardariotów. Wskoczył na konia i rzucił się do ucieczki.

Ranald próbował owinąć ranę. Podszedł do niego Francis Atcourt.

– Co ci się stało? – zapytał Ranald.

Atcourt się uśmiechnął.

– Ktoś dał mi po łbie – odparł. – Na szczęście nie został, żeby mnie wziąć do niewoli. – Popatrzył w ślad za Galami. – Kim oni są? Byli... bardzo do-  
brzy.

– Lepsi niż ja – mruknął Tom. – Chryste zmartwychwstały, kim był ten wariat?

Pięć lig na zachód i dwa dni później Zły Tom stał na głównej wieży fortyfikacji Osawy, patrząc w prószącym śniegu na jezioro, jakby chciał wezwać Galów z powrotem. W dole największy od dwudziestu lat moreański konwój ruszył powoli na wzgórze strzeżony przez większą część armii cesarskiej.

Zły Tom tupnął nogą i zmarszczył brwi.

– Głowa do góry, Tomie – powiedział diuk. – Znajdziemy kogoś innego do walki.

Tom zaklął i zszedł po licznych stopniach na dziedziniec do swojego konia. Diuk poszedł za nim.

– Wojna manewrowa? Nie jestem głupi, wymanewrowałeś Galów i tylko zasadzka dała im okazję do walki. Ale... – Wzruszył ramionami. – Wojna bez walki? – wycedził przez zęby. – I wczoraj Ranald dostał wszystko, a ja lanie. – Spuścił wzrok. – Na domiar złego straciłem Phillipe'a.

Ranald, bohater dnia, został opatrzony za pomocą czarów i obandażowany, ale wciąż był blady. Zły Tom jakoś się pozbierał i publicznie mu podziękował.

– Ocaliłeś mnie, kuzynie, a jest niewielu ludzi, którzy mogą powiedzieć to samo.

Ranald zrobił zakłopotaną minę.

– Chcę się jeszcze raz zmierzyć z Czarnym Rycerzem – dodał Tom. – A ty nie pokonasz Traków swoimi wymyślnymi manewrami.

Czerwony Rycerz roześmiał się i położył rękę na ramieniu przyjaciela.

– Tom, na wiosnę nie zabraknie walki. Dlatego chcę, żebyś wrócił do domu na wzgórze i zebrał swoich lekkich piechurów. Sprowadź każdego wo-  
dza i wojownika, jakiego zdołasz zwerbować, i popędź całe stado do Gospody Dormling, kiedy drogi rozmarzną. Kuruj się do końca zimy. Jesteś poważ-

nie ranny.

Ranald Lachlan pokiwał głową.

– W istocie. – Zły Tom mógł chodzić, ale bolały go oba biodra; mógł ruszać prawą ręką, ale lewe ramię nawet po potężnych czarach było nieczułe jak lód. – Wydajesz mi rozkazy? – Spojrzał spode łba.

Diuk pokręcił głową.

– Nie, nie. Nie rozkazuję. Proszę Poganiacza jako Megas Ducas.

Zły Tom pokiwał głową.

– Wiele się może wydarzyć pomiędzy... i tak dalej, ale pojedę. Musi być Poganiacz. I jeśli dam radę, zrobię, co do mnie należy.

– Smok pomoże – powiedział diuk.

– Mam nadzieję, że pomoże mój kuzyn. – Tom popatrzył na Ranalda.

Diuk westchnął.

– Tom, być może Ranald będzie chciał jechać na zachód do Lissen Carak. Lady Mary została odesłana z dworu i zmierza w górę Albiny, żeby spędzić Boże Narodzenie w klasztorze. – Z uśmiechem podał Ranaldowi wiadomość.

– Dobrze mieć służbę szpiegowską. Uklęknij, Ranaldzie.

Ranald zmierzył go wzrokiem.

– Po co? – zapytał. Spojrzał na śnieg, który wydawał się błotnisty i zimny. Bolała go noga.

– Ponieważ taki jest zwyczaj, gdy się kogoś pasuje na rycerza – odparł diuk.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY



Princess Irene

### **Liwiapolis – księżniczka**

Pani Maria stała w nieformalnej sali tronowej ze zwojami w koszyku do ręcznych robótek.

– Megas Ducas jest w drodze do domu – powiedziała. – Przysyła wiadomość, że wróci za tydzień. – Uniosła wzrok. – Prosi, żebyś rozpoczęła przygotowania do obchodów Bożego Narodzenia.

– Mój ojciec nadal jest zakładnikiem? – zapytała księżniczka.

– Został okrutnie potraktowany. Megas Ducas błaga, żebyś nie traciła nadziei. Cesarz został przeniesiony jeszcze dalej w góry, jak mówi.

Księżniczka odwróciła głowę i zaszłochła.

– Nie! – krzyknęła i zalała się łzami.

Podszedł tymczasowy spatharios, Ciemnowłosy.

– Co się stało? I gdzie?

Maria rozłożyła mapę.

– To piekielnie skomplikowane. Megas Ducas dotarł prawie do Zielonych Wzgórz na zachodzie i wyprzedził Andronikusa w drodze do zachodniej Tracji. Pokonał Demetriusza, który się wycofał. Andronikus zebrał wojska, a potem je rozpuścił.

Ser George Brewes pokiwał głową.

– Oczywiście. Nie miał taboru.

Ciemnowłosy zarechotał.

– Ale my mieliśmy!

Pani Maria pozwoliła sobie na nieznaczny uśmiech.

– W istocie.

Brewes zagwizdał.

– A zatem od samego początku wyprawa po futra była tylko przykrywką.

Pani Maria na tyle głośno, żeby ją słyszała niepokieszona księżniczka na tronie, powiedziała:

– Nie, panowie. Trzon armii pomaszerował na północ brzegiem jeziora i jak się zdaje eskortuje karawanę z futrami na południe. – Przebiegła wzrokiem czwartą wiadomość i wzruszyła ramionami. – Megas Ducas spodziewa się, że galijskie wojska na Morzu Wewnętrznym odstąpią na widok naszych sztandarów, choć trudno mi uwierzyć, że w ogóle tam są. U progu zimy? Co prawda, tak mówią raporty, lecz mimo wszystko wygląda mi to na pomyłkę kopisty.

Księżniczka pokręciła głową.

– Przecież pisze, że zmierza na wschód!

Ser George Brewes ugryzł się w język. Zdobył się na uśmiech i powiedział:

– Tak czy owak, kampania idzie jak po maśle. Będziemy mieć niezgorsze Boże Narodzenie.

Daleko, daleko na północy ser Hartmut z goryczą patrzył, jak jego galery płyną w lekkim śniegu. Ujście jeziora już skuwał lód, który trzeba było łamać.

Spalił dwa miasteczka wiklinowych chałup i krytych skórą domostw. W żaden inny sposób nie mógł pokazać swojej potęgi militarnej i był zmuszony się wycofać, kiedy na wzgórzach na południu pojawiła się armia, wspaniała

armia.

– Trzy *lacs d’amour* – powiedział do de Marche, kręcąc głową. – Kto to taki?

De Marche jęknął.

– Znasz historię próby króla w Arles? – zapytał.

Ser Hartmut spojrział za siebie w padający śnieg.

– Ten kapitan? Ach, panie de Marche. Będę musiał zwrócić się do mojej broni, żeby go nauczyła dobrych manier. W ten sposób zdobędę miłość króla.

– Poruszył ramieniem, żeby się pozbyć sztywności. – Ci zbrojni byli dobrzy. Tak dobrzy jak moi.

– Ty nie straciłeś ani jednego człowieka. Ja straciłem sześciu marynarzy. – De Marche miał wojny powyżej uszu.

Ser Hartmut wzruszył ramionami.

– Fortuna kołem się toczy. Gdyby ich konni łucznicy mocniej nacisnęli, byłoby po nas. Zasadzka była bezcelową fanfaronadą, przyznaję.

De Marche wypuścił powietrze z płuc, zbierając się do wyrażenia swojego zdania. Zamiast tego zapytał:

– Zakładam, że działania skończyły się na czas zimy?

– Chodzi ci o to, żebyśmy nie ugrzęźli w lodach i nie zostali zmiażdżeni przez zimę jak pluskwy? Chciałbyś żeglować do domu o tej porze roku?

– Chryste na krzyżu! – krzyknął de Marche. – Nie, panie, Boże uchowaj. Wyciągnę moje statki z wody, podeprę je i może nawet zbuduję dla nich szopy, jeśli pogoda pozwoli.

– Dobrze. Wyszkolimy krajowców. Mogą się wiele od nas nauczyć – powiedział ser Hartmut. – Nauczymy ich większej odwagi.

De Marche wiedział, że dwie trzecie Zamurzan odeszło po dwóch dniach daremnej walki, pozostawiając samych Galów z garścią najwierniejszych zwolenników w obliczu nadciągającej moreańskiej fali. Wedle zamurzańskich standardów tubylcy byli wyjątkowo lojalnymi sojusznikami, walcząc nawet po tym, gdy stało się jasne, że Moreańczycy i Południowi Huranowie zyskali przewagę.

Ale tylko patrzył na ser Hartmuta, nie mówiąc ani słowa.

## **Liwiapolis – mistrz Kronmir**

Była to jedna z najgorszych wypraw w jego życiu. Kronmir kazał odjąć mały palec lewej ręki, gdy tylko znalazł doktora, i rozgrzał się dopiero po trzech

dniach, choć przebywał w Liwiapolis, gdzie działały cywilizowane systemy grzewcze.

Mistrz Kronmir tym razem udawał zamożnego kupca i wynajął pokój w Srebrnym Kielichu, gospodzie popularnej wśród Etrusków i innych cudzoziemców.

Armia jeszcze nie wróciła do miasta i gdy tylko się rozgrzał i uznał, że jest bezpieczny, zaczął krążyć po mieście. Przez pół dnia robił zakupy, po prostu chcąc się upewnić, że nie jest śledzony, a później odwiedził swoich najlepszych agentów i zostawił im gwiazdkowe prezenty, amulety wykonane przez Eskepilesa, dołączając zaszyfrowane instrukcje, jak ich używać, i najgorętsze życzenia noworoczne. Następnie zaczął ostrożnie wyszukiwać malkontentów wśród nowo zwerbowanych marynarzy w obecnie tętniącym życiem porcie wojennym.

Ten, którego znalazł, był głupcem, niebezpiecznym, złośliwym głupcem – agentem najgorszego rodzaju. Ale Kronmir miał niewielki wybór. Użył narzędzia, jakie miał pod ręką. Musiał osobiście się spotkać z tym głupcem, bo nie mógł zaufać pośrednikowi, i to też było niebezpieczne.

Kronmir podejmował ryzyko. Co więcej, w przeciwieństwie do wielu innych wiedział, dokąd prowadzi ta ścieżka.

## **Na południe od N'gary – Nat Tyler**

Tyler o świcie opuścił zamek Baśniowego Rycerza, w pełni świadom, jaka podróż go czeka. Nikt go nie zatrzymał i odszedł wolny z warowni czarodziejów, niezupełnie uciekając. Kiedy przeciął niezbyt widoczną granicę azylu – granicę władzy pana irków – zobaczył ćmy na śniegu, setkę albo i więcej owadów niemrawo trzepoczącymi skrzydełkami w kłusującym zimnie, jak śnieżne sowy bez głów. Uznał to za zły znak i zniechęcił je jeszcze bardziej, gdy dwie poleciały za nim.

Może pomogło mu to, że nieszczególnie go obchodziło, czy przeżyje, czy umrze.

Kiedyś, w przeszłości, wiedziałby, ile od niego zależy, ale miał tygodnie na przejrzenie swojej wersji wypadków i gdy jego buty chrzęściły na zamrożonym śniegu, wsunięte w rakiety z rzemienną siatką, jakich używali Zamurzenie, już nie myślał o Bess ani o tym, od jak dawna ją kocha. Z determinacją skupiał myśli na bezużyteczności młodszego pokolenia Jacków, z których ani jeden nie chciał mu towarzyszyć.

Jeśli mam wyzwolić biednych chłopów pańszczyźnianych, będę musiał zrobić to sam, powiedział sobie. I bodaj cię franca, Billu Redmede, i tę ladczycę.

Gniew napędzał go przez jeden, potem przez drugi dzień. Gniew zimą płonie bardzo jasno. Pogoda była łaskawa jak na tę porę roku – mroźna, tak, ale bez nagłej odwilży, która może zabić samotnie wędrującego człowieka. Tyler nie był głupcem, pomimo zżerającej go zazdrości i wciekłości, więc wcześniej rozbijał obóz, gromadząc wielkie stosy chrustu, co było względnie łatwe na śniegu grubości czterech stóp. Spał pod powalonymi świerkami albo budował szałas z świerkowych gałęzi. Miał zamurzańskie sanie, na których kładł się do snu na grubej warstwie skór. Drewno sań, warstwy futer i ciepło ognia utrzymywały go przy życiu. Codziennie rano piekł kawałek zamrożonego boczku, szykując się do stawienia czoła nowemu dniu. Spodziewał się, że przebędzie Dicz w piętnaście dni, jeśli dopisze mu szczęście, i dotrze do wioski wokół Albinkirku, przymierając głodem.

O ile przeżyje, co byłoby prawdziwym cudem. Ale przecież nie mógł zostać u irków i patrzeć, jak niedobitki Jacków zdradzają wszystko, o co walczyli. Niebawem obwołają Billa Redmede'a swoim panem i zostaną niewolnikami Baśniowego Rycerza.

Trzeciego wieczoru na szlaku trafił z łuku jelenia i tropił go po śladach krwi wiodących na wzniesienie. Późno się zabrał za urządzenie obozu i nie był tak ostrożny, jak mógłby być – martwił się przede wszystkim o to, że jego łuk nie jest w porządku, bo coś jakby w nim pękło, kiedy w lodowatym zimnie przyciągał cięciwę do ucha. Bliski paniki zbierał drewno na opał i mocno się spocił, za co drogo zapłacił w głębokim mroku nocy, kiedy warstewka potu na skórze przemieniła się w kałużę lodowatej wody.

Ale noc zastała go przy porządnym ognisku podczas pieczenia jeleniny, z porządnym schronieniem po zawietrznej martwego drzewa wyrwanego z korzeniami przez zimową wichurę. Korzenie tworzyły osłonę z nawisem, oplatając kamienie dość duże, żeby rozłupać czaszkę, gdyby mu spadły na głowę. W wykrocie zmieściły się sanki i siedział na nich, jedząc mięso popijane gorącą wodą.

Usłyszał chrzęst kroków na śniegu, gdy już było za późno. Wstał, zastanawiając się, kto albo co błąka się w taką pogodę o tej porze roku. Zobaczył mężczyznę, wysokiego mężczyznę o wyprostowanych plecach, z gęstymi białymi włosami związanymi rzemieniem na karku. Przybysz miał grubą pelerynę z wiewiórczych skórek, czarną jak otaczająca ich noc, i w gołej ręce



trzymał laskę, która wyglądała na wykutą z żelaza.

– Mogę się dosiąść do twojego ognia? – zapytał.

Nat Tyler od długiego czasu wędrował po świecie. Odwrócił się z dłonią na rękojeści miecza.

– Nie jesteś człowiekiem, żeby potrzebować mojego ognia. Kimkolwiek jesteś, jeśli przybywasz jako gość, przyjmę przysięgę gościa.

Odziany w czerń mężczyzna zgiął się w ukłonie.

– Jesteś mądry. Nie wyrządę krzywdy przy tym ogniu, nie skrzywdzę tego, kto go rozniecił.

Tyler pokiwał głową.

– Mam herbatę z sasafrasu, jeśli masz ochotę.

– Wiesz, kim jestem? – zapytał nieznajomy.

Tyler pokiwał głową.

– Dla mnie wyglądasz na Głoga – odparł.

Przybysz ponownie się skłonił.

– W istocie jesteś mądry. Mądrzejszy niż twój towarzysz, który mnie zdradził.

Tyler skrzyżował palce w rękawicy.

– Już nie jestem przyjacielem Billa Redmede'a, czarnoksiężnika, ale on nigdy cię nie zdradził. Pragnąłeś władzy. My nie chcemy, żeby ktokolwiek sprawował władzę nad innymi. Byliśmy sprzymierzeńcami. Nie okazałeś się naszym wielkim sprzymierzeńcem.

Głóg patrzył na niego spokojnie przez płomienie.

– A jednak opuszczasz Redmede'a, mając własne plany.

– Owszem – przyznał Tyler.

– Mógłbym wykorzystać twoje umiejętności – oznajmił Głóg.

Tyler rozdziawił w uśmiechu bezzębne usta.

– Tak, czarnoksiężniku. Przypuszczam, że by się ci przydały, choć raczej wolałbym nie być wykorzystywany.

Głóg parsknął bezlitosnym śmiechem.

– Jesteś starym przecherà, a ja wyszedłem z wprawy, jeśli chodzi o takie rozmowy. Czego chcesz w zamian za poddanie się mojej woli?

Tyler odetchnął głęboko. Powoli wypuścił powietrze i patrzył, jak się przemienia w białą mgłę. Zastanawiał się, ile oddechów mu zostało.

– Wątpię, czy masz coś, czego chcę – oznajmił.

– A jeśli ci powiem, że twoja Bess kocha Billa Redmede'a tylko dlatego, że pan irków rzucił na nią zaklęcie? Na nią i na twojego przyjaciela? Nie kie-

rują się własną wolą. Są marionetkami.

Trzasnęła gałązka. Coś stęknęło jak zwierzę. Tyler wstał i dobył miecza – niedorzeczny pomysł, bo przecież po drugiej stronie ognia siedział sam Głóg, zupełnie nieporuszony.

Trzecia postać wśliznęła się w blask ognia.

– Złe spotkanie przy ognisku, intruzie. – Kły Tapia zaśniły jak metal. – I kto tu mówi o marionetkach! Człowieku, dzielisz się swoim ogniem z nadzwyczaj dziwnym gościem.

Głóg obrócił głowę.

– Tapio, witaj. Postąpiłeś bardzo głupio, wychodząc poza krąg swojej władzy.

– Nie-człowieku, jesteś daleko od swoich włości, nie sądzisz? – Irk bez wysiłku stał na śniegu.

Głóg wstał, trzymając przed sobą laskę.

– Czy mamy się zmierzyć? – zapytał.

Irk wzruszył ramionami.

– Przykro byłoby mi zabić tego człowieka, który jest przyjacielem mojego gościa.

Głóg stał nieporuszenie, nie drgnęła mu nawet brew. Powłoka Mówiącego Językami była doskonałym przebraniem – wyglądała jak ciało człowieka, a jednak miała tysiąc kieszeni, które zawierały niespodzianki.

Wyciągnął jedną z nich i rzucił.

Tapio strącił ją w okamgnieniu.

– Mógłbym ci pomóc, Głogu.

– Mnie pomóc? Jesteśmy wrogami! – rzekł Głóg, sięgając po bardziej subtelne czary.

Tapio skinął głową. Dmuchał lekki wiatr, ogień rozbłysnął i magia Głoga rozproszyła się wśród gwiazd, tracąc siłę.

– Miałem tysiące lat, żeby udoskonalić tę sztuczkę – oświadczył z przekonaniem. – Nie musimy być wrogami.

Laska Głoga zatrzeszczała i wystrzeliła z niej zielono-czarna fala nakrapiana jak pleśń. Przeszła na wskroś przez Tapia, który zniknął.

– To było znacznie łatwiejsze, niż powinno być – skomentował czarno-księżnik. – Nie ufam łatwemu zwycięstwu.

– Zatem zmądrzałeś, Głogu. – Głos Tapia jakby napłynął z powietrza. – Panie Tylerze, przybyłem uwolnić cię... z tej pułapki.

– Tak, ten okrutny mały elf zrobił dziwkę z damy twego serca i zniszczył

twoją przyjaźń, a teraz przychodzi ci pomóc – zakpił Głóg.

Śmiech irka zabrzmiał w czystym zimnym powietrzu.

– Okrutny mały elf? Ach, mój biedny przyjacielu. Cuchniesz Popiołem.

Głóg się poruszył i nagle irka zalało bladozielone światło. Czarnoksiężnik gwałtownym ruchem poderwał laskę – nastąpił błysk, potem drugi, zabrzmiał dźwięk jakby dalekiego grzmotu i drzewo za jego plecami eksplodowało, siejąc tysiącem drzazg, wśród których wiele było całkiem dużych. Jedna przebiła ludzką postać Głoga, ale było to tylko przebranie i Głóg nie poświęcił ranie ani jednej chwili uwagi. Powietrze stało się czyste jak kryształ – Tyler nie mógł oddychać, mógł tylko patrzeć. Zdawało się, że jedynie Głóg zachował zdolność ruchu i jęzory jego ciemnego ognia liznęły postać irka... a potem coś jakby pękło. Tyler miał wrażenie, że cały świat na chwilę zamarł, i nagle siedział sam przy swoim ognisku, z sercem dławiącym go w gardle.

Daleko na wschodzie, może dziesięć mil dalej, gdzieś na urwistych wzgórzach, które przebył po klęsce pod Lissen Carak, coś zadudniło niczym potężna lawina. Po błysku zielonkawego światła nastąpiły impulsy lawendowego blasku, a potem napłynął grzmot – najpierw suchy trzask, później dudnienie potężnej armii w marszu.

Tyler dorzucił drewno do ognia. Zadrżał, otulił się peleryną i siedział z mieczem na kolanach. Zasadniczo był pewien, że nie dałby rady zmierzyć się z żadnym wrogiem, ale oręż w ręce poprawiał mu samopoczucie.

Daleki grzmot z niego szydził. Miał czas się zastanawiać nad słowami Głoga. Wyobrażał sobie Bess, zaczarowaną, zamkniętą w ramionach Redmede'a. Ja im pokażę, pomyślał.

Dorzucił drewna do ognia, a potem Głóg wrócił z długą świerkową szczapą w brzuchu. Skinął ręką.

– Pokażę ci pewien sekret – powiedział.

– Nie chcę twoich sekretów – odparł Tyler. – Pokonałeś irka?

– Oczywiście – zapewnił go czarnoksiężnik. – Głupie pytanie. Posłuchaj, człowieku. Umrzesz tutaj, a jak nie, to w następnym obozowisku. Albo jeszcze w następnym. Zima jest straszliwszym wrogiem niż Tapio czy Głóg, a ty ani nie jesteś wyszkolony, ani nie masz hartu ducha, żeby ją pokonać. Ja też pragnę śmierci króla Alby. Pozwól, a pomogę ci żyć, żebyś mógł dopiąć swego.

Tyler czuł otaczające go zimno. Czasami, nawet kiedy wiesz, że ktoś tobą manipuluje, masz niewielki wybór. Płyn z prądem.

– Dobrze – powiedział. – Zawsze mówię, że jak mus, to mus. – Zdobył się

na dzielny uśmiech. – Będę miał się na baczości.

Ludzka twarz Głoga jakby się skrzywiła.

– Tak – zgodził się. – Chodź.

Wyciągnął rękę.

– Muszę zabrać mój ekwipunek – powiedział Tyler.

Wyraz twarzy Głoga się nie zmienił.

– Dobrze.

Tyler zabrał koce i resztki jedzenia, łącznie z zamrożonymi kawałkami dziczyzny. Jego zziębnięte palce nie były szybkie i ciemność go spowalniała.

– Przydałoby się trochę światła – mruknął.

– W takim razie zrób sobie pochodnię. Ja nie robię światła.

W końcu jakoś sobie poradził i pociągnął sanki do czarnoksiężnika, który stał z długim na cztery stopy kawałkiem drzewa w brzuchu. Pęto jelit wisiało mu na plecach, gdzie widać było fragment kręgosłupa.

Tyler zadrżał.

– Chwyć mnie za rękę – poleciał Głóg.

– Dokąd idziemy? – zapytał Tyler.

– Wyborne pytanie. Idziemy przez eter do wejścia na Wężową Drogę.

## **Mont Reale – Ser Hartmut Li Orguelleus, Czarny Rycerz**

Galijska flota wróciła w szyku z jeziora na Wielką Hurańską Rzekę. Obozowali przez trzy dni, rozpalili wielkie ogniska, rozgrzali się i nasycili oszczędnie. Nie zwracając uwagi na narzekanie de Marche, Czarny Rycerz dołożył wszelkich starań, żeby przygotować swoich ludzi, po czym ich zebrał i wydał im rozkazy.

Flotyła wyruszyła po niedzielnej mszy i kazał ludziom płynąć przez całą noc, z lampami oliwnymi na rufach czterech galer wojennych, na których od czasu do czasu buczały rogi. Gdy słońce wstało w poniedziałek, spojrzął z rufy swojego „Świętego Michała”, policzył łodzie i otrzymał satysfakcjonującą liczbę.

– Sądzę, że zaraz coś zobaczymy – powiedział.

Oliver de Marche postanowił spróbować po raz kolejny. Został bez zaufanego tłumacza, straciwszy sługę – Lucjusz zginął z ręki cesarskich żołnierzy, gdy wyrosli jakby spod śniegu i udaremnił już ryzykowną kampanię Czarnego Rycerza przeciwko Południowym Huranom. Z Lucjuszem u boku mógłby spróbować bezpośrednio się porozumieć z wodzami Północnych Huranów.

Ale miał niewielki wybór, więc zrobił dobrą minę do złej gry i wszedł po schodach na pokład rufowy.

– Panie rycerzu? Ser Hartmucie?

Czarny Rycerz obdarzył go twardym uśmiechem.

– Ach... kupcze. Przychodzisz odwodzić mnie od powziętego zamiaru?

De Marche pokiwał głową.

– Panie rycerzu, to przedsięwzięcie nie przysłuży się ani królowi, ani twojej reputacji.

Ser Hartmut wybuchnął głośnym śmiechem, który brzmiał okrutnie.

– Kupcze, zwą mnie Czarnym Rycerzem nie bez powodu i to, co zamierzam zrobić, będzie idealnie pasować do mojej reputacji. Ponadto podejmuję wysiłki częściowo po to, żeby te leśne dzikusy mnie poznały i nauczyły się mnie bać.

– Będą się ciebie bać, ale ponieważ są dzielni, wypowiedzą ci wojnę – powiedział de Marche.

– Dzielni? De Marche, miałbym w garści Południowych Huranów, gdyby ci tchórze zrobili, co kazałem. Nawet bez nich...

De Marche przygryzł wąż i przestawił stopę.

– Tak czy owak, nigdy nie stawałeś przeciwko zawodowej armii i łańcuchowi dobrze zaopatrzonych fortów. Zajęcie Osawy cię przerosło, więc wzięcie Ticondagi jest celem równie nieosiągalnym jak ten ptak nad naszymi głowami. Nie zdobylibyśmy Osawy, nawet gdyby Zamurzanie rzucili się na mury niczym *automata*. Chcesz, żebym dźwigał ciężar twoich... naszych porażek.

De Marche przygotował się na śmierć.

Gniew przemknął po twarzy Czarnego Rycerza jak ulewa w słoneczny dzień – pojawił się i zniknął. Ser Hartmut pogładził brodę palcami.

– Umiesz władać bronią, de Marche. Nauczyłem się ciebie szanować. Nie jesteś jednym z nas, ale nie zaliczasz się do tchórzy. Choć powiem, że pod jednym względem jesteś skończonym głupcem. Ci Zamurzanie nie są warcifunta kłaków, w przeciwieństwie do moich ludzi, i twoich, co się okaże za godzinę. Na wiosnę wezmę kilku z nich i wyszkolę ich na żołnierzy, prawdziwych żołnierzy, jak robiłem w Ifriqu'ya. Nauczą się i będą posłuszni.

De Marche zdusił pragnienie krzyku albo drżenia.

– Nie możesz przypuścić szturm na Mont Reale. To największa zamurzańska osada na północy. Wojska Alby nigdy się na to nie poważyły, nawet u szczytu potęgi starego króla. Ani Moreańczycy.

– Tym więksi z nich głupcy. Patrz, kupcze, i ucz się. Twój sposób może jest dobry, ale stanowczo za wolny. – Czarny Rycerz odpędził kilka ciem od hełmu. – Kiedy lody puszczą na wiosnę, rzeką przypłynie nowa flota, przywożąc więcej żołnierzy. Ludzi, którzy chętnie za mną pójdą grabić i plądrować, być może nawet w imię Boga. – Uśmiechnął się i jego uśmiech był kropłą, która przelała czarę.

– Przez ciebie wszyscy zginiemy! – krzyknął de Marche. Ćmy uciekły. – Ściągniesz na siebie gniew Boga i każdego przyzwoitego człowieka!

Ser Hartmut wybuchnął śmiechem.

– Posłuchaj mnie, kupcze. Jestem człowiekiem honoru i żyję wedle prawa wojny. Zrobię to otwarcie, nie w ciemności, i moja wiadomość będzie głośna. Robię dokładnie to, co robili Moreańczycy, co robili Albanowie, w istocie to, co robił każdy człowiek, który pierwszy przybył do Nova Terra. Zamurzenie nie są ludźmi. Żyją poza murami kościoła i cywilizacji. Ich śmierć nie splami naszych ostrzy.

– Jesteś obłąkany! – syknął de Marche.

Dwóch żołnierzy chwyciło go od tyłu.

– Już mi to mówiono – oznajmił Czarny Rycerz. – A jednak królowie wciąż mnie zatrudniają. Więc jak myślisz, który z nas jest obłąkany?

Mgła wciąż wisiała nad Wielką Rzeką, kiedy flota podpłynęła do wyspy Mont Reale i ser Hartmut wziął flagę Galii od jednego z giermków, zeskończył do wody i dobrnął przez płyciznę na plażę. Grupa rannych ptaszków z dużego zamurzańskiego miasta przyszła pomóc wylądować Galom. Ser Hartmut się przepchnął, żołnierze stanęli w szeregu za jego plecami. Marynarze de Marchego, równie chętni, ukłękli na piasku, ksiądz ich pobłogosławił, i podnieśli broń.

Zamurzański chłopiec, który biegał pomiędzy marynarzami, zobaczył coś, co mu się spodobało – sięgnął po czyjś sztylet i uciekł ze śmiechem.

Jeden z żołnierzy uniósł kuszę i od niechcienia strzelił mu w plecy. Łęczysko było w nowym typie, stalowe, bełt wbił się w drobne ciało chłopca i przerzucił je o kilka jardów. Zawstydzony marynarz odzyskał swój nóż.

Siostra chłopca zaczęła krzyczeć na urwisku nad plażą.

Na znak ser Hartmuta drugi żołnierz zastrzelił ją z łuku.

– Obejmuję w posiadanie tę wyspę, rzekę i ziemie wzdłuż jej brzegów w imieniu króla Galii – oznajmił ser Hartmut. Ruszył szeroką ścieżką w kierunku miasta.

Giermkowie i zbrojni szli za nim w luźnym klinie, z marynarzami po obu stronach.

Szczęknęły kusze i ci Zamurzanie, którzy popełnili błąd, wstając za wcześnie, umarli jako pierwsi.

W Mont Reale rozstawiano warty. Strażnicy jednak byli zwyczajnymi ludźmi, którzy po prostu nie chcieli dać wiary, że sprzymierzeńcy mogli ich zdradzić. Wrzasnęli na alarm dopiero wtedy, gdy pierwsze płomienie liźnęły długie domy przeznaczone dla gości.

W Mont Reale było prawie tysiąc wojowników.

Wybiegli z domów i chat na wpeł uzbrojeni i zostali zastrzeleni na błotnistych ulicach albo próbowali, bez zbroi, walczyć z ser Hartmutem i jego rycearzami, tworząc małe grupy oporu. Ser Hartmut podzielił miasto na cztery części i jego żołnierze oczyszczali po jednej naraz, podpalając domy i opróżniając ulice. Gdy czerwona kula słońca wychynęła nad dalekimi górami, ser Hartmut wspiął się po spiętrzonych zaspie na palisadę cytadeli. Ostatni punkt oporu został zlikwidowany.

Oficerowie chodzili po mieście, rozkazując marynarzom gasić pożary, przydzielając domy żołnierzom i wyrzucając mieszkańców na śnieg. Niedobitki stały z kamiennymi twarzami, patrząc, jak ich przytulne domostwa obracają się w kwatery byłych sojuszników. Zostali spędzeni w grupy i skuci łańcuchami.

Żołnierze zerwali pelerynę z wiewiórczych skórek z ramion starca, który obrócił się z godnością cesarza i splunął pod nogi ser Hartmuta.

Ser Hartmut spojrzał mu w oczy.

– Nie chcieliście mi służyć jako sprzymierzeńcy? – zapytał. – Niech tak będzie. W imię Boga, będziecie mi służyć jako niewolnicy.

## **Kilkis, zachodni Tracja – Czerwony Rycerz i Zły Tom**

Jazda na południe była niemalże triumfalnym pochodem mimo coraz gorszej pogody. Mag i Czerwony Rycerz przerzucali mosty nad Meandrem i kiedy kapitan wieńczył swoje iglicami, Mag dodawała do swoich ryczące rumaki z nawianej przez wiatr szadzi. Tom udawał, że się trzęsie z odrazy, ale wielu żołnierzy nie posiadało się z zachwytu. Byli jeszcze bardziej zachwyceni, kiedy dwoje magów osłoniło ich wielką migotliwą półkulą podczas paskudnej śnieżycy.

W porze nieszporów dotarli do Kilkisu, leżącej najdalej na zachód osady

przy drodze na Zielone Wzgórza, ostatniej w Morei przed Gospodą Dormling. Miasto było przygotowane na ich przyjęcie i Megas Ducas zaprezentował swoją pełną siłę pod murami okrytej śniegiem fortecy.

– Żadnych gwałtów, grabieży, kradzieży. Ten, kto ukradnie albo zgwałci, zostanie stracony, a ten, który będzie tego świadkiem i nie kiwnie palcem, pójdzie ze sprawcą do piekła. – Popatrzył na swoją małą armię. Wszyscy milczeli. – Nadchodzi Boże Narodzenie i ci ludzie się nas boją jak samego szatana. Pokażcie im, że się mylą, a ja wam obiecuję, że dostaniecie nagrodę w dzień wypłaty. I może nawet w przyszłym życiu. – Wyszczrzył zęby. Stojący obok niego Gelfred się skrzywił. – Wygranie wojny to coś więcej niż pokonanie wroga w polu. Idźcie i sprawujcie się jak należy, bo inaczej spotka was kara. Rozejść się.

Zły Tom przewrócił oczami i ruszyli krętą ulicą do cytadeli.

– Dobry Jezu, kapitanie. Przecież nie są chłopcami z chóru ani małymi dziećmi. To miasto nas nienawidzi.

Megas Ducas nawet nie odwrócił głowy.

– Albo mnie posłuchają, albo zapłacą życiem.

– Robi się z ciebie prawdziwy sukinsyn. Może zsiądziesz z tego wysokiego konia i zerznieś Pyskatą. Albo znajdź sobie jakąś cizię, która przyciągnie twoje oko, żebyśmy wszyscy się mogli odprężyć.

Diuk zsiadł z konia w otoczeniu „domowników” i razem poszli do wielkiej sali, gdzie było tak ciepło, że powietrze wydawało się gęste, i ludzie, którzy od dwunastu godzin mieli na grzbietach cztery warstwy wełny na zbroi, nie nadawali z ich zdejmowaniem. Giermkowie i paziowie zabrali konie do stajni albo przekazali je sługom, po czym przybiegli do swoich panów, żeby im służyć pomocną dłonią. W sali panował hałas taki sam jak na polu bitwy, gdy zdejmowali zbroje – najpierw hełmy i basinety, potem rękawice, potem naręczaki, które starannie rozwiązywali i rozpinali, następnie napierśniki, karaceny i ciężkie brygantyny, które rzucali na wyłożoną kobiercami podłogę. Legion bardzo młodych służących podawał wino, podczas gdy ludzie cieszyli się ciepłem w poplamionych od potu przeszywanicach i w bigwantach, a wokół nich klęczeli albo kucali giermkowie i paziowie, wciąż w pancerzach, rozpinając sprzączki pod udami i kolanami.

Zbrojni rozmawiali coraz głośniej.

Ojciec Arnaud krótko pomówił ze służącym i przepchnął się do diuka.

– Prysłali nam swoje dzieci – powiedział. – To znak zaufania. Powiesz parę słów?



Diuk westchnął.

– Więcej, niż już powiedziałem? – zapytał. Ale dał znak Toby’emu, żeby kończył, uwolnił prawą nogę z pancerza i wyszczerzył zęby do ojca Arnauda.

– Czuję się tak, jakbym mógł latać – powiedział i wskoczył na stół.

Jego wyczyn akrobatyczny sprawił, że niemal natychmiast zapadła cisza.

– Panowie, jeśli spojrzycie na paziów podających wino, zobaczycie, że mieszkańcy tego miasta przysłali swoje dzieci, żeby nas obsługiwały. Proszę, traktujcie je z najwyższą uprzejmością. Nie tak, jak traktujecie własne potomstwo.

Zaśmiali się, jak wypadało, po czym ojciec Arnaud przedstawił diuka kasztelanowi, podstarzałemu Moreańczykowi Nikolasowi Fokusowi.

– Wnoszę, że mamy wspólnego znajomego – powiedział diuk, wyciągając rękę.

Kasztelan najpierw się uklonił, dopiero potem uściśnął jego dłoń.

– Tak, panie. Poradził mi, żebym otworzył bramy, i jak na razie nie mam powodów do skargi. Ale, panie, muszę ci powiedzieć, że mój garnizon nie dostał żołdu od dwudziestu ośmiu miesięcy i ludzie są pełni urazy.

Diuk pokiwał głową.

– Geraldzie! – krzyknął w panującym gwarze i Random przykuśtykał do gigantycznego kominka.

– Tak, panie?

– Czy zasługuję na kolejne dwanaście tysięcy florenów? – zapytał go Me-gas Ducas.

Gerald Random przewrócił oczami i skinął głową kasztelanowi.

– Lordzie Fokusie, to ser Gerald Random, książę kupców i poszukiwacz przygód. Geraldzie, bez lorda Fokusa nie będzie futer. Czy stać nas na zapłacenie jego garnizonowi? – Diuk przyjaźnie kiwał głową.

Random wskazał krzesło.

– Mogę usiąść? – zapytał. – Tak, możemy sobie na to pozwolić. To się nie przysłuży twojej wiosennej kampanii ani twojej flocie, lecz możesz to zrobić. Pamiętaj, panie, że kiedy zostaną wydane pieniądze za futra, twój kapitał nie wzrośnie, dopóki... sam wiesz.

Diuk zwrócił się do kasztelana:

– Mogę zapłacić za dwa lata.

Lord Fokus się uklonił.

– Panie, to uśmierzy... niezadowolenie.

Diuk skłonił głowę.

– Dobrze, że się rozumiemy. Spodziewam się, że po wypłaceniu żołdu twoi żołnierze pozostaną lojalni. Albo ujmę to inaczej: kupieni nie zmienią właściciela.

Policzki kasztelana pokraśniały.

– Panie... – zająknął się.

Diuk pokiwał głową.

– Wiem, że poruszanie takiej sprawy jest grubiaństwem, ale, panie Fokusie, stracę publicznie każdego mojego żołnierza, który popełni przestępstwo na ulicach tego miasta. Dlatego proszę, żeby twoi ludzie pomyśleli, jak potraktują załogę garnizonu, który weźmie moje pieniądze i mnie zdradzi.

– Ciebie czy cesarza? – zapytał Fokus.

– Dobre pytanie. Cesarza, naturalnie. Ale jako że jestem księciem Tracji, możesz mnie mieć na głowie przez kilka lat. – Diuk napił się wina. Czy nasz wspólny przyjaciel do nas dołączy?

– Sam nie wiem... czy mnie też będziesz terroryzować? – zapytał skromnie odziany mężczyzna.

Był niższy od diuka, miał ciemne włosy i ciemne oczy i większość ludzi nie zwracała na niego uwagi. Jednak ser Ranald skubnął rękaw Mag i wyciągnął rękę, a ona szeroko otworzyła oczy.

Diuk się uklonił.

– Panie, wcale nie zamierzam cię terroryzować.

Nijaki mężczyzna się uśmiechnął.

– Mam nadzieję, że znalazłeś skrytki z żywnością.

Diuk znowu skłonił głowę.

– Przekraczały najśmielsze oczekiwania, panie.

– Pan Fokus ma swoje sprawy z byłym diukiem Tracji i nie trzeba groźbami nakłaniać go do tego sojuszu. Podobnie, lordzie Fokusie, obecny tu ser Gabriel grozi ci, ponieważ jest zmęczony, a nie dlatego, że jest urodzonym łajdakiem. Naprawdę ciężko pracował nad przywróceniem cesarza na tron. Gdzie jest Thomas Lachlan?

Zły Tom wystąpił z Ranaldem u boku.

– Poznajesz mnie, Thomasie? – zapytał mężczyzna.

– Tak. Poznałbym cię niezależnie od tego, czyją przybrałbyś skórę. – Tom górował nad niewysokim mężczyzną, lecz mimo to wcale nie wydawał się większy.

– Mam prywatną komnatę dla wspólnej wygody – powiedział pan Fokus.

– W takim razie może tam pójdziemy? – Diuk ujął lorda Fokusa pod rękę.

– Wybacz, jeśli użyłem zbyt mocnych słów.

Fokus skrzywił usta w cierpkim uśmiechu.

– Co godzinę sam siebie zapytuję, czy rzeczywiście sprzedałem ci zamek. Przypominanie o tym jest dla mnie bolesne. – Wzruszył ramionami. – Ale moi ludzie potrzebują pieniędzy. Życie całego miasta zależy od ich żołądka.

Przeszli do niskiego pokoju z ciemnoniebieskim sufitem wymalowanym w jasne złote gwiazdy. Na jednej ścianie wisiały gobeliny wyobrażające sceny myśliwskie, a te na przeciwnej przedstawiały dziewięć godnych niewiast. Do mężczyźni dołączyli ojciec Arnaud, Mag i ser Gawin.

Toby wśliznął się do komnaty i postawił kubek przed ich gościem, który zajął miejsce u szczytu stołu. Gość uniósł kubek i posmakował.

– Ach... cydr. Dobry wybór, Toby.

Toby poczerwieniał i niemal wybiegł z pokoju.

– Zwijcie mnie Smith – powiedział nijaki mężczyzna. – Słuchajcie, przyjaciele. Jestem tutaj tylko na krótko. Tomie, wejrzałem w twoją sprawę. – Pan Smith szeroko rozłożył ręce, po czym złączył palce i nie był to ludzki gest, gdyż palce spotkały się tak, jak mógłby je narysować artysta, złożone idealnie płasko i wycelowane prosto w niebo.

W rzeczywistości obserwowanie pana Smitha przypominało oglądanie teatryku kukielkowego.

– Zatem będę się streszczać. Hector, Poganiacz, został zabity przez zamurzańskich Sossagów. W owym czasie służyli oni istocie, która obecnie nazywa siebie Głogiem, a niegdyś była magistrem Richardem Plangere'em. Moje śledztwo wykazało, że sam Głóg jest tylko narzędziem kogoś z mojego plemina.

Tom się uśmiechnął, choć uśmiech nie ogarnął oczu.

– No to pięknie. Pokaż mi tego łajdaka.

Pan Smith pokręcił głową.

– Sprawa jest znacznie bardziej skomplikowana, Tomie. – Westchnął. – Myślę, że jeden z mojego plemienia postanowił zerwać zawarte przez nas porozumienie. To wszystko, co wam teraz powiem. Samo mówienie tego, że moje plemię ma porozumienie z waszym, i że porozumienie to jest zagrożone, zmusza mnie do zajęcia stanowiska w tej sprawie.

Dym popłynął z jego nozdrzy.

Diuk pokiwał głową.

– Przepraszam, panie Smith, ale proszę, pamiętaj, że nie my jesteśmy winni.

Smith powiódł po nich wzrokiem.

– Zamierzałem powiedzieć, że nikt nie jest niewinny. Ale to tylko kazuistyka, a na to jesteśmy za mądrzy. Dlatego powiem, że podjąłem pewne środki ostrożności. Gabrielu, dobrze się spisałeś, lecz będziesz musiał przyspieszyć realizację planów. Tomie, wiem, że mnie nie lubisz, ale muszę cię prosić, żebyś ruszył ze mną na zachód i przejął obowiązki Poganiacza. Lordzie Fokusie, twoja pomoc była i pozostanie kluczowa. Ser Gabriel przez ponad rok będzie musiał korzystać z tej drogi i ta forteca może się stać celem kilku armii, które, pomimo różnych planów, są kierowane przez jedną wolę. Gabrielu, przeniosłem ci trochę interesujących materiałów. Używaj ich mądrze. Przyjaciele, kiedy w końcu będę musiał ujawnić moją strategię, zostaną zaatakowani, i wtedy sytuacja stanie się jeszcze trudniejsza. Przepraszam za wszystkie te niejasności i maskaradę, ale jeśli za wcześnie wyjawię swoje plany, konsekwencje będą tragiczne.

Diuk się roześmiał.

– A oni mi zarzucają skłonności do dramatyzowania. Panie Smith, jakie konsekwencje masz na myśli?

Pan Smith uniósł brwi.

– Eksterminację rodzaju ludzkiego na tej półkuli – odparł. Uśmiechnął się i zwarł wzrokiem z diukiem. – Czy te stawki są dość wysokie, Gabrielu, żeby zbudzić twoje zainteresowanie?

Diuk pokiwał głową.

– Owszem – odparł.

– To dobrze. Ponieważ, chociaż pod każdym możliwym względem jesteśmy słabsi, wróg nie ma pojęcia, kim jesteś. Ani co ja mogę zrobić. – Pan Smith pokiwał głową i jego uśmiech był tak naturalny, jak sztuczne były jego gesty. – Posiadanie prawdziwego przeciwnika po eonach neutralności jest naprawdę ekscytujące. Odniesienie triumfu będzie wymagało jednego z cudów waszego Boga. – Pokiwał głową. – Ale zawsze uważałem, że znacznie bardziej zabawne jest bycie tym niedocenianym. W takim wypadku triumf przynosi większą chwałę, a porażka nie budzi potępienia.

– Nie mojego Boga – powiedział diuk trochę automatycznie.

Ojciec Arnaud parsknął. Mag pokiwała głową.

Harmodiusz powiedział: *Ach... Tego się obawiałem.*

**Święta Wyspa – Kevin Orley i Głóg**

Orley rozkazał zbudować zamek i zamiast tego dostał szereg szop, każdą gorszą od poprzedniej. Młodym ludziom, których werbował – a było ich coraz więcej – brakowało umiejętności wykonywanie konstrukcji z drewna, kopania latryn czy krycia dachów gontem. Mógłby ich zastraszyć, ale zmuszenie ich do czegokolwiek, chyba że było to plądrowanie miasta, graniczyło z cudem. Mieli martwe oczy i woleli czystą przemoc od bodaj pozorów dyscypliny.

Budowanie szop codziennie doprowadzało go do szału.

Zgromadził ponad trzystu wojowników w wieku od jedenastu do siedemnastu lat. Kilku starszych chłopców było w pełni wyszkolonych i ilekroć miał chęć podnieść się od ognia, kazał im zabierać młodszych na śnieg i musztrował ich jak żołnierzy z południa. W Nepan'ha zdobył kusze i zebrał o bełty u Głoga, aż w końcu czarnoksiężnik zrobił mu ich tyle, że mógłby ich używać jako kołków do namiotów – masywny wylew mocy, ale taki, który pozwolił Orleyowi przemienić najmniej użytecznego chłopaka w bezgłosego zabójcę.

Kazał im zbudować długą szopę do ćwiczenia strzelania i drugą, do spania, i za każdym razem, gdy przybywało pięćdziesięciu kolejnych, nakazywał stawianie następnego baraku.

Chciał wykopać studnię, lecz w końcu musiał się zadowolić wodą przynieszoną ze świętego jeziora. Wszyscy chłopcy przez jakiś czas wzdragali się przed piciem, ale obeznanie zrodziło lekceważenie i codziennie pili świętą wodę, po czym bili się między sobą i skutki były brutalne.

Wśród rekrutów były również dziewczęta i chłopcy z nimi sypiali, ale żadna nie zaszła w ciążę – bez wątpienia działała tam jakaś mroczna magia, lecz nie było to coś, czym Orley musiałby się przejmować, chociaż ich puste oczy i długie włosy były jak oskarżenie. Nie krzyczały i skarżyły się nie bardziej niż reszta jego dzieci-żołnierzy, a on chodził wśród nich niczym bóg wojny, rozkazywał im ćwiczyć, myć się, rozbierać, ubierać... i w końcu zaczęli słuchać. Starsi chłopcy się opierali, dopóki nie zabił jednego z nich.

Orley urósł. To go zszokowało – przecież dawno temu przestał rosnąć. Stał, patrząc na dół naszywanych paciorkami nogawic, widział gołe kostki i zastanawiał się, dlaczego nagle urósł o cztery palce i co to może zwiastować, kiedy nagle pojawił się Głóg w ludzkiej skórze.

– Wybierz dla mnie swoje dwie najbardziej bezużyteczne gęby – polecił mu czarnoksiężnik.

– Nie ma sprawy – powiedział Orley.

Zaprowadził maga do głównej szopy i znalazł rosnącego chłopaka z nogami i

ramionami pękatymi jak szynki. Młokos sikał na drugiego, przytrzymywanego na ziemi przez trzech innych.

– Ogon! – krzyknął Orley.

Chłopak podciągnął przepaskę biodrową.

– Czego? – zapytał jękliwie.

– Jesteś potrzebny. – Orley trzepnął go po głowie, a potem chwycił drugiego chłopaka, kurdupla trzymanego przez innych. – I Wiewiórka. Mistrz chce was obu.

Chłopcy natychmiast się uciszyli, a ich strach wręcz cuchnął.

– Sytuacja zacznie się rozwijać – powiedział Głóg. – Twoi wojownicy nie robią na mnie wrażenia, Orleyu. – Głos miał chrapliwy i niski.

Wojownicy odsuwali się od niego.

Może powodem była długa drzazga, która przesywała jego brzuch, i pęto jelit zwisające z pleców. A może zapach.

– Jesteś ranny?

– Nie – odparł Głóg.

Czarnoksiężnik nigdy nie wydawał się tak obcy jak w tej chwili. Orley zmusił się, żeby wzruszyć ramionami. Zmusił się, żeby rozmawiać z nim jak Orley.

– Puls i Wążka mi mówią, że Galowie splądrowali Mont Reale. – Urwał, żeby się przyjrzeć reakcji swojego pana, ale na próżno. W skórze Mówiącego Językami Głóg niczego nie zdradzał. – Będziemy mieli jeszcze więcej rekrutów, jeśli wypowiemy im wojnę – zapewnił.

Głóg nawet nie drgnął.

– Nie. Wykorzystamy ich jako sprzymierzeńców. Rozgromili Północnych Huranów. Nie ma niczego do zyskania od pokonanych.

Orley powiódł wzrokiem po chłopcach i dziewczętach, którzy tworzyli jego „armię”.

– Rozumiem.

Nie po raz pierwszy się zastanawiał, jak nieprzewidywalny jest jego nowy pan i jak łatwo mógłby się pozbyć jego małej armii.

– Kiedy skończę pracę nad pewnym projektem, pójdę do Galów i pomogę im opracować kierunek działania. – Głóg pokiwał głową. Jego twarz była idealnie pozbawiona wyrazu.

Orley miał wrażenie, że rozmawia z kamieniem.

Niewzruszenie patrzył mu w oczy.

– Potrzebuję zbroi, mieczy, więcej kusz i hełmów. Może koni. Miejsca do

szkolenia.

Głóg pokiwał głową.

– Dobrze. Zajmę się tym.

– Kiedy będziemy walczyć? – zapytał Orley. – Obiecałeś dać mi Muriena.

– Jego żona dobrze się spisała, żeby go przede mną ostrzec. – Ton czarno-księżnika stał się chłodny. – Wszystko rozegra się na wiosnę. Ćwicz, Orleyu. Okaż się godny. Ponieważ, gdy będę miał Galów, możesz przestać mi być potrzebny, jak ty nie potrzebujesz tej dwójki, mimo że ten należy do najsilniejszych.

Obaj chłopcy wybuchli płaczem.

Wciąż płakali, kiedy Głóg karmił nimi jaja, które pożarły ich dusze.

## **N'gara – Redmede, Mogan i Baśniowy Rycerz**

Redmede usłyszał natarczywe pukanie do drzwi. Narzucił szatę i poszedł otworzyć. Cały dom się trząsł – słomiane maty powiewały, wpuszczając poddmuchy zimnego powietrza. Wyciągnął bułat, otworzył drzwi...

Za progiem stała Mogan, wysoka jak koń bojowy, z pióropuszem wyprostowanym na głowie.

– Chodź – powiedziała. – Jesteś mi potrzebny. Ubierz się ciepło.

Redmede popatrzył na Bess, która siedziała na sienniku, zarzuciwszy ciężkie wilcze futro na ramiona.

– Pójdę – powiedział Redmede.

Była to trudna decyzja. Wiedział, że Mogan może go pożreć. Nawet w tej chwili czuł płynące od niej fale strachu. Ale panowała nad sobą lepiej niż inni Opiekunowie, mimo że jej obce ciało wyrażało potrzebę pośpiechu.

Wciągnął dwie pary spodni, jedne na drugie, i na wierzch nogawice z jeleńniej skóry, po czym zdjął ze ściany ocieplone futrem zamurzańskie buty z grubej łosiowej skóry i wysoko je zasznurował. Zarzucił na plecy porządną wełnianą pelerynę w jackowej bieli, przypasał bułat i wziął łuk, który napiął w ciepłe chatki. Zapiął stary kaptur, włożył na niego futrzaną czapkę i naciągnął na dłonie lekkie rękawiczki. Bess wsunęła na nie grube rękawice z jednym palcem uszyte z wełny i skóry.

Obecnie Bess była kimś więcej niż tylko jego partnerką. Czasami widział Warownię jej oczami – uwielbiała obserwować duszki, irków i Opiekunów. Dla niej wszystko to było jak powołane do życia opowieści z dzieciństwa i żyła w swoistym raju. On widział Opiekunów tylko jako potwory i jej wizja

trochę go uspokajała.

– Pomóż jej – szepnęła Bess. – Jeśli Mogan potrzebuje twojej pomocy, to może pomóc nam wszystkim.

Pocałował ją, po czym wyszedł na przeraźliwie zimno.

Wysoka demonica stała otulona w futra i była dwa razy grubsza niż zwykle.

– Moje plemię wypromieniowuje całe ciepło – wyjaśniła. – Zima jest dla nas bardzo niebezpieczna.

– O co chodzi, pani? – zapytał.

– Umiesz jeździć wierzchem? – zapytała.

Skrzywił się.

– Nie ma ani jednego konia w tym mieście.

Potruchtała, jej potężne trójpalczaste stopy spłaszczwały przed nim śnieg, więc mógł iść bez wysiłku, wyjąwszy miejsce, gdzie się przedarła przez zasnę. Zaprowadziła go do ogromnej bramy Warowni.

– Tapio trzyma łosie bojowe. Tamsin kazała osiodłać jednego dla ciebie.

– O co chodzi? – powtórzył Redmede.

– Tapio zaginął w śniegach – odparła. – Mogę go znaleźć, lecz potrzebuję pomocy. I nie jest to coś, o czym on będzie chciał wiedzieć.

– Psiamać – zaklął Redmede.

Czuł się straszliwie bezradny, ale czepiał się myśli o tym, jak Bess lubi te... potwory. I Tamsin nigdy nie była dla niego istotą z baśni. Wszedł do jaskini przez kurtynę ciepła – jakieś potężne czary chroniły wejście – i tuż za progiem dwóch małych irków trzymało zwierzę podobne do łosia, tyle że z porożem odgiętym do tyłu. Zwierzę miało rząd koński, choć dziwnie uformowany, zdobiony dzwoneczkami na nakrapianej zielonej skórze.

Dwaj irkowie się uklonili.

Tamsin, którą Bess zwała Baśniową Królową, stała po drugiej stronie zwierzęcia. Czuł jej obecność i zapach. Pachniała jak światło słońca, cynamon i balsam z Gileadu. Ukłonił się. Był to odruch – on, Bill Redmede, równy wszystkim innym ludziom, bez wahania giął się w ukłonie przed Baśniową Królową.

– Znajdź go, panie rycerzu – poprosiła.

– Nie jestem rycerzem.

Jej smutny uśmiech powiedział mu, że jego zdanie nie ma znaczenia.

– Co z twoim ludem? – zapytał.

– Jedź, proszę – odparła.



Nie mógł się jej oprzeć. Wsunął nogę w strzemię i zwierzę stęknęło:

– Siedzisz?

Redmede nie zdołał pohamować okrzyku.

Tamsin podała mu amulet.

– On go znajdzie. Nawet jeśli nie żyje.

Łoś potruchtał w śnieżycę.

– Słyszysz mnie, człowieku?

Redmede starał się opanować drżenie rąk. Wszystko w irkowym królestwie budziło w nim lęk.

– Jak ty to robisz?

– Kto wie? Usiądź wygodnie. Nie bój się, nie zrzucę cię. Ty rób swoje i ja będę robić swoje. I nie używaj tego pieprzonego wędzidla, dopóki nie będziesz musiał, bo inaczej się przekonamy, który z nas jest silniejszy. Rozumiesz?

Redmede ostrożnie położył wodze na ciepłym karku zwierzęcia i tam je zostawił, związane. Łoś przyśpieszył. Mogan truchtała obok nich.

Zbyt szybko opuścili ciepły półmrok Warowni i zostawili za sobą otaczającą ją chaty.

– Dlaczego? – zapytał Redmede. – Nie jestem niechętny, pani, ale dlaczego ja?

Mogan biegła. Biegła w milczeniu tak długo, że Redmede doszedł do wniosku, że nie udzieli mu odpowiedzi, gdy nagle przeskoczyła nad kilkoma powalonymi drzewami i się zatrzymała.

– Jesteśmy w Dzicy, człowieku. Jeśli jego ludzie podejrzewają, że jest sam w śniegach, ciężko ranny... cóż. Wystarczy powiedzieć, że jego żona prosi Opiekunkę i człowieka, żeby go uratować.

Odwróciła się zwinniej, niż miało to prawo zrobić stworzenie jej wielkości, i potruchtała w głąb lasu.

## **Tracja – Eskepiles**

– Mój ojciec nigdy się nie zgodzi na jawne zabójstwo – powiedział Demetriusz.

Eskepiles nalał mu więcej grzanego wina.

– Nadszedł czas, Wasza Książęca Mość. Jeśli pozwolimy uzurpatorowi trzymać miasto przez zimę, przegramy.

Demetriusz usiadł. Pomimo porywczego charakteru miał bystre oczy my-

ślącego człowieka i teraz wpatrywał się w Eskepilesa.

– Mój ojciec powiedział, że już przegraliśmy. Że wszystkim, co pozostało z naszej sprawy, jest przekonanie się, jaką część północy zdołamy utrzymać.

Eskepiles pokręcił głową.

– Twój ojciec jest tylko przybity. To była lokalna porażka, kwestia maszerowania...

Demetriusz zaklął.

– Posłuchaj, magistrze. Może osobą, której potrzebowaliśmy najbardziej, byłeś ty. Ten Czerwony Rycerz ma na zawołanie wszelkie rodzaje czarów. Zneutralizował moich dwóch preceptorów, gdy tylko zaczęły się działania. Pchnął przed siebie burzę z taką łatwością, z jaką gospodyni porusza zasłoną.

Eskepiles pokiwał głową.

– Zgadzam się. Dlatego musimy się go pozbyć.

Demetriusz pociągnął kolejny łyk wina.

– Świat jest pełen synów, którzy spiskują przeciwko swoim ojcom. Ja do nich nie należę. Nie lubię zdradzać zaufania ojca.

Pomimo tych słów Eskepiles czuł, że jego rozmówca zaczyna się wahać.

– Nie zdradzamy twojego ojca, tylko ratujemy jego sprawę. Czy cesarz był dobrym władcą? Nie. Był słabym głupcem, który ustępował każdemu cudzoziemcowi. Mogę mówić szczerze? Nawet uzurpator lepiej włada cesarstwem niż cesarz. Wiem, że to bluźnierstwo, ale słuchaj, Wasza Książęca Mość. Nie dołączyłem do tej rebelii, żeby zdobyć większą władzę albo powiększyć włości. Są ważniejsze sprawy. Musimy wygrać. Dlatego wyślij tę wiadomość. Kiedy uzurpator zginie, będziemy mogli się kajać i krzyczyć *mea culpa* przed twoim ojcem.

Demetriusz znowu się napił.

– Będzie nam potrzebna jego pieczęć.

Eskepiles pokiwał głową.

– I jutro wysłannik wyruszy do miasta. Musimy się śpieszyć.

## **Liwiapolis – Kronmir i Mortimir**

Ponad tydzień po powrocie do miasta Kronmir stał przy Bramie Aresa i patrzył, jak armia cesarska maszeruje w śniegu. Zostali powiadomieni wczorajszej nocy i było powszechnie wiadomo, że odnieśli jakieś wielkie zwycięstwa i że mieli ze sobą istną fortunę w futrach. Mógłby kląć, ale nie zawracał sobie tym głowy. Kronmir wiódł pomyślne życie dzięki temu, że zajmował się tyl-

ko tymi sprawami, które mógł kontrolować. Trzeba jednak powiedzieć, że miesięczna zimowa kampania diuka i jej rezultaty sprawiły, że zaczął się głęboko zastanawiać nad intencjami swojego mocodawcy i nad trwałością sprawy, którą reprezentował. Z tego względu poświęcił parę dni na podjęcie pewnych środków ostrożności.

Armia pod wodzą diuka sprawiała wrażenie triumfalnej i pomimo zimna żołnierze wyglądali na rozgrzanych. Byli wychudzeni; miesiąc w polu pozbawił ich tłuszczu i złachmanił odzienie, ale białe kaftany ukrywały te niedostatki. Ich konie wyglądały na w miarę zdrowe, a długa karawana wozów za jeźdźcami wymownie świadczyła o triumfie – Kronmir naliczył sto sześćdziesiąt wozów. Dużych wozów, wielu ciągnionych przez woły.

Mistrz szpiegów stał w mroźnym powietrzu z dłońmi wsuniętymi głęboko w rękawy podbitego futrem kaftana i rozmyślał, jak jego agenci mogli nie zauważyć przygotowań, które umożliwiły tej armii przemaszerowanie tysiąca mil w środku zimy.

Nie mógł również nie zauważyć, że mieszkańcy miasta – po dziesięć rzędów przy bramie i po sześć na placach – witają armię niczym tłumy szaleńców. Pozdrawiali radosnymi okrzykami ogorzałych stradiotów, którzy wyglądali dumnie jak sam Piłat, co do jednego; wiwatowali na cześć dzielnych wardariotów o twarzach tak zaczerwienionych od wiatru, że pasowały do ich tabardów; krzyczeli radośnie, widząc wspaniałych scholistów, którzy w białej wełnie prezentowali się może mniej wspaniale, ale nosili się jak książęta. Ryczeli na widok Nordykanów, którzy przejeżdżali w kołyszących się długich kolczugach, z tatuażami niemal czarnymi na tle białej od mrozu i rumianej od słońca skóry, śpiewając hymn na cześć Dziewicy Parthenos. I, co najbardziej niepokojące, zdzierali sobie gardła dla diuka na wysokim karym koniu, mającego na sobie coś, co wyglądało na pelerynę z gronostajów – idealnie białych gronostajów. Megas Ducas trzymał w ręce włócznię, oznakę dowódcy, i pozdrawiał nią tłumy jak cesarz z dawnych czasów.

Za karawaną z futrami jechało czterdzieści ciągnionych przez woły pojazdów, ledwie kół z osiami, na których leżały ciężkie ładunki drewna.

Kronmir poszedł do swojej gospody, zamknął drzwi drogiej prywatnej izby i napisał długą zaszyfrowaną wiadomość, którą miała przekazać jego nowa służba łączności. Wyszedł pod wieczór i wcisnął zwój pergaminu do ołowianej rury przymocowanej pod wozem rolnika – dokładnie tam, gdzie powinna być.

Po zaczopowaniu rury wrócił w padającym śniegu do gospody i słuchał okrzyków triumfującego miasta. Zamówił kubek grzanego wina, usiadł plecami do ściany i rozgrzewał stopy na stołku, dumając nad nową rzeczywistością.

Zastanawiał się, czy nie nadeszła pora, żeby przejść na drugą stronę.

Kronmir siedział w gospodzie, ciesząc się parującym kubkiem gorącego cydru i grzejąc stopy przy ogniu. Jego długie buty wisiały na ramie z tuzinem innych par i jeden z łobuziaków przewracał je od czasu do czasu za miedzianego cekina.

Szpieg miał za sobą pracowity i udany tydzień. Jego najbardziej zaufamy człowiek w pałacu dotarł do kogoś, kto mógł się okazać pożytecznym źródłem informacji wśród Nordykanów. Nordykanie słynęli z lojalności, ale podejrzewał, że uwięzienie cesarza wzbudziło pewne niezadowolenie. Z drugiej strony żołd wypłacony przez diuka sprawił, że dwóch potencjalnych agentów w ich szeregach straciło zainteresowanie jego propozycją. A może to wszystko było pułapką.

Westchnął. Warto było spróbować, chociaż najnowsze zwycięstwa diuka zagwarantowały mu wręcz nieodwracalne poparcie. Albańscy kupcy, nie bacząc na zimowe sztormy, odpłynęli na swoich wytrzymałych kogach, załadowanych po nadburcia najlepszymi futrami, ale Liga Etruska, zapłaciwszy grzywnę, też mogła przebierać w futrach i nawet zawierać prywatne interesy z Albanami. Kronmir nie otrzymał tej wiadomości z pierwszej ręki, lecz doszły go słuchy, że etruskie domy uniknęły zniszczenia i ich właściciele stali się dłużnikami diuka za to, że pozwolił im przetrwać.

Wyjął z sakiewki nóż, którego zwykle używał do jedzenia, i zamieszał nim cydr.

Poczuł, że ktoś go obserwuje, i uniósł wzrok. Zobaczył młodego rysownika ze świątyni za miastem. Dobrze go pamiętał, podobnie jak impuls, żeby go zabić.

Chłopak się uśmiechnął.

Kronmir odwzajemnił uśmiech. Żaden szpieg czy płatny zabójca nie błyskałby takim niewinnym uśmiechem w drodze do swojego celu. Mimo wszystko Kronmir wysunął smukłe otrze, które nosił z tyłu za pasem, i trzymał je wzdłuż lewej ręki.

– Stefan! – powitał go młodzieniec. Wyglądał na studenta, choć nosił miecz na pasie ze srebrnych i złotych płytek jak albański rycerz albo najemnik.

Kronmir przez chwilę był zdezorientowany, zanim sobie przypomniał, że przecież takie imię podał mu w ruinach na akropolu. Wstał i się uklonił.

Służący przyniósł krzesło i zgiął się w ukłonie.

– Mieszkaś w tej gospodzie? – zapytał Kronmir.

Młodzieniec przytaknął.

– Czerwone wino, kandiańskie, jeśli to możliwe. Takie jak wczoraj, dobre? – Bezbłędnie władał archaicznym, znacznie lepiej niż najemnicy, co potwierdzało przypuszczenie, że jest studentem. Usiadł. – Tak, to moja gospoda. A ty, panie?

Kronmir jęknął w duchu. Zabijanie chłopaka tylko doprowadziłoby do komplikacji. Ale przecież nie mógł mieszkać pod jednym dachem z zamożną osobą, która mogła go zidentyfikować.

– Zatrzymałem się tylko na kilka dni – powiedział, ciężko wzdychając w duchu. Spodobało mi się tutaj, pomyślał. – Zakładam, że studiujesz w Akademii?

Młodzieniec znowu się uklonił, na siedząco. Miał bardzo dobre maniere.

– Tak. Jestem Morgan Mortimir, szlachcic z Harndonu. Jestem *Scholasticus Affectus* w Akademii. A ty?

Kronmir wiedział, że tytuł oznacza prawdziwego adepta szkolącego się na czarodzieja. Zastanawiał się, czy młodzieniec jest dość młody, żeby dać się skusić propozycji szpiegowania, ale nie wkładał serca w ten pomysł. Zwerbuj szpiega-maga dopiero wtedy, kiedy będzie pewny swojego miejsca i bezpieczeństwa, a ta chwila nie jest odpowiednia.

– Jestem zwyczajnym kupcem, panie – odparł.

– Ha! A ja cię miałem za kolegę adepta.

– Z jakiego powodu? – Kronmir pozwolił sobie na szczery śmiech.

– Amulet, który nosisz, jaśniej jak latarnia w eterealu. Ach, panie, błagam o wybaczenie. Wiem, że niektórzy ludzie nie lubią rozmawiać o święcie niematerialnym.

Kronmir bawił się amuletem, który dał mu były mag cesarza.

– Naprawdę?

– Z pewnością jest bardzo potężny – kontynuował Mortimir. Pochylił się nad stołem, a Kronmir natychmiast się odsunął. – Przepraszam. Ciekawość zabiła kota i tak dalej. Zaprzestanę.

Ładna młoda kobieta w eleganckiej moreańskiej sukni i woalu przyniosła kieliszek wina, piękny, z dekoracyjnego szkła z drobnymi włóknami szkła w odcieniach błękitu i zieleni, a także karafkę. Dygnęła. Mortimir podniósł kie-

lich.

Kronmir zdusił narastający strach i powziął pochopną decyzję w rodzaju tych, które podejmował codziennie. Czasami łatwiej jest wiedzieć pewne rzeczy niż żyć w świecie strachu. Dlatego zdjął łańcuch przez głowę i podał go młodzieńcowi.

– Mój pan zapłacił za niego okrągłą sumkę – powiedział. – Ma umożliwić komunikowanie się na duże odległości.

Mortimir się uśmiechnął, nieco nieśmiało, jak zawsze, gdy w coś się angażował. Napił się wina i odwrócił amulet w palcach. Był to srebrny wisiołek w kształcie modlącego się człowieka. Obejrzał podstawę, ściągnął brwi, zważył amulet w dłoni. Coś w tym, jak się poruszył na krześle, zbudziło głębokie zaniepokojenie Kronmira. Jął wzrokiem szukać dróg ucieczki, co było jego odruchową reakcją na zagrożenie.

Mortimir trącił kciukiem dolną część amuletu i błysnął ogień – niebieski ogieniek. Rzucił amulet.

– No no – mruknął z entuzjazmem młodej osoby, pełnej szczerego podziwu dla skomplikowanego instrumentu. – Jest bardzo potężny. Jak daleko jest ten twój pan? W Etrurii? – zapytał ze śmiechem.

Kronmir wstał.

– Zdemaskowałeś wszystkie moje sekrety – powiedział, sięgając po amulet. – Jesteś nadzwyczaj bystry.

Mortimir spojrzał mu w oczy.

– Wahałbym się nosić całą tę nieosłoniętą *potentia* na szyi. Czy wzięłeś pod uwagę, panie, co może się stać, jeśli człowiek, który kieruje twoimi sprawami, niezbyt cię lubi? – Zaśmiał się. – Głupek ze mnie. Wybacz.

Kronmir uniósł brew.

– Dobrze wiedzieć – powiedział.

Tego popołudnia przeniósł się do innej gospody z jak najmniejszym zamieszaniem, ale szkoda została wyrządzona – chłopak wszędzie go rozpozna, a amulet był jak odznaka. Nagle owładnął nim niejasny lęk przed tym przedmiotem, jakby strach młodego studenta był chorobą, którą się zaraził. Wsunął amulet do kieszeni.

## **Tracja – Gelfred**

– Nie tak planowałem czcić narodzenie Chrystusa – poskarżył się Gelfred.

Kołek Amy parsknął głośnym śmiechem, a Daniel Favor wyszczerzył zęby.

Mieli sześć jednospadowych szałasów z gałęzi na starannie skonstruowanych ramach z młodych drzewek. Szalasy stały po obu stronach rowu, w którym płonął ogień, i razem wzięwszy, przypominały długi, bardzo niski dom zamurzański. Mężczyźni, a były ich tuziny, mogli leżeć z nogami w ciepłe ognia, z głowami pod najniższą, najbardziej przytulną częścią schronienia.

Szalasy pokrył śnieg, wręcz je zasypał, i w ten sposób ocieplił. Każda skóra z upolowanego jelenia została wykorzystana do uszczelnienia otworów i każda godzina światła dziennego powiększała ogromny stos drewna na opał, tworzący mur od północnej strony osłaniający szalasy przed wiatrem.

Dwa psy Favora leżały z głowami na łapach w pobliżu wejścia. Miały swoje skóry do leżenia, a ludzie zbierali resztki jedzenia i wabili je na swoje posłania, ale spały głównie z młodym wozakiem z Harndonu. Nawet teraz, u progu nocy, uniosły głowy, kiedy się poruszył.

– Jest najmłodszy i z tego względu najbardziej przypomina psa – powiedział Kołek Amy z nieczęstym u niego uśmiechem. Inni się roześmiali.

Gelfred zdjął garnek z ognia i zaczął rozdawać grzane wino.

– Chciałbym coś zrobić z okazji narodzin Zbawiciela – powiedział.

Młody Daniel pokiwał głową.

– Nie przed jutrem, ser Gelfredzie.

– Odśpiewanie kolędy nie robi nam krzywdy – powiedział Comasz.

Kołek Amy go trzepnął, a Comasz się zrewanżował kuksańcem.

– No co? Lubię śpiewać.

Ryży parsknął.

– Znam „Dobry odpoczynek racz im dać Panie”.

– Czy nie skrywamy się na terytorium wroga? – zapytał żalonym tonem Kołek Amy.

Młody Daniel parsknął pogardliwie.

– W okolicy nie rusza się nic prócz nas i jeleni – powiedział. – A jelenie są niezbyt ruchliwe – dodał ze śmiechem. Może był młody, ale zaliczał się do najlepszych myśliwych wśród najlepszych ludzi lasu. Cechowała go legendarna cierpliwość i jego strzały leciały prosto do celu.

Gelfred zakręcił gorącym winem i nalał kubek Kołkowi Amy, który go przyjął z zaskakująco uprzejmym skinieniem głowy, jakby wszyscy byli wielkimi panami.

– Poza tym – zaczął kulturalnym głosem – mamy wystawione straże na

drodze i na wzgórzu.

– Słodki Jezu, mistrzu Gelfredzie, to zbocze jest zimne jak cycki czarownicy – odezwał się Will Starling, ich najnowszy zwiadowca, były leśnik królewski.

Gelfred rzucił na niego okiem. Byli w tym samym wieku, a były leśniczy lubił siarczyste przekleństwa i sprośne odzywki, co niezbyt mu się podobało.

– Zimne jak dziewicza... – dodał Will z wyraźnym zadowoleniem.

Gelfred podał mu kubek grzanego wina.

– Panie Starling, życie jest wystarczająco ciężkie bez przypominania tym ludziom o kobietach, których nie mają. Ponadto sprawisz mi przyjemność, służąc ze mną, jeśli nie będziesz brał imienia pana Boga twego nadaremno i wspominał o częściach kobiecego ciała. Proszę. Napij się wina.

Starling nie miał nic przeciw temu, żeby dać się sprowokować, ale trudno jest żywić urazę do dobrze wychowanego człowieka, który częstuje kubkiem gorącego słodkiego wina w zimowy dzień. Dlatego się uciszył, mrużąc tylko pod nosem coś o stanie kapłańskim.

Młody Daniel wziął swój rogowy kubek i pokiwał głową.

– Ale on ma rację, ser Gelfredzie. Powinniśmy zbudować osłonę. Coś w rodzaju kosza, jakbyśmy polowali na jelenie czy kaczkę. Wiatr na zboczu przenika przez pelerynę, kaftan, koszulę, buty i wszystko inne.

– Po samego kutasa – wtrącił Starling, ale nie włożył w to serca.

Lampa olejna, która płonęła przy wejściu, nagle zamigotała i usłyszeli ciche brzęczenie, niczym roju szerszeni w środku lata.

– Kompania! – krzyknął Gelfred i w jednej chwili wszyscy chwycili broń.

Byli ubrani w zimowe stroje i większość miała buty pod ręką. Favor narzucił przez głowę wełniane okrycie, podniósł włócznię na dziki i wyszedł w lodowate powietrze o zachodzie słońca. Wsunął stopy w pętle raket śnieżnych i podreptał w stronę drogi.

Wartownicy mieli instrument sporządzony przez Gelfreda, który opanował *ars magicka*. Brzęczenie oznaczało drogę, a wysoki, czysty ton zbocze wzgórza. Favor potruchtał spory kawałek na północ od stanowiska wartownika, Krótkiego Zęba, który miał baczenie na drogę i nie powodował fałszywych alarmów. Szedł szybko, z daleka omijając podszyt dumnie sterczący ze śniegu, żeby trzask gałęzi nie zdradził jego pozycji. Kiedy wszedł na niskie wzniesienie nad drogą, padł płasko na śnieg i poczołgał się na skraj skarpy.

– Mam przepustkę, przygłupie! – krzyknął mężczyzna na wozie. – Zimno, psiamać, i chcę przebyć przełęcz, nim znowu zaczną sypać.



Krótki Ząb powoli okrążył okazały wóz wysoki na dwóch chłopa, z kołami zapadniętymi po osie w grubym na trzy stopy śniegu. Były to wyjątkowo duże koła.

– Co wieziesz? – zapytał Krótki Ząb.

Favor zobaczył, że Comasz pada na śnieg parę kroków od niego, bliżej wozu. Napinał kuszę dźwignią, przekręcając się na plecy po drugiej stronie drogi. Will Starling wsunął się za martwe drzewo i zamarł.

– Zboże na targ – odparł woźnica. – Słuchaj, służysz staremu diukowi czy nowemu?

– Może się zamkniesz, a my obejrzymy twoje zboże – powiedział Krótki Ząb. Przeszedł na tył wozu i staranie napiął kuszę. Była to bardzo droga broń ze stalowym orzechem.

Mężczyzna na wozie ją zobaczył.

Favor zeskoczył na drogę i biegł lekkim krokiem w raketach śnieżnych.

Krótki Ząb rzucił na niego okiem i czekał.

– Jest drugi! – krzyknął mężczyzna na koźle i nagle się zaczęło.

Tył wozu jakby się podniósł i Krótki Ząb odruchowo nacisnął spust. Belt przeszył brygantynę i krew bryzgnęła na śnieg.

Drugi mężczyzna w wozie napiął kuszę, ale łuczysko było cisowe, a on go nie ogrzał, więc pękło. Favor trzasnął go drzewcem włóczni w głowę.

Woźnica padł twarzą w śnieg ze strzałą Starlinga w karku. Zalał go gejzer krwi i miotał się, tworząc obscenicznego śnieżnego anioła w czerwonej agonii.

W wozie było ich więcej i Favor dostał prosto w brzuch. Zgiął się z bólu i upadł, śnieg ziębnił mu twarz i zimna wilgoć niszczyła jego kaftan.

Gelfred przystąpił do dzieła – powietrze się ogrzało od błysku nad jego głową, a potem ludzie na skarpie zaczęli zasypywać wóz drzewcami. Favor wiedział, że został paskudnie ranny, i wciąż był w pełni świadom – słyszał szcęk dźwigni, gdy Krótki Ząb napinał dźwignią stalowy łuk, a potem trzask, gdy ją złożył.

Ktoś wczołgał się pod wóz i szły bełtami przez deski łoża. Co więcej, płócienna buda nie zapewniała żadnej ochrony ukrytym pod nią ludziom. Krew zaczęła wyciekać pomiędzy deskami.

– Poddajcie się! – krzyknął Gelfred. – Inaczej wszyscy zginą.

Favor słyszał ludzi hałasujących w wozie i słyszał, że ktoś rzuca coś ciężkiego na śnieg.

Gelfred przyskoczył do niego w tuzin uderzeń serca.

– Zostań ze mną, chłopcze. Jest Boże Narodzenie. Nikt nie umiera w Boże Narodzenie. Wszyscy żyją.

Favor zakasłał i z jego ust popłynęła krew.

Nagle wszystko jakby się oddaliło.

– Ściągnąć ich z wozu, rozbroić. Położyć Daniela na wozie. Starling, chodź z nami. Ogrzewaj go. Kołek, przejmujesz posterunek.

Gelfred pochylił się nad nim i przesunął rękę nad jego oczami i wszystko było...

Gelfred zwrócił się do rannego jeńca.

– Śpieszę się. Nie mam czasu na pogrózki.

Mężczyzna, wojownik ze wschodu, wzruszył ramionami.

– Ten nie piśnie słowa, nawet jeśli obetniesz mu palce – powiedział Starling. – Ale ten będzie śpiewać.

Młody Trak, którego Favor uderzył drzewcem włóczni, obrócił głowę i zwymiotował.

Inni zajęli się pozostałymi Trakami, zostawiając Gelfreda, Starlinga i Comasza z trackim chłopakiem.

– Mów – polecił Gelfred.

Chłopak na niego spojrzał. Miał ogromne źrenice.

– On może wyssać duszę z ciała – powiedział Starling.

Może to była przerażająca groźba, tyle że chłopak znał wyłącznie moreański archaiczny i nie rozumiał ani w ząb po albańsku.

Gelfred się nad nim pochylił.

– Jesteś tylko sześć mil od miasta w czasie najgorszej pogody od dziesięciu lat. Jechałeś ze wzgórz ze strażą wschodnich wojowników.

Chłopak złapał się za głowę.

– Służysz diukowi Andronikusowi? – zapytał łagodnie Gelfred.

– Tak – odparł chłopak i to go zgubiło.

Chwilę później wylewał z siebie swoje lęki i Starling patrzył na niego z pogardą.

Na koniec Gelfred kazał Comaszowi zabrać młodego człowieka do pozostałych jeńców.

– Diuk będzie chciał się spotkać z nimi wszystkimi – powiedział. – Zostawcie tu Kołka Amy, Comasza i Krótkiego Zęba. Obserwujcie drogę i zapomnijcie o zboczu. Reszta ma się wyspać w ciepłe. Konie!

Rozległ się okrzyk i kilka minut później ruszyli w drogę.

– Przywieź nam coś miłego – poprosił Kołek Amy. – Jest Boże Narodzenie.

– Wystarczy nam pomyślna wiadomość o życiu chłopaka – powiedział Comasz. – I trochę piwa.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY



### **Harndon – Dwór Bożego Narodzenia**

Królowa nade wszystko uwielbiała Boże Narodzenie i przyozdobiła Wielką Salę pałacu tak, jak w dzieciństwie robiła jej matka, wieńcami bluszczu i kulami jemioly. Odwiedzała złotników i krawców i starała się bez przerwy mieć jakieś zajęcie, żeby odpędzić mroczniejsze myśli.

– Zrobisz krzywdę małeństwu – przestrzegła ją Diota. – Nie ma sensu chować sekretu przed królem.

Królowa wzruszyła ramionami.

– Jestem panią samej siebie, jak się zdaje – powiedziała z odrobiną dawnego hartu, ale w istocie rzeczy codzienne mdłości i wrażenie, że się rozdyma,

odbierały jej radość ze słownej potyczki z piastunką.

Co więcej, była drażliwa, znacznie bardziej niż zwykle. Zwykle w Adwencie przepępiała ją pełna zmęczenia złość i miała pretensje do tych niegodnych uczuć za ingerencję w jej życie.

– Dziecko to także jego sprawa – zaznaczyła Diota. – Codziennie w tych salach słyszę podłe kłamstwa, dlatego uważam, że jak najszybciej powinnaś go powiadomić, że zostanie ojcem.

– Najpierw chcę się dowiedzieć pewnych rzeczy – oznajmiła Dezyderata.

– Uważaj, żeby król nie chciał tego samego – burknęła Diota.

– Nianiu, jesteś... – parsknęła królowa.

Diota ją uściskała.

– Nie podaję w wątpliwość ojcostwo twojego maleństwa, jeśli o to ci chodzi. Mówię tylko, żebyś w końcu mu powiedziała.

Tak oto kilka dni przed Bożym Narodzeniem, po wychyleniu pucharu wiatowego, gdy król ją pocałował pod jemiolą, królowa zaprowadziła go do łóżka stojącego wśród istnego zamku gobelinów i koszy z węglami.

Król jak zwykle zdawał jej szybkie sprawozdanie z wypadków dnia, a ona śmiała mu się w brodę, studząc jego gorączkowy zapał, i w końcu położyła jego rękę na swoim brzuchu.

– Posłuchaj, kochanie. Tam się coś porusza – powiedziała.

– Kolacja? – zapytał z cichym śmiechem.

– Dziecko.

Jego dłoń zeszywniała.

– Jesteś pewna?

Roześmiała się.

– Wiem tyle samo, co każda dójka, i trochę więcej. To chłopiec. Urodzi się w czerwcu.

Król oddychał bezgłośnie, leżąc przy niej w ciemności.

– Powiedz coś, kochanie – poprosiła Dezyderata.

– Przecież nie mogę płodzić dzieci – rzekł ponuro. Odsunął się od niej.

Chwyciła go za biodro.

– Tak, możesz. I spłodziłeś.

– Pani, nie jestem głupcem – syknął.

– Panie, nie mów tak. Nigdy bowiem nie położyłam się z żadnym mężczyzną prócz ciebie.

– Nie?

– Czy wątpisz w moje słowo? – zapytała i poczuła, że korzenie jej życia i

podwaliny jej miłości topią się niczym wosk w ogniu.

Król usiadł.

– Nie powinniśmy prowadzić tej rozmowy. Nie teraz – oznajmił ostrożnie.

Usiadła obok niego. Znalazła świeczkę, rozmyślnie przechylając się w taki sposób, żeby jej piersi musnęły jego tors. Czarami zapaliła świeczkę i obsadziła ją w lichtarzyku, żeby widzieć jego oczy.

Wyglądał jak ranne zwierzę.

W jej oczach wezbrały łzy, ale je zwalczyła, ponieważ coś jej mówiło, że ma tylko tę jedną szansę, żeby go przekonać, że będą mieli dziecko, zanim się uzbroi – zwiedziony król, nietykalny.

– Kochanie, spójrz na mój brzuch. To ja. Nigdy nie położyłam się z innym i zaszłam w ciążę dopiero wtedy, gdy tak postanowiłam. – Pochyliła się. – Pomyśl, kim albo czym jestem.

– Nie mogę spłodzić dziecka. Jestem... przeklęty. – Wyszlochał ostatnie słowo.

Położyła rękę na jego piersi, a on się nie opierał.

– Skarbie, mam moc. Jestem taka, jaką mnie Bóg stworzył. I myślę... myślę, że przełamalam twoją klątwę. – Uśmiechnęła się. – Z Bożą pomocą, i pewnej nowicjuszki.

– Nie moją klątwę! – jęknął.

– Zatem czyją? – zapytała.

Pokręcił głową i nie chciał spojrzeć jej w oczy.

– Mężu, kiedy *belle soeur* popracowała nad nami swoją wolą i uczyniła nas całością... – Urwała, przypominając sobie tę chwilę, próbując przywołać trochę chwały, jaką wtedy czuła. Wrażenie wyzwolenia. Pocałowała go. – Przełamalam twoją klątwę, roztrzaskała ją. Czuję to.

Król złożył głowę na jej piersi.

– Gdybyś tylko miała rację...

Zasnął, a ona leżała bezsennie, gładząc dłonią jego pierś i próbując znaleźć poszarpane końce klątwy, ale została zerwana zbyt dawno i czuła tylko skraj rany, którą zostawiła na świecie.

Później król się zbudził i zaczęli się kochać.

Jeszcze później obudzili się razem i jeden dzień ubył do Bożego Narodzenia. Dezyderata pomyślała, że może wszystko się zagoi.

Sto pokoi dalej sieur de Rohan położył lady Emmotę na łóżku, a ona westchnęła.

– To grzech – szepnęła. Odepchnęła go. – Nie możesz tylko mnie pocałować?

– Jaki grzech, kiedy dwoje kochanków tworzy jedną duszę? – zapytał.

Leciutko musnął językiem jej obnażoną pierś, a ona zacisnęła ręce na jego twardych, umięśnionych ramionach, gdy wsunął się na łóżko obok niej, ciepły i mocny, pachnący tylko cynamonem i goździkami.

Pocałowała go i wdychała jego zapach. I pozwalała jego rękom błądzić po swoim ciele.

Było pięknie – ale nie trwało to długo.

Wsunął kolano pomiędzy jej nogi, co się jej nie spodobało. Mocno go odepchnęła.

– Zrób miejsce, dziwko – warknął. – Przecież tego chcesz.

Pchnął ją na łóżko. Ugryzła go, a on ją uderzył.

Próbowała z nim walczyć.

Krzyczała. Roześmiał się.

– Jak myślisz, po co tu jesteś? – zapytał.

Odwróciła się i płakała w poduszkę, która pachniała nim, a on ją uderzył. Podciągnęła pościel, żeby się osłonić, a on ją z niej zerwał.

– Jeszcze z tobą nie skończyłem, *ma petite*.

– Ty... – wykrztusiła. – Ty fałszywy...

– Zerznięcie kurwy nie jest przestępstwem – powiedział.

Zakrztusiła się.

– Jaka pani, taka panna – dodał de Rohan. – Nie martw się, moja mała *putain*. Kiedy dwór się dowie, co zrobiła twoja pani, nikt nawet nie zauważy, że wypadłaś z łask. Poza tym masz ciało stworzone do zaspokajania mężczyzny.

Po chwili jął przemawiać pieszczotliwie, znów używając ciepłego języka miłości.

## **N'gara – Mogan i Bill Redmede**

Lasy były pełne śniegu, i było w nich coś innego – coś, co się poruszało na granicy zmysłów Redmede'a, zbyt szybkie, żeby ułović okiem, zbyt małe albo zbyt ciche.

Mogan biegła na wschód, jej ciężkie stopy zostawiały trójkątne dziury w śniegu. Łoś kłusował lekkim krokiem i chwilami zdawało się, że muska powierzchnię śniegu. Od czasu do czasu robili przystanki, a wtedy Redmede trzymał amulet w garści i sprawdzał ogień w jego głębiach. Podążali za iskrą

na północny wschód.

Po zmroku przecięli trop, wyraźny w księżycowej poświacie – ślady człowieka z saniami. Redmede potarł brodę.

– To Nat Tyler – powiedział. – Poznaje po śladach.

Mogan pokręciła potężną głową.

– Jest za zimno i nie mogę jasno myśleć, człowieku. Czy obecność tego drugiego człowieka coś oznacza?

– Nie mam pojęcia – przyznał się Redmede, ale kiedy sprawdził amulet, zobaczył, że ślady Tylera skręcają pod ostrym kątem i łączą się z linią prowadzącą do Tapia.

Pobiegli.

Księżyc wspiął się wysoko na nocne niebo i Redmede ocenił, że dochodziła północ, kiedy znaleźli Tapia. Wisiał na drzewie nadziany na jedną ze złamanych gałęzi. Jego krew ściekała po sędziwym dębie.

– Słodki Chryste... – szepnął Redmede.

– Prawie – wymamrotał Tapio. – Znowu, Człowieku, będę zawdzięczać ci życie.

Mogan potrząsnęła głową.

– Co zrobimy? – zapytała. – Zachowałam władzę nad mocami, ale jak ściągnąć go z drzewa?

– Nie możesz go podnieść za pomocą czarów? – zapytał Redmede.

Mogan skinęła głową.

– Tak, jeśli tylko zmuszę otępiały umysł do pracy.

W końcu Redmede wspiął się na sędziwe drzewo i przeciął gałąź, na której wisiał Baśniowy Rycerz, gdy czerwona krew spływała po pniu i nie zamarała. Wrzucił irka, wysokiego jak człowiek, ale lekkiego jak powietrze, na zad wielkiego łosia, który stęknął.

– Nie udźwignę was obu. Przykro mi.

Redmede sięgnął po rakiety z siodła i założył je. Już mu brakowało ciepłego grzbietu zwierzęcia.

Tapio uniósł głowę.

– Dziękuję wam obu.

Mogan pochyliła głowę.

– Czy to sprawka Głoga?

Tapio Haltija parsknął śmiechem i coś zagrzechotało mu w piersi.

– Musimy się pośpieszyć, jeśli chcecie uratować moje bezwartościowe ciało. To nie był Głóg. To był cień Popioła.



Mogan chrząknęła i w jej gardle zrodziło się straszne głębokie warczenie, które zjeżyło Billowi włos na głowie.

– Więc mój brat miał rację.

– Popioła? – zapytał Radmede.

Mogan pokręciła głową.

– Dwadzieścia mil dzieli nas od ciepła i bezpieczeństwa, a ta noc jest pełna grozy nawet dla kogoś takiego jak ja. Idziemy.

Z drogi powrotnej Redmede nie zapamiętał niczego oprócz wrażenia ogromnego zmęczenia i zimna. Szli i biegli – kiedy tracił czucie w nogach, biegł przez jakiś czas, dopóki nie zaczęły boleć, a potem znowu szedł. Las wokół nich trzaskał w wielkim zimnie, które spływało z góry jak wielkie dławiące dzieło hermetyczne i spadało na cały las.

Kiedy pierwsze światło zajaśniało na wschodzie, Redmede był tak zmęczony, że chciał się położyć na śniegu i zasnąć, lecz wiedział, do czego to doprowadzi.

To wielka Opiekunka, Mogan, pierwsza się zachwiała. Zataczała się jak pijana, kręciła wkoło i postękiwała.

Tapio, który milczał od wielu mil, uniósł głowę.

– Człowieku! – syknął. – Ona potrzebuje ognia, bo inaczej umrze. Nagłą śmiercią.

Redmede wiedział, jak rozpalić ogień. Napędzał go strach – nazbierał drewna tak szybko, jak tylko stopy chciały go nosić. Znalazł brzozę, obaloną i martwą, ale niepokrytą śniegiem; ściągnął rękawice, powiesił je na szyi i odmroził ręce, odzierając korę. Przyniósł mnóstwo kory i spiętrzył ją pod chrustem. Na skraju polany dwa martwe świerki leżały jeden na drugim.

Mogan zawodziła, stojąc w bezruchu.

Wszystko zależy od ciebie, Billu Redmede. Los świata. Uśmiechaj się, kiedy to mówisz. Krzesiwo – jest. Zwęglone płótno – jest. Położył kawałek czarnego płótna na krzesiwie i uderzył kawałkiem stali. Jedno i drugie było ciepłe, gdyż nosił je przy skórze, i strzeliły iskry.

Płótno się zajęło. Pomyślał o Bess, o tamtej nocy w mokrym lesie, gdy dmuchał na węgielki. Wsunął szmatkę w pakuły. Były zimne, ale suche, i po chwili miał ogień.

Rzucił płonące pakuły na stos brzozowej kory.

Buchnął gryzący dym...

Przez chwilę myślał, że kora się nie zapali.

A potem soki brzozowej kory roztajały na tyle, żeby się zająć, i światło z

cieplem wybuchło na świecie – jedyna magia, jaką znał Bill Redmede, może z wyjątkiem strzelania z łuku. Płomienie lizały korę.

– Dobra robota, człowieku – pochwalił go łoś, chociaż się odsunął. Żadne stworzenie Dzikich nie kochało ognia.

Dwa martwe świerki zapaliły się od gałęzi i kory.

Redmede w końcu musiał złapać Mogan za rękę i przyciągnąć ją do ogniska. Ledwie się poruszała.

Ale po paru minutach znowu była sobą.

– Dopilnuj, żeby podpiekać Tapia z obu stron – powiedziała.

Łoś się odwrócił i stanął drugim bokiem do ognia. Mogan pokręciła głową.

– Jeszcze jeden wysiłek. Dziękuję, człowieku. Jesteś pożytecznym sprzymierzeńcem. Przegapiłam moją chwilę. Powinnam rozpalić ogień, a... – Znowu pokręciła głową. – Wiesz, że boję się ognia? Nie pamiętam, kiedy ostatnio byłam tak blisko płomieni.

Zgasiła ogień i pobiegli o zimnym brzasku w kierunku Warowni.

Późnym rankiem weszli do tunelu i Redmede mało się nie udusił w panującym tam cieple. Chętne ręce zdjęły irka z łosia. Tamsin złożyła ciepły pocałunek na policzku Redmede'a. Pocałunek płonął jak magiczny ogień, dopóki Bill się nie spotkał ze swoją ukochaną przy drzwiach ich chaty.

Zarzuciła mu rękę na szyję.

– Wesołych świąt – powiedział.

## **Ticondaga – Ghause, Amicja i ser John**

Trakt wzdłuż jeziora był kolejną wojskową drogą, którą cesarskie legiony zbudowały z porządnego kamienia zasypanego porządnym żwirem. Wozy jechały lekko nawet w śniegu, dopóki nie dotarli do Wyrwy, długiego na trzy mile odcinka, gdzie niskie wapienne urwiska zarwały się do jeziora, niszcząc drogę i wymuszając szeroki objazd przez Dzikich. Przebycie tych trzech mil ścieżek i pociętych koleinami szlaków zajęło dwa dni; rozbili obóz na skraju bagna, które, choć zamrożone, jakby się poruszało, i nikt od najmłodszego giermka po samego ser Johna nie zmrużył oka.

Lasy były pełne życia pomimo zimy. Jeźdźcy ser Johna powalili jelenia i niemrawego w zimnie boglina; widzieli hastenocza, jednego z wielkich opancerzonych łosi po drugiej stronie borowych moczarów, i każdy łuczniczek w kolumnie napiął kuszę.

Coś czarne jak noc i szybkie ciągnęło nisko nad ziemią w ślad za kolumną. Czwartej nocy pomimo pochodni, ognisk i podwojonych straży stracili konia. W zimnym świetle lodowatego poranka obejrzeni straszliwe rany biednego zwierzęcia. Ich wielkość sugerowała, że czarny stwór jest ogromny i głodny. I że umie latać. Wokół martwego konia na śniegu leżały długie czarne pióra.

Piątego wieczoru straż przednia dopadła dwóch Ruków przepływających się przez zamrznięty potok. Olbrzymy musiały stąpać ostrożnie i zwiadowcy mieli okazję, żeby je naszpikować bełtami.

Gdy podciągnęła reszta kompanii, żołnierze stłoczyli się na kamienistym brzegu i strzelali jeden przez drugiego. Byli podekscytowani – pełni ducha, z błyszczącymi oczami, gdy napinali kusze, a zbrojni czekali na nieuchronną chwilę, kiedy olbrzymy ruszą na swoich prześladowców. Ale dwadzieścia ciężkich kusz rozprawiło się z potworami. Większy padł ostatni; wrzeszczał z wściekłości, jednak jego szeroka twarz zastygła w wyrazie zmieszania i zdumienia, jakie malują się na pysku starego psa, który po raz pierwszy w życiu widzi coś dziwnego.

Ludzie umilkli.

Siostra Amicja podjechała, popatrzyła na martwe istoty w strumieniu, a potem na ser Johna.

– Trzeba było je zabić – powiedział obronnym tonem.

Wzdrygnął się, gdy spojrzała mu prosto w oczy.

– Gdyby wpadły pomiędzy nas... – zaczął.

Wsunęła kosmyk włosów pod kaptur.

– Ser Johnie, nie będę z tobą dyskutować na temat spraw militarnych. – Cieszej dodała: – Ale Rukowie są potulni jak dzieci i mogłabym ich odesłać z taką łatwością, z jaką ty ich zabiłeś. Zostali zaczarowani. Czuję to. – Pokręciła głową. – To zbrodnia – dodała. – Zbrodnią było uczynić z nich narzędzia i zbrodnią było ich zamordować.

Żołnierze wokół niej byli skonsternowani i zachowywali się tak, jak zachowują się skonsternowani ludzie. Jedni wpadli w złość. Inni odwrócili wzrok.

Ser John pokręcił głową.

– Słuchaj, siostro, rozumiem. Dzicz nie jest prostym wrogiem, ale też nie możemy zrobić przerwy, żeby się z nią układać.

– Ludzie zawsze się śpieszą – powiedziała. – I zabijają wszystko, czego nie rozumieją.

Nazajutrz Amicja odprawiła mszę. Dla większości żołnierzy dziwnie było, ła-

godnie mówiąc, przyjmować komunię od kobiety, ale przebywanie w Dzicy w środku zimy też było dziwne, więc ser John bez skrupułów ukląkł i przyjął hostię z jej rąk. We mszy uczestniczyła większość ludzi.

Kompania podjęła marsz, gdy czerwona kula słońca wychynęła zza góry na wschód od jeziora.

Mniej więcej w czasie, kiedy dzwony w Lissen Carak biły na nonę, wjechali w gęstą śnieżycę.

Amicja włożyła drugi kaptur na głowę. Ser John ściągnął wodze, gdy do niej podjechał.

– Niespełna dzień dzieli nas od Ticondagi – powiedział. – Umiesz przepowiadać pogodę?

– Mogę spróbować – odparła. Sięgnęła...

Ze świstem wciągnęła powietrze.

– W lasach jest coś złego. – Po chwili milczenia dodała: – Matko Boska, miej nas w opiece... są przed nami i wokół nas.

Ser John poluzował miecz w pochwie.

– Jak blisko?

Pokręciła głową.

– Daj mi się pomodlić – poprosiła.

– Stać! – krzyknął ser John, stając w strzemionach.

Rozmowy ucichły. Wozy się zatrzymały. Etruskowie na nie wskoczyli, rozwiązali grube liny i podnieśli drewniane burty, w okamgnieniu przemieniając cztery wozy w małą fortecę pełną kuszników. Zadzwoiła końska uprząż, kusznicy napięli broń.

– Na północ stąd, porusza się... – Urwała. – Zmierza na zachód. Ukryłam się. Ser Johnie, to... Już trwa walka. Pośpiesz się.

– Jaka walka? – zapytał.

– Atakują ludzi. Chodź!

Pojechała pierwsza.

– Psiakrew! – zaklął ser John. – Ośłaniać ją!

Amicja popędziła co koń wyskoczy i zniknęła za miękką zasłoną śniegu. Staż przednia pocwałowała za nią.

– Widzę ich! – krzyczał mężczyzna w głównej kolumnie daleko za nimi.

– Psiamać – mruknął ser John. Usłyszał trzask kusz za plecami.

Ochrona konwoju była jego obowiązkiem, ale *belle soeur* była jego przyjacielem.

– Za mną! – ryknął i pogalopował za szaloną zakonnica i jej lekkim wierz-

chowcem w śnieżycę, która nasilała się z chwili na chwilę.

Ludzie jechali forsownie, wciskając zmarznięte palce w stalowe rękawice, pędząc w oślepiającym ich śniegu, i żaden nie miał zamkniętej przyłbicy. Był to prosty przepis na nieszczęście.

Ser John usłyszał krzyk Amicji, a potem jej słowa, całkiem wyraźnie: „*Fiat lux*”.

O mało nie spadł z konia, widząc wybuch światła. Za nim rycerz wraz z koniem runął na drogę. Było tak, jakby się znalazł w samym środku słońca.

Coś uderzyło go w głowę i ciemność musnęła mu twarz – poczuł gorąco i jego ręka z mieczem sama się poderwała. Trafił – coś wrzasnęło, koń stanął dęba i udało mu się opuścić zasłonę hełmu: uderzył podbródkiem w napierśnik, gdy znowu opadła na niego skrzydlata ciemność.

Ciął, zastanawiając się, z czym, u licha, walczy.

– Trolle! – krzyknął jeden z jego rycerzy.

Ser John zdążył pomyśleć, że jego przeciwnik na pewno nie jest trollem.

Wbił ostrogi w boki wierzchowca, gdy został trafiony po raz trzeci koń skoczył do przodu i przemknął za siostrą Amicją, której ręce stanowiły środek kręgu jasności. Gdy ser John wjechał w krąg, czarny stwór zostawił w spokoju jego głowę i przez chwilę – w ograniczonym polu widzenia – widział skrzydło z kolczastymi czarnymi piórami.

Na drodze rzeczywiście były dwa trolle, piętrzące się nad czerwoną kałużą. Ser John uderzył oburącz i wielki miecz pękł, ale zdążył odrąbać ramię bliższego trolla. Stwór ryknął, rozdziawiając bezdenną fioletową gardziel oświetloną przez czary Amicji.

Drugą pięścią stracił go z siodła i ser John upadł ciężko. Ocalił go śnieg, ale chociaż gruba na stopę warstwa pokrywała skały, uderzył mocno i ból ogarnął mu plecy i głowę, którą trzasnął w wystający kamień tak mocno, że wgiął się dzwon hełmu.

Nie miał pojęcia, jak długo leżał nieprzytomny, ale kiedy się ocknął, zmusił się do ruchu. Plecy wyły z bólu. Nie mógł wstać. Przetoczył się na brzuch i dźwignął na kolana, i z każdym uderzeniem serca był świadom, że dwa trolle są tylko o końską długość od niego. Ludzie wrzeszczeli, a jemu krew lała się z rozkwaszonego nosa.

Napłynęła kolejna fala jasnego złotego światła. Bliższy troll się odwrócił i w odpowiedzi podniósł purpurowo-zieloną mgłę. W miejscu, gdzie spotkały

się oba dzieła, strzeliły iskry jak ze sztaby metalu uderzonej młotem na kowadle i zabrzmiał przeciągły trzask, jakby w pobliżu uderzył piorun – tyle że trwał bez końca. Ser John, stary i obolały, wciągnął pod siebie lewą stopę i zdołał się podnieść. Koń kwiczał u stóp skarpy, mówiąc światu o swoim bólu i strachu.

Jego topór został przy siodle. Nie sądził, że da radę przebrnąć przez kopny śnieg. Wyciągnął ciężki sztylet i ruszył ku bliższemu trollowi, przez całą drogę przeklinając swoją głupotę.

Ten, którego ranił, leżał twarzą w dół na drodze. Ser John na ten widok uśmiechnął się pomimo bólu.

Drugi walczył ze smugą złota – hałas przypominał warczenie setki gryzących się psów. Ser John nie widział, kim jest jego nowy sprzymierzeniec, ale uparcie brnął naprzód. W pewnej chwili obrócił się całym ciałem, żeby spojrzeć na północ, na wypadek gdyby był trzeci troll, i wtedy czarna sylwetka spadła z nieba.

Tym razem był lepiej przygotowany. Błysnął sztylet i pióra posypały się na ziemię – rozległ się dysharmonijny wrzask, który zagłuszył nawet straszliwe wrzaski trolla i jego przeciwnika.

Wielki czarny niby-ptak pikował z rozpostartymi skrzydłami. Gruba linia płynnego złota wyskoczyła z zadymki i uderzyła w sam środek czarnej piersi. Stwór eksplodował.

Ser John runął jak długi. Tym razem nie stracił przytomności i był świadom wiru trwającej nad nim walki. Troll postawił stopę przy jego głowie i ser John się przetoczył napędzany przez desperację. Wraził sztylet za jego biodrem, oburącz trzymając rękojeść. Stał zgrzytnęła...

Ser John poczuł, że pęka mu noga, i zobaczył, że pancerz się wgiał, uderzony przez stopę trolla, ale nie puścił sztyletu wbitego niczym hak w litą skałę i czuł, że jest wleczony, gdy trzymał rękojeść.

Troll upadł. Runął na niego, ramię uderzyło go w pierś, wgniatając napierśnik i łamiąc mu żebra w kaskadzie bólu.

Ale widział koniec trolla z niemal religijną jasnością. Nie omdlał – ta łaska została mu odmówiona – i był niemal nadnaturalnie przytomny, gdy troll padł na śnieg, a ciepło jego ciała wzbilo chmurę pary. Nagle znalazł się przy nim wielki złoty niedźwiedź z maczugą, a może młotem bojowym, i uderzał tak szybko, że oręż się rozmywał, i tak mocno, że odłamki kamienia fruwały w powietrzu, jakby rzeźbił dłutem w marmurze.

Rozległ się ostatni suchy trzask, troll wrzasnął, po czym przemienił się w

piasek i skałę.

Ogromny niedźwiedź stanął nad ser Johnem.

– To było niespodziewane – powiedział. – Sądzę, że ocaliłeś mi życie.

A może ser John tylko sobie wyobraził, że niedźwiedź to powiedział.

Spodziewał się śmierci.

Niedźwiedź uniósł młot.

Konwój dotarł na scenę rzezi – trzech martwych rycerzy, ser Anton poważnie ranny, wszyscy inni pokiereszowani, trzy mokre piaszczyste miejsca i coś, co wyglądało na dziesiątki tysięcy czarnych piór.

Siostra Amicja stanęła nad ser Johnem, który z powrotem mógł mówić. Zalała go mocą uzdrawiającą i poczuł, że żyje. Chętne ręce położyły go na wozie. Było mu zimno – ziąb go przenikał na skroś. Minęło trochę czasu, zanim niedźwiedź uwolnił go spod martwego kamienia, który niedawno był żywym trollem.

– Uratowaliśmy niedźwiedzie – powiedział ser John. – Słodki Jezu, siostrze... naraziłaś nas wszystkich, żeby ocalić kilka pierdolonych niedźwiedzi.

– Pewnego dnia mogą ocalić ciebie – powiedziała bardziej ostrym tonem, niż kiedykolwiek u niej słyszał. – A teraz leż cicho.

– Co to było, to pierzaste? – zapytał.

– Bargest – odparła po chwili milczenia. – Nie sądziłam, że w ogóle istnieją.

Ludzie z konwoju wciąż byli w szoku. Fala boglinów zaatakowała kolumnę i została odparta, ale wskutek ataku i jego następstw – tuzin złotych niedźwiedzi truchtał po bokach kolumny, podczas gdy siostra Amicja błagała łuczników, żeby nie strzelali – ludzie byli roztrzęsieni, wielu płakało nad rycerzami zabitymi przez trolle.

Amicja nie pozwoliła im się zatrzymać. Nie była pewna, co innego można zrobić, ale ser John został tak poważnie ranny, że bała się go budzić. Wszyscy rycerze byli za młodzi, żeby objąć dowodzenie, a poza tym pochodzili z Jarsayu i nie znali północy.

I wszyscy jej ufali.

Dlatego kazała im jechać – ludzie po walce byli zmarznięci, ale nie chciała robić przystanku na gromadzenie drewna, więc jedynym ratunkiem było jechanie i ruch. Kazała im jeść i posłuchali, jakby przyjmowanie rozkazów od młodej zakonnicy było elementem ich wojskowego szkolenia. Kiedy zjedli

chleb i boczek, albo co tam który miał, rozkazała kolumnie ruszać i pomaszerowali bez słowa skargi.

Spotkali się z nimi umundurowani jeźdźcy – lekkobrojni jeźdźcy, których ludzie z północy zwali „iglicami” z powodu długich ostróg. Wszyscy nosili barwy hrabiego i byli pełni szacunku.

– Pani powiedziała, że konwój ma kłopoty – powiedział ich oficer, ukłoniwszy się siostrze Amicji. – Jestem ser Edmund, siostro.

– Twoja pani miała rację. – Amicja była bardzo dumna ze swojej małej armii, dumna, że się utrzymali, dumna, że przez pomyłkę nie zastrzelili złotego niedźwiedzia. – Ale wygraliśmy potyczkę.

Ser Edmund pokiwał głową.

– Twoi chłopcy nie wyglądają na pobitych – powiedział. – Niech mnie! Czy to John Crayford? Wygląda jak półtora nieszczęścia.

Amicja uniosła brew.

– Pomogłam mu, ile zdołałam.

Ser Edmund pokiwał głową.

– Jestem pewien, że na zamku będziemy mogli zrobić coś więcej. Obejmę komendę, dobrze? Na pewno jesteś przerażona.

Amicji przyszło na myśli wiele odpowiedzi, ale zdecydowała się na jedną, której się nauczyła od starej przeoryszy.

– Ani trochę – odparła. Zawróciła konia i pojechała dalej, zostawiając oficera na środku drogi.

Ser John oprzytomniał otoczony kamieniem. Wszędzie wokół byli łucznicy i dostrzegł dwóch ludzi w zbrojach pod zielono-złotymi tabardami.

– Ostrożnie – mówiła Amicja. – Jeśli te rany się otworzą...

– Ma się rozumieć, siostro! – powiedział jeden z mężczyzn.

Ticondaga przypominała Lissen Carak – szary kamień i czerwona cegła wznosiły się ku niebu jak katedra wojny. Dziedziniec był dwa razy większy niż ten w klasztorze, a koszary miały nowe wewnętrzne kominy i ołowiane dachy.

Bezpieczni w największej fortecy na północy z ulgą osunęli się na ziemię. Rycerze zsiadli z koni, a giermkowie – łącznie z giermkami poległych – zabrali konie, a potem załoga zamku wyległa na dziedziniec i był tam hrabia Murien, wyszczekujący rozkazy i fasujący gorący gulasz z wielkiego brązowego kotła, który własnoręcznie z drugim rycerzem przytargał na dziedzi-



niec.

– Ty... panno. Ściągnij to mokre odzienie – szczerknął do siostry Amicji. Skinął głową w bezczelnej parodii ukłonu. – Och... jesteś zakonnicą. Proszę, wypij to, a potem się przebierz. – Łypnął na nią. – Jesteś, kurwa, najpiękniejsza zakonnicą, jaką widziałem od lat. Lepiej się czujesz? – zapytał.

Był wielki, z szarymi jak żelazo włosami i postawą, którą natychmiast rozpoznała. Czerwony Rycerz mógł gardzić swoim ojcem, ale zdecydowanie nosił się tak samo, roztaczając aurę aroganckiej dominacji.

– Najpierw się zajmę konwojem, panie hrabio – oznajmiła. – Tym godnym rycerzem jest ser John Crayford i przyprowadził tu konwój, żeby wspomóc handel futrami.

Amicja patrzyła, jak ludzie wnoszą starego rycerza do zamku. Hrabia przez kilka kroków szedł obok jego noszy. Powiedział coś i usłyszała słaby jęk ser Johna.

– Niezrównany zbrojny! Z pewnością stuknęła mu pięćdziesiątka! Stary jak ja... dobry rycerz. – Hrabia wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Ty jego?

Amicja się roześmiała.

Hrabia raczył zrobić zmieszaną minę.

– Ha, nie ma większego głupca niż stary głupiec. Więc przybyłaś tutaj dla futer?

– Jeśli się uda, to ocali Albinkirk. Jako miasto handlowe. – Amicja próbowała nadażyć za błyskawicznymi zmianami, jakie w nim zachodziły, i przypominało jej się...

– Może ocali także nasz handel. – Murien się roześmiał. – Wezmę wszystkie pieniądze, jakie zdołam wycisnąć, ale nie dostaniemy dziesięciny z futer jak zwykle. Handel przeniósł się na wschód do pierdolonych... przepraszam, do Moreańczyków, gdy tylko ludzie usłyszeli o atakach na południu.

– Nie masz futer? – zapytał messire Amato.

Murien parsknął śmiechem.

– Pierdoleni Etruskowie. Jasne, mam futra. Może wejdziecie wszyscy do środka, nim zaczniemy się targować jak klient z kurwą w zimną noc... Wybacz, siostrze – dodał z uśmiechem. – Chociaż, słodki Zbawicielu, w każdej chwili możesz wysłuchać mojej spowiedzi.

Amicja odwzajemniła uśmiech.

– Wystarczy, Jaśnie Wielmożny Panie.

Skrzywił usta w swoistym samokrytycznym grymasie, świadom własnych porażek, a ona znała tę minę tak dobrze, że niemal zamarło jej serce. Potem

jego twarz pojaśniała i zgiął się w ukłonie.

– Przepraszam, siostró. Taki już ze mnie nikczemnik!

Amicja pozwoliła zaprowadzić się do środka, mimo że czuła skraj strefy, która zwykle otacza istoty obdarzone wielką mocą. Osłoniła się najstaranniej, jak mogła, używając tego, czego się nauczyła od Czerwonego Rycerza i Harmodiusza podczas oblężenia. Szła ze spuszczonego wzrokiem i myślała o myślach.

To był błąd, pomyślała.

Służące poprowadziły ją do głównej sali, a stamtąd po krętych schodach i korytarzem, który biegł najpierw w górę, a później w dół.

– *Ma Soeur*, masz pokojówkę? – zapytała jedna z nich.

– Nie – odparła.

Kobieta pokiwała głową.

– Przyślę kogoś do pomocy. To kufer podróżny z twojego wierzchowca. Masz więcej rzeczy?

Amicja spojrzała na wąskie łóżko z czymś bliskim pożądania. Powietrze w zamku było zimne, ale nie tak bardzo, jak na otwartych moczarach Adnaturni. I czekał na nią stos koców.

– Nic więcej, dziękuję. To wszystko, co mam. – Uśmiechnęła się. – Dołączyłam do karawany w ostatniej chwili. Gospodyni, jestem zmęczona. Mogę się położyć?

Starsza kobieta skinęła głową.

– Wątpię, czy lady Ghouse przyjmie cię przed nabożeństwem wieczornym. Dzisiaj Wigilia. – Choć była starszą sługą, a może nawet damą dworu, poświęciła trochę czasu, żeby jej pomóc.

Gdy tylko Amicja zdjęła przemoczoną bieliznę, zrobiło się jej cieplej pomimo chłodu w powietrzu. Przyszły dwie służące z flanelową szatą, długą do samej ziemi, w pięknym niebieskim kolorze.

Młodsza dygnęła.

– Lady Ghouse przysłała pozdrowienia i mówi, że religijne kobiety są tutaj rzadkością. Ma nadzieję, że jesteś z tego rada.

Wełna była miękka, bardzo delikatna i zawierała zdrowy ładunek *potentia*, jak piżmo.

Amicja narzuciła okrycie na nagie ciało i zasnęła, gdy starsza służąca nakryła ją kocami.

Zbudziła się zarumieniona i zadyszana po najbardziej erotycznym śnie w

swoim życiu. Śnie wyjątkowo wyrazistym. Leżała w łóżku, uspokajając oddech.

*Stara przeorysza nauczyła ją łączyć przyjemne z pożytecznym. Medytować, kiedy tylko medytowanie może pomóc. Wyobrazila sobie swojego rycerza – wciąż bardzo żywego w swej zdradliwej pamięci – odziała go, uzbroiła i umieściła na klęczkach w stajence jako strażnika jednego z trzech wielkich królów, którzy przybyli złożyć hołd Dzieciątku.*

*Trwało Narodzenie Pańskie – królowie przekazali dary i odeszli, a on odszedł z nimi, jego stalowe trzewiki chrzęściły na śniegu. Patrzyła, jak siada na koń ze swoją zwykłą gracją – irytującą, wszechobecną gracją. Obejrzała się i zobaczyła Maryję Pannę podnoszącą Dzieciątka ze żłobu.*

*Odetchnęła, uspokoiła się i skupiła...*

– Pora wstawać, siostró! Czas na mszę!

Przeciągnęła się, pogodzona ze sobą, i poczuła prawdziwy zapach piżma i muśnięcie *ops* w eterealu. Szata była zaczarowana.

*Honi soit qui mal y pense*, pomyślała i ściągnęła ją z siebie. Podała ją służce, która była bardziej niż zszokowana jej nagością i tatuażami.

– Każ to wyprać – poleciła Amicja. – Śmierdzi.

Po mszy poszła z gospodynią, starszą kobietą, która ją wprowadziła do zamku, do Wielkiej Sali i w górę po krótkich schodach.

Amicja wyczuwała obecność Ghouse po drugiej stronie zamku, więc była przygotowana, kiedy gospodyni otworzyła drzwi.

Kobieta, która siedziała na wysokim krześle z ciemnego drewna, nie miała haftu na kolanach i trzymała głowę jak niewiele kobiet – uniesioną, z bezpośrednim spojrzeniem.

– Ach... zakonnica. Moja droga siostró, zbyt rzadko mamy tu do czynienia z religijnym powołaniem. Wolno ci mówić?

Amicja pomyślała: Więc to jest jego matka. Płonie w eterealu jak... jak...

– Nie złożyłam ślubów milczenia – odrzekła.

– Jesteś najurodziwszą zakonnica, jaką widziałam od wielu dni – powiedziała Ghouse. – Uważaj na mojego męża. Nie lubi słyszeć „nie” w odpowiedzi. I lubi łamać różne rzeczy. – Uśmiechnęła się. – I ludzi.

Amicja poczuła, że twarz jej płonie.

– Pani – szepnęła.

Co innego mogła powiedzieć na taki niezwykły wstęp?

– Jesteś dziewczicą, dziewczyno? – zapytała Ghouse.

Amicja zdała sobie sprawę, w samą porę, że toczą pojedynek słowny podobny do niedawnej walki w śnieżycy.

– To niegrzeczne pytanie, pani.

– Och, jestem niegrzeczną kobietą. Nie próbuj mnie zwodzić, siostró. Starasz się ukryć swoje moce, lecz ja je wyczuwam... słodki Jezu, dziewczyno, płoniesz jak księżyc ze swoim mieczem światła. Jesteś wiedźmą, bardzo potężną wiedźmą. Dlaczego tu jesteś?

Amicja dygnęła, usztywniając plecy.

– Pani, pomagałam ser Johnowi eskortować konwój. Jak z pewnością wiedziałaś, mam trochę wprawy we władaniu mocą hermetyczną.

Ghause pilnie się jej przyglądała.

Amicja nie zareagowała na to zaproszenie do kontynuowania wyjaśnień.

– Jesteś z konwentu Sophie? – zapytała starsza kobieta.

Amicja skrzywiła się zdeprymowana swoją głupotą. Kiedy z własnej woli postanowiła tu przybyć, wyobrażała sobie, że nic jej nie zagrozi. Wyobrażała sobie, że będzie mogła spojrzeć na jego ojca i matkę i zobaczyć źródło jego buntu przeciwko Bogu. Że dowie się pewnych rzeczy dla jego dobra.

W swojej pobożnej arogancji założyła, że będzie tutaj bezpieczna i potężna.

Ghause Murien nosiła etereal nie jak pelerynę czy mgłę, ale jak wspaniałą królewską szatę. Etereal stanowił jej część. Żyła w *potentia*.

Amicja czuła się przed nią jak naga.

– Służę zakonowi Świętego Tomasza – powiedziała.

Ghause oblizła usta.

– W Lissen Carak? – zapytała miękkim głosem.

Była piękna. Amicja nigdy nie widziała tak pięknej kobiety. I to, czym manipulowała, nie było tak proste jak powietrze, ciemność, światło czy ogień.

Skinęła głową.

– Tak.

– Więc może znasz mojego syna? – zapytała hrabina.

Położyła rękę na jej ramieniu i Amicja poczuła przenikające ją ciepło. Rozgrzała się po pępek i czubki palców.

Rozbłysnął pierścień na jej palcu. Ghause splunęła – trysnęła śliną jak rozniewany kot – zabrała rękę i Amicja odzyskała kontrolę nad swoim ciałem i umysłem. Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że Ghause ją przytłacza. Że ją uwodzi.

– Suka – warknęła Ghause. – To nie było konieczne. – Przymrużyła oczy.

– Wystarczyło powiedzieć: zajmij się swoimi sprawami.

Amicja miała zawroty głowy. Pierścień ją ocalił. Odetchnęła głęboko, jeden raz i drugi.

Ghause się uśmiechnęła.

– Znasz go! Czasami się zastanawiam, czy jest jakiś Bóg.

Amicja odzyskała panowanie nad sobą.

– Pani, jako nowicjuszka opiekowałam się twoimi dwoma synami. Obaj byli świetnymi rycerzami i szlachetnymi ludźmi. – Głos miała twardy jak skała i przygotowaną wersję wydarzeń. Umieściła ją w swoim pałacu i przepędziła wszystko inne do zamykanej na klucz skrzyni, w której trzymała wspomnienia Czerwonego Rycerza.

– Jestem dumną matką i dałam się zwieść fałszywym pogłoskom, że Gabriel nie żyje. Co możesz mi o nim powiedzieć? – zapytała Ghause.

Amicja pokręciła głową.

– Pani, dowodził obroną fortecy oblężonej przez Dzicz, podczas gdy ja byłam nowicjuską służącą w szpitalu. Dwa razy, kiedy został ranny, użyłam moich mocy, żeby go uzdrowić, i stałam przy twoim młodszym synu, ser Gawinie, i widziałam, jak walczył. Genialnie.

– Moja gospodyni mówi, że masz tatuaże. Dlaczego siostra wielkiego zakonu ma tatuaże? – Ghause uśmiechnęła się jak kot do ptaka.

– Kiedyś zabrakło mi siły, żeby powstrzymać innych od narzucenia mi ich woli – odparła łagodnym tonem Amicja. – Już mi jej nie brakuje.

– Sprawia mi przyjemność myśl, że możesz iść ze mną w zawody. Wiem, o czym śniłaś – powiedziała niemal pieszczotliwie Ghause. – Widziałam.

– Nie znam żadnego powodu, z jakiego powinnam się z tobą mierzyć. Jeśli wiesz, o czym śniłam, w takim razie również wiesz, co zrobiłam ze snem. Nie jestem twoim wrogiem, pani, lecz jeśli ponownie spróbujesz wejść do mojej głowy, mogę się poczuć zaatakowana.

Ghause oblizwała usta.

– Podziwiałas mojego syna. – Położyła rękę na brzuchu. – To ogromnie mnie interesuje, kobieto. Mów.

Amicja ponownie dygnęła.

– Pani, jestem siostrą Zakonu Świętego Tomasza i moim jedynym oblubieńcem jest Chrystus. Możesz mną manipulować, co ja odbiorę jako męczarnie. Podziwiam twojego syna jako dobrego rycerza i dobrego człowieka.

Nie powinnam tu przyjeżdżać, pomyślała.

Moc Ghause przepełniła powietrze i przymus mówienia spadł na ramiona

Amicii niczym ciężka kolcza koszula. Stawiła mu opór. Bóg ma najwyższą władzę. Chryste, bądź ze mną. Maryjo Panno, bądź przy mnie, teraz i w godzinę mojej śmierci.

– Kto ci dał ten pierścień? – zapytała nagle Ghouse.

Amicja otworzyła usta. Niespodziewane pytanie przełamało jej wolę, ale nagle za jej plecami zabrzmiał bezlitosny głos.

– Przestań dręczyć dziewczynę. Chryste na krzyżu, kobieto, naskakujesz na nią jak na służkę, która ukradła srebrną łyżkę. Siostró, nie przejmuj się starą megierą, ona lubi dręczyć ładne kobiety i spójrz, jaka jesteś ładna. – Hrabia wsunął głowę w drzwi komnaty.

Stojąc pomiędzy Ghouse i nim, Amicja doświadczyła chwili prawdziwego strachu. Czowała się jak jelonek osaczony przez dwóch olbrzymów.

– Ona nie jest służką. Jest czarodziejką o ogromnej mocy, ma więcej tajemnic niż Richard Plangere i sądzę, że mnie okłamuje. – Ghouse stanęła z rękami na biodrach. – Nie jesteś zakonnica.

Amicja wstrzymała oddech.

– Nie tobie powątpiewać w moje powołanie – warknęła.

– Spójrz na te piersi! – rzekł hrabia, klepiąc się po udach i długich cholewach. – Słodki Jezu, odetchnij głębiej, skarbie.

Amicja stała wyprostowana, jak równa hrabiemu i siostrze króla.

– Mogę przeprosić? – zapytała. – Jeśli łaska, zostanę ze sługami.

Przemknęła pod ręką hrabiego i zbiegła po schodach do sieni, nie słysząc podniesionego głosu.

Z pomocą służek znalazła drogę do pokoju ser Johna. Stary rycerz leżał na łóżku z ciężkimi zasłonami. Nie spał, miał zdrową cerę. Giermek czytał mu książkę z rycerskimi opowieściami. Wstał, ale Amicja gestem kazała mu usiąść.

– Znasz Murienów? – zapytała.

Ser John poruszył ramionami.

– Poznałem hrabiego w czterdziestym dziewiątym albo pięćdziesiątym. Po Chevinie byliśmy po tej samej stronie i kilka razy grałem z nim w kości. To wszystko. – Uniósł głowę. – Dziewczyno, jesteś czerwona jak burak.

– Pani Ghouse mnie przesłuchiwała. Hrabia chciał mnie obrać ze skórki i może zjeść na surowo. – Padła na krzesło. – Okropna ze mnie zakonnica. Chcę ją spalić na popiół. Muszę się wyświadczyć z pięćdziesięciu grzechów.

Ser John pokiwał głową.

– Tu jesteś w miarę bezpieczna. Raczej nie mogę nastawać na twoją cześć,

nawet gdybym miał na to ochotę. Może wysłuchasz mojej spowiedzi, a potem zadasz mi lekką pokutę. Jehanie, przynieś nam trochę dobrego grzanego wina.

– Dziękuję, ser Johnie.

– Nie myśl o tym. – Zdobył się na uśmiech. – Ocaliłaś mnie przed potworami, a ja cię ocalę przed hrabią.

Poczytała mu ewangelię – miał egzemplarz podróżny, samo pismo, bez żadnych iluminacji. Po paru minutach Jehan wrócił z winem, usiadł na stołku przy ogniu i zajął się reperowaniem podartej przeszywanicy swojego pana. Później Amicja wzmocniła wszystkie swoje uzdrawiające dzieła, jakimi obłożyła ser Johna.

W drzwiach stanął hrabia w zielonych aksamitach.

– Tu jesteś. – Wszedł. – Jak ma się twój pacjent?

Ser John usiadł.

– Powiem krótko: zostaw siostrzyczkę w spokoju, zanim podniosę się z łóżka, żeby popędzić za tobą z buzdyganem.

Hrabia się roześmiał.

– Słyszałem, że masz gorącą krew, ser Johnie. Mogę złożyć siostrze wyrazy podziwu i szacunku?

Ser John spojrzał na zakonnice i pokręcił głową.

– Myślę, że zacna siostra nie chce wyrazów takiego rodzaju. Jak rozumiem, miała ich powyżej uszu ze strony kompanii najemników podczas oblężenia.

Hrabia się roześmiał.

– Niech mnie licho, ser Johnie, założę się, że kazała im wyć jak wilki. I prawda, przepelnia ją moc więdźmy. – Wyszczrzył zęby. – Siostro, niezupełnie jestem pomiotem szatana. Będę trzymać ręce przy sobie, chociaż, gdybyś zmieniła zdanie...

Nie doczekawszy się odpowiedzi, pokiwał głową.

– Masz się lepiej – powiedział do ser Johna. – Słyszałem, że rzuciłaś się ze sztyletem na kamiennego trolla i wygrałaś starcie.

Ser John parsknął śmiechem. Chwycił się za klatkę piersiową i zacharczał.

– Słodki Jezu, Jaśnie Panie, tylko ty tak możesz to ująć. I chodź twoje słowa są prawdą, równie prawdziwe są te, że piekielnik mnie przewrócił!

Hrabia się roześmiał.

– Ha, znajdzie się dla was obojga miejsce przy moim wysokim świątecznym stole. I moja żona będzie siedziała przy tobie, siostro. – Uśmiechnął się

do Amicji i jego spojrzenie ześliznęło się z jej twarzy na piersi ukryte pod wieloma warstwami wełny. Ale niektórzy mężczyźni...

Podano kolację im trojgu bez słowa komentarza. Później siostra Amicja poszła do kaplicy i modliła się z księdzem, który wydawał się roztargniony. Po powrocie do komnaty znalazła na łóżku czystą wełnianą szatę. Przyoblekła ją i śniła tylko o pływaniu w przejrzystych wodach jeziora pod gwiazdami dużymi jak jagody jemioly.

Dzień Bożego Narodzenia wstał w Ticondada ze śniegiem, ale niedługo później niebo się przetało i zaświeciło słońce. Amicja poszła na mszę i spędziła ranek na klęczkach. Gdy cała załoga zamku z żonami i ukochanymi wyszła z kaplicy na korytarze, Ghouse oderwała się od ramienia męża i dołączyła do niej. Ser John kuśtykał u jej boku, więc czuła się bezpieczna przed natychmiastową napaścią. Pan Amato też był blisko i uśmiechał się do niej.

– Odpręż się, dziewczyno. – Starsza kobieta położyła rękę na jej ramieniu, skóra zetknęła się ze skórą i Amicja poczerwieniała. – Kiedy będziesz stara i potężna, przestaniesz fantazjować o młokosie, który się wdziera do twojego schronienia, ociekając *ops* i roztaczając woń mocy. – Pokiwała głową i uniosła brew. – Tym bardziej, kiedy dziewczyna będzie miłośnicą twojego syna.

Amicja spojrzała jej w oczy.

– Nie szukam schronienia. Będę używać moich mocy w dobrej sprawie, dla szczęścia i dobrobytu ludzi. – Oschle skinęła głową. – Żaden mężczyzna nie jest moim kochankiem.

W tej chwili napłynął impuls w eterealu. Pierścień się rozgrzał i poczuła, że jej zapas *potentia* – na szczęście niepotrzebny w forticy Ticondaga – nagle się wyczerpał w nadzwyczajnym tempie. Ktoś rzucił czary uzdrawiania. Wyraźnie to poczuła.

Ghouse odsunęła się od niej i podniosła rękę do gardła. Uśmiechnęła się triumfalnie.

– To na pewno był mój syn! Jesteście powiązani.

Amicja westchnęła.

– Jaśnie Pani, znam twojego syna i bardzo go lubię, ale oboje obraliśmy inne ścieżki. Oddam moją miłość wszystkim ludziom, nie jednej osobie.

– Ogólnie rzecz biorąc, ludzi trudniej jest lubić niż konie czy koty – powiedziała Ghouse. – A teraz *pax*. Zasiądziesz z nami do uczyty, będą kolędy. – Skinęła głową, wskazując ser Johna. – Zabierz ze sobą swojego pacjenta. Mój mąż chce wiedzieć, czy naprawdę rzucił się ze sztyletem na trolla. –



Starsza kobieta szyderczo wykrzywiła usta. – Mężczyźni... Nie mają ciekawszych tematów do rozmowy niż wojna, nie sądzisz?

## **Liwiapolis – Czerwony Rycerz**

Pałacowi ordynariusze spędzili wigilię na odśnieżaniu wielkiego placu i sypaniu trocin, a potem rozścielaniu słomianych mat na ziemi. Na starożytnym hipodromie wzniesiono barierki i imitację zamku, a także cztery trybuny, a później marynarze z floty rozpięli płócienne zadaszanie przywiezione z piwnic pod stajniami. Niektóre płótna zmurszały, ale większość była świeża i biała. W lodowatej ciszy poranka Bożego Narodzenia wykorzystali świeżo wyciosane reje i zadaszili hipodrom wraz z drewnianymi trybunami wielkim płóciennym owalem. Kiedy na zewnątrz zaczął prószyć śnieg, cały hipodrom był osłonięty, a tuziny adeptów Akademii kończyły pracę, hermetycznie wzmacniając dach warstwą skrzącego się światła.

Mortimir został przydzielony do pracy bezpośrednio pod rozkazami mistrza gramatyka, co chyba świadczyło o tempie, jakiego nabierały jego studia. Gramatyk pilnował robotników rozpinających płócienny dach.

– Rozumiesz zasadę? – zapytał.

Mortimir skubnął brodę, którą próbował z samozaparciem wyhodować, i spojrzał na puste trybuny. Czy to podstępne pytanie? Z gramatykiem nic nigdy nie było wiadomo. Spanikowany roztrząsał pytanie na wiele różnych sposobów. W końcu wykrztusił:

– Tak?

– Tak? A może tak? Szczerze, Mortimirze. – Gramatyk schował dłonie w przepastnych rękawach podbitej futrem szaty.

Mortimir postanowił zaryzykować.

– Jest więcej niż jedna zasada, prawda?

Pogardliwie krzywiąc usta, gramatyk uniósł brew.

– Wyjaśnij – polecił.

– Czary *scutum* lub *aspis* należą do podstawowych, tych, które używają *potentia* w niemal surowej formie. Ale umieszczenie dzieła magicznego w materiale wymaga innej zasady, mianowicie tej, która mówi, że podobieństwa się przyciągają. Samo płótno przez jakiś czas oprze się deszczowi czy śniegowi, stanowiąc swego rodzaju gąbkę chłonącą nasze dzieło, ponieważ nasza ochrona ma ten sam cel. I jest jeszcze trzecia zasada, ponieważ płótno jest utkane z włókna, które kiedyś żyło, i z tego względu jest znacznie bar-

dziej zainteresowane... harmonią.

Morgan umilkł zaskoczony ostatnim słowem. Kiedy gramatyk się nie odezwał ani nie rozerwał go na kawałki, dodał:

– Bez płótna zadanie całego hipodromu wymagałoby niewiarygodnego wysiłku, a jeszcze większy wysiłek wiązałby się z utrzymaniem osłony przez cały dzień. Z prawdziwym mocnym płótnem umieszczenie naszej pracy w eterale jest znacznie łatwiejsze.

Gramatyk się uśmiechnął.

– Nieźle. Proszę, napij się grzanego wina. Naprawę nieźle. Ile dzieł magicznych opanowałeś?

Mortimir się skrzywił.

– Cztery. Ogień do ataku. Światło. Znam kilka wariantów pracy ze światłem... – Pokręcił głową. – Ponadto wszystkie serie manipulacji *aspis* czy *scutum*.

– Stąd twoja obecność – skomentował gramatyk.

– Zakłęcie łamiące zamki – dodał Mortimir.

– Dwie z najtrudniejszych manipulacji, lecz ani jednej z najbardziej podstawowych, z wyjątkiem ognia. – Gramatyk pokręcił głową. – Problemy z pamięcią?

Mortimir żałośnie wbił wzrok w ziemię.

– Ćwiczę i ćwiczę, ale nic z tego.

Gramatyk pokiwał głową.

– To trudne, ponieważ późno doszedłeś do mocy. Ja uzyskałem kompletny pałac pamięci, a także zrozumienie manipulacji i iluzji, dopiero po pięćdziesiątce. – Popatrzył na marynarzy. – Gdyby któryś z nich spadł, potrafiłbyś go złapać?

Morgan przebiegł w pamięci sumę ogólną swych manipulacji.

– E... tak. Chyba tak.

Gramatyk pociągnął łyk grzanego wina z butelki.

– Chcesz? – zapytał.

– Oczywiście!

Gramatyk pokiwał głową.

– Mój ojciec był żeglarzem. Ledwie go znałem. Pewien stary ksiądz zobaczył, jak pracuję z mocą, kiedy byłem jeszcze zupełnie zielony, i przysłał mnie tutaj. – Wzruszył ramionami. – Nigdy stąd nie odszedłem. Lubię grzane wino. I światła, które działają. Dlaczego ci to mówię?

Mortimir zdobył się na uśmiech.

– Możesz popracować nad tym samodzielnie? – zapytał gramatyk.

Mortimir przytaknął.

– Chyba tak. Ale później będę walczyć w szrankach i nie chcę być słaby.

Gramatyk się roześmiał.

– Walczysz w szrankach? Masz na myśli tę błazenadę, gdy jeździecie w żelaznych garnkach, dopóki nie traficie drugiego człowieka? Cóż, młody uczo-ny, twoje miejsce jest tutaj, i jeśli wyczerpiesz *ops*, możesz pamiętać, że uży-łeś swoich mocy w służbie cesarza. Ścieranie się na kopie.... – Gramatyk po-kręcił głową i na krótką chwilę zabrakło mu dobrej woli.

Położył rękę na ramieniu Mortimira.

– Otwórz się – poprosił. – Pokaż mi swoją wstępną pracę.

Mortimir nie lubił, gdy któryś z profesorów zaglądał mu do głowy, ale od czasu ujawnienia jego mocy byli coraz bardziej natarczywi. I zostawiali za sobą swoje echa, niektóre bardzo mroczne.

Niemniej jednak to była nieodłączna część życia studenta. Otworzył swój pałac pamięci i wpuścił gramatyka, który wszedł tam jako znacznie młodszy mężczyzna w szkarłacie i złotogłowi.

W pałacu pamięci Mortimira znajdowały się cztery kolumny ze świątyni Ateny i śpiesznie sporządzona czarna tablica z kawałkiem kredy wiszącej na fantazyjnym jedwabnym sznurku. Nie było żadnych sprzętów do siedzenia. Cztery kolumny stały na gładkiej posadzce z białego marmuru, a wokół roz-pościerała się szara równina, ciągnąca się po granice eterealu.

– Na Ukrzyżowanego, chłopcze, to cała twoja pamięć? – Gramatyk rozgła-dał się z pogardą.

Mortimir wzruszył ramionami.

W eterealu Gramatyk pachniał jak wrzos i był to przyjemny zapach. I jego obecność wydawała się bardzo materialna.

Podszedł do piaskowego stołu, który Mortimir stworzył w wyobraźni obok czarnej tablicy, i przejrzał jego notatki. I jego gramatykę.

– Aha. Trochę lepiej. To... czy to powierzchnia hipodromu?

Mortimir energicznie pokiwał głową.

– Zajrzałem do podręcznika geometrii.

Gramatyk zaszczycił go uśmiechem.

– W takim razie pobiłeś mnie na głowę, młody panie. Zawsze chciałem to zrobić, ale w końcu zawsze tylko zgadywałem. – Przeciągnął smukłą srebrną laską po samym dziele, jeszcze niezasilonym. – Widzę dwie rzeczy, które zrobiłbym inaczej. Ale nie dostrzegam niczego złego. Dlatego pozwolę ci

kontynuować.

– Mnie, panie? – Mortimir przygotował się do rzucenia czarów, ale tylko dlatego, że tak mu kazano. Doszedł do tego, że przekazywał moc mistrzowi. To robili studenci.

– Ty. Nautarchon kiwa ręką. Zobaczmy, młody człowieku.

Stali w świecie realnym, na pięknie zagrabionej piaskowej podłodze.

Mortimir zamknął oczy i *wezwał swoje miejsce do pracy. Cztery złamane kolumny stały jak przypomnienie jego hermetycznej bezsilności, ale nie podążył za tym obrazem. Zamiast tego wezwał moc, co obecnie było najlepszą z jego umiejętności, i zalany nią zaczął zasilać pierwszy zestaw swojej dyplomatyki.*

U jego boku gramatyk mruknął:

– Ach...

– Spójrzcie! – krzyknął jeden z marynarzy.

*Morgan się nie zdekoncentrował i przebiegł palcami po drugiej części swojego dzieła, wlał w płótna nieco mocy, ostrożnie, bo były delikatne i nie chciał ich spalić.*

Płótna przyjęły moc hermetyczną jak barwnik – złote światło słońca przepełzało po nich od środka do skrajów i każde lekko załopotало, gdy się napełniło, i skraje się zaskrzyły zasilone mocą nastoletniego chłopca.

– Uwielbiam ten moment! – krzyknął marynarz.

Jego kolega na sąsiednim maszcie wybuchnął śmiechem, który zadudnił głucho pod kopułą.

Pierwsze dzieło Mortimira przemknęło po masztach i rozpostarło się nad hipodromem. Hermetyczny barwnik rozlał się w snopie iskier i całość zapłonęła czerwonym złotem, jakby płótna stanęły w ogniu.

– *Aspides* – powiedział głośno Morgan.

Wszystkie dziewięć płóciennych płacht zamarło – rdzawe światło błysnęło i zgasło. Uważny obserwator mógłby jednak zauważyć cienką jak nić linię światła obrzeżającą każdą płachtę.

Mistrz gramatyk pokiwał głową.

– Pięknie, panie Mortimirze. Wielorakie tarcze, nie tylko jedna.

– Jeśli jedna zawiedzie, inne osłonią ludzi przed śniegiem.

– I każda płachta jest jednością – dodał gramatyk. – Czy dostrzegasz w tym jakiś problem?

Mortimir pokręcił głową.

– Nie, maestro.

– Nigdy nie budowałeś dachu, prawda? – Mistrz gramatyk się uśmiechał, więc Morgan zaczął odczuwać prawdziwy triumf.

Marynarze bili brawo.

– Nie, maestro. – Mortimir spojrział w górę.

Maestro uniósł laskę.

– *Scutum*.

Bez żadnego błysku wszystko się zmieniło. Mortimir przeciągnął językiem po skrajach swojego dzieła – w umyśle. Wszystko było solidne.

– Pomiedzy płachtami, mój młody uczniu. Uczyniłeś każdą z nich całością, ale ich nie zjednoczyłeś. Pomiedzy nimi wpadałby śnieg. Niewiele i, szczerze mówiąc, wątpię, by ktoś to zauważył. Dobrze się sprawiłeś. Rozumiesz zasady i twoje wyrażenie gramatyczne było bezbłędne. – Mężczyzna lekko się uklonił. – Zauważ, masz dobrych nauczycieli. – Uśmiechnął się. – Ale dach jest zawsze jednością.

Mortimir westchnął.

– Czuję się jak głupiec – wyznał.

Mistrz gramatyk pokiwał głową.

– Dobrze. Tak się czuje każdy z nas, kiedy się czegoś nauczy. Staram się doświadczać tego raz dziennie. A teraz idź się potykać. Może przyjdę popatrzeć. – Po chwili milczenia dodał: – Naprawdę musisz popracować nad pamięcią, chłopcze.

– Tak, maestro. – Mortimir się uklonił i mistrz gramatyk odwzajemnił ukłon.

Gdy gramatyk odszedł po piasku, kilku marynarzy podeszło do Morgana i uścisnęło mu rękę. Ich pochwały sprawiły mu przyjemność.

Nautarchon mu się uklonił.

– Jeśli zdasz na zaklinacza pogody, mistrzu, z przyjemnością przyjmę cię na pokład. – Wskazał w górę. – Ty naszykowałeś płótna, widziałem. W burzy dobry mag może w ten sposób panować nad żaglami, dzięki *ops*. Dobrze wyposażony statek może przetrwać zimowy sztorm, gdy mag się opiekuje takim lunkiem.

Mortimir nie spodziewał się takiej pochwały. Zaczerwienił się, spuścił wzrok i wymamrotał, że brak mu pewności siebie.

Pochwa z mieczem wplątała mu się między nogi, gdy odchodził. Coś takiego nie zdarzyło mu się od tygodni. Potknął się, rozejrzał i zobaczył tuzin członków Akademii w długich szatach stojących przy wielkim wejściu. Kłaskali. Antonio Baldesce się śmiał.

Mortimir nie miał do niego żalu. Przywołał uśmiech na twarz, gdy szedł po piasku, świadom, że okazanie urazy tylko pogorszy sytuację.

Tancreda położyła rękę na jego ramieniu, gdy podszedł.

– Uśmiechnął się! Matko Boska, Dżumo! Sprawiliś, że mistrz gramatyki się uśmiechnął!

Mortimir pokręcił głową.

Baldesce szczyrzył zęby.

– I stary Donatedello. Zdaje się, że cię polubił.

Mortimira mrowiła ręka w miejscu, gdzie jej dotknęła Tancreda. Poczernieniał.

– Dokąd się wybierasz? – zapytała.

– Idę... idę na świąteczny turniej.

Baldesce znów się roześmiał.

– Mam nadzieję, że pamiętasz o szarych ludziach takich jak my, którzy ci pomagali po drodze.

Kronmir przeczytał wiadomość wypisaną woskiem na ostrzu kosy i skrzywił usta. Użyto starego szyfru i nagryzmołone woskiem słowa były widoczne dla każdego, a posłaniec – najwyżej siedmioletnia dziewczynka – czekał na śniegu przy gospodzie, więc wróg mógł wszystko przeczytać. Tak się nie stało, ale pokręcił głową mocno zdegustowany. Poklepał dziewczynkę i dał jej sztukę złota.

– Masz matkę, dziecko? – zapytał.

Zaprzeczyła ruchem głowy. Ten gest ujawnił całą jej przyszłość – przyszłość, jakiej Kronmir nie życzyłby wrogowi. Szczególnie w Boże Narodzenie.

Dodał drugiego złotego bizanta, cenną monetę. I trzydzieści miedziaków, które miał w sakiewce.

– Posłuchaj, dziecko – powiedział. – Ludzie zabiją cię dla złota, które ci dałem. Możesz opuścić miasto?

Skinęła głową.

– Udasz się do Loniki, jeśli cię tam pošlę? – zapytał.

Przytaknęła.

Wyjął kawałek wschodniego papieru, złożył go w szczególny sposób i napisał wiadomość sokiem z cytryny.

– Zabierz to do tego samego kowala, który przysłał kosę, dziecko. – Położył rękę na jej głowie, która była bardzo ciepła, niemal gorąca. Zrobienie do-

brego uczynku w Boże Narodzenie sprawiło mu dużą przyjemność.

Jakkolwiek mocno będzie się wzdragać przed życiem w klasztorze, okaże się ono lepsze od tego, jakie czekało ją w mieście bez rodziców.

Kiedy odeszła, dwa razy potarł wosk dla pewności, czy wiadomość na pewno mówi to, co przeczytał, a potem rzucił kosę w ogień, żeby wosk zniknął.

Ruszył na miasto, żeby znaleźć zabójcę.

Podszedł do drzwi pewnego domu i zapukał sześć razy, po czym odszedł. To było wszystko, co trzeba było zrobić, żeby wydać wyrok śmierci na nowego diuka.

Wrócił do opracowywania sieci ewakuacyjnej, ponieważ za dzień lub dwa wielu jego ludzi będzie musiało uciec z miasta.

Zabójca obserwował idącą ulicą kobietę, mima w czerwono-zielonym stroju, z wieńcem jagód na głowie. Spodziewał się jej; przychodziła codziennie o tej samej porze i wykonywała ten sam taniec. Ale dzisiaj zrobiła coś innego i wstąpił w niego duch działania, kiedy się pochyliła w tańcu i ulepiła pigułę z brudnego ulicznego śniegu. Rzuciła nią celnie w jego okiennice. Później zrobiła gwiazdę, nie bacząc na lodowatą breję.

Stała pod jego oknem na rękach, po czym wyciągnęła z torby czerwoną kukielkę i rzuciła ją w śnieg.

I nastąpiła na nią.

Zostawiła szkarłatną zabawkę, odbiegając tanecznym krokiem.

Zabójca podniósł się z wąskiego łóżka na poddaszu, wciągnął na głowę skromny, wiele razy cerowany brudnobiały kaptur i zarzucił na ramię kosz druciarza.

Godzinę po wschodzie słońca księżniczka przeszła z Wewnętrznego Dziedzińca na Zewnętrzny, gdzie czekali na nią nowy majordom pałacu i Megas Ducas. Na Zewnętrznym Dziedzińcu stała cała gwardia, drżąca z zimna, ale wspaniała w najlepszych mundurach: morze szkarłatu, purpury, złota i lśniącej stali, jak mozaika, w której każdy człowiek stanowił jedną kostkę.

Jej ordynariusze i Nordykanie przemaszerowali na środek dziedzińca, a gwardia rzędami od prawej i lewej. Cesarski rydwan – pusty, nie licząc woźnicy – podjechał do księżniczki.

– Myślałam, że mnie zdradziłeś – szepnęła Irena. Wyglądała jak ożywiona

ikona, miała mleczną cerę, a ciało przyobleczone w sztywny złotogłów, ciężki od szlachetnych kamieni i pereł.

– Wasza Wysokość – rzekł bardzo cicho diuk.

Procesja ruszyła przez plac zapełniany przez ludzi z miasta, którzy ruszyli za księżniczką i jej gwardią do wielkiej katedry, gdzie patriarcha odprawił mszę.

Megas Ducas przyjął komunię i nie stanął w płomieniach. Rozmyślny Mord, który się o to zakładał, przegrał niewielką sumę pieniędzy.

Po mszy wojsko z większością sług pałacowych i całą Akademią, profesorami, uczniami i sługami w czarnych barwach, a także większą częścią mieszkańców Liwiapolis, obeszło miasto, niosąc relikwie świętych.

Aura *potentia* przenikała miasto. Kiedy Megas Ducas dostał wino, czuł w nim posmak surowej mocy.

Po procesji i szybkim posiłku, jedzonym na zimno ze złotych talerzy, Megas Ducas zabrał większość swoich rycerzy, a także kilku scholistów i tuzin członków latinikonu na hipodrom, gdzie rozstawiono ogrzewane pawilony.

Na hipodromie już było tłoczno, bo większość ludzi przyszła tu prosto po mszy i solennej procesji. Tłum był tak zbity, że ogrzał powietrze. Rycerze powitani radosnymi okrzykami weszli do namiotów – ser Michael, będący mistrzem turnieju, podzielił ich nieco sztucznie na dwie drużyny.

Megas Ducas miał się zjawić jako ostatni, dlatego czekał przed bramą hipodromu ze świtą. Należał do niej między innymi jego giermek Toby, paź Nell, trębacz Nicholas Ganfroy, ser Jehan i chorąży, ser Milus, który był tego dnia marszałkiem i nie brał udziału w turnieju. Diuk był odziany od stóp do głów w szkarłatną wełnę i jelenią skórę, z podbitą lisim futrem czapką ze szkarłatnej skóry z trzema dużymi czerwonymi piórami. Miał na biodrach pas rycerski i nosił na ramieniu skrawek białego materiału, przypięty broszą wysadzaną rubinami i szmaragdami. U jego boku wisiał miecz, który niemal dyszał *potentia*, idealny pod względem kształtu widocznego nawet przez czerwoną pochwę. Rękojeść była wykuta ze stali, owinięta jelenią skórą i okręcona złotym drutem, z emaliowaną głowicą.

Wokół bramy zebrała się masa ludzi, co najmniej tysiąc mężczyzn i kobiet wykrzykujących jego imię. Megas Ducas pochylił się na roslym koniu i pocałował dziecko – zrobił coś takiego po raz pierwszy w życiu – i w nagrodę poczuł wilgotne ciepło na rękach i zapach, i promienny uśmiech matki berbecia.

Toby podał mu ręcznik. Diuk wytarł dłonie i wyszczerzył zęby do matki,



która chwilę potem zaginęła w tłumie.

Brama zaczęła się otwierać i ściana hałasu uderzyła go niczym pięść. Jeśli myślał, że tysiąc osób ściśniętych w uliczce przy bramie jest wielkim tłumem, to grubo się mylił. Po drugiej stronie tunelu czekało dwadzieścia razy więcej ludzi i ich ryk sprawił, że się zachwiał jak trafiony kopią.

Ale przywołał uśmiech na twarz. Długa Łapa delikatnie, acz stanowczo wypychał tłum z tunelu na hipodrom. Kilku mężczyzn w różnym wieku wcisnęło się tam przed łucznikami kompanii i teraz przyciskali się do ścian, skandując tytuł diuka, ich krzyki dźwięczały metalicznie w przejściu długim na pół strzału z łuku.

Megas Ducas pomachał ręką do ludzi na zewnątrz i lekko poderwał konia, a oni bili brawo, po czym wjechał do tunelu. Młody mężczyzna biegł obok jego nogi, machając ręką, aż o coś się potknął i z krzykiem padł jak długi.

Czerwony Rycerz spojrział w dół, żeby zobaczyć, co mu się stało. Oślepił go błysk, coś uderzyło go w pierś i wszystko pociemniało.

Megas Ducas jako ostatni wyjechał na hipodrom z tunelu cesarskiego przy Wielkiej Bramie, witany potężnymi okrzykami, które przetaczały się nad arenę, gdy tłum zdierał gardła.

Ale coś było nie w porządku – jechał bardzo powoli, sztywno siedząc w siodle, i Nell, jego paż, w bramie zawróciła konia i pogalopowała do pałacu.

Wezwano ser Michaela. Patrzył, jak zbита grupa domowników diuka wciska się do jego prywatnego pawilonu, a tak być nie powinno. Dał znak ser Gawinowi, kapitanowi drużyny „Cudzoziemców”, i pobiegł do namiotu Czerwonego Rycerza.

Wewnątrz zastał Toby’ego, który klęczał przy trzech zestawionych stołkach. Rozmyślny Mord był biały jak pergamin, a ser Jehan i Nicholas Ganfroy pochylali się nad...

– Co się stało? – zapytał ser Michael.

Megas Ducas leżał na stołkach. Płynęła z niego gorąca krew. Mówił, ale głos nie należał do niego. Krew była wszędzie, ojciec Arnaud był nią zbroczony. Mamrotał, zapewne modlitwę, i jego twarz wydawała się szara.

– Wezwijcie magistra – szczerknął Megas Ducas. Mówił jak inna osoba. – Twardego. Nie, dajcie mi tego chłopca. Mortimira. Jeśli tu jest.

Ser Michael umiał na pierwszy rzut oka rozpoznać krytyczną sytuację. Nie pytał. Odwrócił się, pobiegł do pawilonu obrońców.

– Messire Mortimir! – krzyknął, gdy wpadł do środka.

Czterdziestu giermków i paziów ubierało w zbroje dwudziestu ludzi, czemu towarzyszyła kakofonia brzęku stalowych płyt i okrzyków konsternacji z powodu zagubionych szydeł do sznurowania. Na piasku stały otwarte wiklinowe kosze i tylko kilku szczęściarzy – w tym ser Alison – miało stołki, żeby usiąść.

Morgan Mortimir miał założone bigwanty. I nie miał giermka.

Podszedł dość chętnie.

– O co chodzi? – zapytał i zbladł. – Psiamać... chyba nie dach?

Ser Michael wyciągnął go za łokieć na piasek, gdzie powitał ich ogłuszający aplauz – Mortimir był pierwszym zbrojnym, który się pokazał. Tłum nie mógł się doczekać widowiska.

Ser Michael wciąż próbował przenalizować to, co widział i słyszał. Zdawało mu się, że głos, który wyszczekiwał rozkazy, nie należał do diuka. Przypominał głos Harmodiusza.

Przepchnął Mortimira przez grupę ludzi do łóżka zrobionego ze stołków. Leżał na nim Megas Ducas, zakrwawiony, z twarzą pokrytą skorupą krwi, w białej płóciennej koszuli, która teraz była szkarłatna.

– Jezu Chryste! – wymamrotał Mortimir. – Nie jestem uzdrowicielem.

*Zamknij się i mnie wpuść.*

Mortimir mógłby zareagować inaczej, gdyby nie ubiegły tydzień. Otworzył swój pałac i wszedł do niego wysoki mężczyzna w ciemnoniebieskich akсамitach.

*Na cały czas świata, chłopcze. Czy to wszystko, co masz w pamięci?*

*A kim ty jesteś, do nędzy? – zapytał Mortimir, teraz przerażony. Wpuścił nieznanego do swojego pałacu. W konsekwencji był jak nagi.*

*Tak, to była głupota z twojej strony. Wybacz, chłopcze. Zamierzam przez kilka godzin nosić cię jak koszulę. Na koniec będziesz ogromnie zmęczony i... ha. Przestań się wiercić. Twoja panika jest zrozumiała, ale szkoda na nią mojego wysiłku. Słodki Jezu, jesteś młody. I gibki. Co za przyjemność.*

Mortimir próbował walczyć z intruzem, ale bez widocznego skutku, i przynajmniej używał jego ciała. Czuł, jak klęka przy zwłokach diuka. Widział, jak się poruszają jego ręce.

A co najstraszniejsze ze wszystkiego, jego pałac pamięci zaczął się rozpuszczać.

*Doprawdy, większość młodych ludzi sili się na budowanie czegoś, co jest szykowne. I romantyczne, i za bardzo, kurwa, skomplikowane. Mężczyzna w*

niebieskich aksamitach śpiesznie szkicował złotą różdżką. Widok złota, jego połysku i eterycznej obecności, uspokoił Mortimira. Legiony zła nie dzierżą złota.

*Grasz w szachy, chłopcze?* – zapytał starzec. Podłoga pod ich stopami nagle stała się czarno-białą szachownicą, osiem kwadratów na osiem.

Mortimir zwalczył odruch wymiotny. Dotąd nie spotkało go nic równie niepokojącego. Nawet umysł nie należał do niego. Jego wewnętrzną wizją w eterealu władał ten straszny stary...

*Proszę, pozwól, że się przedstawię. Nazywam się Harmodiusz.*

*Przecież nie żyjesz!*

*Hm. Niezupełnie. Przestań się wiercić. Patrz*

Pałac pamięci Mortimira nagle przemienił się w ogród z wielką marmurową szachownicą pośrodku. Najdrobniejszy liść na krzaku dzikiej róży był bardziej żywy niż wszystko, co się znajdowało w jego byłym pałacu.

*Nigdy tam nie byłem... panie... nie mogę...*

*Harmodiusz się roześmiał.*

*Nikt nigdy tu nie był. Właśnie to wymyśliłem. Jestem trochę zajęty, chłopcze. Raczysz się zamknąć?*

*Figury szachowe zaczęły się poruszać.*

Biała królowa obróciła głowę i wystrzeliła z niej linia czystego zielonego światła, dotknęła złotej gałki na czubku głowy króla i przemieniła się w tęczę kolorów tak żywych, że przypominały sen, który się śni w wysokiej gorączce. Mortimir chciał nadać nazwy nowym barwom, gdy nagle skupiły się w kryształ trzymanym przez Harmodiusza – w czymś tak nienaturalnym, że Mortimir nigdy nie zdołałby tego zrobić. Starzec pokiwał głową.

*Przepelnia cię moc, prawda, chłopcze? Nie jestem pewien, czy kiedyś miałem dostęp do takiej ilości surowego materiału. Jego uśmiech wyrażał czystą zachłanność. Naprawdę masz szczęście, że mam inne plany, ponieważ to ciało doskonale odpowiadałoby moim potrzebom. Co więcej, twoi profesorowie byliby zachwyceni, gdybym został studentem! Zaśmiał się paskudnie. Nie ma obawy. Przypuszczam, że w rzeczywistości okażę się twoim dobroczyńcą.*

*Rzucił w powietrze przed chwilą stworzony klejnot i Mortimir zobaczył, że jego lewa ręka ściągnęła rękawicę z prawej. Zobaczył, że prawa ręka zawisła nad ciałem diuka. Belt sterczał tuż nad sercem.*

*Morderca, powiedział stary mag. Mało brakowało. Szerokość palca w lewo, a byłoby po nas. Jesteśmy w kłopotach. Palec Mortimira dotknął boku diuka. Moc rozbłysła niczym małe słońce. Trucizna, alchemia i magia,*

*wszystko razem. Ktoś chciał, żeby mój młody przyjaciel był bardzo, ale to bardzo martwy. Jasność słońca wzrosła i Mortimir poczuł, jak cała jego potentia wypływa z niego niczym woda ze stłuczonej butelki.*

*Było to wielce przerażające wrażenie.*

*Najgorsze ze wszystkiego, co stało się jasne dla nich obu, razem splecionych – że nie wystarczy potentia ich trzech, Harmodiusza, Mortimira i ранnego diuka, żeby go uratować. Moc spływała jak w bezdenny dół i nic się nie zmieniło.*

*Mortimir zobaczył, że Harmodiusz opuszcza ramiona, pokonany.*

*Jego ostatni zapas starannie gromadzonej ops przepadł bez śladu...*

*Nagle nastąpiła eksplozja bladego żółto-zielonego światła, które popłynęło z ręki śmiertelnie ранnego mężczyzny.*

*Mortimir chwycił bełt i wyciągnął go z rany delikatnym szarpnięciem, czemu towarzyszył wilgotny odgłos. Gdy stalowy grot się wysunął, skóra pod nim natychmiast się zamknęła. Idealnie.*

*Harmodiusz, przebywający głęboko w ogrodzie pamięci Mortimira, potknął się o kamienną kolumnę – jedyną pozostałość po jego pałacu – i pokręcił głową.*

*Na Świętego Jerzego, młody magistrze. Obym cię nigdy więcej nie widział.*

*Co się stało? – zapytał Mortimir.*

*Harmodiusz stał i dyszał jak człowiek po długim wyścigu. Pokręcił głową.*

*Nie moja tajemnica, więc nie mogę się nią podzielić. Teraz musi spać. Jak turniej?*

Każdy rycerz ścierał się trzy razy. Starannie ustalono kolejność, wszyscy zatem wiedzieli, z kim mają się potykać, i były cztery listy, a giermkowie i paziowie biegali od jednego do drugiego uczestnika turnieju, gdy ser Michael kierował całym przedsięwzięciem.

Ser Alison wysadziła z siodła ser George'a Brewesa ku ogromnej satysfakcji tłumu. Ser Francis Atcourt zrzucił Czerwonego Rycerza, który walczył z wyjątkowym brakiem wdzięku, i księżniczka przycisnęła rękę do piersi, kiedy uderzył w ziemię. Ale wstał z dawną sprężystością i poprawił się w następnym starciu, schludnie zdzierając grzebień z hełmu ser Bescanona, którego kopia ze zgrzytem zsunęła się po jego tarczy i nawet się nie skruszyła.

Ser Gawin był bohaterem popołudnia. Jego kopia pewnie trafiała w cel i wyraźnie miał dobry dzień – zrzucił ser Francisa Atcourta, który runął na ziemię tak, że widzowie się skrzywili, i skruszył kopię na trzech przeciwnikach

z latinikonu, a potem odniósł spektakularne zwycięstwo nad ser Jehanem, uderzając w hełm poniżej grzebienia – hełm pękł wzdłuż spawów i się rozsy-  
pał. Starszy mężczyzna nie odniósł obrażeń, ale stracił hełm, więc zawrócił  
konia i uklonił się przeciwnikowi, co tłum nagrodził aplauzem.

Ser Alkajos jako kapitan drużyny Obrońców był ulubieńcem tłumów, i  
zrzucił trzech przeciwników z rzędu. Ale podesta Etrusków, ser Antonio,  
uderzył go kopią, odchylając się w siodle, i chociaż nie strącił go z konia, to  
został uznany za lepszą kopię na punkty. Odprowadzany kamiennym milcze-  
niem tłumu pojechał do bramy, gdzie etruscy kupcy zgotowali mu entuzja-  
styczne przyjęcie.

Gdy słońce zaczęło zachodzić, ser Gawin zmierzył się z diukiem, który  
szywno siedział w siodle. Po raz pierwszy przez całe popołudnie Megas Du-  
cas dosiadał swojego nowego konia bojowego. Poza szywnością nie można  
mu było niczego zarzucić, podobnie jak jego bratu. Przy pierwszym starciu  
obaj skruszyli kopie. Gdy zawracali na pozycje wyjściowe, Gawin uniósł  
rękę i wstrzymał konia pośrodku szranków. Stanęli oddzieleni barierą, która  
zapobiega zderzaniu się koni i pomaga im biec prosto przed siebie.

Ser Gawin przechylił się nad barierą.

– To ty? – zapytał.

Oczy Czerwonego Rycerza rozbłysły.

– Już tak – powiedział.

– Dlaczego nie dostałem do walki jakiegoś nieudacznika noszącego twoją  
zbroję? – zapytał Gawin. Zasalutował i pojechał dalej. – Jesteś o wiele za do-  
bry.

Przy drugim starciu znowu skruszyli kopie. Tłum ryczał. Mała biała chus-  
teczka łopotiała na kapturze kolczym Czerwonego Rycerza. Rycerze, którzy  
już skończyli popisy, wskazywali ją palcami i się śmiali.

Ser Bescanon powiedział do ser Jehana:

– To było najlepsze starcie, jakie widziałem. Potrzeba nam albańskich wi-  
dzów, bo tutaj to jak rzucanie pereł przed wieprze.

Ser Jehan podał mu kubek wina.

– Jest doskonałą kopią – przyznał. – Lepszy, niż ja kiedykolwiek byłem.

Przy trzecim starciu kopia ser Gawina ześliznęła się z tarczy Czerwonego  
Rycerza, trzasnęła w prawy naramiennik i zdarła go z ciała.

Czerwony Rycerz siedział w siodle jak przyspawany, ale okrągły nara-  
miennik toczył się po piasku jak wyrzut. Czerwony Rycerz podjechał do  
swojego namiotu, gdzie kazał zdjąć zasłonę hełmu, a potem pokłusował

wzdłuż szranków, objął brata, i obaj pokleпали się po plecach.

– Słodki Jezu, bracie! – krzyknął Gawin. – Krwawisz.

– Tak. Ale to było widowiskowe – powiedział jego brat. Razem podjechali do loży księżniczki, zasalutowali i udali się do jednego z ogrzewanych pawilonów.

– Chcesz, by się odbył bohurt przy pochodniach? – zapytał ser George Brewes po wymianie stalowego uścisku z kapitanem. – Ludzie będą ginąć.

Toby zdjął Czerwonemu Rycerzowi kolczugę przez głowę i wszyscy mogli zobaczyć bandaż.

– Kurwa mać! – krzyknął Francis Atcourt.

– Kusza – wyjaśnił Czerwony Rycerz. – Bełt wyjęty, rana zagojona. Teraz znowu popracuję. Spokojnie. – Skinął na Morgana Mortimira, który był w pełnej zbroi. Jego oczy wyglądały tak, jakby szklarz je pokrył glazurą, ale dość dobrze sobie radził z uzdrawianiem. – Trucizna połączona z magią. Ktoś chciał mieć absolutną pewność, że na pewno umrę.

– Nie złapaliśmy zamachowca – powiedział ser Michael.

Inni rycerze w pawilonie mieli zszokowane miny.

Czerwony Rycerz zrobił głęboki wdech, kiedy dwóch studentów Akademii podciągnęło mu koszulę. Błękitny ogień pełgał po jego lewym ramieniu. Mortimir przeciągnął ręką po ranie i pokiwał głową.

Tancreda Komnena uśmiechnęła się do Dżumy.

– Kiedy się nauczyłeś tak dobrze uzdrawiać? – zapytała.

– Podczas oblężenia Lissen Carak – powiedziały usta Mortimira. – Psia-krew... despoino, zapomnij, że to powiedziałem.

Uniosła brwi.

– Jesteś bardzo piękna i chyba się w tobie zakochałem – dodał Mortimir.

Pokraśniała.

Ukląkł z gracją typową dla starszego człowieka.

– Pani, jeśli raczysz dać mi upominek, z dumą będę bronić twojej urody przeciwko wszystkim innym, uznając cię za jedyną damę mojego serca.

Położyła rękę na jego głowie.

– Piękne słowa. Czy działają na dziewczyny w Albie?

Opuściła rękę na jego ramię, a on ją ujął, obrócił i ucałował wewnątrz dłoni. A potem nadgarstek.

– Ach! Jestem pewna, że to robi wrażenie na albańskich dziewczynach. Pochyliła się. – Nagle stałeś się bardzo pewny siebie. – Pochyliła się jeszcze bardziej i musnęła ustami jego wargi, leciutko, jak skrzydełka motyla.

*Proszę bardzo, chłopcze. Nic dodać, nic ująć. Naprawdę masz szczęście, że oddaję ci ten pałac ciała, ładny i mocny. Jestem w tym znacznie lepszy od ciebie.*

Kiedy Mortimir pojechał na ostatnią wymianę ciosów, na jego ramieniu powiewał wspaniały czerwono-purpurowy rękaw. Despoina Komnena szczelnie otuliła się peleryną i nie pozwoliła kuzynce zobaczyć, czy ma kompletną suknię.

Podczas ostatnich potyczek, głównie powtórkach tych, w których rycerze się nie starli albo koń czy jeździec zostali zranieni – młody Mortimir skruszył kopię, ścierając się z ser Antoniem, i zakołysał nim w siodle ku uciesze tłumów i swojej. Potrząsnął pięścią w powietrzu, zadowolony z siebie, ale się opanował, i widziano, że się objęli. Ser Alkajos mocno uderzył ser Alison, lecz nie wysadził jej z siodła, i tłum ryczał. Było to ostatnie starcie dwojga faworytów i kiedy dobiegło końca, oboje spotkali się przy środku bariery. Ser Alison coś powiedziała, ser Alkajos położył rękę na sercu i pokręcił głową, a potem się objęli.

Rycerze jeden za drugim objechali szranki i królowa wręczyła nagrodę honorową ser Gawinowi – wbrew swojej woli, jak widział tłum, i ludzie wzniesli okrzyki na cześć Czerwonego Rycerza.

Później rycerze pojechali do swoich pawilonów.

– Przykro mi – mruknął ser Gawin.

– Mnie nie, to było magiczne – powiedział Czerwony Rycerz. – Myślę, że jesteś najlepszym uczestnikiem turnieju, z jakim się mierzyłem.

Francis Atcourt pokręcił głową.

– Ktoś cię postrzelił z kuszy, a ty się potykałeś?

Czerwony Rycerz się skrzywił.

Jeden z dwóch studentów, młody Mortimir, uniósł rękę, a wówczas dołączył do niego ten trzeci i połączyła ich linia mocy – młodszy student przekazywał surową *ops* swojemu koledze.

– Miałem nadzieję, że będzie dość głupi, żeby ponowić próbę – powiedział Czerwony Rycerz. – Jakież sukcesy, Morganie?

Albański student wzruszył ramionami.

– Szukamy broni, ale sprawca wiedział, jak zerwać połączenie pomiędzy łukiem i strzałą – odparł niskim głosem i dziwnie pewny siebie jak na nastolatka.

Toby, ze spuszczoną głową, wyraźnie zawstydzony, powiedział:

– Zbyttno przywykłem, że zawsze jest ser Thomas. I ser Ranald. Stałem się niedbały.

Czerwony Rycerz uszczypnął go w policzek.

– Gówno prawda, Toby, wszyscy trochę przesadziliśmy. I ten łajdak jest dobry. Doskonale wybrał chwilę.

– Dlaczego musisz tam wracać? – zapytał ser Michael.

Diuk na niego spojrział. Jego ciemne oczy miały sardoniczny wyraz i były odrobinę za bardzo błyszczące. W ich głębi połyskiwała czerwień.

– Michaelu, jeśli przegram, rozpęta się piekło. Możesz mi wierzyć. Jeśli zobaczą, że się bodaj waham... – uśmiechnął się – dojdzie wśród nich do rozłamu.

– A kimże są niby ci oni? – zapytał ser George Brewes.

Ser Gawin przepchnął się do przodu.

– Pieprzyć to! – rzucił ze złością. – Jak dla mnie to miasto może pójść z dymem.

Czerwony Rycerz pokręcił głową.

– Szlachetni panowie, być może czeka nas pracowita świąteczna noc. Wiedzieliśmy, co nadchodzi... Gelfred dostał wiadomość, ale musiała być druga.

– Usiadł. Był bardzo blady. – Jednakże, jeśli przeżyję publiczne tańce, powinno być dobrze. Jeśli nie, pozwólcie mi powiedzieć, że kapitanowanie wam było dla mnie wielką przyjemnością.

Atcourt zwrócił się do ser Michaela:

– Jest obłąkany. Każ mu iść do łóżka. I czy nie powinno się ostrzec księżniczki?

Wyraz twarzy Czerwonego Rycerza stał się nieodgadniony.

– Ostrzec ją? – syknął ser Michael. Odwrócił się i popatrzył na ser Alkajosa, który stał z rękami skrzyżowanymi na piersi.

Moreański rycerz pokręcił głową, wyglądając o dziesięć lat starzej, ale nic nie powiedział.

To ser Alison podjęła rękawicę. Roześmiała się, jej chrapliwy śmiech brzmiał jak wyzwanie rzucone losowi.

– Ostrzec księżniczkę? Przecież prawdopodobnie to ona opłaciła pierdolego mordercę.

## **Harndon – królowa**

Królowa ogarnęła z Diotą swoje apartamenty, a później spotkała się z mi-



strzem Pyle'em, który przyniósł jej podarek dla króla. Zapakowała prezent, po czym ubrała się starannie w brązowe aksamity naszyte paciorkami z brązu i złota oraz szmaragdami wielkości główki gwoździa. Brzuch już było widać, ale Diota dokonała cudu, robiąc poprawki, żeby zamaskować wypukłość.

– Gdzie jest Rebecca? I Emmota? I moje inne damy? – zapytała Dezyderata, gdy zimowa ciemność jęła się toczyć po śniegu.

Patrzyła na wydłużające się cienie – zdawało się, że węże pełzną po brudnym śniegu na głównym dziedzińcu – i z drzeniem pomyślała o innej ciemności w korytarzach pod Starym Pałacem.

– Skarbie, spóźniają się. Każdy się spóźnia – odparła Diota z typowym dla niej zdrowym rozsądkiem. – Ponieważ jest Boże Narodzenie, skarbie, i w Boże Narodzenia tak to właśnie bywa.

– Jestem gruba – poskarżyła się królowa. Spojrzała na swoją piastunkę. – Martwię się o Emmotę. Źle wygląda.

Diota przewróciła oczami.

– Nosisz dziecko, Wasza Królewska Mość. – Uśmiechnęła się szeroko. – Było wiadomo, że przybędzie ci parę funtów. – W zamyśleniu spojrzała w lustro. – Jestem gburowatą starą babą. Powiedziałabym, że ta mała wybrała niewłaściwe drzwi w stajni.

– Emmota? Nie traktuje lekko miłości – powiedziała królowa.

Piastunka wzruszyła ramionami.

– Mężczyźni to świnie. I zachowują się jak świnie.

– Co wiesz?

– Co wiem? Nic. Ale myślę, że jeden z Galów zawrócił jej w głowie i że ta mała dziwka dla nich szpieguje. – Diota podniosła szczotkę i trochę za mocno szarpnęła włosy swojej pani. – Słyszałam, jak jeden z nich wyzywał ją od zdzir i kurew.

Królowa pokręciła głową.

– Dlaczego są tacy głupi? Najświętsza Panienko, mój mąż myśli, że byłam mu niewierna. – Dezyderata nagle zaszlochała. Nikomu wcześniej o tym nie powiedziała.

– Jest głupcem – skwitowała Diota. – Ale jest mężczyzną, a oni już tacy są.

– Jak może nawet pomyśleć coś takiego?! – krzyknęła królowa. Nie chciała krzyczeć. Gniew się pojawił niemal jak spod ziemi.

Otworzyły się prywatne drzwi i do komnaty weszła lady Rebecca. Dygnęła, jej twarz była biała jak świeże mleko.

– Becco, co się stało? – zapytała królowa.

Almspend pokręciła głową, ściągnęła usta i nie powiedziała słowa.

– Rozkazuję ci, mów! – zażądała królowa.

– Jest Boże Narodzenie i jak wszyscy inni jestem spóźniona – powiedziała jej sekretarz. – Mężczyźni w korytarzach bez przerwy mówią wstrętne rzeczy.

– Napadł na ciebie jeden z Galów! – krzyknęła Diota.

Almspend się uśmiechnęła.

– Mało prawdopodobne – powiedziała cicho. – A raczej mało prawdopodobne, żeby to się stało więcej niż raz.

Królowa westchnęła.

– Gdyby tylko Mary... ha. Wróci po Objawieniu Pańskim. – Spojrzała przez okno. – Wiele bym dała, żeby opuścić truciznę tego dworu. Jechać do klasztoru i zaznać trochę spokoju, dopóki moje dziecko nie przyjdzie na świat. – Myśl o dziecku wyraźnie ją rozweseliła. Pozwoliła, żeby nieznacznym uśmiechem złagodził jej złość.

Almspend podjęła wysiłek, wzięła się w garść, sięgnęła po szczotkę i zaczęła szczotkować włosy królowej.

Diota na nią patrzyła. Wymieniły spojrzenia.

– Gdzie jest Emmota? – zapytała królowa.

Almspend wzruszyła ramionami.

– Zajęta, jak się spodziewam, Wasza Królewska Mość. – Pilnowała się, ale królowa obróciła głowę.

– Gzi się ze swoim galijskim kochankiem – syknęła Diota.

Almspend spiorunowała ją wzrokiem.

– Nie to słyszałam.

– Nianiu, nie bądź wulgarna. Emmota jest najmłodszą z moich dam i może nie najbystrzejszą... – Królowa się uśmiechnęła. – Ale mimo wszystko ją kocham.

– Mam nadzieję, że nie zmienisz zdania – powiedziała lady Emmota, stając w drzwiach. – Nie jestem bystra. Jestem tępa, głupia i beznadziejna. I brzemienna. Czy to nas łączy, Wasza Królewska Mość? Jak ty, noszę bękarta.

Królowa odwróciła się tak szybko, że szczotka wplątała się we włosy i tam została.

– Emmoto! – krzyknęła.

Emmota wskazała palcem na królową.

– Jestem zepsuta, bo ty jesteś dziwką. Wierzyłam ci. Wierzyłam we wszystkie słowa o obronie obrońców i strzeżeniu strażników i wszystkim, co

dostałam za moje starania, jest wzdęty brzuch i reputacja kurwy takiej samej jak moja królowa. – Wybuchła płaczem i rzuciła się na dywan.

– Co się stało? – zapytała Dezyderata. Popatrzyła na pozostałe kobiety.

Almspend złapała szczotkę i zaczęła ją wyplątywać z włosów królowej.

Diota przekreśliła dziewczynę na plecy i plasnęła ją w policzek, wcale nie delikatnie.

– Wstań, głupia kobieto.

– On jest najlepszym rycerzem! – krzyknęła Emmota. – A potraktował mnie jak... jak...

– Jesteś kochanką Jeana de Vrailly’ego? – zapytała królowa.

– Między innymi – syknęła Diota. – Ujeżdża całkiem sporo koni bojowych.

– Ach...! – zatkała Emmota. Krzyknęła z takim bólem, jakby została poważnie raniona.

– Ale Galowie wykorzystają ją przeciwko tobie – powiedziała Almspend, czesząc włosy królowej. – Jej lubieżność sprawi, że będziesz wyglądać na rozpustnicę, Wasza Królewska Mość.

Królowa uklękła przy swojej damie.

– Emmoto, muszę wiedzieć, co się stało. Ale wiedz, że cię nie opuszczę.

Almspend i Diota choć raz się zgodziły.

– Wasza Królewska Mość, byłoby lepiej, gdybyś się od niej odwróciła.

Królowa wzięła w ramiona szlochającą dziewczynę.

– Dlaczego, bo pokochała niewłaściwego mężczyznę? Jakie to ma znaczenie? – spytała. – To wszystko wina męskiej próżności i głupoty. Wszystko.

Almspend spojrzała jej w oczy.

– Nie jest to argument, którym można się posłużyć na dworze pełnym mężczyzn w Boże Narodzenie – powiedziała. – Jesteśmy obleżone przez Galów, pani. A oni robią podkop, wykorzystując Emmotę.

– Prędzej używają tarana – mruknęła Diota.

– Bądź miła. Obie bądźcie miłe. Co takiego złego zrobiła ta dziewczyna? – Zwróciła się od Almspend: – Rozumiem twoje argumenty, moja droga. Ja też jestem zdenerwowana. – Przycisnęła rękę do jej policzka. – Jesteś zła.

– Bardziej przestraszona niż zła – powiedziała ostrożnie dworka.

– Co wiesz? – zapytała królowa, patrząc jej w oczy.

Oczy sekretarza były jasnoniebieskie i lśniły jak lód w jasny zimowy dzień. Oczy królowej były głębokie i ciemne, zielone, brązowe i złote, i zdawało się, że zawierają sekrety, wszystkie sekrety starożytnego świata.

– Czego się dowiedziałaś?

Almspend ściągnęła usta i brwi, odwracając wzrok.

– Nie dzisiaj, proszę, Wasza Królewska Mość. – Spojrzała na młodą dziewczynę szlochającą na podłodze. – Wasza Królewska Mość, przepraszam. Emmota nie jest niczemu winna, poza tym, że pozwoliła zawrócić sobie w głowie. Jestem tego pewna. Ale cięgi, jakie zbierzemy...

– Kiedy tak często nazywasz mnie Waszą Królewską Mością, wiem, że stało się coś bardzo złego. – Królowa się uśmiechnęła. Spojrzała w dół i położyła rękę na ramieniu młodej dworki. – Ale żadna dziewczyna, która została zniewolona, nie jest niczemu winna i nie będziemy z niej robić jeszcze większej ofiary. – Przeciągnęła ręką po plecach dziewczyny i złote światło wypełniło pokój.

– Ach! – westchnęła Emmota.

Powietrze stało się czyste i jasne.

Diota hałaśliwie zassała powietrze i westchnęła.

– Ach, kruszynko. Masz w sobie głębię, bez dwóch zdań.

Królowa pokręciła głową.

– Każę im zapłacić. Zapłacą za Emmotę i Mary i za każde złe słowo, jakie powiedzieli. Przysięgam.

Światła zamigotały.

Almspend zadrżała.

– To... dało się słyszeć.

– Nie dbam o to. Chcą się ze mną bawić i krzywdzić tych, których kocham? Wydrę ich męskość i pazurami wyłupię im oczy. – Królowa stała jak posąg z brązu i lśniła.

Almspend się cofnęła.

Królowa przyłożyła rękę do czoła.

– Mario, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi teraz i w godzinę śmierci naszej. Matko Boska, co ja powiedziałam?

Almspend pokręciła głową.

Królowa wzięła z flakonika trochę wody święconej i się przeżegnała. Odechnęła głęboko.

– Z czymś się zetknęłam – powiedziała. – Becco, byłaś zatroskana, zanim weszła Emmota, i wciąż jesteś.

– Ustąp mi, Wasza Królewska Mość – poprosiła Almspend ze spuszczo-  
nym wzrokiem.

– Czy to coś złego? – dociekała królowa.

Almspend spojrzała na nią.

– Tak – odparła. – Och, jak żałuję, że nie mogę skłamać.

Królowa się uśmiechnęła.

– Klękniemy i pomódlmy się do naszej Pani o wsparcie. I do Jezusa Chrystusa.

Almspend westchnęła. Wszystkie uklęły i się pomodliły.

Hałas napłynął z dziedzińca i Diota wyrzała przez okno. Tuzin giermków – w większości Galów, ale byli wśród nich także Albanowie – zebrał się z pochodniami. Stanęli pośrodku dziedzińca i zaczęli śpiewać sprośną kolędę. Tańczyli. Diota wychyliła się bardziej.

Głośno zassała powietrze i się odwróciła.

– Mają kukły wyobrażające Waszą Królewską Mość, lady Mary i lady Emotę. W strojach ladacznic. Tańczą z nimi.

Twarz królowej pociemniała.

– Poślij po moich rycerzy.

– Wasza Królewska Mość, król odesłał większość twoich rycerzy na północ. – Almspend pokręciła głową. – Jest Diccon Crawford i ser Malden. Raczej nie mogą walczyć ze wszystkimi Galami.

Twarz królowej jeszcze bardziej pociemniała.

– Król właśnie wyszedł na galerię – zameldowała Diota.

– Zaraz zaprowadzi porządek – zapewniła królowa.

– Na pewno – powiedziała Diota. Podeszła do Almspend i podniosła szczotkę.

Po kilku obraźliwych krzykach na dziedzińcu królowa zaszlochała. Recho-tliwy śmiech młodych mężczyzn wzbił się i je zaatakował.

A król nic nie zrobił.

– Jak do tego doszło? – zapytała królowa.

## **N'gara – dwór Yule, święta Bożego Narodzenia**

Salę zdobiło tysiąc gwiazd i dziesięć tysięcy świeczek – maleńkich świeczek z wosku pszczelego, które płonęły bez końca. Sto małych duszków pomykało od światła do światła jak pszczoły. Srebrny dźwięk ich śmiechu brzmiał niczym polifonia, a na jego tle harfista Tapia grał starożytny lament, „Pieśń o Bitwie Łez”, jedyny grany w Yule.

Tamsin siedziała na tronie i Bill Redmede, który do szaleństwa kochał swoją panią, mimo wszystko uważał, że to najpiękniejsza istota, jaką kiedy-

kolwiek widział. Dzisiaj jej twarz w kształcie serca była okolona przez śnieżnobiałe włosy. Miała szatę z białej wełny haftowanej w złote liście i czerwone jagody, splecione z prawdziwym ostrokrzewem i prawdziwym bluszczem, a na głowie bluszczową koronę.

Siedziała pośrodku podium z Mogan, księżną Zachodnich Jezior, jak tłumaczono jej tytuł, po prawicy, i wysokim złotym niedźwiedziem po lewej stronie. U ich stóp stał stół, przy którym siedzieli Jackowie – Redmede, Bess, młody Fitzwilliam, Bill Alan, Kot, Siwy Człowiek – a naprzeciwko nich Zamurzanie – bardzo młody szaman, starszawy myśliwy, który został uzdrowiony przez samą Tamsin, i przystojny mężczyzna o najdziwniejszej skórze, jaką Redmede widział, granatowoczarnej jak węgiel, i o żywych brązowych oczach i kędzierzawych włosach.

Mężczyzna spostrzegł, że Redmede mu się przygląda, ale zamiast zgromić go wzrokiem, uśmiechnął się do niego. Redmede odpowiedział tym samym.

– Nita Qwan – przedstawił się mężczyzna, wyciągając przedramię w zamurzański sposób.

Redmede skłonił głowę, jak robili Jackowie, a potem go uściskał.

– Bill! – zawołał, przekrzykując muzykę.

Irkowie z reguły na przemian słuchali i rozmawiali, a w sali panował bezustanny gwar, choć przebijały się przezeń żalosne nuty lamentu.

– Albo możesz mi mówić Peter!

– Dobrze mówisz po albańsku – zauważył Redmede.

Przedstawił czarnego Zamurzanina Bess, która wyszczerzyła zęby w uśmiechu, i Billowi Alanowi, który przez chwilę patrzył na rękę mężczyzny, jakby to był cenny artefakt.

– Spotkał cię jakiś wypadek? Czy to sprawka jakiegoś potwora? – zapytał Alan.

Nita Qwan się roześmiał.

– Tam, skąd pochodzę, wszyscy są tacy jak ja.

– Oczywiście, kolego! Nie miej mi za złe, wypłem za dużo miodu. – Bill Alan uniósł swój kubek. – I pięknie ci w tym kolorze!

– Z pewnością jesteś z Sossagów – powiedziała Bess.

Nita Qwan wyszczerzył zęby i wypił trochę miodu.

– Zgadza się, pani.

Muzyka się zmieniła i pary, głównie irków, zaczęły wstawać z ław. Było tam wielu zamurzańskich Zachodnich Keneków o rdzawej skórze i wysoko zarysowanych kościach policzkowych.

Tamsin zeszła z podwyższenia. Tapio wysunął się zza gobelinów w głębi sali i złożył głęboki ukłon nad jej dłonią. Uśmiechnęła się, promienna jak najjaśniejsze słońce w środku zimy, a jemiola w jej włosach jakby płonęła życiem i ledwie tłumioną magią. Tapio wziął ją w ramiona i pocałował. Gdy się całowali, wielu innych wzięło z nich przykład i Redmede stwierdził, że zatracił się w oczach Bess.

Później Baśniowy Król wziął od jednego ze swoich rycerzy duży kielich z kutego złota i przeszedł na środek sali.

– Zapomnijcie, że to moja sala, drodzy goście. Przypominam, tej nocy świętujemy triumf światła nad ciemnością, czy postanowicie nazywać to Yal’da, czy czcić narodziny błogosławionego dzieciątka, czy po prostu krzykiem oznajmić odejście długiej nocy. Jeśli ktoś tutaj służy ciemności, precz!

Uniósł kielich i światło popłynęło jak wino, i irkowie wrzasnęli, i wszyscy Zamurzenie, i przeraźliwy okrzyk wojenny uleciał w noc.

– Teraz pijcie i tańczcie! – powiedział Tapio. – To moje jedyne rozkazy.

Zdemolowanie sali było odpowiednim wyrazem uznania dla najwspanialszej hulanki, jakiej Redmede był kiedykolwiek świadkiem lub uczestnikiem, i sam był prawie zbyt pijany, żeby dbać o to, co się dzieje pod stołem, za gobelinami albo na podium u szczytu sali.

Bess wyciągnęła ręce do pięknej irkowej kobiety o szczupłej figurze i z aureolą złotych włosów. Kobieta chwyciła jej ręce i pocałowała ją w usta.

– Dziecię człowieka – powiedziała ze śmiechem. – Smakujesz lepiej, niż sobie wyobrażałam. Jasnego Yule tobie i twojemu towarzyszowi.

Bess dygnęła.

– Jesteś taka piękna! – szepnęła. – Gdzie się podziali ci szkaradni irkowie? Gdzie ich brzydkie twarze i kły?

Dziewczyna przesunęła wachlarz przed twarzą i nagle Bess miała przed sobą gniewnie skrzywioną staruchę z nosem długim na sześć cali i brodawkami na skórze.

– Czy poszłabyś na wojnę ubrana jak na bal? – zapytała. – Albo na bal ubrana na wojnę? – Jej twarz odzyskała filigranowe piękno. – Mam tyle twarzy do noszenia, ile córka człowieka ma sukni. Musi być jakaś sprawiedliwość – dodała i pocałowała Redmede’a tak, że zakręciło mu się w głowie. Obróciła się na lekkich stopach. – Wasze usta są bogate, ludzkie dzieci. Kochajcie się!

Jeszcze później, kiedy tylko kilku najwytrwalszych obżartuchów obgryza-

ło jelenie kości przy środkowym stole, a setki duszków pomykały wysoko pod sklepieniem, zostawiając za sobą smużki jasnego ognia, jedna połowa biesiadników tańczyła, a druga śpiewała lub grała – były tam oboje, puzony, kornety, flety, szałamaje i świstałki, lutnie i harfy, i sto instrumentów smyczkowych, których Bill Redmede nigdy dotąd nie widział, jedne bardzo małe, mające tylko dwie albo trzy struny, inne duże, wielostrunowe – zdawało się, że tańcuje sama wielka jaskinia, będąca salą Baśniowego Rycerza.

Mogan podeszła do Billa i przysiadła obok niego na zadzie.

– Nadszedł czas – powiedziała. – To magiczna pora. Etereal jest szeroko otwarty na to, co realne. Głóg będzie ślepy jak nietoperz, a bez wysokich dźwięków i bez swoich małych pomocników będzie głuchy do rana.

Nita Qwan, Sossag, który leżał pod stołem oparty o kozioł, wyłonił się z dzbanem piwa Yule. Redmede przez chwilę się martwił, co widział Zamurzanin, bo oboje z Bess byli trochę zajęci.

– Czy mogę teraz zobaczyć się z lordem Tapiem? – zwrócił się do Mogan.

Mogan skinęła głową.

– Zobaczysz się z nim, gdyż cię zaprasza.

Nita Qwan i Redmede uklonili się swoim towarzyszom, tym wciąż trzymającym się na nogach, i poszli z księżną przez salę. Wielka opiekunka tańczyła wśród stu par tancerzy, stąpając lekkim krokiem, wykonując skomplikowane obroty i figury.

W głębi sali wisiał gobelin przedstawiający jednorożca, utkany przez tysiąc duszków z białej pajęczyny na siatce pajęczego jedwabiu. Był tak lekki, że trzepotał w podmuchach, i tak żywy, że Redmede spodziewał się zobaczyć ruch jednorożca.

Przeszli za gobelin, który zablokował wszystkie dźwięki i światło. Na drugiej stronie widniał ten sam jednorożec, ale obraz był odwrócony.

Przeszli przez dwie szerokie groty oświetlone blaskiem pochodni i stanęli przed ciężkimi dębowymi drzwiami z wykutymi w brązie półksiężycami, gwiazdami i kometami. Mogan grzecznie zapukała i drzwi się otworzyły.

Za nimi znajdował się pokój, który mógłby należeć do pana na zamku cały wyłożony dębową boazerią, z dębowym stołem i dużymi brązowymi lichtarzami. W kominku, który zajmował jedną ścianę, ryczał ogień, czarodziejski ogień, biały i niebieski, a na ścianach wisiały zbroje i oręż. I głowy. Łby dwóch wiwernów, tuzina wielkich bestii i niezidentyfikowanego potwora – i rzędy głów ludzkich.

Głowy przykuły uwagę Billa Redmede'a.



– Witajcie, szlachetni goście. – Tapio chwycił Redmede’a za łokieć i posadził go przy dużym stole. Przeszedł na drugą stronę. – Lord Geraaargkh z Borówkowej Połowy, który przybywa jako władarz Adnaterniańskich Niedźwiedzi, Mogan, księżna Zachodnich Jezior i Pani Opiekunów Dzikich. Tekkismark, markiz Piątego Kopca i ambasador jednego uła Zachodnich Boglinów. Nita Qwan, przedstawiciel plemienia Sossagów i może innych zamorzańskich ludów. Bill Redmede reprezentujący Jacków i może innych ludzi w Albie i na wschodzie.

Podniosły się nagłe, uprzejme głosy protestu, ponieważ Bill Redmede i Nita Qwan nie uważali, że mają prawo występować w imieniu ludzi, a Tekkismark ćwierkał z ożywieniem, że jego ul jest jednym z najmniejszych.

Tapio zamasyżyście machnął ręką.

– Zgadzam się, żaden z nas nie może przemawiać w imieniu całej rasy. Mimo to powiem, że nadeszła pora działania i że stanimy murem za tymi, którzy kiedyś ułożą o nas pieśni. – Ściągnął brwi. – O ile do tego dojdzie.

Mogan wysunęła długi różowy język i powietrze wypełnił zapach płonącego mydła.

– Zbyt dramaturyzujesz, przyjacielu – powiedziała. – Bez względu na to, kto zwycięża, zawsze ktoś układa pieśni.

Grymas Tapia przerodził się w uśmiech.

– Tamsin i ja będziemy mówić w imieniu irków, choć wśród dawnego ludu nie ma nawet dwóch takich, którzy by się zgadzali w jakiegokolwiek sprawie, czy chodzi o gatunek wina, czy o najlepszy sposób pocałowania śmiertelnicy. – Usiadł, jego koszula z jeleniej skóry połyskiwała w dziwnym ogniu. – Zgadzam się, że póki żyje jeden irk, zawsze będą powstawać pieśni. – Skrzyżował nogi, które były dłuższe niż u każdego śmiertelnika, odziane w spodnie z jeleniej skóry. – Ale nie jesteśmy tutaj, żeby rozmawiać o kapryśkach sztuki, prawda? Niektórzy z was już biorą udział w wojnie, albo prawie wojnie, z Głogiem. Inni są jeszcze niezdecydowani, a co więcej, jeden z was dopiero teraz odkrywa cel naszego zgromadzenia.

– Co to za cel? – zapytał Tekkismark.

– Jesteśmy tutaj, żeby doprowadzić do upadku istoty zwanej Popiołem, która zawładnęła czarnoksiężnikiem Głogiem.

Niedźwiedź warknął, odchylił się do tyłu i w bardzo ludzkim geście założył potężne łapy za głowę.

– Czym jest zawładnięcie w takim kontekście? – zapytał głosem przypominającym mruczenie wielkiego kota.

Mogan się pochyliła.

– Zawładnięcie jest wbrew Prawu.

Tapio wzruszył ramionami.

– W istocie? – syknął. – A od kiedy to Popiół szanuje Prawo?

Bill Redmede spojrział na Nitę Qwana i wyczytał ten sam brak zrozumienia w jego pustym spojrzeniu. Zwrócił się do Tapia:

– Panie, kim jest Popiół? I co m wspólnego z Głogiem? I kim on jest dla mnie?

Nita Qwan pokiwał głową na znak, że się z nim zgadza.

– I o jakim prawie mówisz? – zapytał.

Tapio wymienił długie spojrzenie z Mogan. Geraaargkh wyjął szponiaste łapy zza głowy i zwrócił lśniąco oczy na ludzi.

– Mam nadzieję, że tych dwóch nie zna Prawa.

Mogan potrząsnęła wielką głową.

– Dlaczego mieliby znać? Zadbaliśmy, żeby ludzie nie dowiedzieli się zbyt dużo o Prawie Dzikich, nawet kiedy mieszkali wśród nas przez pięćdziesiąt pokoleń, jak Sossagowie. – Urwała i kolce na jej głowie się podniosły, cały grzebień wyprostował się z trzaskiem. – Prawo chroni nas przed wzajemnym wyniszczaniem się w czasie suszy i głodu. Zostało ułożone dawno temu, kiedy pierwsi ludzcy czarnoksiężnicy zaczęli manipulować żywiołami w sposób, którego nie przewidzieliśmy.

– Jak dawno temu? – zapytał Nita Qwan.

Tapio potarł nagi podbródek.

– Dziewięć tysięcy lat wedle ludzkiej rachuby. – Popatrzył na Mogan, która wzruszyła ramionami.

– Przed nastaniem ludzi nie było czasu – powiedziała. – Jego mierzenie nie ma sensu, służy tylko zaspokojeniu ignorancji ludzi.

– Była wielka wojna, która objęła całą ziemię – rzekł bardzo cicho Tapio.

– Ludzi przeciwko Dzikim? – Redmede był zaskoczony, słysząc swoje pytanie. Zakrył usta palcami.

– Nie – odparła Mogan. Zapatrzyła się w ogień. – Wcale nie.

Tapio dolał sobie wina.

– Kiedy wojna się skończyła, ci, którzy ocaleli, postanowili, że ludzie obdarzeni mocą nigdy nie będą mogli robić pewnych rzeczy.

Mogan nie odrywała spojrzenia od ognia.

– Oczywiście wszystko, do czego uciekli się zwycięzcy, żeby wygrać wojnę, było sprzeczne z prawem. Opętanie. Nekromancja. Ogień z nieba.

– Popiół tam był – dodał Tapio. – Popiół jest największym ze smoków, jednym z najbardziej groźnych dla każdego rywala.

Mogan się roześmiała.

– Popiół nie ma rywali, ale widzi wrogów w nas wszystkich, w każdej rozumnej istocie, ponieważ zdaje sobie sprawę, że każda rozumna istota może sięgnąć po władzę. Popiół pragnie zostać bożkiem. A może Bogiem. – Jej śmiech brzmiał gorzko. – Przeżyłam pół tysiąca lat i widziałam dość, żeby wiedzieć, że rozgrywka z Popiołem była długa i długo się rodziła. Mój ojciec wierzył... – Spojrzała na Tapia.

Geraaargkh się otrząsnął i przykucnął.

– Obiecano nam! – krzyknął. – Obiecano nam króla. Wodza.

Uśmiech Tapia stał się cyniczny.

– Mesjasza... czyż nie tego się spodziewaliśmy?

– Połowa Dzikich myśli, że ty nim jesteś – powiedział Geraaargkh.

– Tak się mówi – syknął Tekkismark. – Ty nim jesteś. Tym, kto uwolni nas od koła i sprawi, że tryby będą się obracać w taką stronę, w jaką zechcą.

Zderzył przedramiona z dźwiękiem przypominającym kosę ostrzoną przez wieśniaka, pomyślał Redmede.

Tapio nie krył oburzenia.

– Nie jestem waszym mesjaszem. Musimy zejść z obłoków i sami rozwiązać problem.

Mogan odchyliła plecy i duże dębowe krzesło z powagą zatrzeszczało pod nią, nieomal jęknęło.

– Obiecano nam. Pani Tar obiecała.

Nita Qwan pokiwał głową.

– Znam imię Tar, znałem już wtedy, gdy żyłem wśród mojego ludu w Iffri-qu'ya. Ale zwiemy ją Tarą. Wielką Wilczycą.

Grzebień Mogan przypominał niemal nastroszoną szczotkę – każdy kolec z osobna jakby się wyteżał, żeby sięgnąć powały.

– Tar nie jest wilkiem, człowieku-który-gotujesz. Tar jest jednym z wielkich węży. Smokiem.

– Niedźwiedzie zwą ją Pierwszą – powiedział Geraaargkh.

Tapio napił się wina i zaśpiewał melodyjnie w języku irków. Tempo było powolne i miarowe, a melodia obca ludzkim uszom, ale pełna dostojeństwa i godności.

– Pierwsza na leśnych polanach tańcowała, Pierwsza wśród ostrzy pomykała...

Nita Qwan chrząknął w chwilowej ciszy, która zapadła po pieśni irka.

– Więc... Tar jest dobra? A Popiół jest zły?

Tapio wyszczerzył wszystkie zęby.

– Tuż obok wielu tańczy w Yule, ogłaszając tryumf światła nad ciemnością. Pomimo mojego upodobania do czystości w sali żyją małe stworzenia, myszy, szczury, nawet parę żuków. Kiedy czyjeś szybkie obcasy zabiją jedno z nich, co można powiedzieć o sprawcy? Jest dobry czy zły? Głosząc zwycięstwo światła, tancerze mogą zabić tuzin myszy i setkę żuków.

Mogan wyciągnęła długą szponiastą rękę.

– A gdyby myszy i żuki się zjednoczyły i utworzyły armię przeciwko tancerzom, czy rozumiałyby, o co walczą? Podobnie jak tancerze?

Redmede czuł się tępy i głupi. Wstał.

– Co zatem zrobimy? – zapytał.

Tapio się roześmiał.

– Och, będziemy walczyć razem z myszami i żukami – oznajmił. – Tylko sobie nie wyobrażaj, że jesteśmy bohaterami. Z tego, co mi wiadomo, Popiół jest zwarty w męznej walce z samą duszą zła, a my na chwilę rozproszymy jego uwagę, co doprowadzi do ostatecznego triumfu ciemności.

Redmede chwycił się stołu.

– Naprawdę?

Tapio pokręcił głową.

– Nie, bracie. Jestem w paskudnym nastroju. Posłuchaj, na zachód od Morza Wewnętrznego wszystko się rusza. Nadciągają hordy większe niż znane ci armie. To tylko jedna maleńka część tego, co się dzieje. My, będący myszami i żukami, możemy sądzić tylko po tym, co widzimy. Jedni tancerze omijają nas na parkiecie, niektórzy nawet nas wyłapują i delikatnie przenoszą pod ścianę. Inni nas tratuja, kiedy tylko mogą. – Z westchnieniem uniósł brew i popatrzył spod niej na Redmede'a. – Ale czy wy, Jackowie, nie robicie się podejrzliwi za każdym razem, gdy ktoś wam mówi, że reprezentuje stronę dobra i prawa?

Redmede skinął głową.

– Mowa o Kościele?

Mogan pokręciła głową.

– Nie, o wszystkich. Kiedy spór przeradza się w wojnę, każda strona twierdzi, że ci drudzy są demonami. – Zwróciła się do Tapia: – Nie możemy rozmówić się z tym Głogiem i zaproponować mu układu? Albo po prostu zawiązać przymierza i użyć go jako tarczy? – Skinęła głową. – I zgadzam się co do

zachodu. Ktoś wsadził tam kije we wszystkie mrowiska.

– Możemy nasikać na ogień, kiedy płomienie nas liżą. Odnośnie do Głoga... – Tapio wzruszył ramionami. – Prawdopodobnie warto spróbować.

Geraaargkh powiedział:

– Za późno dla nas. Nawet w tej chwili w lasach trwa polowanie na młode mojego ludu.

Mogan nie spuszczała oka z Tapia.

– Chcesz tego – powiedziała.

Obdarzył ją krzywym uśmiechem, pełnym humoru i smutku zaprawionego szczyptą samowiedzy.

– Nie jestem mesjaszem – oznajmił. – Ale jest ze mnie całkiem niezły generał. Pójść na wojnę z Popiołem? Nikt nigdy o nas nie zapomni!

Geraaargkh warknął.

– Ty i twoje pieśni nie ocalą życia choć jednego młodego ani nie zapewnią w zimie żywności głodującemu niedźwiedziowi.

Tekkismark znów wydał dźwięk ostrzonej kosy.

– Moje plemię zawsze było spisane na straty podczas wojen potęg. Inaczej będzie walczyć po stronie, którą sami wybierzemy.

Tapio przez chwilę sprawiał wrażenie zafascynowanego swoimi mokasykami.

– Miałem wrażenie, że twoje plemię zawsze wybiera stronę, po której staje.

Tekkismark otworzył usta – w poprzek – i wystrzelił z nich purpurowy jęzor-dziób.

– Nie! – zaskrzeczał. – To złudzenie jest dla ludzi. Jesteśmy niewolnikami naszego tchnienia świadomości, niczego więcej. – Postukał chitynowymi pazurami drobnej ręki. – Przychodząc tutaj, byłem przeciwny wojnie z Głogiem. Spotkawszy się z wami, wypowiem mu wojnę. Kiedy nadejdzie wiosna i twarda woda zmięknie, moi ludzie przybędą.

Geraaargkh warknął.

– Mój lud toczy wojnę, choć wielu jeszcze tego nie wie. Ale na wiosnę stracimy Adnaturnie. Gdzie urządzimy ostatni bastion? I jak? Głóg z dnia na dzień rośnie w siłę, gromadzi ludzi i stworzenia z wielu krain.

Tapio podrapał się pod brodą, co było gestem dziwnie się kłócącym z jego elficką godnością.

– Głóg... jakąż przyjemność sprawia głośnie wymawianie jego imienia... Głóg będzie musiał wydać wojnę ludziom, żeby zająć Adnaturnie, a ludzie,

jak wszyscy wiemy, potrafią być genialni w prowadzeniu wojny.

– Jedyne, w czym się mogą wykazać – skomentował cierpko Tekkismark.

– Budują przytulne gawry – zauważył Geraaargkh.

– W każdym razie Głóg będzie musiał stoczyć kilka wielkich bitew, żeby zająć wasze góry. Nie musimy się śpieszyć. Upłynie długi czas, zanim do nas dotrze – powiedział Tapio. Pokiwał głową z boku na bok i nie był to ludzki gest. – Daję mu rok, może dwa lata. I co najmniej trzy, zanim runie na nas z zachodnich grani.

Mogan poruszyła grzebieniastą głową.

– Każde zwycięstwo uczyni go silniejszym – powiedziała z uporem w głosie. – Popiół podesłał mu coś okropnego. Kiedy to dojrzeje, może być naprawdę potężne. – Po chwili milczenia zapytała: – Czy Popiół stoi za wzlotem Zachodu?

– Pochlebia mi, księżno, że pytasz mnie o Popioła, jakbyśmy byli równi sobie. Nie mam pojęcia, co zamierza Popiół. I nie wiem, co się stało na Zachodzie, gdzie są moce, z którymi, dzięki niech będą Tarze, nigdy nie walczyłem. – Tapio z zadumą pokiwał głową. – Ale to, co mówicie o ludziach i wojnie, jest najprawdziwszą prawdą, przyjaciele, i może spróbujemy walczyć w taki sposób, jak oni. I również jak Dzicz. Czy godzicie się uznać mnie za swojego najwyższego dowódcę?

Mogan się uśmiechnęła.

– Gdyby tylko żył mój brat... Ale tak.

Pozostali jeden po drugim kiwali głowami. Tekkismark wydał dziwny dźwięk i omył ich zapach migdałów.

– Wypuszcza tchnienie zgody – wyjaśniła Mogan.

– Tak – mruknął z zadumą Tapio. – Jeśli Głóg postanowi związać się z armią ludzi, zawsze możemy wykorzystać przeciwko niemu góry.

– Możemy sprzymierzyć się z ludźmi, z którymi walczy – zaproponował Nita Qwan.

Wszyscy obrócili głowy.

Pysk Mogan podskakiwał, czemu towarzyszył dźwięk ręcznej piły, która tnie drewno obsługiwana przez dwóch silnych ludzi. Księżna się śmiała.

– Możemy pójść na wojnę i połączyć siły z ludźmi – rzekła cicho. – My, ostatni wolny lud Zachodu, możemy zawrzeć sojusz z naszymi ciemieżcami, żeby walczyć z kimś, kto należy do naszego rodzaju.

Tapio spojrział jej w oczy.

– Tak. Tak, możemy. – Położył rękę na ramieniu Mogan. – Zwycięstwo na

wojnie jest zwykle rezultatem kompromisu pomiędzy tym, czego chcesz, a postępowaniem tych, którymi pogardzasz.

Później Bill Redmede nie przypominał sobie głosowania ani nawet unoszenia rąk, ani nawet dalszych dyskusji. Pamiętał tylko tyle, że Tamsin stanęła w drzwiach, przynosząc ze sobą aromat mięty i cynamonu, a potem wszyscy znaleźli się w sali i tańczyli – ludzie, irkowie, niedźwiedzie, Opiekunowie i jeden bogliński człek.

Wszystkie kobiety utworzyły krąg pośrodku sali i zaczęły sunąć odwrotnie do ruchu wskazówek zegara, z wieloma gestami i obrotami, podczas gdy mężczyźni krążyli wokół nich niczym wygłodniałe wilki, tańcząc w przeciwną stronę, klaszcząc i obracając się w rytm coraz szybszej muzyki. Redmede znowu chwycił ręce Bess, która się do niego uśmiechała. Kochał ją. Przyciągnął ją do siebie, a ona nacisnęła na jego udo, po czym odbiegła porwana przez zwinną Mogan i urzekająco uśmiechniętą panią Tamsin, gdy muzyka brzmiała coraz głośniejsze i szybciej.

Mężczyźni odpadli od wielkiego koła i utworzyli tuzin mniejszych kręgów wirujących wokół kobiet. Redmede znalazł się za plecami niskiego ciemnowłosego mężczyzny, którego nie znał, a który rozmawiał z Tapiem, następnym w kole. Kręgi się rozpadły i utworzyły korowód, Redmede i Bess znowu trzymali się za ręce, gdy Tamsin się śmiała za nimi.

– Jak za dawnych czasów – powiedziała. – Wszystkie bariery runęły i każdy może tańczyć.

Śmiała się, a niski mężczyzna obok niej jej wtórował. Z jego nozdrzy snuła się nikła smużka dymu.

## **Harndon – królowa**

Czasami sytuację może uratować tylko sam obyczaj. Obojętność króla – Dezzyderata inaczej nie potrafiła tego nazwać – mogłaby się przerodzić w coś znacznie gorszego, tyle że akurat było Boże Narodzenie, a on był wielkim rycerzem, dobrym królem i dobrym mężem. Nawyk, że jest dobrym mężem w Boże Narodzenie, powstrzymał go od podjęcia wszelkich strasznych działań i tak nadeszły święta.

Królowa wysłała tuzin listów do swoich sojuszników. Jako że na dworze panowała prawie jawna wojna pomiędzy jej sługami i służbą Galów, podjęła środki ostrożności, jakich się nauczyła na dworze ojca na południu, i jej szko-

lenie zdało egzamin. Święto zaczęło się od mszy, w której uczestniczyła z lady Almspend, lady Emmotą i dziesięcioma innymi damami, wszystkimi w ciemnoczerwonych aksamitach i gronostajach ciepłych jak sam duch ognia.

Mszę odprawiano w wielkiej katedrze Harndonu, wzniesionej przez sześć pokoleń kupców wełny, złotników, rycerzy i królów. Jej wieżycy górowały nawet nad królewskim pałacem, centralne okno ze sceną męczeństwa Świętego Tomasza uważano za jedno z najpiękniejszych w świecie chrześcijańskim. Z pierwszym światłem zimowego dnia na wschodniej ścianie zajaśniało cudowne wyobrażenie narodzin Chrystusa, więc można było wybaczyć ludziom, że myśleli, iż są świadkami samego wydarzenia.

Tuzin galijskich giermków i dwudziestu Albanów, którzy ich małpowali, czekał na placu przed drzwiami katedry z kubełkami pomyj i pałkami. Szwendali się wokół krzyża królowej wzniesionego przez babkę króla dla upamiętnienia narodzin jego ojca.

Bezpieczni w tłumie przez jakiś czas śmiało wykrzykiwali „Królowa jest cudzoziemską dziwką” i inne epitety podjudzając innych do tego samego.

Prowodyr giermków się zaniepokoił, kiedy zobaczył tuzin ludzi w jednolitych czarnych tabardach, jadących na karych rumakach przez Cheapside. Zapelniali ulicę Cheap od sklepu do sklepu, ich masywne konie niczym smoki wyrzucały z nozdrzy obłoki pary.

Wskazał ich drugiemu giermkowi.

– Pora zwiewać! – krzyknął ten drugi. – Ta dziwka ma przyjaciół!

Nagle w wylocie ulicy Świętego Tomasza zaroili się terminatorzy i każdy z nich dzierżył drewnianą pałkę. Podbiegli do obrzeży tłumy i tam się zatrzymali dobrze zdyscyplinowani.

Okrzyki przeciwko królowej ucichły.

Wyszkoleni ludzie maszerowali ulicą Świętej Marii Magdaleny w kierunku placu i grzechot ich bębnow rozpedził tłuszcę tak szybko, jak wrząca woda oczyszcza rączkę pompy z lodu. Mogli uciekać tylko w jedną stronę, obok gospody Pod Herbem Króla i Ulicą Smoka. Niektórzy tak właśnie zrobili, a inni ostrożnie przysuwali się do rycerzy Świętego Tomasza, jak najdalej od hałaśliwych giermków przy krzyżu.

Plac był opustoszały, gdy szła przez niego królowa. Dwustu sklepowych i uczniów zgięło się w niskich ukłonach, a kiedy obróciła się z uśmiechem w stronę wyszkolonych ludzi, Edmund pomyślał, że mógłby paść trupem na miejscu.

Ale sama królowa dobrze wiedziała, że nie ona odniosła zwycięstwo, że



tylko odroczyła sądny dzień.

Król jakby o tym nie myślał, chociaż po mszy rzucił uwagę dotyczącą liczby milicji na ulicach.

– Miła demonstracja lojalności.

Królowa nie wiedziała, czy captał był tym skonsternowany, czy nie.

Później do pałacu przybyły grupy minstrelów i zonglerów. Królowa i jej damy szybko się przebrały – choć cudzoziemcowi można by wybaczyć, gdyby mylnie wzięły ich prędkość za skwapliwość. Prowadzona przez królową długa procesja prawie wszystkich kobiet, które nie były zajęte gotowaniem albo nakrywaniem do świątecznego stołu, wyszła z pochodniami na dziedziniec. Tam czekał król z licznymi panami, paziąmi, sługami i całym zastępem pieczeniarczy. Wszyscy razem wylegli na ulice. Sypał gęsty śnieg, powietrze było rześkie i zimne i król tuzin razy pocałował żonę.

– Zatańczymy? – zapytał.

Królowa się uśmiechnęła.

– Panie, jeśli taka jest twoja wola, możemy zatańczyć podczas kolędowania.

Uwagę króla przyciągnęło coś, co się znajdowało na skraju światła pochodni.

– Kiedy byłem chłopcem – zaczął z roztargnieniem w głosie – na Boże Narodzenie przybywali do nas awanturnicy, olbrzymy i dzicy ludzie. Raz zjawił się Baśniowy Rycerz we własnej osobie, na jednorożcu, i wyzwiał rycerzy mojego ojca na turniej na zamrożonej rzece.

– Och – mruknęła z zadowoleniem królowa. – I jak to się skończyło?

– Dwunastu najlepszych potłukło sobie dupy, gdy ten popapraniec wysadził ich z siodeł, a później piliśmy wino i bawiliśmy się jak ludzie niższego stanu. Dał nam piękne podarki i razem wzięwszy, było to jak życie z pieśni. – Wzruszył ramionami. – Słyszałem... ostatnio słyszałem złe rzeczy. – Spojrzał jej w oczy. – O tobie. Nie sądzę, żebym w nie wierzył.

– Panie... – zaczęła, ale nadszedł czas na śpiewy.

Zaśpiewali „Trzy statki” i kolędę o rzezi niewiniątek. Królowa widziała w wyobraźni zbrojnego mordującego jej nienarodzone dziecko. Potem zaśpiewali „Agnus Dei” i potężny hymn, i „Wschodzące słońce”, i kręgi stanęły do tańca, kobiety jako łanie, mężczyźni jako myśliwi.

Z wielkiego placu pod zamkiem zeszli tanecznym krokiem na brzeg Albiny i na lód, który miał grubość sześciu stóp i miał stać się jeszcze grubszy

przed nastaniem wiosny. Pałacowi słudzy przyjechali na łyżwach z grzanym winem i wtedy znowu zaśpiewali, tym razem „Jezus radością świata”, po czym zatańczyli w sześciu kręgach przy świetle pochodni.

Tłum zmieszał się z pałacowymi sługami i dworzanami, więc byli tam terminatorzy i ich dziewczyny, rycerze i ich damy, kupcy z miasta – królowa dygnęła przed Ailwinem Darkwoodem, a on obrócił się statecznie i przekazał ją w ramiona wysokiego czeladnika z żelazną odznaką i stalowym pierścieniem cechu płatnerzy.

– Jak cię zwa, młody panie? – zapytała.

– Tom, Wasza Królewska Mość. – Ukłonił się wykwintnie i zniknął w korytarzu.

Gdy się zbliżyli w następnym układzie tanecznym, król wziął ją pod ramię i poprowadził brzegiem rzeki. Dwóch paziów szło za nimi z pochodniami tak blisko, że Dezyderata bała się o włosy. Z uśmiechem spojrzała w jego twarz, a on się do niej uśmiechnął.

– Chcę powiedzieć – odezwał się – że w czasach mojego ojca byliśmy bliżsi Dicz w Boże Narodzenie. To było zabawne. I dobre dla rycerzy.

Uniosła głowę, pewnie stąpając w futrzanych butach po śliskim, stratowanym śniegu, i pocałowała go w usta. Setki ludzi w pobliżu krzyknęły i zrobiły to samo.

– Dicz zawsze jest blisko – powiedziała. – Jesteśmy jej dziećmi, nie wrogami. Możesz znaleźć Dicz pod podłogami Nowego Pałacu i Dicz w lasach za Pierwszym Mostem.

– To, co mówisz, graniczy z bluźnierstwem – zauważył.

– Nie, panie, to stwierdzenie prostego faktu. Czujesz zapach powietrza, czujesz świerk? Dzisiejszej nocy mógłbyś wyciągnąć rękę i dotknąć drzew w Adnarnach. Świat migocze podczas przesilenia, panie. Wszystkie bramy są otwarte, jak mawiał mistrz Harmodiusz.

Król się zatrzymał i zadarł głowę. Za nimi stało tysiąc par, sącząc wino, całując się albo zastanawiając, co robi para królewska, ale takie przerwy w tańcu nie należały do rzadkości.

– Święta prawda! – zabłąźnił król. – Nidy nie widziałem tylu gwiazd i taka jest prawda. – Podniósł ją i okręcił dokoła. – Na Boga, pani, dlaczego nie mogę ci uwierzyć? Niczego bardziej nie pragnę niż syna.

Położyła rękę na brzuchu.

– Tu jest twój syn, panie. Poczuj bicie jego serca, poczuj, że bije mocno dla Alby.

Pochylił się nad nią w blasku pochodni.

– Nie wierzę, że mnie zdradziłaś. – Nakrył jej dłoń ciepłą ręką.

Znowu ruszyli i straciła króla w wielkim korowodzie, który wedle niektórych starszych harndonczyków oznaczał więź wszystkich ludzi Alby, więź jednego z drugim. Więź rozumianą w bardzo dawny sposób. Królowa tańczyła, zrobiła obrót w kręgu kobiet – była tam Emmota z napięciem na twarzy, i lady Sylwia, nowa dziewczyna z północy, i trzy zaczerwienione córki kupców, chichoczące z przejęcia, że tańczą z królową. Później koła połączyły się w wielki korowód i trzymała za rękę młodego rycerza Świętego Tomasza, który uśmiechał się do niej z błogim spokojem na szczerej twarzy o grubych rysach. Dalej ciemnolicy mężczyzna z brudnymi rękami uśmiechnął się do niej promiennie, a za nim mknął przystojny młodzieniec w pięknym futrzanym kapturze krytym wschodnim jedwabiem tkanym we wzory, które połykiwały w świetle. Przez cały czas towarzyszyły jej dwie pochodnie; pomimo radosnego uniesienia wiedziała, że obaj młodzi ludzie są królewskimi giermkami i obaj są uzbrojeni. Sam młody Galahad d’Acre mógł sobie poradzić z tuzinem rozbójników albo dowolną liczbą zwyczajnych ludzi o złych zamiarach. Nie znaczy to, że się bała – po prostu ostatnie dni sprawiły, że w nietypowy dla siebie sposób była świadoma swojej bezbronności. I bezbronności swojego dziecka.

Kolejna figura i obrócił ją w miejscu jeden z Galów. Przekazał ją następnemu tancerzowi – nieco brutalnie, pomyślała, ale bała się uznać to za zniewagę – i usłyszała krzyk za prawym ramieniem. Wyciągnęła rękę i ktoś ją ujął. I był to sam captal. Obrócił ją, niezupełnie dotykając jej dłoni, z uśmiechem przyklepionym do twarzy. Patrzył w kierunku jakiegoś zamieszania i odwróciła się – nadszedł czas, żeby kobiety utworzyły dwa koła...

Galahad upadł. Poznała to po zmianie światła. Próbował wstać i ktoś go uderzył.

Śnieg zgasił pochodnie.

Zareagowała, z pomrukiem w głębi piersi sięgając w noc i ku gwiazdom, biorąc to, czego potrzebowała.

Dwie pochodnie zapłonęły jasnym, wrzeszczącym światłem.

Galahad zadał napastnikowi potężny cios w krocze płonąca pochodnią, bezlitośnie oświetlając jego ostatnie chwile. Mężczyzna stanął w płomieniach – skóra, mięśnie i tłuszcz płonęły bardzo szybko. Jego wrzaski ucichły i po czerniałe kości upadły na śnieg, zasyczały i zgasty.

Nad tłumem popłynął apetyczny zapach pieczonej wieprzowiny i jakaś ko-

bieta zwróciła kolację.

Galahad płakał.

Królowa powiodła wzrokiem dokoła, dostrzegając lady Almspend w pobliżu i lady Sylwię nieco dalej. Nie znalazła lady Emmoty.

Jeden z Gallów – hrabia d’Eu – ujął ją za rękę.

– Sądzę, że Wasza Królewska Mość jest w niebezpieczeństwie – powiedział.

Cofnęła się o krok.

Wszędzie wokół niej byli Galowie.

– Za mną, Galahadzie. Gdzie jest młody Tancred? – zapytała, starając się mówić opanowanym, lekkim tonem.

– Za tobą, pani. – Wysoki, dziewczęcy głos Tancreda kłócił się z jego ciężką budową i jedną brwią. – Proszę, pozwól, że odprowadzę cię do króla – powiedział hrabia. Ukłonił się i wcale nie ścisnął jej ręki. Trzymał ją zwyczajnie, uprzejmie.

Jeden z Galów w barwach d’Eu położył rękę na piersi innego, pchnął i mężczyzna upadł.

Palce hrabiego zacisnęły się jak imadło i teraz chwycił jej rękę tak, jakby walczyli w zapasach. Pociągnął ją za sobą. Potknęła się i zdusiła krzyk.

– Wasza Królewska Mość jest w wielkim niebezpieczeństwie – szepnęła. – Moi ludzie nie szczędzą starań, żeby je zażegnać, ale to atak na twoją osobę. Przysięgam ci, że nie jest to pomysł mojego kuzyna. Wiedziałbym. Chodź.

D’Eu pociągnął ją po lodzie. Widok giermków podnosił ją na duchu, obu z krótkimi mieczami i w kolczugach pod futrzanymi kaftanami. Pochodnie Galahada płonęły białym światłem rozpraszającym mrok na długość strzału z łuku.

– Moje damy! – krzyknęła nagle.

Hrabia przystanął i się odwrócił.

– Monsieur d’Herblay! – krzyknął. – Damy królowej!

Na skraju kręgu światła mężczyzna w czarnym stroju duchownego ukłonił się i odszedł. Wrócił w ciemność z tuzinem ludzi za plecami.

Tłum wokół nich zaczął gęstnieć jak lód w kubełku. Królowej drętwiała prawa ręka ścisłana przez hrabiego. Widziała przemykające zatroskane twarze – mężczyzna w pięknej czapce się ukłonił i ruszył za nią, a potem zobaczyła wysokiego chłopaka, Toma, który zrobił to samo.

Widziała tuzin pochodni skupionych na rzece i wiedziała, że jest tam król, i zalała ją ulga tak potężna, że zadrżały jej kolana.

Król śmiał się z Hrabią Pogranicza i mistrzem gildii węłiarzy. Odwrócił się i podawał jej kubek wina, gdy ładna rudowłosa kobieta trąciła jego rękę.

– Chodź, Wasza Królewska Mość – powiedziała.

Królowa wzięła kubek, a rudowłosa dziewczyna dygnęła i zniknęła w tłumie.

Król poznał, że coś się stało, po napięciu jej dłoni i mocno zaciśniętych ustach hrabiego d’Eu.

– Co się dzieje?

Hrabia d’Eu się uklonił.

– Wasza Królewska Mość, dokładnie nie wiem, ale ludzie zaatakowali twojego giermka i bałem się o królową.

– Słusznie postąpił – powiedziała królowa. – Jestem tego pewna.

Król odwzajemnił ukłon.

– W takim razie dziękuję, messire, jak zawsze. Wracajmy do tańca, bo ludzie zaczną gadać.

Zmierzwił włosy młodego Galahada.

– Co ci się stało? Jesteś biały jak śnieg.

– U... uderzyłem człowieka. – Głos uwiązał giermkowi w gardle. – I zapłonął jak pochodnia.

Król przystanął z nogą uniesioną do marszu.

– Naprawdę? – zapytał. – Jest proroctwo... mniejsza z tym. – Zapanował nad wyrazem twarzy i pochylił się w stronę królowej. – To dziwna noc i będę szczęśliwszy, kiedy się skończy.

Wrócili nad rzekę i królowa znowu tańczyła. Powietrze stało się ciężkie i miała kłopot z oddychaniem. Pomyślała, że jest coś dziwnego w pochodniach...

Obróciła się w tańcu z nieznanym niskim mężczyzną. Miał szpiczastą czarną brodę, olśniewający uśmiech i oczy czarne jak smoła.

Za nim, w kręgu...

## ROZDZIAŁ SZESNASTY



The Red Knight

### **Liwiapolis – zabójca i Kronmir**

Siedział na desce w wygodce, składając swoją broń. Kuszę można było rozłożyć na osiemnaście elementów, wszystkie ze stali, i miał je ułożone na brudnobiałej wełnie kaptura. Mógł ją napinać, kręcąc śrubą osadzoną w łożu; mógł trzymać ją w jednej ręce i strzelać, kciukiem zwalniając spust. Została wykonana przez mistrza w Etrurii i bełty, którymi strzelał, miały stalowe groty. Samo łączysko było długie na dwie rozpostarte dłonie i poza mistrzowską konstrukcją zawierało hermetyczne urządzenie, które pomagało użytkownikowi w obracaniu napinającej je śruby.

Oczyścił z błota wszystkie elementy, wytarł je do sucha i natarł wielory-

bim olejem.

Kiedy skończył, ostrożnie napiął kuszę i zablokował duży orzech, który trzymał cięciwę. Włożył broń do kosza druciarza. Pomimo roku szkolenia czuł prawdziwy strach, gdy miał nosić napiętą i załadowaną kuszę na plecach.

Ale przez całe życie zmagał się ze strachem, więc odryglował drzwi wychodka, w którym się ukrywał, naciągnął grube rękawice z nasączonej olejem wełny na parę giemzowych i zarzucił kosz na plecy.

Zmarzył i wiedział, że jest poszukiwany.

Kronmir czekał dokładnie tam, gdzie zapowiedział, pod łukiem starożytnego akweduktu, gdy dzwony wybiły piątą. Zabójca był trochę zaskoczony, słysząc wiwaty płynące z Wielkiego Placu, okrzyki tak głośne, że niosły się na milę i dalej.

Kronmir miał odświętny kaptur i długą szatę jak kupiec, ale wieniec jagód na głowie pełnił rolę sygnału i zabójca podszedł do niego z pewnością siebie.

– *Christos anesti!* – powiedział. Powitanie wielkanocne, nie bożonarodzeniowe, było ostatnim znakiem, który gwarantował, że wszystko jest w porządku.

– *Christos anesti!* – powtórzył Kronmir. – Chybiłeś.

Zabójca stanął.

– Pozwolę sobie mieć odmienne zdanie. Strzeliłem z bardzo bliska i wiedziałem, że bełt trafił w cel.

Kronmir potarł podbródek.

– Bierze udział w potyczkach. Niespełna pół godziny temu wyszedł i ukłonił się księżniczce. Byłem pewien, że zginął, i odszedłem z placu.

Zabójca przygryzł wargę.

– Pewnie chcesz, żebym spróbował jeszcze raz? Już wykorzystałem moje znajomości i plan. Następną próbą w porównaniu z tą będzie amatorska. – Potarł w palcach amulet, który dał mu Kronmir. – Wyprowadzisz mnie z miasta?

– Najlepszy magister w całym cesarstwie sporządził ten amulet. Wydostaniemy cię. – Kronmir pokiwał głową. – Będzie tańczyć publicznie, z księżniczką.

Zabójca pokręcił głową.

– Wszędzie są jego ludzie. Szukają mnie. Myślisz, że nie będzie zakryty jak kocem? Tłum zapewnia ochronę tylko wtedy, gdy nikt cię nie szuka. I nie

mam drugiego przebrania, tylko to, druciarza. – Zakasłał. – Przykro mi. Nie zamierzam się tłumaczyć, ale wszystko szło źle, poczynając od ataku na pałac. Nie powinniśmy wtedy zawieść, a ja nie powinienem zawieść dzisiaj. Jest tak, jakby Bóg był przeciwko nam.

Kronmir pokiwał głową.

– Zgadzam się. Ale przeważnie robię to, co mówię, że zrobię.

– Tak. Ja też.

Spojrzeli sobie w oczy. Zabójca wzruszył ramionami.

– Dobrze. Jeśli możesz mnie wydostać, podejmę następną próbę.

– Spotkamy się w gospodzie Pod Srebrnym Jeleniem przy ulicy Świętej Katarzyny. Mam opracowany sposób, jak wydostać cię z miasta. Być może nie ja spotkam się z tobą w gospodzie, więc znakiem będzie wieniec ze złoty-  
tych liści laurowych, a hasło to „zastój”.

Zabójca ściągnął brwi.

– On z pewnością ma pomoc hermetyczną. Moje bełty powinny się z tym rozprawić. Jakieś pomysły?

– Pomoc hermetyczna w większości przypadków wymaga czasu. Strzel do niego z bliska. – Kronmir wzruszył ramionami. – Jestem jak uczeń uczący-  
cy mistrza.

Zabójca pokręcił głową.

– Morduję człowieka, który w znacznej mierze wydaje się dobry, i robię to w Boże Narodzenie. I już raz zawiodłem. Nie jestem zadowolony; wolałbym zabijać tyranów w Etrurii. – Podał Kronmirowi niewielką tubę. – To dla mo-  
jego współnika, na wypadek najgorszego. Słuchaj, byłeś uczciwym pracodawcą, chroniącym mnie przez cały czas, gdy wracałem do zdrowia. Będzie-  
my wdzięczni, niezależnie od wyniku.

– To dobrze – powiedział Kronmir. – Ponieważ, jeśli pójdzie źle, będę się musiał przenieść do Etrurii. – Poklepał zabójcę po ramieniu. – Idź i rozpraw się z nim, a jutro wszystko będzie wyglądało jak zły sen.

Zabójca wzruszył ramionami.

– Skoro to takie łatwe, dlaczego sam tego nie zrobisz?

Kronmir się uklonił.

– Trafna uwaga. Jeśli chcesz się wycofać, wcale nie uznaję, że pogwałciłeś kodeks postępowania.

Zabójca uśmiechnął się po raz pierwszy.

– Uczciwie powiedziane. – Wygiął plecy i poklepał bok kosza. – Załatwię go. Zawsze się czuję w ten sposób przed zabiciem człowieka. Niektórzy czu-



ją osłabienie po zabójstwie, ja odczuwam je przed. Ha, za dużo gadam. – Skłonił głowę. – Trzymaj się, kimkolwiek jesteś.

– I ty – powiedział Kronmir i odszedł w śnieg.

## **Liwiapolis – Czerwony Rycerz**

Kiedy zgarnięto śnieg, mieszkańcy Liwiapolis rozpoczęli tańce. Obracali się i zataczali koła z licznymi podskokami, i wiele kobiet pokazywało łydki pod bogato haftowanymi rąbkami sukien. Kobiety miały kapturki, a mężczyźni futrzane czapki zupełnie inne niż te, które nosili Albanowie, i tańce były inne, bardziej wyczynowe. Kobiety obracały się w podskoku i lądowały na jednej nodze. Mężczyźni robili rozkrok w powietrzu, dotykając stóp rękami, i lądowali obunóż.

Ser Michael się przyglądał, stojąc z Kaitlin, która miała bardzo duży brzuch, lecz mimo to chciała tańczyć. Towarzyszył im ser Giorgios z małżonką. Oboje nauczyli ich moreańskich figur.

Było jak w Albie, a jednak zupełnie inaczej i Michael zatracił się w potoku myśli – zatracił, jednocześnie dobrze pamiętając o chwili obecnej. Pochylił się i pocałował żonę.

– Kapitan został poważnie ranny? – zapytała.

Michael się skrzywił.

– Sądzę, że tak, tylko to ukrywa – odparł i przez chwilę żuł rękawiczkę.

– Wracają do początkowej figury – powiedziała Helena. Położyła rękę na plecach Kaitlin. – Mam nadzieję, że będę nosić moje dziecko tak dobrze, jak ty nosisz swoje – szepnęła.

Kaitlin się roześmiała.

– Lanthornówny są stworzone do robienia dzieci.

Jej mąż zaśmiał się w rękawiczkę i odwrócił.

– Pod wieloma względami – szepnął, a ona dała mu sójkę w bok tak mocno, że się pośliznął na lodzie.

Czerwony Rycerz podszedł do nich, gdy się zaśmiewali. Uśmiechnął się do Kaitlin i pocałował ją w policzki.

– Uosobienie płodności – powiedział.

Dygnęła.

– Zakładam, że próbujesz być miły. Może pójdiesz zatańczyć z księżniczką? Spójrz! Czeka na ciebie.

Ser Michael podchwycił spojrzenie swojego kapitana.

– Zgadza się – mruknął i poszedł do Ireny.

– Nie jest dla niej zbyt miły – zauważyła Kaitlin. – A ona za nim szaleje. Patrzcie na nią. Jak myślicie, weźmie ją za żonę?

Michael pociągnął ją za rękę.

– Nie sędzę, kochanie. Są rzeczy, o których nie wiesz. Przyznam, że sam wiem niewiele więcej.

– Raczej nie ma innej – powiedziała Kaitlin ze śmiechem. – Straszna ze mnie plotkarka. Ale praczki znają się na rzeczy.

Michael sprowadził ją po schodach z pawilonu dam na plac, gdzie trwały tańce.

– To polityka. Zawsze jest coś więcej, ale ona wcale za nim nie szaleje. Jest od tego daleka.

– Smutne – skomentowała Kaitlin. – Jestem zakochana i chciałabym, żeby wszyscy inni się kochali.

Michael ujął jej rękę i uniósł ją w pierwszej figurze moreańskiego tańca bożonarodzeniowego. Kaitlin pisnęła.

– Zrobisz sobie krzywdę, ważę tyle, co cała ziemia!

Pocałował ją z uśmiechem i oddał się tańcowi.

Czerwony Rycerz zbliżał się do księżniczki. Stała w otoczeniu swojego dworu, z panią Marią u boku, z twarzą okoloną przez podbity białym futrem kaptur z purpurowego jedwabiu. Jej brokatowa szata ze złotym haftem była lamowana gronostajami.

Wyglądała przepięknie. Delikatny rumieniec przyciemniał jej blade policzki i oczy się jej skrzyły.

Megas Ducas wszedł w światło pochodni, na wolną przestrzeń przed księżniczką, i padł jak długi na śnieg. Jego szkarłatna jelenia skóra wyglądała jak kałuża krwi w blasku pochodni, a śnieg był bardzo zimny. Zastanawiał się, czy nie ryzykuje życia, leżąc u stóp, ale ten pokaz lojalności był nieunikniony w otoczeniu obserwujących go dwudziestu tysięcy ludzi.

– Dostojna księżniczka nakazuje ci powstać! – oznajmiła głośno pani Maria.

Księżniczka skinęła ręką i podniósł się, najpierw na kolana, ucałował rąbek jej sukni, potem na jedno kolano, i ucałował jej rękę.

Zostawił na śniegu trzy plamy szkarłatu.

Jej prawa dłoń była goła. Mocno ścisnęła jego rękę. Pochyliła się.

– To nie ja – szepnęła.

Zrobiło mu się ciepło na sercu, gdy usłyszał jej zapewnienie. Polubił ją bardziej niż chciał i chociaż jej nie wierzył, cieszył się, że dla niego postanowiła zachować pozory.

Zrewanżował się mocnym uściskiem.

– Co nie ty, Wasza Wysokość? – zapytał. W głębi duszy bał się jej jawnej nienawiści, jednocześnie próbując ją zrozumieć.

Nie było łatwych odpowiedzi. Toby podszedł i otrzepał go ze śniegu, i podał mu gorące wino, które oddał giermkowi w chwili, gdy miał nadzieję, że nikt nie patrzy. Przecież spróbują go zabić. Publiczne tańce stanowiły idealną okazję do takiej próby, a jednak musiał być na nich obecny.

Krew wsiąkała w bandażę i ziębiła go w skórę.

Żałował, że nie ma przy nim Toma Lachlana.

Ale miał Gawina i jego obecność ogrzewała go niczym ogień. Ukłonił się księżniczce i spojrzał na brata.

– Wszyscy na miejscu? – zapytał.

– Gotowi jak zawsze – odparł Gawin. – Jest również pan Mortimir.

Czerwony Rycerz był świadom nieobecności Harmodiusza jak człowiek, który pamięta o utracie bolącego zęba. Co jakiś czas odwiedzał swój pałac i wodził wzrokiem dokoła, jakby się spodziewał znaleźć intruza. Był również świadom, choć zajmowało to niskie miejsce na jego liście spraw największej wagi, że jeśli Harmodiusz opętał młodego Mortimira, coś trzeba będzie z tym zrobić.

Wypatrzył stanowisko dowodzenia, prawie niewidoczne miejsce, z którego kierowano nocną aktywnością. Mortimir lekko się garbił i miał cyniczny uśmiech. Czerwony Rycerz natychmiast rozpoznał Harmodiusza.

Jestem dość słaby, żeby się cieszyć, że się go pozbyłem, niezależnie od ceny, pomyślał. Po raz drugi ukradkiem zerknął na Mortimira, stojącego z tuzinem innych studentów Akademii i Długą Łapą, który miał swoich ludzi w mroku i rozkazy dotyczące młodego adepta, gdyby zrobiło się paskudnie.

Czerwony Rycerz odsunął się od księżniczki. Zauważył, że jego ludzie trzymają się z dala od jej orszaku. Ser Alkajos stojący pomiędzy swoją matką i ser Gawinem przypominał słabe ogniwo w zniszczonym łańcuchu.

– Gawinie, dopilnuj, żeby każdy z naszych wybrał sobie jednego z jej ludzi i niech trzymają się blisko. Mówię to z całą powagą. – Skinął głową. – Wrogowie nie mogą nabrać nawet cienia podejrzenia. Muszą myśleć, że ich plany się nie powiodły. Albo jeszcze lepiej, że ona ich opuściła.

Mroczny gniew odbił się na twarzy Gawina, ale posłusznie skinął głową i

posłał lekki uśmiech pani Marii. Przed odejściem powiedział do brata:

– Wiesz, że to wszystko jest karą za moją miłość do dworu w Harndonie, prawda? Tu mam okazję poznać dworskie życie w całej jego niechlubnej kra-  
sie.

Czerwony Rycerz wzruszył ramionami.

– Ufaj Alkajosowi – powiedział.

Cofnął się o kolejny krok pomiędzy swoich ludzi, po czym szybko pod-  
szedł do Mortimira, który stał na śniegu, podając kubki grzanego wina bir-  
bantom.

Jego młoda twarz miała cierpki wyraz.

– Krwawisz, panie? Przesilenie, wiesz. Żadne dzieła hermetyczne nie przy-  
noszą takich skutków, jakich się spodziewasz.

Czerwony Rycerz nachylił się do jego ucha.

– To wbrew prawu, Harmodiuszu. I wiesz, o jakim prawie mówię.

Mortimir wzruszył ramionami.

– Naginam prawa, ale ich nie łamię. Pan Mortimir ma władzę i może mnie  
wyrzucić, kiedy tylko zechce. Krwawisz, tutaj.

Uczynił znak i wypowiedział słowo, a Czerwony Rycerz poczuł, że rana  
się zamyka. Znowu.

Długa Łapa pochylił się nad ogniem.

– Panie, jakieś rozkazy?

Czerwony Rycerz wzruszył ramionami.

– On tu jest. Rób, co w twojej mocy.

Michael i Kaitlin przemknęli w pobliżu, wirując. Czerwony Rycerz wrócił  
do księżniczki i zgiął się w ukłonie.

– Wasza Wysokość, czy przystoi, żebyśmy dołączyli do zabawy? I jeśli  
tak, czy wyświadczysz mi zaszczyt, choć nie jestem godzien?

Skinęła głową.

– Zatańczmy. Czyż nie do tego zostaliśmy stworzeni?

Ujął jej rękę i odeszli.

Moreañczycy uważali członków rodziny królewskiej za świętość – niemal  
dosłownie świętych i wręcz samego Boga, i wielu się wzdragało przed złapa-  
niem księżniczki za rękę, ale strach przed przerwaniem kręgu – kręgu dzie-  
sięciu tysięcy albo więcej par wzdłuż całego obwodu Wielkiego Placu prze-  
ważył nad nabożnym lękiem i po kilku obrotach sam hrabia Ciemnowłosa  
ujął jej lewą dłoń. Wyglądało na to, że chętnie ją trzyma bez względu na wy-  
mogi figur tanecznych.

Krążyli znacznie dłużej, niż robili to Albanowie, a potem zaczęli hymn – z katedry wyszła procesja złożona z regimentu mnichów i drugiego zakonnicy i zapach kadzidła popłynął nad placem, gdy sto kadzielnicy wyrzucało wirujący święty dym w spokojne zimne powietrze. Pierwszy hymn popłynął z piętnastu tysięcy gardeł i wydawało się, że nawet starożytne posągi podnosiły głosy w hymnie do ich twórcy.

Później znowu zaczęły się tańce. Uderzyła śnieżycyca – płatki śniegu spadały szybko i osiadały na brwiach Czerwonego Rycerza, a on się śmiał, bo było to piękne. Zakonnice i mnisi śpiewali na przemian. Dwóch bębniaków uderzało w bębny, siedząc na końskich grzbietach, i kobiecy dyszkant wznosił się nad chóralnym śpiewem zakonnicy i mnichów niczym kwintesencja czy uosobienie ekstazy.

Księżniczka ścisnęła jego rękę i zniknęła w zadymce, gdy kobiety utworzyły wewnętrzny krąg. Większość była odziana skromnie, jak siostry zakonne, więc wśród nich księżniczka płonęła niczym gwiazda na ciemnym firmamencie.

Czerwony Rycerz się zastanawiał, czy rzeczywiście wydała rozkaz, żeby go zabić. Dwa dni wcześniej Gelfred przejął wiadomość z Loniki, ale sieć szpiegów była tak zagmatwana, że równie dobrze rozkaz mógł pochodzić z pałacu. Miał wiele dowodów świadczących, że Irena regularnie się kontaktowała z Andronikusem, korzystając z usług cesarskich kurierów.

Hymn płynął i kiedy rozpoznał słowa, też zaśpiewał. Pomimo rany w boku i upływu krwi targąca nim złość.

*Jeśli to przeżyję...*

*Jeśli przeżyję, rozprawię się z Andronikusem, którego armia jest trzy razy większa od mojej. Później będę musiał zrobić wszystko, co zdołam, dla ojca Michaela, i dla królowej, jednocześnie chroniąc północ przed Głogiem i walcząc, jeśli będzie trzeba, z Harmodiuszem. Jeśli obróci się przeciwko nam.*

*Na Boga, jeśli jest jakiś Bóg, popełniłem zbyt wiele błędów. Gubię wątek mojego planu. O ile w ogóle miałem jakiś plan. To bardziej przypomina jazdę na dzikim koniu niż planowanie kampanii.*

*Jestem głupcem. Ale co za jazda!*

Mężczyzna, który chwycił go za prawą rękę, przerwał mu tok myśli. Jego głos, dziwnie znajomy, brzmiał czysto jak dzwon.

– Nie wierzysz w przeznaczenie, Gabrielu?

Megas Ducas obrócił głowę. Od razu rozpoznał pana Smitha i szeroko się uśmiechnął.

– Czy już nie prowadziliśmy tej rozmowy?

– I zrobimy to znowu – zapowiedział pan Smith. – Podoba mi się to, w jaki sposób ludzie myślą o czasie.

– Nie spodziewałem się takiej pomocy – wyznał diuk. – Żywność, logistyka...

– Nie wspominając o lekkim odchyleniu pewnego bełtu. Czy nie nasuwa się wniosek, że jest gorzej, niż sobie wyobrażałeś? – Pan Smith uprzejmie skłonił głowę i błysnął kokieteryjnym uśmiechem do jakiejś kobiety w wewnętrznym kręgu.

Diuk się skrzywił.

– A myślałem, że tak dobrze się sprawiam – powiedział z nutką sarkazmu. Jego partner odwrócił głowę.

– Spisujesz się, ale nasz przeciwnik jest, pomijając jego arogancję i dumę, bardzo zdolny. Czy jesteś gotów zostać królem Alby?

– Nie – odparł diuk. – Planowałem tutaj zbudować sobie miejsce do życia. I trzymać się z daleka od Alby. Na zawsze. – Wzruszył ramionami, przetańczył kilka kroków, odwrócił się plecami do smoka i skinął głową w takt muzyki. – O czym z pewnością już wiesz.

– A jednak zrezygnujesz z tych planów, żeby ratować ojca Michaela i królową?

Rysy diuka stwardniały.

– Tak.

– Nawet gdyby to oznaczało walkę z twoim ojcem?

Megas Ducas poruszał się w rytmie melodii.

– Czy nie męczy cię zadawanie pytań, na które znasz odpowiedzi?

Pan Smith tańczył z odrobinę za dużym wdziękiem. Pokiwał głową.

– Wolna wola na ogół przebija wcześniejszą wiedzę – powiedział.

Diuk błysnął uśmiechem, gdy chór zakonnic i mnichów rozpoczął hymn.

– Sądzę, że to najlepsza wiadomość, jaką kiedykolwiek słyszałem. Mam nadzieję, że mówisz prawdę.

– Ja też – powiedział smok. – Andronikus musi odejść, zanim Głóg połączy siły z Eskepilesem.

– Zgadzam się.

Taniec nabierał tempa.

– Czy wiesz, że wszędzie, gdzie żyją dobrzy ludzie, i irkowie, i inne stworzenia, wykonuje się ten taniec w zimowe i letnie przesilenie? Że bez względu na to, w co kto wierzy i jakiego czci boga, w tę noc mury są obalone i

wszystko się może zdarzyć?

– Tak zawsze mówiła moja matka – mruknął diuk.

– Wiesz, że istnieje nieskończoność sfer? Z których ta jedna jest tylko jedną? – zapytał pan Smith.

– Staram się o tym nie myśleć.

– Za chwilę cię zostawię. Zanim to zrobię: turniej królowej. Wiesz o nim? Czerwony Rycerz pokiwał głową.

– Tak – powiedział na wypadek, gdyby istota o boskich mocach nie dostrzegła gestu w rozpraszaną przez pochodnie ciemności.

Na lewo od niego księżniczka była złotym słońcem wspaniałości.

– To węzeł. Schodzi się w nim tak wiele linii, że nie widzę niczego poza nim ani tego, co go otacza. Głóg i jego pan mają własne plany i nie mogę ich przejrzeć. – Pan Smith przestał tańczyć. – Proszę – rzekł z nietypową satysfakcją. – Czas i miejsce. Podejście bez wykrycia. Mój prezent na przesilenie.

– Powiesz mi, czy ten turniej skończy się moją śmiercią? – zapytał diuk.

Smok przystanął na chwilę.

– Może – odparł. – Ku mojemu żalowi. Samo mówienie ci tego jest złamaniem zasad gry. – Wzruszył ramionami. – Szczerze mówiąc, nie widziałem twojego zabójcy, dopóki nie uderzył. Dodam, że jest całkiem blisko, a mnie nie wolno podjąć żadnych kroków. Zdaje się, że całkiem dobrze to rozumiesz.

Czerwony Rycerz pokiwał głową.

– Do tego się urodziłem – rzucił z niekłamana goryczą.

– Wiem – powiedział smok Erchu. Pogimnastykował palce. – Minął długi czas, odkąd bezpośrednio ingerowałem w sprawy ludzi – dodał smętnie. – Co będzie, jeśli się uzależnię?

– Spierdalaj – burknął Czerwony Rycerz, ale bardzo, bardzo cicho.

Mężczyźni podchodzili do kobiet, gdy nadciągnęła kolejna śnieżycy. Otaczała go gęsta zawierucha płatków, więc choć ktoś trzymał go za obie ręce, miał wrażenie, że jest zupełnie sam. Śnieg tłumił wszelkie dźwięki.

Sięgnął po rękę księżniczki i poczuł jej ciepło. Nagle ku ogromnemu zaskoczeniu – a nie był człowiekiem, którego łatwo zaskoczyć – stwierdził, że trzyma dłoń królowej.

Przystanąła, kiedy go zobaczyła.

– To ty! – krzyknęła.

Zrobili obrót, gdy wokół nich wezbrała polifoniczna muzyka i śnieg zgęst-

niał. Dłoń miała lekką jak powietrze. Choć wyraźnie brzemienista, tańczyła z anielskim wdziękiem. Uśmiechnęła się do niej i ona też się uśmiechnęła.

– Przybyłeś zobaczyć się z moim mężem? – zapytała.

– Nie – odparł.

Przesunął się dalej, żegnając ją spojrzeniem, które napotkało jej pogodny uśmiech poślany z ramienia.

Obrócił głowę, unosząc rękę do następnej partnerki, i była nią Amicja. Trochę się spóźnił, a ona z rozdrażnieniem przygryzła dolną wargę zatracona w muzyce: zakonnica, która uwielbiała tańczyć.

Ich oczy się spotkały. Patrzyła na niego ze wstrzymanym oddechem.

Skry strzeliły z pierścienia na jej palcu.

– Jesteś ranny – powiedziała. – To ty czerpałeś ze mnie przez cały dzień?

Uśmiechnęła się jak wschodzące letnie słońce i Czerwony Rycerz poczuł, że zalało go ciepło.

Nie mógł wymyślić żadnej odpowiedzi, więc się odwrócił, trzymając jej rękę. Miała skromną brązową szatę na niebieskiej sukni. Na lewym ramieniu nosiła ośmioramienną gwiazdę swojego zakonu.

– Och! – krzyknęła z radością. – Moja chusteczka!

Otworzył usta, a ona tanecznym krokiem odeszła w śnieżycę.

Trzecią partnerką była jego matka.

Ujęła go za rękę i zrobiła pełen wdzięku posuwisty krok.

– Mury naprawdę runęły tej nocy – powiedziała.

Chrząknął i spojrział nad jej ramieniem.

Zaśmiała się.

– W końcu będzie twoja, nie mam co do tego wątpliwości – powiedziała. – Spójrz na siebie! Jesteś panem tego świata. – Stąpała lekkim krokiem, ze śmiechem tańcząc pawanę. – Jesteś dokładnie taki, jak chciałam, Gabrielu.

Uciąwszy go brzytwą słów, zniknęła w zawierusze.

Mógłby upaść, ale wciąż czuł na ręce dotyk Amicji, więc zrobił następne trzy kroki jak wyszkolony szermierz, który walczy po odniesieniu rany.

Następna królowa ujęła jego rękę – nie znał jej, ale uznał, że szczupła postać w bieli haftowanej złotem, z wieńcem czerwonych jagód na jasnych włosach, nie może być nikim innym jak Królową Śniegu.

– Z pewnością jesteś Czerwonym Rycerzem – powiedziała. – Ach! Musimy tego dokonać. Tej nocy wszystkie łańcuchy są połączone. – Uśmiechnęła się do niego i zawirowała w tumanie śniegu do rytmu muzyki. – Oby światło zatriumfowało nad ciemnością – powiedziała Tamsin i się odwróciła. – Nie-



chaj sztylet przeszycie jego czarne serce!

Odwrócił się od niej i odsunął, z lękiem rozmyślając, kto następny wychylnie ze śniegu, ale ręka, która ścisnęła jego dłoń, była znajoma. Zobaczył, że obraca się z Pyskatą. Wyszczерzył zęby.

– Zaskoczony? – zapytała. – Nigdy nie wiem, w którym powinnam być kręgu...

Gdy mówiła, wyraz jej twarzy uległ zmianie. Przesunęła się, podłożyła mu nogę, pchnęła i rzuciła go na ziemię, jakby walczyli w zapasach, a nie tańczyli. Zrobiła to w rytm muzyki, nie gubiąc kroku. Czerwony Rycerz runął jak długi.

Zabójca był sfrustrowany padającym śniegiem i podwójnie sfrustrowany czujnością żołnierzy, którzy byli wszędzie w tłumie. Po dwóch obrotach, które wcale go nie zbliżyły do celu, zrozumiał, że jego jedyną szansą będzie bezpośredni atak. Hymn mu mówił, co robią tancerze – za parę taktów każdy mężczyzna odstąpi od swojej piątej partnerki i wszyscy razem utworzą zewnętrzny krąg.

Jeśli przekradnie się na skraj tłumy obserwatorów, będzie zdany tylko na szczęście, ale jeśli mu ono dopisze, strzeli z odległości wyciągniętego ramienia. Przystanął, licząc takty, po czym przemknął obok grupy gospodyń niczym kret pod ziemią.

Ale jego kosz i ruch przyciągnęły uwagę grupy najemnych łuczników. Zobaczył, że ruszają – dostrzegł zmianę połysku na ich hełmach.

Jeśli teraz zawróci, nigdy nie będzie miał drugiej szansy.

Parł naprzód.

Długa Łapa zobaczył mężczyznę z koszem na plecach w tym samym momencie co ser Gawin i wdarli się w tłum niczym dwa mastify. Ser Gawin zostawił panią Marię, przerywając krąg. Długa Łapa, pół strzału z łuku dalej, miał trudniejszą przeprawę przez ludzkie morze.

Rozległ się trzask i błyskawica rozjaśniła brzemienne śniegiem niebo. Zapłonęła na nim feeria kolorów jak lokalna zorza polarna.

Morgan Mortimir złapał się za głowę, jakby otrzymał cios. Po chwili dezorientacji okręcił się na pięcie i pobiegł w stronę diuka, który tańczył z ser Alison.

Trzask gromu przeraził ludzi i wielu pierzchnęło, otwierając drogę dla zabójcy,

jakby zarządzono to u zarania dziejów.

Droga okazała się zbyt łatwa i przybył za wcześnie – Megas Ducas wciąż tańczył z jakąś kobietą piętnaście kroków dalej za tumanami śniegu.

Zabójca postawił wszystko na jedną kartę. Przebił się przez kordon tancerzy i pobiegł w stronę diuka.

Kobieta, z którą tańczył Megas Ducas, zobaczyła go i jakby skinęła głową, obracając partnera. Zabójca ściągnął grubą rękawicę z prawej ręki, sięgnął za plecy i chwycił kolbę kuszy. Podbiegł do diuka.

Kobieta podłożyła w rytm muzyki diukowi nogę.

Dzielili ich zaledwie trzy kroki i było za późno, żeby ktokolwiek mógł cokolwiek zrobić. Uniósł kuszę i...

Kobieta rzuciła diuka na ziemię.

Wielka kropla ognia uderzyła w magiczną osłonę zabójcy, sprawiając, że się potknął.

Zawirował i strzelił w napastnika. Bełt czysto przeszedł przez hermetyczne tarcze młodego człowieka i zbił go z nóg.

Kobieta wyjęła krótki miecz z fałd spódnicy i cięła.

Przyjął cios na zarękawie i złapał ją, spodziewając się łatwego zwycięstwa, a zamiast tego dostał kolanem w krocze. Wykręciła mu rękę, lecz miał zbroję pod chłopskim kaftanem, a ją krępowały spódnice. Po wymianie ciosów kopnął ją dość mocno, żeby złamać nogę w kolanie, ale te same spódnice, które go ocaliły, teraz złagodziły kopniaka.

Mimo wszystko upadła.

Uderzył ją w głowę pustą kuszą i uciekł.

Minął księżniczkę, która patrzyła z otwartymi ustami, a potem znalazł się wśród posągów pośrodku placu.

Ściągnął przez głowę wieśniaczy kaftan, pod którym nosił zbroję i szkarłatny tabard najemnego łucznika, a do tego miecz i puklerz. Biegł, zmienił kierunek o dziewięćdziesiąt stopni i przyśpieszył, pędząc prosto na południe, mijając grupę wieśniaczek i znikając w tłumie.

Długa Łapa dał się zwieść, ale gdy tylko zobaczył kaftan, klasnął językiem i ruszył tropem widocznym w świeżym śniegu. Nie musiał pytać wieśniaczek, gdzie się podział mężczyzna; po prostu przystanął na chwilę, żeby przebiec wzrokiem nad głowami tłumu. Nawet w kapryśnym blasku pochodni wypatrzył hełm – jedyny hełm oddalający się od kręgu tancerzy.

Grzmot zadudnił nad głowami ludzi niczym upiorny śmiech.

## Harndon – królowa

Kobieta wrzasnęła w ciemności.

Królowa chwyciła króla za rękę i zamarła, mając mętlik w głowie – przez chwilę tańczyła z Czerwonym Rycerzem i z mężczyzną, który wyglądał jak książę elfów – musiała się skupić.

Emmota zniknęła.

Król ją zostawił i z tuzinem rycerzy pośpieszył w kierunku krzyku, krąg został przerwany, krzyki głużyły muzykę.

Moc kręgu topniała jak lód na wiosennym stawie. Królowa sięgnęła...

Kobieta w zieleni i złocie chwyciła jej rękę i splunęła. Dezyderata poczuła się jak kopnięta w brzuch i upadła na kolana.

Starsza kobieta spojrzała przez ramię i zniknęła. Jej miejsce zajęła ta sama młoda zakonnica, która ją uzdrowiła na polu bitwy pod Lissen Carak. Królowa uniosła głowę.

Pochyliła się nad nimi odziana w biel pani.

– Nie możemy pozwolić, żeby krąg się rozpadł tak wcześnie – powiedziała, a może rzuciła swoją myśl.

Wszystko działo się tak szybko! Królowa nagle stwierdziła, że prawą ręką trzyma dłoń lady Sylwii, a lewą lady Almspend. We trójkę utworzyły maleńki krąg i zaczęły się obracać. Głosy kołędników nabrały pewności, gdy śpiewali Głorię.

Strzał z łuku dalej król znalazł lady Emmotę leżącą w kałuży krwi, która sprawiała, że śnieg wokół niej wydawał się czarny. Miała poderżnięte gardło, jak dobity jeleni albo ofiara składana w starożytnych czasach, i serce przeszłyte sztyletem.

Na sztylcie widniał herb hrabiego d’Eu.

– Dlaczego królowa wciąż tańczy? – zapytał król ze złością.

Diuk wstał, podtrzymywany przez Toby’ego, i wyciągnął rękę do Pyskatej, która ku uciesze wielu mężczyzn pocierała odsłonięte kolano. Rozejrzał się.

Muzyka grała, ale tancerze zwalniali. Niektóre kobiety przestały tańczyć i zbijały się w gromady, szukając ochrony.

Usłyszał kobiecy głos przy ramieniu.

– Nie możemy pozwolić, żeby krąg się rozpadł tak wcześnie.

Odwrócił się, ale nikogo nie zobaczył. Poczł tylko ślad zapachu mięty w powietrzu. Dość dobrze rozumiał zasadę, więc chwycił rękę Pyskatej.

– Tańczyć! – krzyknął. – Zamknąć krąg i tańczyć!

Trudno jest przełamać nawyk posłuszeństwa. Pyskata, nie bacząc na ból w kolanie, złapała za rękę zaskoczoną księżniczkę i ją obróciła – dołączyła do nich pani Maria, i po chwili kobiety utworzyły wewnętrzny krąg.

Gawin zatrzymał się z poślizgiem i Megas Ducas pchnął go do kręgu mężczyzn.

– Tańcz! – rozkazał. – Ktoś próbuje rzucić potężne czary. Przerwanie tańca jest częścią jego planu. Tańczyć, psiamać!

Gdy tylko się odsunęli, opadł na kolano przy Mortimirze, który podrygiwał, bębniąc stopami po ubitym śniegu. Jego krew była czarna jak smoła.

Diuk położył ręce na jego ramionach.

*Chodź, Harmodiuszu, powiedz mi.*

I stary magister się zgłosił. Sięgnął w etereal i jego ręka chwyciła rękę Czerwonego Rycerza – Czerwony Rycerz wytrzymał siły i zbliżył się o krok do otwartych drzwi, za którymi ziała najczarniejsza noc bez jednej gwiazdy. Uderzył z nich lodowaty podmuch, zimny jak sama śmierć.

Czerwony Rycerz się nie cofnął. W wysiłkiem wyprężył ramiona, sięgając w czarny etereal, i czubkami palców musnęła palce młodego mężczyzny w niebieskich aksamitach...

*Rozległ się dźwięk jakby walki toczonej na śmierć i życie...*

*...i narastająca melodia kolędy krzyk kobiety statek miotany na falach potężnego sztormu długobrody starzec leżący pod kołdrą Harmodiusz przemknął przez drzwi jakby napędzany przez jakąś zewnętrzną siłę i drzwi się zatrzasnęły za jego plecami.*

Harmodiusz przez chwilę leżał na płytach posadzki w pałacu Czerwonego Rycerza. Pokręcił głową.

– Co to było, do nędzy? – wymamrotał.

Gabriel już działał. Wskazał Mortimira, na skraju śmierci w rzeczywistym świecie.

*Możemy go uratować?*

*Jasne. Łajdak myśli, że tak łatwo można mnie zabić...*

*Myślę, że ja byłem celem.*

*Myśl, co tylko zechcesz, chłopcze. Chryste, mało brakowało. Dasz mi...?*

Gabriel przekazał Harmodiuszowi swój zapas opsy, po raz kolejny.

Naści, łajdaku, powiedział Harmodiusz. Otworzył więź i rzucił – pieczęcie jego pałacu błysnęły jak światła dalekiego miasta, gdy pięć kompletnych dzieł magicznych pomknęło w ciągu jednego oddechu.

Krew zniknęła i śnieg znowu był tylko biały.  
Mortimir otworzył oczy.  
Bełt sterczący mu z pleców spłynął jak stopiony sopel.  
I coś na niebie wybuchło niczym fajerwerki – tysiąc maleńkich gwiazd  
płonęło przez chwilę i zgasło.  
*Ho, ho* – mruknął Harmodiusz. *Kopnąłem boga w jaja.*

## Święta Wyspa – Głóg

Głóg obserwował nocne wydarzenia jak sztukę w teatrze. Przesilenia zawsze stanowiły wyzwanie dla poważnej pracy, bo świat realny i eterealny często się nakładały, i najprostsze czary mogły się nie udać.

Jego sieci czarów wisiały luźno. Bał się, że burze przesilenia w eterealu mogą je zniszczyć, zanim podejmie próbę choćby najprostszej pracy. Stał w śniegu, mroczny i milczący, pogrążony w zadumie.

Jeśli on milczał, inni byli bardzo głośni. Nie potrzebował siatki szpiegowskiej, żeby ich widzieć. Moc ich wysiłków była tak wielka, zużywanie *ops* tak ogromne, że czuł je w swojej studni mocy na północy, gdzie płatki śniegu osiadały mu na ramionach tak, jakby naprawdę był sędziwym dębem.

Przy każdym impulsie mocy z południa jajo płonęło i ćwierkało.

Próbowało się z niego wykluczyć coś bardzo nieprzyjemnego.

Fragment starego poematu albo proroctwa.

Na zachodzie nieprzerwany krąg i potężna moc ogłaszały się na niebie w pierścieniu białego ognia. Inne koła podobnej mocy wzbijały się w powietrze z wielu miejsc – z prymitywnych chałup Zamurzan, z pałaców królów, emirów i chanów.

Ale dwa kręgi były pęknięte i zaczęły się rozpadać w eterealu. I coś je ścigało.

Głóg patrzył z zainteresowaniem, z jakim jeden drapieżnik może obserwować drugiego, który się podkrada do upatrzonej zdobyczy.

Nagle kręgi się ustabilizowały – oba jednocześnie, jakby razem rozpoczęły własny taniec. Biały ogień przygasł do iskierki, po czym znowu rozbłysnął i pierścienie zapłonęły – doszło do wybuchu mocy na wschodzie.

Ach, pomyślał Głóg. Istota, która nim władała, oznajmiła: *Harmodiusz jeszcze żyje. I nabrał siły. Będzie idealnym sojusznikiem.*

Głóg zadrzał z zaskoczenia.

– *Dlaczego?* – zapytał. – *I kim ty właściwie jesteś, panie?*

– *Każdą istotą, która osiągnęła moc dostateczną, żeby przestać być jedną z nich* – odparł Popiół. – *I która staje się jednym z nas.* – Głos brzmiał nieubłaganie. – *Ty wybrałeś. Ja wybrałem. Teraz Harmodiusz ma wybór.*

Głóg zadrżał. Zastanawiał się, zresztą nie po raz pierwszy ani ostatni, co właściwie wybrał.

– *Jestem Popiołem* – szepnęła istota.

Głóg, który kiedyś był Richardem Plangere'em, aż nazbyt dobrze znał to imię.

– *Jesteś wężem szatana* – powiedział.

– *Nie jestem z nikim powiązany. Po prostu jestem.*

## **Liwiapolis – zabójca, Długa Łapa, Kronmir**

Zabójca wyłonił się na obrzeżach tłumu w pobliżu Akademii i nieustraszenie maszerował ulicami, pokazując odznakę alumna przy portalach. Ponieważ nie była to jego odznaka, wiedział, że nie poniesie konsekwencji, i wątpił, żeby ktoś z pościgu miał coś takiego. W ten sposób zyskał godzinę przewagi.

Skręcił w uliczki za uniwersytetem i przechodził z jednej na drugą. Raz przystanął, żeby się pozbyć czerwonego kaftana i napierśnika łuczника. Zostawił rzeczy pod ścianą burdelu i pobiegł w ciemność.

Długa Łapa podszedł do ochron na skraju Akademii i zaklął. Nie mógł ich przebyć, a ze śladów jasno wynikało, że jego przeciwnik to zrobił. Zawrócił, tracąc cenne minuty na bieg najpierw na północ, potem na zachód, gdzie znalazł Gelfreda i Daniela Favora. Obaj kłęczeli na śniegu.

– Przebiegł przez Akademię i nie mogłem pójść za nim – wysapał.

Favor zagwizdał i dwa psy przybiegły po śniegu.

– Rzucamy czary na zapach – wyjaśnił Gelfred. – Chodźmy na południe, spróbujemy jeszcze raz. Tylu ludzi... – Pokręcił głową.

Trzej mężczyźni pobiegli uliczką wokół terenów uniwersytetu. Tej nocy była dobrze oświetlona pochodniami i zatłoczona setkami ludzi, którzy się odwracali i patrzyli na przebiegających mężczyzn. Zatrzymali się na południe od Akademii i rzucili czary na zachód, ale nadzieje na wytropienie świeżych śladów przysły w bocznych uliczkach studenckiej dzielnicy za uniwersytetem.

W jednej trzeciej długości ulicy Świętego Mikołaja starsza suka zaczęła popiskiwać i skomleć i Gelfred spuścił ją ze smyczy.

– Bierz go, Laudhas! – krzyknął i puścił obrozę.

Ukląkł na śniegu, żeby się pomodlić, potem spuścił ze smyczy drugiego psa. Młodszy pies zaszczekał, zatoczył krąg i pobiegł w innym kierunku. Suka pędziła ku niskiemu budynkowi z brudnym białym tynkiem po drugiej stronie ulicy. Gdy przystanąła, Gelfred podbiegł i zobaczył żołnierską pelerynę, kaftan i napierśnik.

Znowu ukląkł, nie bacząc na zimno, i modlił się żarliwie, a później uniósł różdżkę i rzucił. Srebrny ogień spłynął po łapach suki i do jej nosa. Obwąchała pelerynę i z radosnym szczeknięciem pobiegła w płataninę uliczek.

Trzej mężczyźni pośpieszyli za nią.

Zabójca zwolnił do spacerowego tempa spory kawałek przed swym schronieniem. Znał gospodę i nie zamierzał się demaskować w swoim nowym przebraniu, biegając po zatłoczonych ulicach, dlatego zwolnił, skręcając w ulicę Świętej Katarzyny: mieszczanin, który wyszedł z domu zaczerpnąć zimnego powietrza i może wypić kubek gorącego wina. Żwawym krokiem chętnego zalotnika wszedł po schodach i otworzył drzwi gospody.

Rozejrzał się po izbie. Nikogo nie znał – tym lepiej. Przeszedł na drugą stronę i oparł się o ścianę, bo w Boże Narodzenie nie było miejsca, żeby usiąść.

Czekał na łącznika. Po raz pierwszy pozwolił sobie na myślenie i był głęboko niezadowolony – do licha, co mu kazało strzelić do chłopaka, kiedy cel zamachu leżał jak długi u jego stóp?

Ale co się stało, to się nie odstanie.

Podeszła kobieta w średnim wieku i zaproponowała mu parujący kubek, który przyjął, kiwając głową na znak podziękowania. Pokazała na migi podpisywanie rachunku i znowu skinął głową. Ludzie w tym mieście byli znacznie bardziej ufni niż ci w Etrurii, ale postanowił uiścić należność, bo przecież było Boże Narodzenie. Zamknął oczy i zmówił modlitwę za młodego człowieka, którego uśmiercił.

I uniósł powieki, kiedy usłyszał szczekanie psa.

Psy. Nie wziął pod uwagę psów. Oczywiście, w śniegu...

Odetchnął głęboko. Zaszczekał drugi pies.

Pociągnął łyk gorącego wina i sięgnął do kosza, w którym miał miecz. Wyjął go jak najostrożniej i zaczął się przesuwać w stronę kuchni.

Nie byli amatorami. Miał co najwyżej kilka minut, zanim zbiorą siły.

Rozejrzał się, szukając łącznika, którego miał rozpoznać po złotym wieńcu z wawrzynu. Nie zobaczył nikogo takiego.

Przeklinając swojego pecha, położył rękę na amulecie i wyobraził sobie znak wezwania.

Kronmir był dwie ulice na zachód od gospody, kiedy zobaczył mężczyzn w szkarłatnych kaftanach – i psy.

Natychmiast zawrócił i ruszył na północ w labirynt dzielnicy studenckiej. Jeśli mieli psy, to oznaczało, że wytropią jego człowieka do umówionego miejsca spotkania. Nawet nie miał rezerwowego posłańca – wszystko rozgrywało się beznadziejnie, przed czasem, i żołnierze już otoczyli gospodę.

Dręczyły go ponure myśli.

Za jego plecami zaszczekał pies.

Nagle uliczkę przed nim rozświetliło wschodzące słońce czerwonego ognia. Kronmir stanął jak wryty, a huk sprawił, że przycisnął ręce do uszu i się zatoczył.

Tym, co ocaliło im życie, był przeraźliwy wrzask Rozmyślnego Morda, że mają się wycofać w uliczki i czekać na posiłki.

– Pierdolone psy! – warknął. – Każdy łajdak w dzielnicy wie, że tu jesteśmy.

Gelfred wiedział, że Rozmyślny ma rację, i w czwórkę – w piątkę, kiedy zjawiał się Dryg, i w tuzin, kiedy nadciągnęli jego ludzie, wycofali się w uliczkę znaną jako Kolonia. Favor złapał sukę za obrozę, żeby ją uciszyć. Młodszy pies znowu zaszczekał...

I gospoda wyleciała w powietrze.

Fala ognia popłynęła z epicentrum jak hermetyczny przyptyw i runęła na budynki po drugiej stronie ulicy, i nic poza czystym szczęściem nie uchroniło łuczników w cieniu złej *potentia*. Gelfred miał połamane żebra, a nadto pasudnie poparzoną twarz i ręce. Favor był osłonięty, więc został tylko osmalony. Rozmyślny Mord runął na ziemię ze złamaną ręką. Suka zginęła na miejscu.

Podobnie jak stu pięćdziesięciu hulaków w gospodzie.

Kilkanaście domów stanęło w płomieniach. Rozmyślny Mord pozbierał się z ziemi i pobiegł po straż ogniową.

Dwie uliczki dalej Kronmir oparł się o mur i patrzył na czerwoną łunę na niebie.

Zastanawiał się nad problemem przez niespełna trzy uderzenia serca, za-



nim doszedł do oczywistego wniosku. Zerwał amulet z szyi... i znieruchomiał.

Pobiegł do Akademii. Jeśli amulet wybuchnie w tych uliczkach, zginie tysiąc ludzi. Kronmir przebiegł całą drogę do głównego wejścia Akademii, gdzie żelazne paszcze Cerbera były czarnymi jamami w mroku nocy. Przy-skoczył do trójgłowego psa i wrzucił amulet z łańcuchem do najbliższego rozdziawionego pyska.

Pies zakasłał jak chore dziecko.

Kronmir stał przy nim i dyszał z rękami przyciśniętymi do piersi. Po obu stronach mijali go uczestnicy zabawy – po drugiej stronie ulicy jakiś mężczyzna stanął i wskazał ręką czerwone niebo. Inni się zatrzymali. Z daleka dobiegał głośno śpiewany hymn.

Ludzie na Wielkim Placu wciąż tańczyli.

Kronmir po raz kolejny przebiegł w myślach cały ciąg logiczny. Po prostu, żeby się upewnić co do związku przyczynowego.

*Zabójca został osaczony.*

*Gospoda eksplodowała.*

*Eskepiles okazał zdumienie, że zabójca i członkowie jego grupy wciąż żyją.*

*Eskepiles sporządził amulety.*

*Młody człowiek – student Akademii – powiedział, że amulety są niesłychanie potężne.*

*Co właśnie zostało udowodnione.*

*Eskepiles dał mu amulety, żeby zabić jego agentów.*

Kronmir stał przy wielkim żelaznym posągu Cerbera tyle czasu, ile zakon-nica potrzebuje na zmówienie zdrowaśki.

Ruszył przez plac.

Gabriel Murien leżał na łóżku z baldachimem i zasłonami w namiocie, który rozstawiono specjalnie dla niego na placu turniejowym. Sześć koszy z węglami i torfowe palenisko odpierały zimno.

Ser Michael po naradzie z ser Alkajosem i panią Marią zdecydował, że diuka łatwiej będzie chronić na środku hipodromu.

Czerwony Rycerz z grubo obandażowaną klatką piersiową siedział oparty o tuzin pulchnych poduszek. Posłańcy wchodzili i wychodzili, sprawdzani przez szeregi wartowników, kompanijnych weteranów, przepuszczających tylko tych, których dobrze znali. Nie było to sprawiedliwe wobec lojalnych Moreańczyków, ale system się sprawdzał.

– Bardzo źle? – zapytał diuk roztrzęsionego Długą Łapę.

– Chryste na krzyżu, panie, przez chwilę było jak... – Pokręcił głową. – Jak serce ognia w kuźni.

Młody Morgan Mortimir stojący przy ramieniu Czerwonego Rycerza lekko się uklonił.

– Panie, jeśli dobrze się czujesz, chciałbym rzucić okiem. Każdy z moich kolegów może cię wesprzeć w krytycznej chwili.

Megas Ducas ściągnął brwi.

– Co robi Akademia?

– Nic, panie. – Morgan spuścił wzrok, jakby był zakłopotany. Może był. – Nie podjęli żadnego działania.

Diuk spojrzał na Długą Łapę.

– Co jeszcze?

– Trop, fizyczny i hermetyczny, doprowadził nas do gospody. Rozmyślny przybiegł z kilkoma żołnierzami. Sam nie byłem dość sprytny, żeby złapać łajdaka.

Diuk poklepał go po ramieniu.

– Dobrze się stało. Siła, przytłaczająca siła, ratuje życie.

Długa Łapa miał żalowaną minę.

– Powiedz to Gelfredowi, który stracił oba psy i prawdopodobnie straci też lewą rękę. Albo Kanny'emu... nie żyje. Trzech zginęło i trzech jest ciężko poparzonych. – Starszy mężczyzna pokręcił głową. – Nie jestem do tego stworzony. Poderżnę gardło, ale nie lubię wydawać rozkazów. Decydować.

Ser Jehan podniósł kubek wina.

– Dobrze się spisałeś, wyprowadzając stamtąd wszystkich, którzy przeżyli. Ale, panie, czy przemyślałeś to z wojskowego punktu widzenia? Jeśli mają takie materiały wybuchowe, co więcej mogą zrobić? Mogą wysadzać budynki?

Diuk obdarzył swojego mentora niewesołym uśmiechem.

– Jehanie, mistrz hermetyk może jednym ciosem obalić mury miejskie. Po prostu tego nie robi. Dokonanie czegoś takiego wymaga czasu i wysiłku, a większość z nich prowadzi inne gry. – Pokręcił głową. – Chociaż nie ten.

Jehan napił się wina.

– Panie, zawsze jestem czarnowidzem, co, jak sobie uświadamiam, pozbawia mnie... – Uśmiechnął się. – Czegoś. Ale posłuchaj, jesteśmy na polu bitwy wybranym przez wroga, który ma nową broń i taktykę. Tu jest jak w Etrurii. Skrytobójcy, magia. Możemy wrócić do zabijania potworów?

– Nie możemy po prostu wycofać się i przegrupować – powiedział diuk. Stęknął, gdy ból zaatakował na nowo. – Morganie, idź obejrzyć ruiny gospody. Zobacz, co jest do zobaczenia. Chciałbym wiedzieć, jak to zostało zrobione, żebym, kiedy zacznę panikować, nie panikował bez powodu. – Powoli położył głowę na poduszce. – Panowie, coś tutaj budujemy. Jeśli pokonamy Andronikusa, będziemy mieli mnóstwo czasu. Będziemy mieli źródło dochodów, a także szereg ufortyfikowanych miast i zamków. I sprzymierzeńców.

– Sprzymierzeńców, akurat – syknął Jehan.

Alkajos poderwał się ze stołka.

– Tak, panie rycerzu. Sprzymierzeńców. Wielu Moreańczyków jest wdzięcznych za to, co robicie. Pokój, silny pokój, i sprawiedliwy, oznacza, że nasi kupcy będą mogli konkurować z Etruskami, Galami, nawet Albanami i Oksytańczykami.

Ser Jehan parsknął.

– Podczas gdy księżniczka będzie opłacać etruskich zabójców, żeby nas mordowali?

Alkajos spojrział mu w oczy, wzruszył ramionami.

– Moja matka nie szczędzi starań, żeby wziąć księżniczkę w karby – powiedział. – Sądzymy, że Irena nie wiedziała o planowanym zamachu.

Diuk pokręcił głową.

– To nie ma sensu. Nie jestem głupi, lecz nawet nie umiem się rozeznaczyć, z kim właściwie walczymy. Dlaczego? Dlaczego księżniczka wysłała wiadomości do Andronikusa? Dlaczego nadworny mag zdradził cesarza? Dlaczego Akademia stoi z boku i pozwala, żeby ludzie umierali z powodu używania hermetyzmu w taki bezbożny sposób? Przecież za coś takiego, przynajmniej w Albie, sprawca spłonąłby na stosie.

Alkajos pogładził brodę.

– Panie, wychowałem się tutaj i powiem, że też nie rozumiem wszystkich odłamów. Czasami jeden mężczyzna i jedna kobieta stanowią swoją własną frakcję. Co do patriarchy, kto wie, co naprawdę myśli? O tobie jako Albaninie? O twoim spowiedniku? – Alkajos pokręcił głową. – Bez obrazy, ojcze, ale patriarcha jest przekonany, że księża nie powinni walczyć. Wielu naszych mnichów i księży jest temu przeciwnych i było to problemem przez lata. Aż tu nagle przybywa Albanin z członkiem zakonu rycerskiego jako swoim spowiednikiem...

– Wcale nie jest moim spowiednikiem – poprawił diuk. – Lubię, gdy wszystko zostaje pomiędzy mną i Bogiem.

Ojciec Arnaud, który dotąd siedział prawie niewidoczny za zasłoną łóżka, teraz wstał i się odezwał.

– Rozmowa o tym cię męczy? A czy brałeś pod uwagę, że twoja prywatna kłótnia z Bogiem może doprowadzić do krzywdy kompanii? Może to również nasza sprawa.

– Może – zgodził się diuk. – Ale co ty wiesz? Naprawdę całkiem was lubię... nawet Rozmyślnego Morda. I jestem pewien, że kiedy mój mały problem z Bogiem w końcu wyjdzie na światło dzienne, wszyscy...

Usłyszeli poruszenie i ktoś krzyknął na zewnątrz namiotu.

Diuk usiadł.

– Michaelu, zobacz, co się dzieje – powiedział. Trzymał sztylet w garści.

Michael, w pełnej broi, wyszedł z Jehanem. Toby, też opancerzony, wyciągnął miecz, podobnie jak ojciec Arnaud. Długa Łapa poluzował miecz w pochwie.

Ser Michael wrócił.

– Panie, to... – Jego twarz białała w blasku pochodni, a linia ust wydawała się napięta. – Pewien człowiek twierdzi, że jest mistrzem służby szpiegowskiej Andronikusa. Błaga o posłuchanie, natychmiast.

Diuk poruszył prawą ręką i podniosła się lśniąca zielona tarcza, bąbel, który jakby z niechęcią przeniknął przez zasłony.

– Michaelu, rozbierzcie go do naga. Daj mu moją szatę, żeby się okrył, ale zabierz każdy klejnot, każdy pierścień... wszystko. Długa Łapo...

Łucznik pokiwał głową.

– Tak zrobię. W swoim czasie miałem okazję przeszukać kilku łajdaków.

– Jeśli zrobi coś, co będzie choćby przypominać atak, zabij go. I dopóki nie zostanie rozebrany, nie przyprowadzaj go na odległość stu jardów od tego namiotu. – Diuk schował sztylet.

Jehan stał z nagim mieczem.

– A jeśli... jeśli on sam...

Diukowi płonęły oczy.

– Z tym sobie poradzę.

– Jules Kronmir, panie – zameldował ser Michael.

Wprowadzono Kronmira. Otaczały go nagie miecze, a jednak nie stracił godności. Ukłonił się bardzo powoli, niemal jakby w pantomimie ukłonu.

Morgan Mortimir szeroko otworzył oczy.

– Znam cię!

Kronmir pokiwał głową.

– Amulet! – dodał Mortimir. – Panie, wiem, co wybuchło. Niech mnie diabli, trzymałem go w ręku.

– Nie ten, inny – powiedział Kronmir. – Ale tak. Ostrzegaleś mnie, a ja cię nie słuchałem.

Miecz ojca Arnauda zakołysał się, a potem opuścił za plecy Mortimira.

– Znacie się? – zapytał Jehan.

Mortimir najwyraźniej za młody, żeby zrozumieć, dokąd to może prowadzić, ochoczo pokiwał głową.

– Tak, spotkaliśmy się w starożytnej świątyni Ateny na zboczu i później w gospodzie. Pokazał mi amulet.

*Mówi prawdę, powiedział Harmodiusz. Chryste na krzyżu, nie zająłem w jego wspomnienia. Ale to on.*

Kronmir przenosił spojrzenie w jednej twarzy na drugą.

– Nie musicie zgadywać. Sam powiem, ale tylko pod warunkiem, że będziesz mnie chronić.

– Przyszedłeś, żeby przejść na naszą stronę? – zapytał diuk.

– Gdyby nie, byłby to dziwny sposób na popełnienie samobójstwa, więc tak – odparł Kronmir.

– Powiesz nam wszystko, nazwiska, miejsca, daty. – Diuk pochylił się ku niemu.

– Wszystko o diuku Andronikusie i jego spisku, tak. – Kronmir skłonił głowę. – Zdradził mnie. Ale nie wspomnę słowem o moich wcześniejszych pracodawcach.

– W zasadzie nie możesz się targować – zauważył Długa Łapa.

– Mimo wszystko mogę, panie – powiedział Kronmir. – Wiem, gdzie jest cesarz.

Diuk opadł z powrotem na poduszki. Pochwycił spojrzenie ojca Arnauda.

– Wiesz – zaczął – czasami muszę się zastanawiać, czy Bóg naprawdę jest przeciwko mnie. – Skierował wzrok na Kronmira. – Włóż ręce pomiędzy moje i przysięgnij.

Kronmir ukląkł. Złożył prostą przysięgę, jak każdy zbrojny wstępujący do kompanii.

– Przyjmiesz słowo zabójcy? – zapytał Długa Łapa.

– Zaprzysiągł się jako najemnik. Czy nie jesteśmy ludźmi honoru? – Diuk parsknął śmiechem. – Muszę się przespać. Chronicie pana Kronmira, który, jak się spodziewam, będzie naszym największym atutem. Ukryjcie go, przede

wszystkim przed oczami pałacu. Długa Łapo, oddaję go w twoje ręce. Skoro Gelfred został ranny, kto dowodzi zwiadowcami?

– Chciałbym wypróbować Favora – odparł Jehan – ale dostał strzałą w brzuch. Rana została zagojona, lecz on będzie wracać do zdrowia tak długo, jak ty.

– Może Starling? – zaproponował ser Michael. – To kutas, ale zna się na rzeczy.

– Niech tak będzie – zgodził się diuk. – O Boże. – Położył się na plecach. – Cesarz. Kronmirze, nie daj się zabić.

Kronmir się uśmiechnął.

– Nie zamierzam.

Diuk zamknął oczy i nagle uniósł powieki.

– Czekaście! Mam plan.

Jehan jęknął.

– Zaczyna się – powiedział.

CZĘŚĆ TRZECIA

Wiosna



Prince Demetrius

## ROZDZIAŁ SIEDEMNAŚTY



Sister Amicia

### **Ticondaga i Albinkirk – ser John Crayford i Amicja**

W końcu Amicja zdołała przekonać starego rycerza do pomysłu powtórnego przebycia Adnurni w zimie. Kurował się miesiąc – a ona przez miesiąc znosiła bezlitosne dociekania kobiety nieskrępowanej przez maniery czy najmniej względy natury moralnej. Amicja nigdy nie znała kogoś takiego jak Pani Północy i miała nadzieję, że nigdy kogoś takiego nie spotka.

W dniu, kiedy ser John oznajmił, że zabiorą kupców i wymaszerują, Ghause uśmiechnęła się do niej, siedząc w swojej prywatnej komnacie.

– Tak bardzo za nim tęsknisz? – zapytała i Amicji niemal zamarło serce. Ghause nie czekała na odpowiedź.



– Znasz przyjaciółkę królowej, lady Mary?

W tym czasie Amicja już nauczyła się bronić. Ostrożnie udzieliła odpowiedzi.

– Poznałam ją po wielkiej bitwie.

Ghause głośno się roześmiała.

– Nie ma czegoś takiego jak wielkie bitwy, kobieto – powiedziała. – Ta lady Mary jest zaręczona z moim Gawinem.

– Tak, chyba wiedziałam, że coś ich łączy – powiedziała Amicja bez opuszczania gardy.

Ghause znowu parsknęła śmiechem.

– Zdziecinniałam! Siedzę w mojej komnacie i plotkuję o kochankach moich synów. – Pochyliła się w stronę Amicji. – Lubię cię, wiedźmo.

Amicja miała pamiętać te słowa do końca życia.

Hrabia Północy przysłał dwudziestu rycerzy i prawie setkę żołnierzy, żeby pomaszerowali z karawaną przez zimowe śniegi, i ruszyli na saniach. Mieszkańcy północy znali wiele sposobów ułatwiających poruszanie się zimą, prawie zapomnianych w Albinkirku, o ile w ogóle były tam kiedykolwiek znane. Etruscy kupcy byli wstrząśnięci, a także zachwyceni, gdy patrzyli, jak konne sanie szybko jadą po zamrożonym jeziorze w Adnarniach. W dwie godziny z łatwością przebywali dziesięć lig, a czasami więcej, a potem czekała ich kolejna męcząca wspinaczka przez grzbiet do następnego jeziora. Czasami wojskowe drogi okazywały się na tyle czyste, że mogły po nich jechać sanie, a raz musieli rozładować wszystkie tobołki i przenieść je na plecach przez nieprzejezdny odcinek.

Najmłodszy syn hrabiego towarzyszył konwojowi, dowodząc ludźmi ojca. Był mroczny i zasępiony, jak większość młodych ludzi, a jednak Amicja go polubiła – nie tylko jako blade odbicie starszych braci, ale młodzieńca już okazującego, że będzie poważnym i rozważnym mężczyzną. Podszedł do niej, gdy obserwowała wciąganie tobołów z futrami na linach.

– Zima jest zawsze z nami – powiedział. – Zimą prowadzimy wojnę i podróżujemy, jeśli trzeba. To jedyny czas, kiedy większość Dzikich śpi. – Pochylił się ku niej. – Jaki teraz jest Gabriel? – zapytał.

Z trzaskiem zamknęła umysł i zamroziła wyraz twarzy.

– Jest dobrym rycerzem, panie. To wszystko, co mogę powiedzieć.

Sześć dni zajęło im dotarcie do przeprawy przez rzekę, gdzie zaczęła się cała

przygoda. Sanie przejechały po lodzie, w wielu miejscach go przełamując, ale nie na tyle głęboko, żeby ładunek się zamoczył. Łoża sań miały kształt łodzi i nie przepuszczały wody.

Mieszkańcy północy dobrze się znali na zimie.

Kiedy Amicja zobaczyła Albinkirk pomiędzy końskimi uszami, oczy się jej trochę zamglily.

Podczas jazdy miała zbyt wiele czasu na rozmyślanie.

Na dziedzińcu cytadeli pocałowała ser Johna na pożegnanie, a mieszkańcy wzniesli okrzyki na cześć kapitana kupców i młodej zakonnicy.

Odbyła poważne spotkanie z biskupem i wróciła do swoich obowiązków w Południowym Brodzie.

## **Lonika – diuk Andronikus**

Ponad trzysta lig na wschód słudzy wynosili świerkowe wieńce z pięknej, wyłożonej mozaiką sali. Minął prawie miesiąc od Objawienia Pańskiego. Stary diuk Tracji siedział w Wielkiej Sali, a jego syn i inni oficerowie stali przed nim jak suplikanci, łącznie z magistrem Eskepilesem, który trzymał się z tyłu jak przestępca.

– Musiałem, ojcze. On jest pomiotem szatana, wypędził naszych ludzi z miasta i wszędzie indziej zyskuje nad nami przewagę. – Demetriusz stał prosto przed ojcem. Zdawało się, że nie ma żadnych wyrzutów sumienia.

Andronikus siedział z podbródkiem na dłoni na ciężkim krześle podobnym do tronu.

– Zapytałeś mnie, a ja nie wyraziłem zgody. Wtedy za moimi plecami zmówiłeś się z tym czarnoksiężnikiem i kazałeś go zabić.

– Jakie to ma znaczenie? – zapytał Demetriusz. – Jest martwy i pogrzebany. Księżniczka odprawiła jego kompanię. Jest ostrożna, ale kto by nie był, mając do czynienia z takim gniazdem żmij? Ale za kilka dni odejdą, i wtedy będziemy mogli pomaszerować na południe.

Eskepiles chrząknął.

– Jesteśmy spóźnieni z planem o miesiące, musimy ruszać.

Andronikus uniósł brwi.

– Z planem? Mistrzu czarnoksiężniku, ja nie mam planu. Zamierzam ocalić mój kraj przed uzurpatorem i długim panowaniem złego rządu. To zajmie lata.

Eskepiles przez chwilę stał bardzo spokojnie, a kiedy przemówił, jego głos

zabrzmiął obłudnie.

– Oczywiście, panie. Będę mówić tylko w najbardziej ogólnikowy sposób. Wybacz mi, proszę. – Pochylił się. – Wciąż jestem zaskoczony, jak łatwo się go pozbyliśmy.

– Łatwo? – zachnął się Demetriusz. – Trzy sfuszerowane próby zamachu, a potem śmierć wskutek wybuchu amuletu?

Eskepiles się uśmiechnął.

– Nie mógłbym liczyć na nic lepszego.

Andronikus popatrzył na nich tak, jakby obaj byli dziećmi.

– Wyobrażacie sobie, że ona nas poprosi, żebyśmy wrócili? – powiedział.

– Jeśli nie, możemy powiedzieć ludziom, że zdradziła własnego ojca – podsunął Demetriusz.

Andronikus oderwał podbródek od pięści.

– I oczywiście wszyscy nam uwierzą. Posłuchajcie, głupcy. Doprowadziliście do rozwiązania sytuacji patowej na jej korzyść. Ma teraz armię, ten Czerwony Rycerz o to zadbał. Ma własną flotę i opłaconych ludzi. Etruskowie, bodaj ich zaraza, będą jej płacić podatki. – Usiadł i wsparł ręce na podłokietnikach wielkiego krzesła. – W pewien sposób, dziwny sposób, podziwiam tego Czerwonego Rycerza. Zrobił wiele rzeczy, które sam chciałbym zrobić. – Popatrzył na Demetriusza. – Przypuszczam, synu, że kiedy będzie gotowa, zaproponuje ci małżeństwo. A ty się zgodzisz. Odzyskam moje tytuły, zostaniesz jej małżonkiem. Jeśli dopisze ci szczęście, pozwoli ci stanąć na czele swoich armii. W pewnym momencie jakiś bezbożnik poderżnie gardło jej ojcu albo okręci je cięciwą.

Eskepiles patrzył na starego diuka w taki sposób, jakby był stertą łąjna.

– Co to za bzdury? I wiedz, że nie żyje nikt, kto prosto w twarz nazwał mnie głupcem.

Satry diuk uśmiechnął się szyderczo.

– Jesteś głupcem. Aroganckim, pijanym mocą głupcem, przed czym ostrzegął mnie patriarcha. Aresztować go. – Skinął ręką na dwóch żołnierzy.

– Nie ma obawy, magistrze, nigdy nie miałem zamiaru mianować cię patriarchą. – Zwrócił się do syna: – Ale co mam zrobić z tobą?

## **Liwiapolis – Czerwony Rycerz**

Kompania wymaszerowała o brzasku. Gdy tylko znaleźli się za pałacową bramą, stało się jasne, że księżniczka im nie ufa nawet na ulicach miasta.

Wardarioci zajmowali stanowiska wzdłuż trasy przemarszu, a za nimi ciągnęli wszyscy miejscy stradioci. Dwustu Nordykanów jechało za taborem, grożąc natychmiastową karą za każde wykroczenie.

Kolumnę prowadził ser Jehan, a obok niego jechał ser Milus trzymający zwiniętą czarną chorągiew. Ludzie wypinali piersi w czerwonych kaftanach z wyzywającym lekceważeniem. Większość łuczników patrzyła gniewnie na gapiów, ale większość zbrojnych jechała ze spuszczonym wzrokiem. Kompanijne kobiety jechały na lekkich wierzchowcach, uzbrojone w krótkie miecze i ubrane w szkarłatne tabardy, ale jednolitość strojów nie mogła ukryć ich rozpacz.

Chodziły słuchy, że najemnicy zostali odprawieni bez zapłaty.

Blisko bramy dwóch Nordykanów zasalutowało ser Jehanowi, na co Rozmyślny Mord splunął.

Tuż za nim Nell zachichotała. Gdy przejeżdżali przez wielką Bramę Aresa, trąciła Rozmyślnego w żebra.

– Przesadzasz – powiedziała.

– Zamknij się, latawico – syknął. – Wszystko zepsujesz, szpiedzy cię usłyszą i wszyscy zginiemy. Pamiętaj moje słowa.

Kiedy kompania po raz ostatni przejeżdżała przez Bramę Aresa, dwaj nordykańscy wartownicy salutowali toporami, dopóki ostatnia kobieta nie znalazła się za żelazną broną. Później siedli na czekające konie i dołączyli do kompanii Nordykanów i stradiotów ciągnących w ślad za kompanią.

Zmierzali na zachód drogą do Alby. Za rozstajami zwiększyli tempo. Milę dalej wyprzedziło ich stu wardariotów, wzbijając kurz z niedawno stwardniałej ziemi. Śnieg już się topił w dolinach, rzeki wzbierały i kwiaty kwitły w najniższych położonych miejscach. Słońce wschodziło coraz wcześniej.

Zbrojny jadący za ser Milusem, jedyny człowiek w całej kolumnie z zapiętym hełmem, uniósł zasłonę i odetchnął głęboko. Toby pochylił się w siodle i pomógł mu odpiąć sprzączki, a ojciec Arnaud zatrząski.

Kiedy zdjęli mu hełm z głowy, skrzywił w uśmiechu brodatą twarz okoloną kolczym kapturem, ściągnął wodze, odbił od kolumny i pogalopował.

Gdyby na wzgórzach byli obserwatorzy, usłyszeliby trzy dźwięczne okrzyki.

Zwiadowcy i wardarioci zadbali, żeby nikogo tam nie było. Nordykanie dołączyli do kolumn kompanii, podobnie jak miejscy stradioci. Sześć lig na północ od miasta Mag czekała z ser Giorgiose i czterdziestoma wozami szmuglowanymi z miasta po dwa naraz przez dwa ostatnie tygodnie.

Czerwony Rycerz ustawił swoje wojsko w dwóch szeregach po obu stronach drogi. Przejechał pomiędzy nimi na czoło, żeby wszyscy go mogli zobaczyć.

– Słuchajcie, przyjaciele! – krzyknął. Słuchali w zupełnym milczeniu. – Jestem podstępny draniem i nie zawsze się dzielę moimi planami. Ale oto dobra wiadomość: wymknęliśmy się z miasta, drogi są twarde i przez kilka następnych dni będziemy ratować cesarza.

Dla Nordykanów i stradiotów obietnica nieba nie byłaby lepsza. Ryk wzbił się pod niebiosami.

Zaczekał, aż ucichną.

– Wtedy Andronikus będzie musiał na nas ruszyć – podjął. – Mamy lepszych ludzi. On ma przewagę liczebną. – Obrócił konia dokoła. – Każdy człowiek, czy Moreańczyk, czy najemnik, chce z tym skończyć. Zamierzam go zmusić do wydania bitwy. A potem zamierzam ją wygrać. – Wyszczerył zęby. – Nie chcemy, żeby się zaszył w fortecy. Chcemy, żeby nas znalazł i zaatakował. Dlatego wykonujcie rozkazy, bądźcie czujni i pamiętajcie, że zamierzamy odbić cesarza.

Znowu krzyknęli na wiwat.

Gabriel Murien się zastanawiał, jak to byłoby mieć taką władzę nad ludzkimi umysłami, żeby w ten sposób jemu wiwatowali.

– Naprzód! – krzyknął.

Oddziały kolejno wjeżdżały na drogę i podążały za nim.

W Kilkisie skręcili na północ. Lord Fokus dołączył do nich z kolejną setką stradiotów i taką samą liczbą konnych łuczników. Nie pomaszerowali na północ – runęli na północ, do Tracji. Pierwszego dnia przebyli prawie czterdzieści mil. Spiesznie rozbili obóz w miejscu wskazanym przez zwiadowców. Przed brzaskiem Gelfred, który dopiero niedawno wrócił do zdrowia i wciąż był bardzo blady, popędził przodem. Żołnierze wstali w zimnej ciemności, włożyli zbroje, przeklinając mrok nierozproszony nawet jedną świeczką. Na ziemi zostały zapomniane rzeczy, ale tego dnia armia przebyła trackie wzgórza. Wstał kolejny słoneczny dzień i drogi były twarde. Maszerowali starożytną drogą cesarstwa i po kamiennych mostach.

Trzeciego dnia rozbili obóz i otoczyli go pniami zwalonych drzew, krzyżując je tak, jak wokół tymczasowej zagrody dla bydła, i spalili przy płonących ogniskach. Tylko pięćdziesiąt lig dzieliło ich od Loniki i czterdzieści od wybrzeża, ale jedno i drugie leżało za najbardziej stromymi górami, jakie wielu z nich kiedykolwiek widziało.

Tego dnia od trzonu armii oderwała się lotna kolumna złożona z sześćdziesięciu wardariotów, tuzina kopii, tyłu samo scholistów i Nordykanów, przy czym wszyscy prowadzili liczne zapasowe wierzchowce. Przekroczyli wysoki most o trzech przęsłach zbudowany ze starożytnych kamieni, piętrzący się nad wartką czarną rzeką. Bryły lodu spiętrzyły się pod filarami i most drżał, gdy uderzały kolejne kry, ale miał tysiąc lat i wczesna wiosna nie stanowiła dla niego poważnego zagrożenia.

Jechali na wschód z Czerwonym Rycerzem, Gelfredem i hrabią Zakiem na czele. Towarzyszył im Jules Kronmir. Miał miecz i zbroję jak wszyscy pozostali.

Po godzinie cwałowania po zimowej trawie kolumna się zatrzymała i zmienili konie.

Ser Michael był z księdzem, który ukląkł na krótką modlitwę, wstał i sprawdził popręg. Popatrzył spod uniesionej brwi.

– Dlaczego, jak się domyślam, będę nienawidził każdej minuty następnych paru dni? – zapytał.

– Wiem nie więcej niż ty – odparł ser Michael. – Ale przecucie mi mówi, że masz całkowitą rację.

Godzinę później wyłonili się z gęstej mgły i ruszyli galopem po martwej trawie i paprociach, które sięgały do końskich brzuchów. Wszyscy wardarioci oprócz hrabiego Zaka i jego sztabu zniknęli we mgle.

Zatrzymali się, zmienili konie i ruszyli dalej.

O zachodzie słońca przystanęli, żeby nakarmić konie, i zjedli trochę kiełbasy. Czerwony Rycerz chodził od człowieka do człowieka, posuwając się w dół kolumny. Każdemu mówił to samo.

– Podejmujemy obłądne ryzyko i stawiamy na jedną kartę – mówił z uśmiechem. – Dzisiaj nie będzie spania, tylko jazda. Nie zwracajcie uwagi na mgłę. Od tego są zwiadowcy.

Wrócił wzdłuż kolumny, zostawiając ser Michaela i ojca Arnauda, żeby spekulowali nad jego planami. Na czele kolumny stał człowiek trzymający kuca za uzdę. Czerwony Rycerz powitał go ukłonem.

– To większa pomoc, niż się spodziewałem – powiedział. – Ponownie.

– Z czego możesz ponownie wysnuć wniosek, że sytuacja jest gorsza, niż sobie wyobrażałeś – powiedział przewodnik.

Przez długi czas panowało milczenie, jeszcze pogłębione przez mgłę i panującą wokół ciszę.

*Zabiera nas prosto przez etereal, prawda?* – zapytał Harmodiusz. *Naj-*

*świętsza Panno, pomyśl o potrzebnej do tego mocy.*

*Oszczędzaj nam około czterdziestu mil ciężkiej jazdy przez góry. Będziemy musieli je przebyć w powrotnej drodze. Albo zostaniemy w nich uwięzieni, niezdolni do manewrów i porąbani na kawałki.*

*Dlaczego nie jesteś optymistą?*

Wyjechali ze śnieżnej mgły na szerokich zamarzniętych na kamień płaskich moczarach u stóp grzbietu, który wypełniał niebo. Gdzieś daleko za nim wschodziło słońce. Na wzniesieniu stał zamek, a na północ od niego leżało miasto Ermione. Po drugiej stronie grzbietu szumiało morze; Czerwony Rycerz czuł jego zapach.

Zebrał ich wszystkich razem.

– Teraz będziemy ratować cesarza – oznajmił.

Wszyscy pokiwali głowami.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał ser Michael.

– We wschodniej Tracji – odparł kapitan. – To cesarski zamek Ermione.

Zeszłej nocy jechaliśmy naprawdę szybko.

Hrabia Zak podrapał się po głowie i nie szczędził starań, żeby wyglądać jak zwykle flegmatycznie.

– Gdzie reszta moich chłopców? – zapytał.

– Mam wielką nadzieję, że zdobędą i utrzymają dla nas wysoką przełęcz i wybiorą miejsce na obóz dla głównej armii – odparł Czerwony Rycerz. – Jeśli nie, ta wyprawa okaże się bardzo niefortunna.

Ludzie zaczęli zadawać pytania i kapitan uniósł ręce, żeby ich uciszyć.

– Nie wasza sprawa, jeśli ubiłem interes z szatanem – rzekł oziębło. – Ważną sprawą jest przypuszczenie szturm na zamek na tych wyżynach. Słyszałem, że wrogie wojsko jest w odległości dnia marszu. Nie będzie oblężenia, ale mamy tylko jedną szansę. – Uśmiechnął się w szarzejącym świetle. – Jeśli przypomnicie sobie szkolenie, stwierdzicie, że przeciwicyliście wszystko co potrzeba.

Ludzie spojrzeli po sobie i zdali sobie sprawę, ile razy w ciągu ostatnich szesnastu tygodni szturmowali atrapy zamków.

– Jak otworzymy bramę? – zapytał hrabia Zak. – Za pomocą czarów?

Czerwony Rycerz wzruszył ramionami.

– Lepiej – powiedział. – Alchemią.

Ser Michael i Gawin przeciwicyli całą rzecz.

Dryg i Rozmyślny Mord czekali długi czas w coraz jaśniejszym świetle ze strzałami na łukach, obserwując ludzi na wieżach. Było tak zimno, że zamarały włoski w nosie – tak zimno, że strażnicy musieli energicznie się ruszać, żeby nie skostnieć na śmierć. Ale zmęczeni, zziębnięci ludzie mają tendencje do powtarzania swojego zachowania.

Ser Michael otworzył usta. Czerwony Rycerz pokręcił głową i zacisnął wargi.

Dwóch mistrzów łuczników w idealnej harmonii uniosło łuki i wszyscy inni zrobili to samo, po czym dwa tuziny strzał poleciały w krystalicznym powietrzu. Niektóre zagrzechotały o kamienie, ale niewiele chybiło.

Dwóch strażników zginęło.

Ser Gawin i Ser Michael chwycili coś, co przypominało brązowy dzwon, który pojawił się znikąd na ostatnim postoju, i zanieśli go do bocznej bramy zamku. Za nim podążyli wszyscy zbrojni, podczas gdy hrabia Zak, jego ludzie i łucznicy zsiadli z koni, czekając na skraju lasu.

Ser Michaelowi trzęsły się ręce, a w barkach i ramionach mrowiło go coś, co kojarzyło się ze słabością.

Śnieg chrzęścił pod jego trzewnikami, gdy zmuszał się do szybszego biegu.

Dwóch najsilniejszych ludzi podniosło brązowy dzwon i przyłożyło go otworem do okutych żelazem dębowych drzwi.

Zamigotała moc i brąz jakoś się połączył z żelazem bramy. Ser Gawin gwałtownie oderwał od niego ręce, jakby był zatruty. Michael odskoczył i o mało nie upadł, gdy zahaczył obcasem o łajno zamarzniete w odcisku podkowy; odzyskał równowagę, skręcając biodra, aż zagrzechotała zbroja.

– Uciekać! – syknął Czerwony Rycerz. – Tutaj, płasko plecami do ściany!

Dwudziestu zbrojnych przycisnęło się do drewnianej palisady za rogiem od bramy. Czerwony Rycerz poruszył ustami.

Zabrzmiał taki dźwięk, jakby się rozpętało piekło, i napłynął piekielny smród.

W tym, co wydawało się ciszą, Czerwony Rycerz machnął mieczem i popędził w kłęby cuchnącego dymu. Wszyscy pobiegli za nim.

Ser Michael był odpowiedzialny za główną bramę. Poprowadził sześciu zbrojnych przez zamarzniete dziedziniec i padł płasko na brzuch, gdy się pośliznął na lodzie. Harald Derkensun poderwał go na nogi i inni ich wyprzedzili. W wartowni spali ludzie, ale nie było straży. Zabili śpiących w łóżkach i Derkensun, który wiedział, gdzie co jest w wartowni, uruchomił mecha-



nizm. Zagrzechotały łańcuchy, gdy przeciwwagi podnosiły bronę i rozchyłały dwa wielkie skrzydła bramy...

Ser Milus śpieszył z zakutym w stal kapitanem do najniższych drzwi głównej sieni, która okazała się niczym więcej jak krytym przejściem łączącym wielką salę z koszarami.

– Nie zwracać na nich uwagi! – rzucił cicho kapitan i wbiegł przez zasłonięte kotarą drzwi do sali.

Tuzin ludzi spał na długich ławach i dwóch się obudziło.

Jeden krzyknął.

Kapitan biegł przez salę i zdawało się, że żaden z Traków go nie widzi. Rzucili się na Milusa i ser Gawina, i zaczęła się walka. Milus rozstawił stopy, machnął toporem bojowym. Trakowie się cofnęli, a ser Giorgios ominął walczących i pośpieszył za kapitanem z dwoma scholistami za plecami, jak zostali nauczeni.

Milus natarł na nieostrożnego Traka, który nie wiedział, jaki jest zasięg broni. Topór czysto ściał czubek jego czaszki i przerąbał rękę uniesioną dla obrony w ostatnim uderzeniu serca. Zostało mu jednak dość mózgu, żeby wrzeszczał ogłupiały z przerażenia, gdy odcięty kawałek spadł mu na kolana.

Zaskoczenie się skończyło.

Ser Giorgios biegł za kapitanem po skreconych jak korkociąg schodach wieży. Tracił dech, chociaż miał lżejszy pancerz niż Albanowie.

Ujrzeni czterech ludzi stłoczonych na podeście, wyłamujących mieczami drzwi na szczycie wieży.

Czerwony Rycerz położył jednego nim zaczęła się walka, stojąc trzy stopnie niżej i uderzając długim czerwonym mieczem w niczym niechronioną kostkę – zadał długie pchnięcie z przekręceniem ostrza. Mężczyzna wrzasnął, nie rozumiejąc, co go spotkało, zachwiał się i spadł ze schodów. Zginął na mieczach scholistów, prawie ich spychając. Jego śmierć dała pozostałym czas, by zdążyli się przygotować.

Czerwony Rycerz chrząknął z irytacją, przeskoczył trzy ostatnie stopnie, przyjmując dwa ciężkie ciosy – jeden w hełm i jeden w prawy naramiennik – po czym sztyletem trzymanym w lewej ręce wypruł wnętrzności bliższemu mężczyźnie.

Ser Giorgios był tak blisko za nim, że użył rannego jak tarczy, rzucił go na trzeciego strażnika na podeście i potem dźgał przez konającego, raz za razem,

aż jego przeciwnik zacharczał.

Scholiści rozprawili się z ostatnim, kiedy padł na kolana, błagając o łaskę. Czerwony Rycerz położył rękę w rękawicy na drzwiach.

– On tam jest – powiedział. – Wasza Cesarska Mość! – krzyknął. – Otwórz drzwi! To ratunek!

Ludzie wylęgający z koszar zaczęli formować szereg na oblodzonym dziedzińcu. Byli bez zbroi, ale z porządną kolekcją krótkich mieczy, ciężkich bułatów, szabel i konnych łuków. Oficer krzyknął, a wtedy unieśli tarcze i z ich gardeł popłynął tracki okrzyk wojenny.

Hrabia Zak wprowadził konnych przez już otwartą bramę. Strzały sypały się jak śnieg i dziedziniec, już błotnisty, zrobił się czerwono-brązowy. Garnizon nie miał dokąd uciec, nie miał zbroi ani nadziei na pokonanie dwudziestu jeźdźców.

Pozostali zbrojni pędzili do głównej sali, żeby pomóc Milusowi i ser Gawinowi, którzy jako jedyni toczyli poważną walkę. Wróg miał przewagę liczebną i obaj odnieśli rany. Walczyli samotnie przez czas, jakiego słońce potrzebowało na to, by wznieść się o jeden palec nad horyzontem.

Ser Michael miał jeszcze jeden obowiązek do wypełnienia – podjęty dobrowolnie. Zebrał swoich ludzi i pobiegł przez zlaną krwią dziedziniec do kuchni pod wschodnią wieżą. Drzwi nie były zamknięte. Jedna z kobiet wrzasnęła, gdy wpadli.

– Na ziemię! – krzyknął. – Nie zostaniecie zabici.

Czerwony Rycerz nie rozkazał mu oszczędzać kobiet i dzieci, ale Michael był świeżo po ślubie i miał własne pojęcie o wojnie.

Zanim ucichły ostatnie wrzaski, Czerwony Rycerz wyszedł na dziedziniec z Giorgiose i dwoma scholistami, którzy nieśli cesarza. Wszyscy na dziedzińcu padli na kolana, nawet łucznicy, co prawda przy pewnej pomocy.

Cesarz się uśmiechnął.

– Och, moi dzielni... – powiedział. – Oszczędźcie buntowników, proszę.

Położyli go na skleconych na miejscu końskich noszach.

Milus znalazł Czerwonego Rycerza z ser Michaelem.

– Mamy ich oszczędzić? – zapytał.

Czerwony Rycerz wyszczerzył zęby.

– Panie rycerzu, masz na udzie zdarty płat skóry wielkości naleśnika. – Ukląkł na śniegu i nacisnął ranę, o której ser Milus nawet nie wiedział. Ale tak, jeśli cesarz chce być miłośnierny, nie odwołam jego rozkazu.

– Kazałeś zabić wszystkich – powiedział oskarżycielsko ser Milus.

– Powiedziałem to, kiedy byliśmy w tragicznym położeniu – odrzekł Czerwony Rycerz, jakby mówił do głupka. – Teraz tylko się nam śpieszy. – Spojrzał gniewnie na Rozmyślnego Morda, który próbował niepostrzeżenie przełknąć do kuchni, i skinął głową do Michaela. – Ratowałeś kuchty? Dobra robota. Nawet o tym nie pomyślałem.

Dryg i dwóch innych łuczników podtrzymywał ser Milusa, a Długa Łapa obwiązywał mu udo czystym białym płótnem.

– Ominął kutasa – pocieszył go łucznik.

– Jeśli ich zwiążemy, za godzinę będą martwi w tym zimnie – zaznaczył ser Milus.

– Chętnie zaryzykuję – powiedział Czerwony Rycerz. – Przykro mi. Wiem, że wszyscy jesteście łagodnymi, idealnymi rycerzami na błędnej wyprawie, ale wolałbym nie widzieć dzisiaj ponownie tych dżentelmenów. Kiedy dotrze tutaj odsiecz Andronikusa, każdy z nich przemieni się w żadnego krwi szaleńca.

– Cesarz powiedział, żeby ich nie zabijać – przypomniał mu ser Michael. – Jeśli ich zwiążemy, kobiety po prostu ich rozwiążą. – Położył ręce na biodrach. – Nie pozwolę zabić kobiet.

Czerwony Rycerz przewrócił oczami.

– Nie zamierzałem ich zabijać, mój młody idealisto. Miałem nadzieję, że wymyślisz jakiś szlachetny, ale skuteczny sposób, żeby je chronić przed swoimi znakomitymi przyjaciółmi, jak obecny tutaj Rozmyślny Mord, który po prostu chce sobie trochę pogwałcić. – Wzruszył ramionami. – Dobrze. Zamknijcie wszystkich razem w piwnicach wieży i niech los się o nich zatroszczy. – Pochylił się. – Michaelu... udało nam się!

Michael pokiwał głową.

– Oczywiście – powiedział.

Czerwony Rycerz westchnął.

– Czasami mam wrażenie, że mnie nie docenicie – mruknął i poszedł umyć ręce z krwi.

Ojciec Arnaud śmiał się tak bardzo, że o mało nie upadł.

Odsiecz Demetriusza przybyła do nadmorskiego zamku Ermione sześć godzin później.

Jego zwiadowca wiedział, że się spóźnili, gdy tylko zobaczył zamek na horyzoncie, bez dymu wznoszącego się z kominów, ale nie pisnął słowa. Deme-

triusz był w morderczym nastroju i szukał kozłów ofiarnych po ostatniej dzikiej kłótni z ojcem, który został dziesięć lig za nimi z główną armią.

Wjechali na cichy dziedziniec i Dariusz poszedł sprawdzić wieżę, na wypadek gdyby strażnicy wykonali rozkazy i zdołali obronić komnatę albo zabili cesarza.

Wszyscy czterej strażnicy leżeli martwi na podeście – z pustymi sakiewkami, bez broni. Drzwi do komnaty cesarza stały otworem. Dariusz obszedł pokój, w którym przetrzymywano cesarza, patrząc na wszystko oczami człowieka, który analizuje to, co widzi. Zszedł do głównej sali, potem wyszedł za wieżę bramną.

W tym czasie wschodni wojownicy Demetriusza zabijali uratowanych więźniów, jednego po drugim. Demetriusz siedział na białym jak mleko koniu: piękny mężczyzna na wspaniałym wierzchowcu pośrodku dziedzińca zbryzganego błotem i krwią. Załoga garnizonu padła na kolana w krwawą breję, niektórzy po raz drugi, i błagała o łaskę. Tym razem biedacy nie znaleźli żadnej i wojownicy wystrzelali ich z zimną krwią.

Dariusz czekał, aż najgorsze się skończy, po czym ruszył przez dziedziniec.

– Sześćdziesięciu ludzi – oznajmił. – Wzięli zamek szturmem o świcie. Nie sądzę, żeby stracili bodaj jednego człowieka.

Demetriusz splunął.

– Pierdoleni głupcy – warknął. – Jeśli zabijemy ich wszystkich, będzie to nauką na przyszłość. – Splunął w krwawy śnieg. – Musimy ich ścigać. Stracimy wszystko, jeśli cesarz ucieknie.

Dariusz spojrział na Eskepilesa, ani trochę niewzruszonego tą masakrą.

– Panie, nie mamy przewagi liczebnej, a oni zyskali wiele godzin. Jeśli postanowią urządzić zasadzkę, na pewno w nią wpadniemy. Albo będziemy ich ścigać zbyt wolno, obawiając się zasadzki. Tak czy owak, pościg nie ma sensu.

Nie dodał, że na miejscu dowódcy wroga zostawiłby gdzieś w pobliżu drugą grupę z rozkazem wybicia pościgu. Ani że lord Andronikus pod koniec lutego wysłał w pole całą swoją armię, a jednak oddział wroga pozostał niewykryty.

Dariusz czuł coś w rodzaju podziwu dla Czerwonego Rycerza. Najwyraźniej czytali te same książki.

Demetriusz warknął.

Rozległy się krzyki. Kobięce krzyki.

Dariusz ścisnął piętami boki konia i ustawił go obok wierzchowca Demetriusza, aż zwierzęta zetknęły się głowami.

– Oszczędź kobiety – poprosił.

Demetriusz parsknął śmiechem.

– Och, nie umrą... – mruknął.

Eskepiles zaczerpnął tchu i pstryknął palcami. Koń zrzucił Demetriusza przez głowę w błoto dziedzińca.

Dariusz stwierdził, że ma rękę unieruchomioną za plecami.

Eskepiles cofnął konia.

– Nie będę brać w tym udziału – oznajmił. – Oszczędź kobiety i dzieci, bo inaczej, na mrocznych bogów, zabiję was obu na miejscu.

Dariusz się zastanawiał, dlaczego magister uznał, że opowiada się za gwałtem i mordem, ale był bezradny. I w przeciwieństwie do wielu innych bezradnych ludzi potrafił się rozluźnić.

Demetriusz skoczył na równe nogi.

– Mogłeś po prostu poprosić, czarowniku. Zamiast tego mnie upokorzyłeś.

– Uśmiechnął się. – Zobaczymy. Niech żyją, z nietkniętą cnotą. – Potarł biodro. – Cnota paru armijnych kobiet ocalona przez honor czarownika – powiedział. – Jesteście głupcami. – Zwrócił się do Dariusza. – Słyszałem, co mówiłeś, zwiadowco. Obawiam się...

Dariusz wzruszył ramionami. Od wyprawy na zachód w środku zimy jego założenia spotykał cios za ciosem. Już nie zakładał, że stoi po stronie, która ma słuszność, i był całkiem pewien, że ta strona zostanie pokonana. A strata cesarza...

Demetriusz przymrużył oczy.

– Nienawidzę przegrywać – powiedział. – Nie opuszczaj mnie, kapitanie. Jeszcze nie zostałem pokonany.

Dwadzieścia lig na południowy zachód od zamku, gdzie Demetriusz wyładował gniew na niedobitkach garnizonu, armia Czerwonego Rycerza rozbiła obóz. Wokół wysokiego czerwonego namiotu dowódcy rozciągało się przytulne obozowisko złożone z sześciuset namiotów okrytych krzakami i gałęziami. Śnieżyca późnej zimy zostawiła na nich trzy palce śniegu, co dodatkowo ociepliło namioty, ale zapotrzebowanie wojska na opał wypędziło wszystkich wieśniaków z pobliskiej wioski, ich domy odarto z każdego kawałka drewna albo rozebrano, ich cenne sęgi drewna zniknęły, jakby je pożarła ognista szarańcza.

Większość wieśniaków uciekła do sąsiedniej wioski. Najbiedniejsi zmarli z zimna.

Czerwony Rycerz stał przy obozowym stole wśród skupionych dokoła oficerów. Na zewnątrz panowało kłuszące zimno, bo w górach wciąż trwała zima, ale w namiocie, dzięki obecności piętnastu ludzi i pięciu koszy z węglami, było względnie ciepło. U szczytu stołu cesarz siedział na ciężkim dębowym krześle, które Rozmyślny Mord przyniósł z domu najbogatszego chłopca. Hrabia Zak klęczał u jego boku, trzymając talerz z pieczonym kurczakiem. Harald Derkensun z toporem na ramieniu stał przy prawym ramieniu cesarza, a ser Giorgios przy lewym. Ser Gawin i ser Michael stali przy swoim kapitanie; ser Jehan i ser Milus siedzieli na stołkach, a ser Bescanon towarzyszył ser Alison. Gelfred zajmował miejsce przy końcu stołu, trzymając lekki hełm pod pachą, i gorączkowo szeptał z ojcem Arnaudem.

– Teraz wiecie, dlaczego wielcy panowie potrzebują wielkich namiotów – zażartował Czerwony Rycerz.

Odpowiedział mu nerwowy śmiech. Moreańczycy mieli zranione miny.

– Panowie, dzięki szlachetnym wysiłkom Gelfreda, a także hrabiego Zaka i jego ludzi, zlokalizowaliśmy wrogów. Obsadzili silną grupą zamek w Ermione, a główna armia stacjonuje jakieś trzydzieści lig na północ, skoncentrowana w pobliżu Nemei. – Długim palcem wskazał położenie miast. Uśmiechnął się do wszystkich. – Niestety, siły byłego diuka znacznie przewyższają nasze, gdyż, jak się zdaje, dokonał cudu, werbując późną zimą.

Ser Jehan lekko pokręcił głową.

– Z drugiej strony – mówił Czerwony Rycerz – obecnie jest wśród nas osoba cesarza.

Wszyscy się uklonili. Moreańczycy padli na kolano.

Cesarz uśmiechnął się dobrotliwie.

– Dziękuję każdemu z was za ratunek – powiedział. – Gdybym miał sprawne nogi, ukląkłbym przed wami. Chciałbym, jeśli wolno, ucałować rękę każdego mężczyzny i każdej kobiety w tym obozie. – Pokiwał głową i łza załśniła mu w oku. – Ale, jak wiem, bylibyście tym wielce wstrząśnięci. Dlatego powiem, że moje ocalenie jest dziełem boskim, a z Bogiem za plecami nie widzę powodu, żeby nasz świecki miecz nie zatriumfował.

Czerwony Rycerz skrzywił twarz.

*Bóg jest po naszej stronie, Gabrielu.*

Harmodiusz śmiał się w jego głowie i ból narastał do epickich rozmiarów. Prawda wyglądała tak, że godziny wolności, jaką się cieszył pod nieobecność

czarnoksiężnika, nauczyły go, że musi jak najszybciej pozbyć się swojego gościa. Bez świadomej myśli spojrział na Morgana Mortimira stojącego za ser Alison.

*Proszę, Harmodiuszu, daj mi spokój.*

*A, teraz jesteśmy wrażliwi? – Harmodiusz się zaśmiał. Pracuję nad poważnym zadaniem. Z przyjemnością ci pokażę, co wykuwam...*

*Kurwa, stul pysk.*

Czerwony Rycerz skupił się na otoczeniu i zobaczył, że wszyscy na niego patrzą. Zmusił się, żeby życzliwie pokiwać głową i trzymać na wodzy rozdrażnienie spowodowane przez wtrącanie się cesarza. Wiedział, że złością niczego nie zyska.

Jednakże rycerskie zachowanie stawało się coraz trudniejsze, gdyż miał wrażenie, że skóra na skroniach zwisa z kości czaszki niczym luźne naramienniki, a na domiar złego jego gość nie szczędził uwag, które wyraźnie uważał za dowcipne.

Rana odniesiona w Boże Narodzenie, a w zasadzie dwie rany i powolne powracanie do zdrowia sprawiły, że był znacznie słabszy, niżby sobie życzył. Lewa ręka bolała go na zimnie, a prawa przez cały czas.

Wszystkie te myśli przemknęły mu przez głowę w mgnieniu oka.

– Jak zwykle – rzucił lekkim tonem – mam plan.

Starożytna cytadela Nemea górowała nad równinami i spoglądała przez płytką zatokę na plażę Ermione na południu. Czapy śniegu okrywały szczyty za Ermione, ale tu, na wybrzeżu, dzień był gorący i już kwitły kwiaty.

Andronikus siedział z podbródkiem na dłoni, dumając nad scenariuszami przyszłości. Jego syn i magister właśnie zjechali z głównego mostu miasta.

Andronikus uczestniczył w wielu kampaniach i z postawy mężczyzn jadących za synem poznał, że ponieśli porażkę i że cesarz jest wolny.

Westchnął. Zakręcił winem w złotym kubku. Ponuro się uśmiechnął do byłego Wielkiego Szambelana.

– Panie? – zapytał mężczyzna.

Kłęska nie umniejszyła jego służalczości, zauważył z rozbawieniem Andronikus. Ostrożnie pociągnął łyk wina.

– Założę się, że straciliśmy cesarza.

Wielki Szambelan się wzdrygnął.

Andronikus pokiwał głową.

– Nadszedł czas, jak sądzę, pchnąć posłańca do miasta i prosić o warunki.

Wielki Szambelan wiedział, że zapadł na niego wyrok śmierci. Andronikus był kuzynem cesarza, więc odzyska swoje włości; zostanie skarcony, ale ktoś będzie musiał zostać kozłem ofiarnym. W jego oczach pojawił się strach.

Andronikus pociągał kolejny starannie odmierzony łyk, kiedy zapowiedziano jego syna.

Demetriusz, imponujący w złoconej zbroi, padł na kolano.

– Uciekł – powiedział.

Za nim wszedł magister Eskepiles. Wyglądał gorzej niż zwykle: był bledszy, miał wielkie, ciemne worki pod oczami.

Andronikus rzadko kochał swojego syna tak bardzo, jak w tej chwili. Wyciągnął rękę.

– Wiem.

Demetriusz miał jasne oczy.

– Słuchaj, ojcze, musimy koronować cię na cesarza. Dzisiaj. Teraz. Ogłosić śmierć prawdziwego cesarza. I...

Andronikus się uśmiechnął.

– Nie.

Demetriusz pokręcił głową.

– Nie, posłuchaj! Ten Czerwony Rycerz popełnił głupi błąd, wszystkim bowiem, co ma, jest ciało cesarza. Ugrzązł w górach. My mamy całą siłę wiosennego zaciągu. Dopadniemy go, zniszczymy i zabijemy cesarza.

– Co powinniśmy zrobić na samym początku – wtrącił Eskepiles.

Andronikus pokręcił głową.

– Nie. Słuchajcie, przyjaciele. Chciałem obalić cesarza, żeby uratować cesarstwo. On jest... głupcem. – Powiódł po nich wzrokiem. – Ale jeśli poprowadzę zaciężnych, moją piechotę i stradiotów w doliny Morei na wojnę, kto wtedy będzie głupcem? Co zostawimy? Więcej trupów dla Etrusków, Zamu-rzan i Albanów. Rzucaliśmy kości i przegraliśmy. Głupiec znalazł sobie przyjaciół. Teraz jesteśmy wrogami naszego kraju.

– Irena nas zdradziła – powiedział Demetriusz.

Andronikus spojrzał mu w oczy z odrobiną dawnego ognia.

– Powinienem być bardziej nieufny wobec kobiety, która zgodziła się zdradzić własnego ojca.

Demetriusz wciąż klęczał u jego stóp.

– Nie jestem gotów się poddać.

Andronikus się uśmiechnął.

– Jesteś dzielnym młodym człowiekiem.



– Możemy wygrać! – krzyknął Demetriusz.

– Zgadza się, możesz wygrać bitwę. Na koniec zginie wiele setek naszych najlepszych ludzi. Podobny los spotka kompanię najemników i najlepszych strażników cesarza. I co? Irena wciąż będzie trzymała miasto. Wojna będzie trwała. Ale cesarstwo będzie słabło ze stratą każdego człowieka po obu stronach. – Andronikus znowu się napił. – Wina dla mojej rady. Ułożmy akt kapitulacji.

Eskepiles machnął ręką.

Demetriusz wciąż klęczał przy krześle diuka.

– Ojczy – powiedział i w jego głosie zabrzmiała nieczęsta błagalna nuta. – Ojczy!

Andronikus uśmiechnął się do niego.

– Nie poddamy się – oświadczył stanowczo Demetriusz.

Andronikus pokiwał głową.

– Ty, magister i Wielki Szambelan?

Demetriusz nagle się podniósł, górując nad ojcem w lśniącej złotej zbroi.

– Tak!

Andronikus pokiwał głową.

– W takim razie rozkazuję wam wsiąść na pokład statku – powiedział. Jego głos twardniał. – Ponieważ przed Bogiem jestem diukiem Tracji. I obozująca na polu armia jest mi posłuszna. – Dostrzegł ruch Wielkiego Szambelana. Ściągnął brwi. – Straż! – ryknął.

– Ojczy! – krzyknął Demetriusz. – Przestań i słuchaj!

Z pochwy na biodrze wyciągnął duży sztylet. Przez chwilę patrzył na niego jakby zmieszany.

Andronikus zamarł.

– Mój synu!

Demetriusz kręcił głową.

– Nie! – krzyknął.

Andronikus nie zostałby wodzem armii cesarstwa, gdyby nie umiał spoznać zagrożenia. Jego wzrok przesunął się na Wielkiego Szambelana, już ustawiającego się z boku, i na Eskepilesa, który stał w milczeniu przy drzwiach. Z jego laski snuły się dwie grube czarne nici, jedna do Wielkiego Szambelana, druga do Demetriusza.

Andronikus ani się nie wzdrygnął, ani nie odezwał. Wyciągnął swój sztylet i rzucił – w Eskepilesa.

Sztylet uderzył w niewidzialną tarczę i zniknął w snopie iskier.

Eskepiles się uśmiechnął.

Andronikus, który wstał, kiedy rzucał, teraz przesunął się w prawo, wciąż próbując wierzyć, że syn będzie go bronić.

Sztylet Demetriusza wniknął w jego lewy bok pod pachą. Andronikus czuł cios jak ukłucie, czuł rękojeść na jedwabiu koszuli.

Bez jednej myśli obrócił syna i wbił mu kciuk w prawe oko, choć wiedział, że już nie żyje. Tracił wzrok. Ale pragnienie walki i żądza mordu nadal były silne.

Sztylet uderzył go w serce.

Z ostatnią myślą puścił głowę syna.

– Mój...

Upadł na podłogę.

– Musimy natychmiast pozbyć się ciała.

Usłyszał słowa czarownika płynące jakby z dalekiego wzgórza. Pragnął usłyszeć coś od syna. Pragnął...

I odszedł.

Dzień po odbiciu cesarza przez ludzi Czerwonego Rycerza jeden z patroli Dariusza pochwyił dwóch wieśniaków, którzy donieśli o gwałcie i morderstwie na zachodnich wzgórzach. Dariusz stracił pół dnia, tropiąc doniesienia, i gdy wrócił, żeby się zameldować, nie zastał diuka i złożył raport Demetriuszowi. Oficer wyszedł z namiotu despoty i udał się do chana jego wschodnich wojowników.

Mężczyzna wzruszył ramionami i odwrócił wzrok.

Diuk Andronikus najwyraźniej już nie jechał z armią, którą zebrał. Kapitan Dariusz znał sporo osób z jego najbliższego otoczenia. W końcu zagadnął giermka ser Christosa, który wzruszył ramionami i potwierdził, że diuk nie opuścił Nemei. Wielu ludzi wiedziało, że diuk zniknął, i Dariusz pilnie nadstawiał ucha, ale niczego się nie dowiedział. Założył, że diuk się rozchorował i że jego chorobę trzyma się w tajemnicy, ale miał też mroczniejsze podejrzenia.

Przespał się parę godzin w zamku w Ermione, a potem poprowadził mocny patrol na zachód, w ślad za nieprzyjacielem. Z poczuciem satysfakcji znalazł miejsce, gdzie wróg się przyczaił w zasadzce.

Pokazał to miejsce swoim dwóm najlepszym ludziom. Przypominało kryjówkę jeleni, tyle że było znacznie większe – stratowany śnieg, małe ognisko, posterunek za ściśle splecionymi gałęziami i wałem śniegu.

Verki, jego najlepszy zwiadowca, pogrzebał kijem w popiele i odprawił małą magię.

– Dziesięć godzin. Może o ostatnim świetle? – Wzruszył ramionami; gest został wyolbrzymiony przez długą futrzaną pelerynę i grubo watowany kaftan pod zbroją.

Dariusz uniósł brew.

– Zobaczmy.

Podążył śladami zostawionymi przez konie nieprzyjaciela. Przyłożyli się, żeby je zatrzeć – zamiatali śnieg gałęziami, ale traf chciał, że od tamtej pory nie śnieżyło i w niektórych miejscach zostały wyraźne odciski podkutych kopyt, na śniegu leżało zamarznęte końskie łajno. Sześćdziesięciu jeźdźców nie oszczędzało wierzchowców, ale trudno jest się ukryć na tle zimowego pejzażu.

Dochodziło południe, kiedy wjechali na długie wzniesienie. Nad nimi byli konni, stoczyli z nimi krótką potyczkę – zginął koń, człowiek złamał kręgosłup, kiedy inny koń upadł, i trzeba było go dobić.

Dotarli na szczyt i spojrzeli w następną dolinę. Wróg odjechał.

– Znasz ten kraj? – zapytał Verki.

Dariusz pokręcił głową.

– Niezupełnie, ale tu polowałem.

Verki zmarszczył czoło.

– Coś jest nie w porządku – stwierdził.

Patrzył w dolinę. Blask słońca odbijał się od śniegu i raził w oczy, ale mogli zobaczyć, że niżej w dolinie śnieg taje i wzbierają strumienie.

Demetriusz dostrzegł wioskę chronioną przez zakole krętego potoku.

– Miasteczko – powiedział.

– Dym nie płynie z kominów – syknął Verki.

Przyglądając się dłużej dolinie, spostrzegli patrol wrogich jeźdźców, którzy jechali daleko w dole i przebyli strumień.

Dariusz owinał ranną lewą rękę i zaczął odczuwać chłód.

– Mamy sukinsynów. Jadą prosto od brodu. Spójrz na szczyt wzniesienia.  
– Verki uśmiechnął się dziko.

Nad szczytem wiła się cieniutka smużka dymu.

Dariusz pokiwał głową.

– Tam musi być ich obóz.

Verki pokręcił głową.

– Zasłonięty przez grzbiet. Ktoś wie, co robi.

– Zostaw tu posterunek. Weź dwóch zaufanych ludzi i rzuć okiem na ich obóz. – Dariusz oddychał z większą łatwością. Do tej pory wróg wydawał się duchem. Wciąż nie miał pojęcia, jak przeszli przez góry. Ale teraz wiedział, gdzie są, i lord Demetriusz ściągnie tu armię.

Gdy zawrócił konia i jechał na wschód, miał czas pomyśleć nad kilkoma problemami, z których nie najmniejszym było to, że nie wiedział, gdzie jest diuk Andronikus.

– Znalazłeś ich? – zapytał Demetriusz. Wyglądał tak, jakby nie spał od wielu dni.

– Wytropiliśmy patrol. Widzieliśmy dym z ich obozu. – Brzmiało to mało przekonująco.

Demetriusz gniewnie spojrzał na chana.

– Lepiej, niż sprawił się ktokolwiek inny. Chryste Pantokratorze, jeden z tych głupców wykoncypował, że przypłynęli morzem!

Dariusz pochylił się nad prymitywną mapą.

– Utknął w górach, dokładnie tak, jak sugerowałeś, panie, i za kilka dni skończy mu się żywność. Tamtejsze wioski nie wykarmią armii. – Dariusz wzruszył ramionami. – Sądzę, że być może nawet nie będziemy musieli walczyć.

– Mówisz jak mój ojciec – syknął despota.

Dariusz się wzdrygnął – komentarz był dziwny i dość nietypowy.

Demetriusz spojrzał na czarnoksiężnika Eskepilesa. I na byłego Wielkiego Szambelana. Eskepiles pokiwał głową. Bardzo cicho powiedział:

– Jak już mówiłem, musimy zabić cesarza. Później musimy urządzić wszystko tak, żeby wyglądało, że wróg go zabił w desperacji. Zajmę się tym ostatnim. Ale należy go zabić i w tym celu musimy zaatakować. – Wzruszył ramionami. – Jeśli cesarz umknie przez góry...

Demetriusz się roześmiał.

– Przez Penulty? Pod koniec zimy? – Pokręcił głową. – Ptak by umarł.

Dariusz, od dzieciństwa polujący w Penultach, miał odmienne zdanie.

– Panie...

Demetriusz uniósł rękę.

– Nie jestem zainteresowany twoim gderaniem. Nie jestem zainteresowany czajeniem się w śniegu i czekaniem, aż zaczną umierać z głodu. Albo, co gorsza, złożą broń, wskutek czego będziemy mieć tabuny świadków.

Eskepiles się uśmiechnął.

– Tym można by się zająć.

Demetriusz milczał. Jego wzrok stwardniał.

– Czarnoksiężniku, rozumiem, że jesteś mi potrzebny. Ale uważaj. Kiedy to się skończy, musimy przejąć władzę nad cesarstwem. Jeśli zmasakruje gwardię, kto niby będzie mnie chronić, kiedy zostanę cesarzem?

– Chcesz powiedzieć: kto będzie chronić twojego ojca – odezwał się ostrożnie Dariusz.

– Mój ojciec... hm... odłączył od armii – powiedział Demetriusz. – Stracił zainteresowanie tym podbojem i ma zamiar wstąpić do klasztoru.

Z jakiegoś powodu to Eskepiles, nie Demetriusz odwrócił wzrok.

Dariusz ściągnął usta i pokiwał głową.

– Rozumiem.

Ser Christos poprowadził jazdę. Każdy tracki stradiota miał dwa konie i w szybkim tempie posuwali się po śniegu, jadąc szlakiem przetartym przez zwiadowców. Demetriusz jechał w drugiej dywizji ze wszystkimi piechurami swojego ojca, a ser Stefanos zamykał tyły z silnym oddziałem złożonym z trackich wieśniaków uzbrojonych w topory, kuszników z posiadłości wokół Loniki i ze wschodniej najemnej jazdy.

Przebycie odległości, na której pokonanie zwiadowcy potrzebowali całego dnia, zajęło im tylko cztery godziny. Spiesznie rozbili obóz u stóp wielkiego grzbietu i skontaktowali się z pikietą Verkiego wystawioną na szczycie. Zebraли drewno w lesie i rozpalili ogniska, osłonięte przez gromadę zmarzniętych strażników i wysoką, zasypaną śniegiem górę.

Przed brzaskiem Verki poprowadził armię na zaśnieżone zbocze. Księżycowa poświata na śniegu sprawiała, że droga, jeśli tak można to nazwać, przypominała czarną szczelinę zamarznętego błota na białym pustkowiu, ale posuwali się dość szybko. W ostatnim szarym świetle przed świtem dostrzegli linię nieruchomych wartowników w czerwonych tabardach, jasne mruganie czterdziestu ognisk i dym snujący się ku niebu. Czuli jego zapach. Widzieli okazały czerwony namiot pośrodku obozu i czterdzieści wozów wrogięgo taboru tworzących drewniany fort.

Dariusz uważał, że plan jest pochopny, i wcale się z tym nie krył, i teraz ze zdumieniem patrzył, jak Demetriusz wydaje rozkazy swoim ludziom.

Eskepiles na prośbę młodego dowódcy wysłał w niebo małą syczącą kulę ognia.

Trakowie wrzasnęli jak potwory z Dżicy. Weterani diuka Andronikusa

szybko ruszyli, śpiewając hymn. Kawaleria osłaniała flanki.

Na wschodzie, nad morzem, słońce wyłoniło się spod horyzontu, ale tutaj w górach widać było tylko pomarańczowe i różowe smugi nad szczytami. Szli, brnąc ociężale w głębokim śniegu.

Ktoś wrzasnął – krzyk człowieka w rozdzierającym duszę bólu.

Padł koń.

Nieprzyjacielscy wartownicy ani się nie poruszyli, ani nie wołali na alarm.

Padł następny człowiek. Stało się to tak blisko, że Dariusz widział, jak dół się otwiera pod nogami, jak mężczyzna spada i nadziewa się na pale. Śnieżna pułapka.

Dariusz zwolnił kroku.

Był to piękny obóz i wzięli go w nienaruszonym stanie. Zagarnęli zapasy drewna i ogniska, które musiały być ogromne, ponieważ wypaliły się do węgla, a wciąż dawały dużo ciepła. Zajęli wozy – czterdzieści pięknych wozów, niektóre z prowiantem, inne pełne pożytecznych rzeczy, łącznie z przenośną kuźnią płatnerza.

Był tam tuzin beczek wina i żołnierze je otworzyli, zanim oficerowie zdążyli interweniować.

Nastąpił błysk i trzask, jakby piorun uderzył w środek obozu.

Widziano, że Eskepiles pośpieszył w tamtą stronę.

Dariusz znalazł Verkiego, który patrzył, jak umiera jeden z jego zwiadowców. Mężczyzna pił wino i nagle stało się jasne, że było zatrute. Bębnił piętami po ubitym śniegu i wymiotował krwią, która sączyła się również z innych otworów jego ciała.

– Skurwysyny – zaklął Verki.

– Jak dawno temu odeszli? – zapytał Dariusz.

Verki miał żalowaną minę.

– Co najmniej dwa dni temu – odparł. – Patrol, z którym się starliśmy, musiał doglądać ognia.

Pokonywali wyjątkowo ciężki odcinek i Nordykanie musieli odgarniać śnieg szuflami, żeby ktokolwiek mógł przejechać, kiedy Czerwony Rycerz zeszywniał w siodle.

*Ha. Harmodiusz triumfował.*

*Twój mały prezent?*

*Będzie wiedział, że to te same czary, których użył w amuletach.*

*Więc teraz wie, że mamy Kronmira?*

*Będzie wściekły jak wszyscy diabli.*

*Co się stanie, jeśli zawróci? Może okrężną drogą pomaszerować z powrotem do Loniki tak szybko, jak my możemy iść przez góry, a może nawet szybciej.*

*W wygodnie urządzonej sypialni pałacu pamięci Czerwonego Rycerza było ciepło. Harmodiusz siedział z nogami na poręczy wielkiego fotela. Uniósł kubek parującego wina.*

*Nie. Poczuję się dotknięty do żywego. Pociągnie za tobą.*

*Czy inni widzą we mnie taką samą arogancję?*

*Harmodiusz wzruszył ramionami.*

*Powiniem przestać. Sprawiasz wrażenie tak zadowolonego z siebie, że nie obchodzi mnie, czy wygramy – po prostu chcę, żebyś się mylił.*

*Harmodiusz pokiwał głową.*

*Mogę ci okazać moje najlepsze dzieło? – zapytał.*

*Wizerunek młodego kapitana uprzejmie skinął głową. Znaleźli się w eterycznym warsztacie, będącym odzwierciedleniem kilku warsztatów znanych Gabrielowi Murienowi. Pod ścianą stał stół, zwyczajny drewniany stół pełen narzędzi, a na każdym z nich płonęła pieczęć.*

*Na ławie leżał miecz.*

*Co to? – zapytał kapitan, walcząc z nasilającym się bólem głowy.*

*Okrutny Miecz, odparł Harmodiusz.*

*Dla mnie? – zapytał kapitan. Nagle się przestraszył.*

*Harmodiusz się roześmiał. Był to straszny, przerażający śmiech.*

*Ależ nie, mój chłopcze. Nie jestem aż tak niewdzięczny.*

*Podniósł oręż i machnął nim w powietrzu jak chłopiec swoim nowym mieczem.*

*Jest dla mnie.*

Mag straciła swoje wozy. Brakowało jej wygody i zwierząt pociągowych, ale nade wszystko chciała mieć znowu suche, ciepłe stopy. Na wozie, nawet w zacinającym śniegu czy lodowatym deszczu, stopy są ochronione przed wilgocią. Wjeżdżanie na górską przełęcz na krnąbrnym osle to zupełnie inna historia.

John le Bailli był gdzieś spory kawałek z przodu. W wysokich, stromych górach cała armia rozciągnęła się w szereg długi na ponad sześć mil. Przekroczyli linię śniegu, co w pewien sposób ułatwiło jej życie, bo ziemia była zamrznięta, ale traciła czucie w palcach stóp. Miała pięćdziesiąt jeden lat i dla

niej coś, co się zaczęło jak wielka przygoda, przemieniło się w straszną próbę wytrzymałości.

W południe dotarli do strumienia, a raczej czegoś, co w innej porze roku mogło być suchym łożyskiem albo małą strużką.

Pierwszego marca potok miał szerokość dwudziestu stóp i rwał tak szybko, że po dnie toczyły się małe kamienie. Przemknęło całe drzewo, podskoczyło, uderzyło w głaz z głośnym trzaskiem i popłynęło dalej.

Kolumna zbiła się w gromadę na płaskim brzegu. Coraz bardziej zdesperowani mężczyźni i kobiety próbowali w najrozmaitsze sposoby rozgrzewać stopy. A przecież dzień nie był zimny.

Czerwony Rycerz przeprowadził większość konnych w tradycyjny sposób, z linami i końmi. Dwóch ludzi wpadło do wody, ale na drugim brzegu już płonęły dwa wielkie ogniska i grupy ludzi ratowały przemoczone, zziębnięte ofiary.

Mag nawet nie przystanęła, żeby dowieść swoich racji. Przerzuciła trzy lodowe mosty – jeden pełniący rolę tamy, a dwa pozostałe z wysokimi przesłami i mocnymi filarami.

Kaprale i weterani zaczęli wykrzykiwać rozkazy. Wszyscy widzieli drzewa niesione przez nurt.

– Mogę dać ci konia – zaproponował Czerwony Rycerz.

Podszedł do niej, gdy patrzyła na przeprawiające się kobiety.

– Możesz dać konia każdej z nich? – zapytała.

Ściągnął wargi.

– Tak – odparł. – Lodowy most to ładna sztuczka. Muszę się jej później nauczyć. Moje marnują zbyt wiele *ops*.

Spojrzała mu w oczy.

– Naprawdę masz plan?

Wzruszył ramionami. W pełnej zbroi, w dwóch obszernych pelerynach spowijających go jak wełniana pochwa, wyglądał niczym olbrzym. Ruch ramion ledwie o cal uniósł wspaniałą złotą broszę na tym prawym.

– Mój plan diabli wzięli, kiedy Andronikus wyprawił w pole pięć tysięcy ludzi w środku zimy. Tego się nie spodziewałem. To jest mój... hm... trzeci plan awaryjny. – Na chwilę zniknęła jego obojętna mina. – Prawdopodobnie byłem głupcem, porywając się na niego tej zimy. Ale pan Smith powiedział, że musimy się śpieszyć. I Kronmir mówi, że będą chcieli zabić cesarza.

Mag pokręciła głową. Ludzie na nich patrzyli.

– Jeszcze jeden dzień, a możemy zacząć tracić ludzi. Niektórzy ze scholi-



stów nie przywykli do takiego życia i kończy się pasza dla koni. Mamy na mułach prowiant i obrok na jeden dzień...

– ...a potem zjemy muły. Wiem.

Ale dotrzymał słowa i na następnym przystanku każda kobieta wsiadła na zapasowego konia, łącznie z Kaitlin de Towbray, która dzielnie szła z pęczającym brzuchem przez całą drogę po wschodniej stronie gór.

Nie zatrzymali się do zmroku.

Widziano, że Czerwony Rycerz odbył pośpieszną naradę z ser Gelfredem. Zapłonęły ogniska i uwarzono strawę – a raczej zjedzono prowiant na zimno, popijając ogromnymi ilościami gorącej herbaty albo tylko gorącej wody. I znowu pomaszerowali.

Zaraz po opuszczeniu ognisk ruszyli na dół. Przez trzy dni wchodzili i schodzili, pokonując kolejne pasma, ale byli coraz niżej i lodowy szlak, oczyszczony przez wyczerpanych Nordykanów, najpierw stał się szlakiem pociętym koleinami, a potem zasłaną śniegiem kamienną drogą.

Godzinę przed świtem, kiedy Mag czuła się jak mieszanina poskrzypujących stawów, nerwów, braku jedzenia i niewyspania, skręcili na boczną grań odchodzącą od zbrocza – i każdy, kto się tam znalazł, ze świstem wciągał powietrze.

Po prawej stronie ziała przepaść. Droga biegła po ogromnych kamiennych łukach i przyporach, schodząc w dół jak wodospad zamarznięty w skałę. Urwisko miało pół tysiąca stóp wysokości i strumień na dnie płynął tak daleko, że w ciemności słychać było tylko echo szumu niosącej lód wody.

Urwisko robiło wrażenie, ale to widok świateł, mrugających w dali niczym leśne duszki, był przyczyną okrzyków. Gdzieś – gdzieś w zasięgu było światło i ciepło.

Eskepiles spojrzął na kikuty filarów lodowego mostu i zaklął.

– Jaki jest silny? – zapytał głośno. Po małym rytuale gromadzenia mocy zbudował jeden most.

Demetriusz wskazał mieczem.

– On zrobił trzy – powiedział.

– Muszę oszczędzać moją moc – wyjaśnił Eskepiles. – Jeśli on trwoni swoją, tym lepiej.

Miasto nazywało się Amfipolis i jego bramy zostały wzięte szturmem. Weterani kompanii ani nie ostrzegli mieszkańców, ani nie wystosowali formalne-

go wezwania do kapitulacji – nikt w mieście nie miał pojęcia, że wroga armia jest nad nimi w górach. Weterani przed wschodem słońca przystawili drabiny do niskiego muru kurtynowego, jak kiedyś w Arles. Pięćdziesięciu trackich żołnierzy zginęło bardzo szybko po niewłaściwej stronie głównej bramy; zostali zaskoczeni, przyparci do muru i unicestwieni. Ser Jehan nie zawracał sobie głowy braniem jeńców.

Ojciec Arnaud i Gelfred siedzieli na koniach na głównym placu i krzyczeli do Czerwonego Rycerza, aż dołączył do nich cesarz i razem z setką zbrojnych poprowadził ich, żeby usunąć z ulic łuczników – zwycięskich łuczników.

– Jeśli pozwolisz zniszczyć miasto, to będzie znaczyło, że nie jesteś rycerzem – powiedział ojciec Arnaud.

Czerwony Rycerz pochylił się w siodle i zwymiotował na śnieg.

– Jest pijany?! – krzyknął Arnaud.

Toby pokręcił głową.

Ser Michael chwycił uzdę wierzchowca księdza.

– Jest zmęczony. I, wybacz, padre, to wojna.

– W Dziczy nie prowadzimy takich wojen – zauważył ojciec Arnaud.

– W Dziczy nie ma srebrnych kandelabrow i urodziwych dziewcząt – mruknął Czerwony Rycerz. – Pal diabli ciebie i twoją moralną pewność. Nie jesteśmy, kurwa, paladynami. Jesteśmy żołnierzami i to miasto jest wrogim miastem, które wzięliśmy szturmem. Ludzie są zmarznięci i wyczerpani i godzinę temu niemal stracili nadzieję, że kiedyś się rozgrzeją.

Wskazał Johna le Bailli, który wyważył drzwi i wraz z trzema zbrojnymi wypędził przerażoną rodzinę i służbę na śnieg. Tuzin kompanijnych kobiet zajął pusty dom.

Gdy obserwowali ten dramat, ser Bescanon wywlókł Rozmyślnego Morda z innego budynku, a ludzie ze skórzanymi wiaderkami próbowali ugasić wzniecony przez niego pożar.

– To bezsensowne. Skoro nie mogę odwołać się do Boga, apeluję do twoich podstawowych ludzkich uczuć – powiedział ojciec Arnaud.

– Kto mówi, że mam ludzkie uczucia? – krzyknął Czerwony Rycerz w twarz kapłana. – Chcesz, żebym ocalił świat, a nie chcesz śmierci niewinnych? To tak nie działa. Wojna zabija. A teraz z drogi, bo muszę zaplanować jutrzejsze okrucieństwa!

Toby zaczekał, aż jego pan zniknie w domu byłego burmistrza.

– Niezbyt dobrze sobie radzi – powiedział. – Jest chory i zmartwiony. Na

wypadek gdyby ksiądz nie wiedział. Jestem pewien, że okaże się ksiądz pomocny. – Wzruszył ramionami, porwał jabłko z kosza przemykającego szabrownika i ugryzł kawałek. Pośpieszył za swoim panem do domu.

Po ciepłej nocy i zjedzeniu ogromnej ilości skradzionego jedzenia armia wymaszerowała o brzasku.

Mieszkańcy miasta ogołoconego z zapasów, jucznych zwierząt i zboża patrzyli za nimi w ponurym milczeniu. Nawet obecność cesarza nie mogła ich zmusić do okazania radości.

– Jeśli kiedyś będziesz władać Tracją, to miasto będzie należało do ciebie – powiedział ojciec Arnaud, gdy jechali na zachód.

– Wtedy zrobię dla nich coś miłego. Ojcze, zdaję sobie sprawę, że jesteś dobrym człowiekiem, i wbrew pozorom lubię myśleć o sobie jako o dobrym człowieku. Szczerze mówiąc, szcycę się tym. Jesteśmy, jeśli mi wybaczysz, w sytuacji, której nie można rozwiązać za pomocą modlitwy czy szlachetnej kawaleryjskiej szarży. Dlatego, czy mógłbyś zostawić mnie w spokoju?

Ojciec Arnaud uśmiechnął się dziko.

– Nigdy, Gabrielu. Nigdy, ale to nigdy nie zostawię cię w spokoju.

Czerwony Rycerz przyłożył rękę do głowy, w której dudniło tak, jakby spędził kilka nocy na pijaństwie.

Armia maszerowała na zachód tak szybko, jak szybko mogło maszerować dwa tysiące zmęczonych żołnierzy, ich kobiet i jucznych.

– Przysięgałeś, że nie przeprowisz się przez Penulty – rzekł cicho Eskepiles.

Demetriusz patrzył na leżące w dole miasto.

– A teraz jego armia jest pomiędzy nami i Loniką – mówił Eskepiles. – Jak silny jest garnizon w stolicy?

Demetriusz przygryzł kciuk. Pracował nad odciskiem, zgryzając skórę i żując kawałki.

– Sukinsyn – mruknął.

– Musimy go dopaść na równinach – powiedział Dariusz. – Droga będzie czysta i dobra.

Ser Christos pokręcił głową w hełmie.

– Tracimy ludzi.

– On też – zaznaczył Demetriusz.

Złapali tuzin miejskich stradiotów, którzy od razu się poddali. Już mieli ponad setkę maruderów.

Ser Christos wypuścił powietrze w długim, chrapliwym wydechu, ale nic nie powiedział.

– Sztandar naprzód – rozkazał Demetriusz. – Zwiadowcy w drogę. Za nimi wszyscy wschodni wojownicy. Przemieńmy życie uzurpatora w piekło.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY



### **Harndon – królowa**

Cztery dni po Bożym Narodzeniu trzy statki zawinęły do harndońskiego portu. Na pokładzie jednego z nich przyplłynął ser Gerald Random, który przywiózł moreańskie futra na sprzedaż, minus ustępstwa na rzecz etruskich kupców, a także piętnaście ton miodu z Dzikicy. Etruskie banki w mieście, które trzymały w skrzyniach kilka tysięcy lampartów w pożyczkach – niektórzy zwali to spekulowaniem – i handlu pewnymi luksusowymi towarami, szybko zmieniły terminy płatności.

Ser Geralda widziano w pałacu, gdy składał na ręce króla obfitość futer, miodu i złota.

Na wielkim placu w Smithfield za zachodnią bramą miasta robotnicy zaczęli budować rusztowanie trybun na największy w dziejach turniej. Ładunki drewna przyływały rzeką, wielkie pnie ścinane na skraju Dzikiej i spławiane Albina.

Futra ser Geralda zostały sprzedane za dobrą cenę w srebrze – wiele trafiło do etruskich kupców w Harndonie, płacących więcej, choć niewątpliwie z możliwością odbicia sobie kosztów na klientach. Potok srebra był stały i tak jak pierwsze ciepło wiosny topi śniegi i rozmraża skute lodem strumienie, tak srebro spływało do nowej mennicy królewskiej, którą cechowało uderzające podobieństwo do warsztatów mistrza Pyle’a.

Matryce były gotowe i Edmund zaczął bić krążki srebra, gdy tylko dotarła do niego pierwsza dostawa. Za bramą mistrza Pyle’a stała na straży pełna kompania wyszkolonych harndończyków, obecnie mniej dumnych w swoich półpancerzach niż w bożonarodzeniową noc. Utrzymywanie stu uczniów i czeladników bez zajęcia, żeby mogli zimą bawić się w żołnierzy, było kosztowne, a dla nich samych nudne i zimne.

Ale nie doszło do żadnych ataków na wykluwającą się mennicę, z której zaczęły wypływać srebrne monety.

Gdy tylko worki monet pojawiły się na placach targowych, zmieniły charakter handlu. Monety były solidne. Były ciężkie.

Miały wysoką zawartość srebra.

Król nie podzielał triumfu mistrza Ailwina, gdyż ani go nie rozumiał, ani tak naprawdę nie szanował. Zauważył jednak zmianę na twarzach swoich najbliższych doradców i z zadowoleniem usłyszał, że głosowali za przydzieleniem mu funduszy na turniej w dniu pierwszego maja.

Jeśli nowy biskup Loriki słuchał tego z kwaśną miną i nazywał całe przedsięwzięcie lichwą, króla było stać na to, żeby go zignorować.

Ale jeśli król odniósł zwycięstwo w Cheapside, to w pałacu był mniej optymistyczny. Miesiące po Bożym Narodzeniu mijały królowej na drobnych porażkach, gdy jej brzuch się zaokrąglął, a król stawał się coraz bardziej obojętny. Galahad d’Acre został aresztowany i wtrącony do wieży, chociaż chyba nikt go nie podejrzewał o zamordowanie lady Emmoty. Inny giermek króla po prostu zniknął. Niektórzy powiadali, że został zamordowany, inni, że ruszył do włości ojca, bojąc się o życie i dobre imię.

Lawina oszczerstw przyśpieszyła i królowa zaczęła na poważnie podejrzewać, że być może ma rywalkę, że król wziął sobie metresę. Takie rzeczy się zdarzały, a jej obowiązek polegał na ignorowaniu zachowania małżonka.

Jednakże akceptowanie rywalki nie leżało w jej charakterze, podobnie jak przyzwalanie na misterium pasyjne o nierządnicę babilońskiej wykonane pod jej oknem przy wtórze głośnego śmiechu Jeana de Vrailly'ego. I króla. I sieur de Rohana, który wynajął etruskich aktorów z polotem mówiących i śpiewających to, co powinno zostać przemilczane.

Lady Almspend spędzała dni na ćwiczeniu małych aktów hermetycznych i czytaniu papierów poprzedniego króla, a także zapisków jego mistrza hermetyzmu i kilku ministrów. Uznała lekturę za fascynującą i sporządzała notatki, podczas gdy jej pani krążyła po komnacie, a Diota niepotrzebnie sprzątała i czyściła.

Osiem tygodni po Nowym Roku Dezyderata siedziała przy stole zastawionym przez Rebecę stosami zapleśniałych dokumentów i czystych nowych notatek. Od niechcenia podniosła arkusz nowego welinu, leniwie się zastanawiając, ile owiec poniosło śmierć, żeby zapewnić jej możliwość prowadzenia korespondencji.

*Drogi Renaudzie*, napisała. Renaud był jej bratem, mieszkającym setki lig na południe od Harndonu, w Oksytanii.

Spojrzała na te słowa i rozważyła wszystkie argumenty, jakie wysunęła, kiedy przyjęła oświadczenia króla Alby. I odpowiedź brata. Jego gniew. Jego pragnienie konfliktu.

Zwracanie się do Renauda o pomoc byłoby nieodwołalne w skutkach.

Patrzyła na słowa na pergaminie, wyobrażając sobie, jak jej szlachetny brat zbiera swoich rycerzy i prowadzi ich na północ. Wyobrażając sobie, jak opuszcza swoje zachodnie góry, zostawiając je bez ochrony przed smokami, wiwernami i jeszcze gorszymi stworami, które je atakowały.

Wyobrażając sobie, jak Renaud walczy z jej mężem.

Przygryzała końcówkę pióra.

– Co powiedzą ludzie, gdy będziesz miała atrament na ustach? – zapytała Diota.

– Mam brzuch wielki jak dom, kobieto. Nikt nie będzie mi się przyglądać.

Dezyderata nie była zachwycona swoim odmiennym stanem. Wszystko ją bolało, dokuczały jej poranne mdłości, zawsze miała pełen pęcherz i, najgorsze ze wszystkiego, traciła względy rycerzy na dworze. Nie patrzyli na nią. Szepty były złe, ale utrata uwielbienia przypominała tortury.

Rozmyślała o turnieju. Temat ją męczył. Od samego początku był to jej pomysł i teraz...

Być może teraz kochanka króla zostanie Królową Miłości, a ona będzie

tylko królową. Grubą, brzemienną królową, którą mąż podejrzewał o niewyobrażalną zdradę i, jak się zdaje, był skory do zbywania tego śmiechem.

Formułowała myśl, że mogłaby zaprosić brata na turniej, gdy jeden z zakurzonych pergaminów Rebecki przyciągnął jej oko.

Odruchowo przebiegła wzrokiem po gotyckim piśmie. Nie miała talentu Rebecki, ale mimo to już rozpoznawała charakter pisma różnych głównych graczy. Ten należał do niesławnego zdrajcy Plangere'a.

Słowo „gwałt” przykuło jej uwagę.

Zakrzuszyła się wstrząśnięta tym, co przeczytała, zamknęła oczy i żółć podeszła jej do gardła. Pochyliła się i oparła głowę na stole.

Drzwi komnaty się otworzyły. Usłyszała lekkie kroki Almspend i jej oddech.

– Och...

Królowa się wyprostowała.

Głębokie oczy Rebecki zasnuwała troska.

– Głupia jestem – powiedziała. – Nie powinnam zostawiać tego na wierzchu.

Królowa patrzyła na nią bez słowa.

– Nie mogłabym tego zniszczyć, ponieważ to historia – dodała Almspend.

– Mój mąż... – szepnęła królowa. Miała kłopoty z zaczerpnięciem tchu. – Mój mąż... – powtórzyła.

– Pani, to się zdarzyło przed laty. Bez wątpienia odprawił pokutę i pogodził się z Bogiem. – Almspend mocno zaciskała rękę.

Ale świat królowej – jej pojęcie o tym, kim jest ona i kim jest król – legł w gruzach niczym tama pod naporem górskiej rzeki podczas wiosennych roztopów. Próbowwała oddychać.

– Mój mąż król – wychrypiała. Jej palce znalazły pergamin. – Zgwałcił rodzoną siostrę, a ona go przeklęła. Mój Boże, Boże...

Almspend wzięła dokument i wygładziła go.

– Tak – potwierdziła. – Jeszcze nie był królem – dodała. – Był całkiem młody. – Spojrzała na królową i spróbowała innego podejścia. – Tak napisał Plangere, a przecież to zdrajca. – Spojrzała na datę notatki.

Królowa położyła rękę na piersi i usiadła prosto. Walczyła o oddech. Ręce jej zmarzły. Poczowała kopnięcie dziecka i krzyknęła. Almspend przyłożyła dłoń do jej czoła.

Królowa na nią spojrzała i szeroko otworzyła oczy, gdy coś sobie uświadomiła – ta chwila w Lissen Carak, kiedy... I znowu krzyknęła jakby z wielkim



bólem.

– Oczywiście! Czerwony Rycerz jest jego synem.

Armia imperialna – tak Czerwony Rycerz nazwał swoje wojsko – przybyła na równiny Beocji, gdy roztopiły się ostatnie śniegi w cienistych zakątkach schludnie porozdzielanych murkami pól. Jednak zamrożony grunt wciąż był twardy jak żelazo i dzwonił pod końskimi kopytami.

Wjechali na żyzne ziemie dzień przed nieprzyjacielem i maszerowali na północny zachód starożytną kamienną drogą.

Miasto Eavey – przez żołnierzy zwane Eves – otworzyło przed nimi bramy. Wyglądało to niezwykle na cud; zajęcie Amfipolis zrobiło swoje. Tym razem cesarz przybył we własnej osobie, pięknie odziany w podbite futrem szkarłatne i purpurowe jedwabie. Miał małą złotą koronę na okazałej futrzanej czapie.

Kiedy bramy się otworzyły, ludzie wylegli z domów, żeby go powitać, i stało się jasne, że żołnierze nie zamierzają z nimi walczyć.

Czerwony Rycerz pojechał prosto do rezydencji diuka – jednego z pałaców Andronikusa, okazałego zamku z czterdziestoma komnatami, wielką salą, przepięknymi meblami i starożytnymi rzeźbami. Szambelan go przyjął i zakwaterował armię w zamku.

Kapitan wezwał ojca Arnauda.

Ksiądz przyszedł.

Megas Ducas siedział z cesarzem; cesarz jadł kolację, a Czerwony Rycerz mu usługiwał. Ojciec Arnaud cierpliwie czekał na przywołanie, gdyż przestudiował moreańską etykietę i miał pewne pojęcie, co wolno, a czego nie.

Cesarz posilał się tak, jakby nikt na niego nie patrzył, i uprzejmie rozmawiał z hrabią Zakiem, który nalewał mu wino, i ser Giorgiose, który trzymał serwetkę, i Haraldem Derkensunem, który stał z toporem na ramieniu. Byli tam słudzy, prawdziwi słudzy, a nad każdym z nich czuwał wysoko urodzony pan ze scholi, obserwując ich jak kot obserwuje mysz.

Czerwony Rycerz odwrócił głowę, pochwycił spojrzenie ojca Arnauda i mrugnął.

Ojciec Arnaud był zaskoczony, ale też zadowolony.

Cesarz rozmawiał o pogodzie i pewnych różnicach pomiędzy praktykami religijnymi w Albie i cesarstwie. Ojciec Arnaud z zaskoczeniem usłyszał, że Czerwony Rycerz jest dobrze zaznajomiony z albańskim obrządkiem.

W końcu cesarz zjadł coś bardzo słodkiego i lepkiego i uniósł rękę po ser-

wetkę. Z uśmiechem spojrzął na ojca Arnauda.

– Ach, walczący kapłan. Proszę, dołącz do nas.

Ojciec Arnaud podszedł i zgiął się w głębokim ukłonie.

– Cesarz jest zadowolony, że objąłeś komendę nad oddziałem pasowanych rycerzy, żeby dopilnować porządku w mieście – powiedział Czerwony Rycerz.

Ojciec Arnaud pokiwał głową.

– Zamierzamy utrzymać te mury i wymusić oblężenie? – zapytał.

Cesarz się uśmiechnął.

– Wolałbym, żeby Megas Ducas użył naszej armii, żeby wymusić bitwę, w której Bóg być może okaże nam łaskę. Ale dowódca naszych wojsk ma inne zamiary.

Czerwony Rycerz podniósł talerz i ojciec Arnaud stwierdził, że niepokoi go widok, jak usługuje cesarzowi, jakby był sługą. Ukłonił się, i niosąc talerz z resztkami dwóch pieczonych bażantów w szafranie ze skórkami tak złotymi, że lśniły jak złote ptaki, zszedł po stopniach podwyższenia i wyszedł drzwiami, którymi wchodziła służba obsługująca szlachtę i kobiety.

Ojciec Arnaud ukłonił się cesarzowi, wziął talerz z rzepą albo czymś podobnym z dużą ilością czosnku, po czym podążył za Czerwonym Rycerzem.

W chwili, gdy wychodził z sali, dwoje służących, prawdziwych służących, wyjęło mu tacę z rąk z oczywistym lekceważeniem zawodowców wobec amatora.

– Pięknie obsługujesz – powiedział do Czerwonego Rycerza.

– Mam doświadczenie. Przez wiele lat byłem paziem ojca. Ticondaga leży zbyt daleko od cywilizacji, żeby wysłano mnie na wychowanie do innego dworu, ale obsługiwałem wielu sławnym ludziom.

Poszedł za sługami do kuchni i gdy tylko weszli, skubnął z półmiska spory kawałek bażanta i stanął we wnęce zajęty jedzeniem.

Ojciec Arnaud wziął z niego przykład i poczęstował się kawałkiem lekko nadkrojonego pasztetu z kurczaka z rodzynkami, przyprawami i cukrem, leżącego na wyraźnie zapomnianej tacy.

– W dzbanie jest wino – powiedział Czerwony Rycerz. – Uwielbiam kuchnię, przynajmniej te dobrze zarządzane. Mógłbym tu zamieszkać.

– Ale się wycofujemy – zaznaczył ojciec Arnaud.

– Tak. – Czerwony Rycerz dokończył bażanta i miał teraz lepkie listki złota na rękach.

– Mógłbyś utrzymać to miasto – powiedział ojciec Arnaud.

Czerwony Rycerz przekrzywił głowę jak zdziwiony szczeniak.

– Nie można mieć jednego i drugiego jednocześnie.

Ojciec Arnaud miał imbir i cukier na dłoniach.

– Jednego i drugiego? – zapytał. Dały o sobie znać chłopięce nawyki i zaczęły oblizywać palce. Pasztet był pyszny.

– Nie chcesz, żeby jakieś miasto zostało splądrowane. Miałeś rację. Byłem zmęczony i zirytowany. I nie miałem racji. Muszę wziąć się w garść i zaplanować nad moimi ludźmi. Ale... teraz chcesz, żebym utrzymał to miasto? Naprawdę? – Czerwony Rycerz pokręcił głową. – Kiedy staniemy do walki, chcę zrobić to tak daleko stąd, jak tylko mogę sobie wyobrazić.

– Cesarz, jak się zdaje, myśli, że ty... i Bóg możecie wygrać. – Ojciec Arnaud nie mógł znaleźć kubka, więc napił się prosto z dzbanu.

– Cesarz jest uprzejmym człowiekiem i tak miłym, że nie dopuszcza do siebie możliwości, że córka go sprzedała, że szambelan go zdradził, że jego magister dźgnął go nożem w plecy. – Uniósł brew. – Masz jakieś wyjątkowe prawo do wina czy może dasz mi trochę, jeśli się okaże wyjątkowo dobry albo jeszcze coś innego?

Ojciec Arnaud podał mu dzban.

– Nie jest dobrym strategiem – skomentował.

– Nie jest zbyt bystry – powiedział Czerwony Rycerz. Po chwili milczenia dodał: – Jest nie z tego świata. To łagodniejszy sposób na powiedzenie tego samego.

– Wiesz na pewno, że córka go zdradziła? – zapytał ojciec Arnaud.

Czerwony Rycerz wzruszył ramionami.

– Nie było mnie tam, ale sporo bym na to postawił. Mogę dowieść, że wysłała posłańców do Andronikusa. Co więcej, Kronmir uważa, że była pierwszym zdrajcą.

Ojciec Arnaud pokręcił głową.

– Straszne.

Czerwony Rycerz powtórzył wcześniejszy gest.

– Naprawdę? Jest okropnym cesarzem, Arnaudzie. Nie dba o większość spraw, dla których żyją inni, łącznie z trzymaniem Etrusków w ryzach. Wyobraź sobie, że mieszkasz w pałacu i patrzysz, jak twój ojciec skazuje cesarstwo na stagnację i śmierć. Wyobraź sobie, że możesz temu zapobiec. Wyobraź sobie, że od urodzenia jesteś przyuczony do szanowania i wielbienia tysiąca lat historii, które idą na marne na twoich oczach. – Uśmiechnął się.

Arnaud uważał, żeby nie poruszać się za szybko. Nie chciał przerwać cza-

ru, który kazał kapitanowi mówić.

– Czy takie było twoje dzieciństwo?

Czerwony Rycerz się roześmiał.

– Ani trochę. Mój ojciec był najlepszym żołnierzem, jakiego znałem, a matka była najpiękniejszą kobietą na świecie. Mieliśmy najlepszy zamek, najsilniejszy, najbardziej magiczny, i wszystko to miało być moje, jeśli dowiodę, że jestem tego wart. – Patrzył w głąb kuchni. – Dlatego, kiedy się dowiedziałem... – Urwał. Powoli się odwrócił i spojrzał na księdza. – Cholera, jesteś dobry. Zakończmy na tym, zgoda?

Ojciec Arnaud się uśmiechnął.

– Jestem oficerem dyżurnym dzisiejszej nocy? – zapytał.

Czerwony Rycerz skinął głową.

– Ser Gawin cię zluzuje o czwartej, więc będziesz miał dwie godziny snu przed wymarszem.

– Wspomnisz moje słowa – powiedział Rozmyślny Mord.

I tym razem miał rację. Wymaszerowali skoro świt, zostawiając wygodę i ciepłe łóżka. Kompania była zakwaterowana w mieście i mieszczanie traktowali ich jak bohaterów – budzących lęk bohaterów. Dryg i Długa Łapa dzieliли łóżko w domu należącym do handlarza wełną. Kucharz przyrządził im śniadanie: smażone jaja z syropem klonowym. Dryg pokręcił głową, patrząc na Długą Łapę.

– Nie pamiętam, kiedy ostatni raz ktoś z własnej woli zrobił mi śniadanie – powiedział. Wytrzeł rękawem lepki wąs.

– Myślałeś kiedy o tym? – zapytał Długa Łapa.

– O czym? – zapytał Dryg jak człowiek, który już zna odpowiedź, ale chce zyskać trochę czasu do namysłu.

– Och – mruknął Duga Łapa. Zdjął siodło z kołka i zarzucił je na grzbiet wałacha. Koń stęknął. – Wiesz. Moglibyśmy przypuścić szturm na to miasto. Zabić mężczyzn. Zrobić swoje z kobietami. Zgadza się?

Dryg skinął głową.

– Aha.

– Przed chwilą zjedliśmy śniadanie, a ona je podała na ładnych cynowych talerzach, widziałeś? – zapytał Długa Łapa.

Dryg przytaknął i ich oczy się spotkały, gdy siodłał swojego konia.

– Wystarczyłoby kilka innych słów i rozkazy kapitana, żeby zająć miasto. Kucharz byłby trupem albo jeszcze gorzej, a ja miałbym w sakwach te cyno-

we talerze. – Dryg chwycił popręg pod końskim brzuchem. – Ale nie byłoby śniadania, co nie?

Długa Łapa się uśmiechnął.

– Właśnie o to mi chodziło.

O wschodzie słońca stało się jasne, że Trakowie maszerowali przez całą noc.

Trochę się spóźnili, żeby zaskoczyć miasto, i hrabia Zak rozesłał konne patrole, które zameldowały o nadciągających wojskach, kiedy armia imperialna formowała się na miejskim placu.

Czerwony Rycerz wszedł na główną bramę, co było męczące w pełnej zbroi. Ser Michael mu towarzyszył, i ser Jehan, i odbyli pośpieszną naradę.

A potem armia ruszyła, zostawiając północną bramę, gdy straż południowej pertraktowała z Trakami.

Hrabia Zak wyjechał pierwszy z trzema setkami wardariotów, Gelfredem i pięćdziesięcioma odzianymi w zieleń ludźmi Kompanii. Utworzyli małe kompanie na południe od miasta i gdy hrabia uniósł rękę, pogalopowali po twardych jak żelazo polach, w prawo i lewo wokół miasta.

Następnie pojawili się stradioci, najpierw kompanie miejskich stradiotów, a potem schola, pilnująca taboru, długiego szeregu mułów, paru osłów, kilku koni zabranych w Amfilopolis i tuzina nowych wozów. Kolejno przejeżdżali przez bramę. Trwało to długi czas.

Tuż na południe od miasta, niemal pod murami, wardarioci hrabiego Zaka wyjechali z gaju oliwnego i uderzyli na tracką straż przednią. Było to jak cięcie brzytwą – przemknęli bardzo szybko i zostawili za sobą szlak krwi.

Wschodni wojownicy Demetriusza stawili czoło ich szarzy, wyłaniając się z dalekiego lasu na południu w porządnym szyku z dobytymi szablami. Wywrzaskując okrzyki wojenne, pędzili na ludzi hrabiego Zaka. Dwie siły szybko się zbliżyły. Wczesną wiosną nie było pyłu. Oba oddziały szeroko się rozpostarły, próbując oskrzydlenia, i w końcu runęły na siebie, każdy wojownik przemykał pomiędzy dwoma końmi nieprzyjaciela.

Obie strony natychmiast ponownie się zebrały. Ludzie chana mieli więcej pustych siodeł, ale znowu przypuścili szarżę, a budzący strach wardarioci złamali szeregi i rzucili się do ucieczki. Ludzie chana pędzili za nimi i ponad sto trackich ciężkich koni początkowo nękanych przez odzianych na czerwono wardariotów zmieniło kierunek i teraz ścigało swoich dręczycieli.

Długie łuki na murach miasta były dla nich szokiem. Trakowie założyli, że kompanijni łucznicy się wycofali. Trzysta strzał, nawet z dalekiego zasięgu,

opróżniło siodła i wiele koni zabiło na miejscu.

Później uderzył Gelfred, prowadząc swoich zwiadowców do ataku pod murami miasta na zachodzie. Miał tylko pięćdziesięciu ludzi, ale czynili wielki hałas i ludzie chana, obawiający się zasadzki, wzięli nogi za pas i uciekli.

Wardarioci natychmiast zmienili kierunek, co było ich najlepszą sztuczką. Przez moment strzały latały we wszystkie strony, ale wschodni wojownicy zostali pokonani. Zostawili za sobą dwa czy trzy tuziny martwych.

Wardarioci utworzyli szyk, podnieśli swoich rannych i pokłusowali w cienie drzew oliwnych. Ludzie Gelfreda nie ponieśli ofiar i wtopili się w las na północnym zachodzie od miasta.

Czerwony Rycerz obserwował przebieg ostatniej akcji, stojąc u stóp południowej wieży. Zawrócił rumaka i pogalopował ciężko wokół miasta. Zdążył zobaczyć, jak jego łucznicy pod wodzą Dryga wyjeżdżają z północnej bramy.

Dryg zasalutował i łucznicy krzyknęli radośnie.

Stracił czterdziestu ludzi, ale zyskał kolejny dzień.

– Codziennie każe nam tańczyć, jak zagra – powiedział Eskepiles.

Demetriusz podrapał się po szczęce.

– Dziś rano moi ludzie dobrze się spisali. Są najlepszymi żołnierzami cesarstwa. Zdołaliśmy im dorównać.

Eskepiles pokręcił głową.

– Nie. Przegraliśmy.

– Jutro go załatwimy – powiedział Demetriusz. – Ale nasze konie potrzebują odpoczynku, a moi ludzie snu.

Tej nocy Dariusz podwoił strażę pilnującą stada koni. Do napaści doszło w porze śmierci, kiedy ludzie śpią najgłębiej, trzy godziny po północy, ale nikt się nie dał zaskoczyć. Pola były ciemne, lasy jeszcze ciemniejsze, i znaleźli tuzin martwych ludzi, ale Dariusz z zadowoleniem poklepał Verkiego po plecach.

– Dobrze jest zwyciężać – powiedział, patrząc na martwych zbrojnych.

Reszta wojska spała. Konie odpoczywały.

O północy Gelfred przybył z zachodu i zażądał widzenia z diukiem. Czerwony Rycerz nie spał.

– Jego ponura gęba chyba jeszcze nigdy nie wyrażała takiej radości – mruknęła Nell do Rozmyślnego.

Rozmyślny wzruszył ramionami.

– Jutro znowu będziemy walczyć, zapamiętaj moje słowa.

Nell wymierzyła mu policzek, gdy jego ręka przekroczyła granicę, a on się uciszył i ugryzł kawałek czosnkowej kiełbasy.

Dwie godziny później ściągnął ser Giorgios. Był przygnębiony, bo stracił prawie tuzin ludzi.

– Czekali na nas – powiedział Kronmirowi, który wziął jego konia.

Kronmir pokiwał głową.

– Nie są głupi.

– A żebyś wiedział – mruknął ser Giorgios. Nie był to zarzut, tylko stwierdzenie faktu. Moreańczycy mieli inne spojrzenie na takie sprawy.

– Wiedziałbym – powiedział Kronmir i poszedł z raportem do diuka.

Dwie godziny przed wschodem słońca armia imperialna ruszyła na lekkich koniach.

Godzinę przed wschodem słońca tabor ruszył na wschód, zabierając wszystkie kobiety i dzieci, a także większość pachołków. Tego dnia po raz pierwszy od kilku dni nie posuwali się na zachód. Mag znała przyczynę i kiedy pocałowała swojego mężczyznę na pożegnanie, mocno go uściskała.

– Co wiesz? – zapytał John le Bailli.

– To samo co ty – odparła. Mrugnęła. – Nie sil się na śmiałe czyny.

Pocałował ją.

– Tylko dzielni zasługują na białogłowy.

– Też tak uważam. – Pocałowała go jeszcze raz, walcząc ze łzami albo z chęcią powiedzenia czegoś głupiego. Odepchnęła go lekko, kładąc palce na ciemnym napierśniku.

Wsiadła na kozioł i spojrzała na swój konwój. Podniosła pięść i zakręciła nią w powietrzu, a wtedy wozy zaczęły się toczyć na zachód.

Cesarzowa Liwia nazywała równiny i pszeniczne pola Beocji Aresowym parkietem do tańca. Tutaj stoczono obie wielkie bitwy z irkami i dwie z trzech bitew drugiej wojny domowej. Równiny oferowały miejsce dla armii znacznie większych niż imperialna dowodzona przez Czerwonego Rycerza i było tam czuć rękę historii.

Płaskie tereny rozciągały się na mile. W dali wznosiła się Lonika, las wież nad krenelazami.

Pod względem strategicznym równiny Beocji stanowiły najlepszą przestrzeń do manewrów po tej stronie Zielonych Wzgórz. Armia mogła masze-

rować prawie w każdym kierunku.

Jednakże pod względem taktycznym były koszmarem, na który składały się żywopłoty, pola uprawne, wiejskie stawy i kamienne mury, niektóre wysokości nawet dziesięciu stóp, kamienne stodoły i przybudówki, kościoły z ufortyfikowanymi murami, klasztor wielki jak cesarski zamek, zagrody dla owiec i strumienie tak wezbrane, że wylewały ze starannie utrzymanych brzegów, a wszystko to było pocięte doskonałej jakości drogami biegnącymi pomiędzy wysokimi żywopłotami albo kamiennymi murami. Większość pól była całkiem duża, ale było też kilka naprawdę bardzo małych.

Straż tylna dotarła do rozstajów, gdzie tabor skręcił na zachód. Czekali, oddział konnych łuczników zsiadł za murami wspierany przez dwa szwadrony wardariotów. Czekali tak długo, aż słońce wzniosło się wysoko na niebo i wozy dawno temu zniknęły z pola widzenia. Po tak dobrych drogach wozy mogły jechać z prędkością pięciu mil na godzinę.

Ser Jehan trzymał ich jeszcze przez godzinę. Kiedy pierwsi traccy zwiadowcy nadjechali drogą z południa, powitał ich grad strzał, który opróżnił kilka siodeł. Albańscy najemnicy bez pośpiechu wsiedli na koń i pokłusowali, a Trakowie zachowywali odległość.

Było południe, kiedy kapitan Dariusz zajął skrzyżowanie.

Przez jakiś czas patrzył na zachód wzdłuż starej drogi do Dormlingu. Widział nieprzyjacielskie wojsko w połowie drogi do Loniki, czekające. Pstryknął placami.

– Stefanie, powiadom lorda Demetriusza, że będzie miał swoją bitwę.

Eskepiles wjechał na rozstaje i przyjrzał się armii wroga, po czym uczynił znak, rozłożył ręce i stworzył migoczącą soczewkę powietrza. Manipulował nią przez jakiś czas, po czym dodał drugą, i zanim przybył lord Demetriusz, miał cały twór skupiony na wrogu.

Demetriusz spojrział z ciekawością dziecka, które dostało nową zabawkę, ale skupiał uwagę na czymś innym.

– Dlaczego się zatrzymali? Czy kopia pułapki?

Ser Christos drwiąco splunął.

– Nie, panie. Grunt wciąż jest zamarznięty. Gdyby nie był, grzęznąlibyśmy po pęciny w błocie.

Demetriusz patrzył przez soczewki.

– Dlaczego w ogóle ze mną walczy? – zapytał. – Stolica stoi otworem. Może pomaszerować i zająć Lonikę. – Wzruszył ramionami. – Nie mamy



machin obłączniczych.

Eskepiles się uśmiechnął.

– Masz mnie – powiedział. – I własnych magów, wartościowych młodych ludzi.

Demetriusz powtórzył gest. Przejechał kilka kroków na zachód i się odwrócił, patrząc nad polami z lepszego punktu obserwacyjnego.

– Niezła pozycja – ocenił. – Ma prawą flankę ukrytą za farmą i małymi przybudówkami, a lewą za wysokim murem. Twardy orzech do zgryzienia. – Odwrócił się i wyszczerzył zęby. – Rozprawmy się z nim, natychmiast.

Trakowie nie marnowali czasu. Jazda ruszyła w pole, rozpadła się na kompanie i zaczęła formować szeregi. Piechota diuka Andronikusa maszerowała drogą do miejsca, gdzie ich pionierzy wybili dziury w murze starej farmy. Przeszli przez wyrwę szeroką na czterdzieści stóp obok przeklinającego ich rolnika.

– Bodaj was... To rok pracy! Rok pracy!

Szpic włóczni oszczędził mu dalszego wysiłku. Chłop upadł i wykrwawiał się na ziemię, którą uprawiał przez całe swoje życie.

Cięzka piechota liczyła prawie dwa tysiące żołnierzy – oni sami dorównywali liczebnością całej armii imperialnej. Mieli trzy wielkie sztandary: Najświętszą Pannę, Chrystusa ukrzyżowanego i Zstąpienie Chrystusa do piekieł. Maszerowali w milczeniu, przeformowali się na rozkaz i zatrzymali, czekając na kawalerię.

Wschodni wojownicy pogalopowali daleko na zachód. Mieli rozkaz oskrzydlić cesarską armię od lewej strony, żeby runąć na nieosłoniętą flankę.

Traccy stradioci ustawili się na obu flankach piechoty. Na prawo od nich utworzył się oddział najemnych rycerzy, blisko drogi. Na lewo zebrało się tysiąc trackich chłopów uzbrojonych w topory i łuki.

Tracka linia była znacznie szersza niż imperialna. Mierzyła prawie dwie albańskie mile od krańca do krańca. W linii imperialnej widniały luki, i szeregi rozciągnięte na niespełną milę były różnej grubości.

Kiedy linie się uformowały w odległości niecałej mili, Trakowie zaśpiewali hymn. Była druga po południu i unieśli broń, a ich krzyk odbił się od dalekich wzgórz.

Pomaszerowali na wroga.

Czerwony Rycerz patrzył, jak nadchodzą, i kręcił głową.

– Jest cholernie śmiały. Nie zadał sobie pytania, dlaczego jestem taki chętny do walki? – Westchnął. – Gdyby zaczekał do jutra rana...

Ojciec Arnaud uniósł brew.

– Wycofujemy się? – zapytał.

Czerwony Rycerz się odwrócił.

– Nie. Walczymy. Wygrana albo przegrana, oto nasza droga. Ale będzie ciężko. – Pokręcił głową. Toby wciąż trzymał jego hełm. – Nie! – krzyknął.

Cesarz na pięknym białym rumaku galopował przed swoją armią.

Ludzie wznosili okrzyki.

Obrócił końską głowę i kłusował w kierunku wroga.

– Co on robi? – zapytał Czerwony Rycerz.

Spiął ostrogami wielkiego karego rumaka i ruszył. Myślał, żeby nadać mu imię zamiast numeru. Jak dotąd zabił kilka rumaków. Ale ten, którego dał mu hrabia Zak...

Ojciec Arnaud zaklął.

– Próbuje zapobiec bitwie – powiedział i pogalopował za Czerwonym Rycerzem, także z gołą głową.

Czerwony Rycerz rzucił się na koński kark i wielki rumak pogalopował niczym na dziedzińcu turniejowym. Jechał jak dżokej w wyścigu, nie jak człowiek w pełnej zbroi na polu bitewnym. Wspaniały rumak nie szczędził sił, żeby nieść go z zawrotną prędkością.

– Wasza Cesarska Mość! – krzyknął.

Cesarz wstrzymał wierzchowca i pomachał ręką.

Czerwony Rycerz ściągnął wodze, żeby niepotrzebnie nie męczyć konia, i podjechał stępa.

– Wasza Cesarska Mość?

– Chcę, żeby mnie zobaczyli – powiedział cesarz. – Jeśli zobaczą mnie żywego, nie będą walczyć. Jestem ich cesarzem. Moja misja jest święta. – Stawczo pokiwał głową.

Czerwony Rycerz miał wrażenie, że dyskutuje z uzdolnionym dzieckiem.

– Tak, panie, ale ci ludzie już cię skrzywdzili.

Piękny mężczyzna odwrócił głowę i zaszczycił go pełną wspaniałością swojego śmiechu.

– Nie, diuku. Tamci nie żyją. Zabiłeś ich, całkiem sprawiedliwie, na moich oczach. To sztandar Demetriusza, syna diuka Andronikusa, jednego z moich najbardziej zaufanych ludzi. Jest bratem mojej żony.

– Wziął cię do niewoli – zaznaczył łagodnie Czerwony Rycerz.

Cesarz rozmyślał przez chwilę.

Za nim środek imperialnej linii przesunął się do przodu.

– Zrobił to, prawda? – zapytał powoli cesarz. – Jak do tego doszło? Logoteta mnie ostrzegał... nie pamiętam. Dlatego to nie może być ważne. Jedźmy spotkać się z tymi panami...

Czerwony Rycerz nie wiedział, dlaczego jego kompania zbliża się co koń wyskoczy, ale widział nadciągające nieszczęście. Widział też, jak jego plan, jego nazbyt skomplikowany plan, obraca się wniwecz. Chwycił uzdę wierzchowa cesarza i zawrócił konia.

– Ci ludzie chcieli cię zabić, Wasza Cesarska Mość. Chodź z nami, ze swoimi przyjaciółmi.

Kłusowali równolegle do obu armii przez sto kroków, potem Czerwony Rycerz skręcił i poprowadził cesarza ku własnym szeregom. Po kolejnych stu krokach puścił wodze i cesarz jechał z nim dość chętnie.

Czerwony Rycerz podjechał do ser Jehana dowodzącego kompanią pod jego czarnym sztandarem.

– Wygląda na to, że będą kłopoty – powiedział ser Jehan. – Możemy zawrócić.

Czerwony Rycerz pokręcił głową.

– Nie możemy. Miejskich stradiotów wystarczy musnąć piórkiem, a rzucają się do ucieczki. – Spojrzał na słońce i zaklął. – Niech to diabli, Jehanie! Zaczniemy wcześniej. Psiamać, potrzebowałem czasu!

Ser Jehan odwrócił wzrok.

Czerwony Rycerz się rozejrzał. Ludzie na niego patrzyli.

Wrócił myślą do pierwszego spotkania z nimi, w Arles, i parsknął śmiechem.

– Spójrzcie na siebie – powiedział.

Powierzył cesarza pieczy Toby'ego i pokłusował na czoło kompanii. Byli tam wszyscy zbrojni z wyjątkiem Gelfreda; tworzyli pierwszy szereg, z giermkami w drugim szeregu, łucznikami w trzecim i uzbrojonymi we włócznie paziami w czwartym. Po dawnemu. Wszyscy zsiadli z koni, pachołkowie odprowadzili zwierzęta daleko na tyły. Zbroje były wypolerowane w takim stopniu, w jakim można oczekiwać po trzech tygodniach kampanii w zimowej pogodzie. Szkarłatne tabardy spłowiwały do rdzawego brązu, ale ich broń lśniła jak niebezpieczny lód.

– Spójrzcie na siebie! – powtórzył. – Pomyślcie, kim byliście ubiegłego roku. I kim jesteście teraz. – Odwrócił się w stronę wroga i odetchnął z ulgą,

gdy zobaczył przegrupowujących się Nordykanów i wardariotów.

Schola ruszyła kłusem.

Wskazał wojska nieprzyjaciela, które miarowo maszerowały po zamarzniętych polach.

– Archaicki uczonek kiedyś powiedział, że Trakowie podbiliby świat, gdyby tylko powstrzymali się od walki pomiędzy sobą. – Błysnął zębami w uśmiechu. – Ale nigdy nie spotkali się z wami, panowie. Nie skłamię i nie powiem, że to będzie łatwe. Powiem wam tylko tyle, że jeśli wytrzymamy trzy godziny, odniesiecie zwycięstwo i cała Morea będzie nasza.

Krzyknęli, jakby był nowym mesjaszem.

Długa Łapa w trzecim szeregu za ser Alison mruknął:

– Trzy godziny przeciwko im wszystkim? Chryste, już po nas.

– Idzie prosto na nas! – krzyknął Eskepiles.

Demetriusz spojrział na zbliżającego się wroga i pokręcił głową.

– Ruszył. Co to znaczy? Czyżby zastawił pułapkę na swoich tyłach? Czy w jego szeregach panuje zamieszanie? Lewa flankę się rozchodzi, to scholiści. I wardarioci. Widzę.

Ser Christos podjechał i otworzył przyłbicę.

– Panie, wielu zaciężnych się niepokoi. Widzieli cesarza.

– Tylko uzurpatora – powiedział Demetriusz.

Ser Christos zmrużył oczy, patrząc na hrabiego Stefana, który nie chciał mu odpowiedzieć spojrzeniem. Obrócił konia w stronę złotego Demetriusza.

– Gdzie twój ojciec, panie? – zapytał.

– Jest chory, ale dzielnie trzyma mury Loniki z garścią wiernych ludzi – odparł despota.

Ser Christos popatrzył na Eskepilesa.

Magister go zignorował.

– Idą – powiedział. Uniósł się w strzemionach, żeby rzucić czary, ale odległość była większa niż się spodziewał i kąt był nieodpowiedni. Spiął konia i ruszył do przodu.

– Spełnij swój obowiązek – polecił Demetriusz najlepszemu rycerzowi swojego ojca.

Ser Christos skinął głową.

– Dobrze. – Wziął sztandar i pojechał za despota na pole za niskim kamiennym murem. Był ostatnim człowiekiem, który odjechał z rozstajów.

Eskepiles rozpoczął bitwę szeregiem czarów – iluzją kuli ognia, drugą iluzją skomplikowanej sieci, która popłynęła spod jego stóp w stronę linii wroga, i trzecim czarem, szeroką organiczną kosą wymierzoną w cięciwy.

Jego iluzje uderzyły z dramatyczną siłą, budząc lęk w sercach nowych rekrutów i chłopów na całym polu. Ognista kula płynęła powoli, rycząc jak ogień w piecu, żeby w końcu wybuchnąć niczym straszny fajerwerk nad środkiem wrogiej armii.

Kosa wypłynęła z jego ręki i się rozmyła zneutralizowana przez czary ochronne.

Nieprzyjacielscy łucznicy podnieśli łuki.

Zirytowany rzucił ponownie.

Zwolnili cięciwy i chmara strzał wzbija się w niebo.

Strącił je na ziemię przygotowanym dla pewności czarem wiatru.

Traccy piechurzy maszerowali miarowo. Ich kroki nie wzbijały kurzu z zamrażonego gruntu, ale wprawiały go w drżenie. Na lewo od nich traccy wieśniacy nie dostali rozkazu, ale pędzili jak oszalałe z pragnienia wilki, które poczuły wodę. Rywalizujące czary wiatru rzucane po obu stronach pola stworzyły małe wiry, maleńkie trąby powietrzne, które brzęczały, podnosząc stare liście i mierzwę.

Demetriusz obserwował posuwającą się piechotę. Roześmiał się.

– Och, ojciec... Jakże żałuję, że cię tu nie ma i nie możesz tego zobaczyć.

Rozmyślny Mord stał kilka stóp za Czerwonym Rycerzem, który zsiadł z konia i zajął miejsce pośrodku linii zaraz za sztandarem.

Linia się nie zachwiała, choć groty kopii trzymanyh przez paziów w czwartym szeregu już się kołysały – trzeba prawdziwej siły, żeby tak długo trzymać ciężką broń. Łucznicy dostali rozkaz, żeby przestać strzelać, ale każdy człowiek miał tuzin strzał wbitych w ziemię przy nodze.

Nieprzyjacielscy włócznicy – ci sami twardziele, którzy o mało ich nie pokonali pod Liwiapolis – podchodzili, nie poniosłszy strat, ponieważ czarownicy i czarnoksiężnicy strącili wystrzelone z dalekiego zasięgu strzały. Kapitan miał dwie jarzące się tarcze – Rozmyślny między innymi z tego powodu lubił być jego łucznikiem, ponieważ w bitwie osłaniały go czary-mary.

Kiedy kula ognia wybuchła wprost nad nimi, Rozmyślny się skulił. Chwilę po tym, jak eksplozja odbiła się na siatkówkach jego oczu, poklepał się po czole i ramionach. Później się roześmiał, czując charakterystyczny zapach.

– Ktoś złał się w gacie! – krzyknął.

Zabrzmiał śmiech. Kapitan odwrócił głowę.

– To była tylko iluzja. Będzie ich więcej.

Jego oczy płonęły czerwienią. Nieprzyjacielscy łucznicy byli sto albańskich jardów dalej.

Dryg ryknął:

– Nakładać strzały!

*Chcę, żebyś podszedł bliżej do Eskepilesa.*

Harmodiusz po swoim ostatnim popisie humoru z godnością zachowywał milczenie. Czerwony Rycerz zaczął odczuwać nadzieję – a może strach – że zniknął. Po słowach maga nastąpiło ukłucie bólu, jakby sztych miecza wniknął mu pomiędzy oczy.

*W tej chwili nie mogę nic zrobić, starcze.*

*W pałacu panował spokój i Harmodiusz stał godnie, młodszy niż zwykle, jak paź czekający na wezwanie pana. Trzymał w ręce Okrutny Miecz.*

*Moc Eskepilesa znów wzrosła. Ma dostęp do czegoś albo kogoś. Strącił moje wietrzne czary jak dziecko, które zabija ćmy, i...*

*Wiem, że odsyłanie Mag było błędem.*

*Sam powiedziałaś, że tylko Mag może zapewnić bezpieczeństwo naszym kobietom. A teraz daj mi sobą ować.*

*Nie przejmuj władzy nad ciałem, muszę walczyć. Harmodiuszu, ból...*

*Nie ma obawy, chłopcze. Niedługo cię opuszczę. Musimy zbliżyć się do Eskepilesa. Słodki Zbawicielu, skąd on bierze całą tę moc?*

Harmodiusz zawładnął ciałem Czerwonego Rycerza. Bez pośrednika mógł rzucać szybciej i celniej. I miał sześć miesięcy na przygotowanie się do tej chwili. Wiedział, czego chce, i wiedział, jak to osiągnąć.

– Strzelać! – ryknął Dryg.

Poczwórny szereg rycerzy i zbrojnych przyklęknął. Łucznicy się pochyłili i wypuścili strzały. Z tego zasięgu pociski potrzebowały jakiś cztery uderzenia serca na przebycie odległości i nie musiały się wysoko wznosić.

Dryg miał strzały o grotach czworokątnych w przekroju, wykutych z utwardzonej stali przez mistrza Pyle'a w Cheapside, kupionych po sześć pensów za sztukę. Grot długi na pięć palców zwężał się w ostry szpic jak szpikullec do łupania lodu. Starannie wybrał cel – chorążego w pierwszym szeregu. Zbroja łuskowa i wspaniałe złocone hełm. Stalowe naręczaki i bigwanty.

Strzała ważyła trzy albańskie uncje i leciała z prędkością prawie dwustu stóp na sekundę. Grot uderzył palec od skrajaju tarczy. Przeszył brązową łuskę i dwie żelazne pod spodem – przebił łosiową skórę pod nimi, warstwę płótna, grubą na palec warstwę zbitej owczej wełny i drugą warstwę płótna. I cienką lnianą koszulę.

Wniknął przez skórę w tłuszcz i przez tłuszcz w mięśnie. Ześliznął się z kości, przebił tłuszcz i mięśnie.

Mężczyzna upadł. Ciężka chorągiew się pochyliła i dwadzieścia rąk wyciągnęło się, żeby ją pochwycić. Ale strzała nie przybyła sama...

Druga strzała Dryga leżała na łuku, zanim pierwsza przeszła serce chorążego. I trzecia...

Czwarta...

Przestrzeń pomiędzy środkowymi liniami dwóch armii zapełniła śnieżycą strzał i wszystkie mknęły w jednym kierunku. Na lewo od Czerwonego Rycerza Demetriusz zatrzymał swoją najemną jazdę do śmiertelnego uderzenia, więc teren przed Nordykanami był pusty.

Ruszyli.

Trzystu gwardzistów na rozkaz uniosło topory, wywrzasnęło przeraźliwy i starożytny okrzyk wojenny, po czym ruszyło w kierunku dalekiej konnicy wroga. Nordykanie byli tak mocno ściśnięci, że złożona tarcza człowieka po prawej stronie zgrzytała o wysoki na chłopa kamienny mur głównej drogi łączącej Liwiapolis z Loniką. Nordykanie szli w dwuszeregu i ich linia posuwała się z nadprzyrodzoną precyzją. Każdy z nich miał ciężką włócznię do rzucania – lonche – z żelźcem ważącym prawie funt, wykutym z najlepszej stali, ostrym jak igła, często wykładanym złotem albo srebrem, lub jednym i drugim, z drzewcem pokrytym złożonymi runami. Większość miała też za tarczami po dwie strzałki obciążone ołowiem, z długimi na dwie stopy drzewcami. Wyćwiczony człowiek mógł nimi rzucić na osiemdziesiąt kroków.

Piąta...

Szósta...

Nordykanie minęli koniec linii kompanii i parli dalej, z Ciemnowłosym nadającym tempo w ich języku. Jego głos brzmiał dziwnie śpiewnie, wznosząc się nad szumem bezlitosnych strzał i wrzaskami włóczników.

Nieprzyjacielscy włócznicy ponieśli ciężkie straty, ale przedarli się przez grad strzał i szerokich grotów.

Czerwony Rycerz śpiewał w górnym archaickim. Miał trzy różne ruchome tarcze – jedną lawendową, jedną o barwie heraldycznej czerwieni, jedną oślepiająco złotą.

Wprost przed nim na wysokim siwku siedział nieopancerzony mężczyzna, również chroniony przez szereg tarcz – zieloną, purpurową, czerwoną i czarną. Czarna tarcza wzniosła się w odpowiedzi na zygzak pioruna, który przemknął nad polem niczym szarżująca kawaleria. Czerń wchłonęła błyskawicę, po czym wystrzeliła ją dokładnie wzdłuż linii jej ataku.

Piorun napotkał puklerz z tej samej czarnej materii – małą tarczę nie większą niż męska dłoń, precyzyjnie skupioną.

Błyskawica się odbiła i uderzyła we frontowy szereg włóczyków. Jeden z nich eksplodował, jego wnętrzności wyparowały, ciało się ugotowało. Drugi został zabity fragmentem czaszki towarzysza.

Siódma strzała.

Ósma.

Na prawo od Czerwonego Rycerza wardarioci pędzili na tracką chłopską piechotę, aż znaleźli się mniej niż pięćdziesiąt kroków od nacierającej gromady, i wtedy zaczęli wypuszczać swoje lżejsze bambusowe strzały. Trzystu wojowników rozpostarło się po równinie i opróżniło pierwsze kołczany, strzelając do ludzi, którzy nie mogli odpowiedzieć tym samym. I gdy wieśniacy przyśpieszyli w dzielnej desperacji, żeby zaatakować szerszenie żądłace ich strzałami, wardarioci umknęli – zawrócili w kilka końskich kroków i znów wypuszczali strzały z odległości tak małej, że żaden weteran nie mógłby chybić.

Powtórzyli manewr.

Chłopi dostali ciągi. Podczas każdego ataku ginęło dwudziestu, strzały spływały z łuków wardariotów jak monety z palców w sztuczce szarlatana.

Dziewiąta.

Dziesiąta.

Włóczynicy podchodzili. Byli zbyt odważni, zbyt pewni siebie, żeby złamać szeregi albo się położyć i umrzeć na zamarznętej ziemi. Pod Liwiapolis wstrząsnęła nimi liczba strzał i siła wielkich cisowych łuków, ale mieli sześć miesięcy, żeby przemyśleć ich zasięg i pławić się w swojej chwale. Ponosili straty i przechodzili nad martwymi, nad ludźmi, których znali od dwudziestu lat.

Dryg uniósł łuk bojowy z jedenastą strzałą. Doświadczenie mu mówiło, że dwunastej nie wystrzeli. Opierał się o ramię ser Jehana w rytmie, który obaj



znali tak dobrze, jak starzy kochankowie znają rytm uprawiania miłości – jego lewa ręka stykała się z prawym ramieniem rycerza, jego biodro z biodrem, i wypuścił strzałę tuż pod nosem hełmu weterana dwudziestu bitew.

Dryg przerzucił łuk nad prawym ramieniem. Miał wylądować na zamarzniętej ziemi jakieś piętnaście stóp za nim, gdzie go znajdzie, jeśli przeżyje. Cofnął się, zostawiając giermka przed sobą, a włócznię pazia nad ramieniem.

Wysunął miecz na półtorej dłoni zza pasa wartego tyle, ile wynosił żołd za czterdzieści dni służby, i zdjął puklerz z rękojeści. Oparł się lewym ramieniem o giermka.

Ser Jehan uniósł o stopę głowicę swojego topora.

Morgan Mortimir stał w pierwszym szeregu, przerażony. Zbroja ciążyła mu jak z ołowiu, a włócznicy wyglądali jak rozeźleni bogowie wojny, niosący zgubę wszystkim na swej drodze.

Czerwony Rycerz rozkazał mu utworzyć tarczę ochronną przed całym frontem i tak robił. Uprzedzony przepuścił iluzje, chociaż po raz pierwszy widział dzieła tak prawdziwe, że zareagował dopiero w ostatniej chwili, gdy niemal było za późno.

*Zatrzymaj tę.*

Mortimir wlał moc w blade złoto swojej tarczy. Ogień ryknął wzdłuż frontu jego części bitwy i liznął górny i dolny skraj jego dzieła. Zamarznięta trawa stanęła w płomieniach. Pozwolił jej płonąć. Włócznicy podchodzili, hałas był obcy i duszący. Mortimir rozpaczliwie pragnął ściągnąć hełm z głowy. Nie widział niczego poza twardymi oczami zabójców naprzeciwko siebie, niemal tak blisko, że mógłby ich dotknąć.

Giermek, który też miał twarde oczy, skurczybyk przydzielony mu przez ser Michaela, położył rękę na jego plecach.

– Szykuj się, panie!

Mortimir postanowił walczyć mieczem i puklerzem. Zaparł się nogami o ziemię.

– Zamknij przyłbicę, jego mać – poradził giermek.

Ręka w stalowej rękawicy zatrzasnęła zasłonę hełmu z taką siłą, że Mortimir mało nie upadł.

Spojrzał przez wizury i zobaczył...

Włócznia sunęła ku niemu, chcąc odebrać mu życie, i przyjął ją na kolczy kołnierz. Nic nie zrobił, żeby sparować – grot przeciął kolczugę, rozrywając kółka w spawach. Ale kołnierz był za duży dla piętnastoletniego „zbrojnego”

i grot włóczni przemknął nad jego ramieniem, marszcząc naramiennik i wykręcając mu ramię w sposób, jaki miał pamiętać w setkach koszmarów.

Mortimir był wyszkolony. Poderwał puklerz i stalowy guz przesliznął się wzdłuż drzewca. Ustawił sztych miecza w linii.

– *Phontia!* – powiedział.

Włóczyk w pancerzu łuskowym stanął w płomieniach i przez chwilę wyglądał jak demon z piekła rodem.

Starzec mu przykazał, że ma poprzestać na obronie. Było to, jak teraz widział, receptą na katastrofę. Wepchnął się na miejsce poległego, czując swąd płonącego ciała, drażniący w nozdrza nawet pod przyłbicą, i złożył się do ciosu mieczem. Wlał czwartą część swojej *potentia* w jeden prosty czar.

No, nie taki prosty.

Kula ognia pojawiała się znikąd. Ogień jako żywioł jest pasożytniczy, nie istnieje bez źródła. Stworzenie źródła jest trudne, wymagające czasu, cierpliwości i doświadczenia. Znacznie łatwiejsze jest wykorzystanie pobliskiego już istniejącego źródła i dlatego większość magów na polu bitwy opracowuje ciężką tarczę, po czym sprawia, że podsycana drewnem albo różnymi gazami kula ognia pojawia się na wyciągnięcie ramienia, a następnie, gdy pokaz pirotechniczny spełnia wymagania, porusza nią tak, jakby rzucał ciężkim przedmiotem. Tyle że oczywiście proces zachodzi w eterealu.

To ukształtowanie często jest czynnikiem ograniczającym moc. Młody adept, któremu pokazano, jak tworzyć naftę, jest znacznie niebezpieczniejszy niż ten, który dopiero się uczy wytwarzać wosk pszczeli.

Młody adept powiązany z Harmodiuszem miał dostęp do świata substancji nie do pojęcia dla większości magistrów. Do wyrafinowanych tworów alchemicznych. Hermetyk, który zna alchemię, musi tylko raz zrobić substancję w realu.

Ognista kula Mortimira zapłonęła sześć stóp przed nim z takim żarem, że się cofnął, niemal tracąc swoją hermetyczną tarczę, i ogień się wymknął spod jego kontroli. Kula odpłynęła i zniknęła z pyknięciem, gdy przestał panować nad jej źródłem.

Czterdziestu włóczyków w zwartych szeregach spłonęło. Lewa strona wrogiej falangi poszła w rozsypkę.

Ser Michael, który dowodził prawą flanką kompanii, wskazał zwęglone szczątki toporem trzymanym w jednej ręce.

– Na nich! – ryknął.

Eskepiles podjeżdżał coraz bliżej do miejsca zdarzenia. Gdy włócznicy zwolnili, uderzywszy z głośnym trzaskiem włócznikami w zbroje swoich wrogów, znajdował się pięćdziesiąt kroków od celu. Był tutaj bezpieczny.

Im bliżej byli dwaj magistrowie, tym trudniej było odchyłać wzajemne ataki. W odległości pięćdziesięciu kroków...

Na lewo od niego pojawiła się ogromna kula rozgrzanego do białości ognia. Nie poczuł, kiedy została rzucona, i nie widział jej twórcy.

Wstrząsnął nim dreszcz strachu. Jego koń się spłoszył, bo wbił mu ostrogi w boki. Eskepiles natychmiast wypluł w eter pięć słów.

Czerwony Rycerz poczuł, że starzec go opuszcza jak przesilona gorączka i nieprzyjemne wspomnienie. Chciał coś powiedzieć. Gdyby tylko wiedział, że Harmodiusz odszedł na dobre...!

Wróg był o dwie długości włóczni dalej. Osiełek i Rozmyślny Mord odrzucili łuki i cofnęli się w szeregach – Toby, który miał ciężką włócznię, przesunął ją nad jego głową. Czerwony Rycerz uniósł swój szponton. Nigdy dotąd nie używał go w bitwie.

Został sam, ból głowy przepadł bez śladu.

Odetchnął głęboko. Poruszył biodrami. Trzymał broń grotem w górę, w gardzie zwanej *dente di cinghiaro*. Gdy ujrzał sunącą ku niemu włócznię w długim zaciekłym pchnięciu, opuścił na nią żeleźce. Cios powinien odtrącić broń skosem w dół, lecz zamiast tego jego wspaniały oręż, dar smoka, przeciął grot przeciwnika. Okuty żelazem tępy koniec uderzył go w hełm i rzucił do tyłu. Siła, która powinna się rozproszyć na broni przeciwnika, wbiła żeleźce szpontonu głęboko w ziemię pod jego nogami.

Wyrwał je, zrobił krok do przodu i uderzył wroga w głowę, zanim ten otrząsnął się z szoku. Ostrze cięło na wysokości pięciu palców od czubka hełmu i w niespełna jedno uderzenie serca mózg, czaszka, kaptur kolczy, kolczuga i hełm stały się serią koncentrycznych kręgów przywodzących na myśl dzieło sztuki dzikich nomadów.

Kolejna włócznia uderzyła w jego lewy naramiennik, odbiła się i przemknęła nad ramieniem. Trzecia trzasnęła w napierśnik, ale Toby za jego plecami pomógł mu się utrzymać na nogach. Czerwony Rycerz przez długą chwilę był kompletnie zaskoczony.

Toby ocalił mu życie, gdy wróg z drugiego szeregu chwycił drzewce jego broni – zdawało się, że drzewce nie ma żadnych szczególnych właściwości – i zamierzył się na niego sztyletem. Ostrze przemknęło poniżej ograniczonego

przez przyłbicę pola widzenia i poczuł jego cios tylko jako nacisk.

Toby uderzył krótką włócznią w głowę mężczyzny, rzucając go do tyłu. Wyminął swojego rycerza, zrobił długi krok i obrócił włócznię. Trzasnął końcem drzewca okutym żelazem w kolczugę pod szyją przeciwnika i zmiażdżył mu gardło.

Dwie strony napierały na siebie i żadna nie ustępowała pola. Gdzieś gdzie ludzie walczyli, ale zasadniczo było to coś, co starsi weterani zwali prasą, morderczą przepychanką, w której przegrana oznacza pogrom i śmierć. Włócznicy mieli głębsze szeregi. Kompania miała lepsze broje.

Czerwony Rycerz na prawym skraju pola widzenia dostrzegł potężny rozbrłyk żółto-białego światła.

Stuknął Toby'ego rękawicą, nie ufając swojej broni. Giermek obrócił się w biodrach, sparował ostatnie pchnięcie nowego przeciwnika i przesunął się do tyłu. Czerwony Rycerz ugiął nogi w kolanach i szeroko rozstawił stopy. Uderzał szpontonem szybko i precyzyjnie, jak sztyletem. Przerąbał drzewce włóczni i odciął czyjąś dłoń ruchem, jakiego można użyć podczas wędkowania.

Następnie, gdy kolejny człowiek zatoczył się do tyłu z odciętą ręką i skauteryzowaną raną, postąpił do przodu i wziął potężny zamach.

Przeciął kilka włóczni. Trzymający je ludzie runęli do przodu pozbawieni oparcia, jakie zapewniała im w ścisiku broń wbita w przeciwnika.

Ciął znowu, jakby podobny do miecza długi grot był wielkim toporem dzierzonym przez ogromnego Nordykanina.

Grot ciął wszystko, co napotykał na swojej drodze – zbroję, skórę, wełnę i ciało.

W szeregach wroga powstała wyrwa o szerokości jego zamachów.

Czerwony Rycerz wszedł w nią i zamierzył się szpontonem na pięciu skulonych ludzi. Dwóch zginęło na miejscu.

Żeleźce utkwiło głęboko w ciele trzeciego człowieka. Czerwony Rycerz pociągnął – i drzewce uderzyło go w plecy. Zdesperowany szarpnął z całej siły i szponton się wysunął jak każda inna broń, migocząc błękitną czerwienią w wiosennych promieniach słońca.

Bez względu na to, jakie miał właściwości, zostały zużyte. A on był sześć kroków w głębi szeregów wroga.

Ciosy posypały się niczym grad. Miażdżące uderzenie zdesperowanego człowieka, który oburącz trzymał włócznię i machał nią jak cepem, rzuciło go na kolana.

Prasa zaciskała się w wokół niego.

Ktoś wyrwał mu broń z ręki. Otaczali go wrogowie, byli wszędzie, zbyt blisko, ale chwycił w prawicę rękojeść sztyletu.

Później po prostu walczył.

W pełnej zbroi był lżejszy i miał większą swobodę ruchów niż przeciwnicy w długich do połowy łydki kolczugach i karacenach, z ciężkimi tarczami i długimi włóczniami – w większości, bo niektórzy je wyrzucili. Gdy na niego napierali, wpadł w szaleńczą rutynę, jakiej od dzieciństwa uczył go fechtmistrz ojca. Chwycił prawą rękę mężczyzny, który wyrwał mu szponton, pociągnął, złamał ją, i dźgnął w odsłoniętą szyję pod uchem. Złapał następnego, trzasnął stalową pięścią w twarz, chwycił go za ramiona i dziobem zasłony przyłbicy wybił mu zęby, jednocześnie trzewikami uderzając w golenie. Ciosy sypały się na jego plecy – na prawe ramię, odsłonięte w potyczce – dwa tak mocne, że się zatoczył. Po uderzeniu w hełm był oszołomiony.

Jego ręce i stopy wciąż zabijały. Kopnął łuczника pomiędzy nogi, stalowym czubem trzewika miażdżąc jądra, gdy trzymał jego włócznię – machnął prawą ręką i nałokietnik z utwardzonej stali zdarł nos z twarzy kogoś, kto próbował wskoczyć mu na plecy.

Jego lewa noga w czymś utknęła. Był bliski utraty równowagi i walczył z tak wieloma ludźmi, że nie miał czasu na uwolnienie stopy.

Dźgał ludzi sztyletem, żeby się na nim podtrzymywać.

Nagle coś trzasnęło w jego lewym kolanie.

Cholera. Próbowałem, pomyślał i upadł na ziemię.

Najemna jazda patrzyła, jak nadciągają szaleńcy. Dobrze wiadano, że piechota nie może nacierać na kawalerię – coś takiego jest samobójstwem.

Mimo wszystko nacierali.

Rycerz na czele, najemnik z dalekiej Oksytanii, potrząsnął kopią.

– Drodzy przyjaciele! – krzyknął w języku romansów. – To dzielni ludzie i godni przeciwnicy. Jeśli chcą się z nami zmierzyć... – Uśmiechnął się. – Spełnijmy ich życzenie.

Uniósł rękę i zatrzasnął przyłbicę – pokręcił głową, żeby sprawdzić, czy duży hełm tkwi pewnie na stalowym czepcu. Opuścił kopię na hak.

– Za Świętego Jakuba! – ryknął.

Nie wszyscy najemnicy pochodzili z Oksytanii, ale okrzyki wojenne popłynęły ze wszystkich gardeł. Rycerze opuścili kopie i zadudniły końskie kopyta, gdy runęli na uzbrojonych w topory szaleńców.

Chwila zderzenia była jak eksplozja. Topory rąbały przednie nogi koni bojowych, kopie przebijały warstwowane przeszywanice. Kwiat Nordykanów zginął w pierwszym szeregu – śmierć w jednej chwili zabrała jedną piątą gwardii.

Pozostali nie ustąpili pola. Wielkie głowice toporów wzniosły się do ciosów. Konie walczyły, śmigając kopytami. Pośrodku stało razem czterech przyjaciół, ich topory powaliły dwa rumaki i inne nie mogły się przez nie przedostać. Szpic linii Nordykanów stał się podobny do dziobu okrętu podczas sztormu.

Gdy szarża najemników straciła pęd, konie stały się bardziej podatne na atak. Rycerze rzucili kopie, dobyli mieczy.

Żadna tarcza pod słońcem nie zatrzyma topora dzierzzonego przez mężczyznę wysokiego jak koń. I nawet kiedy utwardzana płyta zatrzyma cięcie, siła ciosu może wyrzucić cię z siodła.

Ale gdy morderczy olbrzym przenosi ciężar ciała i unosi topór do następnego miażdżącego ciosu, praktycznie jest bezbronny.

Potężni mężczyźni umierali. Rycerze i wojownicy, weterani tuzina ran, ginęli w parę uderzeń serca, nawet nie znając swoich zabójców.

Konie napierały. Nordykanie zaczęli się cofać.

Traccy wieśniacy rzucili się do ucieczki.

Wytrwali dłużej, niż ktokolwiek miał prawo się spodziewać, najdzielniejsi biegli za śmiejącymi się wardariotami i umierali trafieni celnymi strzałami. Najlepsi polegli, zostali tylko ci pełni wahania i powolni. W końcu, jak spłoszone ścierwojady, odwrócili się i uciekli.

Wardarioci, doświadczeni w tego rodzaju walce, wycofali się za kamienne zabudowania leżącej na uboczu farmy. Zebrali się i zmienili kołczany, zostawiając w spokoju umykających trackich chłopów.

Hrabia Zak policzył konie. Stracił jednego człowieka.

– Gdzie Chengiz?! – zawołał.

– Pękł mu popręg! – Usłyszał w odpowiedzi.

Ludzie się roześmiali.

Naprzeciwko widzieli formującą szyk jazdę wroga. Jeźdźcy musieli otworzyć środek linii, żeby przepuścić wieśniaków, i wardarioci stracili okazję, ale ściganie chłopów mogłoby się skończyć nieszczęściem.

Zak wzruszył ramionami.

– Gotowi, kochankowie?

Ich krzyki zadźwięczały w powietrzu.

Spojrzał w lewo. Nordykanie byli skończeni – umierali tam, gdzie stali. Zdało się, że środek linii wygrywa. Zmarszczył brwi.

Ser Giorgios oderwał się od czoła imponujących szeregów scholi.

– To było jak ćwiczenie z podręcznika. – Wzruszył ramionami. – Podjeżdżanie...

Hrabia Zak pokraśniał z zadowolenia.

– Wysoka pochwała z ust hrabiego scholi.

Wróg wciąż miał kłopoty, gdyż przerażeni wieśniacy napierali na kawalerię. Szkoda, pomyślał hrabia Zak.

– Ale teraz... – zaczął Giorgios.

– Ha! – Hrabia Zak parsknął śmiechem. – Dwa tysiące jazdy? Razem mamy pięćset koni. Możemy sobie z nimi poradzić. – Wyszczrzył zęby. – Dopóki za godzinę ich wschodni wojownicy nie objadą tych budynków, bo wtedy wszyscy zginiemy. – Wzruszył ramionami. – Jestem wierny danemu słowu. A ty?

Ser Giorgios się uśmiechnął.

– Od czego mamy zacząć? – zapytał.

– Powierzasz mi dowodzenie? – Hrabia Zak był niewysokim mężczyzną, ale jakby urósł, słysząc słowa Giorgiosa.

– Tak.

– W takim razie, jak myślę, zaczniemy od dramatycznej porażki. Zgadzasz się? – zapytał ze śmiechem.

Ser Giorgios próbował mu zawtórować.

– Idą! – krzyknął Dmitrij, hypaspista ser Christosa.

Ser Christos patrzył, jak ruszają na niego wardarioci i scholiści, ludzie, którymi dowodził na innych polach. Elegancja ich szeregów i harmonia, z jaką wyciągnęli łuki z sahajdaków, wyraźnie kontrastowała z jego wiejskimi tagmami, w których panowało zamieszanie spowodowane przez uciekających chłopów. W wielu wypadkach wrogowie byli niegdyś ich przyjaciółmi i sąsiadami. Właściciel ziemski pochylił się w siodle, żeby wysłuchać, jak płaczący mężczyzna mu mówi, że jego brat zmarł z krzykiem, postrzelony w brzuch przez odzianych na czerwono barbarzyńców.

Taka postawa była bardzo moreańska i kochał ich za to, że kochają swoich ludzi. Ale też widział, jak bardzo wszystko idzie źle.

– Ruszać się, z życiem! – ryknął. – Oczyszczyć front! To będzie pozorowana szarża, widzicie ich łuki? Podjadą, wypuszczą strzały i uciekną. Nie zareagujemy. Słyszycie mnie, hetajrowie? Nie reagować!

Wrogie szeregi zbliżały się szybkim kłusem.

W odległości dwustu kroków, gdy najemnicy latinikonu uderzyli w Nordykanów z takim dźwiękiem, jakby nastał Ragnarok, dwa regimenty straży ruszyły galopem.

– Tarcze w górę! – ryknął Christos.

Chłopi stłoczeni przed konnicą unieśli tarcze.

Strzały wleciały w powietrze. Niektórzy wardarioci mieli strzały z gwizdkami.

Ci ze stradiotów, którzy byli doświadczonymi łucznikami, wypuścili strzały.

Ludzie i konie padali po obu stronach.

Wardarioci zawrócili i odjechali, zostawiając kilka martwych koni i ludzi. Strzelili znowu nad końskimi zadami. Znowu zaskrzeczały gwizdki. Trzeba było prawdziwej odwagi, żeby stać prosto, gdy gwizdki brzmiały coraz głośniej – przez najdłuższe w życiu uderzenie serca. I może ostatnie.

Rozległy się krzyki i jęki.

Ser Christos spojrział na słońce, które chyba wcale się nie przesunęło od ćwierci godziny. Pomyślał: Co ja tu robię? Dlaczego walczę z tymi ludźmi? Przecież to koszmar. Przecież mieliśmy ratować Moreę.

Ludzie patrzyli na niego. Jego plan bitwy był prosty – czekać, aż wschodni wojownicy natrą na flankę wroga, i dopiero wtedy przystąpić do ataku. Samą liczbą koni mogli przełamać gwardię, ale poniesione ofiary sprawią, że farmy, setki farm powrócą do Dziczy. Gwardziści nie dadzą się wyciąć bez walki.

Jeśli natomiast zostaną oskrzydleni, wycofają się jak przystało na zawodowych żołnierzy. I zachowają życie, żeby walczyć dla nowego cesarza. W takim wypadku jego ludzie będą mogli wyładować swój gniew na cudzoziemcach pośrodku.

– Trzymać szyk! – krzyknął.

Demetriusz wygrywał, czuł, że wygrywa, choć sam nawet nie zakrwawił miecza. Przypuszczał, że jego ojciec byłby w samym środku, z piechotą, albo osobiście dowodził jednym ze skrzydeł.

Dariusz – pod wieloma względami będący jego najlepszym człowiekiem,



ale irytującym, nadmiernie skoncentrowanym, nieprzywiązującym wagi do tego, jak wyraża swoje zastrzeżenia – stanął w strzemionach.

– Trakowie przegrywają. Dlaczego ser Christos na nich nie szarżuje? – Pokręcił głową.

Demetriusz też stanął w strzemionach i patrzył przez czas, jakiego ksiądz potrzebuje na konsekrowanie hostii.

– Jedź i każ staremu szarżować. Natychmiast.

Spojrzał w prawo i zobaczył, jak rycerze, jego najlepszy nabytek, zamykają przyłbice i szykują się do szarży na Nordykanów, których bał się tak, jak inni się boją choroby i śmierci. Cudzoziemcy byli zbyt wielkimi ignorantami, żeby wiedzieć, przeciwko komu stają, i cechowała ich płynąca z niewiedzy brawurowa odwaga – niech umierają przez jakiś czas, a dzięki temu on wygra bitwę.

Szeregi się zwały, zgodnie z jego oczekiwaniami. Ludzie umierali. Inni przechodzili po ciałach żywych i martwych, i napierali.

Pięćdziesiąt kroków przed nim Eskepiles siedział samotnie na swoim jasnym koniu i zdawało się, że światło na niego nie pada i że on sam nie rzuca cienia. Stał lekko obrócony w lewą stronę. Miał cztery tarcze – okrągłą, kwadratową, dwie w kształcie tarcz rycerzy – wszystkie w barwie głębokiej czerni. Poruszały się, gdy on się poruszał.

Cokolwiek robił, było to znacznie bardziej spektakularne niż wszystkie jego dokonania podczas poprzedniej bitwy. Błyskawice w każdym kolorze i bez koloru skrzyły się wśród jego tarcz i uderzały na lewo od środka linii wroga – w cudzoziemców, w tak zwaną kompanię.

Huk kolejnych wybuchów odbijał się od dalekich gór i wracał niczym grom, i za każdym razem umierali ludzie, rozerwani na kawałki przez siły, których nie mogli zrozumieć.

Ramiona Eskepilesa opadły, a potem się wzniosły, jakby dzierżył wielki kowalski młot, i znowu uderzył, tym razem oburącz.

Ludzie umierali.

Eskepiles zatracił się w swoich zapożyczonych czarach, świadom na jednym spanikowanym poziomie umysłu, że zbyt rozrzutnie szafuje rezerwami. Był zszokowany, że młody adept po lewej stronie posiada taką moc. Miał się na baczności, ponieważ ten stary po prawej nagle się uciszył.

Ale nie miało to znaczenia, ponieważ jego dzieło – nowe, niestabilne dzieło magiczne – osiągało punkt kulminacyjny. Rosło bez niego, czary się roz-

mnażały jak żywe stworzenia.

Czekał...

Ale nie musiał patrzeć.

Student – na podstawie jego czarów uznał, że chłopak jest starszym studentem Akademii – stworzył godne podziwu ostrze światła. Eskepiles stracił dwie tarcze i w jakimś zakamarku umysłu, który śledził przebieg bitwy, był świadom, że środek jest niezupełnie taki, jak być powinien.

Jeśli zrobię to właściwie, wszyscy zginą – po obu stronach.

Ale najpierw musi się rozprawić z tymi dwoma, którzy mu mogli zagrozić. Najpierw z młodym, potem ze starym.

Eskepiles był blisko – tak blisko, że Mortimir nie miał szans na sparowanie ataku. Cios zielono-czarnego topora strzaskał wszystkie cztery starannie wykute tarcze.

John le Bailli zginął spopielyony w zbroi. Dryg zginął z płucami stojącymi w ogniu. Ser Jehan zginął. Kompania w mgnieniu oka straciła dowódców i dwudziestu ludzi.

Ale główna siła ciosu spadła na Mortimira.

I została odbita.

Chłopak nie miał czasu ani przytomności umysłu, żeby poczuć zaskoczenie.

*Odsuń się*, polecił mu Harmodiusz. W eterealu przejął władzę nad ciałem i *potentia* Mortimira. I nad wszystkim innym.

*Byłeś tylko przynętą*, powiedział. *Teraz jesteś skórą lwa.*

Ściana skrzącego się białego ognia stanęła pomiędzy nim i Eskepilesem. Ludzie wrzeszczeli poparzeni przez skraje jego masywnego dzieła.

*Ja jestem lwem.*

Szybciej niż myśl śmiertelnika Harmodiusz odesłał czary z powrotem do ich źródła, jak nauczył go Richard Plangere. Nie zrobiłby tego nawet psu, ale teraz...

Zamiast rzucić, podążył drogą, jakiej nauczył go Głóg.

A potem Morgan Mortimir został sam.

Czerwony Rycerz leżał z rękami przyciśniętymi do boków przez trupy i ktoś nastąpił na jego napierśnik. Pękło zebro. Był bezradny. Kolejna stopa – tym razem na nagolennicę. Ból był ogromny, szkoda bez znaczenia.

Nie mógł się ruszyć.

Ogarnęła go panika – ślepa panika, którą przynosi bezradność i nieuchronna śmierć.

Pobiegł, jak w dzieciństwie, do swojego hermetycznego pałacu i czekał na koniec. *Tutaj czas płynął inaczej.*

*Trudno jest panikować, kiedy ma się czas na myślenie.*

*Na cokole pośrodku jego rotundy stał nowy posąg. Cokół przez wiele miesięcy był pusty i gdy na niego spojrzął, zdał sobie sprawę, że przywykł do obecności innego umysłu, który podsuwał mu różne pomysły na czary.*

*Nagle zrozumiał, że sam nie jest bez mocy.*

Nie było to coś, co ćwiczył. Musiał improwizować. I nie wiedział, czy stopa na napierśniku należy do wroga, czy brata.

W końcu postawił na prostotę. Chwycił w lewą rękę koniec eterealnego łańcucha i pociągnął nim *ops*, powoli. Znaki zawirowały nad jego głową – tworzenie, przemieszczenie, wzmocnienie, jasnowidzenie, ponieważ musiał wiedzieć, w którą stronę się obrócić. Rzucił najbardziej skomplikowane czary swojego hermetycznego życia po prostu po to, żeby się podnieść.

Wstał.

Traccy włóczniecy, którzy widzieli dwadzieścia bitew w Dzikim i tuzin potyczek z ludźmi, cofnęli się zaskoczeni. Stojący nad nim Toby został zmieciony w bok. Ser Milus wykorzystał chwilę szoku, jaki Czerwony Rycerz wywołał wśród wrogów, i strzaskał czyjś hełm wielkim dwuręcznym młotem.

Czerwony Rycerz dobył miecza. Wyciągnął go płynnie, obracając się w biodrach – rzadko czuł się bardziej żywy. Wielki czerwony miecz wyrwał się z pochwy i ciężki sztych przeszedł nad tarczą następnego włóczniecy.

– Kapitan wstał! – wrzasnął Toby.

Rozległ się dźwięk jakby młyna wodnego, jakby ryk wodospadu, i cała kompania natarła.

Czerwony Rycerz gardził zabijaniem wrogów czarami. Jeśli wygram, będę potrzebować jak najwięcej żywych, pomyślał. Znalazł się pod ich włóczniami, większość Traków miała w rękach krótkie miecze. Chwycił rękojeść obręcz i zaczął powalać wrogów na ziemię.

Na lewo od niego ser Milus coś zobaczył i zaczął zwoływać ludzi.

Trakowie cofnęli się o krok, potem o drugi.

Obrócił głowę, przez chwilę bezpieczny, i zobaczył, że Milus, Francis Atcourt i tuzin innych zbrojnych biegną w lewo.

Kompania się obracała, prawe skrzydło szło naprzód, lewe się cofało. A on

nie miał pojęcia dlaczego. Uwięziony w dusznym, cuchnącym potem wnętrzu hełmu nie widział niczego poza następnym przeciwnikiem.

Przystanął. Obrócił się i przepuścił Toby'ego. Nacisk zelżał, miał wolne miejsce. Szeroka przestrzeń otworzyła się pośrodku szeregu, Trakowie cofnęli się o tuzin kroków i stanęli. Ci, którzy wciąż mieli włócznie, unieśli je i pochylili.

Środek kompanii się zatrzymał.

Toby przeszedł dalej, potem minął go Osiełek. Później Czerwony Rycerz znalazł się za Nell, która miała białą twarz i czerwoną ranę od ucha do lewej piersi zadaną przez kolczugę.

Nie miał dla niej czasu. Cofnął się.

Jakiś chłopak trzymał jego rumaka. Czerwony Rycerz aktem czystej woli dźwigał się na siodło. Rozpiął sprzączkę i unióś zasłonę. Umył się w powietrzu. Wdychał rześkie, czyste powietrze, rozkoszował się nim po smrodzie panującym we wnętrzu przyłbicy...

I zobaczył, że Nordykanie umierają.

Zabili wielu rycerzy i jeszcze więcej koni, ale teraz byli wyspą na morzu kawalerii. Nieprzyjacielscy stradioci mieszała się z najemnymi rycerzami. Widział złocony hełm Derkensuna i wciąż błyskające topory.

Ser Milus na czele trzeciej części kompanii runął im z odsieczą.

Na prawo, gdzie młody Mortimir powinien podtrzymywać tarczę osłaniającą kompanię, trwał hermetyczny pokaz światła niepodobny do niczego, co dotychczas widział. Ser Michael był daleko w polu, zbliżając się miarowym stępem – tak daleko, jakby był na wyciągnięcie broni od Demetriusza.

Chwile dzieliły środek linii wroga od porażki, podobnie jak jego lewe skrzydło.

Eskepiles – Czerwony Rycerz widział go w zamęcie bitwy – obracał się jak człowiek walczący z watahą wilków. Był sam, wszystkie jego tarcze zniknęły.

Za nim, dalej na prawo, przy starej drodze do Dormlingu, w szeregach nieprzyjacielskiej konnicy panowało zamieszanie – zamieszanie, które podniosło go na duchu. Patrzył, jak wardarioci i scholiści pędzą galopem.

Jeden głęboki oddech.

Wszystko było w doskonałej równowadze.

Nie był to czas na rycerskość.

Wskazał mieczem najemnych rycerzy nieprzyjaciela i rzucił czary.

Wschodni jeźdźcy się nie pojawili.

Hrabia Zak ściągnął wodze po ostatniej markowanej ucieczce i gdy jego doborowa lekka jazda zebrała się wokół swoich chorągwi, objechał kamienną stodołę i spojrzał na zachód. To, co zobaczył, skłoniło go do uśmiechu.

Pojechał do scholistów i wardariotów.

– Zmienić konie – rozkazał.

Ser Giorgios miał w prawym udzie strzałę, krótko ułamaną. Pomachał ręką. Był blady, ale panował nad sobą, co w oczach kogoś takiego jak Zak było godne najwyższej pochwały.

– Jesteś jak jedno z moich dzieci – powiedział.

Ser Giorgios pokiwał głową.

– Boli jak trucizna – mruknął. – Środek się trzyma, jak się zdaje. Co teraz robimy?

Zak skinął głową.

– Teraz wygramy – odparł. Wskazał pejczem na zachód.

Ser Giorgios zdobył się na złośliwy uśmiech.

– Nic nie widzę.

– Właśnie dlatego wygramy! – powiedział Zak.

Pachołkowie podbiegli z zapasowymi wierzchowcami. Zmiana koni doborowym żołnierzom zajęła chwilę.

Naprzeciwko mieli tylko prawe skrzydło linii wroga. Ten koniec się przesuwiał, próbując przeformować szyk po drugiej stronie drogi. Moreańczycy byli dobrymi żołnierzami – nie stworzyli zamętu. Ale poważyli się na ryzykowny manewr w obliczu wroga.

Hrabia Zak obserwował ich tak długo, jak długo dziecko liczy do dziesięciu.

– Nieźle – powiedział. – Ale źle.

Ustawił się dokładnie pośrodku pomiędzy regimentami.

– Stępa! – rozkazał.

Dwa regimenty jazdy ruszyły elegancko jak na paradzie.

Zak marzył o tym setki razy: uderzyć na przekór szansom. Świeży koń i bardzo ostry miecz.

I wróg uwięziony w miejscu. Było to marzenie stepowego nomady.

– Dobyć...! – ryknął. Jego koń zrobił sześć tanecznych kroków. – Miecze!

Pięćset szabel załśniło niczym lód w słoneczny zimowy dzień.

Wardarioci i scholiści zwarli szyki, jak to ćwiczyli, tworząc jednolitą masę koni i szabel albo młotów bojowych, albo niewielkich stalowych toporów –

co kto wołał.

Naprzeciwko nich traccy jeźdźcy zadrżeli. Drzenie było widoczne, ich szeregi się poruszyły.

Gwardziści sunęli do przodu jak tancerze na balu. Ich precyzja była nadludzka i budzili grozę.

Zak obrócił głowę i dostrzegł coś na drodze po prawej stronie – błysk stali.

Roześmiał się, stanął w strzemionach i szeroko zakręcił długą szablą, jakby mu to pisali bogowie omiatanych wiatrem stepów.

Mimowolny wrzask wyrwał się z jego gardła.

Wardarioci odpowiedzieli krzykiem. Gwardziści przyłożyli włócznie do końskich karków i przypuścili szarżę.

W odpowiedzi z drogi do Dormlingu napłynął potężny okrzyk, toczący się nad polem jak łowiecki zew wielkiego wiwerna lub smoka:

– Lachlan! Lachlan za aa!

*Harmodiusz stał wśród trybów, kół i form odlewniczych w pałacu pamięci Eskepilesa. Miał czas, żeby się zachwycić złożonością dzieła. Były tam wystrzępione liny, maksymalnie napięte łańcuchy i przeciekające kubły. Woda obracająca koła, które napędzały maszynię, była powolna i gęsta, brudna od niespełnionych obietnic i zdrad.*

*Harmodiusz machnął mieczem i masywne miechy zniknęły. Pozwolił sobie na uśmiech. Tysiące razy przychodziło mu na myśl, że włos, który zabrał od płatnerza w Liwiapolis, mógł należeć do kogoś innego, nie do Eskepilesa.*

*Pojawiła się eterealna postać Eskepilesa. Ukazał się jako wielki czarnobrody mężczyzna o twarzy skrzywionej w grymasie niezadowolenia. Dwa grube czarne sznury odchodziły od jego czoła i biegły w eterealną przestrzeń.*

*Precz! – warknął.*

*Harmodiusz się uśmiechnął.*

*Jestem lwem, powiedział. I przeciąłem łańcuchy, które zasilały... coś.*

*Rozległ się potężny trzask.*

*Eskepiles – wyraźnie spanikowany, nawet tutaj, u siebie – uniósł żelazną różdżkę.*

*To nie robi żadnej różnicy, powiedział Harmodiusz. Ale sianie spustoszenia wewnątrz własnej głowy nie jest najlepszym pomysłem.*

*Ruszył naprzód.*

*Kim jesteś? – zapytał czarnoksiężnik. Jak to się mogło stać?*

*Jestem lwem, odparł Harmodiusz i użył Okrutnego Miecza, żeby jednym*

*ciosem zniszczyć duszę Eskepilesa.*

*Następnie lekko się otworzył i unicestwił pałac pamięci martwego człowieka, przerażony stratą energii i potencjału, gdy całe kolosalne magiczne dzieło odpłynęło w eter i świat materialny. Pracował szybko, zdrapując resztki jak koczownicza oskrobuje skórę z tłuszczu.*

*Następnie rozpakował swój własny schludny pałac. Miał mnóstwo czasu na ćwiczenie i rozwinął go ze swojej duszy w oczyszczoną przestrzeń. Niektóre rzeczy dziwnie pasowały. Inne być może nigdy nie będą takie same.*

*Harmodiusz wspomniął swoje pierwsze pokoje z czasów, kiedy był studentem w Harndonie. Nie pasowały do jego mebli, ale należały do niego.*

*Dwie czarne liny przymocowane do eterealnego czoła magistra pozostały i gdy wokół Harmodiusza zmaterializował się jego własny pałac pamięci, przemieniły się w czarną źrenicę złotego oka. Złotego oka wielkości drzwi.*

*– Ach... – wymruczał ktoś głębokim, przyjemnym głosem. – Widzę. Myślałem, że nie żyjesz.*

*Oko mrugnęło.*

*– Nie zatriumfujesz – powiedział intruz takim tonem, jakby przekazywał najlepszą z wiadomości. – Ale przyznaję, to było sprytne.*

*Miecz błysnął i oko zniknęło.*

*Harmodiusz stał i trząsł się w swoim nowym domu.*

Kiedy było za późno, żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie, ser Christos stanął w swoim rozgromionym skrzydle i przygotował kopię.

Górale z Zielonych Wzgórz byli odwiecznymi wrogami Traków. Znali się wzajemnie. Stawali ramię w ramię przeciwko Diczym i rąbali jedni drugich na kawałki podczas wypadów przez granicę.

Większość wrogów stawała pieszo – rośli mężczyźni w kolczugach, jak Nordykanie, i równie zaciekli. I płynęli jak przypływ. Ser Christos zaklął, bo kiedy indziej, na innym polu, zwinąłby tych aroganckich górali jak dywan.

Ale dziś jego ludzie nie mogli walczyć na dwóch frontach jednocześnie i dlatego ulegli. Co więcej, pomyślał ser Christos, wspierając kopię na haku, co więcej, żaden z nich nie wierzył, że warto umierać za Demetriusza.

Jeden człowiek wśród jego przeciwników przybył konno: olbrzym na wielkim rumaku. Ser Christos wiedział, jaki los go czeka – zostanie stracony jako zdrajca – więc postanowił dać swojemu synowi inną wizję swojego końca.

*Spiął konia ostrogami.*

*Opancerzony wielkolud go zobaczył i skinął kopią – czyżby na znak uzna-*

nia? – po czym ruszył do ataku. Kopyta jego rumaka muskały ziemię, słońce roztopiło powierzchnię drogi, a stopy tysiąca ludzi rozbiły darń w błoto. Ale on i jego wróg byli na drodze.

Wydał swój okrzyk wojenny i opuścił kopię.

Podobnie jak przeciwnik, który ryknął „Lachlan za aa!” w zamkniętej przyłbicy. Ser Christos się uśmiechnął.

Zderzyli się z trzaskiem gromu.

Grot kopii ser Christosa przebił tarczę olbrzyma, przeszywając dwie warstwy wołowej skóry i starannie ułożone płyty łosiowej pod spodem, po czym wniknął w kolczugę chroniącą pachę. Kopia się wygięła i pękła w trzech miejscach.

Kopia Lachlana z pełną siłą uderzyła w jego tarczę, rozbiła ją na kawałki i się skruszyła, ale ułomek uderzył go w ramię i odchylił w siodle. Siła starcia sprawiła, że oba konie przysiadły na zadach. Rumak ser Christosa pierwszy się wyprostował, ale zaraz ten większy go ugryzł, podczas gdy rycerze szarpali mieczami, próbując ich dobyć. Obaj trzymali się w siodłach.

Konie się okrążyły. Lachlan broczył krwią z prawej pachy. Moreańczyk podejrzewał, że ma pęknięty obojczyk. Wyciągnął miecz i trzasnął nim w hełm wielkoluda bez oczywistego skutku – dobry cios, ale niewystarczający.

Lachlan się obrócił i zdążył dobyć miecza w porę, żeby zablokować cięcie w kark.

Przez dziesięć uderzeń serca wymieniali błyskawiczne ciosy i zderzająca się stal krzesła iskry. Obaj byli ranni.

Ogier Lachlana uderzył podkutym żelazem kopytem w prawą przednią nogę wierzchowca ser Christosa i kość pękła z trzaskiem. Rumak się zachwiał. Ser Christos, ignorując doskwierający mu ból, zacisnął lewą dłoń na prawej ręce Lachlana. Jego koń padł, pociągając ich obu za sobą.

W tym czasie ser Christos był ostatnim człowiekiem Demetriusza walczącym w promieniu stu kroków. Inni wokół nich znieruchomieli – i ci zajęci braniem jeńców dla okupu, i ci wsparci na zbryzganych krwią toporach i mieczach – żeby patrzeć.

Ludzie, którzy się właśnie poddali, robili to samo.

Dwóch wojowników jednocześnie podniosło się z ziemi. Ser Christos mocno uderzył głowicą w hełm Lachlana, aż głowa odchyliła się do tyłu. Zły Tom cofnął się o krok i dźgnął sztychem. Mniejszy mężczyzna się zachwiał.

Krążyli. Lachlan broczył krwią z pachy i ręki, i z rany pod kolczym kapturem. Ser Christos trzymał miecz w jednej ręce i krew mu spływała po lewym



nabiodrku. Zmienił postawę, obracając się w biodrach i osłaniając mieczem lewą stronę ciała, ze sztychem skierowanym do tyłu.

Górale śpiewali. Ser Christos nie miał pojęcia, co śpiewają, ale był zdecydowany pokonać swojego przeciwnika bez względu na cenę. Albo umrzeć, próbując.

Kiedy Lachlan ciął, zadając znad głowy potężny cios, który, jak się zdawało przeczył otrzymanym przez niego ranom, ser Christos poderwał miecz w jednej ręce.

Zatrzymał cios Lachlana.

Zmagali się, mieczem w miecz, przez pół uderzenia serca.

Szybki jak żmija góral obrócił miecz i trzasnął głowicą w twarz ser Christosa. Moreański rycerz uniósł ręce, żeby się osłonić.

Lachlan przesunął głowicę nad jego uzbrojoną ręką i ją zablokował. Przesunął ostrze nad głową Moreańczyka, używając zakotwiczonej głowni jako miejsca podparcia, i uwięził ramiona ser Christosa swoim ciałem i mieczem, jednocześnie miażdżąc mu gardło.

Nastąpiło to tak szybko, że ser Christos mógł się tylko szamotać, próbując wcisnąć miecz pomiędzy ręce wielkoluda. Puścił rękojeść, gdy świat pociemniał, i sięgnął po sztylet.

Olbrzym podciął mu nogi, więc zawisł w powietrzu.

– Poddaj się! – ryknął Tom Lachlan. – Bogowie, to było piękne!

Ser Christos zakaszłał. I upadł na ziemię.

Zły Tom podniósł zasłonę hełmu i sapał jak miech. Jego ludzie zebrali się wokół powalonego rycerza.

– Nie zabijać tego półgłówka! – warknął. – Chcę mieć go żywego.

Demetriusz nie czekał na klęskę swojej armii. Gdy tylko zobaczył, że tchórzliwy Eskepiles zawraca konia i umyka z pola, kierując się na zachód – co za głupi pomysł – natychmiast się zorientował, skąd wieje wiatr.

Na wschodzie, przy drodze do Loniki, najemni rycerze zostali zdziesiątkowani przez atak hermetyczny i teraz uciekali przed niedobitkami Nordykanów. Środek poszedł w rozsypkę – w prostokącie włóczników ojca Demetriusza ziała wyrwa i wlewali się do niej albańscy najemnicy. Większość weteranów rzucała broń i klękała, poddając się. A na zachodzie, zamiast jego wschodnich wojowników, pojawili się wrogowie.

– Wynośmy się stąd – powiedział.

Dariusz wzruszył ramionami, jakby był zmęczony całą tą sprawą.

Otoczony przez straż Demetriusz pojechał na południe.

– *Gabrielu!*

Czerwony Rycerz wstrzymał konia i czekał na ukłucie bólu w czole. Nie doczekał się.

– *Harmodiuszu?*

– *Idę własną drogą. Pole walki jest twoje, połóż kres rzezi, gdy tylko będziesz mógł.*

– *Tom będzie wściekły.*

– *Być może więcej się nie zobaczymy. Jak podejrzewał pan Smith, Eskepiles był narzędziem, podobnie jak Głóg. Popiół ich wykorzystuje. Jest jednym z Pierwszych. Zrobiłem coś niemoralnego. Chcę cię prosić o przysługę. Przez miesiące używałem twojego ciała, ale sądzę, że jesteś mi coś winien.*

*Gabriel intuicyjnie odgadł, co musiało się stać. Ponieważ pokaz światel się skończył.*

– *Zawładnąłeś ciałem Morgana Mortimira – powiedział.*

– *Nie. Miałem taką możliwość i była to pokusa, której na szczęście się oparłem. Wziąłem ciało Eskepilesa. Prawdę mówiąc, teraz ja JESTEM Eskepilesem. On nie.*

– *A ta przysługa? – zapytał Gabriel.*

– *Nie ścigaj mnie. Przyświecają nam te same cele.*

*Gabriel uważnie spojrzał na swojego mentora.*

– *Dokonałeś mrocznego wyboru.*

– *W dobrej sprawie.*

*Gabriel pokiwał głową.*

– *Nie będę cię ścigać.*

*Harmodiusz wyciągnął eterealną rękę.*

– *Będziesz teraz bardzo potężny. Mortimir, kiedy dojdzie do siebie, w końcu stanie się jeszcze potężniejszy. Wiedz, że nawet z Mag Amicją i kilkoma innymi sprzymierzeńcami możesz przetrwać nie dłużej niż świeca w ulewie, gdy zetrzesz się z naszym prawdziwym wrogiem. Ale musisz spróbować. – Eterealna postać starca wzruszyła ramionami. – Masz nieprawdopodobne szczęście, które mi daje nadzieję.*

*Gabriel pokiwał głową.*

– *Dzięki za dobrą radę, starcze. – Wyciągnął ręce i objęli się w eterze, co w tym otoczeniu było gestem zaufania przechodzącym wyobrażenia wielu adeptów.*

– Dokąd się udajesz? – zapytał Gabriel.

Harmodiusz milczał przez chwilę.

– Lepiej, żebyś nie wiedział, chłopcze. Trudne sytuacje wymagają poświęceń. – Uśmiechnął się. – Zostawiam ci moje spisane domysły na temat tego, co się dzieje.

Podał mu zwój, eterealny zwój, który to koncept przyprawił go o ból głowy.

– Idź z Bogiem – powiedział Harmodiusz.

A potem Gabriel naprawdę został sam.

Podczas zacieklej bitwy jest taki moment, kiedy nie można brać jeńców, bo ludzie zbyt się boją albo za bardzo oddają się zabijaniu, żeby okazać miłosierdzie.

Ale jest inny moment, kiedy obie strony są bliskie wyczerpania. Wtedy w czystym zmęczeniu można spojrzeć dalej, niż sięgają strach i wściekłość.

Kiedy jeden z kapitanów oddziału Andronikusa wyciągnął miecz trzymany za ostrze, ser Michael to zobaczył. Ujął rękojeść i uniósł oręż wysoko, odsłaniając pachy.

– Poddają się! – ryknął.

Zajęło to jakiś czas. Dla ostatnich ludzi sieczonych przez Kelvina Ewalda i Rozmyślnego Morda trwało to zbyt długo. Niektórzy w zamkniętych hełmach po prostu nie usłyszeli. Inni mogli nie dojrzeć.

Gdy rozeszła się wieść o kapitulacji, trzeba było na siłę pohamować kilku Nordykanów. Harald Derkensun, zdecydowany zetrzeć z powierzchni ziemi rycerzy, wszystkich rycerzy, trzasnął w głowę ser Milusa, wgniatając mu hełm. U jego stóp leżał martwy Ciemnowłosa przesyty kopiają najemnika.

Czerwony Rycerz spoglądał z grzbietu rumaka po poboju. Przed chwilą się dowiedział, że ser Jehan nie żyje. I John le Bailli.

Ser Gawin chwycił jego strzemię.

– Tam jest ten łajdak – powiedział, wskazując złoty hełm i białego konia niktą na południu.

Czerwony Rycerz dał się owładnąć gniewowi.

– Dorwiemy go.

– Na rozkaz – powiedział Gawin. Pokuśtykał do koni i paziów stłoczonych za linią walki.

Po lewej i prawej stronie pokonani Trakowie osuwali się na ziemię, siadając w błocie i krwi. Kompania wcale nie wyglądała lepiej. Połowa ludzi kłęczała albo stała zgięta wpół.

Ser Alkajos przywlókł się z prawej strony.

– Musisz zabić Demetriusza – powiedział. – To się nie skończy, dopóki ten diabeł nie zdechnie. – Powiódł wzrokiem dokoła. – Trakowie są upartymi, dzielnymi ludźmi. I są nam potrzebni.

Czerwony Rycerz spojrział na moereańskiego rycerza.

– Wiem – powiedział.

„Lepiej niż ty”, dodał w myśli.

Alkajos chwycił uzdę jego konia, a Dmitrij, jego giermek, wdrapał się na swojego. Wierzchowce były świeże; to ludzie byli wyczerpani po czterdziestu minutach walki.

Czerwony Rycerz pochylił się w siodle do ser Michaela, który nalegał, że chce jechać.

– Zamknij się – warknął diuk. – Masz tu zostać i zapobiec masakrze. Potrzebujemy każdego z tych drani o sztywnych karkach. Mam rację? I nie pozwól, żeby Rozmyślny i Długa Łapa wyrównali rachunki za Dryga. Rozumiesz?

Michael pokiwał głową.

– Pchnij posłańca do Gelfreda i zwiadowców, żeby ruszyli dupy i natychmiast się tu stawili. – Czerwony Rycerz popatrzył na swojego brata. Ojciec Arnaud przerzucił nogę nad grzbietem czarnego jak smoła rumaka. – Ojcie, sprowadź Mag. I, ojcie...

– Wiem – mruknął Arnaud.

– Trzeba jej powiedzieć. – Czerwony Rycerz choć raz wyglądał młodo; bardzo młodo i bardzo nieszczęśliwie. – Dlaczego twój Bóg pozwolił na takie kurestwo, ojcie?

Wzrok księdza przesunął się po stosach poległych znaczących apogeum trackiej szarzy.

– Ponieważ wszyscy mamy wolną wolę – odparł zakonnik. – To nasze kurestwo, nie Jego. Powiem Mag.

Czerwony Rycerz uniósł brew. Otworzył usta, ale jego brat się pochylił i trzasnął go w bok głownią sztyletu. Kapitan zamknął usta i wyciągnął rękę do księdza, stalową rękawicę do stalowej rękawicy.

– Dzięki. Postaram się wrócić jak najszybciej.

Ruszyli w kilkunastu: ser Alkajos i jego giermek Dmitrij, ser Gawin, Toby, Długa Łapa, Nell, ser Milus, ser Bescanon, Kelvin Ewald i trzech paziów, którzy mieli pod ręką świeże konie. Do tego jeden z młodych Lanthornów i dwóch moreańskich rekrutów.

Była to bardzo mała armia.

Każdy prowadził dwa konie i poświęcili trochę czasu, żeby zabrać wodę i prowiant. Większość z nich jadła ser albo kiełbasę, gdy kłusowali na południe od pobojowiska.

Jechali na przemian szybkim kłusem i galopem do zachodu słońca. Nikt się nie odzywał.

Dziesięć mil na południe od pola bitwy zsiadli z koni. Długa Łapa obejrzał martwego rumaka na drodze. Jeszcze nie było ciemno; marzec w Morei przypominał późną wiosnę w Albie i czerwone słońce sprawiało, że wszystko rzucało długie cienie. Na zachodzie widzieli tylko niedobitki trackiego lewego skrzydła ścigane przez wardariotów, którzy najwyraźniej nie dostali rozkazu zaprzestania rzezi.

Czerwony Rycerz spojrział ze zmęczeniem w tamtą stronę i postanowił wysłać do nich ser Bescanona z dwoma moreańskimi paziami w charakterze tłumaczy.

– Wolałbym jechać z tobą, panie – powiedział Bescanon.

– Cóż, ja wolałbym się napić z wardariotami i położyć kres zabijaniu, więc jesteśmy w takiej samej sytuacji – rzekł mu na to diuk.

Długa Łapa podrapał się pod brodą.

– Uciekinierzy mają godzinę przewagi i jadą forsownie. Powiedziałbym, że galopują.

Ser Gawin pokiwał głową.

– Jeśli dotrą do Eves, będziemy mieli twarde orzechy do zgryzienia. Nie mamy ludzi.

Czerwony Rycerz skinął głową.

– Nic dodać, nic ująć – mruknął i zmusił konia do ciężkiego galopu.

Zmienił konie, gdy z dziennego światła została czerwona smuga na zachodnim nieboskłonie, z czerniejącymi na jej tle szczytami najwyższych Adnarni. Pogalopowali dalej. Widzieli wznoszący się przed nimi akropol Eves i ciemne plamki tuzina konnych pędzących drogą.

Pędzili w grzmocie kopyt, aż zgasły ostatnie resztki światła i stało się jasne, że oddział Demetriusza zdoła dotrzeć do Eves.

Diuk ściągnął wodze.

Stanął w strzemionach i wyciągnął lewą rękę.

– *Ignem veni mittere in terrain!* – krzyknął i milę dalej wzniosła się linia ognia.

– Jezu! – zabluznił Gawin.

– Niezupełnie – powiedział jego brat. I spiął konia ostrogami.

Cwałowali wśród ciemniejących pól i ludzie, których ścigali, uwięzieni na drodze przez wysokie mury i wieżę płomieni, w końcu zawrócili. Było ich dwudziestu, wszyscy będący zawodowymi żołnierzami. Nosili różnorakie zbroje, choć na każdym tabardzie pysznił się złoty lampart, odznaka Demetriusza. Oddalali się od ognia, który huczał jak w piekle.

Demetriusz w złotym hełmie, jadący na białym rumaku, wyglądał niczym anioł. Ale ogień płonął czerwono i nadawał mu wygląd upadłego anioła, buntownika. Jechał pierwszy i wstrzymał konia pięćdziesiąt jardów od Czerwonego Rycerza, którego wierzchowiec dyszał, jakby miał się ochwacić.

– Koń bojowy – rzucił cicho Czerwony Rycerz.

Nell podprowadziła rumaka.

Zsiadł.

– Jedna walka! – krzyknął. – Możemy walczyć o wszystko, Demetriuszu.

– Myślę, że po prostu się poddam i zobaczę, co postanowi moja kuzynka Irena – odrzekł Demetriusz. – A może moja straż pojmie ciebie i twoich przyjaciół. Czy nie byłaby to miła odmiana fortuny?

Czerwony Rycerz wsunął stopę w strzemień rosłego karego rumaka i włożył całą siłę w to, żeby się wciągnąć na siodło. Nie zdołał tego dokonać i o mało nie upadł, ale koń stał spokojnie.

Westchnął.

– Spójrz na kolumnę ognia, który płonie za twoimi plecami, Demetriuszu. I zapytaj samego siebie, czy naprawdę możesz mnie pojmać, mnie i moich przyjaciół?!

– Zgadzam się z tobą – odparł Demetriusz lekkim, kulturalnym głosem jak aktor komiczny. – Oddaję się tobie w niewolę.

Czerwony Rycerz ponownie spróbował wciągnąć się na siodło. Lewe udo odmawiało mu posłuszeństwa. Zbroja ciążyła niczym świat na barkach Atlasa.

Demetriusz się roześmiał.

– Może jednak powinienem walczyć. Słyszałem, że jesteś bardzo dobry, ale wyglądasz na zmęczonego.

Nagle zatrzasnął przyłbicę, położył kopię na haku i jego koń skoczył z kopyta. Dzieliło ich pięćdziesiąt jardów. Taką odległość koń bojowy pokonuje w dziesięć sekund.

Czerwony Rycerz podskoczył. Nell wsunęła ramię pod lewy nabiodrek i pchnęła. Omal nie spadł, ale zdołał utrzymać się w siodle.

Osiem.

Wsunął stopy w strzemiona.

Sześć.

Wbił ostrogi w boki rumaka i sięgnął po miecz.

Pięć.

Trzymał rękojeść, kiedy koń bojowy nabierał prędkości.

Trzy.

Kopia Demetriusza tańczyła w świetle ognia. Był podświetlony od tyłu i w złotej zbroi płonął niczym stworzenie piekielne albo jeden z dawnych bogów. Miecz Czerwonego Rycerza błysnął...

Jeden...

Ciął, unosząc rękę, opuszczając sztych, i kopia przemknęła obok nieosłoniętego boku. Odwrócił ostrze i pełną siłą prawego ramienia trzasnął emaliowaną na czerwono głowicą w zasłonę hełmu Demetriusza, zahaczył nią o szyję i przeciągnął go nad tylnym łękiem siodła. Demetriusz runął na ziemię.

Czerwony Rycerz ściągnął wodze kilka kroków od ludzi despoty. Trudno było zobaczyć wyraz ich twarzy w migotliwym świetle, więc cofnął konia, zanim się odwrócił. Żaden z nich na niego nie ruszył.

Pokłusował drogą do Demetriusza, który podniósł się na ręce i kolana. Zsiadł z konia i podszedł do przeciwnika. Młody człowiek ściągał kaptur kolczy, rozpaczliwie próbując wciągnąć powietrze przez częściowo zmiażdżoną tchawicę.

Despota zdjął hełm i zassał potężny haust powietrza. I zobaczył Czerwonego Rycerza.

– Podaję się – jęknął i wyciągnął miecz.

Czerwony Rycerz trzymał swój ukośnie, sztychem w dół w swobodnej gardzie zwanej *Tutta porta di ferro*.

– Nie – powiedział i ciął.

Głowa Demetriusza uderzyła w ziemię w tej samej chwili co ciało, ale już nie stanowiły jedności.

Daleko na północy Czarny Rycerz stał z dwoma giermkami i panem de Marche pod łopoczącymi liliami i sercami Galii. Zgodnie z ustaleniami przybyli na wyspę pośrodku Wielkiej Rzeki. Na trawie wciąż leżał śnieg, na który padały kapryśne promienie słońca końca zimy.

– Nie przyjdzie – powiedział de Marche. Żałował, że musiał zostać interlokutorem Czarnego Rycerza. Ta rola nie sprawiała mu przyjemności.

Ser Hartmut Li Orguelleus pokiwał głową.

– Warto było tu przybyć, żeby się przekonać.

Uniósł dłoń w panczernej rękawicy.

– Ha! Jest, panowie.

Na północnym brzegu ukazała się grupa ludzi. Nieśli cztery smukłe łodzie i po chwil spuścili je na wodę.

Przeplłynięcie przez Wielką Rzekę, która wzbierała po pierwszej odwilży, zajęło im prawie godzinę.

De Marche spojrział na ser Hartmuta. Mężczyzna stał bez ruchu, lodowato spokojny, nie okazując żadnych uczuć. Ani śladu zmęczenia. De Marche czuł ciężar swojej zbroi – kostki zaboląły jeszcze bardziej, gdy tylko o nich pomyślał.

Ser Hartmut po prostu stał.

W końcu trzy łodzie dobiły do brzegu. Wysiedli z nich niechlujni wojownicy w pordzewiałych kolczugach i przystojny młodzieniec w czymś, co wyglądało na zbroję domowej roboty. Ukłonił się dwornie.

Ser Hartmut otworzył przyłbicę.

– Dzień dobry, panie.

Młody człowiek wyprostował się po ukłonie.

– Jesteś, jak miemam, Czarnym Rycerzem. Mój pan przysyła mnie z pytaniem, czy pragniesz wziąć Ticondagę.

– Chcę i wezmę – odparł ser Hartmut.

Nagle zjawił się Mówiący Językami, odziany w czerń, z gałęzią tkwiącą w brzuchu, spowity zapachem rozkładu. Jego niegdyś przystojna twarz była zupełnie nieruchoma. Co więcej, ciało było martwe.

Pod ciałem Głóg nie był martwy.

– Ten młodzieniec jest prawowitym dziedzicem hrabstwa Północnego Muru – oznajmił. Chciał, żeby głos brzmiał przyjemnie, ale wyszedł z wprawy i płuca jego kukły nie żyły. Pojawiły się muchy, gdy przemówił. Kukła cuchnęła i chrypiała.

De Marche zwymiotował. I przetłumaczył.

Ser Hartmut wzruszył ramionami.

– Jesteś nekromantą – powiedział.

Trup się nie poruszył.

– Czego chcesz? – zapytał Li Orguelleus.

Miał wrażenie, że prowadzi rozmowę z samym szatanem i legionem jego upadłych aniołów, ale przecież nie zyskałby przydomka Rycerza o Złej Sła-



wie, gdyby się nie zadawał z wcielonymi diabłami. Co więcej, sprzymierzał się z nekromantami. Znał ten zapach.

Wiedział też inne rzeczy, co sprawiło, że lekki uśmiech wykrzywił mu usta.

Głóg nigdy nie był głupcem. Spostrzegł reakcje ludzi na jego kukłę i uznał, że musi się jej pozbyć. Nie zachował ostrożności i pozwolił, żeby ciało umarło. Dlatego je porzucił, chwycił jednego z niechlujnych wojowników i natychmiast go przejął.

Nowy gospodarz był wysoki i chudy. Nigdy nie należał do przystojnych – miał szczerzą twarz – ale cały organizm działał jak należy.

– Tak będzie lepiej – rzekł Głóg. – Chcę mieć sprzymierzeńca na północy. Chcę, żeby ludzie zostawili Dzicz w spokoju, wszyscy ludzie. Pomogę zająć Ticondagę w zamian za prawo swobodnego przejścia na południe i wykorzystanie głębokich piwnic zamku jako źródła zapasów dla mojej armii.

– Twojej armii? – zapytał ser Hartmut.

– Wezwę Dzicz i wszyscy przybędą. Czereda boglinów, jakiej świat dotąd nie widział. Ocean jedwabiarzy na wodzie. Wiwerny i Opiekunowie, irkowie, trolle i stworzenia, jakich nikt sobie nie wyobraża. – Głóg rozpostarł ręce. – Sprowadzę ogień z wysoka.

Ser Hartmut potarł palcami końce wąsów.

– Jak przemieścisz tę armię?

Głóg wzruszył ramionami, co sprawiło mu przyjemność.

– Mój kapitan zajmie się szczegółami. – Wskazał młodego człowieka.

Ser Hartmut pokiwał głową.

– Na co przysięgniesz?

Głóg masował swoją pamięć, aż jego nowa kukła skrzywiła usta w uśmiechu.

– Na moje imię.

– Na tych warunkach jestem chętny zawrzeć sojusz. – Ser Hartmut popatrzył na de Marchego, który nie szczędził starań, żeby zachować obojętny wyraz twarzy.

– Ostania sprawa – powiedział Głóg. Ser Hartmut przypominał mu wszystkie cechy, których nie lubił u ludzi, szczególnie u tych walczących.

Ser Hartmut uniósł brew. W basinecie wymagało to pewnego wysiłku.

– Wezmę Ghouse. I należy wybić wszystkich Murienów, bez wyjątku. – Jego głos brzmiał nieprzejednanie.

Hartmut się uklonił.

– Z przyjemnością powiem, że nawet nie wiem, kim jest Ghouse. A Murie-  
nowie... – Pstryknął palcami.

Ponad dwieście lig lotem orła na wschód Mag pracowała. Podobnie jak Morgan Mortimir, Czerwony Rycerz i wszyscy inni potrafiący wykorzystać *potentia* i przekazać ją tym, których można było uzdrowić. Stodoła cuchnęła krwią i odchodami, i gdy tylko ludzie zostawali opatrzeni, ich kości zespolone i brzuchy zaszyte – albo gdy tylko ich oczy zamknęły się na zawsze – wynoszono ich do czystszych miejsc.

Nie cała praca miała charakter hermetyczny. Nawet ze wsparciem Amicji z dalekiego Południowego Brodu, nawet z każdym strzępkiem szkolenia i mocy, jaki mogli zebrać, mężczyźni i kobiety pracowali przede wszystkim rękami. Jahaduta, Josef ben Mar Chijja, pracował, dopóki nie zasnął, a gdy wstał, znowu wziął się do pracy, ostrożnie używając swoich medycznych umiejętności, żeby wzmocnić te hermetyczne.

Nie był jedynym magiem, który pracował w świecie materialnym.

Ojciec Arnaud nie przerywał pracy przez trzy dni. Gdy Mortimir kręcił głową nad wylanymi wnętrznościami i pozwalał, żeby dusza rannego uwolniła się od ciała, gdy Mag siedziała jak marionetka z przeciętymi sznurkami, już niezdolna płakać nad swoim kochankiem ani nad chłopcami, którzy umierali, z rozpaczliwą nadzieją patrząc jej w oczy, Czerwony Rycerz zrozumiał, że wyczerpał swoją *potentia* i nie może zrobić nic więcej. Podniósł głowę i zobaczył, że ojciec Arnaud pochyla się nad Willem Brudną Wodą, chłopakiem, który skaleczył się w nogę. Skaleczył się na podwórzu, rana uległa zakażeniu i teraz chłopak miał za to zapłacić życiem.

Ksiądz mruknął coś i zadrżał. Uniósł ręce i zaczął się modlić.

Chłopiec umarł.

Ojciec Arnaud wstał z klęczek i z jego piersi wyrwało się długie westchnienie. Nakreślił znak krzyża na czole chłopca i powiedział:

– Oby Chrystus towarzyszył ci podczas tej podróży. Nie zaznasz więcej bólu, czeka cię wieczna radość. – Podeszedł do następnego zalanego krwią kopca siana, na którym leżał mężczyzna zwany Lingcropper. Tym razem nie sięgnął do swoich nadwątlonych mocy. – Wystarczy zmienić bandażę – powiedział wesoło.

Gabriel patrzył na księdza i chciał mu coś powiedzieć, ale nie mógł sobie przypomnieć co. Dlatego tylko położył rękę na jego ramieniu i poszedł na poszukiwanie Mag.

Mag siedziała na krześle, na które padła po ostatnim hermetycznym uzdra-  
wiającym cudzie. Była przy niej jej córka Sukey, a Kaitlin de Towbray trzy-  
mała ją za rękę. Najdziwniejsze, że Zły Tom stał za jej plecami.

Mag uniosła głowę.

– Nie zamierzam wybuchnąć – powiedziała.

Gabriel Murien ujął jej wolną rękę.

– Nie będę udawać, że nie przyszło mi to do głowy.

Mag odwróciła wzrok.

– Czasami musi do tego dochodzić. Naprawdę potężny mag traci zmysły?  
To byłoby straszne. Chryste, uchwaj.

Kłęczał przy niej przez jakiś czas. Nagle i niespodziewanie ciężarna Ka-  
itlin wybuchła płaczem, a Mag i Sukey do niej dołączyły.

Gabriel Murien był zdolny do płaczu. Nie płakał głośno, ale z jego oczu  
popłynęło całkiem sporo łez.

Zanim ucichł szloch albo zawodzenie Lanthornówny, Tom złapał go za ra-  
mię.

– Musisz się napić – powiedział.

Wyprowadził diuka z pełnej błota, krwi i fekaliów stodoły na leżące za nią  
zielone pola. Namiot diuka stał na młodej zielonej trawie.

Tom zaprowadził Czerwonego Rycerza do stołka i go posadził. Toby przy-  
szedł i umył mu ręce, a on patrzył, jak spływa z nich stara krew. Przyglądał  
się odrobinę zbyt uważnie.

– Mam krew pod paznokciami, Tomie – powiedział.

– Tak. Konsekwencja zabijania ludzi – odparł Tom.

Toby nalał mu wina. Nadchodzili inni. Czerwony Rycerz widział ser Ali-  
son, która wyróżniła się w walce przeciwko wschodnim wojownikom, i Gel-  
freda dowodzącego tą ostatnią operacją. Trochę kręciło mu się w głowie.  
Skupił myśli na konkretach.

– Dlaczego poszedłeś do Mag? – zapytał.

Tom rozprostował nogi.

– Pocieszyć wdowę – odparł, jakby to było coś naturalnego. – Zapropono-  
wać jej córce małżeństwo. Odmówiła – dodał jakby urażony.

– Nie mów Pyskatej – poradził Czerwony Rycerz. Podniósł swój kubek.

– Starzy Bogowie, jesteś wrednym sukinsynem – mruknął Tom i trzasnął  
kubkiem o stół. – Te siki są za słabe. Mam miód. – Odszedł.

– Co go ugryzło? – zapytała Pyskata, zaglądając do namiotu. Trzepotała  
rzęsami i zerknęła na hrabiego Zaka, który popisywał się na koniu, wykonując

sztuczki jak znacznie młodszy mężczyzna.

– Przecież go znasz – odparł Gabriel.

Godzinę później wszyscy byli porządnie pijani, jak to po bitwie. Zły Tom stał przy stole z dużym rogiem miodu w ręce i jego dudniący śmiech niósł się po obozie.

– A potem ten przygłup mówi: przestać walczyć! – Spojrzał na swojego jeńca, ser Christosa, który miał rękę na temblaku i siniaka na połowie twarzy. – Zauważ, że przez ciebie krwawiłem jak zarzynana świnia. To był potężny cios, messire.

Ser Christos się ukłonił.

Ser Michael widział, że ten człowiek cierpi, jak wszyscy inni jeńcy, będąc świadkiem świętowania zwycięstwa. Wrodzona delikatność wzięła górę nad jego potrzebą przechwałek.

– Panie rycerzu, wśród nas jest wielu takich, którzy chcieliby mieć siłę, żeby przeszyć kopią Złego Toma.

Ser Gawin się roześmiał i Tom mu zawtórował.

– Jużci! – Śmiejąc się, odwrócił głowę i uniósł brew na widok księdza, który wyglądał na sześćdziesiąt, nie na czterdzieści lat. – Słyszę, że teraz wszyscy mamy go zwać ser Gabrielem, co? Nie najwyższym Panem Bogiem? Już nie diukiem?

Ser Gabriel zmarszczył brwi, a potem się zaśmiał z samego siebie.

– Podobało mi się, kiedy byłem diukiem.

Ojciec Arnaud się napił.

– Jako Gabriel będziesz lepszym człowiekiem.

Ser Alkajos miał zdziwioną minę.

– Przecież wciąż jesteś diukiem.

Ser Gabriel popatrzył na Toma.

– Są ludzie, którzy uważają, że nie ma rangi wyższej niż rycerska, ser Alkajosie – powiedział. – I są tacy, którzy uważają, że nadszedł czas, żebym zaczął używać mojego prawdziwego imienia. – Popatrzył na ojca Arnauda.

Tom pokiwał głową.

– Najwyższy czas, powiedziałbym. Ser Gabriel. Podoba mi się.

– To mi o czymś przypomina – powiedział ser Gabriel. – Toby, przynieś mój miecz!

Toby wrócił szybko z miną chłopca, który nie śmie mieć nadziei, ale był skazany na rozczarowanie.

Czerwony Rycerz wyciągnął miecz i wskazał nim Długą Łapę.

– Podejdź i klęknij.

– Przecież tego nie zrobisz! – krzyknął Długa Łapa, ale inni go przyciągnęli, nie do końca wbrew jego woli. – Wiesz, kim byłem – dodał z godnością, na klęczkach.

– Nikim gorszym niż każdy z nas – zapewnił go Czerwony Rycerz. – Mocą stanu rycerskiego i siłą prawicy pasuję cię na rycerza.

Później zaczęła się prawdziwa popijawa. Kapitan Dariusz, który dowiódł, że ma wspaniały głos, zaśpiewał starożytny hymn, cudowną melodię, której wszyscy się chcieli nauczyć. Hrabia Zak już ją znał i przełożył słowa dla ser Alison, która spoważniała.

Pili wino i omawiali strategię kampanii.

Kaitlin przyszła zobaczyć się z mężem i popatrzyła na wszystkich mężczyzn, którzy się jej kłaniali.

– Nie mówicie o niczym prócz wojny? – zapytała z żarem na policzkach.

Hrabia Zak uklonił się jej, kiedy jej mąż zapomniał języka w gębie.

– Pani, my tylko sypiemy ziemię i wylewamy wino na zmarłych.

Pokręciła głową.

Derkensun, bardziej pijany niż większość z nich, błysnął szerokim uśmiechem.

– Postanowiłem się ożenić!

Kaitlin uśmiechnęła się miło do wytatuowanego wielkoluda.

– To się różni od wojny – powiedziała.

Kiedy odeszła, Zły Tom oblizał usta i wyszczerzył zęby.

– Przez was wojna przestanie być rozrywką. Cała ta strategia i taktyka... Co nam zostanie?

– Zdaje się, że dzisiejszy dzień był dość krwawy – powiedział Gabriel.

Tom zrobił zdegustowaną minę.

– Odzierasz wojnę z zabawy. Wymanewrowaliśmy ich. Poddali się. Teraz są po naszej stronie? Chryste na krzyżu! Następnym razem, zamiast walczyć, przestaniemy na rzuceniu kości.

– Nie masz przypadkiem stada do przepędzenia? – zapytał ser Gabriel. Od miesięcy nie słyszeli u niego tak lekkiego tonu, pomimo ciemnych kręgów pod oczami. I imponującej ilości wypitego wina. A może z tego powodu.

– Tak. I je przepędzę. Obecnie jestem Poganiaczem. – Wyszczerzył zęby.

– To było jak przyjemny krótki odpoczynek. Bez srających krów. Bez owiec... Chryste, jak ja nienawidzę owiec. – Trzasnął w stół swoim rogiem.

– Chyba nie chcesz jechać teraz do Harndonu? Ranald jest zdecydowany przegnać bydło. Pasowałeś go na rycerza. Teraz ma inną jałówkę na widoku.

Ranald poczerwieniał, a ser Gabriel się roześmiał.

– Ona nie jest jałówką, wygląda znacznie lepiej. – Wstał.

W obozie za jego plecami panował ruch. W zasadzie były trzy obozy. Szpital się rozrósł, zajmując wszystkie zabudowania farmy, i namioty pokonanej armii dzieliły grunt z szałasami zwycięzców.

– Mogę przynajmniej zapytać, dlaczego nie mogliśmy pociąć na wstążki straży przybocznej tego skurwysyna? – zapytał Zły Tom. – To niesprawiedliwe. Przecież przegrali.

Ser Gabriel pociągnął łyk wina.

– Nie są wrogami. Już nie. W pewien sposób są moimi wasalami. – Wzruszył ramionami. – Właśnie dlatego Demetriusz musiał umrzeć.

Ser Gawin pokręcił głową.

– Trzeba to było zrobić – powiedział, chociaż w jego głosie brakowało przekonania.

– Być może masz co do tego rację – powiedział ser Gabriel, kiwając głową – ale w tej chwili mam śmierci powyżej uszu. – Głos miał bezdźwięczny. – Analizowanie moralności jest interesujące. Demetriusz był tylko pionkiem Eskepilesa, lecz powiedziałbym, że zamordował swego ojca z własnej woli. Gdzie to go stawia?

– W piekle – odparł ser Milus. Zerknął na ser Alkajosa. Moreański rycerz pokiwał głową na znak, że się z nim zgadza.

– Cesarz nigdy nie pozwoliłby mu objąć księstwa – powiedział. – Splamił ręce krwią ojca. Dożywotne wygnanie byłoby najlepszym, na co mógłby liczyć.

– Możliwe – rzekł chłodno Gabriel. – Ale cesarz jest nie z tego świata. A w polityce nigdy nie zawsze oznacza długi czas. – Wzruszył ramionami. – Musiałem mieć pewność.

Toby obchodził stół, nalewając wino – Gelfred chciał tylko trochę, a Alison, dochodząca do siebie po ranie w lewym ramieniu, odmówiła. Derkensun kazał sobie nalać do pełna.

Wszyscy tam byli, a raczej większość z nich. Oczywiście z wyjątkiem Jacquesa, Jehana, Johna le Bailli i wszystkich innych, których już nigdy z nimi nie będzie.

Czerwony Rycerz uniósł kubek.

– Trakowie nigdy nie byli wrogami. Mam nadzieję, że obecnie są sojuszni-

kami. Jak rozumiem... o ile kiedykolwiek to zrozumie, Andronikus zamierzał odbudować Moreę, natomiast Eskepiles dążył do wszczęcia wojny domowej, która zniszczyłaby potencjał militarny cesarstwa. Dicz jest tam. – Wskazał na północ. – Wyobraźcie sobie Dicz w Liwiapolis. Wyobraźcie sobie, że jest tam Głóg.

Powietrze zadrżało.

Zły Tom wyciągnął ciężki sztylet zza pasa.

– Nazwij go jeszcze raz, a zobaczymy, jak broczy krwią.

Ranald przewrócił oczami.

Ser Michael się pochylił, trzymając rękę na bolącym krzyżu. Przez chwilę z przekrwionymi oczami i plecami wygiętymi z bólu wyglądał na znacznie starszego.

– Więc wygraliśmy? – zapytał ostrożnie.

– Z pewnością nie przegraliśmy – odparł Czerwony Rycerz.

– Odbudujemy armię moreańską? – zapytał ser Gawin.

Michael błagalnie popatrzył na kapitana. Zamiast odwrócić wzrok, ser Gabriel z uśmiechem spojrzał mu w oczy.

– Nie. Zostawimy to zadanie innym. Ruszemy na południe z Tomem. Na turniej do Harndonu.

– Turniej? Co? Walka dla zabawy? Co to za głupota? – zapytał Tom, ale radośnie szczyrzył zęby.

– Właśnie, Tomie – powiedział Czerwony Rycerz i uniósł kubek. – Ruszamy na turniej głupców.

# PODZIĘKOWANIA

Jestem wdzięczny Gillian Redfearn z wydawnictwa Gollancz za to, że po dwudziestu latach mojego parania się piórem dała mi szansę na napisanie powieści fantasy, gatunku, który chciałem uprawiać od trzynastego roku życia. Jestem również wdzięczny jej asystentce Charlie Panayiotou za wielkie wsparcie i tysiące e-maili, i Shelley Power, mojej agentce; Rebecce Lovatt, mojej rzeczniczce, grafikowi Dmitry’emu Bondarenko, Jessie Durham, projektantce i gospodyni (o ile to właściwa nazwa) mojej strony internetowej, i Stevenowi Sandfordowi, który stworzył długo oczekiwane mapy. Wszyscy oni są przyjaciółmi, większość z nich bierze ze mną udział w rekonstrukcjach wydarzeń historycznych, włada mieczem, odtwarza role i czyta literaturę fantasy. Jestem wdzięczny nie tylko za ich pracę i entuzjazm, ale też za zespołowe podejście do tego projektu. Mapy Steve’a pokazały mi pewne błędy, które – tak, nie przeczę – popełniłem w opisach dotyczących geografii, szczególnie w okolicach Zielonych Wzgórz. Sztuka Dimitry’ego zainspirowała wygląd nie tylko ludzkich bohaterów, ale też niektórych mieszkańców Dzikich. Strona Jessie spowodowała napływ maili od fanów, co sprawia, że wszyscy czujemy, że warto jest robić to, co robimy, przynajmniej w znacznej mierze, a Rebecca brała udział w wywiadach, dzięki którym dowiedziałem się więcej o „moim” świecie i które pomogły mojej córce wymyślić pseudonim – ale to inna historia.

Dziękuję wielu ludziom i miejscom za inspirację i pomoc. Przejdę do konkretów i niewątpliwie zapomnę o niektórych naprawdę cudownych osobach,



za co przepraszam. Bez szczególnego porządku wymienię tych, którym wieniem jestem podziękowania. Maurizio Oliboni, Giulia Griogoli i wszystkie zdumiewające osoby, które wystawiły „Torneo del Cigno Bianco” w Weronie; wszyscy członkowie kompanii rekonstruktorów zwanej przez nas Hoplogia (a może Kompania Strzelców Doborowych, a może Towarzysze Świętego Eustachiusza); Greg Mele, Tasha Kelly, Nicole Allen, Joe Harley i inni entuzjaści kawalerii, którzy czytali *Okrutny Miecz* na różnych etapach jego powstawania; mam nadzieję, że wprowadziłem wszystkie sugerowane przez nich zmiany; moja szwagierka Nancy, która nie szczędziła starań, żeby poprawić redakcję; Giorgos Kafetsis z Alexandroupolis w Grecji, i Giannis, Xsenia i Smaro (i nawet Hypolita, jeszcze nienarodzona!) za wszystkie nocne rozmowy o schyłku cesarstwa bizantyjskiego i za wprowadzenie do czternastowiecznego greckiego zamku – mam nadzieję, że moja wersja Grecji i Serbii spełnia Wasze oczekiwania; wszyscy rekonstruktorzy średniowiecza, antycznej Grecji i osiemnastego wieku, których praca leży u podłoża mojego pisarstwa, i wszyscy rzemieślnicy, których wyroby mnie inspirowały... JT Palikko, Mark Vickers, Craig Sitch, ludzie z „Albionu” i „Arms and Armor”; Eric Schatzel, Ward Oles, Brevakowie i wszyscy z „At the Eastern Door” (sprawdźcie, jakie mają zdumiewające rzeczy), Peter Fuller, Brian Scott Wilson, Christian Darce i Jiri Klepac, Tasha Kelly (obecnie za szycie, nie czytanie)... naprawdę, ci ludzie wzbogacili moją powieść przedmiotami, które mogę opisać, trzymać, wywijać nimi w powietrzu albo zarzucić na plecy, żeby nie przemoknąć, albo odpierać nimi ciosy, albo ćwiczyć.

Ale dla opisowej prozy równie niezbędne są umiejętności, dlatego chciałbym podziękować Guyowi Windsorowi, Tomowi Leoniemu, Gregowi Mele’emu i Chrisowi Verwijmerenowi za lekcje, wiedzę fachową i autorskie wsparcie dotyczące broni, metod i stylów; ludziom z „Les Maitre D’Armes” w Ottawie/Hull kierującym „Borealis” i tym z Chicago Swordplay Guild, którzy prowadzą WMAW, warsztaty zachodnich sztuk walki.

Pisanie fantazy naprawdę jest zabawne. Dzięki Wam wszystkim. Może to powtórzymy?

*Miles Cameron*  
Toronto, 2013